PISMA

# Henryka Sienkiewicza



# POTOP

WYDAŁ
A. A. PARYSKI
TOLEDO, OHIO



Szymon St. Deptuła

# PISMA

# Henryka Sienkiewicza.

# POTOP.

POWIEŚĆ Z LAT DAWNYCH.

**WYDANIE JUBILEUSZOWE.**

Z OBJAŚNIENIAMI WYRAZÓW STAROPOLSKICH I OBCYCH.

# Wstęp.

Był na Żmudzi ród możny Billewiczów, od Mendoga się wywodzący, wielce skoligacony i w całem Rosieńskiem nad wszystkie inne szanowany. Do urzędów wielkich nigdy Billewiczowie nie doszli, co najwięcej powiatowe piastując, ale na polu Marsa niepożyte krajowi oddawali usługi, za które różnymi czasy hojnie bywali nagradzani. Gniazdo ich rodzinne, istniejące do dziś, zwało się także Billewicze, ale oprócz nich posiadali wiele innych majętności i w okolicy Rosień i dalej ku Krakinowu, wedle Laudy, Szoi, Niewiaży — aż hen, jeszcze za Poniewieżem. Potem rozpadli się na kilka domów, których członkowie potracili się z oczu. Zjeżdżali się wszyscy wówczas tylko, gdy w Rosieniach, na równinie zwanej Stany, odbywał się popis pospolitego ruszenia żmudzkiego. Częściowo spotykali się także pod chorągwiami litewskiego komputu i na sejmikach, a że byli zamożni, wpływowi, więc liczyć się z nimi musieli sami nawet wszechpotężni na Litwie i Żmudzi Radziwiłłowie.

Za panowania Jana Kazimierza, patryarchą wszystkich Billewiczów był Herakliusz Billewicz, pułkownik lekkiego znaku, podkomorzy upicki. Ten nie mieszkał w gnieździe rodzinnem, które dzierżył pod owe czasy Tomasz miecznik rosieński; zaś do Herakliusza należały Wodokty, Lubicz i Mitruny, leżące w pobliżu Laudy, naokół, jakoby morzem, ziemiami drobnej szlachty oblane.

Prócz Billewiczów bowiem, kilka było tylko większych domów w okolicy, jak Sołłohuby, Montwiłłowie, Schillingowie, Koryzynowie, Sicińscy (choć i drobnej braci tychże nazwisk nie brakło) zresztą całe porzecze Laudy usiane było gęsto tak zwanemi "okolicami," albo mówiąc zwyczajnie: zaściankami, zamieszkałymi przez sławną i głośną w dziejach Żmudzi szlachtę laudańską.

W innych okolicach kraju rody brały nazwę od zaścianków, albo zaścianki od rodów, jako bywało na Podlasiu; tam zaś, wzdłuż laudańskiego porzecza, było inaczej. Tam mieszkali w Morezach Stakjanowie, których swego czasu Batory osadził za męstwo, oka-

ne pod Pskowem. W Wołmontowiczach, na dobrej glebie roili się Butrymowie, największe chłopy z całej Laudy, słynni z małomówności i ciężkiej ręki, którzy czasu sejmików, najazdu lub wojen, murem w milczeniu iść zwykli. Ziemie w Drożejkanach i Mozgach uprawiali liczni Domaszewiczowie, słynni myśliwi; ci puszczą Zielonką aż do Wiłkomierza tropem niedźwiedzim chadzali. Gasztowtowie siedzieli w Pacunelach: panny ich słynęły pięknością, tak, iż w końcu wszystkie gładkie dziewczęta w okolicy Krakinowa, Ponieważa i Upity pacunelkami nazywano. Sołłohubowie Mali byli bogaci w konie i bydło wyborne, na leśnych pastwiskach hodowane; zaś Gościewicze w Goszczunach smołę w lasach pędzili, od którego zajęcia zwano ich Gościewiczami Czarnymi albo Dymnymi.

Było i więcej zaścianków było i więcej rodów. Wielu z nich nazwy istnieją jeszcze, ale po większej części i zaścianki nie leżą tak, jak leżały, i ludzie innemi w nich imionami się wołają. Przyszły wojny, nieszczęścia, pożary, odbudowywano się nie zawsze na dawnych pogorzeliskach, słowem zmieniło się wiele. Ale czasu swego kwitnęła jeszcze stara Lauda w pierwotnym bycie i szlachta laudańska do największej doszła wziętości, gdy przed niewielu laty, czyniąc pod Łojowem przeciw zbuntowanemu kozactwu, wielką się sławą pod wodzą Janusza Radziwiłła okryła.

Służyli zaś wszyscy laudańscy w chorągwi starego Herakliusza Billewicza; więc bogatsi, jako towarzysze, na dwa konie, ubożsi na jednego, najubożsi w pocztowych. Wogóle szlachta to była wojenna i w zawodzie rycerskim szczególnie rozmiłowana. Natomiast na tych sprawach, które zwykłą materyę sejmików stanowiły, mniej się znali. Wiedzieli, że król jest w Warszawie, Radziwiłł i pan Hlebowicz, starosta, na Żmudzi, a pan Billewicz w Wodoktach na Laudzie. To im wystarczało i głosowali tak, jak ich pan Billewicz nauczył, w przekonaniu, że on chce tego, czego i pan Hlebowicz, ten znów z Radziwiłłem idzie w ordynku, Radziwiłł jest ręką królewską na Litwie i Żmudzi, król zaś małżonkiem Rzeczypospolitej, ojcem rzeszy szlacheckiej.

Pan Billewicz był zresztą więcej przyjacielem, niż klientem potężnych oligarchów w Birżach — i to wielce cenionym, bo na każde zawołanie miał tysiąc głosów i tysiąc szabel laudańskich, a szabel w rękach Stakjanów, Butrymów, Domaszewiczów lub Gasztowtów nie lekceważył jeszcze w tym czasie nikt w świecie.

Później dopiero zmieniło się wszystko, właśnie wówczas, gdy pana Herakliusza Billewicza nie stało.

Nie stało zaś tego ojca i dobrodzieja szlachty laudańskiej w r. 1654-ym. Rozpaliła się wówczas wzdłuż całej wschodniej ściany Rzeczypospolitej straszna wojna. Pan Billewicz już na nią nie poszedł, bo nie pozwolił mu na to wiek i głuchota, ale laudańscy poszli. Owóż, gdy przyszła wieść, że Radziwiłł pobity został pod Szkłowem, a laudańska chorągiew w ataku na najemną piechotę francuską prawie w pień wycięta — stary pułkownik, rażony apopleksyą, duszę oddał.

Wieść tę przywiózł niejaki pan Michał Wołodyjowski, młody, ale bardzo wsławiony żołnierz, który w zastępstwie pana Herakliusza, laudańskim z ramienia Radziwiłła przewodził. Resztki ich przybyły także do zagród ojczystych znękane, pognębione, zgłodzone i śladem całego wojska na hetmana wielkiego narzekając, że ufny w grozę swego imienia, w urok zwycięzcy, z małą siłą na dziesięćkroć liczniejszą potęgę się rzucił, a przez to pogrążył wojsko, kraj cały.

Lecz wśród ogólnych narzekań ani jeden głos nie podniósł się przeciw młodemu pułkownikowi, panu Jerzemu Michałowi Wołodyjowskiemu. Owszem ci, co uszli z pogromu, wysławiali go pod niebiosa, cuda opowiadając o jego doświadczeniu wojskowem i czynach. I jedyną to było pociechą dla laudańskich niedobitków wspominać o przewagach, których pod przewodem pana Wołodyjowskiego dokonali: jako w ataku przebili się niby przez dym, przez pierwsze kupy poślednicjszego żołnierza; jak potem na francuskich najemników wpadłszy, cały regiment najprzedniejszy w puch na szablach roznieśli, poczem pan Wołodyjowski własną ręką ściął tegoż regimentu oberszta; jako nakoniec otoczeni i w cztery ognie wzięci, salwowali się po desperacku z zamętu, gęstym trupem padając i nieprzyjaciela łamiąc.

Słuchali z żalem, ale i dumną, owych opowiadań ci z laudańskich, którzy wojskowo w kompucie litewskim nie służąc, obowiązani byli tylko w pospolitem ruszeniu stawać. Spodziewano się też powszechnie, że pospolite ruszenie, ostateczna kraju obrona, wkrótce zostanie zwołane. Była już z góry umowa, że w takim razie pan Wołodyjowski zostanie obrany laudańskim rotmistrzem, bo choć się do miejscowego obywatelstwa nie liczył, nie było odeń między miejscowem obywatelstwem sławniejszego. Niedobitkowie mówili jesz-

cze o nim, że samego hetmana z toni wyrwał. To też cała Lauda na ręku go prawie nosiła, a okolica wydzierała okolicy. Kłócili się zwłaszcza, Butrymi, Domaszewicze i Gasztowtowie, u których ma zostać na dłużej gościną. On zaś tak sobie ową bitną szlachtę upodobał, że gdy okruchy wojsk radziwiłłowskich ciągnęły do Birż, by tam jako po klęsce przyjść do sprawy — on z innymi nie odszedł, ale jeżdżąc z zaścianku do zaścianku, w Pacunelach u Gasztowtów wreszcie stałą rezydencyę założył, u pana Pakosza Gasztowta, który nad wszystkimi w Pacunelach miał zwierzchność.

Co prawda, nie mógłby był pan Wołodyjowski żadną miarą do Birż jechać, gdyż zachorował obłożnie, najprzód przyszły nań złe gorączki, potem od kontuzyi, którą był pod Cybichowem otrzymał, odjęło mu prawą rękę. Trzy panny Pakoszówny, słynne z urody pacunelki, wzięły go w czułą opiekę i poprzysięgły tak sławnego kawalera do pierwotnego zdrowia doprowadzić, szlachta zaś kto żyw był, zajęła się pogrzebem dawnego swego wodza, pana Herakliusza Billewicza.

Po pogrzebie otwarto testament nieboszczyka, z którego pokazało się, iż stary pułkownik dziedziczką całej fortuny, z wyjątkiem wsi Lubicza, uczynił wnuczkę swą Aleksandrę Billewiczównę, łowczankę upicką, opiekę zaś nad nią, dopókiby za mąż nie poszła, powierzył całej szlachcie laudańskiej.

...."Którzy, jako mnie życzliwi byli (głosił testament) i miłością za miłość płacili, niechże i sierocie tak będą, a w tych czasach zepsucia i przewrotności, gdy przed swawolą ludzką nikt bezpieczen, ani prożen bojaźni być nie może — niechaj sieroty przez pamięć moję od przygody strzegą.

"Baczyć także mają, aby fortuny w bezpieczności zażywała, z wyjątkiem wsi Lubicza, którą panu Kmicicowi, młodemu chorążemu orszańskiemu dawam, darowuję i zapisuję, aby w tem przeszkody żadnej nie miał. Ktoby zaś się tej przychylności mojej dla W-nego Jandrzeja Kmicica dziwował, albo w tem krzywdę wnuczki mojej urodzonej Aleksandry upatrywał, wiedzieć ma i powinien, iżem od ojca urodzonego Jędrzeja Kmicica jeszcze z młodych lat, aż do dnia śmierci, przyjaźni i zgoła braterskiego afektu doznawał. Z którym wojny odprawowałem i życie mi po wielekroć ratował, a gdy złość i invidia panów Sicińskich wydrzeć mi fortunę chciały — i do niej mi dopomógł. Tedy ja, Herakliusz Billewicz, podkomorzy upicki, a razem grzesznik niegodny, przed srogim sądem bożym dziś sto-

jący, przed czterema laty (żyw jeszcze i nogami po nizinie ziemskiej chodząc) do pana Kmicica, ojca miecznika Orszańskiego się udałem, aby wdzięczność i przyjaźń stateczną ślubować. Tamże, za wspólną zgodą, postanowiliśmy obyczajem dawnym szlacheckim i chrześciańskim, że dzieci nasze, a mianowicie syn jego Andrzej z wnuczką moją Aleksandrą, łowczanką, stadło uczynić mają, aby z nich potomstwo na chwałę Bożą i pożytek Rzeczypospolitej wyrosło. Czego sobie najmocniej życzę i wnuczkę moją Aleksandrę do posłuszeństwa tu wypisanej woli obowiązuję, chybaby pan chorąży orszański (czego Bóg nie daj) szpetnymi uczynkami sławę swoją splamił i bezecnym był ogłoszony. A jeśliby substancyę swą rodzinną utracił, co przy tamtej ścianie, wedle Orszy, łacnie zdarzyć się może, tedy go ma pod błogosławieństwem za męża mieć, choćby też i od Lubicza odpadł, nic na to nie zważać.

"Wszelako, jeśliby za szczególną łaską Boga, wnuczka moja chciała na chwałę Jego panieństwo swe ofiarować i zakonny habit przywdziać, tedy wolno jej to uczynić, albowiem chwała Boża przed ludzką iść powinna..."

W taki sposób to rozporządził fortuną i wnuczką pan Herakliusz Billewicz, czemu nikt się bardzo nie dziwił. Panna Aleksandra zdawna wiedziała, co ją czeka i szlachta zdawna o przyjaźni między Billewiczem a Kmicicami słyszała — zresztą umysły w czasach klęski czem innem były zajęte, tak, że wkrótce i mówić o testamencie przestano.

Mówiono tylko o Kmicicach nieustannie we dworze w Wodoktach, a raczej o panu Andrzeju, bo stary miecznik nie żył już także. Młodszy pod Szkłowem z własną chorągwią i orszańskimi wolentarzami stawał. Później zniknął z oczu, ale nie przypuszczano, żeby zginął, gdyż śmierć tak znacznego kawalera pewnieby nie uszła niepostrzeżenie. Familianci to bowiem byli w Orszańskiem Kmicice i panowie znacznych fortun, ale tamte strony płomień wojny zniszczył. Powiaty i ziemie całe zmieniały się w głuche pola, kruszyły się fortuny, ginęli ludzie. Po złamaniu Radziwiłła nikt już silniejszego oporu nie dawał. Gosiewski, hetman polny, sił nie miał; koronni hetmani wraz z wojskami na Ukrainie ostatkiem wojsk walczyli i wspomódz go nie mogli, również jak i Rzeczpospolita przez wojny kozackie wyczerpana. Fala zalewała kraj coraz dalej, gdzieniegdzie tylko o warowne mury się odbijając, ale i mury padały jedne za drugimi, jak upadł Smoleńsk. Województwo Smoleńskie,

w którem leżały fortuny Kmiciców, uważano za stracone. W powszechnem zamieszaniu, w powszechnej trwodze rozproszyli się ludzie, jak liście wichrem rozegnane, i nikt nie wiedział, co się z młodym chorążym orszańskim stało.

Ale że do starostwa Żmudzkiego wojna jeszcze nie doszła, ochłonęła zwolna szlachta laudańska po klęsce szkłowskiej. "Okolice" poczęły się zjeżdżać i naradzać tak o rzeczy publicznej, jak o sprawach prywatnych. Butrymowie, najskorsi do boju, przebąkiwali, że trzeba będzie na kongresa pospolitego ruszenia do Rosień jechać, a potem do Gosiewskiego, by pomścić szkłowską przegraną; Domaszewicze myśliwi poczęli się zapuszczać lasami, puszczą Rogowską, aż pod zastępy nieprzyjacielskie, wieści z powrotem przywożąc; Gościewicze Dymni w dymach mięso na przyszłą wyprawę wędzili. W sprawach prywatnych postanowiono bywałych i doświadczonych ludzi na odszukanie pana Andrzeja Kmicica posłać.

Składali owe rady starsi laudańscy pod przewodem Pakosza Gasztowta i Kassyana Butryma, dwóch patryarchów okolicznych — wszystka zaś szlachta, której ufność, jaką w niej położył zmarły pan Billewicz, wielce pochlebiła, poprzysięgła sobie wiernie stać przy literze testamentu i pannę Aleksandrę prawie rodzicielską opieką otoczyć. To też, gdy czasu wojny, nawet w stronach, do których wojna nie doszła, zrywały się niesnaski i zawichrzenia, na brzegach Laudy wszystko pozostało spokojne. Żadnych dyferencyj nie podniesiono, nie było żadnego wyorywania się w granice majętności młodej dziedziczki; nie przesypywano kopców, nie wycięto cechowanych sosen na rubieżach lasów, nie zajechano pastwisk. Owszem wspomagano zasobną samą przez się dziedziczkę, czem która "okolica" mogła. Więc Stakjanowie nadrzeczni nadsyłali ryby solonej, z Wołmontowicz od mrukliwych Butrymów przychodziły zboża, siano od Gasztowtów, zwierzyna od Domaszewiczów myśliwych, smoła i dziegieć od Gościewiczów Dymnych. O pannie Aleksandrze nikt inaczej nie mówił, jak "nasza panna," a piękne pacunelki wyglądały pana Kmicica bogdaj tak samo niecierpliwie, jak ona.

Tymczasem przyszły wieści zwołujące szlachtę — więc poczęto ruszać się na Laudzie. Kto z pacholęcia wyrósł na męża, kogo nie pochylił wiek, ten na koń siadać musiał. Jan Kazimierz przybył do Grodna i tam miejsce generalnego zboru naznaczył. Tam też ciągnięto. Ruszyli w milczeniu pierwsi Butrymowie, za nimi inni,

a Gasztowtowie naostatku jak zawsze czynili, bo im od pacunelek żal było odjeżdżać. Szlachta z innych stron kraju w małej stawiła się liczbie i kraj pozostał bez obrony, ale Lauda pobożna stanęła w całości.

Pan Wołodyjowski nie ruszył, bo nie mógł jeszcze ręką władać, więc właśnie jako wojski między pacunelkami pozostał. Opustoszały "okolice" i jeno starcy z białogłowami zasiadali wieczorem przy ogniskach. Cicho było w Poniewieżu i Upicie — czekano wszędy na nowiny.

Panna Aleksandra również zamknęła się w Wodoktach, nikogo prócz sług i swych opiekunów laudańskich nie widując.

---

## ROZDZIAŁ I.

Przyszedł nowy rok 1625. Styczeń był mroźny, ale suchy; zima tęga przykryła Żmudź świętą grubym na łokieć, białym kożuchem; łasy gięły się i łamały pod obfitą okiścią, śnieg olśniewał oczy w dzień przy słońcu, a nocą przy księżycu migotały jakoby iskry niknące po stężałej od mrozu powierzchni; zwierz zbliżał się do mieszkań ludzkich, a ubogie szare ptastwo stukało dziobem do szyb, siedzią i śnieżnymi kwiatami okrytych.

Pewnego wieczora siedziała panna Aleksandra w izbie czeladnej, wraz z dziewczętami dworskiemi. Dawny to był zwyczaj Billewiczów, że gdy gości nie było, to z czeladzią spędzali wieczory, śpiewając pieśni nabożne i przykładem swym prostactwo budując. Tak też czyniła i panna Aleksandra, a to tem łacniej, że między jej dziewkami, dworskiemi same były prawie szlachcianki, sieroty bardzo ubogie. Te robotę wszelką, choćby najgrubszą, spełniały i przy paniach służebnemi były, a w zamian za to ćwiczyły się w obyczajności, lepszego doznając od prostych dziewek traktowania. Były jednak między niemi i chłopki, mową głównie się różniące, bo wiele z nich po polsku nie umiało.

Panna Aleksandra wraz z krewną swoją panną Kulwiecówną siedziały w pośrodku, a dziewczęta po bokach na ławkach; wszystkie kądziel przędły. Na potężnym kominie, ze zwieszonym okapem, paliły się kłody sosnowe i karpy to przygasając, to znów strze-

łając jasnym, wielkim płonieniem lub iskrami, w miarę jak stojący wedle komina wyrostek przyrzucał drobniejszych brzeźniaków i łuczywa. Gdy płomień strzelił jaśniej, widać było ciemne drewniane ściany ogromnej izby z nadzwyczaj niskim, belkowanym sufitem. U belek wisiały na niciach różnokolorowe gwiazdki, uczynione z opłatków, trzęsące się w cieple, a z za belek wyglądały motki czesanego lnu, zwieszające się na obie strony, jakby tureckie zdobyczne buńczuki. Cały niemal pułap był nimi założony. Po ścianach ciemnych błyszczały, jakoby gwiazdy, statki cynowe, większe i mniejsze, stojące lub poopierane na długich półkach dębowych.

W głębi przy drzwiach kudłaty Żmudzin huczał gwałtownie żarnami, mrucząc pod nosem pieśń monotonną, panna Aleksandra przesuwała w milczeniu paciorki różańca, prządki przędły, nic jedna do drugiej nie mówiąc.

Światło płomienia padało na ich młode, rumiane twarze, one zaś z rękoma wzniesionemi ku kądziełom, lewą podszczypując len miękki, prawą kręcąc wrzeciona, przędły gorliwie, jakby na wyścigi, surowemi spojrzeniami panny Kulwiecówny podniecane. Czasem też spoglądały na się bystremi oczkami, a czasem na pannę Aleksandrę, jak by w oczekiwaniu, rychło Żmudzinowi mleć zakaże i pieśń pobożną rozpocznie; ale z robotą nie ustawały i przędły, przędły; wiły się nici, warczały wrzeciona, migotały druty w ręku panny Kulwiecówny, a kudłaty Żmudzin żarnami huczał.

Chwilami jednak przerywał robotę, widocznie coś się w żarnach psuło, bo jednocześnie rozlegał się jego gniewny głos:

— Padłas!

Panna Aleksandra podnosiła głowę, jakby rozbudzona ciszą, która następowała po okrzykach Żmudzina; wówczas płomień oświecał jej twarz i poważne błękitne oczy, patrzące z pod brwi czarnych.

Była to urodziwa panna o płowych włosach, bladawej cerze i delikatnych rysach. Miała piękność białego kwiatu. Żałobna suknia dodawała jej powagi. Siedząc przed tym kominem, była tak w myślach pogrążona, jak w śnie; zapewne nad dolą własną rozmyślała, gdyż losy jej były w zawieszeniu.

Testament przeznaczał ją na żonę człowieka, którego nie widziała od lat dziesięciu, a że dobiegała dopiero dwudziestu, więc pozostało jej tylko niejasne wspomnienie dziecinne jakiegoś burzliwego wyrostka, który za czasu swego pobytu z ojcem w Wodoktach, więcej z rusznicą po bagnach latał, niż na nią patrzył.

— Gdzie on jest i jaki on jest teraz? — oto pytania, które cisnęły się na myśl poważnej pannie.

Znała go wprawdzie jeszcze z opowiadań nieboszczyka podkomorzego, który na cztery lata przed śmiercią przedsięwziął był daleką podróż do Orszy. Otóż, wedle tych opowiadań, miał to być "wielkiej fantazyi kawaler, choć gorączka okrutny." Po owym układzie o małżeństwo dzieci, zawartym między starym Billewiczem a Kmicicem ojcem, miał ów kawaler przyjechać zaraz do Wodoktów akomodować się pannie; tymczasem wybuchła wielka wojna i kawaler zamiast do panny, pociągnął na pole beresteckie. Tam postrzelony, leczył się w domu; potem ojca schorzałego i bliskiego śmierci pilnował; potem znowu była wojna — i tak zeszły owe cztery lata. Teraz od śmierci starego pułkownika upłynął już kawał czasu, a o Kmicicu słuch przepadł.

Miała tedy o czem rozmyślać panna Aleksandra, a może tęskniła do nieznanego. W sercu czystem, właśnie dlatego, że jeszcze miłości nie zaznało, nosiła wielką gotowość do kochania. Iskry tylko trzeba było, żeby na tem ognisku rozpalił się płomień spokojny, ale jasny, równy jak znicz litewski niegasnący.

Więc niepokój ogarniał ją, czasem luby, a czasem przykry i dusza jej ciągle zadawała sobie pytania, na które nie było odpowiedzi, a raczej miała dopiero nadejść z pól dalekich. Więc pierwsze pytanie było: zali on z dobrej woli ją zaślubi i gotowością na jej gotowość odpowie? W owych czasach układy rodzicielskie o małżeństwo dzieci bywały rzeczą zwykłą, a dzieci, choćby po śmierci rodziców, związane pod błogosławieństwem, dotrzymywały najczęściej układu. W samem więc zeswataniu jej nie widziała panienka nic nadzwyczajnego, ale że dobra wola nie zawsze z obowiązkiem chodzi w parze, więc i ta troska obciążała płową główkę panny: "Czy on mnie pokocha?" I potem już stado myśli opadło ją, jak stado ptastwa opada drzewa, samotnie na rozległych polach stojące. Ktoś ty jest? jakiś jest? żyw chodzisz po świecie? czy może już gdzie tam poległeś?... Dalekoś ty, czy blisko?... Otwarte serce panny, jak drzwi otwarte na przyjęcie miłego gościa, mimowoli wołało ku dalekim stronom, ku lasom i polom śnieżnym, nocą przykrytym: "Bywaj junaku! bo nie masz nic gorszego w świecie nad oczekiwanie!"

Wtem, jakby w odpowiedzi na wołanie, z zewnątrz, właśnie z owych śnieżnych dalekości nocą pokrytych, doszedł głos dzwonka.

Panna drgnęła, lecz oprzytomniawszy, wnet przypomniała so-

bie, że to z Paculnetów przysyłano każdego prawie wieczora do apteczki po leki dla młodego pułkownika; myśl tę potwierdziła panna Kulwiecówna, mówiąc:

— To od Gasztowtów po dryjakiew.

Nieregularny głos dzwonka, targanego przy dyszlu, brzmiał coraz wyraźniej; nakoniec ucichł nagle, widocznie sanki zatrzymały się przed domem.

— Obacz, kto przyjechał — rzekła panna Kulwiecówna do obracającego żarna Żmudzina.

Żmudzin wyszedł z czeladnej, lecz po małej chwili pojawił się z powrotem i biorąc znów za drąg od żaren, rzekł z flegmą:

— Panas Kmitas.

— A słowo stało się ciałem! — wykrzyknęła panna Kulwiecówna.

Prządki zerwały się na równe nogi; kądziele i wrzeciona pospadały na ziemię.

Panna Aleksandra wstała także; serce jej biło jak młotem, na twarz występowały rumieńce, a po nich bladość; ale odwróciła się umyślnie od komina, żeby wzruszenia nie okazać.

Wtem, we drzwiach, pojawiła się wyniosła jakaś postać, w szubie i czapce futrzanej na głowie. Młody mężczyzna postąpił na środek izby, i poznawszy, że się znajduje w czeladnej, spytał dźwięcznym głosem, nie zdejmując czapki:

— Hej! a gdzie to wasza panna?

— Jestem — odpowiedziała dość pewnym głosem Billewiczówna.

Usłyszawszy, to przybyły zdjął czapkę, rzucił ją na ziemię i skłoniwszy się, rzekł:

— Jam jest Andrzej Kmicic.

Oczy panny Aleksandry spoczęły błyskawicą na twarzy Kmicica, a potem znów wbiły się w ziemię; przez ten czas jednak zdołała panienka dojrzeć płową jak żyto, mocno podgoloną czuprynę, smagłą cerę, siwe oczy, bystro przed się patrzące, ciemny wąs i twarz młodą, orlikowatą, a wesołą i junacką.

On się zaś w bok ujął lewą ręką, prawą do wąsa podniósł i tak mówił:

— Jeszczem w Lubiczu nie był, jeno tu ptakiem śpieszyłem do nóg panny łowczanki się pokłonić. Prosto z obozu mnie tu wiatr przywiał, daj Boże, szczęśliwy.

— Waćpan wiedziałeś o śmierci dziadusia podkomorzego? — spytała panna.

— Nie wiedziałem, alem go łzami rzewnemi opłakał, dobrodzieja mego, gdym się o jego zgonie od owych szaraków dowiedział, którzy z tych stron do mnie przybyli. Szczery to był przyjaciel, niedwie brat mego nieboszczyka rodzica. Pewnie waćpannie wiadomo dobrze, że przed czterema laty aż pod Orszę do nas przybył. Wtedy mi to waćpannę obiecał i konterfekt pokazał, do którego po nocach wzdychałem. Byłbym tu wcześniej przyjechał, ale wojna nie matka: ze śmiercią jeno ludzi swata.

Zmieszała nieco panienkę ta śmiała mowa, więc chcąc ją na co innego odwrócić, rzekła:

— To waćpan jeszcze swojego Lubicza nie widział?

— Czas na to będzie. Tu pierwsze służby i droższy legat, który najprzód chciałbym odziedziczyć. Jeno mi się waćpanna tak od komina odwracasz, żem dotąd i w oczy spojrzeć nie mógł. Ot! tak! odwróć się waćpanna, a ja od komina zajdę! — ot tak!

To rzekłszy, śmiały żołnierz chwycił niespodziewającą się takiego postępku Oleńkę za ręce i ku ognisku odwrócił, tak nią jak frygą zakręciwszy.

Ona zaś zmieszała się jeszcze bardziej i nakrywszy oczy długiemi rzęsami, stała tak światłem i własną pięknością zawstydzona. Kmicic puścił ją wreszcie i uderzył się po kontuszu.

— Jak mi Bóg miły, rarytet! — Dam na sto mszy po moim dobrodzieju, że mi cię zapisał. Kiedy ślub?

— Jeszcze nie prędko, jeszczem nie waćpana — odrzekła Oleńka.

— Ale będziesz, choćbym ten dom miał podpalić! Na Boga! myślałem, że konterfekt pochlebiony, ale tu, widzę, malarz wysoko mierzył, a chybił. Sto bizunów takiemu i piece mu malować, nie one specyały, któremi oczy pasę. Miłoż to taki legat dostać, niech mię kulę biją!

— Dobrze nieboszczyk dziaduś mi powiedział, żeś waćpan gorączka.

— Tacy u nas wszyscy w Smoleńskiem, nie jak wasi Żmudzini. Raz, dwa! i musi być, jak chcemy, a nie, to śmierć!

Oleńka uśmiechnęła się i rzekła już pewniejszym głosem, podnosząc na kawalera oczy:

— Ej! to chyba Tatarzy u was mieszkają?

— Wszystko jedno! a waćpanna moją jesteś z woli rodziców i po sercu.

— Po sercu, to jeszcze nie wiem.

— Niechbyś nie była, tobym się nożem pchnął.

— Śmiejący się to waćpan mówisz, ale i my to jeszcze w czeladnej! Proszę do komnat. Po długiej drodze pewnie się i wieczerza przygodzi, proszę!

Tu Oleńka zwróciła się do panny Kulcewiecówny:

— Ciotuchna pójdzie z nami?

Młody chorąży spojrzał bystro:

— Ciotuchna? — spytał — jaka ciotuchna?

— Moja, panna Kulwiecówna.

— A to i moja! — odparł, zabierając się do rąk całowania. — Dla Boga! toż ja mam w chorągwi towarzysza, który się zwie Kulwiec-Hippocentaurus. Czy nie krewniak, proszę?

— To z tych samych! — odrzekła dygając stara panna.

— Dobry chłop, ale wicher, jak i ja! — dodał Kmicic.

Tymczasem wyrostek ukazał się ze światłem, więc przeszli do sieni, gdzie pan Andrzej szubę z siebie zrzucił, a potem na drugą stronę, do komnat gościnnych.

Zaraz po ich odejściu, prządki zbiły się w ciasną gromadkę i nuż jedna przez drugą gadać a uwagi czynić. Strojny młodzian podobał się im bardzo, więc i nie szczędziły mu słów, wzajemnie się w pochwałach przesadzając.

— Łuna od niego bije — mówiła jedna — kiedy wszedł, myślałam, że królewicz.

— A oczy ma jak ryś, aż niemi kłuje: — odrzekła druga — takiemu się nie przeciw!

— Najgorzej się przeciwiać! — odpowiedziała trzecia.

— Pannę jak wrzecionem okręcił! Ale już to znać, że mu się udała bardzo, bo i komużby się ona nie udała?

— Ale i on nie gorszy, nie bój się! Żeby ci się taki zdarzył, poszłabyś i do Orszy, choć to podobno na końcu świata.

— Szczęśliwa panna!

— Bogatym zawsze lepiej na świecie. Ej, ej! złotoż, to, nie rycerz!

— Mówiły pacunelki, że i ten rotmistrz, któren jest u pacunelek, u starego Pakosza, piękny kawaler.

— Nie widziałam ja go, ale gdzie jemu do pana Kmicica! Już takiego chyba na świecie niema!

— Padłaś! — zawołał nagle Żmudzin, któremu znów się coś w żarnach popsuło.

— A nie pójdziesz ty kudłaty ze swoimi wymysłami! Dajże już

pokój, bo się i dosłyszeć nie można!... Tak, tak! trudno lepszego, jak pan Kmicic, na całym świecie nie znaleść! Pewnie i w Kiejdanach takiego niema!

— Taki to się i przyśni...

— Niechby się ono i przyśnił...

W takito sposób rozprawiały ze sobą szlachcianki w czeladnej. Tymczasem nakrywano co duchu w izbie stołowej, a w gościnnej mówiła panna Aleksandra sam na sam z Kmicicem, bo ciotka Kulwiecówna poszła krzątać się wedle wieczerzy.

Pan Andrzej nie zdejmował wzroku z Oleńki i oczy iskrzyły mu się coraz bardziej, nakoniec rzekł:

— Są ludzie, którym majętność nad wszystko milsza, inni za zdobyczą na wojnie gonią, inni zaś się w koniach kochają, ale jabym waćpanny za żadne skarby nie oddał! Dalibóg, im więcej patrzę, tem większa ochota do żeniaczki, żeby i choć i jutro! Już tę brew to chyba waćpanna korkiem przypalonym malujesz?

— Słyszałam, że tak płoche czynią, ale jam nie taka.

— A oczy jakoby z nieba! Od konfuzyi słów mnie brakuje.

— Nie bardzoś waćpan skonfudowany, gdy tak obcesem na mnie nastajesz, aż mnie dziwno.

— To też obyczaj nasz smoleński: do niewiast, czy w ogień, śmiało iść. Musisz, królowo, do tego przywyknąć, bo tak zawsze będzie.

— Musisz waćpan odwyknąć, bo nie może tak być.

— Może się i poddam, niech mnie usieką! Wierzyć panna, nie wierz, a radbym ci nieba przychylić! Dla ciebie, mój królu, gotówem się i obyczajów innych uczyć, bo wiem to do siebie, żem żołnierz prostak i w obozie więcej bywałem, niźli na pokojach dworskich.

— Ejże, nic to nie szkodzi, bo i mój dziaduś żołnierzem był, ale dziękuję za dobrą chęć! — odrzekła Oleńka i oczy jej spojrzały tak słodko na pana Andrzeja, że mu odrazu serce jak wosk stopniało i odrzekł:

— Waćpanna mnie na nitce będzie wodzić!

— Oj, niepodobny waćpan do takich, których na nitce wodzą! Najtrudniej to z niestatecznymi.

Kmicic ukazał białe, jakoby wilcze zęby, w uśmiechu.

— Jakto! — rzekł — małożto ojcowie nałamali na mnie rózeg w konwencie, abym do statku przyszedł i różne piękne maksymy spamiętał, przewodniczki żywota...

— A którą żeś najlepiej spamiętał?

— "Kiedy kochasz, padaj do nóg" o tak!

To rzekłszy, pan Kmicic już był na kolanach, panienka zaś wołała, chowając nogi pod stołek:

— Dla Boga! tego w konwencie nie uczyli! Daj waćpan pokój, bo się rozgniewam... i ciotka zaraz przyjdzie...

On zaś, klęcząc, podniósł głowę w górę i w oczy jej patrzył.

A niech i cała chorągiew ciotek nadciągnie, nie zaprę się ochoty!

— Wstańże waćpan.

— Już wstaję.

— Siadaj waćpan.

— Już siedzę.

— Zdrajca z waćpana, Judasz.

— A, nieprawda, bo jak całuję, to szczerze!... Chcesz się przekonać?

— Ani się waćpan waż!

Panna Aleksandra śmiała się jednak, a od niego aż łuna biła młodości i wesołości. Nozdrza mu latały, jak młodemu źrebcowi szlachetnej krwi.

— Aj! aj! — mówił — co to za oczki, jakie liczko! Ratujcież mnie wszyscy święci, bo nie usiedzę!

— Nie trzeba wszystkich świętych wzywać. Siedziałeś waćpan cztery lata, aniś tu zajrzał, to siedź i teraz!

— Ba! znałem tylko konterfekt. Każę tego malar a w smołę a potem w pierze wsadzić i po rynku w Upicie biczem pędzić. Już powiem wszystko szczerze: chcesz waćpanna, to przebacz — nie to szyję utnij! Myślałem sobie tedy, na ów konterfekt poglądając: gładka gadzina, bo gładka, ale gładkich nie brak na świecie — mam czas! Ojciec nieboszczyk napędzał, żeby tu jechać, a ja zawsze jedno: mam czas! żeniaczka nie przepadnie! panny na wojnę nie chodzą i nie giną. Nie przeciwiłem się ze wszystkiem woli ojcowskiej, Bóg mi świadkiem, ale chciałem wpierw wojny zażyć, jakoś na własnej skórze praktykowałem. Teraz dopiero poznaję, żem był głupi, bo mogłem i żonaty na wojnę iść, a tu mnie delicye czekały. Chwała Bogu, że całkiem mnie nie usiekli. Pozwól, waćpanna, rączki ucałować.

— Lepiej nie pozwolę.

— Tedy nie będę pytał. U nas w Orszańskiem mówią: proś, a nie dają, to sam weź!

Tu pan Andrzej przypiął się do rączki panienki i całować ją począł, a panienka nie wzbraniała zanadto, żeby nieżyczliwości nie okazać.

Wtem weszła panna Kulwiecówna i widząc, co się dzieje, podniosła oczy do góry. Nie zdała jej się ta konfidencya, ale nie śmiała strofować, natomiast zaprosiła na wierzerzę.

Poszli wtedy oboje, wziąwszy się pod ręce, jakby rodzeństwo, do jadalnej izby, w której stał stół nakryty, na nim wszelkich potraw obficie, zwłaszcza wędlin wybornych i omszały gąsiorek wina, moc dającego. Dobrze było ze sobą młodym, raźno i wesoło. Panna już była po wieczerzy, więc tylko pan Kmicic zasiadł i jeść począł z tą samą żywością, z jaką przedtem rozmawiał.

Oleńka spoglądała nań z boku, rada że je i pije potem zaś, gdy nasycił pierwszy głód, zaczęła znów wypytywać:

— To waćpan nie z pod Orszy jedziesz?

— Bo ja wiem skąd!... Dziś tu bywałem, jutro tam! Takem pod nieprzyjaciela podchodził, jako wilk pod owce i co tam można było urwać, tom urwał.

— A żeś się to waćpan ważył takiej potędze oponować, przed którą sam hetman wielki musiał ustąpić!

— Żem się ważył? Jam na wszystko gotów, taka we mnie natura!

— Mówił to i nieboszczyk dziaduś... Szczęście, żeś waćpan nie zginął.

— E! nakrywali mnie tam czapką i ręką, jako ptaka w gnieździe, ale co nakryli, tom uskoczył i gdzieindziej ukąsił. Naprzykrzyłem się tak, że jest cena na moją głowę... Wyborny półgęsek!

— W imię Ojca i Syna! — zawołała z nieudanem przerażeniem Oleńka, spoglądając jednocześnie z uwielbieniem na tego młodziana, który razem mówił o cenie na swą głowę i o półgęsku.

— Chybaś miał waćpan potęgę wielką do obrony?

— Miałem oczywiście swoich dragoników, bardzo przednich, ale mi się w miesiąc wykruszyli. Potem z wolentarzami chodziłem, których zbierałem, gdziem mógł, nie przebredzając. Dobrzy pachołkowie do bitwy, ale łotry nad łotrami! Ci, co nie poginęli, prędzej czy później pójdą wronom na frykasy...

To rzekłszy, pan Andrzej znów się roześmiał, wychylił kielich wina i dodał:

— Takich drapichróstów jeszcześ waćpanna nie widziała. Niech

im kat święci! Oficerowie wszystko szlachta z naszych stron, familianci, godni ludzie, ale prawie na każdym jest kondemnatka. Siedzą teraz w Lubiczu, bo co miałem innego z nimi robić?

— To waćpan z całą chorągwią do nas przyciągnął?...

— Tak jest. Nieprzyjaciel zamknął się w miastach, bo zima okrutna! Moi ludzie też się zdarli, jako miotły od ciągłego zamiatania, więc mi książe wojewoda hiberny w Poniewieżu naznaczył. Dalibóg, dobrze to zasłużony odpoczynek!

— Jedz waćpan, proszę.

— Jabym dla waćpanny i truciznę zjadł!... Zostawiłem tedy część mojej hołoty w Poniewieżu, część w Upicie, a godniejszych kompanionów do Lubiczam w gościnę zaprosił... Ci przyjdą waćpannie czołem bić.

— A gdzież waćpana laudańscy ludzie znaleźli?

— Oni mnie znaleźli, gdym i tak już do Poniewieża na hiberny szedł. Byłbym i bez nich tu przyciągnął.

— Pijno waćpan...

— Jabym dla waćpanny i trucizny wypił...

— Ale o śmierci dziadusia i o testamencie to laudańscy dopiero waćpanu powiedzieli?

— A, o śmierci to oni. Panie, świeć nad duszą mego dobrodzieja! Czy to waćpanna wysłałaś do mnie tych ludzi?

— Tego sobie waćpan nie myśl. O żałobie myślałam i modlitwie, więcej o niczem...

— Oni też to samo mówili... Ho! harde jakieś szaraki!... Chciałem im dać nagrodę za fatygę, to się jeszcze żachnęli i nuż przymawiać, że to może orszańska szlachta munsztułuki bierze, ale laudańska nie! Bardzo mi szpetnie przymawiali! Co ja słysząc, myślę sobie tak: nie chcecie pieniędzy, każę wam dać po sto bizunów.

Na to panna Aleksandra chwyciła się za głowę.

— Jezus Marya! i waćpan to uczynił?

Kmicic spojrzał zdziwiony.

— Nie przestraszaj się waćpanna...Nie uczyniłem, choć się dusza zawsze we mnie na takich szłachetków przewraca, którzy równymi nam się być mienią. Alem sobie pomyślał: okrzyczą mnie niewinnie w okolicy za gwałtownika i jeszcze przed waćpanną obmówią.

— Wielkie to szczęście! rzekła oddychając głęboko Oleńka, bo inaczej na oczy bym waćpana widzieć nie mogła.

— A to jakim sposobem?

— Mała to szlachta, ale starożytna i sławna. Dziaduś nieboszczyk zawsze się w niej kochał i na wojnę z nimi chodził. Wiek życia razem przesłużyli, a czasu pokoju w domu ich przyjmował. Stara to domu naszego przyjaźń, którą waćpan szanować musisz. Masz przecie serce i nie popsujesz tej świętej zgody, w której żyliśmy dotąd!

— To ja o niczem nie wiedziałem! niech mnie usieką, jeślim wiedział! A przyznaję, że ta bosa szlacheczyzna jakoś mi nie idzie do głowy. U nas, kto chłop, to chłop, a szlachta wszystko familianci, którzy po dwóch na jednę kobyłę nie siadają... Dalibóg! że takim szerepetkom nic do Kmiciców, ani do Billewiczów, jak piskorzom nic do szczuk, choć i to, i to ryba.

— E! dziaduś powiadał, że substancya nic nie stanowi, jeno krew i poczciwość, a to poczciwi ludzie, inaczejby ich dziaduś opiekunami moimi nie czynił.

Pan Andrzej zdumiał i otworzył szeroko oczy.

— Ich? opiekunami waćpanny dziaduś uczynił? wszystką szlachtę laudańską?...

— Tak jest. Waćpan się nie marszcz, bo nieboszczyka wola święta. Dziwno mi to, że wysłańcy tego waćpanu nie powiedzieli?

— Byłbym ich.... ale nie może to być! Przecie tu jest kilkanaście zaścianków... wszyscyś to oni nad waćpanną sejmują? zali i nademną będą sejmikować, czym po ich myśli, czy nie?... E! nie żartujno, waćpanna, bo się we mnie krew burzy!

— Panie Andrzeju, ja nie żartuję... świętą i szczerą prawdę mówię. Nie będą oni sejmikowali nad waćpanem, ale jeśli ich nie odepchniesz, pychy nie okażesz, to nie tylko ich, ale i mnie za serce ujmiesz. Będę razem z nimi waćpanu dziękowała, całe życie... całe życie, panie Andrzeju...

Głos jej drżał, jak prośba pieściwa, ale on nie rozmarszczał brwi i chmurny był. Gniewem wprawdzie nie wybuchnął, choć chwilami przelatywały mu jakoby błyskawice po twarzy, ale odrzekł z wyniosłością i dumą:

— Tegom się nie spodziewał! Szanuję wolę nieboszczyka i tak myślę, że pan podkomorzy mógł ten drobiazg szlachecki do czasu mego przybycia opiekunami waćpanny uczynić, ale gdym tu już raz nogą stanął, nikt inny, prócz mnie, opiekunem nie będzie. Nietylko owe szaraki, ale i sami Radziwiłłowie birżańscy nic tu do opieki nie mają.

Panna Aleksandra spoważniała i odrzekła po krótkiej chwili milczenia:

— Źle waćpan czynisz, że się dumą unosisz. Kondycye dziadzia nieboszczyka albo trzeba wszystką przyjąć, albo wszystkie odrzucić — rady innej nie widzę. Laudańscy nie będą się naprzykrzyć, ani też narzucać, bo to godni ludzie i spokojni. Tego waćpan nie przypuszczaj, żeby oni ci ciężcy byli. Gdyby tu jakieś niesnaski powstały, tedyby mogli słowo rzec, ale tak mniemam, że wszystko pójdzie zgodnie i spokojnie, a wtedy taka to będzie opieka, jakby jej nie było...

On milczał jeszcze chwilę, potem ręką kiwnął i rzekł:

— Prawdać to, że ślub wszystko zakończy. Nie ma się o co spierać, niech jeno siedzą spokojnie i nie wtrącają się do mnie, bo dalibóg, nie dam sobie w wąsy dmuchać; zresztą, mniejsza o nich! Przyzwól waćpanna na ślub prędki, to będzie najlepiej!

— Nie wypada teraz o tem mówić w czasie żałoby...

— Aj! a długo będę musiał czekać?

— Sam dziaduś napisał, żeby nie dłużej, jak pół roku.

— Wyschnę do tego czasu, jak trzaska. Ale się już nie gniewajmy. Już eś waćpanna tak zaczęła na mnie surowo spoglądać, jak na winowajcę. Bogdajże cię, mój królu złoty! Com ja winien, że natura we mnie taka: gdy mnie gniew na kogo uchwyci, tobym go rozdarł, a gdy przejdzie, tobym zeszył!

— Strach z takim żyć — odrzekła już weselej Oleńka.

— No! zdrowie waćpanny! Dobre to wino, a u mnie szabla i wino, to grunt. Jaki tam strach ze mną żyć? Waćpanna to mnie usidlisz swojemi oczkami i w niewolnika obrócisz, mnie, którym nikogo nad sobą znosić nie chciał! Ot, i teraz! wolałem z chorągiewką na własną rękę chodzić, niż panom hetmanom się kłaniać... Mój królu złoty! jeślić ci się co we mnie nie spodoba, to i przebacz, bom się marnie pod harmatami uczył, nie we fraucymerach — w zgiełku żołnierskim: nie przy lutni. U nas tam niespokojna strona, szabli z ręki nie popuść. To też, choć tam i kondemnatka jaka na kim ciąży, choć go i wyrokami ścigają — nic to! Ludzie go szanują, byle; fantazyę miał kawalerską. Exemplum (naprzykład): moi kompanowie, którzy gdzieindziej dawnoby w wieżach siedzieli, swoją drogą godni kawalerowie! Nawet białogłowy u nas w butach i przy szabli chodzą i partyom hetmanią, jako pani Kokosińska, stryjna

mego porucznika czyniła, która teraz kawalerską śmiercią poległa, a synowiec pod moją komendą za nią się mścił, choć jej za życia nie kochał! Gdzie nam dworności się uczyć, choćby największym familiantom? Ale to rozumiemy: wojna — to stawać, sejmik — gardłować, a mało języka — to dalej ze szablą! Ot, co jest! takiego ... mnie nieboszczyk podkomorzy poznał i takiego dla waćpanny wybrał.

— Jam zawsze za wolą dziadusia szła chętnie — odparła, spuszczając oczy, panienka.

— A dajże jeszcze rączyny ucałować, moja słodka dziewczyno! Dalibóg, okrutnieś mi do serca przypadła! Tak mnie sentyment rozebrał, że nie wiem, jak do owego Lubicza trafię, któregom jeszcze nie widział.

— Dam waćpanu przewodnika!..

— Ej, obejdzie się! Już ja przywykłem tłuc się po nocach. Mam pachołka z Poniewieża, który powinien drogę znać. A tam mnie Kokosiński z kompanami czeka... wielcy to familianci u nas Kokosińscy, którzy się Pypką pieczętują... Tego niewinnie bezecnym ogłoszono, za to, że panu Orpiszewskiemu dom spalił i dziewkę porwał, a ludzi wyciął... Gedny towarzysz! Daj że jeszcze rączyny. Czas, widzę, jechać!

Wtem północ poczęła bić zwolna na wielkim gdańskim zegarze, w jadalnej izbie stojącym.

— Dla Boga! czas! czas! — zawołał Kmicic. — Nic tu już nie wskóram! Miłujesz że mnie choć na obwinięcie palca!

— Kiedyindziej odpowiem. Przecie będziesz mnie waćpan odwiedzał?

— Codzień! chybaby się ziemia pode mną rozpadła. Niech mnie usieką!...

To rzekłszy, Kmicic wstał i wyszli oboje do sieni! Sanki czekały już przed gankiem, więc ubrał się w szubę i żegnać ją począł, prosząc, by do komnat wróciła, bo z ganku zimno leci.

Dobranoc, królowo miła — mówił, — śpij smaczno, bo ja, to chyba oka nie zmrużę, o twojej gładkości rozmyślając!

— Byleś waćpan czego szpetnego nie upatrzył. Ale lepiej dam waćpanu człowieka z kagankiem, bo to i wilków pod Wołmontowiczami nie brak.

— A cóż to ja, koza, żebym się wilków miał bać? Wilk żołnierzo-

wi przyjaciel, bo często się z jego ręki pożywi. Wzięło się też i bandolecik do sanek! Dobranoc, najmilsza, dobranoc!

— Z Bogiem!

To rzekłszy, Oleńka cofnęła się, a pan Kmicic ruszył ku gankowi. Ale po drodze, w szparze uchylonych drzwi do czeladnej, dojrzał kilka par oczu dziewcząt, które spać się nie pokładły, aby go ujrzeć raz jeszcze. Tym posłał pan Andrzej żołnierskim obyczajem całusa od ust ręką i wyszedł! Po chwili zabrzęczał dzwonek i jął brzęczeć zrazu głośno, potem coraz bardziej mdlejącym dźwiękiem, coraz słabiej, wreszcie ustał!

Cicho się zrobiło w Wodoktach, aż ta cisza zdziwiła pannę Aleksandrę; w uszach jej jeszcze brzmiały słowa pana Andrzeja, słyszała jeszcze jego śmiech szczery, wesoły, w oczach stała bujna postać młodzieńca, a teraz po tej burzy słów, śmiechu i wesołości, takie dziwne nastało milczenie. Panienka nadstawia uszu, czy nie dosłyszy jeszcze choć tego dzwonka od sanek. Ale nie! już on tam dzwoni gdzieś w lasach, pod Wołmontowiczami. Więc mocna tęsknota ogarnęła dziewczynę — i nigdy nie czuła się tak samotną na świecie.

Zwolna wziąwszy świecę, przeszła do izby sypialnej i klękła do pacierzy. Zaczynała je z pięć razy, nim wszystkie z należytą powagą odmówiła. Ale potem jej myśli, jakby na skrzydłach, pognały do tych sanek i do tej postaci w nich siedzącej... Bór z jednej strony, bór z drugiej, w środku szeroka droga, a on sobie jedzie... pan Andrzej! Tu Oleńce wydało się, że widzi, jak na jawie, ową czuprzynę, siwe oczy i śmiejące się usta, w których błyszczały białe, jak u młodego psiaka, zęby. Trudno bowiem chciała przed sobą zapierać się poważna panna, że jej się okrutnie podobał ów rozhukany kawaler. Zaniepokoił ją trochę, trochę przestraszył, ale jakże pociągnął zarazem właśnie tą fantazyą, tą wesołą swobodą i szczerością. Aż się wstydziła, że jej się podobał nawet ze swojej pychy, kiedy to na wzmiankę o opiekunach, głowę jakby turecki dzianet podniósł i mówił: "Sami nawet Radziwiłłowie birżańscy nic tu do opieki nie mają..." To nie niewieściuch, to mąż prawdziwy! — mówiła sobie panna. Żołnierz jest, jakich dziaduś najwięcej miłował... Bo i warto!

Tak rozmyślała panienka — i to ją ogarniała błogość niczem niezmącona, to niepokój, ale i ten niepokój był jakiś luby. Potem

zaczęła się rozbierać, gdy drzwi skrzypnęły i weszła ciotka Kulwiecówna ze świecą w ręku.

— Strasznieście długo siedzieli! — rzekła. — Nie chciałam młodym przeszkadzać, żebyście się sami pierwszym razem nagadali. Grzeczny wydaje się kawaler. A tobie jak się udał?

Panna Aleksandra zrazu nic nie odpowiedziała, jeno bosemi już nóżkami przybiegła do ciotki, zarzuciła jej ręce na szyję, a złożywszy swą jasną głowę na jej piersiach, rzekła pieszczotliwym głosem:

— Ciotuchna, aj, ciotuchna!

— Oho! — mruknęła stara panna, podnosząc w górę oczy i świecę.

## II.

We dworze w Lubiczu, gdy przedeń pan Andrzej zajechał, okna gorzały i gwar dochodził aż na podwórze. Czeladź, usłyszawszy dzwonek, wypadła przed sień, by pana witać, bo wiedziano od kompanionów, że przyjedzie. Witano go zatem pokornie, całując po rękach i podejmując pod nogi. Stary włodarz Znikis stał w sieni z chlebem i solą i bił pokłony czołem; wszyscy spoglądali z niepokojem i ciekawością, jak też przyszły pan wygląda. On zaś kieskę z talarami na tacę rzucił i o towarzyszów pytał, zdziwiony, że żaden naprzeciw jego gospodarskiej mości nie wyszedł.

Ale oni nie mogli wyjść, bo już ze trzy godziny byli za stołem, zabawiając się kielichami i może nawet nie zauważyli brzęczenia dzwonków za oknem. Gdy jednak wszedł do izby, ze wszystkich piersi wyrwał się gromki okrzyk: "haeres! haeres przyjechał!" i wszyscy kompanionowie, zerwawszy się z miejsca, poczęli iść do niego z kielichami. On zaś wziął się pod boki i śmiał się, poznawszy, jako sobie już dali rady w jego domu i zdążyli podpić, nim przyjechał. Śmiał się coraz mocniej, widząc, że przewracają zydle po drodze i kłaniają się i idą z powagą pijacką. Przed nimi szedł olbrzymi pan Jaromir Kokosiński, Pypką się pieczętujący, żołnierz i burda sławny, ze straszliwą blizną przez czoło, oko i policzek, z jednym wąsem krótszym, drugim dłuższym, porucznik i przyjaciel p. Kmicica, "godny kompanion," skazany na utratę czci i gardła w Smoleńskiem za porwanie panny, zabójstwo i podpalenie. Jego to

teraz osłaniała wojna i protekcya pana Kmicica, który był mu rówieśnikiem i fortuny ich w Orszańskiem, póki swojej pan Jaremir nie przehulał, leżały o miedzę. Szedł on tedy teraz, trzymając w obu rękach roztruchanik, uszniak, dębniakiem wypełniony. Za nim szedł pan Ranicki, herbu Suche Komnaty, rodem z województwa mścisławskiego, z którego był banitą za zabójstwo dwóch szlachty possesyonatów. Jednego w pojedynku usiekł, drugiego bez boju z rusznicy zastrzelił. Mienia nie posiadał, choć macosze ziemie po ojcach odziedziczył. Wojna go także przed katem chroniła. Zawadyaka to był w ręcznem spotkaniu niezrównany. Trzecim z kolei był Rekuć Leliwa, na którym krew nie ciężyła, chyba nieprzyjacielska. Fortunę on zato w kości przegrał i przepił — od trzech lat przy panu Kmicicu się wieszał. Za nim szedł czwarty, pan Uhlik, także Smoleńszczanin, za rozpędzenie trybunału bezecnym ogłoszony i na gardło skazany. Pan Kmicic go ochraniał, gdyż na czekaniku pięknie grywał. Był prócz nich i pan Kulwiec-Hippocentaurus, wzrostem Kokosińskiemu równy, siłą jeszcze go przewyższający — i Zend kawałkator, który zwierza i wszelkie ptastwo udawać umiał, człowiek niepewnego pochodzenia, choć się szlachcicem kurlandzkim powiadał; będąc bez fortuny, konie Kmicicowi ujeżdżał, za co lafę odbierał.

Ci tedy otoczyli śmiejącego się pana Andrzeja, Kokosiński podniósł uszniak do góry i zaintonował:

Wypijże z nami, gospodarzu miły,
gospodarzu miły!
Byś pić mógł z nami aże do mogiły,
aże do mogiły!

Inni powtórzyli chórem, poczem p. Kokosiński wręczył Kmicicowi uszniak, a jemu samemu podał zaraz inny puharek pan Zend.

Kmicic podniósł w górę roztruchan i zakrzyknął:

— Zdrowie mojej dziewczyny!

— Vivat! Vivat! — krzyknęły wszystkie głosy, aż szyby poczęły drżeć w ołowianych oprawach.

— Vivat! Przejdzie żałoba, będzie weselisko!

Pytania poczęły się sypać:

— A jakoż wygląda? Hej! Jędruś! bardzo gładka? Czy taka, jak sobie imaginowałeś? Jestli druga taka w Orszańskiem?

— W Orszańskiem? — zawołał Kmicic — kominy przy niej

naszemi orszańskiemi pannami zatykać!.... Do stu piorunów niemasz takiej drugiej na świecie!

— Tegośmy dla cię chcieli — odpowiedział pan Ranicki. — A no, kiedy wesele?

— Jak się żałoba skończy.

— Furda żałoba! dzieci się czarne nie rodzą, jeno białe!

— Jak będzie wesele, to nie będzie żałoby. Ostro Jędrusiu!

— Ostro Jędrusiu! — poczęli wołać wszyscy razem.

— Już tam chorążętom orszańskim tęskno z nieba na ziemię! — krzyknął Kokosiński.

— Nie daj czekać niebożętom!

— Mości panowie! — rzekł cienkim głosem Rekuć-Leliwa — Popijem się na weselu, jak nieboskie stworzenia!

— Moi mili barankowie — odpowiedział Kmicic — pofolgujcie mi, albo lepiej mówiąc: idźcie do stu dyabłów, niechże się po moim domu obejrzę!

— Na nic to! — odparł Uhlik. — Jutro oględziny, a teraz pospołu do stołu: jeszcze tam parę gąsiorków z pełnymi brzuchami stoi.

— My tu już za ciebie oględziny odprawili. Złote jabłko ten Lubicz! — rzekł Ranicki.

— Stajnia dobra — wykrzyknął Zend — jest dwa bachmaty, dwa husarskie przednie, para żmudzinów i para kałmuków i wszyskiego po parze, jak oczu w głowie. Stadninę jutro obejrzym.

Tu Zend zarżał jak koń, a oni się dziwili, że tak doskonale udaje i śmieli się.

— Takież tu porządki? — spytał uradowany Kmicic.

— I piwniczka jako się patrzy — zapiszczał Rekuć — ankary smoliste i gąsiory spleśniałe, jakoby chorągwie w ordynku stoją.

— To chwała Bogu! siadajmy do stołu!

— Do stołu! do stołu!

Ale zaledwie siedli i ponalewali kielichy, gdy Ranicki znów zerwał się.

— Zdrowie podkomorzego Billewicza!

— Głupi! — odparł Kmicic. — Jakżeto? nieboszczyka zdrowie pijesz?

— Głupi! — powtorzyli inni! — Zdrowie gospodarskie!

— Wasze zdrowie!...

— By nam się w tych komnatach dobrze działo!

Kmicic rzucił mimowoli okiem po izbie jadalnej i ujrzał na poczerniałej ze starości modrzewiowej ścianie rząd oczu surowych, w siebie utkwionych. Oczy te patrzyły ze starych portretów Billewiczowskich, wiszących nisko, na dwa łokcie od ziemi, bo i ściana była niska. Nad obrazami, długim, jednostajnym szeregiem, wisiały czaszki żubrze, jelenie, łosie, w koronach z rogów, niektóre już zczerniałe, widocznie bardzo stare, inne połyskują białością. Wszystkie cztery ściany były niemi ubrane.

— Łowy tu muszą być przednie, bo widzę i zwierza dostatek! — rzekł Kmicic.

— Jutro zaraz pojedziem, albo pojutrze. — Trzeba i okolicę poznać — odparł Kokosiński. — Szczęśliwyś ty Jędrusiu, że masz gdzie głowę przytulić...

— Nie tak jak my! — jęknął Ranicki.

— Wypijemy na pocieszenie! rzekł Rekuć.

— Nie! nie na pocieszenie! — odpowiedział Kulwiec-Hippocentaurus — ale jeszcze raz za zdrowie Jędrusia, naszego rotmistrza kochanego! On to, moi mości panowie, przytulił nas tu w Lubiczu, nas biednych exulów, bez dachu nad głową.

— Słusznie mówi! — zawołało kilka głosów. — Nie taki głupi Kulwiec, jak się wydaje.

— Ciężka nasza doła! — piszczał Rekuć. — W tobie cała nadzieja, że nas za wrota, sierot biednych, nie wygonisz.

— Dajcie pokój! — mówił Kmicic — co moje, to i wasze!

Na to powstali wszyscy ze swych miejsc i poczęli go w ramiona brać. Łzy rozczulenia płynęły po tych twarzach srogich i pijackich.

— W tobie cała nadzjeja Jędrusiu! — wołał Kokosiński — choć na grochowinach pozwól się przespać, nie wyganiaj!

— Dajcie spokój! — powtarzał Kmicic.

— Nie wyganiaj, i tak nas wygnali, nas szlachtę i familiantów! — wołał żałośnie Uhlik.

— Do stu kaduków! któż was wygania: jedźcie, pijcie, czego u dyabła chcecie?

— Nie przecz Jędrusiu — mówił Ranicki, na którego twarz wystąpiły centki, jak na skórze rysia — nie przecz Jędrusiu, przepadliśmy z kretesem...

Tu się zaciął, przyłożył palec do czoła, jakby głowę wysilał i nagle rzekł, spojrzawszy baraniemi oczyma na obecnych:

— Chyba, że się fortuna odmieni!

A wszyscy wrzaśli zaraz chórem:

— Co się nie ma odmienić!

— Jeszcze za swoje zapłacimy.

— I do fortun dojdziem!

— Bóg niewinnym błogosławi. Dobra nasza, mości panowie!

— Zdrowie wasze! — zawołał Kmicic.

— Święte twoje słowa, Jędrusiu! — odparł Kokosiński, nadstawiając mu swe pucołowate policzki. Bogdaj nam się lepiej działo!

Zdrowia zaczęły krążyć, czupryny dymić. Gadali wszyscy jeden przez drugiego, a każdy siebie tylko słuchał, z wyjątkiem pana Rekucia, bo ten głowę spuścił na piersi i drzemał. Po chwili Kokosiński jął śpiewać: "Len mędliła na mędlicy!" co widząc pan Uhlik, dobył z zanadrza czekanika i nuż wtórować, a pan Ranicki, wielki fechmistrz, fechtował się gołą ręką z niewidzialnym przeciwnikiem, powtarzając półgłosem:

— Ty tak, ja tak! ty tniesz, ja mach! raz! dwa! trzy! — szach!

Olbrzymi Kulwiec Hippocentaurus wytrzeszczył oczy i przypatrywał się pilnie czas jakiś Ranickiemu, nakoniec kiwnął ręką i rzekł:

— Kiep z ciebie! Machaj zdrów, a taki Kmicicowi na szable nie dotrzymasz.

— Bo jemu nikt nie dotrzyma, ale ty się spróbuj!

— I ze mną na pistolety nie wygrasz.

— O dukat strzał.

— O dukat! A gdzie i do czego?

Ranicki powlókł wzrokiem naokoło, nakoniec wykrzyknął, wskakując na czaszki:

— Między rogi! o dukat.

— O co? — spytał Kmicic.

— Między rogi! o dwa dukaty! o trzy! dawajcie pistolety!

— Zgoda! — krzyknął pan Andrzej. — Niech idzie o trzy. Zend! po pistolety!

Poczęli krzyczeć wszyscy coraz głośniej i targować się ze sobą; tymczasem Zend wyszedł do sieni i po małej chwili wrócił z pistoletami, workiem kul i rogiem z prochem.

Ranicki chwycił za pistolet.

— Nabity? — spytał.

— Nabity!

— O trzy! cztery! pięć dukatów! — wrzasnął pijany Kmicic.

— Cicho! chybisz, chybisz!

— Trafię, patrzcie!... at! od tej czaszki, między rogi... raz, dwa...

Wszyscy zwrócili oczy na potężną czaszkę łosią, wiszącą wprost Ranickiego; on zaś wyciągnął rękę. Pistolet chwiał mu się w dłoni.

— Trzy! — wykrzyknął Kmicic.

Strzał huknął, izba napełniła się dymem prochowym.

— Chybił, chybił! ot, gdzie dziura! — wołał Kmicic, wskazując ręką na ciemną ścianę, z której kula odłupała wiór jaśniejszy.

— Do dwóch razy sztuka!

— Nie! dawaj mnie! — wołał Kulwiec.

W tej chwili wpadła na odgłos strzału przerażona czeladź.

— Precz! precz! — krzyknął Kmicic. — Raz! dwa! trzy!...

Znów huknął strzał, tym razem drzazgi posypały się z kości.

— A dajcie i nam pistolety! — zakrzyknęli wszyscy naraz.

I zerwawszy się, poczęli grzmocić pięściami po karkach pachołków, chcąc ich do pośpiechu zachęcić. Nim upłynął kwadrans, cała izba grzmiała wystrzałami. Dym przesłonił światło świec i postacie strzelających. Hukom wystrzałów towarzyszył głos Zenda, który krakał jak kruk, kwilił jak sokół, wył jak wilk, ryczał jak tur. Co chwila przerywał mu świst kul; drzazgi leciały z czaszek, wióry ze ścian i z ram portretów; w zamieszaniu postrzelono i Billewiczów, a Ranicki, wpadłszy w furyę, siekł ich szablą.

Zdumiona i wylękła czeladź stała jakby w obłąkaniu, spoglądając wytrzeszczonemi oczyma na tę zabawę, która do napadu tatarskiego była podobna. Psy poczęły wyć i szczekać. Cały dom zerwał się na nogi. Na podwórzu zebrały się kupki ludzi. Dziewki dworskie biegły-pod okna i przykładając twarze do szyb, płaszcząc nosy, spoglądajały co się dzieje w środku.

Dojrzał je nakoniec pan Zend; świsnął tak przeraźliwie, że aż w uszach wszystkim zadzwonił i krzyknął:

— Mości panowie! sikorki pod oknami! sikorki!

— Sikorki! sikorki!

— Dalejże w pląsy! — wrzeszczały niesforne głosy.

Pijana czereda skoczyła przez sień na ganek. Mróz nie otrzeźwił

głów dymiących. Dziewczęta, krzycząc w niebogłosy, rozbiegły się po całem podwórzu; oni zaś gonili je i każdą schwytaną odprowadzali do izby. Po chwili poczęły się pląsy wśród dymu, złomów kości, wiórów, wkoło stołu, na którym porozlewane wino utworzyło całe jeziora.

Tak to bawili się w Lubiczu pan Kmicic i jego dzika kompania.

## III.

Przez następne dni kilka, codziennie bywał pan Andrzej w Wodoktach i codzień wracał więcej rozkochany i coraz bardziej podziwiał swoją Oleńkę. Przed kompanionami też ją pod niebiosy wychwalał, aż pewnego dnia rzekł im:

— Moi mili barankowie, pojedziecie dziś czołem bić, potem zaś umówiliśmy się z dziewczyną, że do Mitrunów wszyscy wyruszymy, aby sanny w lasach zażyć i tę trzecią majętność obaczyć. Ona też nas tam podejmować będzie gościnnie, a wy się przystojnie zachowajcie, bo na bigos posiekam, któreby jej w czemkolwiek uchybił...

Kawalerowie chętnie skoczyli się ubierać i wkrótce cztery pary sań wiozły ochoczą młodzież do Wodoktów. Pan Kmicic siedział w pierwszych, bardzo ozdobnych, kształt niedźwiedzia srebrzystego mających. Ciągnęły je trzy kałmuki zdobyczne, w pstrą uprząż przybrane, we wstążki i pióra pawie, wedle mody w Smoleńskiem, którą od dalszych sąsiadów Smoleńszczanie przyjęli. Powoził parobek, siedzący w szyi niedźwiedziej. Pan Andrzej, przybrany w zieloną aksamitną bekieszę, spinaną na złotą pętlicę, a podbitą sobolami i w soboli kołpaczek z czaplem piórem, wesół był, ochoczy i tak mówił do siedzącego obok pana Kokosińskiego:

— Słuchaj Kokoszko! Podswawoliliśmy pono przez te dwa wieczory nad miarę, a zwłaszcza pierwszego, gdy się to czaszkom i portretom dostało. Ba, dziewczęta były jeszcze gorsze. Zawsze dyabeł Zenda podnieci, a potem na kim się skrupi! — na mnie! Boję się, żeby ludzie nie rozgadali, bo tu chodzi o moją reputacyę.

— Powieś że się na twojej reputacyi, bo na nic innego nie zdatna, tak jak i nasze.

— A kto temu winien, jeśli nie wy? Pamiętaj, Kokoszko, że to i w Orszańskiem mieli mnie przez was za niespokojnego ducha i języki na mnie ostrzyli, jak noże na osełce.

— A kto pana Tumgrata na mrozie przy koniu prowadził? Kto owego koroniarza usiekł, który się pytał, czy w Orszańskiem już na dwóch nogach chodzą, czyli jeszcze na czterech? Kto panów Wyzińskich ojca i syna poszczerbił? Kto sejmik ostatni rozpędził?

— Sejmik rozpędziłem w Orszańskiem, nie gdzieindziej, to domowa rzecz. Pan Tumgrat odpuścił mi umierając, a co do reszty, to nie wymawiaj, gdyż pojedynek najniewinniejszemu się zdarzy.

— Jam ci też wszystkich nie wymienił, o inkwizycyach wojskowych także nie wspomniałem, których dwie cię w obozie czeka.

— Nie mnie, ale was, bom ja tyle jeno winien, żem wam obywatelów rabować dozwolił. Ale mniejsza z tem. Stulże pysk, Kokoszko, i nie powiadaj o niczem Oleńce, ani o pojedynkach, ani zwłaszcza o owem strzelaniu do portretów i o dziewczętach. Gdyby się wydało, na was winę złożę. Czeladzi już wspomniałem i dziewkom, że niechby które słowem wspomniało, każę pasy drzeć.

— Każ się podkuć, Jędrusiu, kiedy się tak dziewczyny boisz. Inny ty byłeś w Orszańskiem. Widzę to już, widzę, że będziesz na pasku chodził, a to na nic! Któryś filozof starożytny powiada: "Jak nie ty Kachnę, to Kachna ciebie!" Dałeś się już we wszystkiem usidlić.

— Głupiś Kokoszko! A co do Oleńki, będziesz i ty z nogi na nogę przestępował, jak ją zobaczysz, bo białogłowy z tak grzecznym umysłem drugiej nie znaleźć. Co dobre, to ona zaraz pochwali, co złe, tego zganić nie omieszka, bo wedle cnoty sądzi i w niej ma gotową miarę. Tak ją już nieboszczyk podkomorzy wychował. Zechcesz przed nią fantazyę kawalerską okazać i pochwalisz się, żeś prawo zdeptał, to ci potem jeszcze wstyd: bo zaraz rzeknie, zacny obywatel tego uczynić nie powinien, gdyż to jest przeciw ojczyźnie... Tak ona rzeknie, a tobie jakby w pysk dał i aż ci dziwno, żeś wprzód sam tego nie rozumiał... Tfu! wstyd! warcholiliśmy się okrutnie, a teraz trzeba przed cnotą i niewinnością oczami świecić... Najgorsze były te dziewczęta!...

— Wcale nie były najgorsze. Słyszałem, że tu po zaściankach szlachcianki, jak krew z mlekiem i podobna zgoła nie oporne.

— Kto ci to powiadał? — spytał żywo Kmicic.

— Kto powiadał? Kto, jeśli nie Zend? Wczoraj dzianeta dereszowatego próbując, pojechał do Wołmontowicz; przejechał jeno drogą ale widział siła sikorek, bo z nieszporów wracały. "Myślałem (po-

wiada), że z konia zlecę, tak chędogie i gładkie." A co na którą spojrzał, to mu zaraz zęby pokazała. I nie dziw! Co tęższe chłopy między szlachtą, to do Rosień poszli, a sikorkom przykrzy się samym.

Kmicic trącił kułakiem w bok towarzysza:

— Pojedziemy, Kokoszko, kiedy wieczorem, niby zbłądziwszy — co?

— A twoja reputacya?

— O do dyabła! Stulże gębę! Jedźcie sami, kiedy tak; albo lepiej zaniechajcie i wy! Nie obeszłoby się bez hałasów, a z tutejszą szlachtą chcę zgodnie żyć, bo ich opiekunami Oleńki nieboszczy, podkomorzy wyznaczył.

— Mówiłeś o tem, alem nie chciał wierzyć. Skąd mu taka konfidencya z szarakami?

— Bo na wojnę z nimi chadzał i to słyszałem jeszcze w Orszy, jak mawiał, że cnotliwa krew tych laudańskich. Ale, żeby ci prawdę, Kokoszko, powiedzieć, to i mnie zrazu dziwno było, bo to tak, jakoby ich stróżami nade mną uczynił.

— Musisz się im akomodować i do wiechciów w butach kłaniać.

— Wpierw ich powietrze wydusi. Cicho bądź, bo mi gniewno! Oni to będą mi się kłaniali i służyli. Chorągiew to gotowa na każde zawołanie.

— Już tam kto inny będzie tej chorągwi rotmistrzował. Powiadał Zend, że tu jest jakiś pułkownik między nimi... Zapomniałem przezwiska... Wołodyjowski, czy kto? On pod Szkłowem im przywodził. Dobrze podobno stawali, ale ich tam i wyczesano!

— Słyszałem ja o jakimś Wołodyjowskim, sławnym żołnierzu... Ale oto Wodokty już widać.

— Hej, dobrze tu ludziom na tej Żmudzi, bo wszędy okrutne porządki. Stary musiał być zawołany gospodarz... I dwór, widzę, jak się patrzy. Ich tu rzadziej nieprzyjaciel pali, to się i budować mogą.

— Myślę, że o tej swawoli w Lubiczu nie może ona jeszcze wiedzieć — rzekł, jakby do siebie samego, Kmicic.

Poczem zwrócił się do towarzysza:

— Moja Kokoszko, zapowiadam tobie, a ty powtórz jeszcze raz innym, że tu musicie się przystojnie zachować, a niech który sobie w czemkolwiek pofolguje, jak mi Bóg miły, na sieczkę potnę.

— No! ależ cię osiodłali!

— Osiodłali, nie osiodłali, — tobie zasię!

— Nie patrz mi na Kasię, bo ci do niej zasie! — rzekł flegmatycznie Kokosiński.

— Pal z bata! — krzyknął na woźnicę Kmicic.

Pachołek, stojący w szyi srebrzystego niedźwiedzia, zakręcił batem i wystrzelił bardzo sprawnie, inni woźnice poszli za jego przykładem i zajechali wśród trzaskania, raźno, wesoło, jakby kulig.

Wysiadłszy z sanek, weszli najprzód do sieni ogromnej jak spichlerz, niebielonej, a stąd prowadził pan Kmicic do jadalnej izby, przybranej jak w Lubiczu, w czaszki pobitych zwierząt. Tu się zatrzymali, poglądając pilnie i ciekawie na drzwi do sąsiedniej komnaty, z których wyjść miała panna Aleksandra. Tymczasem, mając widocznie w pamięci ostrzeżenie pana Kmicica, rozmawiali z sobą tak cicho, jak w kościele.

— Tyś chłop mowny — szeptał pan Uhlik do Kokosińskiego — ty ją powitasz od nas wszystkich.

— Układałem sobie przez drogę — odrzekł pan Kokosiński — ale nie wiem czyli będzie dość gładko, bo mi Jędruś do konceptu przeszkadzał.

— Byle z fantazyą! co ma być, niech będzie! Ot, idzie już!...

Panna Aleksandra weszła rzeczywiście i zatrzymała się trochę u proga, jakby zdziwiona tak liczną kompanią, a i pan Kmicic stał przez chwilę jak wryty od podziwu nad jej urodą, bo ją dotąd tylko wieczorami widywał, a przy dniu wydawała się jeszcze piękniejsza. Oczy jej miały barwę chabru, czarna brew nad niemi odbijała od białego czoła jak heban, a płowy włos lśnił się jakby korona na głowie królowej, i patrzyła śmiało, oczu nie spuszczając, jako pani w swoim domu gości przyjmująca, z jasną twarzą, odbijającą jeszcze jaśniej od czarnej jubki, obramowanej gronostajami. Tak poważnej i wyniosłej panny nie widzieli jeszcze wojakowie, przywykli do innego pokroju niewiast, to też stali szeregiem, jakoby na popisie chorągwi i szurgając nogami, kłaniali się także szeregiem, a pan Kmicic sunął naprzód i ucałowawszy kilkanaście razy rękę panienki, rzekł:

— Otom ci przywiózł, mój klejnocie, kommilitonów moich, z którymi ostatnią wojnę odbywałem.

— Honor to dla mnie nie mały — odrzekła Billewiczówna —

przyjmować w domu tak godnych kawalerów, o których cnocie i wybornych obyczajach już od pana chorążego słyszałam!

To powiedziawszy, uchwyciła się koniuszkami palców za suknię i podnosząc ją nieco dygnęła z nadzwyczajną powagą, a pan Kmicic wargi przygryzł, ale jednocześnie aż pokraśniał, że tak jego dziewczyna mówiła śmiało.

Godni kawalerowie, szurgając wciąż nogami, trącali jednocześnie pana Kokosińskiego!

— Hajda! wystąp!

Pan Kokosiński posunął się krok naprzód, chrząknął i tak rozpoczął:

— Jaśnie wielmożna panno podkomorzanko!!!

— Łowczanko — poprawił Kmicic.

— Jaśnie wielmożna panno łowczanko, a nam wielce miłościwa dobrodziko! — powtórzył zmieszany pan Jaromir — wybacz waćpanna, jeżelim się w godności pomylił.

— Niewinna to omyłka — odrzekła panna Aleksandra — i nic ona tak wymownemu kawalerowi nie ujmie.

— Jaśnie wielmożna panno łowczanko dobrodziko, a nam wielce miłościwa pani!.. Nie wiem, co mi w imieniu całego Orszańskiego więcej wysławiać przystoi, czy nadzwyczajną waćpanny dobrodziki urodę i cnotę, czy niewypowiedzianą szczęśliwość rotmistrza i kommiltona naszego, pana Kmicica, bo chociażbym się wzbił pod obłoki, chociażbym samych obłoków dosięgnął... samych, mówię, obłoków...

— A zleźże już raz z tych obłoków! — zakrzyknął Kmicic.

Na to kawalerowię parsknęli jednym ogromnym śmiechem i nagle, wspomniawszy na przykaz Kmicica, chwycili się rękoma za wąsy.

Pan Kokosiński zmieszał się do najwyższego stopnia, zaczerwienił i rzekł:

— Witajcieże sami, poganie, kiedy mnie konfudujecie!

Wtem panna Aleksandra, ujęła się znowu koniuszczkami palców za suknię.

— Nie sprostałabym ja waćpanom w wymowie — rzekła — ale to wiem, żem niegodna tych hołdów, które mi w imieniu całego Orszańskiego składacie!

I znowu dygnęła z nadzwyczajną powagą, a orszańskim zabijakom jakoś nieswojsko było wobec tej dwornej panny! Starali s

pokazać jak ludzie grzeczni i nie szło im w ład. Więc poczęli się ciągnąć za wąsy, mruczeć, kłaść ręce na szable, a Kmicic rzekł:

— Przyjechaliśmy tu niby kuligiem, w tej myśli, aby waćpannę zabrać i do Mitrunów przez lasy przewieźć, jako wczoraj była ugoda! Sanna okrutna, a i pogodę zdarzył Bóg mroźną!

— Jużem ja ciotkę Kulwiecównę do Mitrunów wysłała, aby nam posiłek przyrządziła! A teraz malutko waćpanowie poczekacie, jeno się nieco cieplej przyodzieję.

To rzekłszy, zawróciła i wyszła, a Kmicic skoczył do towarzyszy

— A co, mili barankowie? nie księżna? A co Kokoszko? to mnie, mówiłeś, osiodłała, a czemu to jak żak przed nią stałeś?..! Gdzieś taką widział?

— Nie trzeba mi było w gębę dmuchać, choć nie neguję, żem się do takiej persony mówić nie spodziewał!

— Nieboszczyk podkomorzy — rzekł Kmicic — więcej z nią w Kiejdanach, na dworze księcia wojewody, albo u państwa Hlebowiczów przesiadywał i tamto tych różnych manier nabrała! A uroda — co? Pary jeszcze nie umiecie z gęby puścić!

— Pokazaliśmy się, jak kpy! — rzekł ze złością Ranicki — ale największy kiep Kokosiński!

— O zdrajco! mnieś to łokciem pchał! trzeba ci było samemu ze swoją centkowaną gębą wystąpić!

— Zgoda, barankowie, zgoda! — rzekł Kmicic. — Dziwić się wam wolno, ale nie kłócić!

— Jabym za nią w ogień skoczył! — zawołał Rekuć! — Zetnij Jędruś, ale tego nie zaprę!

Kmicic jednak nie myślał ścinać, owszem, kontent był, wąsa pokręcał i tryumfalnie na towarzyszów spoglądał! Tymczasem weszła panna Aleksandra, ubrana już w kuni kołpaczek, pod którym jasna jej twarz wydawała się jeszcze jaśniejsza. Wyszli na ganek.

— To temi saniami pojedziem? — pytała panienka, ukazując na srebrzystego niedźwiedzia — jeszczem też śliczniejszych sani w życiu nie widziała!

— Nie wiem, kto tam niemi przedtem jeździł, bo zdobyczne! Teraz my we dwoje będziemy jeździli i bardzo się nadadzą, gdyż i u mnie w herbie panna na niedźwiedziu się prezentuje! Są inni Kmicicowie, którzy się chorągwiami pieczętują, ale ci idą od Filo-

na Kmity Czarnobylskiego, a ten zaś nie był z tego domu, z którego wielcy Kmitowie się wywodzili.

— A onego niedźwiadka kiedyżeś waćpan zdobył?

— A teraz, w tej już wojnie! My biedni exules, którzyśmy od fortun odpadli, to jeno mamy, co wojna łupem da! A żem tej pani wiernie służył, więc i nagrodziła.

— Dałby Bóg szczęśliwszą, bo ta jednego nagrodzi, a całej ojczyźnie miłej łzy wyciska!

— Bóg to odmieni i hetmani!

— To mówiąc, Kmicic otulał panienkę fartuchem od sani, pięknym, z białego sukna i białemi wilkami podszytym; potem sam siadł, krzyknął na woźnicę: "ruszaj!" i konie zerwały się z miejsc do biegu.

Zimne powietrze pędem uderzyło o ich twarze, więc zaniemówili i słychać było tylko świst zmarzłego śniegu pod płozami, parskanie koni, tentent i krzyk woźnicy.

Wreszcie pan Andrzej pochylił się ku Oleńce:

— Dobrze waćpannie?

— Dobrze — odrzekła, podnosząc zarękawek i przytulając go do ust, by pęd powietrza zatamować!

Sanie gnały jak wicher. Dzień był jasny, mroźny. Śnieg migotał, jakby kto nań iskry sypał; z białych dachów chat, podobnych do kup śnieżnych, strzelały wysokiemi kolumnami dymy różowe Stada wron polatywały przed saniami wśród bezlistnych drzew przydrożnych z krakaniem donośnem. O dwie staje za Wodoktami wpadli na szeroką drogę, w ciemny bór, który stał głuchy, sędziwy i cichy, jakby stał pod obfitą okiścią. Drzewa, migotając w oczach zdawały się uciekać gdzieś w tył za sanie, a oni lecieli coraz prędzej i prędzej, jak gdyby rumaki skrzydła miały. Od takiej jazdy głowa się zawraca i upojenie ogarnia, więc ogarnęło i pannę Aleksandrę. Przechyliwszy się w tył, zamknęła oczy, całkiem pędowi się oddając. Poczuła słodką niemoc i zdało jej się, że ten bojarzyn orszański porwał ją i pędzi wichrem, a ona mdlejąca nie ma siły się oprzeć, ani krzyknąć..! I lecą, lecą coraz szybciej... Oleńka czuje, że obejmują ją jakieś ręce... czuje wreszcie na wargach jakoby pieczęć rozpaloną i palącą... oczy się jej nie chcą odemknąć, jakoby w śnie. I lecą — lecą! Senną pannę zbudził dopiero głos pytający:

— Miłujeszże mnie?

Otworzyła oczy:

— Jako duszę własną!

— A ja na śmierć i żywot!

I znowu soboli kołpak Kmicica pochylił się nad kunim Oleńki. Sama teraz nie wiedziała, co ją upaja więcej, pocałunki, czy ta jazda zaczarowana?

I lecieli dalej, a ciągle borem, borem. Drzewa uciekały w tył całemi pułkami. Śnieg szumiał, konie parskały, a oni byli szczęśliwi.

— Chciałbym do końca świata tak jechać! — zawołał Kmicic.

— Co my czynimy? to grzech! — szepnęła Oleńka.

— Jaki tam grzech! Daj jeszcze grzeszyć.

— Nie można. Mitruny już niedaleko.

— Daleko czy blisko, wszystko jedno!

I Kmicic podniósł się w saniach, wyciągnął ręce do góry i począł krzyczeć, jakoby w pełnej piersi radości nie mógł pomieścić:

— Hej — ha! hej — ha!

— Hej! a hop! hop! ha! — odezwali się towarzysze z tylnych sani.

— Czego waćpanowie tak pokrzykujecie? — pytała panna.

— A ot, tak! z radości! A zakrzyknijno i waćpanna!

— Hej — ha! — rozległ się dźwięczny, cieniutki głosik.

— Mojaż ty królowo! do nóg ci padnę!

— Kompania się będą śmieli.

Po upojeniu ogarnęła ich wesołość szumna, szalona, jako i jazda była szalona. Kmicic począł śpiewać:

"Patrzy dziewczyna, patrzy ze dworu
"Na bujne pola!
"Matuś! rycerze idą od boru,
"Oj mojaż dola!
"Córuś nie patrzaj — rączkami oczy
"Zatknij białemi,
" Bo ci serduszko z piersi wyskoczy
"Na wojnę z niemi."

— Kto waćpana wyuczył tak wdzięcznych pieśni? — pytała panna Aleksandra.

— Wojna, Oleńko. W obozie my to sobie z tęsknością śpiewali.

Dalszą rozmowę przerwało gwałtowne wołanie z tylnych sani. "Stój! stój! hej tam — stój!"

Pan Andrzej odwrócił się gniewny i zdziwiony, skąd towarzyszom przyszło do głowy wołać na nich i wstrzymywać, gdy w tem o kilkadziesiąt kroków za saniami dojrzał jeźdźca, zbliżającego się co koń wyskoczy.

— Na Boga, to mój wachmistrz Soroka: coś się musiało tam stać! — rzekł pan Andrzej.

Tymczasem wachmistrz, zbliżywszy się, osadził konia tak, że ten aż przysiadł na zadzie, i począł mówić zdyszanym głosem:

— Panie rotmistrzu!...

— Co tam, Soroka?

— Upita się pali; biją się!

— Jezus Marya! — krzyknęła Oleńka.

— Nie bój się waćpanna... kto się bije?

— Żołnierze z mieszczanami. W rynku pożar! Mieszczanie się zaciekli i po prezydyum do Poniewieża posłali, a jam tu skoczył do waszej miłości. Ledwie tchu mogę złapać...

Przez czas tej rozmowy, sanie idące z tyłu nadjechały; Kokosiński, Ranicki, Kulwiec-Hippocentaurus, Uhlik, Rekuć i Zend, wyskoczywszy na śnieg, otoczyli kołem rozmawiających.

— I o co poszło? — pytał Kmicic.

— Mieszczanie nie chcieli obroków dawać, ani koniom, ani ludziom, że to asygnacyi nie było: żołnierze poczęli gwałtem brać. Oblegliśmy burmistrza i tych, którzy się w rynku zatarsowali. Poczęto ognia dawać i zapaliliśmy dwa domy; teraz gwałt okrutny i we dzwony biją...

Oczy Kmicica poczęły świecić gniewem.

— To i nam trzeba na ratunek! — zakrzyknął Kokosiński.

— Wojsko łyczkowie oprymują! — wołał Ranicki, któremu plamy czerwone, białe i ciemne całą twarz zaraz pokryły. — Szach, mach! mości panowie!

Zend zaśmiał się zupełnie tak, jak śmieje się puszczyk, aż się konie zestraszyły, a Rekuć podniósł oczy w górę i piszczał:

— Bij! kto w Boga wierzy! z dymem łyków!

— Milczeć! — huknął Kmicic, aż las odegrzmiał, a stojący najbliżej Zend zatoczył się, jak pijany. Nic tam po was! nie potrzeba tam siekaniny!... Siadać wszyscy w dwoje sani, mnie jedne zostawić i jechać do Lubicza! Tam czekać, chybabym przysłał po sukurs.

— Jakto? — zaoponował Rańicki.

Ale pan Andrzej położył mu rękę pod szyję i tylko oczyma straszniej jeszcze zaświecił.

— Ni pary z gęby! — rzekł groźnie.

Umilkli; widać się go bali, chociaż tak zwykle byli z nim poufale.

— Wracaj Oleńko do Wodoktów — rzekł Kmicic, — albo jedź po ciotkę Kulwiecównę do Mitrunów. Ot! kulig się nie udał. Wiedziałem, że oni tam spokojnie nie usiedzą... Ale zaraz tam będzie spokojniej, jeno łbów kilka zleci. Bądź waćpanna zdrowa i spokojna, pilno mi będzie z powrotem...

To rzekłszy, ucałował jej ręce i otulił ją w wilczurę; potem siadł do innych sani i zakrzyknął na woźnicę:

— Do Upity!

## IV.

Upłynęło kilka dni, a Kmicic nie wracał, ale za to do Wodoktów przyjechało trzech szlachty laudańskiej, na zwiady do panienki. Przyjechał więc Pakosz Gasztowt z Pacunelów, ten, który gościł u siebie pana Wołodyjowskiego, patryarcha zaścianka, słynny z bogactw i sześciu córek, z tych trzy były za trzema Butrymami a dostały każda po sto bitych talarów wiana, prócz wyprawy i inwentarzy. Drugi przyjechał Kassyan Butrym, najstarszy człowiek na Laudzie, dobrze Batorego pamiętający, a z nim zięć Pakosza, Józwa Butrym. Ten, choć w sile wieku, nie miał bowiem więcej jak lat pięćdziesiąt, a na popis pospolitego ruszenia do Rosień nie poszedł, albowiem w wojnach kozackich kula armatnia stopę mu urwała. Zwano go także z tego powodu kuternogą, albo Józwą Beznogim. Był to straszliwy szlachcic, siły niedźwiedziej i wielkiego rozumu, ale surowy, zgryźliwy, ostro ludzi sądzący. Z tego powodu obawiano się go nieco w stolicach, bo przebaczać ani sobie, ani innym nie umiał. Bywał także niebezpieczny, gdy podpił, ale zdarzało mu się to rzadko.

Ci tedy przyjechali do panny, która przyjęła ich wdzięcznie, choć odrazu domyśliła się, że na zwiady przyjeżdżają i usłyszeć coś od niej o panu Kmicicu pragną.

— Bo my do niego chcemy jechać z pokłonem, aleć to podobno jeszcze z Upity nie wrócił — mówił Pakosz — tak do ciebie przyjechaliśmy pytać, kochanieńko, kiedy można?

— Myślę, że tylko co go nie widać — odrzekła panna. — Rad on wam, opiekunowie, będzie z całej duszy, bo siła dobrego słyszał o was i dawniej od dziadusia i teraz ode mnie.

— Byle nas nie chciał przyjąć, jak Domaszewiczów przyjął, gdy do niego z wieścią o śmierci pułkownika przyjechali! — mruknął ponuro Józwa.

Panna dosłyszała i odparła zaraz żywo:

— Wy o to nie bądźcie krzywi. Może i nie dość politycznie ich przyjął, ale już tu swoję omyłkę wyznał. Trzeba też pamiętać, że z wojny szedł, na której tyle trudów i zmartwień przebył! Żołnierzowi się nie dziwić, choć i na swego fuknie, bo tu u nich humory, jako szable ostre.

Pakosz Gasztowt, który z całym światem zawsze chciał być w zgodzie, kiwnął ręką i rzekł:

— My też się i nie dziwili! Dzik na dzika fuknie, jak go znagła zobaczy, czemużby człek na człeka nie miał fuknąć! My pojedziem do starego Lubicza pokłonić się panu Kmicicowi, aby z nami żył, na wojnę i do puszczy chodził, jako nieboszczyk pan podkomorzy.

— Tak już powiedz, kochanieńko, udał ci się, czy nie udał? — pytał Kassyan Butrym. — Tożto nasza powinność pytać?

— Bóg wam zapłać za troskliwość. Zacny to kawaler pan Kmicic, a choćbym też co przeciw upatrzyła, nie godziłoby się o tem mówić.

— Aleś nic nie upatrzyła, duszo ty nasza najmilsza?

— Nic! Zresztą nikt go tu nie ma prawa sądzić, a broń Boże, nieufność pokazać! Bogu lepiej dziękujmy!

— Co tu zawczasu dziękować! Jak będzie za co, to i dziękować, a nic, to nie dziękować — odpowiedział posępny Józwa, który jako prawdziwy Żmudzin, bardzo był ostróżny i przewidujący.

— A o ślubie wy mówili? — pytał znów Kassyan.

Oleńka spuściła oczy.

— Pan Kmicic chce jak najprędzej...

— Ot, co! jeszczeby nie kciał! — mruknął Józwa — chybaby głupi! A który to niedźwiedź nie kce miodu z barci? Ale po co się śpieszyć, czy to nie lepiej zobaczyć, co za człowiek jest? Ojcze Kassyanie, taż już powiedzcie, co macie na języku, nie drzemcie, jako zając o południu pod skibą!

— Jać nie drzemię, jeno sobie w głowę patrzę, co by rzec — od-

powiedział staruszek. — Pan Jezus powiedział tak: jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie! My też panu Kimcicowi źle nie życzym, aby i on nam nie życzył, co daj Boże, amen!

— Byłeby był po naszej myśli! — dodał Józwa...

Billewiczówna zmarszczyła swe sokole brwi i rzekła z pewną wyniosłością:

— Pamiętajcie asanowie, że nie sługę mamy przyjmować. On tu panem będzie i jego wola ma być, nie nasza. On i w opiece musi waćpanów zastąpić.

— To znaczy, żeby my się już nie wtrącali? — pytał Józwa.

— To znaczy, żebyście mu przyjaciołmi byli, jako on chce być wam przyjacielem. Przecież on tu własnego dobra strzeże, którem każdy wedle upodobania rządzi. Zali nieprawda, ojcze Pakoszu?

— Święta prawda! — odrzekł pacunelski staruszek.

A Józwa znów zwrócił się do starego Butryma:

— Nie drzemcie, ojcze Kassyanie!

— Ja nie drzemię, jeno w głowę patrzę.

— To mówcie, co widzicie.

— Co widzę? ot co widzę... Falmiliant to jest pan Kmicic, z wielkiej krwi, a my chudopachołki! Żołnierz przytem sławny; sam on jeden oponował się nieprzyjacielowi, gdy wszyscy ręce opuścili. Daj Boże takich jaknajwięcej! Ale kompanię ma nicpotem!... Panie sąsiedzie Pakoszu, cożeście to od Domaszewiczów słyszeli? że to wszystko ludzi bezecni, przeciw którym infamie są i kondemnaty i protesta i inkwizycye. Katowskie to syny! Ciężcy byli nieprzyjacielowi, ale i obywatelstwu ciężcy. Palili, rabowali, gwałty czynili! ot, co jest! Żeby to tam kogo usiekli albo zajechali, to się i zacnym zdarza, ale oni podobnoć zgoła tatarskim procederem żyli i dawnoby im po wieżach gnić przyszło, gdyby nie protekcya pana Kmicica, któren jest możny pan. Ten ich miluje i osłania i przy nim się wieszają, jak latem bąki przy koniu. A teraz tu przyjechali i już wszystkim wiadomo, co zacz są. To pierwszego dnia w Lubiczu z bandoletów palili — i do kogo? — do wizerunków nieboszczyków Billewiczów, na co pan Kmicic nie powinien był pozwolić, bo to jego dobrodzieje.

Oleńka zatkała oczy rękoma.

— Nie może być! nie może być!...

— Może, bo było! Dobrodziejów pozwolił postrzelać, z którymi w pokrewieństwo miał wejść! A potem dziewki dworskie powciągali

do izby dla rozpusty!... Tfu! obraza boska! Tego u nas nie bywało!.. Pierwszego dnia zaczęli od strzelaniny i rozpusty! Pierwszego dnia

Tu stary Kassyan rozgniewał się i począł stukać kijem w podłogę; na twarz Oleńki biły ciemne rumieńce, a Józwa odezwał się

— A to wojsko pana Kmicicowe, które w Upicie zostało, to lepsze? Jacy oficerowie, takie i wojsko! Panu Sołłohubowi bydło zrabowali jacyś ludzie, mówią, że pana Kmicica; chłopów mejzagolskich, którzy smołę wieźli, na gościńcu pobili. Kto? Też oni. Pan Sołłohub pojechał do pana Hlebowicza po sprawiedliwość, a teraz znów w Upicie gwałt! Wszystko to przeciw Bogu! Spokojnie tu bywało, jak nigdzie, a teraz choć rusznicę na noc nabijaj i stróżuj, a czemu?... bo pan Kmicic z kompanią przyjechał.

— Ojcze Józwo! nie mówcie tak! nie mówcie! — zawołała Oleńka.

— A jak mam mówić? Jeżeli pan Kmicic nie winien, to po co takich ludzi trzyma, po co z takimi żyje? Wielmożna panna mu powiedz, żeby on ich przepędził, albo katu oddał, bo inaczej nie będzie spokoju. A słychana to rzecz strzelać do wizerunków i rozpustę jawnie płodzić? Toż cała okolica jeno o tem gada!

— Co ja mam czynić? — pytała Oleńka. — Może to i źli ludzie, ale on z nimi wojnę odprawiał. Zali wypędzi ich na moję prośbę?

— Jeśli nie wypędzi — mruknął zcicha Józwa, — to sam taki!

Wtem w pannie poczęła się krew burzyć przeciw tym towarzyszom, zabijakom i kosterom.

— Zresztą niech tak będzie! Musi ich wypędzić! Niech wybiera mnie albo ich. Jeśli to prawda, co mówicie, a dziś jeszcze będę wiedziała, czy prawda, to im tego nie daruję, ani strzelania, ani rozpusty. Jam sama jedna i słaba sierota, ich kupa zbrojna, aleć się nie ulęknę...

— My ci pomożem! — rzekł Józwa.

— Dla Boga! — mówiła Oleńka, unosząc się coraz bardziej — niech sobie czynią, co chcą, ale nie tu w Lubiczu... Niech będą jacy chcą, to ich rzecz, ich szyje odpowiedzą, ale niech pana Kmicica nie namawiają... do rozpusty... Wstyd, hańba!... Myślałam, że to żołnierze niezgrabni, a to widzę, zdrajcy niegodni, którzy i siebie i jego plamią. Tak jest! źle im z oczu patrzyło, a ja głupia nie poznałam się na tem. Dobrze! dziękuję wam, ojcowie, żeście mi oczy na tych judaszów otworzyli... Wiem, co mi czynić przystoi.

— To! to! to! — rzekł stary Kassyan. — Cnota przez cię mówi, a my ci pomożem.

— Wy pana Kmicica nie winujcie, bo choćby co i przeciw stateczności uczynił, to młody jest, a oni go kuszą, oni podmawiają, oni zachęcają do rozpusty przykładem i hańbę na jego imię ściągają! Tak jest! pókim żywa nie będzie tego długo!

Gniew wzbierał coraz więcej w sercu Oleńki i zawziętość przeciw towarzyszom pana Kmicica wzrastała, jak wzrasta ból w ranie świeżo zadanej. Bo też zraniono w niej okrutnie i miłość własną kobiecą i tę ufność, z jaką całe czyste uczucie oddała pan Andrzejowi. Wstyd jej było za niego i za siebie, a ów gniew i wstyd wewnętrzny szukał przedewszystkiem winnych.

Szlachta zaś rada była, widząc swoją pułkownikównę tak groźną i do stanowczej wojny warchołów orszańskich wyzywającą.

Ona zaś mówiła dalej z roziskrzonym wzrokiem:

— Tak jest! oni winni i muszą pójść precz, nietylko z Lubicza, ale z całej okolicy.

— My też pana Kmicica nie winujem, serceż ty nasze — mówił stary Kassyan. — My wiemy, że to oni go kuszą. Nie ze złością my tu i jadem przeciw niemu przyjechali, jeno z żalem, że zbytników przy sobie trzyma. Toż i wiadomo, że młody, głupi. I pan starosta Hlebowicz za młodu był głupi, a teraz nami wszystkimi rządzi.

— A pies?—mówił wzruszonym głosem pacunkelski, łagodny staruszek. — Pójdziesz z młodym w pole, a on durny, zamiast za zwierzem iść, to ci koło nóg, padło, swawoli i za poły cię ciąga.

Oleńka chciała coś mówić, ale nagle zalała się łzami.

— Nie płacz! — rzekł Józwa Butrym.

— Nie płacz, nie płacz!... — powtarzali dwaj starcy.

I tak ją pocieszali, ale nie mogli pocieszyć. Po ich odjeździe została troska, niepokój i jakby uraza i do nich i do pana Andrzeja. Dumną pannę bolało coraz głębiej to, że trzeba było go bronić usprawiedliwiać i tłómaczyć. A ta kompania! Drobne ręce panny zaciskały się na myśl o nich. W oczach jej stawały jakby na jawie twarze pana Kokosińskiego, Uhlika, Zenda, Kulwieca-Hippocentaura i innych i dostrzegła w nich, czego pierwej nie widziała: że były to bezczelne twarze, na których błazeństwo, rozpusta i zbro-

dnia wycisnęły pospołu swe pieczęcie. Obce Oleńce uczucie nienawiści poczęło ją opanowywać, jak parzący ogień.

Lecz w tej rozterce wzrastała zarazem z każdą chwilą uraza i do pana Kmicica.

— Wstyd! sromota! — szeptała do się dziewczyna zbladłemi usty. — Co wieczora wracał odemnie do dziewek czeladnich!...

I czuła się sama upokorzona. Nieznośne brzemię tamowało jej oddech w piersiach.

Mroczyło się na dworze. Panna Aleksandra chodziła po izbie pośpiesznym krokiem i w duszy wrzało jej ciągle. Nie była to natura zdolna znosić prześladowania losu i nie bronić się im. Rycerska krew krążyła w tej dziewczynie. Chciałaby natychmiast rozpocząć walkę z tą zgrają złych duchów — natychmiast. Ale co jej pozostaje?... Nic! jeno łzy i prośba, by pan Andrzej rozpędził na cztery wiatry tych hańbiących kompanionów. Jeśli tego uczynić nie zechce?...

— Jeśli nie zechce...

I nie śmiała jeszcze myśleć o tem.

Ro myślania panienki przerwał pachołek, który wniósł naręcz jałowcowych drewek do komina i rzuciwszy je wedle trzonu, począł wygarniać węgle z pod starego popiołu. Nagłe postanowienie przyszło do głowy Oleńce.

— Kostek! — rzekła — siędziesz mi zaraz na koń i pojedziesz do Lubicza. Jeśli pan już wrócił, proś żeby tu przyjechał, a jeśli go niemasz, to niech włódarz, stary Znikis, siada z tobą i zaraz do mnie przybywa, a żywo!

Chłopak rzucił szczepek smolnych na węgle, przysypał je pniakami suchego jałowcu i skoczył ku drzwiom.

Jasne płomienie poczęły huczeć i strzelać w kominie, Oleńce stało się zaraz nieco lżej na duszy.

— Może to Pan Bóg jeszcze odmieni! — pomyślała sobie a — a może to i nie tak źle było, jak opiekunowie mówili...

I po chwili przeszła do czeladnej siedzieć odwiecznym obyczajem Billewiczowskim ze służbą, porządku pilnować, pieśni pobożne śpiewać.

Po dwóch godzinach wszedł zmarznięty Kostek.

— Znikis jest w sieni — rzekł. — Pana niemasz jeszcze w Lubiczu.

Panna zerwała się żywo. Włódarz w sieni schylił się jej do nóg!

— A jak tobie zdrowie, jasna dziedziczko?... Bóg daj najlepsze.

Przeszli do izby stołowej; Znikis stanął przy drzwiach.

— Co u was słychać? — pytała panienka.

Chłop kiwnął ręką.

— At! pana niema...

— To wiem, że jest w Upicie. Ale w domu, co się dzieje?

— At!...

— Słuchaj Znikis, mów śmiele, włos ci z głowy nie spadnie. Mówią, że pan dobry, jeno kompania swawolniki?

— Żeby to, jasna panienko, swawolniki!

— Mów szczerze.

— Kiedy, panienko, mnie nie wolno... ja się boję... Mnie zakazali.

— Kto zakazał?

— Pan...

— Tak? — rzekła panna.

Nastała chwila milczenia. Ona chodziła śpiesznie po pokoju ze ściśniętemi ustami i namarszczoną brwią, on śledził za nią oczyma.

Nagle stanęła przed nim.

— Czyj ty jesteś?

— A Billewiczowski. Jać z Wodoktów, nie z Lubicza.

— Nie wrócisz więcej do Lubicza... tu zostaniesz. Teraz rozkazuję ci gadać wszystko, co wiesz!

Chłop jak stał w progu, tak rzucił się na kolana.

— Panienko jasna, ja tam nie kcę wracać, tam sądny dzień!... To panienko zbóje zbereźniki, tam człek dnia i godziny niepewny.

Billewiczówna zakręciła się w miejscu, jakby strzałą ugodzona. Pobladła bardzo, ale spytała spokojnie:

— Prawdali to, że strzelali w izbie do wizerunków?

— Jak nie strzelali! I dziewki ciągali po komnatach i codzień ta sama rozpusta. We wsi płacz, we dworze Sodoma i Gomora! Woły idą na stół, barany na stół!... Ludzie w ucisku... Stajennego wczoraj niewinnie rozszczepili.

— I stajennego rozszczepili?...

— A jakże! A najgorzej dziewczętom się krzywda dzieje. Już m dworskich niedość i po wsi łowią....

Nastała znowu chwila milczenia. Gorące rumieńce wystąpiły na twarz panny i nie znikały już więcej.

— Kiedy się tam pana spodziewają z powrotem?...

— Oni, panienko, nie wiedzą, jeno słyszałem, jak mówili między sobą, że trzeba jutro całej kompanii do Upity ruszyć. Kazali, żeby konie były gotowe. Mają tu wstąpić i panienki o czeladź prosić i o prochy, że tam mogą być potrzebne.

— Mają tu wstąpić?... to dobrze. Idź teraz Znikis do kuchni. Już nie wrócisz do Lubicza.

— A, żeby tobie Bóg dał zdrowie i szczęście!...

Panna Aleksandra wiedziała, co chciała, ale też wiedziała jak jej należy postąpić.

Nazajutrz była niedziela. Rankiem, nim panie z Wodoktów wyjechały do kościoła, przybyli panowie Kokosiński, Uhlik, Kulwiec-Hippocentaurus, Ranicki, Rekuć i Zend, a za nimi czeladź lubicka, zbrojno i konno, postanowili bowiem kawalerowie iść w pomoc panu Kmicicowi do Upity.

Panna wyszła przeciw nim spokojna i wyniosła, zupełnie inna od tej, która ich witała po raz pierwszy przed kilku dniami; ledwie głową kiwnęła w odpowiedzi na uniżone ich ukłony; ale oni myśleli, że to nieobecność pana Kmicica czyni ją tak ostrożną i nie poznali się na niczem.

Zaraz tedy wystąpił pan Jarosz Kokosiński, śmielszy już nie za pierwszym razem i rzekł:

— Jaśnie wielmożna panno łowczanko dobrodziko! My tu po drodze do Upity wstępujemy, aby waćpannie dobrodzice do stopek upaść i o auxilia prosić: jako o prochy, strzelby i żebyś waćpanna czeladzi swej na koń sieść kazała i z nami jechać. Weźmiem szturmem Upitę i łyczkom trochę krwi upuścimy.

— Dziwi mnie — odrzekła Billewiczówna — że waćpanowie do Upity jedziecie, gdyż sama słyszałam, jak pan Kmicic wam spokojnie w Lubiczu siedzieć przykazał, a tak myślę, że jemu przystoi rozkazywać, a waszmościom słuchać, jako podkomendnym.

Kawalerowie, usłyszawszy te słowa, spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Zend wysunął wargi, jak gdyby chciał po ptasiemu zagwizdać, Kokosiński począł się głaskać szeroką dłonią po głowie: — Jako żyw! — rzekł — myślałby kto, że waćpanna do ciurów pana Kmicica mówisz. Prawda jest, żeśmy mieli w domu siedzieć, ale gdy czwarty dzień idzie, a Jędrusia niema, przyszliśmy do tako-

wej konwikcyi, że się tam mógł znaczny jakiś tumult uczynić, w którym i nasze szable się przygodzą.

— Pan Kmicic nie na bitwę pojechał, jeno żołnierzy swawolników karać, coby się i waćpanom przytrafić mogło, gdybyście przeciw rozkazowi wystąpili. Zresztą prędzejby się tam tumult i siekanina przy was mogła zdarzyć.

— Trudno nam z waćpanną deliberować. Prosim tylko o prochy i ludzi.

— Ludzi i prochów nie dam, słyszysz mnie waćpan!

— Czy ja dobrze słyszę? — rzekł Kokosiński. — Jakto waćpanną nie dasz? Kmicicowi, Jędrusiowi na ratunek, będziesz waćpanna żałowała? Wolisz, żeby go co złego spotkało?

— Co go może najgorszego spotkać, to waćpanów kompania!

Tu oczy dziewczyny poczęły ciskać błyskawice, i podniosłszy głowę, postąpiła kilka kroków ku zabijakom, a oni cofali się przed nią w zdumieniu.

— Zdrajcy! — rzekła — wy to go jak złe duchy do grzechu kusicie, wy go namawiacie! Ale znam już was, waszą rozpustę, wasze bezecne uczynki. Prawo was ściga, ludzie się od was odwracają, a ohyda na kogo pada? — na niego — przez was banitów i infamisów!

— Hej! na rany boskie, towarzysze! słyszycie? — zakrzyknął Kokosiński. — Hej! co to jest? zali nie śpimy, towarzysze?

Billewiczówna postąpiła krok jeszcze i ukazując ręką na drzwi:

— Precz stąd! — rzekła.

Warchołowie pobledli trupio i żaden z nich nie zdobył się na słowo odpowiedzi. Jeno zęby ich poczęły zgrzytać, ręce drgać ku rękojeściom, a oczy ciskać złe błyskawice. Ale po chwili dusze w nich upadły z trwogi. Toż ten dom był pod opieką potężnego Kmicica, toż ta zuchwała panna była jego narzeczoną.

Więc zgryźli w milczeniu gniew, a ona ciągle stała z roziskrzonem okiem, ukazująca palcem na drzwi.

Nakoniec pan Kokosiński rzekł przerywanym wściekłością głosem:

— Kiedy nas tu tak wdzięcznie przyjęto... to... nie pozostaje nam nic innego.. jak pokłonić się... politycznej gospodyni i pójść... dziękując za gościnę...

To rzekłszy, skłonił się czapką z umyślną uniżonością aż do ziemi,

a za nim kłaniali się i inni i wychodzili kolejno. Gdy drzwi zamknęły się za ostatnim, Oleńka upadła wyczerpana na krzesło, dychając ciężko, bo nie miała tyle sił, ile odwagi.

Oni zaś zgromadzili się na radę przed gankiem, naokół koni, ale żaden nie chciał pierwszy przemówić.

Wreszcie Kokosiński rzekł:

— Cóż mili barankowie?

— A cóż?

— Dobrze wam?

— A tobie dobrze?

— Ej! żeby nie Kmicic! ej, żeby nie Kmicic! — rzekł Ranicki, zacierając konwulsyjnie ręce — pohulalibyśmy tu z panienką po naszemu!...

— Idź, zadrzyj z Kmicicem! — zapiszczał Rekuć. — Stań mu!

Ranickiego twarz, jak skóra rysia, cała była już pokryta piętnami.

— I jemu stanę i tobie warchole, gdzie chcesz!

— A to i dobrze! — rzekł Rekuć.

Obaj porwali się za szable, ale olbrzymi Kulwiec-Hippocentaurus wtoczył się pomiędzy nich.

— Na tę pięść — rzekł, potrząsając jakoby bochenem chleba — na tę pięść! — powtórzył — pierwszemu, który szablę wyciągnie, łeb roztrzaskam!

To rzekłszy, spoglądał to na jednego, to na drugiego, jakoby pytając niemo, który pierwszy zechce próbować; ale oni, tak zagadnięci, uspokoili się zaraz.

— Kulwiec ma racyę! — rzekł Kokosiński. — Moi mili barankowie, potrzeba nam teraz zgody więcej niż kiedykolwiek... Jabym radził ruszać coprędzej do Kmicica, żeby zaś ona go prędzej nie obaczyła, bo opisałaby nas jako dyabłów. Dobrze, że tam żaden na nią nie warknął, choć mnie samego świerzbiały ręce i język... Ruszajmy do Kmicica. Ma ona go na nas podbechtać, to lepiej my go wpierw podbechtamy. Nie daj Boże, aby nas opuścił. Zarazby tu obławę na nas, jak na wilków, uczyniono.

— Furda! — rzekł Ranicki. — Nic nam nie uczynią. Teraz wojna; mało to ludzi po świecie bez dachu i chleba się włóczy? Zbierzem sobie partyę, towarzysze mili, i niech nas wszystkie trybunały ścigają. Daj rękę Rekuć, odpuszczam ci!

— Byłbym ci uszy obciął, — zapiszczał Rekuć — ale już pogódźmy się! wspólna nas konfuzya spotkała.

— Kazać pójść precz takim jak my kawalerom! — rzekł Kokosiński.

— I mnie, w którym senatorska krew płynie! — dodał Ranicki.

— Ludziom godnym! familiantom

— Żołnierzom zasłużonym!

— I exulom!

— Sierotom niewinnym!

— Mam buty wyporkiem podszyte, ale już mi nogi marzną — rzekł Kulwiec. — Co będziemy jak dziady pod tym domem stali; nie wyniosą nam tu piwa grzanego! Nic tu po nas! Siadajmy i jedźmy. Czeladź lepiej odesłać, bo co po nich bez strzelb i broni, a sami jedźmy.

— Do Upity!

— Do Jędrusia, przyjaciela zacnego! Przed nim się poskarżym.

— Byłebyśmy go nie minęli.

— Na koń, towarzysze! na koń!

Siedli i ruszyli stępa, gniew i wstyd przeżuwając. Za bramą Ranicki, którego złość trzymała jeszcze jak za gardło, odwrócił się i pogroził pięścią dworowi.

— Ej, krwi mi! ej, krwi!

— Niechby się tylko z Kmicicem pokłócili — rzekł Kokosiński — przyjechalibyśmy tu jeszcze z hubką.

— Może to być.

— Boże nam pomóż! — dodał Uhlik.

— Pogańska córka, cieciorka zaciekła...

Tak klnąc i sierdząc się na pannę, a czasem na siebie samych warcząc, dojechali do lasu. Ledwie minęli pierwsze drzewa, ogromne stado wron zawichrzyło się nad ich głowami. Zend począł zaraz krakać przeraźliwie; tysiące głosów odpowiedziało mu z góry. Stado zniżyło się tak, że aż konie poczęły się lękać szumu skrzydeł.

— Stul gębę! — krzyknął na Zenda Ranicki. — Jeszcze nieszczęście wykraczesz! Kraczą nad nami te wrońska, jakby nad padliną...

Ale inni śmieli się, więc Zend krakał ciągle. Wrony zniżały się coraz bardziej i tak jechali, jak wśród burzy. Głupi! nie umieli odgadnąć złej wróżby.

Za lasem ukazały się już Wołmontowicze, ku którym kawalerowie ruszyli rysią, bo mróz był srogi i zmarzli bardzo, a do Upity było dosyć jeszcze daleko. Ale w samej wsi musieli zwolnić. Na szerokiej drodze zaścianku pełno było ludzi, jak zwyczajnie przy niedzieli. Butrymowie i Butrymówny wracali piechotą i saniami z Mitrunów, z odpustu. Szlachta poglądała na nieznanych jeźdźców, wpół się domyślając, co to za jedni. Młode szlachcianki słyszały już o rozpuście w Lubiczu i o sławnych jawnogrzesznikach, których pan Kmicic przyprowadził, więc przypatrywały im się jeszcze ciekawiej. Oni zaś jechali dumnie, w pięknych postawach żołnierskich, w zdobycznych aksamitnych ferezyach, w kołpakach rysich i na dzielnych koniach. Znać było jednak, że to żołnierze zawołani: miny rzęsiste i harde, prawe ręce wparte w boki, głowy podniesione. Nie ustępowali też nikomu, jadąc szeregiem i pokrzykując od czasu do czasu: "Z drogi!" Jaki taki z Butrymów spojrzał z podełba, ale ustąpił; oni zaś gwarzyli między sobą o zaścianku.

— Uważcie, mości panowie — mówił Kokosiński, — jakie tu chłopy rosłe; jeden w drugiego jak tur, a każdy wilkiem patrzy.

— Żeby nie ten wzrost i żeby nie szabliska, możnaby ich wziąć za chamów — rzekł Uhlik.

— Obaczcieno te szablice! czyste powyrki, jak mi Bóg miły! — zauważył Ranicki. — Chciałbym się z którym popróbować!

Tu pan Ranicki począł gołą dłonią szermować.

— Onby tak, jabym tak! Onby tak, jabym tak — i szach!

— Łatwo sobie możesz owe gaudium uczynić — zauważył Rekuć. — Z nimi nie trzeba wiele.

— Wolałbym się ja z temi oto dziewczętami próbować! — rzekł nagle Zend.

— Świece nie panny! — wykrzyknął z zapałem Rekuć.

— Co waść mówisz: świece? — sosny! A pyski u każdej, jakeby krokoszem malowane.

— Ciężko i na szkapie usiedzieć na taki widok!

Tak rozmawiając, wyjechali z zaścianka i znów ruszyli rysią. Po pół godziny drogi przybyli do karczmy zwanej Doły, która leżała na pół drogi między Wołmontowiczami i Mitrunami. Butrymi i Butrymówny zatrzymywali się w niej zwykle, idąc i wracając z kościoła, aby odpocząć i rozgrzać się w czasie mrozów. To też przed

zajazdem spostrzegli kawalerowie kilkanaście sani, wysłanych grochowinami i tyleż koni posiodłanych.

— Napijmy się gorzałki, bo zimno! — rzekł Kokosiński.

— Nie zawadzi! — odparł chór jednogłośny.

Zsiedli z koni, zostawili je u słupów, a sami weszli do szynkownej izby, ogromnej i ciemnej. Zastali tu moc ludzi. Szlachta siedząc na ławach, lub stojąc gromadami przed szynkwasem, popijała piwo grzane, a niektórzy krupniczek warzony z masła, miodu, wódki i korzeni. Sami to byli Butrymowie, chłopy duże, ponure i tak małomówne, że w izbie prawie nie było słychać gwaru. Wszyscy ubrani w szare kapoty z samodziału albo rosieńskiego pakłaku, podbite baranami, w pasy skórzane, przy szablach w czarnych żelaznych pochwach; przez tę jednostajność ubioru czynili pozór wojska. Ale byli to po części ludzie starzy od lat sześćdziesięciu lub wyrostkowie do dwudziestu. Ci dla omłotów zimowych w domach zostali; reszta, mężczyźni w sile wieku, ruszyli do Rosień.

Ujrzawszy orszańskich kawalerów, odsunęli się od szynkwasu i poczęli im się przypatrywać. Piękny moderunek żołnierski podobał się tej wojowniczej szlachcie; czasem też który słowo puścił: "To z Lubicza"? — "Tak, tak, pana Kmicicowa kompania!" — "To ci?" — "A jakże!"

Kawalerowie pili gorzałkę, ale krupniczek zbyt pachniał. Zwietrzył go pierwszy Kokosiński i kazał dać. Obsiedli tedy stół, a gdy przyniesiono dymiący saganek, poczęli pić, spoglądając na izbę, na szlachtę i przymrużając oczy, bo w izbie było ciemnawo. Okna śnieg zasnuł a długi, niski otwór gruby, w której palił się ogień, pozasłaniały całkiem jakieś figury plecami ku izbie odwrócone.

Kiedy już krupnik począł krążyć w żyłach kawalerów, roznosząc po ich ciałach ciepło przyjemne, ożywiły im się zaraz humory, strapione po przyjęciu w Wodoktach, i Zend począł nagle krakać jak wrona, tak dokładnie, że wszystkie twarze zwróciły się ku niemu.

Kawalerowie śmieli się, szlachta poczęła się zbliżać rozweselona, zwłaszcza młodzi, potężni wyrostkowie o szerokich barach i pucołowatych policzkach. Siedzące przy grubie przed ogniem postacie odwróciły się ku izbie i Rekuć pierwszy spostrzegł, iż były to niewiasty.

A Zend zamknął oczy i krakał, krakał — nagle przestał i po chwili

obecni usłyszeli głos duszonego przez psy zająca; zając beczał w ostatniej agonii, coraz słabiej, ciszej, potem zawrzasnął rozpaczliwie i zamilkł na wieki — a na jego miejsce rogacz odezwał się potężnie, jak z rykowiska.

Butrymowie stali zdumieni, chociaż Zend już przestał. Spodziewali się jeszcze co usłyszeć, ale tymczasem usłyszeli tylko piskliwy głos Rekucia:

— Sikorki siedzą wedle gruby!

— A prawda! — rzekł Kokosiński, przysłaniając oczy ręką.

— Jako żywo! — powtórzył Uhlik — jeno w izbie tak ciemno, żem nie mógł rozeznać.

— Ciekaw jestem, co one tam robią?

— Może na tańce przychodzą.

— A poczekajcie, spytam! — rzekł Kokosiński.

I podniósłszy głos, pytał:

— Miłe niewiasty, a cóże tam czynicie wedle gruby?

— Nogi grzejem! — ozwały się cienkie głosy.

Wówczas kawalerowie wstali i zbliżyli się do ogniska. Siedziało przy niem na długiej ławie z dziesięć niewiast, starszych i młodszych, trzymających bose nogi na kłocu, leżącym wedle ognia. Z drugiej strony kloca suszyły się przemokłe od śniegu buty.

— To waćpanny nogi grzejecie? — pytał Kokosiński.

— Bo zmarzły.

— Bardzo grzeczne nóżki! — zapiszczal Rekuć, pochylając się ku kłocowi.

— At! odczep się waszmość! — rzekła jedna ze szlachcianek.

— Radbym ja się przyczepić, nie odczepić, ile że mam sposób pewny, lepszy od ognia na zmarzłe nóżki i któren sposób jest następujący: jeno potańcować z ochotą, a zamróz pójdzie precz.

— Kiedy potańcować, to potańcować! — rzekł pan Uhlik. — Nie potrzeba ni skrzypków, ni basetli, bo ja wam zagram na czekaniku.

I wydobywszy ze skórzanej pochewki, wiszący przy szabli, nieodstępny instrument, grać począł, a kawalerowie sunęli w podrygach do dziewcząt i nuż je ściągać z ławy. One niby się broniły, ale więcej krzykiem, niż rękoma, bo naprawdę nie były bardzo od tego. Może i szlachta rozochociłaby się z kolei, bo przeciw potańcowaniu w niedzielę, po mszy i w zapusty, nikt by bardzo nie protestował,

ale reputacya "kompanii" była już zbyt znana w Wołmontowiczach, więc pierwszy olbrzymi Józwa Butrym, ten, który stopy nie miał, wstał z ławicy i zbliżywszy się do Kulwieca-Hippocentaura, chwycił go za pierś, zatrzymał i rzekł ponuro:

— Jeśli się waszmości chce tańca, to może ze mną?...

Kolwiec-Hippocentaurus oczy przymrużył i począł wąsami ruszać gwałtownie.

— Wolę z dziewczyną — odrzekł, — a z waścią to chyba potem...

Wtem nadbiegł Ranicki, z twarzą już procentkowaną plamami, bo już burdę poczuł.

— Coś za jeden, zawalidrogo? — pytał, chwytając za szablę.

Uhlik przestał grać, a Kokosiński zakrzyknął:

— Hej, towarzysze! do kupy! do kupy!

Ale już za Józwą sypnęli się Butrymowie, starcy potężni i wyrostki ogromne, poczęli się także skupiać, pomrukując, jak niedźwiedzie.

— Czego chcecie, guzów szukacie? — pytał Kokosiński.

— At! co gadać! poszli precz! — rzekl z flegmą Józwa.

Na to Ranicki, któremu chodziło o to, by czasem nie obyło się bez bójki, uderzył Józwę rękojeścią w piersi, aż się rozległo w całej izbie i krzyknął:

— Bij!

Rapiery zabłysły, rozległ się wrzask niewiast, szczęk szabel, zgiełk i zamieszanie. Wtem olbrzymi Józwa wycofał się z potyczki porwał stojącą wedle stołu z gruba ciosaną ławę i podniósłszy ją, jakby leciuchną deseczkę, zakrzyknął:

— Rum! rum!

Kurz wstal z podłogi i przysłonił walczących, jeno w zamęcie jęki poczęły się odzywać...

## V.

Tego samego dnia wieczorem przyjechał pan Kmicic do Wodoktów, na czele stu kilkunastu ludzi, których z sobą z Upity przyprowadził aby ich do Kiejdan hetmanowi W. odesłać, sam uznał bowiem, że w tak małem miasteczku niemasz dla większej liczby ludzi pomieszczenia i że po ogłodzeniu mieszczan, żołnierz musi się

uciekać do gwałtów, zwłaszcza taki żołnierz, który tylko strachem przed dowódcą w karności może być utrzymany. Dość bowiem było spojrzeć na wolentarzy pana Kmicica, żeby dojść do przekonania, iż gorszego gatunku ludzi trudno było w całej Rzeczypospolitej znaleźć. I Kmicic nie mógł mieć innych. Po pobiciu hetmana W., nieprzyjaciel zalał cały kraj. Resztki wojsk regularnych litewskiego komputu cofnęły się na pewien czas do Birż i Kiejdan, aby tam przyjść do sprawy. Szlachta smoleńska, witebska, połocka, mścisławska i mińska, albo pociągnęła za wojskiem, albo chroniła się w województwach jeszcze niezajętych. Ludzie śmielszego ducha między szlachtą zbierali się do Grodna, do pana podskarbiego Gosiewskiego, tam bowiem naznaczały punkt zborny uniwersały królewskie, zwołujące pospolite ruszenie. Niestety! mało było takich, którzy usłuchali uniwersałów, ci zaś nawet, co poszli za głosem obowiązku, ściągali się tak opieszale, że tymczasem naprawdę nikt oporu nie dawał, prócz pana Kmicica, który czynił to na własną rękę, pobudzany więcej fantazyą rycerską, niż patryotyzmem. Łatwo jednak zrozumieć, że w braku wojsk regularnych i szlachty, brał ludzi, jakich mógł znaleźć — więc takich, których obowiązek do hetmanów nie ciągnął i którzy nie mieli nic do stracenia. Nagarnęło się tedy do niego zawalidrogów bez dachu i domu, ludzi niskiego stanu, zbiegłej z wojska czeladzi, zdziczałych borowych, pachołków miejskich lub łotrzyków, prawem ściganych. Ci pod chorągwią spodziewali się znaleźć ochronę, a potem łupami się pożywić. W żelaznych ręku Kmicicowych zmienili się oni w śmiałych żołnierzy, śmiałych aż do szaleństwa i gdyby sam Kmicic był statecznym człowiekiem, mogli byli znaczne Rzeczypospolitej oddać usługi. Ale Kmicic był sam swawolnikiem, w którym dusza kipiała ustawicznie, zresztą skąd miał brać prowiant i broń i konie, gdy jako wolentarz, nie posiadający nawet listów zapowiednich, nie mógł ze skarbu Rzeczypospolitej żadnej spodziewać się pomocy. Brał więc gwałtem, często na nieprzyjacielu, często i na swoich. Oporu nie znosił i za najmniejszy karał srodze.

W ustawicznych podjazdach, walkach i napadach zdziczał, przyzwyczaił się do krwi przelewu, tak, że nielada co mogło poruszyć w nim, dobre zresztą z natury, serce. Zakochał się w ludziach gotowych na wszystko i niepohamowanych. Imię jego zasłynęło wkrótce złowrogo. Mniejsze oddziały nieprzyjaciel-

skie nie śmiały się wychylać z miast i obozów w stronach, w których straszliwy partyzant grasował. Ale i miejscowe obywatelstwo zniszczone przez wojnę, bało się jego ludzi mało mniej, niż nieprzyjaciół. Zwłaszcza gdzie oko Kmicica osobiście nie spoczywało nad nimi, gdzie komendę brali jego oficerowie: Kokosiński, Uhlik, Kulwiec, Zend, a szczególnie najdzikszy i najokrutniejszy, lubo z wysokiej krwi pochodzący Ranicki — tam zawsze można było pytać: obrońcyli to, czy napastnicy? Kmicic karał czasem i swoich ludzi, gdy mu nie pod humor co przyszło, bez miłosierdzia; ale najczęściej stawał po ich stronie, nie dbając na prawa, na łzy i życie ludzkie.

Kompanionowie, prócz Rekucia, na którym krew niewinna nie ciężyła, jeszcze podmawiali młodego wodza, by coraz bardziej cuglów swej bujnej naturze popuszczał.

Takie to było Kmicicowe wojsko.

Teraz właśnie zabrał on swą hołotę z Upity, by ją do Kiejdan odesłać. Gdy się tedy zatrzymali przed dworem w Wodoktach, panna Aleksandra aż przeraziła się, ujrzawszy ich przez okno; tak byli do hajdamaków podobni. Każdy inaczej zbrojny, jedni w hełmach pobranych na nieprzyjacielu, drudzy w czapkach kozackich, w kapuzach, w kapturach, niektórzy w wypłowiałych ferezyach, inni w kożuchach, z rusznicami, spisami, łukami i berdyszami, na chudych i poszerszeniałych koniach, ubranych w rzędziki polskie, moskiewskie, tureckie. Uspokoiła się dopiero Oleńka, gdy pan Andrzej, hoży i wesoły jak zawsze, wpadł do izby i zaraz z niezmierną żywością do rąk jej przypadł.

O a zaś, choć poprzednio postanowiła przyjąć go z powagą i zimno, jednak nie mogła zapanować nad radością, którą jej sprawiło jego przybycie. Przytem może i chytrość niewieścia grała w tem pewną rolę, bo trzeba było powiedzieć panu Andrzejowi o wypędzeniu za drzwi kompanii, więc chciała go sobie przebiegła dziewczyna najprzód zjednać. Z zresztą, tak ją witał szczerze, z taką miłością, że resztki urazy stopniały jak śnieg przy płomieniu.

— Miłuje mnie! niemasz wątpliwości! — pomyślała.

A on mówił;

— Jużem się tak stęsknił, żem całą Upitę chciał spalić, byle do cię jak najprędzej lecieć. Niechże ich tam mróz ścina tych łyków!

— Jam też była niespokojna, żeby tam do bitwy nie przyszło. Chwała Bogu, żeś waćpan przyjechał.

— I! co za bitwa! Żołnierze poczęli trochę łyczków tarmosić...

— Aleś to waćpan uspokoił?

— Zaraz ci powiem wszystko, jak się zdarzyło, mój klejnocie, jeno sobie usiędę trochę, bom się strudził. Ej! ciepłoż tu, ej miło w tych Wodoktach, jako właśnie w raju. Radby tu człowiek po wiek siedział i w one śliczne oczy patrzył i nigdy nie wyjeżdżał... Ale napić się czego ciepłego nie zawadziłoby także, bo na dworze mróz okrutny.

— Zaraz każę waćpanu wina z jajami zagrzać i sama przyniosę.

— A dajże i moim wisielcom jaką baryłczynę gorzałki i każ ich do obory puścić, żeby się jeno od paru bydlęcego nieco rozgrzali. Tołuby mają wiatrem podszyte i srodze pokostnieli.

— Niczego im nie pożałuję, boć to waćpańscy żołnierze.

To rzekłszy, uśmiechnęła się tak, że Kmicicowi w oczach pojaśniało i wysunęła się jak kotka cicho, by w czeladnej wszystko zarządzić.

Kmicic chodził po izbie i po czuprynie się głaskał, to znów wąsa młodego pokręcał, namyślając się: jak jej opowiedzieć, co się w Upicie zdarzyło.

— Trzeba szczerą prawdę wyznać — mruczał pod nosem, — niema rady, choćby kompania mieli się śmiać, że mnie tu już na pasku wodzą...

I znów chodził i znów czuprynę na czoło nagarniał, wreszcie zniecierpliwił się, że dziewczyna długo nie wraca.

Tymczasem pacholik wniósł światło, pokłonił się w pas i wyszedł, a potem zaraz weszła wdzięczna gosposia, niosąc sama w obu rękach błyszczącą cynową tacę, na niej garnuszek, z którego wychodziła wonna para grzanego węgrzyna, i puharek, rznięty ze szkła, z herbem Kmiciców. Stary Billewicz dostał go w swoim czasie od ojca pana Andrzeja, gdy u niego w gościnie bawił.

Pan Andrzej, ujrzawszy gosposię, poskoczył ku niej.

— Hej! — zawołał — rączyny obydwie zajęte, nie wymkniesz mi się!

I przechylił się przez tacę, a ona cofała swoją jasną główkę, bronioną tylko przez opar, wychodzący z garnuszka.

— Zdrajca! dajże waćpan spokój, bo upuszczę polewkę...

Ale on się groźby nie uląkł, poczem zakrzyknął:

— Jak Bóg na niebie, od takich delicyj rozum może się pomieszać!

— Waćpanu dawno już się pomieszał... Siadaj, siadaj.

Usiadł posłusznie; ona zaś nalała mu polewki w puharek.

— Mówże teraz, jakeś to w Upicie winnych sądził?

— W Upicie? Jako Salomon!

— To i chwała Bogu!... Na sercu mi to, żeby wszyscy w okolicy mieli waćpana za statecznego i sprawiedliwego człowieka. Jakże to tedy było?

Kmicic pociągnął dobrze polewki, odetchnął i rzekł:

— Muszę opowiadać od początku. Było tak: Upominali się łyczkowie z burmistrzem o asygnacye na prowianty od hetmana wielkiego, albo od pana podskarbiego. "Waćpanowie (mówili żołnierzom) jesteście wolentarzami i egzakcyi nie możecie czynić. Kwatery dajem z łaski, a prowianty damy wtedy, gdy się okaże, że nas zapłacą."

— Mieli słuszność, czy nie mieli?

— Słuszność wedle prawa mieli, ale żołnierze mieli szable, a po staremu, kto ma szablę, ten zawsze ma lepszą racyę. Powiadają tedy łyczkom: "Zaraz my tu na waszej skórze wypiszemy asygnacye!" I wnet stał się tumult. Burmistrz z łyczkami zatarasowali się w ulicy, a moi ich dobywali, nie obeszło się bez strzelaniny. Zapalili niebożęta żołnierze dla postrachu parę stodół, kilku też łyczków uspokoili.

— Jakto uspokoili?

— Kto weźmie szablą po łbie, to spokojny jak trusia.

— Dla Boga! toż to zabójstwo!

— Właśniem na to przyjechał. Żołnierze zaraz do mnie z narzekaniami i skargami na opresyę, w jakiej żyją, że to ich niewinnie prześladują. "Brzuchy mamy puste — mówili — co nam czynić?" Kazałem burmistrzowi, by się stawił. Namyślał się długo, ale wreszcie przyszedł z trzema innymi. Kiedy to nie zaczną płakać: "Niechby już i asygnacyi nie dawali — prawią — ale czemu biją, czemu miasto palą? Jeść i pić bylibyśmy dali za dobre słowo, ale oni chcieli słoniny, miodów, specyałów, a my sami ubodzy ludzie, tego nie mamy. Prawem się będziem bronić, a wasza mość przed sądem za swoich żołnierzów odpowiesz."

— Bóg waćpana będzie błogosławił — zawołała Oleńka, — jeśliś sprawiedliwość, jako się godzi, uczynił!

— Jeślim uczynił?...

To pan Andrzej skrzywił się jak student, który ma się do wojny przyznać i czuprynę począł ręką na czoło nagarniać.

— Mój królu! — zawołał wreszcie żałośnym głosem — mój klejnocie!.. nie gniewaj się na mnie...

— Cóżeś znów waćpan uczynił? — pytała niespokojnie Oleńka.

— Kazałem dać po sto batożków burmistrzowi i radnym! — wyrecytował jednym tchem pan Andrzej.

Oleńka nie odrzekła nic, jeno ręce wsparła na kolanach, głowę spuściła na piersi i pogrążyła się w milczeniu.

— Zetnij szyję! — wołał Kmicic — ale nie gniewaj się!... Jeszczem wszystkiego nie wyznał...

— Jeszcze? — jęknęła panna.

— Bo to oni potem posłali do Poniewieża o pomoc. Przyszło sto głupich pachołków z oficyerami. Tych przepłoszyłem, a oficyerów... na Boga, nie gniewaj się!... kazałem gołych pognać kańczugami po śniegu, tak, jakem raz panu Tumgratowi w Orszańskiem uczynił...

Billewiczówna podniosła głowę; surowe jej oczy pałały gniewem, a purpura wystąpiła na policzki.

— Waćpan nie masz wstydu i sumienia! — rzekła.

Kmicic spojrzał zdziwiony, zamilkł na chwilę, poczem spytał zmienionym głosem:

— Prawdęli mówisz, czy udajesz?

— Prawdę mówię, że hajdamaki godny to uczynek, nie kawalera!.. Prawdę mówię bo mi reputacya waćpana na sercu leży, bo mi wstyd, żeś ledwo przyjechał, już cię całe obywatelstwo ma za gwałtownika i palcami ukazuje!...

— Co mi tam wasze obywatelstwo! Dziesięciu chałup jeden pies strzeże i jeszcze niewiele ma roboty.

— Ale niemasz infamii na tych chudopachołkach, niemasz hańby na niczyjem imieniu. Nikogo tu sądy ścigać nie będą, prócz waćpana!

— Ej, niechże cię o to głowa nie boli. Każdy sobie pan w naszej Rzeczypospolitej, kto jeno ma szablę w garści i ladajaką partyę zebrać potrafi. Co mi uczynią? kogo ja się tu boję?

— Jeśli waćpan nikogo się nie boisz, to wiedz o tem, że ja się boję gniewu Bożego... i łez ludzkich się boję i krzywd! A hańbą z nikim dzielić się nie chcę; chociażem niewiasta słaba, przecie mi miła

cześć imienia może więcej, niż niejednemu, który się kawalerem powiada.

— Na Boga! nie groźże mi rekuzą, bo mnie jeszcze nie znasz...

— O, wierzę, że i mój dziad waćpana nie znał!

Oczy Kmicica poczęły iskry sypać, ale i w niej się rozigrała krew Billewiczowska.

— Rzucaj się waćpan, zgrzytaj! — mówiła śmiało dalej — ja się nie ulęknę, chociażem sama, a waść masz całą chorągiew rozbójników pod sobą; niewinność moja mnie broni!... Myślisz, że nie wiem, iżeście w Lubiczu wizerunki postrzelali i że dziewczęta na rozpustę ciągacie?... Waść to mnie nie znasz, jeśli myślisz, że zmilczę pokornie. Chcę poczciwości od waćpana i tego wymagać żaden mi testament nie zabroni... Owszem, wola mojego dziada jest, żebym tylko poczciwego żoną była...

Kmicic widocznie zawstydził się tych sprawek lubickich, bo spuściwszy głowę, spytał cichym już głosem:

— Kto ci o owem strzelaniu mówił?

— Wszystka szlachta z okolicy o tem mówi.

— Zapłacę ja tym szarakom, zdrajcom, za życzliwość! — odparł posępnie Kmicic. — Ale to stało się po pijanemu... w kompanii... jako, że żołnierze pohamować się nie umieją. A co do dziewcząt, to jam ich nie ciągał.

— Wiem, że to owi bezwstydnicy, owi zbóje do wszystkiego waćpana podmawiają...

— To nie zbóje, to moi oficerowie...

— Ja tym waćpana oficyerom kazałam pójść precz z mego domu?

Oleńka spodziewała się wybuchu, tymczasem z największem zdziwieniem spostrzegła, że wiadomość o wypędzeniu kompanionów żadnego na Kmicicu nie uczyniła wrażenia, a nawet przeciwnie, zdawała mu się humor poprawiać.

— Kazałaś im pójść precz? — spytał.

— Tak jest.

— A oni poszli?

— Tak jest.

— Dalibóg, kawalerska w tobie fantazya! Okrutnie mi się to podoba, bo niebezpieczna rzecz z takimi ludźmi zadrzeć. Niejeden już ciężko za to zapłacił. Ale i oni znają mores przed Kmicicem... Widzisz! wynieśli się pokornie, jak barankowie — widzisz! a czemu? bo się mnie boją!

Tu pan Andrzej spojrzał chełpliwie na Oleńkę i wąsa począł pokręcać; ją zaś rozgniewała do reszty ta zmienność humoru i ta niewczesna chełpliwość, więc rzekła wyniośle i z naciskiem:

— Waćpan musisz wybrać między mną a nimi, inaczej być nie może!

Kmicic zdawał się nie spostrzegać tej stanowczości, z jaką Oleńka mówiła i odpowiedział niedbale, prawie wesoło:

— A po co mnie wybierać, kiedy ja i ciebie mam i ich mam! Waćpanna możesz sobie w Wodoktach czynić, co się podoba; ale jeżeli moi kompanionowie żadnej tu krzywdy, ani swawoli się nie dopuścili, to za cóż mam ich wyganiać. Waćpanna tego nie rozumiesz, co to jest służyć pod jedną chorągwią i wojnę razem odbywać... Żadne krewieństwo tak nie zwięzuje, jak wspólna służba. Wiedz o tem, że oni mało tysiąc razy ratowali mi życie; że ich prawo ściga, to tembardziej muszę im dać przytułek. Szlachta to prawie wszystko i familianci, za wyjątkiem Zenda, któren jest niepewnego pochodzenia, ale takiego kawalkatora nie masz w całej Rzeczypospolitej. Prócz tego, gdybyś go waćpanna słyszała, jak zwierza i ptactwo wszelakie udaje, samabyś go polubiła.

Tu pan Andrzej rozśmiał się, jakby żaden gniew, żadne nieporozumienie nie miało nigdy miejsca między nimi, a ona aż załamała ręce, widząc, jak z rąk jej się wymyka ta wichrowata natura. To wszystko, co mówiła mu o opinii ludzkiej, o potrzebie statku, o niesławie, ześlizgiwało się po nim, jak grot po pancerzu. Nierozbudzone sumienie tego żołnierza nie umiało odczuć jej oburzenia na każdą niesprawiedliwość, na każdą bezecną swawolę. Jakże tu do niego trafić, jak przemówić?

— Niech się dzieje wola Boża! — rzekła wreszcie.

— Skoro się mnie waćpan wyrzekasz, to idźże swoją drogą! Bóg zostanie nad sierotą!

— Ja się ciebie wyrzekam? — pytał Kmicic z największem zdumieniem.

— Tak jest! jeśli nie słowy, to uczynkami; jeśli nie ty mnie, to ja ciebie... Bo nie pójdę za człowieka, na którym ciężą łzy ludzkie i krew ludzka, którego palcami wytykają, banitem, rozbójnikiem zowią i za zdrajcę mają!

— Za jakiego zdrajcę?... Nie przywodźże mnie do szaleństwa, abym zaś czego nie uczynił, czegobym potem żałował. Niechże

we mnie piorun zaraz trzaśnie, niech mnie czarci dziś obłuszczą, jeślim ja zdrajca, ja, którym przy ojczyźnie wtedy stawał, kiedy wszyscy ręce opuścili!

— Waćpan przy niej stajesz, a czynisz to, co i nieprzyjaciel, bo ją depcesz, bo ludzi w niej katujesz, bo na prawa boskie i ludzkie nie dbasz. Nie! choćby mi się i serce rozdarło, nie chcę cię mieć takiego, nie chcę!...

— Nie gadaj mi o rekuzie, bo się wściekne! Ratujcież mnie anieli! Nie zechcesz mnie po dobrej woli, to cię i tak wezmę, choćby tu wszystka hołota z zaścianków, choćby sami Radziwiłowie, sam nawet król i wszyscy dyabli rogami przystępu bronili, a choćbym miał duszę czartu zaprzedać...

— Nie wzywajże złych duchów, bo cię usłyszą! — zakrzyknęła Oleńka, wyciągając przed siebie ręce.

— Czego ode mnie chcesz?

— Bądź uczciwy!...

Umilkli oboje i nastała cisza. Słychać było tylko sapanie pana Andrzeja. Ostatnie słowa Oleńki przedarły jednak pancerz, pokrywający jego sumienie. Czuł się upokorzony. Nie wiedział, co jej odrzec, jak się bronić. Potem począł chodzić szybkimi krokami po izbie; ona siedziała nieruchomie. Zawisła nad nimi niezgoda, rozjątrzenie i żal. Było im ze sobą ciężko i to długie milczenie stawało im się coraz nieznośniejsze.

— Bądź zdrowa! — rzekł nagle Kmicic.

— Jedź waćpan i niech cię Bóg natchnie inaczej! — odrzekła Oleńka.

— Pojadę! Gorzki mi był twój napitek, gorzki chleb! Żółcią i octem mnie tu napojono!

— A waćpan to myślisz, żeś mnie słodyczą napoił? — odrzekła głosem, w którym drgały łzy.

— Bądź zdrowa!

— Bądź zdrów...

Kmicic postąpił ku drzwiom, nagle zwrócił się, i poskoczywszy ku niej, chwycił ją za obie ręce i rzekł:

— Na rany Chrystusa! czy ty chcesz, żebym trupem w drodze z konia spadł?

Wówczas Oleńka wybuchnęła płaczem; on objął ją i trzymał w ramionach całą dygocącą, powtarzając przez zaciśnięte zęby:

— Bijże mnie, kto w Boga wierzy! bij, nie żałuj!

Nakoniec wybuchnął:

— Nie płacz, Oleńko! Dla Boga, nie płacz! Com ci winien! Uczynię wszystko, co chcesz. Tamtych wyprawię... w Upicie załagodzę... będę żył inaczej... bo cię miłuję... Dla Boga! serce! serce mi się rozpęknie... uczynię wszystko, jeno nie płacz... i miłuj mnie jeszcze...

Tak on ją uspokajał i pieścił; ona zaś, wypłakawszy się, rzekła:

— Jedź już waćpan. Bóg zgodę między nami uczyni. Ja nie mam urazy, jeno ból w sercu...

Księżyc wytoczył się już wysoko nad białe pola gdy pan Andrzej ruszył z powrotem do Lubicza, a za nim poclapali żołnierze, rozciągnąwszy się wężem po szerokim gościńcu. Jechali przez Wolmontowicze, ale krótszą drogą, bo mróz popętał bagna i można było po nich przejeżdżać bezpiecznie.

Wachmistrz Soroka przybliżył się do pana Andrzeja.

— Panie rotmistrzu, — spytał — a gdzie nam stanąć w Lubiczu?

— Ruszaj precz! — odpowiedział Kmicic.

I jechał na przodzie, nic do nikogo nie mówiąc. W sercu nurtował mu żal, chwilami gniew, ale przedewszystkiem złość na samego siebie. Pierwsza to była noc w jego życiu, w której czynił rachunek sumienia i rachunek ten ciężył mu gorzej od najcięższego pancerza. Oto przyjechał w te strony z nadszarpniętą reputacyą i cóż uczynił, aby ją poprawić? Pierwszego dnia pozwolił na strzelanie i rozpustę w Lubiczu i zmyślił, że do niej nie należał, bo należał; potem pozwalał każdego dnia. Dalej: żołnierze skrzywdzili mieszczan, a on tej krzywdy dopełnił. Gorzej! rzucił się na prezydyum poniewieskie, pobił ludzi, puścił gołych oficerów na śnieg... Uczynią mu proces — przegra. Skażą go na utratę majątku, czci, może i gardła. A przecież nie będzie mógł, jak dawniej, zebrawszy partyę zbrojnej hołoty, drwić sobie z praw, bo zamierza się ożenić, osiąść w Wodoktach, służyć nie na własną rękę, ale w kompucie; tam prawo go znajdzie i dosięgnie. Prócz tego, choćby mu uszło bezkarnie, jest coś szpetnego w tych postępkach, jest coś niegodnego rycerza. Może swawola da się załagodzić, ale pamięć jej zostanie w sercach ludzkich i w jego własnem sumieniu i w sercu Oleńki...

Tu, gdy wspomniał, że ona jednak nie odepchnęła go jeszcze, że wyjeżdżając, czytał w jej oczach przebaczenie, wydała mu się ta dobrą, jak anieli niebiescy. I ot! brała go ochota wrócić nie jutro,

ale zaraz wrócić, co koń wyskoczy, i paść jej do nóg i prosić o zapomnienie, i całować te słodkie oczy, które łzami zrosiły dzisiaj twarz jego.

Chciało mu się samemu ryknąć płaczem i czuł, że tak miłuje tę dziewczynę, jak nigdy w życiu nikogo nie miłował. "Na Pannę Najświętszą! — myślał w duszy — uczynię, co ona zechce; opatrzę kompanów suto i wyprawię na kraj świata, bo prawda jest, że oni mnie do złego podniecają."

Tu przyszło mu do głowy, że przybywszy do Lubicza, zastanie ich najpewniej pijanych, albo z dziewczętami i chwyciła go taka złość, że mu się chciało szablą uderzyć na kogokolwiek, choćby na tych żołnierzy, których prowadził, i siec ich bez miłosierdzia.

— Dam ja im! — mruczał, targając wąs — jeszcze mnie takim nie widzieli, jak zobaczą...

Tu zaczął konia z szaleństwa ostrogami bość i za trenzle targać i szarpać, aż rumak rozhukał się, a Soroka widząc to, mruczał do żołnierzy:

— Rotmistrz się zbiesił. Nie daj Bóg wpaść mu pod rękę...

Jakoż pan Andrzej biesił się rzeczywiście. Naokoło był wielki spokój. Księżyc świecił pogodnie, niebo iskrzyło się tysiącami gwiazd, najmniejszy wiatr nie poruszał gałęzi na drzewach — jeno w sercu rycerza wrzała burza. Droga do Lubicza wydała mu się tak długa, jak nigdy. Jakaś nieznana dotąd trwoga zaczęła nań nadlatywać z mroku, z głębin leśnych i z pól zalanych zielonawem światłem księżyca. Wreszcie zmęczenie ogarnęło pana Andrzeja, gdyż zresztą, co prawda, całą zeszłą noc spędził w Upicie na pijatyce i hulance. Ale chciał trud trudem zabić, otrząsnąć się z niepokoju szybką jazdą, zwrócił się więc do żołnierzy i zakomencerował:

— W konie!...

Pomknął, jak strzała, a za nim cały oddział. I w tych lasach i na pustych polach lecieli, jak ów orszak piekielny rycerzy krzyżackich, o których lud powiada na Żmudzi, iż czasami, wśród jasnych nocy miesięcznych, zjawiają się i pędzą przez powietrze, zwiastując wojnę i klęski nadzwyczajne. Tentent leciał przed nimi i za nimi; z koni zaczęła para buchać i dopiero, gdy śniegiem pokryte dachy lubickie ukazały się na zwrocie, zwolnili biegu.

Kołowrot zastali otwarty szeroko. Kmicica zdziwiło, że gdy podwórzec zaroił się ludźmi i końmi, nikt nie wyszedł zobaczyć, ani

spytać, co są za jedni. Spodziewał się zastać okna błyszczące od świateł, usłyszeć głos Uhlikowego czekanika, skrzypków, albo wesołe okrzyki biesiad; tymczasem w dwóch tylko oknach izby jadalnej migotało niepewne światełko, zresztą było ciemno, cicho, głucho. Wachmistrz Soroka zeskoczył pierwszy z konia, by potrzymać strzemię rotmistrzowi.

— Idź spać! — rzekł Kmicic — kto się zmieści w czeladnej, niech śpi w czeladnej, a inni w stajniach. Konie wstawić do obór, stodół i przynieść im siana z odryny.

— Słucham! — odpowiedział wachmistrz.

Kmicic zlazł z konia. Drzwi od sieni otwarte były na rozcież, a sień wyzięblona.

— Hej tam! jest tam kto? — wołał Kmicic.

Nikt się nie ozwał.

— Hej tam! — powtórzył głośniej.

Milczenie.

— Popili się!... — mruknął pan Andrzej.

I ogarnęła go taka wściekłość, że począł zębami zgrzytać. Jadąc, wstrząsał się z gniewu na myśl, że zastanie pijatykę i rozpustę, teraz ta cisza drażniła go jeszcze bardziej.

Wszedł do izby jadalnej. Na ogromnym stole palił się kaganek łojowy czerwonem, dymiącem światłem. Pęd powietrza, które wpadło z sieni, chwiał płomieniem, tak, iż przez chwilę nie mógł pan Andrzej nic dojrzeć. Dopiero, gdy migotanie uspokoiło się, dojrzał szereg postaci, leżących równo pod ścianą.

— Popili się na umor, czy co? — mruknął niespokojnie.

Następnie zbliżył się niecierpliwie do pierwszej postaci z brzegu. Twarzy jej nie mógł widzieć, bo była pogrążona w cieniu, ale po białym skórzanym pasie i po białej pochwie na czekanik, poznał pana Uhlika i począł go trącać bez ceremonii nogą.

— Wstawajcie tacy synowie! wstawajcie!...

Ale pan Uhlik leżał nieruchomy, z rękoma opadłemi bezwładnie po bokach ciała, a za nim leżeli inni; żaden nie ziewnął, nie drgnął, nie przebudził się, nie mruknął. W tejże chwili pan Kmicic spostrzegł, że wszyscy leżą na wznak, w jednakowej pozycyi i jakieś straszne przeczucie chwyciło go za serce.

Poskoczywszy do stołu, porwał drżącą, ręką kaganek i przysunął go ku twarzom leżących.

Włosy powstały mu na głowie, tak straszny widok uderzył jego oczy... Uhlika wyłącznie mógł poznać po białym pasie, bo twarz i gło wa przedstawiały jednę bezkształtną masę krwawą, ohydną, bez oczu, nosa i ust — tylko wąsy ogromne sterczały z tej okropnej kałuży. Pan Kmicic świecił dalej... Drugi z kolei leżał Zend z wyszczerzonymi zębami i wyszłemi na wierzch oczyma, w których zeszkliło się przedśmiertne przerażenie. Trzeci z kolei Ranicki, oczy miał przymknięte, a po całej twarzy cętki białe, krwawe i ciemne. Pan Kmicic świecił dalej... Czwarty leżał pan Kokosiński, najmilszy Kmicicowi ze wszystkich towarzyszów, bo dawny sąsiad bliski. Ten zdawał się spać spokojnie, jeno z boku, w szyi, widać mu było dużą ranę, zapewne sztychem zadaną. Piąty z kolei leżał olbrzymi pan Kulwiec Hippocentaurus z żupanem podartym na piersiach i posiekaną gęstymi razami twarzą, Pan Kmicic przybliżał kaganek do każdej twarzy, a gdy wreszcie szóstemu Rekuciowi, w oczy zaświecił, zdało mu się, że powieki nieszczęsnego zadrgały trochę od blasku.

Więc postawił na ziemi kaganek i zaczął wstrząsać zlekka rannym

— Rekuć, Rekuć! — wołał, — to ja, Kmicic!...

Za powiekami poczęła drgać i twarz, oczy i usta otwierały się i zamykały naprzemian.

— To ja! — rzekł Kmicic.

Oczy Rekucia otwarły się na chwilę zupełnie — poznał twarz przyjaciela i jęknął zcicha:

— Jędruś!... księdza!...

— Kto was pobił?! — krzyczał Kmicic, chwytając się za włosy.

— Bu-try-my... — ozwał się głos tak cichy, że ledwie dosłyszalny.

Poczem Rekuś wyprężył się, zesztywniał, otwarte oczy stanęły mu w słup — i skonał.

Kmicic poszedł w milczeniu do stołu, postawił na nim kaganek — sam siadł na krześle i począł rękoma wodzić po twarzy, jak człowiek, który ze snu się zbudziwszy, sam nie wie, czy już się rozbudził, czy widzi jeszcze senne obrazy przed oczyma.

Następnie znów spojrzał na leżące w mroku ciała. Zimny pot wystąpił mu na czoło, włosy zjeżyły się na głowie i nagle krzyknął tak straszliwie, że aż szyby zadrgały w oknach:

— Bywaj kto żyw! bywaj!

Żołnierze, którzy roztasowywali się w czeladnej, posłyszeli ów krzyk i pędem wpadli do izby. Kmicic ukazał im ręką na leżące pod ścianą trupy.

— Pobici! pobici! — powtarzał chrapliwym głosem.

Oni rzucili się patrzeć; niektórzy nadbiegli z łuczywem i poczęli w oczy świecić nieboszczykom. Po pierwszej chwili zdumienia wszczął się gwar i zamieszanie. Dom cały zajaśniał światłem, zaroił się ludźmi, a wśród tego zamętu, nowoływań, pytań, jedni tylko pobici leżeli pod ścianą równo i cicho, obojętni na wszystko i — przeciw swej naturze — spokojni. Dusze z nich wyszły, a ciał nie mogły rozbudzić ani surmy do bitwy, ani brzęk kielichów do uczty.

Tymczasem w gwarze żołnierskim coraz bardziej przemagały okrzyki groźby i wściekłości. Kmicic który dotąd był jakby nieprzytomny, zerwał się nagle i zakrzyknął:

— Na koń!...

Ruszyło się, co żyło, ku drzwiom. Nie upłynęło i pół godziny, już stu przeszło jeźdźców leciało na złamanie karku po szerokiej, śnieżnej drodze, a na ich czele leciał pan Andrzej, jakby go zły duch opętał, bez czapki, z gołą szablą w ręku. W ciszy nocnej rozlegały się dzikie okrzyki:

— Bij! morduj!...

Księżyc dosięgnął właśnie najwyższej wysokości w swej drodz niebieskiej, gdy nagle blask jego począł się mieszać i zlewać z różowem światłem, wychodzącem jakby z pod ziemi stopniowo; niebo czerwieniało coraz bardziej, rzekłbyś od zorzy wstającej, aż wreszcie krwawa, czerwona łuna oblała całą okolicę. Jedno morze ognia szalało nad olbrzymim zaściankiem Butrymów, a dziki żołnierz Kmicicowy, wśród dymu, pożogi i iskier buchających słupami do góry, mordował w pień przerażoną i zaślepłą z trwogi ludność...

Zerwali się ze snu mieszkańcy pobliskich zaścianków. Większe i mniejsze gromady Gościewiczów Dymnych, Stakjanów, Gasztowtów i Domaszewiczów, zbierały się po drogach, przed domami i poglądając w stronę pożaru, podawały sobie z ust do ust utrwożliwe wieści: "Chyba nieprzyjaciel wtargnął i pali Butrymów... To nie zwyczajny pożar!"

Huk rusznic, dochodzący od czasu do czasu z oddali, potwierdzał te przypuszczenia.

— Pójdźmy na pomoc! — wołali śmielsi — nie dajmy braciom ginąć...

A gdy tak mówili starsi, już młodsi, którzy dla omłotów zimowych nie poszli do Rosień, siadali na koń. W Krakinowie i Upicie poczęto bić w dzwony po kościołach.

W Wodoktach ciche pukanie do drzwi zbudziło pannę Aleksandrę.

— Oleńko! wstawaj! — wołała panna Franciszka Kulwiecówna.

— Niech ciotunia wejdzie! Co tam się dzieje?

— Wołmontowicze się palą!

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

— Strzały aż tu słychać, tam bitwa! Boże zmiłuj się nad nami!

Oleńka krzyknęła strasznie, poczem wyskoczyła z łóżka i poczęła śpiesznie szaty narzucać. Ciało jej dygotało, jak w febrze. Ona jedna domyśliła się odrazu, co to za nieprzyjaciel napadł nieszczęsnych Butrymów.

Po chwili wpadły rozbudzone niewiasty z całego domu z płaczem i szlochaniem. Oleńka rzuciła się na kolana przed obrazem, one poszły za jej przykładem i wszystkie poczęły odmawiać głośno litanią za konających.

Były zaledwie w połowie, gdy gwałtowne kołatanie wstrząsnęło drzwiami od sieni. Niewiasty zerwały się na równe nogi, okrzyk trwogi wyrwał się im z piersi.

— Nie otwierać! nie otwierać!

Kołatanie ozwało się z podwójną siłą, rzekłbyś: drzwi wyskoczą z zawias. Tymczasem między zgromadzone niewiasty, wpadł pacholik Kostek.

— Panienko! — wołał, — jakiś człek stuka, otwierać, czy nie?

— Samli jest?

— Sam.

— Idź, otwórz!

— Pachołek skoczył, ona zaś chwyciwszy świecę, przeszła do izby jadalnej, za nią panna Franciszka i wszystkie prządki.

Zaledwie zdołała postawić świecę na stole, gdy w sieni dał się słyszeć szczęk żelaznej zapory, skrzypienie otwieranych drzwi i przed oczyma niewiast ukazał się pan Kmicic, straszny, czarny od dymu, krwawy, zadyszany i z obłąkaniem w oczach.

— Koń mi pod lasem padł! — krzyknął — ścigają mnie!...

Panna Aleksandra utkwiła weń oczy:

— Waść spaliłeś Wołmontowicze?

— Ja!... Ja!...

Chciała coś dalej mówić, gdy wtem od strony drogi i lasu doszedł odgłos okrzyków i tentent koni, który zbliżał się z nadzwyczajną szybkością.

— Dyabli po mą duszę!... dobrze! — krzyknął jakby w gorączce Kmicic.

Panna Aleksandra w tejże chwili zwróciła się do prządek:

— Jeśli będą pytać, powiedzieć, iż niemasz tu nikogo, a teraz do czeladnej i ze światłem tu przyjść!...

Poczem do Kmicica:

— Waść tam! — rzekła, ukazując mu przyległą izbę.

I prawie przemocą wepchnąwszy go przez otwarte drzwi, zamknęła je natychmiast.

Tymczasem zbrojni ludzie zapełnili podwórzec i w mgnieniu oka Butrymi, Gościewicze, Domaszewicze i inni wpadli do domu. Ujrzawszy pannę, wstrzymali się w izbie jadalnej — ona zaś stojąc ze świecą w ręku, zamykała sobą drogę do dalszych drzwi.

— Ludzie! co się dzieje? czego tu chcecie? — pytała, nie mrużąc oczu przed groźnemi spojrzeniami i złowrogim blaskiem gołych szabel.

— Kmicic spalił Wołmontowicze! — krzyknęła chórem szlachta. — Pomordował mężów, niewiasty, dzieci! Kmicic to uczynił!...

— My ludzi jego wybili! — rozległ się głos Butryma Józwy — a teraz jego głowy chcemy!...

— Jego głowy! Krwi! Rozsiekać zbójcę!

— Gońcie go! — zawołała panna. — Czegoż tu stoicie? gońcie!

— Zali nie tu się schronił! My konia pod lasem znaleźli...

— Nie tu! Dom był zawarty! Szukajcie w stajniach i oborach.

— W las uszedł! — zawołał jakiś szlachcic. — Hejże panowie bracia!

— Milczeć! — huknął potężnym głosem Józwa Butrym. — Panno! — rzekł. — Nie ukrywaj go!... To człek przeklęty!

Oleńka podniosła obie ręce nad głowę:

— Przeklinam go wraz z wami!...

— Amen! — krzyknęła szlachta. — Do zabudowań i w las! Odnajdziem go! Hajże na zbója!

— Hajże! Hajże!

S. c ęk szabel i stąpanie rozległo się na nowo. Szlachta wypadła

przed ganek i siadała co prędzej na koń. Część jej szukała jeszcze czas jakiś w zabudowaniach, w stajniach, w oborach, w odrynie — potem głosy poczęły się oddalać w stronę lasu.

Panna Aleksandra nasłuchiwała, dopóki zupełnie nie znikły, poczem zapukała gorączkowo do drzwi komnaty, w której ukryła pana Andrzeja.

— Niema już nikogo! wychodź waść!

Pan Kmicic wytoczył się z izby jak pijany.

— Oleńka! — zaczął.

Panna wstrząsnęła rozpuszczonymi włosami, które pokrywały niby płaszczem jej plecy.

— Nie chcę cię więcej znać! Bierz konia i uchodź stąd!...

— Oleńka! — jęknął Kmicic, wyciągając ręce.

— Krew na waćpana ręku jako na Kainowem! — krzyknęła odskakując jakby na widok węża. — Precz na wieki!...

## VI.

Dzień wstał blady i oświecił kupę gruzów w Wołmontowiczach zgliszcza domów zabudowań gospodarskich i popalone lub pocięte mieczami trupy ludzkie i końskie. W popiołach wśród dogasających węgli gromadki wybladłych ludzi szukały ciał nieboszczyków lub ostatków mienia. Był to dzień żałości i klęski dla całej Laudy. Rojna szlachta odniosła wprawdzie zwycięztwo nad oddziałem Kmicica, ale ciężkie i krwawe. Prócz Butrymów, których padło najwięcej, nie było zaścianka w którymby wdowy nie opłakiwały mężów, rodzice synów, lub dzieci ojców. Tem trudniej przyszło laudańskim pokonać napastników, że co najtęższi mężowie byli nieobecni, jeno starcy lub młodzieńcy w zaraniu młodości brali udział w walce. Jednakże z Kmicicowych ludzi nie ocalał żaden. Jedni gardła dali w Wołmontowiczach, broniąc się tak zaciekle, iż ranni jeszcze walczyli, innych wyłowiono następnego dnia po lasach i wybito bez litości. Sam Kmicic jak w wodę wpadł. Gubiono się w przypuszczeniach, co się z nim stało? Niektórzy twierdzili, że się do puszczy Zielonki, a stamtąd do Rogowskiej, gdzie chyba jedni Domaszewicze mogli go wyśledzić. Wielu twierdziło też, że do Chowańskiego zbiegnie i nieprzyjaciół naprowadzi, ale były to co najmniej obawy przedwczesne.

Tymczasem niedobitki Butrymów pociągnęły do Wodoktów i stanęły tam jakby obozem. Dom pełen był niewiast i dzieci. Co się nie zmieściło, poszło do Mitrunów, które panna Aleksandra całe pogorzelcom oddała. Prócz tego około stu zbrojnych ludzi, którzy się zmieniali kolejno stanęło w Wodoktach do obrony, spodziewano się bowiem, że pan Kmicic nie da za wygraną i lada dzień o pannę zbrojno może się pokusić. Przysłały i znaczniejsze w okolicy domy, jako Schelingowie, Sołłohuby i inni, kozaczków nadwornych i hajduków. Wodokty wyglądały jakby miasto, spodziewające się oblężenia. A zaś pomiędzy zbrojnymi ludźmi, pomiędzy szlachtą między gromadami niewiast, chodziła żałobna panna Aleksandra, blada, bolesna, słuchając ludzkiego płaczu i ludzkich przekleństw na pana Kmicica, które jakby mieczami przeszywały je serce, bo przecież ona była pośrednią przyczyną wszelkich nieszczęść. Dla niej to przybył w te okolice ów mąż szalony, który zburzył spokój i krwawą pamięć po sobie zostawił, prawa podeptał ludzi pobił, wsie jak bisurmanin nawiedził ogniem i mieczem Aż dziw było, że jeden człowiek mógł był tyle złego w tak krótkim przeciągu czasu uczynić i to człowiek ani zły zupełnie, ani zupełnie zepsuty. Jeśli kto, to panna Aleksandra, która go najbliżej poznała, wiedziała o tem najlepiej. Była cała przepaść między samym panem Kmicicem a jego uczynkami. Ale właśnie dlatego jakiż ból sprawiała pannie Aleksandrze myśl, że ten człowiek, którego pokochała całym pierwszym impetem młodego serca, mógł być inny: że miał w sobie takie przymioty, które mogły go uczynić, wzorem rycerza, kawalera, sąsiada że mógł zyskać zamiast wzgardy podziw i miłość ludzką — zamiast przekleństw, błogosławieństwa.

Więc chwilami zdawało się pannie, że to jakieś nieszczęście, jakaś siła wielka a nieczysta popchnęła go do tych wszystkich gwałtów, ktore spełnił, a wówczas chwytał ją żal prawdziwie niezmierny nad tym nieszczęśnikiem i niewygasła miłość nurtowała nanowo w sercu, podsycana świeżem wspomnieniem jego postaci rycerskiej, słów, zaklęć, kochania.

Tymczasem sto protestów oblatowano przeciw niemu w grodzie, sto procesów mu groziło, a pan starosta Hlebowicz wysłał pachołków do chwytania przestępcy.

Prawo musiało go potępić.

Jednakże od wyroków do ich wykonania było jeszcze daleko, bo

bezład wzrastał coraz bardziej w Rzeczypospolitej. Wojna straszliwa zawisła nad krajem i zbliżała się krwawemi krokami ku Żmudzi. Potężny Radziwiłł birżański, który sam jeden mógł prawo zbrojno poprzeć, zbyt był sprawami publicznemi zajęty, a jeszcze bardziej pogrążony w wielkich zamysłach, tyczących się domu własnego, który chciał wynieść nad wszystkie inne w kraju, choćby kosztem dobra publicznego. Inni też magnaci więcej o sobie niż o Rzeczypospolitej myśleli. Pękały już bowiem od czasów wojny kozackiej wszystkie spojenia w potężnej budowie tej Rzeczypospolitej.

Kraj ludny, bogaty, pełen dzielnego rycerstwa, stawał się łupem postronnych, a natomiast samowola i swawola podnosiły coraz bardziej głowę i mogły urągać prawu, tyle siły czuły za sobą.

Uciśnieni przeciw uciskającym najlepszą i niemal jedyną we własnych szablach mogli znaleść obronę, więc też i Lauda cała, protestując przeciw Kmicicowi w grodach, długo jeszcze nie zsiadła z konia, gotowa przemoc przemocą odeprzeć.

Ale upłynął miesiąc, a o Kmicicu nie było wieści. Ludzie jęli lżej oddychać. Możniejsza szlachta odwoływała zbrojną czeladź, którą na straż do Wodoktów była wysłała. Drobniejszej braci tęskno było do robót i wczasów po zaściankach, więc także poczęła się zwolna rozjeżdżać. A gdy wojenne humory uspokajały się w miarę jak czas płynął, coraz większa przychodziła owej ubogiej szlachcie ochota prawem nieobecnego nękać i w trybunałach swoich krzywd dochodzić. Bo choć samego Kmicica nie mogły wyroki dosięgnąć, pozostał przecie Lubicz, wielka i piękna majętność, gotowa za poniesione szkody nagroda i zapłata. Ochotę do procesów podtrzymywała przytem w laudańskiej braci bardzo gorliwie panna Aleksandra. Dwakroć zjeżdżali się do niej na narady starsi laudańscy, a ona w owych naradach nietylko brała udział, ale przewodniczyła im, zadziwiając wszystkich zgoła nie niewieścim umysłem i sądem tak trafnym, iż mógł jej go niejeden palestrant pozazdrościć. Chcieli tedy starsi laudańscy Lubicz zbrojno zająć i Butrymom go oddać, ale "panienka" odradziła stanowczo.

— Nie płaćcie gwałtem za gwałt, — mówiła — bo i wasza sprawa zła będzie, niechaj cała niewinność stanie po waszej stronie. On, człowiek zamożny i skoligacony, znajdzie i w trybunałach popleczników, a gdy najmniejszy pozór dacie, możecie nową krzywdę ponieść. Niechże was a racya będzie tak jasna, aby każdy sąd, choćby z braci jego złożony, nie mógł inaczej, jeno na waszą stronę

przysądzić. Mówcie Butrymom, by ani statków, ani bydła nie rbali i całkiem Lubicz w spokoju zostawili. Co im potrzeba, to im z Mitrunów dam, gdzie więcej jest wszelkiego dobra, niż kiedykolwiek było w Wołmontowiczach. A jeśliby pan Kmicic napowrót się tu zjawił, niechże i jego zostawią w spokoju, póki wyroków nie będzie, ani niech na jego zdrowie nie godzą. Pomnijcie, że póty tylko, póki on żyw, macie na kim krzywd waszych poszukiwać.

Tak mówiła mądra panna ze statecznym umysłem, a oni sławili jej mądrość, nie zważając, że odwłoka może wyjść także i na korzyść pana Andrzeja, a przynajmniej, że mu życie zabezpiecza. Może też i chciała Oleńka to życie niefortunne przed nagłą przygodą zabezpieczyć? Ale szlachta usłuchała jej, bo przywykła z dawnych, przedawnych czasów, wszystko, co wychodzi z ust Billewiczowskich, za ewangelię uważać — i pan Andrzej, gdyby się był zjawił, mógłby był do czasu spokojnie w Lubiczu osiąść.

Lecz on się nie zjawił. Natomiast w półtora miesiąca później przyszedł do panienki posłaniec z listem, jakiś obcy człowiek, nikomu nieznany. List był od Kmicica, pisany w następujące słowa:

"Sercem ukochana, najdroższa, nieodżałowana Oleńko! Wszelkiemu to jest przyrodzone stworzeniu, a zwłaszcza człowiekowi, choćby i najlichszemu, że za krzywdy swoje mścić się musi, a ktoby mu co złego uczynił, tedy on mu tem samem rad płaci. A że ja wyciąłem tę hardą szlachtę, to Bóg widzi, iż nie stało się to z żadnego okrucieństwa, ale dlatego, że towarzyszów moich — wbrew prawom boskim i ludzkim — bez uwagi na ich młodość i wysokie urodzenie, tak nielitościwą śmiercią pomordowali, jakaby ich nigdzie, nawet u Kozaków lub Tatarów, spotkać nie mogła. Nie będę zaprzeczał, że i gniew mnie prawie nadludzki opanował, ale któż będzie się dziwił gniewowi, który w krwi przyjacielskiej rozlanej początek bierze? Duchy to ś. p. Kokosińskiego, Ranickiego, Uhlika, Rekucia, Kulwieca i Zenda, w kwiecie wieku i sławy niewinnie posieczonych, uzbroiły ramię moje, wtedy właśnie, gdym—świadczę się Bogiem!— o zgodzie jeno i przyjaźni ze wszystką szlachtą laudańską zamyślał, chcąc żywot mój cale odmienić, wedle słodkich rad twoich. Słuchając skarg przeciw mnie, nie odrzucaj i mojej obrony i osądź sprawiedliwie. Żal mi teraz tych ludzi w zaścianku, bo może i niewinnym się dostało, ale żołnierz, mszcząc się krwi bratniej, niewinnych od winnych odróżnić nie umie i nikogo nie respektuje. Bogdajby się to nie

stało, co mi w twoich oczach zaszkodzić mogło. Za cudze grzechy i winy, za gniew sprawiedliwy, najcięższa dla mnie pokuta, bo straciwszy ciebie, w desperacyi zasypiam i w desperacyi się budzę, nie mogąc ciebie, ani kochania zapomnieć. Niechże mnie nieszczęsnego trybunały osądzą, niech sejmy wyroki potwierdzą, niech włożą mnie do trąby, do infamii, niech ziemia rozstąpi się mi pod nogami, wszystko zniosę, wszystko przecierpię, jeno ty, na Boga! nie wyrzucaj mnie z serca. Uczynię wszystko, co zechcą, oddam Lubicz, oddam po ewakuacyi nieprzyjacielskiej i majętności orszańskie; mam ruble zdobyczne w lasach zakopane, i te niech biorą, byleś mi rzekła, że mi wiary dotrzymasz, jako ci dziad nieboszczyk z tamtego świata nakazuje. Ocaliłaś mi życie, ocalże i duszę moją, daj krzywdy nagrodzić, pozwól żywot na lepsze odmienić, bo już to widzę, że gdy ty mnie opuścisz, to mnie Pan Bóg opuści i desperacya popchnie mnie do gorszych jeszcze uczynków..."

Ile tam głosów litośnych podniosło się w duszy Oleńki na obronę pana Andrzeja, któż zgadnie, któż wypisać potrafi! Miłość, jako nasionko leśne z wiatrem szybko leci, ale gdy drzewem w sercu wyrośnie, to chyba razem z sercem wyrwać ją można. Billewiczówna była z tych, co sercem uczciwem mocno kochają, więc łzami oblała ten list Kmiciców. Ale nie mogła przecież za pierwszem słowem o wszystkiem zapomnieć, wszystkiego przebaczyć. Skrucha Kmicica była zapewne szczerą, ale dusza pozostała dziką i natura niepohamowana pewnie nie zmieniła się tak przez owe wypadki, aby o przyszłości można było myśleć bez trwogi. Nie słów, ale uczynków trzeba było na przyszłość ze strony pana Andrzeja. Zresztą, jakżeto mogła powiedzieć człowiekowi, który okrawił całą okolicę, którego imienia nikt po obu brzegach Laudy nie wymawiał bez przekleństwa: "przybywaj, za trupy, pożogę, krew i łzy ludzkie, oddaję ci swą miłość i swoję rękę."

Więc odpisała mu inaczej:

"Jakom waćpanu rzekła, że nie chcę cię znać i widzieć, tak wytrwam w tem, choćby mi się serce miało rozedrzeć. Krzywd takich, jakie tu waćpan ludziom wyrządziłeś, nie płaci się ni majętnością, ni pieniędzmi, bo umarłych wskrzesić nie można. Niech że ci ta szlachta, którąś popalił i pomordował, przebaczy, to ci i ja przebaczę niech ona cię przyjmie, to i ja cię przyjmę, niech ona pierwsza za tobą się wstawi, tedy jej orędownictwa wysłucham. A jako się to nigdy stać nie może, tak i waćpan szukaj gdzieindziej szczęścia,

najpierw zaś boskiego, nie ludzkiego przebaczenia, bo ci boskie potrzebniejsze..."

Panna Aleksandra polała łzami każde słowo listu, potem zapieczętowała go Billewiczowskim sygnetem i sama wyniosła go posłańcowi.

— Skąd jesteś? — pytała, obrzucając wzrokiem tę dziwaczną postać półchłopa, półsługi.

— Z lasu, pannoczko.

— A gdzie twój pan?

— Tego mi nie wolno powiedzieć... Ale on stąd daleko; ja pięć dni jechał i szkapę zmordował.

— Masz talara! — rzekła Oleńka. — A twój pan nie w chorobie?

— Zdrowy on junak, jak tur.

— A nie w głodzie? nie w ubóstwie?

— On bogaty pan.

— Idź z Bogiem.

— Kłaniam do nóg.

— Powiedz panu... czekaj... powiedz panu... niech go Bóg wspomaga...

Chłop odszedł — i znowu zaczęły płynąć dnie, tygodnie bez wieści o Kmicicu, przychodziły za to publiczne, jedna od drugiej nieszczęśliwsze. Wojska moskiewskie Chowańskiego coraz szerzej zalewały Rzeczpospolitą. Nie licząc ziem ukrainnych, w samem Wielkiem Księstwie województwa Połockie, Smoleńskie, Witebskie, Mścisławskie, Mińskie i Nowogródzkie były zajęte, jeno część Wileńskiego, oraz Brzesko-litewskie, Trockie i starostwo Żmudzkie oddychały jeszcze wolną piersią, ale i te z dnia na dzień spodziewały się gości.

Na ostatni widać szczebel niemocy zeszła Rzeczpospolita, gdy nie mogła dać oporu tym właśnie siłom, które lekceważono aż dotąd i którem zawsze rozprawiano się zwycięsko. Prawda, że siły te wspomagał nieugaszony i odradzający się ciągle bunt Chmielnickiego, prawdziwa hydra stugłowa; pomimo jednak buntu, pomimo wyczerpania sił w poprzednich wojnach, i statyści i wojownicy zaręczali, że samo tylko Wielkie Księstwo mogło i było w stanie nietylko napór odeprzeć, ale jeszcze chorągwie swe zwycięstwo poza własne granice przenieść. Na nieszczęście, niezgoda wewnętrzna stawała

owej możności na przeszkodzie, paraliżując usiłowania tych nawet obywateli, którzy życie i mienie w ofierze nieść byli gotowi.

Tymczasem w ziemiach jeszcze niezajętych chroniło się tysiące zbiegów, tak ze szlachty, jak ludu prostego. Miasta, miasteczka wsie na Żmudzi pełne były ludzi przywiedzionych klęskami wojny do nędzy i rozpaczy. Miejscowa ludność nie mogła ani pomieścić wszystkich, ani dać im dostatecznego pożywienia—więc nieraz marli z głodu, mianowicie ludzie niskiego stanu; nieraz przemocą brali to, czego im odmawiano, stąd zamieszki, bitwy i rozboje stawały się coraz częstsze.

Zima była nadzwyczajna w swej surowości. Przyszedł wreszcie kwiecień, a śniegi leżały grubo, nietylko w lasach, ale i na polach. Gdy zeszłoroczne zapasy wyczerpały się, a nowych jeszcze nie było, począł grasować głód, brat wojny. I rozpościerał swe panowanie coraz szerzej. Wyjechawszy z domu nietrudno było spotkać trupy ludzkie, leżące po polach, przy drogach skostniałe, ogryzione przez wilki, które, rozmnożywszy się nadzwyczajnie, całemi stadami podchodziły pod wsie i zaścianki. Wycie ich mieszało się z wołaniem ludzkiem o litość; po lasach bowiem, po polach i tuż koło wsi licznych połyskiwały nocami ogniska, przy których nędarze rozgrzewali przemarzłe członki, a gdy kto przejeżdżał, tedy biegli za nim, prosząc o grosz, o chleb, o miłosierdzie, jęcząc, przeklinając i grożąc zarazem. Strach zabobonny zdjął umysły ludzkie. Wielu mówiło, że te wojny tak niepomyślne i te nieszczęścia dotąd niebywałe, do imienia królewskiego są przywiązane. Tłómaczono chętnie, że litery: J. C. R. wybite na pieniążkach, znaczą nietylko Joannes Casimirus Rex (Jan Kazimierz Król), ale i Initium Calamitatis Regni (Początek Nieszczęść Panowania.) A jeśli w prowincyach, jeszcze przez wojnę niezajętych, powstawał taki przestrach i bezład, łatwo się domyśleć, co działo się w tych, które już deptała ognista stopa wojny. Cała Rzeczpospolita była rozprzężona, targana przez partye, chora i w gorączce, jak człowiek przed śmiercią. Przepowiadano także nowe wojny zewnętrzne i domowe. Jakoż powodów nie brakło. Różne potężne w Rzeczypospolitej domy, ogarnięte wichrem niezgody, poglądały na się, jakby nieprzyjacielskie państwa, a za niemi całe ziemie i powiaty tworzyły przeciwne obozy. Tak właśnie było na Litwie, gdzie waśń sroga między Januszem Radziwiłłem, hetmanem wielkim, a Gosiewskim, hetmanem polnym

a zarazem podskarbim W. Ks. L., prawie w otwartą zmieniła się wojnę. Po stronie podskarbiego stanęli możni Sapiehowie, którym oddawna była solą w oku potęga Radziwiłłowskiego domu. Tych stronnicy ciężkiemi zaiste w. hetmana obarczali zarzutami: iż pragnąc tylko sławy dla siebie, wojsko pod Szkłowem wytracił i kraj na łup wydał; że więcej niż szczęścia Rzeczypospolitej, żądał dla swego domu prawa zasiadania w sejmach cesarstwa niemieckiego, że nawet o udzielnej koronie zamyślał, że katolików prześladował...

I przychodziło nieraz już do bitew między partyzantami stron obu, niby bez wiedzy patronów, patronowie zaś słali na się skargi do Warszawy, waśń ich odbijała się i na sejmach — na miejscu zaś rozprzęgała swawolę i zapewniała bezkarność, bo taki Kmicic pewny mógł być opieki jednego z tych potentatów, skoroby po jego stronie przeciw drugiemu stanął.

A tymczasem nieprzyjaciel szedł naprzód, gdzieniegdzie się tylko o zamki odbijając, zresztą swobodnie i bez oporu.

W takich okolicznościach wszyscy w laudańskiej stronie musieli żyć w czujności i pod bronią, zwłaszcza, że hetmanów nie było w pobliżu, obaj bowiem ucierali się z wojskami nieprzyjacielskiem niewiele wprawdzie wskórać mogąc, ale przynajmniej podjazdami go szarpiąc i przystęp do wolnych jeszcze województw tamując. Osobno i Paweł Sapieha odpór dawał i sławę zyskiwał. Janusz Radziwiłł, wojownik wsławiony, którego imię samo, aż do Sokłowskiej przegranej, groźne było nieprzyjacielowi, odniósł nawet kilka znaczniejszych korzyści. Gosiewski to bił się, to układami próbował napór wstrzymywać; obaj wodzowie ściągali wojska z leż zimowych i skąd mogli, wiedząc, że z wiosną wojna rozgorzeje na nowo. Ale wojsk było mało, skarb pusty, a pospolite ruszenie z województw już zajętych ściągać się nie mogło, bo je nieprzyjaciel hamował. "Trzeba było o tem przed Szkłowską potrzebą pomyśleć — mówili Gosiewszczycy. — teraz zapóźno." I istotnie było zapóźno. Koronne wojska przyjść z pomocą nie mogły, bo wszystkie były na Ukrainie i w ciężkiej pracy przeciw Chmielnickiemu, Szeremetowi i Buturlinowi.



Wieści tylko o walkach bohaterskich, dochodzące z Ukrainy, o miastach zdobytych, pochodach niebywałych, krzepiły nieco upadłe serca i do obrony zachęcały. Brzmiały też głośną sławą imiona hetmanów koronnych a obok nich imię pana Stefana Czarneckiego coraz się częściej na ustach ludzi pojawiało, ale sława za wojska, ani

za pomoc starczyć nie mogła; więc hetmani litewscy ustępowali zwolna, nie przestając kłócić się ze sobą po drodze.

Wreszcie Radziwiłł stanął na Żmudzi. Wraz z nim powrócił chwilowy spokój w stronie laudańskiej. Jeno kalwiniści ośmieleni blizkością swego naczelnika, podnosili po miastach głowy, krzywdy czyniąc i na kościoły napadając, ale za to przywódcy rozmaitych watach wolentarskich i partyj niewiadomo czyich, którzy pod barwą Radziwiłła, Gosiewskiego lub Sapiehów kraj niszczyli, pokryli się w las, rozpuścili swych łotrzyków —i ludzie spokojni lżej odetchnęli.

A ponieważ od zwątpienia łatwe jest przejście do nadziei, więc znagła lepszy duch zapanował na Laudzie. Panna Aleksandra siedziała spokojnie w Wodoktach. Pan Wołodyjowski, który wciąż mieszkał w Pacunelach, a teraz właśnie zwolna do zdrowia powracać począł, rozpuszczał wieści, że król na wiosnę przyjdzie z zaciężnemi chorągwiami, poczem wnet cała wojna inny obrót weźmie. Pokrzepiona szlachta poczęła wychodzić z pługami w pola. Śniegi też potajały i na brzezinie ukazały się pierwsze pędy. Lauda rozlała szeroko. Pogodniejsze niebo jaśniało nad okolicą. Lepszy duch wstępował w ludzi.

Wtem zaszedł wypadek, który znów zamącił laudańską ciszę, ręce oderwał od lemieszów i nie pozwolił szablom pokryć się rdzą czerwoną.

## VII.

Pan Wołodyjowski, sławny i stary żołnierz, choć człowiek młody, siedział, jak się rzekło, w Pacunelach u Pakosza Gasztowta, patryarchy pacunelskiego, który miał reputacyę najbogatszego szlachcica między wszystką drobną bracią laudańską! Jakoż trzy córki, które były za Butrymami, wyposażył hojnie dobrem srebrem dawszy każdej po talarów sto, prócz inwentarzy i wyprawy tak pięknej, że i niejedna szlachcianka familiantka lepszej nie miała. Inne trzy córki były w domu pannami i te pilnowały pana Wołodyjowskiego, któremu ręka to przychodziła do zdrowa, to martwiała znowu, gdy zdarzyły się słoty na świecie. Wszyscy laudańscy zajmowali się wielce tą ręką, bo ją widzieli w robocie pod Szkłowem i Sepielowem i ogólne było mniemanie, że lepszej trudno było znaleźć na całej Litwie. Otaczano też młodego pułkownika we wszystkich

okolicach czcią nadzwyczajną. Gasztowtowie, Domaszewicze, Gościewicze i Stakjanowie, a za nimi inni, dosyłali wiernie do Pacunelów ryby, grzyby i zwierzynę, i siano dla koni, i smołę do kałamaszek, aby rycerzowi i jego czeladzi na niczem nie zbywało. Ilekroć czuł się słabszym, jeździli na wyścigi po cyrulika do Poniewieża, słowem, wszyscy przesadzali się w usługach.

Panu Wołodyjowskiemu tak też było dobrze, że choć w Kiejdanach mógł mieć i wygody lepsze i medyka sławnego na zawołanie, przecie w Pacunelach siedział, a stary Gasztowt rad go podejmował i prawie prochy przed nim zdmuchiwał, bo podnosiło to nadzwyczajnie jego znaczenie w całej Laudzie, iż tak znamienitego ma gościa, któryby i samemu Radziwiłłowi honoru mógł przymnożyć.

Po pobiciu i wypędzeniu Kmicica, poszła rozmiłowana w panu Wołodyjowskim szlachta po rozum do głowy i uczyniła projekt ożenienia go z panną Aleksandrą. "Co będziem dla niej męża po świecie szukać! — mówili starzy na umyślnej sesyi, na której onę sprawę roztrząsano. — Gdy tamten zdrajca bezecnemi uczynkami tak się splamił, iż jeśli żyw, katu oddany być powinien, tedy i panna musiała go już z serca wyrzucić, bo tak było i w testamencie, w osobnej klauzuli przewidziane. Niechże pan Wołodyjowski się z nią żeni. Jako opiekunowie możem na to pozwolić; a tak i ona zacne kawalera i my sąsiada i wodza dostaniem."

Gdy zdanie to jednogłośnie zawotowane zostało, pojechali starsi najprzód do pana Wołodyjowskiego, który niewiele myśląc, na wszystko się zgodził, a potem do "panienki," która jeszcze mniej myśląc, stanowczo się sprzeciwiła. — "Lubiczem — rzekła — jeden tylko nieboszczyk miał prawo rozporządzać i majętność nie prędzej może być panu Kmicicowi odjęta, aż sądy na utratę gardła go skażą, a co się tyczy mego zamążpójścia, nawet o tem nie wspominajcie. Za dużo mam w sobie boleści, żebym o czemś podobnem myśleć mogła. Tamtego z serca wyrzuciłam, a tego, choćby był najgodniejszy, nie przywoźcie, bo wcale do niego nie wyjdę."

Nie było co rzec na tak stanowczą odmowę i szlachta wróciła do domów wielce zmartwiona: mniej zmartwił się pan Wołodyjowski a najmniej młode Gasztowtówny: Terka, Maryśka i Zonia. Rosłe to były dziewczęta i rumiane, miały włosy jak len, oczy jak niezabudki a plecy szerokie. Pacunelki wogóle słynęły z piękności: gdy szły kupą do kościoła, rzekłbyś: kwiaty na łące! Do tego stary Gasztowt i na edukacyę nie żałował. Organista z Mitrunów nau-

czył je sztuki czytania, pieśni kościelnych, a najstarszą Terkę i gry na lutni. Mając dobre serca tkliwie opiekowały się panem Wołodyjowskim, jedna starając się ubiedz drugą w czujności i staraniach. O Maryśce mówiono, że zakochana w młodym rycerzu; wszelako nie było w tej gadaninie całej prawdy, gdyż wszystkie trzy, nie ona jedna, były na zabój zakochane. On też lubił je bez miary, szczególnie Maryśkę i Zonię, bo Terka na zdradliwość męską zbytnio miała zwyczaj narzekać.

Nieraz bywało długiemi wieczorami zimowymi, stary Gasztowt, podpiwszy krupniczkiem, spać idzie, a one z panem Wołodyjowskim siędą wedle komina, miłutka Terka kądziel przędzie, słodka Marysia darciem kwapiu się zabawia, a Zonia nici z wrzecion na motki nawija. Lecz gdy pan Wołodyjowski zacznie opowiadać o wojnach, które przebył, albo o dziwach, które widział w różnych magnackich domach, to robota ustanie, dziewczęta w niego jak w tęczę patrzą i coraz to któraś wykrzyknie z podziwu: "Ach! ja nie żyję na świecie! Kochanieńcyż wy moi!" — druga odpowie: "całą noc oka nie zmrużę!"

Pan Wołodyjowski zaś, w miarę jak do zdrowia przychodził i szablą już chwilami zupełnie swobodnie zaczął władać, coraz był weselszy i coraz chętniej opowiadał. Pewnego tedy wieczora, zasiedli jak zwykle po wieczerzy pod okapem, z pod którego raźne światło padało na całą ciemną izbę, ale zrazu zaczęli się przekomarzać. Chciały dziewczęta opowiadania, a pan Wołodyjowski prosił Terkę, żeby mu też co zaśpiewała przy lutni.

— Sam waszmość zaśpiewaj! — odpowiedziała, odpychając instrument, który jej pan Wołodyjowski podawał —ja mam robotę. Bywając po świecie, musiałeś się różnych pieśni wyuczyć.

— Pewnie, żem się wyuczył. Ale już dziś niech tak będzie: ja zaśpiewam najprzód, a waćpanna po mnie. Robota nie przepadnie Żeby tak białogłowa jaka prosiła, pewniebyś się nie przeciwiła, mężczyźnie zawsześ oporna.

— Bo warto.

— Zali i mną tak waćpanna pogardzasz?

— At, gdzie tam! Śpiewaj już wasza mość.

Pan Wołodyjowski zabrzdąknął w lutnię, nastroił pocieszną minę i zaintonował fałszywym głosem:

Przyjechałem w takie miejsce,
Gdzie mnie żadna panna niej-chce!...

— Ot! to niesprawiedliwość! — przerwała Marysia, zarumieniwszy się jak malina.

— To jest żołnierska piosenka — rzekł pan Wołodyjowski, — którąśmy śpiewali w hibernach, chcąc, żeby się jaka dobra dusza nad nami użaliła.

— Jabym się pierwsza użaliła.

— Dziękuję waćpannie. Kiedy tak, to nie mam po co dłużej śpiewać i lutnię w godniejsze ręce oddaję.

Terka tym razem nie odepchnęła instrumentu, bo ją poruszyła pieśń pana Wołodyjowskiego, w której istotnie było więcej chytrości, niż prawdy, więc uderzyła zaraz w struny i złożywszy buzię "w ciupo," poczęła śpiewać:

Nie kodź do lasu czypać bzu,
I nie wierz kłopcu, jako psu!
Bo każdy kłopiec ma w sobie jad,
Kiedy cię kocha, powiedz mu: "at!"

Pan Wołodyjowski tak się rozwieselił, że aż się za boki uchwycił z radości i zakrzyknął:

— Wszyscyż to chłopcy zdrajcy? A wojskowi, moja dobrodziko?

Panna Terka silniej zesznurowała buzię i odśpiewała z podwójną energią:

Jeszcze gorsze psy, jeszcze gorsze psy!

— Nie uważaj, wasza mość, na Terkę, ona zawsze taka! — rzekła Marysia.

— Jak nie mam uważać — rzecze pan Wołodyjowski — gdy całemu stanowi wojskowemu tak szpetnie przymówiła, że ze wstydu nie wiem, gdzie oczy podziać.

— Wasza mość chcesz, żebym śpiewała, a potem sobie ze mnie dworujesz i wyśmiewasz — odpowiedziała nadąsana Terka.

— Nie napadam ja na śpiewanie, jeno na sens dla wojskowych okrutny — odparł rycerz; — co do śpiewania, muszę przyznać, że i w Warszawie tak wybornych gorgów nie słyszałem. Waćpannę tylko w pluderki przybrać, a mogłabyś u świętego Jana śpiewać, któren kościół jest katedralny i królestwo mają w nim swój ganeczek.

— A czemużby to ją w pluderki trzeba ubierać? — spytała najmłodsza Zonia, zaciekawiona wzmianką o Warszawie i o królestwie.

— Bo tam w chórze białogłowy nie śpiewają, jeno mężczyźni i młode chłopcy: jedni grubemi głosami, jak żaden tur nie zaryczy, inni cienko, że i na skrzypcach cieniej nie można. Słyszałem ich

wielekroć, gdyśmy z naszym wielkim i nieodżałowanym wojewodą ruskim na elekcyą teraźniejszego pana naszego miłościwego przyjechali. Cuda to prawdziwe, aż dusza z człowieka ucieka! Siła tam muzykantów: jest Forster, sławny subtelnymi gorgami i Kapuła, i Dżań Batysta, i Elerc, przedni do lutni, i Marek, i Mielczewski grzecznie komponujący. Ci wszyscy, kiedy to razem w kościele hukną, to jakobyś chóry serafińskie na jawie słyszał.

— Ot, to i pewno! jako żywo!—rzekła składając ręce Marysia.

— A króla, wasza mość, często widywał? — pytała Zonia.

— Tak z nim gadałem, jak z waćpanną. Po beresteckiej potrzebie za głowę mnie ścisnął. Mężny to pan i tak miłościwy, że kto go raz ujrzał, musi go pokochać.

— My go i nie widziawszy kochamy!... A koronę zali zawsze ma na głowie?

— Zaśby tam co dnia w koronie chadzał; żelaznej by na to trzeba głowy. Korona sobie w kościele wypoczywa, od czego i powaga jej rośnie, a król jegomość kapelusz czarny nosi, bryłantami ozdobiony, od których światłość na cały zamek bije...

— Powiadają, że zamek królewski to nawet od kiejdańskiego wspanialszy?

— Od kiejdańskiego? Fraszka przy nim kiejdański! Srogi to budynek, cały murowany, że drzewa i nie upatrzysz. Naokoło są dwa rzędy pokojów, jeden od drugiego zacniejszy. W nichto waćpanny ujrzycie rozmaite wojny i wiktorye, pendzlem na ścianach wyobrażone, jako to: sprawy Zygmunta III-go i Władysława; napatrzeć się temu nie można, bo wszystko jakoby żywe; dziw, że się nie rusza i że ci, co się biją, krzyku nie czynią. Ale już tego nikt udać nie potrafi, choćby najlepszy malarz. Niektóre zaś komnaty całe od złota; krzesła i ławy bisiorem albo lamą okryte, stoły z marmuru i alabastru, a co sepetów, puzder, zegarów w dzień i w nocy czas pokazujących, tegoby na wołowej skórze nie spisać. Dopieroś król z królową po onych komnatach chodzą i dostatkiem się cieszą; a wieczorem mają teatrum, kwoli większej jeszcze rozrywki...

— Cóżto takiego teatrum?

— Jakżeby to waćpannom powiedzieć... To jest takie miejsce, gdzie komedye grają i skoki włoskie misternie wyprawują. Komnata to tak wielka, jak niejeden kościół, cała w zacne kolumny. Po jednej stronie siedzą ci, co chcą się dziwować, a po drugiej stronie

kunszty są ustawione. Te podnoszą się i schodzą na dół; inne śrubami w rozmaite obracają się strony; raz okazują ciemność za chmurami, znów przyjemną światłość; na wierzchu niebo ze słońcem albo z gwiazdami, spodem ujrzysz czasem piekło okropne.

— O Jezu! — zawołały pacunelki.

— ...Z dyabłami. Czasem morze niezmierne, na nim okręty i syreny. Jedne persony spuszczają się z nieba, inne wychodzą z ziemi.

— Jenobym piekła widzieć nie chciała! — zakrzyknęła Zonia — i dziwno mi to, że ludzie na tak okropny widok nie pouciekają.

— Nie tylko nie uciekają, ale jeszcze przyklepują od uciechy — odrzekł pan Wołodyjowski, — bo to wszystko udane, nie prawdziwe, i przeżegnawszy, nie znika. Niemasz w tem sprawy złego ducha, jeno ludzka przemyślność. Nawet i biskupi tam z królestwem przychodzą i rozmaici dygnitarze, którzy potem razem z królem przed spaniem do uczty siadają.

— A zrana i w dzień co czynią?

— To zależy od humorów. Rano wstawszy, łaźni zażywają. Jest tam taka komnata, w której niemasz podłogi, jeno cynowy dół, jako srebro błyszczący, a w tym dole woda.

— Woda w komnacie... słyszałyście?

— Tak jest... i przybywa jej albo ubywa, wedle woli; może też być ciepła, albo zgoła zimna, bo tam są rury z kuraskami, taką i owaką niosące. Pokręcisz waćpanna kuraskiem, aż tu się leje, że i pływać można w komnacie, jako w jeziorze... Żaden król niema takiego zamku, jak nasz pan miłościwy, to wiadoma rzecz, i posłowie zagraniczni toż samo powiadają; żaden też nad tak zacnym narodem nie panuje, bo choć są różne grzeczne nacye na świecie przecie Bóg naszą szczególnie w miłosierdziu swojem przyozdobił.

— Szczęśliwy nasz król! — westchnęła Terka.

— Pewnie, że byłby on szczęśliwy, gdyby nie sprawy publiczne, gdyby nie wojny niefortunne, które Rzeczpospolitą gnębią za grzechy i niezgodę naszą. Wszystko to na barkach królewskich i wymówki mu jeszcze za nasze winy na sejmach czynią. A co on winien, że go słuchać nie chcą?... Ciężkie czasy nadeszły na ojczyznę; tak ciężkie, jakich jeszcze nie bywało! Najlichszy nieprzyjaciel już nas lekceważy, nas, którzyśmy z cesarzem tureckim szczęśliwie do niedawna wojowali. Takto Bóg pychę karze. Chwałaż mu, że mi już ręka chodzi dobrze w zawiasach... bo czas, wielki czas za miłą

ojczyznę się upomnieć i w pole ruszyć. Grzech w takich terminach próżnować.

— Jeno waćpan o wyjeździe nie wspominaj.

— Trudno ma być inaczej. Dobrze mi tu między waćpannami, ale im mi lepiej, tem mi gorzej. Niech tam mądrzy na sejmach racye dają, a żołnierzowi tęskno w pole. Póki życia, póty służby. Po śmierci Bóg, który w serca patrzy, najlepiej takich nagrodzi, co nie dla promocyi, ale z afektu dla ojczyzny służą... a podobno coraz mniej takich i dlatego przyszła na nas czarna godzina.

Oczy Marysi poczęły wilgotnieć, aż w końcu łzami wezbrały, które wypłynęły na rumiane jagody.

— Waćpan pojedziesz i zapomnisz, a my tu już chyba poschniemy. Któż nas tu będzie bronił od napastników?

— Pojadę, ale wdzięczność zachowam. Rzadko tak uczciwych ludzi, jak w Pacunelach!... Waćpanny zawsze się tego Kmicica boicie?

— Pewnie, że się boimy. Dzieci nim tu matki straszą, jak wilkołakiem.

— Nie wróci on już, a choćby i wrócił, nie będzie miał z sobą tych swawolników, którzy, miarkując z tego, co ludzie mówią, gorsi byli od niego. Szkoda to nawet jest, że tak dobry żołnierz tak się splamił i sławę i majętność utracił.

— I pannę.

— I pannę. Siła o niej dobrego powiadają.

— Po całych dniach ona nieboga teraz jeno płacze i płacze...

— Hm! — rzekł pan Wołodyjowski — przecie nie po Kmicicu płacze?

— Kto to wie! — rzekła Marysia.

— To tem gorzej dla niej, bo on już nie wróci; pan hetman odesłał część laudańskich do domu, to i siły teraz są. Bez sądubyśmy go zaraz rozsiekali. Musi on o tem wiedzieć, że laudańscy wrócili i ani nosa nie pokaże.

— Mają podobno nasi znowu ruszyć — rzekła Terka, — bo jeno na krótko dostali do domu pozwolenie.

— E! — rzecze pan Wołodyjowski — hetman rozpuścił ich, bo pieniędzy w skarbie nie masz. Desperacya prawdziwa! Gdy ludzie najpotrzebniejsi, to trzeba ich odsyłać... Ale już dobranoc waćpannom, czas spać. A niech się tam której pan Kmicic z mieczem ognistym nie przyśni.

To rzekłszy, pan Wołodyjowski wstał z ławy i zabierał się do odejścia, ale zaledwie uczynił krok ku alkierzowi, gdy nagle uczynił się hałas w sieni i głos jakiś począł krzyczeć za drzwiami przeraźliwie:

— Hej tam! na miłosierdzie Boskie! otwórzcie prędzej, prędzej!.

Dziewczęta przeraziły się okropnie; pan Wołodyjowski skoczył po szablę do alkierza, ale nie zdołał jeszcze z nią wrócić, gdy Terka odsunęła i do izby wpadł nieznany człek, którzy rzucił się do nóg rycerza.

— Ratunku, jaśnie pułkowniku!... Panna porwana!...

— Jaka panna?

— W Wodoktach...

— Kmicic! — wykrzyknął pan Wołodyjowski.

— Kmicic! — zawołały dziewczęta.

— Kmicic! — powtórzył posłaniec.

— Ktoś ty jest? — pytał pan Wołodyjowski.

— Włódarz z Wodoktów.

— My jego znamy! — rzekła Terka on dryjakiew dla waszej mości woził.

Wtem z za pieca wylazł rozespany stary Gasztowt, a we drzwiach ukazało się dwóch czeladników pana Wołodyjowskiego, których hałas zwabi do izby.

— Konie siodłać! — krzyknął pan Wołodyjowski. — Jeden niech do Butrymów rusza, drugi konia mnie podaje!

— U Butrymów ja już był — rzekł włódarz, — bo tam najbliżej. Oni mnie do waszej miłości przysłali.

— Kiedy panna porwana! — pytał Wołodyjowski.

— Dopieroco... Tam jeszcze czeladź rzną... ja konia dopadł.

Stary Gasztowt przetarł oczy.

— Co? panna porwana?

— Tak jest... Kmicic ją porwał! — rzekł pan Wołodyjowski. Jedziem z pomocą!

To rzekłszy, zwrócił się do posłańca:

— Ruszaj do Domaszewiczów — rzekł, — niech z rusznicami przybywajćą.

— Nuże i wy kozy!—krzyknął nagle stary na córki. — Nuże kozy! ruszyć na wieś, budzić szlachtę, niech się szabel imają! Pannę porwał Kmicic... co?... Boże odpuść! zbój, warchoł... co?

— Pójdźmy i my budzić — rzekł Wołodyjowski — będzie prędzej. Chodź wasze! konie, słyszę, już są.

Jakoż po chwili siedli na koń, z nimi dwóch czeladników: Ogarek i Syruć. Wszyscy puścili się drogą, między chatami zaścianku, bijąc we drzwi, w okna i krzycząc w niebogłosy:

— Do szabel! do szabel! Panna w Wodoktach porwana! Kmicic w okolicy!...

Słysząc te wołania, jaki taki wypadał z chaty patrzeć, co się dzieje, a zrozumiawszy o co rzecz idzie, poczynał sam wrzeszczeć: "Kmicic w okolicy! Panna porwana!" — i tak wrzeszcząc, ruszał na łeb na szyję ku zabudowaniom konia kulbaczyć, albo do chaty, szabliska po ścianie w ciemności macać. Coraz więcej głosów powtarzało: "Kmicic w okolicy!" — ruch czynił się w zaścianku, światła poczęły błyskać, rozległ się płacz kobiet, szczekanie psów. Nakoniec szlachta wysypała się na drogę, po części konno, a w części pieszo. Nad gromadą głów ludzkich połyskiwały w cieniu szable, piki, rohatyny, a nawet i widły żelazne.

Pan Wołodyjowski rzucił okiem na oddział, wnet rozesłał kilkunastu w różne strony, a sam zresztą ruszył naprzód.

Jezdni szli na czele, piesi za nimi i ciągnęli ku Wołmontowiczom, by się z Butrymami połączyć. Godzina była dziesiąta z wieczora, noc jasna, lubo księżyc jeszcze nie zaszedł. Ci ze szlachty, których świeżo z wojny hetman W. odesłał, zaraz zwarli się w szeregi; inni, mianowicie piesi, szli mniej sprawnie, czyniąc brzęk bronią, gawędząc i ziewając głośno, a chwilami klnąc wrażego Kmicica, który ich słodkiego wczasu pozbawił; tak doszli aż pod Wołmontowicze, przed któremi wysunął się ku nim zbrojny oddział.

— Stój! kto jedzie?!— poczęły wołać głosy z owego oddziału.

— Gasztowtowie!

— My Butrymi, Domaszewice już są.

— Kto u was dowodzi? — pytał pan Wołodyjowski.

— Józwa Beznogi, do usług pana pułkownika.

— Macie wieści?

— Do Lubicza ją porwał. Przeszli bagnami, by przez Wołmonwicze nie przechodzić.

— Do Lubicza? — pytał ze zdziwieniem pan Wołodyjowski. — Czy on się tam myśli bronić? przecie Lubicz nie forteca?

— W siłę widać ufa. Ludzi przy nim ze dwieście! Pewnie to

dostatki chce z Lubicza zabrać; wozy mają z sobą i koni luźnych kupę. Musiał nie wiedzieć o powrocie naszym z wojska, bo śmiało sobie poczyna.

— Dobra nasza! — rzekł pan Wołodyjowski. — To nam się nie wymknie. Strzelby ile u was?

— U nas Butrymów sztuk ze trzydzieści, u Domaszewiczów dwa razy tyle.

— Dobrze. Niech pięćdziesiąt ludzi ze strzelbami ruszy pod waszecią bronić przepraw na bagnach — żywo! Reszta pójdzie ze mną. O siekierach pamiętać!

— Wedle rozkazu!

Uczynił się ruch; mały oddział ruszył truchtem ku bagnom pod Józwą Beznogim.

Tymczasem nadjechało kilkunastu Butrymów, rozesłanych poprzednio do innej szlachty.

— Gościewiczów nie widać? — pytał pan Wołodyjowski.

— A! to wasza mość pan pułkownik!... Chwała Bogu! — zawołali nowoprzybyli. — Gościewicze idą już... słychać ich przez las. Wasza mość wie, że do Lubicza ją porwał?

— Wiem. Niedaleko z nią zajedzie.

Rzeczywiście Kmicic nie obliczył jednego niebezpieczeństwa swej zuchwałej wyprawy: oto nie wiedział, że znaczne siły szlachty przybyły właśnie do domów. Sądził, że zaścianki są puste, jak było za czasów jego pierwszego pobytu w Lubiczu; tymczasem teraz, licząc z Gościewiczami, bez Stakjanów, którzy nie mogli przybyć na czas, pan Wołodyjowski mógł wyprowadzić przeciw niemu około trzystu szabel — i to ludzi przywykłych do boju i wyćwiczonych.

Jakoż coraz więcej szlachty nadciągnęło do Wołmontowicz. Przyszli wreszcie i Gościewicze, za którymi się dotąd oglądano. Pan Wołodyjowski sprawił oddział i aż mu serce rosło na widok wprawy i łatwości, z jaką stanęli w ordynku. Na pierwszy rzut oka poznać było można, że to żołnierze, nie zwyczajna niesforna szlachta. Pan Wołodyjowski ucieszył się jeszcze i dla tego, bo sobie pomyślał, że wkrótce dalej ją poprowadzi.

Poszli tedy rysią ku Lubiczowi, owym borem, przez który Kmicic dawniej przelatywał. Było już dobrze po północy. Księżyc wypłynął wreszcie na niebo i oświecił las, drogę i ciągnących wojowników, rozłamał blade promienia na ostrzach pik, odbijał się w sza-

blach błyszczących. Szlachta gwarzyła z cicha o nadzwyczajnem zdarzeniu, które ich wyrwało z pościeli.

— Chodzili tu rozmaici ludzie — mówił jeden z Domaszewiczów — myśleliśmy, że to zbiegowie, a to pewnie byli jego szpiegi.

— A jakże. Codzień też obce dziady zachodziły do Wodoktów niby po jałmużnę — odrzekł drugi.

— A coto za żołnierz przy Kmicicu?

— Czeladź z Wodoktów mówią, że Kozacy. Pewnie się Kmicic z Chowańskim, lub z Żołtareńską zwąchał. Dotąd był zbójem, teraz zdrajca to już oczywisty.

— Jakżebyto on mógł Kozaków aż tu przyprowadzić?

— Toć pierwsza lepsza nasza chorągiew byłaby go zatrzymała po drodze!

—Po pierwsze mógł lasami iść, a po drugie, małożto panów z dworskiemi Kozakami się uwija? Kto ich tam odróżni od nieprzyjaciół; jeśli ich pytano, to się nadwornymi Semenami podawali.

— Będzie on się bronił, — mówił jeden z Gościewiczów — bo człek jest mężny i rezolutny, ale nasz pułkownik da sobie z nim radę.

— Butrymowie też sobie zaprzysięgli, że choćby mieli jeden na drugim paść, już on nie ujdzie stąd żywy. Oni na niego najzawziętsi.

— Ba! a jak go usieczem, to na kim będą swoich krzywd dochodzić? Lepiejby było żywcem go pojmać i sprawiedliwości oddać.

— Co tam teraz o sądach myśleć, kiedy wszyscy głowy potracili. Czy waszmościom wiadono, co ludzie mówią, że i od Szwedów może przyjść wojna?

— Niechże Bóg zachowa!... Moskiewska potencya i Chmielnicki, Szwedów tylko brak, a jużby ostatni termin na Rzeczpospolitą przyszedł.

Wtem pan Wołodyjowski, jadący na przodzie, odwrócił się i rzekł:

— Cicho tam, waszmościowie!

Szlachta umilkła, bo Lubicz już było widać. Po kwadransie drogi przysunęli się o niecałą staję ode dworu. Wszystkie okna były oświecone; jasność biła aż na podwórze, na którem pełno było zbrojnych ludzi i koni. Nigdzie żadnych straży, żadnych ostrożności — widocznie pan Kmicic ufał aż nadto swym siłom. Zbliżywszy się jeszcze więcej, pan Wołodyjowski z jednego rzutu oka poznał Kozaków, z którymi tyle się nawojował jeszcze za życia wiel-

kiego Jeremiego, a później pod Radziwiłłem, więc mruknął zcicha sam do siebie:

— Jeśli to są obcy Kozacy, to ten warchoł przebrał miarę!

I patrzył dalej, zatrzymawszy cały oddział. Na podwórzu krzątanina była okrutna. Jedni Kozacy świecili pochodniami, inni biegali na wszystkie strony, wychodzili z domu i wchodzili napowrót, wynosili rzeczy, pakowali toboły na wozy; inni wyprowadzali konie ze stajen, bydło z obór; krzyki, nawoływania i rozkazy krzyżowały się na wszystkie strony. Blask pochodni oświecał jakoby przeprowadzkę świętojańską dzierżawcy do nowego majątku.

Krzysztof Domaszewicz, starszy między Domaszewiczami, przysunął się do pana Wołodyjowskiego.

— Wasza mość! — rzekł — cały Lubicz chcą zapakować na wozy.

— Nie wywiozą — odparł pan Wołodyjowski — nietylko Lubicza, ale i skóry własnej. Nie poznaję jednak Kmicica, który jest żołnierz doświadczony. Ani jednej straży.

— Bo potęgę ma wielką; widzi mi się, będzie nad trzysta ludzi. Żebyśmy byli z wojska nie wrócili, mógłby w biały dzień przejść z wozami przez wszystkie zaścianki.

— Dobrze! — odrzekł pan Wołodyjowski. — Wszak to do dworu ta jedna droga prowadzi?

— Ta jedna, bo z tyłu stawy i bagna.

— To dobrze.... Z koni waszmościowie!

Posłuszna rozkazowi szlachta wnet zeskoczyła z kulbak; następnie szeregi piesze zwarły się w długą linię i poczęły otaczać dom wraz z zabudowaniami.

Pan Wołodyjowski z głównym oddziałem zbliżył się wprost do kołowrotu.

— Czekać komendy! — rzekł zcicha. — Nie strzelać przed rozkazem!

Kilkadziesiąt zaledwie kroków dzieliło szlachtę od kołowrotu, gdy spostrzeżono ich wreszcie z podwórca. Kilkunastu ludzi skoczyło razem do płotów i przechyliło się przez nie, pilnie wpatrując się w ciemność, a groźne głosy wołać poczęły:

— Hej! a szto za lude?

— Alt! — zakrzyknął pan Wołodyjowski. — Ognia!

Wystrzały ze wszystkich rusznic, jakie miała szlachta, huknęły naraz; ale jeszcze echo ich nie odbiło się o zabudowania, gdy znów rozległ się głos pana Wołodyjowskiego:

— Biegiem!

— Bij, zabij! — odkrzyknęli laudańscy, rzucając się naprzód, jak potok.

Kozacy odpowiedzieli strzałami, lecz nie mieli już czasu nabić powtórnie. Hurma szlachty przypadła do kołowrotu, który wnet runął pod parciem zbrojnych mężów. Walka zawrzała na podwórzu, wśród wozów, koni, tobołów. Najprzód szli murem potężni Butrymowie, najsrożsi w ręcznem spotkaniu i najzacieklejsi przeciw panu Kmicicowi. Szli, jak stado odyńców idzie przez młode krze leśne, łamiąc, depcąc, niwecząc i tnąc zapamiętale; za nimi walili Domaszewicze i Gościewicze.

Kmicicowi bronili się mężnie zza wozów i pak; poczęto też strzelać ze wszystkich okien domu i z dachu, ale rzadko, bo pochodnie zdeptane zagasły i trudno było swoich od nieprzyjaciół odróżnić. Po chwili wyparto Kozactwo z podwórza ku domowi i stajniom rozległy się krzyki o litość. Szlachta tryumfowała.

Ale gdy została sama na podwórzu, wnet ożywił się ogień z domu. Wszystkie okna zjeżyły się rurami muszkietów i grad kul począł sypać się na podwórze. Największa część Kozaków schroniła się do domu.

— Pod dwór! do drzwi! — zawołał pan Wołodyjowski.

Rzeczywiście pod samemi ścianami strzały szkodzić nie mogły ani z okien, ani z dachu. Położenie jednak oblegających było trudne. O szturmie do okien niepodobna im było pomyśleć, bo tam przywitałby ich ogień w same twarze; kazał więc pan Wołodyjowski drzwi rąbać.

Ale i to nie szło łatwo, były to bowiem raczej wrzeciądze, niż drzwi, zbudowane z dębowych krzyżniaków, nabijanych raz przy razie olbrzymiemi gwoździami na których potężnych łbach szczerbiły się siekiery, nie mogąc drzewa zachwycić. Najsilniejsze chłopy parli od czasu do czasu ramionami i to próżno. Drzwi miały z tyłu żelazne sztaby, a oprócz tego podparto je od wewnątrz drągami. Butrymowie jednak rąbali ze wściekłością. Do drzwi kuchennych i wiodących ze skarbczyka szturmowali Domaszewicze i Gościewicze.

Po godzinie próżnych usiłowań zmienili się ludzie przy siekierach. Niektóre krzyżniaki wypadły, ale na ich miejsce ukazały się rury muszkietów. Dwóch Butrymów padło na ziemię z przestrzeloną piersią. Inni zamiast się zmieszać, rąbali tem zacieklej.

Z rozkazu pana Wołodyjowskiego pozatykano otwory kłębami, uczynionemi z kapot. W tymże czasie nowe okrzyki ozwały się od strony drogi, to Stakjanowie przybyli na pomoc braci, a za nimi zbrojni chłopi z Wodoktów.

Przybycie tych nowych posiłków strwożyło widocznie oblężonych, bo wnet jakiś głos począł wołać gromko za drzwiami:

— Stój tam! nie rąb! słuchaj... Stój do stu dyabłów... rozmówmy się!

Wołodyjowski kazał przerwać robotę i spytał.

— Kto mówi?

— Chorąży orszański, Kmicic! — brzmiała odpowiedź. — A z kim mówi?

— Pułkownik Michał Jerzy Wołodyjowski.

— Czołem! — ozwał się głos zza drzwi.

— Nie czas na powitania. Czego waść chcesz?

— Mnieby słuszniej zapytać: czego waść chcesz? Nie znasz mnie, ja ciebie... czemu mnie napadasz?

— Zdrajco! — zakrzyknął pan Michał.— Ze mną są ludzie laudańscy, którzy z wojny wrócili i ci mają z tobą obrachunki, za rozbój i za krew niewinnie przelaną i za tę pannę, którąś teraz porwał! A wiesz, co to jest raptus puellae (porwanie dziewczyny)? Musisz tu gardło dać!

Nastała chwila milczenia.

— Nie nazwałbyś mnie drugi raz zdrajcą, — rzekł znów Kmicic — gdyby nie te drzwi, które nas dzielą.

— To je otwórz... Tego ci nie bronię!

— Pierwej jeszcze niejeden kondel laudański nogami się nakryje. Nie weźmiecie mnie żywym!

— To cię zdechłego za łeb wywleczem. Wszystko nam jedno.

— Słuchaj waść dobrze i zakonotuj, co powiem. Jeśli nas nie poniechacie, mam tu baryłkę prochu i loncik już tlejący; dom wysadzę, wszystkich, co tu są i siebie... Tak mi dopomóż Bóg! Chodźcie mnie teraz brać!

Tym razem nastała jeszcze dłuższa chwila milczenia. Pan Wołodyjowski szukał napróżno odpowiedzi. Szlachta poczęła spoglądać po sobie przerażona. Tyle było dzikiej energii w słowach Kmicica, że w groźbę uwierzyli wszyscy. Całe zwycięstwo mogło być jedną iskrą w prochy rozwiane i Billewiczówna stracona na wieki.

— Dla Boga!— mruknął któryś z Butrymów — to szalony człek. On to gotów uczynić.

Nagle panu Wołodyjowskiemu przyszła szczęśliwa, jak mu się zdawało, myśl do głowy.

— Jest inny sposób! — zakrzyknął. — Wychodź ze mną, zdrajco, na szable! Położysz mnie, to odjedziesz wolno!

Przez jakiś czas nie było odpowiedzi. Serca laudańskich biły niespokojnie.

— Na szable? — spytał wreszcie Kmicic. — Może to być?

— Jeślić tchórz nie oblatuje, to i będzie!

— Parol kawalerski, że odjadę wolno?

— Nie może być! — krzyknęło kilka głosów między Butrymami.

— Cicho waściowie, do stu dyabłów! — huknął pan Wołodyjowski — a nie, to niech siebie i was prochem wysadza.

Butrymowie zamilkli, po chwili jeden z nich rzekł:

— Będzie tak, jak wasza mość chce...

— A cóż tam? — pytał szydersko Kmicic. — Szaraczki się zgadzają?

— I zaprzysięgną na mieczach, jeżeli waść chcesz.

— Niech przysięgają!

— Kupą tu waszmościowie, kupą! — wołał pan Wołodyjowski na szlachtę, stojącą pod ścianami i otaczającą cały dom.

Po chwili wszyscy zebrali się pod głównemi drzwiami i wnet wieść, że Kmicic chce się prochami wysadzić, rozniosła się na wszystkie strony. Stali tedy, jak w kamienie zmienieni ze zgrozy; tymczasem pan Wołodyjowski podniósł głos i mówił wśród ciszy grobowej:

— Wszystkich tu obecnych waszmościów biorę na świadki, żem pana Kmicica, chorążego orszańskiego, wyzwał na bitwę samowtór, i to mu przyrzekam, iż jeśli mnie położy, odjedzie wolno, nie doznając w tem od waszmościów przeszkody, co mu na rękojeściach zaprzysiądz musicie, na Boga Najwyższego i święty krzyż...

— Poczekajcie jeno! — zawołał Kmicic — wolno ze wszystkimi ludźmi odjadę i pannę ze sobą zabiorę.

— Panna tu zostanie! — odparł pan Wołodyjowski — a ludzie w jasyr do szlachty pójdą.

— Nie może być.

— To się prochami wysadzaj. Już my jej odżałowali, a co do ludzi, to się ich spytaj, co wolą...

Nastała znów cisza.

— Niechże tak będzie — rzekł po chwili Kmicic. — Nie dziś ją porwę, to za miesiąc. Nie skryjecie jej pod ziemią! Przysięgajcie!

— Przysięgajcie! — powtórzył pan Wołodyjowski.

— Przysięgamy na Boga Najwyższego i święty krzyż. Amen!

— No, wychodź, wychodź waść — rzekł pan Michał.

— Pilno waszmości na tamten świat?

— Dobrze, dobrze! jeno prędzej.

Sztaby żelazne, trzymające drzwi od wewnątrz, poczęły szczękać.

Pan Wołodyjowski usunął się w tył, a za nim szlachta, by miejsce uczynić. Wnet drzwi otworzyły się i ukazał się w nich pan Andrzej rosły, smukły jak topola. Brzask już był na świecie i pierwsze blade światełka dnia padły na jego twarz hardą, rycerską, a młodą. Stanąwszy we drzwiach, spojrzał śmiało na czeredę szlachty i rzekł:

— Zaufałem waszmościom... Bóg wie, czym dobrze uczynił, a mniejsza z tem!... Który tu pan Wołodyjowski?

Mały pułkownik wysunął się naprzód.

— Jam jest! — odrzekł.

— Ho! nie na wielkoluda waszmość wyglądasz — rzekł Kmicic czyniąc przymówkę do wzrostu rycerza —spodziewałem się zacniejszą figurę znaleść, choć ci to muszę przyznać, żeś widać żołnierz doświadczony.

— Nie mogę tego waści przyznać, boś straży zaniedbał. Jeśliś taki do szabli, jak do komendy, to i nie będę miał roboty.

— Gdzie staniemy? — spytał żywo Kmicic.

— Tu!... podwórzec równy jak stół.

— Zgoda! gotuj się na śmierć.

— Takiś waść pewien?

— Widać, żeś w orszańskiem nie bywał, skoro o tem wątpisz... Nietylkom pewien, ale i żal mi waćpana, bom o tobie jako o sławnym żołnierzu słyszał. Dlatego ostatni raz mówię: zaniechaj mnie! Nie znamy się... poco mamy sobie w drogę wchodzić? Czemu na mnie nastajesz?... Dziewka testamentem mi przynależy, jako i ta majętność i Bóg widzi, swego tylko dochodzę... Prawda jest, żem szlachtę w Wołmontowiczach wysiekł, ale niechże Bóg sądzi, kto tu pierw został skrzywdzony. Swawolnicy byli moi oficyerowie, czy nie

swawolnicy, mniejsza z tem, dość, że tu nikomu zła nie uczynili, wybito ich do nogi, jak psów wściekłych, za to, że z dziewczętami w karczmie chcieli potańczyć. Niechże będzie krew za krew! Potem mi i żołnierzy wysieczono. Na rany Boskie zaprzysięgnę, żem tu bez złych chęci w te strony przyjechał, a jakże mnie tu przyjęto?... Ale niech będzie krzywda za krzywdę. Jeszcze swego dołożę, szkody nagrodzę... po sąsiedzku. Lepiej wolę tak, jak inaczej.

— A jacyżto ludzie z waćpanem teraz przyszli? Skądże wziąłeś tych pomocników? — pytał pan Wołodyjowski.

— Skąd wziąłem, to wziąłem. Nie przeciw ojczyźnie ich zaciągnąłem, ale by prywaty swojej dochodzić.

— Takiś to?... Więc dla prywaty z nieprzyjacielem się połączyłeś A czemże mu za onę usługę zapłacisz, jeśli nie zdradą?... Nie, bratku, nie przeszkadzałbym ja ci układać się z tą szlachtą, ale wezwać nieprzyjaciela w pomoc, to inna rzecz. Nie wykręcisz się sianem. Stawajno teraz, stawaj, bo widzę. że cię tchórz obłatuje, choć się za orszańskiego mistrza podajesz.

— Chciałeś! — rzekł Kmicic, stając w pozycyi.

Ale pan Wołodyjowski nie śpieszył się i nie wydobywając jeszcze szabli, obejrzał się naokoło po niebie. Świtało już. Na wschodzie pierwsza złota i błękitna wstążka rozciągnęła się świetlistem pasmem, na podwórzu jednak dość było jeszcze ciemno, zwłaszcza zaś przed domem mrok panował zupełny.

— Dobrze się dzień zaczyna — rzekł pan Wołodyjowski, — ale słońce nieprędko jeszcze wejdzie. Może waść życzysz, żeby nam poświecili?

— Wszystko mi jedno.

— Mości panowie! — zawołał pan Wołodyjowski, zwracając się do szlachty, — a skoczyćno po wiechetki i po łuczywo, będzie nam jaśniej w tym orszańskim tańcu.

Szlachta, której żartobliwy ton młodego pułkownika dziwnie dodawał otuchy, kopnęła się raźnie ku kuchni, niektórzy poczęli zbierać podeptane w czasie bitwy pochodnie i po niejakim czasie blisko pięćdziesiąt czerwonych płomieni zamigotało w bladym mroku porannym. Pan Wołodyjowski ukazał je szablą Kmicicowi.

— Patrz waść, istny kondukt!

A Kmicic odparł odrazu:

— Pułkownika chowają, to i pompa być musi.

— Srogi smok z waści!...

Tymczasem szlachta zatoczyła w milczeniu krąg naokół rycerzy; najbliżsi podnieśli zapalone drzazgi w górę, za nimi umieścili się inni, ciekawi i niespokojni; w środku przeciwnicy mierzyli się oczyma. Cisza zrobiła się okrutna, jeno węgielki spalone osuwały się z szelestem na ziemię. Pan Wołodyjowski wesół był jak szczygieł w pogodny ranek.

— Zaczynaj waść! — rzekł Kmicic.

Pierwszy szczęk ozwał się echem w sercach wszystkich patrzących: pan Wołodyjowski przyciął, jakby z niechcenia, pan Kmicic odbił i przyciął z kolei, pan Wołodyjowski znów odbił. Suchy szczęk stawał się coraz szybszy. Wszyscy dech wstrzymywali Kmicic atakował z furyą, pan Wołodyjowski zaś lewą rękę w tył założył i stał spokojnie, czyniąc niedbale ruchy bardzo małe, prawie nieznaczne; zdawało się, że chciał siebie tylko osłonić,a zarazem oszczędzić przeciwnika — czasem cofnął się o mały krok w tył, czasem postąpił naprzód — widocznie badał biegłość Kmicica. Tamten rozgrzewał się, ten był chłodny, jak mistrz próbujący ucznia, i coraz spokojniejszy; wreszcie, ku wielkiemu zdumieniu szlachty, przemówił:

— Pogawędźmy — rzekł, — nie będzie nam się czas dłużył... Aha! to ta orszańska metoda?... widać tam musicie groch młócić, bo waćpan machasz jak cepem... Okrutnie się zmachasz. Zaliś to naprawdę w Orszańskiem najlepszy?... Ten cios jeno u pachołków trybunalskich w modzie... Ten kurlandzki... dobrze się nim od psów opędzać. Uważaj waćpan na koniec szabli... Nie wyginaj tak dłoni, bo patrz, co się stanie... Podnieś!...

Ostatnie słowa wymówił pan Wołodyjowski dobitnie, jednocześnie zatoczył półkole, dłoń i szablę pociągnął ku sobie i nim patrzący zrozumieli, co znaczy: "podnieś" — już szabla Kmicica, jak wywleczona igła z nitki, furknęła nad głową pana Wołodyjowskiego i upadła mu za plecami; on zaś rzekł:

— To się nazywa wyłuskiwać szablę.

Kmicic stał blady, z obłąkanemi oczyma, chwiejący się, zdumiony niemniej od szlachty laudańskiej; mały pułkownik zaś usunął się w bok i ukazawszy na leżącą na ziemi szerpentynę, powtórzył po raz drugi:

— Podnieś!

Przez chwilę zdawało się, że Kmicic rzuci się na niego z gołemi rękoma... Już, już był gotów do skoku, już pan Wołodyjowski, przysunąwszy rękojeść do piersi, nadstawił ostrze, ale pan Kmicic rzucił się na szablę i wpadł z nią na straszliwego przeciwnika.

Szmery głośne poczęły się zrywać w kole patrzących i koło ścieśniało się coraz bardziej, a za niem uformowało się drugie, trzeci. Kozacy Kmicicowi wtykali głowy między ramiona szlachty, jakby całe życie w najlepszej z nią żyli zgodzie. Mimowolne okrzyki wyrywały się z ust widzów; czasem rozlegał się wybuch niepohamowanego, nerwowego śmiechu; poznali wszyscy mistrza nad mistrzami

Ten zaś bawił się okrutnie, jak kot z myszą — i pozornie coraz niedbalej robił szablą. Lewą rękę wysunął z za pleców i wsunął w kieszeń hajdawerów. Kmicic pienił się, rzęził, nakoniec chrapliwe słowa wyszły mu z gardzieli przez zaciśnięte usta:

— Kończ... waść!... wstydu oszczędź!...

— Dobrze! — rzekł Wołodyjowski.

Dał się słyszeć świst krótki, straszny, potem stłumiony krzyk... jednocześnie Kmicic rozłożył ręce, szabla wypadła mu z nich na ziemię... i runął twarzą do nóg pułkownika...

— Żyje — rzekł Wołodyjowski — nie padł na wznak!

I zagiąwszy połę Kmicicowego żupana, począł nią ocierać szablę.

Zawrzała szlachta jednym głosem, w tych zaś krzykach brzmiało coraz wyraźniej:

— Dobić zdrajcę!... dobić... rozsiekać!...

I kilku Butrymów biegło z dobytemi szablami. Nagle stało się coś dziwnego: oto rzekłbyś: mały pan Wołodyjowski urósł w oczach, szabla najbliższego Butryma wyleciała mu z ręki śladem Kmicicowej, jakby ją wicher porwał — pan Wołodyjowski zaś krzyknął z iskrzącemi oczyma:

— Wara!... wara!... Teraz on mój, nie wasz!... Precz!...

Umilkli wszyscy, bojąc się gniewu tego męża, on zaś rzekł:

— Nie potrzeba mi tu jatek!... Waszmościowi szlachtą będąc, powinniście rozumieć kawalerski obyczaj, aby rannego nie dobijać. Nieprzyjacielowi nawet tego się nie czyni, a cóż dopiero przeciwnikowi w pojedynku zwyciężonemu.

— On zdrajca! — mruknął któryś z Butrymów. — Takiego godzi się bić.

— Jeśli on zdrajca, tedy panu hetmanowi oddany być powinien,

aby karę poniósł i stanął za przykład innym. Zresztą, jakom wam rzekł: mój on teraz: nie wasz. Jeśli wyżyje, to wam wolno będzie krzywd waszych przed sądem dochodzić i z żywego lepszą mieć będziecie satysfakcyę, niż z umarłego. A kto tu umie rany opatrywać?

— Krzych Domaszewicz. On zdawna wszystkich na Laudzie opatruje.

— Niechże go zaraz opatrzy, potem na łoże go przenieść, a ja pójdę tę nieszczęsną pannę pocieszyć.

To rzekłszy, pan Wołodyjowski zasunął szabelkę do pochwy i wszedł przez porąbane drzwi do domu. Szlachta poczęła łowić i wiązać rapciami ludzi kmicicowych, którzy odtąd mieli orać rolę w zaściankach. Poddawali się też bez oporu; ledwie kilkunastu wypadłszy przez tylne okna domu, skoczyło ku stawom, ale tam wpadli w ręce czekających Stakjanów. Jednocześnie szlachta wzięła się do rabunku wozów, na których łup znalazł się dość obfity, niektórzy radzili zrabować i dom, ale bano się pana Wołodyjowskiego, a może obecność w domu Billewiczówny wstrzymywała zuchwalszych. Swoich poległych, między którymi było trzech Butrymów i dwóch Domaszewiczów, złożyła szlachta na wozy, aby ich po chrześciańsku pochować, dla zabitych Kmicicowych kazano kopać chłopom rów za ogrodem.

Pan Wołodyjowski, zaś szukając panny, przetrząsnął cały dom i znalazł ją dopiero w skarbczyku, położonym w rogu, do którego prowadziły maleńkie a ciężkie drzwi z izby sypialnej. Była to mała komnatka, o wązkich, grubo kratowanych oknach, zbudowana w kwadrat, z murów tak potężnych, że pan Wołodyjowski poznał natychmiast, iż choćby Kmicic był dom wysadził prochem, ta izba byłaby ocalała z pewnością. To dało mu lepsze o Kmicicu mniemanie. Panna siedziała na skrzyni niedaleko drzwi, z głową spuszczoną, z twarzą prawie zasłoniętą włosami i całkiem nie podniosła jej, słysząc wchodzącego rycerza. Myślała zapewne, że to sam Kmicic lub kto z jego ludzi. Pan Wołodyjowski stanął we drzwiach, zdjął czapkę, chrząknął raz i drugi, a widząc, iż i to nie pomaga, ozwał się:

— Mościa panno... wolna jesteś!

Wówczas z pod narzuconych włosów spojrzały na rycerza oczy błękitne, a potem wychyliła się z nich twarz śliczna, choć blada i

jakby nieprzytomna. Pan Wołodyjowski spodziewał się podziękowań, wybuchu radości, tymczasem panna siedziała nieruchomie i tylko patrzyła nań błędnie; więc rycerz ozwał się po raz drugi:

— Przyjdź waćpanna do siebie, Bóg wejrzał na niewinność... Jesteś wolna i możesz wracać do Wodoktów.

Tym razem w spojrzeniu Billewiczówny więcej było przytomności. Powstawszy ze skrzyni, strząsnęła w tył włosy i spytała:

— Kto waćpan jesteś?

— Michał Wołodyjowski, pułkownik dragoński wojewody wileńskiego.

— Słyszałam bitwę... strzały... Mów waćpan...

— Tak jest. My to przyszli waćpannie na ratunek...

Billewiczówna oprzytomniała zupełnie.

— Dziękuję waści! — rzekła pośpiesznie cichym głosem, w którym przebijał się śmiertelny niepokój. — A z tamtym co się stało?...

— Z Kmicicem? Nie bój się waćpanna: leży bez duszy na podwórzu... i jam to, nie chwaląc się, sprawił.

Wołodyjowski wyrzekł to z pewną chełpliwością, ale, jeśli spodziewał się podziwu, to zawiódł się srodze. Billewiczówna nie odrzekła ani słowa, natomiast zachwiała się na nogach i rękoma poczęła szukać oparcia za sobą, nakoniec siadła ciężko na tejże samej skrzyni, z której przed chwilą się podniosła.

Rycerz poskoczył ku niej żywo:

— Co waćpannie jest?

— Nic... nic... Czekaj waść... pozwól... To pan Kmicic zabity?...

— Co mnie pan Kmicic! — przerwał Wołodyjowski — tu o pannę chodzi!

Wówczas siły jej nagle wróciły, bo się podniosła znowu i spojrzawszy mu wprost w oczy, wykrzyknęła z gniewem, zniecierpliwieniem i rozpaczą:

— Na Boga żywego, odpowiadaj! zabity?...

— Pan Kmicic ranny — odpowiedział zdumiony pan Wołodyjowski.

— Żyje?...

— Żyje.

— Dobrze! Dziękuję waści...

I chwiejnym jeszcze krokiem skierowała się ku drzwiom. Wo-

łodyjowski stał przez chwilę, ruszając mocno wąsikami i kręcąc głową; następnie mruknął sam do siebie:

— Zali mi ona dziękuję za to, że Kmicic ranny, czy za to, że żyje?

I wyszedł za nią. Zastał ją w przyległej izbie sypialnej, stojącą pośrodku, jakby skamieniałą. Czterech szlachty wnosiło właśnie Kmicica; dwóch pierwszych, postępując bokiem, ukazało się we drzwiach, a między ich rękoma zwieszała się ku ziemi blada głowa pana Andrzeja, z zamkniętemi oczyma i soplami czarnej krwi we włosach.

— Wolno tam! — mówił idący za nimi Krzych Domaszewicz — wolno przez próg. Niech mu tam który głowę podtrzyma. Wolno!...

— A czem będziem trzymać, kiedy ręce zajęte — odpowiedzieli idący w przedzie.

W tej chwili panna Aleksandra zbliżyła się ku nim, blada tak jak i Kmicic, i podłożyła mu obie ręce pod martwą głowę.

— To panienka!... — rzekł Krzych Domaszewicz.

— To ja... ostróżnie... — odrzekła cichym głosem.

Pan Wołodyjowski patrzał i wąsikami srodze ruszał.

Tymczasem złożono Kmicica na łożu. Krzych Domaszewicz począł obmywać mu głowę wodą, potem przyłożył przygotowany poprzednio plaster do rany i rzekł:

— Teraz jeno niech leży spokojnie... Ej, żelazna to głowa, że od takiego ciosu na dwoje nie pękła. Może i będzie zdrów, bo młody. Ale tęgo dostał...

Następnie zwrócił się do Oleńki:

— Daj panienka ręce umyć... Ot, tu jest woda. Miłosierne w tobie serce, żeś dla takiego człeka nie bała się pokrwawić.

Tak mówiąc wycierał jej dłonie chustą, a ona bladła i mieniła się w oczach. Wołodyjowski znów poskoczył ku niej.

— Nic tu po waćpannie! Okazałaś chrześciańskie miłosierdzie nad nieprzyjacielem... wracaj do domu.

I podał jej ramię; ale ona nawet nie spojrzała na niego, natomiast zwróciwszy się do Krzycha Domaszewicza, rzekła:

— Panie Krzysztofie, wyprowadź mnie.

Wyszli oboje, a i pan Wołodyjowski za nimi. Na podwórzu szlachta poczęła krzykać na jej widok i wiwatować, a ona szła blada, chwiejąca się, z zaciśniętemi ustami i ogniem w oczach.

— Niech żyje nasza panna! Niech żyje nasz pułkownik! — wołały potężne głosy.

W godzinę potem wracał pan Wołodyjowski na czele laudańskich ku zaściankom. Słońce już weszło, ranek na świecie był radosny, prawdziwie wiosenny. Laudańscy człapali kupą bezładną po gościńcu, gwarząc o wypadkach ubiegłej nocy i sławiąc pod niebiosa pana Wołodyjowskiego, a on jechał zamyślony i milczący. Z myśli nie schodziły mu te oczy, patrzące z poza rozpuszczonych włosów, ta postać wysmukła i wspaniała, choć zgięta smutkiem i bólem.

— Dziw, jaka cudna! — mruczał sam do siebie — istna księżniczka... Hm! ocaliłem jej cnotę, a pewnie i życie, bo choćby prochy nie wysadziły skarbczyka, byłaby z samego strachu umarła... Powinna być wdzięczna. Ale kto tam białogłowę wyrozumie. Patrzyła na mnie, jak na pacholika, nie wiem, czy z dumy jakowej, czy z konfuzyi...

## VIII.

Te myśli spać mu nie dały następnej nocy. Przez kilka dni ciąg e jeszcze rozmyślał o pannie Aleksandrze i poznał, że mu głęboko w serce zapadła. Przecieto szlachta laudańska chciała go z nią żenić. Ona wprawdzie zrekuzowała mu bez namysłu, ale wtedy ani go znała, ani widziała. Teraz zupełnie co innego. On ją wyrwał po kawalersku z rąk gwałtownika, narażając się na kule i szable; poprostu zdobył ją, jak fortecę... Czyjaż ona, jeśli nie jego. Możeli mu czegokolwiek odmówić, choćby i ręki? Nużby popróbował? Nużby z wdzięczności narodził się w niej afekt, jak się to często na świecie zdarza, że ocalona panna zaraz rękę i serce zbawcy oddaje. Gdyby zresztą nawet nie czuła dla niego zrazu afektu, to tembardziej należy mu się o to postarać.

— A jeśli ona tamtego jeszcze pamięta i miłuje?

— Nie może być — powtarzał sobie pan Wołodyjowski — gdyby go nie odpaliła, toby jej gwałtem nie brał.

Okazała wprawdzie nad nim miłosierdzie niezwyczajne, ale niewieścia to rzecz litować się nad rannymi, choćby nieprzyjaciółmi.

Młoda jest, bez opieki, czas jej zamąż. Do klasztoru widocznie

niema wokacyi, bo jużby poszła. Było czasu dość. Tak gładką pannę ustawicznie będą rozmaici kawalerowie turbowali: jedni dla majątku, drudzy dla urody, trzeci dla zacności krwi. Ejże, miło jej będzie mieć taką obronę, której skuteczność własnemi oczyma oglądać mogła!

— A i tobie czas się ustatkować, Michałku — mówił do siebie pan Wołodyjowski. — Młodyś jeszcze, ale lata prędko biegną. Fortuny się nie dosłużysz, chyba więcej ran w skórze. A bałamuctwom koniec będzie.

Tu panu Wołodyjowskiemu przesunął się przez pamięć cały szereg panien, do których już wzdychał w życiu. Były między niemi i bardzo urodziwe, i z wielkiej krwi idące, ale milszej nie było i zacniejszej. Toż ten ród i tę pannę ludzie sławili w całej okolicy i z oczu jej patrzyła taka uczciwość, że nie daj Panie Boże nikomu gorszej żony.

Czuł pan Wołodyjowski, że mu się trafia gratka, jaka się drugi raz może nie trafić, a to tem bardziej, że pannie taką niepospolitą usługę oddał.

— Co tu zwłóczyć! — mówił sobie. — Czego lepszego się doczekam? Trzeba tentować.

Ba! ale tu wojna za pasem. Ręka zdrowa. Wstyd rycerzowi w zaloty chodzić, gdy ojczyzna ręce wyciąga i ratunku prosi. Pan Michał miał zacne serce żołnierskie i choć od pacholęcia prawie służył, choć we wszystkich wojnach, jakie za jego czasów były, udział brał — wiedział przecie co ojczyźnie winien i o spoczynku nie myślał.

Ale właśnie dlatego, że nie dla zysków, zasług, chlebów, jeno z duszy całej ojczyźnie służył i sumienie miał pod tym względem czyste, czuł swą wartość i to dodawało mu otuchy.

— Inni się warcholili, a jam się bił — myślał sobie. — Pan Bóg żołnierzykowi nagrodzi i teraz mu dopomoże.

Poznał jednak, że skoro nie było czasu na zaloty, trzeba było prędko działać i wszystko odrazu na hazard wystawić: pojechać, oświadczyć się z miejsca i albo po przyśpieszonych zapowiedziach ślub wziąść, albo zjeść arbuza.

— Jadłem nieraz, zjem i teraz! — mruczał pan Wołodyjowski, ruszając żółtemi wąsikami. — Co mi szkodzi!

Była jednak pewna strona w tem nagłem postanowieniu, która

mu się nie podobała. Oto zadawał sobie pytanie, czy jadąc z oświadczeniem tak zaraz po uratowaniu panny, nie będzie podobny do natrętnego wierzyciela, który chce, aby mu jak najprędzej i z lichwą dług spłacono?

— Może to i nie będzie po kawalersku?

Ba! ale za cóż żądać wdzięczności, jeśli nie za usługę? A jeśli ów pośpiech nie pójdzie po sercu pannie, jeśli się nań skrzywi, to jej przecie można powiedzieć: "Mościa panno, rokbym w zaloty jeździł i w ślepki ci patrzył, alem żołnierz, a tam trąby na wojnę grają!"

— Taki pojadę! — mówił sobie pan Wołodyjowski.

Lecz po chwili znowu inna myśl przyszła mu do głowy. A jeśli ona odpowie: "Idźże waćpan na wojnę, mości żołnierzu, a po wojnie będziesz rok do mnie jeździł i w ślepki mi patrzył, bo ja człowiekowi którego nie znam, duszy i ciała odrazu nie oddam."

Wtedy wszystko przepadnie.

Że przepadnie, czuł to pan Wołodyjowski doskonale; bo pominąwszy pannę, którą przez ten czas inny wziąć może, nie był pan Wołodyjowski pewny własnej stałości. Sumienie mu mówiło, że w nim samym afekt zapałał się, bywało, tak jak słoma, ale i gasł jak słoma.

Wtedy wszystko przepadnie!... I kołatajże się dalej, żołnierzu, tułaczu, z obozu do obozu, z bitwy na bitwę, bez dachu na świecie, bez duszy żywej bliskiej. Rozglądaj się po wojnie na cztery strony świata, nie wiedząc, gdzie głowę poza cekhauzem złożyć!

Ostatecznie pan Wołodyjowski nie wiedział, co czynić.

Ciasno mu się jakoś uczyniło w pacunelskim dworku i duszno, więc wziął czapkę, by wyjść trochę na drogę i słońca majowego zażyć. W progu natknął się na jednego z ludzi Kmicicowych, w niewolę wziętych, który staremu Pakoszowi przypadł w udziale. Kozak grzał się na słońcu i na bandurze brzdąkał.

— A co ty tu robisz? — zapytał pan Wołodyjowski.

— Hraju, pane — odpowiedział Kozak, podnosząc wynędzniałą twarz.

— Skąd ty jesteś? — pytał dalej pan Michał, kontent, że ma jakowąś w rozmyślaniach przerwę.

— Zdaleka, pane, z pod Wiahla.

— Czemużeś to nie umknął, jako reszta twoich towarzyszów?

O tacy synowie! Darowała was szlachta życiem w Lubiczu, by mieć robociznę, a wyście zaraz poumykali, zaledwie z was łyka zdjęto.

— Ja nie ucieknę. Tu zdechnę, jak sobaka.

— Takeś tu sobie upodobał?

— Komu lepiej na polu, to umyka, a mnie tu lepiej. Ja miał nogę przestrzeloną, a tu mnie ją obwinęła szlachcianka, starego córka, i dobre słowo rzekła. Takiej ja krasawicy na oczy nie widział... Naco mnie odchodzić?

— Któraż ci tak dogodziła?

— Marysia.

— I ty już ostaniesz?

— Jeśli zdechnę, to i wyniosą, a nie, to ostanę.

— Zali myślisz u Pakosza córkę wysłużyć?

— Ne znaju, pane.

— Pierwiejby takiemu hołyszowi śmierć dał, niż córkę.

— U mnie czerwieńce w lesie zakopane: dwie garści.

— Z rozboju?

— Z rozboju, pane.

— Choćbyś i garniec miał, toś chłop, a Pakosz szlachcic.

— Ja z bojarów putnych.

— Jeśliś ty z bojarów putnych, toś gorzej niż chłop, boś zdrajca. Jakżeto mogłeś nieprzyjacielowi służyć?

— Ja mu i nie służył.

— A skądże was pan Kmicic brał?

— Z gościńca. Ja służył u pana hetmana polnego, ale potem chorągiew rozlazła się, bo nie było co jeść. Do domu nie miałem poco wracać, bo spalony. Inni na gościniec poszli rozbijać, tak i ja z nimi poszedł.

Pan Wołodyjowski zdziwił się mocno, gdyż aż dotąd sądził, że pan Kmicic napadał Oleńkę z siłami, pożyczonemi u nieprzyjaciela.

— To pan Kmicic nie od Trubeckiego was dostał?

— Było między nami najwięcej takich, co przedtem u Trubeckiego i Chowańskiego służyli, ale taki od nich biegli na gościńce.

— I dlaczego wy za panem Kmicicem poszli?

— Bo on sławny ataman. Nam mówili, że na kogo on krzyknie, żeby za nim szedł, to jakby mu talarów w mieszek nasypał. Dlatego my poszli. No, Bóg nie poszczęścił!

Pan Wołodyjowski począł głową kręcić i rozmyślać, że jednak te-

go jednak Kmicica zanadto oczerniono; potem spojrzał na wybladłego bojarczyka i znów głową pokręcił.

— Także ty ją miłujesz?

— Oj! tak, pane!

Pan Wołodyjowski odszedł, a odchodząc pomyślał: Ot! rezolutny człowiek. Ten sobie głowy nie łamał; pokochał i zostaje. Tacy najlepsi... Jeśli naprawdę on z putnych bojarów, toćto tenże gatunek, co i zaściankowa szlachta. Jak swoje czerwieńce wygrzebie, może mu stary Marysię odda. A czemu? Bo w palce nie stukał, jeno się zawziął, że ją dostanie. Zawezmę się i ja!

Tak rozmyślając, szedł pan Wołodyjowski drogą po słońcu, czasem stawał i w ziemię oczy wbijał lub je w niebo podnosił; to znów szedł dalej, aż nagle ujrzał lecące po niebie stado dzikich kaczek.

Wówczas począł sobie z nich wróżyć: jechać, nie jechać?... Wypadło mu, żeby jechać.

— Pojadę, nie może być inaczej!

To rzekłszy, zawrócił do domu; ale po drodze wstąpił jeszcze do stajenki, przed którą dwóch czeladników jego w kości grało.

— Syruć, — rzekł pan Włodyjowski — a grzywa u Basiora zapleciona?

— Zapleciona, panie pułkowniku!

Pan Wołodyjowski wszedł do stajni. Basior odezwał mu się od drabinki; rycerz zbliżył się, poklepał go po boku, następnie jął liczyć warkocze na karku.

— Jechać... nie jechać... jechać...

Wróżba wypadła znów pomyślnie.

— Konie siodłać i samym się przybrać uczciwie! — zakomenderował pan Wołodyjowski.

Zaczem prędko już poszedł do domu i począł się stroić. Wdział buty wysokie, rajtarskie, żółte, z klapkami na podbiciu i złoconemi ostrogami, a mundur nowy, czerwony; do tego rapierek w stalowej pochwie, przedni, z gardą złotem przerabianą; do tego pół-pancerzyk z jasnej stali pokrywający tylko wierzchnią część piersi pod szyję; miał i kołpaczek rysi z pięknem piórem czaplim, ale że ten do polskiego tylko ubioru pasował, więc go zostawił w skrzyni, a na głowę wdział hełm szwedzki z czółenkiem i wyszedł przed ganek.

— Gdzieto wasza miłość jedzie? — pyta go stary Pakosz, siedzący na przyzbie.

— Gdzie jadę? Słuszna, abym tej tam waszej panny o zdrowie spytał, bo za grubijanaby mnie wziąć mogła.

— Od waszej miłości aż łuna bije. Kiep każdy gil! Jużby chyba panna oczu nie miała, żeby się zaraz nie zakochała...

Wtem nadbiegły dwie młodsze panny Pakoszówny, wracające z południowego udoju, każda ze szkopkiem w ręku. Ujrzawszy pana Wołodyjowskiego, stanęły jak wryte ze zdziwienia.

— Król, nie król? — rzekła Zonia.

— Wasza miłość jak na wesele! — dodała Maryśka.

— Może z tego i wesele być, — zaśmiał się stary Pakosz — bo do panny naszej jedzie.

Nim stary skończył, napełniony szkopek wyleciał z rąk Marysi i struga mleka polała się aż pod nogi pana Wołodyjowskiego.

— Uważaj na to, co trzymasz! — rzekł gniewliwie Pakosz — ot, koza!

Marysia nie odrzekła nic, podniosła szkopek i odeszła cicho.

Pan Wołodyjowski siadł na koń, za nim uszykowało się dwóch jego czeladników i ruszyli trójką ku Wodoktom. Dzień był pię-kny. Słońce majowe grało na napierśniku i hełmie pana Wołody-owskiego, tak iż gdy zdaleka migotał między wierzbami, zdawało się, że to drugie słońce posuwa się drogą.

— Ciekaw jestem, czy będę wracał z pierścionkiem, czy arbuzem? — rzekł do siebie rycerz.

— Co wasza miłość mówi? — spytał pachołek Syruć.

— Głupiś!

Pachołek ściągnął napowrót wtył konia, a pan Wołodyjowski mówił dalej:

— Całe szczęście, że to nie pierwszyzna.

Ta myśl dodawała mu nadzwyczajnej otuchy.

Gdy przybył do Wodoktów, panna Aleksandra nie poznała go w pierwszej chwili, aż jej musiał nazwisko swoje powtórzyć. Wówczas powitała go uprzejmie, ale poważnie i z pewnym przymusem; on zaś wcale się zręcznie przedstawił, bo choć żołnierz, nie worak długo jednak na różnych dworach przebywał i między ludźmi się ocierał. Skłonił się jej więc ze czcią wielką i rękę na sercu położywszy, tak mówił:

— Przybyłem tu o zdrowie waćpanny dobrodziejki się wywie-

dzieć, czyli od strachu jakiego szwanku nie poniosła, co powinienbym był na drugi dzień uczynić, ale nie chciałem się naprzykrzać.

— Bardzo to piękne ze strony waszmości, że ocaliwszy mnie z takiej toni, jeszcześ mnie w pamięci zachował... Siadaj waszmość, boś mi wdzięcznym gościem.

— Moja mościa panno! — odpowiedział pan Michał. — Gdybym ja o waćpannie zapomniał, tedy nie byłbym godny tej łaski, jaką Bóg na mnie zesłał, pozwalając mi tak godną personę sekundować.

— Nie! Jamto winna Bogu dziękować najprzód, a waszmości zaraz potem...

— Kiedy tak, to już dziękujmy oboje, bo ja o nic więcej go nie proszę, jeno żebym i nadal mógł bronić waćpanny, ila razy będzie potrzeba.

To rzekłszy, pan Wołodyjowski ruszył woskowanemi wąsikami, które mu wyżej nosa sterczały, bo kontent był z siebie, że odrazu wszedł in medias res (w środek rzeczy) i swój sentyment jakoby na stole położył. Ona zaś siedziała zmieszana i milcząca, ale tak piękna, jak dzień wiosenny. Słabe rumieńce wystąpiły jej na policzki, a oczy nakryły długiemi rzęsami, od których padały cienie na jagody.

— Dobry znak ta konfuzya — pomyślał pan Wołodyjowski. I odchrząknąwszy, mówił dalej:

— Waćpanna wiesz, żem ja po jej dziadku laudańskimi ludźmi dowodził?

— Wiem — odpowiedziała Oleńka — dziaduś nieboszczyk sam na ostatnią wyprawę iść nie mógł, ale okrutnie był rad, słysząc, komu książe wojewoda wileński tę chorągiew oddał, i mówił, że zna waćpana z reputacyi jako sławnego żołnierza.

— Takżeto o mnie mówił?

— Sama słyszałam, jak waści pod niebiosa wynosił, a potem laudańscy ludzie to samo po wyprawie czynili.

— Prosty ja żołnierz, niegodzien, żeby mnie wynosili nietylko pod niebiosa, ale i wyżej od innych. Wszelako rad jestem, żem dla waćpanny nie zupełnie obcy, bo już niepomyślisz, że ci nieznany i niepewny gość razem z deszczem ostatnim z chmur spadł. Milej to zawsze wiedzieć, z kim się ma do czynienia. Siła ludzi się włóczy, którzy się familiantami powiadają i w godności stroją, a Bóg wie kim są, może często i nie szlachta.

Pan Wołodyjowski umyślnie tak nakierował rozmowę, aby o sobie mógł powiedzieć, co zacz jest, jakoż Oleńka zaraz odrzekła:

— Waćpana o to nikt nie posądzi, bo i tu na Litwie jest szlachta tego samego imienia.

— Ale ci się Ossoryą pieczętują, a jam jest Korczak Wołodyjowski i my się z Węgier wywodzimy, od pewnego dworzanina Attyli, który dworzanin, ścigany będąc od nieprzyjaciół, ślub Najświętszej Pannie uczynił, iż się z pogańskiej wiary na katolicką nawróci, jeśli z żywotem ujdzie. Tej obietnicy dotrzymał, gdy trzy rzeki szczęśliwie przebył, te same właśnie, które w herbie nosimy.

— To waćpan nie z tych stron rodem?

— Nie, mościa panno. Ja z Ukrainy, z ruskich Wołodyjowskich i do tej pory mam tam wioszczynę, którą teraz nieprzyjaciel zajął, ale ja wojskowo od młodu służę, mniej dbając o substancyę, niż o despekta ojczyźnie przez postronnych czynione. Służyłem od najmłodszych lat u wojewody ruskiego, naszego nieopłakanego księcia Jeremiasza, z którym też wszystkie wojny odprawowałem. Byłem i pod Machnówką i pod Konstantynowem i zbaraskie wytrzymywałem głody, a po Beresteckiej sam nasz pan miłościwy za głowę mnie ścisnął. Bóg mi świadek, mościa panno, że nie przyjechałem się tu chwalić, ale chcę, byś waćpanna wiedziała, żem nie łuszczybochenek żaden, który krzykiem nadrabia, a krwi żałuje, jeno że mi życie w uczciwej służbie zbiegło, w której się trochę sławy uszczknęło, a sumienia niczem nie zbrudziło. Tak mi Panie Boże dopomóż?! A oprócz tego mogą to i godni ludzi poświadczyć.

— Żebyto wszyscy byli do waćpana podobni! — westchnęła panna.

— Waćpannie pewnie na myśli ów gwałtownik, który na nią bezbożną rękę śmiał podnieść?

Panna Aleksandra wbiła oczy w podłogę i nie odrzekła ani słowa.

— Ma on za swoje, — mówił dalej pan Wołodyjowski — choć mi mówiono, że zdrów będzie, to jednak od kary się nie wywinie. Wszyscy zacni ludzie go potępili, i aż nadto, bo powiadają, że się z nieprzyjacielem związał, aby od niego posiłki otrzymać, co jest nieprawda, gdyż ci ludzie, z którymi waćpannę napadł, wcale nie od nieprzyjaciela pochodzą, jeno z gościńca nazbierani.

— Skąd to waćpan wiesz? — spytała żywo panna, podnosząc na pana Wołodyjowskiego swoje niebieskie oczy.

— Od samych tych ludzi. Dziwny to człowiek ów Kmicic, bo gdym mu sam zdradę przed pojedynkiem zadał, tedy nie zaprzeczył, chociaż niesłusznie go posądziłem. Pycha widać w nim dyabelska.

— I waćpan to mówisz wszędy, że on nie zdrajca?

— Nie mówiłem, bom sam nie wiedział, ale teraz będę mówił. Toć nie godzi się, choćby na największego wroga, takiego oszczerstwa rzucać.

Oczy panny Aleksandry spoczęły po raz wtóry na małym rycerzu z wyrazem sympatyi i wdzięczności.

— Z pana tak zacny człowiek, tak zacny, jak rzadko!...

Pan Wołodyjowski zaczął raz poraz ruszać wąsikami z ukontentowania.

— Do rzeczy Michałku! — rzekł do siebie w myśli.

Poczem głośno do panny:

— Więcej waćpannie powiem!... Sposób pana Kmicica ganię, ale nie dziwię mu się, że się dobijał o waćpannę, przy którejby sama Wenus za dziewkę służyć mogła. Desperacya to go popchnęła do złego uczynku i pewnie raz jeszcze go popchnie, jeśli mu się sposobność nadarzy. Jakżeto przy tak nadzwyczajnej urodzie sama i bez opieki zostaniesz? Więcej jest takich Kmiciców na świecie, więcej zapałów wzbudzisz, na więcej przygód cnotę swą narazisz. Bóg mi zesłał łaskę, iżem mógł cię uwolnić, ale już mnie trąby Gradywa wołają... Ktoż nad tobą będzie czuwał?... Moja mościa panno! posądzają żołnierzy o płochość, ale niesłusznie. I u mnie serce nie ze skały i obojętne na tyle wybornych wdzięków zostać nie mogło...

Tu pan Wołodyjowski upadł na oba kolana przed Oleńką.

— Moja mościa panno! — mówił klęcząc. — Dziedziczyłem chorągiew po twoim dziadku, dozwólże mi i wnuczkę odziedziczyć. Zdaj mnie opiekę nad sobą, dozwól pokosztować słodkości wzajemnego afektu, weź mnie za stałego opiekuna, a będziesz i spokojna i bezpieczna, bo choć odjadę na wojnę, samo imię bronić cię będzie.

Panna zerwała się z krzesła i słuchała ze zdumieniem pana Wołodyjowskiego, a on tak jeszcze mówił dalej:

— Ubogim żołnierz, alem szlachcic i człek uczciwy i na to ci przysięgam, że ni na mojej tarczy, ni na mojem sumieniu najmniejszej plamy nie znajdziesz. Grzeszę może pośpiechem, ale i to wyro-

zumiej, bo mnie ojczyzna woła, której dla ciebie nawet nie odstąpię... Nie pocieszyszże mnie? nie dodasz otuchy? nie rzekniesz dobrego słowa?

— Waćpan żądasz odemnie niepodobieństwa... Na Boga! Nie może to być! — odpowiedziała ze strachem Oleńka.

— Od twojej woli zależy...

— Właśnie dlatego wręcz waćpanu odpowiadam: nie!

Tu panna zmarszczyła brwi.

— Mości panie! winnam ci wiele, nie zapieram. Żądaj, czego chcesz, wszystkom oddać gotowa, prócz ręki.

Pan Wołodyjowski wstał.

— Waćpanna mnie nie chcesz? hę?

— Nie mogę!

— I to ostatnie słowo waćpanny?

— Ostatnie i nieodwołalne.

— A może jeno pośpiech waćpannie się niepodoba? Dajże mnie nadzieję!

— Nie mogę, nie mogę...

— Niemasz tedy tu dla mnie szczęścia, jako go i gdzieindziej nie było! Moja mościa panno, nie ofiarujże mi zapłaty za usługę, bom nie po nią przyjechał, a żem ręki prosił, to nie za zapłatę, jeno po dobrej woli. Gdybyś mi rzekła, że ją oddajesz, bo musisz, to takżebym nie przyjął. Jak niema woli, to niema i doli. Wzgardziłaś mną... bodaj ci się nikt gorszy nie trafił. Wychodzę z tego domu, jak i wszedłem... jeno że nie powrócę więcej. Za nic mnie tu mają. Niech i tak będzie. Bądźże szczęśliwa choćby z tym samym Kmicicem, boś może właśnie o to gniewna, żem między was szablę włożył. Kiedy on ci lepszy, toś ty istotnie nie dla mnie.

Oleńka chwyciła się rękoma za skronie i powtórzyła kilkakrotnie:

— Boże, Boże, Boże!

Ale ta jej boleść nie przejednała pana Wołodyjowskiego, który skłoniwszy się, wyszedł zły i gniewny, poczem zaraz siadł na koń i odjechał.

— Noga moja więcej tam nie postoi — rzekł głośno.

Pachołek Syruć, jadący z tyłu, przysunął się zaraz.

— Co wasza mość mówi?

— Głupiś! — odpowiedział pan Wołodyjowski.

— To już mnie wasza mość powiedział, jakeśmy w tamtą stronę jechali.

Nastało milczenie; potem pan Michał znowu mruczeć począł:

— Niewdzięcznością mnie tam nakarmiono... Wzgardą za afekt zapłacono... Przyjdzie chyba do śmierci w kawalerstwie służyć. Tak już napisano... Jechałże sęk taki los!... Co rusz, to rekuza... Niemasz sprawiedliwości na tym świecie!... Co ona sobie przeciw mnie upatrzyła?

Tu pan Wołodyjowski zmarszczył brwi i począł silnie pracować głową; nagle uderzył się dłonią po nodze.

— Wiem już! — zakrzyknął — ona tamtego jeszcze miłuje... nie może inaczej być.

Ale tu uwaga nie rozjaśniła mu twarzy.

— Tem ci też gorzej dla mnie — pomyślał po chwili, — bo jeśli ona go po tem wszystkiem jeszcze miłuje, to i nie przestanie go miłować... Co miał uczynić najgorszego, to już uczynił. Na wojnę ruszy, sławy nabędzie, reputacyę poprawi... I nie przystoi mu w tem przeszkadzać... raczej trzeba dopomódz, bo to dla ojczyzny korzyść... Ot, co jest! żołnierz on dobry... Ale czem ją tak skaptował? kto zgadnie... Inni mają już takowe szczęście, że byle na niewiastę spojrzał, ta i w ogień za nim gotowa... Żeby tak wiedzieć, czem się to dzieje, albo jakowego inkluza dostać, możeby i człowiek co wskórał. Zasługą do niczego z białogłową nie dojdziesz! Dobrze powiedział pan Zagłoba, że liszka a niewiasta to najzdradliwsze stworzenia na świecie. A taki żal mi, że wszystko przepadło! Okrutnie to gładka pedwika i cnotliwa, jak powiadają. Ambitne to widać, jak licho... Kto to wie, czy ona za niego pójdzie, chociaż go miłuje, bo ją ciężko zawiódł i obraził... Przecie on mógł spokojnie do niej dojść, a wolał się warcholić... Gotowa się całkiem wyrzec i zamążpójścia i dzieci... Mnie ciężko, ale i jej niebedze może jeszcze ciężej...

Tu pan Wołodyjowski rozczulił się nad dolą Oleńki i począł głową kręcić, ustami cmokać, wreszcie rzekł:

— Niech jej tam Bóg sekunduje! Nie mam do niej urazy! Nie pierwsza to dla mnie rekuza, a dla niej pierwsza boleść. Niebożątko ledwie zipie od trosków, jeszczem jej oczy wykłół tym Kmicicem i do reszty żółcią napoił. Nie godziło mi się tego czynić i naprawić wypada. Bodaj mnie kule biły, bom po grubijańsku postąpił.

Napiszę do niej list, ażeby odpuściła, a potem w czem będę mógł, to i pomogę.

Dalsze rozmyślania pana Wołodyjowskiego przerwał pachołek Syruć, który przysunąwszy się znów, rzekł:

— Proszę waszej mości, tożto tam na górze pan Charłamp z kimś drugim jedzie.

— Gdzie?

— A ot, tam!

— Prawda, że dwóch jeźdźców widać, ale pan Charłamp został się przy księciu wojewodzie wileńskim. Po czemże ty go z tak daleka poznajesz?

— A po bułance. Dyć ją całe wojsko zna.

— Jako żywo, że konia widać bułanego... Ale może być inny.

— Kiedy ja i chód jej poznaję... już to pan Charłamp z pewnością.

Popędzili obaj konie, a jadący naprzeciw uczynili to samo i wkrótce pan Wołodyjowski poznał, że to istotnie pan Charłamp nadjeżdża.

Był to porucznik piatyhorskiej chorągwi litewskiego komputu, dawny znajomy pana Wołodyjowskiego, stary żołnierz i dobry. Niegdyś wadzili się mocno z małym rycerzem, ale potem, służąc razem i wojny odbywając, polubili się wzajemnie. Pan Wołodyjowski poskoczył tedy żywo i otworzywszy ręce, wołał:

— Jakże się miewasz, Nosaczu?! Skądżeś się tu wziął?

Towarzysz, który istotnie na przezwisko Nosacza zasługiwał, bo nos miał potężny, wpadł w objęcia pułkownika i witali się radośnie; poczem odsapnąwszy, rzekł:

— Do ciebiem umyślnie przyjechał z ekspedycyą i z pieniędzmi.

— Z ekspedycyą i z pieniędzmi? A od kogo?

— Od księcia wojewody wileńskiego, naszego hetmana. Przysyła ci list zapowiedni, abyś zaraz zaczął zaciąg czynić i drugi dla pana Kmicica, który też się ma w tej okolicy znajdować.

— I dla pana Kmicica?... Jakże to we dwóch będziem w jednej okolicy zaciągali?

— On ma jechać do Troków, a ty masz zostać w tej okolicy.

— Skądżeś to wiedział, gdzie mnie szukać?

— Sam pan hetman pilnie o ciebie wypytywał, aż mu ludzie tutejsi, którzy tam jeszcze służą, powiedzieli, gdzie cię znaleść i ja jechałem napewno... W wielkich tam zawsze jesteś faworach!... Sły-

szałem księcia naszego pana, jak sam mówił, że nie spodziewał się po wojewodzie ruskim niczego odziedziczyć, a tymczasem największego rycerza odziedziczył.

— Dałby mu Bóg i szczęście wojenne odziedziczyć... Wielki to dla mnie honor, że mam zaciąg czynić i zaraz się do tego wezmę... Ludzi wojennych tu nie brak, byle było za co ich na nogi postawić. A pieniędzy siła przywiozłeś?

— Jak przyjedziesz do Pacunelów, to policzysz.

— Toś i do Pacunelów już trafił? Strzeż się jeno, bo tam ładnych dziewcząt, jak maku w ogrodzie.

— Dlategoto i pobyt ci tam smakował... Czekajże, mam i drugi list prywatny hetmana do ciebie.

— To dawaj!

Pan Charłamp wyjął pismo z małą pieczęcią radziwiłłowską, a pan Wołodyjowski otworzył i zaczął czytać:

"Mości panie pułkowniku Wołodyjowski!

"Znając szczerą waćpana służenia ojczyźnie intencyę, posyłam ci list zapowiedni, abyś zaciąg czynił, i nie tak, jako się zwyczajnie czyni, ale z pilnością wielką, bo periculum in mora (niebezpieczeństwo w spóźnieniu). Chceszli nas uradować, to niechże chorągiew na koniec lipca, najdalej na pół sierpnia, będzie już na nogach i do pochodu gotowa. Kłopotliwo nam to, skąd waszmość koni dobrych weźmiesz, zwłaszcza, że i pieniędzy posyłamy skąpo, gdyż więcej na panu podskarbim, po staremu nam nieprzyjaznym, nie mogliśmy wydębić. Połowę z tych pieniędzy panu Kmicicowi j. m. p. oddaj, dla którego pan Charłamp także list zapowiedni wiezie. Spodziewamy się po nim, iż gorliwie nam w tem usłuży. Ależe uszu naszych doszła wieść o jego swawolach w Upickiem, tedy najlepiej waćpan list dla niego przeznaczony odbierz i sam uznaj, czy mu go oddać. Jeślibyś uważał zbytnie na nim gravamina (zbrodnie), hańbę czyniące, tedy nie oddawaj; obawiamy się bowiem, aby nieprzyjaciele nasi, jako pan podskarbi i pan wojewoda witebski, krzyków nie podnieśli, że podobne funkcye niegodnym osobom powierzamy. Gdybyś jednak uznawszy, że tam nic wielkiego niema, list oddał, niechże się Kmicic stara największą w służbie usilnością winy swe zmazać, a na żadne terminy w sądach nie staje, bo on do naszej hetmańskiej należy inkwizycyi i my go sądzić będziem, nikt inny, ale po funkcyi spełnionej. Polecenie to nasze

uważaj wmość zarazem za dowód zaufania, jakie w rozumie i wiernych służbach mości pokładamy.

Janusz Radziwiłł,
Książe na Birżach i Dubinkach, Wojewoda Wileński.

— Okrutnie się tam pan hetman o konie dla ciebie troszczy — rzekł pan Charłamp, gdy mały rycerz skończył czytać.

— Pewnie, że o konie będzie trudno — odpowiedział pan Wołodyjowski. — Tutejszej małej szlachty siła stanie na pierwszy odgłos, ale oni jedno mierzyny żmudzkie mają, niebardzo do służby zdatne. Na dobrą sprawę trzebaby im wszystkim dać inne.

— To dobre konie, znam ja je zdawna, okrutnie wytrwałe i zwrotne.

— Ba! — rzekł pan Wołodyjowski, — ale urody małej, a lud tutejszy rosły. Jak ci na takich koniach w szyku staną, to rzekłbyś: chorągiew na psach siedzi. Ot, kłopot!... Wezmę ja się gorliwie do roboty, bo i samemu mi pilno. Zostawże mnie list zapowiedni do Kmicica, jako pan hetman nakazuje, sam mu go oddam. Bardzo mu w porę przyszedł.

— A czemu?

— Bo tu tatarską modą sobie poczynał i panny w jasyr brał. Tyle nad nim procesów i terminów, ile ma włosów na głowie. Niemasz tygodnia, jak się z nim w szable biłem.

— E — rzekł Charłamp — jeśliś ty się z nim w szable bił, to on teraz leży.

— Ale już się ma lepiej. Za jaki tydzień, dwa, zdrów będzie. Co tam słychać de publicis (o publicznych sprawach)?

— Źle, postaremu... Pan podskarbi Gosiewski zawsze z naszym księciem w emulacyi, a jak hetmani niezgodni, to i sprawy ładem nie idą. Przecie trochęśmy się poprawili, i tak myślę, że byle zgody, to sobie z tym nieprzyjacielem rady damy. Bóg pozwoli, że jeszcze na ich karkach pojedziemy aż do ich państwa. Wszystkiemu winien pan podskarbi!

— A inni powiadają, że właśnie hetman wielki.

— To zdrajcy. Wojewoda witebski to tak powiada, bo oni się zdawna z panem podskarbim powąchali.

— Wojewoda witebski zacny obywatel.

— Zali i ty po sapieżyńskiej stronie przeciw Radziwiłłom stoisz?

— Ja stoję po stronie ojczyzny, po której wszyscy stać powin-

ni. W tem to i zło, że się nawet i żołnierze na strony dzielim, zamiast bić. A że Sapieha zacny obywatel, tobym i przy samym księciu powiedział, chociaż pod nim służę.

— Próbowali ludzie godni zgodę czynić, ale to na nic! — rzekł Charlamp. — Okrutnie teraz posłańcy od króla do naszego księcia latają... Mówią, że coś się tam nowego na świecie kluje. Spodziewaliśmy się pospolitego ruszenia z królem jegomością — nie przyszło! Powiadają, że gdzieindziej może być potrzebne.

— Chyba na Ukrainę.

— Bo ja wiem! Jeno raz Brochwicz porucznik powiadał, co na własne uszy usłyszał. Przyjechał od króla Tyzenhauz do naszego hetmana i coś tam, zamknąwszy się, długo z sobą gadali, czego Brochwicz nie mógł ułowić, ale gdy wychodzili, tedy na własne uszy, powtarzam, słyszał, jak pan hetman wymówił: "Z tego może być nowa wojna." Okrutnieśmy tam wszyscy w głowę zachodzili, co to mogło znaczyć.

— Pewnie się przesłyszał! Z kimżeby nowa wojna? Cesarz łepiej nam teraz życzy, niż naszym nieprzyjaciołom, jako że wypada mu za politycznym narodem się ujmować. Ze Szwedem rozejm jeszcze nie wyszedł i do sześciu lat nie wyjdzie, a Tatarowie nam na Ukrainie pomagają, czegoby bez woli Turczyna nie czynili.

— Nie mogliśmy też i my niczego dociec!

— Bo i nic nie było, ale ja chwalę Boga, że mam nową robotę. Już mi się i tęskno czyniło za wojną.

— To ty chcesz sam list zapowiedni Kmicicowi zawieźć.

— Przeciem ci mówił, że pan hetman tak nakazuje. Wypadnie mi Kmicica odwiedzić, jako kawalerski jest zwyczaj, a mając list, będę miał lepsze jeszcze zamówienie. Czy mu list oddam, to inna rzecz; namyślę się, bo to woli mojej zostawiono.

— Mnie to i na rękę, ile że mi w drogę pilno. Mam i trzecie zapowiednie pismo do pana Stankiewicza; potem do Kiejdan kazano mi jechać, armatę, która tam przyjdzie, odebrać; potem do Birż obaczyć, czy wszystko gotowe w zamku do obrony.

— I do Birż?

— Tak jest.

— To mi i dziwno. Żadnych nowych wiktoryi nieprzyjaciel nie otrzymał, więc mu i do Birż, na kurlandzką granicę daleko. A że jako widzę, nowe chorągwie stawią, na nogi, więc będzie komu

bronić nawet i tych krajów, które już pod moc nieprzyjacielską wpadły. Kurlandczycy przecie o wojnie z nami nie myślą. Dobrzy to żołnierze, ale ich mało i sam tylko Radziwiłł mógłby ich jedną ręką przydusić.

— I mnie to dziwno — odpowiedział Charłamp — tem bardziej, że mi także pośpiech zalecono i taką dano instrukcyą, iżbym, jeśli co znajdę nie w porządku, zaraz księciu Bogusławowi dawał znać, który Petersona inżyniera ma przysłać.

— Coby to mogło być?! Oby się tylko na jaką wojnę domową nie zanosiło. Niechże nas Bóg od tego strzeże! Już jak tam tylko książe Bogusław do roboty wchodzi, to dyabłu będzie z tego uciecha.

— Nie mów na niego nic. To mężny pan.

— Nie neguję ja mu męstwa, ale więcej w nim Niemca, czyli jakowegoś Francuza, niż Polaka... I o Rzeczpospolitą zgoła nie dba, jeno o dom Radziwiłłowski, żeby to go jak najwyżej wynieść a wszystkich innych poniżyć. Onto i w księciu wojewodzie wileńskim, naszym hetmanie, pychę podnieca, której mu i bez tego nie brak i owe kłótnie z Sapiehami i Gosiewskim jego to sadzenia drzewa i frukta.

— Wielki z ciebie, jak widzę, statysta. Powinieneś się Michałku, co prędzej ożenić, żeby taki rozum nie przepadł.

Wołodyjowski spojrzał przeciągle na towarzysza.

— Ożenić?... Hę?

— Juści może ty tu gdzie w konkury jeździsz, boś widzę strojny, jak na paradę.

— Dałbyś spokój!

— Ej, przyznaj się...

— Każdy niech swoje arbuzy zjada, a ty o cudze nie pytaj, boś też niejednego dostał. Właśnie też czas teraz o ożenku myśleć, gdy mam zaciąg na głowie.

— A będziesz na lipiec gotowy?

— Na koniec lipca będę, chociażbym miał konie z pod ziemi wykopać. Bogu dziękuję, że mi ta robota przyszła, bo inaczej byłaby mnie melankolia zjadła.

Jakoż wieści od hetmana i widoki pracy ciężkiej wielką sprawiły panu Wołodyjowskiemu ulgę i nim dojechali do Pacunelów, prawie nie myślał już o konfuzyi, jaka go spotkała przed godziną. Wieść o liście zapowiednim szybko się rozleciała po całym zaścianku

Przyszła zaraz szlachta pytać czy prawda, a gdy pan Wołodyjowski potwierdził, wielkie to uczyniło wrażenie. Ochota była powszechna lubo turbowali się niektórzy, że to w końcu lipca, przed żniwami, trzeba będzie wyruszyć. Pan Wołodyjowski rozesłał też gońców i do innych okolic, i do Upity, i do znaczniejszych domów szlacheckich. Wieczorem przyjechało kilkunastu Butrymów, Stakjanów i Domaszewiczów.

Dopieroż poczęto się zachęcać wzajem i coraz większą okazywać ochotę i odgrażać się na nieprzyjaciół i zwycięstwa sobie obiecywać. Jedni tylko Butrymowie milczeli, ale im tego za złe nie brano, bo wiadomo było, że jak jeden człowiek staną. Nazajutrz zawrzało we wszystkich zaściankach, jak w ulach. Ludzie nie gadali już o panu Kmicicu, ni o pannie Aleksandrze, tylko o przyszłej wyprawie. Pan Wołodyjowski z serca także odpuścił Oleńce rekuzę, pocieszając się przytem myślą, że to nie ostatnia, jako afekt nie ostatni. Tymczasem namyślał się trochę, co ma z listem dla Kmicica uczynić.

## IX.

Zaczęły się tedy dla pana Wołodyjowskiego czasy ciężkiej pracy, rozpisywania listów i rozjazdów. Następnego tygodnia przeniósł się już na rezydencyą do Upity i tam zaciąg rozpoczął. Sypała się do niego szlachta chętnie, większa i mniejsza, bo sławę miał głośną. Szczególnie jednak szli laudańscy, którym konie trzeba było obmyślać. Kręcił się też pan Wołodyjowski, jak w ukropie, ale że był obrotny i trudów nie żałował, szło mu dość sporo. W tymże czasie odwiedził i pana Kmicica w Lubiczu, który znacznie już do zdrowia przyszedł i chociaż z łóżka jeszcze nie wstawał, wiadomo już było, że zdrów będzie. Widocznie, o ile pan Wołodyjowski miał szablę ciężką, o tyle rękę lekką.

Poznał go pan Kmicic natychmiast i przybladł trochę na jego widok. Ręką nawet mimowoli do szabli wiszącej nad łożem sięgnął, ale ochłonąwszy, widząc uśmiech na twarzy gościa, wyciągnął ku niemu wychudłą dłoń i rzekł:

— Dziękuję waszmości za odwiedziny. Godna to takiego kawalera polityka.

— Przyjechałem spytać, czy waść urazy do mnie nie chowasz? — spytał pan Michał.

— Urazy nie chowam, bo mnie nie lada kto zwyciężył, ale gracz pierwszej wody. Ledwie, żem się wylizał.

— A jakże zdrowie waszmościne?

— Waćpanu dziw pewno, żem z pod jego ręki żyw wyszedł? Sam też sobie przyznaję, że niemała to sztuka.

Tu pan Kmicic uśmiechnął się:

— No, nie stracona sprawa. Dokończysz mnie, kiedy zechcesz.

— Wcale nie w tym zamiarze tu przyjechałem...

— Chyba waszmość dyabeł — przerwał Kmicic — albo masz inkluza. Bóg widzi, daleko mi teraz do samochwalstwa, bo z tamtego świata wracam, alem to sobie przed spotkaniem waćpana zawsze myślał: jeżelim nie pierwszy w Rzeczypospolitej na szable, tom drugi. Tymczasem — niesłychana rzecz! Toż jabym pierwszego cięcia nie odbił, gdybyś waćpan chciał. Powiedz mi, gdzie się tak wyuczył?

— Miało się trochę przyrodzonych zdolności — odrzekł pan Michał — i ojciec od małego wkładał, który nieraz mi mówił: "Dał ci Bóg nikczemną postać, jeśli się ludzie nie będą ciebie bali, to się będą z ciebie śmieli." Potem też u wojewody ruskiego w chorągwi służąc, douczyłem się reszty. Było tam kilku mężów, którzy śmiało mogli mi stawić czoło.

— Aza mogli być tacy?

— Mogli, bo byli. Był pan Podbipięta, Litwin, wielki familiant, który w Zbarażu poległ. Panie świeć nad jego duszą! był człek tak olbrzymiej siły, że mu się niepodobna było zostawić, bo mógł przeciąć zastawę i przeciwnika. Potem był jeszcze i Skrzetuski, przyjaciel mój serdeczny i konfident, o którym waść musiałeś słyszeć.

— Jakże! Onto ze Zbaraża wyszedł i przez Kozaków się przedarł. Kto o nim nie słyszał... To waść z takiej sfory? i zbarażczyk?... Czołem! Czołem! Czekajże!... przecie ja i o waćpanu u wojewody wileńskiego słyszałem. Wszak waszmości Michał na imię?

— Właściwie, to ja jestem Jerzy Michał, ale że święty Michał całemu komunikowi niebieskiemu przewodzi, i tyle już nad piekielnemi chorągwiami odniósł wiktoryj, przeto jego wolę mieć za patrona.

— Pewnie, że Jerzemu nie równać się z Michałem. Tośto waćpan ten sam Wołodyjowski, o którym powiadano, że Bohuna usiekł?

— Jam jest.

— No od takiego nie żal po łbie dostać. Dałby Bóg, żebyśmy przyjaciółmi mogli zostać. Waćpan to mnie wprawdzie zdrajcą okrzyknąłeś, aleś się w tem pomylił.

To rzekłszy Kmicic ściągnął brwi, jakby go rana na nowo zabolała.

— Przyznaję, żem się pomylił — odrzekł pan Wołodyjowski, — ale nie od waćpana o tem dopiero się dowiaduję, bo mi to już ludzie twoi powiadali. I wiedz waszmość o tem, że inaczej nie byłbym tu przyjeżdżał.

— Już ostrzyli, bo ostrzyli tu na mnie języki! — mówił z goryczą Kmicic. — Niech będzie co chce. Niejedna jest kreska na mnie, przyznaję, ale też i w tej okolicy ludzie niewdzięcznie mię przyjęli...

— Waść sobie najwięcej zaszkodziłeś tem spaleniem Wołmontowicz i ostatnim raptem.

— To też mnie procesami gnębią. Leżą już u mnie terminy do sądów. Choremu przyjść do zdrowia nie dadzą. Spaliłem Wołmontowicze, prawda, i ludzi coś się wysiekło; niechże mnie jednak Bóg sądzi, jeślim to ze swawoli uczynił. Tej samej nocy, przed spaleniem ślub sobie zrobiłem, żyć ze wszystkimi w zgodzie, zjednać sobie owych tutejszych szaraczków, załagodzić nawet łyczków w Upicie, bo tam istotnie podswawoliłem. Wracam tedy do dom i cóż zastaję? Oto moich kompanionow porzniętych jak woły, leżących pod ścianą! Gdym się dowiedział, że to Butrymowie uczynili, wtedy dyabeł we mnie wstąpił... i zemściłem się srogo... Czy waść uwierzy, za co ich porznięto?... Sam się o tem później dowiedziałem od jednego z Butrymów, którego w lasach napadłem: oto za to, że potańcować w karczmie ze szlachciankami chcieli... Ktoby się nie mścił?

— Mój mości panie! — odpowiedział Wołodyjowski — prawda, że za ostro postąpiono z waćpana kompanami, ale czyto ich szlachta pobiła? Nie! Pobiła ich dawniejsza reputacya, jaką tu ze sobą gotową przywieźli, bo żeby tak grzecznym jakim żołnierzom zachciało się potańcować, pewnieby ich za to nie sieczono.

— Nieborzęta! — mówił Kmicic, idąc za swoją myślą — gdym teraz oto w gorączce leżał, co wieczora wchodzili temi oto drzwiami,

z tamtej oto izby... Widziałem ich koło łoża, jako na jawie, sinych, zbitych, a ciągle jęczeli: "Jędruś! daj na mszę za dusze nasze, bo męki cierpimy!" To mówię waści, włosy mi na głowie powstawały, bo i siarką od nich w izbie pachniało... Na mszę już dałem, aby im to co pomogło!

Nastała chwila milczenia.

— A co do raptu — mówił dalej Kmicic, —waćpanu o tem nikt nie mógł powiedzieć, że ona ocaliła mi wprawdzie życie, gdy mnie szlachta ścigała, ale potem kazała iść precz i nie pokazywać się na oczy. Co mi wówczas pozostało?!

— Zawsze to tatarski był sposób.

— Chyba waćpan nie wiesz, co jest afekt, i do jakiej desperacyi człowiek przyjść może, gdy to, co najwięcej umiłował, utraci.

— Ja nie wiem co jest afekt? — zakrzyknął z oburzeniem pan Wołodyjowski. — Od czasu jak szablę począłem nosić, zawsze byłem zakochany... Prawda, że się subiectum (przedmiot) zmieniało, bo nigdy mi wzajemnością nie wypłacono. Gdyby nie to, nie byłoby wierniejszego nademnie Troila.

— Jaki tam i afekt, gdy się subiectum zmienia —rzekł Kmicic.

— Tedy waści powiem co innego, na co własnemi oczyma patrzyłem. Oto pierwszego czasu Chmielnicczyzny, Bohun, ten sam, który dziś po Chmielnickim największą cieszy się między Kozactwem powagą, porwał Skrzetuskiemu umiłowaną nad wszystko dziewkę, kniaziównę Kurcewiczównę. To był dopiero afekt! Całe wojsko płakało, widząc Skrzetuskiego desperacyę, bo mu broda w dwudziestym którymś roku życia zbielała, a on zgadnij waść co uczynił?

— Skąd mam wiedzieć!

— Oto, że ojczyzna była w potrzebie, w poniżeniu, że okrutny Chmielnicki tryumfował, więc on wcale nie poszedł dziewki szukać. Boleść Bogu ofiarował i bił się we wszystkich bitwach pod księciem Jeremim, aż pod Zbarażem tak nadzwyczajną chwałą się okrył, że dziś imię jego wszyscy ze czcią powtarzają. Przyłóżże waćpan teraz jego uczynek do swojego i poznaj różnicę.

Kmicic milczał i gryzł wąsy. Wołodyjowski mówił dalej:

— To też Skrzetuskiego Bóg wynagrodził i dziewkę mu oddał... Zaraz po Zbarażu się pobrali i już troje dzieci spłodzili, chociaż on służyć nie przestał. A waszmość, zamieszki czyniąc, pomagałeś

tem samem nieprzyjacielowi i małoś żywota nie utracił, nie mówiąc o tem, że przed paru dniami mogłeś pannę na zawsze utracić.

— Jakim sposobem? — rzekł, siadając na łóżku Kmicic — co się z nią działo?

— Nic się nie działo, jeno znalazł się mąż, który ją o rękę prosił i za żoną chciał pojąć.

Kmicic pobladł bardzo, zapadnięte jego oczy poczęły ciskać płomienie. Chciał wstać, zerwał się nawet na chwilę i krzyknął:

— Kto był ten wraży syn? Na żywy Bóg, mów waszmość!

— Ja — rzekł pan Wołodyjowski.

— Waćpan? waćpan? — pytał ze zdumieniem Kmicic. — Jakto?

— Tak jest.

— Zdrajco! nie ujdzie ci to!... I ona?... na żywy Bóg, mów już wszystko!... ona cię przyjęła?

— Odpaliła z miejsca i bez namysłu.

Nastała chwila milczenia. Kmicic oddychał ciężko i oczyma wpijał się w Wołodyjowskiego, ten zaś rzekł:

— Czemuto mnie zdrajcą nazywasz? Zalim ci brat, albo swat? Zalim ci wiarę łamał? Zwyciężyłem cię w boju i mogłem czynić, co mi się podobało.

— Postaremu jedenby z nas to krwią zapieczętował. Nie szablą, to z rusznicybym waćpana ustrzelił, i niechby mnie dyabli potem wzięli.

— Chybabyś mnie z rusznicy zastrzelił, bo gdyby mnie nie była odpaliła, tobym i pojedynku drugiego nie przyjął. Poco miałbym się bić? A wiesz czemu mnie odpaliła?

— Czemu? — powtórzył jak echo Kmicic.

— Bo ciebie miłuje.

Było to więcej, niż słabe siły chorego znieść mogły. Głowa Kmicica opadła na poduszki, na czoło wystąpił mu pot obfity i leżał czas jakiś w milczeniu.

— Okropnie mi słabo! — rzekł po chwili. — Skądże... to waść wie, że ona... mnie miłuje?

— Bo mam oczy i patrzę, bo mam rozum i miarkuję; teraz zwłaszcza, gdym rekuzę dostał, zaraz mi się w głowie rozjaśniło. Najprzód tedy, gdym po pojedynku przyszedł jej powiedzieć, że jest wolna, bom waćpana usiekł, wnet ją zamroczyło i zamiast wdzięczność mi okazać, całkiem mnie spostponowała; powtóre: gdy ciętu

Domaszewicze dźwigali, to ci głowę, jak matka unosiła, a potrzecie, gdym się jej oświadczył, tak mnie przyjęła, jakoby mi kto w pysk dał. Jeśli te racye waćpanu nie wystarczają, to chyba dlatego, żeś przez rozum zacięty i na umyśle szwankujesz.

— Gdyby to była prawda! — odrzekł słabym głosem Kmicic — tedy mi tu różne maści na rany przykładają... ale nie byłoby lepszego balsamu od słów waszmości.

— Zdrajcaże ci to taki balsam przykłada?

— Przebacz już waść. W głowie mi się takie szczęście nie mieści, żeby ona mnie jeszcze chciała.

— Powiedziałem, że waćpana miluje, nie powiedziałem, że cię zechce... To wcale co innego.

— Jeśli mnie nie zechce, to sobie ten łeb o ścianę rozbiję. Inaczej być nie może.

— Mogłoby być, gdybyś waćpan miał szczerą intencyą zmazania win. Teraz wojna, możesz iść, możesz posługi znaczne miłej ojczyźnie oddać, męstwem się wsławić, reputacyę połatać. Któżto jest bez grzechu? Kto nie ma win na sumieniu? Każdy ma... Ale do pokuty i poprawy każdemu otwarta droga. Waść grzeszyłeś swawolą, to jej odtąd unikaj; grzeszyłeś przeciw ojczyźnie, zamieszki w czasie wojennym czyniąc, to ją teraz ratuj; czyniłeś krzywdy ludziom, to je nagródź... Ot, droga dla waszmości lepsza i pewniejsza, niż rozbijanie sobie łba.

Kmicic patrzył uważnie na Wołodyjowskiego, potem rzekł:

— Waćpan mówisz, jak mój szczery przyjaciel.

— Nie jestem waćpana przyjacielem, ale po prawdzie nie jestem i nieprzyjacielem, a tej panny mnie żal, chociaż mnie odpaliła, bom jej też słowo ostre rzekł na odjezdnem. Od rekuzy się nie powieszę, nie pierwszyzna mi, a uraz nie zwykłem chować. Jeżeli więc waćpana na dobrą drogę namówię, to będzie także moja względem ojczyzny zasługa, boś żołnierz dobry i doświadczony.

— Zali mnie czas jeszcze na tę drogę wracać? Tyle terminów na mnie czeka! Z łoża trzeba do sądu zaraz... Chybabym stąd uciekał, a tego nie chcę. Tyle terminów! A co sprawa, to i wyrok pewny na potępienie.

— Ot, tu jest na to lekarstwo! — rzekł pan Wołodyjowski, wydobywając list zapowiedni.

— List zapowiedni! — wykrzyknął Kmicic — dla kogo?

— Dla waćpana! Nie potrzebujesz do żadnych sądów stawać, bo do hetmańskiej inkwizycyi należysz; słuchaj zaś, co książę wojewoda mi pisze.

Tu pan Wołodyjowski odczytał Kmicicowi prywatny list Radziwiłła, odetchnął, ruszył wąsikami i rzekł:

— Owóż, jak waćpan widzisz, ode mnie zależy, aby ci list zapowiedni oddać, albo go schować.

Niepewność, trwoga i nadzieja odbiły się na twarzy Kmicica.

— A waćpan co uczynisz? — spytał cichym głosem.

— A ja waszmości list oddaję — rzekł pan Wołodyjowski.

Kmicic nic zrazu nie odrzekł, głowę spuścił na poduszki i patrzył czas jakiś w pułap. Nagle oczy poczęły mu wilgotnieć i goście nieznani w tych oczach, łzy, zawisły na rzęsach.

— Niechże mnie końmi rozerwą! — rzekł wreszcie — niech mnie ze skóry obłuszczą, jeślim ja widział zacniejszego człowieka od waszmości... Jeśliś przezemnie rekuzę dostał, jeśli mnie Oleńka, jak powiadasz, miluje, inny tem bardziejby się mścił, tem głębiej mnie pogrążył... A waszmość mi rękę podajesz i jako z grobu mię wyciągasz!

— Bo nie chcę dla prywaty, ojczyzny miłej poświęcać, której waszmość znaczne jeszcze posługi możesz oddać. Ale to waszmości powiem, że gdybyś był owych Kozaków od Trubeckiego albo Chowańskiego pożyczył, tobym list zatrzymał. Całe to szczęście, żeś tego nie uczynił!

— Przykład, przykład z waćpana innym brać! — odrzekł Kmicic. — Dajże mi rękę. Bóg mi pozwoli czem dobrem się waszmości wypłacić, boś mnie na śmierć i życie zobowiązał.

— To i dobrze, potem o tem! A teraz... uszy waszmość do góry! Nie trzeba ci do żadnych sądów stawać, jeno do roboty się brać. Zasłużysz się ojczyźnie, to ci i ta szlachta odpuści, bo to ludzie na honor ojczyzny bardzo czuli... Możesz jeszcze winy zmazać, reputacyę odzyskać i w sławie, jak w słońcu chodzić, a już znam jedną pannę, która ci nagrodę za życia obmyśli.

— E! — zakrzyknął z uniesieniem Kmicic — co ja tu będę w łożu gnił, gdy nieprzyjaciel ojczyznę depcze. Hej! jest tam który? sam tu! pachołek, buty podawaj!... Sam tu! Niechże mnie piorun w tych betach ustrzeli, jeśli będę dłużej w nich parciał!

Uśmiechnął się na to z zadowoleniem pan Wołodyjowski i rzekł:

— Duch w waści od ciała silniejszy, bo ciało jeszcze ci nie dopisze.

To rzekłszy, począł żegnać się, a Kmicic nie puszczał, dziękował i winem chciał traktować.

Jakoż dobrze już miało się ku wieczorowi, gdy mały rycerz opuścił Lubicz i do Wodoktów podążył.

— Najlepiej ją za ostre słowa nagrodzę! — mówił sam do siebie, — gdy jej powiem, że Kmicic nietylko z łoża, ale i z niesławy powstaje... Nie doszczętu to jeszcze zepsuty człowiek, jeno gorączka wielki. Okrutnie ją też pocieszę, i tak myślę, że mnie teraz lepiej przyjmie, niż wtedy, gdym jej samego siebie ofiarował...

Tu westchnął poczciwy pan Michał i mruknął:

— Żeby to wiedzięć, czy jest jaka na świecie i dla mnie przeznaczona?

Wśród podobnych rozmyślań dojechał do Wodoktów. Kudłaty Żmudzin wybiegł do kołowrotu, ale nie śpieszył się otwierać, jeno rzekł:

— Dziedziczki niemasz w domu.

— To wyjechała?

— A wyjechała.

— Gdzie?

— Kto ją wie!

— A kiedy wróci?

— Kto ją wie!

— Gadajże po ludzku. Nie mówiła kiedy wróci?

— Bogdaj wcale nie wróci, bo z wozami wyjechala i z tobołami. Z tego miarkujem, że daleko i na długo.

— Tak? — mruknął pan Michał. — Ot! com najlepszego sprawił!...

## X.

Zwyczajnie, gdy cieplejsze promienie słońca poczynają przedzierać się przez zimową chmur oponę i gdy pierwsze pędy ukazują się na drzewach, a zielona ruń zbóż kiełkuje na wilgotnych polach, wstępuje i lepsza nadzieja w serca ludzkie. Ale wiosna roku 1655go nie przyniosła zwykłej pociechy dla strapionych w Rzeczypospolitej ludzi. Cała jej wschodnia granica, od północy aż po dzikie pola na południu, była opasana jakby wstęgą ognistą i wiosenne ulewy nie mogły zagasić pożaru, owszem wstęga owa stawała się coraz szerszą i coraz rozleglejsze zajmowała kraje. A oprócz tego na

niebie pojawiły się znaki złej wróżby, zwiastujące większe jeszcze klęski i nieszczęścia. Raz wraz z chmur, przelatujących niebiosa, tworzyły się jakoby wieże wysokie, jakoby flanki forteczne, które następnie zawalały się z łoskotem. Pioruny biły w ziemię, jeszcze śniegiem pokrytą, lasy sosnowe żółkły, a gałęzie drzew skręcały się w dziwne chorobliwe kształty; zwierzęta i ptaki padały od jakiejś nieznanej choroby. Nakoniec dostrzeżono i na słońcu plamy niezwyczajne, mające kształt ręki jabłko trzymającej, serca przebitego i krzyża. Umysły trwożyły się coraz bardziej, a zakonnicy gubili się w dociekaniach, coby owe znaki mogły znaczyć. Dziwna jakaś niespokojność ogarniała wszystkich serca.

Przepowiadano nowe wojny i nagle, Bóg wie skąd, złowroga wieść poczęła krążyć z ust do ust po wsiach i miastach, że od strony Szwedów zbliżała się nawałnica. Napozór nic nie zdawało się potwierdzać tej wieści, gdyż rozejm ze Szwecyą zawarty, miał jeszcze na sześć lat siłę, a jednak mówiono o niebezpieczeństwie wojny i na sejmie, który król Jan Kazimierz otworzył 19 maja w Warszawie.

Coraz więcej niespokojnych oczu zwracało się ku Wielkopolsce, na którą burza najpierw mogła się zwalić. Leszczyński, wojewoda łęczycki i Naruszewicz, pisarz polny litewski wyjechali w poselstwie do Szwecyi; ale wyjazd ich, zamiast uspokoić strwożonych, rozniecił większy jeszcze niepokój.

"Legacya ta wojną pachnie" — pisał Janusz Radziwiłł.

"Gdyby nawała nie groziła z tamtej strony, pocóżby ich wysyłano? — mówili inni. — Wszakże ledwie wrócił ze Sztokholmu poprzedni poseł Kanazyl; ale widać to jasno, że nic nie sprawił, skoro zaraz po nim tak poważnych wysłano senatorów."

Wszelako rozsądniejsi ludzie nie wierzyli jeszcze w możliwość wojny.

"Żadnej — twierdzili — Rzeczpospolita nie dała przyczyny, a rozejm trwa w całej sile. Jakżeby to podeptano przysięgi, zgwałcono najświętsze umowy i napadnięto po zbójecku bezpiecznego sąsiada? Szwecya przytem pamięta jeszcze rany, polską szablą zadane pod Kircholmem, Puckiem i Trzcianną! Wszakże to i Gustaw Adolf, który w całej Europie nie znalazł przeciwnika, uległ kilkakroć panu Koniecpolskiemu. Nie będą Szwedzi tak wielkiej sławy wojennej w świecie nabytej, na niepewny hazard wystawiać z przeciwnikiem, któremu nigdy w polu dostać nie mogli. Prawda, że

wojną wyczerpana i osłabiona jest Rzeczpospolita, ale samych Prus i samej Wielkopolski, która w wojnach ostatnich wcale nie ucierpiała, wystarczy aby ten głodny naród przepędzić i za morza do bezpłodnych skał odeprzeć. Nie będzie wojny!"

Na to odpowiadali trwożliwi, że jeszcze przed sejmem warszawskim radzono już z namowy króla na sejmiku w Grodnie o obronie pasów granicznych wielkopolskich, że rozpisywano podatki i żołnierza, czegoby przecie nie czyniono, gdyby niebezpieczeństwo nie było bliskie.

I tak chwiały się umysły pomiędzy obawą a nadzieją; ciężka niepewność przygniatała dusze ludzkie, gdy nagle położył jej koniec uniwersał Bogusława Leszczyńskiego, generała wielkopolskiego, zwołującego pospolite ruszenie szlachty województw poznańskiego i kaliskiego do obrony granic od grożącej nawały szwedzkiej...

Wszelka wątpliwość znikła. Okrzyk: "Wojna!" rozległ się po całej Wielkopolsce i wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej.

Była to nietylko wojna, ale nowa wojna. Chmielnicki wspomagany przez Burtulina, srożył się na południu i wschodzie; Chowański i Trubecki na północy i wschodzie, Szwed zbliżał się z zachodu! Ognista wstęga zmieniała się w koło ogniste.

Kraj był jak obóz oblężony.

A w obozie źle się działo. Jeden już zdrajca, Radziejowski, uciekł z niego i był w namiocie napastników. Onto prowadził ich na łup gotowy, on wskazywał słabe strony, on miał kusić załogę. A oprócz tego nie brakło ni niechęci, ni zawiści; nie brakło magnatów między sobą zwaśnionych lub za odmówione urzędy na króla krzywych i w każdej chwili sprawę publiczną dla swej prywaty poświęcić gotowych; nie brakło dysydentów, pragnących tryumf swój choćby na grobie ojczyzny uświęcić; a jeszcze więcej było swawolników i ospałych i leniwych i w sobie samych, we własnych wczasach i dostatkach zakochanych.

Jednakże zasobna i wojną dotąd niepoterana kraina wielkopolska nie żałowała przynajmniej pieniędzy na obronę. Miasta i wsie szlacheckie dostarczyły piechotnego żołnierza tyle, ile go rozpisano i zanim szlachta ruszyła własnemi osobami do obozu, ciągnęły już tam pstre pułki łanowej piechoty pod wodzą rotmistrzów, przez sejmik wyznaczonych z ludzi, w rzemiośle wojennem doświadczonych.

Wiódł więc pan Stanisław Dębiński łanowców poznańskich, pan

Władysław Włostowski kościańskich, a pan Golc, sławny żołnierz i inżynier, waleckich. Nad kaliskimi chłopy dzierżył rotmistrzowską buławę pan Stanisław Skrzetuski, z rodu dzielnych wojowników, stryjeczny Jana, słynnego zbaraszczyka. Pan Kacper Żychliński prowadził konińskich młynarzy i sołtysów. Z pod Pyzdrów ciągnął pan Stanisław Jaraczewski, który młodość w cudzoziemskich wojnach spędził; z pod Kcyni pan Piotr Skoraszewski, a pan Kościecki z pod Nakła. Nikt jednak w doświadczeniu wojennem nie mógł wyrównać panu Władysławowi Skoraszewskiemu, którego głosu nawet sam generał wielkopolski i wojewodowie słuchali.

W trzech miejscach: pod Piłą, Ujściem i Wieluniem zalegli rotmistrzowie pasy nadnoteckie, czekając na przybycie szlachty, na pospolite ruszenie zwołanej. Piechurowie sypali szańce od rana do wieczora, ustawicznie oglądając się za siebie, czy pożądana konnica nie nadciąga.

Tymczasem nadjechał pierwszy z dygnitarzy, pan Andrzej Grudziński, wojewoda kaliski i stanął w domu burmistrza z licznym pocztem sług, przybranych w białe i błękitne barwy. Spodziewał się, że wnet otoczy go szlachta kaliska, gdy jednak nikt się nie zjawiał, posłał po rotmistrza, pana Stanisława Skrzetuskiego, zajętego sypaniem szańczyków nad rzeką.

— A gdzieto moi ludzie? — pytał po pierwszych powitaniach rotmistrza, którego znał od dziecka.

— Jacy ludzie? — rzekł pan Skrzetuski.

— A pospolite ruszenie kaliskie?

Pół pogardliwy, pół bolesny uśmiech pojawił się na czerniawej twarzy żołnierza.

— Jaśnie wielmożny wojewodo! — rzekł — przecie to czas strzyży owiec, a za źle umytą wełnę nie chcą w Gdańsku płacić. Każdy teraz jegomość nad stawem przy myciu, albo nad wagą stoi, słusznie mniemając, że Szwedzi nie uciekną.

— Jakżeto? — odparł zafrasowany wojewoda — niemasz jeszcze nikogo?

— Żywego ducha, prócz piechoty łanowej... A potem żniwa bliskie. Dobry gospodarzz z domu nie wyjeżdża w takim czasie!

— Co mi waćpan prawisz?

— A Szwedzi nie uciekną, jeno jeszcze bliżej przyjdą — powtórzył rotmistrz.

Dziobata twarz wojewody poczerwieniała nagle.

— Co mi Szwedzi!... Ale to dla mnie wstyd wobec innych panów będzie, gdy sam się tu jako palec ostanę.

Skrzetuski znów się uśmiechnął.

— Wasza miłość pozwoli sobie powiedzić, — rzekł — że Szwedzi tu rzecz główna, a wstyd potem. Zresztą nie będzie go, bo nie tylko kaliskiej, ale i żadnej innej szlachty jeszcze niema.

— Powaryowali! — rzekł pan Grudziński.

— Nie, jeno oni tego pewni, że jeśli oni nie zechcą do Szwedów, to Szwedzi nie omieszkają do nich.

— Czekaj waść! — rzekł wojewoda.

I klasnąwszy na pachołka, kazał sobie podać inkaustu, piór i papieru — następnie usiadł i począł pisać.

Po upływie pół godziny zasypał kartę, uderzył po niej ręką i rzekł:

— Posyłam jeszcze wezwanie, by się najpóźniej pro die 27 praesentis (dnia 27 tego miesiąca) stawili i tak myślę, że przynajmniej w tym ostatnim terminie zechcą non deesse patriae (nie skrewić ojczyźnie). A teraz powiedz mi waćpan: macieli jakie wieści o nieprzyjacielu?

— Mamy. Wittemberg wojska swoje pod Damą na Łęgach musztruje.

— Siła ich?

— Jedni mówią, że siedmnaście tysięcy, drudzy że więcej.

— Hm! to nas i tyle nie będzie. Jak waść sądzisz, zdołamy się oprzeć?

— Jeśli się szlachta nie stawi, to i niema o czem mówić...

— Stawi się, co się nie ma stawić! Wiadoma to rzecz, że pospolite ruszenie zawsze marudzi, ale ze szlachtą damy sobie radę.

— Nie damy — rzekł sucho Skrzetuski. — Jaśnie wielmożny wojewodo, toż my wcale żołnierzy nie mamy.

— Jakto nie mamy żołnierzy?

— Wasza miłość wie tak dobrze, jak ja, że co jest wojska, to wszystko na Ukrainie. Nie przysłano nam tu ani dwóch chorągwi, choć Bóg jeden wie teraz, która burza groźniejsza.

— Ale piechota, ale pospolite ruszenie?

— Na dwudziestu chłopów ledwie jeden wojnę widział, a na dziesięciu jeden wie, jak rusznicę trzymać. Po pierwszej wojnie będą z nich dobrzy żołnierze, ale nie teraz. A co do pospolitego ruszenia, spytaj wasza miłość każdego, kto się dobrze na wojnie zna, czy pospolite ruszenie może dotrzymać regularnym wojskom.

jeszcze takim jak szwedzkie, weteranom z całej luterskiej wojny i do zwycięstw przywykłym.

— Także to waść wysoko Szwedów nad swoich wynosisz?

— Nie wynoszę ja ich nad swoich, bo gdyby tu było z piętnaście tysięcy takich ludzi, jacy pod Zbarażem byli, kwarcianych i jazdy, tedybym się ich nie bał; ale z naszymi daj Boże, abyśmy coś znaczniejszego wskórać mogli.

Wojewoda położył ręce na kolana i spojrzał bystro w oczy Skrzetuskiemu, jakby chciał w nich jakąś ukrytą myśl wyczytać.

— Tedy po co my tu przyszli? Czy waćpan nie myślisz, że lepiej się poddać?

Zapłonął na to pan Stanisław i rzekł:

— Jeśli mi taka w głowie myśl powstała, każże mnie wasza miłość na pal wbić. Na pytanie, czy wierzę w wiktoryę, odpowiadam jak żołnierz: nie wierzę! — ale pocośmy tu przyszli, to inna materya, na którą jako obywatel odpowiadam: poto, abyśmy nieprzyjacielowi wstręt pierwszy dali, abyśmy zatrzymawszy go na sobie, pozwolili reszcie kraju opatrzyć się i wystąpić, abyśmy ciałami naszemi wstrzymali najazd póty, póki jeden na drugim nie padniem!

— Chwalebna to intencya waszmości, — odpowiedział chłodno wojewoda — ale łatwiej wam żołnierzom o śmierci mówić, niż nam, na których cała odpowiedzialność za tyle krwi szlacheckiej, darmo przelanej, spadnie.

— Po to i ma szlachta krew, aby ją przelewała.

— Tak to, tak! Wszyscy gotowiśmy poledz, bo zresztą to najłatwiejsza rzecz. Wszelako obowiązek każe nam, których Opatrzność naczelnikami uczyniła, nie samej tylko chwały szukać, ale i za pożytkiem się oglądać. Wojna już tak, jak zaczęta, to prawda, ale przecie Carolus Gustavus pana naszego krewny i musi mieć na to wzgląd. Dlatego należy i paktowania popróbować, bo czasem więcej słowem można wskórać, niźli orężem.

— To do mnie nie należy! — odrzekł sucho pan Stanisław.

Wojewodzie w tej chwili widocznie toż samo na myśl przyszło, bo skinął głową i pożegnał rotmistrza.

Skrzetuski jednakże do połowy tylko miał słuszność w tem, co mówił o opieszałości szlachty na pospolite ruszenie powołanej. Prawdą istotnie bowiem było, że do ukończenia strzyży owiec mało

kto ściągnął do obozu między Piłą a Ujściem, ale pod d. 27 czerwca, to jest na termin w ponownem wezwaniu oznaczony, zaczęto zjeżdżać się dość licznie.

Codziennie tumany kurzu, podnoszące się z powodu suchej i stałej pogody, zwiastowały zbliżanie się coraz nowych zastępów. I jechała szlachta szumnie, konno i koleśno, z pocztami sług, z kredensami, z wozami i obfitością na nich wygód wszelkich, a obciążona tak bronią, iż niejeden za trzech wszelakiego dźwigał oręża, począwszy od kopij, rusznic, bandoletów, szabel, koncerzy i zarzuconych już w owym czasie młotków husarskich, do rozbijania zbroi służących. Starszy praktycy zaraz po tem uzbrojeniu poznawali ludzi nieobytych z wojną i niedoświadczonych.

Ze wszelkiej bowiem szlachty, zamieszkującej obszary Rzeczypospolitej, wielkopolska właśnie najmniej była wojownicza. Tatarzy, Turcy i Kozacy nie deptali nigdy tych sokolic, które od czasów krzyżackich zapomniały niemal, jak wygląda wojna w kraju. Kto ze szlachty wielkopolskiej czuł w sobie bojową ochotę, ten się zaciągał do komputu wojsk koronnych i tam stawał tak dobrze jak każdy inny; ale ci natomiast, którzy w domach woleli siedzieć, na prawdziwych się też domatorów zmienili, kochających się w dostatkach, we wczasach, na zawołanych gospodarzy, zasypujących swą wełną i zwłaszcza swojem zbożem rynki miast pruskich.

Teraz więc gdy burza szwedzka oderwała ich od spokojnych zajęć, zdawało się im, że na wojnę nie można się zanadto bronią najeżyć, ani zapasami zaopatrzyć, ani zawielu wziąć pachołków, którzyby ciała i sprzętów pana strzegli.

Dziwni to byli żołnierze, z którymi rotmistrzowie niełatwo do sprawy przyjść mogli. Stawał naprzykład towarzysz z kopią na dziewiętnaście stóp długą i w pancerzu na piersiach, ale w słomianym kapeluszu "dla chłodu" na głowie; inny w czasie musztry na gorąco narzekał, inny ziewał, jadł lub pił, inny pachołka wołał, za wszyscy w szeregu nie poczytywali za rzecz zdrożną gawędzić tak głośno, że rozkazów oficerów nikt słyszeć nie mógł. I trudno było dyscyplinę wprowadzać, bo się o nią brać urażała mocno, jako godności obywatelskiej przeciwną. Ogłaszano wprawdzie "artykuły," ale ich słuchać nie chciano.

Kulą żelazną u nóg tego wojska był nieprzeliczony zastęp wozów koni zapaśnych i pociągowych, bydła przeznaczonego na spiżę, a

zwłaszcza sług pilnujących namiotów, sprzętów, jagieł, krup i bigosów, a wszczynających z lada powodu kłótnie i zamieszanie.

Przeciw takiemu to wojsku zbliżał się od strony Szczecina i nadodrzańskich łęgów Arwid Wittemberg, stary wódz, któremu młodość na wojnie trzydziestoletniej zbiegła, prowadząc siedmnaście tysięcy weteranów, w żelazną dyscyplinę ujętych.

Z jednej strony stał bezładny obóz polski, do zbiegowiska jarmarcznego podobny, hałaśliwy, pełen dysput, rozpraw nad rozporządzeniami wodzów i niezadowolenia, złożony z poczciwych wieśniaków, na poczekaniu w piechotę zamienionych i z jegomościów prosto od strzyży owiec oderwanych; z drugiej maszerowały groźne, milczące czworoboki, na jedno skinienie wodzów rozciągające się z regularnością machin w linie i półkola; zwierające się w kliny i trójkąty tak sprawnie, jak miecz w ręku szermierza; najeżone rurami muszkietów i włóczni, prawdziwi ludzie wojny, zimni, spokojni, istni rzemieślnicy, którzy do mistrzostwa doszli w rzemiośle. Któż z ludzi doświadczonych mógł wątpić, jaki będzie rezultat spotkania i na czyją stronę musi paść zwycięztwo?

Jednakże szlachty ściągało się coraz więcej, a przedtem jeszcze poczęli się zjeżdżać dygnitarze wielkopolscy i innych prowincyi, z pocztami przybocznych wojsk i sług. Wkrótce po panu Grudzińskim, zjechał do Piły potężny wojewoda poznański, pan Krzysztof Opaliński. Trzystu hajduków, przybranych w żółte z czerwonem barwy i uzbrojonych w muszkiety, szło przed wojewodzińską karetą; tłum dworzan, szlachty, otaczał jego dostojną osobę; za nimi w szyku bojowym ciągnął oddział rajtarów w takież barwy jak i hajduki przybranych; sam wojewoda jechał w karecie mając przy sobie błazna, Stacha Ostróżkę, którego obowiązkiem było posępnego pana przez drogę rozweselać.

Wjazd tak znamienitego dygnitarza dodał wszystkim serca i otuchy; tym bowiem którzy spoglądali na monarszy niemal majestat wojewody, na tę twarz wspaniałą, w której, z pod wysokiego jak sklepienia czoła, świeciły oczy rozumne i surowe, na senatorską powagę całej postawy, zaledwie w głowie mogło się pomieścić, by jakiś niefortunny los mógł przypaść w udziale takiej potędze.

Ludziom, przywykłym do czci dla urzędu i osoby, wydawało się, że i sami Szwedzi nie będą chyba śmieli wznieść świętokradzkiej ręki na takiego magnata. Owszem ci, którym trwożliwe serce biło w piersiach, uczuli się zaraz bezpieczniejsi pod jego skrzydłami.

Witano go więc radośnie i gorąco; okrzyki brzmiały wzdłuż ulicy, którą orszak posuwał się zwolna ku domowi burmistrza, a głowy chyliły się przed wojewodą, widnym jak na dłoni przez szyby pozłocistej karety. Na owe ukłony odpowiadał wraz z wojewodą Ostrożka z taką godnością i powagą, jakby wyłącznie jemu były oddawane.

Zaledwie kurz opadł po przejeździe wojewody poznańskiego, gdy gońcy nadbiegli z oznajmieniem, że jedzie stryjeczny brat, wojewoda podlaski, Piotr Opaliński, ze swym szwagrem, Jakóbem Rozdrażewskim, wojewodą inowracławskim. Ci przywiedli każdy pięćdziesiąt ludzi zbrojnych, prócz dworzan i sług. Potem nie mijał dzień, by kto z dygnitarzy nie zjechał: jako Sędziwój Czarnkowski, szwagier Krzysztofa, a sam kasztelan kaliski Maksymilian Miaskowski, kasztelan Krzywiński i Paweł Gębicki, pan międzyrzecki. Miasteczko napełniło się tak dalece ludźmi, że domów brakło na pomieszczenie samych tylko dworzan. Przyległe łąki upstrzyły się namiotami pospolitego ruszenia. Rzekłbyś, że wszystko ptastwo różnobarwne zleciało się do Piły z całej Rzeczypospolitej.

Migotały barwy czerwone, zielone, niebieskie, białe, w w katankach, żupach, kubrakach i kontuszach, bo pominąwszy pospolite ruszenie, w którem co szlachcic to inny strój nosił — pominąwszy służbę pańską — i piechota każdego powiatu w inne przybraną była kolory.

Nadjechali i bazarnicy, którzy, nie mogąc się w rynku pomieścić, wybudowali rząd szop wedle miasteczka. Sprzedawano w nich przybory wojskowe, od szat do broni i jadła. Polowe garkuchnie dymiły przez dzień i noc, roznosząc w dymach zapach bigosów, jagieł, pieczeni —w innych sprzedawano trunki. Przed szopami roiła się szlachta, zbrojna nietylko w miecze, ale i w łyżki, jedząc, popijając i rozprawiając, to o nieprzyjacielu, którego jeszcze nie było widać, to o nadjeżdżających dygnitarzach, którym nie żałowano przymówek.

Między grupami szlachty chodził Ostrożka, przybrany w odzież zeszytą z pstrych gałganków z ber łem zdobnem dzwonkami i min z głupia frant. Gdzie się pokazał, otaczano go wnet kołem, on zapodlewał oliwy do ognia, pomagał obmawiać dygnitarzy i zadawa

zagadki, nad któremi szlachta tem bardziej brała się za boki, im bardziej były zjadliwe.

Nie szczędzono w nich nikogo.

Pewnego dnia nadszedł przed bazary sam wojewoda poznański i wmieszał się między szlachtę, rozmawiając łaskawie z tym, z owym lub ze wszystkimi i skarżąc się trochę na króla, że wobec zbliżającego się nieprzyjaciela nie przysłał ani jednej chorągwi kwarcianej.

— Nie myślą o nas, mości panowie — mówił — bez pomocy nas zostawiają. Powiadają w Warszawie, że na Ukrainie i tak wojska za mało i że hetmani nie mogą sobie dać rady z Chmielnickim. Ha, trudno! Milsza widać Ukraina, niż Wielkopolska... W niełasce jesteśmy, mości panowie, w niełasce! Jako na jatki nas tu wydali...

— A kto winien? — pytał pan Szlichtyng, sędzia wschowski.

— Kto wszystkim nieszczęściom Rzeczypospolitej winien? — odparł wojewoda — już nie my, bracia szlachta, którzy ją piersiami naszemi zasłaniamy.

Słuchającej szlachcie pochlebiło to wiele, że "hrabia na Bninie i Opalenicy" sam się na równi z nią stawia i do braterstwa się przyznaje, więc zaraz pan Koszucki odpowiedział:

— Jaśnie wielmożny wojewodo! Gdyby tam więcej takich konsyliarzów było przy majestacie, jak wasza miłość, pewnieby tu nas na rzeź nie wydano.. Aleć tam podobno ci rządzą, co się niżej kłaniają.

— Dziękuję, panie bracie, za dobre słowo!... Wina tego, co złych doradców słucha. Wolności to tam nasze solą w oku stoją. Im więcej szlachty wyginie, tem absolutum dominium będzie do zaprowadzenia łatwiejsze.

— Zali poto mamy ginąć, aby dzieci nasze w niewoli jęczały?

Wojewoda nic nie odrzekł, a szlachta poczęła spoglądać po sobie zdumiewać się.

— Więc to tak? — wołały liczne głosy. — Więc poto nas tu pod nóż wysłano? A wierzym! Nie od dziś to o absolutum dominium mówią!... A skoro na to idzie, to i my potrafimy o naszych głowach pomyśleć!

— I o naszych dzieciach!

— I o naszych fortunach, które nieprzyjaciel igne et ferro będzie pustoszył.

Wojewoda milczał.

W dziwny sposób ten wódz dodawał ducha swym żołnierzom.

— Król to wszystkiemu winien! — wołano coraz liczniej.

— A pamiętacie waćpanowie dzieje Jana Olbrachta? — spytał wojewoda.

— Za króla Olbrachta wyginęła szlachta. Zdrada, panowie bracia!

— Król, król zdrajca — zakrzyknął jakiś głos śmiały.

Wojewoda milczał.

Wtem Ostróżka, stojący przy boku wojewody, uderzył się kilkakroć rękoma po udach i zapiał jak kogut, tak przeraźliwie, że wszystkie oczy zwróciły się na niego.

Następnie zakrzyknął:

Z prawdziwą zmiennością marcowej pogody oburzenie pospólitaków zmieniło się w jednej chwili w ciekawość i chęć usłyszenia jakiegoś nowego dowcipu błazna.

— Słuchamy! słuchamy! — ozwało się kilkanaście głosów.

Błazen począł mrugać oczyma jak małpa i recytował piskliwym głosem:

Po bracie się pocieszył koroną i żoną.
Lecz pozwolił, by sławę z bratem pogrzebiono;
Podkanclerza wypędził — i z tego dziś słynie,
Że sam jest podkanclerzym... przy podkanclerzynie.

— Król! król! jako żywo! Jan Kazimierz! — poczęto wołać ze wszystkich stron.

I śmiech ogromny, jakby grzmot, rozległ się w zgromadzeniu.

— Niech go kule biją, jak to misternie ułożył! — wołała szlachta.

Wojewoda śmiał się z innymi, następnie, gdy uciszyło się nieco, rzekł poważniej:

— I za tę to sprawę my musimy teraz krwią i głowami nakładać... Ot, do czego doszło!.... Ale masz, błaźnie, dukata za dobrą zagadkę.

— Krzysztofku! Krzychu · najmilszy! — odrzekł Ostróżka — czemuto na innych napadasz, że trefnisiów trzymają, kiedy sam nietylko mnie trzymasz, ale osobno za zagadki dopłacasz?... Dajże mnie jeszcze dukata, to ci powiem drugą zagadkę.

— Taką samą dobrą?

— Jeno dłuższą... Daj naprzód dukata.

— Masz!

Błazen znów wstrząsnął rękoma, jak kogut skrzydłami, znów zapiał i zakrzyknął:

— Mości panowie, słuchajcie! Kto to taki?

Na prywatę narzekał, udawał Katona,

Od szabli wołał pióro z gęsiego ogona:
Po zdrajcy chciał śpuścizny, a gdy jej nie dostał,
Wnet totam Rempublicam ostrym rymem schłostał
Bodajby szablę kochał, mniej byłoby biedy,
Bo się satyr napewno nie ulękną Szwedy.
On zaś, ledwie wojennych skosztował kłopotów,
Już za zdrajcy przykładem króla zdradzić gotów.

Wszyscy obecni odgadli tak dobrze tę zagadkę, jak i poprzednią, Dwa czy trzy zduszone w tej chwili śmiechy ozwały się w zgromadzeniu, poczem zapadła cisza głęboka.

Wojewoda stał się czerwony i tem bardziej się zmieszał, że wszytkie oczy były w niego utkwione, a błazen spoglądał to na jednego szlachcica, to na drugiego, wreszcie ozwał się:

— Nikt z waszmościów nie odgaduje kto to taki.

A gdy milczenie było jedną odpowiedzią, wówczas Ostróżka zwrócił się z najbezczelniejszą miną do wojewody:

— A ty Krzychu, zali także nie wiesz o jakim to hultaju była mowa?... Nie wiesz? to płać dukata!

— Masz! — odrzekł wojewoda.

— Bóg ci zapłać!... Powiedzno mi Krzychu: nie starałeś się ty przypadkiem o podkanclerstwo po Radziejowskim?

— Nie pora na krotochwile! — odparł Krzysztof Opaliński.

I skłoniwszy się czapką wszystkim obecnym:

— Czołem waszmościom!... Pora mi na radę wojenną.

— Na radę familijną, chciałeś Krzychu powiedzieć — dodał Ostrożka — bo tam wszyscy radzić będziecie, jakby dać drapaka.

Poczem zwrócił się do szlachty i naśladując wojewodę w ukłonie, dodał:

— A waćpanom w to graj!

I oddalili się obaj; ale zaledwie uszli kilkanaście kroków, jeden ogromny wybuch śmiechu obił się o uszy wojewody i brzmiał jeszcze długo, zanim utonął w ogólnym gwarze obozu.

Rada wojenna istotnie miała miejsce i wojewoda poznański na niej prezydował. Była to szczególna rada! Brali w niej udział sami tacy dygnitarze, którzy się na wojnie nie znali. Bo magnaci wielkopolscy nie szli i nie mogli iść za przykładem owych "królewiąt" litewskich lub ukrainnych, żyjących w ustawiczny, ogniu, jak salamandry.

Tam, co wojewoda lub kanclerz, to był wódz, któremu pancerz wygniatał na ciele nigdy nie schodzące czerwone pręgi, któremu młodość zbiegła na stepach lub w lasach od wschodniej strony, wśród zasadzek, walk, gonitw, w obozach lub taborach. Tu byli dygnitarze, pilnujący urzędów, a choć w chwilach potrzeb chodzili na pospolite ruszenie, jednakże nigdy nie zajmowali naczelnych w czasie wojen stanowisk. Głęboki spokój uśpił wojowniczego ducha potomków tych rycerzy, którym niegdyś żelazne hufce krzyżackie nie mogły dotrzymać pola; zmienił w statystów, uczonych i literatów. Dopiero twarda szkoła szwedzka nauczyła ich, czego zapomnieli.

Ale tymczasem zgromadzeni na naradę dygnitarze spoglądali na się niepewnemi oczyma i każdy bał się pierwszy odezwać, czekając, co powie "Agamemnon" wojewoda poznański.

"Agamenon" zaś sam nie znał się poprostu na niczem i mowę swoją rozpoczął znów od narzekań na niewdzięczność i ospałość królewską, na lekkie serce, z jakiem całą Wielkopolskę i pod miecz wydano. Ale zato jakże był wymowny, jakże wspaniałą czynił postać, prawdziwie rzymskiego senatora godną: głowę przy mówieniu trzymał wzniesiona, czarne jego oczy ciskały błyskawice, usta pioruny, a siwiejąca broda trzęsła się z uniesieniu, gdy przyszłe klęski ojczyzny malował.

— W czemże ojczyzna cierpi? — mówił — jeżeli nie w synach swoich... a my tutaj najpierwej ucierpimy. Po naszych to ziemiach, po naszych prywatnych fortunach, zasługami i krwią przodków zdobytych, przejdzie najprzód noga tych nieprzyjaciół, którzy jako burza zbliżają się ku nam od morza. I zaco my cierpimy? Zaco zajmą nasze trzody, wydepcą zboża, popalą wsie, pracą naszą zbudowane? Czy myśmy krzywdzili Radziejowskiego, który niesłusznie osądzony i jak zbrodniarz ścigany, obcej protekcyi szukać musiał? Nie!... Dwie wojny palą się na dwóch granicach — trzebać było wywołać i trzecią?... Kto winien, niech go Bóg, niech go ojczyzna sądzi.... My umyjmy ręce, bośmy niewinni tej krwi, która będzie przelaną...

I tak dalej piorunował wojewoda; ale gdy przyszło do właściwej materyi, nie umiał rady pożądanej udzielić.

Posłano tedy po rotmistrzów łanową piechotą dowodzących, a szczególnie po pana Skoraszewskiego, który był nietylko rycerz sławny i niezrównany, ale i stary praktyk wojenny, znający wojnę jak pacierz.

Rad jego istotnie nawet wodzowie nieraz słuchali; tem więc skwapliwiej pożądano ich teraz.

Pan Skoraszewski radził tedy założyć trzy obozy, pod Piłą, Wieluniem i Ujściem, tak blisko, aby w razie napadu mogły sobie wzajem przychodzić w pomoc; a prócz tego całą narzeczną przestrzeń, łukiem obozów objętą, obsypać szańcami, któreby nad przeprawami panowały.

— Gdy się już okaże — mówił pan Skoraszewski — w którem miejscu nieprzyjaciel będzie przeprawy tentował, wtedy się tam ze wszystkich trzech obozów w kupę zbierzemy dać mu wstręt należyty, ja zaś, za zezwoleniem jwm. panów, pójdę z małym pocztem do Czaplinka. Stracona to pozycya i wczas się z niej cofnę, ale tam najpierw dowiem się o nieprzyjacielu i jwm. panom dam znać o nim.

Wszyscy zgodzili się na ową radę i poczęto nieco żwawiej krzątać się w obozie. Szlachty zjechało się wreszcie do piętnastu tysięcy. Łanowi sypali szańce na przestrzeni sześciu mil.

Ujście, główną pozycyą zajął ze swymi ludźmi pan wojewoda poznański. Część rycerstwa została w Wieluniu, część w Pile, a pan Władysław Skoraszewski odjechał do Czaplinka by stamtąd dawać baczenie na nieprzyjaciela.

Rozpoczął się lipiec; dni były ciągle pogodne i gorące. Słońce dopiekało na równinach tak mocno, że szlachta chroniła się po lasach pomiędzy drzewa, pod których cieniem niektórzy kazali rozbijać swe namioty. Tam też wyprawiano uczty gwarne i hałaśliwe a jeszcze więcej hałasu czyniła służba, zwłaszcza przy pławieniu i pojeniu koni, których po kilka tysięcy na raz pędzono trzy razy dziennie do Noteci i Brdy, kłócąc się i bijąc o najlepszy przystęp do brzegu.

Duch jednak, pomimo iż sam wojewoda poznański działał raczej w ten sposób, aby go osłabić, był z początku dobry.

Gdyby Wittemberg był nadszedł w pierwszych dniach lipca, byłby prawdopodobnie napotkał mocny opór, który w miarę rozgrzewania się ludzi do boju, mógłby się zamienić w niezwalczoną wściekłość, jak tego często bywały przykłady. Ba przecież w żyłach tych ludzi, jakkolwiek odwykłych od wojny, płynęła krew rycerska.

Kto wie, czy drugi Jeremi Wiśniowiecki nie zmieniłby Ujścia w drugi Zbaraż i nie zapisał w tych okopach nowej świetnej karyery

rycerskiej. Ale właśnie wojewoda poznański, na nieszczęście, mógł tylko pisać, nie walczyć.

Wittemberg, człowiek nietylko wojnę znający, ale i ludzi, może umyślnie się nie śpieszył. Doświadczenie długoletnie uczyło go, że nowozaciężny żołnierz najniebezpieczniejszy jest w pierwszej chwili zapału że częstokroć nie męstwa mu brak, ale żołnierskiej cierpliwości, którą tylko praktyka wyrabia. Potrafi on nieraz uderzyć, jak nawałnica, na najstarsze pułki i przejść po ich trupach. Jest to żelazo, które, póki czerwone, drga, żyje, sypie iskry, pali, niszczy, a gdy już wystygnie, jest tylko martwą bryłą.

Jakoż, gdy ubiegł tydzień i drugi, a zaczynał się trzeci, długa bezczynność poczęła ciążyć pospolitemu ruszeniu. Upały były coraz większe. Szlachta nie chciała wychodzić na mustry, tłómacząc się tem, że "konie cięte przez bąki, nie chcą ustać na miejscu a jako że w błotnistej okolicy, od komarów wytrzymać nie można..."

Czeladź wszczynała coraz większe kłótnie o miejsca cieniste, o które i między panami przychodziło do szabel. Jaki taki, skręciwszy wieczorem do wody, wyjeżdżał chyłkiem z obozu, aby nie wrócić więcej.

Nie brakło i z góry złego przykładu. Pan Skoraszewski dał właśnie znać z Czaplinka, że Szwedzi już niedaleko, gdy na radzie wojennej uwolniono do domu pana Zygmunta z Grudnej Grudzińskiego, starościca średzkiego, o co stryj Andrzej, pan wojewoda kaliski, wielce nastawał.

— Jeśli ja mam tu głowę złożyć i gardło dać — mówił, — niechże synowiec po mnie pamięć i sławę odziedziczy, aby zasługa moja nie przepadła.

Tu począł roztkliwiać się nad młodym wiekiem i niewinnością synowca, oraz wynosić jego hojność, z jaką sto piechoty bardzo porządnej dla Rzeczypospolitej na ten termin wystawił. I rada wojenna zgodziła się na prośby stryja.

Z rana dnia 16-go lipca wyjeżdżał pan starościc w kilkanaście sług otwarcie z obozu do domu, w wigilią niemal oblężenia i bitwy. Tłumy szlachty przeprowadzały go wśród szyderskich okrzyków aż za obóz, a tłumom tym przywodził Ostróżka, który krzyczał zdaleka za odjeżdżającym:

— Mości panie starościcu, daję ci do herbu i nazwiska przydomek: Deest!

— Vivat Deest Grudziński! — krzyknęła szlachta.

— A nie płacz za stryjem! — wołał dalej Ostróżka, — równy on ma z tobą kontempt dla Szwedów i niech się jeno pokażą, pewnie się plecami do nich obróci!

Młodemu magnatowi krew biła do twarzy, ale udawał, że obelg nie słyszy, jeno konia bódł ostrogami i tłumy rozpierał, by jak najprędzej znaleźć się poza obozem i swymi prześladowcami, którzy w końcu bez uwagi na ród i godność odjeżdżającego, poczęli rzucać grudkami ziemi i krzyczeć:

— Masz grudkę, Grudziński! A ho! a huzia! hoc, hoc, szarak! kot!

Uczynił się taki tumult, że aż wojewoda poznański nadbiegł z kilkunastu rotmistrzami uspokajać i tłómaczyć, że starościc tylko na tydzień, dla bardzo pilnych spraw wziął permisyę.

Jednakże zły przykład podziałał — i tego samego dnia znalazło się kilkuset szlachty, którzy nie chcieli być gorszymi od pana starościca, lubo wymykali się z mniejszą asystencyą i ciszej. Pan Stanisław Skrzetuski, rotmistrz kaliski, a stryjeczny słynnego zbarażczyka Jana, włosy rwał na głowie, bo i jego łanowcy, idąc za przykładem "towarzystwa," poczęli "wyciekać" z obozu. Złożono znów radę wojenną, w której tłumy szlacheckie koniecznie chciały wziąć udział. Nastała noc burzliwa. Pełna krzyków, swarów. Podejrzywano się wzajemnie o zamiar ucieczki. Okrzyki: "Albo wszyscy, albo nikt!" — przelatywały z ust do ust.

Co chwila zrywały się wieści, że wojewodowie uchodzą — i panował taki rozruch, że wojewodowie musieli się ukazywać po kilkakroć wzburzonym tłumom. Kilkanaście tysięcy stało do świtania na koniach, wojewoda poznański zaś jeździł między nimi z odkrytą głową, podobien do senatora rzymskiego i powtarzał co chwila wielkie słowa:

— Mości panowie! z wami żyć i umierać!

Przyjmowano go w niektórych miejscach wiwatami, w innych brzmiały szyderskie okrzyki. On zaś ledwie uciszył tłumy, wracał na radę, spracowany, zachrypły, upojony wielkością własnych słów i przekonany, że tej nocy niepożyte ojczyźnie oddał usługi.

Ale na radzie mniejsze miał słowa na ustach, bo się za brodę targał z rozpaczy, powtarzając:

— Radźcie waszmościowie, jeśli umiecie... Ja umywam ręce od tego co się stanie, bo z takim żołnierzem niepodobna się bronić.

— Jaśnie wielmożny wojewodo! — odpowiadał pan Stanisław Skrzetuski. — Sam nieprzyjaciel powściągnie tę swawolę i te rozruchy. Niech jeno armaty zagrają, niech przyjdzie do obrony, oblężenia, ta sama szlachta w sprawie własnego gardła musi z wałów służyć, nie w obozie się warcholić. Tak już nieraz bywało!

— Z czem się bronić? Armat nie mamy, jeno nasze wiwatówki, dobre do pukania w czasie uczt.

— Pod Zbarażem Chmielnicki miał siedmdziesiąt dział, a książę Jeremi jeno kilkanaście oktaw i granatników.

— Ale miał wojsko, nie pospolitaków; swoje chorągwie w świecie sławne, nie ichmościów od strzyży owiec.

— Posłać po pana Władysława Skoraszewskiego — rzekł pan Sędziwój Czarnkowski, kasztelan poznański. — Uczynić go obożnym. On ma mir u szlachty i w ryzie utrzymać ją potrafi.

— Posłać po Skoraszewskiego! Poco on ma w Drahiniu czy w Czaplinku siedzieć! — powtórzył pan Jędrzej Grudziński, wojewoda kaliski.

— Tak jest! to najlepsza rada! — zawołały inne głosy.

I wysłano gońca do pana Władysława Skoraszewskiego — innych postanowień na radzie nie powzięto, natomiast mówiono i narzekano wielce na króla, na brak wojska i opuszczenie.

Ranek następny nie przyniósł ni pociechy, ni uspokojenia. Owszem, bezład stał się jeszcze większy. Ktoś puścił nagle wieść, że różnowiercy, mianowicie kalwiniści, sprzyjają Szwedom i gotowi są przy pierwszej sposobności przejść do nieprzyjaciół. Co więcej, wieści tej nie zaprzeczył ani pan Szlichtyng, ani panowie Kurnatowscy, Edmund i Jacek, również kalwiniści, ale ludzie szczerze ojczyźnie oddani. Sami owszem potwierdzili, że różnowiercy tworzą osobne koła i zmawiają się z sobą, pod wodzą znanego warchoła, okrutnika pana Reja, który za młodu służąc w Niemczech, jak ochotnik po stronie luterskiej, wielkim był Szwedów przyjacielem. Zaledwie tedy te podejrzenia rozbiegły się między szlachtą, natychmiast kilkanaście tysięcy szabel zabłysło i prawdziwa burza rozpoczęła się w obozie.

— Zdrajców karmimy! żmije karmimy, gotowe kąsać łono rodzicielki! — wołała szlachta.

— Dawajcie ich sam!

— W pień ich!... Zdrada najzaraźliwsza, mości panowie!.. Wyrwać kąkol, bo inaczej zginiemy wszyscy.

Wojewodowie i rotmistrzowie znów musieli uspokajać, ale przyszło im to jeszcze trudniej, niż dnia poprzedniego. Sami zresztą byli przekonani, że pan Rej gotów najotwarciej zdradzić ojczyznę, bo to był nie miał w sobie nic polskiego. Uchwalono też wysłać go z obozu, co zaraz uspokoiło nieco wzburzonych. Jednakże długo jeszcze zrywały się okrzyki:

— Dawajcie ich sam! Zdrada! zdrada!

Dziwne usposobienie zapanowała w końcu w obozie. Jedni upadli na duchu i pogrążyli się w smutku. Ci chodzili w milczeniu błędnemi krokami wzdłuż wałów, puszczając trwożny i posępny wzrok na równiny, któremi nadciągnąć miał nieprzyjaciel, lub udzielali, szepcąc, coraz gorszych nowin.

Innych opanowała szalona, desperacka jakaś wesołość i gotowość na śmierć. Wskutek tej gotowości wyprawiano uczty i pijatyki, by wesoło ostatnich dnia życia użyć. Niektórzy też myśleli o zbawieniu i noc spędzali na modlitwach. Nikt tylko w cały tym ludzkim tłumie nie myślał o zwycięstwie, jakby ono wcale było niepodobnem, a jednak nieprzyjaciel nie miał sił przewyższających miał więcej dział i wojska lepiej ćwiczone i wodza, który wojnę rozumiał.

A gdy tak z jednej strony obóz polski wrzał, huczał, ucztował, wzburzał się, uciszał, jak morze wichrem smagane, gdy pospolite ruszenie sejmikowało, niby w czasie elekcyi króla — z drugiej strony, po roztoczystych, zielonych łęgach nadodrzańskich posuwały się spokojne zastępy szwedzkie.

Szła więc najprzód brygada gwardyi królewskiej; wiódł ją Benedykt Horn, groźny żołnierz, którego imię ze strachem w Niemczech powtarzano; lud doborny rosły, ubrany w grzebienisate hełmy z czółnami zachodzącemi na uszy, żółte skórzane kaftany, zbrojny w rapiery i muszkiety, zimny i uparty w boju i na każde skinienie wodza gotowy.

Karol Szedding, Niemiec, wiódł następną brygadę westgotlandzką, złożoną z dwóch pułków piechoty i jednego ciężkiej rajtaryi, przybranej w pancerze bez naramienników; połowa piechurów miała muszkiety, druga włócznie; przy początku bitwy muszkietnicy stawali na czele, a w razie ataku jazdy cofali się za włóczników, którzy utkwiwszy jeden koniec włóczni w ziemię, drugi nadstawiali przeciwko pędzącym koniom. Pod Trzcianną, za czasów Zygmunta III-go, jedna chorągiew husaryi rozniosła na szablach i kopytach te

samą westgotlandzką brygadę, w której obecnie służyli przeważnie Niemcy.

Dwie brygady smalandzkie wiódł Irwin, zwany Bezrękim, bo był prawicę w swoim czasie, broniąc chorągwi, utracił, za to w lewej miał taką siłę, że jednym zamachem odcinał łeb konia; był to żołnierz ponury, kochający tylko wojnę i rozlew krwi, surowy i dla siebie i dla żołnierzy. Gdy inni "kapitanowie" wyrobili się w ustawicznej wojnie na ludzi rzemiosła, wojnę dla wojny kochających, on pozostał tym samym fanatykiem i mordował ludzi, śpiewając psalmy pobożne.

Brygada westrmalandzka szła pod Drakenborgiem, a helsingerska, złożona ze strzelców w świecie sławnych, pod Gustawem Oxenstierną, krewnym sławnego kanclerza, młodym żołnierzem, wielkie rokującym nadzieje. Nad estgotlandzką pułkownikował Fersen, a nericką i wermlandzką sprawował sam Wittemberg, który zarazem był naczelnym wodzem całej armii.

Siedmdziesiąt dwa działa wytłaczało brózdy po wilgotnych łęgach, a wszystkich żołnierzy było 17 tysięcy, groźnych łupieżników -całych Niemiec, a w boju tak sprawnych, że zwłaszcza z piechotą zaledwie królewskie francuskie gwardye mogły się porównać. Za pułkami ciągnęły wozy i namioty, a pułki szły w szyku, w każdej chwili do boju gotowe.

Las włóczni sterczał nad masą głów, hełmów i kapeluszy, a między tym lasem płynęły ku polskiej granicy wielkie chorągwie błękitne z białemi krzyżami w pośrodku.

Z każdym dniem zmniejsza się odległość, dzieląca dwa wojska.

Nakoniec, w dniu 27-ym lipca, w lesie pod wsią Heinrischsdorfem, ujrzały zastępy szwedzkie po raz pierwszy słup graniczny polski. Na ten widok całe wojsko uczyniło okrzyk ogromny, zabrzmiały trąby, kotły i bębny i rozwinęły się wszystkie chorągwie. Wittemberg wyjechał naprzód w asystencyi świetnego sztabu, a wszystkie pułki przechodziły przed nim, prezentując broń, jazda z dobytymi rapierami, działa z zapalonymi lontami. Godzina była południowa, pogoda przepyszna. Powietrze leśne pachniało żywicą.

Szara, zalana promieniami słońca droga, którą przechodziły szwedzkie chorągwie, wybiegając z Heinrichsdorfskiego lasu, gubiła się na widnokręgu. Gdy idące nią wojska przeszły wreszcie las wzrok ich odkrył krainę wesołą, uśmiechniętą, połyskującą żółta-

wymi łanami zbóż wszelakich, miejscami usianą dąbrowami, miejscami zieloną od łąk. Tu i owdzie z kęp drzew, za dąbrowami, hen! daleko, podnosiły się dymy ku niebu; na potrawach widniały pasące się trzody. Tam, gdzie na łąkach przeświecała woda rozlana szeroko, chodziły spokojnie bociany.

Jakaś cisza i słodycz rozlana była wszędzie po tej ziemi mlekiem i miodem płynącej. I zdawała się roztaczać coraz szerzej i otwierać ramiona przed wojskami, jakby nie najezdników witała, ale gości z Bogiem przybywających.

Na ten widok nowy okrzyk wyrwał się z piersi wszystkich żołdaków, mianowicie rodowitych Szwedów, przywykłych do nagiej, biednej, dzikiej przyrody w kraju ojczystym. Serca łupieskiego a ubogiego ludu wezbrały pragnieniem zagarnięcia tych skarbów i dostatków, które wpadały im pod oczy. Zapał ogarnął szeregi.

Ale spodziewali się żołdacy, zahartowani w ogniu trzydziestoletniej wojny, że nie przyjdzie im to łatwo, boć tę ziemię zbożną zamieszkiwał lud rojny a rycerski, który umiał jej bronić. Żyła jeszcze w Szwecyi pamięć strasznego pogromu pod Kircholmem, gdzie trzy tysiące jazdy pod Chodkiewiczem starło na proch ośmnaście tysięcy najbitniejszego szwedzkiego wojska. W chatach Westgotlandu, Smalandu lub Dalekarlii opowiadano o tych rycerzach skrzydlatych, jak o wielkoludach z Sagi. Świeższa była jeszcze pamięć walk za Gustawa Adolfa, bo nie wymarli ludzie, którzy brali w nich udział. Wszakże ów orzeł skandynawski, zanim przeleciał całe Niemcy, po dwakroć połamał szpony o zastępy Koniecpolskiego.

Więc z radością łączyła się w sercach szwedzkich i pewna obawa, której nie był próżen sam wódz naczelny, Wittemberg. Patrzał on na przechodzące pułki piechoty i rajtaryi takiem okiem, jakiem pasterz patrzy na swą trzodę; następnie zwrócił się do otyłego człowieka, przybranego w kapelusz z piórem i jasną perukę, spadającą na ramiona:

— Wasza miłość upewniasz mnie — rzekł — że z temi siłami można złamać wojska stojące pod Ujściem?

Człowiek w jasnej peruce uśmiechnął się i odrzekł:

— Wasza miłość może zupełnie polegać na mych słowach, za które głową ręczyć gotowem. Gdyby pod Ujściem były wojska regularne i którykolwiek z hetmanów, tedybym pierwszy radził nie kwapić się i poczekać, aż jego królewska mość z całą armią nad-

ciągnie; ale przeciw pospolitemu ruszeniu i tym panom wielkopolskim siły nasze aż zanadto wystarczą.

— A nie przyszląże im jakowych posiłków?

— Posiłków nie przyszłą z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że wojska wszystkie, których wogóle jest niewiele, zajęte są na Litwie i na Ukrainie; powtóre, że w Warszawie ani król Jan Kazimierz, ani kanclerze, ani senat, do tej pory nie chcą wierzyć, aby królewska mość Karol Gustaw, wbrew rozejmowi i mimo ostatnich poselstw, naprawdę rozpoczął wojnę. Ufają, że pokój jeszcze w ostatniej chwili będzie uczyniony... cha! cha!

Tu i otyły człowiek zdjął kapelusz, otarł z potu czerwoną twarz i dodał:

— Trubecki i Dołgoruki na Litwie, Chmielnicki na Ukrainie, a my wchodzimy do Wielkopolski... Oto, do czego doprowadziły rządy Jana Kazimierza!

Wittemberg spojrzał na niego dziwnym wzrokiem i zapytał:

— A wasza miłość radujesz się tą myślą?

— A ja raduję się tą myślą, bo moja krzywda i moja niewinność będą pomszczone; a oprócz tego widzę już jak na dłoni, że szabla waszej miłości i moje rady włoży tę nową, najpiękniejszą w świecie koronę na głowę Karola Gustawa.

Wittemberg zapuścił wzrok w dal, objął nim lasy, dąbrowy, łęgi i łany zbożne i po chwili rzekł:

— Tak jest! piękny to kraj i żyzny... Wasza miłość możesz też być pewien, że po wojnie jego królewska mość nikomu innemu wielkorządztwa tu nie powierzy.

Otyły człowiek zdjął znów kapelusz.

— I ja też nie chcę innego mieć pana — dodał, wznosząc oczy ku niebu.

Niebo było jasne i pogodne, żaden piorun nie spadł i nie skruszył na proch zdrajcy, który swój kraj, jęczący już pod dwoma wojnami i wyczerpany, wydawał na tej granicy w moc nieprzyjaciela.

Człowiek bowiem, rozmawiający z Wittembergiem, był to Hieronim Radziejowski, były podkanclerzy koronny, obecnie Szwedom przeciw ojczyźnie zaprzedany.

Stali czas jakiś w milczeniu; tymczasem ostatnie dwie brygady, nericka i wermlandzka, przeszły granicę, za niemi poczęły się wtaczać działa, trąby ciągle jeszcze grały, a huk kotłów i warczenie bę-

bnów głuszyło kroki żołnierzy i napełniało las złowrogiemi echami. Wreszcie ruszył i sztab. Radziejowski jechał koło Wittemberga.

— Oxenstierny nie widać — rzekł Wittemberg — boję się, czy go jaka przygoda nie spotkała. Nie wiem, jeśli to dobra była rada posyłać go jako trębacza z listami pod Ujście.

— Dobra, — odparł Radziejowski — bo obóz zlustruje, wodzów zobaczy i wyrozumie, co tam myślą, a tegoby lada ciura nie uczynił.

— A jeśli go poznają?

— Jeden Rej go tam zna, a on nasz. Zresztą, choćby go poznali, nic uczynią nic złego, jeszcze na drogę opatrzą i nagrodzą... Znam ja Polaków i wiem, że gotowi na wszystko, byle się przed obcymi jako polityczny naród pokazać. Cała usilność nasza w tem, aby nas obcy chwalili... O Oxenstiernę możesz być wasza miłość spokojny, bo włos mu z głowy nie spadnie. Nie widać go, bo i czas był na powrót za krótki.

— A jak wasza miłość sądzisz, sprawią nasze listy jaki skutek?

Radziejowski rozśmiał się.

— Jeżeli pozwolisz mi wasza miłość być prorokiem, to przepowiem, co się stanie. Pan wojewoda poznański, polityczny to człek i uczony, więc nam bardzo politycznie i bardzo grzecznie odpiszę; ale, że lubi za rzymianina uchodzić, tedy jego odpowiedź okrutnie będzie rzymską; powie najprzód, że woli ostatnią kroplę krwi wylać, niż poddać się, że śmierć lepsza od niesławy a miłość jaką żywi dla ojczyzny nakazuje mu paść za nią na granicy...

Radziejowski począł się śmiać jeszcze głośniej, surowa twarz Wittemberga rozjaśniła się także.

— Wasza miłość nie sądzisz, aby on był gotów tak uczynić, jak pisze? — spytał.

— On? — odrzekł Radziejowski. — Prawda, że żywi miłość do ojczyzny, ale inkaustem, a że niezbyt to posilna potrawa, więc i jego miłość chudsza nawet od jego błazna, który mu pomaga rytmy układać. Jestem pewny, że po onej rzymskiej odpowiedzi nastąpią życzenia zdrowia, pomyślności, polecenie się służbom, a nakoniec prośba, byśmy dobra jego i krewnych oszczędzali, za co znów będzie żywił dla nas wdzięczność, wraz ze wszystkimi swymi krewnymi.

— A jakiż będzie w ostatku skutek naszych listów?

—Że zwątlą ducha do ostatka, że panowie senatorowie rozpoczną

z nami układy i że całą Wielkopolskę, bodaj po kilku wystrzałach na wiatr, zajmiemy.

— Obyś wasza miłość był prawdziwym prorokiem...

— Pewien jestem, że tak będzie, bo znam tych ludzi, mam też przyjaciół i stronników w całym kraju i wiem jak sobie poczynać... A że niczego nie omieszkam, ręczy za to krzywda, która mnie od Jana Kazimierza spotkała, i miłość dla Karola Gustawa. Czulsi u nas teraz ludzie na własne fortuny, niż na całość Rzeczypospolitej. Wszystkie te ziemie, po których teraz iść będziem, to fortuny Opalińskich, Czarnkowskich, Grudzińskich, a że oni to właśnie stoją pod Ujściem, więc też i miększi będą przy układach. Co do szlachty, byle jej wolność sejmikowania zaręczyć, pójdzie i ona śladem panów wojewodów.

— Wasza miłość niepożyte swą znajomością kraju i ludzi oddajesz jego królewskiej mości usługi, które nie mogą być bez równie znakomitej nagrody. Z tego, co od waszej miłości słyszę, wnioskuję, że mogę tę ziemię jako naszą uważać.

— Możesz wasza miłość! możesz! możesz! — powtórzył skwapliwie po kilkakroć Radziejowski.

— A więc zajmuję ją w imieniu jego królewskiej mości Karola Gustawa — odparł poważnie Wittemberg.

Gdy tak wojska szwedzkie poczęły deptać za Heinrichsdorfem ziemię Wielkopolską, poprzednio jeszcze, bo w dniu 18-ym lipca, przybył od obozu polskiego trębacz szwedzki z listami do wojewodów od Radziejowskiego i Wittemberga.

Pan Władysław Skoraszewski sam poprowadził go do wojewody poznańskiego, a szlachta z pospolitego ruszenia gapiła się ciekawie na "pierwszego Szweda," podziwiając jego dzielną postawę, twarz męską, żółty wąs, zaczesany w końcach do góry w szeroką szczotkę, i minę prawdziwie pańską. Tłumy przeprowadziły go do wojewody, znajomi zwoływali się nawzajem, pokazywano go palcami śmiano się trochę z butów zakończonych ogromną kolistą cholewą i z długiego, prostego rapiera, który rożnem przezywano, wiszącego na pendencie, suto srebrem haftowanym; Szwed zaś rzucał także ciekawie oczyma z pod szerokiego kapelusza, jakby chciał obóz zlustrować i siły przeliczyć, to znów przypatrywał się tłumom szlachty, której wschodni ubiór widocznie był dla niego nowością.

Nakoniec wprowadzono go do wojewody, u którego zgromadzeni byli wszyscy dygnitarze, znajdujący się w obozie.

Wnet przeczytano listy i rozpoczęła się narada, trębacza zaś polecił pan wojewoda swym dworzanom, aby uczęstowano go po żołniersku; od dworzan odebrała go szlachta i podziwiając go ciągle, jako osobliwość, poczęła z nim pić na umór.

Pan Skoraszewski przypatrywał mu się również pilnie, ale z tego powodu iż podejrzywał, że to jakiś oficer za trębacza przebrany; poszedł nawet z tą myślą wieczorem do pana wojewody; ten jednak odrzekł, iż to jest wszystko jedno, i aresztować go nie pozwolił.

— Choćby to był i sam Wittemberg, — rzekł — jako poseł tu przybył i odjechać spokojnie powinien... Jeszcze mu każę dać dziesięć dukatów na drogę.

Trębacz tymczasem gawędził łamaną niemczyzną z tymi ze szlachty, którzy ten język przez stosunki z miastami pruskiemi rozumieli, i opowiadał im o zwycięstwach, przez Wittemberga w różnych krajach odniesionych, o siłach, jakie ku Ujściu idą, a zwłaszcza o działach nieznanej dotąd donioslości, którym niemasz sposobu opierać się. Strapiła się też tem szlachta niemało i różne przesadne wieści poczęły wnet krążyć po obozie.

Tej nocy prawie nikt nie spał w całem Ujściu, bo najprzód koło północy nadeszli ci ludzie, którzy dotychczas w osobnych stali obozach pod Piłą i Wieluniem. Dygnitarze radzili nad odpowiedzią do białego dnia, a szlachcie czas schodził na opowiadaniach o potędze szwedzkiej.

Z pewną gorączkową ciekawością wypytywano trębacza o wodzów, wojsko, broń, sposób walczenia i podawano sobie z ust do ust każdą jego odpowiedź. Bliskość szwedzkich zastępów dodawała niezwykłego interesu wszelkim szczegółom, które nie były tego rodzaju, aby mogły dodać otuchy.

O świtaniu nadjechał pan Stanisław Skrzetuski z wieścią, że Szwedzi przyciągnęli już pod Wałcz, o jeden dzień marszu od polskiego obozu. Powstała natychmiast sroga krętanina; większość koni wraz ze służbą była na paszy na łąkach, więc posyłano po nie na gwałt. Powiaty siadały na koń i stawały chorągwiami. Chwila przed bitwą bywa dla niewyćwiczonego żołnierza najstraszniejszą; więc zanim rotmistrze zdołali wprowadzić jaki taki porządek, przez długi czas panowało przerażające zamieszanie.

Nie było słuchać ni komendy, ni trąbek, tylko głosy wołające ze wszystkich stron: "Janie! Piotrze! Onufry! bywaj!... Żeby cię zabito!

dawaj konie!... Gdzie moja służba?... Janie! Piotrze!" Gdyby w tej chwili rozległ się jeden strzał działowy, zamieszanie łatwo w popłoch zamienićby się mogło.

Zwolna jednak powiaty stawały w ordynku. Przyrodzone usposobienie szlachty do wojny zastąpiło poniekąd brak doświadczenia i około południa przedstawiał już obóz dość imponujący widok. Piechota stała na wałach, podobna do kwiatów w swych różnobarwnych kabatach; dymy unosiły się z zapalonych lontów, a na zewnątrz wałów, pod zasłoną dział, łęgi i równina zaroiły się powiatowemi chorągwiami jazdy, w szyku stojącej na dzielnych koniach, których rżenie budziło echo w pobliskich lasach i napełniało serca zapałem wojennym.

Tymczasem wojewoda poznański wyprawił trębacza z odpowiedzią na listy, brzmiącą mniej więcej tak, jak przepowiadał Radziejowski, a zatem polityczną zarazem i rzymską; poczem postanowił wysłać podjazd na północny brzeg Noteci dla pochwycenia nieprzyjacielskiego języka.

Piotr Opaliński, wojewoda podlaski, stryjeczny wojewody poznańskiego, miał ruszyć własną osobą z podjazdem, wraz ze swymi dragonami, których sto pięćdziesiąt pod Ujście przyprowadził, a oprócz tego polecono panom rotmistrzom, Skoraszewskiemu Władysławowi i Skrzetuskiemu, wezwać ochotnika ze szlachty, do pospolitego ruszenia należącej, aby i ona zajrzała już przecie w oczy nieprzyjacielowi.

Jeździli tedy obaj przed szeregiem, czyniąc rozkosz oczom moderunkiem swym i postawą; pan Stanisław czarny jak żuk, na podobieństwo wszystkich Skrzetuskich, z twarzą męską, groźną i ozdobioną długą ukośną blizną, od cięcia miecza pozostałą, z kruczą rozwianą na wiatr brodą; pan Władysław tłustawy, z długiemi jasnemi wąsami, z odwiniętą wargą dolną i oczyma w czerwonych obwódkach, łagodny i poczciwy, mniej przypominał Marsa, ale niemniej była to szczera dusza żołnierska, jak salamandra w ogniu się kochająca, rycerz znający wojnę, jako swoje dziesięć palców i odwagi nieporównanej. Obaj, przejeżdżając szeregi wyciągnięte w długą linię, powtarzali co chwila:

— A nuże, mości panowie, kto na ochotnika pod Szweda? Kto rad prochu powąchać! Nuże, mości panowie, na ochotnika!

I tak przejechali już spory kawał — bez skutku, bo z szeregów

nie wysunął się nikt. Jeden ogląda się na drugiego. Byli tacy, którzy mieli ochotę, i nie strach przed Szwedami, ale nieśmiałość ich wstrzymywała. Niejeden trącał sąsiada łokciem i mówi: "Pójdziesz ty, to i ja pójdę."

Rotmistrzowie poczynali się niecierpliwić, aż nagle, gdy przyjechali przed powiat gnieźnieński, jakiś człowiek pstro ubrany wyskoczył na kucu nie z szeregu, ale zza szeregu i krzyknął:

— Mości panowie pospolitaki, ja zostaję ochotnikiem, a wy błaznami!

— Ostrożka! Ostrożka! — zawołała szlachta.

— Taki dobry szlachcic, jak i każdy! — odpowiedział błazen.

— Tfu! do stu dyabłów! — zawołał pan Rosiński, podsędek — dość błazeństw! idę ja!

— I ja! i ja! — zawołały liczne głosy.

— Raz mnie matka rodziła, raz mi śmierć!

— Znajdą się tacy dobrzy, jak i ty!

— Każdemu wolno! Niech się tu nikt nad drugich nie wynosi.

I jak poprzednio nikt nie stawał, tak teraz poczęła się sypać szlachta ze wszystkich powiatów — prześcigać końmi, zawadzać jedni o drugich i kłócić naprędce. Stanęło w mgnieniu oka z pięćset koni, a jeszcze ciągle wyjeżdżano z szeregów. Pan Skoraszewski począł się śmiać swoim szczerym, poczciwym śmiechem i wołać:

— Dosyć, mości panowie, dosyć! Nie możemy iść wszyscy.

Poczem obaj ze Skrzetuskim sprawili ludzi i ruszyli naprzód.

Pan wojewoda podlaski połączył się z nimi przy wyjściu z obozu. Widziano ich jak na dłoni, przeprawiających się przez Noteć — poczem zamigotali jeszcze kilkakrotnie na skrętach drogi i znikli z oczu.

Po upływie pół godziny, pan wojewoda poznański kazał rozjeżdżać się ludziom do namiotów, uznał bowiem, że niepodobna ich trzymać w szeregach, gdy nieprzyjaciel o dzień drogi jeszcze odległy. Porozstawiano jednak liczne straże; nie pozwolono wyganiać koni na paszę i wydano rozkaz, że za pierwszem cichem zatrąbieniem przez munsztuk, wszyscy mają siadać na koń i stawać w gotowości.

Skończyło się oczekiwanie, niepewność, skończyły się zaraz swary, kłótnie; owszem: bliskość nieprzyjaciela, jak powiadał pan Skrzetuski, podniosła ducha. Pierwsza szczęśliwa bitwa mogła go na-

wet podnieść bardzo wysoko i zdarzył się wypadek, który zdawał się być nową szczęśliwą wróżbą.

Słońce właśnie zachodziło, oświecając ogromnym rażącym oczy blaskiem Noteć i zanoteckie bory, gdy po drugiej stronie rzeki ujrzano najprzód tuman kurzu, a potem poruszających się w tumanie ludzi. Wyległo, co żyło, na wały patrzeć, co to za goście; wtem od straży nadbiegł dragon z chorągwi pana Grudzińskiego, dając znać, że podjazd wraca.

— Podjazd wraca!... wracają szczęśliwie!... Nie zjedli ich Szwedzi! — powtarzano z ust w obozie.

Oni tymczasem, w jasnych kłębach kurzu, zbliżali się coraz bardziej, idąc wolno, następnie przeprawiali się przez Noteć.

Szlachta przypatrywała im się z rękoma nad oczami, bo blask czynił się coraz większy i całe powietrze przesycone było złotem i purpurowem światłem.

— Hej! coś ich kupa większa, niż wyjechała! — rzekł pan Szlichtyng.

— Jeńców chyba prowadzą, jak mnie Bóg miły! — zakrzyknął jakiś szlchcic, widocznie tchórzem podszyty, który oczom swoim wierzyć nie chciał.

— Jeńców prowadzą! jeńców prowadzą!...

Oni tymczasem zbliżyli się już tak, że twarze można było rozróżnić. Na przedzie jechał pan Skoraszewski, kiwając swym zwyczajem głową i gawędząc wesoło ze Skrzetuskim, za nimi duży oddział konny otaczał kilkudziesięciu piechurów, przybranych w koliste kapelusze. Byli to istotnie jeńcy szwedzcy.

Na ten widok nie wytrzymała szlachta i puściła się naprzeciw wśród okrzyków:

— Vivat Skoraszewski! Vivat Skrzetuski!

Gęste tłumy otoczyły wnet cały oddział. Jedni patrzyli na jeńców, drudzy wypytywali się: "Jakto było" — inni wygrażali Szwedom.

— A hu! A co? Dobrze wam psiajuchy!... Z Polakami zachciało się wam wojować? Macie teraz Polaków!!

— Dawajcie ich sam!... Na szable ich!... Bigosować!...

— Ha, szołdrzy! ha, pludraki! popróbowaliście polskich szabel?!

— Mości panowie, nie krzyczcie jak wyrostki, bo jeńcy pomyślą,

że wam wojna pierwszyzna! — rzekł pan Skoraszewski. — Zwyczajna to rzecz, że się jeńców w czasie wojny bierze.

Ochotnicy, którzy należeli do podjazdu, spoglądali z dumą na szlachtę, która zarzucała ich pytaniami.

— Jakżeto? Łatwo wam się dali? Czy musieliście się zapocić? Dobrze się biją?

— Dobrzy pachołkowie, — odparł pan Rosiński — bronili się znacznie, ale przecie nie z żelaza. Szabla się ich ima.

— Taki nie mogli wam się oprzeć, co?

— Impetu nie mogli wytrzymać.

— Mości panowie, słyszycie, co mówią: impetu nie mogli wytrzymać!... A co?.... Impet to grunt!...

— Pamiętajcie, byle z impetem!... Najlepszy to sposób na Szweda!

Gdyby tej szlachcie kazano w tej chwili skoczyć na nieprzyjaciela, niechybnie nie zabrakłoby jej impetu, ale tymczasem nieprzyjaciela nie było widać — natomiast, dobrze już w noc, rozległ się głos trąbki przed forpocztami. Przybywał drugi trębacz z listem od Wittemberga, wzywającym szlachtę do poddania się. Tłumy, dowiedziawszy się o tem, chciały posłańca rozsiekać, ale wojewodowie wzięli list do deliberacyi, choć treść jego była bezczelna.

Generał szwedzki oświadczał, że Karol Gustaw posyła swe wojska krewnemu Janowi Kazimierzowi, jako posiłki przeciw Kozakom, że zatem Wielkopolanie powinni się poddać bez oporu. Pan Grudziński, czytając to pismo, nie mógł wstrzymać oburzenia i pięścią w stół uderzył, ale wojewoda poznański wnet uspokoił go pytaniem:

— Wierzysz waszmość w zwycięstwo?... Ile dni możem się bronić?... Chceszli wziąć odpowiedzialność za tyle krwi szlacheckiej, która jutro może być przelaną?...

Po dłuższej naradzie postanowiono nie odpowiadać i czekać, co się stanie. Nie czekano już długo. W sobotę, d. 24 lipca, straże dały znać, że całe wojsko szwedzkie ukazało się naprzeciw Piły. W obozie zawrzało jak w ulu w wilię wyroju.

Szlachta siadała na koń, wojewodowie przebiegali szeregi, wydając sprzeczne rozkazy, aż dopiero pan Władysław wziął wszystko w swoje ręce i przyprowadziwszy do porządku, wyjechał na czele

kilkuset ochotników, by popróbować harców za rzeką i ludzi z widokiem nieprzyjaciół oswoić.

Szła z nim jazda dość ochotnie, bo harce składały się zwykle z szeregu walk, prowadzonych niewielkiemi kupami lub pojedyńczo, a takich walk ćwiczona w sztuce robienia szablą szlachta nie lękała się wcale. Wyszli więc za rzekę i stanęli w obliczu nieprzyjaciela, który zbliżał się coraz bardziej i czerniła długą linią na horyzoncie, jakoby bór świeżo z ziemi wyrosły. Rozwijały się więc pułki konne, piesze, ogarniając coraz szerszą przestrzeń.

Szlachta spodziewała się, że lada chwila sypną się ku niej harcownicy, rajtarzy, ale tymczasem nie było ich widać. Natomiast na wzgórzach, odległych o kilkaset kroków, zatrzymały się niewielkie kupki, w których widać było ludzi i konie i poczęły kręcić się na miejscu, co ujrzawszy pan Skoraszewski, zakomenderował bez zwłoki:

— Lewo — w tył!

Ale jeszcze nie przebrzmiał głos komendy, gdy na wzgórkach wykwitły długie białe smugi dymu i niby ptastwo jakieś przeleciało ze świstem między szlachtą, potem huk wstrząsnął powietrzem, a jednocześnie rozległy się krzyki i jęki kilku rannych.

— Stój! — krzyknął pan Władysław.

Ptastwo przeleciało po raz drugi i trzeci — i znów świstowi zawtórowały jęki. Szlachta nie słuchała komendy naczelnika, owszem ustępowała coraz szybciej, krzycząc i pomocy niebieskiej wzywając — następnie oddział rozproszył się w mgnieniu oka i ruszył kokiem ku obozowi. Pan Skoraszewski klął — nic nie pomogło.

Żegnawszy tak łatwo harcowników, Wittemberg, posuwał się dalej, aż wreszcie stanął naprzeciw Ujścia, wprost przed szańcami, bronionemi przez szlachtę kaliską. Polskie armaty poczęły grać w tejże chwili, ale zrazu nie odpowiadano na owe salwy ze strony szwedzkiej. Dymy układały się spokojnie w jasnem powietrzu w długie pasma, rozciągające się między wojskami, a przez luki między nimi widziała szlachta pułki szwedzkie piechoty i jazdy, rozwijające się ze straszliwym spokojem jak gdyby pewne zwycięstwa.

Na wzgórzach zataczano armaty, podsypywano szańczyki, słowem, nieprzyjaciel szykował się, nie zwracając najmniejszej uwagi

na kule, które nie dolatując do niego, osypywały jeno piaskiem i ziemią pracujących przy szańczykach.

Wyprowadził jeszcze pan Stanisław Skrzetuski dwie chorągwie Kaliszanów, chcąc śmiałym atakiem zmieszać Szwedów, ale nie poszli ochotnie; oddział rozciągnął się zaraz w bezładną kupę, bo gdy odważniejsi parli konie naprzód, tchórzliwsi wstrzymywali je umyślnie. Dwa pułki rajtaryi, wysłane przez Wittemberga, po krótkiej walce spędziły szlachtę z pola i gnały pod sam obóz.

Tymczasem zapadł zmrok i zakończył bezkrwawą walkę.

Strzelano jednak z dział aż od nocy, poczem strzały umilkły, ale w obozie polskim podniosła się taka wrzawa, że słychać ją było na drugim brzegu Noteci. Powstała ona najprzód z tego powodu, że kilkaset pospolitaków próbowało wymknąć się w ciemnościach z obozu. Inni spostrzegłszy to poczęli grozić i nie puszczać. Brano się do szabel. Słowa "Albo wszyscy, albo nikt!" znowu przelatywały z ust do ust. Lecz z każdą chwilą stawało się prawdopodobniejszem, że ujdą wszyscy. Wybuchło wielkie niezadowolenie z wodzów: "Wysłano nas z gołemi brzuchami przeciw armatom!" — wołali pospolitacy.

Oburzano się również i na Wittemberga, że nie szanując zwyczajów wojennych, przeciw harcownikom nie harcowników wysyła, ale z armat ognia do nich niespodzianie każe dawać. "Każdy poczyna sobie, jak mu lepiej — mówiono — ale świńskiego to narodu obyczaj czołem do czoła nie stanąć." Inni rozpaczali otwarcie. "Wykurzą nas stąd, jak jaźwca z jamy" — mówili desperaci. "Obóz źle zatoczony, szańce źle usypane, miejsce do obrony niestosowne." Od czasu do czasu odzywały się głosy: "Panowie bracia! ratujcie się!" A inne wołały: "Zdrada! zdrada!"

Była to noc straszna: zamieszanie i rozprężenie wzrastało z każdą chwilą; rozkazów nikt nie słuchał. Wojewodowie potracili głowy i nie próbowali nawet przywrócić ładu. Niedołęstwo ich, niedołęstwo pospolitego ruszenia okazywało się jasno jak na dłoni. Wittemberg mógłby był tej nocy wziąć wstępnym bojem obóz z największą łatwością.

Nastał świt.

Dzień czynił się blady, chmurny i oświecił chaotyczne zbiorowisko ludzi upadłych na uchu, lamentujących, w znacznej części pijanych, gotowszych na hańbę, niż walkę. Na domiar złego, Szwe-

dzi przeprawili się nocą pod Dzięhowem na drugą stronę Noteci i otoczyli obóz polski.

Z tej strony nie było prawie wcale szańców i nie było zza czego się bronić. Należało otoczyć się wałem bez straty chwili czasu. Skoraszewski i Skrzetuski zaklinali, by to uczyniono, ale nikt już nie chciał o niczem wiedzieć.

Wodzowie i szlachta mieli na ustach jedno słowo "paktować:" Wysłano parlamentarzy. W odpowiedzi przybył z obozu szwedzkiego świetny orszak, na czele którego jechali: Radziejowski i generał Wirtz, obaj z zielonemi gałęziami.

Jechali ku domowi, w którym stał wojewoda poznański, ale po drodze zatrzymywał się Radziejowski wśród tłumów szlachty, kłaniał się gałęzią i kapeluszem, uśmiechał się, witał znajomych i mówił donośnym głosem:

— Mości panowie, bracia najmilsi! Nie trwóżcie się! Nie jako wrogowie tu przybywamy. On was samych zależy, by kropla krwi więcej nie była wytoczona. Jeżeli chcecie zamiast tyrana, który nastaje na wolności wasze, który o absolutum dominium (samowładnych rządach) zamyśla, który ojczyznę do ostatniej zgubv przywiódł, jeżeli chcecie, powtarzam, pana dobrego, wspaniałego, wojownika tak niezmiernej sławy, że na samo imię jego pierzchną wszyscy nieprzyjaciele Rzeczypospolitej — to oddajcie się w protekcyę najjaśniejszemu Karolowi Gustawowi... Mości panowie, bracia najmilsi! Oto wiozę z sobą poręczenie wszelkich swobód waszych, waszej wolności, religii. Od was samych ocalenie wasze zależy... Mości panowie! Najjaśniejszy król szwedzki podejmuje się przytłumić rebelię kozacką, zakończyć wojnę litewską i on jeden to uczynić potrafi. Ulitujcie się nad ojczyzną nieszczęsną, jeśli nad sobą nie macie litości...

Tu głos zdrajcy zadrgał, jakoby łzami przyduszony. Słuchała szlachta w zdumieniu, gdzieniegdzie rzadkie głosy zakrzyknęły: "Vivat Radziejowski, nasz podkanclerzy!" — a on przejeżdżał, dalej i znów się kłaniał nowym tłumom i znów słychać było jego tubalny głos: "Mości panowie, bracia najmilsi!" Nakoniec obaj z Wirtzem i całym orszakiem znikli w domu wojewody poznańskiego.

Szlachta stłoczyła się przed domem tak ciasno, że po głowach można było przejechać, bo czuła to i rozumiała, że tam w tym domu toczy się sprawa nietylko o nią, ale i o całą ojczyznę. Wyszli słudzy wojewodzińscy w szkarłatnych barwach i poczęli zapraszać

poważniejszych "personatów" do środka. Ci weszli skwapliwie, a za nimi wdarło się kilku mniejszych, a reszta stała pod drzwiami tłoczyła się do okien, przykładała uszy nawet do ścian.

Milczenie panowało w tłumach głębokie. Stojący bliżej okien słyszeli od czasu do czasu gwar donośnych głosów, wydobywający się z wnętrza izby, jakoby echa kłótni, dysput, sporów... Godzina upływała za godziną — końca tej naradzie nie było.

Nagle drzwi wchodowe otworzyły się z trzaskiem i wypadł z nich pan Władysław Skoraszewski.

Obecni cofnęli się w przerażeniu.

Ten człowiek, zwykle tak spokojny i łagodny, o którym mówiono, że rany mogły się goić pod jego ręką, wyglądał teraz strasznie. Oczy miał czerwone, wzrok obłąkany, odzież rozchlastaną na piersiach; obu rękoma trzymał się za czuprynę i tak wpadłszy, jak piorun, między szlachtę, krzyczał przeraźliwym głosem:

— Zdrada! morderstwo! hańba! Jesteśmy Szwecyą już, nie Polską!

I począł ryczeć okropnym głosem, spazmatycznym płaczem i rwać włosy, jak człowiek, który rozum traci. Grobowe milczenie panowało dokoła. Straszne jakieś uczucie ogarnęło wszystkie serca.

Skoraszewski zaś zerwał się nagle, począł biegać między szlachtą i wołać głosem najwyższej rozpaczy:

— Do broni! Do broni, kto w Boga wierzy! Do broni, do broni!

Wówczas jakieś szmery poczęły przelatywać po tłumach, jakieś szepty chwilowe, nagłe, urywane, jak pierwsze uderzenia wiatr przed burzą. Wahały się serca, wahały umysły, a w tej rozterce powszechnej uczuć, tragiczny głos wołał ciągle:

— Do broni! do broni!

Wkrótce zawtórowały mu dwa inne: pana Piotra Skoraszewskiego i pana Skrzetuskiego — za nimi nadbiegł i Kłodziński, dzielny rotmistrz powiatu poznańskiego.

Coraz większe koło szlachty poczęło ich otaczać. Czynił się naokoło szmer groźny, płomienie przebiegały twarze i strzelały z oczu, trzaskano szablami. Władysław Skoraszewski opanował pierwsze uniesienie i począł mówić, ukazując na dom, w którym odbywała się narada:

— Słyszycie, mości panowie, oni tam ojczyznę zaprzedają jak

judasze i hańbią! Wiedzcie, że już nie należym do Polski. Mało im było wydać w ręce nieprzyjaciela was wszystkich, obóz, wojsko, działa. Bodaj ich zabito! jeszcze podpisali w swojem i waszem imieniu, że wyrzekamy się związku z ojczyzną, wyrzekamy się pana, że cała kraina, grody, warownie i my wszyscy będziem po wieczne czasy do Szwecyi należeć. Że się wojsko poddaje, to bywa; ale kto ma prawo ojczyzny i pana się wyrzekać?! Kto ma prawo prowincyę odrywać, z obcymi się łączyć, do innego narodu przechodzić, krwi własnej się wyrzekać?! Mości panowie, to hańba, zdrada, morderstwo, paricidyum!... Ratujcie ojczyznę, panowie bracia! Na imię Boga! kto szlachcic, kto cnotliwy, ratunku dla matki! Życie dajmy, krew wylejmy! Nie chciejmy być Szwedami, nie chciejmy, nie chciejmy!... Bogdaj się nie rodził, kto krwi teraz poskąpi!... Ratujmy matkę!!

— Zdrada! — krzyknęło kilkadziesiąt głosów. — Zdrada! rozsiekać!

— Do nas! kto cnotliwy! — krzyczał Skrzetuski.

— Na Szweda! na śmierć! — dodał Kłodziński.

I poszli dalej w obóz, krzycząc: "Do nas! do kupy! zdrada!" — a za nim ruszyło już kilkuset szlachty z gołemi szablami.

Ale większość niezmierna została na miejscu, a i z tych, co poszli, jaki taki spostrzegłszy, że ich nie wiele, poczynał się oglądać i przyzostawać.

A tymczasem drzwi radnego domu otworzyły się znowu i ukazał się w nich pan wojewoda poznański, Krzysztof Opaliński, mając po prawej stronie generała Wirtza, po lewej Radziejowskiego. Za nimi szli: Andrzej Karol Grudziński, wojewoda kaliski, Maksymilian Miaskowski, kasztelan krzywiński, Paweł Gębicki, kasztelan międzyrzecki i Andrzej Słupski.

Krzysztof Opaliński trzymał w ręku zwój pergaminowy ze zwieszającemi się pieczęciami; głowę miał podniesioną, ale twarz bladą, a wzrok niepewny, choć widocznie silił się na wesołość. Ogarnął oczyma tłumy i wśród ciszy śmiertelnej począł mówić dobitnym, łubo nieco zachrypłym głosem:

— Mości panowie! W dniu dzisiejszym poddaliśmy się pod protekcyę najjaśniejszego króla szwedzkiego. Vivat Carolus Gustavus rex!

Cisza odpowiedziała wojewodzie; nagle zabrzmiał jakiś pojedyńczy głos:

— Veto!

Wojewoda powlókł oczyma w kierunku tego głosu i odrzekł:

— Nie sejmik tu, więc i veto nie na miejscu. A kto chce wetować, niechajże idzie na armaty szwedzkie ku nam wymierzone, które w godzinę z całego obozu jedno rumowisko uczynić mogą.

Tu umilkł, a po chwili spytał:

— Kto mówił "veto?"

Nikt się nie ozwał.

Wojewoda znów zabrał głos i mówił jeszcze dobitniej:

— Wszelkie wolności szlachty i duchowieństwa będą zachowane, podatki nie będą powiększone a i wybierane będą w tenże sam sposób, jak poprzednio... Nikt nie będzie cierpiał krzywd, ani grabieży; wojska jego królewskiej mości nie mają prawa do konsystencyi w w dobrach szlacheckich, ani do innej egzekacyi, niż taką, z jakiej komputowe polskie chorągwie korzystały...

Tu umilkł i słuchał chciwie szmeru szlacheckiego, jakby chciał wyrozumieć jego znaczenie, poczem skinął ręką:

— Prócz tego mamy słowo i obietnicę generała Wittemberga, daną w imieniu jego królewskiej mości, iż jeśli cały kraj pójdzie za naszym zbawiennym przykładem, wojska szwedzkie wnet ruszą na Litwę i Ukrainę i nie wprzód ustaną wojować, aż wszystkie ziemie i wszystkie zamki będą Rzeczypospolitej powrócone. Vivat Carolus Gustavus rex!

— Vivat Carolus Gustavus rex! — zawołało kilkaset głosów.

— Vivat Carolus Gustavus! — brzmiało coraz donośniej w całym obozie.

Tu na oczach wszystkich wojewoda poznański zwrócił się do Radziejowskiego i uściskał go serdecznie, potem uściskał Wirtza; poczem wszyscy poczęli się ściskać ze sobą. Szlachta poszła za przykładem dygnitarzy i radość stała się powszechną. Wiwatowano już tak, że echa rozbrzmiewały w całej okolicy. Ale wojewoda poznański prosił jeszcze miłą brać o chwilę ciszy i rzekł serdecznym tonem:

— Mości panowie! Generał Wittemberg prosi nas dziś na ucztę do swego obozu, abyśmy przy kielichach sojusz braterski z mężnym narodem zawarli.

— Vivat Wittemberg! vivat! vivat! vivat!

— A potem, mości panowie — dodał wojewoda, — rozjedziem się do domów i przy pomocy Bożej rozpoczniem żniwa z tą myślą, żeśmy w dniu dzisiejszym ojczyznę ocalili.

— Potomne wieki oddadzą nam sprawiedliwość — rzekł Radziejowski.

— Amen! — dokończył wojewoda poznański.

Wtem spostrzegł, że oczy mnóstwa szlachty patrzą i przypatrują się czemuś wyżej, ponad jego głową.

Obrócił się i ujrzał swego błazna, który wspinając się na palce i trzymając jedną ręką za odrzwia, pisał węglem na ścianie radnego domu, tuż nade drzwiami:

"Mane — Tekel — Fares."

Na świecie niebo pokryło się chmurami i zbierało się na burzę.

## XI.

We wsi Burzec, położonej w ziemi Łukowskiej, na pograniczu województwa Podlaskiego, a należącej podówczas od państwa Skrzetuskich, w sadzie, między dworem a stawem, siedział na ławie stary człowiek, a przy nogach jego bawiło się dwóch chłopaków: jeden pięcio, drugi czteroletni, czarnych i opalonych, jak cyganiątka, a rumianych i zdrowych. Stary człek również czerstwo jeszcze wyglądał, jak tur. Wiek nie zgarbił szerokich jego ramion; z oczu, a raczej z oka, bo jedno miał bielmem pokryte, patrzyło mu zdrowie i dobry humor; brodę miał białą, ale minę gęstą i twarz czerwoną, zdobną na czole w szeroką bliznę, przez którą widać było kość czaszki.

Obaj chłopaki, chwyciwszy za uszy od cholewy jego buta, ciągnęły je w przeciwną stronę, a on patrzył na staw, oświecony blaskami słonecznymi, w którym ryby rzucały się gęsto, łamiąc gładką powierzchnię toni.

— Ryby tańcują — mruczał sam do siebie. — Nie bójcie się, będziecie wy jeszcze lepiej tańcowały po spuście, gdy was kucharka będzie nożem skrobała.

Poczem zwrócił się do chłopaków:

— Odczepcie się basałyki od cholewy, bo jak który ucho urwie, to i ja mu urwę. Co za bąki uprzykrzone! Idźcie kulki przerwa-

cać po trawie i dajcie mi spokój! Longinkowi się nie dziwię, bo młodszy, ale Jaremka winien mieć już rozum. Wezmę którego utrapieńca i w staw wrzucę!

Ale stary widocznie okrutnie był zawojowany przez chłopaków, bo żaden z nich nie uląkł się groźby; natomiast starszy Jaremka począł go jeszcze silniej ciągnąć za cholewę, tupać nogami i powtarzać:

— Żeby dziadzio był Bohunem i porwał Longinka.

— Odczep się, ty żuku, mówię ci, ty smyku, ty gomółko!

— Żeby dziadzio był Bohunem!

— Dam ja ci Bohuna, poczekaj, jeno matki zawołam!

Jaremka spojrzał na drzwi, wychodzące z domu na ogród, ale ujrzawszy, że zamknięte i nie widząc nigdzie matki, powtórzał po raz trzeci, wysuwając buzię naprzód:

— Żeby dziadzio był Bohunem!

— Zamęczą mnie te knoty, nie może inaczej być. Dobrze, będę Bohunem, ale raz jeden tylko. Skaranie Boże! Pamiętaj, żebyś się więcej nie naprzykrzał.

To rzekłszy, stary stęknął trochę, podniósł się z ławki, nagle porwał małego Longinka i wydając dzikie okrzyki, począł go unosić w kierunku stawu.

Longinek jednak miał dzielnego obrońcę w osobie Jaremki, który w takich razach nie nazywał się Jaremką, ale panem Wołodyjowskim, rotmistrzem dragońskim.

Pan Michał tedy, zbrojny w patyk lipowy, zastępujący w nagłym razie szablę, puścił się z impetem za otyłym Bohunem, dognał go wkrótce i począł siekać po nogach bez miłosierdzia.

Longinek, grający rolę mamy, wrzeszczał; ale męstwo w końcu przemogło i Bohun, opuściwszy swą ofiarę, począł zmykać z powrotem pod lipę, nakoniec dopadłszy ławki, padł na nią, sapiąc straszliwie i powtarzając:

— Ha, basałyki!... Cud będzie, jeżeli się nie zatchnę...

Lecz nie tu był jeszcze koniec jego męki, gdyż za chwilę później stanął przed nim Jaremka, zarumieniony, z rozwianą czupryną i rozdętemi nozdrzami, podobny do małego czupurnego jastrząbka i jął powtarzać z większą jeszcze, niż poprzednio energią:

— Żeby dziadzio był Bohunem!

Po wielu naleganiach i uroczystem przyrzeczeniu złożonem przez obydwóch chłopaków, że tym razem będzie to na pewno ostatni

raz, historya powtórzyła się znowu z całą dokładnością; poczem już siedli we trzech na ławie i Jaremka począł nalegać:

— Dziadziu! powiedzieć, kto był najmężniejszy.

— Ty, ty! — odrzekł staruszek.

— I wyrosnę na rycerza?

— Pewnie, że wyrośniesz, bo dobra w tobie krew żołnierska. Daj ci Boże, abyś był do ojca podobny, bo przy męstwie, mniej byłbyś uprzykrzony... Rozumiesz?

— Powiedzieć, ilu tata zabił?

— Mało sto razy mówiłem! Prędzejbyście liście na tej lipie policzyli, niż tych wszystkich nieprzyjaciół, którycheśmy obaj z waszym ojcem zgładzili. Gdybym miał tyle włosów na głowie, ilum sam położył, balwierze w Łukowskiem porobiliby fortuny — nic, tylko na podgalaniu mi czupryny. Szelmą jestem, jeślim zeł...

Tu pan Zagłoba — onto był bowiem — spostrzegł, iż nie wypada mu ani zaklinać się, ani przeklinać wobec chłopaków, więc chociaż w braku innych słuchaczów lubił i dzieciom opowiadać o swych dawniejszych przewagach, zamilkł tym razem, zwłaszcza, że ryby w stawie poczęły się rzucać z podwójną siłą.

— Trzeba będzie powiedzieć ogrodniczkowi — rzekł, — aby więcierze na noc zastawił, siła zacnych ryb przy samym brzegu się tłucze.

Wtem drzwi domu, wychodzące na ogród, otworzyły się i ukazała się w nich kobieta piękną jak południowe słońce, wysoka, tęga, czarnowłosa, z ciemnemi rumieńcami na twarzy i oczyma jak aksamit. Trzeci chłopak, trzylatek, czarny jak kula agatu, trzymał się za jej suknię, a ona nakrywszy oczy ręką, poczęła patrzeć w kierunku lipy.

Była to pani Helena Skrzetuska, z domu kniaziów Bułyhów-Kurcewiczów.

Ujrzawszy pana Zagłobę z Jaremką i Longinkiem pod lipą, posunęła się kilka kroków ku fosie, wypełnionej wodą i zawołała:

— A bywajcieno chłopcy! Pewnie tam dziaduniowi dokuczacie?

— Co mają dokuczać. Wcale się tu przystojnie zachowali — odpowiedział pan Zagłoba.

Chłopaki skoczyły ku matce, a ona rzekła:

— Co tatuś woli dziś pić, dębniaczek czyli miód?

— Świnina była na obiad, to miód będzie grzeczniejszy.

— Zaraz przyślę. Ale niech jeno tatuś nie drzemie na powietrzu, bo febra pewna.

— Dziś ciepło i wiatru niema. A gdzie to Jan, córuchno?

— Poszedł do stodół.

Pani Skrzetuska mówiła panu Zagłobie: ojcze, a on jej: córuchno, choć wcale nie byli krewni. Jej rodzina mieszkała na Zadnieprzu, w dawnem państwie Wiśniowieckiem, a co do niego, Bóg jeden wiedział, skąd był rodem, gdyż sam rozmaicie o tem powiadał. Ale za czasów, gdy jeszcze była panną, Zagłoba znamienite jej oddał usługi i ze straszliwych niebezpieczeństw ratował, więc też oboje z mężem czcili go jako ojca i w całej okolicy niezmiernie był od wszystkich szanowany, tak dla obrotnego rozumu, jak i dla nadzwyczajnego męstwa, którego liczne w różnych wojnach, a mianowicie w kozackich, dał dowody.

Imię jego głośne było w całej Rzeczypospolitej — sam król kochał się w jego opowiadaniach i dowcipie, a wogóle więcej o nim mówiono, niż nawet o panu Skrzetuskim, chociaż pan Skrzetuski przedarł się w swoim czasie z oblężonego Zbaraża przez wszystkie wojsko kozackie.

W chwilę po odejściu pani Skrzetuskiej, pacholik przyniósł pod lipę gąsiorek i szklanicę. Pan Zagłoba nalał, następnie zamknął oczy i począł próbować pilnie.

— Wiedzia ł Pan Bóg dlaczego pszczoły stworzył! mruknął pod nosem.

I jął popijać zwolna, oddychając przytem głęboko i spoglądając na staw, hen, na czarne i sine bory, ciągnące się jak okiem dojrzeć, po drugim brzegu. Godzina była druga po południu a niebo bez chmurki. Kwiat lipowy odpływał bez szelestu na ziemię, a na lipie między liśćmi śpiewała cała kapela pszczół, które wnet poczęły siadać na zrębku szklanicy i zgarniać słodki płyn kosmatemi nóżkami.

Nad wielkim stawem, z trzcin odległych, przesłoniętych mgłą oddalenia, podnosiły się czasem stada kaczek cyranek lub dzikich gęsi i szybowały w błękitnem przezroczu, podobne do czarnych krzyżyków: czasem klucz żórawi zaczerniał wysoko na niebie, grając donośnym krzykiem — zresztą cicho było naokoło i spokojnie i słonecznie i wesoło, jak to bywa w pierwszych dniach sierpnia, gdy zboża już dojrzały, a słońce sypie jakoby złoto na ziemię.

Oczy starego człowieka to podnosiły się ku niebu, ścigając stada

ptastwa, to znowu ginęły w oddali, ale coraz senniejsze, w miarę jak miodu w gąsiorku ubywało i powieki ciążyły mu coraz bardziej — pszczoły śpiewały na różne tony swą piosenkę, jakoby umyślnie do poobiedniej drzemki.

— Tak, dał Pan Bóg piękny czas na żniwa—mruknął pan Zagłoba. — I siano dobrze zebrane i żniwa duchem pójdą... Tak... tak...

Tu przymknął oczy, poczem otworzył je znowu i na chwilę— mruknął jeszcze: "Zmęczyły mnie dzieciska..." — i usnął na dobre.

Spał dość długo, ale po pewnym czasie zbudził go lekki powiew chłodniejszego powietrza, oraz rozmowa i kroki dwóch mężów, zbliżających się szybko pod lipę. Jeden z nich był to pan Jan Skrzetuski, słynny Zbarażczyk, który od miesiąca wróciwszy od hetmanów z Ukrainy, bawił w domu, lecząc się z febry upartej; drugiego nie znał pan Zagłoba, chociaż wzrostem, postawą i nawet rysami twarzy, wielce był do Jana podobny.

— Przedstawiam wam, ojczaszku — rzekł Jan, — stryjecznego mego, pana Stanisława Skrzetuskiego ze Skrzetuszewa, rotmistrza kaliskiego.

— Waszmość pan tak do Jana podobny — rzekł Zagłoba, mrugając oczyma i strząsając resztki snu z powiek, — że gdziebym waszmości spotkał, zarazbym powiedział: "Skrzetuski!" Hej, co za gość w domu!

— Miło mi zabrać znajomość z waćpanem dobrodziejem — odparł Stanisław, — tem bardziej, że imię znanem mi było dobrze, bo je rycerstwo w całej Rzeczyspopolitej ze czcią powtarza i za przykład podaje.

— Nie chwaląc się, robiło się, co mogło, póki się siłę czuło w kościach. Jeszcze i teraz radby człek wojny pokosztował, bo consuetudo altera natura (przyzwyczajenie jest drugą naturą). Ale czemu to waćpanowie tak strapieni jesteście, aż Janowi oblicze pobladło.

— Stanisław straszne przywiózł wieści — odrzekł Jan. — Szwedzi weszli do Wielkopolski i już ją całkiem zajęli.

Pan Zagłoba zerwał się z ławy, jakby mu czterdzieści lat ubyło, otworzył szeroko oczy i począł mimowol macać się po boku, jakby szukając szabli.

— Jakto? — rzekł— jakto całą ją zajęli?

— Bo ją wojewoda poznański i inni wydali pod Ujściem w ręce nieprzyjaciela — odparł Stanisław Skrzetuski.

— Dla Boga!... Co waćpan mówisz!... Poddali się!...

— Nietylko się poddali, ale podpisali ugodę, w której wyrzekli się króla i Rzeczypospolitej... Odtąd tam ma już być Szwecya, nie Polska.

— Na miłosierdzie boskie! Na rany Ukrzyżowanego!... To się chyba świat kończy?... Co ja słyszę?... Jeszcześmy wczoraj z Janem mówili o tej groźbie od Szweda, bo były wieści, że idą, ale obaj byliśmy pewni, że to się na niczem skończy, a co najwięcej na wyrzeczeniu się tytułu króla szwedzkiego przez naszego pana, Jana Kazimierza.

— A tymczasem zaczęło się od utraty prowincyi, z skończy się, Bóg wie na czem.

— Przestań waćpan, bo mnie krew zaleje!... Jakże? I waćpan był pod Ujściem?... waćpan patrzył na to wszystko własnemi oczyma?! Toż to poprostu zdrada była najzaraźliwsza, w dziejach niesłychana!

— I byłem i patrzyłem, a czy to była zdrada, sam waszmość, gdy wszystko usłyszysz, osądzisz. Staliśmy pod Ujściem, pospolite ruszenie i piechota łanowa, razem z piętnaście tysięcy ludzi i zalegaliśmy pasy nad Notecią ab incursione hostili. Prawda, że wojska było mało, a waszmość, jako doświadczony żołnierz, wie z najlepiej czy pospolite ruszenie może je zastąpić, a tembardziej wielkopolskie, gdzie szlachta znacznie od wojny odwykła. Jednakże, gdyby się wódz był znalazł, można było postaremu dać wstręt nieprzyjacielowi i przynajmniej zatrzymać go, pókiby Rzeczpospolita jakich posiłków nie obmyśliła. Ale ledwie się Wittemberg pokazał, zaczęto zaraz paktować, nim się kropla krwi polała. Potem przyjechał Radziejowski i swemi namowami sprawił to, co mówiłem, to jest i nieszczęście i hańbę, jakiej przykładu dotąd nie było.

— Jakże? nikt się nie opierał?.. Nikt nie protestował? Nikt zdrady na oczy tym szelmom nie wyrzucił?... Wszyscy się na zdradę ojczyzny i pana zgodzili?...

— Ginie cnota, a z nią i Rzeczpospolita, bo prawie wszyscy się zgodzili... Ja, dwóch panów Skoraszewskich, pan Ciświcki i pan Kłodziński, czyniliśmy, cośmy mogli, aby ducha między szlachtą do oporu pobudzić. Pan Władysław Skoraszewski mało nie oszalał; lataliśmy po obozie od powiatu do powiatu i Bóg widzi, nie było tych zaklęć, którychbyśmy nie użyli. Ale cóż to pomogło, gdy większość wolała jechać z łyżkami na bankiet, który im Wittemberg obiecał.

niż z szablami na bitwę? Widząc to, cnotliwsi rozjechali się na wszystkie strony — jedni do domów, drudzy do Warszawy. Panowie Skoraszewscy ruszyli właśnie do Warszawy i pierwsi wiadomość królowi przywiozą, a ja, nie mając ni żony, ni dzieci, tu przyjechałem do brata, w tej myśli, że się przecie razem na nieprzyjaciela wybierzemy. Szczęściem, żem waszmościów w domu zastał!

— To waszmość prosto z pod Ujścia?

— Prosto. Tyłem tylko po drodze wypoczywał, ile było trzeba dla koni, a i to jeden mi padł ze zmęczenia. Szwedzi muszą już być w Poznaniu i ztamtąd prędko się po całym kraju rozleją.

Tu umilkli wszyscy Jan siedział z dłońmi opartemi na kolanach, oczy wbił w ziemię i zamyślił się ponuro, pan Stanisław wzdychał, a pan Zagłoba, nie ochłonąwszy jeszcze, spoglądał osłupiałym wzrokiem to na jednego, to na drugiego...

— Złe to są znaki — rzekł w końcu posępnie Jan. — Dawniej na dziesięć zwycięztw przychodziła jedna klęska i świat dziwiliśmy męstwem. Dziś przychodzą nietylko klęski, ale i zdrady — nietylko pojedyńczych osób, ale całych prowincyi. Niech Bóg zmiłuje się nad ojczyzną!...

— Dla Boga, — rzekł Zagłoba — widziałem na świecie dużo, słyszę, rozumiem, a jeszcze mi się wierzyć nie chce...

— Co myślisz czynić, Janie? — rzekł Stanisław.

— Pewnie, że w domu nie ostanę, chociaż mnie zimno jeszcze trzęsie. Żonę i dzieci trzeba będzie gdzie bezpiecznie umieścić. Pan Stabrowski, mój krewny, jest łowczym królewskim w puszczy Białowieskiej i w Białowieży mieszka. Choćby cała Rzeczpospolita wpadła w moc nieprzyjaciół, to przecie tam nie trafią. Jutro zaraz żonę i dzieci wyślę.

— I nie będzie to zbytnia ostrożność, — odrzekł Stanisław — bo choć z Wielkopolski tutaj daleko, kto wie, czy płomień wkrótce i tych stron nie ogarnie.

— Trzeba będzie szlachcie dać znać, — rzekł Jan — ażeby się kupili i o obronie myśleli, bo tu jeszcze nikt o niczem nie wie.

Tu zwrócił się do pana Zagłoby:

— A wy, ojcze, pójdziecie z nami, czyli też Helenie zechcecie do puszczy towarzyszyć?

— Ja? — odpowiedział pan Zagłoba — czy pójdę? Chybaby mi nogi korzenie w ziemię puściły, wtedybym nie poszedł, a i to prosiłbym kogo, żeby mnie wykarczował. Tak mi się chce szwedzkiego

mięsa znowu pokosztować, jak wilkowi baraniny! Ha! szelmy, pludraki, pończoszniki!... Pchły im po łydkach inkuryę czynią, więc nogi swędzą i przezto w domu usiedzieć nie mogą, jeno do cudzych krajów lezą... Znam ja ich, takich synów, bom jeszcze pod panem Koniecpolskim przeciw nim czynił, a chcecie waszmościowie wiedzieć, kto wziął w jassyr Gustawa Adolfa, to się nieboszczyka pana Koniecpolskiego spytajcie. Nic więcej nie powiem! Znam ja ich, ale i oni mnie znają... Nie może być inaczej, tylko się szelmy zwiedzieli, że Zagłoba się zestarzał. Tak? Poczekajcie! zobaczycie go jeszcze!... Panie! Panie wszechmogący! czemuś to tak tę nieszczęsną Rzeczpospolitę rozgrodził, że wszystkie świnie sąsiedzkie włażą do niej teraz i trzy najlepsze prowincye już spyskały! Ot co jest! Ba! ale któż temu winien, jeśli nie zdrajcy? Nie wiedziała zaraza kogo brać i zacnych ludzi pobrała, a zdrajców zostawiła. Dajże Boże jeszcze raz powietrze na pana wojewodę poznańskiego i na kaliskiego, a zwłaszcza na Radziejowskiego z całą rodziną. A jeśli chcesz więcej obywatelów piekłu przysporzyć, to poślij wszystkich tych, którzy onę kapitulacyą pod Ujściem podpisali. Zestarzał się Zagłoba? zestarzał? zobaczycie! Janie! radźmy prędzej, co czynić, bo jużbym chciał na końskim grzbiecie siedzieć!

— Pewnie, że trzeba radzić, gdzie iść. Na Ukrainę do hetmanów ciężko się przedostać, bo ich tam nieprzyjaciel odciął od Rzeczypospolitej i tylko do Krymu mają wolną drogę. Szczęście, że teraz Tatarzy po naszej stronie. Wedle mojej głowy, trzeba nam będzie do króla, do Warszawy ruszyć, pana kochanego bronić!

— Byle był na to czas — odrzekł Stanisław. — Król jegomość musi tam na gwałt zbierać chorągwie wprzód nim przyjdziemy, na nieprzyjaciela pociągnie, a może i spotkanie już nastąpi.

— I to być może.

— Jedźmy tedy ku Warszawie, byle śpiesznie — rzekł Zagłoba. — Posłuchajcie waćpanowie... Prawda, że nasze imiona groźne są nieprzyjacielowi, ale przecie we trzech niewiele wskóramy, więc jabym radził tak: Skrzyknijmy szlachty na ochotnika, ile się da, żeby tak choć z chorągiewkę panu przyprowadzić! Łatwo ich do tego namówimy bo i tak muszą ruszyć, gdy przyjdą wici na pospolite ruszenie, więc im to wszystko jedno — a powiemy, że kto przed wiciami dobrowolnie stanie, miłą panu rzecz uczyni. Z większą siłą więcej można będzie sprawić i przyjmą nas z otwartemi rękoma.

— Nie dziw się waszmość moim słowom, — rzekł pan Stanisław —

ale po tem, com widział, takiego do pospolitego ruszenia nabrałem wstrętu, że wolę sam iść, niżeli z tłumem ludzi wojny nieznających.

— To waszmość nie znasz tutejszej szlachty. Tu jednego takiego nie upatrzysz, którenby w wojsku nie sługiwał. Wszystko ludzie doświadczeni i dobrzy żołnierzy.

— Chyba, że tak.

— Zaś miałoby być inaczej? Ale poczekajcieno! Jan to już wie, że gdy raz pocznę głową robić, to mi sposobów nie brak. Dlatego w wielkiej żyłem konfidencyi z wojewodą ruskim, księciem Jeremim. Niech Jan zaświadczy, ile razy ten największy w świecie wojownik szedł za moją radą i zawsze na tem wygrywał.

— Mówcieno ojcze, co chcecie powiedzieć, bo czasu szkoda — rzekł Jan.

— Co chciałem powiedzieć? Oto, co chciałem powiedzieć: nie ten broni ojczyzny i króla, kto się króla za poły trzyma, ale ten, kto nieprzyjaciela bije; a bije ten najlepiej, kto pod wielkim wojownikiem służy. Po co mamy na niepewne do Warszawy chodzić, kiedy król jegomość właśnie może już do Krakowa, do Lwowa, albo na Litwę wyjechał? ja waszmościom radzę, abyśmy bez zwłoki udali się pod chorągwie hetmana wielkiego litewskiego, księcia Janusza Radziwiłła. Szczery to pan i wojenny. Chociaż go o pychę pomawiają, pewnie nie będzie on przed Szwedami kapitulował. To przynajmniej wódz i hetman, jak się należy. Ciasno tam będzie prawda, bo z dwoma nieprzyjaciołmi robota; ale zato pana Michała Wołodyjowskiego zobaczymy, który w kompucie litewskim służy i znów postaremu do kupy się zbierzem, jako za dawnych czasów. Jeżeli nie dobrze radzę, niechże mnie pierwszy Szwed za rapcie w jasyr poprowadzi.

— A kto wie? a kto wie? — odrzekł żywo Jan. — Może tak będzie najlepiej.

— I jeszcze Halszkę z dziećmi po drodze odprowadzimy, bo właśnie przez puszczę przyjdzie nam jechać....

— I w wojsku, nie między pospolitakami będziem służyli — dodał Stanisław.

— I będziem się bić, nie sejmikować, ani kury po wsiach i twarogi wyjadać.

— Waszmość to widzę nietylko w wojnie, ale i w radzie prym możesz trzymać — rzekł pan Stanisław.

— Co? ha?

— Istotnie, istotnie! — rzekł Jan. — Najlepsza to rada. Postaremu, kupą z Michałem pójdziemy. Poznasz, Stanisławie, największego żołnierza w Rzeczypospolitej i przyjaciela mego szczerego, brata. Pójdźmy teraz do Halszki powiedzieć jej, żeby się też w drogę szykowała.

— Aza wie ona już o wojnie? — zapytał pan Zagłoba .

— Wie, wie, bo przy niej najpierwej Stanisław opowiadał. Cała we łzach nieboga... Ale gdym jej rzekł, że trzeba iść, zaraz mi powiedziała: "Idź!"

— Chciałbym jutro już ruszyć! — zakrzyknął Zagłoba .

— To też wyruszymy jutro do dnia — rzekł Jan. — Ty, Stanisławie, musisz być fatigatus (zmęczony) wielce po drodze, ale do jutra wywczasujesz się, jak będziesz mógł. Ja dziś jeszcze konie wyślę z pewnymi ludźmi do Białej,do Łosic, do Drohiczyna i do Bielska, żeby wszędzie świeże były na przeprzążkę. A za Bielskiem puszcza tuż. Wozy z zapasami wyjdą także dzisiaj. Żal z kochanego kąta ruszać w świat, ale wola boska! Tem się pocieszam, że o żonę i dziatki będę bezpieczny, bo puszcza najlepsza to w świecie forteca. Chodźcie waszmościowie do domu, bo czas się ekspedycyą zająć.

Poszli.

Pan Stanisław, zdrożony wielce, ledwie się posiliwszy i napiwszy, zaraz spać poszedł, a pan Jan z panem Zagłobą zakrzątnęli się około wyprawy. I że ład był u pana Jana wielki, więc wozy i ludzie ruszyli tegoż jeszcze wieczora, na noc, a nazajutrz w dzień pociągła za niemi kolaska, w której siedziała Helena z dziećmi i jedna stara panna, rezydentka. Pan Stanisław, pan Jan, wraz z pięcioma pachołkami, jechali konno koło kolaski. Cały orszak posuwał się żywo, bo po miastach świeże konie czekały.

Tak jadąc i nie wypoczywając nawet nocami, piątego dnia dojechali do Bielska, a szóstego pogrążyli się już w puszczę od strony Hajnowszczyzny.

Objęły ich wraz mroki olbrzymiego boru, który podówczas kilkadziesiąt mil kwadratowych okrywał, łącząc się z jednej strony pasmem nieprzerwanem aż hen z puszczą Zielonką i Rogowską, z drugiej z pruskiemi borami.

Żaden najezdnik nie deptał nigdy nogą tych ciemnych głębin, w których człek nieobeznany mógł zabłądzić i błąkać się wkoło, aż póki nie padł z wysilenia lub nie poszedł na łup drapieżnym zwierzę-

tom. Nocami odzywały się tu ryki żubrów i niedźwiedzi, wraz z wyciem wilków i beczeniem chrapliwem rysiów. Niepewne drogi wiodły wśród gęstwy lub gołoborza, obok zwałów, wywrotów bagien i straszliwych śpiących jeziorek, do rozrzuconych wsi budników, smolarzy i osaczników, którzy częstokroć przez całe życie nie wychylali się z puszczy. Do Białowieży tylko samej prowadził szerszy gościniec, przerywany Suchą drogą, którą królowie jeździli na łowy. Tędy też od strony Bielska i Hajnowszczyzny jechali Skrzetuscy.

Pan Stabrowski, łowczy królewski, stary samotnik i kawaler, siedzący ustawicznie jak żubr w puszczy, przyjął ich z otwartemi rękami; dzieci zaś mało nie zdusił w pocałunkach. Żył bowiem tylko z osacznikami, szlacheckiej twarzy nie widując, chyba wtedy, gdy dwór zjechał na łowy.

Onto zawiadował całem gospodarstwem myśliwskiem i wszystkiemi smolarniami puszczy. Wielce się strapił wieścią o wojnie, o której się dopiero z ust pana Skrzetuskiego dowiedział.

Częstokroć bowiem tak bywało, że w Rzeczypospolitej paliła się wojna, umierał król, a do puszczy wieść nawet o tem nie dochodziła; dopiero pan łowczy przywozil nowiny, gdy od pana podskarbiego litewskiego wracał, któremu raz do roku rachunki z puszczańskiego gospodarstwa obowiązany był składać.

— Nudno tu będzie, bo nudno! — mówił pan Stabrowski do Heleny — ale przezpiecznie, jakby nigdzie na świecie nie było. Żaden nieprzyjaciel nie przedrze się przez te ściany, a choćby i próbował, toby mu osacznicy wszystkich ludzi w lot wystrzelali. Łatwiej Rzeczpospolitą całą zawojować — czego Boże nie daj! — niż puszczę. Dwadzieścia lat tu żyję, a i ja jej nie znam, bo są miejsca, gdzie dostąpić nie można i gdzie zwierz tylko mieszka, a może i złe duchy mają swoje stacye, do których się przed głosami dzwonów kościelnych chronią. Ale my żyjem po bożemu, bo we wsi jest kaplica, do której ksiądz z Bielska raz na rok zjeżdża. Będzie wam tu, jak w niebie, jeśli nuda nie dokuczy. Zato drew na opał nie zbraknie...

Pan Jan rad był z całej duszy, że takie schronisko dla żony wynalazł, ale próżno go pan Stabrowski zatrzymywał i ugaszczał.

Przenocowawszy tylko, ruszyli rycerze nazajutrz świtaniem nawskroś puszczy w dalszą drogę, prowadzeni w labiryncie leśnym przez przewodników, których pan łowczy dostarczył.

## XII.

Gdy pan Jan Skrzetuski ze stryjecznym Stanisławem i panem Zagłobą, po uciążliwej drodze z puszczy, przybyli wreszcie do Upity, pan Michał Wołodyjowski mało nie oszalał z radości, zwłaszcza że dawno już nie miał o nich żadnej wieści, o Janie zaś myślał, że znajduje się z chorągwią królewską, której porucznikował na Ukrainie u hetmanów.

Brał ich też z kolei w ramiona i wyściskawszy, znowu ściskał i ręce zacierał, a gdy mu powiedzieli, że pod Radziwiłłem chcą służyć, uradował się jeszcze bardziej na myśl, że nie prędko się rozłączą.

— Chwała Bogu, że do kupy się zbieramy, starzy Zbarażczykowie — mówił. — Człowiek i do wojny większą ma ochotę, gdy czuje konfidentów koło siebie.

— To była moja myśl — rzekł pan Zagłoba — bo oni do króla chcieli lecieć... Ale ja powiedziałem: a czemuto nie mamy sobie z panem Michałem starych czasów przypomnieć? Jeśli nam Bóg tak poszczęści, jak z Kozakami i Tatarami szczęścił, to niejednego Szweda wkrótce mieć będziem na sumieniu.

— Bóg waści natchnął tą myślą! — rzekł pan Michał.

— Ale mi dziwno — rzekł Jan, — żeście o Ujściu i o wojnie już wiedzieli. Stanisław ostatnim końskim tchem do mnie przyjechał, a my tak samo tu jechali, myśląc, że pierwsi będziem nieszczęście zwiastowali.

— Musiała przez Żydów wieść tutaj przyjść — rzekł Zagłoba, — bo oni zawsze najpierwsi wszystko wiedzą i taka między nimi korespondencya, że jak który rano kichnie w Wielkopolsce, to już wieczorem mówią na Żmudzi i na Ukrainie: "na zdrowie!"

— Nie wiem, jakto było, ale od dwóch dni wiemy — rzekł pan Michał — i konsternacya tu okrutna... Pierwszego dnia jeszcześ nie bardzo wierzyli, ale drugiego już nikt nie negował... Co więcej powiem: jeszcze wojny nie było, a rzekłbyś, ptaki o niej śpiewały w powietrzu, bo wszyscy naraz i bez powodu poczęli o niej gadać. Nasz książę-wojewoda musiał się też jej spodziewać i coś przed innymi wiedzieć, bo się kręcił, jak mucha w ukropie i w ostatnich czasach do Kiejdan przyleciał. Zaciągi od dwóch miesięcy z jego rozkazu czyniono. Zaciągałem ja, Stankiewicz i niejaki Kmicic, chorąży or-

szański, który, jak słyszałem, już gotowiuśką chorągiew do Kiejdan odprowadził. Ten się najpierwej z nas wszystkich uwinął...

— Znaszże ty, Michale, dobrze księcia wojewodę wileńskiego? — pytał Jan.

— Jak go nie mam znać, kiedym całą wojnę teraźniejszą pod jego komendą odbywał?

— Co wiesz o jego zamysłach? Zacny to pan?

— Wojownik jest doskonały, kto wie, czy po śmierci księcia Jeremiego w Rzeczypospolitej nie największy... Pobili go, prawda, teraz, ale miał sześć tysięcy wojska na ośmdziesiąt... Pan podskarbi i pan wojewoda witebski okrutnie go zato potępiają, mówiąc, iż przez to z tak małą siłą się porwał na ową niezmierną potęgę, ażeby się z nimi wiktoryą nie dzielić. Bóg raczy wiedzieć, jak było... Ale stawał mężnie i sam życia nie szczędził... A ja, którym na wszystko patrzył, tyle tylko powiem, iż gdyby miał dosyć wojska i pieniędzy, noga nieprzyjacielska nie uszłaby z tego kraju. Tak myślę, że szczerze on się teraz weźmie do Szwedów i pewno ich tu nie będziem czekali, ale do Inflant ruszymy.

— Z czegożto suponujesz?

— Z dwóch powodów: raz, że książę będzie chciał reputacyę swą, nieco po cybichowskiej bitwie zachwianą, poprawić, a powtóre, że wojnę kocha...

— Tak jest — rzekł Zagłoba, — znam ja go, bośmy razem w szkołach byli i pensa za niego odrabiałem. Zawsze się kochał w wojnie i dlatego lubił ze mną lepiej niż z innymi kompanię trzymać, bom ja także wolał konia i dzidkę niż łacinę.

— Z pewnością, że to nie wojewoda poznański, z pewnością, że to zgoła inny człowiek — rzekł pan Stanisław Skrzetuski.

Wołodyjowski począł go wypytywać o wszystko, co się pod Ujściem zdarzyło i za czuprynę się targał, słuchając opowiadania, wreszcie, gdy pan Stanisław skończył, rzekł:

— Masz waszmość słuszność! Nasz Radziwiłł do takich rzeczy niezdolny. Pyszny on jak dyabeł i zdaje mu się, że w całym świecie większego rodu od Radziwiłłowskiego niema, prawda! Oporu on nie znosi, prawda, i na pana podskarbiego Gosiewskiego, zacnego człeka, o to zgniewan, że ten nie skacze, jak Radziwiłły zagrają. Na króla jegomości także krzyw, że mu buławy wielkiej litewskiej dość prędko nie dał... Wszystko to prawda, jak i to, że woli w bezecnych błędach kalwińskich żyć, do prawdziwej wiary się nawrócić, że kato-

lików, gdzie może ciśnie, że zbory heretyków stawia... Ale za to przysięgnę, że wolałby ostatnią kroplę swojej pysznej krwi wytoczyć, niż taką kapitulacyę, jak pod Ujściem podpisać... Będziem mieli wojny w bród, bo nie skryba, ale wojownik będzie nam hetmanił.

— W to mi graj! — rzekł Zagłoba. — Niczego więcej nie chcemy. Pan Opaliński skryba i zaraz się pokazało, do czego zdatny... Najpodlejszy to gatunek ludzi! Każdy z nich jeno pióro z kupra gęsi wyciągnie, oto zaraz myśli, że wszystkie rozumy pojadł... Taki syn innym przymawia, a jak przyjdzie do szabli, to go niemasz. Sam za młodu rytmy układałem, żeby białogłowski serca kaptować i byłbym pana Kochanowskiego w kozi róg z jego fraszkami zapędził, ale potem żołnierska natura wzięła górę.

— Przytem jeszcze i to wam powiem — rzekł Wołodyjowski, — że skoro się tu szlachta ruszy, to się kupa ludzi zbierze, byle pieniędzy nie zabrakło, bo to rzecz najważniejsza.

— Na Boga, nie chcę pospolitaków! — zakrzyknął pan Stanisław. — Jan i jegomość pan Zagłoba znają już mój sentyment, a waszmości powiem, że wolę być ciurą w regularnej chorągwi, niż hetmanem nad całem pospolitem ruszeniem.

— Tutejszy lud mężny — odrzekł pan Wołodyjowski — i bardzo sprawny. Mam tego przykład z mojego zaciągu. Nie mogłem pomieścić wszystkich, którzy się garnęli, a między tymi, których przyjąłem, niemasz i jednego takiego, coby poprzednio nie służył. Pokażę waściom tę chorągiewkę i upewniam, że gdybyście nie wiedzieli ode mnie, tobyście nie poznali, że to nie starzy żołnierze. Każdy bity i kuty w ogniu, jak stara podkowa, a w szyku stoją, jako triarii rzymscy. Nie pójdzie z nimi tak łatwo Szwedom, jak pod Ujściem z Wielkopolanami.

— Mam nadzieję, że to Bóg wszystko odmieni — rzekł Skrzetuski. — Mówią, że Szwedzi dobrzy pachołkowie, ale przecie nie mogli naszym wojskom komputowym wytrzymać. Biliśmy ich zawsze — to już wypróbowana rzecz — biliśmy ich nawet wtedy, gdy im przywodził największy wojownik, jakiego kiedykolwiek mieli.

— Zo prawda, to okrutniem ciekawy, co umieją — odpowiedział pan Wołodyjowski, — i gdyby nie to, że dwie inne wojny jednocześnie ojczyznę gnębią, wcalebym się o tę szwedzką nie rozgniewał. Popróbowaliśmy i Turków i Tatarów i Kozaków i Bóg wie kogo — godzi się teraz Szwedów popróbować. W koronie z tem tylko może

być kłopot, że wszystkie wojska z hetmanami na Ukrai e zajęte. Ale tu widzę już, co się stanie. Oto książę wojewoda dotychczasową wojnę panu podskarbiemu Gosiewskiemu, hetmanowi polnemu zostawi, a sam się Szwedami szczerze zajmie. Ciężko będzie, prawda! Wszelako miejmy nadzieję, że Pan Bóg pomoże.

— Jedźmy tedy, nie mieszkając do Kiejdan! — rzekł pan Stanisław.

— Dostałem też rozkaz, żeby chorągiew mieć w pogotowiu, a samemu się w trzech dniach w Kiejdanach stawić — odpowiedział pan Michał. — Ale muszę też waściom ten ostatni rozkaz pokazać, bo już z niego znaczno, że tam książę-wojewoda myśli o Szwedach.

To rzekłszy, pan Wołodyjowski otworzył kluczem sepecik, stojący pod oknem na ławie, wydobył z niego papier złożony na dwoje i rozwinąwszy, począł czytać:

"Mości panie Wołodyjowski pułkowniku!

"Z wielką radością odczytaliśmy raport waszmości, że chorągiew już na nogach i każdej chwili może w pochód ruszyć. Trzymaj ją waćpan w czujności i pogotowiu, bo przychodzą tak ciężkie czasy, jakich jeszcze nie bywało, sam zaś przybywaj jak najśpieszniej do Kiejdan, gdzie niecierpliwie oczekiwać będziemy. Gdyby waszmości dochodziły jakie wieści — tym nie wierz, aż wszystko z naszych ust usłyszysz. Postąpimy tak, jak sam Bóg i sumienie nakazuje, bez uwagi na to, co złość i nieżyczliwość ludzka może na nas wymyślić. Ale zarazem cieszymy się, iż nadchodzą takie terminy, w których pokaże się dowolnie, kto jest szczerym i prawdziwym przyjacielem Radziwiłłowskiego domu i kto nawet in rebus adversis (w krytycznem położeniu) służyć mu gotów. Kmicic, Niewiarowski i Stankiewicz przyprowadzili tu już swoje chorągwie, waszmościna niech w Upicie zostanie, bo tam może być potrzeba, a może przyjdzie wam ruszyć na Podlasie pod komendą brata mego stryjecznego j. o. x. Bogusława, który tam znaczne partye naszych sił ma pod sobą. O tem wszystkiem dowiesz się dokładnie z ust naszych — tymczasem zaś polecamy wierności waszej pilne rozkazów spełnienie i oczekujemy cię w Kiejdanach.

Janusz Radziwiłł,

Książę na Birżach i Dubinkach.

— Tak jest! widoczna już z tego listu nowa wojna! — rzekł Zagłoba.

— A że książę pisze, iż postąpi jak mu Bóg nakazuje, to znaczy, że będzie bił Szweda — dodał pan Stanisław.

— Dziwno mi tylko — rzekł pan Stanisław, — że pisze o wierności dla domu Radziwiłłowskiego, nie dla ojczyzny, która więcej od Radziwiłłów znaczy i pilniejszego ratunku potrzebuje.

— To taka ich pańska maniera — odparł Wołodyjowski, — choć i mnie się to zaraz nie spodobało, boć i ja ojczyźnie, nie Radziwiłłom służę.

— A kiedyś ten list odebrał? — spytał Jan.

— Dziś rano i właśnie po południu chciałem ruszyć. Wy się przez ten wieczór wywczasujecie po podróży, a ja jutro pewnie wrócę i zaraz z chorągwią ruszymy, gdzie nam każą.

— Może na Podlasie? — rzekł Zagłoba.

— Do księcia koniuszego! — powtórzył pan Stanisław.

— Książę koniuszy, Bogusław, także teraz w Kiejdanach — odparł Wołodyjowski. — Ciekawa to persona i pilnie mu się przypatrujcie. Wojownik wielki i rycerz jeszcze większy, ale niemasz w nim za grosz Polaka. Z cudzoziemska się nosi i po niemiecku albo zgoła po francusku gada, jakoby orzechy gryzł, której mowy godzinę możesz słuchać i nic nie wyrozumiesz.

— Książę Bogusław pod Beresteczkiem pięknie sobie poczynał — rzekł Zagłoba — i poczet piękny niemieckiej piechoty wystawił.

— Ci co go bliżej znają, nie bardzo go chwalą —mówił dalej Wołodyjowski — bo się jeno w Niemcach i Francuzach kocha, co nie może inaczej być, gdyż się z Niemkini rodzi, elektorówny brandeburskiej, za którą ojciec jego nieboszczyk, nietylko, że wiana żadnego nie wziął, ale, jakto widać u tych książątek chuda fara jeszcze dopłacić musiał. Ale Radziwiłłom chodzi o to, by w rzeszy niemieckiej, której są książętami, syffragia (głosy wyborcze) mieli i dlatego radzi z Niemcami się łączą. Powiadał mi o tem pan Sakowicz, dawny sługa księcia Bogusława, któremu ten starostwo oszmiańskie puścił. On i pan Niewiarowski, pułkownik, bywali z księciem Bogusławem po różnych zamorskich krajach i zawsze na świadków do pojedynków usługiwali.

— Tyleż to on pojedynków odbywał? — pytał pan Zagłoba.

— Ile ma włosów na głowie! Różnych on tam książąt, grafów zagranicznych, francuskich i niemieckich, siła poszczerbił, bo to mówią, człek bardzo zapalczywy a mężny i o lada słowo na pole wyzywa.

Pan Stanisław Skrzetuski rozbudził się z zamyślenia.

— Słyszałem i ja o księciu Bogusławie, bo to od nas do elektora niedaleko, u którego on ciągle przesiaduje. Pamiętam i to jeszcze, co ojciec wspominał, że jak się rodzic księcia Bogusława z elektorówną żenił, to ludzie sarkali, że tak wielki dom jak Radziwiłłowski, z obcymi się łączy, ale bogdaj, że lepiej się stało, gdyż teraz elektor, jako radziwiłłowski koligat, tem życzliwszy powinien być Rzeczypospolitej, a od niego teraz siła zależy. To, co waszmość powiadasz, że u nich chuda fara, to tak nie jest. Pewnie, że gdyby kto Radziwiłłów wszystkich sprzedał, toby za nich elektora z całem księstwem kupił, ale dzisiejszy kurfist Fryderyk Wilhelm zebrał już niemało grosza i ma dwadzieścia tysięcy wojska bardzo porządnego, z którem śmiało mógłby się Szwedom zastawić, co jako lennik Rzeczypospolitej powinien uczynić, jeżeli Boga ma w sercu i pamięta wszystkie dobrodziejstwa, które Rzeczpospolita jego domowi świadczyła.

— Zali on to uczyni? — pytał Jan.

— Czarna byłaby to niewdzięczność i wiarołomstwo z jego strony, gdyby inaczej postąpił! — odparł Stanisław.

— Ciężko to na wdzięczność cudzą liczyć, a zwłaszcza na heretycką — rzekł pan Zagłoba. — Pamiętam jeszcze wyrostkiem tego waszego kurfista zawsze to mruk był, rzekłbyś ciągle słuchał co mu dyabeł do ucha szepce. Powiedziałem mu to w oczy, gdyśmy z panem Koniecpolskim nieboszczykiem w Prusiech byli. Taki on łuter, jak i król szwedzki. Daj Boże, żeby się jeszcze z sobą przeciw Rzeczypospolitej nie sprzymierzyli...

— Wiesz co Michale? — rzekł nagle Jan. — Nie będę dziś wypoczywał, ale pojadę z tobą do Kiejdan. Teraz nocami lepiej jechać, bo we dnie upał, a pilno mi już wyjść z niepewności. Na wypoczynek jeszcze czas, bo pewnie książe jutro jeszcze nie ruszy.

— Tem bardziej, że chorągiew kazał w Upicie zatrzymać — odrzekł pan Michał.

— Dobrze mówicie — zawołał pan Zagłoba — pojadę i ja.

— To jedźmy wszyscy razem — dodał pan Stanisław.

— Akurat na jutro rano będziemy w Kiejdanach, — rzekł pao Wołodyjowski — a w drodze i na kulbakach można się słodkn przedrzemać.

We dwie godziny później, podjadłszy i podpiwszy nieco, ruszyli rycerze w podróż i jeszcze przed zachodem stanęli w Krakinowie.

Przez drogę opowiadał pan Michał o okolicy, o sławnej szlachcie laudańskiej, o Kmicicu i o wszystkiem, co się do pewnego czasu zdarzyło. Przyznał się i do afektu swego dla panny Billewiczówny, nieszczęśliwego, jak zwykle.

— Cała rzecz, że wojna bliska, — mówił — bo inaczej srodzebym się zmartwił, gdyż czasem myślę, że takieto już moje nieszczęście i że chyba przyjdzie mi i umrzeć w kawalerskim stanie.

— Nie stanie ci się krzywda, — rzekł pan Zagłoba — bo zacny to jest stan i Bogu miły. Umyśliłem też trwać w nim do końca życia. Czasem i żal, że nie będzie komu sławy i imienia przekazać, bo chociaż miłuję dzieci Janka, jak swoje, wszelako Skrzetuscy to nie Zagłobowie.

— O niecnoto — rzekł Wołodyjowski. — Takeś się waćpan wcześnie z tem postanowieniem wybrał, jak wilk, który ślubował owiec nie dusić, gdy mu wszystkie zęby wypadły.

— A nieprawda — rzekł Zagłoba. — Nie takto dawno, panie Michale, jakeśmy z sobą w Warszawie na elekcyi byli. Za kimże się wszystkie podwiki oglądały, jeśli nie za mną?... Pamiętasz, jakeś to narzekał, że na ciebie żadna nie spojrzy? Ale jeśli taką masz ochotę do stanu małżeńskiego, to się nie martw. Przyjdzie i twoja kolej. Na nic tu szukanie i właśnie wtedy znajdziesz, kiedy nie będziesz szukał. Teraz czasy wojenne i siła zacnych kawalerów co rok ginie. Niech jeno i ta szwedzka wojna potrwa, to dziewki do reszty stanieją, i będziemy je na tuziny na jarmarku kupowali.

— Może i mnie zginąć przyjdzie — rzekł pan Michał. — Dość mam tego kołatania się po świecie. Nigdy waściom nie zdołam wypowiedzieć, jak zacna jest i urodziwa panna, ta Billewiczówna. Byłby ją człowiek miłował i hołubił, jakby co najlepszego... Nie! musieli dyabli przynieść tego Kmicica... Chyba on jej coś zadał, nie może inaczej być, bo gdyby nie to, pewnieby mnie nie przepędziła. Ot, patrzcie właśnie tam zza górki Wodokty widać, ale w domu niemasz nikogo, bo ona pojechała Bóg wie gdzie... Moje to byłoby schronisko, niechbym był tu żywota dokonał... Niedźwiedź ma swój barłóg, wilk swoją jamę, a ja, to jeno tę szkapę i tę kulbakę, na której siedzę...

— To widzę, że cię jak cierń zakłuła? — rzekł pan Zagłoba.

— Pewnie, że jak sobie wspomnę, albo, mimo przejeżdżając, Wodokty zobaczę, to mi jeszcze żal... Chciałem klin klinem wybić i pojechałem do pana Szylinga, który ma córkę bardzo urodziwą. Raz

ją w drodze z daleka widziałem i okrutnie mi w oko wpadła. Pojechałem tedy — i cóż waćpaństwo powiecie — ojcam w domu nie zastał, a panna Kachna myślała, że to nie pan Wołodyjowski, tylko pachołek pana Wołodyjowskiego przyjechał... Takem ten afront wziął do serca, żem się tam więcej nie pokazał.

Zagłoba począł się śmiać.

— Bodajże cię, panie Michale! Cała rzecz w tem, żebyś znalazł żonę tak nikczemnej urody, jak sam jesteś. A gdzie się to ona bestyjka podziała, co to przy księżnie Wiśniowieckiej respektową była, z którąto nieboszczyk pan Podbipięta — Panie świeć nad jego duszą, — miał się żenić? Ta miała urodę w sam raz dla ciebie, bo istna to była pestka, choć jej się oczy okrutnie świeciły.

— To Anusia Borzobohata-Krasieńska — rzekł pan Jan Skrzetuski. — Wszyscyśmy się w niej swego czasu kochali i Michał także. Bóg raczy wiedzieć, co się z nią teraz dzieje.

— Żeby ją tak odszukać a pocieszyć — rzekł pan Michał. — Jakeście ją wspomnieli, aż mi się ciepło koło serca uczyniło. Najzacniejsza to była dziewka. Bógby mi dał ją spotkać ... Ej, dobre to były dawne łubniańskie czasy, ale się już nigdy nie wrócą Nie będzie też już chyba nigdy takiego wodza, jak nasz książę Jeremi. Człowiek wiedział, że po każdem spotkaniu wiktorya nastąpi. Radziwiłł wielki wojownik, ale nie taki już nie z tem sercem mu się służy, bo on i jego ojcowskiego afektu dla żołnierzy nie ma i do konfidencyi nie dopuszcza, mając się za jakowegoś monarchę, chociaż przecie Wiśniowieccy nie gorsi byli od Radziwiłłów.

— Mniejsza z tem — rzekł Jan Skrzetuski. — W jego ręku teraz zbawienie ojczyzny, a że gotów za nią życie oddać, niech mu Bóg błogosławi.

Takto rozmawiali rycerze, jadąc wśród nocy, i to dawne sprawy wspominali, to mówili o teraźniejszych ciężkich czasach, w których trzy wojny naraz zwaliły się na Rzeczpospolitą.

Później zabrali się do pacierzy wieczornych i do odmawiania litanii, a gdy ją skończyli, sen ich zmorzył i zaczęli drzemać i kiwać się na kulbakach.

Noc była pogodna, ciepła, gwiazdy migotały tysiącami na niebie, oni jadąc noga za nogą, spali smaczno, aż dopiero, gdy zaczęło świtać, zbudził się pierwszy pan Michał.

— Mości panowie, otworzyć oczy, Kiejdany już widać — zakrzyknął.

— Co? hę? — rzekł Zagłoba. — Kiejdany? gdzie?

— A to, tam! Wieże widać.

— Zacne jakieś miasto — rzekł Stanisław Skrzetuski.

— Bardzo zacne — odpowiedział Wołodyjowski — i po dniu jeszcze lepiej się waszmościowie o tem przekonacie.

— Wszak to dziedzictwo księcia wojewody?

— Tak jest. Przedtem było Kiszków, od których je ojciec teraźniejszego księcia otrzymał w posagu za Anną Kiszczanką, córką wojewodzica witebskiego. W całej Żmudzi niemasz tak porządnego miasta, bo Radziwiłłowie Żydów nie puszczają, chyba za osobnem pozwoleniem. Miody tu sławne.

Zagłoba przetarł oczy.

— A to jacyś grzeczni ludzie tu mieszkają. Co to za okrutną budowlę widać tam na podniesieniu?

— To zamek świeżo zbudowany, już za panowania Janusza.

— Obronny?

— Nie, ale rezydencya wspaniała. Nie czyniono go warownym, bo nieprzyjaciel nigdy nie zachodził w te strony od czasów krzyżackich. Ten śpiczasty szczyt, który tam w środku miasta widzicie, to od kościoła fainego. Krzyżacy go wznieśli jeszcze za czasów pogańskich, później był kalwinistom oddany, ale go ksiądz Kobyliński znowu dla katolików wyprocesował od księcia Krzysztofa.

— To i chwała Bogu!

Tak rozmawiając, dojechali bliżej do pierwszych domków przedmieścia.

Tymczasem stawało się coraz jaśniej na świecie i słońce poczynało wschodzić. Rycerze przyglądali się z ciekawością nieznanemu miastu, a pan Wołodyjowski dalej opowiadał:

— To jest ulica Żydowska, w której mieszkają ci z Żydów, którzy mają pozwolenie. Jadąc tędy, dostaniesz się aż na rynek. Oho już ludzie budzą się i poczynają z domów wychodzić. Patrzcie! siła koni przed kuźniami i czeladź nie w barwach radziwiłłowskich. Musi być jaki zjazd w Kiejdanach. Pełno tu zawsze szlachty i panów, a czasem aż z obcych krajów przyjeżdżają, bo to jest stolica heretyków ze wszystkiej Żmudzi, którzy tu pod osłoną Radziwiłłów bezpiecznie swoje gusła i praktyki zabobonne odprawiają. Ot, i rynek! Uważcie waszmościowie jaki zegar na ratuszu! Lepszego ponoć i w Gdańsku niemasz. A to co bierzecie za kościół o czterech wieżach, to zbór helwecki, w którym co niedziela Bogu bluźnią — a

tam to kościół luterski. Myślicie zaś, że tu mieszczanie Polacy albo Litwini —wcale nie! Sami Niemcy i Szkoci, a Szkotów najwięcej! Piechota z nich bardzo przednia, szczególnie berdyszami sieką okrutnie. Ma też książę jegomość regiment jeden szkocki z samych ochotników kiejdańskich. Hej! co wozów z łubnia na rynku! Pewnie zjazd jaki. Gospody żadnej nie masz w tem mieście, jeno znajomi do znajomych zajeżdżają, a szlachta do zamku, w którym są oficyny długie na kilkadziesiąt łokci, tylko dla gości przeznaczone. Tam podejmują każdego uczciwie, choćby i przez rok, na koszt księcia pana; są tacy, którzy całe życie tu siedzą.

— Dziwno mi to, że piorun tego zboru helweckiego nie zapalił, rzekł Zagłoba.

Jakbyś waść wiedział, że się to zdarzyło. W środku, między czterema wieżami, była kopuła jako czapka, w którą kiedyś jak trzasło, tak się nic z niej nie zostało. Tu, w podziemiach, leży ojciec księcia koniuszego Bogusława, Janusz, ten, który do rokoszu przeciw Zygmuntowi III należał. Własny hajduk mu czaszkę rozpłatał i tak zginął marnie, jak żył grzesznie.

— A to co a rozległa budowla, do szopy murowanej podobna? — pytał Jan.

— To jest papiernia od księcia założona, a tu obok drukarnia, w której się księgi heretyckie drukują.

— Tfu! — rzekł Zagłoba — zaraza na to miasto, gdzie człek innego powietrza jak heretyckie do brzucha nie wciąga. Lucyper mógłby tu tak dobrze panować, jak i Radziwiłł.

— Mości panie! — odpowiedział Wołodyjowski — nie bluźń Radziwiłłowi, bo może wkrótce ojczyzna zbawienie będzie mu winna...

I dalej jechali w milczeniu, poglądając na miasto i dziwiąc się jego porządkom, bo ulice całkiem były brukowane kamieniami, co w owych czasach za osobliwość uchodziło.

Przejechawszy rynek i ulicę Zamkową, ujrzeli na podniesieniu wspaniałą rezydencyę, świeżo przez Janusza wzniesioną, nie obronną istotnie, ale ogromem nietylko pałace, lecz i zamki przewyższającą. Gmach stał na wywyższeniu i patrzył na miasto, jakoby u stóp jego leżące. Z obu stron głównego korpusu biegły dwa skrzydła niższe, załamując się pod kątami prostymi i tworząc olbrzymi dziedziniec, zamknięty od przodu kratą żelazną, nabijaną długiemi kolcami. W środku kraty wznosiła się potężna brama murowana, na niej herby radziwiłłowskie i herb miasta Kiejdan, przed-

stawiający nogę orlą ze skrzydłem czarnem w złotem polu, a u nóg podkowę o trzech krzyżach czerwoną. Nisko w bramie był odwach i trabanci szkoccy straż tam trzymali, dla parady, nie dali obrony przeznaczoną.

Godzina była ranna, ale na dziedzińcu ruch już panował, albowiem przed głównym korpusem musztrował się pułk dragonów, przybrany w błękitne kolety i szwedzkie hełmy. Długi ich szereg stał właśnie nieruchomie, z gołymi rapierami w ręku, oficer zaś, przejeżdżając przed frontem, mówił coś do żołnierzy. Naokoło szeregu i dalej pod ścianami, mnóstwo czeladzi w rozmaitych barwach gapiło się na dragonów, czyniąc sobie wzajem rozmaite uwagi i spostrzeżenia.

— Jak mi Bóg miły! — rzekł pan Michał — toż to Charłamp pułk musztruje.

— Jakto? — zawołał Zagłoba — tenże to sam, z którym miałeś się pojedynkować, w czasie elekcyi w Lipkowie.

— Tenże sam. Ale my od tego czasu w dobrej komitywie żyjemy.

— A prawda! — rzekł pan Zagłoba — poznaję go po nosie, który mu z pod hełmu sterczy. Dobrze, że przyłbice wyszły z mody, bo ten rycerz nie mógłby żadnej zamknąć; ale on i tak osobnej zbroi na nos potrzebuje.

Tymczasem pan Charłamp, spostrzegłszy Wołodyjowskiego, puścił się ku niemu rysią.

— Jak się miewasz Michałku? — zawołał. — Dobrze, żeś przyjechał!

— Lepiej, że ciebie pierwszego spotykam. Oto jest pan Zagłoba, któregoś w Lipkowie poznał, ba, przedtem jeszcze w Siennicy, a to panowie Skrzetuscy, Jan, rotmistrz królewskiej husarskiej chorągwi, Zbarażczyk...

— Na Boga! toż ja największego w Polsce rycerza widzę! — zakrzyknął Charłamp. — Czołem, czołem!

— A to Stanisław, rotmistrz kaliski — mówił dalej pan Wołodyjowski, który z pod Ujścia wprost jedzie.

— Z pod Ujścia?... Na okrutną tedy hańbę waćpan patrzyłeś. Wiemy już co się tam stało.

— Właśnie dlatego, że się tam to stało, to ja tu przyjechałem w tej nadziei, że tu nic podobnego się nie stanie.

— Możesz waszmość być pewien. Radziwiłł to nie Opaliński.

— To samo wczoraj mówiliśmy w Upicie.

— Witam waszmościów najradośniej imieniem własnem i książęcem. Rad książe wojewoda będzie, gdy takich rycerzy zobaczy bo mu ich bardzo potrzeba. Chodźcie do mnie, do cekhauzu, gdzie jest moja kwatera. Pewnie zechcecie się przebrać i posilić, a ja będę wam też towarzyszył, bom już musztrę skończył.

To rzekłszy, pan Charłamp skoczył znów do szeregu i zakomenderował krótkim donośnym głosem:

— Lewo! zwrot — w tył!

Kopyta zadźwięczały po bruku. Szereg rozłamał się na dwoje, połowy rozłamały się znowu, a wreszcie sformowały się czwórki, które wolnym krokiem poczęły się oddalać w stronę cekhauzu.

— Dobrzy żołnierze — rzekł Skrzetuski, patrząc okiem znawcy na mechaniczne ruchy dragonów.

— Sama to drobna szlachta i sami bojarzynkowie putni w tej broni służą — odparł pan Wołodyjowski.

— O Boże! zaraz znać, że to nie pospolitaki! — zawołał pan Stanisław.

— Ale że to Charłamp im porucznikuje? — pytał Zagłoba. Czyli się mylę, ale pamiętam, że on w piatyhorskiej chorągwi służył i srebrną pętelkę nosił na ramieniu?

— Tak jest — rzekł Wołodyjowski, ale już z parę lat, jak pułkiem dragońskim dowodzi. Stary to żołnierz i kuty.

Tymczasem Charłamp, odesławszy dragonów, zbliżył się do naszych rycerzy.

— Proszę waszmościów za mną... Ot, tam cekhauz za pałacem.

W pół godziny później siedzieli już w pięciu nad misą piwa grzanego, dobrze zabielonego śmietaną i rozmawiali o nowej wojnie.

— A u was tu co słychać? — pytał pan Wołodyjowski.

— U nas słychać codzień co innego, bo się ludzie gubią w domysłach i coraz to inne nowiny puszczają — odparł Charłamp. — A naprawdę, to jeden książę wie, co się stanie. Waży on coś w umyśle, bo choć symuluje wesołość i na ludzie tak łaskaw, jak nigdy, to przecież okrutnie zamyślony. Po nocach, powiadają, nie sypia, jeno po wszystkich komnatach ciężkim krokiem chodzi i sam z sobą głośno gada, a we dnie przez całe godziny naradza się z Harasimowiczem.

— Cóżto to za Harasimowicz? — spytał pan Wołodyjowski.

— To gubernator z Zabłudowa, z Podlasia, niewielka figura i tak wygląda, jakby dyabła za pazuchą hodował; ale księcia pana poufny i podobno wszystkie jego arkana znający. Wedle mojej głowy, to okrutna i mściwa wojna ze Szwedem z tych narad wyniknie, do której wojny wszyscy wzdychamy. Tymczasem listy tu latają, od księcia kurlandzkiego, od Chowańskiego i od elektora.. Są tu tacy, którzy powiadają, że książę z Moskwą paktuje, by ją do ligi przeciw Szwedowi wciągnąć; inni, że przeciwnie; ale zdaje się, że z nikim ligi nie będzie, jeno wojna, jak rzekłem, z tymi i owymi. Wojsk coraz więcej przychodzi, rozpisują listy do szlachty co najwierniejszej dla radziwiłłowskiego domu, aby się zjeżdżała. Wszędy pełno zbrojnego ludu... Ej, mości panowie! na kim się skrupi, na tym się zmiele, ale ręce będziem mieli po łokcie czerwone, bo jak Radziwiłł raz ruszy w pole. to nie będzie paktował.

— Oj, to! oj, to! — rzekł Zagłoba, zacierając dłonie. — Przyschło już niemało krwi szwedzkiej na moich rękach i jeszcze niemało przyschnie... Niewielu już tych starych żołnierzy żyje, którzy mnie pod Puckiem i pod Trzcianną pamiętają; ale ci, którzy dotąd żyją, nigdy nie zapomną.

— A książę Bogusław tu jest? — pytał pan Wołodyjowski.

— A jakże. Prócz tego spodziewamy się dziś jakichś wielkich gości, bo pokoje górne wyprzątają, a wieczorem ma być bankiet w zamku. Wątpię, Michale, czy się dziś do księcia dostaniesz.

— Samże na dziś wezwał.

— To nic, ale okrutnie zajęty... Przytem... nie wiem, czy mogę waszmościom o tem mówić... wszelako, za godzinę i tak wszyscy o tem wiedzieć będą... więc powiem... Tu się nadzwyczajne jakieś rzeczy dzieją...

— Co takiego? co takiego? — pytał Zagłoba.

— Owóż trzeba waćpanom wiedzieć, że przed dwoma dniami przyjechał tu pan Judycki, kawaler maltański, o którym musieliście słyszeć.

— A jakże — rzekł Jan — wielki to rycerz!

— Zaraz zaś po nim nadjechał i pan hetman polny Gosiewski. Dziwiliśmy się wielce, bo wiadoma rzecz, w jakiej emulacyi i nieprzyjaźni tedy cieszyli się, że zgoda nastąpiła między panami i mówili, że to ją właśnie inkursya szwedzka sprowadziła. Sam tak myślałem; tymczasem wczoraj zamknęli się we trzech na naradę, pozamykali wszystkie drzwi, nikt nic nie mógł słyszeć, o czem

radzili; jeno pan Krepsztul; który wartę za drzwiami trzymał, mówił nam, że okrutnie głośno rozprawiali, a zwłaszcza hetman polny. Później sam książę odprowadził ich do komnat sypialnych, a w nocy, imaginujcie sobie (tu pan Charłamp zniżył głos) wartę każdemu we drzwiach postawili.

Pan Wołodyjowski aż się zerwał z miejsca.

— Na Boga! nie może być!

— A przecież tak jest... Przy jednych i przy drugich drzwiach Szkoci z rusznicami stoją i mają rozkaz pod gardłem nikogo nie wpuszczać i nie wypuszczać...

Rycerze spoglądali na się w zdumieniu, a pan Charłamp niemniej był zdumiony własnemi słowami i patrzył na nich, wytrzeszczając oczy, jakoby czekał od nich wyjaśnienia zagadki.

— To się znaczy, że pan podskarbi w areszt wzięty?... Hetman wielki aresztował polnego? — mówił Zagłoba — co to jest?

— Albo ja wiem. I Judycki, taki rycerz!

— Musieli przecie oficerowie książęcy mówić z sobą o tem, zgadywać powody... Nicześ nie słyszał?

— Pytałem jeszcze wczoraj w nocy Harasimowicza...

— I cóż waćpanu powiedział? — pytał Zagłoba.

— Nic nie chciał mówić, jeno palce na gębę położył i rzekł: "To zdrajcy!"

— Jakto zdrajcy?... jakto zdrajcy? — wołał, biorąc się za głowę, Wołodyjowski. — Ani pan podskarbi Gosiewski nie zdrajca, ani pan Judycki nie zdrajca. Toż ich cała Rzeczpospolita zna, jako zacnych ludzi i ojczyznę kochających.

— Dziś nikomu nie można wierzyć — odparł posępnie Stanisław Skrzetuski. — Albo to Krzysztof Opaliński nie uchodził za Katona? Alboż nie wyrzucał innym przywar, występków, prywaty?... A gdy przyszło co do czego, pierwszy zdradził i nie własną tylko osobę, ale całą prowincyę do zdrady pociągnął.

— Ależ ja za pana podskarbiego i za pana Judyckiego głowę daję! — wołał Wołodyjowski.

— Nie dawaj, Michałku, głowy za nikogo — odrzekł Zagłoba. — Juźci nie bez kozery ich aresztowano. Musieli w jakieś konszachty wchodzić, nie może być inaczej... Jakto? książę gotuje się na wojnę okrutną i każda pomoc mu miła... Kogoż więc może w takiej chwili w areszt brać, jeżeli nie tych, co mu do wojny przeszkadzają?...

Co jeśli tak jest, jeśli ci dwaj panowie istotnie przeszkadzali, to chwała Bogu, że ich uprzedzono. Warci w podziemiu siedzieć... Ha! szelmy!... W takiej chwili praktyki czynić, z nieprzyjacielem się znosić, na ojczyznę nastawać, wielkiemu wojownikowi w imprezie przeszkadzać! Na Matkę Najświętszą, mało i tego, co ich spotkało!

— Dziwy to są, takie dziwy, że w głowie się nie chcą pomieścić — rzekł Charłamp — bo już pominąwszy, że to tak wielcy dygnitarze, aresztowano ich bez sądu, bez sejmu, bez woli Rzeczypospolitej całej, czego i sam król nie ma prawa uczynić.

— Jako żywo! — zakrzyknął pan Michał.

— Widać książę jegomość rzymskie chce u nas zaprowadzić zwyczaje — rzekł Stanisław Skrzetuski — i dyktatorem w czasie wojny zostać.

— A niech będzie i dyktatorem, byle Szwedów bił — odpowiedział Zagłoba. — Ja pierwszy wotum za tem daję, aby mu dyktatura została powierzona.

Jan Skrzetuski zamyślił się i rzekł po chwili:

— Byle nie chciał zostać protektorem, jako ów Angielczyk Kromwel, który na pana własnego nie wahał się świętokradzkiej ręki podnieść.

— Ba, Kromwel! Kromwel heretyk! — zakrzyknął Zagłoba.

— A książę wojewoda? — spytał poważnie pan Jan Skrzetuski.

Na to umilkli wszyscy i ze strachem patrzyli w przyszłość ciemną, tylko pan Charłamp nasrożył się zaraz i rzekł:

— Służyłem pod księciem wojewodą z młodych lat, choć małom młodszy od niego; bo naprzód, młodzikiem jeszcze, był moim rotmistrzem, potem hetmanem polnym, a dziś jest wielkim. Znam go lepiej od waćpanów, a zarazem czczę i miłuję, dlatego proszę nie równajcie go z Kromwelem, abym zaś nie musiał wam na to powiedzieć czegoś, czego mi, jako gospodarzowi w tej izbie, mówić nie wypada...

Tu pan Charłamp począł okrutnie wąsiskami ruszać i trochę z podełba spoglądać na pana Jana Skrzetuskiego, co widząc pan Wołodyjowski, utkwił znów w pana Charłampa wzrok zimny i bystry, jakby mu chciał rzec:

— Warknijno tylko!

Wasal pomiarkował się zatem natychmiast, bo pana Michała miał

w nadzwyczajnej estymie, a zresztą niebezpiecznie było się z nim gniewać, więc mówił dalej, tonem daleko już łagodniejszym:

— Kalwin książę jest, ale przecie wiary prawdziwej dla błędów nie porzucił, jeno się w nich urodził. Nigdy on nie zostanie Kromwelem, ani Radziejowskim, ani Opalińskim, choćby Kiejdany miały się w ziemię zapaść. Nie taka to krew, nie takito ród!

— Jeśli jest dyabłem i ma rogi na głowie, — rzekł pan Zagłoba — to tem lepiej, bo będzie miał czem Szwedów bóść.

— Ale że pan Gosiewski i pan kawaler Judycki aresztowani?... no, no! — mówił, kręcąc głową Wołodyjowski. — Nie bardzo książę na swych gości, którzy mu zaufali, łaskaw.

— Co mówisz, Michale! — odparł Charlamp. — Tak łaskaw, jak nigdy w życiu nie był... Ojciec to teraz prawdziwy dla rycerstwa. Pamiętasz, jakto dawniej miał wiecznie kozła na czole, a w gębie jedno słowo: "służba!" Większy strach brał zbliżyć się do jego majestatu, niż do królewskiego, a dziś każdego dnia między porucznikami i towarzystwem chodzi a rozmawia, a każdego pyta o familię, o dzieci, o fortunę i po nazwisku każdemu mówi, a rozpytuje, czy się komu w służbie krzywda nie dzieje. On, który pomiędzy największymi panami nie chce mieć równych, wczoraj, nie, onegdaj chodził pod rękę z młodym Kmicicem, ażeśmy wszyscy oczom wierzyć nie chcieli, bo choć wielki to ród Kmicica, ale to całkiem młodziak i podobno siła grawaminów na nim ciąży, o czem ty wiesz najlepiej.

— Wiem, wiem — rzekł Wołodyjowski. — To Kmicic dawno tu jest?

— Teraz go niema, bo wczoraj pojechał do Czejkiszek po regiment piechoty, który tam stoi. Nikt teraz nie jest w takich faworach u księcia, jak Kmicic. Gdy odjeżdżał, książę spoglądał za nim przez chwilę, a potem rzekł: "Do wszystkiego ten człowiek i gotów samego dyabła za ogon przytrzymać, gdy mu każę!" Słyszeliśmy to na własne uszy. Prawda, że taką chorągiew Kmicic przyprowadził, jakiej drugiej w całem wojsku niemasz. Ludzie i konie, jak smoki.

— Niema i co gadać, dzielny to żołnierz i naprawdę gotów na wszystko — odrzekł pan Michał.

— Cudów ponoć dokazywał w ostatniej wojnie, aż cenę na jego głowę nałożono, bo wolentarzami dowodził i na własną rękę wojował.

Dalszą rozmowę przerwało wejście nowej postaci. Był to szlachcic, lat około czterdziestu, mały, suchy, ruchliwy, wijący się jak piskorz, z drobną twarzą, cienkiemi wargami, porosłemi rzadkim wąsem i trochę kosemi oczyma. Ubrany był tylko w żupan drelichowy z tak długiemi rękawami, że zupełnie pokrywały mu dłonie. Wszedłszy, zgiął się we dwoje, potem wyprostował się nagle, jakby sprężyną podrzucony, potem znów schylił się w niskim ukłonie, zakręcił głową, jakby ją wydobywał z pod własnej pachy i zaczął mówić szybko głosem, przypominającym skrzypienie zardzewiałej chorągiewki:

— Czołem, panie Charłamp, czołem, ach! czołem, panie pułkowniku, najniższy sługa!

— Czołem, panie Harasimowicz—odrzekł Charłamp. — A czego to waść życzysz?

— Bóg dał gości, znamienitych gości! Przyszedłem służby ofiarować i o godność spytać.

— Zali do ciebie przyjechali, panie Harasimowicz?

— Pewnie, że nie do mnie, bom tego i nie godzien... Ale że to marszałka nieobecnego zastępuję, więc przyszedłem powitać, nisko powitać!

— Daleko waćpanu do marszałka. — odrzekł Charłamp — bo marszałek jest personat i posesyonat, a waćpan sobie, z przeproszeniem, podstarości zabludowski.

— Sługa sług radziwiłłowskich! Tak jest, panie Charłamp. Nie zapieram, Boże mnie chroń... Ale że książę, dowiedziawszy się o gościach, przysłał mnie pytać, co za jedni, więc waść odpowiesz, panie Charłamp, odpowiesz zaraz, choćbym był nawet hajdukiem, nietylko podstarościm zabłudowskim.

— Nawet i małpiebym odpowiedział, gdyby do mnie z rozkazem przyszła — rzekł nosacz. — Słuchaj więc waść i zakonotuj sobie nazwiska, jeśli ci głowy nie staje, aby spamiętać. Tu jest pan Skrzetuski, ów Zbarażczyk i jego stryjeczny Stanisław.

— Wielki Boże, co słyszę! — zakrzyknął Harasimowicz.

— To pan Zagłoba.

— Wielki Boże! co słyszę!...

— Jeśliś się waćpan tak skonfudował, usłyszawszy moje nazwisko — rzekł Zagłoba — zrozum, jak nieprzyjaciele w polu muszą się konfudować.

— A to pan pułkownik Wołodyjowski — dokończył Charłamp.

— I to głośna szabla, a przytem radziwiłłowska — rzekł z ukłonem Harasimowicz. — Księciu panu głowa pęka od roboty, ale przecie dla takich rycerzy znajdzie czas, niezawodnie znajdzie... Tymczasem, czem można służyć waszmościom? Cały zamek na usługi miłych gości i piwniczka także.

— Słyszeliśmy o sławnych miodach kiejdańskich — rzekł pośpiesznie Zagłoba.

— A tak! — odrzekł Harasimowicz — sławne miody w Kiejdanach, sławne! Zaraz tu przyślę do wyboru. Mam nadzieję, że waszmościowie dobrodzieje dłużej tu zabawicie.

— Po to my tu i przyjechali, żeby od boku księcia wojewody nie odstępować — rzekł pan Stanisław.

— Chwalebna intencya waszmościów, tem chwalebniejsza, że tak ciężkie czasy idą.

To rzekłszy, Harasimowicz skurczył się i stał się tak mały, jakby go łokieć ubyło.

— Co słychać? — pytał pan Charłamp. — Są jakie nowiny?

— Książę oka całą noc nie zmrużył, bo przyjechało dwóch posłańców. Źle słychać i coraz gorzej. Carolus Gustavus już wszedł za Wittembergiem do Rzeczypospolitej; Poznań już zajęty, cała Wielkopolska zajęta, Mazowsze wkrótce będzie zajęte; Szwedzi już są w Łowiczu, tuż pod Warszawą. Nasz król uciekł z Warszawy, którą bez obrony zostawił. Dziś, jutro, Szwedzi do niej wejdą. Mówią, że i bitwę znaczną przegrał, że do Krakowa chce umykać, a stamtąd do cudzych krajów, o pomoc prosić. Źle, mości panowie dobrodzieje! Choć są tacy, którzy mówią, że dobrze, bo Szwedzi żadnych gwałtów nie czynią, umów święcie dotrzymują, podatków nie wybierają, wolności obserwują, w wierze przeszkody nie czynią. Dlatego wszyscy chętnie przyjmują protekcyę Karola Gustawa... Przepadło już wszystko dla niego, przepadło!... Płakać się chce, ale przepadło, przepadło!

— Czego się waćpan, u dyabła, tak wijesz, jak piskorz, gdy go w garnek kładą! — huknął Zagłoba — i o nieszczęściu mówisz, jakbyś był z niego rad?

Harasimowicz udał, że nie słyszy i wzniósłszy oczy w górę, powtórzył jeszcze kilkakrotnie:

— Przepadło wszystko, na wieki przepadło!... Trzem wojnom nie oprze się Rzeczpospolita... Przepadło!... Wola Boska!... Wola Boska!... Jeden nasz książę Litwę może ocalić...

Złowrogie słowa jeszcze nie przebrzmiały, gdy Harasimowicz zniknął tak szybko za drzwiami, jakby się w ziemię zapadł, a rycerze siedzieli posępnie, brzmieniem strasznych myśli przygnieceni.

— Zwaryować przyjdzie! — zakrzyknął wreszcie Wołodyjowski.

— Słusznie waćpan mówisz — rzekł Stanisław, — dajże Boże wojnę, wojnę jak najprędzej, w której człowiek w domysłach się nie gubi, duszy w desperacyę nie podaje, jeno się bije.

— Przyjdzie żałować pierwszych czasów Chmielnickiego — rzekł Zagłoba, — bo wtedy były klęski, ale zdrajców przynajmniej nie było.

— Takie straszne trzy wojny, gdy po prawdzie na jedną sił brak! — rzekł Stanisław.

— Nam nie sił brak, jeno ducha. Niecnotą ginie ojczyzna. Daj Boże, abyśmy się tu czego lepszego doczekali — mówił posępnie Jan.

— Nie odetchnę, aż w polu! — rzekł Stanisław.

— Żebyto jaknajprędzej tego księcia zobaczyć! — zakrzyknął Zagłoba.

Życzenia jego spełniły się niebawem, gdyż po godzinie czasu przyszedł znów pan Harasimowicz z niższemi jeszcze ukłonami i z oznajmieniem, że książę pilno żąda widzieć ichmościów.

Porwali się tedy zaraz, bo już byli przybrani i poszli. Harasimowicz, wyprowadziwszy ich z cekhauzu, przeprowadził przez dziedziniec, na którym pełno było już wojskowych i szlachty. W niektórych miejscach rozprawiano tłumnie, widocznie nad temi samemi nowinami, które rycerzom przyniósł podstarości zabłudowski. Na wszystkich twarzach malował się żywy niepokój i jakieś oczekiwanie gorączkowe. Pojedyńcze grupy oficerów i szlachty słuchały mówców, którzy stojąc pośrodku, gestykulowali gwałtownie. Po drodze słychać było słowa: "Wilno się pali! Wilno spalone!... Ni śladu, ni popiołu! Warszawa wzięta!... Nieprawda, jeszcze nie wzięta!... Szwedzi już w Małopolsce! Sieradzanie opór dadzą!... Nie dadzą! pójdą śladem Wielkopolanów! Zdrada! Nieszczęście!! O Boże, Boże! Nie wiadomo, gdzie ręce i szablę wetknąć!".

Takieto słowa, jedne od drugich straszniejsze, obijały się o uszy rycerzy, a oni szli, przeciskając się za Harasimowiczem z trudnością przez wojskowych i szlachtę. Miejscami znajomi witali pana Wołodyjowskiego: "Jak się masz Michale? Źle z nami! Giniemy! Czołem, mości pułkowniku! A to co za gości prowadzisz do księcia?" Pan Michał nie odpowiadał, chcąc zwłoki uniknąć, i tak doszli aż do głównego korpusu zamkowego, w którym janczarowie książęcy, przybrani w kolczugi i olbrzymie białe czapki, straż trzymali.

W sieni i na głównych schodach, obstawionych pomarańczowemi drzewami, ścisk był jeszcze większy, niż na podwórzu. Rozprawiano tu o aresztowaniu Gosiewskiego i kawalera Judyckiego, bo rzecz już się była wydała i poruszyła do najwyższego stopnia umysły. Zdumiewano się, gubiono w przypuszczeniach, oburzano się lub chwalono książęcą przezorność; wszyscy zaś spodziewali się usłyszeć wyjaśnienie zagadki z ust samego księcia, dlatego rzeka głów płynęła po szerokich schodach na górę do sali audyencyonalnej, w której w tej chwili książę przyjmował pułkowników i znakomitszą szlachtę. Trabanci rozstawieni wzdłuż kamiennych poręczy, pilnowali, aby nie było zbyt wielkiego natłoku, powtarzając co chwila: "Zwolna, mości panowie! zwolna" — a tłum posuwał się lub zatrzymywał chwilami, gdy trabant zagradzał drogę halabardą, aby idący naprzód mieli czas wejść do sali.

Nakoniec lazurowe sklepienia sali zabłysły przez otwarte drzwi i nasi znajomi weszli. Wzrok ich padł najprzód na wzniesienie ustawione w głębi sali, zajęte przez świetny orszak rycerstwa i panów w pysznych różnobarwnych strojach. Na przedzie stało puste krzesło, wysunięte więcej od innych, z wysokiem tylnem oparciem, zakończonem złoconą mitrą książęcą, z pod której spływał na dół amarantowany aksamit, obramowany gronostajami.

Księcia nie było jeszcze w sali, ale Harasimowicz, wiodąc ciągle ze sobą rycerzy, przecisnął się przez zebraną szlachtę, aż do małych drzwi, ukrytych w ścianie obok wzniesienia; tam kazał się im zatrzymać, a sam zniknął za drzwiami.

Po chwili wrócił z doniesieniem, że książę prosi.

Dwaj Skrzetuscy z Zagłobą i Wołodyjowskim weszli teraz do niewielkiej komnatki, bardzo widnej, obitej skórą wytłaczaną w złociste kwiaty i zatrzymali się, widząc w głębi za stołem, pokrytym

papierami, dwóch ludzi pilną zajętych rozmową. Jeden z nich, młody jeszcze, przybrany w strój cudzoziemski i perukę o długich lokach, spadających na ramiona, szeptał coś do ucha starszego towarzysza, ten zaś słuchał ze zmarszczoną brwią i kiwał od czasu do czasu głową; tak zajęty był przedmiotem rozmowy, że nie zwrócił zrazu uwagi na przybyłych.

Był to człowiek czterdziestokilkoletni, postaci olbrzymiej i barczysty. Ubrany był w strój szkarłatny polski, spięty pod szyją kosztownemi agrafami. Twarz miał ogromną, o rysach, z których biła pycha, powaga i potęga. Była to gniewliwa lwia twarz wojownika i władcy zarazem. Długie, zwieszające się w dół wąsy nadawały jej wyraz posępny i cała w swej potędze i ogromnie była jakby wykuta wielkiemi uderzeniami młota z marmuru. Brwi miał w tej chwili zmarszczone z powodu natężonej uwagi, ale zgadłeś łatwo, że gdy je zmarszczy gniew, wówczas biada tym ludziom, tym wojskom, na których gromy owego gniewu spadną.

Było coś tak wielkiego w tej postaci, że patrzącym na nią rycerzom wydawało się, iż nietylko owa komnata, ale i cały zamek dla niej zaciasny; jakoż nie myliło ich pierwsze wrażenie, albowiem siedział przed nimi Janusz Radziwiłł, książę na Birżach i Dulinkach, wojewoda wileński i hetman wielki litewski, pan tak potężny i dumny, że mu było w całej niezmiernej fortunie, we wszystkich godnościach, ba! nawet na Żmudzi i Litwie za ciasno.

Młodszy jego towarzysz, w długiej peruce i w cudzoziemskim stroju, był to książę Bogusław, stryjeczny Janusza, koniuszy wielkiego Księstwa litewskiego.

Przez chwilę szeptał on jeszcze coś do ucha hetmana, nakoniec rzekł głośno:

— Zostawiam więc swój podpis na dokumencie i wyjeżdżam.

— Skoro nie może być inaczej, to jedź w. ks. mość — rzekł Janusz,— choć wolałbym, żebyś został, bo nie wiadomo, co się stać może.

— W. ks. mość obmyśliłeś wszystko jak należy, zaś tam pilniej w sprawy trzeba wejrzeć, a zatem Bogu w. ks. mość polecam.

— Niech Bóg ma w opiece cały nasz dom i chwały mu przyczyni.

— Adieu, mon frere.

— Adieu.

Dwaj książęta podali sobie ręce, poczem koniuszy wyszedł śpiesznie, a hetman wielki zwrócił się do przybyłych.

— Wybaczcie waszmościowie, że pozwoliłem czekać — rzekł niskim, powolnym głosem. — ale teraz i uwaga i czas rozerwane na wszystkie strony. Słyszałem już nazwiska waszmościów i ucieszyłem się w duszy, że Bóg w takich chwilach zsyła mi takich rycerzy. Siadajcież mili goście. Który z waszmościów jest pan Jan Skrzetuski?

— Jam jest, do usług waszej książęcej mości — rzekł Jan.

— To waszmość jesteś starostą... bodajże cię... zapomniałem...

— Żadnym starostą nie jestem — odrzekł Jan.

— Jakto? — rzekł książę, marszcząc swoje potężne brwi — waści nie dali starostwa za to, coś pod Zbarażem uczynił?

— Nigdym o to nie zabiegał.

— Bo ci powinni byli dać bez starania. Jakto? Co waćpan mówisz? Niczem nie nagrodzono? Zapomniano zgoła? To mi dziwno. Ale ba! źle mówię, nie powinno to nikogo dziwić, bo teraz tacy tylko otrzymują nagrody, którzy mają grzbiet wierzbowy, łatwo się gnący. Waszmość nie jesteś starostą, proszę!... Niechże Bogu będą dzięki, żeś tu przyjechał, bo tu nie mamy tak krótkiej pamięci i żadna zasługa nie pozostanie bez nagrody — jako i twoja, mości pułkowniku Wołodyjowski...

— Na nic jeszcze nie zasłużyłem...

Zostaw to mnie, a tymczasem weź ten dokument, w Rosieniach już roborowany, którym ci Dydkiemie w dożywocie puszczam. Niezły to kawał ziemi i sto pługów wychodzi w nim na wiosnę orać. Weźże i to, bo nie mogę dać więcej, a powiedz panu Skrzetuskiemu, że Radziwiłł nie zapomina swych przyjaciół, ani tych, którzy ojczyźnie pod jego wodzą oddali usługi.

— Wasza książęca mość!... — wyjąkał zmieszany pan Michał.

— Nie mów nic i wybaczaj, że tak mało, ale powiedz, ichmościom, że nie zginie, kto swoją fortunę na zło i na dobro z radziwiłłowską połączy. Nie jestem królem, ale — gdybym nim był — Bóg mi świadek, że nie zapomniałbym nigdy takiego Jana Skrzetuskiego, ani takiego Zagłoby...

— To ja! — rzekł Zagłoba, wysuwając się raźno naprzód, bo już go to niecierpliwić zaczynało, że nie było o nim dotąd wzmianki.

— Zgaduję, że to waszmość, gdyż mi powiadano, żeś człek w lata podeszły.

— Do szkół z dostojnym rodzicem waszej książęcej mości chodziłem, a jako rycerska w nim była od dzieciństwa inklinacya, przeto mnie do poufności przypuszczał, bo i ja wołałem dzidkę od łaciny.

Panu Stanisławowi Skrzetuskiemu, który Zagłobę mniej znał, dziwno to było słyszeć, gdyż wczorajszego jeszcze dnia Zagłoba mówił w Upicie, że nie z nieboszczykiem księciem Krzysztofem, ale z samym Januszem do szkół chodził, co było niepodobne, bo książę Janusz znacznie był młodszy.

— No proszę — rzekł książę, — to waćpan z Litwy rodem?

— Z Litwy! — odrzekł bez zająknienia pan Zagłoba.

— To zgaduję, żeś i waszmość żadnej nagrody nie otrzymał, bo my Litwini już przywykli do tego, że nas niewdzięcznością karmią... Dla Boga! gdybym waszmościom to dał, co im się słusznie należy, tedyby dla mnie samego nic nie zostało. Ale takito los! My niesiem krew, życie, fortuny i nikt nam za to głową nie kiwnie. Ha! trudno! jakie ziarno sieją, taki plon będą zbierali... Tak każe Bóg i sprawiedliwość... Waćpanże to usiekłeś przesławnego Burłaja i ściąłeś trzy głowy pod Zbarażem?

— Burłaja ja usiekłem, wasza książęca mość — rzekł Zagłoba, — bo powiadali, że z nim się żaden człowiek mierzyć nie może, więc chciałem pokazać młodszym, że męstwo nie całkiem jeszcze wygasło w Rzeczypospolitej... A co do trzech głów, mogło się to w gęstwie bitwy przytrafić... ale pod Zbarażem uczynił to kto inny.

Książę zamilkł na chwilę, poczem odezwał się znowu:

— Zali nie bolesna waszmościom ta wzgarda, jaką wam zapłacono?

— Co czynić, wasza ks. mość, choć człowiekowi i markotno — odparł Zagłoba.

— Pocieszcieże się, bo się to musi zmienić... Już za to, żeście tu przyjechali, dłużnikiem waszym jestem, a chociażem nie król, przecie się u mnie na obietnicach nie kończy.

— Wasza ks. mość — rzekł na to żywo i trochę dumnie pan Skrzetuski — nie po nagrody i fortuny my tu przyjechali... Jenoże nieprzyjaciel naszedł ojczyznę, więc chcemy zdrowiem naszem iść w pomoc pod wodzą tak wsławionego wojownika. Brat mój, Stani-

sław, patrzył pod Ujściem na bojaźń, nieład, hańbę i zdradę, a w końcu na tryumf nieprzyjaciela. Tu pod wielkim wodzem i wiernym obrońcą ojczyzny i majestatu służyć będziem. Tu nie wiktoryc, nie tryumfy, ale klęski i śmierć czekają na nieprzyjaciół... Ot, dla czego służby nasze waszej ks. mości przybyliśmy ofiarować. My żołnierze bić się chcemy i pilno nam do boju.

— Jeśli taka wasza chęć, tedy i w niej będziecie mieli ukontentowanie — odparł książę poważnie. — Nie będziecie długo czekali, choć najprzód na innego nieprzyjaciela ruszymy, bo nam popioły wileńskie pomścić trzeba. Dziś, jutro, ruszymy w tamtą stronę i da Bóg, z nawiązką krzywdy zapłacim... Nie zatrzymuję dłużej waszmościów, bo i wy wypoczynku potrzebujecie i mnie robota pali. A przyjdźcieże wieczorem na pokoje, może się i jaka słuszna zabawa przed pochodem zdarzy, bo siła białogłów pod nasze skrzydła do Kiejdan się przed wojną zjechało. Mości pułkowniku Wołodyjowski, podejmijże drogich gości jakoby w domu własnym i pamiętajcie, że co moje, to i wasze!... Panie Harasimowicz, powiedz tam w sali zebranym panom braciom, że nie wyjdę, bo czasu nie mam, a dziś wieczorem dowiedzą się wszystkiego, co chcą wiedzieć... Bądźcie waszmościowie zdrowi i bądźcie Radziwiłłowi przyjaciółmi, gdyż mu siła teraz na tem zależy.

To rzekłszy ów potężny i dumny pan, począł podawać z kolei rękę panu Zagłobie, dwom Skrzetuskim, Wołodyjowskiemu i Charłampowi, jakby sobie równym. Posępne oblicze rozjaśniło mu się serdecznym i łaskawym uśmiechem i owa nieprzystępność, otaczająca go zwykle jakoby ciemną chmurą, znikła zupełnie.

— To wódz, to wojownik! — mówił Stanisław, gdy z powrotem przeciskali się przez tłum szlachty, zebrany w sali audyencyonalnej.

— W ogieńbym za niego poszedł! — zawołał Zagłoba. — uważaliście, jak wszystkie moje przewagi na pamięć umie?... Ciepło będzie Szwedom, gdy ten lew zaryczy, a ja mu zawtóruję. Niemasz takiego drugiego pana w Rzeczypospolitej, a z dawnych jeden tylko książę Jeremi, a drugi pan Koniecpolski, ojciec, mogli z nim wejść w paragon. To nie lada kasztelanina, co to pierwszy z rodu na senatorskiem krześle zasiadł hajdawerów jeszcze sobie na niem nie wytarł, a już nosa zadziera i szlachtę młodszą bracią nazywa i swój konterfekt każe malować, aby, nawet jedząc, miał swoje senatorstwo przed sobą, gdy się go za sobą dopatrzyć nie może... Panie

Michale, doszedłeś do fortuny!... Już tak widać jest, że kto się o Radziwiłła otrze, ten sobie wytarty kubrak zaraz ozłoci. Łatwiej tu widzę o promocyą, niż u nas o kwartę gniłek. Wsadzisz rękę w wodę z zamkniętemi oczami i już szczupaka dzierżysz. To mi pan z panów! Szczęść ci Boże, panie Michale. Skonfundowałeś się, jak panna po ślubie: ale to nic!... Jakże się to twoje dożywocie nazywa? Dudkowo czy jak?... Pogańskie nazwy w tej krainie. Jak orzechami o ścianę rzucisz, to właśnie imię wioski albo szlachcica uczynisz. Ale byle intrata była dobra, to nie żal i jęzór sobie wystrzępić.

— Skonfundowałem się okrutnie, przyznaję — rzecze pan Michał — bo to, co waćpan mówisz, że tu tak o promocyę łatwo, to nieprawda. Nieraz ja słyszałem starych żołnierzy, pomawiających księcia o awarycyę, a teraz zaczynają się niespodzianie łaski sypać jedna za drugą.

— Zatknijże sobie ten dokument za pas, uczyń to dla mnie... A jeżeli ktoś jeszcze będzie na niewdzięczność książęcą narzekał, to go zza pasa wyciągnij i daj mu nim w pysk. Lepszego argumentu nie znajdziesz.

— Jedno widzę jasno, że książę sobie ludzi kaptuje — rzekł Jan Skrzetuski — i że chyba jakieś zamiary tworzy, do których mu pomoc potrzebna.

— Alboś to nie słyszał o tych zamiarach? — odrzekł Zagłoba. — Alboż to nie powiedział, że mamy iść popioły wileńskie pomścić?... Powiadali na niego, że Wilno zrabował, a on chce pokazać, że nietylko cudzego nie potrzebuje, ale i swoje gotów jeszcze oddać... Piękna to ambicya, panie Janie. Daj nam Boże więcej takich senatorów!

Tak rozmawiając, znaleźli się znowu na dziedzińcu zamkowym, na który wjeżdżały co chwila to oddziały konnych wojsk, to gromady zbrojnej szlachty, to kolaski, wiozące personatów okolicznych z żonami i dziećmi. Postrzegłszy to pan Michał, pociągnął wszystkich z sobą do bramy, aby się wjeżdżającym przypatrywać.

— Kto wie, panie Michale, dziś twój fortunny dzień... Może tu i żona dla ciebie pomiędzy temi szlachciankami jedzie — rzekł pan Zagłoba. — Obacz, ot, jakaś kolaska odkryta się tu zbliża, a w niej coś białego siedzi...

— Nie panna to jeszcze jedzie, ale ten, który mi może ślub z nią dać. — odrzekł bystrooki pan Wołodyjowski — gdyż zdaleka po-

znaję, że to ksiądz biskup Parczewski nadjeżdża z księdzem Białozorem, archidyakonem wileńskim.

— Zali oni księcia, choć kalwina, odwiedzają.

— Cóż mają czynić gdy tego potrzeba dla spraw publicznych, muszą z sobą politykować.

— Ej, rojno też tu! ej, gwarno! — rzekł z radością pan Zagłoba. — Człowiek już zardzewiał na wsi, jak stary klucz w zamku... Tu się lepsze czasy przypomną. Szelmą jestem, jeżeli dzisiaj do jakiej dziewki, gładyszki, w zaloty się na puszczę!

Dalsze słowa pana Zagłoby przerwali żołnierze, trzymający straż w bramie, którzy wypadłszy z odwachu, stanęli w dwa szeregi na przyjęcie księdza biskupa; on zaś przejechał, czyniąc krzyż ręką na obie strony, błogosławiąc żołnierzy i zebraną w pobliżu szlachtę.

Polityczny to pan, książę, — rzekł Zagłoba — że tak księdza biskupa honoruje, chociaż sam zwierzchności kościelnej nie uznaje... Dałby Bóg, żeby to był pierwszy krok do nawrócenia.

— E! nie będzie z tego nic. Niemało o to starań czyniła pierwsza jego żona i nic nie wskórała, aż umarła ze zmartwienia... Ale czemuto Szkoty z warty nie schodzą? Widać znowu ktoś godny będzie przejeżdżał.

Jakoż w dalekości ukazał się cały orszak zbrojnych żołnierzy.

— To dragony Ganchoffa, poznaję —rzekł Wołodyjowski — ale jakieś karety w środku idą!

Wtem bębny poczęły warczeć.

— Oho! to widać ktoś większy od biskupa żmudzkiego! — zawołał Zagłoba.

— Czekaj waść, już są.

— Dwie karety w pośrodku.

— Tak jest. W pierwszej to pan Kort, wojewoda wendeński.

— Jakże! — zakrzyknął Jan — to znajomy ze Zbaraża...

Jakoż wojewoda poznał ich, a najpierwej Wołodyjowskiego, którego widocznie częściej widywał; więc przejeżdżając, wychylił się z kolaski i zakrzyknął:

— Witam waszmościów, starzy towarzysze!... Ot, gości wieziem!

W drugiej karecie, z herbami księcia Janusza, zaprzągniętej w cztery białe ogiery, siedziało dwóch panów wspaniałej postaci, ubranych z cudzoziemska, w kapelusze o szerokich koliskach, z pod

których jasne pukle peruk spływały im aż na ramiona, na koronkowe, szerokie kołnierze. Jeden, bardzo otyły, nosił śpiczastą płową brodę i wąsy, rozstrzępione na końcach i podniesione do góry; drugi młodszy, ubrany całkiem czarno, mniej rycerską miał postawę, ale może wyższy jeszcze urząd, gdyż na szyi błyszczał mu złoty łańcuch, zakończony jakimś orderem. Obaj widocznie byli cudzoziemcami, spoglądali bowiem ciekawie na zamek, na ludzi i na ubiory.

— Co za dyabły? — pytał Zagłoba.

— Nie znam ich, nigdy nie widziałem — odrzekł Wołodyjowski.

Wtem karoca przejechała i poczęła okrążać dziedziniec, by zajechać przed główny korpus zamkowy, dragoni zaś zatrzymali się przed bramą.

Wołodyjowski poznał dowodzącego nimi oficera.

— Tokarzewicz — zakrzyknął — a bywajno waszmość.

— Czołem, mości pułkowniku!

— A jakich to szołdrów wieziecie?

— To Szwedzi.

— Szwedzi?

— Tak jest i znaczni ludzie. Ten gruby to hrabia Loewenaupt a ów cieńszy to Benedykt Shitte baron von Duderhoff.

— Duderhoff?! — rzekł Zagłoba.

— A czego oni tutaj chcą? — pytał pan Wołodyjowski.

— Bóg ich wie! — odpowiedział oficer. — My ich od Birż eskortujem. Pewnie paktować z naszym księciem przyjechali, bo tam w Birżach słyszeliśmy, że książę wielkie wojsko zbiera i że ma Inflanty najechać.

— Ha, szelmy! tchórz was oblatuje! — wołał Zagłoba. — To Wielkopolskę najeżdżacie, króla rugujecie, a tu kłaniacie się Radziwiłłowi, by was w Inflanty nie podjechał. Poczekajcie! będziecie zmykać do waszych Duderhoffów, aż wam pończochy opadną! Zaraz my tu z wami podunderujemy. Niech żyje Radziwiłł!

— Niech żyje — powtórzyła stojąca przy bramie szlachta.

— Defensor patriae (obrońca ojczyzny)! Obrońca nasz! Na Szweda, mości panowie! na Szweda!

Uczyniło się koło. Coraz więcej szlachty zbierało się z dziedzińca, co widząc Zagłoba skoczył na wystający cokół bramy i począł wołać:

— Mości panowie, słuchajcie! Kto mnie nie zna, temu powiem,

żem jest stary Zbarażczyk, który Burłaja, największego hetmana po Chmielnickim tą oto starą ręką usiekł; kto zaś nie słyszał o Zagłobie, ten widać czasu pierwszej kozackiej wojny groch łuszczył, kury macał albo cielęta pasał, czego po tak zacnych kawalerach się nie spodziewam.

— Wielki to rycerz! — ozwały się liczne głosy. — Niemasz w Rzeczypospolitej większego!.. Słuchajcie!

— Słuchajcie, mości panowie! Starym kościom chciało się wypoczynku, lepiejby mi było po piekarniach się wylegać, twaróg ze śmietaną jadać, po sadach chodzić i jabłka zbierać, albo ręce w tył założywszy, nad żniwakami stać lub dziewki po łopatkach poklepywać. Pewnie i nieprzyjaciel byłby mnie dla własnego dobra ostawił w spokoju, bo i Szwedzi i Kozacy wiedzą, że mam rękę przyciężką i dałby Bóg, aby moje imię tak było znane waćpanom, jak hostibus (wrogom) jest znane.

— A co to za kur tak górnie pieje? — spytał nagle jakiś głos.

— Nie przerywaj! bodaj cię zabito! — wołali inni.

Lecz Zagłoba dosłyszał.

— Wybaczcie waćpanowie temu kogutkowi! — zakrzyknął — bo on jeszcze nie wie, z której strony ogon, a z której głowa.

Szlachta wybuchnęła ogromnym śmiechem, a zmieszany preopinant cofał się prędzej poza tłum, aby ujść szyderstw, które poczęły się sypać na jego głowę.

— Wracam do materyi! — mówił Zagłoba. — Owóż, repeto (powtarzam), należałby mi się wypoczynek, ale że ojczyzna w paroksyzmie, że nieprzyjaciel depce naszą ziemię, przetom tu jest, mości panowie, aby razem z wami oponować się hostibus (wrogom), w imię tej matki, która nas wszystkich wykarmiła. Kto przy niej dziś nie stanie, kto jej na ratunek nie pobieży, ten nie syn, ale pasierb, ten nie godzien jej miłości. Ja stary idę, niech się dzieje wola Boża, a jeśli zginąć przyjdzie, tedy ostatnim tchem będę wołał: na Szweda! panowie braci! na Szweda!... Poprzysięgnijmy sobie, że nie prędzej wypuścimy szable z dłoni, aż ich z ojczyzny wyżeniem!...

— My i bez przysiąg na to gotowi! — zawołały liczne głosy! — Pójdziem, gdzie nas hetman książę poprowadzi, zajdziem gdzie potrzeba!

— Mości panowie bracia!... Widzieliście, jako dwóch pludraków

przyjechało w złocistej karecie. Wiedzą oni, że nie z Radziwiłłem to igrać. Będą za nim po komnatach chodzić i w łokcie go całować, by im dał pokój, ale książe, mości panowie, od którego z narady wracam, upewnił mnie imieniem całej Litwy, że nic z paktów, nic z pergaminów, jeno wojna i wojna!

— Wojna! wojna! — powtórzyły jak echa głosy słuchaczy.

— Lecz że i wódz — mówił dalej Zagłoba, tem śmielej sobie poczyna, im swoich żołnierzy pewniejszy, okażmy tedy, mosci panowie, nasze sentymenta. A nuże! Pójdźmy pod pańskie okna zakrzyknąć: hajże na Szweda! Za mną, mości panowie!

To rzekłszy, zeskoczył z cokołu i ruszył naprzód, a tłum za nim i tak przyszli pod same okna, czyniąc gwar coraz większy, który w końcu zlał się w jeden olbrzymi okrzyk:

— Na Szweda! na Szweda!

Po chwili wypadł z sieni pan Korf, wojewoda wedeński, zmieszany bardzo, za nim Ganhoff, pułkownik rajtarów książęcych i obaj poczęli hamować szlachtę, uciszać, prosić, żeby się rozeszła.

— Na Boga — mówił pan Korf, — tam na górze aż szyby drżą, a waćpanowie nie wiecie, jakeście się nie w porę z waszemi okrzykami wybrali. Jakżeto możecie posłom zniewagi czynić, przykład niekarności dawać! Kto was do tego pobudził?

— Ja! odrzekł Zagłoba. Powiedz wasza miłość księciu panu w imieniu nas wszystkich, że go prosimy, aby był twardy, bo do ostatniej kropli krwi gotowiśmy przy nim wytrwać.

— Dziękuję waszmościom w imieniu pana hetmana, dziękuję waszmościom, ale się rozejdźcie. Rozwagi, mości panowie! Na żywy Bóg, rozwagi, bo ojczyznę do reszty pogrążycie! Niedźwiedzią przysługę ojczyźnie oddaje, kto dziś posłów znieważa.

— Co nam do posłów! Chcemy się bić, nie paktować!

— Cieszy mnie animusz waszmościów! Przyjdzie na to pora niedługo, bogdaj, że i bardzo prędko. Wypocznijcie teraz przed wyprawą. Pora na gorzałkę i przekąskę! Źle się bić o pustym brzuchu.

— Prawda, jako żywo! — zawołał pierwszy pan Zagłoba.

— Prawda, w sedno utrafił. Skoro książę zna nasze sentymenta, za nie mamy tu co robić!

I tłum począł się rozpraszać, największy zaś płynął do oficyn, w których liczne stoły były już zastawione. Pan Zagłoba szedł na

czele — pan Korf zaś wraz z pułkownikiem Ganchoffem udali się do księcia, który siedział na z naradzie posłami szwedzkimi, z księdzem biskupem Parczewskim, z księdzem Białozorem, z panem Adamem Komorowskim i panem Aleksandrem Mierzejewskim, dworzaninem króla Jana Kazimierza, czasowo bawiącym w Kiejdanach.

— Kto tam był sprawcą tej wrzawy? — pytał książę, z którego lwiej twarzy gniew jeszcze nie ustąpił.

— To ów szlachcic świeżo przybyły, sławny pan Zagłoba! — odpowiedział wojewoda wendeński.

— Mężny to rycerz — odparł książe, — ale zawcześnie mi się rządzić poczyna.

To rzekłszy, skinął na pułkownika Ganchoffa i począł mu coś szeptać do ucha.

Pan Zagłoba, tymczasem rad z siebie, szedł do sal dolnych uroczystym krokiem, mając przy sobie panów Skrzetuskich i pana Wołodyjowskiego, do których mówił z cicha:

— A co, amici, ledwiem się pokazał, jużem afekt w tej szlachcie ku ojczyźnie rozbudził. Łatwiejże teraz księciu odprawić z niczem posłów, bo się na nasze sufragia potrzebuje tylko powołać. Nie będzie to, jak myślę, bez nagrody, choć najwięcej mi o honor chodzi. Czegożeś tak stanął, panie Michale, jak skamieniały i oczy utkwiłeś w onę kolaskę przy bramie?

— To ona! — rzekł, ruszając wąsikami, pan Michał. — Na Boga żywego, ona sama!

— Kto taki?

— Billewiczówna...

— Ta, która ci dała rekuzę?

— Tak jest. Patrzcie waszmościowie, patrzcie! Nie zmarniećże tu człeku od żałości?

— A poczekajcieno! — rzekł Zagłoba — trzeba się przyjrzeć.

Kolaska tymczasem, zatoczywszy koło, zbliżyła się do rozmawiających. Siedział w niej okazały szlachcic z siwiejącym wąsem, a obok niego panna Aleksandra, piękna jak zawsze, spokojna i poważna.

Pan Michał utkwił w nią wzrok rozżalony i skłonił się nisko kapeluszem, ale ona nie dostrzegła go w tłumie. Zagłoba zaś rzekł, spoglądając na jej delikatne, szlachetne rysy:

— Pańskie to jakieś dziecko, panie Michale, i za misterna dla żołnierza. Przyznaję, że gładka, ale ja wolę takie, co to i zrazu nie poznasz: armata, czy białogłowa?

— Nie wiesz waszmość, kto to przyjechał? — spytał pan Michał stojącego obok szlachcica.

— Jakże nie wiem! — odparł szlachcic — to pan Tomasz Bilewicz, miecznik rosieński. Wszyscy go tu znają, bo to dawny radziwiłłowski sługa i przyjaciel.

## XIII.

Książę nie pokazał się tego dnia szlachcie aż do wieczora, obiadował bowiem z posłami i kilku dygnitarzami, z którymi poprzednio naradę był składał. Przyszły jednak rozkazy do pułkowników, żeby nadworne pułki radziwiłłowskie, a zwłaszcza regimenty piechoty pod cudzoziemskimi oficerami, stały w pogotowiu. W powietrzu pachniało prochem. Zamek lubo nie obronny, otoczony był wojskiem, jak gdyby pod jego murami miano bitwę stoczyć. Spodziewano się pochodu najpóźniej na jutrzejszy ranek i były tego widome oznaki, niezliczona bowiem czeladź książęca zajęta była ładowaniem na wozy broni, kosztownych sprzętów i książęcego skarbca.

Harasimowicz opowiadał szlachcie, że wozy pójdą do Tykocina na Podlasie, bo niebezpiecznieby było, aby skarbiec zostawał w nieobronnym kiejdańskim zamku. Przygotowano i rekwizyta wojenne, które miały iść za wojskiem.

Rozeszły się wieści, że hetman polny Gosiewski dlatego został aresztowany, że nie chciał połączyć swych chorągwi, stojących w Trokach, z radziwiłłowskiemi, przeto na jawną zgubę całą wyprawę wystawiał. Zresztą przygotowania do pochodu, ruchy wojsk, turkot armat, wytaczanych z zamkowego arsenału i ów rozgardyasz, towarzyszący zawsze pierwszym chwilom wojennych wypraw, odwrócił uwagę w inną stronę i kazał zapomnieć rycerstwu o aresztowaniu pana Gosiewskiego i kawalera Judyckiego.

Obiadująca w olbrzymich dolnych salach oficyn szlachta, o niczem nie rozprawiała, jeno o wojnie, o pożarze Wilna, które już dziesięć dni gorzało, coraz sroższym paląc się pożarem, o wieściach z Warszawy, o postępach Szwedów i o Szwedach samych, przeciw

którym, jako przeciw wiarołomcom, napadającym sąsiada wbrew traktatowi, mającemu jeszcze na sześć lat siłę, burzyły się serca, umysły i wzrastała w duszach zawziętość. Wieści o szybkich postępach, o kapitulacyi Ujścia, zalaniu Wielkopolski wraz ze wszystkiemi miastami, o grożącem najściu Mazowsza i nieuniknionem wzięciu Warszawy, nietylko nie budziły trwogi, ale przeciwnie podniecały odwagę i ochotę do boju. Działo się to dlatego, że jasne już były dla wszystkich przyczyny tego szwedzkiego powodzenia. Oto dotychczas nie zetknęli się jeszcze ani razu z wojskiem, ani z wodzem prawdziwym. Radziwiłł był pierwszym wojownikiem z rzemiosła, z którym mieli się zmierzyć, a który tymczasem wzbudzał absolutną ufność w swe zdolności wojenne w zebranej szlachcie, zwłaszcza, że i pułkownicy jego zaręczali, iż pobiją Szwedów w otwartem polu.

— Nie może być inaczej! — mówił pan Michał Stankiewicz, stary i doświadczony żołnierz. — Pamiętam wojny dawniejsze i wiem, że bronili się zawsze w zamkach, w warownych obozach, zza szańczyków, nigdy nie śmieli stawić się nam w otwartem polu, bo się jazdy okrutnie bali, a gdzie dufając w siłę, wystąpili, tam słuszne otrzymali ćwiczenie. Nie wiktorya to dała w ich ręce Wielkopolskę, ale zdrada i pospolitego ruszenia niedołęstwo.

— Tak jest! — rzecze pan Zagłoba. — Mdły to naród, bo ziemia tam okrutnie nieurodzajna i chleba nie mają, bo jeno szyszki sosnowe mielą, z takiejto mąki podpłomyki czyniąc, które żywicą śmierdzą. Inni nad morzem chodzą i co tylko fala wyrzuci, to źrą, jeszcze się z sobą o owe specyały bijąc. Hołota tam okrutna, dlatego niemasz narodu na cudze łapczywszego, bo nawet Tatarzy końskiego mięsa ad libitum (dosyta) mają, a oni czasem po roku mięsa nie widują i ciągle głodem przymierają, chyba że połów ryb zdarzy się obfity.

Tu Zagłoba zwrócił się do pana Stankiewicza:

— A waszmość to kiedy ze Szwedami się zapoznał?

— Pod księciem Krzysztofem, ojcem teraźniejszego pana hetmana.

— A ja pod panem Koniecpolskim, ojcem dzisiejszego chorążego. Srodześmy kilkakroć Gustawa Adolfa w Prusach porazili i jeńców nie małośmy nabrali; tamem ich na wylot przeznał i wszystkie ich sposoby. Nacudowali się nad nimi nasi chłopcy niemało, bo trzeba waszmościom wiedzieć, że Szwedzi, jako to naród

ustawicznie w wodzie brodzący i z morza największe ciągnący intraty, nurkowie są exquisitissimi (wyborni). Tośmy się im popisywać kazali i co waszmościowie na to powiecie: rzucisz szelmę w jedną przerębel, to on ci drugą wypłynie i jeszcze śledzia żywego w pysku trzyma...

— Na Boga, co waszmość mówisz?!

— Niech tu trupem padnę, jeślim tego mało sto razy na własne oczy nie widział i innych dziwnych ich obyczajów. Pamiętam i to że tak się na pruskim chlebie spaśli, iż potem wracać nie chcieli. Słusznie jegomość pan Stankiewicz mówi, że nietędzy z nich żołnierze. Piechotę mają jaką taką, ale jazdę, Boże się pożal, bo koni w ich ojczyźnie niemasz i z młodu nie mogą do jazdy nawyknąć.

— Podobnoć najpierw nie na nich pójdziemy, — mówił pan Szczyt — jeno za Wilno pomścić?

— Tak jest. Sam to księciu radziłem, gdy się pytał, co w tej materyi myślę — odparł Zagłoba. — Ale skończywszy z jednymi, pójdziemy wnet na drugich. Muszą się tam ci posełkowie pocić.

— Politycznie ich przyjmują, — rzekł pan Załęski — ale nic chudziątka nie wskórają, a najlepszy dowód rozkazy wojsku dane.

— Miły Boże, miły Boże! — mówił pan Twarkowski, sędzia rosieński — jakto wraz z niebezpieczeństwy ochoty przybywa... Jużeśmy mało nie zdesperowali, z jednym nieprzyjacielem do czynienia mając, a teraz nam na obydwóch ochoty staje.

— Nie może być inaczej — odparł Stankiewicz. — Nieraz to bywa, że się pozwolisz bić póty, póki ci cierpliwości nie zbraknie, a potem, ni stąd, ni zowąd, znajdzie się i wigor i fantazya. Małośmy to ucierpieli, mało przenieśli?!... Spuszczaliśmy się na króla i pospolite ruszenie koronne, na własne siły nie licząc, aż wreszcie mamy wóz i przewóz, trzeba albo obydwóch bić, albo zginąć z kretesem...

— Bóg nam pomoże! Dosyć tego zwlekania!

— Sztych nam do gardła przyłożyli.

— Przyłóżmy im i my! Pokażemy koroniarczykom jacy to tu żołnierze! Nie będzie u nas Ujścia, jako Bóg w niebie!

I w miarę kielichów rozgrzewały się czupryny i rosły humory wojenne. Tak nad brzegiem przepaści ostatni wysiłek częstokroć o ocaleniu stanowi. Zrozumiały to te tłumy żołnierzy i owa szlachta, którą tak niedawno jeszcze Jan Kazimierz do Grodna wzywał przez rozpaczliwe uniwersały na pospolite ruszenie.

Teraz wszystkie serca, wszystkie umysły zwrócone były ku Radziwiłłowi; wszystkie usta powtarzały to groźne imię, z którem do niedawna zawsze zwycięstwo szło w parze. Jakoż od niego tylko zależało zebrać rozproszone, poruszyć uśpione siły kraju i stanąć na czele potęgi, dostatecznej do pomyślnego rozstrzygnięcia oby dwóch wojen.

Po obiedzie wzywano do księcia kolejno pułkowników: Mirskiego, który w pancernej hetmańskiej chorągwi porucznikował, a po nim Stankiewicza, Ganchoffa, Charłampa, Wołodyjowskiego i Sołłohuba. Zdziwili się trochę starzy żołnierze, że ich pojedyńczo nie wspólnie, na naradę zapraszają; ale miłe to było zdziwienie, każdy bowiem odchodził z jakąś nagrodą, z jakimś widocznym dowodem książęcego faworu; w zamian zaś żądał tylko książę wierności i ufności, które i tak wszyscy z duszy serca mu ofiarowali. Wypytywał się też pan hetman troskliwie, czy pan Kmicic nie wrócił i kazał sobie dać znać, gdy wróci.

Jakoż wrócił, ale dopiero późnym wieczorem, gdy już sale były oświetlone i goście poczęli się zbierać. W cekhauzie, dokąd przyszedł się przebrać, zastał pana Wołodyjowskiego i poznajmił się z resztą kompanii.

— Okrutniem rad, że waszmości widzę i sławnych przyjaciół! — rzekł wstrząsając ręką małego rycerza. — Jakobym brata zobaczył! Możesz w to waszmość wierzyć, bo ja symulować nie umiem. Prawda, żeś mnie szpetnie przez łeb przejechał, aleś mnie potem na nogi postawił, czego do śmierci nie zapomnę. Przy wszystkich to mówię, że gdyby nie waszmość, tobym się teraz za kratą kołatał. Bodaj się tacy ludzie na kamieniu rodzili. Kto inaczej myśli, ten kiep i niech mnie dyabeł porwie, jeśli mu uszów nie obetnę.

— Daj waść pokój.

— W ogień za waćpanem pójdę, bodajem przepadł! Wychodź, kto nie wierzy!

Tu pan Andrzej począł toczyć wyzywającym wzrokiem po oficerach, ale nikt nie zaprzeczył, bo zresztą wszyscy lubili i szanowali pana Michała; jeno Zagłoba rzekł:

— Siarczysty jakiś żołnierz, daj go katu! Widzi mi się, że srodze polubię waćpana za ten afekt do pana Michała, bo mnie się dopiero spytać, ile on wart.

— Więcej niż my wszyscy! — odrzekł Kmicic ze zwykłą sobie porywczością.

Poczem spojrzał na panów Skrzetuskich, na Zagłobę i dodał:

— Przepraszam waszmościów, nie chcę nikomu ubliżyć, bo wiem, żeście cnotliwi ludzie i wielcy rycerze... Nie gniewajcie się, bo jabym z serca chciał na przyjaźń waćpaństwa zasłużyć.

— Nic nie szkodzi — rzekł Jan Skrzetuski — co w sercu, to w gębie.

— Dajno waćpan pyska! — rzekł pan Zagłoba.

— Nie mnie dwa razy taką rzecz powtarzać!

I padli sobie w objęcia. Poczem pan Kmicic zakrzyknął:

— Musimy dziś podpić, nie może być inaczej!

— Nie mnie dwa razy taką rzecz powtarzać! — odrzekł jak echo Zagłoba.

— Wymkniemy się wcześnie do cekhauzu, ja o napitkach pomyślę.

Pan Michał począł ruszać mocno wąsikami.

— Nie będziesz ty się miał ochoty wymykać — pomyślał sobie w duchu, spoglądając na Kmicica — jeno zobaczysz, kto tam na pokojach dzisiaj będzie...

I już usta otwierał, aby powiedzieć Kmicicowi, że pan miecznik rosieński z Oleńką przyjechali do Kiejdan, ale zrobiło mu się jakoś mdło na sercu, więc zwrócił rozmowę.

— A waścina chorągiew gdzie jest? — pytał.

— Tu. Gotowiuśka! Był u mnie Harasimowicz i przyniósł mi rozkaz od księcia, by o północku ludzie byli na koniach. Pytałem go, czy to mamy wszyscy ruszać, powiedział: nie!... Nie rozumiem, co to znaczy. Z innych oficerów jedni mają ten sam rozkaz, inni nie mają. Ale piechota cudzoziemska wszystka otrzymała.

— Może część wojsk dziś pójdzie na noc, część jutro — rzekł Jan Skrzetuski.

— W każdym razie ja tu z waszmościami podpiję, a chorągiew niech sobie rusza... Potem w godzinę ją dogonię.

W tej chwili wpadł Harasimowicz.

— Jaśnie wielmożny chorąży orszański! — wołał, kłaniając się we drzwiach.

— A co? czy się pali? jestem! — rzekł Kmicic.

— Do księcia pana! do księcia pana!

— Zaraz, jeno szaty zawdzieję. Chłopię! kontusz i pas, bo zetnę!

Pachołek w mig podał resztę ubioru i w kilka minut później pan Kmicic, strojny jak na wesele, ruszył do księcia. Łuna od niego biła, tak wydał się urodziwy. Żupan miał z lamy srebrnej, dzierzgany w rzuty gwiaździste, od których szedł blask na całą postać, a zapięty wielkim szafirem pod szyją. Na to kontusz z błękitnego aksamitu, pas biały, ceny niezmiernej, tak subtelny, że przez pierścień można go było przewlec. Srebrzysta szabla, usiana szafirami, zwieszała się u pasa na jedwabnych rapciach; za pas zaś zatknął i buzdygan rotmistrzowski, mający powagę osoby oznaczać. Dziwnie zdobił ten strój młodego rycerza i piękniejszego męża trudnoby było w całym tym niezmiernym tłumie zebranym w Kiejdanach, znaleść.

Pan Michał westchnął, patrząc na niego i gdy Kmicic zniknął za drzwiami cekhauzu, rzekł do pana Zagłoby:

— Z takim przy białogłowie ani rady!

— Ujmij mi jeno trzydzieści lat! — rzekł Zagłoba.

Książę już był także ubrany, gdy wszedł Kmicic i właśnie szatny, w towarzystwie dwóch Murzynów, wyszedł był z komnaty. Zostali sam na sam.

— Daj ci Boże zdrowie, żeś pośpieszył! — rzekł książę.

— Do usług waszej książęcej mości.

— A chorągiew?

— Wedle rozkazu.

— Pewni też to ludzie?

— W ogień, do piekła pójdą!

— To dobrze! takich ludzi mi potrzeba... i takich jak ty, na wszystko gotowych... Ciągle to powtarzam, że na nikogo więcej, jak na ciebie, nie liczę.

— Wasza książęca mość, nie mogą się moje zasługi równać z zasługami starych żołnierzy, ale jeśli mamy na nieprzyjaciół ojczyzny ruszyć, tedy, Bóg widzi, nie pozostanę w tyle.

— Nie ujmuję ja starym zasług — rzekł książę, — chociaż... mogą przyjść takie pericula (niebezpieczeństwa), tak ciężkie terminy, że i najwierniejsi się zachwieją.

— Niech ten zginie marnie, kto od osoby w. ks. mości w niebezpieczeństwie odstąpi!

Książę spojrzał bystro w twarz Kmicica.

— A ty... nie odstąpisz?...

Młedy rycerz zapłonął.

— Wasza książęca mość!...

— Co chcesz mówić!

— Wyspowiadałem się w. ks. mości ze wszystkich grzechów moich i taka ich kupa, że jeno ojcowskiemu sercu w. ks. mości zawdzięczam przebaczenie... Ale w tych wszystkich grzechach jednego niemasz: niewdzięczności.

— Ani wiarołomstwa... Wyspowiadałeś się przedemną, jak przed ojcem, a jam ci nietylko jak ojciec przebaczył, alem cię pokochał, jak syna... którego Bóg mi nie dał i dlatego ciężko mi nieraz na świecie. Bądźże mi przyjacielem!

To rzekłszy, książę wyciągnął rękę, a młody rycerz uchwycił ją i bez wahania do ust przycisnął.

Milczeli obaj przez długą chwilę; nagle książę utkwił oczy w oczach Kmicica i rzekł:

— Billewiczówna tu jest!

Kmicic pobladł i począł jąkać coś niezrozumiale.

— Umyślniem po nią posłał, żeby się ta niezgoda między wami skończyła. Zobaczysz ją zaraz, bo jej żałoba po dziadzie już wyszła. Dziś także, choć Bóg widzi, że głowa popękała mi od roboty, mówiłem z panem miecznikiem rosieńskim.

Kmicic porwał się za głowę.

— Czem ja się w. ks. mości odpłacę? Czem ja odpłacę?...

— Powiedziałem wyraźnie panu miecznikowi, że taka moja wola, abyście się najprędzej pobrali i nie będzie ci przeciwny. Przykazałem mu też, aby dziewkę zwolna do tego przygotował. Mamy czas. Od ciebie wszystko zależy, a ja szczęśliwym będę, jeśli cię nagroda z rąk moich dojdzie i daj Boże doczekać wiele innych, boś ty powinien pójść wysoko... Grzeszyłeś, boś młody, aleś już sławę na polu zdobył niepoślednią..., i wszyscy młodzi gotowi wszędzie iść za tobą. Dla Boga, powininieś pójść wysoko! Nie dla takiego to rodu, jak twój, urzędy powiatowe... Zali wiesz, żeś ty Kiszków krewny, a z Kiszczanki ja się rodzę... Trzeba ci jeno statku, na co ożenek najlepsza rzecz. Bierzże oną dziewczynę, kiedy ci do serca przypadła i pamiętaj, kto ci ją daje.

— Wasza książęca mość, ja chyba oszaleję!... życie, krew moja do w. ks. mości należą!... Co mam czynić, aby się wywdzięczyć? co? Mów w. ks. mość! rozkazuj!

— Dobrem za dobro mi odpłać... Miej wiarę we mnie, miej ufność, że co czynię, to dla dobra publicznego uczynię. Nie odstępuj mnie, gdy będziesz widział zdradę i odstępstwo innych, gdy się złość wzmoże, gdy mnie samego...

Tu książę urwał nagle.

— Przysięgam — rzekł z zapałem Kmicic — i parol kawalerski daję do ostatniego tchnienia stać przy osobie waszej książęcej mości, mego wodza, ojca i dobrodzieja!

To rzekłszy, Kmicic spojrzał oczyma pełnemi ognia na księcia i aż strwożył się zmianą, która nagle zaszła na jego twarzy. Twarz ta była czerwona, żyły na niej nabrały, krople potu gęsto osiadły na wyniosłem czole, a oczy rzucały blask niezwykły.

— Co waszej książęcej mości jest? — pytał niespokojnie rycerz.

— Nic! nic!...

Radziwiłł wstał, ruszył śpiesznym krokiem do klęcznika i zerwawszy z niego krucyfiks, począł mówić gwałtownym, przytłumionym głosem:

— Na ten krzyż przysięgnij, że mnie nie opuścisz do śmierci!...

Mimo całej gotowości i zapału, Kmicic spoglądał przez chwilę na niego ze zdumieniem.

— Na tę mękę Chrystusa... Przysięgnij!... — nalegał hetman.

— Na tę mękę Chrystusa... Przysięgam! — rzekł Kmicic, kładąc palce na krucyfiksie.

— Amen! — dodał uroczystym głosem książę.

Echo wysokiej komnaty powtórzyło gdzieś pod sklepieniem: "Amen" i nastała długa cisza. Słychać było tylko oddech potężnej radziwiłłowskiej piersi. Kmicic nie odrywał od hetmana zdumionych oczy.

— Teraz jużeś mój... — rzekł wreszcie książe.

— Zawszem do waszej książęcej mości należał — odparł skwapliwie młody rycerz, — ale racz mi wasza ks. mość powiedzieć, racz mnie objaśnić, co się dzieje? Dlaczego wasza ks. mość wątpiłeś o tem? Czy grozi co dostojnej osobie? Aza zdrada jaka, jakowe machinacye zostały odkryte?

— Zbliża się czas próby — rzekł ponuro książę, — a co do nieprzyjaciół, nie wieszli to, że pan Gosiewski, pan Judycki i pan wojewoda witebski radziby mnie na dno przepaści pogrążyć. Tak jest?! Wzmaga się nieprzyjaciel domu mego, szerzy się zdrada i grożą klęski publiczne. Dlatego mówię: zbliża się czas próby...

Kmicic zamilkł, ale ostatnie słowa księcia nie rozproszyły ciemności, jakie obsiadły jego umysł i próżno pytał sam siebie, co może grozić w tej chwili potężnemu Radziwiłłowi? Wszakże stał na czele większych sił, niż kiedykolwiek. W samych Kiejdanach i w okolicy stało tyle wojska, że gdyby był książę miał podobną potęgę, zanim pod Szkłów ruszył, los całej wojny wypadłby niezawodnie inaczej.

Gosiewski i Judycki byli mu wprawdzie niechętni, ale obydwóch miał w ręku i pod wartą, a co do wojewody witebskiego, zbyt to był cnotliwy człowiek, zbyt dobry obywatel, aby w przeddzień nowej wyprawy przeciw nieprzyjaciołom można się było obawiać z jego strony jakichkolwiek przeszkód i machinacyj.

— Bóg widzi, nic nie rozumiem! — zakrzyknął Kmicic, nieumiejący wogóle utrzymać swoich myśli.

— Dziś jeszcze zrozumiesz wszystko — odparł spokojnie Radziwiłł. — A teraz pójdźmy do sali.

I wziąwszy pod rękę młodego pułkownika, skierował się z nim ku drzwiom.

Przeszli kilka komnat. Zdaleka, z olbrzymiej sali dochodziły dźwięki kapeli, której przewodził Francuz, sprowadzony umyślnie przez księcia Bogusława. Grano też menueta, którego wówczas na dworze francuskim tańcowywano. Łagodne tony mieszały się z gwarem licznych głosów ludzkich. Książę Radziwiłł zatrzymał się i słuchał.

— Daj Boże — rzekł po chwili — aby ci wszyscy goście, których pod dach przyjmuję, nie przeszli jutro do moich nieprzyjaciół.

— Mości książę — odparł Kmicic, — mam nadzieję, że niemasz między nimi szwedzkich stronników...

Radziwiłł drgnął i wstrzymał się nagle.

— Co ty chcesz powiedzieć?

— Nic, mości książę, jeno, że tam zacni żołnierze się weselą.

— Chodźmy... Czas pokaże i Bóg osądzi, kto zacny... Chodźmy!

Przy samych drzwiach stało dwunastu paziów, cudownych chłopiąt, przybranych w pióra i aksamity. Ujrzawszy hetmana, sformowali się w dwa szeregi, książę zaś zbliżywszy się, pytał:

— Jej książęca mość weszła już na salę?

— Tak jest, mości książę! — odpowiedzieli chłopcy.

— A ichmościowie posłowie?

— Są także.

— Otwieraj!

Obie połowy drzwi rozwarły się w mgnieniu oka, potok światła łunął przez nie i oświecił olbrzymią postać hetmana, który mając za sobą pana Kmicica i paziów, wszedł na podniesienie, na którem krzesła dla przedniejszych gości były zastawione.

Wnet ruch uczynił się w sali, wszystkie oczy zwróciły się na księcia, potem jeden okrzyk wyrwał się z setek piersi rycerskich:

— Niech żyje Radziwiłł! Niech żyje! Niech nam hetmani! Niech żyje!

Książe kłaniał się głową i ręką, następnie jął witać gości zebranych na estradzie, którzy podnieśli się w jednej chwili, gdy wchodził. Byli tam między znakomitszymi, oprócz samej księżnej, dwaj posłowie szwedzcy, poseł moskiewski, pan wojewoda wendeński, ksiądz biskup Parczewski, ksiądz Białozor, pan Komorowski, pan Mierzejewski, pan Hlebowicz, starosta żmudzki, szwagier hetmański, jeden młody Pac, obersztt Ganchoff, pułkownik Mirski, Weisenhoff, poseł księcia kurlandzkiego i kilka pań z otoczenia księżnej.

Pan hetman, jako przystało na gościnnego gospodarza, począł powitania od posłów, z którymi kilkanaście słów uprzejmych zamienił, poczem witał innych, a skończywszy, zasiadł na krześle z gronostajowym baldachimem i spoglądał na salę, w której jeszcze brzmiały okrzyki:

— Niech żyje!... Niech nam hetmani!... Niech żyje!...

Kmicic, ukryty za baldachimem, patrzył również na tłumy. Wzrok jego przeskakiwał z twarzy na twarz, szukając wśród nich ukochanych rysów tej, która w tej chwili zajmowała całą duszę i serce rycerza. Serce biło mu jak młotem...

— Ona tu jest! Za chwilę ją ujrzę, przemówię do niej!... — powtarzał sobie w myśli... I szukał, szukał coraz chciwiej, coraz niespokojniej. Ot, tam! ponad piórami wachlarza widać jakieś brwi czarne, białe czoło i jasne włosy. To ona!

Kmicic dech wstrzymuje, jakby w obawie, żeby nie spłoszyć zjawiska, ale tymczasem poruszają się pióra, twarz się odsłania — nie! to nie Oleńka, to nie ta miła i najmilsza. Wzrok leci dalej, obejmuje wdzięczne postacie, ślizga się po piórach, atłasach, rozkwitłych jak kwiaty twarzach i łudzi się co chwila. Nie ona i nie ona! Aż wreszcie, hen! w głębi, wedle framugi okna, zamajaczyło

coś białego i rycerzowi pociemniało w oczach — to Oleńka, to ta miła i najmilsza...

Kapela poczyna grać na nowo, tłumy przechodzą, kręcą się damy, migocą strojni kawalerowie, a on jak ślepy i głuchy, nic nie widzi, tylko ją i patrzy tak chciwie, jakby ją pierwszy raz widział. Nibyto to ta sama Oleńka z Wodoktów, a inna. W tej ogromnej sali i w tym tłumie wydaje się jakaś mniejsza i twarzyczkę ma drobniejszą, rzekłbyś dziecinną. Ot! wziąłbyś całą na ręce i przytulił! A przecie znowu ta sama, choć inna: też same to rysy, też słodkie usta, takież rzęsy, cień rzucające na policzki, i to czoło jasne, spokojne, kochane... Tu wspomnienia jak błyskawice poczynają się przesuwać przez głowę pana Andrzeja: owa czeladnia w Wodoktach, gdzie ją ujrzał po raz pierwszy i te ciche komnatki, w których przesiadywali razem. Co za słodycz, choćby tylko wspominać!... A ta sanna do Mitrunów, podczas której on ją całował!... Potem już ludzie poczęli ich rozdzielać i burzyć ją przeciw niemu.

— A żebyto pioruny zatrzasły! — zakrzyknął w duszy pan Kmicic. — Co ja miałem i com ja utracił! Jaka ona była bliska, a jaka teraz daleka!

Siedzi oto zdala, jak obca, ani wie, że on tu jest. — I gniew, ale zarazem żal niezmierny, pochwycił pana Andrzeja, żal, dla którego innych słów nie znalazł, jeno wykrzyk w duszy, który przez usta nie przeszedł:

— Ej, ty! Oleńka! ej, ty!...

Nieraz pan Andrzej wściekał się na siebie za swoje dawne postępki, że miewał ochotę kazać się ludziom własnym rozciągnąć i sto bizunów wyliczyć, ale nigdy nie wpadł w taki gniew, jak teraz, gdy ją znów ujrzał po długiem niewidzeniu, cudniejszą jeszcze niż zwykle, cudniejszą nawet, niż sobie wyobrażał. W tej chwili chciałby się pastwić nad sobą, ale że był między ludźmi, w dostojnem towarzystwie, więc tylko zęby zaciskał i jakoby chcąc sobie umyślnie jeszcze większy ból zadać, powtarzał w duchu:

— Dobrze ci tak, kpie! Dobrze ci!

Tymczasem dźwięki kapeli umilkły znowu i zamiast nich, usłyszał pan Andrzej głos hetmana:

— Chodź za mną!

Kmicic zbudził się jakby ze snu.

Książe zeszedł ze wzniesienia i wmieszał się między gości

Na twarzy miał uśmiech łagodny i dobrotliwy, który zdawał się jeszcze podnosić majestat jego postaci. Był to ten sam wspaniały pan, który czasu swego, przyjmując królowę Maryę Ludwikę w Nieporęcie, dziwił, zdumiewał i gasił dworaków francuskich nietylko przepychem, ale i dwornością swych obyczajów; ten sam, o którym z takiem uwielbieniem pisał Jan Laboureur w relacyi ze swej podróży. Teraz więc zatrzymywał się co chwila przy poważniejszych matronach, przy zacniejszej szlachcie i pułkownikach, mając dla każdego z gości jakieś łaskawe słowo, dziwiąc obecnych swą pamięcią i jednając w mgnieniu-oka wszystkie serca. Oczy obecnych biegały za nim, gdzie się tylko poruszył, on zaś zwolna zbliżył się do pana miecznika rosieńskiego, Billewicza i rzekł:

— Dziękuję ci, stary przyjacielu, żeś przybył, chociaż miałbym się prawo i gniewać. Nie o sto mil Billewicze od Kiejdan, a z ciebie rara avis (rzadki ptak) pod moim dachem.

— Wasza ks. mość — odpowiedział pan miecznik, kłaniając się nizko, — krzywdę ojczyźnie czyni, kto waszej ks. mości czas zabiera.

— A ja już myślałem się zemścić i najechać cię w Billewiczach, a przecie myślę, że przyjąłbyś wdzięcznie starego kompana obozowego.

Słysząc to pan miecznik aż zarumienił się ze szczęścia, a książę mówił dalej:

— Jeno czasu, czasu zawsze nie staje!... Ale jak krewniaczkę, wnuczkę nieboszczyka pana Herakliusza, będziesz za mąż wydawał, to już na weselisko koniecznie zjadę, bom wam to obydwom powinien.

— Dajże Boże dziewce jaknajprędzej! — zawołał pan miecznik.

— Tymczasem przedstawiam ci pana Kmicica, chorążego orszańskiego, z tych Kmiciców, co to Kiszkom, a przez Kiszków i Radziwiłłom krewni. Musiałeś to nazwisko od Herakliusza słyszeć, bo on Kmiciców jak braci kochał...

— Czołem, czołem! — powtórzył pan Miecznik, któremu zaimponowała nieco wielkość rodu młodego kawalera, głoszona przez samego Radziwiłła.

— Witam pana miecznika dobrodzieja i służbie się jego polecam — rzekł śmiało i nie bez pewnej dumy pan Andrzej. — Pan puł-

kownik Herakliusz był mi ojcem i dobrodziejem, a choć się później popsowała jego robota, to jednak nie przestałem miłować wszystkich Billewiczów, jakoby własna moja krew w nich płynęła.

— Szczególnie — rzekł książę, kładąc poufale rękę na ramieniu młodzieńca — nie przestał miłować jednej Billewiczówny, z czem mi się dawno zwierzył.

— I każdemu do oczu to powtórzę! — rzekł zapalczywie Kmicic.

— Powoli, powoli! — odpowiedział książę. — To widzisz, mości mieczniku, z siarki i ognia jest kawaler, przez co i nabroił trochę; ale że młody i pod moją szczególniejszą jest protekcyą, przeto tuszę, że jak we dwóch zaczniem błagać, tak i otrzymamy zdjęcie kondemnaty przed onym wdzięcznym trybunałem.

— Wasza książęca mość uczyni, co zechce! — odrzekł pan miecznik. — Nieszczęsna dziewka musi zakrzyknąć, jak owa kapłanka pogańska, Aleksandrowi: "Któż ci się oprze!"

— A my, jako ów Macedończyk, poprzestaniem na tej wróżbie — mówił, śmiejąc się książe. — Ale dość tego! Prowadźże nas teraz do swej krewniaczki, bo i ja rad ją obaczę. Niechże się naprawi ta robota pana Herakliusza, która się popsowała.

— Służę w. ks. mości!... Tam oto dziewczyna siedzi pod opieką pani Wojniłłowiczowej, naszej krewnej. Jeno błagam o przebaczenie, jeśli się skonfunduje, bom też jeszcze nie miał czasu jej ostrzedz.

Przewidywania pana miecznika były słuszne. Na szczęście, Oleńka nie w tej dopiero chwili ujrzała pana Andrzeja przy boku hetmańskim, więc mogła nieco przyjść do siebie, ale na razie o mało nie opuściła jej przytomność. Pobladła jak płótno, nogi zadrżały pod nią i patrzyła tak na młodego rycerza, jakby patrzyła na ducha, zjawiającego się z tamtego świata. I długo oczom nie chciała wierzyć. Toż ona sobie wyobrażała, że ów nieszczęśnik albo tuła się gdzieś po lasach, bez dachu nad głową, opuszczony od wszystkich, ścigany jak dziki zwierz przez sprawiedliwość; albo zamknięty w wieży, spogląda rozpaczliwym wzrokiem przez żelazną kratę na wesoły świat boży. Bóg jeden wiedział, jak straszny nieraz żal gryzł jej serce i oczy za tym straceńcem; Bóg jeden mógł policzyć łzy, które w samotności nad jego losem, tak okrutnym, choć tak zasłużonym, wylała — a tymczasem on znalazł się w Kiejdanach, wolny, przy boku hetmańskim, dumny i strojny w lamy

i aksamity, z pułkownikowskim buzdyganem za pasem, ze wzniesionem czołem, a rozkazującą hardą twarzą junacką i sam hetman wielki, sam Radziwiłł, kładł mu rękę poufale na ramieniu. Dziwne a sprzeczne uczucia splotły się naraz w sercu dziewczyny; więc jakaś wielka ulga, jakby jej kto brzemię zdjął z ramion; więc i ten zawód, jakiego doznaje każda uczciwa dusza na widok bezkarności zupełnej za ciężkie grzechy i występki; więc i radość i poczucie własnej niemocy i graniczący z przestrachem podziw dla tego junaka, który potrafi z takiej toni wypłynąć.

Tymczasem książę, miecznik i Kmicic skończyli rozmowę i poczęli się zbliżać. Dziewczyna nakryła oczy powiekami i podniosła tak ramiona, jak ptak skrzydła, kiedy chce głowę między niemi ukryć. Była zupełnie pewna, że idą ku niej. Nie patrząc, widziała ich, czuła, że są bliżej, że już nadchodzą, że zatrzymali się. Tak była tego pewna, że nie podnosząc powiek, wstała nagle i złożyła głęboki ukłon księciu.

On zaś istotnie już stał przed nią i przemówił:

— Na mękę Pańską!... Teraz się młodemu nie dziwię, bo cudnie to kwiecie okwitło... Witam cię, moja panienko, witam z całego serca i duszy kochaną wnuczkę mojego Billewicza. Poznajesz mnie?

— Poznaję, wasza książęca mość! — odrzekła dziewczyna.

— A jabym cię nie poznał, bom cię jeszcze młódką nierozkwitłą ostatni raz widział, nie w tej ozdobie, w jakiej teraz chodzisz... Podnieśno jeno one firanki z oczu... Dla Boga! szczęśliwy nurek, który taką perłę wyłowi; nieszczęsny, który ją miał i stracił... Owóż stoi tu przed tobą taki desperat w osobie tego kawalera... Poznajeszże i jego?

— Poznaję — szepnęła Oleńka, nie podnosząc oczu.

— Wielkito grzesznik i do spowiedzi ci go przyprowadzam... Zadaj mu pokutę, jaką chcesz, ale rozgrzeszenia nie odmawiaj, żeby go desperacya do cięższych jeszcze grzechów nie przywiodła.

Tu książę zwrócił się do pana miecznika i do pani Wojniłłowiczowej.

— Zostawmy młodych, mościwi państwo, bo nie wypada przy spowiedzi asystować, a mnie i moja wiara tego zakazuje.

Po chwili pan Andrzej i Oleńka zostali sami.

Serce jej tłukło się w piersi, jak w gołębiu, nad którym jastrząb

zawisnął, a i on był wzruszony. Opuściła go zwykła śmiałość, porywczość i pewność siebie. Przez długi czas milczeli oboje.

Nareszcie on pierwszy ozwał się nizkim, przytłumionym głosem:

— Nie spodziewałaś się mnie widzieć, Oleńka?

— Nie — szepnęła dziewczyna.

— Na Boga! gdyby tu Tatar stanął koło ciebie, mniejbyś była trwożna. Nie bójże się! Patrz, ilu tu ludzi. Żadna krzywda nie spotka cię ode mnie. A choćbyśmy sami byli, nie miałabyś się czego bać, bom sobie zaprzysiągł szanować cię. Miejże ufność we mnie!

Na chwilę podniosła oczy i spojrzała na niego.

— Skądże mam mieć ufność?

— Prawda, grzeszyłem, ale to już minęło i nie powtórzy się więcej... Gdym po owym pojedynku z Wołodyjowskim na łożu leżał bliski śmierci, wtedym sobie powiedział: nie będziesz jej brał przemocą, szablą, ogniem, jeno zacnemi uczynkami na nią zasłużysz i przebaczenie wyjednasz!... Toż i w niej serce nie z kamienia i zawziętość jej przeminie; ujrzy poprawę, to wybaczy!... Więcem sobie zaprzysiągł poprawę i dotrzymam... Zaraz mnie też Bóg pobłogosławił, bo przyjechał Wołodyjowski i przywiózł mi list zapowiedni. Mógł go nie dać, a dał; zacny człowiek! Przezto już i do sądów nie potrzebowałem stawać bom pod hetmańską inkwizycyę przeszedł. Wyspowiadałem się księciu ze wszystkich grzechów, jako ojcu; on zaś nietylko przebaczył, ale obiecał wszystko załagodzić i bronić mnie od nieżyczliwości ludzkiej. Niech mu Bóg błogosławi... Nie będę banitem, Oleńka, z ludźmi się pojednam, sławę odzyszczę, ojczyźnie się zasłużę, krzywdy naprawię... Oleńko! A ty co na to??... Nie rzekniesz że mi dobrego słowa?

I począł patrzeć na nią pilnie i ręce składać, jakby się do niej modlił.

— Mogęż ja wierzyć? — odrzekła dziewczyna.

— Możesz, jak mi Bóg miły, powinnaś! — odparł Kmicic. — Patrzaj, że w to uwierzyli i książę hetman i pan Wołodyjowski. Toć wszystkie postępki moje im znane, a uwierzyli... Widzisz! ... Czemubyśto ty jedna miała mi nie ufać?

— Bom łzy ludzkie widziała z powodu waćpana wylewane... Bom groby widziała jeszcze trawą nie porosłe...

— To i porosną, a one łzy sam obetrę.

— Najprzód to waćpan uczyń.

— Daj mi jeno nadzieję, że jak to uczynię to i ciebie odzyszczę... Dobrze ci mówić: "Najprzód to uczyń." A nuż to uczynię, a ty za innego przez ten czas pójdziesz? Boże ratuj! Boże uchowaj od takiej rzeczy, bo chybabym oszalał. Na imię Boskie błagam cię, Oleńka, dajże mi pewność, że cię nie utracę, zanim z tamtą waszą szlachtą do zgody przyjdę. Pamiętasz? samaś to napisała, a ja on list chowam i jak mi na duszy ciężko, to go sobie odczytuję. Niczego więcej nie chcę, tylko mi jeszcze powtórz, że czekać będziesz, że za innego nie pójdziesz?

— Waćpan wiesz że mi wedle testamentu uczynić tego nie wolno. Jeno do klasztoru mogę się schronić.

— O, tobyś mnie uczęstowała! Przez Bóg żywy, daj sobie pokój z klasztorem, bo mnie mrowie na samą myśl przechodzi. Dajże pokój Oleńka, a nie to ci tu przy wszystkich do nóg padnę i będę błagał, abyś tego nie czyniła. Pana Wołodyjowskiego odmówiłaś, wiem bo sam mi o tem powiadał. Onto mnie zachęcał, abym cię dobrymi uczynkami zdobył... Ale na coby się to zdało gdybyś miała do zakonu wstępować? Powiesz mi, że cnotę dla cnoty trzeba praktykować... a ja ci odpowiem, że miłuję cię jak desperat i nie chcę o niczem więcej wiedzieć. Kiedyś wyjechała z Wodoktów, ledwiem z łoża powstał, jużem cię szukać począł. Stawiałem chorągiew na nogi, każdą chwilę miałem zajętą, nie miałem czasu strawy zjeść, nocy przespać, a przeciem szukania nie zaniechał! Tak już przyszło na mnie, że mi bez ciebie ani życia, ani spokoju. Tak się już uczepiło! Nic, tylko wzdychaniami żyłem. Dowiedziałem się wreszcie, żeś u pana miecznika w Billewiczach. To, powiadam ci, pasowałem się z myślami, jakoby z niedźwiedziem: jechać, nie jechać?... Alem nie śmiał jechać, żeby mnie żółcią nie napojono. Powiedziałem sobie wreszcie: nie uczyniłem jeszcze nic dobrego... nie pojadę... Aż książę, ojciec mój kochany, ulitował się nademną i posłał prosić was do Kiejdan, abym choć oczy swojem kochaniem mógł napełnić... ile że na wojnę ruszamy. Nie żądam, abyś jutro zaraz za mnie szła... Ale bogdaj słowo od ciebie usłyszę, bogdaj się zapewnię, będzie mi lżej... Moja ty duszo jedyna... Nie chcę zginąć, ale w bitwie każdemu się to może przytrafić, bo przecie nie będę się za innych chował, więc mi powinnaś odpuścić, jako się umierającemu odpuszcza.

— Niech waćpana Bóg ochrania i wyprowadzi — odparła dziewczyna miękkim głosem, po którym zaraz poznał pan Andrzej, że słowa jego wywarły skutek.

— Moje ty złoto szczere! Dziękuję ci za to. A nie pójdziesz do klasztoru?

— Jeszcze nie pójdę.

— Bodajże ci Bóg błogosławił!

I jak na wiosnę śniegi tają, tak między nimi poczęła topnieć nieufność i czuli się bliżsi siebie, niż przed chwilą. Serca mieli lżejsze, w oczach im pojaśniało. A przecież ona nic nie obiecała i on miał ten rozum, że niczego na razie nie żądał. Ale czuła to sama, że jej nie wolno, że nie godzi się zamykać mu drogi do poprawy o której mówił tak szczerze. O jego szczerości nie wątpiła już ani na chwilę, bo to nie był człowiek, któryby coś udawać umiał. Lecz główny powód, dla którego nie odtrąciła go nanowo, dla którego zostawiła mu nadzieję, był ten, że w głębi serca kochała jeszcze tego junaka. Miłość tę przywaliła góra goryczy, rozczarowania i boleści, ale miłość żyła, gotowa zawsze wierzyć i przebaczać bez końca.

— On lepszy od swoich uczynków — myślała dziewczyna — i niema już tych, którzy go do występków popychali; mógłby się chyba z desperacyi czego znowu dopuścić, niechże nie desperuje nigdy.

I poczciwe serce uradowało się własnem przebaczeniem. Na jagody Oleńki wystąpiły rumieńce tak świeże, jak róża pod ranną rosą; oczy miały blask słodki a żywy i rzekłbyś: jasność biła od nich na salę. Przechodzili ludzie i dziwili się cudnej parze, bo też takich dwojga paniątek trudno było ze świecą znaleść w całej tej sali, w której przecież zebrany był kwiat szlachty i szlachcianek.

Oboje przytem, jak gdyby się umówili, jednako byli ubrani, gdyż i ona miała suknię z srebrnej lamy, spiętą szafirem i błękitny z aksamitu weneckiego kontusik. "Chyba brat i siostra" — mówili ci, którzy ich nie znali, ale inni zaraz na to czynili uwagę; "Nie może być, bo mu się oczy nadto do niej jarzą."

Tymczasem w sali marszałek dał znać, że czas do stołu siadać i zaraz uczynił się ruch nadzwyczajny. Hrabia Lowenhaupt, cały w koronkach, szedł naprzód pod rękę z księżną, której powłokę od płaszcza niosło dwóch paziów prześlicznych; za nim baron Shitte

prowadził panią Hlebowiczową, tuż szedł ksiądz biskup Parczewski z księdzem Białozorem, obaj jakby czemś zmartwieni i zasępieni.

Książę Janusz, który w pochodzie ustępował gościom, ale za stołem brał obok księżnej miejsce najwyższe, wiódł panią Korfową, wojewodzinę wendeńską, bawiącą już od tygodnia w Kiejdanach. I tak sunął cały szereg par, jak wąż stubarwny i rozwijał się i mienił. Kmicic wiódł Oleńkę, która leciuchno wsparła ramię na jego ramieniu, on zaś spoglądał bokiem na jej delikatną twarz, szczęśliwy, jako pochodnia pałający, największy magnat między tymi magnatami, bo największego skarbu bliski.

Tak idąc posuwisto, przy dźwiękach kapeli, weszli do sali jadalnej, która wyglądała jak cały gmach osobny. Stół zastawiony był w podkowę, na trzysta osób i giął się pod srebrem i złotem. Książę Janusz, jako część majestatu królewskiego w sobie mający i tylu królom pokrewny, wziął obok księżnej miejsce najwyższe, a wszyscy przechodząc mimo, kłaniali się nizko i zasiadali wedle godności.

Lecz widocznie, jak się zdawało obecnym, pamiętał hetman, że to ostatnia uczta przed straszną wojną, w której się losy olbrzymich państw rozstrzygną, bo nie miał w twarzy pokoju. Udawał uśmiech i wesołość, a tak wyglądał, jakby paliła go gorączka. Czasami widoczna chmura osiadała mu na groźnem czole i siedzący bliżej mogli dostrzedz, że czoło to było gęsto kroplami potu okryte; czasem wzrok jego biegał szybko po zebranych twarzach i zatrzymywał się badawczo na obliczach różnych pułkowników, to znów marszczył nagle lwie brwi, jakby go boleści przeszywały lub jakby ta czy owa twarz budziła w nim gniew. I dziwna rzecz, że dygnitarze siedzący obok księcia, jako: posłowie, ksiądz biskup Parczewski, ksiądz Białozór, pan Komorowski, pan Mierzejewski, pan Hlebowicz, pan wojewoda wendeński i inni, również byli roztargnieni i niespokojni. Dwa ramiona olbrzymiej podkowy brzmiały już wesołą rozmową i zwykłym gwarem przy ucztach, a szczyt jej milczał posępnie, lub szeptał rzadkie słowa, lub zamieniał roztargnione i jakoby trwożne spojrzenia.

Ale nie było w tem nic dziwnego, bo niżej siedzieli pułkownicy i rycerze, którym bliska wojna co najwięcej śmiercią groziła. Łatwiejże poledz w wojnie, niż dźwigać odpowiedzialność za nią na ramionach. Nie zatroszczy się dusza żołnierska, gdy odkupiwszy krwią grzechy, leci z pola ku niebu — ten tylko schyla ciężko gło-

wę, ten rozprawia w duszy z Bogiem i sumieniem, kto w wilię dnia stanowczego nie wie, jaki puhar poda jutro ojczyźnie do wypicia.

Tak też i tłómaczono to sobie na niższych końcach.

— Zawsze on taki przed każdą wojną, że z własną duszą gada; — mówił stary pułkownik Stankiewicz do pana Zagłoby — ale im posępniejszy, tem gorzej dla nieprzyjaciół, bo w dzień bitwy będzie wesół z pewnością.

— Toć i lew przed walką pomrukuje, — odparł pan Zagłoba — żeby w sobie tem większą abominacyę przeciw nieprzyjacielowi wzbudzić. Co zaś do wielkich wojowników każdy ma swój obyczaj. Hannibal podobno kości rzucał, Scipio Africanus rytmy recytował, pan Koniecpolski, ojciec, o białogłowach zawsze rozmawiał, a ja rad snu przed bitwą przez jaką godzinę zażywam, choć i od kielicha z dobrymi przyjaciołmi nie stronię.

— Obaczcie, waćpanowie, że to i ksiądz biskup Parczewski blady jak karta papieru! — rzekł Stanisław Skrzetuski.

— Bo za kalwińskim stołem siedzi i snadnie coś nieczystego w potrawach połknąć może — wyjaśnił cichym głosem Zagłoba. — Do trunków, powiadają starzy ludzie, nie ma licho przystępu i te wszędy pić możesz, ale jadła, a szczególnie zupy, trzeba się wystrzegać. Tak było i w Krymie, za czasów, gdym tam w niewoli siedział. Tatarscy mułłowie czyli księża umieli baraninę z czosnkiem tak przyrządzać, że kto pokosztował, zaraz od wiary gotów był odstąpić i ich szelmowskiego proroka przyjąć.

Tu Zagłoba zniżył głos jeszcze bardziej:

Nie na kontempt księciu panu to mówię, ale radzę waćpanom jadło przeżegnać, bo strzeżonego Pan Bóg strzeże.

— Co zaś waćpan mówisz!... Kto się Bogu poleci przed jedzeniem, temu się nic nie stanie; u nas w Wielkopolsce lutrów i kalwinów co niemiara, ale nie słyszałem o tem, żeby mieli jadło czarować.

— U was w Wielkopolsce lutrów co niemiara,to też się ze Szwedami zaraz powąchali — odrzekł Zagłoba — i teraz w komitywie z nimi chodzą. Jabym na miejscu księcia i tych tam oto posłów psami wyszczuł, nie specyałami kiszki im nadziewał. Patrzcieno na tego Loewenhaupta. Tak źre, jakby za miesiąc mieli go na jarmark, na postronku za nogę uwiązanego pognać. Jeszcze dla żony i dla dzieci w kieszenie bakaliów natka... Zapomniałem, jak się ten drugi zamorek nazywa. Bodajże cię...

— Spytaj ojciec Michała — rzekł Jan Skrzetuski.

Pan Michał siedział niedaleko, ale nic nie słyszał, nic nie widział, bo siedział między dwiema pannami; po lewej ręce miał pannę Elżbietę Sielawską, godną pannę, lat około czterdziestu, a po prawej Oleńkę Billewiczównę, za którą siedział Kmicic. Panna Elżbieta trzęsła głową, przybraną w pióra, nad małym rycerzem i opowiadała mu coś bardzo żywo, on zaś spoglądając na nią od czasu do czasu osowiałym wzrokiem, odpowiadał co chwila: "Tak mościa panno, jako żywo!" i nie rozumiał ani słowa, bo cała jego uwaga była właśnie po drugiej stronie. Uchem łowił szmer słów Oleńki, chrzęst jej łamowej sukni i wąsikami tak z żalu ruszał, jakby chciał niemi pannę Elżbietę, odstraszyć.

— Ej! cudnaż to dziewczyna!... Ej, gładyszka to! — mówił sobie w duszy. — Wejrzyjże Boże na moją nędzę, bo już niemasz większego sieroty ode mnie. Dusza aż piszczy we mnie, żeby to mieć swoją niewiastę kochaną, a co na którą spojrzę, to już tam inny żołnierz kwaterą stoi. Gdzież ja się nieszczęsny tułacz podzieję?...

— A po wojnie, co waćpan myślisz czynić! — spytała nagle panna Elżbieta Sielawska, złożywszy buzię "w ciup" i wachlując się mocno.

— Do zakonu pójść! — odparł opryskliwie mały rycerz.

— A kto tam o zakonie przy uczcie wspomina? — zawołał wesoło Kmicic, przechylając się przez Oleńkę. — Hej! to pan Wołodyjowski.

— Waści to nie w głowie? A wierzę! — rzekł pan Michał.

Wtem słodki głos Oleńki zabrzmiał mu w uszach:

— Bo waćpanu nie trzeba o tem myśleć. Bóg ci da żonę po sercu, kochaną i zacną, jako sam jesteś zacny.

Poczciwy pan Michał zaraz rozczulił się:

— Żeby mi kto na fletni grał, nie byłoby mi milej słuchać!

Gwar coraz wzmagający się przy stole przerwał dalszą rozmowę, bo też i do kielichów przyszło. Humory ożywiały się coraz bardziej. Pułkownicy dysputowali o przyszłej wojnie, marszcząc brwi i ciskając ogniste spojrzenia.

Pan Zagłoba opowiadał na cały stół o oblężeniu Zbaraża, a słuchaczom aż krew biła na twarze, a w sercach rósł zapał i odwaga.

Zdawać się mogło, że duch nieśmiertelnego "Jaremy" nadleciał do tej sali i tchnieniem bohaterskiem napełnił dusze żołnierzy.

— To był wódz! — rzekł znamienity pułkownik Mirski, który całą hussaryą radziwiłłowską dowodził. Raz go tylko widziałem i w chwili śmierci będę jeszcze pamiętał.

— Jowisz, z piorunami w ręku! — zakrzyknął stary Stankiewicz. — Nie przyszłoby do tego, gdyby żył!...

— Ba! przecie on za Romnami lasy rąbać kazał, by sobie gościniec do nieprzyjaciół otworzyć.

— Jego to przyczyną stała się berestecka wiktorya.

— I w najcięższej chwili Bóg go zabrał...

— Bóg go zabrał — powtórzył podniesionym głosem pan Skrzetuski, — ale testament po nim został dla przyszłych wodzów, dygnitarzy i całej Rzeczypospolitej: oto, żeby z żadnym nieprzyjacielem nie paktować, ale wszystkich bić!...

— Nie paktować! Bić! — powtórzyło kilkanaście silnych głosów. — Bić, bić!

W sali upał stał się wielki i burzył krew w wojownikach, więc poczęły padać spojrzenia jak błyskawice, a podgolone łby dymiły.

— Nasz książę, nasz hetman, będzie tego testamentu egzekutorem! — rzekł Mirski.

Wtem olbrzymi zegar, umieszczony w górze sali, począł bić północ, a jednocześnie wstrząsły się mury, zadźwięczały żałośnie szyby i huk wystrzału wiwatowego rozległ się w dziedzińcu.

Rozmowy umilkły, nastała cisza.

Nagle u szczytu stołu poczęto wołać:

— Ksiądz biskup Parczewski zemdlał! Wody!

Uczyniło się zamieszanie. Niektórzy zerwali się z siedzeń, by się lepiej przyjrzeć, co zaszło. Biskup nie zemdlał, ale osłabł bardzo, aż marszałek podtrzymywał go na krześle za ramiona, podczas gdy pani wojewodzina wendeńska pryskała mu wodą na twarz.

W tej chwili drugi wystrzał działowy wstrząsnął szybami, za nim trzeci, czwarty...

— Vivat (niech żyje) Rzeczpospolita! pereant hostes (na pohybel wrogom)! — zakrzyknął Zagłoba.

Lecz dalsze wystrzały zgłuszyły jego mowę. Szlachta poczęła je liczyć:

— Dziesięć, jedenaście, dwanaście...

Szyby za każdym razem odpowiadały jękiem żałosnym. Płomienie świec chwiały się od wstrząśnień.

— Trzynaście! czternaście!... Ksiądz biskup huku niezwyczajny, popsuł przez swój strach zabawę, bo i książę się zatroskał. Patrzcie, mości panowie, jaki odęty siedzi... Piętnaście, szesnaście... Hej, walą jak w bitwie! Dziewiętnaście, dwadzieścia!

— Cicho tam! książę chce przemówić! — poczęto wołać naraz w różnych końcach stołu.

— Książę chce przemówić!

Uciszyło się zupełnie i wszystkie oczy zwróciły się na Radziwiłła który stał, podobny do olbrzyma, z kielichem w ręku. Lecz co widok uderzył oczy ucztujących!...

Twarz księcia była w tej chwili poprostu straszna, bo nie blada, ale sina i wykrzywiona jak konwulsyą uśmiechem, który książę usiłował na usta przywołać. Oddech jego, zwykle krótki, stał się jeszcze krótszy, szeroka pierś wzdymała się pod złotogłowiem, a oczy nakrył do połowy powiekami i groza jakaś była w tej potężnej twarzy i lodowatość, jakie bywają w krzepnących rysach w chwilach skonu.

— Co jest księciu! co tu się dzieje? — szeptano naokoło niespokojnie.

I złowrogie przeczucie ścisnęło wszystkich serca; trwożliwe oczekiwanie osiadło na obliczach.

On tymczasem mówić począł krótkim, przerywanym przez armatę głosem:

— Mości panowie!... Wielu z pomiędzy was... zdziwi... albo zgoła przestraszy ten toast... ale... kto mi ufa i wierzy... kto prawdziwie chce dobra ojczyzny... kto wiernym mojego domu przyjacielem... ten go wzniesie ochotnie... i powtórzy za mną:

— Vivat Carolus Gustavus rex (Niech żyje król Karol Gustaw)... od dziś dnia łaskawie nam panujący!

— Vivat! — powtórzyli dwaj posłowie Lovenhaupt i Shitte oraz kilkunastu oficerów cudzoziemskiego autoramentu.

Lecz w sali zapanowało głuche milczenie. Pułkownicy i szlachta spoglądali na siebie przerażonym wzrokiem, jakby pytając się wzajem, czy książę zmysłów nie utracił. Kilka głosów ozwało się wreszcie w różnych miejscach stołu:

— Czy my dobrze słyszym? Co to jest?

Potem znowu nastała cisza.

Zgroza niewypowiedziana w połączeniu ze zdumieniem odbiła się na twarzach i oczy wszystkich znów zwróciły się na Radziwiłła, a on stał ciągle i oddychał głęboko, rzekłbyś: niezmierny jakiś ciężar zrzucił z piersi. Barwa wracała mu zwolna na twarz; następnie zwrócił się do pana Komorowskiego i rzekł:

— Czas promulgować ugodę, którąśmy dzisiaj podpisali, aby ichmościowie wiedzieli, czego się trzymać. Czytaj wasza miłość!

Komorowski wstał, rozwinął leżący przed sobą pergamin i począł czytać straszną ugodę, rozpoczynającą się od słów:

— "Nię mogąc lepiej i dogodniej postąpić w najburzliwszym teraźniejszym rzeczy stanie, po utraceniu wszelkiej nadziei na pomoc najjaśniejszego króla, my panowie i stany wielkiego księstwa litewskiego, koniecznością zmuszeni, poddajemy się pod protekcyę najaśniejszego króla szwedzkiego na tych warunkach:

1) Łącznie wojować przeciw wspólnym nieprzyjaciołom, wyjąwszy króla i koronę polską.

2) W. ks. litewskie nie będzie do Szwecyi wcielone, lecz z nią takim sposobem połączone, jak dotąd z koroną polską, to jest, aby naród narodowi, senat senatowi, a rycerstwo we wszystkiem było równe.

3) Wolność głosu na sejmach nikomu nie ma być bronioną.

4) Wolność religii ma być nienaruszona..."

I tak dalej czytał pan Komorowski wśród ciszy i zgrozy, aż gdy doszedł do ustępu: "...Akt ów stwierdzamy podpisami naszemi za nas i potomków naszych, przyrzekamy i warujemy" — szmer uczynił się w sali, jakby pierwsze tchnienie burzy wstrząsnęło borem. Lecz nim burza wybuchła, siwy jak gołąb pan Stankiewicz zabrał głos i począł błagać:

— Mości książę! Uszom własnym wierzyć nie chcemy! Na rany Chrystusa! takżeto ma pójść w niwecz dzieło Władysławowe i Zygmunta Augusta? Zali można zali godzi się braci odstępować i z nieprzyjacielem unię zawierać? Mości książę, wspomnij na imię, które nosisz, na zasługi, które ojczyźnie oddałeś, na sławę niepokalaną dotąd rodu twego i zedrzyj i podepcz ten dokument haniebny! Wiem, że nie w swojem imieniu tylko proszę, ale w imieniu wszystkich tu obecnych wojskowych i szlachty. Toż i nam służy o naszym l sie stanowić. Mości książę! nie czyń tego, czas jeszcze...!

Zmiłuj się nad sobą, zmiłuj się nad nami, zmiłuj się nad Rzecząpospolitą!

— Nie czyń tego! Zmiłuj się, zmiłuj! — ozwały się setne głosy.

I wszyscy pułkownicy zerwali się z miejsc swoich i szli ku niemu a sędziwy Stankiewicz klęknął na środku sali, pomiędzy dwoma ramionami stołu i coraz potężniej brzmiało naokoło:

— Nie czyń tego! Zmiłuj się nad nami!

Radziwiłł podniósł swoją potężną głowę i błyskawice poczęły przelatywać mu po czole; nagle wybuchnął:

— Waszmościomże to przystoi pierwszym dawać przykład niekarności? Wojskowymże to przystoi wodza, hetmana odstępować i protestacyę zanosić? Wy to chcecie uczyć mnie jak dla dobra ojczyzny postąpić należy? Nie sejmik to i nie na wota was tu wezwano, a przed Bogiem ja biorę odpowiedzialność!

I dłonią uderzył się w pierś szeroką, poglądając iskrzącym wzrokiem na żołnierzy, a po chwili zakrzyknął:

— Kto nie zemną, ten przeciw mnie! Znałem was, wiedziałem, co będzie!... A wy wiedźcie, że miecz wisi nad waszemi głowami!...

— Mości książę! hetmanie nasz! — błagał stary Stankiewicz — zmiłuj się nad sobą i nad nami!

Lecz dalsze jego słowa przerwał Stanisław Skrzetuski, który porwawszy się obu rękoma za włosy, począł wołać rozpaczliwym głosem:

— Nie błagajcie go, to na nic! On tego smoka oddawna w sercu hodował!... Biada ci, Rzeczypospolita! Biada nam wszystkim!

— Dwóch dygnitarzy na dwóch krańcach Rzeczypospolitej zaprzedaje ojczyznę! — odezwał się Jan. — Przekleństwo temu domowi, hańba i gniew boży!

Słysząc to pan Zagłoba, otrząsł się ze zdumienia i wybuchnął:

— Pytajcie się go, jakie korupcye wziął od Szweda? Ile mu wyliczono? Ile mu jeszcze obiecano? Mości panowie, oto Judasz Iskaryota! Bodajeś konał w rozpaczy! bodaj ród twój wygasł! bodaj dyabeł duszę z ciebie wywlókł... zdrajco! po trzykroć zdrajco!

Wtem Stankiewicz w uniesieniu rozpaczy wyciągnął pułkownikowską buławę z zapasa i cisnął ją z trzaskiem do nóg księcia. Drugi cisnął Mirski, trzeci Józefowicz, czwarty Hoszczyc, piąty, blady jak trup, pan Wołodyjowski, szósty Oskierka — i toczyły się po podłodze buławy, a jednocześnie w tej lwiej jaskini, lwu od oczu, coraz więcej ust powtarzało straszliwy wyraz:

— Zdrajca!... zdrajca!...

Wszystka krew napłynęła do głowy dumnemu magnatowi; zsiniał, rzekłbyś: za chwilę zwali się trupem pod stół.

— Ganchoff i Kmicic do mnie!... — ryknął straszliwym głosem.

W tej chwili czworo podwojów, wiodących do sali, rozwarło się naraz z łoskotem i oddziały szkockiej piechoty wkroczyły groźne, milczące, z muszkietami w ręku. Od głównych drzwi wiódł je Ganchoff.

— Stój! — krzyknął książę.

Poczem zwrócił się do pułkowników:

— Kto za mną, niech przejdzie na prawą stronę sali!

— Ja żołnierz, hetmanowi służę!... Bóg niech mnie sądzi!... — rzekł Charłamp, przechodząc na prawą stronę.

— I ja! — dodał Mieleszko. — Nie mój będzie grzech!

— Protestowałem jako obywatel, jako żołnierz słuchać muszę — dodał trzeci Niewiarowski, który, chociaż poprzednio buławę rzucił, teraz widocznie uląkł się Radziwiłła.

Za nimi poszło kilku innych i spora wiązka szlachty; lecz Mirski, najwyższy godnością, i Stankiewicz, najstarszy wiekiem i Hoszczyc, i Wołodyjowski i Oskierka pozostali na miejscu, a z nimi dwóch Skrzetuskich, pan Zagłoba i ogromna większość, tak towarzyszów rozmaitych poważnych i lekkich chorągwi, jak i szlachty.

Szkocka piechota otoczyła ich murem.

Kmicic od pierwszej chwili, w której książę wzniósł toast na część Karola Gustawa, zerwał się wraz ze wszystkimi z miejsca, oczy postawił w słup i stał jak skamieniały, powtarzając zbladłemi wargami:

— Boże!... Boże!... Boże!... com ja uczynił?...

Wtem głos cichy, ale dla jego ucha wyraźny, za szeptał blisko:

— Panie Andrzeju!...

On chwycił się nagle rękoma za włosy:

— Przeklętym na wieki!... Bodaj mnie ziemia pożarła!...

Na twarz Billewiczówny wystąpiły płomienie, a oczy, jak gwiazdy jasne utkwiła w Kmicicu:

— Hańba tym, którzy przy hetmanie stoją!... Wybieraj!... Boże wszechmogący!... Co waćpan czynisz?!... Wybieraj!...

— Jezu! Jezu! — zakrzyknął Kmicic.

Tymczasem sala rozległa się okrzykami, inni właśnie rzucali bu-

ławy pod nogi księcia, ale Kmicic nie przyłączył się do nich, nie ruszył się i wówczas, gdy książę zakrzyknął: "Ganchoff i Kmicic do mnie!" — ani gdy piechota szkocka weszła już do sali — i stał targany boleścią i rozpaczą, z obłąkanym wzrokiem, z zsiniałemi usty.

Nagle zwrócił się do Billewiczówny i wyciągnął do niej ręce:

— Oleńka!... Oleńka!—powtórzył z jękiem żałosnym, jak dziecko, które krzywda spotyka.

Lecz ona cofnęła się ze wstrętem w twarzy i zgrozą.

— Precz... zdrajco! — odpowiedziała dobitnie.

W tej chwili Ganchoff skomenderował: "Naprzód!" i oddział Szkotów, otaczający więźniów, ruszył ku drzwiom|

Kmicic począł iść za nimi jak nieprzytomny, nie wiedząc, dokąd i poco idzie.

Uczta była skończona...

## XIV.

Tej samej jeszcze nocy, książę długo naradzał się z panem Korfem, wojewodą wendeńskim i z posłami szwedzkimi. Rezultat ogłoszenia umowy zawiódł jego oczekiwania i odsłonił mu groźną przyszłość. Umyślnie chciał książę, by promulgacya nastąpiła w czasie uczty, gdy umysły są podniecone, ochocze i do wszelkiej zgody skłonne. Spodziewał się w każdym razie oporu, ale liczył i na stronników, tymczasem energia protestu przeszła jego oczekiwania. Prócz kilkudziesięciu szlachty kalwinistów i garści oficerów obcego pochodzenia, którzy jako cudzoziemcy nie mogli mieć w tej sprawie głosu — wszyscy oświadczyli się przeciw układowi z Karolem Gustawem, a raczej z feldmarszałkiem jego i szwagrem Paulusem de la Gardie zawartemu.

Książę kazał wprawdzie aresztować oporną starszyznę wojskową, ale cóż z tego? Co na to rzekną chorągwie komputowe?... Czy się o swoich pułkowników nie upomną? Czy się nie zbuntują i nie będą chciały siłą ich odbić? A w takim razie cóż zostanie dumnemu księciu, prócz kilku regimentów dragońskich i cudzoziemskiej piechoty?

Potem... pozostaje jeszcze cały kraj, wszystka zbrojna szlachta

— i Sapieha, wojewoda witebski, groźny przeciwnik radziwiłłowskiego domu, gotów na wojnę z całym światem w imię całości Rzeczypospolitej. Owi pułkownicy, którym nie można przecie szyi poucinać, owe chorągwie polskie pójdą do niego i Sapieha stanie na czele wszystkich sił kraju, a książę Radziwiłł ujrzy się bez wojska, bez stronników, bez znaczenia... Cóż wówczas się stanie?...

Były to pytania straszne, bo i położenie było straszne. Książę rozumiał dobrze, że wówczas i umową, nad którą w skrytości tyle pracował siłą rzeczy straci wszelkie znaczenie, a wówczas i Szwedzi lekceważyć go będą, albo nawet mścić się za doznany zawód. Wszakże oddał im swe Birże w zakład wierności, ale przez to tem więcej się osłabił.

Karol Gustaw gotów był sypać obu rękoma nagrody i zaszczyty dla potężnego Radziwiłła — słabym i opuszczonym od wszystkich wzgardzi. A jeśli odmienna szczęścia kolej ześle zwycięstwo Janowi Kazimierzowi, wówczas ostatnia zguba nastanie dla tego pana, który dziś jeszcze rano nie miał równego sobie w całej Rzeczypospolitej.

Po odjeździe posłów i wojewody wendeńskiego, książę chwycił brzemienne troskami czoło w obie dłonie i począł chodzić szybkiemi krokami po komnacie... Z zewnątrz dochodziły głosy wartowników szkockich i turkot odjeżdżających kolasek szlacheckich. Odjeżdżały tak szybko i jakoś pośpiesznie, jakby zaraza padła na wspaniały kiejdański zamek. Straszliwy niepokój targał duszę Radziwiłła.

Zdawało mu się chwilami, że oprócz niego jest jeszcze ktoś i chodzi za nim i szepce mu do ucha: opuszczenie, ubóstwo, a do tego hańba... Wszakże on, wojewoda wileński i hetman wielki, już był zdeptany i upokorzony! Ktoby przypuszczał wczoraj, że w całej Koronie i Litwie, ba! w całym świecie, znajdzie się człowiek, ktoby śmiał zakrzyknąć mu do oczu: "Zdrajca!" a przecie on tego wysłuchał i żyw dotąd i ci, którzy ów wyraz wymówili, żywi także. Może, gdyby wszedł do owej sali, w której odbywała się uczta, usłyszałby jeszcze, jak echo wśród gzymsów i pod sklepieniami powtarza: "Zdrajca! zdrajca!"

I gniew szalony, wściekły, chwytał chwilami za pierś oligarchy. Nozdrza jego rozdymały się, oczy ciskały błyskawice, żyły występowały na czole. Kto tu śmie stawiać opór jego woli?... Rozsza-

lala myśl stawiała mu przed oczy obraz kar i mąk dla buntowników, którzy ośmielili się nie iść jak pies za jego nogami. I widział krew ich ściekającą z katowskich toporów, słyszał chrupot kości łamanych kołem i kąpał się, i lubował i nasycał krwawemi widziadłami.

Lecz gdy trzeźwiejsza rozwaga przypomniała mu, że za tymi buntownikami stoi wojsko, że nie można bezkarnie łbów im poskręcać, wówczas niepokój nieznośny, piekielny, wracał i napełniał jego duszę, a ktoś znów poczynał szeptać mu do ucha:

"Opuszczenie, ubóstwo, sąd i hańba..."

— Jakżeto? więc Radziwiłłowi nawet nie wolno stanowić o losie kraju? utrzymać go przy Janie Kazimierzu lub dać Karolowi Gustawowi? dać, przekazać, darować, komu zechce?

Magnat spojrzał ze zdumieniem przed siebie.

Więc cóż są Radziwiłłowie? więc czemże byli wczoraj? co mówiono powszechnie na Litwie?... Zali to wszystko było złudzeniem? Zali przy hetmanie wielkim nie stanie książę Bogusław ze swojemi pułkami, za nim wuj elektor brandeburski, a za wszystkimi trzema Karol Gustaw, król szwedzki, z całą zwycięską potęgą, przed którą niedawno jeszcze drżały Niemcy jak długie i szerokie? Toż i ta Rzeczpospolita polska wyciąga ku nowemu panu ręce i ona poddaje się na samą wieść o zbliżaniu się północnego lwa. Któż stawi opór tej sile niepohamowanej?

Z jednej strony król szwedzki, elektor brandeburski Radziwiłłowie, w potrzebie i Chmielnicki z całą potęgą i hospodar wołoski i Rakoczy siedmiogrodzki, pół niemal Europy! — z drugiej pan wojewoda witebski z panem Mirskim, z panem Stankiewiczem, z ową trójką szlachty, przybyłej z pod Łukowa i z kilku zbuntowanemi chorągwiami!... Co to jest? żarty? krotofila?...

Tu nagle książę zaczął się śmiać głośno.

— Przez lucypera i cały sejm piekielny, chybam oszalał!... Niech i wszyscy pójdą do wojewody witebskiego!

Po chwili jednak twarz jego zasępiała się znowu:

— Ci potężni tylko potężnych do spółki przypuszczą. Radziwiłł, rzucający Litwę pod szwedzkie nogi, będzie pożądany... Radziwiłł, wzywający pomocy przeciw Litwie, będzie lekceważony.

Co czynić?

Oficerowie cudzoziemscy wytrwają przy nim, ale siły ich niedostateczne i jeśli polskie chorągwie przejdą do wojewody witebskiego, wtedy on będzie miał losy kraju w ręku. Zresztą każdy

z tych oficerów spełni wprawdzie rozkazy, ale nie poślubi sprawy radziwiłłowskiej całą duszę, nie odda się jej z zapałem, nietylko jako żołnierz, lecz jako stronnik.

Tu koniecznie trzeba mieć nie cudzoziemców, ale ludzi swoich, którzyby mogli pociągnąć innych nazwiskiem, męstwem, sławą, zuchwałym przykładem, gotowością na wszystko... Trzeba mieć w kraju stronników, choćby dla oporu.

Któż zaś z tych swoich opowiedział się przy księciu? Charłamp, stary, zużyty żołnierz, dobry do służby i do niczego więcej; Niewiarowski, nielubiany w wojsku i bez wpływu; za nimi kilku innych mniejszego znaczenia. Nikt z innych, nikt z takich, za którymby poszło wojsko, nikt z takich, któryby mógł być propagatorem sprawy.

Pozostawał Kmicic młody, przedsiębiorczy, zuchwały, pokryty wielką sławą rycerską, noszący znamienite nazwisko, stojący na czele potężnej chorągwi, częścią własnym kosztem wystawionej człowiek jakby stworzony na wodza wszystkich zuchwałych i niespokojnych duchów na Litwie, a przytem pełen zapału. Gdyby on chwycił się sprawy radziwiłłowskiej, to chwyciłby się jej z wiarą, jaką daje młodość, szedłby za swym hetmanem naślepo i apostołowałby w jego imieniu, a taki apostół znaczy więcej, niż całe pułki, niż całe regimenty cudzoziemców. Swą wiarę potrafiłby wlać w serca młodego rycerstwa, pociągnąć je za sobą i wypełnić ludźmi radziwiłłowski obóz.

Lecz i on zawahał się widocznie. Nie rzucił wprawdzie swej buławy pod nogi hetmana, ale nie stanął przy nim w pierwszej chwili.

— Na nikogo nie można liczyć, nikogo nie można być pewnym — pomyślał posępnie książę. — Wszyscy oni przejdą do wojewody witebskiego i nikt nie zechce się ze mną podzielić...

— Hańbą! — szepnęło sumienie.

— Litwą — odpowiedziała z drugiej strony pycha.

W komnacie pociemniało, bo na knotach świec osiadły grzyby, jeno przez okna pływało srebrne światło księżyca. Radziwiłł wpatrzył się w te blaski i zamyślił się głęboko.

Zwolna poczęło się coś mącić w tych blaskach, wstawały jakieś postacie i coraz ich było więcej, aż w końcu ujrzał książę jakoby wojska idące ku sobie z górnych szlaków szeroką księżycową drogą. Idą pułki pancerne, husarskie i lekkie petyhorskie, las cho-

rągwi płynie nad niemi, a na czele jedzie jakiś człowiek bez hełmu na głowie, widocznie tryumfator, wracający po wojnie zwycięskiej. Cisza naokoło, a książę słyszy wyraźnie głos wojska i ludu: "Vivat defensor patriae! vivat defensor patriae!" Wojska zbliżają się coraz więcej; już twarz wodza można poznać, że to hetman wielki.

— W Imię Ojca i Syna! — to Sapieha, to wojewoda witebski! A gdzie ja jestem i co mnie przeznaczono?

— Hańbę! — szepce sumienie.

— Litwę! — odpowiada pycha.

Książę zaklasnął w dłonie; czuwający w przyległej komnacie Harasimowicz ukazał się natychmiast we drzwiach i zgiął się we dwoje.

— Światła! — rzekł książę.

Harasimowicz poobjaśniał knoty od świec, poczem wyszedł i po chwili wrócił ze świecznikiem w ręku.

— Wasza ks. mość! — rzekł — czas na spoczynek, już drugie kury piały!

— Nie chcę! — rzekł książę. — Zdrzemnąłem się i zmora mnie dusiła. Co tam nowego?

—Jakiś szlachcic przywiózł list z Nieświeża od księcia krajczego, ale nie śmiałem wchodzić nieprzyzwany.

— Dawaj co prędzej list!

Harasimowicz podał zapieczętowane pismo, książe otworzył i począł czytać, co następuje:

"Niech w. ks. mość Bóg broni i powstrzyma od takowych zamysłów, które wieczną hańbę i zniszczenie domowi naszemu przynieść mogą. Za sam takowy zamiar, nie o panowaniu, ale o włosiennicy myśleć. Mnie też wielkość naszego domu na sercu leży, a najlepszy dowód w staraniach, jakie w Wiedniu czyniłem, abyśmy suffragia w sejmach rzeszy mieć mogli. Ale ojczyzny, ani pana swojego za żadne nagrody i potęgę ziemską nie zdradzę, aby zaś po takiej siejbie żniwa hańby za życia i potępienia po śmierci nie zebrał. Wejrzyj wasza ks. mość na zasługi przodków i na sławę niepokalaną i opamiętaj się na miłosierdzie boskie, póki czas po temu służy. Nieprzyjaciel oblega mnie w Nieświeżu i nie wiem, zali to pismo dojdzie rąk waszej ks. mości; ale chociaż każda chwila zgubą mi grozi, nie o ocalenie Boga proszę, jeno aby waszą ks. mość od tych zamysłów powstrzymał i na drogę cnoty naprowadził

Choćby się już co złego uczyniło jeszcze recedere (cofnąć się) wolno i prędką poprawą zgładzić grzechy potrzeba. A odemnie nie spodziewajcie się pomocy, bo to zgóry oświadczam, że bez względu na związek krwi, ja siły swoje z panem podskarbim i z wojewodą witebskim połączę i oręż mój sto razy prędzej przeciw w. ks. mości zwrócę, zanimbym do tej haniebnej zdrady miał dobrowolnie przyłożyć ręki. Bogu w. ks. mość polecam.

Michał Kazimierz Radziwiłł.
Książę na Nieświeżu i Ołyce, krajczy
W. Ks. Litewskiego.

Hetman, skończywszy list, opuścił go na kolana i począł kiwać głową z bolesnym na twarzy uśmiechem.

— I ten mnie opuszcza, własna krew mnie się wypiera, za to, żem chciał dom nasz nieznanym dotąd blaskiem przyozdobić!... Ha! trudno! Pozostaje Bogusław i ten mnie nie opuści... Z nami elektor i Carolus Gustavus, a kto nie chce siać, ten i zbierać nie będzie...

— Hańby! — szepnęło sumienie.

— W. ks. mość raczy dać odpowiedź? — pytał Harasimowicz.

— Nie będzie odpowiedzi.

— Mogęż odejść i pokojowych przysłać?

— Czekaj... Czy warty pilno rozstawione?

— Tak jest.

— Ordynanse do chorągwi rozesłane?

— Tak jest.

— Co robi Kmicic?

— Łbem o ścianę bił i krzyczał o potępieniu. Wił się jak piskorz. Chciał uciekać za Billewiczami, warty go nie puściły. Porwał się do szabli, musiano go związać. Teraz leży spokojnie.

— Miecznik rosieński wyjechał?

— Nie było rozkazu, żeby go wstrzymać.

— Zapomniałem! — rzekł książę. — Otwórz okna, bo duszno i astma mnie dusi. Charłampowi powiedz, żeby do Upity po chorągiew ruszał i zaraz ją tu sprowadził. Pieniędzy mu dać, niech pierwszą ćwierć ludziom zapłaci i podochocić im pozwoli... Powiedz mu, że Dydkiemie w dożywocie po Wołodyjowskim weźmie. Astma mnie dusi. Charłampowi powiedz, żeby do Upity... Czekaj!

— Wedle rozkazu w. ks. mości.

— Co robi Kmicic?

— Jako rzekłem waszej książęcej mości, leży spokojnie.

— Prawda! mówiłeś... Każ go tu przysłać. Potrzebuję z nim mówić.. Więzy każ mu zdjąć.

— W ks. m., to człowiek szalony.

— Nie bój się, ruszaj!

Harasimowicz wyszedł; książę zaś wyjął z weneckiego biurka pudełko z pistoletami, otworzył je i położył sobie pod ręką na stole, przy którym usiadł.

Po kwadransie czasu wszedł Kmicic, wprowadzony przez czterech trabantów szkockich. Książę kazał odejść żołnierzom. Zostali sam na sam.

Zdawało się, że niema ani jednej kropli krwi w twarzy junaka, tak była blada; oczy tylko świeciły mu gorączkowo, ale zresztą był spokojny, zrezygnowany, lubo zdawał się być pogrążony w bezgranicznej rozpaczy.

Przez chwilę milczeli obaj. Przemówił pierwszy książę:

— Przysiągłeś na krucyfiksie, że nie opuścisz mnie!

— Potępiony będę, gdy tej przysięgi nie dotrzymam; potępiony będę, gdy jej dotrzymam! — rzekł Kmicic. — Wszystko mi jedno!

— Choćbym cię do złego prowadził, nie ty będziesz odpowiadał.

— Przed miesiącem groziły mi sądy i kary za zabójstwa... dziś wydaje mi się, żem wonczas był niewinny, jak dziecko!

— Nim wyjdziesz z tej komnaty, będziesz się czuł rozgrzeszony ze wszystkich swych win dawniejszych — rzekł książę.

Nagle, zmieniwszy ton, spytał z pewną poufałą dobrodusznością:

— Co też sądzisz, co ja powinienem był uczynić wobec dwóch nieprzyjaciół, stokroć potężniejszych, przeciwko którym obronić tego kraju nie mogłem?

— Zginąć! — odpowiedział szorstko Kmicic.

— Zazdrościć wam, żołnierzom, którym wolno tak łatwo zrzucić gniotące brzemię. Zginąć! Kto śmierci w oczy patrzył i nie boi się jej temu nic prostszego w świecie. Was głowa nie boli o to i żadnemu na myśl nie przyjdzie, że gdybym ja teraz wojnę zaciekłą rozniecił i nie zawarłszy układu, zginął, tedyby kamień na kamieniu z tego kraju nie pozostał. Nie daj Bóg, aby się to stało, bo i w niebie nie znalazłaby dusza moja spoczynku. O, terque, quaterque beati (trzykroć, czterykroć błogosławieni), którzy możecie zginąć!... Zali to myślisz, że i mnie żywot już nie cięży, żem nie głodny wiekuistego snu i odpocznienia? Ale trzeba kielich żółci i goryczy wychylić do dna. Trzeba ratować ten nieszczęśliwy

kraj i dla jego ratunku pod nowym ugiąć się ciężarem. Niech zazdrośni posądzają mnie o pychę, niech mówią, że ojczyznę zdradzam dlatego, aby siebie wynieść. Bóg mnie widzi, Bóg sądzi, czy pragnę tego wyniesienia i czybym się nie zrzekł, gdyby inaczej być mogło... Znajdźcież wy, którzy mnie odstępujecie, środek ratunku; wskażcie drogę, wy, którzyście mnie zdrajcą mianowali, a dziś jeszcze podrę ten dokument i wszystkie chorągwie ze snu rozbudzę, aby na nieprzyjaciela ruszyć.

Kmicic milczał.

— No! czemu milczysz? — zawołał podniesionym głosem Radziwiłł — czynię cię na mojem miejscu hetmanem wielkim i wojewodą wileńskim, a ty nie giń, bo to nie sztuka, ale ratuj kraj: broń województw zajętych, pomścij popioły Wilna, broń Żmudzi przeciw szwedzkiemu najściu, ba! broń całej Rzeczypospolitej, wyżeń z granic wszystkich nieprzyjaciół!... Porwij się samotrzeć na tysiące i nie giń!... i nie giń, bo ci nie wolno, ale ratuj kraj!...

— Nie jestem hetmanem i wojewodą wileńskim — odparł Kmicic — i co do mnie nie należy, to nie moja głowa... Ale jeśli chodzi o to, by się porwać samotrzeć na tysiące, to się porwę!

— Słuchaj tedy żołnierzu: skoro nie twoja głowa ma ratować kraj, to zostaw to mojej i ufaj!

— Nie mogę! — rzekł ze ściśniętemi zębami Kmicic.

Radziwiłł potrząsnął głową:

— Nie liczyłem na tamtych, spodziewałem się tego, co się stało, alem się na tobie zawiódł. Nie przerywaj i słuchaj... Postawiłem cię na nogi, uwolniłem od sądu i od kary, przygarnęłem do serca, jak syna. Czy wiesz dla czego? bom myślał, że masz duszę śmiałą, do wielkich przedsięwzięć gotową. Potrzebowałem takich ludzi, tego nie ukrywam. Nie było koło mnie nikogo, ktoby śmiał w słońce spojrzeć nieulękłem okiem. Byli ludzie małego ducha i małej fantazyi. Takim nie ukazuj nigdy innej drogi, jak ta, po której oni sami i ich ojcowie chodzić zwykli, bo cię zakraczą, że ich na manowce prowadzisz. A przecie gdzie, jeżeli nie do przepaści doszliśmy wszyscy owemi staremi drogami? Co się dzieje z tą Rzecząpospolitą, która niegdyś światu przegrażać mogła?

Tu książę głowę wziął w ręce i powtórzył potrzykroć:

— Boże! Boże! Boże!...

Po chwili tak mówił dalej:

— Nadeszły czasy gniewu Bożego, czasy takich klęsk i takiego upadku, że zwykłemi sposoby już nam się nie podnieść z tej choroby, a gdy ja chcę użyć nowych, jedynie salutem (zbawienie) przynieść mogących, tedy mnie opuszczają nawet ci, na których gotowość liczyłem, którzy powinni mi byli ufać, którzy mi ufność na krucyfiksie zaprzysięgli... Przez krew i rany Chrystusa! Zali ty myślisz że ja na wieki poddałem się pod protekcyę Karola Gustawa, że ja ten kraj naprawdę myślę ze Szwecyą połączyć, że ten układ, za który zdrajcą mnie okrzyknięto, dłużej niż rok trwać będzie?... Czegóżto spoglądasz zdumionemi oczyma?... Więcej się jeszcze zdumiejesz, gdy wszystkiego wysłuchasz... Więcej się przerazisz, bo tu stanie się coś takiego, czego nikt się nie domyśla, nikt nie przypuszcza, czego umysł zwyczajnego człeka objąć nie zdoła. Ale mówię ci, nie drżyj, bo w tem zbawienie tego kraju, nie cofaj się, bo gdy nikogo nie znajdę do pomocy, tedy może zginę, ale zemną zginie Rzeczpospolita i wy wszyscy — na wieki! Ja jeden uratować ją mogę, ale na to muszę zgnieść i zdeptać wszystkie przeszkody. Biada temu, kto mi się oprze, bo sam Bóg go przezemnie zetrze, czy to będzie pan wojewoda witebski, czy pan podskarbi Gosiewski, czy wojsko, czy szlachta oporna. Chcę ratować ojczyznę i wszystkie drogi, wszystkie sposoby do tego mi dobre... Rzym w chwilach klęski mianował dyktatorów — takiej, ba! większej, trwalszej władzy mi potrzeba... Nie pycha mnie do niej ciągnie — kto się czuje na siłach, niech ją za mnie bierze! Ale gdy niema nikogo, ja ją wezmę, chyba mi te mury pierwej upadną na głowę!...

To rzekłszy, książę wyciągnął obie ręce do góry, jakby naprawdę chciał podeprzeć walące się sklepienia i było w nim coś tak olbrzymiego, że Kmicic otworzył szeroko oczy i patrzył nań, jakby go nigdy dotąd nie widział — a nakoniec spytał zmienionym głosem:

— Dokąd wasza książęca mość dążysz?... Czego chcesz?...

— Chcę... korony! — zakrzyknął Radziwiłł.

— Jezus, Marya!...

Nastała chwila głuchej ciszy — jeno puszczyk na wieży zamkowej począł się śmiać przeraźliwie.

— Słuchaj, — rzekł książę — czas powiedzieć ci wszystko... Rzeczpospolita ginie... i zginąć musi. Niemasz dla niej na ziemi ratunku. Chodzi o to, by najprzód ten kraj, tę naszą ojczyznę

bliższą, ocalić z rozbicia... a potem... potem wszystko odrodzić z popiołów, jako się feniks odradza... Ja to uczynię... i tę koronę, której chcę, włożę jako ciężar na głowę, by z onej wielkiej mogiły żywot nowy wyprowadzać... Nie drżyj! ziemia się nie rozpada, wszystko stoi na dawnem miejscu, jeno czasy nowe przychodzą... Oddałem ten kraj Szwedom, aby ich orężem drugiego nieprzyjaciela pohamować, wyżenąć go z granic, odzyskać co stracone i w jego własnej stolicy mieczem traktat wymusić... Słyszysz ty mnie? Ale w onej skalistej głodnej Szwecyi niemasz dość ludzi, dość sił, dość szabel, aby tę niezmierną Rzeczpospolitę zagarnąć. Mogą zwyciężyć raz i drugi nasze wojsko; utrzymać nas w posłuszeństwie nie zdołają... Gdyby każdym dziesięciu ludziom tutejszym dodać za strażnika jednego Szweda, jeszczeby dla wielu dziesiątków strażników nie stało... I Karol Gustaw wie o tem dobrze i nie chce i nie może zagarnąć całej Rzeczypospolitej .... Zajmie Prusy królewskie, część Wielkopolski co najwięcej — i tem się będzie kontentował. Ale aby owemi nabytkami mógł na przyszłe czasy bezpiecznie władnąć, musi sojusz Korony z nami rozerwać, bo inaczej nie osiedziałby się w tamtych prowincyach. Cóż się więc stanie z tym krajem? Komu go oddadzą? Oto, jeśli ja odrzucę tę koronę, którą mi Bóg i fortuna na głowę kładą, tedy oddadzą go temu, kto go w tej chwili istotnie opanował... Lecz Karol Gustaw nie rad tego czynić, by sąsiedzkiej potęgi zbytnio nie utuczyć i groźnego sobie nieprzyjaciela nie stworzyć. Chyba, że ja koronę odrzucę, wówczas musi tak być... Zali więc mam prawo ją odrzucać? Zali mogę pozwolić, aby stało się to, co ostatnią zgubą grozi? Poraz dziesiąty i setny pytam: gdzie inny środek ratunku? Niech się więc dzieje wola Boża! Biorę ten ciężar na ramiona. Szwedzi są za mną, elektor, nasz krewny, pomoc przyrzeka. Uwolnię kraj od wojny! Od zwycięstw i rozszerzenia granic rozpocznę panowanie domu mego. Zakwitnie spokój i pomyślność, ogień nie będzie palił wsi i miast. Tak będzie i tak być musi... Tak mi dopomóż Bóg i święty krzyż — bo czuję w sobie siłę i moc z nieba mi daną, bo chcę szczęścia tej krainy, bo nie tu jeszcze koniec moich zamysłów... I na te światła niebieskie przysięgam, na te drgające gwiazdy, że niech jeno sił i zdrowia mi starczy, a cały ten gmach walący się dzisiaj odbuduję nanowo i potężniejszym niż dotąd go uczynię.

Ogień bił ze źrenic i oczu księcia i całą jego postać otaczał jakiś blask niezwykły.

— Wasza ks. mość! — zakrzyknął Kmicic — umysł objąć tego nie może, głowa pęka, oczy boją się patrzeć przed siebie!

— Potem — mówił dalej Radziwiłł, jakby idąc za dalszym biegiem własnych myśli — potem... Jana Kazimierza nie pozbawią Szwedzi państwa, ni panowania, ale go w Mazowszu i Małopolsce zostawią. Bóg mu nie dał potomstwa. Potem przyjdzie elekcya.. Kogoż na tron wybiorą, jeśli chcą dalszy sojusz z Litwą utrzymać? Kiedyżto tamta korona doszła do potęgi i zgniotła moc krzyżacką? Oto, gdy na jej tronie zasiadł Władysław Jagiełło. I teraz tak będzie... Polacy nie mogą kogo innego na tron powołać, jeno tego, kto tu będzie panował. Nie mogą i nie uczynią tego, bo im między Niemcami i Turczynem powietrza w piersi nie stanie, gdy i tak rak kozacki pierś tę toczy! Nie mogą! Ślepy, kto tego nie widzi, głupi, kto tego nie rozumie! A wówczas obie krainy znowu się połączą i zleją się w jedną potęgę w domu moim! Wówczas obaczym,czy oni królikowie skandynawscy ostoją się przy dzisiejszych pruskich i wielkopolskich nabytkach. Wówczas powiem im: quos ego (kto ja jestem) i tą stopą wychudłe żebra im przycisnę i stworzę taką potęgę, jakiej świat nie widział o jakiej dzieje nie pisały, a może do Konstantynopola krzyż i ogień poniesiem i grozić będziem nieprzyjaciołom, spokojni wewnątrz! Wielki Boże, który obracasz gwiazd kręgi, dajże mi ocalić tę nieszczęsną krainę na chwałę Twoją i całego chrześcijaństwa, dajże mi ludzi, którzyby zrozumieli myśl moją i do zbawienia chcieli rękę przyłożyć. Otom jest!...

Tu książę ręce rozłożył i oczy podniósł do góry:

— Ty mnie widzisz! Ty mnie sądzisz!...

— Mości książę! Mości książę! — zawołał Kmicic.

— Idź! opuść mnie! rzuć mi buzdygan pod nogi! złam przysięgę! przezwij zdrajcą!... Niech w tej koronie cierniowej, którą mi na głowę włożono, żadnego ciernia nie zbraknie! Zgubcie kraj, pogrążcie go w przepaść, odtrąćcie rękę, która go zbawić może i na sąd boży idźcie... Tam niechaj nas rozsądzą...

Kmicic rzucił się na kolana przed Radziwiłłem.

— Radziwiłł złożył mu obie ręce na głowie i znów nastała chwila milczenia... Jeno puszczyk śmiał się ciągle na wieży.

— Wszystko otrzymasz, czegoś pragnął i pożądał — rzekł uroczyście książę. — Nic cię nie minie, a więcej spotka, niż ci ojciec i matka życzyli.. Wstań, przyszły hetmanie wielki i wojewodo wileński!...

Na niebie poczęło świtać.

## XV.

Pan Zagłoba mocno już miał w głowie, gdy po trzykroć rzucił strasznemu hetmanowi słowo: "zdrajca." Owóż w godzinę później, gdy wino wyparowało mu z łysiny i gdy znalazł się wraz z obu Skrzetuskimi i panem Michałem w kiejdańskiem zamkowem podziemiu, poznał po niewczasie, na jaki hazard wystawił szyję własną i towarzyszów i zafrasował się wielce.

— A co teraz będzie? — pytał, patrząc osowiałym wzrokiem na małego rycerza, w którym szczególniejszą w ciężkich razach pokładał ufność.

— Niech dyabli porwą życie! Wszystko mi jedno! — odpowiedział Wołodyjowski.

— Dożyjemy takich czasów i takiej hańby, jakiej świat i ta korona dotąd nie widziała! — rzekł pan Skrzetuski.

— Żebyśmy aby dożyli — odpowiedział Zagłoba, — moglibyśmy dobrym przykładem cnotę w innych restaurować... Ale czy dożyjemy? To grunt...

— Straszna rzecz, wiarę przechodząca! — mówił Stanisław Skrzetuski. — Gdzie się coś podobnego działo? Ratujcie mnie, mości panowie, bo czuję, że mi się w głowie miesza... Dwie wojny, trzecia kozacka... a do tego zdrada, jak zaraza: Radziejowski, Opaliński, Grudziński, Radziwiłł! Nie może być inaczej, koniec świata nastaje i dzień sądu! Niechże się ziemia rozstąpi pod naszemi nogami. Jak mi Bóg miły, zmysły tracę!

I założywszy ręce na tył głowy, począł chodzić wzdłuż i wszerz piwnicy, jako dziki zwierz po klatce.

— Zacznijmy pacierze, czy co — rzekł wreszcie, — Boże miłosierny, ratuj!

— Uspokój się waćpan! — rzekł Zagłoba — tu nie czas desperować!

Pan Stanisław nagle zęby ścisnął, wściekłość go porwała.

— Bogdaj cię zabito! — krzyknął na Zagłobę — twój to pomysł: jazda do tego zdrajcy! Bogdaj was obu pomsta dosięgła!

— Opamiętaj się Stanisławie — rzekł surowo Jan. — Tego, co się stało, nikt nie mógł przewidzieć!.. Cierp, bo nie ty jeden cierpisz a to wiedz, że nasze miejsce tu a nie gdzieindziej... Boże miłosierny! zmiłuj się nie nad nami, ale nad tą ojczyzną nieszczęsną!

Stanisław nic nie odpowiedział, jeno dłonie łamał, aż w stawach trzeszczało.

Umilkli. Jeno pan Michał gwizdał po desperacku przez zęby i zdawał się być obojętny na wszystko, co się koło niego działo, choć w gruncie rzeczy cierpiał podwójnie, bo najprzód nad nieszczęściem ojczyzny, a powtóre, iż hetmanowi posłuszeństwo złamał. Dla tego żołnierza do szpiku kości była to okropna rzecz. Wolałby zginąć tysiąc razy.

— Nie gwiżdż, panie Michale! — rzekł do niego Zagłoba.

— Wszystko mi jedno!

— Jakżeto? Żaden z was nie pomyśli czy niema jakowego środka ratunku? A przecie warto nad tem dowcip wysilić! Zali mamy gnić w tej piwnicy, gdy każda ręka ojczyźnie potrzebna? Gdy jeden cnotliwy musi za dziesięciu zdrajców wystarczyć?!

— Ojciec ma słuszność! — rzekł Jan Skrzetuski.

— Ty jeden nie ogłupiałeś od boleści. Jak suponujesz? Co ten zdrajca myśli z nami uczynić? Na gardle nas przecie nie ukarze?

Pan Wołodyjowski wybuchnął nagle desperackim śmiechem.

— A to dlaczego? ciekawym!... Zali nie przy nim inkwizycya? Zali nie przy nim miecz? Chyba nie znacie Radziwiłła?

— Co tam prawisz! Jakieżto mu prawo przysługuje?...

— Nademną — hetmańskie, a nad wami — gwałt!

— Za który musiałby odpowiadać...

— Przed kim? Przed królem szwedzkim?

— A to pięknie mnie pocieszasz! Niema co mówić?

— Ja też nie myślę waści pocieszać.

Umilkli i przez jakiś czas słychać było tylko miarowe kroki piechurów szkockich za drzwiami piwnicy.

— Niema co! — rzekł Zagłoba — tu trzeba fortelu zażyć.

Nikt mu nie odpowiedział, więc po niejakim czasie znów mówić zaczął:

— Nie chce się w to wierzyć, abyśmy mieli być na gardle skazani. Żeby za każde słowo w prędkości i po pijanemu wymówione szyję ucinać, tedyby ani jeden szlachcic w tej Rzeczypospolitej z głową nie chodził. A neminem captivabimus (a przywileje wolności) Czy to furda?

— Masz waść przykład na sobie i na nas! — rzekł Stanislaw Skrzetuski.

— Bo to się stało z prędkości, ale wierzę w to, że się książę zreflektuje. My obcy ludzie żadnym sposobem pod jego jurysdykcyę nie podchodzimy. Musi na opinię zważać i od gwałtów nie może poczynać, aby sobie szlachty nie narażać. Jako żywo! zawielka nas kupa, aby wszystkim głowy postrącać. Nad oficyjerami ma prawo, temu nie mogę negować, ale tak myślę, że się na wojsko będzie oglądał, które pewnie o swoich nie omieszka się upomnieć... A gdzie twoja chorągiew, panie Michale?

— W Upicie!

— Powiedz mi jeno, jesteś pewny, że owi ludzie wiernie przy tobie staną?

— Skąd mam wiedzieć? Miłują mnie dosyć, ale wiedzą, że hetman nademną.

Zagłoba zamyślił się na chwilę.

— Dajże mnie do nich ordynans, aby mnie we wszystkiem słuchali, jako ciebie samego, jeśli się wśród nich ukażę.

— Waćpanu się zdaje, żeś już wolny!

— Nie zawadzi nic. Bywało się w gorszych opałach i Bóg ratował. Daj ordynans dla mnie i dla obydwóch panów Skrzetuskich. Kto pierwszy się wymknie, ten zaraz do chorągwi ruszy i innym ją na ratunek przyprowadzi.

— Co waść bredzisz! Szkoda czasu na gadanie! Kto tu się wymknie! Na czem zresztą dam rozkaz? Masz waść papier, inkaust, pióra? Waść głowę tracisz.

— Desperacya! — rzekł Zagłoba. — Dajże mnie choć swój pierścień.

— Masz waćpan i daj mi spokój! — rzekł pan Michał.

Pan Zagłoba wziął pierścień, wsadził go na mały palec i począł chodzić w zamyśleniu.

Tymczasem dymny kaganek zagasł i ogarnęła ich ciemność zupełna; tylko przez kraty wysokiego okna widać było parę gwiazd

migccących na pogodnem niebie. Oczy Zagłoby nie schodziły z tej kraty.

— Gdyby nieboszczyk Podbipięta żył i był z nami — mruknął stary, — byłby wyszarpnął kratę i w godzinę obaczylibyśmy się za Kiejdanami.

— A podsadzisz mnie do okna? — rzekł nagle Jan Skrzetuski.

Zagłoba z panem Stanisławem ustawili się pod ścianą, po chwili Jan stał na ich ramionach.

— Trzeszczy! jak mi Bóg miły, trzeszczy! — zawołał Zagłoba.

— Co ojciec mówisz! — odpowiedział Jan — jeszczem nie zaczął ciągnąć.

— Wleźcie we dwóch z bratankiem, ja was tam jakoś udźwignę... Nieraz żałowałem pana Michała, że taki misterny, a teraz żałuję, że jeszcze nie misterniejszy, bo mógłby się jako serpens (wąż) prześliznąć.

Lecz Jan zeskoczył już z ramion.

— Szkoci stoją z tamtej strony! — rzekł.

— Bodaj się w słupy soli zamienili, jako żona Lotowa! Ci mno tu choć w pysk daj. Niedługo świtać poczniе. Myślę, że nam jakoweś alimenta (pożywienie) przyniosą, bo tego i lutrzy nie czynią, żeby jeńców mieli głodem morzyć. Może też Bóg ześle na hetmana upamiętanie. W nocy nieraz sumienie się w człeku budzi i dyabli grzeszników inkomodują. Zalito może być, aby do tej piwnicy jedno było wejście? Po dniu obejrzym. Głowa mi jakoś cięży i żadnego fortelu wymyślić nie mogę — jutro Bóg dowcipowi pomoże, a teraz pocznijmy pacierze, mości panowie, i polećmy się Najświętszej Pannie w tem heretyckiem więzieniu.

Jakoż po chwili poczęli odmawiać pacierze i litanią do Matki Boskiej, poczem obaj Skrzetuscy i Wołodyjowski umilkli, mając pełne piersi nieszczęścia, Zagłoba zaś pomrukiwał z cicha:

— Nie może inaczej być — mruczał, — tylko jutro pewnie powiedzą nam: aut, aut! — bądźcie z Radziwiłłem, a przebaczę wam wszystko. Jeno zobaczymy, kto kogo oszuka. To do więzienia szlachtę pakujecie, na wiek i na zasługi nie macie względu? — dobrze! Komu szkoda, temu płacz! Głupi będzie pod spodem, a madry na wierzchu. Przyrzeknę, co chcecie, ale tego, czego wam dotrzymam, na załatanie butów nie starczy. Jeśli wy ojczyźnie wiary nie dotrzymujecie, to cnotliwy ten, kto wam nie

dotrzyma. Ale to pewna, że przychodzi ostatnia zguba na Rzeczpospolitą, skoro najprzedniejsi dygnitarze z nieprzyjacielem się łączą... Tego w świecie jeszcze nie bywało i pewnie, że mentem (rozum) można stracić. Zali jest w piekle dosyć mąk na takowych zdrajców? Czego takiemu Radziwiłłowi brakło? Małoż mu ta ojczyzna wyświadczyła, że ją jako Judasz zaprzedał i to właśnie w czasie największych klęsk, w czasie trzech wojen?... Słuszny, słuszny gniew Twój, Boże, daj jeno karę najprędzej. Niechże tak będzie. Amen! Byle się stąd jak najprędzej na wolność wydostać — narobię ja ci partyzantów, mości hetmanie! Poznasz, jako to frukta zdrady smakują. Będziesz ty mnie jeszcze za przyjaciela uważał, ale jeśli lepszych przyjaciół nie znajdziesz, to nie poluj nigdy na niedźwiedzia, chyba ci skóra nie miła...

Takto rozprawiał z sobą pan Zagłoba. Tymczasem upłynęła jedna i druga godzina, a w końcu poczęło świtać. Szare blaski wpadające przez kratę, rozpraszały zwolna ciemność panującą w piwnicy i wydobyły z niej posępne postacie rycerskie, siedzące pod ścianami. Wołodyjowski i dwaj Skrzetuscy drzemali ze znużenia, ale gdy rozwidniło się lepiej, z podwórca zamkowego doleciały odgłosy kroków żołnierskich, chrzęst broni, tętent kopyt i dźwięki trąb przy bramie. Rycerze zerwali się na równe nogi.

— Poczyna nam się dzień niezbyt pomyślnie! — rzekł Jan.

— Daj Boże, żeby się skończył pomyślniej — odpowiedział Zagłoba. — Wiecie waćpanowie, com w nocy obmyślił. Oto pewnie poczęstują nas darowaniem żywota, jeżeli służbę u Radziwiłła przyjąć i jeszcze w zdradzie pomagać zechcemy, my zaś powinniśmy się na to zgodzić, aby z wolności skorzystać i za ojczyznę stanąć.

— Niechże mnie Bóg broni, abym miał zdradę podpisywać — odparł Jan, — bo choćbym potem zdrajcy odstąpił, jużby moje nazwisko na hańbę moim dzieciom między zdrajcami pozostało. Nie uczynię ja tego, wolę umrzeć.

— Ani ja! — rzekł Stanisław.

— A ja z góry was uprzedzam, że uczynię. Na fortel, fortel, a potem będzie, co Bóg da. Nikt nie pomyśli, że to z dobrej woli, albo szczerze uczynił. Niech tego smoka Radziwiłła dyabli wezmą. Zobaczymy jeszcze, czyje będzie na wierzchu.

Dalszą rozmowę przerwały krzyki dochodzące z podwórza. Sły-

chać w nich było złowrogie akcenty gniewu i wzburzenia. Jednocześnie rozlegały się pojedyńcze głosy komendy i echa kroków całych tłumów i ciężkich hurkot, jakby przetaczanych dział.

— Co tam się dzieje? — pytał Zagłoba. — Dalibóg, może to jakaś pomoc dla nas?

— Pewnie, że niezwyczajne to hałasy — odrzekł Wołodyjowski. — A podsadźcieno mnie do okna, bo ja najprędzej rozeznam, co to jest...

Jan Skrzetuski wziął go pod boki i podniósł jak dziecko do góry, pan Michał chwycił się kraty i począł pilnie wyglądać na podwórzec.

— Jest co! jest! — rzekł nagle żywo — widzę węgierską nadworną chorągiew piechoty, którą Oskierka dowodził. Okrutnie go miłowali, a on także pod aresztem, pewnie się o niego dopominają. Porucznik Stachowicz jest z nimi, to przyjaciel Oskierki.

W tej chwili krzyki jeszcze się wzmogły.

— Ganchoff przed nich przyjechał... Mówi coś ze Stachowiczem... A jaki krzyk!... Widzę, mości panowie, Stachowicz z dwoma oficerami odchodzą od chorągwi. Idą pewnie do hetmana w deputacyi. Jak mi Bóg miły, bunt szerzy się w wojsku. Armaty naprzeciw Węgrom zatoczone i regiment szkocki także w szyku bojowym. Towarzystwo z pod polskich chorągwi zbiera się przy Węgrach. Bez nich nie mieliby tej śmiałości, bo w piechocie dyscyplina okrutna...

— Na Boga! — krzyknął Zagłoba. — W tem nasze zbawienie!... Panie Michale, a siła też polskich chorągwi?... Bo że te się zbuntują, to zbuntują.

— Husarska Stankiewicza i pancerna Mirskiego stoją o dwa dni drogi od Kiejdan — odpowiedział Wołodyjowski. — Gdyby tu były, nie śmianoby ich aresztować. Czekajże waść... Jest dragonia Charłampa, jeden regiment, Mieleszki drugi, te stoją przy księciu... Niewiarowski opowiedział się także przy księciu, ale jego pułk daleko... Dwa regimenty szkockie...

— To cztery przy księciu.

— I artylerya pod panem Korfem: dwa regimenty.

— Oj! coś dużo!

— I Kmicicowa chorągiew, okrutnie okryta... sześćset ludzi.

— A Kmicic po której stronie?

— Nie wiem.

— Nie widzieliście go? Rzucił wczoraj buławę, czy nie rzucił?

— Nie wiemy.

— Kto tedy przeciw księciu? jakie chorągwie?

— Najprzód widocznie ci Węgrzyni. Ludzi dwieście. Potem kupa luźnego towarzystwa z pod buławy Mirskiego i Stankiewicza. Szlachty trochę... i Kmicic, ale ten niepewny.

— Bodaj go!... Na miłość Boską... Mało!... Mało!...

— Ci Węgrzyni za dwa pułki staną. Stary żołnierz i wyćwiczony! Czekajcieno... Lonty zapalają u armat, na bitwę się zanosi...

Skrzetuscy milczeli, Zagłoba kręcił się jak w gorączce.

— Bijże zdrajców! Bij psubratów! Ej, Kmicic, Kmicic! wszystko od niego zależy. Śmiałyżto żołnierz?

— Jak dyabeł... Gotów na wszystko.

— Nie może być inaczej, tylko on po naszej stronie stanie.

— Bunt w wojsku! Ot, do czego hetman doprowadził! — zakrzyknął Wołodyjowski.

— Kto tu buntownik? Wojsko, czy hetman, który się przeciwko własnemu panu zbuntował? — pytał Zagłoba.

— Bóg to osądzi,. Czekajcie. Znowu tam jakiś ruch. Część dragonii Charłampowej staje przy Węgrach. Sama dobra szlachta w tym regimencie służy. Słyszycie jak krzyczą?

— Pułkowników! Pułkowników! — wołały groźne głosy z podwórca.

— Panie Michale! na rany Boskie, krzyknij im, żeby posłali po twoją chorągiew i po towarzystwo pancerne i husarskie.

— Cicho waść!

Zagłoba sam począł krzyczeć.

— A poślijcie po resztę polskich chorągwi i w pień zdrajców!

— Cicho waść!

Nagle, nie na podwórzu, ale na tyłach zamku, zabrzmiała krótka, urwana salwa muszkietów...

— Jezus Marya! — krzyknął Wołodyjowski.

— Panie Michale, co to jest?

— Rozstrzelali niezawodnie Stachowicza i dwóch oficerów, którzy poszli w deputacyi! — mówił gorączkowo Wołodyjowski. — Nie może inaczej być!

— Męko Pana naszego! Tedy żadnej klemencyi nie można się spodziewać.

Huk wystrzałów zagłuszył dalszą rozmowę. Pan Michał chwycił konwulsyjnie za kratę i przycisnął do niej czoło, ale przez chwilę nie mógł nic dojrzeć, prócz nóg szkockich piechurów, ustawionych tuż za oknem. Salwy muszkietów stały się coraz gęstsze, nakoniec ozwały się i armaty. Suche uderzenia kul o ścianę nad piwnicą słychać było doskonale, jakby uderzenia gradu. Zamek trząsł się w posadach.

— Michale, zeskocz, zginiesz tam! — zawołał Jan.

— Za nic. Kule idą wyżej, a z armat właśnie w przeciwną stronę. Za nic nie zejdę.

I pan Wołodyjowski, chwyciwszy jeszcze silniej za kratę, wciągnął się cały we wgłębienie okna, gdzie już nie potrzebował ramion Skrzetuskiego do podpory. W piwnicy uczyniło się wprawdzie ciemno, bo okienko było małe i pan Michał, choć szczupły, przesłonił je całkowicie, ale natomiast towarzysze pozostali na dole mieli każdej minuty świeże wiadomości z pola bitwy.

— Widzę teraz! — krzyknął pan Michał. — Węgrzyni o ścianę się wsparli, stamtąd strzelają... Ha! bałem się, żeby się w kąt nie zatłoczyli, bo armaty by ich w mig zniszczyły. Sprawny żołnierz! Jak mi Bóg miły! Bez oficerów wie, co trzeba. Dym znowu! Nie widzę nic...

Strzały poczęły słabnąć.

— Boże miłosierny! nie odkładaj kary! — wołał Zagłoba.

— A co Michale? — pytał Skrzetuski.

— Szkoci idą do ataku.

— Pioruny siarczyste, że musimy tu siedzieć! — zakrzyknął Stanisław.

Już są! Halabardnicy! Węgrzyni na szable ich biorą! Ach! Boże! że nie możecie widzieć! Co za żołnierze!

— I z sobą się biją, zamiast z nieprzyjacielem.

— Węgrzyni górą! Szkoci od lewego cofają się. Jak Boga kocham! Dragoni Mieleszki przechodzą na ich stronę!... Szkoci we dwóch ogniach. Korf nie może z dział razić, bo i Szkotówby psował. Widzę już i Ganchoffowe mundury między Węgrzynami. Idą do ataku na bramę. Chcą się wydostać stąd. Idą jak burza! Wszystko łamią!

— Hę? Jakto? Wolałbym, żeby zamek zdobyli — krzyknął Zagłoba.

— Nic to! Jutro powrócą z chorągwiami Mirskiego i Stankiewicza... Hej! Charlamp zginął!... Nie! Wstaje ranny... Już, już są przy bramie... Co to jest? Chyba i szkocka straż w bramie przechodzi do Węgrów: bo otwierają wrzeciądze... Kurz się kłębi z tamtej strony. Kmicica widzę! Kmicic! Kmicic z jazdą wali przez bramę!

— Po czyjej stronie? Po czyjej stronie? — krzyczał Zagłoba.

Przez chwilkę pan Michał nie dał odpowiedzi, ale przez małą chwilkę, zgiełk, szczęk broni i krzyki rozległy się tymczasem ze zdwojoną siłą.

— Już po nich! — krzyknął przeraźliwie Wołodyjowski.

— Po kim? Po kim?

— Po Węgrach! Jazda rozbiła ich, tratuje, siecze! Banderya w Kmicicowych ręku!... Koniec, koniec!

To rzekłszy, pan Michał zesunął się z framugi i okienka i wpadł w ramiona Jana Skrzetuskiego.

— Bijcież mnie! — wołał — bijcie, bo ja tego człowieka miałem pod szablą i żywym go puściłem, ja odwiozłem mu list zapowiedni! Przezemnie zaciągnął tę chorągiew, z którą teraz przeciwko ojczyźnie będzie walczył. Wiedział, kogo zaciągał: psubratów, wisielców, zbójów, rakarzy, takich, jak sam. Bodajem go raz jeszcze z szablą spotkał... Boże! przedłuż mi życie na pohybel tego zdrajcy, bo przysięgam, że więcej z rąk moich nie wyjdzie....

Tymczasem krzyki, tętent kopyt i salwy wystrzałów brzmiały jeszcze z całą siłą, ale stopniowo poczęły słabnąć i w godzinę później cisza zapanowała na kiejdańskim zamku, przerywana tylko miarowemi krokami patrolów szkockich i odgłosami komendy.

— Panie Michale! Wyjrzyjno jeszcze, co się stało — błagał Zagłoba.

— Poco? — odpowiedział mały rycerz. — Kto wojskowy, ten zgadnie, co się stało. Zresztą widziałem ich rozbitych... Kmicic tu tryumfuje!

— Bodaj go końmi szarpano, warchoła, piekielnika! Bodaj mu przyszło haremu u Tatarów pilnować!

## XVI.

Pan Michał miał słuszność. Kmicic tryumfował. Węgrzy i część dragonów Mieleszki oraz Charłampa, która połączyła się z nimi, zalegali gęstym trupem kiejdańskie dziedzińce. Zaledwie kilkudziesięciu wymknęło się i rozproszyło w okolicach zamku i miasta, gdzie ich ścigała jazda. Wyłowiono jeszcze wielu, inni nie oparli się zapewne aż w obozie Pawła Sapiehy, wojewody witebskiego, któremu pierwsi musieli przynieść straszną wieść o zdradzie hetmana wielkiego, o przejściu jego do Szwedów, o uwięzieniu pułkowników i o oporze chorągwi polskich.

Tymczasem Kmicic, cały okryty krwią i kurzawą, stawił się z węgierską banderyą w ręku przed Radziwiłłem, który przyjął go z otwartemi rękoma. Ale pana Andrzeja nie upoiło zwycięstwo. Owszem chmurny był i zły, jakby przeciw sercu postąpił.

— Wasza ks. mość — rzekł — nie chcę słuchać pochwał i wolałbym sto razy z nieprzyjacielem ojczyzny walczyć, niż z żołnierzami, którzyby się jej przydać mogli. Człeku się zdaje, że sam sobie krwi puścił.

— A czyjaż wina, jeśli nie tych buntowników? — odparł książę. — Wolałbym i ja ich pod Wilno poprowadzić i tak miałem uczynić... Oni zaś woleli przeciw zwierzchności się porwać. Co się stało, to się nie odstanie. Trzeba było i trzeba będzie dać przykład.

— A co wasza książęca mość myślisz robić z jeńcami?

— Co dziesiątemu kula w łeb. Resztę pomieszać z innemi pułkami. Pojedziesz dziś do chorągwi Mirskiego i Stankiewicza, zawieziesz im rozkaz mój, by do pochodu byli gotowi. Czynię cię regimentarzem nad temi dwoma chorągwiami i nad trzecią Wołodyjowskiego. Namiestnicy mają ci podlegać i we wszystkiem słuchać. Chciałem do tej chorągwi Charłampa najprzód posłać, ale on do niczego... Rozmyśliłem się.

— A w razie oporu? Bo to u Wołodyjowskiego laudańscy ludzie, którzy okrutnie mnie nienawidzą.

— Ogłosisz, że Mirski, Stankiewicz i Wołodyjowski natychmiast będą rozstrzelani.

— Tedy oni mogą pójść zbrojno na Kiejdany, aby ich odbić. U Mirskiego wszystko znaczna szlachta służy.

— Weźmiesz z sobą regiment piechoty szkockiej i regiment niemieckiej. Najprzód otoczysz ich, potem ogłosisz rozkaz.

— Jak wola waszej ks. mości!

Radziwiłł wsparł dłonie na kolanach i zamyślił się.

— Mirskiego i Stankiewicza rozstrzelałbym chętnie, gdyby nie to, że oni nietylko w swoich chorągwiach, ale w całem wojsku, ba, w całym kraju mir mają... Boję się wrzawy i otwartego buntu, którego przykład mieliśmy już przed oczyma... Szczęściem, dzięki tobie, dobrą dostali naukę i dwa razy pomyśli każda chorągiew, nim się na nas porwie. Trzeba tylko szybko działać, ażeby oporni nie przeszli do pana wojewody witebskiego.

— Wasza ks. mość mówiłeś tylko o Mirskim i Stankiewiczu, a nie wspomniałeś o Wołodyjowskim i Oskierce.

— Oskierkę muszę także oszczędzić, bo to człek znaczny i szeroko spokrewniony, ale Wołodyjowski z Rusi pochodzi i nie ma tu relacyi. Dzielny to żołnierz, prawda! Liczyłem też na niego... Temci gorzej, żem się zawiódł. Gdyby dyabeł nie był przyniósł tych przybłędów, jego przyjaciół, może inaczejby postąpił, ale po tem, co się stało, czeka go kula w łeb, jak również dwóch Skrzetuskich i tego trzeciego byka, który pierwszy zaczął ryczeć: "zdrajca, zdrajca!"

Pan Andrzej zerwał się, jakby go żelazem przypieczono.

— Wasza książęca mość! Żołnierze mówią, że Wołodyjowski życie waszej ks. mości pod Cybichowem uratował.

— Spełnił swoją powinność i zato Dydkiemie mu w dożywocie chciałem puścić... Teraz mię zdradził, i zato każę go rozstrzelać.

Oczy Kmicica zaiskrzyły się, a nozdrza poczęły latać.

— Wasza ks. mość! Nie może to być!

— Jakto, nie może być? — spytał Radziwiłł, marszcząc brwi.

— Błagam waszę ks. mość! — mówił z uniesieniem Kmicic, — aby Wołodyjowskiemu włos z głowy nie spadł. Wasza ks. mość mu przebaczy... błagam!... Wołodyjowski mógł mi nie oddać zapowiedniego listu, boś go wasza ks. mość na jego ręce przysłał i do woli mu zostawił. A oddał!... Wyrwał mnie z toni... Przeztc przeszedłem pod w. ks. mości inkwizycyą... Nie wahał się mnie

ratować, chociaż o tę samę pannę tentował... Winienem mu wdzięczność i zaprzysiągłem sobie, że mu się wypłacę!... Wasza ks. mość uczyni to dla mnie, aby ni jego, ni jego przyjaciół żadna kara nie dosięgła. Włos im nie ma spaść z głowy i, na Boga! nie spadnie, póki jam żyw!... Błagam waszę książęcą mość!

Pan Andrzej prosił i ręce składał, ale w słowach jego brzmiały mimowoli akcenty gniewu i groźby i oburzenia. Niepohamowana natura brała górę. I stanął nad Radziwiłłem z twarzą podobną do głowy rozdrażnionego, drapieżnego ptaka, z roziskrzonemi oczami. Hetman zaś miał również burzę w obliczu. Przed jego żelazną wolą i despotyzmem gięło się dotychczas wszystko na Litwie i Rusi — nikt nigdy nie śmiał mu się sprzeciwić, nikt prosić o łaskę dla raz skazanych, a teraz Kmicic prosił tylko pozornie — w rzeczywistości żądał. I położenie było takie, że prawie niepodobna było mu odmówić.

Despota, zaraz na początku zawodu zdrajcy poczuł, że nieraz przyjdzie mu ulegać despotyzmowi ludzi i okoliczności, że będzie zależnym od własnych stronników daleko mniejszego znaczenia, że ten Kmicic, którego chciał zmienić w wiernego psa, będzie raczej chowanym wilkiem, który, rozdrażniony, gotów chwycić zębami za rękę pana.

Wszystko to wzburzyło dumną krew radziwiłłowską. Postanowił się opierać, bo i wrodzona straszna mściwość pchała go do oporu.

— Wołodyjowski i tamci trzej muszą dać gardła! — rzekł podniesionym głosem.

— Gdybym był Węgrów nie rozbił, nie oni daliby gardła! — zakrzyknął Kmicic.

— Jakżeto? Już mi wymawiasz swoje usługi? — pytał groźnie hetman.

— Wasza ks. mość! — rzekł porywczym głosem pan Andrzej — nie wymawiam... Proszę... Błagam... Ale to się nie stanie. Ci ludzie na całą Polskę sławni... Nie może być! Nie może być!... Nie będę Judaszem dla Wołodyjowskiego. Pójdę za waszą ks. mość w ogień, ale nie odmawiaj mi tej łaski...

— A jeśli odmówię?

— Tedy mię każ w. ks. mość rozstrzelać!... Nie chcę żyć!...

Niech mnie pioruny zatrzasną!... Niech mnie dyabli żywcem do piekła wezmą!

— Opamiętaj się, nieszczęsny, przed kim to mówisz?

— Wasza ks. mość nie przyprowadzaj mnie do desperacyi!

— Do prośby mogłem nakłonić ucha, na groźby nie będę zważał.

— Ja proszę... Błagam!...

Tu pan Andrzej rzucił się na kolana.

— Pozwól mi wasza ks. mość sercem, nie z musu sobie służyć, bo inaczej zwaryuję!

Radziwiłł nie odrzekł nic. Kmicic klęczał, bladość i rumieńce przelatywały mu jak błyskawice przez twarz. Widocznem było, że jeszcze chwila, a wybuchnie w straszliwy sposób.

— Wstań! — rzekł Radziwiłł.

Pan Andrzej wstał.

— Umiesz bronić przyjaciół: — rzekł książe — mam próbę, że i mnie będziesz umiał bronić i nie odstąpisz nigdy. Jeno Bóg cię stworzył z saletry, nie z mięsa i bacz, abyś nie spłonął. Nie mogę ci niczego odmówić. Słuchajże mnie, Stankiewicza, Mirskiego i Oskierkę chcę Szwedom do Birż odesłać, niechże Skrzetuscy dwaj i Wołodyjowski idą z nimi. Głów im tam nie pourywają, a że czasu wojny w spokoju posiedzą, to lepiej.

— Dziękuję waszej ks. mości, ojcu mojemu! — zakrzyknął pan Andrzej.

— Powoli... — rzekł książę. — Uszanowałem twoją przysięgę aż nadto, teraz ty uszanuj moją... Temu staremu szlachcicowi... zapomniałem jak mu na przezwisko... temu ryczącemu dyabłu, który tu ze Skrzetuskimi przybył, zapisałem śmierć w duszy. On to pierwszy nazwał mnie zdrajcą, on o wzięcie korupcyi posądził, on podniecił innych, bo może nie przyszłoby do tego oporu, gdyby nie jego zuchwalstwo! (Tu książę uderzył pięścią w stół). Pierwej śmierci, pierwej końca świata bym się spodziewał, niż żeby kto mnie, Radziwiłłowi, śmiał do oczu zakrzyknąć: "zdrajca!" Do oczu, wobec ludzi! Niema takiej śmierci, niema takich mąk, którychby dość było za taką zbrodnię. Nie proś mnie o niego, bo to na nic.

Ale pan Andrzej niełatwo się zrażał, gdy sobie coś przedsięwziął. Jeno nie gniewał się już, ani wybuchał. Owszem, chwyciw-

szy na nowo rękę hetmańską, począł okrywać ją pocałunkami i prosić tak serdecznie, jak tylko sam umiał.

— Żadnym powrozem, ani łańcuchem nie przywiązałbyś wasza ks. mość tak serca mego, jak tą łaską. Ale nie czyń jej w połowie, ni w części, jeno całą... Wasza ks. mość! Co ten szlachcic wczoraj mówił, to myśleli wszyscy. Ja sam to samo myślałem, pókiś mi w. ks. mości oczu nie otworzył... Niech mnie ogień spali, jeślim tego nie myślał... Człek temu nie winien, że głupi. Ten szlacic był do tego pijany i co miał na sercu, to i zakrzyknął. Myślał, że w obronie ojczyzny występuje, a trudnoż kogo karać za sentyment dla ojczyzny. Wiedział, że gardło naraża, a dlatego zakrzyknął, co miał w gębie i sercu. Ni on mnie grzeje, ni ziębi, ale to panu Wołodyjowskiemu, jako brat, albo zgoła ojciec. Już by też desperował po nim bez miary, a ja tego nie chcę. Taka już we mnie natura, że jak komu dobra życzę, to duszę bym za niego oddał. Żeby mnie kto oszczędzał, a przyjaciela mi zabił, niechby go dyabeł za taką łaskę porwał. Wasza ks. mość! Ojcze mój, dobrodzieju, łaskawco, uczyńże całą łaskę, daruj mi tego szlachcica, a ja ci krew moją wszystką daruję, choćby jutro, dziś, zaraz!

Radziwiłł zagryzł wąsy.

— Zapisałem mu wczoraj śmierć w duszy.

— Co hetman i wojewoda wileński zapisał, to w. książę litewski, a daj Boże, w przyszłości, król polski, jako łaskawy monarcha, przekreślić może...

Pan Andrzej mówił szczerze, co czuł i myślał, ale gdyby był najzręczniejszym dworakiem, nie mógłby potężniejszego argumentu na obronę swych przyjaciół znaleźć. Dumna twarz magnata rozjaśniła się — i oczy przymknął, jakby lubując się dźwiękiem tych tytułów, których jeszcze nie posiadał. Po chwili rzekł:

— Takeś mnie zagadł, że niczego nie mogę ci odmówić. Pójdą, wszyscy do Birż. Niechże tam odpokutują u Szwedów za winy, a potem, gdy się to stanie, coś rzekł, żądaj nowej dla nich łaski.

— Jako żywo, że zażądam, daj Boże, najprędzej! — odrzekł Kmicic.

— Idźże teraz, zanieś im dobrą nowinę!

— Nowina dobra dla mnie, nie dla nich, bo oni pewnie nie przyjmą jej z wdzięcznością, zwłaszcza, że się nie spodziewali tego

co im groziło. Nie pójdę w. ks. mość, bo to takby wyglądało, jakbym się im chciał zaraz z moją instancyą chwalić.

— Czyńże, jak chcesz, ale kiedy tak, to czasu nie trać i ruszaj po chorągwie Mirskiego i Stankiewicza, bo zaraz potem czeka cię inna ekspedycya, od której pewnie nie będziesz się wybiegał.

— Jaka, w. ks. mość?

— Pojedziesz zaprosić odemnie pana Billewicza, miecznika rosieńskiego, aby razem z krewniaczką do mnie, do Kiejdan, przyjechał i tu na czas wojny osiadł. Rozumiesz?

Kmicic zmieszał się.

—On tego uczynić nie zechce... Z wielką furyą Kiejdany opuścił.

— Spodziewam się, że go furya już opuściła; w każdym razie weźmiesz ludzi z sobą i jeżeli nie zechcą po dobrej woli tu przybyć, to ich wsadzisz w kolaskę, otoczysz dragonami i przywieziesz. Szlachcic miękki był, jak wosk; gdym z nim gadał, płonił się jak panna i kłaniał do ziemi; ale i on zląkł się imienia szwedzkiego, jak dyabeł święconej wody i odjechał. Potrzebuję go tu mieć i dla siebie i dla ciebie. Mam nadzieję, że jeszcze ulepię z tego wosku taką świecę, jaką zechcę i komu zechcę ją zapalę. Tem lepiej będzie, jeśli się tak stanie... A jeśli nie, to będę miał zakładnika. Billewicze dużo mogą na Żmudzi, bo prawie ze wszystką szlachtą spokrewnieni. Gdy jednego i to najstarszego dostanę w ręce, inni dwa razy pomyślą, nim coś przeciw mnie przedsięwezmą. A przecie to za nimi i za twoją dziewczyną stoi całe mrowie laudańskie, które, gdyby poszło do obozu pana wojewody witebskiego, pewnieby ich z otwartemi rękoma przyjął... Ważna to jest rzecz, tak ważna, że się namyślam, czy nie od Billewiczów poczynać.

— W chorągwi Wołodyjowskiego sami laudańscy ludzie.

— Opiekunowie twojej dziewki. Kiedy tak, pocznijże od tego, by ją tu sprowadzić. Tylko słuchaj: ja podejmuję się pana miecznika na naszą wiarę nawrócić, ale dziewkę to sobie już ty sam kaptuj, jak umiesz. Gdy ja miecznika nawrócę, on ci pomoże dziewkę nawracać. Zgodzi się, to wyprawię wam, nie mieszkając, wesele... Nie zgodzi się, bierz ją i tak. Jak będzie po harapie, to będzie po wszystkiem... Z niewiastami najlepszy to sposób. Popłacze, podesperuje, gdy ją do ołtarza powloką, ale na drugi dzień

pomyśli, że nie taki dyabeł straszny, jak go malują, a trzeciego będzie rada. Jakżeżcie się wczoraj rozstali?

— Jakoby mi w pysk dała!

— Cóż rzekła?

— Nazwała mnie zdrajcą... Mało mnie paraliż nie trzasł.

— Taka to zaciekła? Jak będziesz jej mężem, powiedzże jej, że niewiastom kądziel lepiej przystoi, niż sprawy publiczne i trzymaj ją krótko.

— Wasza ks. mość jej nie zna. U niej wszystko zaraz: cnota albo niecnota i wedle tego sądzi; a rozumu niejeden mąż mógłby jej pozazdrościć. Nim się człowiek obejrzy, ona już w sedno utrafi.

— Utrafiła ci też w serce... Staraj się także ją utrafić.

— Bóg by to dał, w. ks. mość. Raz już brałem ją zbrojną ręką, alem sobie potem przyrzekł, że więcej tego nie uczynię... I co mi wasza ks. mość mówi, żeby ją choć gwałtem do ołtarza prowadzić, to mi nie idzie po sercu, bom sobie i jej przyrzekł, że gwałtu więcej nie użyję... Cała nadzieja, że w. ks. mość wyperswaduje panu miecznikowi, że nietylko zdrajcami nie jesteśmy, ale zbawienia ojczyzny chcemy... Gdy on się przekona, to i ją przekona, a wtenczas inaczej będzie na mnie patrzyła. Teraz do Billewicza pojadę i sprowadzę ich tu oboje, bo mi strach, żeby się ona do zakonu gdzie nie schroniła... Ale powiem w. ks. mości szczerą prawdę, że choć wielkieto szczęście dla mnie patrzeć na tę dziewczynę, wolałbym na całą potęgę szwedzką uderzyć, niż przed nią teraz stanąć, bo ona nie zna moich cnotliwych chęci i za zdrajcę mnie poczytuje.

— Jeżeli chcesz, to tam kogo innego wyślę, Charłampa albo Mieleszkę.

— Nie! Pojadę lepiej sam... Charłamp zresztą ranny.

— To i lepiej... Charłampa chciałem wczoraj wysłać do chorągwi Wołodyjowskiego, by nad niemi komendę objął, a w potrzebie do posłuszeństwa zmusił; ale to człek niezgrabny i pokazało się, we własnych ludzi nie umie utrzymać. Nic mi po nim. Jedźże najprzód po miecznika i dziewczynę, a potem do tamtych chorągwi. W ostatnim razie nie szczędź krwi, bo trzeba pokazać Szwedom, że mamy siłę i nie ulękniemy się buntu... Pułkowników zaraz pod eskortą odeślę, spodziewam się, że Paulus de la Gardie poczyta to za dowód szczerości mojej... Mieleszko ich odprowadzi. Ciężko

z początku idzie! Ciężko! Już widzę, że z pół Litwy stanie przeciw mnie.

— Nic to, wasza ks. mość! Kto ma czyste sumienie, ten się nikogo nie ulęknie.

— Myślałem, że przynajmniej Radziwiłłowie staną wszyscy po mojej stronie, tymczasem patrz, co mi pisze książę krajczy z Nieświeża.

Tu hetman podał Kmicicowi list Kazimierza Michała.

Kmicic przebiegł oczyma pismo.

— Żebym nie znał intencyi waszej ks. mości, myślałbym, że ma racyę i że najcnotliwszy to w świecie pan. Boże, daj mu wszystko dobre!... Mówię, co myślę.

— Jedź już! — rzekł z pewną niecierpliwością hetman.

---

## VXII.

Kmicic jednak nie wyruszył ani tego dnia, ani następnego, bo groźne wieści poczęły nadchodzić zewsząd do Kiejdan. Oto pod wieczór przybiegł goniec z doniesieniem, że chorągwie Mirskiego i Stankiewicza same ruszają ku rezydencyi hetmańskiej, gotowe zbrojną ręką upominać się o swych pułkowników; że wzburzenie panuje między nimi straszne i że towarzystwo wysłało deputacye do wszystkich chorągwi, stojących w pobliżu Kiejdan i dalej, aż na Podlasie do Zabłudowa, z doniesieniem o zdradzie hetmańskiej i wezwaniem, by się łączyły w kupę dla obrony ojczyzny. Łatwo było przytem przewidzieć, że mnóstwo szlachty zleci się do zbuntowanych chorągwi i wytworzy poważną siłę, przeciw której trudno się będzie opierać w nieobronnych Kiejdanach, zwłaszcza, że nie na wszystkie pułki, które Radziwiłł miał pod rękę, można było liczyć z pewnością.

Zmieniło to wyrachowania i wszystkie plany hetmańskie, ale zamiast osłabić w nim ducha, zdawało się go jeszcze podniecać. Postanowił sam na czele wiernych szkockich regimentów, rajtaryi i artyleryi wyruszyć przeciw buntownikom i zdeptać ogień w zarodku. Wiedział, że żołnierze bez pułkowników są tylko tłuszczą niesforną, która rozproszy się przed grozą samego imienia hetmańskiego.

Postanowił też nie szczędzić krwi i przerazić przykładem całe wojsko, wszystką szlachtę, ba! całą Litwę, aby nie śmiała drgnąć nawet pod żelazną jego ręką. Miało się spełnić wszystko, co zamierzył i spełnić się własnemi jego siłami.

Tegoż dnia jeszcze wyjechało kilku oficerów cudzoziemskich do Prus czynić tam nowe zaciągi, a Kiejdany wrzały zbrojnym ludem. Regimenty szkockie, rajtarya cudzoziemska, dragoni Mieleszki i Charłampa i "lud ognisty" pana Korfa gotowali się do wyprawy. Hajducy książęcy, czeladź, mieszczanie z Kiejdan, mieli wzmocnić siły książęce, a nakoniec postanowiono przyśpieszyć wysłanie uwięzionych pułkowników do Birż, gdzie bezpieczniej ich było trzymać, niżeli w otwartych Kiejdanach. Książę spodziewał się słusznie, że wysłanie ich do tej odległej fortecy, w której wedle układu musiała już stać załoga szwedzka, zniweczy nadzieję uwolnienia ich w umysłach zbuntowanych żołnierzy i pozbawi sam bunt wszelkiej podstawy.

Pan Zagłoba, Skrzetuscy i Wołodyjowski mieli dzielić losy innych.

Wieczór już był, gdy do piwnicy, w której siedzieli, wszedł oficer z latarnią w ręku i rzekł:

— Zbierajcie się waszmościowie iść ze mną.

— Dokąd? — pytał niespokojnym głosem pan Zagłoba.

— To się pokaże... Prędzej! prędzej!

— Idziemy.

Wyszli. Na korytarzu otoczyli ich żołnierze szkoccy, zbrojni w muszkiety. Zagłoba coraz był niespokojniejszy.

— Przecie na śmierć by nas nie prowadzili bez księdza, bez spowiedzi? — szepnął od ucha Wołodyjowskiego.

— Poczem zwrócił się do oficera:

— Jakże godność, proszę?...

— A waści co do mojej godności?

— Bo mam wielu krewnych na Litwie i miło wiedzieć, z kim się ma do czynienia.

— Nie pora sobie świadczyć, ale kiep ten, kto się swego nazwiska wstydzi... Jestem Roch Kowalski, jeśli waćpan chcesz wiedzieć.

— Zacna to rodzina! Mężowie dobrzy żołnierze, niewiasty cnotliwe. Moja babka była Kowalska, ale osierociła mnie, nimem na świat przyszedł... A waćpan z Wieruszów czyli z Korabiów Kowalskich?

— Co mnie tu waść będziesz po nocy indagował.

— Boś mi pewno krewniak, gdyż i struktura u nas jednaka. Grube masz waćpan kości i bary zupełnie jak moje, a ja właśnie po babce urodę odziedziczyłem.

— No, to się w drodze wywiedziemy... Mamy czas!

— W drodze? — rzekł Zagłoba.

I wielki ciężar spadł mu z piersi. Odsapnął, jak miech i zaraz nabrał fantazyi.

— Panie Michale — szepnął — nie mówiłżem ci, że nam szyi nie utną.

Tymczasem wyszli na dziedziniec zamkowy. Noc już zapadła zupełna. Tu i owdzie tylko płonęły czerwone pochodnie, lub migotały latarki, rzucając niepewne blaski na grupy żołnierzy konnych i pieszych rozmaitej broni. Cały dziedziniec zatłoczony był wojskiem. Gotowano się widocznie do pochodu, bo wszędy znać było ruch wielki. Tu i owdzie w ciemnościach majaczyły włócznie i rury muszkietów, kopyta końskie szczękały po bruku; pojedyńczy jeźdźcy przebiegali pomiędzy chorągwiami; zapewne byli to oficerowie rozwożący rozkazy.

Kowalski zatrzymał konwój i więźniów przed ogromnym wozem drabiniastym, zaprzężonym we cztery konie.

— Siadajcie waszmościowie! — rzekł.

— Tu już ktoś siedzi — rzekł, gramoląc się Zagłoba. — A nasze łuby?

— Łuby są pod słomą — odrzekł Kowalski — prędzej! prędzej!

— A kto tu siedzi? — pytał Zagłoba, wpatrując się w ciemne postacie, wyciągnięte na słomie.

— Mirski, Stankiewicz, Oskierka! — ozwały się głosy.

— Wołodyjowski, Jan Skrzetuski, Stanisław Skrzetuski, Zagłoba! — odpowiedzieli nasi rycerze.

— Czołem! czołem!

— Czołem! W zacnej kompanii pojedziem. A gdzie nas wiozą, nie wiecie waszmościowie?

— Jedziecie waszmościowie do Birż! — rzekł Kowalski.

To powiedziawszy, dał rozkaz. Konwój pięćdziesięciu dragonów otoczył wóz i ruszyli.

Więźniowie poczęli rozmawiać z cicha:

— Szwedom nas wydadzą! — rzekł Mirski. — Tegom się spodziewał.

— Wolę siedzieć między nieprzyjaciołmi, niż między zdrajcami! — odpowiedział Stankiewicz.

— A jabym wolał kulą w łeb! — zawołał Wołodyjowski — niż siedzieć z założonemi rękami w czasie takiej wojny nieszczęsnej.

— Nie bluźń, panie Michale — odpowiedział Zagłoba, — bo z woza, byle pora sposobna przyszła, możesz dać nurą, z Birż także, a z kulą we łbie ciężko uciekać. Ale ja wiedziałem z góry, że się na to ten zdrajca nie ośmieli.

— Radziwiłłby się nie miał na co ośmielić! — rzekł Mirski. — Widać, żeś waść zdaleka przyjechał i że jego nie znasz. Komu on zemstę poprzysięże, ten jako by był już w grobie, a nie pamiętam przykładu, żeby komu najmniejszą winę odpuścił.

— A taki nie śmiał na mnie podnieść ręki! — odpowiedział Zagłoba. — Kto wie, czy nie mnie i waszmościowie szyje zawdzięczacie.

— A to jakim sposobem?

— Bo mnie chan krymski okrutnie miłuje za to, żem spisek na jego szyję odkrył, gdym w niewoli w Krymie siedział. A i nasz pan miłościwy Johannes Casimirus także się we mnie kocha. Nie chciał taki syn, Radziwiłł, z dwoma potentatami zadzierać, gdyż i na Litwie mogliby go dosięgnąć.

— I, Co waćpan gadasz! Nienawidzi on króla, jak dyabeł święconej wody i jeszczeby był na waści zawziętszy, gdyby wiedział, żeś królowi konfident — odpowiedział Stankiewicz.

— A ja tak myślę — rzekł Oskierka, — nie chciał hetman sam naszą krwią się mazać, żeby odium (nienawiść) na siebie nie ściągnąć, ale przysiągłbym, że ten oficer wiezie rozkaz do Szwedów w Birżach, żeby nas natychmiast rozstrzelali.

— Oj! — rzekł Zagłoba.

Umilkli na chwilę; tymczasem wóz wtoczył się już na rynek kiejdański. Miasto spało, w oknach nie było świateł, jeno psy przed domami ujadały zapalczywie na przeciągający orszak.

— Wszystko jedno — rzekł Zagłoba. — Zawsześmy zyskali na czasie, może i przypadek nam posłużyć, a może i fortel jaki przyjść do głowy.

Tu zwrócił się do starych pułkowników:

— Waszmościowie mało mnie znacie, ale spytajcie się moich towarzyszów w jakich bywałem opałach, dlategom się zawdy wy-

dostał na pole. Powiedźcieno mnie, co to za oficer, któren nad konwojem ma komendę? Zaliby mu można wyperswadować, żeby się zdrajcy nie trzymał, jeno przy ojczyźnie stanął i z nami się połączył?

— To Roch Kowalski z Korabiów Kowalskich — odrzekł Oskierka. — Ja go znam. Tak samo mógłbyś waszmość jego koniowi perswadować, bo dalibóg, nie wiem, który głupszy.

— A że to zrobili go oficerem?

— On u Mieleszki w dragonach chorągiew nosi, do czego nie potrzeba rozumu. A zrobili go oficerem, bo się księciu z pięści podobał, gdyż podkowy łamie i z chowanemi niedźwiedziami wpół się bierze, a takiego jeszcze nie znalazł, któregoby nie rozciągnął.

— Jakiżto z niego osiłek.

— Że osiłek, to osiłek, a przytem, żeby mu zwierzchnik powiedział: rozwal łbem ścianę — to bez chwili namysłu zacząłby zaraz w nią trykać. Przykazano mu, by nas do Birż odwiózł, to i dowiezie, choćby się ziemia zapaść miała.

— Proszę! — rzekł Zagłoba, który z wielką uwagą słuchał tej rozmowy — rezolutny to jednak chłop.

— Bo u niego rezolutność z głupotą jedno stanowi. Zresztą, jak ma czas, a nie je, to śpi. Zadziwiająca rzecz, którejbyście waćpanowie nie uwierzyli; przecie on raz czterdzieści ośm godzin w cekhauzie przespał i ziewał jeszcze, gdy go z tapczanu ściągnęli.

— Okrutnie mi się ten oficer podoba — rzekł Zagłoba, — bo zawsze lubię wiedzieć, z kim mam sprawę.

To rzekłszy, zwrócił się do Kowalskiego.

— Przybliżno się waćpan! — zawołał protekcyonalnym tonem.

— Czego? — pytał Kowalski, zwracając konia.

— Nie maszno gorzałki?

— Mam.

— Dawaj!

— Jakto: dawaj?

— Bo widzisz, mości Kowalski, żeby to było nie wolno, tobyś miał rozkaz nie dawać, a że nie masz rozkazu, więc dawaj.

— Hę? — rzekł zdumiony pan Roch — jako żywo! a cóż to mi mus?

— Mus nie mus, ale ci wolno, a godzi się krewnego wspomódź

i starszego, który, gdyby się był z waściną matką ożenił, mógłby jak nic być twoim ojcem.

— Jakiś mi tam waćpan krewny!

— Bo są podwójni Kowalscy. Jedni się Wieruszową pieczętują, na której kozieł w tarczy jest wyimaginowany, z podniesioną zadnią nogą, a drudzy Kowalscy mają za klejnot Korab, na którym przedek ich Kowalski z Anglii przez morze do Polski przyjechał i ci są moi krewni, a to przez babkę i dlatego, że ja także Korabiem się pieczętuję.

— Dla Boga! toś waść naprawdę mój krewniak!

— Alboś Korab?

— Korab.

— Moja krew, jak mi Bóg miły! — zawołał Zagłoba. — Dobrze, żeśmy się spotkali, bo ja tu w rzeczy samej na Litwę do Kowalskich przyjechałem, a chociażem w opresyi, a ty na koniu i na wolności, chętniebym cię wziął w ramiona, bo co swój, to swój.

— Cóż ja waćpanu poradzę? Kazali cię odwieźć do Birż, to odwiozę... Krew krwią, a służba służbą.

— Mów mi: wuju! — rzekł Zagłoba.

— Masz wuj gorzałkę — rzekł pan Roch. — To mi wolno.

Zagłoba przyjął chętnie manierkę i napił się dowoli. Po chwili miłe ciepło poczęło mu się rozlewać po wszystkich członkach, w głowie uczyniło mu się jasno, a i umysł stał się jasny.

— Zleźno z konia —rzekł do pana Rocha — i przysiądź się trochę na wóz, pogawędzimy, bo chciałbym, żebyś mi co o rodzinie opowiedział. Szanuję ja służbę, ale to ci przecie wolno.

Kowalski przez chwilę nie odpowiedział.

— Nie było zakazu — rzekł wreszcie.

I wkrótce potem siedział już na wozie koło pana Zagłoby, a raczej rozciągnął się na słomie, którą wóz był wyładowany.

Pan Zagłoba uściskał go serdecznie.

— Jakże się miewa twój stary—... bodajże cię!... zapomniałem jak mu na imię.

— Też Roch.

— I słusznie, i słusznie. Roch spłodził Rocha... To jest wedle przykazania. Powinieneś swego syna także Rochem nazwać, aby każdy dudek miał swój czubek. A żonaty jesteś?

— Pewnie, że żonaty! Ja jestem Kowalski, a to jest pani Kowalska, innej nie chcę.

To rzekłszy, młody oficer podniósł do oczu panu Zagłobie głównię ciężkiej dragońskiej szabli i powtórzył:

— Innej nie chcę!

— Słusznie! — rzekł Zagłoba. — Okrutnie mi się podobasz Rochu, synu Rocha. Żołnierz najlepiej akomodowany, gdy nie ma innej żony, jak taka; i to ci jeszcze powiem, że prędzej ona po tobie, niż ty po niej owdowiejesz. Szkoda jeno, że młodych Rochów mieć z nią nie będziesz, bo widzę, żeś bystry kawaler i szkodaby było, gdyby taki ród miał zaginąć.

— Owa! — rzekł Kowalski. — Jest nas sześciu braci.

— I wszystkie Rochy?

— Jakbyś wuj wiedział, że każdy, jeśli nie na pierwsze, to na drugie ma Roch, bo to nasz szczególniejszy patron.

— A napijmy się no jeszcze!

— A dobrze.

Zagłoba znów przechylił manierkę, ale nie wypił całej, jeno oddał ją oficerowi i rzekł:

— Do dna, do dna!

— Szkoda, że cię nie mogę widzieć! — mówił dalej. — Noc tak ciemna, choć w pysk daj. Własnych palców byś nie poznał. Słuchajno, mości Rochu, a gdzieto to wojsko mało wychodzić z Kiejdan, gdyśmy wyjeżdżali?

— A na buntowników.

— Bóg najwyższy wie, kto tu buntownik: czy ty, czy oni?

— Ja buntownik? Jakżeto? Co mnie mój hetman każe, to czynię.

— Ale hetman nie czyni tego, co mu król jegomość każe, bo pewnie mu nie kazał ze Szwedami się łączyć. Nie wolał żebyś to Szwedów bić, niż mnie, krewnego, w ręce im wydawać?

— Możebym i wolał, ale co rozkaz to słuch!

— I pani Kowalska wolałaby. Znam ja ją. Między nami mówiąc: hetman się przeciw królowi i ojczyźnie zbuntował. Nie powtarzaj tego nikomu, ale tak jest. I wy, co mu służycie, także się buntujecie.

— Tego mnie się słuchać nie godzi. Hetman ma swoją zwierzchność, a ja mam swoją, właśnie hetmańską i Bóg by mnie skarał, gdybym się jej przeciwił. Niesłychana to rzecz!

— Zacnie mówisz... Ale uważno Rochu: gdybyś tak wpadł w ręce onych buntowników, to i ja bym był wolny i nie twojaby była

wina, bo nec Hercules contra plures (siła złego na jednego)!... Nie wiem, gdzie się tam te chorągwie znajdują, ale ty musisz wiedzieć... i widzisz, moglibyśmy trochę ku-nim nawrócić.

— Jakżeto?

— A żebyś tak umyślnie ku nim zajechał? Nie byłoby twojej winy, jeśliby nas odbili. Nie miałbyś mnie na sumieniu... A mieć krewniaka na sumieniu, wierzaj mi, straszny to ciężar!

— At, co wuj gadasz? Dalibóg, zlezę z woza i na konia siędę. Nie ja będę miał wuja na sumieniu, jeno pan hetman. Póki m żyw, nie będzie z tego nic!

— Nic, to nic! — rzekł Zagłoba. — Wolę to, że szczerze mówisz, chociaż pierwej byłem twym wujem, niż Radziwiłł twym hetmanem. A czy ty wiesz, Rochu, co to jest wuj?

— Wuj to wuj.

— Bardzoś to roztropnie wykalkulował, ale przecie, gdzie ojca niema, tam, pismo mówi, wuja słuchać będziesz. Jestto jakby rodzicielska władza, której, Rochu, grzech się sprzeciwić... Bo nawet i to zauważ, że kto się ożeni, ten snadnie ojcem być może; ale w wuju płynie ta sama krew, co w matce. Nie jestem ci wprawdzie bratem twojej matki, ale moja babka musiała być ciotką twojej babki; więc poznaj to, że powaga kilku pokoleń we mnie spoczywa, bo jako wszyscy na tym świecie jesteśmy śmiertelni, tedy władza z jednych na drugich przechodzi i ani hetmańska, ani królewska nie może jej negować, ani nikogo zmuszać, żeby się oponował. Co prawda, to święte! Mali hetman wielki, czy też, dajmy na to, polny, prawo nakazać, nie już szlachcicowi i towarzyszowi, ale lada jakiemu ciurze, żeby się na ojca, matkę, na dziada, albo na starą, ociemniałą babkę porywał? Odpowiedz na to Rochu! Mali prawo?

— Hę? — spytał sennym głosem Kowalski.

— Na starą, ociemniałą babkę! — powtórzył pan Zagłoba. — Ktoby się wonczas chciał żenić i dzieci płodzić, albo się wnuków doczekać?... Odpowiedz i na to Rochu!

— Ja jestem Kowalski, a to pani Kowalska — mówił coraz senniej oficer.

— Kiedy chcesz, niech i tak będzie! — odpowiedział Zagłoba. — Lepiej to nawet, że nie będziesz miał dzieci, bo mniej kpów będzie na świecie grasowało. Nieprawda, Rochu?

Zagłoba nadstawił ucho, ale nie usłyszał już żadnej odpowiedzi.

— Rochu! Rochu! — zawołał z cicha.

Pan Roch spał, jak zabity.

— Śpisz?... — mruknął Zagłoba. — Czekajże... zdejmę ci ten żelazny garnek z głowy, bo ci niewygodnie. Opończa dusi cię pod szyją, jeszczeby cię krew zalała. Cobym był za krewniak, żebym cię nie miał ratować.

Tu ręce pana Zagłoby poczęły poruszać się zlekka koło głowy i szyi Kowalskiego. Na wozie spali wszyscy głębokim snem; żołnierze kiwali się także na kulbakach, inni jadący w przedzie podśpiewywali z cicha, wypatrując zarazem pilno drogi, bo noc, choć niedżdżysta, była bardzo ciemna.

Jednakże, po niejakim czasie, żołnierz, prowadzący tuż za wozem konia, ujrzał w ciemnościach opończę i jasny hełm swego oficera. Kowalski nie zatrzymując wozu, zsunął się i kiwnął, by mu podano rumaka.

Po chwili siedział już na nim.

— Panie komendancie, a gdzie staniemy na popas? — pytał wachmistrz, zbliżywszy się ku niemu.

Pan Roch nie odpowiedział ani słowa i ruszył naprzód, minął zwolna jadących na przedzie i znikł w ciemnościach.

Nagle do uszu dragonów doszedł tętent szybkiego biegu konia.

— Skokiem komendant ruszył! — mówili pomiędzy sobą. — Pewnie chce obaczyć, czy jakiej karczmy niema blisko. Czasby już koniom popasać, czas!

Tymczasem upłynęło pół godziny, godzina, dwie, a pan Kowalski ciągle widać jechał naprzód, bo go nie było jakoś widać. Konie znużyły się bardzo, zwłaszcza przy wozie i poczęły się wlec wolno. Gwiazdy schodziły z nieba.

— Skoczno który do komendanta — rzekł wachmistrz — powiedz mu, że szkapy ledwie nogi ciągną, a wozowe ustały.

Jeden z żołnierzy wyruszył naprzód, ale po godzinie wrócił sam.

— Komendanta ani śladu, ani popiołu — rzekł. — Musiał z milę naprzód wyjechać.

Żołnierze poczęli mruczeć z nieukontentowaniem.

— Dobrze mu, bo się przez dzień wyspał i teraz na wozie, a ty się człeku kołacz po nocy ostatnim tchem końskim i swoim.

— Toć tu karczma o dwie staje — mówił ten sam żołnierz, który jeździł naprzód — myślałem, że go tam znajdę, ale gdzie tam!...

Słuchałem, czy konia nie usłyszę... Nic nie słychać. Dyabli wiedzą, gdzie zajechał.

— Staniem tam i tak! — rzekł wachmistrz. — Trzeba szkapom wytchnąć.

Jakoż zatrzymali wóz przed karczemką. Żołnierze pozłazili z koni i jedni poszli kołatać do drzwi, drudzy odpasywali wiązki siana, wiszące za kulbakami, aby konie choć z rąk pokarmić.

Jeńcy na wozie rozbudzili się, gdy ruch wozu ustał.

— A gdzieto jedziemy? — pytał stary pan Stankiewicz.

— Po nocy nie mogę rozeznać — odparł Wołodyjowski — zwłaszcza, że nie na Upitę jedziemy.

— Wszakżeto do Birż na Upitę z Kiejdan się jedzie? — spytał Jan Skrzetuski.

— Tak jest. Ale w Upicie stoi moja chorągiew, o którą książę widać obawiał się, by nie oponowała, więc kazał inną drogą jechać. Zaraz za Kiejdanami wykręciliśmy do Danowa i Kroków, stamtąd pojedziemy pewnie na Bejsagołę i Szawle. Trochę to z drogi, ale przezto Upita i Poniewież zostaną na prawo. Po drodze niema tam żadnych chorągwi, bo wszystkie, co były, ściągnięto ku Kiejdanom, aby je mieć pod ręką.

— A pan Zagłoba — rzekł Stanisław Skrzetuski — śpi smaczno i chrapie, zamiast o fortelach myśleć, jak to sobie obiecywał.

— Niech śpi... Zmorzyła go widać rozmowa z tym głupim komendantem, do którego krewieństwa się przyznawał. Widać chciał go sobie skaptować, ale to na nic. Kto dla ojczyzny Radziwiłła nie opuści, ten go pewnie dla dalekiego krewnego nie opuści.

— Zali oni naprawdę są krewni? — zapytał Oskierka.

— Oni? Tacy oni krewni, jak ja z waćpanem, — odpowiedział Wołodyjowski — gdyż co pan Zagłoba mówił o spólności klejnotu, to i to nieprawda, bo ja wiem dobrze, że jego klejnot woła się Wczele.

— A gdzieżto pan Kowalski?

— Musi być przy ludziach, albo w karczmie.

— Chciałbym go prosić, by mi pozwolił na konia którego żołnierskiego siąść, — mówił Mirski — bo mi kości zdrętwiały.

— Na to się pewnie nie zgodzi, — odparł Stankiewicz, bo noc ciemna: łatwoby szkapie ostrogi dać i czmychnąć. Ktoby tam i dogonił!

— Dam mu kawalerski parol, że nie będę ucieczki tentował, zresztą już i świtać zapewne zacznie.

— Żołnierzu! a gdzie to komendant? — pytał Wołodyjowski stojącego w pobliżu dragona.

— A kto jego wie?

— Jakto: Kto jego wie? Kiedy ci mówię, żebyś go zawołał, to go zawołaj.

— Kiedy my sami nie wiemy, panie pułkowniku, gdzie on jest — odrzekł dragon. — Jak zlazł z wozu i ruszył naprzód, tak do tej pory nie wrócił.

— Powiedzże mu, jak wróci, że chcemy z nim mówić.

— Wedle woli pana pułkownika! — odrzekł żołnierz.

Jeńcy umilkli.

Od czasu do czasu tylko głośne poziewanie rozlegało się na wozie, obok konie chrupotały siano. Żołnierze koło wozu, wsparci na kulbakach, drzemali. Inni gwarzyli zcicha lub posilali się, czem kto miał, bo pokazało się, że karczemka była opuszczona i że nikt w niej nie mieszkał.

Już też i noc poczęła blednąć. Na wschodniej stronie ciemne tło nieba poszarzało nieco, gwiazdy gasły zwolna i świeciły migotliwem, niepewnem światłem. A zatem i dach karczemki posiwiał, drzewa przy niej rosnące jęły się bramować srebrem. Konie i ludzie zdawali się wynurzać z cienia. Po chwili już i twarze można było rozeznać i żółtą barwę opończy. Hełmy poczęły odbijać blask poranny.

Pan Wołodyjowski roztworzył ręce i przeciągnął się, ziewając przytem od ucha do ucha, poczem spojrzał na uśpionego pana Zagłobę; nagle rzucił się w tył i zakrzyknął:

— Niechże go kule biją! Na Boga! mości panowie! patrzcie!

— Co się stało? — pytali pułkownicy, otwierając oczy.

— Patrzcie! patrzcie! — wołał Wołodyjowski, ukazując palcem uśpioną postać.

Jeńcy zwrócili wzrok we wskazanym kierunku i zdumienie odbiło się na wszystkich twarzach: pod burką i w czapce pana Zagłoby, spał snem sprawiedliwego pan Roch Kowalski, Zagłoby zaś nie było na wozie.

— Umknął, jak mi Bóg miły! — mówił zdumiony Mirski, oglądając się na wszystkie strony, jakby oczom własnym jeszcze nie wierzył.

— To kuty frant! Niech go kaduk! — zakrzyknął Stankiewicz...

— Zdjął hełm i żółtą opończę z tego kpa i umknął na jego własnym koniu!

— Jako w wodę wpadł!

— A zapowiedział, że się fortelem wydostanie.

— Tyle go będą widzieli!

— Mości panowie! — mówił z uniesieniem Wołodyjowski — nie znacie jeszcze tego człeka, a już wam dziś przysięgnę, że on i nas jeszcze wydostanie. Nie wiem, jak, kiedy, jakim sposobem, ale przysięgnę!

— Dalibóg! oczom się wierzyć nie chce! — mówił Stanisław Skrzetuski.

Wtem żołnierze spostrzegli, co się stało. Uczynił się między nimi gwar. Jedni przez drugich biegli do wozu i wybałuszali oczy na widok swego komendanta, przybranego w wielbłądzią burkę, w rysi kołpaczek i uśpionego głęboko.

Wachmistrz począł go szarpać bez ceremonii: — Panie komendancie! panie komendancie!

— Ja jestem Kowalski... a to pani Kowalska — mruczał pan Roch.

— Panie komendancie, więzień uciekł!

Kowalski siadł na wozie i otworzył oczy.

— Czego?...

— Więzień uciekł, ten gruby szlachcic, który z panem komendantem rozmawiał.

Oficer oprzytomniał.

— Nie może być! — zakrzyknął przerażonym głosem. — Jakto?! Co się stało? Jakim sposobem uciekł?

— W hełmie i w opończy pana komendanta; żołnierze go nie poznali, noc była ciemna.

— Gdzie mój koń? — krzyknął Kowalski.

— Niema konia. Ów szlachcic właśnie na nim uciekł.

— Na moim koniu?

— Tak jest!

Kowalski wziął się za głowę.

— Jezusie Nazareński! Królu żydowski!...

Po chwili krzyknął:

— Dawajcie tego psiawiarę, tego takiego syna, który mu konia pedał!

— Panie komendancie! żołnierz nic nie winien. Noc była ciemna, choć w pysk daj, a on zdjął waszej mości hełm i opończę. Przejeżdżał tuż koło mnie i jam nie poznał. Żeby wasza mość nie była siadała na wóz, nie mógłby on tego dokazać.

— Bijże mnie! bijże mnie — wołał nieszczęśliwy oficer.

— Co czynić, wasza mość?

— Bij go! łapaj!

— To się na nic nie zdało. On na koniu waszej mości, a to najlepszy koń. Nasze zdrożone okrutnie, on zaś o pierwszych kurach umknął. Nie zgonim!

— Szukaj wiatru w polu! — rzekł Stankiewicz.

Kowalski zwrócił się ku więźniom ze wściekłością:

— Waszmościowie pomogliście mu do ucieczki! Ja waściom!...

Tu złożył olbrzymie pięście i począł zbliżać się ku nim.

Wtem Mirski rzekł groźnie:

— Nie krzycz waść i bacz, że do starszych od siebie mówisz!

Pan Roch drgnął i mimowoli wyprostował się, bo rzeczywiście jego powaga wobec takiego Mirskiego była żadna i wszyscy owi jeńcy przenosili go o głowę godnością i znaczeniem.

Stankiewicz dodał:

— Gdzie aspanu kazali nas wieźć, to wieź, ale głosu nie podnoś, bo jutro możesz iść pod komendę każdego z nas.

Pan Roch wytrzeszczał oczy i milczał.

— Niema co, panie Rochu, podrwiłeś głową — rzekł Oskierka. — To, co mówisz, żeśmy mu pomogli, to głupstwo, bo najprzód spaliśmy, jako i ty, a powtóre, każdyby pierwej sobie pomógł, niż innemu. Ale aspan podrwiłeś głową! Niczyjej tu winy niema jeno twoja. Pierwszy kazałbym cię rozstrzelać za to, bo żeby oficer rozsypiał się jako borsuk, a więźniowi pozwolił uciec w swoim własnym hełmie i opończy, ba, na swoim własnym koniu, toż to, niesłychana rzecz, która się od początku świata nie zdarzyła!

— Stary lis wyprowadził młodego w pole! — rzekł Mirski.

— Jezus, Marya! toć ja i szabli nie mam! — krzyknął Kowalski.

— Albo się jemu szabla nie przyda? — mówił, uśmiechając się Stankiewicz. — Słusznie pan Oskierka mówi: podrwiłeś głową kawalerze. Pistoleciska też musiałeś mieć w olstrach?

— A były... — rzekł, jak nieprzytomny, Kowalski.

Nagle porwał się obu rękoma za głowę:

— I list księcia pana do komendanta birżańskiego! Co ja

nieszczęsny teraz uczynię?!... Zginąłem na wieki!... Bogdaj mi kula w łeb!...

— To cię nie minie! — rzekł poważnie Mirski. — Jakżeto nas będziesz teraz do Birż wiózł?... Co się stanie, jeśli ty powiesz, że nas jako więźniów przywozisz, a my, starsi godnością, powiemy, że to ty masz być do lochu wrzucon! Komu, myślisz, dadzą wiarę?... Zali mniemasz, że komendant szwedzki zatrzyma nas, dla tego tylko, że go pan Kowalski o to będzie prosił? Prędzej nam zawierzy i ciebie w podziemie zamknie.

— Zginąłem! zginąłem! — jęczał Kowalski.

— Głupstwo! — rzekł Wołodyjowski.

— Co robić, panie komendancie? — pytał wachmistrz.

— Ruszaj do wszystkich dyabłów! — krzyknął Kowalski. — Zali ja wiem, co robić?... gdzie jechać? Bodaj cię pioruny zabiły!

— Jedź, jedź do Birż!... obaczysz — rzekł Mirski.

— Zawracaj do Kiejdan!... — krzyknął Kowalski.

— Jeśli cię tam pod murem nie postawią i nie rozstrzelają, to niech mnie szczecina pokryje! — rzekł Oskierka.—Jakżeto przed obliczem hetmańskiem staniesz? Tfu! Hańba cię czeka i kula w łeb, nic więcej!

— Bom nic więcej niewart! zakrzyknął nieszczęśliwy młodzian.

— Głupstwo, panie Rochu! My jedni możem cię ratować — mówił Oskierka. — Znasz, żeśmy z hetmanem gotowi byli iść na kraniec świata i zginąć. Więcej mieliśmy zasług, większą szarżę od ciebie. Wylewaliśmy nieraz krew za ojczyznę i zawsze chętnie ją wylejem; ale hetman zdradził ojczyznę, wydał ten kraj w ręce nieprzyjaciół, sprzymierzył się z nimi przeciw miłościwemu panu naszemu, któremuśmy wierność zaprzysięgli. Zali to myślisz, że żołnierzom, jak my, łatwo przyszło wypowiedzieć obedyencyę zwierzchności, postąpić przeciw dyscyplinie, hetmanowi własnemu się oponować? Ale kto dziś z hetmanem, ten przeciw ojczyźnie! Kto dziś z hetmanem, tem przeciw majestatowi! Kto dziś z hetmanem, ten zdrajca króla i Rzeczypospolitej!... Dlatego to rzuciliśmy buławy pod nogi hetmańskie, bo cnota i obowiązek i wiara i honor tak nakazywały. I któż to uczynił, zali ja jeden? Nie! i pan Mirski i pan Stankiewicz, najlepsi żołnierze i najcnotliwsi ludzie!... Kto przy nim został?... warchoły!... A ty czemu nie idziesz śladem lepszych od ciebie i mądrzejszych i starszych? Chcesz hańbę ściągnąć na własne imię? zdrajcą być ogłoszony?... Wejdź

w siebie, zapytaj sumienia, co ci czynić należy: czy przy Radziwille zdrajcy — zdrajcą zostać, czyli iść z nami, którzy ostatni dech chcemy za ojczyznę puścić, ostatnią kroplę krwi za nią wylać?... Bodajby ziemia nas pożarła, nimeśmy hetmanowi obedyencyę wypowiedzieli... Ale bogdajby dusze nasze z piekła nie wyjrzały, jeżelibyśmy króla i ojczyznę dla prywaty Radziwiłła mieli zdradzić!...

Mowa ta wielkie na panu Rochu zdawała się czynić wrażenie. Oczy wytrzeszczył, usta otworzył i po chwili rzekł:

— Czego waszmościowie ode mnie chcecie?

— Byś z nami razem poszedł do wojewody witebskiego, który przy ojczyźnie będzie się oponował.

— Ba! kiedy ja mam rozkaz do Birż waszmościów odwieźć.

— Gadajże z nim! — rzekł Mirski.

— To też chcemy, byś nie usłuchał rozkazu!... byś hetmana opuścił i z nami poszedł, zrozumże! — rzekł zniecierpliwiony Oskierka.

— Mówcie sobie wasze moście, co chcecie, a z tego nie będzie nic... Ja żołnierz! coby ja był wart, gdybym hetmana opuścił. Nie mój rozum, tylko jego. Jak on zgrzeszy, to on będzie i za mnie i za siebie odpowiadał, a moja psia powinność jego słuchać!... Ja tam prosty człowiek, czego ręką nie zrobię, tego i głową... Ale to wiem, żem słuchać powinien i kwita.

— Róbże co chcesz! — zakrzyknął Mirski.

— Już to mój grzech — mówił dalej pan Roch — że ja do Kiejdan kazał nawracać, bo mnie kazali do Birż jechać... Jeno, żem zgłupiał przez tego szlachcica, który choć krewny, a taką rzecz mi uczynił, którejby i obcy nie uczynił... Żeby to nie krewny, ale krewny! Boga on w sercu nie miał, że i szkapinę mi zabrał i łaski książęcej mnie pozbawił i karę na szyję sprowadził... Tak i to krewny! A waszmościowie do Birż pojedziecie, niech potem będzie, co chce!

— Szkoda czasu, panie Oskierko — rzekł Wołodyjowski.

— A zawracać do Birż, kondle! — krzyknął na dragonów Kowalski.

I zawrócił znów do Birż. Pan Roch kazał jednemu z dragonów siąść na wóz, sam zaś usadowił się na jego koniu i jechał tuż przy więźniach, powtarzając jeszcze przez pewien czas:

— Krewny i żeby taką rzecz uczynić!

Więźniowie, słysząc to, chociaż niepewni swego losu i zmartwie-

ni ciężko, nie mogli przecie wstrzymać śmiechu, aż nakoniec pan Wołodyjowski rzekł:

— Pocieszże się waćpan, mości Kowalski, bo nie takich jak ty, na hak ów mąż prowadził... Samego Chmielnickiego on chytrością przewyższył i już co do fortelów, nikt nie może iść z nim w paragon.

Kowalski nie odrzekł nic, jeno odjechał trochę od wozu, bojąc się szyderstw. Wstydził się zresztą i więźniów i własnych żołnierzy i tak był strapiony, że aż żal było na niego patrzeć.

Tymczasem pułkownicy rozmawiali o panu Zagłobie i jego cudownej ucieczce.

— Zadziwiająca to jest rzecz istotnie, — mówił pan Wołodyjowski — że niemasz w świecie takowych terminów, z którychby ten człowiek nie potrafił się salwować. Gdy męstwem i siłą nie poradzi, tam się fortelem wykręci. Inni tracą fantazyę, gdy im śmierć nad szyją zawiśnie, albo polecają się Bogu, czekając, co się stanie; a on zaraz poczyna głową pracować i zawsze coś wymyśli. Mężny on w potrzebie bywa, jako Achilles, ale woli Ulisesa iść śladem.

— Nie chciałbym ja jego pilnować, choćby go łańcuchami spętano, — rzekł Stankiewicz — bo to nic, że ucieknie, ale jeszcze na śmiech i konfuzyę człeka narazi.

— A jakże! — rzekł pan Michał. — Będzie on teraz Kowalskiego do końca życia wyśmiewał, a niech Bóg broni dostać się na jego język, bo ostrzejszego w całej Rzeczypospolitej niema... A gdy jeszcze zacznie, jako ma zwyczaj, koloryzować rzecz swoją, tedy od śmiechu ludzie pękają...

— Ale w potrzebie, mówisz waćpan, że i szablą potrafi się zastawić? — pytał Stankiewicz.

— Jakże! Toż on na oczach całego wojska usiekł pod Zbarażem Burłaja.

— Nie! dalibóg! — zakrzyknął Stankiewicz — takiego jeszcze nie widziałem!

— Wielką on już nam przysługę oddał swoją ucieczką, — mówił Oskierka — bo listy hetmańskie zabrał, a kto wie, co tam w nich było przeciw nam napisano... Nie wierzę ja w to, iżby komendant szwedzki w Birżach miał dać ucho nam, nie Kowalskiemu. Tego nie będzie, gdyż my przyjedziem jako więźniowie, a on jako dowodzący konwojem... Ale że tam nie będą wiedzieli, co z nami

czynić, to rzecz pewna. W każdym razie głów nam nie poucinają, a to grunt.

— Ja też tak tylko mówiłem, — odpowiedział Mirski — aby Kowalskiego do reszty skonfudować... Ale co waszmość mówisz, że nam głów nie poucinają, to dalibóg nie wielka pociecha. Wszystko się tak składa, że lepiej nie żyć, bo to już pewno, że teraz jeszcze jedna wojna i to domowa wybuchnie, a to już będzie ostatnia zguba. Po co ja stary mam na te rzeczy patrzyć?

— Albo ja, który inne czasy pamiętam! — rzekł Stankiewicz.

— Tegoście waszmościowie nie powinni mówić, bo miłosierdzie boskie większe od ludzkiej złości, a Jego ręka wszechmocna może nas z toni wyrwać właśnie wtedy, kiedy się najmniej będziemy spodziewali.

— Święte słowa waćpana — rzekł Jan Skrzetuski. — I nam, ludziom z pod chorągwi księcia nieboszczyka Jeremiego, ciężko żyć teraz, bośmy do zwycięstw przywykli, a przecie chce się jeszcze ojczyźnie posłużyć, byle Pan Bóg dał wreszcie wodza nie zdrajcę, ale takiego, któremuby człowiek mógł sercem i całą duszą zaufać.

— Oj, prawda, prawda! — rzekł pan Wołodyjowski. — Człekby się bił dzień i noc.

— A to ja waściom powiem, iż to największa desperacya, — rzekł Mirski bo przez to każdy jakoby w ciemności brodzi i sam siebie pyta: co czynić?... i niepewność go dusi, jako zmora. Nie wiem, jak tam waszmościów, ale mnie i duszny niepokój targa... I gdy pomyślę, że to ja buławę hetmanowi pod nogi rzuciłem, żem do oporu i buntu był przyczyną, to mi resztki siwizny na łbie ze strachu stają. Tak jest!... Ale co czynić wobec jawnej zdrady? Szczęśliwi, którzy podobnych pytań nie potrzebowali sobie zadawać i responsu w duszy szukać.

— Wodza, wodza, daj nam Panie miłosierny! — mówił Stankiewicz, wznosząc oczy ku niebu.

— Mówią, że wojewoda witebski okrutnie zacny pan? — pytał Stanisław Skrzetuski.

— Tak jest! — odparł Mirski. — Ale on buławy ni wielkiej, ;ie polnej nie ma i zanim go król jegomość godnością hetmańską nie przyozdobi, może tylko na własną rękę poczynać. Nie pójdzie on do Szwedów, ani gdzieindziej, to pewna!

— Pan Gosiewski, hetman polny, w niewoli u Radziwiłła.

— Bo on też zacny człowiek — odrzekł — Oskierka. Jak mnie wieść o tem doszła, ażem zmartwiał i zaraz przeczuwałem coś złego.

Pan Michał zamyślił się i po chwili rzekł:

— Byłem raz w Warszawie i poszedłem na królewskie pokoje, a pan nasz miłościwy, jako się w żołnierzach kocha i że to chwalił mnie po potrzebie beresteckiej, tak tedy poznał mnie odrazu i kazał przyjść na obiad. Na onym obiedzie widziałem także pana Czarneckiego, bo właściwie dla niego była uczta. Podochocił tedy sobie król jegomość i począł pana Czarneckiego za głowę ściskać, a w końcu rzekł: "Choćby takie czasy przyszły, żeby mnie wszyscy opuścili, ty mi wiary dochowasz!" Na własne uszy to słyszałem, jakoby proroczym duchem wymówione. Pan Czarniecki od afektu prawie mówić nie mógł, jeno powtarzał: "Do ostatniego tchu! do ostatniego tchu!" A wonczas król jegomość zapłakał...

— Kto wie, czy nie prorocze to były słowa, bo czasy klęski już nadeszły! — rzekł Mirski.

— Pan Czarniecki wielki żołnierz! — odparł Stankiewicz. — Niemasz już takiej gęby w Rzeczypospolitej, któraby jego imienia nie powtarzała.

— Powiadają — mówił Skrzetuski, — że Tatarowie, którzy pana Rewerę Potockiego przeciw Chmielnickiemu posiłkują, tak się w panu Czarnieckim kochają, że nie chcą iść tam, gdzie jego niema.

— Szczera to prawda — rzekł Oskierka. — Słyszałem, jak to w Kiejdanach przy księciu hetmanie powiadano; wszyscyśmy wówczas pana Czarnieckiego okrutnie sławili, a księciu to nie w smak, bo się zmarszczył i rzekł: "Jest oboźnym koronnym, ale tak samo mógłby być u mnie w Tykocinie podstarościm."

— Invidia widać go już kąsała.

— Wiadoma to rzecz, że występek znieść światła cnoty nie może.

Takto rozmawiali uwięzieni pułkownicy; poczem znów rozmowa zwróciła się na pana Zagłobę. Pan Michał Wołodyjowski zaręczał, że mogą się od niego pomocy spodziewać, bo to nie taki człowiek, żeby miał przyjaciół w nieszczęściu opuszczać.

— Pewien jestem — rzekł, że on do Upity uciekł, gdzie moich ludzi znajdzie, jeśli ich jeszcze nie rozbito i do Kiejdan przemocą nie ściągnięto. Z nimi na ratunek sam wyruszy, chybaby nie chcieli iść, czego się po nich nie spodziewam, bo w chorągwi laudańskich ludzi najwięcej, a ci mnie miłują.

— Ale to i radziwiłłowscy dawni klijenci? — zauważył Mirski.

— Prawda, wszelako jak się o wydaniu Litwy Szwedom dowiedzą, o uwięzieniu pana hetmana polnego, pana kawalera Judyckiego, waszmościów i mnie, okrutnie to ich serca od Radziwiłła odwróci. To uczciwa szlachta, a już tam pan Zagłoba niczego nie zaniedba, aby sadzami hetmana odmalować i lepiej to potrafi, niż każdy z nas.

— Ba! — rzekł Stanisław Skrzetuski — a my tymczasem w Birżach staniemy.

— To nie może być, bo my kołujem, by Upitę ominąć, a z Upity prosta droga, jakby kto sierpem cisnął. Choćby ruszyli dniem później, dwoma nawet, to jeszczeby mogli być w Birżach przed nami i drogę nam zastąpić. Toż my do Szawlów teraz dopiero jedziem i stamtąd będziem do Birż prostować, a trzeba waćpanu wiedzieć, iż z Upity do Birż bliżej, niż z Szawlów.

— Jako żywo, że bliżej i droga lepsza, bo gościniec! — rzekł Mirski.

— Ot, macie. A my jeszcze nie w Szawlach.

Jako dopiero pod wieczór ujrzeli górę, zwaną Sałtuwes-Kałnas, pod którą wznoszą się Szawle. Po drodze zauważyli, że już niepokój panował we wszystkich wsiach i miasteczkach, które przyszło im przejeżdżać. Widocznie wieść o przejściu hetmana do Szwedów rozbiegła się już po całej Żmudzi. Gdzieniegdzie wypytywano żołnierzy, czy prawda, że kraj ma być przez Szwedów zajęty; gdzieniegdzie widziano masy chłopstwa, opuszczające wsie z żonami, dziećmi i dobytkiem i dążące w głębie lasów, któremi cały kraj obficie był pokryty. Miejscami postawa chłopstwa była niemal groźna, widocznie bowiem brano dragonów za Szwedów. Po zaściankach szlacheckich wypytywano ich wprost, kto są i gdzie jadą, a gdy Kowalski zamiast odpowiadać, kazał ustępować z drogi, przychodziło do hałasu i odgróżek, tak dalece, że zaledwie nastawione do strzału muszkiety mogły otworzyć przejście.

Wielka droga, idąca z Kowna na Szawle do Mitawy, pokryta była wozami i kolaskami, w których jechały żony i dzieci szlacheckie, pragnące schronić się przed wojną w posiadłościach kurlandzkich. W samych Szawlach, które stanowiły ekonomię królewską, nie było żadnych chorągwi hetmańskich, prywatnych, ani komputowych; to natomiast uwięzieni pułkownicy ujrzeli po raz pierwszy oddział szwedzki, złożony z dwudziestu pięciu rajtarów, który jako podjazd z Birż wyjechał. Tłumy Żydów i mieszczaństwa gapi

się w rynku na nieznanych ludzi, a i pułkownicy poglądali na nich z ciekawością, a zwłaszcza pan Wołodyjowski, który nigdy dotąd Szwedów nie widział; obejmował więc ich chciwie łakomemi oczyma, jakiemi wilk patrzy na stado owiec, i wąsikami przytem ruszał.

Pan Kowalski porozumiał się z oficerem, oznajmił się, kto jest, dokąd jedzie, kogo prowadzi i zażądał, by oficer przyłączył swoich ludzi do jego dragonów, dla większego bezpieczeństwa w podróży. Ale oficer odpowiedział, że ma rozkaz jak najdalej w głąb kraju dotrzeć, aby się o jego stanie przekonać, że przeto nie może do Birż wracać, natomiast upewnił, że droga wszędy bezpieczna, bo małe oddziały wysłane z Birż przebiegają kraj we wszystkich kierunkach, niektóre zaś aż do Kiejdan są ekspedyowane. Wypocząwszy tedy dobrze aż do północy i konie, wielce zdrożone, popasłszy, ruszył pan Roch wraz ze swymi więźniami w dalszą drogę, skręcając z Szawel na wschód przez Johaniszkiele i Poswol ku Birżom, aby dostać się na prosty gościniec, idący z Upity i Poniewieża.

— Jeśli pan Zagłoba przyjdzie nam na ratunek — rzekł o świtaniu Wołodyjowski, — to na tym gościńcu najłacniej mu będzie drogę zastąpić, bo z Upity już mógł nadążyć.

— Może on tam gdzie czyha! — rzekł Stanisław Skrzetuski.

— Miałem nadzieję, pókim Szwedów nie zobaczył — odpowiedział Stankiewicz, — ale teraz już mi się wydaje, że niemasz dla nas rady...

— Głowa Zagłoby w tem, żeby ich ominąć albo okpić, a on to potrafi.

— Jeno, że kraju nie zna.

— Ale ludzie laudańscy znają, bo pieńkę i wańczos i smołę aż do Rygi wożą, a w mojej chorągwi takich nie brak.

— Muszą już Szwedzi koło Birż wszystkie miasteczka zajmować.

— Piękni żołnierze ci, którycheśmy w Szawlach widzieli, trzeba przyznać — mówił mały rycerz — chłop w chłopa na schwał!... Uważaliście przytem, jakie konie mają spasłe?

— To inflanckie konie, nader silne — rzekł Mirski. — I nasze towarzystwo husarskie i pancerne w Inflanciech szuka koni, bo to u nas szkapiny drobne.

— Gadaj mi waść o szwedzkiej piechocie! — wtrącił Stankiewicz. — Jazda, choć wspaniałą czyni postać, mniej cnotliwa. By-

wało, że jak nasza chorągiew, a zwłaszcza z poważnego znaku, runie na tych rajtarów, to i dwóch pacierzy nie wytrzymają.

— Waszmościowie jużeście ich kosztowali za dawnych czasów — odrzekł mały rycerz, — a ja jeno muszę ślinę łykać. To mówię waćpaństwu, gdym ich teraz w Szawlach ujrzał i te ich żółte brody, jako kądziele, aż mi mrówki zaczęły po palcach chodzić. Ej, radażby dusza do raju, a tu siedź na wozie i zdychaj!...

Pułkownicy umilkli, ale widocznie nie sam tylko Wołodyjowski płonął tak przyjaznemi dla Szwedów uczuciami, bo wkrótce uszu więźniów doszła następująca rozmowa dragonów, otaczających wóz:

— Widzieliście tych psiawiarów pogańskich — mówił jeden żołnierz — mieliśmy się z nimi bić, a teraz będziem im konie czyścili...

— Żeby to najjaśniejsze pioruny zatrzasły! — mruknął drugi dragon.

— Cicho bądź, będzie się Szwed miotłą po łbie w stajni moresu uczył!

— Albo ja jego.

— Głupiś! Nie tacy jak ty chcieli się na nich porwać i masz, co się stało!

— Największych rycerzy im odwozimy, jakoby psu w gardło. Będą się nad nimi, żydowskie ich macie, znęcać.

— Bez Żyda się z takim szołdrą nie rozmówisz. Toż i komendant zaraz w Szawlach po Żyda musiał posłać!

— Żeby ich mór pobił!

Tu pierwszy żołnierz zniżył nieco głos i pytał:

— Mówią, że wszyscy co lepsi żołnierze nie chcą z nimi przeciw panu własnemu służyć?

— A jakże! Alboś to nie widział Węgrzynów, albo to pan hetman nie pociągnął z wojskiem na opornych? Nie wiadomo jeszcze co się stanie. Toż i naszych dragonów kupa się za Węgrami ujęła, których ponoć wszystkich rozstrzelają.

— Ot im nagroda za wierną służbę!

— Do dyabła taka robota!

— Żydowska służba!...

— Stój! — rozległ się nagle głos jadącego w przedzie pana Rocha.

— Bodaj ci kula w pysku stanęła! — mruknął głos przy wozie.

— Co tam? — pytali żołnierze jedni drugich.

— Stój! — zabrzmiała powtórnie komenda.

Wóz stanął. Żołnierze wstrzymali konie. Dzień był pogodny, jasny. Słońce już weszło — i przy jego blaskach widać było na gościńcu, w przedzie, wznoszące się kłęby kurzawy, jakoby stada albo wojsko szło naprzeciw.

Wkrótce w kurzawie poczęło błyskać, rzekłbyś, że kto iskry wśród kłębów rozsypuje — i światełka migotały coraz wyraźniej, niby świece jarzące, dymem otoczone.

— To groty połyskują! — zawołał pan Wołodojowski.

— Wojsko idzie.

— Pewnie szwedzki jaki oddział.

— U nich tylko piechota ma włócznie, a tam kurzawa szybko się porusza. To jazda, to nasi!

— Nasi, nasi! — powtórzyli dragoni.

— Formuj się! — zabrzmiał głos pana Rocha.

Dragoni otoczyli kołem wóz. Pan Wołodyjowski miał płomień w oczach.

— To moi laudańscy ludzie z Zagłobą! Nie może inaczej być!

Już tylko staje drogi dzieliło zbliżających się od wozu i odległość zmniejszała się z każdą chwilą, bo przeciwny oddział nadchodził rysią. Nakoniec z kurzawy wysunął się potężny oddział wojska idącego w dobrym szyku, jakoby do ataku. Po chwili byli jeszcze bliżej. W pierwszym szeregu, nieco od prawej strony, uwijał się pod buńczukiem jakiś potężny mąż z buławą w ręku. Ledwie go pan Wołodyjowski wziął na oko, wnet zakrzyknął:

— To pan Zagłoba! Jak Boga kocham, pan Zagłoba.

Uśmiech rozjaśnił twarz Jana Skrzetuskiego.

— On! nie kto inny! — rzekł — i pod buńczukiem! Już się na hetmana kierował. Poznałbym go po tej fantazyi wszędzie... Ten człowiek takim umrze, jakim się urodził.

— Niechże mu Pan Bóg da zdrowie! — rzekł Oskierka.

Poczem złożył ręce koło ust i począł wołać:

— Mości Kowalski! To krewniak przyjeżdża do cię w odwiedziny!

Ale pan Roch nie słyszał, bo właśnie ogan'ał swoich dragonów. I trzeba mu było oddać tę sprawiedliwość, że lubo garść miał ludzi, a tam cała chorągiew na niego waliła, przecie się nie zmieszał, ani serca nie stracił. Wysunął dragonów we dwa szeregi przed wóz, a tamci rozciągnęli się tymczasem i poczęli go zajeżdżać tatarska

modą, półksiężycem, z obu stron pola. Lecz widocznie chcieli naprzód paktować, bo poczęli machać chorągwią i krzyczeć:

— Stój! stój!

— Naprzód! stępą! — zakrzyknął pan Roch.

— Poddaj się! — wołano z drogi.

— Ognia! — zakomenderował w odpowiedzi Kowalski.

Zapadło głuche milczenie: ani jeden dragon nie wystrzelił.

Pan Roch oniemiał również na chwilę; następne rzucił się jakby wściekły na własnych dragonów.

— Ognia, psiawiary! — ryknął straszliwym głosem i jednym zamachem pięścią zwalił z konia najbliższego żołnierza.

Inni poczęli się cofać przed wściekłością męża, ale żaden nie usłuchał komendy. Nagle rozsypali się, jak spłoszone stado kuropatw, w mgnieniu oka.

— Tych żołnierzy kazałbym jednak rozstrzelać! — mruknął Mirski.

Tymczasem Kowalski, widząc, że właśni ludzie opuścili go, zwrócił konia ku atakującym szeregom.

— Tam mi śmierć! — zakrzyknął okropnym głosem.

I skoczył ku nim jak piorun.

Ale nim przebiegł połowę drogi, w szeregach Zagłoby huknął wystrzał z garłacza; siekańce zaszumiały po gościńcu, koń pana Rocha zarył nozdrzami w kurzawę i padł, przywalając jeźdźca.

W tej samej chwili jakiś żołnierz z chorągwi Wołodyjowskiego wysunął się błyskawicą naprzód i ucapił za kark podnoszącego się z ziemi oficera.

— To Józwa Butrym! — zawołał Wołodyjowski. — Józwa Beznogi!

Pan Roch chwycił z kolei Józwę za połę i poła została mu w ręku; poczem jęli się wodzić, jak dwa zczepione jastrzębie, bo obydwaj olbrzymią obdarzeni byli siłą. Strzemię Butrymowi pękło, a on sam zleciał na ziemię i przewrócił się, ale pana Rocha nie puścił i obaj utworzyli jakoby jednę kulę, która przewracała się na gościńcu.

Nadbiegli inni. Ze dwadzieścia rąk chwyciło pana Kowalskiego, który targał się i szarpał, jak niedźwiedź w matni; rzucał ludźmi, jak odyniec psami, podnosił się znów i nie dawał za wygraną. Chciał zginąć, a tymczasem naokół słyszał dziesiątki głosów, powtarzających słowa: "Żywcem! żywcem!"

Wreszcie siły go opuściły — i omdlał.

A tymczasem pan Zagłoba już był przy wozie, a raczej na wozie i chwytał w objęcia Skrzetuskich, małego rycerza, pana Mirskiego, pana Stankiewicza i Oskierkę, poczem wołał zdyszanym głosem:

— Ha! przydał się na coś Zagłoba. Damy teraz Radziwiłłowi dzięgielu! Mości panowie, wolni jesteśmy i ludzi mamy! Zaraz ruszymy dobra mu pustoszyć! A co! udał się fortel?... Nie tym, to innym sposobem byłbym się wydostał i waćpanów także!... Całkiem mnie zatkało, że tchu nie mogę złapać! Na radziwiłłowskie dobra, mości panowie, na radziwiłłowskie dobra! Jeszcze wszystkiego o nim nie wiecie, co ja wiem!...

Dalsze wybuchy zostały przerwane przez ludzi laudańskich, którzy biegli jeden przez drugiego witać swego pułkownika. Butrymi, Gościewicze dymni, Domaszewicze, Stajkanowie, Gasztowtowie cisnęli się naokoło wozu, a potężne gardziele ryczały nieustannie:

— Vivat! vivat!

— Mości panowie! — rzekł mały rycerz, gdy uciszyło się nieco — towarzysze najmilsi! dziękuję wam za afekt!... Straszna to rzecz, że musimy hetmanowi posłuszeństwo wypowiadać i rękę nań podnosić, ale gdy zdrada jawna, nie może być inaczej. Nie odstąpim ojczyzny i pana naszego miłościwego... Vivat Joannes Casimirus rex!...

— Vivat Joannes Casimirus rex! — powtórzyło trzysta głosów.

— Dobra Radziwiłłowskie zajechać! — krzyczał Zagłoba. — Śpiżarnie i piwnice mu wypłókać!

— Koni nam! — zawołał mały rycerz.

Skoczono po konie.

Tymczasem Zagłoba rzekł:

— Panie Michale! Hetmaniłem tym ludziom w zastępstwie twojem i przyznaję im chętnie, że mężnie sobie poczynali... Ale gdyś teraz wolny, zdaję władzę w twoje ręce.

— Niechże wasza miłość komendę bierze, jako godnością najstarszy — rzekł pan Michał, zwracając się do Mirskiego.

— Ani myślę! a mnie co po tem! — odrzekł stary pułkownik.

— To jegomość pan Stankiewicz?

— Ja mam swoją chorągiew i cudzej nie będę brał! Ostań waszmość przy komendzie: ceremonia sieczka, satysfakcya owies! Znasz ty ludzi, ludzie ciebie, i najlepiej przy tobie będą stawali.

— Uczyń tak, Michale, uczyń, boć to i niełakoma rzecz! — mówił Jan Skrzetuski.

— Niechże i tak będzie.

To rzekłszy, pan Michał wziął buławę z rąk Zagłoby, uszykował w mig chorągiew do pochodu i ruszył wraz z towarzyszami na jej czele.

— A gdzie to pójdziemy? — pytał Zagłoba.

— Żeby tak waściom prawdę powidzieć, to sam nie wiem, bom jeszcze o tem nie pomyślał — odparł pan Michał.

— Warto się nad tem naradzić, co nam uczynić przystoi — rzekł Mirski — i musimy bezzwłocznie do rady przystąpić. Jeno pierwej niech mi wolno będzie złożyć jegomości panu Zagłobie w imieniu wszystkich podziękę, że nas nie zapomniał i in trebus angustis tak skutecznie ratował.

— A co? rzekł z dumą Zagłoba, podnosząc głowę i zakręcając wąsa. — Bezemnie bylibyście w Birżach!... Justycya nakazuje przyznać, że kto czego nie wymyśli, to Zagłoba wymyśli... Panie Michale, nie w takich to bywaliśmy opałach! Pamiętasz, jakem cię ratował, gdyśmy to z Halszką przed Tatarami uciekali, co?

Pan Michał mógłby był odpowiedzieć, że wówczas nie pan Zagłoba jego, ale on pana Zagłobę ratował; wszelako milczał i począł tylko wąsikami ruszać. Stary zaś szlachcic mówił dalej:

— Nie potrzeba dziękować, bo co wam dziś, to mnie jutro, i pewnie nie opuścicie mnie też w potrzebie. Tak jestem rad, że was wolnych widzę, jakobym najwalniejszą wiktoryę odniósł. Pokazuje się, że nie zestarzała się jeszcze zbyt ani głowa, ani ręka.

— Toś tedy waćpan zaraz do Upity trafił? — spytał pan Michał.

— A gdzie miałem trafiać? do Kiejdan? wilkowi w gardło leźć? Już i, że do Upity i możecie mi wierzyć, żem szkapy nie żałował, a dobra była bestya! Wczoraj rano już byłem w Upicie, a w południe ruszyliśmy ku Birżom w tę stronę, w której spodziewałem się ichmościów spotkać.

— A że to ludzie moi tak odrazu waćpanu uwierzyli? — mówił pan Michał. — Bo cię nie znali z wyjątkiem dwóch czy trzech, którzy cię u mnie widzieli.

— Co prawda, nie miałem z tem najmniejszej trudności, bo najprzód miałem twój pierścień, panie Michale, a powtóre ludzie właśnie tylko co się byli dowiedzieli o waszem aresztowaniu i

zdradzić hetmana. Zastałem deputacyę do nich od chorągwi pana Mirskiego i pana Stankiewicza, żeby się do kupy przeciw hetmanowi, zdrajcy, zbierali. Jakem im tedy oznajmił, że was do Birż wiozą, jakoby kto w mrowisko kij wsadził. Konie były na potrawach, posłali zaraz pachołków, by je sprowadzić, i w południe ruszyliśmy już w drogę. Oczywiście objąłem komendę, bo mi się to należało.

— A skądżeś ojciec buńczuka wziął? pytał Jan Skrzetuski. Myśleliśmy zdaleka, że hetman.

— Co? pewnie, żem nie gorzej wyglądał? Skądem buńczuka wziął? Oto razem z deputacyami od opornych chorągwi przyjechał i od hetmana pan Szczyt z rozkazem do laudańskich, by do Kiejdan szli, i z buńczukiem dla większej powagi rozkazu. Kazałem go zaraz aresztować, a buńczuk nad sobą nosić, żeby Szwedów na ten przypadek omylić.

— Dalibóg, jak wszystko mądrze obmyślił! — zawołał Oskierka.

— Jako Salomon! — dodał Stankiewicz.

Pan Zagłoba rósł jak na drożdżach.

— Radźmy teraz, co nam uczynić przystoi? — rzekł wreszcie. — Jeżeli waćpaństwo chcecie mnie posłuchać cierpliwie, to powiem, com sobie przez drogę obmyślił. Z Radziwiłłem tedy nie radzę wojny rozpoczynać, a to dla dwojakich powodów, najprzód, że nie przymierzając, on jest szczupak, a my okonie. Lepiej dla okoniów nigdy się głową do szczuki nie zwracać, bo snadnie połknąć może, jeno ogonem, bo wtedy ostre skrzela bronią. Niech go tam dyabeł na rożen wdzieje jak najprędzej i smołą polewa, aby się zbyt nie przypalił.

— Powtóre? — pytał Mirski.

— Powtóre — odrzekł Zagłoba — że gdybyśmy przez jakowy casus (przypadek) dostali się w jego ręce, to by nam takiego łupnia zdał, że wszystkie sroki na Litwie miałyby o czem skrzeczeć... Patrzcie waszmościowie, co stało w tym liście, który Kowalski wiózł do komendanta szwedzkiego do Birż i poznajcie pana wojewodę wileńskiego, jeśliście go dotąd nie znali!

To rzekłszy, odpiął żupan i wydobywszy z zanadrza pismo, podał je Mirskiemu.

— Ba! po niemiecku, czy po szwedzku? — odrzekł stary pułkownik. — Który z waściów to pismo przeczyta?

Pokazało się, że jeden pan Stanisław Skrzetuski trochę po nie-

miecku umiał, gdyż często z domu do Torunia jeździł, ale pisanego i on nie mógł przeczytać.

— To ja waściom tenor opowiem — rzekł Zagłoba. — Gdy w Upicie żołnierze posłali po konie na łąki, było trochę czasu, kazałem sobie tedy sprowadzić za pejsy Żyda, którego tam wszyscy okrutnie mądrym powiadają i ten, mając szablę na karku, wyczytał wszystko expedite (dokładnie), co tam stoi i mnie wyłuszczył. Owóż pan hetman poleca komendantowi birżańskiemu i dla dobra jegomości króla szwedzkiego nakazuje, aby odprawiwszy wprzód konwój, kazał potem nas wszystkich, nie wyłączając nikogo, rozstrzelać, jeno tak, aby się wieść nie rozeszła.

Pułkownicy aż rękoma poczęli klaskać, z wyjątkiem jednego Mirskiego, który, pokiwawszy głową, rzekł:

— Mnie też, co go znam, dziwno to było i w głowie nie chciało się pomieścić, że on nas żywych z Kiejdan wypuszcza. Musiały być chyba jakieś powody, których nie znamy, a dla których sam nie mógł nas na śmierć skazać.

— Pewnie chodziło mu o opinię ludzką?

— Może.

— Jednakże dziw, jakto jest zawzięty pan! — rzekł mały rycerz. — Bo przecie, nie wymawiając, ja mu życie tak jeszcze niedawno, na współkę z Ganchoffem, ratowałem.

—A ja pod jego ojcem, a potem pod nim trzydzieści pięć lat już służę! — rzekł Stankiewicz.

— Straszny człek! — dodał Stanisław Skrzetuski.

— Owóż takiemu lepiej w paszczękę nie leźć — rzekł Zagłoba. — Niech go dybali wezmą! Unikajmy z nim bitwy, a natomiast majętności, które po drodze się trafią, accurate (doszczętnie) mu wypłóczmy. Idźmy do wojewody witebskiego, żeby to mieć jaką ochronę, jakowegoś pana za sobą, a po drodze bierzmy, co się da ze śpiżarni, ze stajen, obór, spichrzów, piwnic. Aż mi się dusza do tego śmieje i już to pewna, że nikomu nie dam się w tem wyprzedzić. Co z pieniędzy po ekonomiach będziemy mogli wziąć, to bierzmy także. Im huczniej i okryciej przyjdziem do wojewody witebskiego, tem wdzięczniej nas przyjmie.

— On i tak nas wdzięcznie przyjmie — odrzekł Oskierka. — Ale dobra rada, żeby do niego iść i lepszej teraz nikt nie wymyśli.

— Wszyscy głosy za tem dadzą — dodal Stankiewicz.

— Jako żywo? — rzekł pan Michał. — Tak tedy do wojewody

witebskiego! Niechże on będzie owym wodzem, o któregośmy Boga prosili.

— Amen! — rzekli inni.

I jechali czas jakiś w milczeniu, aż wreszcie pan Michał jął się kręcić na kulbace.

— A żeby tak gdzie Szwedów po drodze skubnąć? — spytał wreszcie, zwracając oczy na towarzyszów.

— Moja rada jest, że jeśli się zdarzy, to dlaczego nie? odparł Stankiewicz. — Pewnie tam Radziwiłł upewnił Szwedów, że całą Litwę ma w ręku i że wszyscy chętnie opuszczą Jana Kazimierza, niechże się pokaże, że to nieprawda.

— I słusznie! — rzekł Mirski. — Jeżeli jaki oddział wlezie nam w drogę, to mu po brzuchach przejechać. Zgadzam się również, aby się na samego księcia nie porywać, bo mu nie zdzierżymy. Wojownik to wielki! Ale unikając bitwy, wartoby z parę dni koło Kiejdan się pokręcić.

— Aby mu majętności spustoszyć? — spytał Zagłoba.

— Nie to! Jeno, aby ludzi więcej zebrać. Moja chorągiew i pana Stankiewicza ku nam się przymkną. Jeżeli zaś już rozbite, co być może, to także będą pojedyńczo do nas się kupili. Nie bez tego, ażeby coś i szlachty nie napłynęło. Przyprowadzimy panu Sapieże większą siłę, z którą snadniej będzie mógł coś począć.

Rzeczywiście, wyrachowanie to było dobre, a jako pierwszy przykład mogli posłużyć dragoni pana Rocha, którzy wszyscy, z wyjątkiem jego samego, przeszli bez wahania do pana Michała. Takich mogło się znaleźć w szeregach radziwiłłowskich więcej. Można było przytem przypuszczać, że pierwsze uderzenie na Szwedów wywoła ogólne powstanie w kraju.

Postanowił więc pan Wołodyjowski ruszyć na noc w stronę Poniewieża, zagarnąć jeszcze, co można, szlachty laudańskiej w okolicach Upity i stamtąd zanurzyć się w puszczę Rogowską, do której, jak się spodziewał, resztki rozbitych opornych chorągwi będą się chroniły. Tymczasem stanął na wypoczynek wedle rzeki Ławeczy, aby ludzi i konie pokrzepić.

Tam stali do nocy, poglądając z gąszczy leszczynowych na wielką drogę, po której ciągnęły coraz to nowe gromady chłopstwa, uciekającego w lasy przed spodziewanem najściem szwedzkiem.

Żołnierze, wysłani na drogę, sprowadzali od czasu do czasu po-

jedyńczych chłopów, aby zasięgnąć języka o Szwedach, ale niewiele można się było od nich wywiedzieć.

Chłopstwo było przerażone i każdy pojedyńczo powtarzał, że Szwedzi tuż, ale dokładnych objaśnień nikt nie umiał udzielić.

Gdy ściemniło się zupełnie, pan Wołodyjowski kazał ludziom siadać na koń, lecz zanim ruszyli, do uszu wszystkich doszedł dosyć wyraźnie odgłos dzwonów.

— Coto jest? — pytał Zagłoba — przecie na Anioł Pański za późno?

Pan Wołodyjowski słuchał przez chwilę pilno.

— To na trwogę! — rzekł.

Poczem puścił się wzdłuż szeregu.

— A nie wie tam który — pytał — co to za wieś, czyli miasteczko w tamtej stronie?

— Klewany, panie pułkowniku! — odpowiedział jeden z Gościewiczów, — my tamtędy z potażem jeździm.

— Słyszycie dzwony?

— Słyszym! To nadzwyczajna rzecz!

Pan Michał skinął na trębacza i wnet cichy głos trąbki zabrzmiał wśród ciemnych gęstwin. Chorągiew posunęła się naprzód.

Oczy wszystkich utkwione były w kierunku, skąd coraz gwałtosniejsze dochodziło dzwonienie; jakoż nie napróżno patrzano, bo wkrótce błysło na horyzoncie czerwone światło i powiększało się z każdą chwilą.

— Łuna ! — szeptano w szeregach.

Pan Michał pochylił się ku Skrzetuskiem.

— Szwedzi! — rzekł.

— Skosztujem! — odparł pan Jan.

— Dziwno mi ot jeno, że palą.

— Musiał szlachcic opór dać, albo chłopstwo się ruszyło, jeśli na kościół nastąpili.

— A no, zobaczym! — rzekł pan Michał.

I sapnął z zadowoleniem.

Wtem pan Zagłoba przyczłapał ku niemu.

— Panie Michale?

— A co?

— Już widzę, że ci szwedzkie mięso zapachniało. Pewnie bitwa będzie, co?

— Jak Bóg zdarzy! Jak Bóg zdarzy!

— A kto będzie jeńca pilnował?

— Jakiego jeńca?

— Jużci nie mnie, jeno Kowalskiego. Widzisz, panie Michale, to jest okrutnie ważna rzecz, żeby on nie uciekł. Pamiętaj, że hetman nic wie o niczem, co się stało i od nikogo się nie dowie, jeżeli Kowalski mu nie doniesie. Trzeba jakowym pewnym ludziom kazać go pilnować, bo w czasie bitwy łatwo dać drapaka, zwłaszcza, że i fortelów może się chwycić.

— Tyle on zdatny do fortelów, ile ten wóz, na którym siedzi. Ale masz waść słuszność, że trzeba kogoś koło niego zostawić. Chcesz waść mieć go przez ten czas na oku?

— Hm! bitwy mi żal!.. Prawda, że to w nocy przy ogniu prawie nic nie widzę. Żebyśmy się mieli po dniu bić, niegdybyś mnie na to nie namówił... Ale skoro publicum bonum dobro publiczne, tego wymaga, niechże już tak będzie!

— Dobrze. Zostawię waszmości z pięciu ludzi do pomocy, a jakby chciał umykać, to w łeb mu palcie.

— Ugniotę ja go w palcach jak wosk, nie bój się!.. Ale to tam łuna coraz większa. Gdzie mam zatrzymać się z Kowalskim?

— Gdzie waść chcesz. Nie mam teraz czasu! — rzekł pan Michał.

I wyjechał naprzód.

Pożar rozlewał się coraz szerzej. Wiatr powiał od strony ognia i razem z głosem dzwonów przyniósł echa wystrzałów.

— Rysią! — skomenderował pan Wołodyjowski.

---

## XVIII.

Dojechawszy bliżej wsi, zwolnili kroku i ujrzeli szeroką ulicę, oświeconą tak płomieniem, iż szpilki możnaby na niej zbierać, bo po obu stronach paliło się kilka chałup, a inne zajmowały się od nich zwolna, gdyż wiatr był dość silny i niósł iskry, ba! całe snopki podobne po ptaków ognistych, na przyległe dachy. Na ulicy płomień oświecał większe i mniejsze gromadki ludzi, poruszające się szybko w różne strony. Krzyk ludzki mieszał się z odgłosem dzwonów ukrytego wśród drzew kościoła, z rykiem bydła, ze szczekaniem psów i rzadkimi wystrzałami z broni palnej.

Podjechawszy bliżej, żołnierze pana Wołodyjowskiego ujrzeli rajtarów przybranych w kolíste kapelusze, ale niezbyt wielu. Niektórzy ucierali się z gromadami chłopów, zbrojnych w cepy i widły, strzelając do nich z pistoletów i wypierając za chałupy, na ogrody, inni wypędzali na drogę rapierami woły, krowy i owce. Inni, których zaledwie można było rozeznać wśród całych kłębów pierza, poobwieszali się ptactwem domowem, trzepoczącem jeszcze skrzydłami w przedśmiertnych podrygach. Kilkunastu trzymało konie, każdy po dwa lub trzy, należące do towarzyszów, zajętych widocznie rabunkiem chałup.

Droga do wsi schodziła nieco z góry, wśród brzezinowego lasu, tak że laudańscy, sami nie będąc widziani, widzieli jakoby obraz, przedstawiający najście wsi przez nieprzyjaciela, oświecony pożarem, w którego blaskach dokładnie można było odróżnić obcych żołnierzy, wieśniaków, niewiasty ciągane przez rajtarów i broniących się bezładnemi kupami mężów. Wszystko to poruszało się gwałtownie, nakształt lalek w jasełkach, krzycząc, klnąc, lamentując.

Pożar nad wioską trząsł całą grzywą płomienia i huczał coraz straszliwiej.

Pan Wołodyjowski, zbliżywszy się z chorągwią do roztwartego naoścież kołowrotu, kazał zwolnić kroku. Mógł on uderzyć i jednym zamachem zgnieść niespodziewających się niczego napastników, ale mały rycerz postanowił sobie "pokosztować Szwedów" w bitwie otwartej, zupełnej, więc naumyślnie czynił tak, aby go spostrzeżono.

Jakoż kilku rajtarów, stojących wedle kołowrotu, spostrzegło najprzód zbliżającą się chorągiew. Jeden z nich skoczył do oficera, który stał z gołym rapierem wśród większej kupy jeźdźców na środku drogi i począł mówić coś do niego, ukazując ręką w tę stronę, z której spuszczał się ze swymi ludźmi pan Wołodyjowski. Oficer przysłonił oczy ręką i popatrzył przez chwilę, następnie skinął i wnet donośny odgłos trąbki zabrzmiał wśród rozmaitych krzyków ludzkich i zwierzęcych.

A tu rycerze nasi mogli podziwiać sprawność szwedzkiego żołnierza, zaledwie bowiem rozległy się pierwsze tony, gdy jedni z rajtarów poczęli wypadać co duchu z chałup, drudzy porzucali zrabowane rzeczy, woły, owce i biegli do koni.

W mgnieniu oka stanęli w sprawnym szeregu, na którego widok

wezbrało podziwem serce małego rycerza, taki lud był dobrany. Chłopy wszystko rosłe i tęgie, przybrane w kaftany ze skórzanymi pasami przez ramię, w jednostajne czarne kapelusze z podniesionem koliskiem z lewej strony, wszyscy mieli jednakie gniade konie i stanęli jak murem, z rapierami przy ramieniu, poglądając bystro, ale spokojnie w stronę drogi.

Jednakże z szeregu wysunął się oficer z trębaczem, chcąc widocznie zapytać, coby byli za ludzie, zbliżający się tak wolno. Widocznie sądził, iż to jakaś radziwiłłowska chorągiew, od której nie spodziewał się zaczepki. Jął tedy machać rapierem i kapeluszem, a trębacz trąbił ciągle na znak, iż chcą rozmowy.

— A wypalno który ku nim z garłacza, — rzekł mały rycerz — aby wiedzieli, czego się mają od nas spodziewać!

Strzał huknął, ale siekańce nie doszły, bo były zbyt daleko. Oficer widocznie myślał jeszcze, iż to jakieś nieporozumienie, gdyż począł tylko mocniej krzyczeć i kapeluszem machać.

— Dajcież mu drugi raz! — zakrzyknął pan Wołodyjowski.

Po drugim strzale oficer zawrócił i ruszył, choć niezbyt pośpiesznie ku swoim, którzy także zbliżyli się rysią ku swoim.

Pierwszy szereg laudańskich ludzi wjeżdżał już w kołowrot. Oficer szwedzki zakrzyknął, dojeżdżając, na swoich ludzi, rapiery, sterczące aż do tej chwili przy ramionach rajtarów, pochyliły się i zwisły na pendentach — natomiast wszyscy naraz wydobyli pistolety z olster i wsparli je na kulach od kulbak, trzymając lufy do góry.

— Doskonały żołnierz! —mruknął Wołodyjowski, widząc szybkość i jednoczesność prawie mechaniczną ich ruchów.

To rzekłszy, obejrzał się na swoich ludzi, czy szeregi w porządku, poprawił się w kulbace i krzyknął:

— Naprzód!

Laudańscy pochylili się ku szyjom końskim i ruszyli jak wicher. Szwedzi przypuścili ich blisko i naraz dali ognia z pistoletów, lecz salwa niewiele zaszkodziła laudańskim, więc zaledwie kilku wypuściło z rąk trenzle i przechyliło się w tył, inni dobiegli i uderzyli się z rajtarami pierś o pierś.

Litewskie lekkie chorągwie używały jeszcze kopij, które w koronnem wojsku służyły tylko husaryi, ale pan Wołodyjowski, spodziewając się bitwy w ciasnocie, kazał je zatknąć poprzednio przy drodze, więc zaraz przyszło do szabel.

Pierwszy impet nie zdołał rozerwać Szwedów, lecz zepchnął ich w tył, tak iż zaczęli się cofać, siekąc i bodąc rapierami, laudańscy zaś parli ich zapamiętale przed sobą wzdłuż ulicy. Trup począł padać gęsto. Ciżba czyniła się coraz większa, szczęk szabel wypłoszył chłopstwo z szerokiej ulicy, w której gorąco od płonących domów było nie do wytrzymania, lubo domy ode drogi i oplotków oddzielone były sadami.

Szwedzi parci coraz potężniej, cofali się zwolna, ale zawsze w dobrym porządku. Trudno im zresztą było się rozproszyć, ponieważ silne płoty zamykały drogę z obu stron. Chwilami próbowali zatrzymać się, ale nie mogli podołać.

Była to dziwna bitwa, w której z przyczyny wąskiego stosunkowo miejsca walczyły wyłącznie pierwsze szeregi, następne zaś mogły tylko pchać stojących w przedzie. Ale przez to właśnie walka zmieniła się w rzeź zaciekłą.

Pan Wołodyjowski, uprosiwszy wprzód starych pułkowników i Jana Skrzetuskiego, aby w samej chwili ataku mieli dozór nad ludźmi, używał dowoli w pierwszym szeregu. I co chwila jakiś kapelusz szwedzki zapadał przed nim w ciżbę, jakoby nurka dawał pod ziemię, czasami rapier, wytrącony z rąk rajtara, wylatywał furkocząc nad szereg, a jednocześnie odzywał się krzyk ludzki przeraźliwy i znów kapelusz zapadał, zastępował go drugi, drugiego trzeci, lecz pan Wołodyjowski posuwał się ciągle naprzód, małe jego oczki świeciły jak dwie skry złowrogie, nie unosił się i nie zapamiętywał, nie machał szablą jak cepem, chwilami, gcy nie miał nikogo na długość szabli przed sobą, zwracał twarz i klingę nieco w prawo lub w lewo i strącał w mgnieniu oka rajtara ruchem napozór nieznacznym i straszny był przez te ruchy małe, a błyskawiczne, prawie nie człowiecze.

Jak niewiasta rwąca konopie, zanurzy się w nie tak, iż ją zupełnie zasłonią, ale po zapadaniu kiści poznasz łatwo jej drogę, tak i on niknął chwilowo z oczu w tłumie rosłych mężów, lecz tam, gdzie padali jako glos pod sierpem żniwiarza, podcinającego źdźbła od dołu, tam właśnie on był. Stanisław Skrzetuski i posępny Józwa Butrym, zwany Beznogim, szli tuż za nim.

Nakoniec szwedzkie tylne szeregi poczęły wysuwać się z opłotków na obszerniejszy wirydarz przed kościołem i dzwonnicą, a za niemi wysunęły się przednie. Rozległa się komenda oficera, który pragnął widocznie wprowadzić wszystkich naraz ludzi do boju

i wydłużony aż dotąd prostokąt rajtarów rozciągnął się w mgnieniu oka wszerz, w długą linię, chcąc całym frontem stawić czoło.

Lecz Jan Skrzetuski, który nad ogólnym przebiegiem bitwy czuwał i czołem chorągwi dowodził, nie poszedł za przykładem szwedzkiego kapitana, natomiast ruszył naprzód całym impetem w ścieśnionej kolumnie, która trafiwszy na słabszą już ścianę szwedzką, rozbiła ją w mgnieniu oka jakoby klinem i wróciła się pędem ku kościołowi, ku prawej stronie, biorąc tym ruchem tył jednej połowię Szwedów, a na drugą skoczyli z rezerwą Mirski i Stankiewicz, mając pod sobą część laudańskich i wszystkich dragonów Kowalskiego.

Zawrzały teraz dwie bitwy, lecz nie trwały już długo. Lewe skrzydło, na które uderzył Skrzetuski, nie zdążyło się sformować i rozproszyło się najpierwej, prawe, w którem był sam oficer, dłużej dawało opór, lecz rozciągnięte zbytecznie, poczęło się łamać, mieszać, nakoniec poszło za przykładem lewego.

Wirydarz był obszerny, lecz na nieszczęście, zagrodzony ze wszystkich stron wysokim płotem, a przeciwległy kołowrot służba kościelna, widząc co się dzieje, zamknęła i podparła.

Rozproszeni tedy Szwedzi biegali wkoło, a laudańscy upędzali się za nimi. Gdzieniegdzie bito się większemi kupami, po kilkunastu na szable i rapiery, gdzieniegdzie bitwa zmieniła się w szereg pojedynków i mąż potykał się z mężem, rapier krzyżował się z szablą, czasem strzał pistoletowy buchnął. Tu i owdzie Szwed lub Litwin wydobywał się z pod obalonego rumaka i padał zaraz pod cięciem czekającej nań szabli.

Środkiem wirydarza biegały rozhukane konie bez jeźdźców, z rozdętemi od strachu chrapami i rozwianą grzywą, niektóre gryzły się z sobą, inne oślepłe i rozszalałe zwracały się zadem do kup walszących i biły w nie kopytami.

Pan Wołodyjowski, strącając mimochodem rajtarów, szukał oczyma po całym wirydarzu oficera, nakoniec spostrzegł go broniącego się przeciw dwom Butrymom i skoczył ku niemu.

— Na bok! — krzyknął na Butrymów — na bok!

Posłuszni żołnierze odskoczyli — mały rycerz zaś przybiegł i starli się ze Szwedem, aż koniec przysiadły na zadach.

Oficer chciał widocznie sztychem zsadzić przeciwnika z konia, lecz pan Wołodyjowski podstawił rękojeść swego dragońskiego pałasza, zakręcił błyskawicowem półkolem i rapier prysnął. Ofi-

cer schylił się do olster, lecz w tej chwili cięty przez jagodę, wypuścił lejce z lewicy.

— Żywym brać! — krzyknął Wołodyjowski na Butrymów.

Laudańscy chwycili rannego i podtrzymali chwiejącego się na kulbace, mały rycerz zaś sunął w głąb wirydarza i jechał dalej na rajtarach, gasząc ich przed sobą jak świece.

Lecz już powszechnie poczęli Szwedzi ulegać bieglejszej w szermierce i pojedyńczej walce szlachcie. Niektórzy, chwytając za ostrza rapierów, wyciągali je rękojeścią ku przeciwnikom, inni rzucali broń pod nogi, słowo: "pardon!" brzmiało coraz częściej na pobojowisku. Lecz nie zważano na to, bo pan Michał kilku tylko kazał oszczędzić, więc inni, widząc to, zrywali się znów do bitwy i marli, jak na żołnierzy przystało, po rozpaczliwej obronie, okupując obficie krwią śmierć własną.

W godzinę później docinano ostatków.

Chłopstwo rzuciło się hurmem, drogą ode wsi, na wirydarz, chwytać konie, dobijać rannych i obdzierać poległych.

Tak skończyło się pierwsze spotkanie Litwinów ze Szwedami.

Tymczasem pan Zagłoba, stojąc opodal w brzezinie z wozem, na którym leżał pan Roch, musiał słuchać gorzkich jego wymówek, że choć krewny, tak niegodnie z nim postąpił.

— Zgubiłeś mnie wuj z kretesem, bo nietylko, że mnie kula w łeb w Kiejdanach czeka, ale i hańba wiekuista na moje imię spadnie. Odtąd, kto zechce powiedzieć: kiep, to może mówić: Roch Kowalski!

— I co prawda, niewielu znajdzie, którzyby mu chcieli negować, — odparł Zagłoba — a najlepszy dowód, iż się dziwujesz, żem cię na hak przywiódł, ja, którym chanem krymskim tak kręcił, jak kukłą. Cóż to sobie, chmyzie, myślałeś, że ci się pozwolę do Birż odprowadzić, w kompanii zacnych ludzi i Szwedom w paszczękę nas wrazić, największych mężów, decus (chlubę) tej Rzeczypospolitej?

— Toć ja nie z własnej woli waszmościów tam odwoziłem!

— Aleś był pachołkiem katowskim i to jest dla szlachcica wstyd, to jest hańba, którą obmyć musisz, inaczej wyprę się ciebie i wszystkich Kowalskich. Być zdrajcą to gorzej niż być rakarzem, ale być pomocnikiem kogoś gorszego od rakarza, to ostatnia rzecz!

— Ja hetmanowi służyłem!

— A hetman dyablu! Masz teraz!... Głupiś jest, Rochu, wiedz

o tem raz na zawsze i w dysputy się nie wdawaj, a mnie się trzymaj za połę, to jeszcze na człowieka wyjdziesz, bo to wiedz, że już niejednego promocya przezemnie spotkała.

Dalszą rozmowę przerwał huk wystrzałów, bo właśnie bitwa się we wsi rozpoczynała. Potem strzały umilkły, ale gwar trwał ciągle i krzyki dochodziły aż do owego ustronia w brzezinie.

— Już tam pan Michał pracuje — rzekł Zagłoba. — Nie wielki on, ale kośliwy jak gadzina. Nałuszczą tam tych zamorskich dyabłów jak grochu. Wolałbym ja tam być, niż tu, a przez ciebie muszę jeno nasłuchiwać z tej brzeziny. Taka to twoja wdzięczność? Toż to jest uczynek godny krewnego?

— A za co ja mam być wdzięczny?

— Za to, że tobą zdrajca nie orze jak wołem, chociażeś do orki najzdolniejszy, boś głupi a zdrów, rozumiesz?... Ej! coraz tam goręcej... Słyszysz? to chyba Szwedy tak ryczą, jak cielęta na pastwisku.

Tu Zagłoba spoważniał, bo trochę był niespokojny, nagle rzekł... patrząc w oczy bystro panu Rochowi:

— Komu życzysz wiktoryi?

— Jużci naszym.

— A widzisz! A czemu nie Szwedom?

— Bo teżbym wolał ich prać. Co nasi, to nasi!

— Sumienie się w tobie budzi... A jakżeś to mógł własną krew Szwedom odwozić?

— Bom miał rozkaz.

— Ale teraz nie masz rozkazu?

— Juści prawda.

Twoja zwierzchność to teraz pan Wołodyjowski, nikt więcej!

— A no... niby to prawda!

— Masz to czynić, co ci pan Wołodyjowski każe...

— Bo muszę.

— On ci tedy każe wyrzec się najprzód Radziwiłła i nie służyć mu więcej, jeno ojczyźnie.

— Jakżeto? — pytał pan Roch, drapiąc się w głowę.

— Rozkaz! — zakrzyknął Zagłoba.

— Słucham! — odrzekł pan Roch.

— To dobrze! W pierwszej okazyi będziesz Szwedów prał!

— Jak rozkaz, to rozkaz! — odpowiedział Kowalski i odetchnął głęboko, jakby mu wielki ciężar spadł z piersi.

Zagłoba również był zadowolony, bo miał swoje na pana Rocha widoki. Poczęli więc słuchać zgodnie nadlatujących odgłosów bitwy i słuchali z godzinę jeszcze, póki wszystko nie ucichło.

Zagłoba coraz był niespokojniejszy.

— Zaliby się im nie powiodło?

— Wuj stary wojskowy i możesz takie rzeczy mówić! Gdyby ich rozbito, toby wedle nas wracali kupami...

— Prawda!... Widzę, że się i twój dowcip na coś przyda.

— Słyszysz wuj tętent? Wolno idą. Musieli Szwedów wyciąć.

— Oj! a czy to jeno nasi? Podjadę, albo co?

To rzekłszy, pan Zagłoba spuścił szablę na temblak, wziął pistolet w garść i ruszył naprzód. Wkrótce zobaczył przed sobą czarniawą masę, poruszającą się zwolna drogą, jednocześnie doszedł go gwar rozmów.

Na przedzie jechało kilku ludzi, rozprawiając z sobą głośno i wnet o uszy pana Zagłoby odbił się znany mu głos pana Michała, który mówił:

— Dobre pachołki! Nie wiem, jaka tam piechota, ale i jazda doskonała!

Zagłoba uderzył konia ostrogami.

— Jak się macie! — Jak się macie? — Już mnie niecierpliwość brała i chciałem w ogień lecieć... A nie ranny który?

— Wszyscy zdrowi, chwała Bogu! — odrzekł pan Michał — aleśmy dwudziestu kilku dobrych żołnierzy stracili.

— A Szwedzi?

— Położyliśmy ich mostem.

— Panie Michale, musiałeś tam używać, jak pies w studni. A godziło się to mnie starego na straży tu zostawiać? Mało dusza ze mnie nie wyszła, tak mi się chciało szwedziny. Surowychbym ich jadł!

— Możesz waćpan dostać i pieczonych, bo ich się tam kilkunastu w ogniu przypaliło.

— Niech ich psi zjedzą. A jeńców wzięliście co?

— Jest rotmistrz i siedmiu rajtarów.

— A co myślisz z nimi czynić?

— Kazałbym ich powiesić, bo jako zbójcy niewinną wieś napadli i ludzi wycinali... Ale Jan powiada, że to nie idzie.

— Słuchajcie mnie waszmościowie, co mi tu do głowy przez ten

czas przyszło. Na nic ich wieszać, przeciwnie, puścić ich do Birż coprędzej.

— Czemużto?

— Znacie mnie jako żołnierza, poznajcie jako statystę. Szwedów puśćmy, ale nie powiadajmy im, kto jesteśmy. Owszem mówmy, żeśmy radziwiłłowscy ludzie, że z rozkazu hetmana wycięliśmy ten oddział i dalej będziemy wycinać wszystkie, które spotkamy, bo hetman tylko przez fortel symulował, że do Szwedów przechodzi. Będą się oni tam za łby brali i okrutnie kredyt hetmański przez to podkopiemy. Dalibóg, jeśli ta myśl nie jest warta więcej od waszego zwycięstwa, to niech mi ogon jak koniowi wyrośnie. Bo uważcie tylko, że i w Szwedów to ugodzi i w Radziwiłła. Kiejdany od Birż daleko, a Radziwiłł od Pontusa jeszcze dalej. Nim sobie wytłómaczą, jak i co się stało, gotowi się pobić! Poważnimy zdrajcę z najezdnikami, mości panowie, a kto najlepiej wyjdzie na tem, jeżeli nie Rzeczpospolita?

— Grzeczna to jest rada i pewnie zwycięstwa warta, niech kule biją! — rzekł Stankiewicz.

— U waści kanclerski rozum — dodał Mirski, — bo że im to pomiesza szyki, to pomiesza.

— Pewnie, że tak trzeba będzie uczynić — rzekł pan Michał. — Zaraz jutro ich puszczę, ale dziś nie chcę o niczem wiedzieć, bom okrutnie zmachany... Gorąco tam było na drodze, jak w piekarni... Uf! całkiem mi ręce zemdlały... Oficer nie mógłby nawet dzisiaj jechać, bo w pysk zacięty.

—Po jakiemu im tylko to wszystko powiemy? Co ojciec radzisz? — pytał Jan Skrzetuski.

— Jużem i o tem pomyślał — odpowiedział Zagłoba. — Kowalski mi mówił, że między jego dragonami jest dwóch Prusaków, dobrze umiejących po niemiecku szwargotać, ludzi roztropnych. Niechże oni im to powiedzą po niemiecku, który język pewnie Szwedzi umieją, tyle lat się w Niemczech nawojowawszy. Kowalski już nasz duszą i ciałem. Setny to chłop i niemały będę miał z niego pożytek.

— Dobrze! — rzekł Wołodyjowski. — Bądźże który z waszmościów łaskaw tem się zająć, bo ja już i głosu w gębie nie mam od fatygi. Oznajmiłem już ludziom, że zostaniemy tu w tej brzezinie do rana. Jeść nam ze wsi przyniosą, a teraz spać! Nad stra-

żami będzie miał mój porucznik oko. Dalibóg, że już waszmościów nie widzę, bo mi się powieki zamykają....

— Mości panowie — rzekł Zagłoba — jest tu stóg niedaleko za brzeziną, pójdźmy do stoga, wywczasujemy się jak susły, a jutro w drogę... Nie wrócimy tu już, chyba z panem Sapiehą na Radziwiłła.

---

## XIX.

Rozpoczęła się więc na Litwie wojna domowa, która obok dwóch najazdów w granice Rzeczypospolitej i coraz zaciętszej wojny ukraińskiej, wypełniła miarę niedoli.

Wojsko komputowe litewskie, jakkolwiek tak nieliczne, że żadnemu poszczególnemu nieprzyjacielowi nie mogło dać skutecznego oporu, rozdzieliło się na dwa obozy. Jedni, a zwłaszcza roty cudzoziemskie, stanęli przy Radziwille, drudzy, i tych była większość, głosząc hetmana za zdrajcę, protestowali orężnie przeciw unii ze Szwecyą, lecz bez jedności, wodza, planu. Wodzem mógł być pan wojewoda witebski, ale on zbyt był w tej chwili zajęty obroną Bychowa i rozpaczliwą walką w głębi kraju, ażeby odrazu na czele ruchu przeciw Radziwiłłowi mógł stanąć.

Tymczasem i najezdnicy, uważając każdy całą krainę za własność, poczęli słać wzajem do się groźne poselstwa. Z tych ich niesnasek mogło w przyszłości wpłynąć ocalenie Rzeczypospolitej, ale zanim do kroków nieprzyjacielskich między nimi przyszło, na całej Litwie zapanował najstraszliwszy chaos. Radziwiłł, zawiedziony w rachubie na wojsko, postanowił przemocą zmusić je do posłuszeństwa.

Zaledwie pan Wołodyjowski przyciągnął ze swym oddziałem po bitwie klawańskiej do Poniewieża, gdy do uszu jego doszła wieść o zniszczeniu przez hetmana chorągwi Mirskiego i Stankiewicza. Część ich została przemocą włączona do wojsk radziwiłłowskich, część wybita lub rozpędzona na cztery wiatry. Resztki tułały się pojedyńczo lub niewielkiemi kupami po wsiach i lasach, szukając, gdzieby głowę przed zemstą i pogonią uchronić.

Z każdym dniem zbiegowie napływali do oddziału pana Mi-

chała, zwiększając jego siłę, a zarazem przynosząc najrozmaisze nowiny.

Najważniejszą z nich była wiadomość o buncie chorągwi komputowych, stojących na Podlasiu, wedle Białegostoku i Tykocina. Po zajęciu Wilna przez wojska moskiewskie, miały owe chorągwie stamtąd przystęp do krajów koronnych osłaniać. Lecz dowiedziawszy się o zdradzie hetmana, utworzyły konfederacyę, na której czele stanęli dwaj pułkownicy: Horotkiewicz i Jakób Kmicic, stryjeczny najwierniejszego poplecznika radziwiłłowskiego, Andrzeja.

Imię tego ostatniego powtarzały ze zgrozą usta żołnierskie. On to głównie przyczynił się do rozbicia chorągwi Stankiewicza i Mirskiego, on rozstrzeliwał bez litości schwytanych towarzyszów. Hetman ufał mu ślepo i w ostatnich właśnie czasach posłał go przeciw chorągwi Niewiarowskiego, która, nie idąc za przykładem swego pułkownika, wypowiedziała mu posłuszeństwo.

Tej ostatniej relacyi wysłuchał z wielką uwagą pan Wołodyjowski, poczem zwrócił się do wezwanych na radę towarzyszów i rzekł:

— Cobyście waszmościowie powiedzieli na to, gdybyśmy, zamiast pod Bychów do wojewody witebskiego śpieszyć, poszli na Podlasie do owych chorągwi, które konfederacyę uczyniły?

— Z gęby mi to wyjąłeś! — rzekł Zagłoba. — Będzie człek bliżej swoich stron, a już tam zawsze między swoimi raźniej.

— Powiadali też zbiegowie, — rzekł Jan Skrzetuski — że słyszeli, jakoby król jegomość chorągwiom niektórym kazał z Ukrainy wracać, aby nad Wisłą opór Szwedom dać. Jeśli to się sprawdzi, tedy moglibyśmy między starymi towarzyszami się znaleźć, zamiast tu się z kąta w kąt tłuc...

— A kto ma nad temi chorągwiami regimentować? Nie wiecie waszmościowie?

— Powiadają, że pan oboźny koronny, — odrzekł pan Wołodyjowski — ale to więcej ludzie zgadują, aniżeli wiedzą, gdyż pewne wieści nie mogły jeszcze nadejść.

Jakkolwiek jest — rzekł Zagłoba — radzę na Podlasie się przemknąć. Możemy tam owe zbuntowane chorągwie radziwiłłowskie porwać za sobą i królowi jegomości przyprowadzić, a wtedy pewnie nie pozostanie to bez nagrody.

— Niechże tak będzie! — rzekli Oskierka i Stankiewicz.

— Rzecz nie jest łatwa — mówił mały rycerz — przebrać się na

Podlasie, bo trzeba się będzie hetmanowi między palcami przemykać, ale spróbujemy. Gdyby tak fortuna przytem zdarzyła Kmicica gdzie po drodze ucapić, powiedziałbym mu do ucha parę słów, od których skóraby na nim pozieleniała...

— Wart on tego! — rzekł Mirski. — Bo że tam niektórzy starzy żołnierze, którzy wiek życia pod Radziwiłłami przesłużyli, z hetmanem trzymają, to im się mniej dziwić, ale ów warchoł służy tylko dla własnej korzyści i z rozkoszy, jaką w zdradzie znajduje.

— Tak tedy na Podlasie? — pytał Oskierka.

— Na Podlasie! Na Podlasie! — zakrzyknęli wszyscy społem.

Ale rzecz nie była mniej trudna, jak to mówił pan Wołodyjowski, bo chcąc się na Podlasie dostać, trzeba było przechodzić w pobliżu Kiejdan, jakoby wedle jamy, w której lew krążył.

Drogi i pasy leśne, miasteczka i wsie były w ręku Radziwiłła, nieco za Kiejdanami stał Kmicic z jazdą, piechotą i armatami. Wiedział już też hetman o ucieczce pułkowników, o zbuntowaniu chorągwi Wołodyjowskiego, o bitwie klawańskiej i ta ostatnia szczególnie przywiodła go do takiego gniewu, że się o życie jego obawiano, albowiem straszliwy atak astmy oddech mu na czas jakiś zatamował.

Jakoż słuszne miał powody gniewu, a nawet rozpaczy, gdyż bitwa owa sprowadziła na jego głowę całą burzę szwedzką. Najprzód, zaraz po niej, poczęto tu i owdzie wycinać małe oddziały szwedzkie. Czynili to chłopi i pojedyncza szlachta na własną rękę, ale Szwedzi kładli to na karb Radziwiłła, zwłaszcza, że oficer i żołnierze po bitwie do Birż odesłani, zeznali przed komendantem, iż to radziwiłłowska chorągiew z jego rozkazu na nich uderzyła.

W tydzień przyszedł list do księcia od komendanta birżańskiego, a w dziesięć dni od samego Pontusa de la Gardie, głównodowodzącego wojskiem szwedzkiem.

"Albo wasza książęca mość sił i znaczenia nie masz, — pisał ten ostatni — a w takim razie, jak mogłeś układ w imieniu całego kraju zawierać? — albo chcesz podstępem o zgubę wojsko jego królewskiej mości przyprawić. Jeśli tak jest, łaska mojego pana odwraca się od w. ks. mości i kara rychło cię dosięgnie, jeśli skruchy i pokory nie okażesz i wierną służbą winy swojej nie zatrzesz..."

Radziwiłł wysłał natychmiast gońców z wyjaśnieniem, jak i co się stało, ale grot utkwił w dumnej duszy i rana paląca poczęła się

jątrzyć coraz srożej. On, którego słowo niedawno w posadach ten kraj, większy od całej Szwecyi, wstrząsało — on, za którego połowę dóbr wszystkich panów szwedzkich kupićby można, on, który własnemu królowi stawiał czoło, monarchom sądził się być równym, zwycięstwami rozgłos w całym świecie sobie zjednał i w pysze własnej jak w słońcu chodził — musiał teraz słuchać groźb jednego jenerała szwedzkiego, musiał słuchać lekcyi pokory i wierności. Wprawdzie ów jenerał był szwagrem królewskim, ale kimże był sam ów król, jeżeli nie przywłaszczycielem tronu, należącego się z prawa i krwi Janowi Kazimierzowi?

Przedewszystkiem jednak wściekłość hetmańska zwróciła się przeciw tym, którzy owego upokorzenia byli powodem i zaprzysiągł sobie zdeptać nogą pana Wołodyjowskiego, tych pułkowników, którzy przy nim byli i całą chorągiew laudańską. W tym celu ruszył przeciw nim i jako bór otaczają myśliwi sieciami, aby gniazdo wilcze wyłowić, tak on otoczył ich i począł gnać bez wytchnienia.

Tymczasem doszła doń wieść, że Kmicic zgniótł chorągiew Niewiarowskiego, towarzystwo rozproszył lub wyciął, pocztowych włączył do własnej chorągwi, więc hetman kazał mu odesłać sobie część sił, aby tem pewniej uderzyć.

"Ludzie ci — pisał hetman — o których życie tak natarczywie na nas nastawałeś, a głównie Wołodyjowski z onym drugim przybłędą, wyrwali się w drodze do Birż. Posłaliśmy umyślnie z nimi najgłupszego oficera, aby go przekabacić nie mogli, ale i ten, albo zdradził, albo go w pole wywiedli. Dziś Wołodyjowski ma pod sobą całą chorągiew laudańską i zbiegowie go podsycają. Szwedów sto dwadzieścia pod Kławanami w pień wycięli, głosząc, że to z naszego rozkazu czynią, z czego wielkie powstały między nami a Pontusem dyfidencye. Całe dzieło może się popsować przez tych zdrajców, którym bez twojej protekcyi kazalibyśmy, jako Bóg w niebie, szyje poucinać. Takto za klemencyę pokutować nam przychodzi, choć mamy w Bogu nadzieję, że rychło pomsta ich dosięgnie. Doszły nas też wiadomości, że w Billewiczach, miecznika rosieńskiego, szlachta się zbiera i przeciw nam praktyki czyni — trzeba temu zapobiedz. Jazdę wszystką nam odeślesz, a piechotę od Kiejdan wyekspedyujesz, aby zamku i miasta pilnowała, bo od tych zdrajców wszystkiego spodziewać się można. Sam udaj się w kilkadziesiąt koni do Billewicz i miecznika wraz

z krewniaczką do Kiejdan przywieź. Teraz nietylko tobie, ale nam na tem zależy, gdyż kto ma ich w ręku, ten ma całą laudańską okolicę, w której szlachta przeciw nam, za przewodem Wołodyjowskiego, burzyć się poczynać. Harasimowicza wysłaliśmy do Zabłudowa z instrukcyami, jak ma sobie z tamtymi konfederatami poczynać. Stryjeczny twój Jakób, wielką ma między nami powagę, do którego napisz, jeśli myślisz, że pismem coś z nim wskórać możesz.

"Oznajmując ci stateczną łaskę naszą, boskiej opiece cię polecamy."

Kmicic, przeczytawszy ów list, kontent był w duszy, że pułkownikom udało się wymknąć z rąk szwedzkich i życzył im pocichu, aby i z radziwiłłowskich wymknąć się mogli — jednakże spełnił wszystkie rozkazy książęce, jazdę odesłał, piechotą Kiejdany osadził, a nawet szańczyki wedle zamku i miasta sypać począł, obiecując sobie w duszy, zaraz po ukończeniu tej roboty, do Billewicz po pana miecznika i dziewczynę ruszyć.

— Przymusu nie użyję, chyba w ostateczności — mówił sobie — a w żadnym razie nie będę na Oleńkę nastawał. Zresztą nie moja wola, tylko książęcy rozkaz! Nie przyjmie mnie ona wdzięcznie, wiem o tem, ale Bóg da, że się z czasem o moich intencyach przekona, jako że nie przeciw ojczyźnie, ale dla ratunku jej, Radziwiłłowi służę.

] Tak rozmyślając, pracował gorliwie nad umocnieniem Kiejdan, które w przyszłości rezydencyą jego Oleńki być miały.

Tymczasem pan Wołodyjowski umykał przed hetmanem, a hetman go gonił zaciekle. Było jednak panu Michałowi zaciasno, bo od Birż, posunęły się ku południowi znaczne oddziały wojsk szwedzkich, wschód kraju zajęty był przez zastępy carskie, a na drodze do Kiejdan czyhał hetman.

Pan Zagłoba bardzo nierad był z takowego stanu rzeczy i coraz częściej zwracał się do pana Wołodyjowskiego z pytaniami:

— Panie Michale, na miłość Boską, przebijem się, czy nie przebijem?

— Tu o przebiciu się i mowy niema! — odpowiedział mały rycerz. — Wiesz waszmość, że mnie tchórzem nie podszyto i uderzę na kogo chcesz, choćby na samego dyabła... Ale hetmanowi nie zdzierżę, bo nie mnie się z nim równać!... Sameś rzekł, iż my okonie, a on szczuka. Uczynię, co w mojej mocy, aby się wymknąć

ale jeśli do bitwy przyjdzie, tedy mówię otwarcie, że on nas pobije.

— A potem każe pośrutować i psom da. Dla Boga! w każde inne ręce, byle nie w radziwiłłowskie!... A czyby już w takim razie nie lepiej do pana Sapiehy nawrócić?

— Teraz już zapóźno, bo nam i hetmańskie wojska i szwedzkie drogę zamykają.

— Dyabeł mnie skusił, żem do Radziwiłła Skrzetuskich namówił! — desperował pan Zagłoba.

Lecz pan Michał nie tracił jeszcze nadziei, zwłaszcza, że szlachta i chłopstwo nawet ostrzegało go o ruchach hetmańskich, wszystkie bowiem serca odwróciły się były od Radziwiłła. Wykręcał się więc pan Michał, jak umiał, a świetnie umiał, albowiem niemal od dziecinnych lat wezwyczaił się do wojen z Tatarami i Kozakami. Sławnym go też uczyniły niegdyś w wojsku Jeremiego owe pochody przed czambułami, podjazdy, niespodziane napady, błyskawicowe zwroty, w których nad innymi oficerami celował.

Obecnie, zamknięty między Upitą i Rogowem z jednej strony, a Niewiażą z drugiej, kluczył na przestrzeni kilku mil, unikając ciągle bitwy, męcząc radziwiłłowskie chorągwie, a nawet skubiąc je potrosze, jak wilk przez ogary ścigany, który nieraz w pobliżu strzelców się przemknie, a gdy psy zbyt blisko na niego nacierają, to się odwróci i błyśnie białemi kłami.

Lecz gdy jazda Kmicicowa nadeszła, hetman zatkał nią najciaśniejsze szczeliny i sam pojechał pilnować, by dwa skrzydła niewodu zeszły się z sobą.

Było to pod Niewiażą.

Pułki Mieleszki, Ganchoffa i dwie chorągwie jazdy pod wodzą samego księcia utworzyły jakoby łuk, którego cięciwą była rzeka. Pan Wołodyjowski ze swoim pułkiem był w środku łuku. Miał wprawdzie przed sobą jedyną przeprawę, jaka wiodła przez bagnistą rzekę, ale właśnie z drugiej strony przeprawy stały dwa regimenty szkockie i dwieście radziwiłłowskich Kozaków, oraz sześć polowych armatek, wykierowanych w ten sposób, że nawet pojedyńczy człowiek nie zdołał by się pod ich ogniem przeprawić na drugą stronę.

Wówczas łuk począł się zaciskać. Środek jego wiódł sam hetman.

Na szczęście dla pana Wołodyjowskiego, noc i burza z deszczem ulewnym przerwały pochód, ale za to uwięzionym nie pozostawało już więcej nad parę staj kwadratowych łąki, zarosłej łoziną, między półpierścieniem wojsk radziwiłłowskich a rzeką, pilnowaną z drugiej strony przez Szkotów.

Nazajutrz, ledwie brzask ranny ubielił wierzchy łóz, pułki ruszyły dalej i szły, doszły aż do rzeki i stanęły nieme z podziwu.

Pan Wołodyjowski w ziemię zapadł — w łozinie nie było żywego ducha.

Sam hetman zdumiał się, a potem prawdziwe gromy spadły na głowy oficerów, dowodzących pułkami pilnującemi przeprawy. I znów atak astmy uchwycił księcia tak silny, że obecni drżeli o jego życie. Ale gniew astmę nawet przemógł. Dwóch oficerów, którym czaty nad brzegiem były powierzone, miało być rozstrzelanych, lecz Ganchoff uprosił wreszcie księcia, by przynajmniej zbadano pierwej, jakim sposobem zwierz z matni ujść zdołał.

Jakoż pokazało się, że Wołodyjowski, korzystając z ciemności i dżdżu, wprowadził z łozy całą chorągiew w rzekę i płynąc lub brodząc z jej brzegiem, prześliznął się tuż koło prawego skrzydła radziwiłłowskiego, które dotykało koryta. Kilka koni, zapadłych po brzuchy w błota, wskazywało miejsce, w którem wylądował na prawy brzeg.

Z dalszych tropów łatwo było dojść, że ruszył całym tchem końskim do Kiejdan. Hetman odgadł natychmiast z tego, że pragnął przebrać się do Horotkiewicza i Jakóba Kmicica na Podlasie.

Lecz czy przechodząc koło Kiejdan nie podpali miasta lub nie pokusi się o rabunek zamku?

Straszna obawa ścisnęła serce księcia. Większa część gotowizny jego i kosztowności były w Kiejdanach. Kmicic powinien był wprawdzie ubezpieczyć je piechotą, ale jeśli tego nie uczynił, nieobronny zamek łatwo stać się mógł łupem zuchwałego pułkownika. Bo Radziwiłł nie wątpił, iż odwagi nie zbraknie Wołodyjowskiemu, by targnąć się na samą rezydencyę kiejdańską. Mogło mu nie zabraknąć i czasu, gdyż wymknąwszy się z początku nocy, zostawił pogoń najmniej o sześć godzin drogi za sobą.

W każdym razie należało śpieszyć co tchu na ratunek Kiejdanom. Książę zostawił piechotę i ruszył z całą jazdą.

Przybywszy do Kiejdan, Kmicica nie znalazł, lecz zastał wszystko w spokoju i opinia, jaką miał o sprawności młodego pułkownika, wzrosła podwójnie w jego umyśle na widok usypanych szańczyków i stojących na nich dział polowych. Tego samego dnia jeszcze oglądał je razem z Ganchoffem, a wieczorem rzekł doń:

— Na własny on to domysł zrobił, bez mojego rozkazu, a tak dobrze je usypał, że długoby tu się nawet przeciw artyleryi bronić można. Jeśli ten człowiek nie skręci karku zamłodu, to może pójść wysoko.

Był i drugi człowiek, na którego wspomnienie nie mógł się oprzeć hetman pewnego rodzaju podziwowi, ale podziw ów mieszał się z wściekłością, gdyż człowiekiem owym był pan Michał Wołodyjowski.

— Prędkobym z buntem skończył — mówił do Ganchoffa — gdybym miał takich sług... Kmicic może jeszcze rzutniejszy, ale nie ma tego doświadczenia i tamten w szkole Jeremiego za Dnieprem wychowany.

— Wasza ks. mość nie każe go ścigać? — pytał Ganchoff.

Książę spojrzał nań i rzekł z przyciskiem:

— Ciebie pobije, przedemną ucieknie.

Po chwili jednak zmarszczył czoło i rzekł:

— Tu teraz wszystko spokojnie, ale trzeba nam będzie na Podlasie wkrótce ruszyć, z tamtymi skończyć.

— Wasza ks. mość — rzekł Ganchoff, — jak tylko nogą stąd ruszymy, wszyscy tu za broń przeciw Szwedom pochwycą.

— Jacy wszyscy?

— Szlachta i chłopstwo. A zarazem, nie poprzestając na Szwedach, przeciwko dyssydentom się zwrócą, naszym bowiem wyznawcom całą winę tej wojny przypisują, żeśmy to do nieprzyjaciela przeszli, a nawet go sprowadzili.

— Idzie mi o brata Bogusława. Nie wiem, czy sobie tam na Podlasiu z konfederatami da radę.

— Idzie o Litwę, by ją w posłuszeństwie nam i królowi szwedzkiemu utrzymać.

Książę począł chodzić po komnacie, mówiąc:

— Gdyby Horotkiewicza i Jakóba Kmicica jakim sposobem dostać w ręce?... Dobra mi tam zajadą, zniszczą, zrabują, kamienia na kamieniu nie zostawią.

— Chybaby się z generałem tusPonporoemzu mieć, by tu

wojska na ten czas, gdy my będziem na Podlasiu, jak najwięcej przysłał.

— Z Pontusem... nigdy! — odrzekł Radziwiłł, któremu fala krwi napłynęła do głowy. — Jeżeli z kim, to z samym królem. Nie potrzebuję ze sługami traktować, mogąc z panem. Gdyby król dał rozkaz Pontusowi, aby mi ze dwa tysiące jazdy przysłał pod rękę, to co innego... Ale Pontusa nie będę o to prosił. Trzebaby kogo wysłać do króla, czas z nim samym układy zacząć.

Chuda twarz Ganchoffa zarumieniła się zlekka, a oczy zaświeciły mu się z żądzy.

— Gdyby w. ks. mość rozkazała...

— To tybyś pojechał, wiem; ale czybyś dojechał, to inna rzecz. Waść jesteś Niemiec, a obcemu niebezpiecznie zapuszczać się w kraj wzburzony. Kto tam wie, gdzie król osobą swoją w tej chwili się znajduje i gdzie się będzie za pół miesiąca lub za miesiąc znajdował? Trzeba po całym kraju jeździć... Przytem... nie może być!... waść nie pojedziesz, bo tam wypada swojego posłać i familianta, aby się król jegomość przekonał, że nie wszystka szlachta mnie opuściła.

— Człowiek niedoświadczony siła może zaszkodzić — rzekł nieśmiało Ganchoff.

— Tam poseł nie będzie miał innej roboty, jeno listy moje oddać i respons mi przywieźć, a to wytłómaczyć, że nie ja kazałem bić Szwedów pod Klawanami, każdy potrafi.

Ganchoff milczał.

Książę znów począł chodzić niespokojnemi krokami po komnacie i na czole jego było znać ciągłą walkę myśli. Jakoż od chwili układu ze Szwedami nie zaznał chwili spokoju. Żarła go pycha, gryzło sumienie, gryzł opór niespodziany kraju i wojska; przerażała go niepewność przyszłości, groźba ruiny. Targał się, szarpał, noce spędzał bezsennie, zapadał na zdrowiu. Oczy mu wpadły, wychudł; twarz dawniej czerwona, stała się sinawa, a z każdą niemal godziną przybywało mu srebrnych nici w wąsach i czuprynie. Słowem, żył w męce i giął się pod brzemieniem.

Ganchoff śledził go oczyma chodzącego wciąż po komnacie; miał jeszcze trochę nadziei, że książę namyśli się i jego wyśle.

Ale książę zatrzymał się nagle i uderzył dłonią w czoło.

— Dwie chorągwie jazdy na koń natychmiast! Ja sam poprowadzę.

Ganchoff spojrzał nań ze zdziwieniem.

— Ekspedycya? — pytał mimowoli.

— Ruszaj! — rzekł książę. — Daj Bóg, by nie było zapóźno.

---

## XX.

Kmicic, ukończywszy szańczyki i ubezpieczywszy od niespodziewanego napadu Kiejdany, nie mógł już dłużej odkładać wyprawy do Billewicz po pana miecznika rosieńskiego i Oleńkę, zwłaszcza że i rozkaz książęcy brzmiał wyraźnie, aby ich do Kiejdan sprowadzić. Ale niesporo jednak było panu Andrzejowi i gdy wreszcie wyruszył na czele pięćdziesięciu dragonów, ogarnął go taki niepokój, jakby na straconą szarżę jechał. Czuł, że tam nie będzie wdzięcznie przyjęty, a drżał przed myślą, że szlachcic może się zechce opierać nawet i zbrojną ręką i że w takim razie trzeba będzie użyć siły.

Postanowił jednak pierwej namawiać i prosić. W tym celu, aby przybyciu swemu odjąć wszelkie pozory zbrojnego napadu, pozostawił dragonów w karczmie, odległej z pół staja od wsi, a dwa od dworu; sam zaś z wachmistrzem tylko i jednym pachołkiem ruszył naprzód, przykazawszy umyślnie przygotowanej kolasce nadjechać wkrótce za sobą.

Godzina była popołudniowa i słońce chyliło się już dobrze ku zachodowi, ale po nocy dżdżystej i burzliwej dzień był piękny i niebo czyste, gdzieniegdzie tylko upstrzone na zachodniej stronie małemi różowemi obłokami, które zasuwały się zwolna za widnokrąg, podobne do stada owiec, schodzących z pola. Kmicic jechał przez wieś z bijącem sercem i tak niespokojnie, jak Tatar, który, wjeżdżając pierwszy przed czambułem do wsi, rozgląda się na wszystkie strony, czy nie ujrzy gdzie mężów zbrojnych, ukrytych w zasadzce. Ale trzech jeźdźców nie zwróciło niczyjej uwagi, jeno dzieciaki chłopskie umykały z drogi bosemi nogami przed końmi, chłopi zaś, widząd pięknego oficera, kłaniali mu się czapkami do ziemi. On zaś jechał naprzód i minąwszy wieś, ujrzał przed sobą dwór, stare gniazdo billewiczowskie, a za nim rozległe sady, kończące się hen, aż na niskich łąkach.

Kmicic zwolnił jeszcze kroku i począł rozmawiać sam z sobą; widocznie układał sobie odpowiedzi na pytania, a tymczasem poglądał zamyślonem okiem na wznoszące się przed nim budowle. nie była to wcale pańska rezydencya, ale na pierwszy rzut oka odgadłeś, iż musiał tu mieszkać szlachcic, więcej niż średniej fortuny. Sam dom, zwrócony byłem do ogrodów, a przodem do głównej drogi, był ogromny, ale drewniany. Sosny na ścianach pociemniały ze starości tak, iż szyby w oknach wydały się przy nich białe. Nad zrębem ścian piętrzył się olbrzymi dach z czterema dymnikami wpośrodku i dwoma gołębnikami po rogach. Całe chmury białych gołębi kłębiły się nad dachem, to zrywając się z łopotaniem skrzydeł, to spadając na kształt śnieżnych ptaków na czarne gonty, to trzepocąc się naokoło słupów, podpierających ganek.

Ganek ów, ozdobiony szczytem, na którym herby billewiczowskie były malowane, psuł proporcye, bo nie stał wpośrodku, ale z boku. Widocznie dawniej dom był mniejszy, ale później dobudowano go z jednej strony, lubo i część dobudowana zczerniała już tak z biegiem lat, że nie różniła się niczem od starej. Dwie oficyny, niezmiernie długie, wznosiły się po obu stronach właściwego dworu, stykając się z nim bokami i tworząc jakby dwa ramiona podkowy.

Były w nich gościnne pokoje, używane w chwilach wielkich zjazdów, kuchnie, lamusy, wozownie, stajnie dla cugowych koni, które gospodarze lubili mieć pod ręką, mieszkania dla oficyalistów, służby i dworskich Kozaków.

Na środku rozległego dziedzińca rosły stare lipy, na nich gniazda bocianie; niżej wśród drzew niedźwiedź siedzący na kole. Dwie studnie żórawiane po bokach dziedzińca i krzyż z Męką Pańską wśród dwóch włóczni u wjazdu dopełniały obrazu owej rezydencyi zamożnego rodu szlacheckiego. Po prawej stronie domu, wśród gęstych lip, wznosiły się słomiane dachy stodół, obór, owczarni i śpichrzów.

Kmicic wjechał bramą otwartą na obydwie połowy, jak ramiona szlachcica, czekającego na przyjęcie gościa. Jakoż wnet psy legawe, włóczące się po podwórzu, oznajmiły obcego i z oficyny wypadło dwóch pachołków dla potrzymania koni.

Jednocześnie we drzwiach głównego domu pokazała się jakaś postać niewieścia, w której w jednej chwili Kmicic poznał Oleńkę.

Więc serce zabiło mu żywiej i rzuciwszy pachołkowi lejce, szedł do ganku z gołą głową, trzymając w jedne ręce szablę, w drugiej czapkę.

Ona stała przez chwilę, jak wdzięczne zjawisko, przysłoniwszy oczy dłonią przeciw zachodzącemu słońcu i nagle znikła, jak gdyby przerażona widokiem zbliżającego się gościa.

— Źle! — pomyślał pan Andrzej — chowa się przedemną!

Uczyniło mu się przykro, i tem przykrzej, że poprzednio ów pogodny zachód słońca, widok tego dworu i spokoju, jaki rozlany był dokoła, napełniły jego serce otuchą, choć może pan Andrzej sam sobie z tego sprawy nie zdawał.

Miał oto jakoby złudzenie, że zajeżdża do narzeczonej, która przyjmie go z błyszczącem od radości oczyma i rumieńcami na jagodach.

I złudzenie rozwiało się. Zaledwie go ujrzała, pierzchła, jak na widok złego ducha, a natomiast wyszedł naprzeciw pan miecznik, z twarzą niespokojną i chmurną zarazem.

Kmicic pokłonił mu się i rzekł:

— Dawno chciałem waszmości dobrodziejowi złożyć służby powinne, ale wcześniej w tych niespokojnych czasach nie mogłem, chociaż pewnie na chęci mi nie brakło.

— Wielcem waszmości wdzięczny i proszę do komnat — odpowiedział pan miecznik, gładząc czuba na głowie, co zwykł był czynić, gdy był zmieszany lub siebie niepewien.

I usunął się ode drzwi, ażeby gościa puścić naprzód.

Kmicic zaś przez chwilę nie chciał wejść pierwszy i kłaniali się sobie wzajem w progu, wreszcie pan Andrzej wziął krok przed miecznikiem i po chwili znaleźli się w komnacie.

Zastali tam dwóch szlachty: jeden, człek w sile wieku, był pan Dowgird z Plemborga, bliski sąsiad Billewiczów, drugi pan Chudzyński, dzierżawca z Ejragoły. Kmicic zauważył, że ledwie usłyszeli jego nazwisko, gdy twarze im się zmieniły i najeżyli się obaj, jako brytany na widok wilka, on zaś spojrzał na nich wyzywająco, poczem postanowił sobie udawać, że ich nie widzi.

Nastało kłopotliwe milczenie.

Pan Andrzej poczynał się niecierpliwić, i wąsy gryzł, goście spoglądali wciąż na niego z podełba, a pan miecznik czub gładził.

— Napijesz się waszmość z nami szklaneczkę ubogiego, szla-

checkiego miodu — rzekł wreszcie, ukazując na gąsiorek i szklanki. — Proszę! Proszę!...

— Napiję się z waszmość panem! — rzekł dość szorstko Kmicic. Pan Dowgird i Chudyński poczęli sapać, biorąc odpowiedź za pogardę dla siebie, ale nie chcieli w przyjacielskim domu kłótni zaraz od początku zaczynać i to jeszcze z zawadyaką, mającym straszną sławę na całej Żmudzi. Jednakże jątrzyło ich to lekceważenie.

Tymczasem pan miecznik zaklaskał w dłonie na pachołka i kazał mu podać czwartą szklanicę, następnie nalał ją, podniósł swoją do ust i rzekł:

— W ręce waszmości... Rad waćpana widzę w domu.

— Radbym szczerze, by tak było!

— Gość gościem... — odrzekł sentencyonalnie pan miecznik.

Po chwili, poczuwając się widocznie, jako gospodarz, do obowiązku podtrzymania rozmowy, spytał:

— A co słychać w Kiejdanach? Jakże zdrowie pana hetmana?

— Nie tęgie, panie mieczniku dobrodzieju,—odpowiedział Kmicix — i w tych niespokojnych czasach nie może inaczej być... Siła zmartwień i zgryzot ma książę.

— A wierzym! — rzekł pan Chudzyński.

Kmicic popatrzył na niego przez chwilę, poczem zwrócił się znów do miecznika i tak dalej mówił:

— Książę, mając auxilia (posiłki) przyrzeczone od najjaśniejszego króla szwedzkiego, spodziewał się nie mieszkając na nieprzyjaciela pod Wilno ruszyć i popioły tamtejsze jeszcze nie ostygłe pomścić. Toż waszmości musi być wiadomo, że dziś Wilna w Wilnie trzeba szukać, bo się siedemnaście dni paliło. Powiadają, że wśród gruzów jeno jamy piwnic czernieją, z których ciągle się jeszcze dymi...

— Nieszczęście! — rzekł pan miecznik.

— Pewnie, że nieszczęście, któremu, jeśli nie było można zapobiedz, to należało je pomścić i podobne ruiny z nieprzyjacielskiej stolicy uczynić. Jakoż nie byłoby już od tego daleko, gdyby nie warchołowie, którzy najzacniejsze cnotliwego pana intencye podejrzewając, zdrajcą go ogłosili i opór zbrojny mu stawią, zamiast iść z nim razem na nieprzyjaciela. Nie dziwić się przeto, że zdrowie księcia szwankuje, gdy on, którego Bóg do wielkich rzeczy przeznaczył, widzi, iż złość ludzka coraz nowe impedimenta (prze-

szkody) mu gotuje, przez które całe przedsięwzięcie zczeznąć może. Najlepsi przyjaciele księcia zawiedli, ci na których najwięcej liczył, opuścili go lub do wrogów jego przeszli.

— Tak się stało! — rzekł poważnie pan miecznik.

— Wielka też to jest boleść, — odparł Kmicic — i sam słyszałem księcia, gdy mówił: "Wiem, że i zacni źle mnie sądzą, ale czemuto do Kiejdan nie przyjadą, czemu do oczu nie powiedzą mi, co przeciw mnie mają i moich racyi nie chcą wysłuchać?"

— Kogoż to książę ma na myśli? — pytał pan miecznik.

— W pierwszym rzędzie waszmość pana dobrodzieja, dla którego książę rzetelny ma szacunek, a podejrzewa, że do jego nieprzyjaciół się liczysz...

Pan miecznik począł szybko gładzić czuprynę, wreszcie widząc, że rozmowa bierze niepożądany kierunek, zaklaskał w dłonie.

Pachołek ukazał się we drzwiach.

— A to nie widzisz, że się mroczy?... Światła! — zakrzyknął pan miecznik.

— Bóg widzi — mówił Kmicic, — że miałem i sam intencyę powinne służby waszmości złożyć, ale przybyłem zarazem i z rozkazu księcia, który samby się do Billewicz wybrał, gdyby pora była sposobniejsza...

— Za niskie progi! — rzekł miecznik.

— Tego waszmość pan nie mów, gdyż zwyczajna to rzecz, że się sąsiedzi odwiedzają, jeno książę chwili wolnej nie ma, więc tak mi rzekł: "Wytłomacz mnie przed Billewiczem, że sam do niego nie mogę, ale niech on do mnie przyjeżdża z krewną i to koniecznie zaraz, bo jutro lub pojutrze nie wiem, gdzie będę!" Ot, masz waszmość, z zaprosinami przyjeżdżam i cieszę się, żeście oboje państwo w dobrem zdrowiu, bo gdym tu zajechał, pannę Aleksandrę we drzwiach widziałem, jeno że znikła zaraz, jako tuman na łące.

— Tak jest — rzekł miecznik — sam ją wysłałem, by wyjrzała kto przyjechał.

— Czekam na odpowiedź, panie mieczniku dobrodzieju! — rzekł Kmicic.

W tej chwili pachołek wniósł światło i postawił je na stole, przy blasku świec widać było twarz pana miecznika zmieszaną bardzo.

— Zaszczyt dla mnie niemały — rzekł — ale wraz nie mogę.. Widzisz waszmość, że mam gości... Zechciej mnie przed księciem hetmanem wyekskuzować...

— Już też, panie mieczniku, zgoła to nie przeszkoda, bo przecie ichmościowie księciu panu ustępują.

— Sami mamy języki w gębie i możemy za siebie odpowiadać! — rzekł pan Chudzyński.

— Nie czekając, co kto o nas postanowi! — dodał pan Dowgird z Plemborga.

— Widzisz, panie mieczniku — odrzekł Kmicic, udając, że bierze za dobrą monetę burkliwe słowa szlachty — wiedziałem, że polityczni to kawalerowie. Zresztą, by im w czem nie ubliżyć, proszę ich także w imieniu księcia do Kiejdan.

— Zbytek łaski! — odrzekł obaj — mamy co innego do roboty.

Kmicic spojrzał na nich szczególnym wzrokiem, a potem rzekł zimno, jak gdyby do czwartej jakiejś osoby:

— Gdy książę prosi, nie wolno odmawiać!

Na to tamci podnieśli się z krzeseł.

— Więc to przymus? — rzekł pan miecznik.

— Panie mieczniku dobrodzieju! — odparł żywo Kmicic. — Tamci ichmościowie pojadą, czy chcą, czy nie chcą, bo mnie się tak spodobało, ale względem waszmości nie chcę siły używać i proszę najuprzejmiej, byś woli księcia zadość uczynić raczył. Ja jestem na służbie i mam rozkaz waćpana przywieźć, ale póki nie stracę nadziei, że prośbą coś wskóram, póty prosić nie przestanę... i na to waszmości przysięgam, że włos ci tam z głowy nie spadnie. Książę chce się rozmówić z tobą i chce, abyś w tych czasach niespokojnych, w których nawet chłopstwo w kupy zbrojne się zbiera i rabuje, w Kiejdanach zamieszkał. Ot, cała rzecz! Będziesz tam waćpan traktowany z należnym szacunkiem, jako gość i przyjaciel, daję ć na to parol kawalerski.

— Jako szlachcic protestuję! — rzekł pan miecznik — i prawo mnie broni!

— I szable! — zakrzyknęli Chudzyński i Dowgird.

Kmicic począł się śmiać, zmarszczył brwi i rzekł:

— Waćpanowie schowajcie te szable, bo każę obydwóch pod stodołą postawić i kulą w łeb!

Na to struchleli tamci i poczęli spoglądać na siebie i na Kmicica, a pan miecznik zakrzyknął:

— Gwałt najokropniejszy przeciw wolności szlacheckiej i przeciw przywilejom!

— Nie będzie gwałtu, jeżeli waszmość dobrowolnie usłuchasz —

odparł Kmicic—i masz waszmość w tem dowód, żem dragonów w wsi zostawił, a przybyłem tu sam prosić cię, jako sąsiada do sąsiada. Nie chciejże odmawiać, bo czasy teraz takie, że trudno mieć wzgląd na odmowę. Sam książę waszmości się z tego wyekskuzuje i bądź pewien, że przyjęty będziesz jak sąsiad i przyjaciel. Zrozum i to, że gdyby będziesz miało być inaczej, tedy wolałbym sto razy dostać kulą w łeb, niż tu po waćpana przyjeżdżać. Włos nie spadnie z żadnej billewiczowskiej głowy, pókim żyw! Pomyśl waćpan, ktom jest, wspomnij na pana Herakliusza, na jego testament i zastanów się, czyby książę hetman mnie wybrał, gdyby nieszczerze z waszmością zamierzał postąpić.

— To czemu gwałtu używa, czemu pod przymusem mam jechać? Jakże to mam mu zaufać, gdy cała Litwa mówi o opresyi, w jakiej obywatele zacni w Kiejdanach jęczą?

Kmicic odetchnął, bo ze słów i głosu poznał, że pan miecznik poczyna się chwiać w uporze.

— Mości dobrodzieju! — rzekł prawie wesoło.— Między sąsiadami przymus częstokroć w afektach initium (początek) bierze. A gdy waszmość miłemu gościowi koła u skarbniczka każesz zdejmować i wasąg w śpichrzu zamykasz, zali to nie przymus?... Ale, wiedz waszmość, że choćby mi przyszło cię związać i między dragonami związanego wieść do Kiejdan, to jeszcze dla twego dobra.. Pomyśl jeno: zbuntowani żołnierze się włóczą i bezprawia czynią, chłopstwo się kupi, szwedzkie wojska się zbliżają, a waść mniemasz, że w tym ukropie uchronisz się od przygody, że cię dziś lub jutro jedni albo drudzy nie zajadą, nie zrabują, nie spalą, na majętności i na osobę waściną się nie targną?... A cóż to, Billewicze forteca? Obronisz się w nich? Czego tedy książę chce od waszmości? Bezpieczeństwa, bo w jednych Kiejdanach nic ci nie grozi, a tu stanie załoga książęca, która będzie substancyi waścinej strzegła, jako oka w głowie, od wszelkiej swawoli żołnierskiej i jeżeli jedne widły zginą, to mi waść zasekwestruj całą fortunę.

Miecznik począł chodzić po komnacie.

— Mogęż ja ufać słowu waszmości?

— Jako Zawiszy! — odparł Kmicic.

W tej chwili panną Aleksandra weszła do komnaty. Kmicic zbliżył się szybko ku niej, lecz nagle wspomniał, co zaszło w Kiejdanach i jej twarz zimna przykuła go na miejscu, więc skłonił się milczeniu zdaleka.

Miecznik stanął przed nią.

— Mamy jechać do Kiejdan! — rzekł.

— A to po co? — spytała.

— Bo książę hetman prosi...

— Bardzo uprzejmie!... po sąsiedzku!... — dodał Kmicic.

— Tak bardzo uprzejmie — rzekł z pewną goryczą pan miecznik, ale jeżeli nie pojedziem dobrowolnie, to ten kawaler ma rozkaz dragonami nas otoczyć i siłą wziąć.

— Niechże Bóg broni, aby do tego przyszło! — rzekł Kmicic.

— Nie mówiłam że stryjowi — rzekła panna Aleksandra, — uciekajmy jak najdalej, bo nas tu nie zostawią w spokoju... Ot i sprawdziło się!

— Cóż robić! cóż robić! na gwałt niemasz lekarstwa! — zawołał miecznik.

— Tak jest — rzekła panna, — ale my do tego haniebnego domu nie powinniśmy dobrowolnie jechać. Niechże nas zbójcy biorą, wiążą i wiozą... Nie my jedni będziem cierpieli prześladowanie, nie nas jednych pomsta zdrajców dosięgnie, ale niech wiedzą, że wolimy śmierć, niż hańbę.

Tu zwróciła się z wyrazem najwyższej pogardy do Kmicica.

— Zwiążże nas, panie oficerze, czy panie kacie, i przy koniach poprowadź, bo inaczej nie pojedziem!!

Krew uderzyła do twarzy Kmicica, zdawało się przez chwilę, że wybuchnie straszliwym gniewem, lecz się przemógł.

— Ach! mościa panno! — odrzekł stłumionym ze wzruszenia głosem — nie mam w tych oczach łaski, skoro chcesz ze mnie uczynić zbója, zdrajcę i gwałtownika. Niech nas Bóg sądzi, kto na słuszność: czy ja hetmanowi służąc, czy ty, jak psa mnie poniewierając Bóg ci dał urodę, ale serce zawzięte i nieubłagane. Radaś sama przecierpieć, by komuś większą jeszcze boleść sprawić. Przebierasz miarę, a to nic po tem!

— Dobrze dziewka mówi! — zakrzyknął pan miecznik, któremu nagle odwagi przybyło — nie pojedziem dobrowolnie!... Bierz nas waść dragonami.

Lecz Kmicic nie uważał na niego wcale, tak był wzburzony i głęboko dotknięty.

— Kochasz się w ludzkiej męce — mówił dalej do Oleńki — i zdrajcą mnie zakrzyknęłaś bez sądu, racyi nie wysłuchawszy, nie pozwoliwszy mi słowa na własną obronę powiedzieć. Niech i tak

będzie!... Ale do Kiejdan pojedziesz... z wolą, bez woli, wszystko jedno! Tam moje intencye na jaw wyjdą, tam poznasz, czyliś mnie słusznie skrzywdziła, tam ci sumienie powie, kto z nas czyim był katem. Innej pomsty nie chcę... Bóg z tobą, ale takową muszę mieć. I niczego więcej już od cię nie chcę, bo gięłaś łuk, pókiś go nie złamała... Wąż pod twoją gładkością, jako pod kwieciem siedzi! Bogdaj cię! bogdaj cię!

— Nie pojedziemy! — powtórzył jeszcze rezolutniej pan miecznik.

— Jako żywo! — zakrzyknęli panowie Chudzyński z Ejragoły i Dowgird z Plemborga.

Wówczas Kmicic zwrócił się ku nim, ale już bardzo był blady, bo gniew go dławił i zęby szczękały mu jak w febrze.

— Ejże! — mówił — ejże, nie próbujcie!... Konie słychać, moi dragoni jadą! Powiedzno który jeszcze słowo, że nie pojedziesz!

Istotnie za oknem słychać było tętent licznych jeźdźców. Ujrzeli wszyscy, że niema rady, a Kmicic rzekł:

— Panno! za dwa pacierze masz być w kolasce, inaczej stryjaszek kulą w łeb dostanie.

I widać coraz bardziej ogarniał go dziki szał gniewu, bo nagle krzyknął, aż szyby zadrżały w oknach:

— W drogę!

Lecz jednocześnie drzwi od sieni otworzyły się cicho i jakiś obcy głos spytał:

— A dokądto, panie kawalerze?

Wszyscy skamienieli z podziwu i wszystkie oczy zwróciły się ku drzwiom, w których stał jakiś mały człowieczek w pancerzu i z gołą szablą w dłoni.

Kmicic cofnął się krokiem, jakoby widmo zobaczył.

— Pan... Wołodyjowski! — zakrzyknął.

— Do usług! — odparł mały człowieczek.

I posunął się na środek izby, za nim weszli hurmem: Mirski, Zagłoba, dwaj Skrzetuscy, Stankiewicz, Oskierka i pan Roch Kowalski.

— Ha! — rzekł Zagłoba — złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma!

Miecznik rosieński począł mówić:

— Ktokolwiek jesteście, rycerze, ratujcie obywatela, którego

wbrew prawu, urodzeniu, urzędowi chcą aresztować i więzić. Ratujcie, mości panowie bracia, wolność szlachecką!

— Nie bój się waść! — odparł pan Wołodyjowski — już dragoni tego kawalera w łykach, a ratunku on więcej teraz od waćpana potrzebuje.

— A najwięcej księdza! — rzekł pan Zagłoba.

— Panie kawalerze — mówił Wołodyjowski, zwracając się do Kmicica — nie masz do mnie szczęścia, bo ci drugi raz w drogę zachodzę... Nie spodziewałeś się mnie?

— Tak jest! — rzekł Kmicic — myślałem, żeś waść w ręku księcia.

— Właśniem z tych rąk się wyśliznął... a to wiesz, że na Podlasie tędy droga... Ale mniejsza z tem. Gdyś pierwszy raz tę pannę porwał, wyzwałem cię na szable... prawda?

— Tak jest — rzekł Kmicic, sięgając mimowoli dłonią do głowy.

— Teraz inna sprawa. Wówczas byłeś zabijaką, co się między szlachtą często trafia i ostatniej hańby nie przynosi... Dziś jużeś nie godzien, aby ci uczciwy człowiek pole dawał.

— A to czemu? — rzekł Kmicic.

I podniósł dumną głowę do góry i począł patrzeć panu Wołodyjowskiemu prosto w oczy.

— Boś zdrajca i renegat — odparł pan Wołodyjowski, — boś żołnierzów zacnych, którzy się przy ojczyźnie oponowali, jako kat wycinał, bo waszem to dziełem ta nieszczęsna kraina pod nowem jarzmem jęczy!... Krótko mówiąc: obieraj śmierć, gdyż jako Bóg w niebie, twoja ostatnia godzina nadeszła.

— Jakiemto prawem chcecie mnie sądzić i egzekwować? — pytał Kmicic.

— Mości panie — odpowiedział poważnie Zagłoba, — pacierz mów, zamiast nas o prawo pytać... A jeśli masz co powiedzieć na swoją obronę, to mów prędko, bo żywej jednej duszy nie znajdziesz, któraby się za tobą ujęła. Raz cię już, słyszałem, ta panna tu obecna wyprosiła z rąk pana Wołodyjowskiego, ale po tem, coś teraz uczynił, pewnie i ona nie ujmie się za tobą.

Tu oczy wszystkich zwróciły się mimowoli na Billewiczównę, której twarz była w tej chwili z kamienia wykuta. I stała nieruchomie, ze spuszczonemi powiekami, lodowata, zimna, ale nie postąpiła kroku naprzód, nie rzekła ani słowa.

Ciszę przerwał głos Kmicica:

— Ja tej panny o instancyę nie proszę!

Panna Aleksandra milczała.

— Bywaj! — krzyknął pan Wołodyjowski, zwróciwszy się ku drzwiom.

Rozległy się ciężkie stąpania, którym wtórował ponury brzęk ostróg i sześciu żołnierzy z Józwą Butrymem na czele, weszło do komnaty.

— Wziąć go — zakomenderował Wołodyjowski, — wyprowadzić za wieś i kulą w łeb!

Ciężka ręka Butryma spoczęła na kołnierzu Kmicica, za nią inne uczyniły toż samo.—

— Nie pozwól mnie szarpać jak psa! — rzekł do Wołodyjowskiego pan Andrzej — sam pójdę!

Mały rycerz skinął na żołnierzy, którzy puścili go natychmiast, ale otoczyli dokoła, on też wyszedł spokojnie, nic już do nikogo nie mówiąc, jeno pacierz cicho szepcąc.

Panna Aleksandra wysunęła się także przeciwnemi drzwiami do dalszych komnat. Przeszła jedną i drugą, wyciągając przed sobą w ciemności ręce, nagle w głowie jej się zakręciło, w piersiach tchu zabrakło i padła jak martwa na podłogę.

A między zgromadzonymi w pierwszej izbie głuche przez czas jakiś panowało milczenie, przerwał je nakoniec miecznik rosieński:

— Zali już niema dla niego miłosierdzia? — spytał.

— Żal mi — go — odparł Zagłoba, — bo rezolutnie szedł na śmierć!

Na to Mirski:

— On kilkunastu towarzystwa z pod mojej chorągwi rozstrzelał, prócz tych, których wstępnym bojem położył.

— I z mojej! — rzekł Stankiewicz. — A Niewiarowskiego ludzi w pień podobno wyciął.

— Musiał mieć rozkazy Radziwiłła — rzekł pan Zagłoba.

— Mości panowie, pomstę Radziwiłła na moją głowę ściągniecie — zauważył miecznik.

— Waszmość musisz uciekać. My jedziem na Podlasie, bo tam się chorągwie przeciw zdrajcom podniosły, a waćpaństwo zabierajcie się zaraz z nami. Niema innej rady. Możecie się do Białowieży schronić, gdzie krewny pana Skrzetuskiego, łowczy dworski przesiaduje. Tam was nikt nie znajdzie.

— Ale substancya moja przepadnie.

— To Rzeczpospolita waćpanu wróci.

— Panie Michale — rzekł nagle Zagłoba, — skoczę obaczyć, czy niema przy tym nieszczęśniku jakich rozkazów hetmańskich? Pamiętajcie, com przy Rochu Kowalskim znalazl?

— Siadaj waść na koń. Jeszcze czas, bo później się papiery okrwawią. Kazałem go umyślnie za wieś wyprowadzić, by się tu panna huku muszkietów nie przelękła, jako że niewiasty bywają czułe i płochliwe.

Zagłoba wyszedł i po chwili rozległ się tętent konia, na którym odjeżdżał, zaś pan Wołodyjowski zwrócił się do miecznika:

— A co robi krewna waćpana?

— Modli się pewnie za tę duszę, która przed sąd Boski idzie...

— Niech mu Bóg da wieczne odpocznienie! — rzekł Jan Skrzetuski. — Gdyby nie dobrowolna jego przy Radziwille służba, pierwszybym za nim przemówił, ależ on, jeśli nie chciał przy ojczyźnie stanąć, to przynajmniej mógł duszy Radziwiłłowi nie zaprzedawać.

— Tak jest! — rzekł Wołodyjowski.

— Winien on i zasłużył na to, co go spotkało! — rzekł Stanisław Skrzetuski — ale wolałbym, żeby na jego miejscu był Radziwiłł, albo Opaliński... och! Opaliński!!

— Jak dalece winien, to w tem macie waćpanowie najlepszy dowód — wtrącił Oskierka, — że ta panna, której był narzeczonym, słowa do niego nie znalazła. Uważałemci ja dobrze, iż w męce była, ale milczała, bo jak tu za zdrajcą się ujmować?!

— A miłowała go niegdyś szczerze, wiem o tem! — rzekł miecznik. — Pozwólcie waćpaństwo, że pójdę obaczyć, co się tam z nią dzieje, boć to dla niewiasty ciężki termin.

— A szykuj się waćpan do drogi! — zawołał mały rycerz — bo my jeno koniom wytchniemy, ruszamy dalej. Zablisko tu Kiejdany, Radziwiłł musiał tam już wrócić.

— Dobrze! — rzekł szlachcic.

I wyszedł z komnaty.

Po chwili rozległ się jego krzyk przeraźliwy. Rycerze skoczyli za głosem, nie rozumiejąc, co się stało, zbiegła się też służba ze światłem i ujrzano pana miecznika dźwigającego Oleńkę, którą był znalazł leżącą bez zmysłów na podłodze.

Wołodyjowski skoczył mu pomagać, i obaj złożyli ją na sofie, niedającą znaków życia. Zaczęto cucić. Nadbiegła stara klucznica z kordyałami i wreszcie panienka otworzyła oczy.

— Nic tu po waćpanach, — rzekła stara klucznica — idźcie do tamtej izby, a my damy już sobie radę.

Miecznik wyprowadził gości.

— Wolałbym, żeby tego wszystkiego nie było — mówił sklopotany gospodarz. — Waszmościowie moglibyście zabrać z sobą tego nieszczęśnika i gdzieś tam po drodze go zgładzić, a nie u mnie. Jakże tu teraz jechać, jak uciekać, gdy dziewka ledwie żywa?.. Gotowa się rozchorować.

— Stało się — rzekł Wołodyjowski. — Wsadzim pannę w kolaskę, bo uciekać waćpaństwo musicie, gdyż zemsta radziwiłłowska nikogo nie oszczędza.

— Może też i panna do sił wprędce przyjdzie? — rzekł Jan Skrzetuski.

— Kolaska wygodna jest gotowa i zaprzężona, bo Kmicic ją z sobą przyprowadził — rzekł Wołodyjowski. — Idź waćpan, panie mieczniku, powiedz pannie, jak się rzecz ma i że nie można ucieczki zwłóczyć, niech siły zbierze. My musimy jechać, a do jutra rana mogą tu radziwiłłowscy nadciągnąć.

— Prawda — rzekł miecznik — idę!

Poszedł i po pewnym czasie wrócił z krewniaczką, która nietylko siły odzyskała, ale była już przybrana do drogi. Na twarzy jeno miała silne rumieńce i oczy błyszczące gorączkowo.

— Jedźmy, jedźmy!... — powtórzyła, wszedłszy do izby.

Wołodyjowski wyszedł na chwilę do sieni, by ludzi wysłać po kolaskę, poczem wrócił i wszyscy poczęli się zbierać do drogi.

Zanim upłynął kwadrans, za oknami rozległ się hurkot kół i tupotanie kopyt końskich po bruku, którym droga przed gankiem była wymoszczona.

— Jedźmy! — rzekła Oleńka.

— W drogę! — zawołali oficerowie.

W tem drzwi roztwarły się naoścież i pan Zagłoba wpadł jak bomba do komnaty.

— Wstrzymałem egzekucyę! — zakrzyknął.

Oleńka z rumianej zrobiła się w jednej chwili biała jak kreda, zdawało się, że znów zemdleje, lecz nikt nie zwrócił na nią uwagi, bo wszystkie oczy zwrócone były na Zagłobę, który oddychał tymczasem jak wieloryb, starając się dech złapać.

— Wstrzymałeś waćpan egzekucyę — pytał zdziwiony Wołodyjowski. — A to czemu?

— Czemu?... Niech odsapnę... Oto temu, że gdyby nie ów Kmicic, że gdyby nie ów zacny kawaler, tobyśmy wszyscy, jak tu jesteśmy, wisieli wypatroszeni na kiejdańskich drzewach... Uf... Dobrodzieja naszego chcieliśmy zabić, mości panowie!.. Uf!...

— Jakto może być — zakrzyknęli wszyscy razem.

— Jak może być! — Czytajcie ten list, będziecie mieli odpowiedź.

Tu pan Zagłoba podał pismo Wołodyjowskiemu, ów zaś począł je czytać, przerywając co chwila i spoglądając na towarzyszów, był to bowiem ów list, w którym Radziwiłł wymawiał gorzko Kmicicowi, że na jego natarczywe instancye uwolnił ich od śmierci w Kiejdanach.

— A co? — powtarzał za każdą przerwą pan Zagłoba.

List kończył się, jak wiadomo, poleceniem, by Kmicic miecznika i Oleńkę do Kiejdan sprowadził. Pan Andrzej miał go widocznie dlatego przy sobie, aby w razie potrzeby okazać go miecznikowi, lecz do tego nie przyszło.

Przedewszystkiem jednak nie pozostawał żaden cień wątpliwości, że gdyby nie Kmicic, obaj Skrzetuscy, pan Wołodyjowski i Zagłoba byliby bez miłosierdzia pomordowani w Kiejdanach, zaraz po owym układzie z Pontusem de la Gardie.

— Mości panowie! — rzekł Zagłoba — jeśli teraz jeszcze każecie go rozstrzelać, to jak mi Bóg miły, porzucę waszę kompanię i znać was nie chcę!...

— Tu niema o tem mowy — odpowiedział Wołodyjowski.

— Aj! — rzekł Skrzetuski, biorąc się oburącz za głowę — jakieto szczęście, żeś ojciec zaraz tam list przeczytał, zamiast się z nim wracać do nas...

— Waści szpakami musieli zamłodu karmić! — zawołał Mirski.

— Ha! co? — zawołał Zagłoba. — Każdy inny wpierwby tu wrócił z wami list czytać, a tamtemuby przez ten czas w łeb ołowiu napchano. Ale jak mi tylko przyniesiono papier, który przy nim znaleziono, tak mnie zaraz coś tknęło i że to z przyrodzenia mam do wszystkiego ciekawość. A tam dwóch z latarkami szło naprzód i już byli na łące. Mówię im tedy: poświećcieno mi, niech wiem, co tu stoi!... I zacząłem czytać... To, mówię waćpanom, aż mnie zmroczyło, jakoby mnie kto pięścią w łysinę bachnął. Na Boga! — mówię — panie kawalerze, czemuto tego listu nie pokazałeś?! A on na to: "Bo mi się nie spodobało!" Taka jucha harda

nawet w godzinę śmierci. Ale ja, kiedyto go nie porwę, kiedy nie zacznę obejmować. Dobrodzieju mówię — żeby nie ty, jużby nas wrony strawiły! Kazałem go tedy nazad brać i tu prowadzić, a sam ledwiem z konia ducha nie wyparł, ażeby wam jak najprędzej powiedzieć, co się przygodziło... Uf!

— Dziwny to jest człowiek, w którym widać tyle dobrego, co i złego mieszka — rzekł Stanisław Skrzetuski. — Gdyby tacy nie chcieli...

Lecz zanim skończył, drzwi się otworzyły i żołnierze wprowadzili Kmicica.

— Wolny jesteś, panie kawalerze — rzekł odrazu Wołodyjowski — i pókiśmy żywi, żaden z nas się na ciebie nie targnie. Cożeś za desperat, żeś tego listu nie pokazał? Nie bylibyśmy cię turbowali.

Tu zwrócił się do żołnierzy:

— Odstąpić i na koń wszyscy siadać!

Żołnierze cofnęli się i pan Andrzej został sam na środku izby. Twarz miał spokojną, ale chmurną i nie bez dumy patrzył na oficerów przed nim stojących.

— Wolnyś jest! — powtórzył Wołodyjowski — wracaj dokąd chcesz, choćby do Radziwiłła, lubo bolesno to jest widzieć kawalera z zacnej krwi, zdrajcy przeciw ojczyźnie pomagającego.

— Namyśl się więc waćpan dobrze, — rzekł Kmicic — bo to zgóry zapowiadam, że nie gdzieindziej, jeno do Radziwiłła wrócę!

— Przystań do nas, niech piorun w tego kiejdańskiego tyrana trzaśnie! — zawołał Zagłoba. — Będziesz nam przyjacielem i towarzyszem najmilszym, a ojczyzna matka przebaczy ci, coś przeciw niej zawinił!

— Za nic! — rzekł z energią Kmicic. — Bóg to rozsądzi, kto lepiej ojczyźnie służy, czy wy, wojnę domową na własną odpowiedzialność wszczynając, czy ja, służąc panu, który sam jeden uratować tę nieszczęsną Rzeczpospolitą może. Idźcie w swoją drogę, ja pójdę w swoją! Nie pora was nawracać i na nic ta robota, jeno to wam z głębi duszy mówię: wy to ojczyznę gubicie, wy wpoprzek jej ratunkowi stajecie. Zdrajcami was nie nazwę, bo wiem, że intencye wasze zacne, ale, ot co jest! ojczyzna tonie, Radziwiłł jej rękę wyciąga, a wy mieczami tę rękę bodziecie i w zaślepieniu zdrajcami czynicie jego i tych wszystkich, którzy przy niej stawają.

— Dla Boga! — rzekł Zagłoba — gdybym nie widział jakeś waćpan rezolutnie szedł na śmierć, myślałbym, że strach zmysły

ci pomieszał. Komużeś przysięgał: Radziwiłłowi, czy Janowi Kazimierzowi? Szwecyi czy Rzeczypospolitej? Zmysły waćpan straciłeś!

— Wiedziałem, że na nic się nie przyda was nawracać... Bądźcie zdrowi!

— Czekajno jeszcze, — rzekł Zagłoba — bo tu o ważną rzecz chodzi. Powiedzno, panie kawalerze, czy Radziwiłł przyrzekł ci że nas oszczędzi, gdyś go o to w Kiejdanach prosił?

— Tak jest! — rzekł Kmicic, — mieliście przez czas wojny w Birżach zostawać.

— Poznajże twojego Radziwiłła, który nietylko ojczyznę, nietylko króla, ale własnych sług zdradza. Oto jest pismo do komendanta birżańskiego, którem znalazł przy oficerze, nad konwojem komendę mającym. Czytaj!

To rzekłszy, pan Zagłoba podał list hetmański Kmicicowi. Ów wziął go do rąk i począł przebiegać oczyma, a w miarę jak czytał, krew mu napływała do twarzy i rumieniec wstydu za swego wodza coraz silniej oblewał czoło. Nagle zmiął list w ręku i rzucił na ziemię.

— Bądźcie zdrowi! — rzekł. —Lepiej mi było zginąć z rąk waszych!

I wyszedł z izby.

— Mości panowie, — rzekł po chwili milczenia Skrzetuski — trudna z tym człowiekiem sprawa, bo jako Turek w swego Mahometa, tak on wierzy w swego Radziwiłła. Sam myślałem, jako i wy, że mu dla korzyści, albo dla ambicyi służy, ale to tak nie jest. Niezły to człowiek, jeno obłąkany.

— Jeśli swego Mahometa dotąd wyznawał, — rzekł Zagłoba — tom dyablo w nim ową wiarę podkopał. Widzieliście, jak nim rzuciło, skoro list przeczytał... Będzie tam między nimi szarwark niemały, bo to kawaler gotów samemu dyabłu, nietylko Radziwiłłowi, do oczu skoczyć. Jak mi Bóg miły, żeby mi kto stado tureckie darował, nie ucieszyłbym się tak, jak z tego, żem go od śmierci wybawił.

— Prawda jest — rzekł pan miecznik — waćpanu on życie zawdzięcza, nikt tego nie będzie negował.

— Bóg z nim! — rzekł Wołodyjowski — radźmy teraz, co czynić.

— A cóż? siadać, jechać w drogę... Koniska też się trochę wydychały — odpowiedział pan Zagłoba.

— Tak jest. Jechać nam jak najprędzej! A waszmość pojedziesz z nami? — zapytał miecznika Mirski.

— Nie osiedzę się tu spokojnie i muszę jechać także... Ale jeśli waszmościowie zaraz chcecie ruszać w drogę, to powiem szczerze, że mi to nie na rękę z wami zaraz się zrywać. Skoro tamten żywy odjechał, to mnie tu zaraz nie spalą, ani nie zamordują, a do takiej drogi trzeba się w to i owo zaopatrzyć. Bóg raczy wiedzieć, kiedy wrócę... Trzeba tem i owem rozporządzić, co lepsze rzeczy ukryć, inwentarze wysłać sąsiadom, łuby spakować. Mam też i trochę gotowizny, którąbym też chciał na wóz zabrać. Do jutra do świtu będę gotów, ale tak łap cap nie mogę.

— My też nie możem czekać, bo miecz wisi nad nami — odrzekł Wołodyjowski. — A waćpan gdzie się chcesz schronić?

— W puszczy, wedle waszej rady... Dziewczynę przynajmniej tam zostawię, bom sam jeszcze nie stary i moja szablina przydać się ojczyźnie i królowi jegomości może.

— To tędy bądź waszmość zdrów... Daj Bóg, abyśmy się w lepszych czasach spotkali.

— Niech Bóg nagrodzi waszmościów za to, żeście mi na ratunek przyszli. Pewnie się tam gdzie w polu obok siebie zobaczymy.

— Dobrego zdrowia!

— Szczęśliwej drogi!

I poczęli się żegnać z sobą, a potem każdy przychodził kłaniać się pannie Aleksandrze.

— Żonę moją waćpanna w puszczy zobaczysz i chłopczyków, uściskaj tam odemnie i kwitnij w dobrem zdrowiu — rzekł Jan Skrzetuski.

— A wspomnij czasem żołnierza, który choć nie miał do cię szczęścia, rad ci zawsze nieba przychylić! — dodał Wołodyjowski.

Po nich zbliżali się inni. Wreszcie przyszedł i Zagłoba.

— Przyjm, wdzięczny kwiatuszku, i od starego pożegnanie! Uściskaj panią Skrzetuską i moich basałyków. Setne to chłopy!

Zamiast odpowiedzi, Oleńka chwyciła go za rękę i przycisnęła ją w milczeniu do ust.

## XXI.

Tejże nocy, najdalej we dwie godziny po odjeździe oddziału Wołodyjowskiego, przybył do Billewicz na czele jazdy sam Radziwiłł, który Kmicicowi na odsiecz szedł, bojąc się, by ten nie wpadł w ręce Wołodyjowskiego. Dowiedziawszy się, co zaszło, zagarnął miecznika wraz z Oleńką i do Kiejdan, nie wypocząwszy nawet koniom, wracał.

Hetman niezmiernie był wzburzony, słuchając opowieści z ust miecznika, który wszystko szeroko opowiadał, chcąc od siebie uwagę groźnego magnata odwrócić. Nie śmiał też protestować dla tej samej przyczyny przeciw wyjazdowi do Kiejdan i rad był w duszy, że się na tem burza skończyła. Radziwiłł zaś, chociaż pana miecznika o "praktyki" i zmowy podejrzywał, miał istotnie zbyt wiele trosk, ażeby o tem w tej chwili pamiętać.

Ucieczka Wołodyjowskiego mogła zmienić rzeczy na Podlasiu. Horotkiewicz i Jakób Kmicic, którzy tam stali na czele chorągwi skonfederowanych przeciw hetmanowi, bylito dobrzy żołnierze, ale niedość poważni, skutkiem czego cała konfederacya nie miała powagi. Tymczasem z Wołodyjowskim uciekli tacy ludzie, jak Mirski, Stankiewicz i Oskierka, nie licząc samego małego rycerza, wszyscy oficerowie wyborni i otoczeni mirem powszechnym.

Wszakże był na Podlasiu i książę Bogusław, który z nadwornemi chorągwiami opierał się konfederatom, oczekując przytem ciągle pomocy od wuja elektora, ale wuj elektor marudził, widocznie czekał na wypadki, oporne zaś wojska rosły w siłę i codzień przybywało im stronników.

Hetman przez jakiś czas chciał sam ruszyć na Podlasie i jednym zamachem zgnieść buntowników, ale wstrzymywała go myśl, że niech tylko nogą z granic Żmudzi wyruszy, wnet cały kraj powstanie i powaga radziwiłłowska zmaleje w takim wypadku w oczach szwedzkich do zera. Namyślał się więc książę nad tem, czyby Podlasia całkiem na razie nie opuścić i ks. Bogusława na Żmudź nie ściągnąć.

Było to potrzebne i pilne, bo z drugiej strony dochodziły groźne wieści o działaniach pana wojewody witebskiego. Próbował hetman pojednać się z nim i wciągnąć go do swych planów, ale Sapie-

ha odesłał listy bez odpowiedzi; co może mówiono natomiast, że się licytuje, sprzedaje co może, srebra przetapia na monetę, stada za gotowy grosz oddaje, makaty i kobierce nawet Żydom zastawia, majętności wydzierżawia, a wojska ściąga.

Hetman z natury chciwy i do ofiar pieniężnych niezdolny, wierzyć początkowo nie chciał, by ktoś bez wahania całą swą fortunę na ołtarz ojczyzny rzucał, ale czas przekonał go, że tak było wistocie, bo Sapieha z każdym dniem rósł w wojskową potęgę. Garnęli się do niego zbiegowie, szlachta osiadła, patryoci, nieprzyjaciele radziwiłłowscy, ba, gorzej — i dawniejsi przyjaciele, i jeszcze gorzej, bo nawet hetmańscy, jako książę łowczy Michał, o którym przyszła wiadomość, iż rozkazał, aby wszystkie intraty z dóbr jego jeszcze przez nieprzyjaciela niezajętych, były oddane na wojsko wojewodzie witebskiemu.

Tak to rysował się od fundamentów i chwiał się gmach, zbudowany przez pychę Janusza Radziwiłła. Cała Rzeczpospolita miała się w tym gmachu zmieścić, a tymczasem okazało się wprędce, że jednej Żmudzi objąć nie może.

Położenie coraz było podobniejsze do błędnego koła, bo naprzykład przeciw wojewodzie witebskiemu mógł Radziwiłł wezwać wojska szwedzkie, które coraz więcej kraju stopniowo zajmowały, ale byłoby to przyznać się do bezsilności. Zresztą stosunki hetmana z generalissimusem szwedzkim były od czasu klawańskiej potyczki, dzięki pomysłowi pana Zagłoby, zachwiane i pomimo wyjaśnień, panowało między nimi rozdrażnienie i nieufność.

Hetman, wyprawiając się w pomoc Kmicicowi, miał był nadzieję, że jeszcze może Wołodyjowskiego pochwyci i zniesie, więc gdy i to wyrachowanie zawiodło, wracał do Kiejdan zły i chmurny. Dziwiło go to także, że Kmicica w drodze do Billewicz nie zdybał, co stało się dlatego, że pan Andrzej, którego dragonów pan Wołodyjowski nie omieszkał zabrać z sobą, wracał sam jeden, więc wybrał się krótszą drogą, omijając Plemborg i Ejragołę.

Po całej nocy spędzonej na koniu, w południe następnego dnia stanął hetman wraz z wojskiem napowrót w Kiejdanach i pierwsze jego pytanie było o Kmicica. Odpowiedziano mu, że wrócił, ale bez żołnierzy. O tej ostatniej okoliczności wiedział już książę, ale ciekaw był usłyszeć z ust samego Kmicica relacyę, więc kazał go natychmiast wołać do siebie.

— Nie udało ci się jako i mnie — rzekł, gdy Kmicic stanął przed

nim. — Mówił mi już miecznik rosieński, żeś wpadł w ręce tego małego dyabła.

— Tak jest! — rzekł Kmicic.

— I list mój cię wyratował?

— O którym liście wasza ks. mówisz? Bo oni przeczytawszy sami ten, który znaleźli przy mnie, przeczytali mi w nagrodę drugi, któryś w. ks. mość do komendanta birżańskiego pisał?

Ponura twarz Radziwiłła pokryła się jakoby krwawym obłokiem.

— Więc ty wiesz?...

— Wiem! — odrzekł zapalczywie Kmicic. — Jak w. ks. mość mogłeś tak ze mną postąpić? Szlachcicowi prostemu wstyd słowo łamać, a cóż dopiero księciu i wodzowi...

— Milcz! — rzekł Radziwiłł.

— Nie zmilczę, bom tam przed tymi ludźmi oczami na waszą ks. mość świecić musiał! Ciągnęli mnie, żebym do nich przystał, a jam nie chciał i powiedział im: "Radziwiłłowi służę, bo przy nim słuszność, przy nim cnota!" Na to pokazali mi ów list: "Patrz, jaki twój Radziwiłł!" — a jam musiał gębę stulić i wstyd łykać...

Wargi hetmana poczęły drgać z wściekłości. Ogarnęła go dzika żądza skręcić tę zuchwałą głowę z karku i już, już ręce podnosił, aby na służbę zaklaskać. Gniew zasłaniał mu oczy, tamował mu oddech w piersiach i pewnie drogoby przyszło Kmicicowi zapłacić za wybuch, gdyby nie nagły atak astmy, który w tej chwili pochwycił księcia. Twarz mu zczerniała, zerwał się z krzesła i rękoma począł bić powietrze, oczy wyszły mu na wierzch głowy, a z gardzieli wydobył się chrapliwy ryk, w którym Kmicic zaledwie zrozumiał słowo:

— Duszę się!...

Na uczyniony alarm zbiegła się służba, nadworni medycy i poczęto cucić księcia, który zaraz stracił przytomność. Cucono godzinę, a gdy wreszcie począł dawać ślady życia, Kmicic wyszedł z komnaty.

Na korytarzu spotkał Charłampa, który się był już podleczył z ran i stłuczeń, otrzymanych w bitwie że zbuntowanymi Węgrami Oskierki.

— A co nowego? — spytał wąsacz.

— Już przyszedł do siebie! — odpowiedział Kmicic.

— Hm! Ale lada dzień może nie przyjść! Zła nasza, panie pułkowniku, bo jak książę zemrze, to się jego uczynki na nas skrupią.

Cała nadzieja w Wołodyjowskim, że starych towarzyszów będzie osłaniał, dlatego też powiem waszej mości (tu pan Charłamp glos zniżył) kontent jestem, że się wymknął.

— To już mu tak ciasno było?

— Co to ciasno! Imaginuj sobie wasza mość, w tej olszynie, w którejśmy go otoczyli, wilki były i nie wymknęły się, a on się wymknął. Niech go kule biją. Kto wie, kto wie, czy nie przyjdzie się go za połę uchwycić, bo jakoś tu koło nas kuso. Szlachta okrutnie się od naszego księcia odwraca i wszyscy mówią, że wolą prawdziwego nieprzyjaciela, Szweda, Tatara nawet, niż renegata. Ot, co jest! A tu precz książę pan każe coraz więcej obywatelów łapać i więzić — co, między nami rzekłszy, jest przeciw prawu i wolności. Przywieziono dziś pana miecznika rosieńskiego!...

— A? to go przywieziono?

— A jakże i z krewniaczką. Panna jako migdał! Powinszować waszej mości!

— Gdzie ich postawiono?

— W prawem skrzydle. Zacne pokoje im dano, nie mogą się skarżyć, chyba na to, że warta pode drzwiami chodzi. A kiedy wesele, panie pułkowniku?

— Jeszcze kapela na to wesele nie zamówiona. Bywaj waćpan zdrów — rzekł Kmicic.

I pożegnawszy pana Charłampa, udał się do siebie. Bezsenna noc, burzliwe jej wypadki i ostatnie zajście z księciem zmęczyły go tak, że zaledwie na nogach mógł ustać. A przytem, jako ciału strudzonemu i zbitemu, każde dotknięcie ból sprawia, tak on duszę miał zbolałą. Proste pytanie Charłampa: "Kiedy wesele?" — ubodło go dotkliwie, bo wnet stanęła mu, jako żywa, przed oczyma lodowata twarz Oleńki i jej usta zaciśnięte, wówczas gdy ich milczenie potwierdziło wyrok śmierci na niego. Mniejsza, czy słowo jej prośby mogło go zbawić, czy pan Wołodyjowski byłby na nie zważał! Cały żal i ból, jaki Kmicic odczuwał w tej chwili, tkwił w tem, że ona nie wymówiła tego słowa. A przecie po dwakroć poprzednio nie wahała się go ratować. Takażto już przepaść była między nimi, tak dalece wygasła w jej sercu, nie już miłość, lecz prosta życzliwość, którą dla każdego mieć trzeba? Im więcej myślał nad tem Kmicic, tem okrutniejszą wydawała mu się Oleńka, tem większy czuł do niej żal, tem głębszą urazę. Cóżem takiego uczynił? — pytał sam siebie — aby mną tak, jak przeklętym przez

kościół, pogardzano? Choćby i źle było Radziwiłłowi służyć, to przecie czuję się w tem niewinnym, bo z ręką na sumieniu powiedzieć mogę, że nie dla promocyi, nie dla zysków, nie dla chleba mu służę, jeno że korzyść dla ojczyzny w tem widzę — zacóż bez sądu mnie potępiono?...

— Dobrze, dobrze! Niechże tak będzie! Nie pójdę z win niepopełnionych się oczyszczać, ani miłosierdzia prosić! — powtarzał sobie po tysiąc razy.

A jednak ból nie ustawał, owszem wzmagał się coraz bardziej. Wróciwszy do swych komnat, rzucił się pan Andrzej na łoże i próbował zasnąć, lecz mimo całego umęczenia nie mógł. Po chwili wstał i począł chodzić po komnacie. Od czasu do czasu ręce do czoła przykładał i mówił do siebie głośno:

— Nie może być inaczej, jeno serce w tej dziewce zawzięte!

I znowu:

— Tegom się po tobie, panno, nie spodziewał...

Bogdaj ci Bóg za to zapłacił!!...

Na takich rozmyślaniach upłynęła mu godzina jedna i druga, nakoniec znużył się do reszty i drzemać począł, siedząc na łożu, lecz nim zasnął, zbudził go dworzanin książęcy, pan Szkiłłądź, i wezwał do księcia.

Radziwiłł czuł się lepiej i oddychał swobodniej, ale na ołowianej jego twarzy znać było osłabienie wielkie. Siedział w głębokiem krześle, skórą obitem, mając przy sobie medyka, którego zaraz, porówno z wejściem Kmicica, odesłał.

— Byłem już jedną nogą na tamtym świecie i przez ciebie! — rzekł do pana Andrzeja.

— Mości książę, nie moja wina, powiedziałem, com myślał.

— Niechże tego więcej nie będzie. Nie dorzucaj choć ty ciężaru do brzemienia, które dźwigam, i to wiedz, że co tobie przebaczyłem, innemubym nie przebaczył.

Kmicic milczał.

— Jeśli kazałem — rzekł po chwili książę — tych ludzi w Birżach egzekwować, którym na twoją prośbę przebaczyłem w Kiejdanach, to nie dlatego, żem cię chciał zwodzić, jeno by ci boleści oszczędzić. Uległem pozornie, bo mam dla ciebie słabość... A ich śmierć była konieczna. Czy tom ja kat, czy myślisz, że krew rozlewam dlatego jeno by oczy czerwoną barwą napaść?... Ale gdy pożyjesz dłużej, poznasz, że gdy ktoś chce czegoś na świecie doka-

zać, temu niewolno większych spraw dla mniejszych poświęcać Ci ludzie powinni byli zginąć, tu, w Kiejdanach, bo patrz, co się przez twoję instancyę stało: w kraju opór podsycony, wojna domowa rozpoczęta, dobra przyjaźń ze Szwedami zachwiana, zły przykład innym dany, od którego bunt jako zaraza się szerzy. Mało tego: sam osobą swoją musiałem później wyprawę na nich uczynić i konfuzyi wobec wszystkiego wojska się najeść, tyś ledwie z ich rąk nie zginął, a teraz pójdą na Podlasie i głowami buntu się staną. Patrz i ucz się. Gdyby zginęli w Kiejdanach, nie byłoby tego wszystkiego. Aleś ty, prosząc za nich, o afektach własnych tylko myślał, ja zaś posłałem ich po śmierć do Birż, bom doświadczeńszy, bo dalej widzę, bo wiem to z praktyki, że kto w pędzie, chociaż o mały kamień się potknie, ten łatwo upadnie, a kto upadnie ten może się więcej nie podnieść i tem snadniej, im przedtem biegł szybciej... Niech Bóg broni ile złego narobili ci ludzie!

— Tyle oni nie zaważą, aby mogli całe przedsięwzięcie waszej ks. mości popsować.

— Choćby nic więcej nie uczynili nad to, że za ich przyczyną defidencye między mną a Pontusem powstały, już szkoda byłaby nieoszacowana. Rzecz się wyjaśnia, że to byli nie moi ludzie, ale list z pogróżkami, który do mnie Pontus napisał, pozostał i tego listu mu nie daruję!... Jest Pontus szwagrem królewskim, ale to jeszcze wątpliwa, czy moim mógłby zostać i czyby radziwiłłowskie progi nie były dla niego za wysokie...

— Wasza ks. mość niech z samym królem, nie z jego sługami traktuje.

— Tak chcę uczynić... I jeśli zgryzoty mnie nie zabiją, nauczę tego Szwedzika modestyi. Jeśli zgryzoty mnie nie zabiją, bodaj czy się na tem nie skończy, bo mi tu cierniów ani boleści nikt nie szczędzi... Ciężko mi! ciężko!...

Ktoby uwierzył, żem jest ten sam, który byłem pod Łojowem, pod Rzeczycą, Mozyrzem, Turowem, Kijowem i Beresteczkiem?... Cała Rzeczpospolita patrzyła jeno we mnie i w Wiśniowieckiego, jako w dwa słońca!... Wszystko drżało przed Chmielnickim, a on drżał przedemną. I te same wojska, które w czasach powszechnej klęski od wiktoryi do wiktoryi wiodłem, dziś mnie opuściły i rękę na mnie, jak parrycydowie podnoszą...

— Przecie nie wszyscy, bo są tacy, którzy w waszą ks. mość jeszcze wierzą! — rzekł dość porywczo Kmicic.

— Jeszcze wierzą... póki nie przestaną? — odpowiedział z goryczą Radziwiłł. — Wielka ichmościów łaska!... Dałby Bóg tylko, żebym się nią nie otruł... Sztych za sztychem każdy z was wbija we mnie, choć niejednemu to na myśl nie przychodzi...

— Wasza ks. mość na intencye zważaj, nie na słowa.

— Dziękuję za radę... Odtąd będę pilnie zważał, jaką mi każdy giemajna (żołnierz, pospolitak) twarz pokazuje... i pilnie zabiegał, aby się wszystkim podobać...

— Gorzkie to słowa, w. ks. mość.

— A życie słodkie?... Bóg mnie do wielkich rzeczy stworzył, a ja muszę, ot wykruszać siły w powiatowej wojnie, jaką zaścianek z zaściankiem mógłby prowadzić. Chciałem z monarchami potężnymi się mierzyć, a upadłem tak nisko, że muszę jakiegoś pana Wołodyjowskiego po moich własnych majętnościach łowić. Zamiast świat dziwić moją siłą, dziwię go moją słabością; zamiast za popioły Wilna popiołami Moskwy zapłacić, muszę ci dziękować, żeś Kiejdany szańczykami obsypał... Ciasno mi... i duszę się... Nietylko dlatego, że astma mnie dusi... Niemoc mnie zabija... Bezczynność mnie zabija... Ciasno mi i ciężko!... Rozumiesz?...

— Myślałem i ja, że pójdzie inaczej!!... — rzekł ponuro Kmicic.

Radziwiłł począł oddychać z wysileniem.

— Przedtem, nim inna mnie korona dojdzie, cierniową mi włożono. Kazałem ministrowi Adersowi w gwiazdy popatrzeć... Zaraz erygował figurę i mówi, że złe są konjunktury, ale że to przejdzie. Tymczasem męki cierpię... W nocy coś mi spać nie daje, coś chodzi po komnacie... Jakoweś twarze zaglądają mi do łoża, a czasem chłód się nagły czyni... To znaczy, że śmierć koło mnie przechodzi... Męki cierpię... Muszę być jeszcze na zdrady i odstępstwa gotowy, bo wiem, że są tacy, którzy się chwieją...

— Niema już takich! — odpowiedział Kmicic. — Kto miał odstąpić, to już sobie precz poszedł.

— Nie zwódź, sam to widzisz, że reszta polskich ludzi poczyna się oglądać za siebie.

Kmicic wspomniał na to, co od Charłampa słyszał i umilkł.

— Nic to! — rzekł Radziwiłł—ciężko, straszno, ale trzeba przetrwać... Nie mów nikomu o tem, coś tu ode mnie słyszał... Dobrze że ten atak choroby dziś na mnie przyszedł, bo się już nie powtórzy, a na dziś właśnie sił mi potrzeba, bo chcę ucztę wyprawić i wesołą twarz pokazywać, by ducha w ludziach pokrzepić. I ty się

rozpogódź, a nie mów nic nikomu, bo co ja ci mówię, to jeno dlatego, abyś choć ty mnie nie dręczył... Gniew mnie dziś uniósł... Pilnuj, aby się to nie powtórzyło, bo o głowę twoję chodzi. Alem ci przebaczył. Tych szańczyków, któremiś Kiejdany obsypał, sam Petersonby się nie powstydził... Idź teraz, a przyślij mi Mieleszkę. Sprowadzono dziś zbiegów z pod jego chorągwi, samych giejmanów. Każę mu ich powiesić co do jednego... Trzeba przykład dać... Bądź zdrów... Ma dziś być wesoło w Kiejdanach!...

---

## XII.

Miecznik rosieński ciężką miał przeprawę z panną Aleksandrą, zanim zgodziła się pójść na ową ucztę, którą hetman dla swych ludzi wyprawił. Musiał tedy błagać prawie ze łzami uporną a śmiałą dziewczynę i zaklinać, że tu o jego głowę chodzi, że wszyscy nietylko wojskowi, ale i obywatele zamieszkali w okolicy Kiejdan na długość ramienia Radziwiłła, mają się stawić pod groźbą gniewu książęcego, jakże więc opierać się mogą ci, którzy na łaskę i niełaskę strasznego człowieka są wystawieni! Panna, nie chcąc narażać stryja, ustąpiła.

Jakoż zjazd był niemały, bo wielu okolicznej szlachty wraz z żonami i córkami przypędził. Lecz wojskowych było najwięcej, a zwłaszcza oficerów cudzoziemskiego autoramentu, którzy prawie wszyscy przy księciu wytrwali. Sam on, zanim ukazał się gościom, przygotował twarz pogodną, jak gdyby żadna troska nie zaciężyła mu poprzednio — pragnął bowiem tą ucztą nietylko we własnych stronnikach i wojskowych ducha ożywić, ale okazać, że ogół obywateli po jego stronie stoi — a tylko swawolnicy opierają się unii ze Szwecyą; pragnął okazać, że kraj cieszy się z nim razem, więc nie szczędził zabiegów, ni kosztów, by uczta była wspaniała i by echo o niej rozeszło się jak najdalej po kraju. Zaledwie więc mrok pokrył ziemię, setki beczek zapłonęło na drodze zamkowej i dziedzińcu, od czasu do czasu armaty grzmiały, a żołnierstwu przykazano wydawać wesołe okrzyki.

Ciągnęły tedy jedna za drugą kolaski, karabony i bryki, wiozące personatów okolicznych i "tańszą" szlachtę. Dziedziniec zapeł-

nił się pojazdami, końmi i służbą, bądź przybyłą z gośćmi, bądź miejscową. Tłumy strojne w aksamity i lamy i kosztowne futra, zapełniły salę tak zwaną "złotą," a gdy książę ukazał się wreszcie cały jaśniejący od drogich kamieni i z łaskawym uśmiechem na ponurej zwykle, a przytem wyniszczonej teraz chorobą twarzy, pierwsi oficerowie zakrzyknęli jednogłośnie:

— Niech żyje książę hetman! Niech żyje wojewoda wileński!

Radziwiłł rzucił nagle oczyma po zebranem obywatelstwie, chcąc się przekonać czy zawtórują okrzykowi żołnierzy. Jakoż kilkanaście głosów z lękliwszych piersi powtórzyło okrzyk, zaś książę zaraz począł kłaniać się i dziękować za afekt szczery i "jednomyślny."

— Z wami, mości panowie! — mówił — damy radę tym, którzy chcą zgubić ojczyznę! Bóg wam zapłać! Bóg wam zapłać!...

I chodził naokół po sali, zatrzymywał się przed znajomymi, nie szczędząc w mowie tytułów: "panie bracie" i "miły sąsiedzie" — niejedna twarz chmurna rozpogadzała się pod wpływem ciepłych promieni łaski pańskiej.

— Już też niepodobna — mówili ci, którzy do niedawna z niechęcią patrzyli na jego czyny, — aby pan i tak wysoki senator nieszczerze ojczyźnie życzył, albo więc nie mógł inaczej postąpić jak postąpił, albo arcana (tajemnice) w tem jakieś tkwią, które na pożytek Rzeczypospolitej wyjdą.

— Jakoż od drugiego nieprzyjaciela mamy już więcej odetchnienia, który nie chce się powadzić o nasze Szwedami.

— Dajże Boże, aby wszystko zmieniło się na lepsze!

Byli wszelako i tacy, którzy trzęśli głowami, albo wzrokiem i mówili sobie wzajem: "Jesteśmy tu, bo nam nóż na gardło położono."

Lecz ci milczeli, gdy tymczasem inni, do przejednania łatwiejsi, mówili głośno, tak nawet głośno, żeby ich książę mógł dosłyszeć:

— Lepiej pana zmienić, niżeli Rzeczpospolitą pogrążyć.

— Niechże Korona myśli o sobie, a my o sobie.

— Kto zresztą nam dał przykład, jeśli nie Wielkopolska?

— Extrema necessitas extremis nititur rationibus (Krańcowa konieczność posługuje się krańcowymi środkami)!

— Tentanda omnia (Wszystkiego należy spróbować)!

— Całą ufność w naszym księciu połóżmy i na niego we wszystkiem się zdajmy. Niechże Litwę i władzę ma w ręku.

— Godzien on i jednej i drugiej. Jeśli on nas nie wyratuje, zginiemy... W nim salus (zbawienie)...

— Bliższy on nam, niż Jan Kazimierz, bo to nasza krew!

Radziwiłł łowił chciwem uchem te głosy, które dyktowała bojaźń lub pochlebstwo i nie zważał, że wychodziły one z ust ludzi słabych, którzy w niebezpieczeństwie pierwsiby go opuścili; z ust ludzi, którymi każdy podmuch wiatru mógł chwiać jak falą. I upajał się temi wyrazami i sam siebie oszukiwał lub własne sumienie, powtarzając z zasłyszanych zdań to które zdawało się go najbardziej uniewinniać.

— Extrema necessitas extremis nititur rationibus!

Lecz gdy przechodząc mimo licznej grupy szlachty, usłyszał jeszcze z ust Jurzyca: "Bliższy on nam, niż Jan Kazimierz!" — wówczas twarz jego wypogodziła się zupełnie. Samo porównanie i zestawienie z królem pochlebiało jego dumie, więc zbliżył się zaraz do pana Jurzyca i rzekł:

— Macie racyę, panie bracie, bo w Janie Kazimierzu na garniec krwi tylko kwarta litewskiej, a we mnie nie masz innej... Jeżeli zaś dotąd kwarta garncowi rozkazywała, to od was, panów braci, zależy to zmienić.

— My też garncem gotowi pić zdrowie w. ks. mości! — rzekł Jurzyc.

— O, toś mi waść w myśl utrafił. Weselcie się, panowie bracia! Chciałbym całą Litwę tu sprosić.

— Trzebaby ją na to jeszcze lepiej okroić — rzekł pan Szczaniecki z Dalnowa, człowiek śmiały i ostry zarówno w języku, jak w szabli.

— Co waść przez to rozumiesz — pytał książę, utkwiwszy w niego oczy.

— Że serce waszej ks. mości od Kiejdan obszerniejsze.

Radziwiłł uśmiechnął się z przymusem i poszedł dalej.

W tej chwili też zbliżył się do niego marszałek z doniesieniem że wieczerza gotowa. Tłumy poczęły płynąć za księciem, jakoby rzeka, do tej samej sali, w której niedawno unia ze Szwecyą została ogłoszona. Tam marszałek usadzał wedle godności zaproszonych, wymieniając każdego z imienia i urzędu. Ale widać, że rozkazy książęce były i pod tym względem naprzód wydane, gdyż Kmicicowi dostało się miejsce między miecznikiem rosieńskim a panną Aleksandrą.

W obojgu aż zadrgały serca, gdy usłyszeli swe nazwiska razem wymienione i oboje zawahali się w pierwszej chwili; lecz przyszło im zapewne na myśl, że opierać się byłoby to samo, co ściągać na się oczy wszystkich obecnych, więc siedli obok siebie. Było im źle i ciężko. Pan Andrzej postanowił sobie być obojętnym, jakoby siedziała koło niego obca osoba. Wkrótce jednak zrozumiał, że ani on nie potrafi być tak obojętnym, ani ta sąsiadka nie jest tak obcą, aby mogli zacząć z sobą zwyczajną rozmowę. Owszem, oboje to zmiarkowali, że w tym tłumie osób i najrozmaitszych uczuć, spraw, namiętności, on myśli tylko o niej, ona o nim i właśnie dlatego tak im trudno. Bo oboje nie chcieli i nie mogli wypowiedzieć szczerze, jasno i otwarcie wszystkiego, co im leżało na sercu. Mieli za sobą przeszłość, ale nie mieli przyszłości. Dawne uczucia, ufność, znajomość nawet, wszystko to potargane. Nie było nic pomiędzy nimi wspólnego, oprócz uczucia zawodu i żalu. Gdyby to ostatnie ogniwo pękło, byliby właśnie swobodniejsi; lecz czas tylko mógł przynieść zapomnienie, obecnie było na to zawcześnie.

Kmicicowi tak było źle, że prawie mękę cierpiał, a jednak za nic w świecie nie byłby odstąpił tego miejsca, które mu marszałek wyznaczył. Uchem łowił szelest jej sukni, baczył, udając, że nie baczy, na każdy jej ruch; odczuwał ciepło bijące od niej i wszystko to razem sprawiało mu jakąś bolesną rozkosz.

Po chwili poznał, że i ona równie jest czujna, choć niby na niego nie zważa. Porwała go nieprzezwyciężona chęć spojrzenia na nią, więc zaczął strzyc ukośnie oczyma, póki nie ujrzał jasnego czoła, oczu nakrytych ciemnemi rzęsami i białej, niepomalowanej barwiczką, jak u innych pań, twarzy.

Było zawsze w tej twarzy coś tak dla niego pociągającego, że serce w biednym kawalerze zadrgało z żalu i bólu. "Żeby zaś taka zawziętość w tak anielskiej urodzie mieścić się mogła!" — pomyślał sobie. Lecz uraza była zbyt głęboka, więc wkrótce dodał w duszy: "Nic mi po tobie, niech cię inny bierze!"

I nagle poczuł, że gdyby ów jakiś "inny" spróbował tylko korzystać z jego pozwolenia, toby go na sieczkę posiekał. Na samą myśl o tem, chwycił go gniew straszny. Uspokoił się dopiero, gdy sobie przypomniał, że to przecie on sam, nie kto inny przy niej siedzi, i że nikt, przynajmniej w tej chwili, o nią nie zabiega.

— Tedy jeszcze raz na nią spojrzę, a potem się w drugą stronę zwrócę — pomyślał.

I znów począł strzyc ku niej z ukosa, ale właśnie w tej chwili ona uczyniła toż samo i oboje spuścili coprędzej oczy, upokorzeni ogromnie, jakoby na grzechu złapani.

Panna Aleksandra toczyła walkę z sobą. Ze wszystkiego, co zaszło, z postępowania Kmicica w Billewiczach, ze słów Zagłoby i Skrzetuskiego poznała, że Kmicic błądził; ale nie był tyle winny, niezasługiwał na taką pogardę, na takie bezwzględne potępienie, jak poprzednio sądziła. Przecie on to tamtych zacnych ludzi od śmierci uwolnił, przecie tyle w nim był jakiejś wspaniałej dumy, że wpadłszy w ich ręce, mając przy sobie list, który mógł go uniewinnić, a przynajmniej od śmierci uchronić, nie pokazał jednak tego listu, nie rzekł ani słowa i poszedł na śmierć z podniesioną głową.

Oleńka, chowana przez starego żołnierza, stawiającego pogardę śmierci na czele wszystkich innych cnót, wielbiła męstwo z całego serca, więc nie mogła się oprzeć mimowolnemu podziwowi dla tej rogatej, rycerskiej fantazyi, którą można było chyba razem z duszą z ciała wypędzić.

Zrozumiała i to, że jeśli Kmicic Radziwiłłowi służył, to z zupełną dobrą wiarą — jakąż więc krzywdą było dlań posądzenie o zdradę! A jednak ona pierwsza wyrządziła mu tę krzywdę, nie chciała mu przebaczyć nawet wobec śmierci!

— Nagródź krzywdę — mówiło jej serce — wszystko się między wami skończyło, aleś mu to powinna wyznać, żeś go niesprawiedliwie sądziła. Dłużnaś w tem jeszcze i sobie...

Lecz było w tej pannie także dumy niemało, a może nawet i nieco zawziętości; więc wnet jej przyszło na myśl, że ów kawaler pewnie już o takie zadośćuczynienie nie stoi i aż rumieńce na twarz jej wytrysły.

— Skoro nie stoi, niechże się obejdzie! — rzekła sobie w duszy.

Wszakże sumienie mówiło dalej, że czy pokrzywdzony o krzywdę stoi, czy nie stoi, wynagrodzić ją trzeba: lecz z drugiej strony i duma przytaczała coraz nowe argumenta.

— Jeśliby słuchać, co być może, nie chciał, przyszłoby się tylko próżno wstydu najeść. A powtóre, winien, czy nie winien, rozmyślnie czyni, czy też przez zaślepienie, dość, że ze zdrajcami trzyma, z nieprzyjaciołmi ojczyzny i pomaga im ją zgubić. Na je-

dno ojczyźnie wyjdzie, czy mu rozumu brak, czy uczciwości. Bóg go może uniewinnić, ludzie muszą i powinni potępić i miano zdrajcy przy nim zostanie. Tak jest! Jeśli i nie winien, azali nie słuszna takim pogardzać, który tyle nawet rozmysłu nie ma, żeby złe od dobrego, występek od cnoty odróżnić...

Tu gniew porwał pannę i policzki jej poczęły pałać.

— Zamilczę! — rzekła sobie. — Niech cierpi, a co zasłużył póki skruchy nie widzę, póty mam prawo potępiać...

Poczem zwróciła wzrok ku Kmicicowi, jakby chcąc się przekonać, czy skruchy już w jego twarzy nie widać. Wtedyto właśnie nastąpiło spotkanie się ich oczu, po którem tak zawstydzili się oboje.

Skruchy Oleńka może w twarzy kawalera nie dojrzała, ale dojrzała ból i zmęczenie wielkie; dojrzała, że ta twarz była tak wybladła, jak po chorobie; więc litość ją wzięła głęboka, łzy jej napływały przemocą do oczu i schyliła się jeszcze mocniej nad stołem, ażeby wzruszenia nie zdradzić.

A tymczasem uczta ożywiała się zwolna.

Z początku widocznie wszyscy byli pod ciężkiem wrażeniem, lecz w miarę kielichów przybywało fantazyi ucztującym. Gwar wzmagał się.

Nakoniec książę wstał.

— Mości panowie, proszę o głos!

— Książę pan chce mówić!... Książę pan chce mówić! — wołano ze wszystkich stron.

— Pierwszy toast wznoszę za zdrowie najjaśniejszego króla szwedzkiego, który pomoc przeciw nieprzyjaciołom nam daje i władnąc tymczasem tą krainą, nie wprzód ją zda, aż spokój zaprowadzi. Wstańcie mości panowie, bo to zdrowie pije się stojący.

Biesiadnicy wstali, prócz niewiast, i spełnili kielichy, ale bez okrzyków, bez zapału. Pan Szczaniecki z Dalnowa pomrukiwał coś do sąsiadów, a ci gryźli wąsy, by się nie rozśmiać, widocznie dworował sobie z króla szwedzkiego.

Dopiero gdy książę wniósł drugie zdrowie "kochanych gości," łaskawych na Kiejdany, którzy przybyli nawet i z dalekich stron, aby zaświadczyć o ufności swej w zamiary gospodarza — odpowiedział mu gromki okrzyk:

— Dziękujemy! dziękujemy z serca!

— Zdrowie księcia pana!!

— Naszego Hektora litewskiego!

— Niech żyje! Niech żyje książę hetman, wojewoda nasz!

Wtem pan Jurzyc, już trochę pijany, zakrzyknął całą siłą płuc:

— Niech żyje Janusz pierwszy, wielki książę litewski!

Radziwiłł poczerwieniał cały, jak panna, którą dziewosłębią, ale zmiarkowawszy, że zgromadzeni milczą głucho i poglądają na niego ze zdumieniem, rzekł:

— W waszej — i to mocy, ale zawcześnie mi waćpan życzy, panie Jurzyc, zawcześnie!

— Niech żyje Janusz pierwszy, wielki książę litewski! — powtórzył z uporem pijanego pan Jurzyc.

Pan Szczaniecki wstał z kolei i wzniósł kielich:

— Tak jest! — rzekł z zimną krwią. — Wielki książę litewski, król polski i cesarz niemiecki!

Znów nastała chwila milczenia nagle, biesiadnicy wybuchli naraz śmiechem. Oczy wyszły im na wierzch, wąsy poruszały się na zaczerwienionych twarzach i śmiech wstrząsał ich ciała, odbijał się od sklepień sali i trwał długo, a jak nagle powstał, tak nagle i obumarł na wszystkich ustach, na widok twarzy hetmańskiej, która mieniła się jak tęcza.

Radziwiłł pohamował jednak straszny gniew, który pochwycił go za piersi i rzekł:

— Wolne żarty, panie Szczaniecki!

Szlachcic wydął usta i nie zmieszany wcale, odpowiedział:

— I to tron elekcyjny, a już też zawiele nie możem waszej ks. mości życzyć. Jeśli jako szlachcic możesz w. ks. mość zostać królem polskim, to jako książę rzeszy niemieckiej możesz i na godność cesarską być podniesiony. Jak ci daleko lub blisko do jednego, jak do drugiego, a kto ci tego nie życzy, niech wstanie, wnet go tu na szable weźmiem.

Tu zwrócił się do biesiadników;

— Wstań, kto nie życzysz cesarskiej niemieckiej korony panu wojewodzie wileńskiemu!

Oczywiście nikt nie wstał. Nie śmiano się już również, bo w głosie pana Szczanieckiego tyle było bezczelnej złośliwości, że wszystkich ogarnął mimowoli niepokój, co też się stanie...

Lecz nie stało się nic, jeno ochota do uczty się popsuła. Próżno służba dworska napełniała co chwila kielichy. Wino nie mogło

rozpędzić posępnych myśli w głowach ucztujących, ani coraz większego niepokoju. Radziwiłł z trudnością również pokrywał złość, bo czuł, że dzięki toastom pana Szczanieckiego, zmalał w oczach zebranej szlachty i że umyślnie lub niechcący szlachcic ów wszczepił przekonanie w zebraną szlachtę, iż wojewodzie wileńskiemu nie bliżej do wielkoksiążęcego tronu, jak do korony niemieckiej. Wszystko obrócone było w żart, w pośmiewisko — a przecie uczta po to w znacznej części była wydana, aby umysły z przyszłem panowaniem radziwiłłowskiem oswoić. Co więcej, chodziło Radziwiłłowi i o to, aby takie ośmieszenie jego nadziei nie oddziałało źle i na oficerów w sprawę wtajemniczonych. Jakoż na ich twarzach malowało się głębokie zniechęcenie.

Ganchoff spełniał kielich i unikał wzroku książęcego, a Kmicic nie pił, ale patrzył w stół przed sobą z namarszczoną brwią, jak gdyby rozmyślał nad czem lub toczył walkę wewnętrzną. Radziwiłł zadrżał na myśl, że w tym umyśle lada chwila może zabłysnąć światło i wydobyć prawdę z cieniów, a wówczas ten oficer, stanowiący jedyne ogniwo, łączące resztki polskich chorągwi ze sprawą radziwiłłowską, potarga owo ogniwo, choćby z nim razem miał sobie i serce z piersi wyszarpnąć.

Kmicic nadto ciężył już Radziwiłłowi i gdyby nie to dziwne znaczenie, jakie nadał mu zbieg wypadków, byłby oddawna padł ofiarą swej zuchwałości i hetmańskiego gniewu. Ale książę mylił się, posądzając go w tej chwili o wrogie sprawie myśli, bo pan Andrzej cały był zajęty Oleńką i ową głęboką rozterką, jaka ich rozdzielała.

Chwilami wydawało mu się, że kocha tę dziewczynę, obok siedzącą, więcej niż świat cały, to znów taką do niej odczuwał nienawiść, że zadałby jej śmierć, gdyby mógł, jej, ale zarazem i sobie.

Życie tak mu się powikłało, że stało dla tej prostej natury zbyt trudnem. Więc czuł to, co czuje dziki zwierz, omotany siecią, z której nie może się wyplątać.

Niespokojny i posępny nastrój całej uczty podrażnił go do najwyższego stopnia. Było mu poprostu nieznośnie.

Uczta zaś posępniała z każdą chwilą. Obecnym wydawało się, że ucztują pod dachem z ołowiu, który wspiera się na ich głowach.

Tymczasem nowy gość wszedł do sali. Książę, ujrzawszy go, zakrzyknął:

— To pan Suchaniec od brata Bogusława! Pewno z listami?

Nowo przybyły skłonił się nisko.

— Tak jest, jaśnie oświecony książę!... Jadę prosto z Podlasia.

— Dajże waćpan listy, a sam siadaj za stołem. Ichmościowie wybaczą, że czytania nie odłożę, choć przy uczcie siedzimy, bo mogą się znaleźć nowiny, któremi się będę chciał z waszmościami podzielić. Panie marszałku, proszę pamiętać o miłym pośle.

To mówiąc, książę wziął z rąk pana Suchańca paczkę listów i począł pośpiesznie łamać pieczęć pierwszego z brzegu.

Obecni utkwili ciekawe oczy w jego twarzy i starali scę odgadnąć z niej treść pisma. Pierwszy list jednakże nie zwiastował nic pomyślnego, bo oblicze książęce zaszło krwią i oczy zabłysły mu dzikim gniewem.

— Panowie bracia! — rzekł hetman — książę Bogusław donosi mi, że ci, co woleli się konfederować, niż na nieprzyjaciela pod Wilno iść, teraz włości moje na Podlasiu pustoszą. Łatwiejże po wsiach z babami wojować!... Godni rycerze!... ani słowa!... Nic to! Nagroda ich nie minie!...

Poczem wziął drugi list, ale zaledwie nań okiem rzucił, twarz rozjaśniła mu się uśmiechem tryumfu i radości.

— Województwo Sieradzkie poddało się Szwedom! — zakrzyknął — i w ślad za Wielkopolską przyjęło protekcyę Karola Gustwa.

A po chwili znowu:

— Owóż ostatnia poczta! Dobra nasza! mości panowie! Jan Kazimierz pobit pod Widawą i Żarnowem!... Wojsko go odstępuje! Sam on na Kraków się cofa, Szwedzi idą za nim. Pisze mi brat, że i Kraków musi upaść!

— Cieszemy się, mości panowie! — rzekł dziwnym głosem pan Szczaniecki.

— Tak, cieszmy się! — powtórzył hetman, nie zauważywszy tonu, jakmi się Szczaniecki odezwał.

I radość biła od całej osoby książęcej, twarz stała się w jednej chwili jakby młodszą, oczy nabrały blasku; drżącemi ze szczęścia rękoma rozerwał pieczęć ostatniego listu, spojrzał, rozpromienił się cały, jak słońce i krzyknął:

— Warszawa wzięta!... Niech żyje Karol Gustaw!

Tu dopiero spostrzegł, że wrażenie, jakie owe wiadomości wywierają na obecnych, jest zupełnie inne od tego, jakiego sam doznawał. Wszyscy bowiem siedzieli w milczeniu, spoglądając nie-

pewnym wzrokiem przed siebie. Niektórzy marszczyli brwi, inni pozakrywali twarze rękoma. Nawet dworacy hetmańscy, nawet ludzie słabego ducha nie śmieli naśladować radości książęcej na wieść, że Warszawa wzięta, że Kraków upaść musi, że województwa jedno po drugiem odstępują prawego pana i poddają się nieprzyjacielowi. Było przytem coś potwornego w tem zadowoleniu, z jakiem naczelny wódz polowy wojsk Rzeczypospolitej i jeden z najwyższych jej senatorów, oznajmił o jej klęskach. Książę zmiarkował, że trzeba złagodzić wrażenie.

— Mości panowie, — rzekł — pierwszybym płakał razem z wami, gdyby szło o szkodę Rzeczypospolitej, ale tu Rzeczpospolita szkody nie ponosi, jeno pana zmienia. Zamiast niefortunnego Jana Kazimierza, będzie miała wojownika wielkiego i szczęśliwego. Widzę już wszystkie wojny ukończone i nieprzyjaciół pobitych.

— Ma w. ks. mość racyę! — odrzekł Szczaniecki. — Kubek w kubek to samo opowiadali Radziejowski i Opaliński pod Ujściem... Cieszmy się, mości panowie! Na pohybel Janowi Kazimierzowi!...

To rzekłszy pan Szczaniecki odsunął z łoskotem krzesło, wstał i wyszedł z sali.

— Win najlepszych, jakie są w piwnicach! — zakrzyknął książę.

Pan Marszałek pobiegł spełnić rozkazy. W sali zawrzało jak w ulu. Gdy pierwsze wrażenie minęło, szlachta poczęła rozprawiać nad wiadomościami i dyskutować. Wypytywano pana Suchańca o szczegóły z Podlasia i przyległego Mazowsza, które już Szwedzi zajęli.

Po chwili wtoczono do sali smoliste ankary i poczęto odbijać w nich gwoździe. Humory ożywiły się i stopniowo stawały się coraz lepsze.

Coraz częstsze głosy jęły powtarzać: "Stało się! niema już rady!" — "Może będzie lepiej! Trzeba się zgodzić z fortuną!" — "Książę nie da nas ukrzywdzić!" — "Lepiej, nam niż innym... Niech żyje Janusz Radziwiłł, wojewoda nasz, hetman i książę!"

— Wielki książę litewski! — krzyknął znowu pan Jurzyc.

Ale tym razem nie odpowiedziało mu już milczenie, ani śmiech, owszem, kilkadziesiąt zachrypłych gardzieli ryknęło naraz.

— Życzym tego! Z serca i duszy życzym! Niech nam żyje! Niech panuje!

Magnat wstał z twarzą czerwoną, jak szmat purpury.

— Dziękuję wam, panowie bracia!... — rzekł poważnie.

W sali od świateł i oddechów ludzkich uczyniło się duszno, jak w łaźni.

Panna Aleksandra przechyliła się przez Kmicica ku miecznikowi rosieńskiemu.

— Słabo mi — rzekła — chodźmy stąd.

Jakoż twarz jej była blada, a na czole lśniły krople potu.

Lecz miecznik rosieński rzucił niespokojnym wzrokiem na hetmana, w obawie, czy mu porzucenie stołu nie będzie za złe poczytane. W polu był to żołnierz odważny, lecz z całej duszy bał się Radziwiłła.

Tymczasem, na domiar złego, hetman rzekł w tej chwili:

— Wróg mój, kto ze mną wszystkich toastów do dna nie spełni, bom dziś wesół!

— Słyszałaś? — rzekł miecznik...

— Stryju! ja nie mogę dłużej, mnie słabo! — rzekła błagalnym głosem Oleńka.

— To odejdź sama — odpowiedział miecznik.

Panna wstała, usiłując wymknąć się tak, aby niczyjej uwagi nie zwrócić; lecz sił jej brakło, chwyciła w niemocy za poręcz krzesła.

Nagle objęło ją silne rycerskie ramię i podtrzymało już prawie mdlejącą.

— Ja waćpannę odprowadzę! — rzekł pan Andrzej.

I nie pytając o pozwolenie, objął jej kibić, jakoby żelazną obręczą, lecz ona ciężyła mu coraz bardziej, wreszcie, nim doszli do drzwi, zwisła bezwładnie na jego ramieniu.

Wówczas on wziął ją na ręce tak lekko jak dziecko i wyniósł z sali.

---

## XIII.

Tegoż wieczora, po skończonej uczcie, pan Andrzej pragnął koniecznie widzieć się z księciem, ale odpowiedziano mu, że książę zajęty jest tajemną rozmową z panem Suchańcem.

Przyszedł więc nazajutrz zrana i natychmiast został przed oblicze pańskie przypuszczony.

— Wasza książęca mość — rzekł — przyszedłem z prośbą.

— Co chcesz, abym dla cię uczynił?

— Nie mogę tu dłużej żyć. Każdy dzień większą dla mnie męką. Nic tu po mnie w Kiejdanach. Niech wasza ks. mość wymyśli mi jaką funkcyę, niech mnie wyśle, gdzie chce. Słyszałem, że pułki mają na Zołtareńkę ruszać. Pójdę z niemi.

— Radby Zołtareńko pohałasował z nami, ale mu nijak, bo tu już szwedzka protekcya, a my też na niego bez Szwedów nie możemy... Graf Magnus okrutnie wolno się posuwa i wiadomo dla czego! Dlatego, że mi nie ufa. Ale także ci to źle w Kiejdanach przy naszym boku?

— Wasza ks. mość na mnie łaskaw, a przecie tak źle, iż wypowiedzieć nie umiem. Prawdę mówiąc, myślałem, że inaczej wszystko pójdzie... Myślałem, że będziem się bili, że żyć będziem w ogniu i w dymie, na kulbace dzień i noc. Do tego mnie Bóg stworzył, a tu siedź, słuchaj rozpraw i dysput, gnij w bezczynności, albo poluj na swoich, zamiast na nieprzyjaciela. Nie mogę wytrzymać, poprostu nie mogę... Wolę sto razy śmierć, jak mi Bóg miły, czysta męka.

— Wiem już, z czego ta desperacya pochodzi. Amory, to, nic więcej! Gdy podstarzejesz, będziesz się śmiał z tych mąk. Widziałem to wczoraj, żeście na siebie z tą dziewczyną krzywi i coraz krzywsi.

— Nic mi do niej, a jej do mnie. Co było, to się i skończyło.

— A co to, ona wczoraj zachorowała?

— Tak jest.

Książę milczał przez chwilę.

— Radziłem ci już i jeszcze raz radzę — rzekł hetman — jeżeli ci o nią chodzi, to ją bierz z jej wolą lub bez woli. Każę wam ślub dać. Będzie trochę krzyku i płaczu... Nic to! Po ślubie weźmiesz ją do swej kwatery... i jeśli nazajutrz jeszcze będzie płakała, toś ba.... i bardzo!

— Ja proszę waszej ks. mości o jakąś funkcyę wojskową, nie o ślub! — odrzekł szorstko Kmicic.

— Tedy jej nie chcesz?

— Nie chcę. Ni ja jej, ni ona mnie! Choćby się też dusza we mnie podarła, nie będę jej o nic prosił. Chciałbym jeno być jak najdalej, ażeby o wszystkiem zapomnieć, póki mi się rozum nie pomiesza. Tu niema nic do roboty, a bezczynność ze wszystkiego

najgorsza, bo zmartwienie człowieka trawi jako choroba. Niech wasza ks. mość przypomni sobie, jak jej wczoraj jeszcze było ciężko, póki nowiny dobre nie przyszły... Tak mnie jest dziś i tak będzie. Co mam robić? Za głowę się ułapić, by jej gorzkie myśli nie rozerwały i siedzieć? Co tu wysiedzę? Bóg wie, co to za czasy, Bóg wie, co to za jakaś wojna, której zrozumieć, ani umysłem objąć nie mogę... od czego jeszcze ciężej. Ot, jak mi Bóg miły, jeśli wasza ks. mość mnie jako nie użyjesz, tedy chyba ucieknę, watahę zbiorę i będę bił...

— Kogo? — spytał książę.

— Kogo? Pójdę pod Wilno i będę urywał, jakom Chowańskiego urywał. Puść wasza ks. mość ze mną moją chorągiew, to i wojna się zacznie!

— Twoja chorągiew tu mi potrzebna przeciw wewnętrznemu nieprzyjacielowi.

— Tożto i ból, tożto i męka w Kiejdanach z założonemi rękoma stróżować, albo się za jakim Wołodyjowskim uganiać, któregoby się przy strzemieniu za towarzysza mieć wolało!

— Ja funkcyę dla ciebie mam — rzekł książę. —Pod Wilno cię nie puszczę, ani chorągwi ci nie dam. Jeżeli zaś wbrew mojej woli postąpisz i zebrawszy watahę pojedziesz, to wiedz, że tem samem przestaniesz mi służyć.

— Ale ojczyźnie się przysłużę!

— Ten ojczyźnie służy, kto mnie służy. Jużem cię o tem przekonał. Przypomnij sobie także, żeś zaprzysiągł. Nakoniec, gdy na wolentaryusza wyjdziesz, to zarazem wyjdziesz z pod mojej inkwizycyi, a tam sądy z wyrokami na cię czekają...Dla własnego dobra nie powinieneś tego czynić.

— Co tam teraz sądy znaczą!

— Za Kownem nic, ale tu, gdzie jeszcze kraj spokojny, nie ustały dotąd funkcyonować. Możesz się wprawdzie nie stawić, ale wyroki zapadną i będą nad tobą ciążyły aż do spokojniejszych czasów. Kogo raz do trąby włożą, temu i w dziesięć lat przypomną, a już szlachta laudańska przypilnuje, by ci przypomniano.

— Żeby prawdę waszej ks. mości powiedzieć, jak przyjdzie pokuta, to się i poddam. Dawniej gotów byłem z całą Rzecząpospolitą wojnę prowadzić i z wyroków tyle sobie robić, ile nieboszczyk pan Łaszcz, który kazał sobie niemi delię podszyć... Ale teraz jakowaś bolączka wyrosła mi na sumieniu. Człek

się boi zabrnąć dalej, niżby chciał i niepokój duszny o wszystko go toczy.

— Jakiżeś skrupulat? Ale mniejsza z tem! Powiedziałem ci, że jeśli chcesz stąd jechać, to funkcyę dla ciebie mam i bardzo zacną. Ganchoff mi o nią w oczy lezie i przymawia się każdego dnia. Już myślałem, żeby mu ją dać... Wszelako nie może to być, gdyż trzeba mi tam kogoś znacznego, z nieladajakiem nazwiskiem i nie obcem, ale polskiem, któreby samo przez się świadczyło, że nie wszyscy mnie opuścili i że są jeszcze możni obywatele, którzy ze mną trzymają... Tyś mi wraz do tego, ile że i fantazyę masz dobrą i wolisz, żeby się tobie kłaniano, niż żebyś sam się miał kłaniać.

— O co idzie waszej ks. mości?

— Trzeba jechać w dalszą podróż...

— Dziś gotowym!

— I swoim kosztem, bo u mnie z pieniędzmi kuso. Jedne intraty nieprzyjaciel zajął, drugie swoi pustoszą, a wszystko nie dochodzi w porę; całe zaś wojsko, które przy mnie jest, przeszło teraz na mój koszt. Pewnie mi pan podskarbi, który u mnie pod kluczem siedzi, grosza nie użyczy, raz dlatego, żeby nie chciał, powtóre, że sam nie ma. Co jest grosza publicznego, to biorę, nie pytając; ale siłażto go jest? Od Szwedów zaś wszystkiego prędzej dostaniesz, niż pieniędzy, bo im się samym na widok każdego szeląga ręce trzęsą.

— Wasza ks. mość niepotrzebnie się nad tem rozwodzi! Jeśli pojadę, to swoim kosztem.

— Ale tam trzeba znacznie wystąpić, nie żałować!...

— Nic ja nie będę żałował!

Oblicze hetmana rozjaśniło się, bo rzeczywiście gotowizny nie miał, chociaż niedawno Wilno zrabował, a przytem chciwy był z natury. Prawdą było również i to, że intraty z niezmierzonych jego dóbr, ciągnących się od Inflant po Kijów i od Smoleńska po Mazowsze, przestały wistocie wpływać, a koszta na wojsko z każdym dniem rosły.

— To mi się podoba! — rzekł. — Ganchoff zarazby mi zaczął w skrzynie pukać, a tyś człek inny. Słuchaj tedy, o co chodzi.

— Słucham pilnie.

— Najprzód pojedziesz na Podlasie. Periculosa (niebezpieczna) to droga, bo tam są konfederaci, którzy z obozu wyszli i prze-

ciw-mnie czynią. Jak im się wykręcisz, to twoja rzecz. Ów Jakób Kmicic możeby cię oszczędził, ale strzeż się Horotkiewicza, Żeromskiego, a zwłaszcza Wołodyjowskiego z jego laudańską kompanią.

— Byłem ja już w ich ręku i nic mi się nie stało.

— To dobrze. Wstąpisz do Zabłudowa, gdzie siedzi Harasimowicz. Przykażesz mu, żeby co można grosiwa z intrat, z podatków publicznych i skąd można ściągnął i mnie odesłał, ale nie tu jeno do Tylcy, gdzie są już rzeczy moje. Co będzie mógł zastawić z dóbr albo inwentarzy, niech zastawi; co będzie można wziąć od Żydów, niech weźmie... Powtóre, niech o konfederatach myśli, żeby ich jako pogubić. Ale to już nie twoja głowa, dam mu własnoręczną instrukcyę. Ty mu list oddaj i ruszaj zaraz do Tykocina, do księcia Bogusława.

Tu hetman przerwał i począł oddychać głośno, bo dłuższe mówienie męczyło go bardzo. Kmicic wpatrywał się w niego chciwie, bo mu się dusza wydzierała do odjazdu i czuł, że ta podróż, pełna spodziewanych przygód, będzie balsamem na jego wewnętrzne zgryzoty.

Hetman po chwili tak mówić zaczął:

— Za głowę się biorę, dlaczego książę Bogusław siedzi jeszcze na Podlasiu?... Dla Boga! może zgubić mnie i siebie. Pilnie uważaj na to, co mówię, bo chociaż oddasz mu moje listy, trzeba, żebyś umiał żywem słowem je poprzeć i wytłómaczyć wszystko, co się napisać nie da. Owóż wiedz o tem, że wczorajsze wieści były dobre, ale nie tak dobre jakem szlachcie powiedział, a nawet i nie tak dobre, jakem sam zrazu myślał. Szwedzi wprawdzie górą: zajęli Wielkopolskę, Mazowsze, Warszawę, województwo Sieradzkie poddało im się, gonią Jana Kazimierza pod Kraków i Kraków oblegną, jak Bóg w niebie. Czarniecki ma go bronić, ów świeżo wypieczony senator, ale, muszę przyznać, żołnierz dobry. Kto może przewidzieć, co się stanie?... Szwedzi wprawdzie umieją zdobywać fortece, a nie było nawet czasu na wzmocnienie Krakowa. Wszelako ten pstry kasztelanik może się trzymać miesiąc, dwa, trzy. Dzieją się czasem tanie cuda, jako wszyscy pamiętamy, pod Zbarażem.. Owóż, jeśli się będzie zacięcie trzymał, dyabeł może wszystko nawspak obrócić. Ucz się arkanów polityki. Wiedz tedy najprzód, że w Wiedniu nie będą chętnem okiem patrzeć na rosnącą potęgę szwedzką i mogą pomoc dać... Tatarzy to, wiem to

dobrze, skłonni są pomagać Janowi Kazimierzowi, na Kozactwo i Moskwę nawałem ruszą, a wówczas wojska ukrainne pod Potockim przyjdą na pomoc... Desperat dziś Jan Kazimierz, a jutro może jego szczęście przeważyć...

Tu książę musiał znów dać wypoczynek strudzonym piersiom, a pan Andrzej dziwnego doświadczał uczucia, z którego sam sobie na razie sprawy nie umiał zdać. Oto on, stronnik radziwiłłowski i szwedzki, czuł jakby radość wielką na myśl, że szczęście może się od Szwedów odwrócić.

— Mówił mi Suchaniec — rzekł książę, — jakto było pod Widawą i Żarnowem. Owóż w pierwszem spotkaniu przednie straże nasze... chciałem powiedzieć: polskie, starły Szwedów na proch. To nie pospolite ruszenie... i Szwedzi pono siła fantazyi stracili.

— Ale przecie wiktorya tu i tam przy nich?

— Była, bo się chorągwie Janowi Kazimierzowi pobuntowały, a szlachta oświadczyła, że będzie stać w szyku, ale się bić nie chce. Wszelako to się pokazało, że w polu nie więcej Szwedzi od kwarcianych umieją. Niech się trafi jedna i druga wiktorya, może się duch zmienić. Niech przyjdą Janowi Kazimierzowi zasiłki pieniężne, aby mógł żołd zapłacić, to się i nie będą buntowali. Potocki nie ma siła ludu, ale srodze to ćwiczone chorągwie i zjadliwe jak osy. Tatarzy przyjdą z nim, a elektor nam w dodatku nie dopisuje.

— Jakżeto?

— Liczyliśmy obaj z Bogusławem, że zaraz ze Szwedami i z nami w ligę wejdzie, bo wiemy, co o jego afektach dla Rzeczypospolitej trzymać... Ale on zbyt ostrożny i o własnem dobru tylko myśli. Czeka widać, co się stanie, a tymczasem wchodzi w ligę, ale z miastami pruskiemi, które wiernie przy Janie Kazimierzu stoją. Myślę, że w tem będzie jakowaś zdrada, chybaby elektor nie był sobą, albo zgoła o szwedzkiej fortunie wątpił. Ale nim się wyjaśni, tymczasem liga przeciw Szwedom stoi i niech im się w Małopolsce noga powinie, tedy zaraz się Wielkopolska i Mazury podniosą, Prusy z nimi pójdą i może przytrafić...

Tu książę wzdrygnął się, jakby przerażony przypuszczeniem.

— Co się może przytrafić? — pytał Kmicic.

— Że noga szwedzka z Rzeczypospolitej nie wyjdzie! — odparł ponuro książę.

Kmicic zmarszczył brwi i milczał.

— Wówczas — mówił dalej niskim głosem hetman — i nasza fortuna spadłaby tak nisko, jak wprzód była wysoko...

Pan Andrzej zerwał się z miejsca z iskrzącemi oczyma, z rumieńcami na twarzy i zakrzyknął:

— Wasza książęca mość! co to jest?... A czemuż mi to wasza ks. mość mówił niedawno, że Rzeczpospolita przepadła i że tylko w spółce ze Szwedami, przez osobę i przyszłe panowanie waszej ks. mości ratować ją można?... Czemu mam wierzyć? Czy temu, com wonczas słyszał, czy temu co dziś? A jeśli tak jest, jak wasza książęca mość dziś mówisz, to dlaczego trzymamy ze Szwedami, zamiast ich bić?... Toż dusza do tego się śmieje!

Radziwiłł patrzył się surowo w młodzieńca.

— Zuchwały jesteś! — rzekł.

Ale Kmicic jechał już na własnem uniesieniu, jak na koniu.

— Potem o tem, jakim ja jest! Teraz daj mi w. ks. mość respons (odpowiedź) na to, co pytam.

— Dam ci respons taki: — rzekł dobitnie Radziwiłł — jeśli rzeczy tak się obrócą, jak mówię, tedy zaczniemy Szwedów bić.

Pan Andrzej przestał parskać nozdrzami, natomiast palnął się dłonią w czoło i zakrzyknął:

— Głupim! głupim!

— Tego ci nie neguję — rzekł książę — i przydam, że miarę w zuchwałości przebierasz. Wiedzże, iż poto cię wysyłam, abyś zmiarkował, jak się fortuna obróci. Chcę dobra ojczyzny, niczego więcej. To, com mówił, są supozycye, które mogą się nie sprawdzić i pewnie się nie sprawdzą. Ale ostrożnym trzeba być. Kto chce, by go woda nie porwała, musi umieć pływać, a kto idzie lasem, w którym dróg niema, ten często musi stawać i miarkować, w którą mu stronę iść należy... Rozumiesz?

— Tak jasno, jakoby słońce świeciło.

— Recedere (cofać się) nam wolno i trzeba, jeżeli dla ojczyzny będzie tak lepiej, ale nie będziem mogli, jeśli książę Bogusław dłużej na Podlasiu będzie siedział. Głowę widać stracił, czy co? Tam siedząc, musi się za jedną, albo za drugą sprawą oświadczyć; albo za Szwedem, albo za Janem Kazimierzem, a to właśnie byłoby najgorzej.

— Głupim jest, wasza ks. mość, bo znowu nie rozumiem!

— Podlasie blisko Mazowsza i albo Szwedzi je zajmą, albo z

miast pruskich przyjdą posiłki przeciw Szwedom. Tedy trzeba będzie wybierać.

— Ale czemu książę Bogusław nie ma wybierać?

— Bo póki on nie wybierze, póty Szwedzi bardziej się na nas oglądają i muszą nas ujmować, toż samo elektor. Jeśli zaś recedere przyjdzie i przeciw Szwedom się obrócić, tedy on ma być ogniwem między mną i Janem Kazimierzem... On ma mi powrót ułatwić, czegoby nie mógł uczynić, gdyby wprzód przy Szwedach się opowiedział. Że zaś na Podlasiu musi wkrótce koniecznie wybrać, niech jedzie do Prus do Tylcy i tam czeka, co się stanie. Elektor siedzi w margrabstwie, tedy Bogusław będzie największą powagą w Prusiech i całkiem może Prusaków w ręce wziąć i wojska pomnożyć i na czele znacznej potęgi stanąć... A wonczas jedni i drudzy, co chcemy, dadzą, byle tylko nas dwóch mieć po sobie i dom nasz nietylko nie upadnie, ale się wzniesie, a to grunt.

— Wasza ks. mość mówiłeś, że grunt dobro ojczyzny?

— Nie chwytajże mnie za każde słowo, gdym ci z góry rzekł, że to wszystko jedno i słuchaj dalej. Wiem to dobrze, że książę Bogusław, chociaż i podpisał akt unii ze Szwecyą tutaj w Kiejdanach, jednakże za stronnika ich nie uchodzi. Niechże puszcza wieść, a i ty puszczaj po drodze, żem go zmusił do podpisania wbrew sercu. Ludzie snadnie temu uwierzą, bo nieraz przytrafia się, że i rodzeni bracia do różnych partyj należą. Owóż tym sposobem będzie mógł wejść w konfidencyę z konfederatami, prosić naczelników do siebie, niby do układów, a potem pochwycić i do Prus wywieść. Godziwy to będzie sposób i dla ojczyzny zbawienny, bo inaczej ci ludzie całkiem ją zgubią.

— To wszystko, co mam uczynić? — pytał z pewnem rozczarowaniem Kmicic.

— To część zaledwie i nie najważniejsza. Od księcia Bogusława pojedziesz z mojemi listami do samego Karolusa Gustawa. Ja tu nie mogę z grafem Magnusem do ładu dojść od czasu onej bitwy klawańskiej. Wciąż on na mnie zyzem patrzy i nie przestaje suponować, że byle się Szwedom noga pośliznęła, byle Tatarzy rzucili się na tego drugiego nieprzyjaciela, to i ja się przeciw Szwedom obrócę.

— Wnosząc z tego co w. ks. mość przedtem mówił, to słusznie suponuje.

— Słusznie, czy niesłusznie, nie chcę, aby tak było i aby mi za-

glądał, jakie kozery mam w ręku. Zresztą i personaliter (osobiście) nieżyczliwy to dla mnie człowiek. Pewnie on tam niejedno na mnie do króla wypisuje, a jedno z dwojga z pewnością: albo żem słaby albo żem niepewny. Trzeba temu zapobiedz. Listy moje królowi oddasz: gdyby się ciebie o klawańską potrzebę wypytywał, powiesz, jak prawda, nic nie dodasz, nic nie ujmiesz. Możesz mu się przyznać, że tych ludzi na śmierć skazałbym, a tyś ich wyprosił. Nic ci się zato nie stanie, owszem może się szczerość podobać. Magnusa grafa wprost przed królem nie będziesz oskarżał, boć to jego szwagier... Ale gdyby się król, ot! tak mimochodem, pytał, co to ludzie myślą, powiedz mu, że żałują, iż graf Magnus nie dość się hetmanowi wypłaca za szczerą jego dla Szwedów przyjaźń; że sam książę (to jest ja) nad tem wielce boleje. Gdyby pytał dalej, czy prawda, we mnie wszystkie wojska komputowe opuściły, powiesz, że nieprawda i za dowód przytoczysz siebie. Powiadaj się pułkownikiem, bo nim jesteś... Mów, że to patryzanci pana Gosiewskiego pobuntowali wojsko, ale dodaj, że między nimi nieprzyjaźń śmiertelna. Mów, że gdyby graf Magnus przysłał mi armat niecoś i jazdy, dawno byłbym już zgniótł owych konfederatów... że to jest ogólna opinia. Zresztą na wszystko zważaj, dawaj ucho, co tam w pobliżu królewskiej osoby mówią i donoś, nie mnie, ale jeśli się nadarzy okazya, księciu Bogusławowi do Prus. Można i przez elektorskich ludzi, jeśli ich napotkasz. Ty podobno umiesz po niemiecku?

— Miałem towarzysza, szlachcica kurlandzkiego, niejakiego Zenda, którego mi laudańscy ludzie usiekli. Od niegom się nieźle po niemiecku poduczył. W Inflantach też często bywałem....

— To dobrze.

— A gdzie, w. ks. mość, znajdę króla szwedzkiego?

— Tam go znajdziesz, gdzie będzie. Czasu wojny dziś może być tu, jutro tam. Jeśli trafisz go pod Krakowem, to i lepiej, bo weźmiesz listy i do innych osób, które w tamtych stronach rezydują.

— To jeszcze do innych pojadę?

— Tak jest. Musisz dotrzeć do pana marszałka koronnego Lubomirskiego, o którego bardzo mi chodzi, aby do naszych zamysłów przystąpił. Możny to człek i w Małopolsce siła od niego zależy. Gdyby on chciał szczerze stanąć przy Szwedach, tedyby Jan Kazimierz nie miał już co robić w Rzeczypospolitej. Króło-

wi szwedzkiemu nie ukrywaj, że ode mnie do niego jedziesz, aby go dla Szwedów skaptować... Nie chwal się z tem wprost, ale się niby z prędkości wygadaj. Okrutnie go to dla mnie zjedna. Dałby Bóg, żeby pan Lubomirski chciał przy nas stanąć... Będzie on się wahał, to wiem; wszelako spodziewam się, że moje listy wagę przechylą, gdyż jest przyczyna, dla której musi on o moją życzliwość dbać wielce. Powiem ci, jak co jest, abyś wiedział, jak się tam obracać, Otóż dawno już pan marszałek objeżdżał mnie, jako niedźwiedzia w knieci, i starał się zdaleka wyrozumieć, czybym jedynaczki swojej za syna jego Herakliusza nie oddał. Dzieci to jeszcze, ale możnaby układ uczynić, na którym panu marszałkowi siła zależy, więcej niż mnie, bo drugiej takiej dziedziczki niemasz w Rzeczypospolitej, a gdyby się dwie fortuny złączyły, to i w świecie nie byłoby równej... Smarowna to grzanka! A cóż dopiero, gdyby pan marszałek powziął nadzieję, że i koronę wielkoksiążęcą mógłby syn jego za moją córką wianem wziąć... Tę nadzieję w nim obudź, a skusi się, jak Bóg na niebie, bo o domu własnym więcej, niż o Rzeczypospolitej myśli...

— Cóż mam mu mówić?

— To, czego ja nie będę mógł napisać... Ale trzeba to misternie podsuwać. Niechże cię Bóg broni, abyś się wydał z tem, żeś ode mnie słyszał, jakobym korony pragnął. Na to jeszcze zawcześnie... Ale mów, że tu wszystka szlachta na Żmudzi i na Litwie o tem mówi i chętnie to widzi: że sami Szwedzi głośno o tem wspominają; żeś to i przy osobie króla słyszał... Będziesz zważał, kto tam z dworzan z panem marszałkiem konfident i podsuniesz mu taką myśl: niech Lubomirski przejdzie do Szwedów, a w nagrodę zażąda małżeństwa Herakliusza z Radziwiłłówną, a potem niech Radziwiłła na Wielkie Księstwo popiera, to Herakliusz je z czasem odziedziczy. Niedość na tem; podsuń i to, że gdyby Herakliusz raz litewską włożył koronę, tedyby go zczasem i na polski tron powołano, a tak w dwóch rodach dwie korony napowrótby się złączyć mogły. Jeśli się tam tej myśli oburącz nie pochwycą, to pokażą się małymi ludźmi. Kto wysoko nie mierzy i wielkich zamysłów się zlęknie, ten niech się laską, buławką, kasztelanijką kontentuje, niech służy i kark zgina, przez pokojowców na łaskę zarabia, bo niczego więcejnie wart!... Mnie do czego innego Bóg stworzył i dlatego śmiem wyciągać rękę po wszystko, co tylko w mocy

człowieczej i dojść aż do granicy, jaką sam Bóg potędze ludzkiej postawił!

Tu książę wyciągnął rzeczywiście ręce, jakby chciał w nie jaką niewidzialną koronę pochwycić i rozgorzał cały, jak pochodnia, ale wtem ze wzruszenia znowu mu powietrza zbrakło w gardzieli.

Po chwili uspokoił się jednak i rzekł przerywanym głosem:

— Ot... gdy dusza leci... jakoby do słońca... choroba mówi swoje memento... Niech się co chce dzieje.. Wolę, żeby mnie śmierć zastała na tronie... niż w królewskiej antikamerze...

— Może medyka zawołać? — pytał Kmicic.

Radziwiłł począł kiwać ręką.

— Nie trzeba... nie trzeba... Już mi lepiej... Ot i wszystko co miałem ci powiedzieć... Prócz tego oczy miej otwarte, uszy otwarte. Bacz i na to, co Potoczczyzna pocznie. Oni kupą chodzą, a Wazom wierni... i potężni... Koniecpolski a Sobiescy także niewiadomo, jak się przechylą... Patrz i ucz się... Ot i duszność przeszła... Zrozumiałeś wszystko expedite (dokładnie)?

— Tak jest. Jeśli w czem pobłądzę, to z własnej winy.

— Listy już mam popisane, jeno kilka zostaje. Kiedy chcesz ruszyć?

— Dziś jeszcze! Jak najprędzej!...

— Nie maszże jakiej prośby do mnie?

— W. ks. mość!... — zaczął Kmicic.

I urwał nagle.

Słowa z trudnością wychodziły mu z ust, a na twarzy malował się przymus i zmieszanie.

— Mów śmiało! — rzekł hetman.

— Proszę — rzekł Kmicic, — aby tu miecznik rosieński i ona.. jakowej krzywdy nie doznali!...

— Bądź pewien. Ale to widzę, że ty tę dziewkę jeszcze miłujesz?...

— Nie może być! — rzekł Kmicic. — Zali ja wiem!... Godzinę ją miłuję, godzinę nienawidzę... Dyabeł jeden wie! Skończyło się wszystko, jakom rzekł... jedna męka została... Nie chcę ja jej, ale nie chcę, by ją inny brał... W. ks. mość niech tego nie dopuści... Sam nie wiem co gadam... Jechać mi, jechać jak najprędzej! Niech w. ks. mość nie zważa na moje słowa. Bóg mi wróci rozum, jeno za bramę wyjadę...

— Rozumiem to, że póki z czasem afekt nie ostygnie, to choć się

samemu nie chce, przecie patrzy myśl, że inny weźmie. Ale bądź o to spokojny, bo nikogo tu nie dopuszczę, a wyjechać stąd, nie wyjadą. Wkrótce wszędy pełno będzie obcego żołnierza i niebezpieczno!... Najlepiej ją do Taurogów wyprawię, pod Tylcę, gdzie księżna bawi... Bądź spokojny, Jędrek!... Idź, gotuj się do drogi, a przychodź do mnie na obiad...

Kmicic skłonił się i wyszedł, a Radziwiłł począł oddychać głęboko. Rad był z wyjazdu Kmicica. Zostawała mu jego chorągiew i jego nazwisko, jako stronnika, a osobę mniej dbał.

Owszem, Kmicic wyjechawszy, mógł mu oddać znaczne posługi; w Kiejdanach ciężył mu już oddawna. Hetman pewniejszym był go zdaleka, niż zbliska. Dzika fantazya i zapalczywość Kmicica mogły lada chwila sprowadzić w Kiejdanach wybuch i zerwanie nader niebezpieczne dla obydwóch. Wyjazd usuwał niebezpieczeństwo.

— Jedźże dyable wcielony i służ! — mruknął książę, poglądając na drzwi, któremi odszedł chorąży orszański.

Następnie zawołał pazia i rozkazał prosić do siebie Ganchoffa.

— Obejmiesz chorągiew Kmicicową — rzekł mu — i komendę nad całą jazdą. Kmicic wyjeżdża.

Przez zimną twarz Ganchgffa przebiegł jakoby błysk radości; omijała go misya, ale spotykała wyższa szarża.

Skłonił się więc w milczeniu i rzekł:

— Wierną służbą za łaskę w. ks. mości się wypłacę.

Poczem wyprostował się i czekał.

— A co powiesz więcej? — rzekł książę.

— W. ks. mość! przyjechał tu dziś rano szlachcic z Wiłkomierza, który przywiózł wieść, że pan Sapieha na w. ks. mość z wojskami ciągnie.

Radziwiłł drgnął, lecz w mgnieniu oka opanował wrażenie.

— Możesz odejść! — rzekł do Ganchoffa.

Poczem zamyślił się głęboko.

---

## XIII (24)

Kmicic zajął się bardzo czynnie przygotowaniami do drogi, oraz wyborem ludzi, którzy mieli mu towarzyszyć, postanowił bowiem

nie jechać bez pewnej asystencyi, raz dla bezpieczeństwa własnego, a powtóre dla powagi swojej poselskiej osoby. Pilno mu było, więc chciał ruszyć tegoż jeszcze dnia na noc, lub jeśliby słota nie ustała, nazajutrz rano. Ludzi wynalazł wreszcie, sześciu pewnych, którzy dawniej jeszcze pod nim służyli, w tych lepszych czasach, gdy się przed przejazdem do Lubicza pod Chowańskim uwijał, starych zabijaków orszańskich, gotowych iść za nim choćby na kraj świata. Samato była szlachta i bojarowie putni, ostatnie resztki potężnej niegdyś watahy, przez Butrymów wyciętej. Na czele ich stanął wachmistrz Soroka, dawny sługa Kmiciców, żołnierz stary i sprawny bardzo, chociaż liczne wyroki, za liczniejsze jeszcze swawole, nad nim ciążyły.

Po obiedzie dał hetman panu Andrzejowi listy i glejt do komendantów szwedzkich, z którymi młody poseł mógł się w znaczniejszych miastach spotykać; pożegnał go i wyprawił dość czule, prawie po ojcowsku, zalecając ostrożność i rozwagę.

Tymczasem, pod wieczór, niebo poczęło się wyjaśniać, mdłe słońce jesienne ukazało się nad Kiejdanami i zaszło za czerwone chmury, porozciągane długiemi pasmami na zachodzie.

Nic nie stawało na przeszkodzie do drogi. Kmicic popija właśnie strzemiennego z Ganchoffem, Charłampem i z kilkoma innymi oficerami, gdy o zmroku już wszedł Soroka i spytał:

— Jedziemy, panie komendancie?

— Za godzinę! — odparł Kmicic.

— Konie i ludzie gotowi, już na dziedzińcu.

Wachmistrz wyszedł, a oni poczęli się tem bardziej trącać kielichami, lubo Kmicic więcej udawał, że pije, niż pił w rzeczywistości. Nie w smak mu było wino i nie szło mu do głowy, nie rozweselało humoru, a tymczasem tamtym kurzyło się już z czupryn.

— Mości pułkowniku! — mówił Ganchoff. — Poleć mnie łasce księcia Bogusława... Wielki to kawaler, jakiego drugiego niemasz w całej Rzeczypospolitej. Jak tam przyjedziesz, to jakobyś do Francyi przyjechał. Inna mowa, inny obyczaj, a każdy dworności tam się może nauczyć snadniej jeszcze, niż na królewskim dworze.

— Pamiętam księcia Bogusława pod Beresteczkiem — rzekł Charłamp — miał jeden regiment dragonów, całkiem na francuski ład wymusztrowany, którzy pieszą i konną służbę zarówno pełnili.

Oficerowie sami byli Francuzi, prócz kilku Olendrów, a i między żołnierzami większa była część Francuzów. A wszystko franty. To tak od nich różnemi wonnościami pachniało, jakoby z apteki. W bitwie rapierami okrutnie bodli i powiadali o nich, że co który człeka przebódł, to mu mówił: Pardonnez moi! — tak politykę nawet z hultajstwem obserwowali. A książę Bogusław z chustką na szpadzie między nimi jeździł, zawsze uśmiechnięty, choćby w największym ukropie, gdyż taka jest francuska moda, aby się śmiać wśród krwi rozlewu. Twarz miał też barwiczką pomalowaną, a brwi węgielkiem wyczernione, na co krzywili się starzy żołnierze i przezywali go koczotką. I zaraz po bitwie kryzy nowe mu przynosili, żeby to był zawsze strojny, jakoby na ucztę i włosy mu żelazkami przypiekali, dziwne z nich czyniąc fircyfuszki. Ale mężny to pan i pierwszy i w największy ogień szedł. Pana Kalinowskiego też na rękę wyzwał, że mu tam coś przymówił, aż król jegomość musiał godzić.

— Niema co! — mówił Ganchoff. — Ciekawych się waść rzeczy napatrzysz i samego króla szwedzkiego oblicze będziesz widział, który jest wojownik, po naszym księciu w świecie największy.

— I pana Czarnieckiego — dodał Charłamp. — Coraz głośniej o nim mówią.

— Pan Czarniecki stoi po stronie Jana Kazimierza i przez to jest naszym nieprzyjacielem! — odrzekł surowo Ganchoff.

— Dziwne się rzeczy na świecie dzieją — rzekł w zamyśleniu Charłamp. — Gdyby tak ktoś rok temu, a dwa, powiedział, że Szwedzi tu przyjdą, tobyśmy wszyscy myśleli, że będziem ich bić, a tymczasem patrzcie waszmościowie...

— Nie my jedni, ale cała Rzeczpospolita ich z otwartemi rękami przyjęła! — rzekł Ganchofff.

— Tak jest! jako żywo! — wtrącił w zamyśleniu Kmicic.

— Prócz pana Sapiehy i pana Gosiewskiego i pana Czarnieckiego i hetmanów koronnych, — rzekł Charłamp.

— Lepiej o tem nie mówić — odpowiedział Ganchoff. — No! mości pułkowniku, wracajże nam zdrowo... promocye cię tu czekają...

— I panna Billewiczówna — dodał Charłamp.

— Waćpanu nic do panny Billewiczówny! odparł szorstko Kmicic.

— Pewnie, że nic, bom już i za stary. Ostatni raz... Czekajcie

waszmościowie... kiedyżto było?... Aha! ostatni raz w czasie elekcyi, dziś nam miłościwie panującego Jana Kazimierza...

— Waszmość od tego język odzwyczaj! — przerwał Ganchoff. — Dziś panuje nam miłościwie Karol Gustaw.

— Prawda... Consuetudo altera natura (przyzwyczajenie jest drugą naturą)... Owóż ostatni raz, w czasie elekcyi Jana Kazimierza, naszego ekskróla i w. księcia Litewskiego, okrutniem się zakochał w jednej pannie z fraucymeru księżnej Jeremiowej. Wabna to była bestyjka... Ale com jej chciał w oczy bliżej spojrzeć, to mi pan Wołodyjowski szablę podstawiał. Miałem się z nim bić, tymczasem Bohun wszedł między nas, którego Wołodyjowski jak zająca wypatroszył. Żeby nie to, tylebyście mnie waszmościowie teraz żywego widzieli. Ale wonczas gotów byłem się bić, choćby z dyabłem. Wołodyjowski zresztą, per amicitiam (z przyjaźni) się o nią tylko zastawiał, bo ona była z innym zmówiona, jeszcze gorszym zabijaką... Ej, mówię waściom, myślałem, że uschnę... Nimi było do jadła, ni do napitku... Dopiero, jak mnie książę nasz z Warszawy aż do Smoleńska posłał, tak i afekt wytrząsłem po drodze. Niemasz jak podróż na takowe zgryzoty. W pierwszej mili już mi się stało lżej, a nim do Wilna dojechałem, ani mi była w głowie i do tej pory w kawalerskim stanie wytrwałem. Ot, co! Niemasz jak droga na nieszczęśliwe afekta!

— Takżeto waść mówisz? — spytał Kmicic.

— Jako żywo! Niech tam czarni porwą wszystkie gładyszki z całej Litwy i Korony! Już mi one niepotrzebne.

— I bez pożegnania waść wyjechałeś?

— Bez pożegnania, jenom tasiemkę czerwoną za sobą rzucił, co mi jedna stara niewiasta, w rzeczach afektu bardzo doświadczona, doradziła.

— Zdrowie waszmości! — wtrącił Ganchoff, zwracając się znów do pana Andrzeja.

— Zdrowie! — odrzekł Kmicic. — Dziękuję z serca!

— Do dna! do dna! Waszmości czas na koń, a i nas też służba potrzebuje. Niech waszę mość Bóg prowadzi i odprowadzi!

— Bywajcie zdrowi!

— Tasiemkę czerwoną rzuć za siebie — rzekł Charłamp — albo na pierwszym noclegu ognisko wiadrem wody samemu zalać. Pamiętaj waść... jeśli chcesz zapomnieć!

— Ostawaj waść z Bogiem!

— Nieprędko się obaczym!

— A może gdzie na polu bitwy — dorzucił Ganchoff. — Daj Boże, obok siebie, nie przeciw sobie.

— Nie może inaczej być! — odrzekł Kmicic.

I oficerowie wyszli.

Zegar bił siódmą z wieży. Na dziedzińcu konie stukały kopytami o kamienne płyty, a przez okno widać było ludzi czekających w gotowości. Dziwny niepokój ogarnął pana Andrzeja. Powtarzał sobie: "Jadę! jadę!" Wyobraźnia przesuwała mu przed oczyma nieznane kraje i tłum nieznanych twarzy, które miał zobaczyć, a jednocześnie chwytało go także zdziwienie na myśl o tej drodze, jak gdyby przedtem nigdy o niej nie myślał.

— Trzeba siąść na koń i ruszyć, a co się zdarzy, to się zdarzy co będzie, to będzie! — myślał sobie.

Teraz jednak, gdy konie parskały już za oknem i godzina odjazdu biła, czuł, że tamto życie będzie obce, a wszystko, z czem żył, do czego się przyzwyczaił, z czem zrósł mimowoli duszą i sercem, to pozostanie w tym kraju, w tej okolicy, w tem mieście. Dawny Kmicic także zostanie tu, a tam pojedzie jakoby inny człowiek, tak obcy wszystkim, jak i wszyscy mu tam obcy. Trzeba mu tam będzie zacząć zupełnie nowe życie, a Bóg jeden raczy wiedzieć, czy stanie na to ochoty.

Pan Andrzej był znużony na duszy śmiertelnie i dlatego w tej chwili czuł się wobec tych nowych widoków i nowych ludzi bezsilnym... Pomyślał, że tu mu było źle, a przynajmniej ciężko bardzo.

Ale czas! czas! Trzeba czapkę na głowę włożyć i jechać!

Zali jednak bez pożegnania?

Można to być tak blisko, a potem tak daleko, by słowa nie rzec i odjechać? Ot, do czego doszło! Ale co jej rzec?... Czy pójść i powiedzieć: "Zepsowało się wszystko... Idź waćpanna swoją drogą, ja pójdę swoją!" Poco, poco to i mówić, gdy bez mówienia tak się stało! Toż on nie jest już jej narzeczonym, jako i ona nie jest i nie będzie jego żoną. Przepadło, zerwało się, co było i nie wróci i nie zwiąże się nanowo. Szkoda czasu, słów i nowej męki.

— Nie pójdę! — myślał Kmicic.

Lecz z drugiej strony łączy ich jeszcze wola zmarłego. Trzeba wyraźnie i bez gniewu umówić się o wieczne rozstanie i powiedzieć jej: "Waćpanna mnie nie chcesz, więc wracam ci słowo. Uważaj-

my oboje, jakoby testamentu nie było... i niech każde szuka szczęścia, gdzie może."

Lecz ona może odpowiedzieć: "Jam to już dawno waćpanu oznajmiła, czemu mi teraz to powtarzasz?"

— Nie pójdę! Niech co chce będzie! — powtórzył sobie Kmicic.

I nacisnąwszy czapkę na głowę, wyszedł ze stancyi na korytarz. Chciał wprost zejść na koń i coprędzej znaleźć się za bramą.

Nagle, na korytarzu, jakby go coś za włosy chwyciło...

Owładnęła go taka chęć widzenia jej, przemówienia do niej, że przestał rozmyślać czy iść, czy nie iść, przestał rozumować i biegł, a raczej pędził z zamkniętemi oczyma, jakby się chciał w wodę rzucić.

Przed samemi drzwiami, przed któremi warta już była zdjęta, natknął się na pacholika pana miecznika rosińskiego.

— Jest pan miecznik w stancyi? — spytał.

— Pan miecznik jest pomiędzy oficerami w cekhauzie.

— A panna?

— Panna jest.

— Ruszaj powiedzieć, że pan Kmicic wyjeżdża w długą drogę i chce pannę widzieć.

Pachołek usłuchał rozkazu, lecz nim wrócił z odpowiedzią, Kmicic pocisnął klamkę i wszedł bez pytania.

— Przychodzę waćpannę pożegnać — rzekł, — bo nie wiem, czy się w życiu jeszcze obaczym.

Nagle zwrócił się do pachołka:

— Czego tu jeszcze stoisz?

— Moja mościa panno! — mówił dalej Kmicic, gdy drzwi za sługą zamknęły się. — Chciałem jechać bez pożegnania, ale nie mogłem. Bóg raczy wiedzieć, kiedy wrócę i czy wrócę, bo i o przygodę nietrudno. Lepiej nie rozstajmy się z gniewem w sercu i urazą, aby kara boska na które z nas nie spadła. Ej! siłaby mówić, a tu język wszystkiego nie wypowie. No! szczęścia nie było, woli bożej widać nie było, a teraz choć ty człeku i łbem w mur bij, niema już rady nijakiej! Nie winujże mnie waćpanna, to i ja cię nie będę winował. Już na ów testament nie trzeba zważać, bo jako rzekłem: na nic ludzka wola przeciw boskiej. Daj ci Boże szczęście i spokojność. Grunt, żeby sobie winy odpuścić. Nie wiem, co mnie tam spotka, gdzie jadę... Ale już mi dłużej nie wysiedzieć w męce, w kłótni, w żalu... Człek się o cztery ściany w izbu

rozbija, bez rady, mościa panno, bez rady! Niemasz tu nic innego do roboty, jeno się ze zgryzotą za bary brać, jeno myśleć po całych dniach, aż głowa boli, o nieszczęsnych terminach i w końcu nic nie wymyślić... Trzeba mi tego wyjazdu, jak rybie wody, jako ptakowi powietrza, bo inaczejbym oszalał!

— Daj Boże i waćpanu szczęścia! — odrzekła panna Aleksandra.

I stała przed nim, jakoby ogłuszona wyjazdem, widokiem i słowami pana Kmicica. Na twarzy jej malowało się zmieszanie i zdziwienie i widocznem było, że walkę z sobą toczy, aby przyjść do siebie tymczasem zaś spoglądała szeroko otwartemi oczyma na młodego junaka.

— Ja do waćpana nic chowam urazy... — rzekła po chwili.

— Bodaj tego wszystkiego nie było! — odrzekł Kmicic. — Jakowyś zły duch wszedł między nas i niby morzem nas rozdzielił. Ani tej wody przepłynąć, ani jej przebrnąć... Człek nie uczynił tego, co chciał, nie szedł, gdzie zamierzył, jeno jakby go coś popychało, aż i zaszliśmy oboje na bezdroże. Ale skoro się mamy z oczu stracić, toć lepiej choć z dalekości, zakrzyknąć sobie: "Bóg prowadź!" Trzeba też waćpannie wiedzieć, że uraza i gniew to co innego, a żal co innego. Gniewum się wyzbył, ale żal we mnie siedzi — może nie do waćpanny. Bo ja sam wiem, do kogo i czego?... Myśląc, nic nie wymyślę, ale tak mi się zdaje, że lżej będzi i mnie i waćpannie, gdy się rozmówim. Waćpanna masz mnie za zdrajcę... i to mnie najgorzej kole, bo jak zbawienia duszy mojej pragnę, tak nie byłem i nie będę zdrajcą!

— Już tego nie myślę!... — rzekła Oleńka.

— Oj! jakżeto mogłaś myśleć choć godzinę... Toż mnie znalaś, że dawniej do swawoli byłem gotów: uciec, podpalić kogoś, zastrzelić, to co innego, ale zdradzić dla zysku, dla promocyi — nigdy!... Brońże mnie Boże i sądź!... Waćpanna jesteś niewiasta i nie możesz rozumieć, w czem zbawienie ojczyzny, więc ci się nie godzi potępiać ani wyroków dawać. A czemu potępiłaś?... A czemu wyrok wydałaś!... Bóg z tobą!... Wiedzże o tem, że zbawienie w księciu Radziwille a w Szwedach, a kto inaczej myśli, a zwłaszcza czyni, ten właśnie ojczyznę gubi. Ale nie czas mi dyskursować, bo czas jechać. Wiedz, żeś niesłusznie mną pogardziła, niesłusznieś na śmierć skazała... To ci mówię pod przysięgą i na wyjezdnem, a mówię dla tego, ażeby zarazem powiedzieć: odpuszczam z serca, ale zato i ty mnie odpuść!

Panna Aleksandra przyszła już zupełnie do siebie.

— Co waćpan mówisz, żem cię niesłusznie posądzała, to prawda i wina moja, którą wyznawam... i o przebaczenie proszę...

Tu głos jej zadrgał i oczy niebieskie zaszły łzami, a on począł wołać z uniesieniem:

— Odpuszczam! odpuszczam! jabym ci i śmierć moją odpuścił!...

— Niechże waćpana Bóg prowadzi i nawróci na prawdziwą drogę, abyś zszedł z tej, po której błądzisz.

— Daj już pokój! daj już pokój! — zawołał gorączkowo Kmicic — aby znów niezgoda między nami nie powstała. Błądzę, czy nie błądzę, nie mów o tem! Każdy niech wedle sumienia idzie, a Bóg intencye osądzi. Lepiej, żem tu przyszedł, żem nie wyjechał bez pożegnania. Dajże mi rękę na drogę... Tyle mojego, bo jutro już cię nie będę widział, ani pojutrze, ani za miesiąc, może nigdy... Ej, Oleńka!... i w głowie się mąci... Oleńka! Zali się my już nie obaczym...

Obfite łzy, jak perły, poczęły spadać jej z rzęs na policzki.

— Panie Andrzeju!... odstąp zdrajców!... a wszystko może być...

— Cicho!... a cicho!... — odrzekł Kmicic przerywanym głosem. — Nie może być!... Nie mogę... Lepiej nic nie mów... Bodaj mnie zabito! mniejsza byłaby męka... Dla Boga! za co nas to spotyka?!... Bądźże zdrowa!... ostatni raz... A potem niech mi tam śmierć gdzie oczy stuli... Czego płaczesz... Nie płacz, bo oszaleję!...

I w największym uniesieniu porwał ją wpół przemocą i choć się opierała, począł całować jej oczy, usta potem do nóg się rzucił nakoniec zerwał się jak szalony i chwyciwszy za czuprynę, wybiegł z komnaty, krzycząc:

— Dyabeł tu nic pomoże, nietylko czerwona nitka!...

Przez okno widziała go jeszcze Oleńka, jak na koń siadał pospiesznie, potem siedmiu jeźdźców ruszyło. Szkoci, utrzymujący straż w bramie, uczynili chrzęst bronią, prezentując muszkiety, następnie brama zawarła się za jeźdźcami i już ich nie było widać na ciemnej drodze, między drzewami.

Noc też zapadła zupełna.

## XV.

Kowno i cały kraj po lewym brzegu Wilii, oraz wszystkie drogi zajęte były przez nieprzyjaciela, więc pan Kmicic, nie mogąc na Podlasie jechać wielkim gościńcem, idącym z Kowna do Grodna, a stamtąd do Białegostoku, puścił się bocznemi drogami z Kiejdan wprost w dół, z biegiem Niewiaży, aż do Niemna, który przebywszy w pobliżu Wilków, znalazł się w województwie Trockiem.

Całą tę, niezbyt zresztą wielką część drogi, odbył spokojnie, okolica ta bowiem leżała jakoby pod ręką Radziwiłła.

Miasteczka, a gdzieniegdzie i wsie zajęte były przez nadworne chorągwie hetmańskie, lub przez małe oddziały rajtarów szwedzkich, które hetman umyślnie powysuwał tak daleko przeciw zastępom Zołtareńki, stojącym tuż za Wilią, aby do zaczepki i do wojny łatwiej znalazła się okazya.

Rad był też i Zołtareńko "pohałasować" — wedle słów hetmana, ale natomiast ci, których był pomocnikiem, nie chcieli z nim wojny, a przynajmniej pragnęli ją odłożyć do najdalszego terminu; odebrał więc Zołtareńko najsurowsze rozkazy, by za rzekę nie przechodził, a w razie, gdyby sam Radziwiłł w spółce ze Szwedami na niego ruszył, aby się cofał najprędzej.

Z tychto powodów kraj po prawej stronie Wilii był spokojny, ale że przez rzekę spoglądały na się z jednej strony straże kozackie, z drugiej szwedzkie i radziwiłłowskie, więc lada chwila jeden wystrzał z muszkietu mógł straszną wojnę rozpętać.

Pola były również puste, bo stert tego roku na nich nie stawiano. Prosty lud chronił się w niezgłębione lasy, do których zabierał i spędzał wszelki dobytek, szlachta zaś uciekała do sąsiednich Prus elektorskich, na razie całkiem od wojny zabezpieczonych. Więc jeno na drogach i puszczańskich szlakach ruch był niezwykły, bo liczbę zbiegów powiększali ci jeszcze, którzy mogli z lewego brzegu Wilii, z pod ucisku Zołtareńki się przeprawić.

Tych liczba była ogromna, a mianowicie chłopów, gdyż szlachta, która nie zdołała dotąd z lewego brzegu uskoczyć, w jasyr poszła lub gardła na progach domów oddała.

Spotykał więc pan Andrzej co chwila całe gromady chłopstwa z żonami i dziećmi, pędzące przed sobą trzody owiec, koni i bydła.

Ta część województwa trockiego, dotykająca Prus elektorskich, zamożna była i żyzna, więc lud bogaty miał co chronić i przechowywać. Zbliżająca się zima nie odstraszała zbiegów, którzy woleli czekać na lepsze dni wśród mchów leśnych, w szałasach, przykrytych śniegami, niż we wsiach rodzinnych wyglądać śmierci z rąk nieprzyjaciela.

Kmicic częstokroć zbliżał się do uciekających gromad lub do ognisk, nocami w gąszczach leśnych błyszczących. Wszędy, gdzie tylko trafił na ludzi z lewego brzegu Wilii, z pod Kowna, albo z dalszych jeszcze okolic, słyszał straszne opowiadania o okrucieństwach Zołtareńki i jego sprzymierzonych, którzy wycinali nawet drzewa w sadach, ziemię i wodę tylko zostawując. Nigdy zagony tatarskie nie zostawiły za sobą takich spustoszeń.

Nie samą śmierć tylko zadawano mieszkańcom, bo wprzód mękami najwymyślniejszemi ich morzono. Wielu z tych ludzi uciekało w obłąkaniu umysłowem. Ci nocami napełniali głębie leśne strasznymi krzykami; inni, choć już przeszli na tę stronę Niemna i Wilii, choć już lasy i gąszcza i bagna przedzieliły ich od watach Zołtareńki, byli ciągle jakby w gorączce i oczekiwaniu napadu. Wielu wyciągało ręce do Kmicica i orszańskich jeźdźców, błagając o ratunek i miłosierdzie, jak gdyby nieprzyjaciel stał tuż nad nimi.

Uciekały ku Prusom i kolaski szlacheckie, wiozące starców, niewiasty i dzieci; za niemi ciągnęły wozy ze służbą, dostatkami, zapasami żywności, dobytkiem i rzeczami. Wszystko w popłochu, przestrachu i żałości, że na tułaczkę idzie.

Pan Andrzej pocieszał czasem tych nieszczęśliwych, mówiąc im, że rychło już Szwedzi rzekę przejdą i tamtego nieprzyjaciela het, daleko, wyżeną. Wówczas zbiegowie wyciągali ręce ku niebu i mówili:

— Daj Bóg zdrowie, daj Bóg szczęście księciu wojewodzie za to, że polityczny naród na naszą obronę sprowadził. Gdy Szwedzi wejdą, wrócim do domów, do pogorzelisk naszych.

I błogosławiono księcia powszechnie. Z ust do ust podawano sobie wiadomość, że lada chwila przejdzie Wilię na czele własnych i szwedzkich wojsk. Zgóry wychwalano "skromność" szwedzką, karność i dobre obchodzenie się z mieszkańcami. Radziwiłła zwano Giedeonem litewskim, Samsonem, zbawcą. Ci ludzie z

okolic, dymiących świeżo krwią i pożarem, wyglądali go, jak zbawienia.

A Kmicic, słysząc te błogosławieństwa, życzenia, te niemal modły, umacniał się w wierze względem Radziwiłła i powtarzał sobie w duszy:

— Takiemuto panu służę! Zamknę oczy i pójdę ślepo za jego fortuną. Straszny on czasem i niezbadany, ale większy ma rozum od innych, lepiej wie, czego trzeba i w nim jednym zbawienie.

Lżej mu się zrobiło i pogodniej w sercu na tę myśl, więc jechał dalej z większą otuchą w sercu, rozdzielając duszę między tęsknotę po Kiejdanach, a rozmyślania o nieszczęsnym stanie ojczyzny.

Tęsknota wzmagała się coraz bardziej. Czerwonej tasiemki za siebie nie rzucił, pierwszego ogniska wiadrem wody nie zalał, bo raz czuł, że to na nic, powtóre nie chciał.

— Ej, żeby ona tu była, żeby te płakania i ludzkie jęki słyszała, nie prosiłaby Boga, by mnie nawrócił, nie mówiłaby mi, że błądzę, jak owi heretycy, którzy prawdziwą wiarę porzucili. Ale nic to! Prędzej, później ona się przekona, pozna że jej to rozum szwankował... A wtedy będzie, co Bóg da. Może się jeszcze w życiu spotkamy.

I tęsknota wzmagała się w młodym kawalerze, ale zarazem przekonanie, że po prawdziwej, nie błędnej drodze stąpa, dało mu spokój, oddawna nieznany. Targanina myśli, zgryzoty, wątpliwości, opuszczały go zwolna i jechał przed siebie, zanurzał się w bezbrzezne lasy prawie wesoło. Od czasu jak po sławnych z Chowańskim gonitwach do Lubicza przyjechał, nie czuł, aby mu tak raźno było na świecie.

W tem wąsaty Charłamp miał słuszność, że niemasz jak droga na duszne troski i niepokoje. Zdrowie miał pan Andrzej żelazne, a fantazya wracała mu z każdą chwilą i chęć przygód. Widział je przed sobą i uśmiechał się do nich gnał i konwój bez wytchnienia, ledwie się na krótkie noclegi zatrzymując.

Przed oczyma duszy stała mu ustawicznie Oleńka, spłakana, drżąca w jego ramionach jak ptak i mówił sobie: wrócę.

Czasem przesuwała się przed nim postać hetmana, posępna, ogromna, groźna. Ale może właśnie dlatego, że się od niej oddalał coraz bardziej, ta postać stawała mu się prawie drogą. Dotychczas uginał się przed Radziwiłłem, teraz zaczynał go kochać. Dotychczas Radziwiłł porywał go, jak potężny wir wodny porywa i

przeciąga wszystko, co się w jego kolisko dostanie; teraz Kmicic czuł, że chce płynąć z nim razem z całej duszy.

I z odległości rósł ten olbrzymi wojewoda coraz bardziej w oczach młodego rycerza i prawie nadludzkie przybierał rozmiary. Nieraz na noclegu, gdy pan Andrzej zamykał do snu oczy, widział hetmana, siedzącego na tronie, wyższym nad szczyty sosen. Korona na głowie jego, twarz ta sama, posępna, ogromna, w rękach miecz i berło, a pod stopami cała Rzeczpospolita.

I bił czołem w duszy przed wielkością.

Trzeciego dnia podróży zostawili za sobą daleko Niemen i weszli w kraj jeszcze lesistszy. Zbiegów na drogach napotykali ciągle całe gromady, a szlachta, która nie mogła oręża dźwigać, uchodziła prawie bez wyjątku do Prus przed podjazdami nieprzyjacielskiemi, które nieutrzymywane tutaj na wodzy, jak nad brzegami Wilii przez szwedzkie i radziwiłłowskie pułki, zapuszczały się czasem daleko w głąb kraju, aż pod samę granicę Prus elektorskich. Łupież bywała ich głównym celem.

Nieraz były też to watahy, niby do wojsk Zołtarenki należące, a w rzeczy nieuznające nad sobą niczyjej buławy — poprostu oddziały zbójeckie, tak zwane "partye," nad któremi czasem i miejscowi opryszkowie mieli komendę. Te, unikając spotkania w polu z wojskiem, a nawet z pachołkami miejskimi, napadały pomniejsze wsie, dwory i podróżników.

Gromiła ich szlachta na własną rękę ze swymi dworskimi ludźmi i ubierała nimi sosny przydrożne, jednakże łatwo było w lasach natknąć się na spore oddziały i dlatego musiał pan Andrzej zachowywać teraz nadzwyczajną ostrożność.

Lecz nieco dalej, w Pilwiszkach nad Szeszupą, zastał już pan Kmicic ludność spokojnie na miejscu siedząc. Mieszczanie opowiedzieli mu jednak, że nie dawniej, jak parę dni temu, napadł na starostwo potężny oddział Zołtarenki, do pięciuset ludzi liczący, który byłby wedle zwyczaju w pień wyciął ludzi, a miasto puścił z dymem, gdyby nie niespodziewana pomoc, która jakoby z nieba im spadła.

— Boguśmy się już polecali — mówił dzierżawca zajazdu, u którego pan Andrzej kwaterą stanął, — gdy wtem Święci Pańscy zesłali jakowąś chorągiew. Myśleliśmy zrazu, że nowy nieprzyjaciel,

a to byli swoi. Skoczyli tedy wraz na zołtareńkowych hultajów i w godzinę mostem ich położyli, ile że i z naszej strony pomoc była.

— Cóżto była za chorągiew? — pytał pan Andrzej.

— Niech im Bóg da zdrowie!... Nie opowiadali się co za jedni, my też nie śmieli pytać. Popaśli konie, wzięli co było siana i chlebów i pojechali.

— Ale skąd przyszli i dokąd poszli?

— Przyszli od Kozłowej Rudy, a poszli na południe. My też, cośmy już wprzód chcieli w lasy uciekać, tośmy, rozmyśliwszy się, zostali, bo nam pan podstarości powiedział, że po takiej nauce nieprędko nieprzyjaciel do nas zajrzy.

Kmicica mocno zainteresowała wiadomość o owej bitwie, więc pytał dalej:

— I nie wiecie, kto tej chorągwi pułkownikuje?

— Nie wiemy, aleśmy pułkownika widzieli, bo na rynku z nami rozmawiał. Młody on i misterny, jako igła. Nie wygląda na takiego wojownika, jakim jest...

— Wołodyjowski! — zakrzyknął pan Kmicic.

— Czy on Wołodyjowski, czy nie, niech mu się ręce święcą, niechaj mu Bóg hetmanem pozwoli zostać!

Pan Andrzej zadumał się głęboko. Widocznie szedł tą samą drogą, którą kilka dni temu przeciągnął pan Wołodyjowski z laudańskimi ludźmi. Jakoż było to naturalne, bo obaj zdążali na Podlasie. Ale panu Andrzejowi przyszło na myśl, że przyśpieszając podróż, łatwo mógł natknąć się na małego rycerza i wpaść w jego ręce, a w takim razie wszystkie listy radziwiłłowskie dostałyby się z nim razem w moc konfederatów. Wypadek podobny mógł zwichnąć całą jego misyę i Bóg wie jakie szkody przynieść radziwiłłowskiej sprawie. Z tego powodu postanowił pan Andrzej pozostać parę dni w Pilwiszkach, aby laudańska chorągiew miała czas odjechać jaknajdalej.

Ludzie też i konie, idące jednym niemal tchem z Kiejdan (bo małe tylko popasy czynili dotąd przez drogę), potrzebowali odpoczynku, więc pan Andrzej kazał żołnierzom zdjąć juki z koni i rozstasować się w karczmie na dobre.

Na drugi dzień przekonał się, że uczynił nietylko roztropnie, ale i mądrze, albowiem zaledwie rano zdołał szaty przywdziać, gdy oberżysta stanął przed nim.

— Nowinę przynoszę waszej miłości — rzekł.

— A dobrą?

— Ni złą, ni dobrą, jeno, że mamy gości. Okrutny dwór zajechał tu dziś rano i stanął w starościńskim domu. Jest regiment piechoty, a co jazdy, karet, co służby!... Ludzie myśleli, że to sam król przyjechał.

— Jaki król?

Karczmarz począł obracać czapkę w ręku.

— Prawda, że to mamy teraz dwóch królów, ale nie żaden z nich przyjechał, jeno książę koniuszy.

Kmicic zerwał się na równe nogi.

— Co za książę koniuszy? książę Bogusław?...

— Tak jest, wasza miłość. Brat stryjeczny księcia wojewody wileńskiego.

Pan Andrzej aż w ręce klasnął ze zdziwienia.

— Oto się spotykamy!

Karczmarz zrozumiawszy, że jego gość jest znajomym księcia Bogusława, skłonił się niżej niż poprzedniego dnia i wyszedł z izby, a Kmicic począł ubierać się pośpiesznie i w godzinę później był już przed domem starościńskim.

W całem miasteczku roiło się od żołnierzy. Piechota ustawiała w kozły muszkiety na rynku; jazda pozsiadała już z koni i zajęła domostwa poboczne. Żołnierze i dworzanie w najrozmaitszych ubiorach, stali przed domami lub przechadzali się po ulicach. Z ust oficerów słychać było rozmowę francuską i niemiecką. Nigdzie polskiego żołnierza, nigdzie polskiego moderunku, muszkietnicy i dragonia przybrani byli dziwacznie, inaczej nawet od cudzoziemskich chorągwi, które pan Andrzej w Kiejdanach widywał, bo nie na niemiecki, ale na francuski ład. Żołnierz jednak piękny i tak okazały, że każdego szeregowca za oficera można było poczytać, zachwycał oczy pana Andrzeja. Oficerowie spoglądali też na niego z ciekawością, bo wystroił się odświętnie w aksamity i złotogłów, a sześciu ludzi przybranych w nową barwę szło dla asystencyi za nim.

Na podwórzu starościńskiego dworu kręcili się dworzanie, wszyscy postrojeni na francuski sposób: więc paziowie w berecikach z piórami, rękodajni w aksamitnych kaftanach, masztalerze w szwedzkich, wysokich butach z kolistemi cholewami.

Widocznie książę nie miał zamiaru zatrzymywać się dłużej w Pilwiszkach i wstąpił tylko na popas, gdyż karet nie zataczano do wozowni, a konie karmili masztalerze na poczekaniu z blaszanych sit, które trzymali w ręku.

Kmicic oznajmił się oficerowi, trzymającemu straż przed domem, kto jest i z czem jedzie, ten zaś poszedł zdać sprawę księciu. Po chwili wrócił pośpiesznie z zawiadomieniem, iż książę pilno chce widzieć wysłannika hetmańskiego i wskazując Kmicicowi drogę, wszedł wraz z nim do domu.

Przeszedłszy sień, w pierwszej izbie stołowej zastali kilku dworzan, siedzących z powyciąganemi nogami na krzesłach i drzemiących smaczno, bo widać wczesnym rankiem musieli z ostatniego popasu wyjechać. Przed drzwiami następnej komnaty oficer zatrzymał się i skłoniwszy się panu Andrzejowi, rzekł po niemiecku:

— Tam jest książę.

Pan Andrzej wszedł i zatrzymał się w progu. Książę siedział przed lustrem, ustawionem w rogu komnaty i tak uważnie wpatrywał się w twarz swoją, świeżo widocznie powleczoną różem i bielidłem, że nie zwrócił uwagi na wchodzącego. Dwóch pokojowych, klęcząc przed nim, dopinało mu sprzączki na przegubach nóg u wysokich podróżnych butów, on zaś rozczesywał zwolna palcami bujną, równo uciętą nad czołem grzywkę jasnozłotej peruki lub też może własnych, obfitych włosów.

Był to młody jeszcze człowiek, lat trzydziestu pięciu, a wyglądający najwyżej na dwadzieścia pięć. Kmicic znał go, ale zawsze spoglądał nań z ciekawością, raz dla wielkiej sławy rycerskiej, jaka otaczała księcia Bogusława, a jaką zjednały mu głównie pojedynki z rozmaitymi zagranicznymi magnatami odbyte, powtóre dla jego szczególnej postawy, którą gdy raz kto ujrzał, na zawsze musiał zapamiętać. Książę bowiem wysoki był i silnie zbudowany, ale nad szerokiemi jego ramionami wznosiła się głowa tak mała, jak gdyby z innego człowieka zdjęta. Twarz miał również niezwykle drobną, prawie młodzieńczą, ale i w niej nie było proporcyi, nos miał bowiem duży rzymski i ogromne oczy, niewypowiedzianej piękności i blasku, z orlą prawie śmiałością spojrzenia. Wobec tych oczu i nosa, reszta twarzy, okolonej w dodatku długiemi obfitemi puklami włosów, nikła prawie zupełnie; usta miał niemal dziecinne, nad niemi mały wąsik, ledwie pokrywający górną wargę.

Delikatność cery, podniesiona różem i bielidłem, czyniła go podobnym do panny, a jednocześnie zuchwałość, duma i pewność siebie, malująca się w obliczu, nie pozwalały zapominać, iż jestto ów słynny chercheur de noises (poszukiwacz zaczepek), jak go przezywano na dworze francuskim, człowiek, u którego ostre słowo łatwo wychodziło z ust, ale szpada jeszcze łatwiej z pochwy.

W Niemczech, w Holandyi i we Francyi opowiadano dziwy o jego czynach wojennych, kłótniach, zajściach i pojedynkach. On to w Holandyi rzucał się w największy war bitwy, między niezrównane pułki piechoty hiszpańskiej i własną książęcą ręką zdobywa chorągwie i działa; on na czele regimentów księcia Oranii zdobywał bateryę, przez starych wodzów uznane za niepodobne do zdobycia; on nad Renem, na czele muszkieterów francuskich, rozbijał ciężkie chorągwie niemieckie, w trzydziestoletniej wojnie wyćwiczone; on ranił w pojedynku, we Francyi, najsłynniejszego między kawalerami francuskiemi fechmistrza, księcia de Fremouille; drugi słynny zabijak, baron von Goetz, prosił go na klęczkach o darowanie życia; on ranił barona Grota, za co musiał od brata Janusza słuchać gorzkich wymówek, iż pospolituje godność swą książęcą, stawając do walki z nierównego stanu ludźmi; on wreszcie, wobec całego dworu francuskiego, na balu w Luwrze, uderzył w twarz margrabiego de Rieux za to, iż mu "szpetnie" przymówił.

Pojedynki, odbywane incognito po mniejszych miastach, oberżach i zajazdach, nie wchodziły oczywiście w rachubę.

Była to mieszanina zniewieściałości i nieokiełznanej odwagi. W czasie odwiedzin rzadkich i krótkich ojczystego kraju, zabawiał się zatargami z rodziną Sapiehów i łowami. Ale wówczas leśniczowie musieli mu wyszukiwać niedźwiedzice z małemi, jako bardziej niebezpieczne i zaciekłe, na które szedł zbrojny tylko oszczepem. Zresztą nudził się w kraju i, jako się rzekło, zjeżdżał niechętnie, najczęściej czasu wojny; wielkiem zwycięstwem odznaczył się pod Beresteczkiem, Mohyłowem, Smoleńskiem. Wojna była jego żywiołem, chociaż umysł bystry i giętki zarówno się do intryg i do dyplomatycznych wybiegów nadawał.

W tych umiał być cierpliwy i wytrwały, daleko wytrwalszy, aniżeli w "amorach," których długi szereg dopełniał historyi jego życia. Książę, na dworach, na których przebywał, był postra-

chem mężów, mających piękne żony. Zapewne dlatego sam nie był żonaty, chociaż zarówno wysokie urodzenie, jak nieprzebrana niemal fortuna, czyniły z niego jednę z najbardziej pożądanych partyj w Europie. Swatali go sami królestwo francuscy. Marya Ludwika polska, książę Oranii i wuj elektor Brandeburski, ale on wołał dotąd swoją swobodę.

— Wiana nie potrzebuję — mawiał cynicznie, — a innych uciech i tak mi nie brak.

W ten sposób doszedł trzydziestu pięciu lat wieku.

Kmicic, stojąc w progu, przypatrywał się tedy z ciekawością jego twarzy, którą odbijało zwierciadło, a on rozczesywał w zamyśleniu włosy grzywki nad czołem, nakoniec gdy pan Andrzej chrząknął raz i drugi, rzekł, nie odwracając głowy:

— A kto tam? Czy nie posłaniec od księcia wojewody?

— Nie posłaniec, ale od księcia wojewody! — odrzekł pan Andrzej.

Wówczas książę odwrócił głowę, a spostrzegłszy świetnego młodzieńca, poznał, że nie ze zwykłym sługą ma do czynienia.

— Wybacz waćpan, panie kawalerze — rzekł uprzejmie, — bo widzę, żem się co do szarży osoby omylił. Ale wszakże twarz waćpana mi znana, choć sobie nazwiska nie mogę przypomnieć. Waść jesteś dworzaninem księcia hetmana?

— Nazywam się Kmicic — odpowiedział pan Andrzej, — a dworzaninem nie jestem, jeno pułkownikiem, od czasu, jakem księciu hetmanowi własną chorągiew przyprowadził.

— Kmicic! — zawołał książę — ten sam Kmicic, sławny z ostatniej wojny, który Chowańskiego podchodził, a później na własną rękę niezgorzej sobie radził?... Toż ja siła o waćpanu słyszałem!

To rzekłszy, książę począł uważniej i z pewnem upodobaniem spoglądać na pana Andrzeja, bo z tego, co o nim słyszał, miał go za człeka własnego pokroju.

— Siadaj, panie kawalerze — rzekł. — Rad cię bliżej poznam. A co tam słychać w Kiejdanach?

— Oto jest list księcia hetmana — odrzekł Kmicic.

Pokojowi, skończywszy zapinać książęce buty, wyszli, a książę złamał pieczęć i począł czytać. Po chwili na twarzy jego odbiła się nuda i zniechęcenie. Rzucił list pod lustro i rzekł:

— Nic nowego! Radzi mi książę wojewoda, abym się do Prus;

do Tylcy albo do Taurogów przeniósł, co, jak waść widzisz, czynię właśnie. Ma foi (doprawdy)! nie rozumiem pana brata... Donosi mi, że elektor w margrabstwie i że się do Prus przez Szwedów przebrać nie może, a pisze jednocześnie, że aż mu włosy na głowie powstają, iż się z nim do succursu, ani do receptu nie znoszę. A jakże to ja mam czynić? Jeżeli się kurfist przez Szwedów nie może przebrać, to jakże się mój posłaniec przebierze? Na Podlasiu siedziałem, bom nie miał nic innego do roboty. Powiem ci, mój kawalerze, żem się nudził, jak dyabeł na pokucie. Niedźwiedzie, co były blisko Tykocina, wykłółem; białogłowy tamtejsze kożuchami cuchną, którego zapachu nozdrza moje znieść nie mogą... Ale!... Rozumieszże ty, panie kawalerze, po francusku albo po niemiecku?

— Rozumiem po niemiecku — rzekł Kmicic.

— To chwała Bogu!... Będę mówił po niemiecku, bo mi od waszej mowy wargi pierzchną.

To rzekłszy książę wysunął dolną wargę i począł dotykać jej zlekka palcami, jakby chcąc przekonać się, czy nie opierzchła lub nie popękała, następnie spojrzał w lustro i mówił dalej:

— Doszły mnie posłuchy, że koło Łukowa jakiś szlachcic Skrzetuski ma żonę cudnej urody. Daleko to!... Ale jednak posłałem ludzi, żeby mi ją porwali i przywieźli... Tymczasem, czy uwierzysz, panie Kmicic, nie znaleziono jej w domu!

— Szczęście to — rzekł pan Andrzej — bo to żona zacnego kawalera, sławnego Zbarażczyka, który ze Zbaraża przez całą potęgę Chmielnickiego się przedarł.

— Męża oblegano w Zbarażu, a jabym żonę oblęgał w Tykocinie. Czy myślisz waćpan, żeby się tak samo zacięcie broniła?

— W. ks. mość rady wojennej nie potrzebowałbyś przy takiem oblężeniu, niechże się i bez mojej opinii obejdzie! — odrzekł szorstko pan Andrzej.

— Prawda! szkoda o tem mówić — odrzekł książę. — Wracam do sprawy: czy waćpan masz jeszcze jakie listy?

— Do w. ks. mości co miałem, to oddałem, a oprócz tego mam do króla szwedzkiego. Czy w. ks. mości nie wiadomo gdzie go mam szukać?

— Nic nie wiem. Co ja mam wiedzieć? W Tykocinie go niema, mogę ci za to zaręczyć, bo gdyby tam raz zajrzał, toby się panowania nad całą Rzecząpospolitą wyrzekł. Warszawa już w rękach

szwedzkich, jakto wam pisałem, ale tam też jego królewskiej mości nie znajdziesz. Musi być pod Krakowem, albo w samym Krakowie, jeśli się dotąd do Prus królewskich nie wybrał. W Warszawie dowiesz się o wszystkiem. Wedle mojego zdania, musi Karol Gustaw o miastach pruskich pomyśleć, bo ich za sobą nie może zostawić. Ktoby się spodziewał, że gdy cała Rzeczpospolita odstępuje pana, gdy wszystka szlachta łączy się ze Szwedem, gdy województwa poddają się jedne za drugiemi —wówczas właśnie miasta pruskie, Niemcy i protestanci, nie chcą o Szwedach słyszeć i do oporu się gotują. Oni chcą wytrwać, oni Rzeczpospolitą ratować i Jana Kazimierza utrzymać! Zaczynając tę robotę, myśleliśmy, że będzie inaczej, że właśnie przedewszystkiem oni pomogą nam i Szwedom do pokrajania tego bochenka, który waszą Rzeczą pospolitą nazywacie. A tu ani rusz! Całe szczęście, że książę elektor ma tam na nich oko. Ofiarował już im pomoc przeciw Szwedom, ale Gdańszczanie mu nie ufają i mówią, że sami dość siły mają...

— Wiemy już o tem w Kiejdanach — rzekł Kmicic.

— Jeżeli nie mają dość sił, to w każdym razie mają dobry węch, — mówił dalej, śmiejąc się, książę — bo wujowi elektorowi tyle, mniemam, chodzi o Rzeczpospolitą, ile i mnie, albo księciu wojewodzie wileńskiemu.

— Wasza książęca mość pozwoli, że zaneguję — rzekł porywczo Kmicic. — Księciu wojewodzie wileńskiemu tylko o Rzeczpospolitą chodzi, dla której w każdej chwili gotów wydać ostatnie tchnienie i ostatnią krew wylać.

Książę Bogusław począł się śmiać.

— Młody jesteś, kawalerze, młody! Ale mniejsza z tem! Owóż wujowi elektorowi chodzi o to, by mógł Prusy królewskie zacapić i dlatego tylko ofiaruje im swą pomoc. Gdy je raz będzie miał w ręku, gdy do miast swoje załogi powprowadza, gotów nazajutrz zgodzić się że Szwedami, ba, nawet z Turczynem i z dyabłami. Niechby mu jeszcze Szwedzi kawał Wielkopolski dodali, gotów im pomagać ze wszystkich sił do zabrania reszty. Wtem tylko bieda, że i Szwedzi ostrzą zęby na Prusy i stąd dyfidencya pomiędzy nimi i elektorem.

— Ze zdumieniem słucham słów w. ks. mości! — rzekł Kmicic.

— Dyabli mnie brali na Podlasiu, — odpowiedział książę — że musiałem tyle czasu bezczynnie siedzieć... Ale cóż miałem robić?

Stanął układ między mną a księciem wojewodą, że póki w Prusach rzeczy się nie wyklarują, ja nie przejdę otwarcie na stronę szwedzką. I to szłuszna, bo w ten sposób furtka zostanie otwarta. Posłałem nawet sekretnych gońców do Jana Kazimierza, oznajmując, że gotówem zwołać pospolite ruszenie na Podlasiu, byle mi manifest przysłano. Król, jak król, dałby się może wywieść w pole, ale królowa widocznie mi nie ufa i musiała odradzić. Żeby nie baby, to dziś stałbym na czele wszystkiej szlachty podlaskiej, a co większa, konfederaci owi, którzy teraz pustoszą dobra księcia Janusza, nie mieliby innej rady, jak pójść pod moją komendę. Głosiłbym się stronnikiem Jana Kazimierza, a w rzeczy, mając w ręku siłę, targowałbym się ze Szwedami. Ale ta baba wie, jak trawa rośnie i najtajniejszą myśl odgadnie. Król to prawdziwy, nie królowa! Więcej ona ma dowcipu w jednym palcu, niż Jan Kazimierz w całej głowie.

— Książę wojewoda... — zaczął Kmicic.

— Książę wojewoda — przerwał z niecierpliwością Bogusław — wiecznie spóźnia się ze swemi radami; pisze mi w każdym liście: "zrób to a to" z ja właśnie już to dawno zrobiłem. Książę wojewoda głowę prócz tego traci... Bo, słuchaj kawalerze, czego jeszcze ode mnie wymaga...

Tu książę chwycił list i począł czytać głośno:

"Sam WXMć w drodze bądź ostrożnym, a o tych frantach konfederackich, którzy się przeciw mnie zbuntowali i na Podlasiu grasują, dla Boga, pomyśl WXMć, żeby ich rozproszyć, żeby do króla nie szli. Gotują się na Zabłudów, a tam piwa mocne; jak się popiją, żeby ich wyrznęli, każdy gospodarz swego. Bo nie godzi się nic lepszego; ale capita (przywódców) uprzątnąwszy, poszłoby to w rozdrób."

Tu Bogusław rzucił z niechęcią list na stół.

— Słuchajże, panie Kmicic — rzekł,—więc ja mam razem wyjeżdżać do Prus i razem urządzać rzeź w Zabłudowie? Razem udawać jeszcze stronnika Jana Kazimierze i patryotę i razem wycinać tych ludzi, którzy króla i ojczyzny nie chcą zdradzić? Jestże to sens? Zali to się jedno drugiego drugiego trzyma? Ma foi! książę hetman głowę traci. Toć ja i teraz właśnie spotkałem, ot, idąc tu do Pilwiszek, po drodze, całą jakąś zbuntowaną chorągiew, walącą na Podlasie. Byłbym im chętnie po brzuchach przejechał, choćby dlatego, ażeby mieć uciechę; ale póki nie jestem otwartym

szwedzkim partyzantem, póki wuj elektor rzekomie jeszcze z miastami pruskimi, a zatem z Janem Kazimierzem trzyma, nie mogę sobie takich uciech pozwalać, dalibóg, nie mogę... Co mogłem najwięcej zrobić, to politykować z tymi buntownikami, jak i oni ze mną politykowali, podejrzewając mnie wprawdzie o praktyki z hetmanem, ale nie mając czarno na białem.

Tu książę rozparł się wygodnie w fotelu, wyciągnął nogi i założywszy niedbale ręce pod głowę, począł powtarzać:

— Ej, galimatias (nieład) w tej waszej Rzeczypospolitej, galimatias!... W świecie niczego podobnego niemasz!...

Poczem umilkł na chwilę; widocznie jakaś myśl przyszła mu do głowy, bo się uderzył w perukę i spytał:

— A waćpan nie będziesz na Podlasiu?

— Jakże! — rzekł Kmicic. — Muszę tam być, bo mam list z instrukcyami do Harasimowicza, podstarościego w Zabłudowie.

— Na Boga! — rzekł książę. — Harasimowicz tu jest ze mną. Jedzie z rzeczami hetmańskiemi do Prus, bo tam baliśmy się, żeby nie wpadły w ręce konfederackie. Czekaj waść, każę go zawołać.

Tu książę zakrzyknął na pokojowca i kazał mu wołać podstarościego, sam zaś rzekł:

— A to się dobrze składa! Oszczędzisz sobie waćpan drogi... Chociaż... może i szkoda, że na Podlasie nie pojedziesz, bo tam między głowami konfederatów jest i twój imiennik... Mógłbyś go skaptować.

— Nie miałbym na to czasu — rzekł Kmicic, — gdyż mi do króla szwedzkiego i do pana Lubomirskiego bardzo pilno.

— A, to masz listy i do pana marszałka koronnego? Ej, odgaduję o co chodzi... Niegdyś pan marszałek myślał swatać synalka z córką Janusza... Czyby teraz hetman nie chciał delikatnie odnowić rokowań?...

— O to właśnie idzie.

— Dzieci to oboje zupełne...Hm! delikatna to misya, bo hetmanowi nie wypada pierwszemu się wpraszać. Przytem...

Tu książę zmarszczył brwi.

— Przytem nie będzie z tego nic... Nie dla Herakliusza córka księcia hetmana. Ja ci to mówię! Książę hetman powinien to rozumieć, że jego fortuna musi zostawać w ręku Radziwiłłów.

Kmicic spoglądał ze zdziwieniem na księcia, który chodził coraz

śpieszniejszym krokiem po izbie. Nagle zatrzymał się przed panem Andrzejem i rzekł:

— Daj mi parol kawalerski, że odpowiesz prawdę na moje pytanie.

— Mości książę — rzekł Kmicic, — łżą ci tylko, którzy się boją, a ja się nikogo nie boję.

— Czy książę wojewoda kazał zachować sekret przede mną rokowaniach z Lubomirskim?

— Gdybym miał taki rozkaz, tobym o panu Lubomirskim wcale nie był wspominał.

— Mogło ci się wymknąć. Daj parol!

— Daję — rzekł Kmicic, marszcząc brwi.

— Ciężar mi zdjąłeś z serca, bo myślałem, że książę wojewoda i ze mną podwójną grę prowadzi.

— Nie rozumiem w. ks. mości.

— Nie chciałem żenić się we Francyi z Rahanówną, nie licząc z pół kopy innych księżniczek, które mi swatano... Czy wiesz dlaczego?

— Nie wiem.

— Bo jest układ pomiędzy mną a księciem wojewodą, że jego dziewka i jego fortuna dla mnie rosną. Jako wierny sługa Radziwiłłów, możesz wiedzieć o wszystkiem.

— Dziękuję za ufność... Ale w. ks. mość mylisz się... Nie jestem sługą Radziwiłłów.

Bogusław otworzył szeroko oczy.

— Kimże ty jesteś?

— Hetmańskim, nie dworskim jestem pułkownikiem, a w dodatku księcia wojewody krewnym.

— Krewnym?

— Bom z Kiszkami spowinowacony, a hetman rodzi się z Kiszczanki.

— Książę Bogusław popatrzył przez chwilę na Kmicica, na którego twarz wystąpiły lekkie rumieńce. Nagle wyciągnął rękę i rzekł:

— Przepraszam cię, kuzynie, i winszuję paranteli...

Ostatnie słowa były powiedziane z jakąś niedbałą, a lubo wytworną grzecznością, w której jednak było coś wprost dla pana Andrzeja bolesnego. Policzki jego zarumieniły się jeszcze bardziej

i już otwierał usta, aby coś żywo powiedzieć, gdy drzwi otworzyły się i gubernator Harasimowicz ukazał się w progu.

— Jest list do waści — rzekł książę Bogusław.

Harasimowicz skłonił się księciu, a następnie panu Andrzejowi, który podał list książęcy.

— Czytaj waść! — rzekł książę Bogusław.

Harasimowicz począł czytać:

"Panie Harasimowicz! Teraz czas pokazać życzliwość dobrego sługi ku Panu. Cokolwiek pieniędzy zebrać możecie i wy w Zabłudowie i pan Przyński w Orlu..."

— Pana Przyńskiego konfederaci usiekli w Orlu — przerwał, książę, — dlatego pana Harasimowicz daje drapaka...

Podstarości skłonił się i czytał dalej:

"...i pan Przyński w Orlu, choć publicznych podatków, choć czynszów, arend..."

— Już je konfederaci wybrali — przerwał znów książę Bogusław.

"...przesyłajcie mi jak najprędzej (czytał dalej Harasimowicz). Możecieli i wsie jakie sąsiadom lub mieszczanom zastawić, biorąc pieniądzy co najwięcej na nie; i gdziekolwiek się jeno sposób poda, na dostanie onych, starajcie się i do mnie odsyłajcie. Konie i rzeczy wszystkie, cokolwiek tam jest, ba! i w Orlu lichtarz wielki i co inszego, obrazy i ochędóstwa, a najbardziej działa owe, co w ganku stoją, przy księciu imci panu bracie, wyślijcie, bo alias rozbojów bać się trzeba..."

— Znowu spóźniona rada. bo działa już idą ze mną! — rzekł książę.

"...Jeśliby z łożami ciężko było, to same tylko działa bez łożów i to okryć, żeby nie wiedziano, co wiozą. A te rzeczy do Prus jak najprędzej wymknąć, strzegąc się najbardziej tych zdrajców, co w wojsku mojem bunt podniósłszy, starostwa moje tłoczą..."

— Oj! co tłoczą, to tłoczą! Wycisną je na twaróg! — przerwał znów książę.

"...starostwa moje tłoczą i na Zabłudów się gotują, idąc snadź do króla. Z którymi bić się trudno, bo przecie gromada, ale albo ich wpuściwszy, pięknie popoić, a w nocy śpiących wyrznąć (każdy gospodarz uczynić to może), albo ich w piwach mocnych potruć, albo, o co tam nie trudno, swawolną także kupą na nich zemknąć, coby się na nich obłowili..."

— Oo, nic nowego! — rzekł książę Bogusław. — Możesz, panie Harasimowicz, jechać dalej ze mną...

— Jest jeszcze suplement — odrzekł podstarości.

I począł czytać dalej:

"...Win, jeśli nie można wywieźć (bo tu już u nas nigdzie ich nie dostanie), tedy w skok za gotowe posprzedawać..."

Tu pan Harasimowicz sam przerwał i chwycił się za głowę.

— Dla Boga! wina idą pół dnia drogi za nami i pewno wpadły w ręce tej chorągwi zbuntowanej, która koło nas przechodziła. Będzie szkody na jakie tysiąc czerwonych złotych. Niech w. ks. mość świadczy za mną, że sama mi kazała czekać, aż beczki na wozy wpakują.

Strach pana Harasimowicza byłby jeszcze większy, gdyby pan Harasimowicz znał pana Zagłobę i gdyby wiedział, że się właśnie w owej chorągwi znajduje. Tymczasem jednak książę Bogusław roześmiał się i rzekł:

— Niech im będzie na zdrowie! Czytaj dalej!

"...jeśli się zaś kupiec nie znajdzie..."

Książę Bogusław wziął się aż pod boki ze śmiechu:

— Już się znalazł — rzekł — jeno trza mu będzie borgować.

"...jeśli się kupiec nie znajdzie (czytał żałosnym głosem Harasimowicz), tedy w ziemię pozakopywać, byle nieznacznie, żeby nad dwóch o tem nie wiedziało. Beczkę jednak jaką jedną i drugą w Orlu i w Zabłudowie zostawić, a to z lepszych i słodszych, coby się ułakomili na nią, a podprawić mocno trucizną, żeby starszyzna przynajmniej powyzdychała, to się drużyna rozbieży. Dla Boga życzliwie mi w tem posłużcie, a sekretnie, przez miłosierdzie Boże! A palcie, co piszę i ktokolwiek o czem wiedzieć będzie odsyłajcie go do mnie. Albo sami najdą i wypiją, albo jednając, może im ten napój podarować..."

Podstarości skończył czytać i począł patrzeć na księcia Bogusława, jakby czekając instrukcyi, a książe rzekł:

— Widzę, że tęgo brat mój myśli o konfederatach, szkoda tylko, że jak zwykle, zapóźno!... Żeby się był dwa tygodnie, albo choć tydzień temu, na ów dowcip zdobył, możnaby było popróbować. A teraz ruszaj z Bogiem, panie Harasimowicz, bo już cię nie potrzebujem.

Harasimowicz skłonił się i wyszedł.

Książę Bogusław stanął przed zwierciadłem i począł się przy-

glądać starannie własnej postaci, przyczem poruszał zlekka głową w prawo i w lewo, to oddalał się od lustra, to zbliżał, to potrząsał puklami włosów, to strzygł oczyma zukosa, nie zważając wcale na Kmicica, który siedział w cieniu, odwrócony plecami do okna.

Gdyby jednak był rzucił chociaż jedno spojrzenie na twarz pana Andrzeja, poznałby, iż w młodym pośle dzieje się coś dziwnego, twarz bowiem Kmicica była blada, na czole osiadły mu gęste krople potu, a ręce drgały konwulsyjnie. Przez chwilę podniósł się z krzesła i znów zaraz usiadł, jak człowiek, który walczy z sobą i przełamuje w sobie wybuch gniewu lub rozpaczy. Nakoniec rysy jego ściągnęły się i zakrzepły; widocznie całą siłą potężnej woli i energii nakazał sobie spokój i zapanował nad sobą zupełnie.

— W. ks. mość — rzekł, — z tego zaufania, jakim mnie książę hetman obdarza, widzisz w. ks. mość, że tajemnicy nie chce z niczego przedemną robić. Należę duszą i mieniem do jego robót; przy jego i waszej ks. mości fortunie może i moja wyrosnąć, dlatego, gdzie wy idziecie, tam i ja pójdę... Na wszystkom gotów! Ale, choć w onych sprawach służę i w nich się obracam, przecie pewnie nie wszystko zgoła rozumiem, ani też wszystkich arkanów własnym, słabym dowcipem przeniknąć mogę.

— Czego tedy życzysz, panie kawalerze, a raczej piękny kuzynie? — spytał książę.

— O naukę w.ks. mości proszę, bo też wstydby mi było, gdybym się przy takich statystach niczego nie zdołał nauczyć. Nie wiem tylko, czy w. ks, mość raczysz mi szczerze odpowiedzieć?

— To będzie zależało od twego pytania i od mego humoru — odrzekł Bogusław, nie przestając patrzeć w lustro.

Oczy Kmicica błysnęły przez chwilę, lecz mówił dalej spokojnie:

— Owóż tak jest: książę wojewoda wileński wszystkie swe postępki dobrem i zbawieniem Rzeczypospolitej osłania. Już też ta Rzeczpospolita z ust mu nie schodzi. Raczże mi w. ks. mość szczerze powiedzieć: pozoryli to tylko konieczne, czyli naprawdę książę hetman ma tylko dobro Rzeczypospolitej na celu?

Bogusław rzucił bystre, przelotnie spojrzenie na pana Andrzeja.

— A jeżelibym ci powiedział, że to pozory, czylibyś pomagał dalej?

Kmicic ruszył niedbale ramionami.

— Ba! jako rzekłem, moja fortuna przy fortunie w. ks. mościów wyrośnie. Byle się to stało, wszystko mi zresztą jedno!

— Wyjdziesz na człowieka! Pamiętaj, że ci to przepowiadam. Ale czemuto brat nigdy z tobą szczerze nie mówił?

— Może dlatego, że skrupulat, a może, ot tak! nie zgadało się!

— Bystry nasz dowcip kawalerze, bo to szczera prawda, że on skrupulat i niechętnie prawdziwą skórę pokazuje. Jak mi Bóg miły, prawda! Taka już jego natura. Toż i on ze mną gadając, skoro się tylko zapomni, zaraz zaczyna mowę miłością dla ojczyzny koloryzować. Dopiero jak mu się w oczy rozśmieję, to się opatrzy. Prawda! prawda!...

— Więc to tedy jeno pozory? — pytał Kmicic.

Książę przekręcił krzesło, siadł na niem jak na koniu i wsparłszy ręce na poręczy, milczał chwilę, jakby się namyślając, poczem rzekł:

— Słuchaj, panie Kmicic! Gdybyśmy, Radziwiłłowie, żyli w Hiszpanii, we Francyi, albo w Szwecyi, gdzie syn po ojcu następuje i gdzie prawo królewskie z Boga samego wypływa, tedy, pominąwszy jakieś wojny domowe, jakieś rody królewskiego wygaśnięcia, jakieś nadzwyczajne zdarzenia, służylibyśmy pewnie królowi i ojczyźnie, kontentując się jeno najwyższemi urzędami, które nam się z rodu i fortuny przynależą. Ale tu, w tym kraju, gdzie król nie ma za sobą Bożego prawa, jeno go szlachta kreuje, gdzie wszystko in liberis suffragiis (zależne od wolnego głosowania), słusznie czyniliśmy sobie pytanie: dlaczego to Waza, a nie Radziwiłł ma panować?... Nic to jeszcze Waza, boć oni z królów dziedzicznych ród wiodą, ale kto nam zaręczy, kto nas upewni, że po Wazach nie przyjdzie szlachcie fantazya do głowy posadzić na stolcu królewskim i wielkoksiążęcym choćby pana Harasimowicza, albo jakiego pana Piegłasiewicza z Psiej Wólki. Tfu! czy ja wiem wreszcie kogo?... A my? Radziwiłłowie i książęta rzeszy niemieckiej, mamyże postaremu przystępować do całowania jego królewskiej-Piegłasiewiczowskiej ręki... Tfu! do wszystkich rogatych dyabłów, kawalerze, czas z tem skończyć!... Spójrz przytem na Niemcy, ilu tam książąt udzielnych mogłoby, z uwagi na fortunę, na podstarościch do nas się zgodzić. A przecie mają swoją udzielność, a przecie panują, a przecie korony na głowach noszą i miejsca przed nami biorą, choćby im słuszniej wypadało ogony

i naszych płaszczów nosić. Czas z tem skończyć, panie kawalerze, czas spełnić to, o czem ojciec mój już zamyślał!

Tu książę ożywił się, wstał z krzesła i począł chodzić po komnacie.

— Nie obejdzie się to bez trudności i impedimentów, — mówił dalej, — bo ołyccy i nieświescy Radziwiłłowie nie chcą nam pomagać. Wiem, że książę Michał pisał do brata, że nam raczej o włosiennicy, nie o płaszczu królewskim myśleć. Niechże sam o niej myśli, niech pokuty odprawia, niech na popiele siada, niech mu jezuici skórę dyscyplinami garbują; skoro kontentuje się krajczostwem, niechże przez całe cnotliwe życie aż do cnotliwej śmierci, kapłony cnotliwie kraje! Obejdziem się bez niego i tak nie opuścimy, bo teraz właśnie pora. Rzeczpospolitą dyabli biorą, bo już tak bezsilna, na takie psy zeszła, że się nikomu nie może opędzić. Wszyscy leżą w jej granice, jak przez rozgrodzony płot. To, co tu się ze Szwedami stało, nie przytrafiło się dotąd nigdy na świecie. My, panie kawalerze, możem wprawdzie śpiewać: Te Deum laudamus! a swoją drogą to niesłychana i niebywała rzecz... Jakto najezdnik uderza na kraj, najezdnik znany z drapieżności i nietylko nie znajduje oporu, ale kto żyw opuszcza dawnego pana i śpieszy do nowego: magnates, szlachta, wojsko, zamki, miasta, wszyscy!... bez czci, sławy, honoru, wstydu!.... Historya drugiego takiego przykładu nie podaje! Tfu! tfu! panie kawalerze! — kanalia w tym kraju żywie bez sumienia i ambicyi!... I taki kraj nie ma ginąć? Na łaskawość się szwedzką oglądali! Będziecie mieć as kawość! Już w Wielkopolsce Szwedzi szlachcie palce w kurki od muszkietów wkręcają!... I tak wszędy będzie — nie może być inaczej, bo taki naród musi zginąć, musi pójść w pogardę i w służbę do sąsiadów!....

Kmicic coraz był bledszy i resztkami sił trzymał na wodzy wybuch szaleństwa; ale książę, cały zatopiony w swej mowie, upajał się własnemi słowami, własnym rozumem i nie zważając na słuchacza, tak dalej mówił:

— Jest, panie kawalerze, zwyczaj w tym kraju, iż gdy kto kona, to mu krewni w ostatniej chwili poduszkę z pod głowy wyszarpują, ażeby się zaś dłużej nie męczył. Ja i książę wojewoda wileński postanowiliśmy tę właśnie przysługę oddać Rzeczypospolitej. Ale że siła drapieżników czyha na spadek i wszystkiego zagarnąć nie zdołamy, przeto chcemy, aby choć część i to nieladajaka dla nas

przypadła. Jako krewni, mamy do tego prawo. Jeśli zaś nie przemówiłem ci tem porównaniem do głowy i nie zdołałem w sedno utrafić, tedy powiem inaczej. Rzeczpospolita to postaw czerwonego sukna, za którą ciągną Szwedzi, Chmielnicki, Hyperborejczykowie, Tatarzy, elektor i kto żyw naokoło. A my z księciem wojewodą wileńskim powiedzieliśmy sobie, że z tego sukna musi się i nam tyle zostać w ręku, aby na płaszcz wystarczyło; dlatego nietylko nie przeszkadzamy ciągnąć, ale i sami ciągniemy. Niechaj Chmielnicki przy Ukrainie się ostaje, niech Szwedzi z Brandeburczykiem o Prusy i wielkopolskie kraje się rozprawiają, niech Małopolskę bierze Rakoczy, czy kto bliższy, Litwa musi być dla księcia Janusza, a z jego córką — dla mnie!

Kmicic wstał nagle.

— Dziękuję waszej ks. mości, to tylko chciałem wiedzieć.

— Odchodzisz, panie kawalerze?

— Tak jest.

Książę spojrzał uważniej na Kmicica i w tej chwili dopiero spostrzegł jego bladość i wzburzenie.

— Co ci jest, panie Kmicic? — spytał. — Wyglądasz jak Piotrowin?

— Fatygi z nóg mnie obaliły i w głowie mi się kręci. Żegnam w. ks. mość, przed odjazdem przyjdę się jeszcze pokłonić.

— To się śpiesz, bo ja po południu ruszam także.

— Za godzinę najdalej przybędę.

To rzekłszy, Kmicic skłonił się i wyszedł.

W drugiej izbie pokojowcy podnieśli się na jego widok, ale on przeszedł jak pijany, nikogo nie widząc. Na progu izby chwycił się obu rękoma za głowę i począł powtarzać z jękiem prawie:

— Jezusie Nazareński, królu żydowski! Jezus, Marya, Józef!

Chwiejnym krokiem przeszedł przez podwórzec około warty, złożonej z sześciu halabardników. Za kołowrotem stali jego ludzie, z wachmistrzem Soroką na czele.

— Za mną! — rzekł Kmicic.

I ruszył przez miasto ku oberży.

Soroka, dawny żołnierz Kmicica i znający go doskonale, zauważył natychmiast, że z młodym pułkownikiem dzieje się coś niezwykłego.

— Czuj duch! — rzekł zcicha do ludzi — gorze temu, na kogo gniew jego spadnie.

Żołnierze przyśpieszali w milczeniu kroku, a Kmicic nie szedł, ale biegł prawie naprzód, wymachując rękoma i powtarzając bezładne słowa.

Do uszu Soroki dochodziły jeno oderwane wyrazy: "Truciciele, wiarołomcy, zdrajcy... Zbrodzień i zdrajca... Obaj tacy..."

Potem poczynał pan Kmicic wspominać nazwiska dawnych kompanionów. Nazwiska: Kokosiński. Kulwiec, Ranicki, Rekuć i inne wypadały z jego ust jedno po drugiem. Kilka razy wspomniał Wołodyjowskiego. Słuchał to ze zdumieniem Soroka i trwożył się coraz bardziej, a w duszy myślał:

— Jakaś krew się tu poleje.... Nie może być inaczej....

Tymczasem przyszli do zajazdu. Kmicic zamknął się natychmiast w izbie i z godzinę nie dawał znaku życia.

A żołnierze tymczasem bez rozkazu ładowali juki i siodłali konie.

Soroka mówił im:

— Nie zawadzi to, trzeba być na wszystko gotowym.

— My też gotowi — odpowiedzieli starzy zabijakowie, ruszając wąsami.

Jakoż pokazało się, że Soroka dobrze znał swego pułkownika, bo nagle Kmicic ukazał się w sieni, bez czapki, w koszuli tylko i hajdawerach.

— Konie siodłać — krzyknął.

— Posiodłane.

— Wjuki ładować!

— Spakowane.

— Dukat na głowę! — krzyknął młody pułkownik, który pomimo całej gorączki i wzburzenia spostrzegł że ci żołnierze,w lot od gadują jego myśli.

— Dziękujemy, panie komendancie! — ozwali się wszyscy chórem.

— Dwóch ludzi weźmie konie wjuczne i wyjedzie natychmiast z miasta ku Dębowej. Przez miasto jechać wolno, za miastem puścić konie wskok i nie ustawać aż w lasach.

— Wedle rozkazu!

— Czterej inni nabić garłacze siekańcami. Dla mnie dwa konie osiodłać, żeby i drugi był w zupełnej gotowości.

— Wiedziałem ja, że co będzie! — mruknął Soroka.

— A teraz wachmistrz za mną! — krzyknął Kmicic.

I jak był rozebrany w hajdawarach tylko i rozchełstanej na piersiach koszuli, wyszedł z sieni, a Soroka szedł za nim, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia; tak doszli aż do studni żórawianej, w podwórzu zajazdu. Tu Kmicic zatrzymał się i ukazując na wiadro, wiszące przy żórawiu, rzekł:

— Lej mi wodę na łeb!

Wachmistrz wiedział z doświadczenia, jak niebezpiecznie było pytać dwa razy o rozkaz; chwycił więc za drąg i zanurzył wiadro w wodzie, następnie je śpiesznie wyciągnął i porwawszy w dłonie, chlusnął zawartą w niem wodą na pana Andrzeja, a pan Andrzej począł parskać i prychać, jakoby wieloryb, dłońmi przyklepywał mokre włosy, poczem zakrzyknął:

— Jeszcze!

Soroka powtórzył czynność raz drugi i chlustał wodą ze wszystkich sił, jakoby chciał płomień zagasić.

— Dość! — rzekł nakoniec Kmicic. — Pójdź za mną, szaty mi pomożesz wdziać!

I poszli obaj do zajazdu.

W bramie spotkali swoich dwóch ludzi, wyjeżdżających z wjucznemi końmi.

— Wolno przez miasto, za miastem w skok! — powtórzył im na drogę Kmicic.

I wszedł do izby.

W pół godziny później ukazał się znowu całkiem przybrany już, jak do drogi: w wysokie jałowicze buty i łosiowy kaftan, obciśnięty pasem skórzanym, za który zatknięta była krócica.

Żołnierze zauważyli także, iż z pod kaftana wyglądał mu brzeg drucianej kolczugi, jak gdyby wybierał się na bitwę. Szablę też miał przypiętą wysoko, by łatwiej było schwycić za rękojeść; twarz miał dość spokojną, ale surową i groźną.

Rzuciwszy okiem na żołnierzy, czy gotowi i zbrojni należycie, siadł na koń i cisnąwszy dukata gospodarzowi, wyjechał z zajazdu.

Soroka jechał przy nim, trzej inni z tyłu, prowadząc zapasowego konia. Wkrótce znaleźli się na rynku, napełnionym przez wojska Bogusława. Ruch już był między nimi, bo widocznie przyszły rozkazy, aby się gotować do drogi. Jazda pociągała popręgów

u siodeł i kiełznała konie, piechota rozbierała muszkiety, stojące w kozłach przed domami, do wozów zakładano konie.

Kmicic obudził się jakoby z zamyślenia.

— Słuchaj stary — rzekł do Soroki — wszakże to do starościńskiego dworu gościniec idzie dalej, nie trzeba wracać przez rynek?

— A gdzie pojedziem, panie pułkowniku?

— Do Dębowej!

— To właśnie z rynku wedle dworu trzeba przejeżdżać. Rynek zostanie za nami.

— Dobrze! — rzekł Kmicic.

Po chwili mruknął sam do siebie półgłosem:

— Ej, żeby to tamci żyli teraz! Mało ludzi na taką imprezę, mało!

Tymczasem przejechali rynek i poczęli skręcać ku starościńskiemu domowi, który leżał o półtora staja dalej nad drogą.

— Stój! — rzekł nagle Kmicic.

Żołnierze stanęli, on zaś zwrócił się ku nim.

— Gotowiście na śmierć?? — spytał krótko.

— Gotowi — odpowiedzieli chórem orszańscy zabijakowie.

— Leźliśmy Chowańskiemu w gardło i nie zjadł nas... Pamiętacie?

— Pamiętamy!

— Trzeba się dziś ważyć na wielkie rzeczy... Uda się, to miłościwy król nasz panów z nas poczyni... Ja w tem!... Nie uda się, pójdziecie na pal!

— Co się nie ma udać! — rzekł Soroka, którego oczy poczęły błyskać, jak u starego wilka.

— Uda się! — powtórzyli trzej inni: Biłous, Zawratyński i Lubieniec.

— Musimy porwać księcia koniuszego! — rzekł Kmicic.

I umilkł, chcąc zbadać wrażenie, jakie szalona myśl uczyni na żołnierzach. A oni umilkli także i patrzyli w niego jak w tęczę, tylko wąsiska ruszały im się i tylko twarze stały się groźne i zbójeckie.

— Pal blisko, nagroda daleko! — rzekł Kmicic.

— Mało nas! — mruknął Zawratyński.

— To gorzej niż z Chowańskim! — dodał Lubieniec.

— Wojska wszystkie w rynku, a we dworze jeno straż i dworzan ze dwudziestu — rzekł Kmicic, — którzy niczego się nie spodziewają, nawet i szabel przy bokach nie mają.

— Wasza miłość swoję głowę stawi, czemu my nie mamy naszych postawić? — odparł Soroka.

— Słuchać! — rzekł Kmicic. — Jeśli chytrością go nie weźmiem, to inaczej wcale nie weźmiem... Słuchać! Ja wejdę do komnat i po chwili wyjdę z księciem... Jeśli książę siądzie na mego konia, tedy ja siądę na drugiego i pojedziem... Jak odjedziemy ze sto albo półtorasta kroków, tedy go we dwóch porwać pod pachy i w skok, co tchu w koniach!

— Wedle rozkazu! — rzekł Soroka.

— Jeśli nie wyjdziem — mówił dalej Kmicic, a usłyszycie strzaw komnacie, tedy mi gruchnąć z garłacza po straży i konia mi podawać, jak tylko wypadnę ze drzwi.

— Tak i będzie! — rzekł Soroka.

— Naprzód! — skomenderował Kmicic.

Ruszyli i w kwadrans później stanęli przed kołowrotem starościńskiego dworu. Przy kołowrocie, po staremu, stało sześciu halabardzistów, a czterech w drzwiach sieni. Po podwórzu kręciło się przy karecie kilku masztalerzy i forysiów, których doglądał jakiś dworzanin, cudzoziemiec — jak można było poznać ze stroju i peruki.

Dalej wedle wozowni zakładano konie do dwóch jeszcze kolasek, olbrzymi pajukowie znosili do nich łuby i sepety. Nad temi czuwał człowiek, cały czarno ubrany, z twarzy wyglądający na medyka albo astrologa.

Kmicic oznajmił się, jak i poprzednio, przez dyżurnego oficera, który po chwili wrócił i wezwał go do księcia.

— Jak się masz kawalerze? — rzekł wesoło książę. — Takeś mnie nagle opuścił, żem myślał, iż skrupuły w tobie od moich słów rebelizowały i nie spodziewałem się widzieć cię więcej.

— Jakżebym to nie miał się przed drogą pokłonić! — rzekł Kmicic.

— No! przecie myślałem także, iż wiedział książę wojewoda kogo z poufną misyą wysłać. Skorzystam i ja z ciebie, bo ci dam kilka listów do różnych znacznych osób i do samego króla szwedzkiego. Ale cóżeśto taki zbrojny, jak do bitwy?

— Bo między konfederatów jadę, a właśnie i tu w mieście słyszałem i wasza ks. mość to potwierdził, że niedawno temu przechodziła tędy konfederacka chorągiew. Nawet tu w Pilwiszkach

okrutnie zołtarenkowych ludzi przepłoszyli, bo to zawołany żołnierz prowadził ową chorągiew.

— Któżto taki?

— Pan Wołodyjowski, a jest z nim i pan Mirski i pan Oskierka i dwóch panów Skrzetuskich: jeden Zbarażczyk, którego żonę chciałeś w. ks. mość w Tykocinie oblegać. Wszystko się to przeciw księciu wojewodzie pobuntowało, a szkoda, bo tędzy żołnierze. Cóż robić! Są jeszcze tacy głupi ludzie w tej Rzeczypospolitej, którzy nie chcą za czerwone sukno wraz z Kozakami i Szwedami ciągnąć.

— Głupich nigdzie na świecie nie brak, a szczególnie w tym kraju! — rzekł książę. — Ot! masz listy, a oprócz tego, jak zobaczysz jaki szwedzki majestat, tedy wyznaj mu niby poufnie, żem w duszy taki sam stronnik, jak mój stryjeczny, jeno do czasu muszę symulować.

— Kto nie musi symulować! — odparł Kmicic. — Symuluje każdy, zwłaszcza, jeśli chce czegoś znacznego dokonać.

— Pewnie, że tak jest. Spraw się, panie kawalerze, dobrze, a będę ci wdzięczny i nie dam się w nagradzaniu księciu wojewodzie wileńskiemu prześcignąć.

— Jeśli taka łaska w. ks. mości, to zgóry o nagrodę poproszę.

— Masz tobie! Pewnie cię tam książę wojewoda niezbyt suto na drogę opatrzył. Wąż u niego w skrzyni siedzi.

— Niechże mnie Bóg zachowa, abym miał pieniędzy żądać, nie chciałem ich od księcia hetmana, nie wezmę i od w. ks. mości. Na własnym żołdzie jestem i na własnym pozostanę.

Książę Bogusław spojrzał ze zdziwieniem na młodego rycerza.

— E, to widzę Kmicicowie naprawdę nie z tych, co ludziom w ręce patrzą. O co tedy idzie, panie kawalerze?

— Rzecz jest taka, w. ks. mość! Nie rozmyśliwszy się dobrze w Kiejdanach, wziąłem z sobą konia wielkiej krwi, żeby to się przed Szwedami pokazać. Nie przesadzę, jeśli rzeknę, że lepszego w kiejdańskich stajniach niemasz. Teraz tedy mi go żal i strach mi, żeby się po drogach, karczmach albo od niewczasów nie sterał. A jako o przygodę nie trudno, może i w nieprzyjacielskie ręce wpaść, choćby tegoż pana Wołodyjowskiego, który personaliter okrutnie na mnie zawzięty. Umyśliłem tedy prosić w. ks. mość, abyś go raczył na przechowanie wziąć i zażywać, póki się sposobniejszą porą o niego nie upomnę.

— To mi go lepiej sprzedaj.

— Nie może być, to bo byłoby jakobym przyjaciela sprzedawał. Mało to razy mnie ten koń z największego ukropu wyniósł, gdyż i tę ma cnotę, że w bitwie kąsa nieprzyjaciół okrutnie.

— Takiżto zacny koń? — pytał z żywem zajęciem książę Bogusław.

— Czy zacny? Gdybym był pewien, że się w. ks. mość nie rozgniewa, tedybym sto czerwonych stawił, że nie przymierzając i w ks. mość nie posiada takiego w swoich stajniach.

— Może i jabym stawił, gdyby nie to, że nie pora dziś konie w zawód puszczać. Chętnie go przechowam chociaż, jeśli mi się uda, wołałbym kupić. Ale gdzież się owo dziwo znajduje?

— A ot, przed kołowrotem ludzie go trzymają! Ale że dziwo, to dziwo, bo nie koloryzując, sułtan może takiego konia pozazdrościć. Nie tutejszy on — natolski, jeno myślę, że i w Natolii jeden się taki utrafił.

— To pójdźmy obaczyć.

— Służę w. ks. mości.

Książę wziął kapelusz i wyszli.

Przed kołowrotem ludzie Kmicicowi trzymali dwa zapasowe, całkiem osiodłane konie, z których jeden istotnie bardzo rasowy, czarny jak kruk, ze strzałką na czole i białą pęciną u nogi włócznej, zarżał lekko na widok swego pana.

— To ten! zgaduję! — rzekł książę Bogusław. — Nie wiem, czy takie dziwo, jakeś mówił, ale istotnie zacny koń.

— A przeprowadzić no go! — krzyknął Kmicic. — Albo nie! czekaj, ja sam siądę!

Żołnierze podali konia i pan Andrzej siadłszy, począł go objeżdżać wedle kołowrotu. Pod biegłym jeźdźcem koń wydał się jeszcze dwakroć piękniejszy. Śledziona grała w nim, gdy szedł rysią, oczy wypukłe nabrały blasku i zdawało się, że hrapami wyrzuca ogień wewnętrzny, a grzywę wiatr mu rozwiał. Pan Kmicic zataczał koła, zmieniał chody, nakoniec najechał tuż na księcia, tak że chrapy konia nie były dalej jak o krok od jego twarzy i krzyknął:

— Alt!

Koń wsparł się czterema nogami i stanął jak wryty.

— A co? — rzekł Kmicic.

— Jakto powiadają: oczy i nogi jelenia, chód wilka, chrapy ło-

sia, a pierś niewiasty! — rzekł książę Bogusław. — Jest wszystko co potrzeba. I komendę rozumie niemiecką?

— Bo go objeżdżał mój kawalkator, Zend, który był Kurlandczyk.

— A ścigła szkapa?

— Wiatr w. ks. mości na nim nie dogoni! Tatarzyn przed nim nie ujdzie.

— Grzeczny musiał być kawalkator, bo widzę, że i wyjeżdżony koń bardzo.

— Czy wyjeżdżony? W. ks. mość nie uwierzy! Tak on chodzi w szeregu, że gdy szereg idzie skokiem, możesz w. ks. mość cugle puścić, a on się o pół chrapów z szeregu nie wysunie. Jeśli w. ks. mość raczy spróbować i jeśli się na dwóch stajach choć o pół łba wysunie, to go darmo oddam.

— To byłoby największe dziwo, żeby się z puszczonemi cuglami nie wysunął.

— I dziwo i wygoda, bo obie ręce wolne. Nieraz tak było, żem w jednej miał szablę, w drugiej pistolet, a koń szedł wolno.

— Ba, a jeśli szereg zawraca?

— Tedy zawróci i on, nie popsowawszy linii.

— Nie może być! — rzekł książę — tego żaden koń nie uczyni. Widziałem we Francyi konie muszkieterów królewskich, bardzo ćwiczone, umyślnie, aby ceremonii dworskich nie popsowały, ale przecie trzeba je cuglami prowadzić.

— W tym koniu człowieczy dowcip... Niechże w. ks. mość sam spopróbuje.

— Dawaj! — rzekł po chwili namysłu książę.

Sam Kmicic potrzymał konia do wsiadania, a książę skoczył lekko na kulbakę i począł klepać rumaka dłonią po lśniącym karku.

— Dziwna rzecz! — rzekł — najlepsze szkapy na jesień szerszenieją, ten zaś jakoby z wody wyszedł. A w którą stronę ruszymy?

— Ruszymy najprzód szeregiem i jeśli wasza ks. mość pozwoli., to w drugą stronę ku lasowi. Droga tam równa i szeroka, a ku miastu mogłyby nam jakowe wozy przeszkodzić.

— Niechże będzie ku lasowi!

— Ze dwie staje równo! Puść wasza ks. mość cugle z miejsca skokiem... Dwóch ludzi z każdej strony ja trochę z tyłu pojadę.

— Stawać — rzekł książę.

Szereg stanął i zwrócił się głowami końskiemi ku drodze od miasta. Książę stał w środku.

— Ruszaj! — rzekł. — Z miejsca w skok... Marsz!

Szereg pomknął i po pewnej chwili szedł jak wicher. Tuman kurzu zasłonił ich przed oczyma dworzan i masztalerzy, którzy zebrawszy się gromadką przed kołowrotem, przyglądali się z ciekawością biegowi. Ćwiczone konie w największym pędzie, chrapiąc z wysilenia, przebiegły już staje lub więcej i rumak książęcy, lubo nie trzymany cuglami, nie wysunął się istotnie ani na cal. Przebiegli i drugie staje, nagle Kmicic zwrócił się, a widząc za sobą jeno tumany kurzu, przez które zaledwie było widać dwór starościński a wcale stojących przed nim ludzi, krzyknął straszliwym głosem:

— Bierz go!

W tej chwili Biłous i olbrzymi Zawratyński chwycili księcia za oba ramiona, aż kości zatrzeszczały mu w stawach i trzymając w żelaznych pięściach, poczęli bóść ostrogami własne konie.

Książęcy w środku trzymał się ciągle w szeregu, nie zostając, ani wysuwając się na cal naprzód. Zdumienie, przerażenie, wicher bijący w twarz księcia Bogusława, odebrały mu w pierwszej chwili mowę. Szarpnął się jeno raz i drugi, lecz bez skutku, bo tylko ból od wykręconych ramion przeszył go na wylot.

— Coto jest? łotry!... Nie wiecie, ktom jest!... — krzyknął wreszcie.

Wtem Kmicic trącił go lufą od krócicy między łopatki.

— Na nic opór, bo kula w krzyż! — zakrzyknął.

— Zdrajco! — rzekł książę.

— A ty kto? — odparł Kmicic.

I mknęli dalej.

---

## XXVI.

Biegli długo borem, pędząc tak, że sosny przydrożne zdawały się uciekać w tył w popłochu; mijali karczmy, chaty pobereżników, smolarnie, a czasem wozy ciągnące pojedyńczo lub po kilka ku Pilwiszkom. Od chwili do chwili książę Bogusław przechylał się w kulbace, jakby chcąc próbować oporu, ale wówczas ramiona jego wykręcały się jeno boleśniej w żelaznych rękach Kmicico-

wych żołnierzy, a pan Andrzej przykładał mu znów lufę między łopatki i biegli dalej, aż biała piana poczęła spadać płatami z koni.

Nakoniec trzeba było zwolnić, bo ludziom i koniom tchu zbrakło, a Pilwiszki pozostały tak daleko, że wszelka możliwość pogoni znikła. Jechali tedy czas jakiś stępa w milczeniu, przesłonieni tumanem pary, która buchała z rumaków. Książę przez długi czas nie odzywał się wcale, widocznie starał się uspokoić i odzyskać zimną krew, aż gdy tego dokazał, wówczas spytał:

— Dokąd mnie prowadzicie!

— Dowiesz się w. ks. mość na końcu drogi — rzekł Kmicic.

Bogusław zamilkł, a po chwili znowu rzekł:

— Każ mnie puścić tym chamom, kawalerze, bo mi ramiona wykręcą. Jeśli to im każesz uczynić, będą poprostu wisieć, inaczej na pal pójdą.

— To szlachta, nie chamy! — odrzekł Kmicic — a co do kary, jak im w. ks. mość grozisz, to niewiadomo, kogo pierwej śmierć dosięgnie.

— Wiecie wy na kogoście ręce podnieśli? — spytał książę, zwracając się do żołnierzy.

— Wiemy — odpowiedzieli.

— Do miliona dyabłów rogatych! — zawołał z wybuchem Bogusław — każesz tym ludziom pofolgować mi czy nie?

— Każę w. ks. mości związać w tył ręce, tak będzie wygodniej.

— Nie może być!... Do reszty mi ręce wykręcicie!

— Innego kazałbym uwolnić na parol, że nie ucieknie, ale wy umiecie słowa łamać! — odrzekł Kmicic.

— Jać inny parol daję, — odrzekł książę — że nietylko przy pierwszej sposobności umknę z twoich rąk, ale że cię każę końmi rozerwać, gdy w moje wpadniesz!

— Co ma Bóg dać, to da! — odrzekł Kmicic — ale wolę szczerą groźbę, niż fałszywe obietnice. Puścić mu ręce, konia jeno za cugle powodować, a wasza ks. mość patrz tu! Oto mi jeno za cyngiel ruszyć, by ci kulę w krzyże wpędzić, a dalibóg nie chybię, bo nigdy nie chybiam. Siedźże spokojnie na koniu, umykać nie próbuj!

— Nie dbam, panie kawalerze, o ciebie i o twoją krócicę.

To rzekłszy, książę wyciągnął zbolałe ręce, ażeby je wyprostować i z odrętwienia otrząsnąć, żołnierze tymczasem chwycili z dwóch stron konia za cugle i wiedli dalej.

Bogusław po chwili rzekł:

— Nie śmiesz mi w oczy spojrzeć, panie Kmicic, z tyłu się kryjesz.

— Owszem! — odparł pan Andrzej i popędziwszy konia, odsunął Zawratyńskiego, a sam chwyciwszy za lejc książęcego rumaka, spojrzał Bogusławowi prosto w twarz.

— A jak tam moja szkapa? Zalim jej dołgał choć jednę cnotę?

— Dobry koń! — odrzekł książę. — Chcesz, to go kupię.

— Bóg zapłać? Wart ten koń lepszego losu, niż zdrajcę do śmierci nosić.

— Głupiś, panie Kmicic!

— Bom w Radziwiłłów wierzył!

Znów nastała chwila milczenia, którą przerwał pierwszy książę.

— Powiedz mi, panie Kmicic — rzekł — czyś ty pewien, żeś przy zdrowych zmysłach i że ci się rozum nie pomieszał? Czyś zapytał samego siebie, coś ty, szalony człecze, uczynił? Czy ci nie przyszło do głowy, że lepiejby teraz dla ciebie było, żeby cię matka nie rodziła? I że na tak zuchwały postępek nie odważyłby się nikt, nietylko w Polsce, ale i w Europie całej?

—To widać niewielka fantazya w tej Europie, bo ja waszą książęcą mość porwałem, trzymam i nie puszczę.

— Nie może być inaczej, tylko z szalonym sprawa! — zawołał jakby do siebie książę.

— Mój mości książę! — odrzekł pan Andrzej. — Jesteś w moich ręku i z tem się zgódź, a słów próżno nie trać! Pogoń nie nadejdzie, bo tam twoi ludzie dotychczas myślą, żeś dobrowolnie z nami wyjechał. Kiedy cię moi ludzie pod łokcie brali, nikt tego nie widział, bo nas tuman przesłonił, a choćby nie tuman, to z dalekości ani masztalerze, ani strażby nie dojrzała. Przez dwie godziny czekać cię będą, przez trzecią się niecierpliwić, przez czwartą i piątą niepokoić ,w szóstej wyślą ludzi na zwiady, a my tymczasem będziem za Maryampolem.

— I co z tego?

— To z tego, że nie zgonią, a choćby i zaraz byli zaczęli gonić, i takby nie zgonili, bo wasze konie prosto z drogi, a nasze wypoczęte. Gdyby zaś jakim cudem zgonili i to na nic, bo jak mnie tu wasza ks. mość widzisz, takbym jej łeb roztrzaskał... co i uczynię, jeśli inaczej nie będzie można. Ot, co jest! Radziwiłł ma dwór,

wojsko, działa, dragonów, a Kmicic sześciu ludzi, i pomimo tego Kmicic Radziwiłła za kark trzyma.

— Co dalej? — rzekł książę.

— Nic dalej! Dalej pojedziem przed siebie tam, gdzie mi się spodoba. Dziękuj w. ks. mość Bogu, żeś żyw dotąd, bo gdyby nie to, żem ja sobie kazał z dziesięć wiader wody rano na łeb wychlustać, tobyś już był na tamtym świecie, alias w pickle, z dwóch racyj: jako zdrajca i jako kalwin.

— I ważyłbyś się na to?

Nie chwaląc się, nie znajdziesz w. ks. mość łatwo takowej imprezy, na którąmbym się nie ważył, a masz najlepszy dowód na sobie.

Książę spojrzał uważniej w oblicze junaka i rzekł:

— Dyabeł ci to, kawalerze, na twarzy napisał żeś na wszystko gotów i też racya, że mam dowód na sobie... Powiem ci nawet, żeś potrafił mnie samego śmiałością zadziwić, a to niełatwa rzecz.

— Wszystko mi jedno. Podziękuj w. ks. mość Bogu, żeś dotąd żyw i kwita!

— Nie, panie kawalerze! Przedewszystkiem ty za to Bogu podziękuj... Bo gdyby jeden włos spadł z głowę mojej, to wiedz, że cię Radziwiłłowie znajdą choćby pod ziemią. Jeśli liczysz na to, że teraz niezgoda między nami i że cię nieświescy i ołyccy ścigać nie będą, to się mylisz. Krew radziwiłłowska musi zostać pomszczona, przykład straszliwy musi być dany, inaczej nie żyćby nam w tej Rzeczypospolitej. Za granicą także się nie schronisz! Cesarz niemiecki cię wyda, bo ja książę rzeszy niemieckiej, elektor brandeburski, mój wuj, książę Oranii jego szwagier, królestwo francuscy i ich ministrowie moi przyjaciele. Gdzie się schronisz?... Turcy i Tatarzy cię sprzedadzą, choćbyśmy mieli pół fortuny im oddać. Kąta na ziemi nie znajdziesz, ani takich ludów...

— Dziwno mi to, — rzekł Kmicic, że się wasza ks. mość o moje zdrowie zgóry tak troszczysz, wielka persona, Radziwiłł!... A przecie tylko mi cyngla ruszyć...

— Temu nie neguję. Nieraz się już zdarzyło w świecie, że wielki człowiek ginął z rąk prostaka. Toć i Pompejusza ciura zabił, toć królowie francuscy z rąk ludzi niskiego stanu ginęli, toć, nie dalej szukając i wielkiemu ojcu mojemu toż samo się przygodziło... Jeno pytam się ciebie, co dalej?

— Et! co mi tam! Nie dbałem ja nigdy o to wielce, co jutro bę-

dzie. Przyjdzie ze wszystkiemi Radziwiłłami się zahaczyć, to jeszcze Bóg to wie, kto komu lepiej przygrzeje. Jużto dawno miecz mi ciągle wisiał nad głową, a dlatego niech jeno oczy zmrużę, to i śpię smaczno, jak suseł. W dodatku, mało mi będzie jednego Radziwiłła, to porwę drugiego i trzeciego. . . .

— Jak mi Bóg miły, kawalerze, tak mi się podobasz!... Bo to co powtarzam, że chyba ty jeden w Europie mogłeś się na coś podobnego ważyć. Ani się bestya zatroska, ani pomyśli, co jutro będzie! Lubię śmiałych ludzi, a coraz ich mniej na świecie... Ot, porwał sobie Radziwiłła i trzyma go jak swego. Gdzieżeś się taki uchował, kawalerze? Skąd jesteś?

— Chorąży orszański!

— Panie chorąży orszański, żal mi, że Radziwiłłowie tracą takiego człowieka, jak waćpan, bo z takimi ludźmi siła można dokazać. Gdyby nie o mnie chodziło... Hm! nie żałowałbym niczego, by cię skaptować...

— Zapóźno! — rzekł Kmicic.

— To się rozumie! — odpowiedział książę. — Wiele zapóźno!.. Ale to ci przyrzekam, że każę cię poprostu roztrzelać, boś godzien żołnierską śmiercią zginąć.. Co za dyabeł wcielony! z pośrod moich ludzi mnie porwał!

Kmicic nie odrzekł nic, książę zaś zamyślił się przez chwilę, poczem zakrzyknął:

— Wreszcie pal cię sześć! Jeżeli puścisz mnie natychmiast, nie będę się mścił! Dasz mi tylko parol, że nikomu nie wspomnisz co zaszło i ludziom nakażesz milczenie.

— Nie może być! — rzekł Kmicic.

— Chcesz wykupu?

— Nie chcę!

— Pocóżeś, u dyabła mnie porwał! Nie rozumiem!

— Siłaby gadać! Dowiesz się wasza ks. mość później.

— A co mamy robić przez drogę, jeśli nie gadać? Przyznaj się kawalerze, do jednej rzeczy, żeś mnie porwał w chwili cholery i desperacyi... i teraz sam dobrze nie wiesz, co ze mną czynić?

— To moja rzecz! — odpowiedział Kmicic — a czy nie wiem co czynić, pokaże się niebawem.

Niecierpliwość odbiła się na twarzy księcia Bogusława.

— Niezbyt rozmownyś, panie chorąży orszański, — rzekł — ale odpowiedz mi przynajmniej szczerze na jedno pytanie: zaliś już

jechał do mnie na Podlasie z gotowym zamiarem targnięcia się na moją osobę, czyli też później, w ostatniej chwili przyszło ci to do głowy?

— Na to mogę szczerze waszej ks. mości odpowiedzieć, bo i mnie samego w gębę pali, abym wam powiedział, dlaczego porzuciłem waszą stronę i pókim żyw, póki mi tchu w gardzieli stanie, więcej do niej nie wrócę. Książę wojewoda wileński mnie zwiódł najprzód na to mnie wyciągnął, żem mu na krucyfiksie zaprzysiągł, jako go nie opuszczę do śmierci...

— A to pięknie dotrzymujesz... Niema co mówić!...

— Tak jest! zawołał gwałtownie Kmicic. Jeślim duszę stracił, jeśli muszę być potępiony, to przez was...

Ale miłosierdziu boskiemu się oddaję... i wolę duszę stracić, wolę gorzeć wiekuiście, niż dłużej grzeszyć świadomie i dobrowolnie, niż dłużej służyć wiedząc, że grzechowi i zdradzie służę. Niech Bóg zmiłuje się nademną... Wolę gorzeć! Wolę stokroć gorzeć, bo i takbym gorzał, gdybym przy was został. Nie mam nic do stracenia... Ale to przynajmniej na sądzie boskim powiem: "Nie wiedziałem, na com przysięgał, a gdym zmiarkował, że na zdradę ojczyźnie, na zgubę imieniowi polskiemu przysiągłem, tedym przysięgę złamał... Teraz mnie Panie Boże sądź!"

— Do rzeczy! do rzeczy! rzekł spokojnie książę Bogusław.

Kmicic zbudził się jakoby ze snu, potrząsnął głową i mówił:

— Wierzyłem księciu hetmanowi, jakbym ojcu rodzonemu nie wierzył. Pamiętam tę ucztę, gdy to nam pierwszy raz powiedział, że się ze Szwedem połączy. Com ja wtedy przecierpiał, com przeszedł, Bóg mi policzy! Inni, zacni ludzie, ciskali mu buławy pod nogi, przy ojczyźnie się oponując, a jam stał, jak pień, z buławą, ze wstydem i z hańbą, w upokorzeniu... w męce... bo mi do oczu powiedziano: zdrajca!... I kto powiedział!... E!... lepiej nie wspominać, bym się zaś nie zapamiętał, bym nie oszalał i waszej ks. mości zaraz tu w łeb nie strzelił... Wyście to, wy, zdrajcy, sprzedawczyki, wyście mnie do tego doprowadzili!

Tu pan Kmicic począł patrzeć strasznym wzrokiem na księcia i nienawiść wybiła mu z dna duszy na twarz, na kształt smoka, który wypełznął z pieczary na światło dzienne, a książę Bogusław patrzył na junaka spokojnem, nieulękłem okiem, nakoniec rzekł:

— Owszem, panie Kmicic, to mnie zajmuje... Mów dalej...

Kmicic puścił cugle książęcego konia, zdjął czapkę, jakby chcąc gorejącą głowę ochłodzić.

— Tej samej nocy — mówił — poszedłem do księcia hetmana, bo i sam kazał mnie sprowadzić. Myślałem sobie: wypowiem mu służbę, złamię przysięgę, uduszę w tych oto rękach, prochami wysadzę Kiejdany, a potem niech się co chce dzieje! On też wiedział, żem na wszystko gotów, znał mnie! Widziałem to dobrze, iż palcami w puzdrze przebierał, w którem były pistolety. Nic to — myślę sobie — albo mnie chybi, albo zabije! Ale on począł mnię reflektować, począł mówić, takie perspektywy mnie, prostakowi, pokazywać, za takiego zbawcę się podawać, że wiesz ks. mość, co się stało?

— Przekonał młodzika! — rzekł Bogusław.

— Żem mu do nóg padł — zakrzyknął Kmicic — i ojca, jedynego zbawcę ojczyzny w nim widziałem, żem mu się oddał, jako dyablu, z duszą, z kadłubem, żem był gotów za niego, za jego uczciwość, z wieży kiejdańskiej na łeb się rzucić!

— Domyślałem się, że taki będzie koniec! — zauważył Bogusław.

— Com stracił w tej służbie, o tem nie będę gadał, ale oddałem mu ważne usługi; utrzymałem w posłuszeństwie moją chorągiew, która tam teraz została, bogdaj mu na pohybel! — inne, które się buntowały, znacznie wyciąłem... Zababrałem ręce w krwi bratniej, w tej myśli, iż sroga to dla ojczyzny necessitas (konieczność)! Często mnie dusza bolała, gdym dobrych żołnierzów rozstrzeliwać kazał; często natura szlachecka rebelizowała przeciw niemu, gdy raz i drugi przyrzekł mi coś, a potem nie dotrzymał! Alem to myślał: ja głupi, on mądry! — tak trzeba! Teraz dopiero, gdym się o onych truciach z listów dowiedział, aż mi szpik w kościach zdrętwiał! Jakżeto? Takażto wojna? To truć chcecie żołnierzów? I to ma być po hetmańsku? To ma być po radziwiłłowsku? Jato mam takie listy wozić?...

— Nie znasz się na polityce, kawalerze — przerwał Bogusław.

— Niechże ją pioruny zatrzasną! Niechże ją podstępni Włochowie robią, nie szlachcic, którego Bóg zacniejszą od innych krwią przyozdobił, ale że i zobowiązał, aby szablą, nie apteką wojował i imienia nie hańbił!

— Te listy tedy tak cię zraniły, że postanowiłeś Radziwiłłów opuścić?

— Nie listy! Byłbym je katu oddał, albo w ogień cisnął, bo ja nie do takich funkcyj, ale nie listy! Wyrzekłbym się posłowania, ale sprawy nie odstąpił. Czy ja wiem! Poszedłbym choć w dragony, albo kupębym nową zebrał i znów Chowańskiego po staremu podchodził. Ale już mi zaraz przyszło podejrzenie: a nuż oni i ojczyznę chcą otruć, tak jak tych żołnierzów?... Bóg dał, żem nie wybuchnął, choć mi głowa jako granat gorzała, żem się opamiętał, żem miał tę moc powiedzieć sobie: ciągnijże go za język, a dowiesz się całej prawdy — nie zdradź, co masz w sercu, podaj się za zaprzańca, za gorszego od samych Radziwiłłów i ciągnij go za język.

— Kogo? mnie?

— Tak jest! i Bóg mi pomógł, żem ja prostak statystę w pole wywiódł, żeś wasza ks. mość, mając mnie za szelmę ostatniego, żadnego szelmostwa waszego nie ukrył, wszystko wyznał, wszystko wypowiedział, jakoby na dłoni wypisał! Włosy mi na łbie dębem stawały, alem słuchał i wysłuchał do końca!... O zdrajcy!... O arcypiekielnicy! O parrycydowie!... Jakżeto piorun was dotąd nie pobił? Jakżeto ziemia was dotąd nie pożarła?... To z Chmielnickim, ze Szwedami, z elektorem, z Rakoczym i z samym dyabłem na zgubę tej Rzeczypospolitej się zmawiacie?... To płaszcz z niej chcecie wykroić? Zaprzedać? Rozdzielić? Rozerwać jako wilcy tę matkę waszę? Takaż wasza wdzięczność za wszystkie dobrodziejstwa, któremi was obsypała, za one urzędy, honory, godności, substancye, starostwa, za takie fortuny, których królowie zagraniczni wam zazdroszczą?... I gotowiście nie zważać na onej łzy, na mękę, na ucisk? Gdzie w was sumienie? Gdzie wiara, gdzie uczciwość?!... Co za monstra na świat was wydały?...

— Panie kawalerze, — przerwał zimno książę Bogusław — masz mnie w ręku i możesz mnie zabić, ale o jedno cię proszę: nie nudź mnie!

Umilkli obaj.

Jednakże ze słów Kmicica okazywało się jasno, że żołnierz zdołał wyciągnąć całą nagą prawdę z dyplomaty i że książę popełnił wielką nieostrożność, wielki błąd, zdradziwszy najtajniejsze zamysły własne i hetmańskie. Ubodło to jego miłość własną, więc też nie racząc ukrywać złego humoru, rzekł:

— Nie przypisuj tylko tego własnemu dowcipowi, panie Kmicic, jeżeliś ze mnie prawdę wydostał. Mówiłem otwarcie, bom my-

słał, że książę wojewoda lepiej zna się na ludziach i przyśle człowieka godnego ufności.

— Książę wojewoda przysłał człowieka godnego ufności, — odparł Kmicic — aleście go już stracili. Odtąd tylko szelmy służyć wam będą!

— Jeżeli sposób, w jaki mnie porwałeś, nie był szelmowski, to niech mi w pierwszej bitwie szpada do ręki przyrośnie.

— To fortel! W twardej ja się szkole ich uczył. Chciałeś wasza ks. mość poznać Kmicica, masz go! Nie pojadę z próżnemi rękoma do naszego pana miłościwego.

— I myślisz, że mi włos z głowy z ręki Jana Kazimierza spadnie?

— To sędziów, nie moja sprawa!

Nagle Kmicic zatrzymał konia.

— Hej! — rzekł. — A list księcia wojewody? Masz go wasza ks. mość przy sobie?

— Choćbym miał, tobym nie dał! — rzekł książę. — Listy zostały w Pilwiszkach.

— Obszukać go! — krzyknął Kmicic.

Żołnierze porwali znów księcia pod ramiona, Soroka zaś począł szukać mu po kieszeniach. Po chwili znalazł list.

— Oto jeden dokument przeciw wam i waszym robotom — rzekł, biorąc go pan Andrzej. — Dowie się z niego król polski, co zamierzacie, dowie się i szwedzki, że chociaż mu teraz służycie, przecie już książę wojewoda zastrzega sobie wolność recedere, jeśliby się noga Szwedom miała powinąć. Wyjdą na jaw wszystkie wasze zdrady, wszystkie machinacye. A mam przecie i inne listy do króla szwedzkiego, do Wittemberga, do Radziejowskiego.. Wielcy jesteście i potężni, a przecie nie wiem, czyli wam ciasno nie będzie w tej ojczyźnie, gdy wam obaj królowie godną waszych zdrad rekompensę obmyślą.

Oczy księcia Bogusława zabłysły złowrogiem światłem, ale po chwili opanował gniew i rzekł:

— Dobrze kawalerze! Na śmierć i życie między nami!... Spotkamy się!... Możesz przysporzyć nam trosk i sprawić wiele złego, ale to jeno powiem: nikt nie śmiał dotąd uczynić w tym kraju, coś ty uczynił i biada tobie i twoim!

— Ja sam mam szablę do obrony, a swoich mam czem wykupić! — rzekł Kmicic.

— Ach! masz mnie jako zakładnika! — rzekł książę.

I mimo całego gniewu, odetchnął spokojnie; zrozumiał jedno w tej chwili, że w żadnym wypadku życiu jego nic nie grozi, bo jego osoba zbyt jest Kmicicowi potrzebna. Postanowił z tego skorzystać.

Tymczasem puścili się znów rysią i po godzinie drogi ujrzeli dwóch jeźdźców, z których każdy prowadził po parze jucznych koni. Byli to ludzie Kmicicowi, wysłani naprzód z Pilwiszek.

— A co tam? — spytał ich Kmicic.

— Konie nam się zmachały okrutnie, wasza miłość, bośmy nie wypoczywali dotąd.

— Zaraz spoczniemy!...

— Widać tu chałupę na zakręcie, może to karczma.

— Niech wachmistrz ruszy naprzód obroki przygotować. Karczma, czy nie karczma, trzeba stanąć!...

— Wedle rozkazu, panie komendancie.

Soroka wypuścił konia, a oni podążyli naprzód zwolna. Kmicic jechał z jednej strony księcia, Lubieniec z drugiej. Książe uspokoił się zupełnie i nie wyciągał więcej na rozmowę pana Andrzeja. Zdawał się być zmęczony drogą, czy też położeniem, w jakiem się znajdował i głowę pochylił nieco na piersi, a oczy trzymał przymknięte. Jednakże od czasu do czasu rzucał ukośne spojrzenia to na Kmicica, to na Lubieńca, którzy trzymali cugle jego konia, jakby upatrując, którego łatwiej będzie obalić, aby się wyrwać na wolność.

Tymczasem zbliżył się do budowli, leżącej przy drodze, na cyplu lasu. Nie była to karczma, ale kuźnia i kołodziejnia zarazem, w której jadący traktem zatrzymywali się dla przekuwania koni i reparacyi wozów. Między samą kuźnią a drogą rozciągał się niewielki majdan, nie ogrodzony płotem, zrzadka porosły wydeptaną trawą; szczątki wozów i popsowane koła leżały rozrzucone tu i owdzie na owym majdanie, ale z przejezdnych nie było nikogo, jeno koń Soroki stał przywiązany do słupa. Sam Soroka rozmawiał przed kuźnią z kowalem Tatarem i dwoma jego pomocnikami.

— Niezbyt obfity będziem mieć popas — rzekł, uśmiechając się książę — niczego tu nie dostanie.

— Mamy żywność i gorzałkę ze sobą — rzekł Kmicic

— To dobrze! Trzeba nam będzie sił nabrać.

Tymczasem stanęli. Kmicic zatknął za pas krócicę, zeskoczył z kulfaki i oddawszy bachmata w ręce Soroki, chwycił znów za cu-

gle książęcego konia, którego zresztą Lubieniec nie popuszczał z drugiej strony.

— Wasza ks. mość zechce zejść z konia! — rzekł pan Andrzej.

— A to czemu? Będę jadł i pił z kulbaki — rzekł książę, pochylając się ku niemu.

— Proszę na ziemię! — zawołał groźnie Kmicic.

— A ty w ziemię! — krzyknął straszliwym głosem książę i wyrwawszy z szybkością błyskawicy krócicę zza pasa Kmicica, huknął mu w samę twarz.

— Jezus Marya! — zakrzyknął Kmicic.

W tej chwili koń pod księciem, uderzony ostrogami, wspiął się tak, iż wyprostował się prawie zupełnie, książę zaś przekręcił się jak wąż na kulbace ku Lubieńcowi i całą siłą potężnego ramienia pchnął go lufą między oczy.

Lubieniec wrzasnął przeraźliwie i spadł z konia.

Zanim inni mogli zrozumieć co się stało, zanim odetchnęli, zanim okrzyk zgrozy zamarł na ich wargach, Bogusław roztrącił ich jak burza, wypadł z majdanu na drogę i pomknął wichrem ku Pilwiszkom.

— Łapaj! Trzymaj! Bij! — rozległy się dzikie głosy.

Trzej żołnierze, którzy jeszcze siedzieli na koniach, puścili się za nim; lecz Soroka chwycił muszkiet oparty o ścianę i począł mierzyć do uciekającego, a raczej do jego rumaka.

Rumak wyciągnął się jak sarna i biegł z szybkością strzały wypuszczonej z cięciwy. Huknął strzał. Soroka rzucił się przez dym, aby skutek lepiej zobaczyć; oczy przysłonił ręką, patrzył przez chwilę i wreszcie wykrzyknął:

— Chybiony!

W tej chwili Bogusław zniknął na zakręcie, a za nim zniknęli goniący.

Wówczas wachmistrz zwrócił się do kowala i jego pomocników, którzy patrzyli aż dotąd z niemem przerażeniem na to, że się stało i zawołał:

— Wody!

Kowalczuki skoczyli ciągnąć żórawia, a Soroka klęknął przy leżącym nieruchomie panu Andrzeju. Twarz Kmicica była pokryta sadzą wystrzału i soplami krwi — oczy miał przymknięte lewą brew, powiekę i lewy wąs osmalony. Wachmistrz począ

najprzód dotykać zlekka palcami jego czaszki. Dotykał długo i ostrożnie, poczem mruknął:

— Głowa cała...

Lecz Kmicic nie dawał znaku życia i krew wydobywała mu się z twarzy obficie. Tymczasem kowalczuki przynieśli wiadro wody i szmaty do obcierania. Soroka z równąż powolnością i uwagą zabrał się do obmywania twarzy Kmicica.

Nakoniec rana ukazała się z pod krwi i sadzy. Kula rozorała głęboko Kmicicowi lewy policzek i zniosła zupełnie koniec ucha. Soroka począł badać, czy kość policzkowa nie jest strzaskana.

Po chwili przekonał się, że nie i odsapnął głęboko. Równocześnie Kmicic pod wpływem zimnej wody i bólu jął dawać znaki życia. Twarz poczęła mu drgać, piersi podnosiły się oddechem.

— Żyje!... Nic mu nie będzie! — zawołał radośnie Soroka.

I łza stoczyła się po zbójeckiej twarzy wachmistrza.

Tymczasem na zakręcie drogi ukazał się Biłous, jeden z trzech żołnierzy, którzy pognali za księciem.

— A co? — zapytał Soroka.

Żołnierz kiwnął ręką.

— Nic!

— A tamci prędko wrócą?

— Tamci nie wrócą.

Wachmistrz złożył drżącemi rękoma głowę Kmicica na progu kuźni i zerwał się na równe nogi.

— Jakżeto?

— Panie wachmistrzu, to charakternik! Pierwszy dogonił go Zawratyński, bo miał najlepszego konia i dlatego, że mu się pozwolił dogonić. W naszych oczach wydarł mu szablę z ręki i sztychem przebił. Ledwie mieliśmy czas zakrzyknąć. Witkowski był bliżej i skoczył na ratunek... A ten ściął go w moich oczach... jakby go piorun zatrzasnął!... Ani zipnął... A jam nie czekał kolei... Panie wachmistrzu! on tu gotów jeszcze wrócić!

— Nic tu po nas! — krzyknął Soroka. — Do koni!

I w tejże samej chwili poczęli wiązać nosze między końmi dla Kmicica.

Dwóch ludzi z rozkazu Soroki stanęło z muszkietami na drodze, z obawy powrotu straszliwego męża.

Lecz książę Bogusław, w przekonaniu, że Kmicic nie żyje, wraca spokojnie do Pilwiszek.

O zmroku już spotkał go cały oddział rajtarów, wysłany przez Patersona, który zaniepokoił się długą nieobecnością księcia.

Oficer, ujrzawszy księcia, skoczył ku niemu.

— Wasza ks. mość... Nie wiedzieliśmy...

— Nic to! — przerwał książę. — Przejeżdżałem konia w kompanii tego kawalera, od którego go kupiłem.

A po chwili dodał:

— I zapłaciłem dobrze.

## XXVI

Wierny Soroka wiózł swego pułkownika przez lasy głębokie, sam nie wiedząc dokąd jechać, co począć, gdzie się obrócić.

Kmicic nietylko był ranny, ale i ogłuszony wystrzałem. Soroka od czasu do czasu maczał szmatę w kuble wiszącym przy koniu i obmywał mu twarz; chwilami zatrzymywał się dla zaczerpnięcia świeżej wody przy strumieniach i jeziorkach leśnych, ale ani woda ani postoje, ani ruch konia, nie zdołały zrazu wrócić panu Andrzejowi przytomności — i leżał jak martwy, aż żołnierze jadący razem a mniej doświadczeni w rzeczach ran od Soroki, poczęli się troskać czy żyje.

— Żyje — odpowiedział Soroka, — za trzy dni tak będzie na koniu siedział, jak każdy z nas.

Jakoż w godzinę później Kmicic otworzył oczy i z ust jego wydobyło się jedno tylko słowo:

— Pić!

Soroka przytknął blaszankę z czystą wodą do jego warg, lecz pokazało się, że otwarcie ust sprawia panu Andrzejowi ból nieznośny — i nie mógł pić. Ale przytomności już nie stracił; jednakże o nic nie pytał, jak gdyby nic nie pamiętał; oczy miał szeroko otwarte i patrzył bezmyślnie na głębie leśne, na szmaty błękitnego nieba, widne nad głowami między gęstwiną i na swoich towarzyszów: tak, jak patrzył człowiek zbudzony ze snu lub otrzeźwiony z upicia i pozwolił, nie mówiąc ani słowa, opatrywać się Soroce, nie jęczał przy rozwiązywaniu bandażów, owszem zimna woda, którą wachmistrz obmywał ranę, zdawała się sprawiać mu przyjemność, bo czasem uśmiechał się oczyma.

A Soroka pocieszał go:

— Jutro, panie pułkowniku, dur przejdzie. Da Bóg, że się uchronim.

Jakoż pod wieczór odurzenie poczęło istotnie przechodzić, bo przed samym zachodem słońca Kmicic spojrzał przytomniej i nagle spytał:

— Co tu taki szum?

— Jaki szum? Niema żadnego — odpowiedział Soroka.

I widocznie szumiało tylko w głowie pana Andrzeja, bo wieczór był pogodny. Zachodzące słońce przenikając skośnemi promieniami w gęstwinę, przesycało złotemi blaskami mrok leśny i bramowało czerwone pnie sosen. Wiatr nie wiał — i tylko tu i owdzie z leszczyny, brzóz i grabów spływały liście na ziemię, albo zwierz pierzchliwy czynił lekki szelest, pomykając w gęstwiny boru przed jezdnymi.

Wieczór był chłodny, jednakże gorączka poczęła widocznie chwytać pana Andrzeja, bo po kilkakroć powtórzył:

— Mości książę! między nami na śmierć i życie!

Ściemniło się wreszcie zupełnie i Soroka myślał już o noclegu, ale że weszli w mokry bór i błoto poczęło chlupotać pod kopytami, jechali więc dalej, aby dobrać się do wysokich i suchych części lasu.

Jechali godzinę i drugą, nie mogąc przebrać się przez bagno. Tymczasem uczyniło się znów widniej, bo zeszedł księżyc w pełni .. Nagle Soroka, jadący na przedzie, zeskoczył z kulbaki i począł pilno rozpatrywać grunt leśny.

— Konie tędy szły — rzekł, — widać ślady na błocie.

— Kto mógł tędy przejeżdżać, kiedy tu żadnej drogi niema? — rzekł jeden z żołnierzy podtrzymujących pana Kmicica.

— Ale ślady są — i to kupa cała! Ot, tam, między sosnami, widać jasno jak na dłoni.

— Może bydło chodziło.

— Nie może być. Nie pora leśnych pastwisk, widać wyraźnie kopyta, jużci jacyś ludzie musieli tędy przejeżdżać. Dobrzeby było choćby budę leśniczą znaleść.

— To jedźmy śladem.

— Jazda!

Soroka wskoczył znowu na konia i ruszyli. Ślady kopyt w torfiastym gruncie ciągle były wyraźne, a niektóre, o ile przy świetle księżyca można było miarkować, wydawały się zupełnie świeże. Jednakże konie zapadały do kolan i wyżej. Już obawiali się żoł-

nierze, czy głębsze jeszcze topiele nie odkryją się przed nimi, gdy po upływie pół godziny do nozdrzy ich doszedł zapach dymu i żywicy.

— Smolarnia tu musi być! — rzekł Soroka.

— A ot! tam skry widać! — rzekł żołnierz.

I rzeczywiście w dali ukazała się smuga czerwonawego, przesyconego płomieniem dymu, około której skakały skry tlejącego pod ziemią ogniska.

Zbliżywszy się,ujrzeli żołnierze chatę, studnię i dużą szopę zbitą z bierwion sosnowych. Konie zmęczone drogą poczęły rżeć — liczne rżenia odpowiedziały im z pod szopy, a jednocześnie przed jezdnymi stanęła jakaś postać ubrana w kożuch, przewrócony wełną na wierzch.

— A siła koni? — spytał człowiek w kożuchu.

— Chłopie! Czyja to smolarnia? — rzekł Soroka.

— Coście wy za jedni? Skądeście się tu wzięli? — pytał znowu smolarz głosem, w którym widoczny był przestrach i zdziwienie.

— Nie bój się! — odpowiedział Soroka — nie zbóje!

— Jedźcie w swoją drogę, nic tu po was!

— Zamknij pysk i do chaty prowadź, dopóki prosim. A nie widzisz, chamie, że rannego wieziem.

— Coście za jedni?

— Pilnuj, abym ci z rusznicy nie odpowiedział. Lepsi od ciebie, parobku! Prowadź do chaty, a nie, to cię we własnej smole ugotujem.

— Jeden się przed wami nie obronię, ale będzie nas więcej. Gardła wy tu położycie!

— Będzie i nas więcej, prowadź!

— To i chodźcie, nie moja sprawa.

— Co masz jeść dać, to daj — i gorzałki. Pana wieziemy, który zapłaci.

— Byle stąd żyw wyjechał.

Tak rozmawiając weszli do chaty, w której na kominie palił się ogień, a z garnków postawionych na trzonie rozchodził się zapach duszonego mięsiwa. Izba była dość przestronna. Soroka zaraz na wstępie zauważył, iż pod ścianami stało sześć tapczanów, okrytych obficie baraniemi skórami.

— To tu jakaś kompania mieszka — mruknął do towarzyszów.

— Podsypać rusznice i czuj duch! Tego chama pilnować, by nie umknął. Niechże dzisiejszej nocy kompania śpi na dworze, bo my z izby nie ustąpim.

— Panowie nie przyjadą dziś — rzekł smolarz.

— To i lepiej, bo nie będziem się o kwaterę spierali, a jutro sobie pojedziem — odparł Soroka — tymczasem wykiń mięsiwo na misę, bośmy głedni i koniom owsa nie żałuj.

— A skądby tu owsa wziąć przy smolarni, wielmożny panie żołnierzu?

— Słyszeliśmy konie pod szopą, to musi być i owies; smołą ich nie żywisz.

— To nie moje konie.

— Czy twoje, czy nie twoje, jeść muszą, jako i nasze. Żywo, chłopie! żywo! jeśli ci skóra miła.

Smolarz nie odrzekł nic. A tymczasem żołnierze złożyli śpiącego pana Andrzeja na tapczanie — poczem sami zasiedli do wieczerzy i jedli chciwie duszone mięsiwo wraz z bigosem, którego obszerny sagan znalazł się na kominie. Były także i jagły, a w komorze, przy izbie, znalazł Soroka spory gąsiorek gorzałki.

Jednakże sam zlekka się tylko zakropił i żołnierzom pić nie dał, bo postanowił mieć się przez noc na baczności. Ta opróżniona chata z tapczanami na sześciu mężów i z szopą, w której rżało stado koni, wydała mu się dziwną i podejrzaną. Sądził poprostu, że to jest schronisko zbójeckie, tembardziej, że w tej samej komorze, z której wyniósł gąsiorek, odkrył sporo oręża, pozawiaszanego na ścianach i beczkę prochu, oraz rozmaite rupiecie, widocznie w dworach szlacheckich porabowane. Na wypadek, gdyby nieobecni mieszkańcy tej chaty wrócili, nie można było spodziewać się od nich nietylko gościnności, ale nawet miłosierdzia, zamierzył więc Soroka zająć zbrojną ręką chatę i utrzymać się w niej przemocą lub drogą układów.

Było to konieczne i ze względu na zdrowie Kmicica, dla którego podróż mogła stać się zgubną, i ze względu na wspólne wszystkich bezpieczeństwo. Soroka był to żołnierz kuty i bity, któremu jedno tylko uczucie obcem było, to jest uczucie trwogi. A jednak teraz na wspomnienie księcia Bogusława strach go brał. Zostając z dawnych lat w służbie Kmicica, wierzył on ślepo nietylko w męstwo, ale i w szczęście młodego pana: widział niejednokrotnie jego czyny, przechodzące zuchwalstwem miarę wszelką i graniczące

prawie z szaleństwem, które jednak udawały się i uchodziły płazem. Odbył z Kmicicem wszystkie "podchody" pod Chowańskiego, brał udział we wszystkich zabijatykach, napadach, zajazdach, porwaniach i doszedł do przekonania, że młody pan wszystko może, wszystko potrafi, z każdej toni się wyratuje i każdego, kogo chce, pogrąży. Kmicic tedy był dla niego uosobieniem największej potęgi i szczęścia — a owóż widocznie teraz trafił swój na swego — nie! widocznie pan Kmicic trafił na lepszego od siebie... Jakto? Jeden mąż, który był już w ręku Kmicica, porwany, bezbronny, zdołał wydostać się z jego rąk i mało tego! obalić samego Kmicica, pogromić jego żołnierzy i przerazić ich tak, że biegli, bojąc się jego powrotu? Był to dziw nad dziwy i Soroka głowę tracił, myśląc o tem — wszystkiego się bowiem na tym świecie spodziewał, tylko nie tego, by znalazł się ktoś taki, ktoby po panu Kmicicu przejechał.

— Zali skończyło się już nasze szczęście? — mruczał do siebie rozglądając się ze zdumieniem dokoła.

Więc choć dawniej, bywało, szedł z zamkniętemi oczyma za panem Kmicicem na kwatery Chowańskiego, otoczone osiemdziesięciotysięczną armią, teraz na wspomnienie tego długowłosego księcia z panieńskiemi oczyma i różową twarzą ogarniał go zabobonny przestrach. I sam nie wiedział co czynić. Przerażała go myśl, że jutro lub pojutrze trzeba będzie zjechać na bite trakty, na których może ich spotkać sam straszliwy książę lub jego pogoń. Dlategoto właśnie zjechał z drogi w głębokie lasy — a obecnie pragnął zostać w onej leśnej chacie, pókiby się nie zmyliły i nie znużyły pogonie.

Lecz że i to schronienie z innych powodów nie wydawało mu się bezpiecznem, chciał wiedzieć, czego się trzymać i w tym celu kazał żołnierzom strażować przy drzwiach i oknach chaty, a sam rzekł do smolarza:

— Weź, chłopie, latarnię i chodź ze mną.

— Chyba łuczywem wielmożnemu panu zaświecę, bo niemasz latarni.

— To świeć łuczywem; spalisz szopę i konie, wszystko mi jedno!

Na takie dictum, latarnia znalazła się zaraz w komorze. Soroka kazał chłopu iść naprzód, sam zaś szedł za nim z pistoletem w garści

— Kto tu mieszka w tej chacie? — pytał po drodze.

— Panowie mieszkają.

— Jak ich zowią?

— Tego mi nie wolno powiedzieć.

— Widzi mi się, chłopie, że weźmiesz w łeb!

— Mój jegomość, — odpowiedział smolarz — jeślibym zełgał jakie przezwisko, to też musiałbyś się jegomość kontentować.

— Prawda jest! A siła tych panów?

— Jest stary pan i dwóch paniczów i dwóch czeladzi.

— Jakże to, szlachta?

— Pewnie, że szlachta.

— I tu mieszkają?

— Czasem tu, a czasem Bóg wie gdzie!

— A te konie skąd?

— Panowie naprowadzają, a skąd, Bóg wie!

— Rzeknij prawdę, nie rozbijają twoi panowie na gościńcu?

— Czy ja mój jegomość, wiem? Widzi mi się, że konie biorą, a komu, to nie moja głowa.

— A co z końmi robią?

— Czasem wezmą sztuk dziesięć, dwanaście, ile jest i popędzą, a dokąd, to też nie wiem.

Tak rozmawiając, doszli do szopy, z której słychać było parskanie koni i weszli do środka.

— Świeć! — rzekł Soroka.

Chłop podjął latarnię w górę i począł oświecać konie, stojące szeregiem przy ścianie. Soroka opatrzył jednego po drugim okiem znawcy i głową kręcił, językiem mlaskał i mruczał:

— Nieboszczyk pan Zend radby był... Są polskie, moskiewskie... a ten wałach Niemiec... i ona klacz także... Zacne konie. A co im dajecie?

— Żeby nie zełgać, mój jegomość, tom tu dwie polanki owsem obsiał jeszcze z wiosny.

— To twoi panowie od wiosny konie sprowadzają?

— Nie, ale mi czeladnika z rozkazem przysłali.

— Toś ty ich?

— Ja byłem ich, nim na wojnę poszli.

— Na jaką wojnę?

— Czy ja wiem, mój jegomość. Poszli daleko, jeszcze zeszłego roku, a wrócili latem.

— A czyj teraz jesteś?

— To królewskie lasy.

— Kto cię tu osadził na smolarni?

— Borowy królewski, panów krewny, który z nimi też konie prowadzał, ale jak raz z nimi pojechał, tak i więcej nie wrócił.

— A goście jacy tu u panów nie bywali?

— Tu nikt nie trafi, bo bagna naokoło i tylko jedno przejście, dziwno mi to, mój jegomość, żeście trafili, bo kto nie trafi, tego i bagno wciągnie.

Soroka chciał zrazu odpowiedzieć, że i te lasy i to przejście zna dobrze, ale po chwili namysłu postanowił lepiej zamilczeć, a natomiast spytał:

— A duże to lasy?

Chłop nie zrozumiał pytania.

— Jakto?

— Daleko idą?

— Oj! kto je tam przeszedł: jedne się kończą, drugie zaczynają, a Bóg tam wie, gdzie ich niema. Ja tam nie był.

— Dobrze! — rzekł Soroka.

To rzekłszy, kazał chłopu wrócić i sam zawrócił do chaty.

Po drodze rozmyślał, co mu czynić przystoi i wahał się. Z jednej strony przychodziła mu ochota, korzystając z nieobecności mieszkańców chaty, brać konie jak swoje i z rankiem umykać. łup był cenny i konie bardzo przypadły do serca staremu żołnierzowi, ale po chwili zwalczył pokusę. Wziąć łatwo, jeno co dalej czynić? Bagna naokoło, jedno wyjście — jak do niego trafić? Ba! Przypadek raz posłużył, ale może nie posłużyć drugi raz. Iść śladem kopyt na nic, boć pewnie mieszkańcy mieli tyle rozumu, że poczynili umyślnie śladowe drogi fałszywe i zdradne, wiodące wprost do topieli. Soroka znał dobrze proceder ludzi, którzy konie kradną lub łupem biorą.

Myślał więc i rozważał, nagle uderzył się pięścią w głowę.

— Kiep ze mnie! — mruknął — tož wezmę chłopa na postronek każę się wyprowadzić na gościniec.

Nagle wstrząsnął się, wymówiwszy ostatni wyraz.

— Na gościniec? A tam ten książę i pogoń...

— Piętnaście koni trzeba stracić! — rzekł sobie w duchu stary wyga, z takim żalem, jakby te konie od małego wyhodował. — Nie może być inaczej, tylko skończyło się nasze szczęście. Trzeba

siedzieć w chacie, póki pan Kmicic nie wyzdrowieje, siedzieć z wolą mieszkańców, albo bez woli, a co potem będzie,to już pułkownika głowa.

Tak rozmyślając, wrócił do chaty. Czujni żołnierze stali przy drzwiach i choć widzieli zdala latarkę, migocą w ciemności, tę samą, z którą Soroka i smolarz wyszli, przecie kazali im się opowiedzieć kto są, zanim puścili ich do chaty. Soroka dał ordynans, by strażujący zmienili się o północku, sam zaś rzucił się na tapczan obok Kmicica.

W chacie uczyniło się cicho, jeno świerszcze rozpoczęły zwykłą muzykę, w przyległej komórce myszy chrobotały w nagromadzonych tam rupieciach, od czasu do czasu zaś chory budził się i marzył widocznie gorączkowo, bo do uszu Soroki dolatywały bezładne jego słowa:

— Miłościwy królu, odpuść... Tamci zdrajcy... Wszystkie ich sekreta powiem... Rzeczpospolita sukno czerwone... Dobrze, mam cię, mości książę... Trzymaj!... Miłościwy królu!... Tędy, bo tam zdrada!

Soroka podnosił się na tapczanie i słuchał, lecz chory, zakrzyknąwszy raz i drugi, zasypiał, a potem znów budził się i wołał:

— Oleńka, Oleńka, nie gniewaj się!...

Dopiero koło północy uspokoił się zupełnie i zasnął na dobre. Soroka też począł drzemać, ale wnet zbudziło go ciche pukanie do drzwi chaty.

Czujny żołnierz otworzył oczy natychmiast i zerwawszy się na równe nogi, wyszedł z chaty.

— A co tam? — spytał.

— Panie wachmistrzu, smolarz uciekł.

— Do stu dyabłów! wnet on nam tu zbójów naprowadzi. A kto jego pilnował?

— Biłous.

— Poszedłem z nim konie nasze poić — rzekł, tłomacząc się, Biłous. — Kazałem mu wiadro ciągnąć, a sam szkapy trzymałem...

— I co? w studnię skoczył?

— Nie, panie wachmistrzu, jeno między pnie, co ich wedle studni siła leży naciętych i w karczowe doły. Puściłem konie, bo choćby się rozbiegły, to tu są drugie i skoczyłem za nim, alem w pierwszym dole utknął. Noc, ciemno, jucha zna miejsce, tak i pomknął... Żeby go mór trafił!

— Naprowadzi on nam tu dyabłów, naprowadzi... Żeby go pioruny zatrzasły!...

Wachmistrz uciął, a po chwili rzekł:

— Nie będziemy się kładli, trzeba czuwać do rana; lada chwila kupa nadejść może.

I dając przykład innym sam zasiadł na progu chaty z muszkietem w ręku, żołnierze zaś siedli koło niego, gwarząc między sobą zcicha, to podśpiewując półgłosem, to nasłuchując, czy wśród nocnych odgłosów boru nie dojdzie ich tętent i parskanie zbliżających się koni.

Noc była pogodna i księżycowa, ale hałaśliwa. W głębinach leśnych wrzało życie. Była to pora bekowiska, więc puszcza brzmiała naokół groźnemi rykami jeleni. Odgłosy owe krótkie, chrapliwe, pełne gniewu i zaciekłości, rozlegały się naokoło, we wszystkich częściach lasu, w głębiach i bliżej, czasem tuż już, jakby o sto kroków za chatą.

— Jeśli oni nadejdą, to też będą porykiwać, by nas zmylić — rzekł Biłous.

— E! tej nocy nie nadejdą. Nim chłop do nich zdąży, to i dzień będzie! — odrzekł inny żołnierz.

— Po dniu, panie wachmistrzu, zdałoby się chatę przetrząść i pod ścianami pokopać, bo jeśli zbóje tu mieszkają, to i skarby być muszą.

— Najlepsze skarby w onej stajni — odparł Soroka, wskazując ręką na szopę.

— A pobierzem?

— Głupiście! tu wyjścia niema, jeno bagna wkoło.

— A przecieśmy przyjechali.

— Bóg nas przeprowadził. Żywa dusza tu nie przyjdzie, ani nie wyjdzie, jeśli drogi nie zna.

— Po dniu znajdziem.

— Nie znajdziem, bo umyślnie nakluczono i ślady są mylne. Nie trzeba było chłopa puszczać.

— Wiadomo, że gościniec o dzień drogi — rzekł Biłous — i w tamtej stronie...

Tu wskazał palcem na wschodnią część lasu.

— Będziem jechali, póki nie przejedziemy, ot co!

— To myślisz, żeś już pan, jak będziesz na trakcie? Lepsza ci tu kula rozbójnika, niż tam stryczek.

— Jakto, ojcze? — rzekł Biłous.

— Bo tam już pewno nas szukają.

— Kto, ojcze?

— Książę.

Tu Soroka umilkł nagle, a z nim umilkli i inni, jakby zdjęci przestrachem.

— Oj! — rzekł wreszcie Biłous. — Tu źle i tam źle: kruty ne werty!

— Nagnali nas jak siromachów w sieci; tu zbóje, a tam książę! — rzekł inny żołnierz.

— Niech ich tam piorun zapali! Wolę mieć sprawę ze zbójem, niż z charakternikiem, — odpowiedział Biłous — bo że ten książę niesamowity, to niesamowity. Zawratyński to przecie z niedźwiedziem w pół się brał, a on mu szablę wydarł jako dziecku. Nie może inaczej być, tylko go zaczarował, bo i to jeszcze widziałem, że jak się potem na Witkowskiego rzucił, to w oczach urósł, jak sosna. Żeby nie to, nie byłbym ja jego żywego puścił.

— I tak kiep z ciebie, żeś na niego nie skoczył.

— Co miałem robić, panie wachmistrzu? Myślałem tak: siedzi na najlepszym koniu, więc jak zechce, to ucieknie, a natrze, to się nie obronię, bo z charakternikiem nie ludzka moc! W oczach ci zginie, albo kurzawą się zakręci...

— Prawda jest, — rzekł Soroka — że gdym do niego strzelał to go jakoby mgłą zasnuło... i chybiłem... Z konia każdemu się chybić trafi, gdy się szkapa kręci, ale z ziemi, to mi się od dziesięciu lat nie zdarzyło.

Co tu gadać! — rzekł Biłous — lepiej policzyć: Lubieniec, Witkowski, Zawratyński, nasz pułkownik — i wszystkich jeden mąż obalił i to broni nie mający, takich ludzi, z których każdy z czterema nieraz rady sobie dawał. Bez dyabelskiej pomocy nie mógłby on tego dokazać.

— Polećmy dusze Bogu, bo jeśli on niesamowity, to mu dyabeł i tu drogę pokaże.

— A i bez tego długie on ma ręce, jako pan taki...

— Cichono! — rzekł nagle Soroka — coś tu po liściach szeleści.

Żołnierze umilkli i nadstawili uszu. W pobliżu istotnie dały się słyszeć jakieś ciężkie kroki, pod któremi opadłe liście szeleściały bardzo wyraźnie.

— Konie słychać — szepnął Soroka.

Lecz kroki poczęły oddalać się od chaty, a wkrótce potem rozległo się groźne i chrapliwe beczenie jelenia.

— To jelenie! Byk się łaniom oznajmia, albo drugiego rogala straszy.

— W całym lesie gody, jakoby się dyabeł żenił!

Umilkli znowu i poczęli drzemać, jeno wachmistrz podnosił czasem głowę i nasłuchiwał przez chwilę, poczem głowa opadała mu zaraz na piersi. Tak zeszła godzina i druga, aż nakoniec sosny najbliższe z czarnych uczyniły się szare, a wierzchołki bielały coraz bardziej, jakoby je kto roztopionem srebrem namaścił. Ryki jelenie umilkły i cisza zupełna zapanowała w głębiach leśnych. Zwolna brzask począł przechodzić w świtanie, białe i blade światło jęło wsiąkać w siebie różowe i złote blaski, nakoniec nastał dzień zupełny i oświecił znużone twarze żołnierzy, śpiących twardym snem przed chatą.

Wtem drzwi się otwarły, Kmicic ukazał się w progu i zawołał:

— Soroka! bywaj!

Żołnierze zerwali się na równe nogi.

— Dla Boga, to wasza miłość na nogach — rzekł Soroka.

— A wy pospaliście się jak woły; możnaby wam łby poucinać i za płot powyrzucać, nimby się który rozbudził.

— Czuwaliśmy do rana, panie pułkowniku, zasnęliśmy dopiero o dniu białym.

Kmicic rozejrzał się dokoła.

— Gdzie jesteśmy?

— W lesie, panie pułkowniku.

— To i ja widzę. Ale co to za chałupa.

— Tego my sami nie wiemy.

— Chodź za mną! — rzekł pan Andrzej.

I cofnął się do wnętrza chaty. Soroka podążył za nim.

— Słuchaj — rzekł Kmicic, siadłszy na tapczanie — wszakże to książę do mnie strzelił?

— Tak jest.

— A co się z nim stało?

— Uszedł.

Nastała chwila milczenia.

— To źle! — rzekł Kmicic — bardzo źle! Lepiej byłoby go położyć, niż żywego puszczać.

— My tak i chcieli, ale...

— Ale co?

Soroka opowiedział pokrótce co się stało. Kmicic słuchał nad podziw spokojnie, jeno oczy poczęły mu gorzeć, a w końcu rzekł:

— Tedy on górą, ale się jeszcze spotkamy. Czemuś zjechał z gościńca?

— Bałem się pogoni.

— To i słusznie, bo pewno była. Zamało nas teraz na Bogusławową potęgę... dyablo zamało!... Przytem on do Prus ruszył, tam nie możemy go ścigać, trzeba czekać...

Soroka odetchnął. Pan Kmicic widocznie nie obawiał się znów tak bardzo księcia Bogusława, skoro o pościgu mówił. Ta ufność udzieliła się odrazu staremu żołnierzowi, przywykłemu myśleć głową swego pułkownika i czuć jego sercem.

Tymczasem pan Andrzej zamyślił się głęboko, nagle ocknął się i jął szukać czegoś koło siebie rękoma.

— A gdzie to moje listy? — spytał.

— Jakie listy?

— Którem miał przy sobie... W pasie były zatknięte; gdzie pas? — pytał gorączkowo pan Andrzej.

— Pas ja sam odpiąłem z waszej miłości, żeby waszej miłości lepiej było dychać, ot tam leży.

— Dawaj!

Soroka podał skórzany pas, podszyty irchą, w której były ściągane na sznurki kieszenie. Kmicic rozciągnął je i wydobył pośpiesznie papiery.

— To glejty do komendantów szwedzkich, a gdzie listy? — rzekł pełnym niepokoju głosem.

— Jakie listy? — powtórzył Soroka.

— Do kroćset piorunów! listy hetmana do króla szwedzkiego, do pana Lubomirskiego i te wszystkie, które miałem...

— Jeżeli w pasie ich niema, to nigdzie niema. Musiały zginąć w czasie jazdy.

— Na koń i szukać! — krzyknął straszliwym głosem Kmicic.

Lecz zanim zdumiony Soroka zdołał opuścić izbę, pan Andrzej zatoczył się na tapczan, jakby mu sił zbrakło i porwawszy się rękoma za głowę, począł powtarzać jęczącym głosem:

— Aj!... moje listy, moje listy!...

Tymczasem żołnierze odjechali, prócz jednego, któremu So-

roka rozkazał strażować przy chałupie. Kmicic pozostał sam w izbie i począł rozmyślać nad własnem położeniem, które nie było godne zazdrości. Bogusław uszedł. Nad panem Andrzejem zawisła straszliwa i nieunikniona zemsta potężnych Radziwiłłów. I nie tylko nad nim, ale na wszystkimi, których kochał, a krótko mówiąc, nad Oleńką. Wiedział to Kmicic, że książę Janusz nie zawaha się uderzyć go tam, gdzie będzie go mógł zranić najboleśniej, to jest wywrzeć zemstę na osobie Billewiczówny. A wszakże Oleńka była w Kiejdanach na łasce i niełasce straszliwego magnata, którego serce nie znało miłosierdzia. Im więcej Kmicic rozmyślał nad swem położeniem, tem jaśniej dochodził do przekonania, że było ono poprostu straszne. Po porwaniu Bogusława, Radziwiłłowie będą go mieli za zdrajcę; stronnicy Jana Kazimierza, ludzie sapieżyńscy i konfederaci zbuntowani na Podlasiu, mają go także za zdrajcę, za potępioną duszę radziwiłłowską. Wśród licznych obozów, stronnictw i obcych wojsk, zalegających tej chwili pola Rzeczypospolitej, nie było ani jednego obozu, ani jednej partyi, ani jednego wojska, któreby go nie poczytało za największego i najzaciętszego wroga. Wszakże istnieje nagroda wyznaczona przez Chowańskiego za jego głowę, a teraz wyznaczą ją Radziwiłłowie, Szwedzi — a kto wie, czy już nie wyznaczyli i stronnicy nieszczęsnego Jana Kazimierza. "O! tom piwa nawarzył, a teraz pić muszę!" — myślał Kmicic. Porywając księcia Bogusława, porwał go dlatego, by rzucić go pod nogi konfederatów, przekonać ich niezbicie, że z Radziwiłłami zrywa i wkupić się między nich, zdobyć sobie prawo walczenia za króla i ojczyznę. Z drugiej strony Bogusław w jego ręku był zakładnikiem bezpieczeństwa Oleńki. Lecz teraz, gdy Bogusław pogromił Kmicica i uszedł, nietylko znikło bezpieczeństwo Oleńki, ale i dowód, że pan Kmicic szczerze porzucił Oleńki, ale i dowód, że pan Kmicic szczerze porzucił radziwiłłowską służbę. Wszakże otwarta mu droga do konfederatów i jeśli trafi na oddział Wołodyjowskiego i jego przyjaciół pułkowników, może darują mu życie, ale czy za towarzysza przyjmą, czy mu uwierzą, czy nie pomyślą, że przybył na przeszpiegi, albo dlatego, by ducha paść i ludzi do Radziwiłłów przeciągać? Tu wspomniał, że ciąży na nim krew konfederacka, wspomniał, że onto pierwszy zbił zbuntowanych Węgrów i dragonów w Kiejdanach, że rozpraszał zbuntowane chorągwie i zmuszał je do poddania, że rozstrzeliwał opornych oficerów i wycinał żoł-

nierzy, że szańczykami otoczył i umocnił Kiejdany, a przezto Radziwiłłowi tryumf na Żmudzi zapewnił... "Jakże mi tam iść? — pomyślał sobie—tożby im zaraza milszym była gościem, niż moja osoba!.... Z Bogusławem na arkanie przy siodle — możnaby, ale z gębą tylko i gołemi rękoma!..."

Gdyby miał choć owe listy, to choćby się niemi do konfederatów nie wkupił, miałby przynajmniej przez nie księcia Janusza w ręku, boć owe listy mogły podkopać kredyt hetmana nawet u Szwedów... Więc za ich cenę możnaby było Oleńkę uratować...

Lecz zły duch jakiś sprawił, że i listy zginęły.

Kmicic, gdy wszystko myślą ogarnął, porwał się raz drugi za głowę.

— Zdrajcam dla Radziwiłłów, zdrajca dla Oleńki, zdrajca dla konfederatów, zdrajca dla króla!... Zgubiłem sławę, cześć, siebie, Oleńkę!...

Rana w twarzy paliła go jeszcze, ale w duszy piekło go żarło, uczucie stokroć boleśniejsze. Bo na dobitkę wszystkiego cierpiała w nim i miłość własna rycerska. Był przecie przez Bogusława sromotnie pobity. Niczem były owe cięgi, które mu w Lubiczu sprawił pan Wołodyjowski, tam pokonał go mąż zbrojny, którego na parol wyzwał, tu jeniec bezbronny, którego miał w ręku.

Z każdą chwilą rosło w Kmicicu poznanie, w jak straszne popadł terminy. Im dłużej w nie patrzył, tem jaśniej ich okropność widział i coraz nowe czarne kąty spostrzegał, z których wyglądały hańba, sromota, zguba dla niego samego, dla Oleńki, krzywdy dla ojczyzny — aż w końcu ogarnął go przestrach i zdumienie.

— Zali ja to wszystko uczyniłem? — pytał sam siebie.

I włosy powstały mu na głowie.

— Nie może być! Chyba mnie jeszcze febra trzęsie! — zakrzyknął: — Matko Boża, nie może być!...

— Ślepy! głupi warchole! — rzekło mu sumienie — nie byłoż ci to przy królu i ojczyźnie stanąć, nie byłoż ci posłuchać Oleńki!

I porwał go żal jak wicher. Hej! żeby tak sobie mógł powiedzieć: Szwedzi przeciw ojczyźnie, ja na nich! Radziwiłł przeciw królowi —ja na niego! Dopieroż byłoby mu w duszy jasno i przejrzysto. Dopierożby kupę zebrał zabijaków z pod ciemnej gwiazdy i hasał z nimi, jak Cygan na jarmarku i podchodził Szwedów i po brzuchach im przejeżdżał z czystem sercem, z czystem su-

mieniem, dopieróżby w sławie, jako w słońcu, stanął kiedyś przed Oleńką i rzekł:

— Już ja nie bannit, ale defensor patriae, miłujże mnie, jako ja ciebie miłuję!

A dziś co?

Lecz harda dusza, przywykła sobie folgować, nie chciała zaraz całkiem przyznać się do winy. Radziwiłłowie to tak go pogrążyli, Radziwiłłowie do zguby przywiedli, okryli niesławą, związali ręce, zbawili czci i kochania.

Tu zgrzytnął pan Kmicic zębami, wyciągnął ręce ku Żmudzi, na której Janusz, hetman, siedział jak wilk na trupie — i począł wołać przyduszonym wściekłością głosem:

— Pomsty! pomsty!

Nagle rzucił się w desperacyi na kolana wpośrodku izby i począł mówić:

— Ślubuję Ci, Chryste Panie, tych zdrajców gnębić, zajeżdżać!... prawem, ogniem i mieczem ścigać, póki mi pary w gębie, tchu w w gardzieli i żywota na świecie! Tak mi królu Nazareński dopomóż! Amen!

Aż mu jakiś głos wewnętrzny rzekł w tej chwili:

— Ojczyźnie służ, zemsta na potem!!...

Oczy pana Andrzeja płonęły gorączką, wargi miał spiekłe i drżał cały jak w febrze; rękoma wymachiwał i gadając z sobą głośno, chodził a raczej biegał po izbie, trącał łokciami tapczany, aż wreszcie rzucił się jeszcze raz na kolana.

— Natchnijże mnie, Chryste, co mam czynić, abym zaś nie oszalał!

Wtem doszedł go huk wystrzału, który echo leśne odrzucało od sosny do sosny aż przyniosło, jakoby grzmot do chaty.

Kmicic zerwał się i chwyciwszy szablę, wypadł przed sień

— Co tam? — spytał żołnierza stojącego u proga.

— Wystrzał, panie pułkowniku!

— Gdzie Soroka?

— Pojechał listów szukać.

— W której stronie strzelono?

Żołnierz ukazał wschodnią część lasu, zarośniętą gęstemi haszczami.

— Tam!

W tej chwili dał się słyszeć tętent niewidzialnych jeszcze koni.

— Pilnuj! — krzyknął Kmicic.

Lecz z zarośli ukazał się Soroka, pędzący co koń wyskoczy, a za nim drugi żołnierz.

Obaj dobiegli do chaty i zeskoczywszy z koni, wymierzyli z poza nich, jakby z poza szańców, muszkiety ku zaroślom.

— Co tam? — spytał Kmicic.

— Kupa idzie! — odparł Soroka.

---

## XVI.

Nastała cisza, ale wkrótce w przyległych haszczach zaczęło coś łopotać, jakoby dziki szły, jednakże łopot ów, im był bliższy, tem stawał się wolniejszy. Potem znów nastała cisza.

— Ilu ich tam jest? — spytał Kmicic.

— Będzie ze sześciu, a może i ośmiu, bom ich też nie mógł dobrze zliczyć — odparł Soroka.

— To dobra nasza! Nie zdzierżą nam!

— Nie zdzierżą, panie pułkowniku, ale trzeba nam żywcem którego wziąć i przypiec, by drogę pokazał.

— Będzie na to czas. Pilnuj!

Zaledwie Kmicic wymówił: "pilnuj!" — gdy smuga białego dymu wykwitła z zarośli i rzekłbyś: ptastwo zaszumiało po pobliskiej trawie, o jakie trzydzieści kroków od chaty.

— Hufnalami z garłacza strzelano! — rzekł Kmicic. — jeśli muszkietów nie mają, to nic nam nie uczynią, bo z garłaczy od zarośli nie doniesie.

Soroka, trzymając jedną dłonią muszkiet oparty o kulbakę stojącego przed nim konia, drugą zwinął w kształcie trąbki koło ust i począł krzyczeć:

— A pokażno się który z haszczów, wnet się nogami nakryjesz!

Nastała chwila ciszy, poczem w zaroślach rozległ się groźny głos!

— Coście za jedni?

— Lepsi od tych, co po traktach grasują.

— Jakiem prawem naszliście naszą siedzibę!

— Zbój o prawo pyta! Nauczy was kat prawa, idźcie do kata!

— Wykurzymy was stąd, jak jaźwców!

— A chodź! Patrz jeno, byś się tym dymem sam nie zadławił!

Głos w zaroślach zamilkł, widocznie napastnicy poczęli się naradzać, tymczasem Soroka szepnął do Kmicica:

— Trzeba tu będzie którego zwabić i związać; będziem mieć i zakładnika i przewodnika.

— Ba! — rzekł Kmicic — jeżeli który przyjdzie, to na parol.

— Ze zbójami godzi się i na parol nie zważać.

— Lepiej nie dać! — rzekł Kmicic.

Wtem pytania nowe zabrzmiały od strony zarośli:

— Czego tu chcecie?

Tu sam Kmicic zabrał głos:

— Jakeśmy przyjechali, takbyśmy i pojechali, gdybyś politykę, kpie, znał i od garłacza nie zaczynał.

— Nie osiedzisz się tu, wieczorem przyjdzie nas sto koni!

— Przed wieczorem przyjdzie dwieście dragonów, a bagna cię nie obronią, bo są tam tacy, którzy przejadą, jako i myśmy przejechali.

— Toście wy żołnierze?

— Jużci nie zbóje.

— Z pod jakiej chorągwi?

— A cóżeś to hetman? Nie tobie się będziem sprawiali.

— Postaremu, wilcy tu was ogryzą.

— A was kruki zdziobią.

— Gadajcie, czego chcecie, do stu dyabłów! Pocóżeście do naszej chaty wleźli?

— A chodźno sam! Nie będziesz z haszczów gardła darł. Bliżej! bliżej!

— Na parol?

— Parol dla rycerstwa, nie dla zbójów. Chcesz wierz, nie chcesz — nie wierz!

— We dwóch można li?

— Można!

Po chwili z zarośli, odległych na sto kroków, wynurzyło się dwóch ludzi wysokich i pleczystych. Jeden nieco pochylony, musiał być człekiem wiekowym, drugi szedł prosto, jeno szyję wyciągał ciekawie ku chacie; obaj mieli na sobie półkożuszki, oszyte szarem suknem, jakie nosiła pomniejsza szlachta, wysokie jałowicze buty i kapuzy futrzane, naciśnięte na oczy.

— Kiej dyabeł! — mruknął Kmicic, przypatrując się pilnie dwóm mężom.

— Panie pułkowniku — zawołał Soroka — cud chyba, ale to nasi ludzie.

Tamci tymczasem zbliżyli się o kilka kroków, ale nie mogli rozpoznać stojących przy chacie, bo ich zakrywały konie.

Nagle Kmicic wysunął się naprzód.

Wszelako nadchodzący nie poznali go, bo twarz miał obwiązaną, wstrzymali się jednak i poczęli mierzyć go ciekawie i niespokojnie oczyma.

— A gdzie drugi syn, panie Kiemlicz? — spytał pan Andrzej — czy aby nie poległ?

— Kto to? Jakto? co? kto mówi? co? — rzekł stary dziwnym, jakby przestraszonym głosem.

I stanął nieruchomie, otworzywszy szeroko usta i oczy; w tem syn, który jako młodszy, miał wzrok bystrzejszy, zerwał nagle czapkę z głowy.

— O dla Boga! Jezu! ojciec! to pan pułkownik! — zakrzyknął.

— Jezu! o słodki Jezu! — zawtórował stary — to pan Kmicic!

I obaj stanęli w nieruchomej postawie, a w jakiej podkomendni witają swych naczelników, a na twarzach ich malowały się równocześnie przestrach i zdumienie.

— Ha! tacy synowie — rzekł uśmiechając się pan Andrzej — to z garłacza mnie witacie?

Tu stary zerwał się i począł krzyczeć:

— A bywajcie tu wszyscy! Bywajcie!

A zarośli ukazało się jeszcze kilku ludzi, między którymi drugi syn starego i smolarz; wszyscy biegli na złamanie karku z gotowemi broniami, nie wiedzieli bowiem, co zaszło, lecz stary znów zakrzyknął:

— Do kolan szelmy! do kolan! to pan Kmicic! Który tam kiep strzelił? Dawaj go sam!

— Sameś ociec strzelił — rzekł młody Kiemlicz.

— Łżesz! Łżesz jak pies! Panie pułkowniku, kto mógł wiedzieć, że to wasza miłość w naszej sadybie! Dla Boga! oczom jeszcze nie wierzę!

— Jam jest, we własnej osobie! — rzekł Kmicic, wyciągając doń rękę.

— O Jezu! — odpowiedział stary — taki gość w boru. Oczom nie wierzę! Czem my tu waszą miłość przyjmiemy? Żeby my się spodziewali, żeby my wiedzieli!

Tu zwrócił się do synów:

— Ruszże się tam, który bałwanie, do lochu, miodu wynieść!

— Daj ojciec klucz od kłódki! — rzekł jeden z synów.

Stary począł szukać w pasie, a jednocześnie spoglądał podejrzliwie na syna.

— Klucz od kłódki? Ale znają cię, cyganie; więcej sam wypijesz, niż tu przyniesiesz. Co? sam pójdę; klucza od kłódki mu się chce! Idźcie jeno pnie odwalić, a otworzę i wyniosę ja sam!

— To widzę loszek pod pniami masz ukryty, panie Kiemlicz? — rzekł Kmicic.

— Albo to można co utrzymać z takimi zbójami! — odpowiedział stary, wskazując na synów. — Ojcaby zjedli. Jeszczeście tu! Idźcie pnie odwalić. Takto słuchacie tego, który was spłodził.

Młodzi kopnęli się żywo za chatę ku kupom naciętych pni.

— Postaremu, jak widzę, z synami w niezgodzie? — pytał Kmicic.

— Ktoby z nimi był w zgodzie... Bić to umieją, zdobycz brać umieją, ale jak przyjdzie z ojcem się dzielić, to z gardła im muszę moją część wydzierać... Taka mi pociecha! a chłopy jak tury! Proszę waszą miłość do chaty, bo tu chłód kąsa. Dla Boga! taki gość, taki gość! Toż my pod komendą waszej miłości więcej zdobyczy wzięli, niż przez ten cały rok... Chudzizna teraz! bieda! złe czasy i coraz gorsze, a i starość nie radość!... Proszę do chaty, w niskie progi. Dla Boga! ktoby się tu waszej miłości spodziewał!...

Stary Kiemlicz mówił dziwnie prędkim i narzekającym głosem, a mówiąc, rzucał szybkie i niespokojne spojrzenia na wszystkie strony. Byłto starzec kościsty i ogromny, z twarzą wiecznie skrzywioną i tetryczną. Oczy miał kose, również jak i jego dwaj synowie, brwi krzaczaste i takież wąsy, pod któremi sterczała wysunięta niezmiernie naprzód dolna warga, która, gdy mówił, schodziła mu aż pod nos, jak u ludzi, nie mających zębów. Zgrzybiałość jego dziwne czyniła przeciwieństwo z czerstwością jego postaci, zdradzającej niezwykłą siłę i żwawość. Ruchy miał szybkie jakby go sprężyna poruszała; głowę ciągle obracał, starając się objąć oczyma wszystko, co go otaczało, zarówno ludzi i rzeczy. Dla Kmicica z każdą chwilą stawał się uniżeńszy, w miarę, jak odzywała się w nim służbistość dla dawnego wodza, bojaźń, a może admiracya, albo i przywiązanie.

Kmicic znał Kiemliczów dobrze, albowiem ojciec i dwaj synowie służyli pod nim za owych czasów, gdy na Białej Rusi prowadził na własną rękę wojnę z Chowańskim. Byli to żołnierze mężni i równie okrutni jak mężni. Syn, Kosma, nosił czas jakiś chorągiew w Kmicicowej kupie, ale wkrótce zrzekł się tej zaszczytnej szarży, bo mu przeszkadzała łup brać. Między kosterami i hulajduszami, z jakich składała się Kmicicowa partya, którzy we dnie przepijali i tracili to, co nocą zdobyli krwawo na nieprzyjacielu, Kiemliczowie odznaczyli się wielką chciwością. Gromadzili skrzętnie łup i kryli się po lasach. Brali szczególnie łapczywie konie, które sprzedawali później po dworach i miasteczkach. Ojciec bił się nie gorzej od synów bliźniaków, ale po każdej bitwie wydzierał im najznamienitszą część łupu, rozwodząc przytem skargi i żale, że go krzywdzą, grożąc przekleństwem ojcowskiem, jęcząc i narzekając. Synowie warczeli na niego, ale dość głupowaci z natury, pozwolili się tyranizować. Mimo ustawicznych kłótni i swarów, w bitwie stawał jeden za drugim zaciekle, nie szczędząc krwi. Towarzysze nie lubili ich, ale obawiano się ich powszechnie, w zajściach bowiem bywali straszni. Nawet oficerowie unikali z nimi zaczepki. Jeden tylko Kmicic wzbudzał w nich strach nieopisany, a po Kmicicu, pan Ranicki, któremu, gdy twarz w gniewie pocętkowala się plamami, wówczas drżeli przed nim. Czcili też w obydwóch ród wysoki, bo Kmicicowie z dawnych czasów górowali w Orszańskiem, a w Ranickim płynęła krew senatorska.

W partyi mówiono, że zebrali wielkie skarby, ale nikt dobrze nie wiedział, czy było w tem coś prawdy. Pewnego dnia wysłał ich Kmicic z kilku czeladzi i tabunem zdobycznym koni — od tej pory znikli. Kmicic rozumiał, że polegli, żołnierze mówili, że uszli z końmi, gdyżto była za wielka dla ich serc pokusa. Teraz, gdy ich pan Andrzej ujrzał zdrowych, gdy w szopie podle chaty rżały jakieś konie, a radość i uniżoność starego mieszała się z niespokojnością, pomyślał pan Andrzej, że żołnierze mieli słuszność.

To też, gdy weszli do chaty, siadł na tapczanie i wziąwszy się w boki, począł patrzeć prosto w oczy staremu, następnie spytał:

— Kiemlicz! a gdzie to moje konie?

— O Jezu! słodki Jezu! — jęknął stary — Zołtareńkowi ludzie zabrali, pobili nas, poranili, rozproszyli, gnali szesnaście mil, ledwieśmy z życiem uszli. O Matko Najświętsza! Jużeśmy ni waszej miłości, ni partyi nie mogli znaleźć. Przygnali nas aż tu w te

bory, na mizeryę i głód, do tej chałupy, do tych bagien. Bóg łaskaw, że wasza mość żywie i zdrowy, choć widzę ranny. Możeby opatrzyć, ziół odciągających przyłożyć... A ci moi synalowie poszli pnie odwalać i zginęli. Co te szelmy tam robią? Gotowi drzwi wysadzić i do miodu się dobrać. Głód tu i mizerya — więcej nic. Grzybami żyjemy, ale dla waszej mości znajdzie się co wypić i przekąsić... Tamte konie porwali nam, zagrabili... Niema o czem mówić! I nas służby u waszej miłości zbawili; kawałka chleba na starość niema, chyba nas wasza cześć przytuli i napowrót do służby przyjmie.

— Może się to i zdarzyć — odrzekł Kmicic.

W tej chwili weszli dwaj synowie starego: Kosma i Damian, bliźniacy, chłopy duże, niezgrabne, z ogromnemi głowami, porosłemi całkiem niezmiernie gęstym i twardym jak szczecina włosem, nierównym, sterczącym koło uszu, tworzącym wichry i fantastyczne czuby na czaszkach. Wszedłszy, stanęli koło drzwi, bo w obecności Kmicica usiąść nie śmieli, i Damian rzekł:

— Loch odwalony.

— Dobrze, — rzekł stary Kiemlicz — pójdę przynieść miodu. Tu spojrzał na synów znacząco

— A tamte konie Zołtareńkowi ludzie zabrali — rzekł z przyciskiem.

I wyszedł z izby.

Kmicic patrzył na dwóch budrysów, stojących pode drzwiami, jakoby toporem zgruba z pni wyciosanych, nagle spytał:

— Co wy teraz robicie?

— Konie bierzem! — odrzekli jednocześnie bliźniacy.

— Komu?

— Komu popadnie.

— A najwięcej?

— Zołtareńkowym.

— To dobrze, nieprzyjaciołom wolno brać, ale jeżeli i swoim bierzecie, toście hultaje, nie szlachta. Co z temi końmi czynicie?

— Ojciec w Prusach sprzedają.

— A Szwedom zdarzało się wam odbierać? Bo to tu gdzieś niedaleko szwedzkie komendy? Podchodziliście Szwedów?

— Podchodzilim.

— Toście na pojedyńczych napadali, albo na małe kupki! A gdy się bronili, cóż wy wówczas?

— Pralim.

— Aha! praliście! Tedy macie swój rachunek u żołtareńkowych i u Szwedów i pewnieby wam nie uszło na sucho, gdybyście im w ręce wpadli?

Kosma i Damian milczeli.

— Niebezpieczny prowadzicie proceder i godniejszy hultajów, niż szlachty... Nie bez tego też musi być, żeby na was jakie wyroki z dawnych czasów nie ciążyły.

— Jakże nie! — odrzekli Kosma i Damian.

— Tak i myślałem. Z których wy stron?

— My tutejsi.

— Gdzie ojciec przedtem mieszkał?

— W Borowiczku.

— Jego była wioska?

— W kollokacyi z Kopystyńskim.

— A co się z nim stało?

— Usieklim.

— I musieliście uchodzić przed prawem. Kuso z wami Kiemlicze, i na gałęziach pokończycie! Kat wam poświeci, nie może inaczej być!

Wtem drzwi do izby skrzypnęły i wszedł stary, niosąc gąsior miodu i dwie szklanki. Wszedłszy, spojrzał niespokojnie na synów i na pana Kmicica, a potem rzekł:

— Idźcie loch zawalić.

Bliźniacy wyszli natychmiast, ojciec zaś nalał miód w jedną szklankę, drugą zaś zostawił próżną, czekając, czy mu Kmicic pić z sobą pozwoli.

Lecz Kmicic sam pić nie mógł, bo i mówił nawet z trudnością, tak mu rana dolegała. Widząc to stary, rzekł:

— Nie idzie miód na ranę, chybaby samą zalać, żeby się prędzej wypaliła. Wasza miłość pozwoli obejrzeć i opatrzeć, bo to ja się nie gorzej cyrulika znam na tem.

Kmicic zgodził się, więc Kiemlicz zdjął obwiązki i począł patrzeć pilnie.

— Skóra starta, nic to! Kula po wierzchu przeszła, ale przecie napuchło.

— To też jeno dlatego dolega.

— Ale to i dwóch dni niema. Matko Najświętsza! Musiał ktoś okrutnie blisko do waszej miłości strzelić

— A po czem miarkujesz?

— Bo się i wszystek proch nie zdążył spalić i ziarnka, jak czarnuszka, pod skórą siedzą. To waszej miłości już zostanie. Teraz jeno chleba z pajęczyną przyłożyć. Okrutnie blisko ktoś strzelił, dobrze, że waszej miłości nie zabił!

— Nie było mi jeszcze pisane. Zagniećże chleba z pajęczyną, panie Kiemlicz, i przyłóż coprędzej, bo mam z tobą pogadać, a szczęki bolą.

Stary spojrzał podejrzliwie na pułkownika, bo w sercu powstała mu obawa, aby ta rozmowa nie tyczyła się znów koni, wrzekomo przez Kozaków pobranych, jednakże zaraz zakrzątnął się; zagniótł najprzód zwilżonego chleba, a gdy o pajęczynę nie było w chacie trudno, wnet opatrzył Kmicica.

— Dobrze mi teraz, — rzekł pan Andrzej — siadaj, mości Kiemlicz.

— Według rozkazu pana pułkownika — odparł stary, siadając na brzeżku ławki i wyciągając niespokojnie swą siwą, szczeciniastą głowę ku Kmicicowi.

Lecz Kmicic, zamiast pytać lub rozmawiać, wziął głowę w ręce i zamyślił się głęboko. Poczem wstał i począł chodzić po izbie, chwilami zatrzymywał się przed Kiemliczem i patrzył na niego roztargnionym wzrokiem, widocznie coś rozważał, łamał się z myślami. Tymczasem upłynęło z pół godziny, stary kręcił się coraz niespokojniej.

Nagle Kmicic zatrzymał się przed nim.

— Mości Kiemlicz, — rzekł — gdzie tu najbliżej stoją te chorągwie, które się przeciw księciu wojewodzie wileńskiemu zbuntowały?

Stary począł mrugać podejrzliwie oczyma.

— Czy wasza miłość chce do nich jechać?

— Jać-nie proszę, byś pytał, jeno byś odpowiadał.

— Mówią, że w Szczuczynie jedna chorągiew stanie na kwaterach, ta, która ostatnia tędy ze Żmudzi przechodziła.

— Kto mówił?

— Sami ludzie z pod tej chorągwi.

— Kto ją prowadził?

— Pan Wołodyjowski.

— To dobrze. Wołaj mi Soroki!

Stary wyszedł i po chwili wrócił z wachmistrzem.

— A listy znalazły się? — pytał Kmicic.

— Niema, panie pułkowniku — odpowiedział Soroka.

Kmicic strzepnął palcami.

— Ej bieda! bieda! Możesz odejść, Soroka. Za te listy, żeście pogubili, warciście wisieć. Możesz odejść. Mości Kiemlicz, masz tu na czem pisać!

— Bodaj, że się znajdzie, — odparł stary.

— Choćby ze dwie karty i piór.

Stary zniknął we drzwiach komory, która widocznie była składem wszelkiego rodzaju rzeczy, ale szukał długo. Kmicic tymczasem chodził po izbie i rozmawiał sam z sobą.

— Czy listy są, czy ich niema — mówił — hetman nie wie, że zginęły i będzie się bał, żebym ich nie opublikował. Mam go w ręku... Chytrość na chytrość! Zagrożę mu, że wojewodzie witebskiemu poślę. Tak jest! W Bogu nadzieja, że sie tego zlęknie.

Dalsze rozmyślania przerwał mu stary Kiemlicz, który, wyszedłszy z komory, rzekł:

— Kart jest trzy, ale niema piór i inkaustu.

— Niema piór? A ptastwa tu jakowego niema w lesie? Choćby z rusznicy strzelić.

— Jest jastrząb przybity nad szopą.

— Dawaj skrzydło, ruszaj.

Kiemlicz pomknął coprędzej, bo w głosie Kmicica była niecierpliwość i jakoby gorączka. Po chwili wrócił ze skrzydłem jastrzębiem. Kmicic chwycił je, wyrwał lotkę i począł ją tempewać własnym puginałem.

— Ujdzie! — rzekł patrząc pod światło — ale łatwiej łby ludziom zacinać, niż pióra! A teraz trzeba inkaustu.

To rzekłszy, odwinął rękaw, zakłół się silnie w rękę i umoczył pióro we krwi.

— Ruszaj sobie, mości Kiemlicz — rzekł — i ostaw mnie.

Stary wyszedł z izby, a pan Andrzej zaraz rozpoczął pisać:

"Wypowiadam służbę w. x. mości, bo zdrajcom i zaprzańcom nie chcę dłużej służyć. A żem przysiągł na krucyfiksie, że w. x mości nie opuszczę, to mnie Bóg z tego rozgrzeszy — choćby zaś i potępił, wolę gorzeć za błąd mój, niżeli za jawną i rozmyślną zdradę ojczyzny i Pana mego. W. x. mość wywiodłeś mnie w pole, żem był jako ślepy miecz w twoich ręku, do rozlewania krwi bratniej skory. Tedy na boski sąd w. x. mość wzywam, aby nas rozsądzo-

no, po czyjej stronie była zdrada, a po czyjej czysta intencya. Jeżeli się zaś spotkamy, wonczas, choć wy jesteście potężni i nietylko prywatnego człeka, ale i całą Rzeczpospolitą na śmierć ukąsić możecie, a u mnie jeno szabla w garści, przecie się o swoje upomnę i ścigać w x. mość będę, do czego mój żal i moje zgryzoty siły mi dodadzą. A to już wasza x. mość wiesz, jeżelim nie z takich, co i bez chorągwi nadwornych, bez zamków i armaty zaszkodzić mogą. Póki mi tchu, póty zemsty nad wami, że ni dnia godziny pewni być nie możecie. Takto pewno ma być, jak jest moja własna krew, którą piszę. Listy w. x. mości mam, które w. x. mość nietylko u króla polskiego, ale i u Szwedów pogrążyć mogą, bo w nich zdrada Rzeczypospolitej jawna, jako i to, że Szwedów też gotowiście odstąpić, byle im się noga osunęła. Choćbyście dwakroć byli potężniejsi — zguba wasza w moich ręku, bo podpisom i pieczęciom każden uwierzyć musi. Tedy w. x. mości zapowiadam tak: jeśliby tam włos miał spaść z tych głów, które miłuje, a które w Kiejdanach ostały, owe listy i dokumenta do pana Sapiehy odsyłam, a kopie drukować każę i po kraju rozrzucę. Masz w. x. mość wóz i przewóz: albo po wojnie, gdy spokój w Rzplitej nastanie, oddasz mi Billewiczów, a ja w. x. mości listy, albo jeślibym złą nowinę usłyszał, zaraz pan Sapieha pokaże je Pontusowi. Chce się w. x. mości korony, jeno nie wiem, czy wówczas będzie ją na co włożyć, gdy głowa od polskiego lub szwedzkiego topora upadnie. Lepiej, widzi mi się, zamianę uczynić — bo choć ja pomsty i potem nie zaniecham, ale już się jeno privatim rozprawiać będziem. Bogu w. x. mość poleciłbym, gdyby nie to, że sam dyabelskie auxilia (posiłki) nad boskie przekładasz. — Kmicic.

P. S. Konfederatów w. x. mość nie wytrujesz, bo będą tacy, a idąc z dyabelskiej służby w boską, ostrzegą ich, by ni w Orlu, ni w Zabłudowie piwa nie pili."

Tu zerwał się pan Kmicic i począł chodzić po izbie. Twarz mu pałała, bo go własny list jako ogień rozpalił. List ten był jakoby manifestem wojny z Radziwiłłami, ale przecie czuł pan Kmicic w sobie jakąś nadzwyczajną siłę i gotów był, choćby w tej chwili stanąć oko w oko potężnemu rodowi, który trząsł całym krajem. On prosty szlachcic, prosty rycerz, on banita prawem ścigany, on, który znikąd nie spodziewał się pomocy, naraził się wszystkim tak, że wszędzie za nieprzyjaciela był poczytywany; on, niedawno zwyciężony, czuł teraz w sobie taką potęgę, iż widział już jakby pro-

roczem okiem upokorzenie książąt Janusza i Bogusława a swoje zwycięstwo. Jak będzie prowadził wojnę, gdzie znajdzie sprzymierzeńców, w jaki sposób zwycięży, nie wiedział — co więcej: nie namyślał się nad tem. Wierzył tylko głęboko, że czyni to, co uczynić powinien że słuszność i sprawiedliwość, zatem i Bóg będzie z nim. To napawało go ufnością bez miary i granic. Uczyniło mu się na duszy lżej znacznie. Otwierały się przed nim jakby całkiem jakieś nowe krainy. Siąść tylko na koń i jechać mu tam, a dojedzie do czci, sławy i do Oleńki.

— Przecie jej włos z głowy nie spadnie — powtarzał sobie z gorączkową jakąś radością — listy ją obronią... Będzie jej hetman strzegł, jak oka w głowie... jak ja sam! Otom sobie poradził! Robak ja lichy, a przecie się mego żądła ulękną.

Nagle przyszła mu taka myśl:

— A żeby i do niej napisać? Posłaniec, który powiezie list do hetmana, może i jej wręczyć kartkę sekretnie. Jakże nie oznajmić jej, żem z Radziwiłłami zerwał i że innej idę szukać służby?

Ta myśl trafiła mu wielce zrazu do serca. Zaciąwszy się nanowo w rękę, umoczył pióro i począł pisać: "Oleńko, już ja nie radziwiłłowski, bom wreszcie przejrzał..." Lecz nagle przerwał — pomyślał chwilę, a potem rzekł sam do siebie:

— Niechże uczynki, nie słowa świadczą odtąd za mnie; nie będę pisał!

I podarł kartę.

— Natomiast napisał na trzeciej krótki list do Wołodyjowskiego, w następujących słowach:

"Mości pułkowniku! Niżej podpisany przyjaciel ostrzega, abyście się mieli na baczności, tak wm. pan, jak i inni pułkownicy. Były listy hetmańskie do x. Bogusława i p. Harasimowicza, aby waszmościów truć, lub chłopom na kwaterach kazać mordować. Harasimowicza niema, bo z x. Bogusławem do Prus, do Tylży wyjechał, ale podobne rozkazy mogą być i do innych ekonomów. Tych się waszmościowie strzeżcie, więc nic od nich nie przyjmujcie i po nocach bez straży nie sypiajcie. Wiem to także pewno, że pan hetman pociągnie wkrótce z wojskiem na waszmościów, czeka tylko na jazdę, której mu półtora tysiąca komunika ma generał de la Gardie nadesłać: Tedy baczcie, aby was nie zaskoczył i po jedyńczo nie znosił. A najlepiej poślijcie pewnych ludzi do pana wojewody witebskiego, aby osobą swą co najprędzej nadjechał i ko-

mendę nad wszystkimi objął. Życzliwy to radzi — wierzcie mu! Tymczasem kupy się trzymajcie, chorągiew od chorągwi niedaleko kwatery wybierając, abyście jedni drugim na pomoc iść mogli. Hetman mało ma jazdy, jeno trochę dragonów i kmicicowych ludzi, ale niepewnych. Kmicica samego niema, któremu hetman jakąś inną funkcyę obmyślił, bo podobno już mu nie ufa. Któren też nie jest taki zdrajca, jak powiadają, jeno uwiedziony. Bogu was polecam. — Babinicz.

Pan Andrzej nie chciał kłaść pod listem własnego nazwiska, sądził bowiem, że ono w każdym musi wzbudzić wstręt, a zwłaszcza nieufność. "Jeżeli rozumieją (myślał sobie), że lepiej im będzie wymykać się przed hetmanem, niż kupą mu zajść drogę, tedy, obaczywszy moje nazwisko, zaraz będą podejrzewali, że umyślnie w kupę ich chcę zebrać, aby hetman jednym zamachem mógł z nimi skończyć; pomyślą, że to nowa sztuka, a od jakiegoś Babinicza prędzej przyjmą przestrogę."

Babiniczem zaś nazwał się pan Andrzej od miasteczka Babinicze, leżącego niedaleko Orszy, które od prastarych czasów do Kmiciców należało.

Napisawszy więc ów list, w którego końcu umieścił kilka nieśmiałych słów na własną obronę, doznał nowej w sercu pociechy na myśl, że oto już tym listem pierwszą oddaje usługę, nietylko panu Wołodyjowskiemu i jego przyjaciołom, ale wszystkim pułkownikom, którzy ojczyzny dla Radziwiłła nie chcieli porzucić. Czuł przytem, że ta nić będzie się snuła dalej. Terminy, w które popadł, były istotnie ciężkie, niemal desperackie, ale przecie znalazła się jakaś rada, jakoweś wyjście, jakaś wąska ścieżką, która mogła na gościniec wyprowadzić.

Lecz teraz, gdy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Oleńka była zabezpieczona od zemsty księcia wojewody, a konfederaci od niespodziewanego napadu, zadał sobie pan Andrzej pytanie, co sam będzie czynił.

Zerwał ze zdrajcami, spalił za sobą mosty, chciał teraz służyć ojczyźnie, ponieść jej w ofierze siły, zdrowie, gardło — ale jak to uczynić? jak zacząć? do czego przyłożyć ręki?

I znów przyszło mu do głowy:

— Iść do konfederatów...

Lecz jeśli nie przyjmą, jeśli zdrajcą ogłoszą i usieką, albo co gorzej srom tnie wypędzą?

— Wolejby usiekli, — zakrzyknął pan Andrzej i spłonął ze wstydu i poczucia własnej sromoty. — Podobnożto łatwiej ratować Oleńkę, łatwiej konfederatów, niż sławę własną.

Tu dopiero rozpoczynały się prawdziwie desperackie terminy. I znów junacka dusza poczęła kipieć.

— Alboto nie mogę czynić, jakom przeciw Chowańskiemu czynił? — rzekł o siebie. — Kupę zbiorę, będę Szwedów najeżdżał, palił, ścinał. Nie nowina mi to! Nikt im się nie opierał, ja się oprę, aż przyjdzie chwila, że jako Litwa pytała, tak cała Rzeczpospolita spyta, kto ów junak, który sam jeden śmie lwu w paszczę włazić? Wtedy czapkę zdejmę i powiem: "Patrzcie, to ja Kmicic!"

I taka porwała go chęć paląca do tej krwawej roboty, że już chciał wypaść z izby, kazać na koń siadać Kiemliczom, ich czeladzi, swoim i ruszać.

Lecz nim doszedł do drzwi, uczuł nagle jakoby go coś pchnęło w piersi i odtrąciło od proga. Stanął na środku izby i patrzył przed siebie zdumiony.

— Jakżeto? Zali tem win nie zmażę?

I wnet pczął rozprawę z własnem sumieniem.

— A gdzie pokuta za winy? — pytało sumienie. — Tu trzeba czego innego!

— Czego? — pytał Kmicic.

— Czemże możesz zgładzić winy, jeśli nie służbą jakowąś ciężką i niezmierną, a uczciwą i czystą jako łza... Zali to służba zebrać kupę hultajów i buszować z nim jako wicher po polu i puszczy? Zali nie dlatego jej pragniesz, że ci pachnie zabijatyka jako psu pieczeń? Takżeto zabawa, nie służba — kulig, nie wojna, rozbój, nie ojczyzny obrona! — A czyniłżeś tak przeciw Chowańskiemu i cóżeś wyjeździł? Łotrzykowie, co po lasach grasują, gotowi także napadać na komendy szwedzkie, a ty skąd weźmiesz innych ludzi? Szwedów naszarpiesz, ale i obywateli naszarpiesz, pomstę na nich ściągniesz i co wskórasz? Sianem się, kpie, chcesz wywinąć od pracy i pokuty!

Takto mówiło w panu Kmicicu sumienie, a pan Kmicic wiedział, że ma słuszność i złość go brała i żal jakiś do własnego sumienia, że tak gorzką mówiło prawdę.

— Co ja pocznę? — rzekł wreszcie — kto mi poradzi, kto mię wyratuje?

Tu kolana poczęły się giąć jakoś pod panem Andrzejem, aż wresz-

cie ukląkł przy tapczanie i począł się modlić głośno i prosić z całej duszy i serca:

— Jezu Chryste, Panie miły — mówił, — jakoś się na krzyżu nad łotrem ulitował, tak zlituj się i nademną. Oto pragnę obmyć się z grzechów moich, nowy żywot rozpocząć i ojczyźnie poczciwie służyć, ale nie wiem jak, bom głupi. Służyłem tamtym zdrajcom, Panie, też nietyle ze złości, ale jako właśnie z głupoty; oświeć mnie, natchnij, pociesz w desperacyi mojej i ratuj w miłosierdziu swojem, bo zginę...

Tu głos zadrgał panu Andrzejowi, począł się bić w pierś szeroką, aż grzmiało w izbie i powtarzać:

— Bądź miłościw mnie grzesznemu! Bądź miłościw mnie grzesznemu! Bądź miłościw mnie grzesznemu!

Poczem złożywszy ręce i wyciągnąwszy je do góry, tak dalej mówił:

— A Ty, Panienko Najświętsza, przez heretyków w tej ojczyźnie insultowana, wstaw się za mną do Syna swego, zstąp ku ratunkowi memu, nie opuszczaj mnie w utrapieniu i biedzie mojej, abym Tobie mógł służyć, insulta (zniewagi) Twoje pomścić i w godzinę skonania mieć Cię za patronkę przy nieszczęsnej duszy mojej!

A gdy tak błagał pan Kmicic, łzy poczęły mu padać jak groch z oczu, nakoniec spuścił głowę na tapczan i trwał w milczeniu, jakby czekając na skutek swej żarliwej modlitwy. Nastała cisza w izbie i tylko mocny szum pobliskich sosen dochodził z zewnątrz. Wtem zaskrzypiały wiory pod ciężkiemi krokami za oknem i dwa głosy poczęły rozmawiać.:

— A co myślicie, panie wachmistrzu, gdzie stąd pojedziem?

— Albo ja wiem! — odparł Soroka. — Pojedziem, taj tylko. Może hen! do króla, któren pod szwedzką ręką jęczy.

— Zalito prawda, że go wszyscy opuścili?

— Ale go Pan Bóg opuścił.

Kmicic powstał nagle z tapczana, a twarz miał jasną i spokojną; szedł prosto ku drzwiom i otworzywszy drzwi od sieni, rzekł do żołnierzy:

— Konie mieć gotowe, w drogę czas!

———

## XVII.

[29]

Wtem ruch uczynił się między żołnierzami, którzy radzi byli wyjechać z lasu na daleki świat, tembardziej że bali się jeszcze pościgu ze strony Bogusława Radziwiłła, a stary Kiemlicz poszedł do chaty, rozumując, że Kmicic będzie go potrzebował.

— Wasza miłość chce jechać? — rzekł wchodząc.

— Tak jest! Wyprowadzisz mnie z lasu. Znasz tu wszystkie pasy.

— Znam, ja tutejszy... A dokąd wasza miłość chce jechać?

— Do króla jegomości.

Stary cofnął się ze zdumieniem.

— Panno mądra! — zakrzyknął — do jakiego króla wasza miłość?

— Jużci nie do szwedzkiego.

Kiemlicz nietylko nie ochłonął, ale począł się żegnać.

— To wasza miłość chyba nie wie, co ludzie powiadają, że król jegomość na Śląsk się schronił, bo go wszyscy opuścili. Kraków nawet w oblężeniu.

— Pojedziem na Śląsk.

— Ba, a jakże się przez Szwedów przedostać?

— Czy po szlachecku, czy po chłopsku, czy na kulbace, czy piechotą, wszystko jedno, byle się przedostać!

— Tożto i czasu okrutnego trzeba...

— Mamy czasu dość... Ale radbym jak najprędzej.

Kiemlicz przestał się dziwić. Stary zbyt był chytry, aby się nie domyślić, że jest jakiś szczególny i tajemniczy powód w tem przedsięwzięciu pana Kmicica i zaraz tysiące przypuszczeń poczęło mu się cisnąć do głowy. Lecz że żołnierze Kmicicowi, którym pan Andrzej milczenie nakazał, nic nie rzekli ni staremu, ni synom o porwaniu księcia Bogusława, tedy najprawdopodobniejszem wydało mu się przypuszczenie, że to zapewne książę wojewoda wileński wysyła młodego pułkownika z jakąś misyą do króla. Utwierdzało go w tem mniemaniu to, że poczytywał Kmicica za gorliwego stronnika hetmańskiego i o jego zasługach względem hetmana wiedział, albowiem skonfederowane chorągwie rozniosły o nich wieść po całem województwie podlaskiem, czyniąc Kmicicowi opinię okrutnika i zdrajcy.

— Hetman posyła zaufanego do króla — pomyślał stary, — to znaczy, że się pewnie z nim godzić chce i Szwedów odstąpić. Musiały mu się już naprzykrzyć ich rządy... Pocóż inaczejby posyłał?...

Stary Kiemlicz niedługo się silił nad rozwiązaniem tego pytania, bo chodziło mu zupełnie o co innego, a mianowicie o to, jakąby korzyść mógł dla siebie z takich terminów wyciągnąć. Oto, jeżeli przysłuży się Kmicicowi, przysłuży się zarazem hetmanowi i królowi, co nie będzie bez znacznej nagrody. Łaska takich panów przyda się także, gdyby przyszło ze starych grzechów zdawać rachunek. Przytem pewnie będzie wojna, kraj rozgorzeje, a wtedy łup sam lezie w ręce. To wszystko uśmiechnęło się staremu, który i bez tego przywykł był słuchać Kmicica, a nie przestał się go bać jak ognia, żywiąc zarazem ku niemu pewien rodzaj afektu, jaki pan Andrzej umiał wzbudzać we wszystkich podkomendnych.

— Wasza miłość — rzekł — musi całą Rzeczpospolitą przejechać, by się do króla jegomości dostać. Nicto jeszcze komendy szwedzkie, bo miasta można omijać i lasami jechać... Ale gorsze to, że i po lasach, jako zwyczajnie w niespokojnym czasie, pełno kup swawolnych, które podróżnych napastują, a wasza miłość ludzi ma mało...

— Pojedziesz ze mną, panie Kiemlicz, razem z synami i ludźmi, których masz, to będzie nas więcej.

— Wasza miłość rozkaże, to i ja pojadę, ale jam człek ubogi. Jedna nędza u nas, więcej nic. Jakże mnie tu onej chudoby i dachu nad głową ustąpić?

— Co uczynisz, to się opłaci, a i dla was lepiej głowy stąd unieść, póki jeszcze na karkach siedzą.

— Wszyscy Święci Pańscy!... Co wasza miłość mówi... co?... Jakto?... Co mnie niewinnemu tu grozi? Komu my w drogę wchodzim?...

Na to pan Andrzej:

— Znają was tu, hultaje! Mieliście kollokacyę z Kopystyńskim i usiekliście go, potem zbiegliście przed sądami i służyliście u mnie; potem uprowadziliście mi tabun zdobyczny...

— Jako żywo! Panno można! — zakrzyknął stary.

— Czekaj i milcz! Potem wróciliście do starego legowiska i poczęliście grasować w okolicy, jako zbóje, konie i łup wszędy biorąc. Nie wypieraj się, bo ja nie twój sędzia, a sam najlepiej wiesz, jeżeli prawdę mówię... Bierzecie konie zołtareńkowym, to dobrze,

bierzecie Szwedom, to dobrze. Jak was złapią, to i ze skóry złupią, ale to ich rzecz.

— Godzi się to, godzi, bo nieprzyjaciołm tylko bierzem — rzekł stary.

— Nieprawda jest, bo i swoich napadacie, co mi już twoi synalowie wyznali, a to już prosty rozbój i szlacheckiemu imieniowi zakała. Wstyd wam, hultaje!... Chłopami wam być, nie szlachtą!

Poczerwieniał na to stary wyga i rzekł:

— Wasza miłość krzywdzi nas, bo my, pamiętając na stan nasz, chłopskim procederem się nie bawim. My koni nocą z niczyich stajen nie wyprowadzamy. Co innego z łąk stado porwać, albo zdobyć. To wolno i niemasz w tem ujmy w wojennych czasach dla szlachcica. Ale koń w stajni święta rzecz i chyba Cygan, Żyd, albo chłop go ukradnie, nie szlachcic! My tego, wasza miłość, nie czynim. Ale co wojna, to wojna.

— Choćby i dziesięć wojen było, w bitwie jeno możesz łup brać, a jeśli go po gościńcu szukasz, toś hultaj!

— Bóg świadkiem naszej niewinności.

— Aleście już tu piwa nawarzyli. Krótko mówiąc, lepiej wam stąd uchodzić, bo prędzej później stryczek was nie minie. Pojedziecie ze mną; wierną służbą zmażecie winy i cześć odzyskacie. Biorę was do służby, a tam już i korzyść się znajdzie lepsza, niż z onych koni.

— Pojedziem z waszą miłością wszędy, przeprowadzim przez Szwedów i przez hultajów, bo prawdę waszej miłości rzec, to nas tu źli ludzie okrutnie prześladują, a za co? za co?... Za nasze ubóstwo — nic! jak za ubóstwo... Może Bóg zmiłuje się nad nami i poratuje nas w utrapieniu!

Tu stary Kiemlicz mimowoli zatarł ręce i błysnął oczyma.

— Od tych robót — pomyślał sobie — zagotuje się w kraju jak w kotle, a wtedy głupi nie skorzysta.

Wtem Kmicic spojrzał na niego bystro.

— Jeno nie próbuj mnie zdradzić! — rzekł groźnie — bo nie zdzierżysz, a ręka Boska jedna zdoła cię wówczas wyratować!

— To się po nas nie pokazało — odrzekł ponuro Kiemlicz — i niech mnie Bóg potępi, jeśli mi taka myśl w głowie powstała.

— Wierzę — rzekł po krótkiem milczeniu Kmicic, — bo zdrada to jeszcze co innego, niż hultajstwo i niejeden hultaj przecie tego nie uczyni.

— Co wasza miłość teraz rozkaże? — zapytał Kiemlicz.

— Najprzód są dwa listy, potrzebujące prędkiej ekspedycyi. Maszli ludzi roztropnych?

— Gdzie mają jechać?

— Jeden niech jedzie do księcia wojewody, ale nie potrzebuje samego widzieć. Niech jeno list odda w pierwszej książęcej chorągwi i wraca, nie czekając odpowiedzi.

— Smolarz pojedzie, to człek roztropny i bywały.

— Dobrze. Drugi list trzeba odwieźć ku Podlasiowi; pytać o chorągiew laudańską pana Wołodyjowskiego i samemu pułkownikowi w ręce oddać...

Stary począł mrugać chytrze i tak myślał:

— To widzę robota na wszystkie strony, kiedy już i z konfederatami się wąchają; będzie ukrop! będzie!...

Poczem rzekł głośno:

— Wasza miłość! Jeśli to nie tak pilne pismo, to możeby, wyjechawszy z lasów, komu po drodze oddać. Siła tu szlachty konfederatom sprzyja i każdy chętnie odwiezie, a nam się jeden więcej człowiek zostanie.

— Toś roztropnie wykalkulował, — bo lepiej, żeby ten, co zawiezie list, nie wiedział, od kogo wiezie. A czy prędko wyjedziem z lasów?

— Jak wasza miłość chce. Może jechać i dwie niedziele, albo jutro wyjechać.

— Tedy potem o tem, a teraz słuchaj mnie pilno, Kiemlicz!

— Zważam wszystko rozumem, wasza miłość.

— Ogłosili mnie — rzekł Kmicic — w całej Rzeczypospolitej za okrutnika i hetmańskiego zaprzedańca, albo zgoła szwedzkiego. Gdyby król jegomość wiedział, ktom jest, mógłby mnie nie ufać i intencyą moją wzgardzić, która jeżeli nie jest szczera, Bóg widzi! Uważaj, Kiemlicz!

— Uważam, wasza miłość.

— Tedy nie nazywam się Kmicic, jeno Babinicz, rozumiesz? Nikt nie ma mego prawdziwego przezwiska wiedzieć. Gęby mi nie otworzyć, pary nie puścić. A będą pytać, skąd jestem, to powiesz, żeś się po drodze do mnie przyłączył i nie wiesz, natomiast rzekniesz: kto ciekaw, niech się samego pyta.

— Rozumiem, wasza miłość.

— Synom zapowiesz, czeladzi także. Choćby z nich pasy darto, nazywam się Babinicz. Gardłem mi za to odpowiadacie!

— Tak i będzie, wasza miłość. Pójdę synom zapowiedzieć, bo tym szelmom trzeba łopatą w łeb kłaść. Taka mi z nich pociecha... Bóg pokarał za dawne grzechy... Ot co... Pozwoli wasza miłość słowo jeszcze powiedzieć?

— Mów śmiele.

— Widzi mi się lepiej będzie, jeżeli nie powiemy ni żołnierzom, ni czeladzi, dokąd jedziem?

— Tak ma i być.

— Dość niech wiedzą, że pan Babinicz, nie pan Kmicic jedzie. A po drugie: chcąc w taką drogę jechać, lepiejby ukryć szarżę waszej miłości.

— Jakto?

— Bo Szwedzi glejty znaczniejszym ludziom dają, a kto nie ma glejtu, tego do komendanta prowadzą.

— Ja glejty do komend szwedzkich mam!

Zdziwienie błysnęło w chytrych oczach Kiemlicza, ale pomyślawszy chwilę, rzekł:

— Wasza miłość pozwoli jeszcze powiedzieć, co myślę?

— Byleś dobrze radził, a nie marudził, to mów, bo widzę, żeś człek obrotny.

— Jeśli glejty są, to i lepiej, bo można w nagłym razie pokazać, ale jeżeli wasza miłość z taką robotą jedzie, która ma zostać tajemną, to lepiej glejtów nie pokazywać. Nie wiem ja, czy one wydane na imię Babinicza, czy na pana Kmicica, ale pokazać, to ślad zostanie i pościg łatwiejszy.

— Jak w sedno utrafiłeś! — rzekł żywo Kmicic. — Wolę glejty zachować na inny czas, jeżeli można inaczej się przedostać!

— Można, wasza miłość, a to w przebraniu chłopskiem, albo chudopacholskiem, co będzie łatwiej, bo u mnie tu jest trochę ochędóstwa, jako to czapek i kożuchów szarych, takich właśnie jak drobna szlachta nosi. Wziąwszy tabunek koni, możnaby pojechać z niemi, niby po jarmarkach i przebierać się coraz głębiej, hen, aż pod Łowicz i Warszawę. Co ja, z przeproszeniem waszej miłości, nieraz już, jeszcze w spokojnych czasach, czyniłem i tamte drogi znam. Jakoś pod tę porę przypada jarmark w Sobocie, na który zdaleka się zjeżdżają. W Sobocie dowiemy się o innych miastach, gdzie jarmark i byle dalej! byle dalej!... Szwedzi też mniej na chu-

dopachołków zważają, bo się mrowie tego po wszystkich jarmarkach kręci. A spyta nas jaki komendant, to mu się wytłómaczym, zaś mniejszym kupom można będzie, jeżeli Bóg i Najświętsza Panna pozwoli, po brzuchach przejechać.

— A jak nam konie zabiorą, bo to rekwizycye w czasie wojny codzienna rzecz?

— Albo kupią, albo zabiorą. Jeśli kupią, tedy nie z końmi, ale niby po konie do Soboty pojedziem, a jeśli zabiorą, podniesiemy lament i ze skargą będziem jechali aż do Warszawy i Krakowa.

— Chytry masz rozum — rzekł Kmicic — i widzę, że mi się przydacie. Choćby też Szwedzi te konie zabrali, to znajdzie się taki, który zapłaci.

— I tak ja miałem do Ełku, do Prus z niemi jechać, to się dobrze składa, bo właśnie tamtędy droga nam wypadnie. Z Ełku pojedziem granicą, potem wyprostujem na Ostrołękę, a stamtąd puszczą aż pod Pułtusk i Warszawę.

— Gdzieto ona Sobota?

— Niedaleko Piątku, wasza miłość.

— Kpisz! Kiemlicz?

— Zaśbym śmiał! — odrzekł stary, krzyżując ręce na piersiach i skłaniając głowę — jeno się tam tak dziwnie miasteczka nazywają. To za Łowiczem, wasza miłość, ale kawał drogi.

— I jarmarki znaczne w onej Sobocie?

— Nie takie, jak w Łowiczu, ale jest jeden o tej porze, na który nawet i z Prus konie pędzą i ludu siła się zjeżdża. Pewnie tego roku nie będzie gorzej, bo tam spokojnie. Szwedzi panują i po miastach załogi mają. Choćby się kto chciał ruszyć, to i nie może.

— Tedy przyjmuję twój sposób!... Pojedziemy z końmi, za które z góry ci zapłacę, abyś szkody nie miał.

— Dziękuję waszej miłości za poratowanie.

— Przygotuj jeno kożuchy, czapki i szable proste, bo zaraz jedziem. A zapowiedź synalom i czeladzi, ktom jest, jak się nazywam i że z końmi jadę, a wyście do pomocy najęci. Ruszaj!

A gdy stary zwrócił się ku drzwiom, pan Andrzej rzekł jeszcze:

— I nie będzie mnie nikt nazywał miłością, ni komendantem ani pułkownikiem, jeno waszecią, a z nazwiska Babiniczem!

Kiemlicz wyszedł i w godzinę później siedzieli już wszyscy na koniach, gotowi ruszyć w daleką drogę.

Pan Kmicic, przybrany w szarą chudopacholską świtę, w takąż

czapkę z wytartym barankiem i z przewiązaną twarzą, jakby po jakim karczemnym pojedynku, trudny był do poznania i wyglądał istotnie na szlachetkę, włóczącego się z jarmarku na jarmark. Otaczali go ludzie podobnie przybrani, zbrojni w proste szabliska i długie baty do popędzania koni, oraz arkany do chwytania rozbieganych.

Żołnierze spoglądali ze zdziwieniem na swojego pułkownika, czyniąc sobie pocichu różne o nim uwagi. Dziwno im było, że to już pan Babinicz, nie pan Kmicic, że go mają z waszecia traktować, a najbardziej ruszał na to ramionami i wąsami stary Soroka, który, patrząc jak w tęczę w groźnego pułkownika, mruczał do Biłousa:

— Chyba mi ów waszeć przez gardziel nie przejdzie. Niech mnie zabije, a ja taki postaremu oddam, co mu się należy!

— Jak rozkaz, to rozkaz! — odrzekł Biłous. — Ale się pułkownik zmienił okrutnie.

Nie wiedzieli żołnierze, że i dusza w panu Andrzeju zmieniła się tak samo, jak i zewnętrzna postać.

— Ruszaj! — krzyknął nagle pan Babinicz.

Zaklaskały bicze, jeźdźcy otoczyli stadko koni, które zbiły się w kupę i ruszono.

---

## XVIII.

Idąc samą granicą między województwem Trockiem a Prusami, szli przez lasy obszerne i bezdroża, Kiemliczom tylko znajome, aż weszli do Prus i dotarli do Łęgu, czyli, jak stary Kiemlicz nazywał, do Ełku, gdzie zasięgnęli nowin o rzeczach publicznych od bawiącej tam szlachty, która przed Szwedami pod moc elektorską się schroniła, wraz z żonami, dziećmi i dobytkiem.

Łęg wyglądał jak obóz, a raczej możnaby rzec, że sejmik jakowyś się w nim odprawuje. Szlachta piła pod wiechami piwo pruskie i rozprawiała, a coraz ktoś nowiny przywoził. Nie dopytując się o nic i tylko nadstawiając bacznie ucha, dowiedział się pan Babinicz, że Prusy królewskie i możne w nich miasta stanowczo opowiedziały się po stronie Jana Kazimierza i już układ z elektorem zawarły, aby się wspólnie przeciw każdemu nieprzyjacielowi bronić. Mówiono jednak, że mimo układu, znamienitsze miasta nie

chciały przyjąć załóg elektorskich, bojąc się, aby ów przebiegły książę, raz usadowiwszy się w nich zbrojną ręką, nie chciał potem na zawsze ich zagarnąć, albo żeby w stanowczej chwili ze Szwedami się zdradziecko nie połączył, do czego wrodzona chytrość zdolnym go czyniła.

Szlachta szemrała na tę nieufność mieszczan, ale pan Andrzej, znający praktyki radziwiłłowskie z elektorem, gryzł się tylko w język, by nie wypowiedzieć wszystkiego, co mu było wiadome. Powstrzymywała go od tego myśl, że niebezpiecznie było w Prusach elektorskich mówić głośno przeciwko elektorowi, a powtóre, że szaremu szlachetce, który na targ z końmi przyjechał, nie wypadało wdawać się w zawiłe materye polityczne, nad któremi najbieglejsi statyści próżno głowy łamali.

Przedawszy więc parę koni, a dokupiwszy natomiast nowych, jechali wzdłuż granicy pruskiej, ale już traktem prowadzącym z Łęgu do Szczuczyna, leżącego w samym kącie województwa mazowieckiego, między Prusami z jednej a województwem podlaskiem z drugiej strony. Do Szczuczyna samego nie chciał jednak pan Andrzej jechać, a to z tej okazyi, że dowiedział się, iż w mieście stoi kwaterą jedna chorągiew konfederacka, której pułkownikuje pan Wołodyjowski.

Widocznie pan Wołodyjowski musiał iść mniej więcej tą samą drogą, którą jechał teraz Kmicic i zatrzymał się w Szczuczynie, bądź dla krótkiego odpoczynku przed samą granicą podlaską bądź na czasowe kwatery, gdzie łatwiej musiało być o żywność dla ludzi i koni, niż w mocno już wypłukanem Podlasiu.

Ale pan Kmicic nie chciał napotkać teraz słynnego pułkownika, albowiem sądził, że nie mając innych dowodów, prócz słów, nie zdoła go przekonać o swem nawróceniu i szczerości intencyi. Wskutek tego, w dwóch milach od Szczuczyna kazał skręcić w stronę Wąsoszy, ku zachodowi. Co do listu, który miał dla pana Wołodyjowskiego, postanowił przesłać go przez pierwszą pewną okazyę.

Tymczasem, nie dojeżdżając Wąsoszy, zatrzymali się w przydrożnej karczmie, Pokrzyk zwanej i roztasowali się na nocleg, który obiecywał się być wygodny, bo w karczemce, prócz karczmarza Prusaka, nie było nikogo z gości.

Lecz zaledwie Kmicic z trzema Kiemliczami i Soroką zasiedli do wieczerzy, gdy z zewnątrz dał się słyszeć hurkot kół i tętent koni.

Że słońce jeszcze nie zaszło, Kmicic wyszedł przed karczmę popatrzeć, kto przyjeżdża, bo był ciekaw, czy nie jaki podjazd szwedzki, ale zamiast Szwedów, ujrzał brykę, za nią dwa wozy i ludzi zbrojnych około wozów.

Na pierwszy rzut oka łatwo było poznać, że to jakiś personat nadjeżdża. Bryka była zaprzężona w cztery konie, dobre, pruskie, o grubych kościach i malikowatych grzbietach, foryś siedział na jednym z lejcowych, trzymając dwa psy piękne na smyczy; na koźle woźnica, a obok hajduczek przybrany zwęgierska, na tylnem zaś siedzeniu sam pan, wsparty pod boki, z wilczurą bez rękawów, spinaną na rzęsiste złocone guzy.

Z tyłu szły dwa wozy, dobrze pakowne, a przy każdym po czterech czeladzi, zbrojnych w szable i bandolety.

Sam pan był to człowiek bardzo jeszcze młody, choć personat, łat ledwie dwudziestu kilku. Twarz miał pucołowatą, czerwoną a i na całej osobie znać było, że sobie na jadło nie żałował.

Gdy bryka stanęła, hajduczek skoczył rękę podawać, a pan ujrzawszy Kmicica, stojącego w progu, skinął rękawicą i zawołał:

— A bywajno przyjacielu!

Kmicic, zamiast się zbliżyć, cofnął się do karczmy, bo go nagle złość wzięła. Nie przywykł jeszcze ani do szarej świty, ani do tego, by nań kiwano rękawicą. Wróciwszy tedy, siadł za stołem i wziął się znowu do jadła. Nieznajomy pan poszedł w ślad za nim.

Wszedłszy, przymrużył oczy, bo w izbie mroczno było, gdyż tylko na kominie palił się niewielki ogień.

— A czemuto nikt nie wychodzi, gdy zajeżdżam? — rzekł nieznajomy pan.

— Bo karczmarz poszedł do komory — odparł Kmicic, — a my podróżni, jako i wasza mość.

— Dziękuję za konfidencyę. A co za podróżny?

— Szlachcic z końmi jadący.

— A kompania takoż szlachta?

— Chudopachołcy, ale szlachta.

— Tedy czołem, czołem mopankowie. Dokąd Bóg prowadzi?

— Z jarmarku na jarmark, byle tabunku zbyć.

— Jeżeli tu nocujecie, to jutro po dniu obejrzę, może i ja co wybiorę. A tymczasem pozwólcie, mopankowie, przysiąść się do stołu.

Nieznajomy pan pytał wprawdzie, czy mu się przysiąść pozwolą,

ale takim tonem, jakby był tego zupełnie pewien, jakoż nie omylił się, bo młody koniucha odrzekł grzecznie:

— Prosim bardzo wdzięcznie waszą mość, choć i nie mamy na co prosić, bo jeno grochem z kiełbasą możem częstować.

— Mam ja w puzdrach lepsze od tego specyały — odparł nie bez pewnej pychy młody panek — ale u mnie żołnierskie podniebienie, i groch z kiełbasą, byle dobrze podlany, nad wszystko przekładam.

To rzekłszy (a mówił bardzo powoli, chociaż spoglądał bystro i roztropnie), zasiadł na ławie, gdy zaś Kmicic usunął mu się tak, aby uczynić wygodne miejsce, dodał łaskawie:

— Proszę, proszę, nie inkomoduj się waćpan. W drodze się na godność nie uważa, a chociaż mnie też łokciem trącisz, to mi korona z głowy nie spadnie.

Kmicic, który właśnie przysuwał nieznajomemu miskę z grochem, a który, jako się rzekło, nie przywykł jeszcze do podobnego traktowania, byłby niezawodnie rozbił ją na głowie nadętego młodzika, gdyby nie to, że było coś w tej nadętości takiego, co bawiło pana Andrzeja, więc nietylko że zaraz wewnętrzny impet powściągnął, ale się uśmiechnął i rzekł:

— Takieto teraz czasy wasza mość, że i z najwyższych głów korony spadają: exemplum (naprzykład) nasz król Jan Kazimierz, który wedle prawa dwie powinien nosić, a nie ma żadnej, chyba jedną cierniową...

Na to nieznajomy spojrzał bystro na Kmicica, poczem westchnął i rzekł:

— Takie teraz czasy, że lepiej nie mówić, chyba z konfidentami.

Po chwili zaś dodał:

— Aleś to roztropnie waćpan wywiódł. Musiałeś gdzieś po dworach przy politycznych ludziach sługiwać, bo mowa edukacyę wyższą, niż jest waćpanowa kondycya, pokazuje.

— Ocierając się między ludźmi, słyszało się to i owo, alem nie sługiwał.

— Skądże to rodem, proszę?

— Z zaścianka, z województwa trockiego.

— Nic to... że z zaścianka, byle szlachcic, bo to grunt.

— A co tam słychać na Litwie?

— Postaremu, zdrajców nie brak.

— Zdrajców? mówisz waćpan. A cóżto, proszę, za zdrajcy?

— Ci, którzy króla i Rzeczypospolitej odstąpili.

— A jak się ma książę wojewoda wileński?

— Chory, mówią: dech mu zatyka.

— Daj mu Boże zdrowie, zacny to pan!

— Dla Szwedów zacny, bo im wrota naroścież otworzył.

— To waćpan, widzę, nie jego partyzant?

Kmicic spostrzegł, że nieznajomy, wciąż niby dobrodusznie wypytując, bada go.

— Co mnie tam! — odrzekł — niech o tem inni myślą... Mnie strach, by mi Szwedzi koni w rekwizycyę nie zabrali.

— To trzeba je na miejscu zbyć. Ot i na Podlasiu stoją podobno te chorągwie, które się przeciw hetmanowi zbuntowały, a które pewnie nie mają koni do zbytku.

— Tego ja nie wiem, bom między niemi nie bywał, chociaż jakiś przejezdny pan dał mi list do jednego z ich pułkowników, abym go przy okazyi oddał.

— Jakżeto ów przejezdny pan mógł oddać waćpanu list, skoro na Podlasie nie jedziesz?

— Bo w Szczuczynie stoi jedna konfederacka chorągiew, więc ów jegomość rzekł mi tak; albo sam oddasz, albo okazyę znajdziesz, wedle Szczuczyna przejeżdżając.

— A to się dobrze składa, bo ja do Szczuczyna jadę.

— Wasza mość także przed Szwedami ucieka?

Nieznajomy, zamiast odpowiedzieć, popatrzył na Kmicica i spytał flegmatycznie:

— Czemuto waćpan mówisz: także, skoro sam nietylko nie uciekasz, ale między nich jedziesz i konie im będziesz sprzedawał, jeśli ci ich siłą nie zabiorą?

Na to Kmicic ruszył ramionami.

— Mówiłem: także, bom w Łęgu widział wiele szlachty, którzy się przed nimi chronili, a co do mnie, niechby im się wszyscy przysługiwali, ile ja mam chęci im służyć, to tak myslę, żeby tu długo miejsca nie zagrzali...

— I nie boisz się tego mówić? — pytał nieznajomy.

— Nie boję się, bom też nie płochliwy, a po drugie jegomość do Szczuczyna jedziesz, a w tamtej stronie wszyscy głośno mówią, co myślą, daj zaś Boże, by jak najprędzej od gadania do roboty przyszło.

— Widzę, że bystry z waszeci człowiek, nad kondycyą! — po-

wtórzył nieznajomy. — Ale kiedy tak Szwedów nie kochasz, czemu od onych chorągwi, które się przeciw hetmanowi zbuntowały, odchodzisz? Zali to one zbuntowały się dla zatrzymania żołdu, albo dla swywoli? Nie! jeno, że hetmanowi i Szwedom nie chciały służyć. Lepiejby tym było żołnierzom niebożętom pod hetmanem zostać, a przecie woleli narazić się na miano buntowników, na głód, niewywczasy i przeliczne zgubne terminy, niż przeciw królowi czynić. Że tam przyjdzie między nimi i Szwedami do wojny, to pewno, a możeby już i przyszło, gdyby nie to, że Szwedzi jeszcze do tego kąta nie zaleźli... Poczekaj, zalezą, trafią tu, a wówczas zobaczysz waszeć!

— Tak i ja myślę, że tu się najprędzej wojna rozpocznie! — rzekł Kmicic.

— Ba, jeśli tak myślisz, a masz szczery ku Szwedom dyzgust (co ci z oczu patrzy, że prawdę mówisz, bo ja się na tem znam), to czemu tedy do tych zacnych żołnierzów nie przystaniesz? Albożto nie pora, albożim nie potrzeba rąk i szabel? Niemało to tam zacnych służy, którzy woleli swojego pana nad cudzego i coraz ich więcej będzie. Jedziesz waszeć z tych stron, w których Szwedów jeszcze wcale nie zaznali, ale ci, co ich zaznali, rzewnemi łzami płaczą. W Wielkopolsce, choć się im dobrowolnie poddała, już palce szlachcie w kurki od muszkietów wkręcają, a rabują, a rekwizycye czynią, co mogą zabierają... W tutejszym województwie nielepszy ich proceder. Generał Stenbok wydał manifest, by każdy spokojnie w domu siedział, to go uszanują i jego dobro. Ale gdzie tam! Generał swoje, a komendanci pomniejsi swoje, tak że nikt jutra niepewien, ani tego, co od fortuny ma. Każdy chce się cieszyć z tego, co posiadał, aby zaś w spokoju używał i aby mu dobrze było. A tu przyjedzie pierwszy lepszy przybłęda i "daj!" Nie dasz, to ci winę znajdą, aby z majętności cię wyzuć, albo winy nie szukając, szyję utną. Niejeden się łzami rzewnemi zalewa, dawnego pana wspomniawszy, a wszyscy w opresyi ciągle ku onym konfederatom spoglądają, czy od nich jakowy ratunek dla ojczyzny i obywatelów nie przyjdzie...

— Wasza mość, — rzekł Kmicic — widzę, nie lepiej Szwedom ode mnie życzy.

Nieznajomy pan obejrzał się jakby za pewnym strachem wokoło, ale wprędce uspokoił się i tak dalej mówił:

— Życzę im, żeby ich mór wytłukł i tego przed waszecią nie u-

krywam, gdyż widzi mi się, żeś poczciwy, a chcćbyś i nie był poczciwy, to mnie nie zwiążesz i Szwedom nie odwieziesz, bo się nie dam, mając zbrojną czeladź i szablę przy boku.

— Możesz wasza mość być pewien, że tego nie uczynię; owszem: po sercu mi waścina fantazya. Już i to mi się podoba, żeś waszmość nie wahał się substancyi zostawić, na której nieprzyjaciel mścić się nie omieszka. Bardzo się chwali taka życzliwość ku ojczyźnie.

Kmicic mimowoli począł mówić tonem protekcyonalnym, jak zwierzchnik do podwładnego, nie zastanowiwszy się, że takie słowa mogły się dziwnie wydawać w ustach szlachetki koniuchy, ale widocznie i młody pan na to nie zwrócił uwagi, bo począł tylko chytrze mrugać oczyma i odrzekł:

— Albo ja głupi? U mnie pierwsza reguła, żeby moje nie przepadło, bo co Pan Bóg dał, to trzeba szanować. Siedziałem cicho do sprzętów i omłotów. Dopieroż, jakem całą krescencyą do Prus sprzedał i inwentarze i wszelki statek, tak pomyślałem sobie: czas w drogę! Niechże się teraz na mnie mszczą, niech mi zabierają, co im do smaku przypadnie.

— Zawsze zostawiłeś wasza mość ziemię i budynki.

— Ba, kiedy ja starostwo wąsockie dzierżawą trzymam od wojewody mazowieckiego, a właśnie mi się kontrakt skończył. Jeszczem ostatniej raty nie zapłacił i nie zapłacę, bo jak słyszę i pan wojewoda mazowiecki ze Szwedem trzyma. Niechże mu za to rata przepadnie, a mnie się gotowy grosz przyda.

Kmicic począł się śmiać.

— Bodajże waszmości! Widzę, żeś nietylko mężny kawaler, ale i roztropny!

— Jakże? — odrzekł nieznajomy. — Roztropność to grunt! Ale nic o roztropności z waćpanem mówiłem. Czemuto, czując krzywdy ojczyzny i pana miłościwego, nie pójdziesz do onych zacnych żołnierzów na Podlasie i pod znak się nie zaciągniesz? I Bogu się przysłużysz i samemu może się poszczęścić, bo to już niejednemu się przytrafiło, że z chudopachołka na pana z wojny wyszedł. Widać po waści, żeś człek śmiały i rezolutny, a gdy ci urodzenie nie staje na przeszkodzie, możesz wprędce do jakiej takiej fortuny dojść, jeśli Bóg łupu przysporzy. Byle nie trwonić tego, co tu i owdzie w ręce wpadnie, to i mieszek napęcznieje. Nie wiem, czyli masz jakową zagrodę, ale mógłbyś mieć: z mieszkiem o dzierżawę nie trudno, a z dzierżawy przy pomocy boskiej i do dziedzi-

ctwa niedaleko. A tak, zacząwszy od pachołka, możesz towarzyszem umrzeć, albo na jakim urzędzie ziemskim, byleś się pracy nie lenił, bo kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Kmicic wąsy gryzł, bo go pusty śmiech brał; więc twarz mu drgała, a zarazem krzywił się, bo od czasu do czasu od przyschniętej rany boleści go brały.

Nieznajomy mówił dalej:

— Przyjąć cię tam, przyjmą, bo ludzi potrzebują, a zresztą udałeś mi się waćpan i biorę cię pod opiekę, przy której i promocyi możesz być pewien.

Tu młodzieńczyk podniósł z dumą pucołowatą twarz i począł ręką po wąsikach się gładzić; wreszcie rzekł:

— Chceszli być moim rękodajnym? Szablę będziesz za mną nosiż i nad czeladzią miał dozór.

Kmicic nie wytrzymał i parsknął szczerym, wesołym śmiechem, aż mu wszystkie zęby zabłysły.

— Czemu się wasze śmiejesz? — pytał nieznajomy, marszcząc brwi.

— To z ochoty do tej służby.

Lecz młody personat obraził się na dobre i rzekł:

— Głupi, kto waćpana tych manier nauczył i bacz z kim mówisz, abyś w konfidencyi miary nie przebrał.

— Wasza mość wybaczy, — rzekł wesoło Kmicic — bo właśnie nie wiem przed kim stoję.

Młody pan wziął się pod boki:

— Jestem pan Rzędzian z Wąsoszy — rzekł z dumą.

Kmicic otwierał już usta, ażeby powiedzieć swoje przybrane nazwisko, gdy w tem Biłous wszedł śpiesznie do izby.

— Panie komen...

Tu urwał żołnierz, powstrzymany groźnym wzrokiem Kmicica, zmieszał się, zaciął i wreszcie wykrztusił z wysileniem:

— Proszę waszmości, ludzie jacyś jadą

— Skąd?

— Od Szczuczyna.

Teraz pan Kmicic stropił się nieco, ale pokrywając prędko pomieszanie, odparł:

— A mieć się na baczności. Duża kupa idzie?

— Będzie z dziesięć koni.

— Bandolecki mieć gotowe. Ruszaj!

Poczem, gdy żołnierz wyszedł, zwrócił się do pana Rzędziana z Wąsoszy i rzekł:

— Czy aby nie Szwedzi?

— Przecie ku nim waćpan idziesz, — odparł pan Rzędzian który od niejakiego czasu poglądał ze zdziwieniem na młodego szlachcica — więc prędzej czy później musisz ich spotkać.

Wolałbym też Szwedów, aniżeli jakowych hultajów, których wszędy pełno... Kto jedzie z końmi, musi zbrojno jechać i mieć się na baczeniu, bo okrutnie to łasa rzecz.

— Jeżeli prawda, że w Szczuczynie stoi pan Wołodyjowski, — odparł Rzędzian — to pewnie jego podjazd. Nim się zakwaterują, chcą się przekonać, czyli kraj bezpieczny, bo ze Szwedami o miedzę trudnoby spokojnie usiedzieć.

Usłyszawszy to pan Andrzej, zakręcił się po izbie i usiadł w najciemniejszym jej kącie, gdzie okap komina rzucał gruby cień na róg stołu, a tymczasem z przed sieni doszedł tętent i parskanie koni i po chwili kilku ludzi weszło do izby.

Idący na czele, chłop olbrzymi, stukał drewnianą nogą w luźne deski, któremi izba była wyłożona. Kmicic spojrzał nań i serce zabiło mu w piersiach.

Był to Józwa Butrym, zwany Beznogim.

— A gdzie gospodarz? — spytał, stanąwszy na środku izby.

— Jestem! — odrzekł karczmarz — do usług waszmości.

— Dla koni obrok!

— Niema u mnie obroków, chyba ci panowie użyczą.

To rzekłszy, karczmarz wskazał na Rzędziana i koniuchów.

— Czyi to ludzie! — spytał Rzędzian.

— A ktoś waćpan sam?

— Starosta z Wąsoszy.

Rzędziana, jako dzierżawcę starostwa, zwali zwykle właśni jego ludzie starostą i on się sam tak nazywał w ważniejszych okazyach.

Ale Józwa Butrym zmieszał się, widząc, z jak wysoką osobą ma do czynienia, więc zdjął czapkę i rzekł łagodnym tonem:

— Czołem, wielmożny panie... Pociemku nie można godności rozeznać.

— Czyi ludzie? — powtórzył Rzędzian, biorąc się w boki.

— Laudańscy, z chorągwi dawnej billewiczowskiej, a dziś pana Wołodyjowskiego.

— Dla Boga! To pan Wołodyjowski jest w Szczuczynie?

— Osobą swoją i z innymi pułkownikami, którzy ze Żmudzi przyszli.

— Bogu chwała, Bogu chwała! — powtarzał uradowany pan starosta. — A jacyś to pułkownicy są z panem Wołodyjowskim?

— Był pan Mirski, — mówił Butrym — ale go szlag po drodze trafił, a jest pan Oskierka, pan Kowalski, dwóch panów Skrzetuskich...

— Jakich Skrzetuskich? — zakrzyknął Rzędzian. — Zali jeden z nich nie pan Skrzetuski z Burca?

— Tego nie wiem skąd, — odparł Butrym — jeno wiem, że to jest pan Skrzetuski Zbarażczyk.

— Rety! to mój pan!

Tu spostrzegł Rzędzian, jak dziwnie brzmi taki okrzyk w ustach pana starosty i dodał:

— Mój pan kum, chciałem rzec.

Tak mówiąc, nie zmyślał pan starosta, bo istotnie pierwszego syna Skrzetuskiego, Jaremkę, do chrztu trzymał w drugą parę.

Tymczasem Kmicicowi, siedzącemu w ciemnym kącie izby, myśli jedna za drugą poczęły się cisnąć do głowy. Najprzód zburzyła się w nim dusza na widok groźnego szaraka i ręka mimowoli chwytała za szablę. Wiedział bowiem Kmicic, że to głównie Józwa przyczynił się do rozsiekania kompanionów i jego samego najzawziętszym był wrogiem. Dawny pan Kmicic kazałby go w tej chwili porwać i końmi włóczyć, lecz dzisiejszy pan Babinicz przemógł się. Owszem, niepokój go ogarnął na myśl, że jeżeli szlachta go pozna, mogą stąd wypaść rozmaite dla dalszej podróży i całego przedsięwzięcia niebezpieczeństwa... Postanowił więc nie dać się poznać i coraz głębiej zasuwał się w cień; wreszcie oparł się łokciami o stół i wziąwszy głowę w dłonie, począł udawać, że drzemie.

Lecz jednocześnie szepnął do siedzącego obok Soroki:

— Ruszaj do stajni, niech konie będą w pogotowiu. Jedziemy na noc!

Kmicic udawał dalej, że drzemie. Rozmaite wspomnienia poczęły mu cisnąć się do głowy. Ludzie ci przypomnieli mu Laudę, Wodokty i tę przeszłość krótką, która jak sen minęła. Gdy przed chwilą Józwa rzekł, iż należą do chorągwi dawniej billewiczowskiej, to panu Andrzejowi aż serce zatrzęsło się w piersi na samo miano. I przyszło mu na myśl, że taki był właśnie wieczór, tak samo na

kominie palił się ogień, gdy on jakoby ze śniegiem spadł niespodzianie do Wodoktów i po raz pierwszy ujrzał w czeladnej Oleńkę między prządkami.

Widział teraz przez zamknięte powieki tak, jakby na jawie, tę pannę jasną, spokojną — wspomniał wszystko, co zaszło, jako ona chciała mu być aniołem stróżem, w dobrem go umocnić, od złego zasłonić, prostą, zacną drogę pokazać. Gdyby jej był słuchał, gdyby jej był słuchał!... Toż ona wiedziała, co czynić, po jakiej stronie stanąć; wiedziała, gdzie cnota, uczciwość, obowiązek — i poprostu wzięłaby go za rękę i poprowadziła, gdyby był chciał słuchać.

Tu miłość, podniecona rozpamiętywaniem, tak wezbrała w sercu pana Andrzeja, że gotów byłby wszystką krew wytoczyć, byle do nóg tej pannie paść, a w tej chwili gotów byłby porwać w ramiona nawet tego niedźwiedzia laudańskiego, który mu kompanionów wygubił, dlatego tylko, że był z tamtych stron, że Billewiczów wspominał, że Oleńkę widywał.

Z zadumy zbudziło go dopiero jego własne nazwisko, powtórzone kilkakrotnie przez Józwę Butryma. Dzierżawca z Wąsoszy wypytywał o znajomych, a Józwa opowiadał mu, co zaszło w Kiejdanach od czasu pamiętnej ugody ze Szwedami — mówił więc o pozycyi wojska, o uwięzieniu pułkowników, o zesłaniu ich do Birż i szczęśliwem ocaleniu. Nazwisko Kmicica powtarzało się oczywiście w tych opowiadaniach, pokryte całą grozą zdrady i okrucieństwa. O tem, że pan Wołodyjowski, Skrzetuscy i Zagłoba winni byli życie Kmicicowi, nie wiedział Józwa, natomiast tak opowiadał to, co zaszło w Billewiczach:

— Schwycił nasz pułkownik tego zdrajcę w Billewiczach, jak lisa w jamie i zaraz go kazali na śmierć prowadzić; prowadziłem go sam z wielką uciechą, że go ręka Boska dosięgnie i coraz tom mu latarką w oczy zaświecił, żeby obaczyć, czy też skruchy nie okaże. Ale nie! Szedł śmiele, nie bacząc, że przed sądem Bożym stanie. Taka już natura zatwardziała. A gdym mu doradził, żeby się choć przeżegnał, to mi odrzekł: "Stul gębę pachołku, nie twoja sprawa!" Postawiliśmy go tedy za wsią, pod gruszą i już początem komendę, kiedy pan Zagłoba, który szedł z nami, kazał go obszukać, czy jakich papierów przy nim niema. Jakoż znalazł się list. Powiada pan Zagłoba: "przyświeć!" —i zaraz do czytania. Ledwie zaczął czytać, kiedyto się nie porwie za głowę: "Jezus Marya!

dawaj go napowrót do dwora!" Sam skoczył na konia i pojechał, a my go odprowadzili w tej myśli, że go każą jeszcze przypiec przed przed śmiercią, żeby języka od niego zasięgnąć. Ale gdzie tam! Puścili zdrajcę wolno. Nie moja głowa wchodzić w to, co tam wyczytali, ale jabym go nie był puścił.

— Cóż w tych listach było? — pytał dzierżawca z Wąsoszy.

— Nie wiem, co było; miarkuję tylko, że musieli być jeszcze różni oficerowie w rękach księcia wojewody, których zarazby kazał rozstrzelać, gdyby mu Kmicica rozstrzelali. A przytem, może się nasz pułkownik i łez panny Billewiczówny ulitował, bo podobno przez ręce leciała, że ledwie mogli jej docucić... A wszelako... nie śmiem ja mówić, ale źle się stało, bo co ten człowiek złego naczynił, tegody się sam Lucyper nie powstydził. Cała Litwa na niego płacze, a co wdów, co sierot,co ubóstwa na niego narzeka. Bogu tylko wiadomo! Kto jego zgładzi, będzie miał zasługę w niebieskiech i przed ludźmi, jakoby psa wściekłego zabił!

Tu rozmowa przeszła znowu na pana Wołodyjowskiego, na panów Skrzetuskich, na chorągwie stojące na Podlasiu.

— O wiwendę ciężko, — mówił Butrym — bo dobra księcia hetmana doszczętu już wypłukane, ani człeku, ani koniowi na ząb w nich nie znaleść, a co jest szlachty to uboga, po zaściankach, jako u nas na Żmudzi, siedząca. Postanowili tedy pułkownicy, żeby się po sto koni rozdzielić i o milę, albo co dwie od siebie stać. Ale jak przyjdzie zima, nie wiem, co będzie.

Kmicic, który słuchał dotąd cierpliwie, póki o nim była mowa — poruszył się teraz i już usta otworzył, by ze swego ciemnego kąta powiedzieć:

— To was hetman tak podzielonych pojedyńczo ręką wybierze, jako raki z saka.

Lecz w tej chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich Soroka, którego Kmicic posłał był, by konie do drogi gotowano. Światło z komina padło wprost na srogą twarz wachmistrza; Józwa Butrym spojrzał na niego, popatrzył długą chwilę, poczem zwrócił się do Rzędziana i rzekł:

— Czy to waszej wielmożności człowiek?... Ja jego skądści znam!

— Nie, — odparł Rzędzian — to szlachta, która z końmi na jarmarki jedzie.

— A dokąd jedziecie? — pytał Józwa.

— Do Soboty — odparł stary Kiemlicz.

— Gdzie to jest?

— Niedaleko Piątku.

Józwa również jak poprzednio Kmicic, poczytał za żart niewczesny tę odpowiedź i rzekł, namarszczywszy brwi:

— Odpowiadaj, kiedy pytają!

— Jakiem prawem pytasz?

— Mogę ci się i z tego wywieść: bo mnie na podjazd wysłali, bym obaczył, czy podejrzanych ludzi w okolicy niemasz. Jakoż widzi mi się, że są którzy nie chcą powiedzieć dokąd jadą!

Kmicic obawiając wię, żeby jaka zwada z tej rozmowy nie wynikła, rzekł, nie ruszając się z ciemnego kąta:

— Nie sierdź się, mości żołnierzu, bo Piątek i Sobota są takie miasta, jako i inne, w których się jarmarki jesienne na konie odbywają. Nie wierzysz, to się pana starosty spytaj, który musi o nich wiedzieć.

Jakże! — rzekł Rzędzian.

— Na to Butrym:

— Kiedy tak, to co innego. Ale poco wam do onych miast jechać? Możecie i w Szczuczynie konie zbyć, bo nam siła nie staje, a te, cośmy w Pilwiszkach zagarnęli, na nic, bo wszystkie odsednione.

— Każdy tam jedzie, gdzie mu lepiej, a my swoją drogę znamy — odpowiedział Kmicic.

— Nie wiem, gdzie waści lepiej, ale nam nie lepiej, byś Szwedom koni doprowadzał i z językiem do nich jeździł.

— Dziwne mi to — rzekł dzierżawca z Wąsoszy. — Ci ludzie na Szwedów wymyślają, a jakoś im pilno ku nim się przebrać!

Tu zwrócił się ku Kmicicowi:

— A waćpan też mi nie bardzo do koniuchy podobny, bo i pierścień zacny na ręku widziałem, którego by się niejeden pan nie powstydził...

— Jeśli się waszmości tak udał, to go odemnie kup, bo ja dwie orty za niego w Łęgu zapłacił — odpowiedział Kmicic.

— Dwie orty?... To chyba nie szczery, ale przednio udany... Pokaż waść!

— Weź, wasza mość.

— A sam to się nie możesz ruszyć?... Ja mam chodzić?

— Bom się okrutnie strudził.

— Ej, bratku! rzeklby kto, że oblicze chcesz ukryć!

Słysząc to Józwa, nie rzekł ani słowa, jeno zbliżył się do komina, wyciągnął palącą się głownię i trzymając ją wysoko nad głową, poszedł wprost do Kmicica i zaświecił mu w oczy.

Kmicic podniósł się w jednej chwili na całą wysokość i przez jedno mgnienie powieki patrzyli sobie oko w oko — nagle głownia wypadła z rąk Józwy, rozsypując tysiące skier po drodze.

— Jezus Marya! — zakrzyknął Butrym — to Kmicic.

— Jam jest! — odrzekł pan Andrzej, widząc, że niema dłużej sposobu ukryć się.

Lecz Józwa zaczął krzyczeć na żołnierzy, którzy zostali przed sienią:

— Bywaj! bywaj! trzymaj!

Poczem zwrócił się do pana Andrzeja:

— Tyżeśto piekielniku, zdrajco! Tyżeśto dyable wcielony! Raz się wymknąłeś z rąk moich, a teraz do Szwedów w przebraniu dążysz? Tyżeśto Judaszu, kacie męża i niewiasty? mam cię!

To rzekłszy, chwycił za kark pana Andrzeja, a pan Andrzej chwycił jego; lecz poprzednio już dwaj młodzi Kiemlicze, Kosma i Damian, podnieśli się z ławy, sięgając rozczochranemi głowami aż do pułapu i Kosma spytał:

— Ociec, prać?

— Prać! — odrzekł stary Kiemlicz, dobywając szabli.

Wtem drzwi pękły i żołnierze Józwy zwalili się do izby; ale tuż za nimi, prawie na ich karkach, wjechała czeladź Kiemliczów.

Józwa chwycił lewą ręką za kark pana Andrzeja, a w prawej trzymał już goły rapier, czyniąc nim wokoło siebie wicher i błyskawice. Lecz pan Andrzej, choć tak olbrzymiej siły nie posiadał, chwycił go także jakby kleszczami za gardziel. Józwie oczy wylazły na wierzch, rękojeścią swego rapiera chciał strzaskać Kmicicową rękę i nie zdążył, bo go wpierw Kmicic głowną swej szabli w czuprynę gruchnął. Palce Józwy, trzymające kark przeciwnika, otworzyły się odrazu, a sam zachwiał się i w tył przeważył pod ciosem. Kmicic popchnął go jeszcze, by mieć do cięcia pole i całym rozmachem przez pysk szablą go chlasnął. Józwa padł na wznak, jak dąb, czaszką uderzywszy o podłogę.

— Bij! — krzyknął Kmicic, w którym odrazu rozbudził się dawny zabijaka.

Lecz nie potrzebował zachęcać bo w izbie gotowało się, jak

w garnku. Dwaj młodzi Kiemlicze siekli szablami, a czasem bodli łbami, jak dwa byki, kładąc za każdem uderzeniem człeka na ziemię; tuż za nimi następował stary, przykucając co chwila aż do ziemi, przymrużając oczy i przesuwając co chwila sztych szabli pod ramiona synów.

Lecz Soroka, przywykły do bitew po karczmach i w ciasnocie, szerzył najwięcej zniszczenia. Przypierał on tak zbliska przeciwników, że ostrzem nie mogli go dosięgnąć i wystrzeliwszy uprzednio w tłum pistolety, tłukł teraz po głowach ich rękojeściami, miażdżąc nosy, wybijając zęby i oczy. Czeladź Kiemliczów i dwaj kmicicowi żołnierze szli w pomoc panom.

Zawierucha przewaliła się od stołu w drugi koniec izby. Laudańscy bronili się ze wściekłością, lecz od chwili, w której Kmicic, obaliwszy Józwę, skoczył w ukrop i zaraz rozciągnął drugiego Butryma, zwycięstwo poczęło się przechylać na jego stronę.

Rzędzianowa czeladź wpadła również do izby z szablami i szturmakami, ale choć Rzędzian krzyczał: "bij!" — nie wiedziała co czynić, nie mogąc przeciwników rozeznać, bo laudańscy nie nosili żadnych mundurów. To też w zamieszaniu obrywało się starościńskim parobkom od jednych i od drugich.

Rzędzian trzymał się ostrożnie poza walką, pragnąc rozeznać Kmicica i wskazać go do strzału, lecz przy słabem świetle łuczywa Kmicic ustawicznie ginął mu z oczu; to zjawiał się znów jak dyabeł czerwony, to znów ginął w pomroce.

Opór ze strony laudańskich słabł z każdą chwilą, bo odjął im serce upadek Józwy i straszliwe imię Kmicica. Lecz walczyli z zaciekłością. Tymczasem karczmarz przesunął się cicho wedle walczących z wiadrem wody w ręku i chlusnął na ogień. W izbie nastała ciemność zupełna; walczący zbili się w kupę tak ciasną, że jeno pięściami mogli się grzmocić; przez chwilę krzyki ustały, słychać było tylko zdyszane oddechy i bezładny tupot butów. W tem przez drzwi wywalone skoczyli najprzód rzędzianowi, za nimi laudańscy, za nimi kmicicowi.

Rozpoczął się pościg w sieni, w pokrzywach przed sienią i w szopie. Rozległo się kilka strzałów, następnie wrzaski i kwik koni. Zawrzała bitwa przy rzędzianowych wozach, pod które jego czeladź się schroniła; laudańscy szukali również pod niemi ucieczki i wówczas to właśnie parobcy, biorąc ich za napastników, dali dali kilkakroć do nich ognia.

— Poddajcie się! — krzyczał stary Kiemlicz, zapuszczając ostrze swej szabli między szprychy woza i bodąc naoślep ukrytych pod nim ludzi.

— Stój! poddajem się! — odpowiedziało kilka głosów.

I wnet czeladź z Wąsoszy poczęła wyrzucać z pod wozu szable i szturmaki, następnie samych za łeb wyciągali młodzi Kiemlicze, aż stary zakrzyknął:

— Do wozów! brać, co w ręce wpadnie! Żywo! żywo! do wozów!

Młodzi nie dali sobie trzeci raz rozkazu powtórzyć i rzucili się do odpinania opony, z pod której łuby rzędzianowe ukazywały wypukłe boki. Już poczęli i łuby wyrzucać, gdy nagle zabrzmiał głos Kmicica:

— Stój!

I Kmicic, popierając ręką rozkaz, począł ich płazować krwawą szablą.

Kosma i Damian uskoczyli pośpiesznie na bok.

— Wasza miłość!... nie można? — pytał pokornie stary.

— Wara! — krzyknął Kmicic. — Szukaj mi starosty!

Kopnęli się tedy w mig Kosma i Damian, a za nimi ojciec i po kwadransie ukazali się znowu, prowadząc Rzędziana, który ujrzawszy Kmicica, skłonił się nisko i rzekł:

— Z przeproszeniem waszej miłości, krzywda mi się tu dzieje, bo ja z nikim wojny nie szukał, a że znajomych jadę odwiedzić, to wolno każdemu...

Kmicic wsparty na szabli, oddychał ciężko i milczał, więc Rzędzian mówił dalej:

— Ja tam ni Szwedom, ni księciu hetmanowi żadnej szkody nie uczynił, jenom do pana Wołodyjowskiego jechał, bo stary mój znajomy i na Rusi my razem wojowali... Ale poco mnie guza szukać! Nie byłem w Kiejdanach i nic mi do tego, co tam było... Ja patrzę, bym skórę całą wywiózł i żeby to, co mi Bóg dał, nie przepadło... Bom też tego nie ukradł; ale w pocie czoła zarobił... Nic mnie do całej sprawy! Niech mnie wasza wielmożność pozwoli wolno jechać...

Kmicic oddychał ciężko, patrząc wciąż jakby z roztargnieniem na Rzędziana.

— Proszę pokornie waszej wielmożności — zaczął starosta. — Wasza wielmożność widziała, że ja tych ludzi nie znał i przyjacielem im nie byłem. Napadli na waszą miłość, to mają za swoje,

ale zaco ja mam cierpieć, zaco moje ma przepadać? Com ja zawinił? Jeżeli nie może inaczej być, to ja żołnierzom waszej wielmożności wykupię się, choć mnie ubogiego człeka na wiele nie stać... Po talarze im dam, żeby im fatyga na l armo nie wyszła... Dam i po dwa... a wasza wielmożność przyjmie też odemnie...

— Zakryć te wozy! — krzyknął nagle Kmicic — a waszeć bierz rannych i jedź do dyabła!

— Dziękuję pokornie jegomości — rzekł pan dzierżawca z Wąsoszy.

Wtem zbliżył się stary Kiemlicz, wysuwając naprzód dolną wargę z resztkami zębów i jęcząc:

— Wasza miłość... to nasze... Zwierciadło sprawiedliwości... to nasze...

Lecz Kmicic spojrzał na niego tak, że stary skurczył się aż do ziemi i nie śmiał wymówić ni słowa.

Czeladź rzędzianowa rzuciła się konie co duchu do wozów zakładać. Kmicic zaś zwrócił się znów do pana starosty.

— Bierz tych wszystkich rannych i zabitych, którzy się znajdą, odwieź ich panu Wołodyjowskiemu i powiedz mu ode mnie, żem mu nie wróg, a może i lepszy przyjaciel, niż myśli... Alem go chciał minąć, bo nie teraz jeszcze pora, abyśmy się spotkali. Może późniéj przyjdzie ten czas, ale dziś, ani onby mi nie uwierzył, ani ja nie miałbym go czem przekonać... Może później... Uważaj waćpan! Powiedz mu, że ci ludzie mnie napadli i że musiałem się bronić.

— Po sprawiedliwości tak i było — rzekł Rzędzian.

— Czekaj... Powiedz jeszcze panu Wołodyjowskiemu, żeby się kupy trzymali, że Radziwiłł, niech jeno się jazdy od Pontusa doczeka, to wnet ruszy na nich. Może już jest w drodze. Obaj z księciem koniuszym i elektorem praktykują i blisko granicy niebezpiecznie stać. A przedewszystkiem niech się kupy trzymają, bo poginą marnie. Wojewoda witebski chce się na Podlasie przedrzeć... Niech mu idą naprzeciw, aby w razie przeszkody dać pomoc.

— Wszystko powiem, jakcby mi za to płacono.

— Choć to Kmicic mówi, choć Kmicic ostrzega, niechże mu wierzą, niech się poradzą z innymi pułkownikami i zastanowią, że w kupie będą mocniejsi. Powtarzam, że hetman już w drodze, a ja panu Wołodyjowskiemu nie wróg.

— Żeby ja to miał jaki znak od waszej miłości, toby lepiej jeszcze było — rzekł Rzędzian.

— Poco ci znaku?

— Bo i pan Wołodyjowski zarazby lepiej w szczerość afektu waszej miłości uwierzył i takby pomyślał, że musi być coś w tem, jeśli znak przysyła.

— To masz ten sygnet — rzekł Kmicic, — chociaż znaków po mnie nie brak na łbach u tych, ludzi, których panu Wołodyjowskiemu odwieziesz.

To rzekłszy, zdjął pierścień z palca. Rzędzian zaś przyjął go skwapliwie i rzekł:

— Dziękuję pokornie jegomości.

W godzinę później, Rzędzian wraz ze swemi wozami, czeladzią, trochę jeno poturbowaną, jechał spokojnie ku Szczuczynowi, odwożąc trzech zabitych i resztę rannych, między którymi Józwę Butryma z przeciętą twarzą i rozbitą głową. Jadąc, spoglądał na pierścień, którego kamień cudnie błyszczał przy księżycu i rozmyślał o tym dziwnym i strasznem człowieku, który tyle złego sprawiwszy konfederatom, a tyle dobrego Szwedom i Radziwiłłowi, chciał jednak widocznie ratować konfederatów od ostatniej zaguby.

— Bo to, co radził, to szczerze — mówił do siebie Rzędzian. — Kupy się zawsze lepiej trzymać. Ale czemu ostrzega? Chyba z afektu dla pana Wołodyjowskiego, że go to zdrowiem w Billewiczach udarował. Chyba z afektu! Ba, aleć księciu hetmanow na złe może wyjść ten afekt. Dziwny to człek, Radziwiłłowi służy, a naszym ludziom życzy... I do Szwedów jedzie... Tego ja nie rozumiem...

Po chwili zaś dodał:

— Hojny pan... Jeno źle mu w drogę włazić.

Równie ciężko i równie bezskutecznie jak Rzędzian, łamał sobie głowę stary Kiemlicz, pragnąc znaleźć odpowiedź na pytanie: Komu pan Kmicic służy?

— Do króla jedzie, a konfederatów bije, którzy właśnie przy królu stoją. Co to jest? I Szwedom nie ufa, bo się kryje... Co z nami będzie?

Tu nie mogąc dojść do żadnej konkluzyi, zwrócił ze złości ku synom.

— Szelmy! Bez błogosławieństwa pozdychacie. A nie mogliście choć tamtych pobitych obmacać?

— Balim się! — odpowiedział Kosma i Damian.

Jeden Soroka był zadowolony i człapał wesoło tuż za swym pułkownikiem.

— Już nas zły urok minął — myślał, — skorośmy tamtych pobili. Ciekaw jestem, kogo teraz będziemy bili?

I było mu to wszystko jedno, również jak i to, gdzie jechał.

Do Kmicica nikt nie śmiał przystąpić, ani pytać go o cokolwiek, bo młody pułkownik jechał chmurny jak noc. I gryzł się strasznie, że tych ludzi musiał pobić, obok których radby w szeregu jak najprędzej stać. Lecz gdyby nawet poddał się i pozwolił odprowadzić do pana Wołodyjowskiego, coby pomyślał pan Wołodyjowski, gdyby się dowiedział, że schwytano go przebierającego się pod zmienioną postacią ku Szwedom i z glejtami do szwedzkich komendantów.

— Stare grzechy mnie ścigają i prześladują... — mówił sobie Kmicic. — Ucieknę jak najdalej, a ty Boże mnie prowadź...

I począł się modlić żarliwie i opędzać sumieniu, które powtarzało mu:

— Znów trupy za tobą i nie szwedzkie...

— Boże bądź miłościw!... — odpowiadał Kmicic — jadę do pana mego, tam mi się służba rozpocznie...

## XIX.

Rzędzian nie miał zamiaru zostawać na noc w Pokrzyku, bo z Wąsoszy do Szczuczyna było niedaleko — pragnął więc tylko dać wytchnienie koniom, zwłaszcza tym, które wozy ładowne ciągnęły. Gdy więc Kmicic pozwolił mu jechać dalej, nie tracił Rzędzian czasu i w godzinę później wjeżdżał już do Szczuczyna późną nocą i opowiedziawszy się strażom, roztasował się w rynku, bo domy były przez żołnierzy pozajmowane, którzy i tak nie wszyscy mogli się pomieścić. Ów Szczuczyn uchodził za miasto, ale niem nie był rzeczywiście, nie miał albowiem jeszcze ani wałów, ani ratusza, ani sądów, ani kolegium pijarskiego, które dopiero za czasów króla Jana III powstało, a domów szczupło i więcej chałup, niż

domów, które dlatego tylko miastem się zwały, że w kwadrat były pobudowane, tworząc rynek. nie wiele zresztą mniej błotnisty od stawu, nad którym mieścina leżała.

Przespawszy się pod ciepłą wilczurą, doczekał Rzędzian ranka i zaraz udał się do pana Wołodyjowskiego, który nie widziawszy go od wieków, przyjął radośnie i zaraz poprowadził do kwatery panów Skrzetuskich i pana Zagłoby. Rozpłakał się aż Rzędzian na widok dawnego pana, któremu tyle lat służąc wiernie, tyle przygód, razem z nim przebył i fortuny się w końcu dorobił. Nie wstydząc się więc dawniej służby, począł po rękach pana Jana całować i powtarzać z rozrzewnieniem:

— Mój jegomość... mój jegomość... W jakichto czasach my się znów spotykamy!...

Jęli tedy razem wszyscy na czasy narzekać — wreszcie pan Zagłoba rzekł:

— Ale ty, Rzędzian, zawsze u fortuny za pazuchą siedzisz i jakoż widzę, na pana wyszedłeś. Pamiętasz, azalim ci nie prorokował, że jeżeli cię nie powieszą, to będzie z ciebie pociecha!... Cóż się teraz z tobą dzieje?

— Mój jegomość, za co mnie mieli wieszać, kiedy ja ani przeciw Bogu, ani przeciw prawu nic nie uczynił. Służyłem wiernie, a jeżelim kogo zdradził, to chyba nieprzyjaciół, co sobie jeszcze za zasługę poczytuję. A żem tu i owdzie jakiego hultaja fortelem starł, jakoto z rebelizantów, albo onę czarownicę — pamięta jegomość? — to też nie grzech, a choćby był grzech, to jegomości, nie mój, bom ja się właśnie od jegomości fortelów wyuczył.

— O, nie może być!... Patrzajcie go! — rzekł Zagłoba. — Jeżeli chcesz, bym ja za twoje grzechy po śmierci wył, to mi za życia fructa ich oddaj. Samże używasz onych wszystkich bogactw, któreś między Kozakami zebrał i samegoć za to w piekle na skwarki przetopią!

— Bóg łaskaw, mój jegomość, chociaż to jest nieprawda, żebym sam używał, bo ja najprzód złych sąsiadów ze szczętem sprocesowałem i rodzicieli opatrzyłem, którzy teraz spokojnie w Rzędzianach siedzą, żadnej dyferencyi już nie mając, bo Jaworscy z torbami poszli, a ja się opodal dorabiam, jak mogę.

— To nie mieszkasz już w Rzędzianach? — pytał pan Jan Skrzetuski.

— W Rzędzianach rodziciele podawnemu żywią, a ja mieszkam

w Wąsoszy i nie mogę się skarżyć, bo Bóg mi błogosławił. Ale jakem usłyszał, że waszmościowie w Szczuczynie jesteście, jużem nie mógł dosiedzieć, bom sobie pomyślał: widać czas się znowu ruszyć! Ma być wojna, go niech będzie!

— Przyznajże się, — rzekł Zagłoba — że cię Szwedzi z Wąsoszy wystraszyli.

— Szwedów jeszcze w ziemi Widzkiej niemasz, chyba podjazdki małe zachodzą i to ostrożnie, bo chłopstwo na nich okrutnie zawzięte.

— To mi dobrą nowinę przynosisz — rzekł Wołodyjowski — gdyż ja wczoraj umyślnie podjazd wysłałem, aby języka o Szwedach zasięgnąć, bom nie wiedział, czy można bezpiecznie w Szczuczynie popasać. Pewnie cię ten podjazd tu przyprowadził?

— Ten podjazd? Mnie? To ja jego przyprowadził, a raczej przywiózł bo tam i jednego człowieka między tymi ludźmi niemasz, któryby o własnej mocy na koniu mógł usiedzieć!

— Jakżeto?... Co zaś prawisz?... Cóż się stało? — pytał Wołodyjowski.

— Bo ich okrutnie pobito — objaśnił Rzędzian.

— Kto ich pobił?!

— Pan Kmicic.

Panowie Skrzetuscy aż porwali się z ław, pytając jeden przez drugiego:

— Pan Kmicic? A-coby on tu robił?...Czyliby sam książę hetman już tu przyciągnął? Nuże! Powiadaj wraz, co się stało?

Lecz pan Wołodyjowski wypadł tymczasem z izby, chcąc widać naocznie sprawdzić rozmiary klęski i ludzi obejrzeć; więc Rzędzian rzekł:

— A poco mam opowiadać, lepiej poczekać, aż pan Wołodyjowski wróci, bo to najwięcej jego sprawa, a szkoda gęby dwa razy jedno powtarzać.

— Widziałeś Kmicica na własne oczy? — pytał pan Zagłoba.

— Jako jegomości widzę!

— I gadałeś z nim?

— Jakżem nie miał gadać, kiedy my się w Pokrzyku niedaleko stąd zjechali; ja koniom wypoczywałem, a on na nocleg stał. Mało godzinę gadaliśmy, bo nie było co innego robić. Ja narzekałem na Szwedów, a on też narzekał...

— Na Szwedów? On także narzekał? — pytał Skrzetuski

— Jak na dyabłów, choć między nich jechał.

— Siła było wojska z nim?

— Żadnego z nim wojska nie było, jeno czeladzi kilku, prawda, że zbrojnych i z takiemi mordami, że już chyba i ci, którzy świętych młodzianków za herodowym ordynansem wycinali, sroższych i szpetniejszych nie mieli. Powiadał mi się chodaczkowym szlachcicem i mówił, że z końmi na jarmarki jedzie. Ale choć koni mieli kilkanaście w tabunku, przecie mi się to nie wydało, bo to i osoba inna i fantazya nie taka, jak u koniuchów i zacny pierścień na ręku widziałem... Ten właśnie!

Tu błysnął Rzędzian przed oczy słuchaczom kosztownym kamieniem, a pan Zagłoba uderzył się po czole i zakrzyknął:

— Już go od niego wycyganił! Po tem jednem poznałbym cię, Rzędzian, na końcu świata!

— Z przeproszeniem jegomości, nie cyganiłem, bom też szlachcic, do równości się z każdym poczuwający, nie Cygan, chociaż dzierżawami chodzę, póki Bóg nie da osiąść na swojem. A ten pierścień dał mi Kmicic na znak, że to, co mówił, to prawda a ja zaraz waszmościom słowa jego wiernie powtórzę, bo widzi mi się, że tu o skóry nasze chodzi.

— Jakto? — pytał Zagłoba.

Wtem wszedł pan Wołodyjowski, cały wzburzony i od gniewu blady, czapką o stół rzucił i zawołał:

— To przechodzi imaginacyę! Trzech ludzi zabitych, Józwa Butrym usieczony, ledwie tchnie!

— Józwa Butrym?... Tóżto człowiek niedźwiedziej siły! — rzekł zdumiony Zagłoba.

— Jego w moich oczach sam pan Kmicic rozciągnął — wtrącił Rzędzian.

— A dość mi tego pana Kmicica! — mówił w uniesieniu Wołodyjowski — gdzie się tylko ten człowiek pokaże, trupy za sobą, jak mór, zostawuje. Dość tego! Kwit za kwit, gardło za gardło... Ale teraz nowy rachunek... Ludzi mi napsuł, dobrych pachołków napadł... To mu się do pierwszego widzenia zakarbuje...

— Jużci co prawda, to nie on ich napadł, tylko oni jego, bo on w najciemniejszy kąt się zaszył, aby go nie poznali — rzekł Rzędzian.

— A ty, zamiast. coś miał moim pomagać, to jeszcze za nim świadczysz! — rzekł pan Wołodyjowski.

— Ja po sprawiedliwości... A co do pomocy, chcieli mi i pomagać, jeno niezręcznie im było, bo w tumulcie nie wiedzieli kogo bić, kogo oszczędzić i samym się przeto dostało. Żem z duszą i łubami uszedł, to jeno przez pana Kmicica wyrozumiałość, bo posłuchajcie waszmościowie, jak co się przytrafiło.

Tu Rzędzian począł opisywać szczegółowo bitkę w Pokrzyku, niczego nie opuścił, a gdy wreszcie powiedział i to, co mu Kmicic powiedzieć rozkazał, zdumieli się okrutnie towarzysze.

— Onże sam to mówił? — pytał Zagłoba.

— Sam — odrzekł Rzędzian. — "Ja (powiada) panu Wołodyjowskiemu, ani konfederatorom nie wróg, choć inaczej myślą. Później to się pokaże, a tymczasem niech się kupy, na miły Bóg trzymają, bo ich wojewoda wileński jako raki ze saka wybierze."

— I powiedział, że wojewoda już w pochodzie? — pytał Jan Skrzetuski.

—Mówił jeno, że tylko na posiłki szwedzkie czeka i że zaraz na Podlasie ruszy.

— Co waćpanowie o tem myślicie? —pytał Wołodyjowski spoglądając na towarzyszów.

— Zadziwiająca rzecz! — odpowiedział Zagłoba. — Albo ten człowiek Radziwiłła zdradza, albo nam jakąś zasadzkę gotuje. Ale jaką? Radzi się kupy trzymać, co może za szkoda stąd dla nas wyniknąć?

— Ze głodem zniszczejem — odrzekł Wołodyjowski. — Właśnie mam wiadomość, że i Żyromski i Kotowski i Lipnicki mają rozdzielić chorągwie po kilkadziesiąt koni i po całem województwie rozłożyć, bo w kupie nie mogą się wyżywić.

— A jeśli Radziwiłł istotnie nadejdzie? — pytał Stanisław Skrzetuski — to kto mu się wówczas oprze?

Nikt nie umiał odpowiedzieć na to pytanie, bo rzeczywiście było jasnem jak słońce, że gdyby hetman w. litewski nadciągnął i zastał siły konfederackie rozproszone, tedyby poznosił je z największą łatwością.

— Zadziwiająca rzecz! — powtórzył Zagłoba.

I po chwili milczenia mówił dalej:

— Wszelako Kmicic okazał już, że nam szczerze życzliwy. Pomyślałbym, że może Radziwiłła porzucił... Ale w takim razie nie przemykałby się w przebraniu i to dokąd — do Szwedów?

Tu zwrócił się do Rzędziana:

— Wszakże ci mówił, że na Warszawę jedzie?

— Tak jest! — rzekł Rzędzian.

— No, to tam już moc szwedzka.

— Ba! Już o tej godzinie musiał Szwedów napotkać, jeżeli całą noc jechał — odpowiedział Rzędzian.

— Widzieliście kiedy takiego człowieka? — pytał Zagłoba, poglądając na towarzyszów.

— Że w nim jest złe z dobrem pomieszane, jak plewy z ziarnem, to pewna, — rzekł Jan Skrzetuski — ale żeby w tej radzie, jaką nam teraz daje, była jakowa zdrada, temu wprost nęguję. Nie wiem, dokąd jedzie, dla czego się w przebraniu przemyka i próżnobym nad tem głowę łamał, bo to jakowaś tajemnica... Ale radzi dobrze, ostrzega szczerze, na to przysięgnę, jak również i na to, że jedyny dla nas ratunek tej rady usłuchać. Kto wie, czy mu znów zdrowia i życia nie zawdzięczamy.

— Dla Boga! — zakrzyknął Wołodyjowski — jakże Radziwiłł ma tu przyjść, kiedy mu na drodze stoją zołtareńkowi i piechota Chowańskiego. Co innego my! Jedna chorągiew się prześliźnie, a i to w Piliszkach musieliśmy sobie szablami drogę otwierać. Co innego Kmicic, który w kilku ludzi się przemykał, ale książę hetman jak przejdzie z całem wojskiem? Chyba tamtych wprzód zniesie...

Jeszcze nie skończył mówić pan Wołodyjowski, gdy drzwi się otworzyły i wszedł pachołek służbowy.

— Posłaniec z listem do pana pułkownika — rzekł.

— Dawaj go sam! — odrzekł Wołodyjowski.

Pachołek wyszedł i po chwili wrócił z listem. Pan Michał prędko złamał pieczęć i począł czytać.

"Czegom wczoraj nie dopowiedział dzierżawcy z Wąsoszy, to dziś dopisuję. Hetman i sam ma wojska na was dosyć, ale umyślnie na posiłki szwedzkie czeka, aby pod powagą króla szwedzkiego na was iść. Bo gdyby go septentrionowie wówczas zaczepili, tedyby musieli i na Szwedów uderzyć, toby znaczyło wojnę z królem szwedzkim. Czego oni nie będą śmieli uczynić, nie mając rozkazów, bo się Szweda boją i odpowiedzialności za rozpoczęcie wojny na się nie wezmą. Poznali się już na tem, że Radziwiłł wszędy umyślnie Szwedów im chce nadstawiać; niechby choć jednego ustrzelili, albo usiekli, zarazby wojna była. Sami teraz septentrionowie nie wiedzą, co czynić, gdy Litwa Szwedom poddana; stoją

więc w miejscu, czekając jeno co będzie i dalej nie wojując. Dla tych przyczyn i Radziwiłła nie powstrzymają, ani mu wstrętu nie uczynią, który prosto na was pójdzie i będzie pokolei znosił, jeśli się w kupę nie zbierzecie. Na Boga! uczyńcie to i pilno wojewodę witebskiego do się zapraszajcie, bo i jemu teraz do was przez septentrionów łatwiej, dopóki jako ogłupieli stoją. Chciałem was przestrzedz pod innem nazwiskiem, byście łatwiej uwierzyli, ale że się już wydało od kogo wiadomość, tedy swoje podpisuję. Zguba, jeśli nie uwierzycie, bo ja już nie ten, co byłem, a da Bóg całkiem inaczej jeszcze o mnie usłyszycie. — Kmicic."

— Chciałeś wiedzieć, jak Radziwiłł przyjdzie do nas, ot, masz odpowiedź! — rzekł Skrzetuski.

— Prawda jest... Dobre racye daje! — odpowiedział Wołodyjowski.

— Co to dobre! święte racye! — zawołał Zagłoba.

— Tu nie może być wątpliwości. Jam się pierwszy na tem człowieku poznał i choć niema przekleństwa, któregoby na jego głowę nie miotano, ja wam powiadam, że jeszcze go będziem błogosławić. U mnie dość na człeka spojrzyć, żeby wiedzieć co wart. A pamiętacie jako mi do serca przypadł w Kiejdanach? Sam on też nas kocha jako ludzi rycerskich, a gdy moje nazwisko pierwszy raz usłyszał, to mnie mało nie udusił z admiracyi i przezemnie wszystkich was ocalił.

— Jegomość to się nic nie zmienił — zauważył Rzędzian — czegóżby to pan Kmicic miał więcej jegomości od mego pana, albo od pana Wołodyjowskiego admirować?

— Głupiś — odpowiedział Zagłoba. — Na tobie odrazu się poznał i jeżeli cię zowie dzierżawcą, nie kpem z Wąsoszy, to jeno przez politykę!

— To może i jegomości przez politykę admirował? — odparł Rzędzian.

— Obacz jak chleb bodzie; ożeń się panie dzierżawco, a będziesz jeszcze lepiej bódł... Ja w tem!

— Wszystko to dobrze — rzekł Wołodyjowski — ale jeśli on tak szczerze nam życzy, to czemu sam do nas nie przyjechał, zamiast się jako wilk koło nas przemykać i ludzi nam kąsać?

— Nie twoja głowa, panie Michale — odpowiedział Zagłoba. — Co my uradzimy, to ty rób, a źle na tem nie wyjdziesz. Żeby twój dowcip wart był twojej szabli, tobyś już hetmanem wielkim na

miejscu pana Rewery Potockiego był. A poco Kmicic miał tu przyjeżdżać?... Czy nie poto, żebyś mu tak samo nie wierzył, jak pismu jego nie wierzysz, z czegoby zaraz i do wielkiej kłótni dojść mogło, bo to zadzierżysty kawaler? — A dajmy, żebyś ty uwierzył, to coby rzekli inni pułkownicy, jako Kotowski, Żyromski, albo Lipnicki?... Coby rzekli twoi ludzie laudańscy, czyby go nie usiekli, gdybyś tylko głowę odwrócił?

— Ojciec ma racyę, — rzekł Jan Skrzetuski — on tu nie mógł przyjechać.

— To czego do Szwedów jedzie? — powtórzył uparty pan Michał.

— Dyabeł go wie, czy do Szwedów, dyabeł wie, co w tę szaloną pałkę mogło strzelić! Nic nam do tego, my oto z ostrzeżenia korzystajmy, jeśli głowy chcemy unieść.

— Tu niema się co namyślać — rzekł Stanisław Skrzetuski.

— Trzeba co prędzej zawiadomić Kotowskiego, Żyromskiego Lipnickiego i tego drugiego Kmicica — mówił Jan Skrzetuski. — Wyślij do nich, Michale, co prędzej wieści, ale nie pisz im, kto ostrzega, bo z pewnościąby nie uwierzyli.

— My jedni będziemy wiedzieli, czyja zasługa i w swoim czasie nie omieszkamy jej promulgować! — zakrzyknął Zagłoba. — Dalej, żywo Michale!

— A sami pod Białystok ruszymy, wszystkim tam zbór naznaczywszy. Dałby Bóg wojewodę witebskiego jak najprędzej! — rzekł Jan.

— Z Białegostoku trzeba będzie do niego deputatów od wojska wysłać. Da Bóg, staniemy do oczu panu hetmanowi litewskiemu — mówił Zagłoba — w równej, albo i lepszej sile. Nam się na niego nie porywać, ale pan wojewoda witebski, to co innego. A zacnyto pan! a cnotliwy! niemasz takiego drugiego w Rzeczypospolitej!

— Jegomość znasz pana Sapiehę? — pytał Stanisław Skrzetuski.

— Czy znam? Znałem go pachołkiem, nie większym od mojej szabli. Ale już był jako anioł.

— Toż on teraz nietylko majętności, nietylko srebra i klejnoty, ale ponoś i skówki na rzędzikach na pieniądze przetopił, byle jak najwięcej wojska przeciw nieprzyjaciołom ojczyzny zaciągnąć? — rzekł pan Wołodyjowski.

— Dzięki Bogu, że choć taki jeden jest, — odrzekł Stanisław — bo pamiętacie, jakeśmy to Radziwiłłowi ufali?

— Bluźnisz waść! — krzyknął Zagłoba. — Wojewoda Witebski! ba! ba! Niech żyje wojewoda witebski!... A ty, Michale, do ekspedycyi! żywo do ekspedycyi! Niechże tu piskorze w tem błocie szczuczyńskiem zostają, a my pójdziemy do Białegostoku, gdzie może i innych ryb dostaniem... Chały też tam bardzo przednie Żydzi na szabas wypiekają. No! przynajmniej wojna się rozpocznie. Bo mi już tęskno... A kiedy Radziwiłłem przetrącim, to się i do Szwedów weźmiem. Pokazaliśmy im już, co umiemy!... Do ekspedycyi, Michale, bo periculum in mora (niebezpieczeństwo w zwłoce).

— A ja pójdę podnieść na nogi chorągiew! — rzekł pan Jan.

I w godzinę później kilkunastu posłańców wylatywało, co koń wyskoczy, ku Podlasiowi, a za nimi wkrótce ruszyła cała chorągiew laudańska. Starszyzna jechała na przedzie, naradzając się i dyskutując, a żołnierzy prowadził pan Roch Kowalski, namiestnik. Szli na Osowiec i Goniądz, prostując sobie drogę ku Białemustokowi, gdzie się innych konfederackich chorągwi spodziewali.

---

## XX. 32

Listy pana Wołodyjowskiego, donoszące o pochodzie Radziwiłła, znalazłszy posłuch u wszystkich pułkowników, rozproszonych po całem województwie podlaskiem. Niektórzy już byli porozdzielali chorągwie na mniejsze oddziały, aby tem łatwiej przezimować, inni pozwolili rozjechać się towarzystwu po domach prywatnych tak, że pod znakami zaledwie kilkunastu towarzyszów i po kilkudziesięciu pocztowych zostało. Pułkownicy pozwolili na to poczęści z obawy przed głodem, a poczęści dla trudności utrzymania w należytej dyscyplinie chorągwi, które raz wypowiedziawszy właściwej władzy posłuszeństwo, skłonne teraz były do opozycyi i względem swych przywódców z lada powodu. Gdyby był znalazł się dowódca należytej powagi i odrazu poprowadził je do boju przeciw któremukolwiek z dwóch nieprzyjaciół, albo nawet przeciw Radziwiłłowi, karność pozostałaby zapewne niewzruszoną ale zepsuła się w próżnowaniu na Podlasiu, gdzie czas schodził na

ostrzeliwaniu jeno radziwiłłowskich zameczków, na rabunku dóbr księcia wojewody i na paktowaniu z księciem Bogusławem. W tych warunkach żołnierz przyuczał się tylko do swawoli i uciskania spokojnych mieszkańców województwa. Niektórzy żołnierze, zwłaszcza pocztowi i czeladź, zbiegłszy z pod chorągwi, potworzyli kupy swawolne i trudnili się rozbojem na gościńcach. I tak owo wojsko, które nie połączywszy się z żadnym nieprzyjacielem, było jedyną nadzieją króla i patryotów, marniało z dniem każdym. Podział chorągwi na drobne oddziały dopełnił rozprzężenia. Prawda, że w kupie trudno było się wyżywić, ale jednak może i umyślnie przesadzano obawy głodu, bo przecież była to jesień, a zbiory udały się szcześliwie—zwłaszcza, że żaden nieprzyjaciel nie zniszczył poprzednio ogniem i mieczem województwa. Zniszczyły je poniekąd właśnie rabunki konfederackich żołnierzy, tak jak samych żolnierzy zniszczyła bezczynność.

Albowiem rzeczy tak się złożyły dziwnie, iż nieprzyjaciel zostawił w spokoju te chorągiwe. Szwedzi, zalewając kraj od zachodu i ciągnąć na południe, nie doszli jeszcze do tego kąta, jaki między województwem mazowieckiem z Litwą tworzyło Podlasie — z drugiej zaś strony zastępy Chowańskiego, Trubeckiego i Srebrnego, stały w pozajmowanych przez się okolicach bezczynnie, wahając się, a raczej same nie wiedząc, co począć. Na Rusi Buturlin z Chmielnickim rozpuszczali podawnemu zagony i właśnie w ostatnich czasach porazili pod Gródkiem garść wojska, której przywodził hetman wielki koronny, pan Potocki. Ale Litwa była pod protektoratem szwedzkim. Pustoszyć i zajmować ją dalej znaczyło to samo, jak słusznie zauważył w liście swym Kmicic, co wypowiadać wojnę straszliwym i wzburzającym powszechną w świece trwogę Szwedom. "Była tedy chwila folgi od septentrionów" — i niektórzy doświadczeni ludzie przepowiadali nawet, że wkrótce zwrócą się oni, jako sprzymierzyńcy Jana Kazimierza i Rzeczypospolitej, przeciw królowi szwedzkiemu, którego potęga, gdyby panem całej Rzeczpospolitej został, nie miałaby równej w Europie.

Nie zaczepiał tedy Chowański ni Podlasia, ni skonfederowanych chorągwi, a one wzajem, pozbawione wodza, rozproszone, nie zaczepiały i nie były w sile zaczepić kogokolwiek, lub przedsięwziąć coś ważniejszego nad rabunek dóbr radziwiłłowskich. Natomiast marniały. Jednakże listy pana Wołodyjowskiego grożącym pochodzie Radziwiłła rozbudziły pułkowników z uśpienia i bezczyn

ności. Poczęto ogarniać chorągiew, rozpisywać awizy, wzywające rozproszonych żołnierzy pod znaki, i grożące karami tym, którzyby się nie stawili. Pierwszy Żyromski, najpoważniejszy między pułkownikami i którego chorągiew w najlepszym była stanie, ruszył, nieomieszkując, pod Bałystok; za nim przybył w tygodniu Jakób Kmicic, prawda, że tylko w sto dwadzieścia ludzi — poczem zaczęli się ściągać żołnierze Kotowskiego i Lipnickiego, to pojedyńczo , to gromadkami, szła także na ochotnika i drobna szlachta z okolicznych zaścianków, jako Zięncikowie, Świderscy, Jaworscy, Rzędzianowie, Mazowieccy; przybywali wolentaryusze nawet z województwa lubelskiego, jako Karwowscy i Turowie; od czasu do czasu przybywał i zamożniejszy szlachcic z jakim takim pocztem sług dobrze zbrojnych. Wysłano deputatów od chorągwi do egzekucyi, którzy pieniądze i żywność za kwitami mieli wybierać, słowem ruch zapanował wszędy, zawrzały przygotowania wojenne, i gdy pan Wołodyjowski ze swoją laudańską chorągwią nadciągnął, stało już kilka tysięcy ludzi pod bronią, którym tylko przywódcy brakowało.

Wszystko to było i dość bezładne i dość niesforne, ale ani tak bezładne, ani tak niesforne, jak owa szlachta wielkopolska, która przed kilku miesiącami miała pod Ujściem Szwedom przeprawy bronić; albowiem owi Podlasianie, Lubliniane i Litwa byli to ludzie z wojną obyci, i nie było nawet między tymi ochotnikami ani jednego, prócz wyrostków, któryby prochu nie wąchał i z "tabakiery Gradywa nie zażywał." Każdy w swojem życiu czynił to przeciw Kozakom, to przeciw Turkom, to przeciw Tatarom; byli tacy, którzy jeszcze szwedzkie wojny pamiętali. Nad wszystkimi zaś górował doświadczeniem wojennem i wymową pan Zagłoba i rad się znalazł w tem zbiegowisku żołnierskiem, w którem o suchem gardle nie radzono.

Gasił więc powagą najpoważniejszych pułkowników. Laudańscy ludzie opowiadali, że gdyby nie on, tedyby Wołodyjowski, Skrzetuscy, Mirski i Oskierka zginęli z rąk radziwiłłowskich, bo już ich na stracenie do Birż wieziono. On sam zasług swych nie ukrywał i sprawiedliwość sobie zupełną oddawał, aby wszyscy wiedzieli, kogo mają przed sobą.

— Nie lubię się chwalić — mówił — ani gadać o tem, czego nie było, bo u mnie prawda grunt, co może i mój siostrzan świadczyć.

Tu zwracał się do pana Rocha Kowalskiego, który występował

wówczas zza pleców pana Zagłoby i mówił dobitnym stentorowym głosem:

— Wuj... nie... łże!

I sapiąc, toczył oczyma po obecnych, jakby szukał zuchwalca, któryby mu śmiał zaprzeczyć.

Ale nikt nie przeczył, więc pan Zagłoba poczynał opowiadać o swych dawnych przewagach: jako jeszcze za życia pana Koniecpolskiego przyczynił się dwukrotnie do zwycięstwa nad Gustawem Adolfem, jak potem Chmielnickiego splantował, co pod Zbarażem dokazywał, jako książę Jeremi na jego radach we wszystkiem polegał i jako mu prowadzenie wycieczek powierzał...

— A po każdej wycieczce — mówił — gdyśmy na pięć albo na dziesięć tysięcy hultajstwa napsuli, to Chmielnicki aż łbem z desperacyi w ścianę trykał i powtarzał: "Nikt inny tego nie uczynił, tylko ten dyabeł Zagłoba!" A gdy już do paktów, Zborowskich przyszło, to chan sam jako dziwo mnie oglądał i o konterfekt upraszał, bo chciał go sułtanowi w prezencie posłać.

— Takich nam dziś trzeba, więcej niż kiedy! — powtarzali słuchacze.

A gdy wielu i bez tego o nadzwyczajnych czynach pana Zagłoby słyszało, o których wieści po całej Rzeczypospolitej chodziły, gdy i świeże wypadki w Kiejdanach, jakoto: uwolnienie pułkowników i bitwa klaweńska ze Szwedami potwierdzały dawną opinię męża, sława jego rosła coraz bardziej i chodził w niej pan Zagłoba, jak w słońcu, wszystkim na oczach, nad innych promienisty i jasny.

— Gdyby takich tysiąc było w Rzeczypospolitej, nie przyszłoby do tego, co się zdarzyło! — powtarzano w obozie.

— Dziękujmy Bogu, że choć jednego namy między sobą!

— Onże pierwszy Radziwiłła zdrajcą okrzyknął.

— I zacnych ludzi z jego rąk wyrwał i po drodze Szwedów pod Klawanami tak poraził, że i świadek klęski nie uszedł.

— Pierwsze zwycięstwo on odniósł!

— Da Bóg i nie ostatnie!

Pułkownicy, jako Żyromski, Kotowski, Jakób Kmicic i Lipnicki patrzyli także na Zagłobę z wielkim szacunkiem. Wydzierano go sobie z rąk i zasięgano jego rady we wszystkiem, podziwając roztropność, prawie męstwu wyrównującą.

A właśnie radzono teraz nad ważną sprawą. Wysłano wpra-

wdzie deputatów do wojewody witebskiego, by przyjeżdżał objąć dowództwo, ale ponieważ nikt dobrze nie wiedział, gdzie w tej chwili pan wojewoda się znajduje, więc pojechali i jakby w wodę wpadli. Były wieści, że ich zołtareńkowe podjazdy ogarnęły, które zapuszczały się pod Wołkowysk, rabując na własną rękę.

Postanowili tedy pułkownicy pod Białymstokiem obrać tymczasowo regimentarza, któryby aż do przyjazdu pana Sapiehy rząd nad wszystkimi sprawował. Nie potrzeba mówić, że z wyjątkiem pana Wołodyjowskiego, każdy pułkownik o sobie myślał.

Rozpoczęły się zabiegi i kaptowania. Wojsko oświadczyło, że chce mieć udział w wyborach i to nie przez deputatów, ale w kole jeneralnem, które wnet w tym celu złożono.

Wołodyjowski, po naradzie ze swymi towarzyszami, polecał mocno pana Żyromskiego, który był człowiek cnotliwy, poważny, a przytem imponował wojsku samą urodą i senatorską brodą w pas. Żołnierz przytem był biegły i doświadczony. Sam przez wdzięczność polecał pana Wołodyjowskiego, ale Kotowski, Lipnicki i Jakób Kmicic opierali się temu, twierdząc, że nie można najmłodszego wiekiem wybierać, bo regimentarz musi i przed obywatelstwem największą reprezentować powagę.

— A któż tu najstarszy? — zapytały liczne głosy.

— Wuj najstarszy! — zakrzyknął nagle pan Roch Kowalski tak gromkim głosem, że aż wszyscy zwrócili głowy w jego stronę.

— Szkoda tylko, że chorągwi nie ma — rzekł pan Jachowicz namiestnik Żyromskiego.

Lecz inni poczęli wołać:

— To i co z tego! Czy to nam niewola pułkownika koniecznie obierać?... Zali to nie w mocy naszej? Zali nie in liberis suffragiis (niewolne głosowanie)? Toż królem wolno każdego szlachcica obrać, a cóż dopiero regimentarzem...

Wtem pan Lipnicki, który niechętny był dla Żyromskiego i nie chciał wszelkimi sposobami jego wyboru dopuścić, zabrał głos:

— Jako żywo! wolno waszmościom głosować, jak się podoba! A nie obierzecie pułkownika, to się i lepiej stanie, bo nie będzie nikomu krzywdy, ani invidii (zazdrości).

Wtedy powstał hałas straszliwy. Liczne głosy wołały: "Do wotów! do wotów!" — inni zaś: "Kto tu od pana Zagłoby sławniejszy? Kto większy rycerz? Kto żołnierz doświadczeńszy? Pana

Zagłobę prosimy... Niech żyje pan Zagłoba! Niech żyje regimentarz!"

— Niech żyje! niech żyje!—wrzeszczało coraz więcej gardzieli.

— Na szable opornych!... — krzyczeli znowu burzliwsi.

— Niema opornych! unanimitate (jednomyślnie!) — odpowiadały tłumy.

— Niech żyje! On Gustawa Adolfa poraził! On Chmielnickiemu sadła za skórę nalał!

— I pułkowników samych ratował!

— I Szwedów pod Klawanami poraził!

— Vivat! vivat! Zagłoba dux! vivat! vivat!

I tłumy poczęły podrzucać czapki, biegać po obozie i szukać pana Zagłoby.

On zaś zdumiał się i zmieszał w pierwszej chwili, bo o godność nie zabiegał, chciał jej dla Skrzetuskiego, i takiego obrotu rzeczy się nie spodziewał.

To też, gdy kilkutysięczny tłum począł wykrzykiwać jego nazwisko, tchu mu zabrakło i zaczerwienił się, jak burak.

Wtem go opadli towarzysze; ale w uniesieniu wszystko tłomaczyli sobie na dobre, bo widząc jego zmieszanie, poczęli wołać:

— Patrzcie! jako panna się zapłonił! Modestya męstwu w nim równa! Niech żyje i niech nas do wiktoryi prowadzi!

Tymczasem nadeszli i pułkownicy, radzi nieradzi, winszując godności, a niektórzy może i radzi byli, że współzawodników minęła. Pan Wołodyjowski tylko wąsikami coś ruszał, nie mniej od pana Zagłoby zdumiony, a Rzędzian, otworzywszy oczy i usta, patrzył z niedowierzaniem, ale już i z szacunkiem na pana Zagłobę, który zwolna do siebie przychodził, a po chwili wziął się w boki i głowę do góry zadarł, przyjmując z odpowiednią godności powagą życzenia.

Winszował pierwszy Żyromski od pułkowników, a potem od wojska przemówił bardzo wymownie towarzysz z chorągwi Kotowskiego, pan Żymirski, cytując maksymy różnych mędrców.

Zagłoba słuchał, głową kiwał; wreszcie, gdy mówca skończył, pan regimentarz przemówił w następujące słowa:

— Mości panowie! Choćby kto w niezbrodzonym chciał prawdziwą utopić zasługę oceanie, albo niebotycznemi przysypać ją Karpatami, przecie ona, jakoby oleju przyrodzenie mając, na wierzch wypłynie, z podziemi się wydobędzie, ażeby do oczu ludz-

kich powiedzieć: "Jam jest, która się światła nie wzdragam, sądu nie lękam, nagrody czekam." Ale że jako drogi kamień w złoto, tak cnota w modestyę powinna być oprawiona, przeto pytam was, mości panowie, stojąc tu przed wami: Zalim się ze swemi zasługami nie krył? Zalim się przed wami chwalił? Zali o tę godność, którąście mnie ozdobili, tentował? Wyścieto sami zasług mych dopatrzyli, bom ja i teraz jeszcze je negować gotów i powiedzieć wam: są tu lepsi ode mnie, jako pan Żyromski, pan Kotowski, pan Lipnicki, pan Kmicic, pan Oskierka, pan Skrztuski, pan Wołodyjowski tak wielcy kawalerowie, jakimi sama starożytność chlubićby się mogła... Przecz mnie, a nie którego z nich obraliście sobie wodzem? Jeszcze czas... Zdejmijcie mi tę godność z barków, a zacniejszego w ten płaszcz przyozdóbcie!

— Nie może być! nie może być! — zaryczały setne i tysiączne głosy.

— Nie może być! — powtórzyli pułkownicy uradowani z publicznej pochwały, a chcący zarazem przed wojskiem swoją skromność okazać.

— Widzę i ja, że nie może być inaczej! — odrzekł Zagłoba — niech się tedy wola waszmościów spełni. Dziękuję z serca, panowie bracia, i tak tuszę, że da Bóg, nie zawiedziecie się w tej ufności, którąście we mnie położyli. Jako wy przy mnie, tak i ja do gardła stać przy was przyrzekam, a czyli wiktoryę, czyli zgubę fata nam niezbadane przyniosą, sama śmierć nas nie rozłączy, bo i po śmierci sławą się dzielić będziem!

Okrutne uniesienie zapanowało w zebraniu. Jedni do szabel się imali, drudzy łzy poczęli ronić; panu Zagłobie pot kroplami osiadł na łysinie, ale zapał w nim wzrastał:

— Przy królu naszym prawowitym, przy naszym elekcie i przy miłej ojczyźnie stać będziem! — zakrzyknął — dla nich żyć! dla nich umierać! Mości panowie! jako ta ojczyzna ojczyzną, nigdy takowe klęski na nią nie spadły. Zdrajcy otworzyli wrota i niemasz już piędzi ziemi, kromie tego województwa, w którejby nie grasował nieprzyjaciel. W was ojczyzny nadzieja, a we mnie wasza, na was i na mnie cała Rzeczpospolita ma oczy obrócone! Ukażmy jej, że nie próżno ręce wyciąga. Jak wy ode mnie męstwa i wiary, tak ja od was karności żądam i posłuszeństwa, a gdy będziemy zgodni, gdy przykład — naszym otworzymy oczy tym, których nieprzyjaciel uwiódłem tedy pół Rzeczypospolitej do nas

się zleci! Kto ma Boga w sercu, ten przy nas stanie, mocy niebieskie nas wesprą i kto nam wówczas sprosta?!

— Tak będzie! Dla Boga, tak będzie! Salomon mówi: Bić! bić! — wołały grzmiące głosy.

A Zagłoba ręce ku północy wyciągnął i począł krzyczeć:

— Przychodź teraz, Radziwille! przychodź, panie hetmanie! panie heretyku! lucyperowy wojewodo! Czekamy cię, nie w rozproszeniu, ale w kupie, nie w dyskordyi, ale w zgodzie, nie z papierami, paktami, ale z mieczami w ręku! Czeka cię tu wojsko cnotliwe i ja regimentarz. Dalej! wychodź! dawaj Zagłobie pole! Wezwij czartów na pomoc i próbujmy się!... Wychodź!

Tu zwrócił się znowu do wojska i krzyczał dalej, aż się w całym obozie rozlegało:

— Dla Boga, mości panowie! Proroctwa mnie wspierają! Zgody jeno, a pobijemy tych szelmów, pludrów, pończoszników, rybojadów i innych wszarzy, brodafianów, kożuszników, co w lato saniami jeżdżą!... Damy im pieprzu, aż pięty pogubią, umykając. Bij że tych psubratów, kto żyw! Bij kto w Boga wierzy, komu cnota i ojczyzna miła!

Kilka tysięcy szabel zabłysło naraz. Tłumy otoczyły pana Zagłobę, cisnąć się, depcąc, popychając i wrzeszcząc:

— Prowadź! prowadź!

— Jutro poprowadzę! Gotować się! — krzyknął w zapale Zagłoba.

Wybór ów odbywał się rano, a po południu odbywał się przegląd wojska. Stały więc chorągwie na choroszczańskich błoniach, jedna przy drugiej w wielkim porządku, z pułkownikami i chorążymi na czele, a przed pułkami jeździł regimentarz, pod buńczukiem, z pozłocistą, buławą w ręku i czaplem piórem przy czapce. Rzekłbyś: hetman urodzony! I tak przeglądał kolejno chorągwie, jak pasterz przegląda trzodę, a żołnierzom aż serca przybywało na widok tej wspaniałej postaci. Każdy pułkownik wyjeżdżał kolejno ku niemu, a on z każdym pogadał, coś pochwalił, coś zganił i nawet ci z przywódców, którzy z początku nie radzi byli z wyboru, musieli przyznać w duchu, że z nowego regimentarza żołnierz bardzo materyi wojskowych świadom, dla którego przewództwo nie nowina.

Jeden tylko pan Wołodyjowski dziwnie jakoś wąsikami ruszał,

gdy nowy regimentarz poklepał go na przeglądzie wobec innych pułkowników po ramieniu i rzekł:

— Panie Michale, kontent jestem z ciebie, bo chorągiew tak porządna, jako żadna nie jest. Wytrwaj jeno tak dalej, a możesz być pewien, że cię nie zapomnę!

— Dalibóg! — szepnął pan Wołodyjowski Skrzetuskiemu, wracając z przeglądu — coby mi mógł innego prawdziwy hetman powiedzieć?

Tego samego dnia rozesłał pan Zagłoba podjazdy w te strony, w które było trzeba i w te, w które nie było potrzeby. Gdy wróciły nazajutrz rano, wysłuchał pilnie wszystkich doniesień, poczem udał się do kwatery pana Wołodyjowskiego, który mieszkał razem ze Skrzetuskimi.

— Przy wojsku muszę powagę zachowywać — rzekł łaskawie, — ale gdyśmy sami, możemy w dawnej konfidencyi zostawać... Tum przyjaciel nie zwierzchnik! Waszą radą też nie pogardzę, choć własny rozum mam, gdyż wiem, żeście ludzie doświadczeni, jak mało żołnierzy w całej Rzeczypospolitej.

Przywitali go więc podawnemu i wprędce "konfidencya" zapanowała zupełna, jeden tylko Rzędzian nie śmiał być z nim jak dawniej i na samym brzeżku ławy siedział.

— Co ojciec myślisz robić? — zapytał Jan Skrzetuski.

— Przedewszystkiem porządek i dyscyplinę utrzymać i żołnierzy zająć, żeby próżnowaniem nie sparcieli. Widziałem ja to dobrze, panie Michale, żeś jako sysun mamrotał, gdym te podjazdy na cztery strony świata wysyłał, ale ja musiałem to uczynić, by ludzi do służby wdrożyć, bo znacznie pole zalegli. To raz, a powtóre, czego nam brak? Nie ludzi, bo nalazło i nalezie ich dosyć. Ta szlachta, która do Prus uciekła przed Szwedami z województwa mazowieckiego, także tu przyjdzie. Ludu i szabli nie zbraknie, jeno wiwendy nie dość, a bez zapasów żadne wojsko w świecie w polu nie wytrzyma. Owóż mam taką myśl, żeby podjazdom nakazać sprowadzać wszystkiego, co jeno im w ręce popadnie: bydło, owce, świnie, zboże, siano i z tego województwa i z ziemi widzkiej na Mazowszu, która także nie widziała dotąd nieprzyjaciela i wszystkiego ma obfitość.

— Ale to szlachta będzie w niebogłosy krzyczeć — zauważył Skrzetuski, — jeżeli się im plon i dobytek zabierze?

— Więcej mi znaczy wojsko, niż szlachta. Niech krzyczą.

Zresztą, darmo się nie będzie brać, bo każę kwity wydawać, których tyle już nagotowałem przez dzisiejszą noc, że pół Rzeczypospolitej wziąć by można za nie w rekwizycyę. Pieniędzy nie mam, ale po wojnie i po wypędzeniu Szwedów Rzeczpospolita to zapłaci. Co mi tam gadacie! Szlachcie gorzej, gdy wojsko zgłodniałe zjeżdża i rabuje. Mam też myśl łasy splądrować, bo słyszę że tam siła chłopstwa z dobytkiem pouciekało. Niechże to wojsko Duchowi Świętemu dziękuje, że je natchnął do obrania mnie regimentarzem, bo niktby tu inny sobie nie poradził.

— U waszej wielmożności senatorska głowa, to pewno! — rzekł Rzędzian.

— Co? hę? — rzekł Zagłoba uradowany pochlebstwem — i ciebie, szelmo, w ciemię nie bito. Rychło patrzeć, jak namiestnikiem cię uczynię, niech się jeno vacans otworzy.

— Dziękuję pokornie waszej wielmożności... — odpowiedział Rzędzian.

— Ot, moja myśl! — mówił dalej Zagłoba. — Najprzód wiwendy tyle zgromadzić, jakobyśmy mieli oblężenie wytrzymać, potem obóz warowny założymy, a wówczas niech przychodzi Radziwiłł ze Szwedami, czy z dyabłami. Szelmą jestem, jeżeli tu drugiego Zbaraża nie uczynię!

— Jak mi Bóg miły, tak to grzeczna myśl, — zawołał Wołodyjowski — jeno skąd dział weźmiemy?

— Pan Kotowski ma dwie haubice, u Kmicica jedna wiwatówka, w Białymstoku są cztery oktawy, które do zamku tykocińskiego być wyprawione; bo waćpanowie nie wiecie, że Białystok na utrzymanie zamku tykocińskiego przez pana Wiesiołowskiego jest zapisany, i te armaty jeszcze zeszłego roku z czynszów zakupiono, o czem mi pan Stępalski, gubernator tutejszy, powiedział. Mówi też, że i prochów jest na sto strzałów do każdej. Damy sobie radę, mości panowie, jeno popierajcie mnie z duszy, a i o ciele nie zapomnijcie, któreby rade napić się czego, bo i pora już potemu.

Wołodyjowski kazał przynieść pić i dalej gawędzili przy kielichach.

— Myśleliście, że będziecie mieć malowanego regimentarza — mówił Zagłoba, siorbając zlekka miód wystały. — Nunquam (nigdy)! Nie prosiłem ja o ten fawor, ale kiedyście mnie nim przyozdobili, to i posłuch i porządek musi być. Wiem ja, co każda godność

znaczy i obaczycie, czy każdej nie dorosnę. Drugi Zbaraż tu urządzę, nic, jeno drugi Zbaraż! Zadławi się dobrze Radziwiłł, zadławią się Szwedzi nim mnie przełkną. Albo też chciałbym, by Chowański się o nas pokusił, pochowałbym go tak, żeby go na sąd ostateczny nie znaleźli. Niedalecko stoją, niech przyjdą! niech popróbują! Miodu, panie Michale!

Wołodyjowski nalał, pan Zagłoba duszkiem wypił, zmarszczył brwi i jakby sobie coś przypominając, rzekł:

— O czem to ja mówiłem? Czego to ja chciałem?... Aha! miodu, panie Michale!

Wołodyjowski nalał znowu.

— Powiadają, — mówił Zagłoba — że i pan Sapieha lubi w dobrej kompanii pociągnąć. Nie dziw! każdy zacny człowiek to lubi. Zdrajcy tylko, którzy nieszczere myśli dla ojczyzny żywią boją się wina, żeby się z praktyką nie wygadać. Radziwiłł brzezinowy sok pija, a po śmierci będzie smołę pijał. Tak mi Pan Bóg dopomóż! Zgaduję to snadnie, że się z panem Sapiehą pokochamy, bośmy do siebie podobni, jako jedno ucho końskie do drugiego, albo jak para butów. I przytem on jeden regimentarz, ja drugi, ale już tak tu wszystkie sprawy urządzę, żeby, jak on przyjedzie, wszystko było gotowe. Siła rzeczy na mojej głowie, ale cóż robić! Nie ma kto o ojczyźnie myśleć, to ty myśl, stary Zagłobo, póki ci pary w nozdrzach. Najgorsza sprawa, że kancelaryi nie mam.

— A poco ojcu kancelarya — pytał Skrzetuski.

— A poco król ma swego kanclerza? A poco przy wojsku musi być pisarz wojskowy? Trzeba będzie i tak posłać do jakiego miasta, ażeby mi pieczęć zrobili.

— Pieczęć?... — powtórzył z zachwytem Rzędzian, spoglądając z coraz większem uszanowaniem na pana Zagłobę.

— A co waćpan będziesz pieczętował — pytał Wołodyjowski.

— W tak poufałej kompanii możesz mi, panie Michale, mówić podawnemu: "waćpan." Nie ja będę pieczętował, ale mój kanclerz... To sobie najprzód zakonotujcie!

Tu Zagłoba spojrzał z dumą i powagą po obecnych, aż Rzędzian zerwał się z ławy, a pan Stanisław Skrzetuski mruknął:

— Honores mutant mores (zaszczyty zmnieniają obyczaje)!

— Poco mnie kancelarya? Posłuchajcie jeno — mówił pan Zagłoba. — Najprzód wiecie o tem, że te klęski, które na ojczyznę naszą spadły, według mojego mniemania, nie z innej przyczyny

przyszły, jak z rozpusty, jak ze swawoli i zbytków (miodu, panie Michale!) jak ze zbytków, mówię, które nakształt zarazy nas toczą. Ale w pierwszym rzędzie, z przyczyny heretyków, coraz śmielej prawdziwej wierze bluźniących z ujmą dla Przenajświętszej Patronki naszej, która o te bezeceństwa w słuszną cholerę wpaść mogła...

— To słusznie mówi! —ozwali się chórem — dysydenci pierwsi przystali do nieprzyjaciół, a kto wie, czy nie sami ich sprowadzili?!

— Exemplum (naprzykład) hetmen wielki litewski!

— Lecz że i w tem województwie, gdzie ja jestem regimentarzem, także heretyków nie brak, jako w Tykocinie i w innych miejscach, przeto dla zyskania na początek błogosławieństwa bożego dla naszej imprezy (przedsięwzięcia), wyda się uniwersał, aby kto w błędach żyje, we trzech dniach z nich się nawrócił, a tym, którzy tego nie uczynią, majętności mają być na wojsko skonfiskowane.

Rycerze spoglądali na siebie ze zdumieniem. Wiedzieli, że nie zbywa panu Zagłopie na obrotnym rozumie i fortelach, ale nie przypuszczali, aby pan Zagłoba był takim statystą i tak doskonale umiał sprawy publiczne sądzić.

— I wy się pytacie, — rzekł z tryumfem Zagłoba — skąd wezmę pieniędzy na wojsko?... A konfiskaty? a wszystkie dobra radziwiłłowskie, które tem samem przejdą na własność wojska?

— Czy aby będzie prawo po naszej stronie? — wtrącił Wołodyjowski.

— Dziś takie czasy, że kto ma szablę, ten ma prawo! A jakie prawo mają Szwedzi i ci wszyscy nieprzyjaciele, którzy w granicach Rzeczypospolitej grasują?

— Prawda jest! — odpowiedział z przekonaniem pan Michał.

— Niedość na tem! — zawołał, zapalając się, Zagłoba. — Drugi uniwersał wyda się do szlachty województwa podlaskiego i do tych ziem w województwach sąsiednich, które jeszcze nie są w nieprzyjacielskich ręku, aby jako na pospolite ruszene stawały. Szlachta ma czeladź uzbroić, aby nam piechoty nie brakło. Wiem to, że niejedenby rad iść, jeno się za jakiem pismem i za jakimś rządem ogląda. Będą tedy mieli i rząd i uniwersały...

— Waćpan naprawdę tyle masz rozumu, ile kanclerz wielki koronny! — zakrzyknął pan Wołodyjowski.

— Miodu, panie Michale!... Trzecie pismo wyśle się do Chowańskiego, by sobie szedł do paralusa, a nie, to go ze wszystkich miast i zamków wykurzymy. Stojąc oni teraz wprawdzie na Litwie spokojnie i zamków nie dobywają, ale Kozacy zołtareńkowi rabują, kupami po tysiącu i dwa jeżdżąc. Niechże ich powstrzyma, bo inaczej będziem ich znosić.

— Pewnie, że moglibyśmy to robić — rzekł Jan Skrzetuski — wojsko nie zaleźałoby pola.

— Myślę ją nad tem i właśnie ku Wołkowyskowi dziś nowe podjazdy wysyłam, ale et haec facienda et haec non omittenda... (i to należy uczynić i tego nie zaniedbać). Trzecie pismo chcę posłać do naszego elekata, pana dobrego, aby go w smutku pocieszyć, że przecie jeszcze są tacy, którzy go nie opuścili, że są serca i szable na jego skinienie gotowe. Niechże na obczyźnie ma choć tę pociechę nasz ojciec, nasz pan kochany, nasza krew jagiellońska, która tułać się musi oto... oto...

Tu pan Zagłoba zakrztusił się, bo już miał mocno w głowie i wreszcie ryknął z żałości nad losem królewskim, a pan Michał zaraz mu zawtórował trochę cieniej. Rzędzian chlipał także, albo udawał, że chlipie, a Skrzetuscy wsparli głowy na rękach i siedzieli w milczeniu.

Przez chwilę cisza trwała, nagle pan Zagłoba wpadł w złość.

— Co mi tam elektor! — krzyknął. — Kiedy zawarł pakt z miastami pruskiemi, niechże występuje w pole przeciw Szwedom, niech nie praktykuje na obie strony, niech uczyni to, co wierny lennik czynić powinien i w obronie pana swego i dobrodzieja stawa.

— Kto tam zgadnie, czy on się jeszcze za Szwedami nie opowie? — rzekł Stanisław Skrzetuski.

— Za Szwedami się opowie? To ja mu się opowiem! Pruska granica niedaleko, a u mnie kilka tysięcy szabel na zawołanie! Zagłoby w pole nie wywiedzie! Jako mnie tu widzicie, jakom regimentarz nad tem zacnem wojskiem, tak go ogniem i mieczem nawiedzę. Niema wiwendy, dobrze! znajdziemy jej dość w pruskich gumnach.

— Matko Boska! — zakrzyknął w uniesieniu Rzędzian. — Wasza wielmożność już i koronowanym głowom zdzierży.

— Zaraz do niego napiszę: "Mości elektorze! Dość kota ogonem odwracać! Dość wykrętów i mitręgi! Wychodź przeciw Szwedom,

a nie, to ja w odwiedziny do Prus przyjadę. Nie może inaczej być... Inkaustu, piór, papieru! Rzędzian, pojedziesz z pismem!

— Pojadę! — rzekł dzierżawca z Wąsoszy, uradowany nową godnością.

Lecz nim przygotowano panu Zagłobie inkaust, pióra i papier, krzyki wszczęły się przed domem i tłumy żołnierzy zaczerniały przed oknami. Jedni krzyczeli: "vivat!" — drudzy hałłakowali po tatarsku. Zagłoba z towarzyszami wyszedł zobaczyć, co się dzieje.

Pokazało się, że prowadzą owe oktawy, o których pan Zagłoba wspominał, a których widok rozradował teraz serca żołnierzy.

Pan Stępalski, gubernator białostocki, przystąpił do pana Zagłoby i przemówił:

— Jaśnie wielmożny regimentarzu! Od czasu, jak nieśmiertelnej pamięci pan marszałek Wielkiego Księstwa Litewskiego zapisał dobra białostockie na utrzymanie zamku tykocińskiego, ja, będąc tychże dóbr gubernatorem, wiernie i poczciwie wszelkie czynsze na pożytek tegoż zamku obracałem, czego i rejestrami mogę przed całą Rzecząpospolitą dowieść. Tak przeszło dwadzieścia lat pracując, opatrywałem on zamek w prochy, działa i śpiżę, mając to sobie za święty obowiązek, aby każdy grosz tam szedł, dokąd jaśnie wielmożny marszałek W. Księstwa Litewskiego iść mu nakazał. Ale gdy w zmienne losów kolei zamek tykociński został nieprzyjaciół ojczyzny największą w tem województwie podporą, pytałem się Boga i własnego sumienia, zali mam mu i nadal siły przysparzać, zali nie powinienem tych dostatków i wojennych porządków, z tegorocznego czynszu nagromadzonych, do wasze wielmożności rąk oddać....

— Powinieneś... — przerwał z powagą pan Zagłoba.

— O jedno też jeno proszę, aby wasza wielmożność raczyła wobec całego wojska zaświadczyć i na piśmie mnie pokwitować, jak nic z onych na własny pożytek nie obróciłem i wszystko w ręce Rzeczypospolitej, godnie tu przez władzę jw. regimentarza reprezentowanej, zdałem.

Zagłoba kiwnął głową na znak przyzwolenia i zaraz począł przeglądać rejestry.

Pokazało się, że prócz oktaw, na strychach śpichrzów ukrytych jest i trzysta muszkietów niemieckich bardzo porządnych, dwieście

berdyszów moskiewskich dla piechoty, do obrony murów i wałów i sześć tysięcy złotych gotowizny.

— Pieniądze między wojsko się rozdzieli, — rzekł Zagłoba — co do muszkietów i berdyszów...

Tu obejrzał się naokoło.

— Panie Oskierka, — rzekł — weźmiesz je waść i pieszą chorągiew uformujesz... Jest tu trochę piechoty z radziwiłłowskich zbiegów, a ilu braknie, tylu z młynarzy dobierzesz.

Poczem zwrócił się do wszystkich obecnych:

— Mości panowie! Są pieniądze, są działa, będzie piechota i wiwenda... Takie moje rządy na początek!

— Vivat!! — krzyknęło wojsko.

— A teraz, mości panowie, wszyscy pachołcy wskok po wsiach po rydle, łopaty i motyki. Obóz warowny założym. Zbaraż drugi! Jeno towarzysz czy nie towarzysz, niech się nie wstydzi łopaty i do roboty!

To rzekłszy, pan regimentarz udał się do swojej kwatery, przeprowadzony okrzykami wojska.

— Dalibóg że ten człowiek ma jednak głowę na karku, — mówił do Jana Skrzetuskiego Wołodyjowski — i rzeczy zaczynają iść lepszym porządkiem.

— Byle tylko Radziwiłł zaraz nie nadszedł, — wtrącił Stanisław Skrzetuski — bo to wódz, jak drugiego niemasz w Rzeczypospolitej, a nasz pan Zagłoba dobry do prowiantowania obozu, ale nie jemu mierzyć się z takim wojownikiem.

— Prawda jest! — odpowiedział Jan — jak przyjdzie co do czego, to go będziem radą wspomagali, bo on się na wojnie rozumie. Zresztą, skończy się jego panowanie, niech tylko pan Sapieha nadciągnie.

— Ale przez ten czas siła dobrego może zrobić — rzekł pan Wołodyjowski.

Jakoż istotnie wojska owe potrzebowały jakiegokolwiek naczelnika, choćby nawet pana Zagłoby, bo od dnia jego wyboru lepszy ład zapanował w obozie. Nazajutrz skoro dzień, poczęto sypać wały nad białostockiemi stawami. Pan Oskierka, który w cudzoziemskich wojskach sługiwał i znał się na sztuce sypania obronnych miejsc, kierował całą robotą. Powstał więc w trzech dniach nader silny okop, naprawdę podobny nieco do zbaraskiego, bo boków i tyłu broniły mu błotniste stawy. Widok

Jego podniósł serca żołnierzy; całe wojsko poczuło, że ma jakowyś grunt pod nogami. Lecz jeszcze bardziej począł się duch krzepić na widok zapasów żywności, sprowadzanych przez inne podjazdy. Codziennie wpędzano do okopu woły, owce, świnie, codzień szły fury, wiozące wszelakie ziarno i siano. Niektóre przychodziły aż z ziemi łukowskiej, inne aż z widzkiej. Napływała także coraz liczniej szlachta drobna i większa, albowiem gdy wieść się rozeszła, że jest już rząd, wojsko i regimentarz, więcej też znalazło się w ludziach ufności. Mieszkańcom ciężko było żywić "całą dywizyą," ale po pierwsze pan Zagłoba o to nie pytał, potóre lepiej było oddać na wojsko połowę, a reszty w spokoju zażywać, niż być narażonym co chwila na stratę wszystkiego od kup swawolnych, które rozmnożyły się były znacznie i grasowały nakształt Tatarów, za które pan Zagłoba nakazał podjazdom ścigać i znosić.

— Jeśli takim okaże się hetmanem, jakim jest gospodarzem, mówiono o nowym regimentarzu w obozie — tedy Rzeczpospolita nie wie jeszcze, jak wielkiego ma męża.

Sam pan Zagłoba myślał z pewnym niepokojem o przyjściu Janusza Radziwiłła. Przypominał sobie wszystkie zwycięstwa Radziwiłła, a wonczas postać hetmana przybierała potworne kształty w wyobraźni nowego regimentarza i w duszy sobie mówił:

— Oj! Kto się tam temu smokowi oprze!... Mówiłem, że się mną zadławi, ale on mnie, jako sum kaczkę, połknie.

I obiecywał sobie pod przysięgą nie wydawać generalnej bitwy Radziwiłłowi.

— Będzie oblężenie, — myślał — a to zawsze długo trwa. Można też będzie i traktować tentować, a przez ten czas pan Sapieha nadejdzie.

Na wypadek, gdyby nie nadszedł, postanowił sobie pan Zagłoba słuchać we wszystkiem pana Jana Skrzetuskiego, gdyż pamiętał, jak książę Jeremi cenił wysoko tego oficera i jego zdolności wojskowe.

— Ty, panie Michale, — mówił pan Zagłoba do Wołodyjowskiego — jenoś do ataku stworzony, albo i z podjazdem, chociażby znacznym, można cię wysłać, bo umiesz się sprawić i jako wilk na owce, na nieprzyjaciela wpadniesz; ale gdyby ci całem wojskiem hetmanić kazano, pasz! pasz! sklepu z rozumem nie za-

łożysz, bo go na sprzedanie nie posiadasz, a Jan to regimentarska głowa i gdyby mnie nie stało, on jeden mógłby mnie zastąpić.

Tymczasem przychodziły wieści odmienne; raz donoszono, że Radziwiłł już idzie przez Prusy elektorskie, drugi raz, że pobiwszy wojska Chowańskiego, zajął Grodno i stamtąd ciągnie z wielką potęgą; ale byli i tacy, którzy twierdzili, że to nie Radziwiłł, jeno Sapieha poraził Chowańskiego przy pomocy księcia Michała Radziwiłła. Podjazdy jednak nie przywoziły żadnych pewnych wieści, prócz tych, że pod Wołkowyskiem stanęła kupa zołtareńkowych ludzi, wynosząca około dwóch tysięcy wojowników i miastu zagraża. Okolica cała płonęła już ogniem.

W dzień po podjazdach zaczęli napływać i zbiegowie, którzy potwierdzili wiadomość, donosząc przytem, że mieszczanie wyprawili posłów do Chowańskiego i Zołtareńki z prośbą o miłosierdzie nad miastem, na co uzyskali od Chowańskiego odpowiedź, że to luźna wataha, nie mająca z jego wojskiem nic wspólnego. Co do Zołtareńki, ten dał mieszczanom radę, by się wykupili, lecz oni, jako ubodzy ludzie, po niedawnym pożarze i kilkunastu rabunkach nie mieli czem.

Błagali więc o miłosierdzie pana regimentarza, aby im na ratunek pośpieszył, póki układy o wykup się prowadzą, bo później nie będzie już czasu. Pan Zagłoba wybrał półtora tysiąca ludzi dobrych, między którymi chorągiew laudańską, i przywoławszy Wołodyjowskiego, rzekł mu:

— No, panie Michale, czas pokazać co umiesz! Pójdziesz pod Wołkowysk i zetrzesz mi tam tych hultajów, którzy miastu niebronnemu grożą. Nie pierwszyzna ci taka wyprawa i myślę, że za fawor sobie poczytasz, że tobie tę funkcyę powierzam.

Tu zwrócił się do innych pułkowników:

— Sam muszę w obozie zostać, bo cała odpowiedzialność na mnie to raz! A powtóre, nie przystoi mojej godności na hultajów wyprawy czynić. Niech jeno Radziwiłł nadciągnie, tedy się w wielkiej wojnie pokaże, kto lepszy, czy pan hetman, czy pan regimentarz...

Wołodyjowski ruszył chętnie, bo się nudził w obozie i tęsknił za krwi rozlewem. Komenderowane chorągwie wychodziły też ochoczo ze śpiewem, a regimentarz stał konno na wale i błogosławił odchodzących, żegnając ich krzyżem na drogę. Byli nawet tacy, którzy dziwili się, że pan Zagłoba tak uroczyście ów podjazd

wyprawia, ale on pamiętał, że i Żołkiewski i inni hetmani mieli zwyczaj żegnać idące do boju chorągwie — zresztą, lubił wszystko czynić uroczyście, bo to powagę jego w oczach żołnierzy podnosiło.

Zaledwie jednak chorągwie znikły we mgle oddalenia, gdy już zaczął się o nie niepokoić.

— Janie! — rzekł — a możeby podesłać jeszcze Wołodyjowskiemu z garść ludzi?

— Daj ojciec pokój — odpowiedział Skrzetuski. — Wołodyjowskiemu na taką wyprawę iść to to samo, co zjeść miskę jajecznicy. Boże miły, toż on całe życie nic innego nie robił.

— Ba, a jeśli go za wielka siła opadnie?... Nec Hercules contra plures.

— Co tu o takim żołnierzu gadać! Spenetruje on wszystko dobrze, zanim uderzy, a jeśli tam siła zawielka, to urwie co będzie mógł i wróci, albo sam przyśle o posiłki. Możesz ojciec spać spokojnie.

— Aha! wiedziałem też, kogo wysyłam, ale to ci mówię, że musiał mi ten pan Michał czegoś zadać, taką mam do niego słabość. Prócz nieboszczyka pana Podbipięty i ciebie, nikogom tak nie miłował... Nie może być inaczej, tylko mi ów chłystek czegoś zadał.

Do obozu zwożono ciągle prowianty, ochotnicy także nadciągali, ale o panu Michale nie było słychu. Niepokój Zagłoby wzrastał i mimo przedstawień Skrzetuskiego, że żadną miarą nie mógł jeszcze Wołodyjowski z pod Wołkowyska wrócić, wyprawił pan Zagłoba sto koni petyhorskich Kmicica po wiadomości.

Ale podjazd wyszedł i znowu upłynęło dwa dni bez wieści.

Aż siódmego dnia dopiero, o szarym mglistym zmierzchu, pachołcy wyprawieni po potrawy do Bobrownik, przyjechali bardzo śpiesznie napowrót do obozu z doniesieniem, że widzieli jakieś wojsko, wychodzące z lasów za Bobrownikami.

— Pan Michał! — zakrzyknął radośnie Zagłoba.

Lecz pachołcy przeczyli. Nie pojechali na spotkanie właśnie dla tego, że widzieli jakieś znaki obce, których w wojsku pana Wołodyjowskiego nie było. A przytem siła szła większa. Pachołcy, jakto pachołcy, nie umieli jej dokładnie oznaczyć; jedni mówili, że ze trzy tysiące, drudzy, że pięć albo i więcej.

— Wezmę dwadzieścia koni i pojadę na spotkanie — rzekł pan rotmistrz Lipnicki.

Pojechał.

Upłynęła godzina i druga, aż wreszcie dano znać, że zbliża się nie podjazd, ale całe wielkie wojsko.

I niewiadomo dlaczego, gruchnęło nagle po obozie:

— Radziwiłł idzie!

Wieść ta, jakby iskra elektryczna, poruszyła i wstrząsnęła cały obóz; żołnierze wypadli na wały, na niektórych twarzach znać było przestrach; nie stawano w należytym porządku; jedna tylko piechota Oskierki zajęła wskazane miejsca. Natomiast między wolentarzami wszczął się w pierwszej chwili popłoch. Z ust do ust przelatywały najrozmaitsze wieści. "Radziwiłł zniósł ze szczętem Wołodyjowskiego i ten drugi Kmicicowi podjazd" — powtarzali jedni. "Ani świadek klęski nie uszedł" — mówili drudzy. "A ot teraz pan Lipnicki jakoby pod ziemię się zapadł." — "Gdzie regimentarz? gdzie regimentarz?"

Wtem przypadli pułkownicy ład czynić, a że prócz niewielu wolentarzy, zresztą sam stary żołnierz był w obozie, wnet stanęli w sprawie, czekając, co się ukaże.

Pan Zagłoba, gdy go doszedł okrzyk: "Radziwiłł idzie!" — zmieszał się bardzo, ale w pierwszej chwili wierzyć nie chciał. Cóżby się stało z Wołodyjowskim? Czyliby się pozwolił tak ogarnąć, żeby ani jeden człowiek nie przybiegł z ostrzeżeniem? A ów drugi podjazd? A pan Lipnicki?

— Nie może być! — powtarzał sobie pan Zagłoba, obcierając czoło, które pociło mu się obficie. — Ten smok, ten mężobójca, ten lucyper, miałby już z Kiejdan zdążyć? Zalito ostatnia godzina się zbliża?!

Tymczasem ze wszystkich stron coraz liczniejsze głosy wołały: "Radziwiłł! Radziwiłł!" Pan Zagłoba przestał wątpić. Zerwał się i wpadł do kwatery Skrzetuskiego.

— Janie, ratuj! teraz pora!

— Co się stało? — pytał Skrzetuski.

— Radziwiłł idzie! Na twoją głowę wszystko zdaję, bo o tobie książę Jeremi mówił, żeś wódz urodzony. Ja sam będę doglądał, ale ty radź i prowadź!

— To nie może być Radziwiłł — rzekł Skrzetuski. — Skądże wojsko nadciąga?

— Od Wołkowyska. Mówią, że ogarnęli Wołodyjowskiego i tamten drugi podjazd, który niedawno posłałem.

— Wołodyjowski dałby się ogarnąć? To ojciec jego nie znasz. Oto sam wraca, nikt inny.

— Kiedy mówią, że potęga okrutna.

— Chwała Bogu! to widać pan Sapieha nadciągnął.

— Na Boga! co mówisz? przecieby dali znać, Lipnicki pojechał naprzeciw?

— Właśnie to dowód, że nie Radziwiłł idzie. Poznali kto, przyłączyli się i razem wracają. Chodźmy! chodźmy!

— Zaraz to mówiłem! — zakrzyknął Zagłoba. — Wszyscy się stropili, a ja pomyślałem: nie może być! Zaraz to pomyślałem! Chodźmy! żywo, Janie! żywo! A tamci się skonfudowali... ha!

Obaj wyszli śpiesznie i wstąpiwszy na wały, na których już wojska tkwiły, poczęli iść wpodłuż; ale twarz Zagłoby była promienna, przystawał co chwila i wołał, ażeby go wszyscy słyszeli:

— Mości panowie! gości mamy! serca mi nie tracić! Jeśli to Radziwiłł, to ja mu drogę napowrót do Kiejdan pokażę!

— Pokażemy mu! — krzyczało wojsko.

— Stosy na wałach rozpalić! Nie będziem się chowali, niech nas widzą, gotowiśmy! Stosy rozpalić!

Wnet naniesiono drew i w kwadrans później zapłonął cały obóz, aż niebo zaczerwieniło się, jakoby od zorzy. Żołnierze, odwracając się od światła, patrzyli w ciemność, w stronę Bobrownik. Niektórzy wołali, że słyszą już chrzęst i tętent.

Wtem w ciemnościach rozległy się zdaleka strzały muszkietów. Pan Zagłoba porwał za połę Skrzetuskiego.

— Ogień rozpoczynają! — rzekł niespokojnie.

— Na wiwaty — odparł Skrzetuski.

Po strzałach rozległy się okrzyki radosne. Nie było co dłużej wątpić; w minutę później nadbiegło na spienionych koniach kilkunastu jeźdźców, wołając:

— Pan Sapieha! pan wojewoda witebski!

Zaledwie to usłyszeli żołnierze, gdy jak wezbrana rzeka płynęli z wałów i biegli naprzeciw, wrzeszcząc tak, że ktoś, coby słyszał zdala te głosy, mógłby mniemać, że to wycinanego w pień miasta wrzaski.

Zagłoba, siadłszy na koń, wyjechał także na czele pułkowników przed wały, przybrany we wszystkie oznaki swej godności, pod buńczukiem, i buławą i czaplem piórem przy czapce.

Po chwili pan wojewoda witebski wjechał w krąg światła, na czele swych oficerów, mając i pana Wołodyjowskiego przy boku. Był to człowiek już w wieku poważnym, średniej tuszy, o twarzy niepięknej, ale rozumnej i dobrotliwej. Wąsy miał już siwe, równo nad górną wargą przystrzyżone i takąż niewielką bródkę, co czyniło go podobnym do cudzoziemca, choć się po polsku ubierał. Jakkolwiek wielu dziełami wojennemi wsławiony, wyglądał więcej na statystę, niż na wojownika, ci, którzy go bliżej znali, mówili też, że w obliczu pana wojewody Minerwa nad Marsem przemaga. Ale obok Minerwy i Marsa, była w tej twarzy rzadsza w onych czasach ozdoba, to jest uczciwość, która z duszy płynąc, odbijała się w oczach, jak światło słońca w wodzie. Na pierwszy rzut oka poznali, że był to mąż zacny i sprawiedliwy.

— My tak czekali, jak za ojcem! — wołali żołnierze.

— A taki przyszedł nasz wódz — powtarzali z rozczuleniem inni.

— Vivat! vivat!

Pan Zagłoba skoczył ku niemu na czele pułkowników, a ou konia wstrzymał i począł się kłaniać rysim kołpaczkiem.

— Jaśnie wielmożny wojewodo! — rozpoczął przemowę Zagłoba. — Choćbym starożytnych Rzymian, ba! i samego Cycerona, albo, sięgając dawniejszych czasów, słynnego owego Ateńczyka Demostenesa posiadał wymowę, jeszczebym nie umiał tej radości wypowiedzieć, jaką wezbrały serca nasze na widok dostojnej jaśnie wielmożnego pana osoby. Cieszy się w sercach naszych cała Rzeczpospolita, najmędrszego witając senatora i najlepszego syna, tem większą, bo niespodzianą radością. Oto staliśmy na tych okopach pod bronią, nie witać, ale walczyć gotowi... Nie radosnych słuchać okrzyków, ale spiżowych gromów... Nie łzy wylewać, ale krew naszę!... Gdy zatem stujęzyczna fama rozniosła, że obrońca to ojczyzny, nie zdrajca nadchodzi, że wojewoda witebski, nie hetman wielki litewski, że Sapieha, nie Radziwiłł...

Lecz panu Sapieże pilno widać było wjechać, bo nagle kiwnął ręką z dobroduszną, choć wielkopańską niedbałością i rzekł:

— Idzie i Radziwiłł. We dwóch dniach już tu będzie!

Pan Zagłoba zmieszał się, bo raz, że mu się wątek mowy przerwał, a powtóre, iż wieść o Radziwille wielkie na nim uczyniła wrażenie. Stał więc przez chwilę przed panem Sapiehą, nie wiedząc, co dalej mówić; lecz prędko oprzytomniał i wyciągnąwszy śpiesz-

nie buławę zza pasa, rzekł uroczyście, przypominając sobie, co było pod Zbarażem:

— Mnie wojsko wodzem swym uczyniło, lecz ja w godniejsze ręce ów znak oddaję, aby młodszym dać przykład, jak pro publico bono (dla dobra publicznego) największych zaszczytów zrzec się należy.

Żołnierze zaczęli pokrzykiwać, lecz pan Sapieha uśmiechnął się tylko i rzekł:

— Panie bracie! aby was tylko Radziwiłł nie posądził, że ze strachu przed nim buławę oddajecie. Był rad!

— Już on mnie zna, — odparł Zagłoba — i o bojaźń nie posądzi, bom go pierwszy w Kiejdanach splantował i innych przykładem pociągnąłem.

— Kiedy tak, to prowadźcie do obozu — rzekł Sapieha. — Powiadał mi przez drogę Wołodyjowski, żeście przedni gospodarz i że jest u was się czem pożywić, a myśmy strudzeni i głodni.

To rzekłszy, ruszył koniem, a za nim ruszyli inni i wjechali wszyscy do obozu, wśród niezmiernej radości. Pan Zagłoba przypomniał sobie, co o panu Sapieże mówią, że się w ucztach i kielichach kocha, więc postanowił godnie uczcić dzień jego przybycia. Jakoż wystąpił z ucztą tak wspaniałą, jakiej dotąd w obozie nie było. Jedli wszyscy i pili. Przy kielichach opowiadał pan Wołodyjowski, co pod Wołkowyskiem zaszło, jak nagle otoczyły go znacznie większe siły, które zdrajca Zołtareńko na pomoc wysłał, jak już ciężko było, gdy przyjście pana Sapiehy zmieniło rozpaczliwą obronę w najświetniejsze zwycięstwo.

— Daliśmy im takie pro memoria, — mówił — że odtąd ucha z obozu nie wytkną.

Poczem rozmowa zeszła na Radziwiłła. Pan wojewoda witebski miał bardzo świeże wiadomości i wiedział przez zaufnych ludzi o wszystkiem, co się w Kiejdanach stało. Opowiadał więc, że wysłał hetman litewski niejakiego Kmicica z listem do króla szwedzkiego i z prośbą, aby razem z dwóch stron uderzyć na Podlasie.

— Dziw mi to nad dziwy! — zawołał Zagłoba — bo gdyby nie ten Kmicic, to do tej pory nie zebralibyśmy się w kupę i mógł nas zjeść Radziwiłł, gdyby był nadszedł, jednego po drugim, jako siedleckie obwarzanki.

— Powiadał mi to wszystko pan Wołodyjowski, — odrzekł Sapieha — z czego wnoszę, że ma on chyba do was osobisty afekt.

Szkoda, że dla ojczyzny go nie ma. Ale tacy ludzie, którzy nic nad siebie nie widzą, nikomu dobrze nie służą i każdego tak zdradzić gotowi, jako w tym wypadku Kmicic Radziwiłła.

— Jeno między nami niemasz zdrajców i wszyscyśmy do gardła przy jaśnie wielmożnym wojewodzie stać gotowi! — rzekł Żyromski.

— Wierzę, że tu sami zacni żołnierze — odparł wojewoda — i anim się spodziewał, bym tu taki ład i dostatek zastał, za co jegomość panu Zagłobie muszę być wdzięczny.

Pan Zagłoba aż pokraśniał z zadowolenia, bo jako mu się dotąd wydawało, że jakkolwiek wojewoda witebski traktuje go łaskawie, przecie nię z takiem uznaniem i powagą, jakiejby sobie pan exregimentarz życzył. Począł więc opowiadać, jak rządził, co uczynił, jakie zapasy zebrał, jak działa sprowadził i piechotę uformował, wreszcie jak obszerną musiał prowadzić korespondencyę.

I nie bez chełpliwości wspomniał o listach, wysłanych do króla wygnanego, do Chowańskiego i elektora.

— Po moim musi się jegomość elektor jasno opowiedzieć za nami, albo przeciw nam — rzekł z dumą.

Ale wojewoda witebski był człek wesoły, może też i podochocił trochę, więc pogładził wąsa, uśmiechnął się złośliwie i rzekł:

— Panie bracie, a do cesarza niemieckiego nie pisaliście?

— Nie! — rzekł zdziwiony Zagłoba.

— A to szkoda — odrzekł wojewoda — rozmawiałby równy z równym.

Pułkownicy wybuchnęli gromkim śmiechem, lecz pan Zagłoba zaraz okazał, iż jeśli pan wojewoda chciał być kosą, to w nim trafił na kamień.

— Jaśnie wielmożny panie! — rzekł — do elektora mogę pisać, bom i sam, jako szlachcic, elektor, i nie takto dawno jeszcze, jakom dawał głos za Janem Kazimierzem.

— Toś waćpan dobrze wywiódł! — odpowiedział wojewoda witebski.

— Ale z takim potentatem jak cesarz, nie koresponduję, — mówił dalej Zagłoba — żeby o mnie nie powiedział pewnego przysłowia, którem na Litwie słyszał.,.

— Cóżto za przysłowie?

— "Jakaś głowa kiepska — musi być z Witebska!" — odparł niezmieszany Zagłoba.

Słysząc, to, pułkownicy aż zlękli się, ale wojewoda witebski przechylił się w tył i wziął się w boki ze śmiechu.

— A to mnie splantował!... Niechże waści uściskam!... Jak będę chciał brodę golić, to języka od waści pożyczę!

Uczta przeciągnęła się do późna w noc; przerwało ją dopiero przybycie kilku szlachty z pod Tykocina którzy przywieźli wieść, że podjazdy Radziwiłła sięgają już tego miasta.

## XXI. 83

Radziwiłł dawnoby był uderzył na Podlasie, gdyby nie to, że rozmaite powody zatrzymywały go w Kiejdanach. Najprzód czekał na posiłki szwedzkie, z których przysłaniem Pontus de la Gardie umyślnie zwłóczył. Jakkolwiek generała szwedzkiego łączyły węzły pokrewieństwa z samym królem, przecie ani świetnością rodu, ani znaczeniem, ani obszernemi związkami krwi, nie mógł sprostać temu magnatowi litewskiemu, a co do fortuny, to jakkolwiek w tej chwili w skarbcu radziwiłłowskim nie było gotowizny, jednakowoż połową dóbr książęcych mogliby się obdzielić wszyscy generałowie szwedzcy i jeszcze uważać się za bogatych. Owoż, gdy z kolei losów tak wypadło, że Radziwiłł znalazł się zależnym od Pontusa, nie umiał sobie generał odmówić tej satysfakcyi, aby owemu panu nie dać uczuć tej zależności i własnej przewagi.

Radziwiłł zaś nie potrzebował posiłków do pobicia konfederatów, bo na to miał i własnych sił dosyć, ale byli mu Szwedzi potrzebni z tych powodów, o których wspominał Kmicic w liście do pana Wołodyjowskiego. Od Podlasia przegradzały Radziwiłła zastępy Chowańskiego, które mogły mu bronić drogi; gdyby zaś Radziwiłł szedł z wojskami szwedzkiemi i pod egidą króla szwedzkiego, wówczas wszelki krok nieprzyjacielski ze strony Chowańskiego musiałby być uważany jako wyzwanie Karola Gustawa. Radziwiłł w duszy chciał tego, dlatego niecierpliwie oczekiwał przybycia choćby jednej chorągwi szwedzkiej i zżymając się na Pontusa, mawiał nieraz do swych dworzan:

— Parę lat temu za faworby sobie poczytywał, gdyby pismo ode mnie otrzymał i potomkomby je w testamencie przekazał, a dziś zwierzchnika maniery przybiera!

Na co pewien szlachcic, gębacz i wederyk znany na całą okolicę, tak raz sobie pozwolił odpowiedzieć:

— To wedle przysłowia, mości książę, jak kto sobie pościele, tak się wyśpi.

Radziwiłł wybuchnął gniewem i do wieży go wtrącić rozkazał, ale na drugi dzień wypuścił i guzem złocistym obdarzył, bo o szlachcicu mówiono, że ma gotowiznę, a książę pieniędzy od niego chciał na skrypt pożyczyć. Szlachcic guz przyjął, ale pieniędzy nie dał.

Posiłki szwedzkie nadeszły wreszcie w liczbie ośmiuset koni, ciężkich rajtarów; trzysta piechoty i sto lżejszej jazdy wyekspedyował Pontus wprost do tykocińskiego zamku, chcąc na wszelki przypadek mieć w nim własną załogę.

Wojska Chowańskiego rozstąpiły się przed owymi ludźmi, nie czyniąc im żadnego wstrętu, którzy też dostali się szczęśliwie do Tykocina, bo to działo się wówczas, gdy jeszcze konfederackie chorągwie stały rozproszone po całem Podlasiu i zajmowały się tylko rabunkiem dóbr radziwiłłowskich.

Spodziewano się, że książę, doczekawszy się pożądanych posiłków, ruszy zaraz, ale on jeszcze zwlóczył. Powodem tego były wieści z Podlasia o nieładzie, panującym w tem województwie, o braku jedności między konfederatami i nieporozumieniach, jakie wynikły między Kotowskim, Lipnickim i Jakóbem Kmicicem.

— Trzeba im dać czas, — mówił książę — by się za łby wzięli. Wygryzą się oni sami i ta siła zcześnie bez wojny, a my tymczasem na Chowańskiego uderzymy.

Lecz nagle zaczęły przychodzić przeciwne wiadomości, pułkownicy nietylko się nie pobili z sobą, ale zebrali się w jedną kupę pod Białymstokiem. Książę w głowę zachodził, co mogło być powodem takiej odmiany. Nareszcie nazwisko Zagłoby, jako regimentarza, doszło do uszu książęcych. Dano też znać o założeniu warownego obozu, o prowiantowaniu wojska, o działach wygrzebanych w Białymstoku przez Zagłobę, o wzrastaniu potęgi konfederackiej i ochotnikach napływających z zewnątrz. Książę Janusz wpadł w taki gniew, że Ganchoff, nieustraszony żołnierz, nie śmiał przez dobę zbliżyć się do niego.

Nakoniec wyszedł rozkaz do chorągwi, by się gotowały do drogi. W jeden dzień cała dywizya stanęła gotowa, jeden regiment piechoty niemieckiej, dwa szkockie, jeden litewskiej, pan Korf prowadził artyleryą, Ganchoff objął dowództwo jazdy. Prócz dragonii charłampowej i rajtarów szwedzkich, był lekki znak Niewiarowskiego i poważna chorągiew własna książęca, w której namiestnikiem był Ślizień. Była to siła znaczna i złożona z samych weteranów. Z niewiększą potęgą książę za czasów pierwszych wojen z Chmielnickim, odniósł owe zwycięstwa, które imię jego nieśmiertelną przyozdobiły sławą, z największą siłą zbił półksiężyca, Nebabę, rozgromił na głowę pod Łojowem kilkudziesięciociotysięczną watahę przesławnego Krzeczowskiego, wyciął Mozyrz, Turów, wziął szturmem Kijów i tak przycisnął w stepach Chmielnickiego, że ten w układach musiał szukać ratunku.

Lecz gwiazda tego potężnego wojownika zachodziła widocznie i sam nie miał dobrych przeczuć. Zapuszczał oczy w przyszłość i nie widział nic jasno. Pójdzie na Podlasie, rozniesie na końskich kopytach buntowników, każe obedrzeć ze skóry nienawistnego Zagłobę — i cóż z tego? Co dalej? Jaka nadejdzie losów odmiana? Czy wówczas uderzy na Chowańskiego, pomści cybichowską klęskę i nowym wawrzynem głowę przyozdobi? Książę mówił tak, ale wątpił, bo właśnie zaczęły już chodzić szeroko słuchy o tem, że północne zastępy, bojąc się wzrostu szwedzkiej potęgi, przestaną wojować, a może nawet wejdą w przymierze z Janem Kazimierzem. Sapieha urywał je jeszcze i gromił gdzie mógł, ale jednocześnie już układał się z nimi. Miał też same plany i pan Gosiewski.

Owoż w razie ustąpienia Chowańskiego, zamknęłoby się i to pole działania, znikłaby dla Radziwiłła ostatnia sposobność okazania swej siły, gdyby zaś Jan Kazimierz zdołał zawrzeć przymierze i popchnąć na Szwedów dotychczasowych wrogów, podówczas szczęście mogłoby się przechylić na jego stronę przeciw Szwedom, a tem samem przeciw Radziwiłłowi.

Z Korony dochodziły wprawdzie księcia najpomyślniejsze wieści. Powodzenie Szwedów przechodziło wszelkie nadzieje. Województwa poddawały się jedne za drugiemi, w Wielkopolsce panowali jak w Szwecyi, w Warszawie rządził Radziejowski, Małopolska nie stawiała oporu, Kraków upaść miał lada chwila, król opuszczony od wojska i szlachty, ze złamaną w sercu ufnością do

swego narodu, uszedł na Śląsk i sam Karol Gustaw dziwił się łatwości, z jaką skruszył ową potęgę, zawsze dotąd w walce ze Szwedami zwycięską.

Ale właśnie w tej łatwości widział Radziwiłł niebezpieczeństwo dla siebie, bo przeczuwał, że zaślepieni powodzeniem Szwedzi nie będą się z nim liczyli, nie będą uważali na niego, zwłaszcza, że nie okazał się tak potężnym i tak władnym na Litwie, jak wszyscy nie wyjmując i jego samego, myśleli.

Czy tedy król szwedzki odda mu Litwę, albo chociaż Białą Ruś? Zali nie będzie wolał jakim wschodnim okrawkiem Rzeczypospolitej zaspokoić raczej wiecznie głodnego sąsiada, aby mieć ręce rozwiązane wreszcie Polski?

To były pytania, które ustawicznie dręczyły duszę księcia Janusza. Dni i noce trawił w niepokoju. Podejrzywał, że i Pontus de la Gardie nie śmiałby go traktować tak dumnie, prawie lekceważąco gdyby się nie spodziewał, że król potwierdzi takie postępowanie, albo co gorzej, gdyby nie miał gotowych już instrukcyi.

— Póki stoję na czele kilku tysięcy ludzi (myślał Radziwiłł), póty jeszcze będą się na mnie oglądali, ale gdy zbraknie mi pieniędzy i gdy najemne pułki rozbiegną się — co będzie?

A właśnie intrata z olbrzymich dóbr nie nadeszła, część ich niezmierna, rozproszona po całej Litwie i hen aż do Polesia kijowskiego, leżała w ruinie, podlaskie zaś wypłukali docna konfederaci.

Chwilami zdawało się księciu, że upada w przepaść. Ze wszystkich jego robót i knowań mogło mu tylko pozostać miano zdrajcy — nic więcej.

Straszyła go też i inna mara — mara śmierci. Co noc prawie ukazywała się ona przed firankami jego łoża i kiwała nań ręką, jakby chciała rzec: "Pójdź w ciemność, na drugą stronę nieznanej rzeki...?"

Gdyby był stał na szczycie sławy, gdyby ową pożądaną tak namiętnie koronę mógł choć na dzień jeden, choć na godzinę włożyć na skronie, byłby przyjął to straszne, milczące widmo nie ulękłem okiem. Ale umrzeć i zostawić po sobie niesławę i pogardę ludzką, wydawało się dla tego pana, jak sam szatan pysznego, piekłem za życia.

Nieraz też, gdy był samotny, albo tylko ze swym astrologiem,

w którym ufność największą pokładał, chwytał się za skronie i powtarzał przyduszonym głosem:

— Gorzeję! gorzeję! gorzeję!

W tych warunkach zbierał się do pochodu na Podlasie, gdy mu na dzień przed wymarszem dano znać, że książę Bogusław zjechał z Taugorów.

Na samą wieść o tem książę Janusz, jeszcze nim brata ujrzał, jakoby odżył, bo ów Bogusław przywoził z sobą młodość, ślepą wiarę w przyszłość. W nim miała się odrodzić linia Birżańska, dla niego już tylko książę Janusz pracował.

Dowiedziawszy się, że nadciąga, chciał koniecznie jechać naprzeciw, lecz że etykieta nie pozwalała przeciw młodszemu wyjeżdżać posłał więc po niego złoconą kolasę i całą chorągiew Niewiarowskiego dla asysty, a z szańczyków sypanych przez Kmicica i z samego zamku kazał walić z moździerzy, zupełnie tak, jakby na przyjazd króla.

Gdy bracia, po ceremonialnem powitaniu, zostali wreszcie samnasam, Janusz chwycił Bogusława w objęcia i począł powtarzać wzruszonym głosem:

— Zaraz mi młodość wróciła!... Zaraz i zdrowie wróciło!

Lecz książę Bogusław popatrzył na niego pilnie i rzekł:

— Co waszej ks. mości jest?

— Nie mośćmy się mościami, skoro nas nikt nie słyszy... Co mi jest? Choroba mnie drąży, aż zwalę się jak spróchniałe drzewo... Ale mniejsza z tem! Jak się żona moja ma i Maryśka?

— Wyjechały z Taurogów do Tylży. Zdrowe obie, a Marie jako pączek różany; cudnażto będzie róża, gdy rozkwitnie... Ma foi! Piękniejszej nogi w świecie nikt nie ma, a kosy do samej ziemi jej spływają...

— Takaż ci się wydała urodziwa? To i dobrze? Bóg cię natchnął żeś tu wpadł. Lepiej mi na duszy, gdy cię widzę!... Ale co mi de publicis (o sprawach publicznych) przywozisz?... Cóż elektor?

— To wiesz, że zawarł przymierze z miastami pruskiemi?

— Wiem.

— Jeno, że mu nie bardzo ufają. Gdańsk nie chciał przyjąć jego załogi... Mają Niemcy dobry nos.

— I to wiem. A nie pisałeś do niego? Co o nas myśli?

— O nas?... — powtórzył z roztargnieniem Bogusław.

I jął rzucać oczyma po komnacie, poczem wstał; książę Janusz

myślał, że czegoś szuka, ale on pobiegł do zwierciadła, stojącego w kącie, i odchyliwszy je odpowiednio, począł macać palcem prawej ręki po całej twarzy, wreszcie rzekł:

— Skóra mi trochę przez drogę opierzchła, ale do jutra to przejdzie... Co elektor o nas myśli? Nic... Pisał mi, że o nas nie zapomni.

— Jakto nie zapomni?

— Mam list ze sobą, to ci go pokażę... Pisze, że cobądź się stanie, on o nas nie zapomni... A ja mu wierzę, bo jego własna korzyść tak mu nakazuje. Elektor tyle o Rzeczpospolitą dba, ile ja o starą perukę, i obojętnieby ją Szwedom oddał, byleby mógł Prusy zacapić, ale szwedzka potęga zaczyna go niepokoić, więc radby na przyszłość mieć gotowego sprzymierzeńca, a będzie go miał, jeśli ty zasiądziesz na tronie litewskim.

— Oby się tak stało!... Nie dla siebie ja tego tronu chcę!

— Całej Litwy nie uda się może na początek wytargować, ale choć dobry początek z Białorusią i Żmudzią.

— A Szwedzi?

— Szwedzi będą się też radzi nami od wschodu przegrodzić.

— Balsam mi wlewasz...

— Balsam! aha!... Jakiś czarnoksiężnik w Taurogach chciał mi sprzedać balsam, o którym powiadał, że kto się nim wysmaruje ma być od szabli, szpady i włóczni bezpieczny. Kazałem go zaraz wysmarować i trabantowi pchnąć dzidą, wyimaginuj sobie... na wylot przeszła!...

Tu książę Bogusław począł się śmiać, ukazując przytem białe, jak kość słoniowa zęby. Ale Januszowi nie w smak była ta rozmowa, więc znowu zaczął de publicis.

— Wysłałem listy do króla szwedzkiego i do wielu innych naszych dygnitarzy — rzekł. — Musiałeś i ty odebrać pismo przez Kmicica.

— A czekajże! Toć ja poniekąd w tej sprawie przyjechałem. Co ty o Kmicicu myślisz?

— To gorączka, szalona głowa, człowiek niebezpieczny i wędzidła znieść nieumiejący, ale to jeden z tych rzadkich ludzi, którzy z dobrą wiarą nam służą.

— Pewno — odrzekł Bogusław, — mnie się nawet o mało do królestwa niebieskiego nie przysłużył.

— Jakto? — pytał z niepokojem Janusz.

— Mówią, panie bracie, że byle w tobie żółć poruszyć, zaraz cię dusić poczyna. Przyrzeczże mi, że będziesz słuchał cierpliwie spokojnie, a ja ci opowiem coś o twoim Kmicicu, z czego poznasz go lepiej, niż dotąd poznałeś.

— Dobrze! będę cierpliwy, jeno przystąp do rzeczy.

— Cud boski mnie z rąk tego wcielonego dyabła wydostał — odrzekł książę Bogusław.

I rozpoczął opowiadać o wszystkiem, co się w Pilwiszkach zdarzyło.

Nie mniejszy to był cud, że książę Janusz ataku astmy nie dostał, ale natomiast można było sądzić, że go apopleksyą zabije. Trząsł się cały, zębami zgrzytał, palcami oczy zatykał, nakoniec począł wołać zachrypłym głosem:

— Tak?... dobrze!... Zapomniał jeno, że jego koczotka jest w moich rękach...

— Pohamuj się, na miły Bóg! i słuchaj dalej! — odrzekł Bogusław. — Spisałem się więc z nim dość po kawalersku i jeśli tej przygody w dyaryuszu nie zapiszę, ani nią się chwalić nie będę, to tylko dlatego, że mi wstyd, iżem się temu gburowi dał tak podejść, jak dziecko, ja, o którym Mazarin mówił, że w intrydze i przebiegłości nie mam równego na całym dworze francuskim. Ale mniejsza z tem... Sądziłem owóż z początku, żem tego twego Kmicica zabił, tymczasem mam teraz dowód w ręku, że się wylizał.

— Nic to! znajdziemy go! wykopiemy! dostaniemy choćby z pod ziemi!... A tymczasem ja mu tu boleśniejszy cios zadam, niż gdybym go ze skóry kazał żywcem obedrzeć.

— Żadnego ciosu mu nie zadasz, jeno zdrowiu własnemu zaszkodzisz. Słuchaj! Jadąc tutaj, zauważyłem jakiegoś prostaka na srokatym koniu, który ciągle trzymał się nieopodal od mojej kolasy. Zauważyłem właśnie dlatego, że koń był srokaty i kazałem go wreszcie wołać. Gdzie jedziesz? — Do Kiejdan. — Co wieziesz? — List do księcia wojewody. — Kazałem sobie ten list oddać, a że arkanów między nami niema, więc przeczytałem... Masz!

To rzekłszy, podał księciu Januszowi list Kmicica, pisany z lasu w chwili, gdy z Kiemliczami w drogę ruszał.

Książę przebiegł go oczyma, mnąc ze wściekłością, wreszcie począł wołać:

— Prawda! na Boga, prawda! On ma moje listy, a tam są rzeczy,

o które i król szwedzki nietylko podejrzenie, ale i śmiertelną urazę powziąć może...

Tu chwyciła go czkawka i atak spodziewany nadszedł. Usta otwarły mu się szeroko i chwytały szybko powietrze, ręce rwały szaty pod gardłem; książę Bogusław, widząc to, zaklaskał w ręce, a gdy służba nadbiegła, rzekł:

— Ratujcie księcia pana, a jak dech odzyska, proście go, by przyszedł do mojej komnaty, ja tymczasem spocznę nieco.

I wyszedł.

W dwie godziny później, Janusz z oczyma nabiegłemi krwią, z obwisłemi powiekami i siną twarzą, zapukał do komnaty Bogusławowej. Bogusław przyjął go, leżąc w łóżku, z twarzą wysmarowaną migdałowem mlekiem, które miało nadawać skórze miękkość i połysk. Bez peruki na głowie, bez barwiczki na twarzy i z odczernionemi brwiami, wyglądał wiele starzej, niż w całkowitym stroju, ale książę Janusz nie zwrócił na to uwagi.

— Zastanowiłem się jednak — rzekł, — że Kmicic nie może tych listów opublikować, bo gdyby to uczynił, tem samemby wyrok śmierci na tę dziewkę napisał. Zrozumiał on to dobrze, że tylko tym sposobem ma mnie w ręku, ale też i ja nie mogę zemsty wywrzeć i to mnie gryzie, jakobym rozżartego psa w piersi nosił.

—Te listy trzeba będzie jednak koniecznie odzyskać! — rzekł Bogusław.

— Ale quo modo (jakim sposobem)?

— Musisz nasłać na niego jakiego zręcznego człeka; niech jedzie, niech z nim w przyjaźń wejdzie i przy zdarzonej sposobności listy zachwyci, a samego nożem pchnie. Trzeba nagrodę wielką obiecać...

— Kto się tu tego podejmie?

— Żeby to tak w Paryżu, albo choćby i w Niemczech, w jeden dzień znalazłbym ci stu ochotników, ale w tym kraju nawet i tego towaru nie dostanie...

— A trzeba swojego człowieka, bo cudzoziemca będzie się strzegł.

— To zdajto na mnie, ja może kogo w Prusach wynajdę.

— Ej, żeby to go żywcem schwytać można, a mnie do rąk dostawić! Zapłaciłbym mu za wszystko odrazu. Powiadam ci, że zuchwalstwa tego człowieka przechodziły wszelką miarę. Dlategom go wyprawił, bo mną samym potrząsł, bo mi do oczu, o byle

co, jak kot skakał, bo swoją wolę mi tu we wszystkiem narzucał... Mało nie sto razy, już, już, miałem w gębie rozkaz, by go rozstrzelać... Ale nie mogłem, nie mogłem...

— Powiedz mi, czy naprawdę on nam krewny?...

— Kiszków naprawdę krewny, a przez Kiszków i nasz

— Swoją drogą, to dyabeł jest... i niebezpieczny całą gębą przeciwnik!

— On? Mogłeś mu kazać do Carogrodu jechać i sułtana z tronu ściągnąć, albo królowi szwedzkiemu brodę oderwać i do Kiejdan ją przywieźć! Co on tu w czasie wojny wyrabiał!

— Tak i patrzy. A przyrzekł nam zemstę do ostatniego oddechu. Szczęściem dostał ode mnie naukę, że z nami nie łatwo. Przyznaj, żem się po radziwiłłowsku z nim obszedł i gdyby jaki francuski kawaler mógł się podobnym uczynkiem pochwalić, toby o nim łgał po całych dniach, z wyjątkiem godzin snu, obiadu i całowania; bo oni jak się zejdą, to łżą jeden przez drugiego tak, że aż słońcu wstyd świecić...

— Prawda, żeś go przycisnął, wolałbym jednak, żeby się to nie przygodziło.

— A jabym wolał, żebyś sobie lepszych zauszników wybierał, mających więcej respektu dla radziwiłłowskich kości.

— Te listy! te listy!...

Bracia umilkli na chwilę, poczem Bogusław pierwszy ozwał się:

— Co to za dziewka?

— Billewiczówna.

— Billewiczówna, czy Mieleszkówna, jedna drugiej równa. Uważasz, że mnie rym znaleźć tak łatwo, jak drugiemu splunąć. Ale ja nie o jej nazwisko pytam, jeno czy urodziwa?

— Ja tam na takie rzeczy nie patrzę, ale to pewna, że i królowa polska mogłaby się nie powstydzić takiej urody.

— Królowa polska? Marya Ludwika? Za czasów Cinq-Marsa może i była gładka, a teraz psi na widok baby wyją. Jeśli twoja Billewiczówna taka, to ją sobie zachowaj... Ale jeżeli naprawdę cudna, to mi ją do Taurogów oddaj, a już tam zemstę na współkę z nią nad Kmicicem obmyślę.

Janusz zamyślił się na chwilę.

— Nie dam ci jej — rzekł wreszcie, — bo ty ją siłą zniewolisz a wówczas Kmicic listy opublikuje

— Ja miałbym siły używać przeciw tej jednej waszej dzierlatce? Nie chwaląc się, nie z takiemi miałem do czynienia, a nie niewoliłem żadnej... Raz tylko, ale to było we Flandryi... Głupia była... córka złotnika... Nadciągnęli potem piechurowie hiszpańscy i na ich karb to poszło.

— Ty tej dziewki nie znasz... Z zacnego domu, cnota chodząca, rzekłbyś: mniszka.

— Znamy się i z mniszkami...

— A przytem nienawidzi nas ona, bo to hic mulier (kobieta męskim charakterem), patryotka... Ona to Kmicica spraktykowała. Niemasz takich wiele między naszemi niewiastami... Rozum zgoła męski... i Jana Kazimierza najżarliwsza partyzantka.

— To mu obrońców przysporzymy...

— Nie może być, bo Kmicic listy opublikuje... Muszę jej strzedz, jak oka w głowie... do czasu. Potem oddam ci ją, albo twoim dragonom, wszystko mi jedno!

— Daję ci więc parol kawalerski, że jej nie będę siłą niewolił, a słowa, które prywatnie daję, zawsze dotrzymuję. W polityce co innego... Wstyd byłoby mi nawet, gdybym sam przez się nie umiał nic wskórać.

— Nie wskórasz.

— To w najgorszym razie wezmę w pysk, a od niewiasty to nie dyshonor... Ty idziesz na Podlasie, co tedy będziesz z nią robił? Z sobą jej nie weźmiesz, tu nie zostawisz, bo tu przyjdą Szwedzi, a trzeba, żeby "comme otage" dziewka została zawsze w naszych ręku... Czy nie lepiej, że ją do Taurogów wezmę... a do Kmicica poślę nie zbója, ale posłańca z pismem, w którem napiszę: oddaj listy, oddam ci dziewkę.

— Prawda jest! — rzekł książę Janusz — to dobry sposób.

— Jeśli zaś — mówił dalej Bogusław — oddam mu ją niezupełnie taką, jaką wziąłem, to będzie i zemsty początek.

— Aleś dał słowo, że gwałtu nie użyjesz?

— Dałem i powtarzam jeszcze, że wstydby mi było...

— To musisz wziąć i jej stryja, miecznika rosieńskiego, który tu z nią bawi.

— Nie chcę. Szlachcic pewnie waszym obyczajem wiechcie w butach nosi, a ja tego znieść nie mogę.

— Ona sama nie zechce jechać.

— To jeszcze zobaczymy. Zaproś ich dziś na wieczerzę, bym ją obejrzał i uznał, czy warto na ząb brać, a ja tymczasem sposoby na nią obmyślę. Na Boga jeno, nie mów jej tylko o kmicicowym uczynku, bo toby go w jej oczach podniosło i w wierności dla niego utwierdziło. A przy wieczerzy nie kontruj mnie w niczem, cobądźbym mówił.

Książę Janusz machnął ręką i wyszedł, a książę Bogusław założył obie ręce pod głowę i począł nad sposobami rozmyślać.

---

## XXII.

Na wieczerzę, oprócz miecznika rosieńskiego z Oleńką, zaproszono także znaczniejszych oficerów kiejdańskich i kilku dworzan księcia Bogusława. On sam nadszedł tak strojny i wspaniały, że oczy rwał. Peruka jego pozakręcana była w misterne i faliste pukle; twarz delikatnością barwy przypominała mleko i róże; wąsik zdawał się być pelą jedwabną, a oczy gwiazdami. Ubrany był czarno, w kaftan zszywany z pasów materyalnych i aksamitnych, u którego rękawy rozcięte, spinane były wzdłuż ręki. Naokoło szyi miał wyłożony szeroki żołnierz z najcudniejszych koronek brabanckich, wartości nieoszacowanej i takież mankiety wedle dłoni. Złoty łańcuch spadał mu na piersi, a przez prawe ramię, wzdłuż całego kaftana, szedł aż do lewego biodra pendent od szpady z holenderskiej skóry, ale tak nasiany dyamentami, że wyglądał jak smuga mieniącego się światła. Zarówno błyszczała od dyamentów i rękojeść szpady, a w kokardach jego trzewików świeciły dwa największe, tak wielkie, jak dwa laskowe orzechy. Cała postać wydawała się wyniosłą, a równie szlachetną, jak piękną. W jednej ręce trzymał koronkową chusteczkę, drugą dłonią podtrzymywał zwieszony ówczesną modą na rękojeści kapelusz, zdobny we fryzowane czarne pióra strusie, niezmiernie długie.

Wszyscy, nie wyłączając księcia Janusza, patrzyli nań z podziwem i uwielbieniem. Księciu wojewodzie przychodziły na pamięć młode lata, gdy tak samo gasił wszystkich na dworze francuskim urodą i bogactwem. Lata te były już daleko, ale teraz zdawało się hetmanowi, że odżył w tym świetnym kawalerze, który toż samo nosił nazwisko.

Rozochocił się tedy książę Janusz i przechodząc mimo, dotkną wskazującym palcem piersi brata.

— Łuna od ciebie bije, jakby od miesiąca — rzekł. — Czyś nie dla Billewiczówny się tak wystroił?

— Miesiącowi wszędy łatwo się wcisnąć — odparł chełpliwie Bogusław.

I dalej począł rozmawiać z Ganchoffem, przy którym może i umyślnie stanął, ażeby się lepiej wydać, bo Ganchoff był to mąż dziwnie szpetny; twarz miał ciemną i ospą podziobaną, nos krogulczy i zadarte do góry wąsy; wyglądał jak duch ciemności, a Bogusław przy nim jak duch światła.

Wtem weszły damy: pani Korfowa i Oleńka. Bogusław rzucił na nią bystrym wzrokiem i skłoniwszy się naprędce pani Korfowej, już-już przyłożył palce do ust, aby Billewiczównie przesłać, wedle kawalerskiej mody, od ust całusa, gdy spostrzegłszy jej urodę wykwintną, a dumną i poważną, w jednej chwili zmienił taktykę. W prawą rękę chwycił kapelusz i podsunąwszy się ku pannie, skłonił się tak nisko, że prawie zgiął się we dwoje, pukle peruki spadły mu po obu stronach ramion, szpada przybrała poziome położenie, a on stał tak, poruszając umyślnie kapeluszem i zamiatając piórami na znak czci posadzkę przed Oleńką. Bardziej dworskiego ukłonu nie mógł oddać królowej francuskiej. Billewiczówna, która wiedziała o jego przyjeździe, domyśliła się natychmiast, kto przed nią stoi, więc chwyciwszy końcami palców za suknię, oddała mu również dyg głęboki.

Wszyscy podziwiali obojga urodę i układność manier, widną z samego powitania, a niezbyt znaną w Kiejdanach, bo księżna Januszowa więcej kochała się, jako Wołoszka, we wschodnim przepychu, niż w dworności; zaś księżniczka była jeszcze małą dziewczyną.

Wtem Bogusław podniósł głowę, strząsnął pukle peruki na plecy i szurgając mocno nogami, podsunął się żywo do Oleńki; jednocześnie rzucił paziowi kapelusz, a jej podał rękę.

— Oczom nie wierzę... i chyba we śnie widzę to, co widzę — mówił, prowadząc ją do stołu — ale powiedz mi, piękna bogini, jakim cudem zeszłaś z Olimpu do Kiejdan?

— Choć prostą jestem szlachcianką, nie boginią, — odparła Oleńka — nie taka znów prostaczka ze mnie, bym za co innego jak za dworność, słowa waszej ks. mości brać miała.

— Choćbym też chciał być najdworniejszym, zwierciadło twoje powie ci więcej ode mnie.

— Powie nie więcej, ale szczerzej — odrzekła, ściągając wedle ówczesnej mody usta.

— Gdyby w tej komnacie było chociaż jedno, wrazbym cię do niego zaprowadził... Tymczasem przejrzyj się w oczach moich a poznasz, czyli ich podziw nie szczery.

Tu Bogusław przechylił głowę i przed Oleńką zabłysły oczy jego, wielkie i czarne jak aksamit, a słodkie, przenikliwe i jednocześnie palące. Pod wpływem ich żaru, twarz dziewczyny powlokła się purpurowym rumieńcem, spuściła powieki i odsunęła się nieco, bo czuła, że Bogusław ramieniem przycisnął zlekka do swego boku jej rękę.

Tak przyszli do stołu. On zasiadł przy niej i znać było, że naprawdę jej uroda nadzwyczajne na nim uczyniła wrażenie. Wpodziewał się za pewne znaleźć szlachciankę, hożą jak łania, śmiejącą się i wrzaskliwą jak sójka i czerwoną jak kwiat maku, tymczasem znalazł dumną pannę, w której czarnych brwiach widać było nieugiętą wolę, w oczach rozum i powagę, w całej twarzy jasny spokój dziecinny, a tak przytem szlachetną w postawie, tak wdzięczną i cudną, że na każdym dworze królewskim mogłaby się stać celem hołdów i zabiegów najpierwszych w kraju kawalerów.

Piękność jej niewysłowiona budziła podziw i żądze, ale był w niej zarazem jakiś majestat, który nakładał im wędzidło, tak że mimowoli pomyślał Bogusław: "Zawcześniem przycisnął jej rękę... z taką trzeba polityką, nie obcesem!"

Ale tem niemniej postanowił posiąść jej serce i doznawał dzikiej radości na myśl, że przyjdzie chwila, w której ów majestat dziewiczy i owa piękność przeczysta zda się na jego łaskę i niełaskę. Groźna twarz Kmicica stawała wpoprzek tym marzeniom, ale dla zuchwałego młodziana była to tylko jedna więcej podnieta. Pod wpływem tych uczuć rozpromienił się cały, krew poczęła w nim grać, jak we wschodnim rumaku, wszystkie jego władze ożywiły się niezwykle i światło tak biło od całej jego postaci, jak od jego dyamentów.

Rozmowa przy stole stała się ogólna, a raczej zmieniła się w ogólny chór pochwał i pochlebstw dla Bogusława, których świetny kawaler słuchał z uśmiechem, ale bez zbytniego zadowolenia, jako rzeczy zwykłej i codziennej. Mówiono najprzód o jego

czynach wojennych i pojedynkach. Nazwiska pokonanych książąt, margrabiów, baronów, sypały się jak z rękawa. On sam jeszcze od czasu do czasu dorzucał niedbale jedno więcej. Słuchacze zdumiewali się, książę Janusz gładził swe długie wąsy z zadowolenia, nakoniec Ganchoff rzekł:

— Choćby fortuna i urodzenie nie stawało na przeszkodzie, nie chciałbym ja w. ks. mości w drogę wejść i to mi tylko dziwno, że się jeszcze śmiałkowie tacy znajdują.

— Co chcesz, panie Ganchoff! — rzekł książę. — Są ludzie z żelazną twarzą i żbiczym wzrokiem, których sam widok przestrasza, ale mnie Bóg tego odmówił... Mego oblicza nie ulęknie się nawet panna.

— Jako ćma nie boi się pochodni — odrzekła wdzięcząc się i krygując pani Korfowa — póki w niej nie zgorzeje...

Bogusław rozśmiał się, a pani Korfowa mówiła dalej, nie ustając się krygować:

— Panów żołnierzy więcej pojedynki obchodzą, a my niewiasty radebyśmy też coś o amorach waszej książęcej mości usłyszeć, o których wieści aż tu nas dochodziły.

— Nieprawdziwe, pani dobrodziejko, nieprawdziwe... Wszystko jeno przez drogę urosło... Swatano mnie, to prawda... Jejmość królowa francuska była tak łaskawa...

— Z księżniczką de Rohan — dorzucił Janusz.

— Z drugą, de la Forse, — dodał Bogusław — ale że właśnie sercu ani nawet sam król nie może kochania nakazać, a dostatków, chwała Bogu, nie potrzebujemy we Francyi szukać, przeto nie mogło być chleba z tej mąki... Grzeczne to były panny, co prawda, i nad imaginacyę urodziwe, ale przecie są u nas jeszcze urodziwsze... i nie potrzebowałbym z tej komnaty wychodzić, aby takie znaleźć...

Tu rzucił długie spojrzenie na Oleńkę, która udając, że nie słyszy, poczęła coś mówić do panna miecznika rosieńskiego, a pani Korfowa znów głos zabrała:

— Nie brak i tu gładkich, niemasz jeno takich, któreby waszej ks. mości fortuną i urodzeniem wyrównać mogły.

— Pozwolisz jejmość dobrodziejka, że zaneguję — odparł żywo Bogusław — bo naprzód nie myślę ja tego, aby szlachcianka polska czemś podlejszem — od Rohanówien i od Forsów być miała, po drugie nie pierwszyzna to Radziwiłłom ze szlachciankami się

żenić jako i dzieje liczne podają tego przykłady. Upewniam też jejmość dobrodziejkę, że ta szlachcianka, która Radziwiłłową zostanie, nawet na dworze francuskim przed tamtejszemi księżniczkami krok i prym weźmie.

— Ludzki pan!... — szepnął Oleńce miecznik rosieński.

— Tak to ja zawsze rozumiałem. — mówił dalej Bogusław — choć nieraz wstyd mi za szlachtę polską, gdy ją z zagraniczną porównam, bo gdyby się tam nie zdarzyło to, co się tu zdarzyło, że wszyscy pana swego opuścili, ba, że dybać na jego zdrowie gotowi. Szlachcic francuski najgorszego uczynku się dopuści, ale pana swego nie zdradzi.

Obecni poczęli spoglądać na siebie i na księcia z zadziwieniem. Książę Janusz zmarszczył się i nasrożył, a Oleńka utkwiła swe niebieskie oczy z wyrazem podziwu i wdzięczności w twarzy Bogusława.

— Wybacz wasza ks. mość, — rzekł Bogusław, wracając się do Janusza, który jeszcze ochłonąć nie zdołał — wiem, że nie mogłeś inaczej postąpić, że cała Litwaby zginęła, gdybyś był za moją radą poszedł; ale przecie, czczą cię jako starszego i kochając jak brata, nie przestaną z tobą o Jana Kazimierza się spierać. Jesteśmy między sobą, więc mówię, co myślę: nieopłakany pan, dobry, łaskawy, pobożny, a mnie podwójnie drogi! Toż ja go pierwszy z Polaków odprowadzałem, gdy go z francuskiego więzienia wypuszczono. Dzieckiem jeszcze prawie byłem pedówczas, ale tembardziej nigdy tego nie zapomnę i chętniebym krew moją oddał, by go przynajmniej od tych zasłonić, którzy praktyki przeciw świętej jego osobie poczynają.

Januszowi, jakkolwiek zrozumiał już grę Bogusławową, wydała się ona jednak zbyt śmiałą i zbyt hazardowną, dla tak błahego celu, więc nie ukrywając niezadowolenia, mówił:

— Na Boga! o jakichże zamysłach przeciw zdrowiu naszego ex-króla w. ks. mość mówisz? Kto je czyni? Gdzie się takowe monstrum (straszydło) w polskim narodzie znaleźć mogło?... To się, jako żywo, od początku świattła w Rzeczypospolitej nie przygodziło!

Bogusław zwiesił głowę.

— Nie dawniej jak miesiąc temu, — rzekł ze smutkiem w głosie — gdym z Podlasia do Prus elektorskich, do Taurogów jechał, przybył do mnie jeden szlachcic... z zacnego domu... Szlachcic ów,

nie znając widać moich prawdziwych dla pana naszego miłościwego afektów, myślał, żem mu wrogiem, jako inni. Owóż, za znaczną nagrodę, obiecywał mi pojechać na Śląsk porwać Jana Kazimierza i żywego lub umarłego Szwedom wydać...

Wszyscy oniemieli ze zgrozy.

— A gdym z gniewem i abominacyą takową propozycyę odrzucił — kończył Bogusław — ów człek z miedzianem czołem rzekł mi: "Pojadę do Radziejowskiego, ten kupi i od funta złotem mi zapłaci"...

— Nie jestem ex-królowi przyjacielem, — rzekł Janusz — ale gdyby mnie podobną propozycyą uczynił, kazałbym go bez sądu pod murem postawić, a sześciu muszkieterów naprzeciw.

— W pierwszej chwili i ja chciałem tak postąpić, — odparł Bogusław — ale rozmowa była na cztery oczy i dopierożby krzyczano na tyraństwo z na samowolę Radziwiłłów! Nastraszyłem go jeno, że i Radziejowski i król szwędzki, ba, sam Chmielnicki nawet, pewnieby go zato gardłem skarali; słowem doprowadziłem owego zbrodniarza do tego, że się zamysłu wyrzekł.

— Nic to! nie trzeba go było żywym puszczać, bo najmniej pala był wart! — zawołał Korf.

Bogusław zwrócił się nagle do Janusza:

— Mam też nadzieję, że go kara nie minie i pierwszy wnoszę, by zwykłą śmiercią nie zginął, a wasza ks. mość sam jeden możesz go ukarać, bo to twój dworzanin i twój pułkownik...

— Na Boga! mój dworzanin?... Mój pułkownik? Co za jeden!? Kto?... Mów w. ks. mość!

— Zwie się Kmicic! — rzekł Bogusław.

— Kmicic?!... — powtórzyli wszyscy w przerażeniu.

— To nieprawda! — krzyknęła nagle Billewiczówna, wstając z krzesła z iskrzącemi oczyma i falującą piersią.

Nastało głuche milczenie. Jedni nie ochłonęli jeszcze po strasznej bogusławowej nowinie, drudzy zdumieli się nad zuchwalstwem tej panny, która śmiała młodemu księciu fałsz w oczy zadać; miecznik rosieński począł bełkotać: "Oleńka! Oleńka!" —a Bogusław przyoblekł twarz w smutek i rzekł bez gniewu:

— Jeśli to krewny lub narzeczony waćpanny, to boleję, żem tę nowinę powiedział, ale wyrzuć go z serca, bo nie wart on ciebie, panienko...

Ona stała chwilę jeszcze w bolu, w płomieniach i przerażeniu; lecz zwolna oblicze jej stygło, aż stało się zimne i blade; opuściła się napowrót na krzesło i rzekła:

— Przebacz w. ks. mość... Nie słusznie przeczyła... Do tego człowieka wszystko podobne...

— Niechże mnie Bóg ukarze, jeżeli co innego czuję, prócz litości — odpowiedział łagodnie książę Bogusław.

— To był narzeczony tej panny — rzekł książę Janusz — i sam ich swatałem. Człek był młody, gorączka, nabroił siła... Ratowałem go przed prawem, bo żołnierz dobry. Wiedziałem, że warchoł to był i będzie... Ale żeby szlachcic do podobnego bezeceństwa był zdolny, tegom się nawet po nim nie spodziewał.

— To zły był człowiek, dawno to wiedziałem! — rzekł Ganchoff.

— I nie ostrzegłeś mnie? Czemu to? — spytał tonem wymówki Janusz.

— Bom się bał, że wasza ks. mość o inwidyę mnie posądzi, gdyż on wszędy miał pierwszy krok przede mną.

— Horribile dictu et auditu (Strach mówić i słuchać) — rzekł Korf.

— Mości panowie — zawołał Bogusław, — dajmy temu pokój. Jeśli wam ciężko tego słuchać, cóż dopiero pannie Billewiczównie.

— Wasza ks. mość raczy nie zważać na mnie — rzekła Oleńka, — mogę wszystkiego już wysłuchać.

Ale już i wieczerza miała się ku końcowi; podano wodę do umycia rąk, poczem książę Janusz wstał pierwszy i podał rękę pani Korfowej, a książę Bogusław Oleńce.

— Zdrajcę już Bóg pokarał — rzekł do niej, — bo kto ciebie stracił, niebo stracił... Niemasz dwóch godzin, jakem cię poznał, wdzięczna panienko, a radbym cię widzieć wiecznie, nie w boleści i we łzach, ale w rozkoszy i szczęściu.

— Dziękuję waszej książęcej mości — odrzekła Oleńka.

Po rozejściu się dam, mężczyźni wrócili jeszcze do stołu szukać uciechy w kielichach, które krążyły gęsto. Książę Bogusław pił na umór, bo był kontent z siebie. Książę Janusz rozmawiał z panem miecznikiem rosieńskim.

— Ja jutro wyjeżdżam z wojskiem na Podlasie — rzekł mu. — Do Kiejdan przyjdzie szwedzka załoga. Bóg wie, kiedy wrócę... Waszmość nie możesz tu z dziewczyną zostawać, bo i dla niej między żołnierstwem nieprzystojnie. Pojedziecie oboje z księciem

Bogusławem do Taurogów, gdzie dziewka przy żonie mojej może we fraucymerze znaleźć pomieszczenie.

— Wasza ks. mość — odparł miecznik rosieński. — Bóg nam dał własne kąty, poco nam do obcych krajów jeździć. Wielkato łaska waszej ks. mości, że o nas pamięta... Ale nie chcąc faworu nadużywać, wolelibyśmy pod własną strzechę powrócić.

Książę nie mógł wyjaśnić panu miecznikowi wszystkich powodów, dla których za żadną cenę nie chciał wypuszczać z rąk Oleńki, ale część ich powiedział z całą szorstką otwartością magnata.

— Jeśli chcesz to waćpan przyjąć za fawor, to i lepiej... Ale ja waćpanu powiem, że to i ostrożność. Waćpan tam będziesz zakładnikiem; waćpan mi za wszystkich Billewiczów odpowiesz, którzy, wiem to dobrze, nie liczą się do moich przyjaciół i gotowi podnieść Żmudź, gdy odejdę... Dajże im waćpan radę, by tu siedzieli spokojnie i przeciw Szwedom nie poczynali, bo głowa twoja i twej synowicy za to odpowie.

Na to miecznikowi widocznie zabrakło cierpliwości, bo odrzekł żywo:

— Próżnobym się na moje prawa szlacheckie powoływał. Siła przy waszej książęcej mości, a mnie wszystko jedno, gdzie mam w więzieniu siedzieć; wolę nawet tam, niż tu!

— Dość tego! — rzekł groźnie książę.

— Co dość, to dość! — odrzekł miecznik. — Bóg też da, że gwałty się skończą, a prawo znów zapanuje. Krótko mówiąc, wasza ks. mość mi nie gróź, bo się nie boję!

Bogusław dojrzał widocznie błyskawice gniewu, migocące na twarzy Janusza, zbliżył się więc szybko.

— O co idzie? — rzekł, stawając między rozmawiającymi.

— Powiedziałem panu hetmanowi — odparł z rozdrażnieniem miecznik, że wolę więzienie w Taurogach, niż w Kiejdanach.

— W Taurogach niemasz więzienia, jest jeno dom mój, w którym waszmość będziesz jako u siebie. Wiem, że hetman chce widzieć w waszmości zakładnika, ja widzę tylko miłego gościa.

— Dziękuję waszej książęcej mości — odpowiedział miecznik.

— To ja dziękuję waszmości. Trąćmy się i wypijmy razem, mówią, że przyjaźń trzeba zaraz podlać, żeby nie zwiędła w zarodku.

To rzekłszy, zawiódł Bogusław pana miecznika do stołu i poczęli się trącać a przepijać do siebie często gęsto.

W godzinę później miecznik wracał nieco chwiejnym krokiem do swej izby, powtarzając półgłosem:

— Ludzki pan! Zacny pan! Uczciwszego z latarnią nie znaleźć... Złoto! złoto szczere... Chętnie krwibym dla niego utoczył.

Tymczasem bracia zostali samnasam. Mieli z sobą jeszcze do pogadania, a przytem i listy przyszły jakieś, po które wysłali pazia, aby je od Ganchoffa przyniósł.

— Oczywiście — rzekł Janusz, — niemasz w tem i słowa prawdy, coś o Kmicicu mówił?

— Oczywiście... Sam wiesz najlepiej. Ale co? Przyznaj! Nie miał Mazarin słuszności? Za jednym zachodem zemścić się okrutnie nad wrogiem i uczynić wyłom w tej ślicznej fortecy... Co? Kto to potrafi? To się nazywa intryga, godna pierwszego w świecie dworu! A perłaż to ta Billewiczówna, a wdzięczna to, a wspaniała, a paniątko, jakoby z krwi książęcej! Myślałem, że ze skóry wyskoczę!

— Pamiętaj, żeś dał słowo... Pamiętaj, że zgubisz nas, jeśli tamten listy opublikuje.

— Coto za brwi! Co za wejrzenie królewskie, aż respekt bierze... Skąd w takiej dziewce taki nieledwie królewski majestat?... Widziałem raz w Antwerpii Dyanę, na gobelinie misternie wyszytą, psami ciekawego Akteona szczującą... Kubek w kubek ona!

— Bacz, by Kmicic listów nie opublikował, bo nasby wtedy psi na śmierć zagryźli.

— Nieprawda! Ja to Kmicica w Akteona zmienię i na śmierć zaszczuję. Na dwóch polach jużem go zbił na głowę, a przyjdzie między nami jeszcze do sprawy!

Dalszą rozmowę przerwało wejście pazia z listem.

Wojewoda wileński wziął pismo do ręki i przeżegnał. Zawsze tak czynił, by od złych nowin się zabezpieczyć; następnie, zamiast otworzyć, począł je oglądać starannie.

Nagle zmienił się na twarzy.

— Sapiehów klejnot na pieczęci! — zakrzyknął — to od wojewody witebskiego.

— Otwórz prędzej! — rzekł Bogusław.

Hetman otworzył i począł czytać, przerywając od czasu do czasu wykrzyknikami:

—Idzie na Podlasie!.. Pyta, czy nie mam poleceń do Tykocina!... Urąga mi!... Gorzej jeszcze, bo słuchaj, co dalej pisze:

"Chcesz wasza ks. mość wojny domowej, chcesz jeden więcej miecz w łono matki pogrążyć? To przybywaj na Podlasie, czekam cię i ufam w Bogu, że pychę twą mojemi rękami ukarze... Ale jeśli masz miłosierdzie nad ojczyzną, jeśli sumienie cię ruszyło, jeśli wasza ks. mość żałujesz dawnych uczynków i poprawę chcesz okazać tedy pole przed tobą. Miasto wojnę domową zaczynać, zwołaj pospolite ruszenie, podnieś chłopstwo i uderz na Szwedów, póki ubezpieczony Pontus niczego się nie spodziewa i żadnej baczności nie okazuje. Od Chowańskiego przeszkody w tem mieć wasza ks. mość nie będziesz, bo mnie słuchy z Moskwy dochodzą, że oni tam sami o wyprawie do Inflant myślą, chociaż trzymają to w tajemnicy. Wreszcie, jeśliby Chowański chciał co przedsięwziąć, to ja utrzymam go za wodzy i bylem szczerze mógł zaufać, pewnie ze wszystkich sil w ratowaniu ojczyzny w książęcej mości pomagać będę. Wszystko to od waszej książęcej mości zależy bo jeszcze czas nawrócić z drogi i winy zmazać. Wtedy okaże się jawnie, żeś wasza książęca mość nie w widokach osobistych, ale dla odwrócenia ostatniej od Litwy klęski przyjął szwedzką protekcyę.Niechże waszą książęcą mość Bóg tak natchnie, o co codziennie Go proszę, choć mnie wasza książęca mość o inwidyę pomawiać raczysz.

P. S. Słyszałem, że oblężenie Nieświeża zdjęte i że książę Michał z nami się chce połączyć, jak tylko szkody naprawi. Patrzże wasza ks. mość, jak zacnie z twojej familii czynią i na ich przykład się zapatruj, a w każdym terminie pomyśl, że masz teraz wóz i przewóz."

— Słyszałeś? — rzekł, skończywszy czytać, książę Janusz.

— Słyszałem... i co? — odpowiedział Bogusław, patrząc bystro na brata.

— Trzebaby się wszystkiego wyrzec, wszystkiego zaniechać, własną robotę własnemi poszarpać rękoma...

— I z potężnym Karolem Gustawem zadrzeć, a wygnanego Kazimierza za nogi imać, by raczył przebaczyć i do służby napowrót przyjąć... a i pana Sapiehę o instancyę prosić...

Twarz Janusza nabrzmiała krwią.

— Uważasz, jakoto on do mnie pisze: "Popraw się, a przebaczę ci," — jakby zwierzchnik do podwładnego!

— Inaczejby pisał, gdyby mu sześć tysięcy szabel nad karkiem zawisło.

— Wszelako... — tu zamyślił się posępnie książę Janusz.

— Wszelako co?

— Dla ojczyzny byłby może ratunek tak uczynić, jak Sapieha radzi.

— A dla ciebie? Dla mnie? Dla Radziwiłłów?...

Janusz nic nie odpowiedział, oparł głowę na złożonych pięściach i myślał.

— Niechże tak będzie! — rzekł wreszcie. — Niech się spełni...

— Coś postanowił?

— Jutro ruszam na Podlasie, a za tydzień uderzę na Sapiehę.

— Toś Radziwiłł — rzekł Bogusław.

I podali sobie ręce.

Po chwili Bogusław udał się na spoczynek. Janusz pozostał sam. Raz i drugi przeszedł ciężkim krokiem przez komnatę, nakoniec zaklaskał w ręce.

Paź pokojowiec wszedł do izby.

— Niech astrolog za godzinę przyjdzie do mnie z gotową figurą — rzekł.

Paź wyszedł, a książę znów począł chodzić i odmawiać swe kalwińskie pacierze. Poczem zaczął śpiewać półgłosem psalm, przerywając często, bo mu oddechu brakło i spoglądając od czasu do czasu przez okno na gwiazdy na firmamencie.

Powoli światła gasły w zamku, ale oprócz astrologa i księcia, jedna jeszcze istota czuwała w swej komnacie, a mianowicie Oleńka Billewiczówna.

Klęcząc przed swem łóżkiem, splotła obie ręce na głowie i szeptała z zamkniętemi oczyma:

— Zmiłuj się nad nami... Zmiłuj się nad nami!

Pierwszy raz od czasu wyjazdu Kmicica nie chciała, nie mogła modlić się za niego....

---

## XXIII.

Pan Kmicic posiadał wprawdzie glejty radziwiłłowskie do wszystkich kapitanów, komendantów i gubernatorów szwedzkich, aby mu wszędy wolny przejazd dano i wstrętu nie czyniono, lecz nie śmiał z tych glejtów korzystać. Spodziewał się bowiem,

że książę Bogusław zaraz z Pilwiszek pchnął na wszystkie strony posłańców z ostrzeżeniem do Szwedów o tem, co się stało i z rozkazem chwytania Kmicica. Dlatego pan Andrzej i obce nazwisko przyjął i nawet stan odmienił. Omijając więc Łomżę i Ostrołękę, do których pierwej ostrzeżenia dojść mogły, pędził swe konie wraz z kompanią ku Przasnyszowi, skąd na Pułtusk pragnął się przebrać do Warszawy.

Nim jednak do Przasnysza doszedł, czynił krąg nad granicą pruską na Wąsosz, Kolno i Myszyniec, dlatego, że Kiemlicze, znając dobrze tamtejsze puszcze, byli świadomi przejść leśnych, a oprócz tego mieli swe "komitywy" między Kurpiami, od których w nagłym razie mogli się pomocy spodziewać.

Kraj nad granicą był już po większej części zajęty przez Szwedów, którzy jednak, ograniczając się na zajmowaniu miast znaczniejszych, niezbyt śmiele zapuszczali się w drzemiące i niezgłębione lasy, zamieszkane przez ludność zbrojną, myśliwą, nigdy z lasów się niewychylającą i tak jeszcze dziką, że właśnie rok temu królowa Marya Ludwika kazała wznieść kaplicę w Myszyńcu i osadziła Jezuitów, którzy mieli uczyć wiary i łagodzić obyczaje puszczańskiego ludu.

— Im dłużej nie napotykamy Szwedów, — mówił stary Kiemlicz — tem dla nas lepiej.

— Musimy ich w końcu napotkać — odpowiadał pan Andrzej.

— Kto ich napotka przy większym mieście, temu często boją się krzywdy uczynić, bo jako w mieście, jest zawsze jakowyś rząd i jakowyś starszy komendant, do którego można skarżyć. Już ja się o to ludzi rozpytywał i wiem, że są rozkazy od króla szwedzkiego, zabraniające swawoli i zdzierstwa. Ale mniejsze podjazdy, daleko od oczu komendantów wysyłane, nic na rozkazy nie zważają i spokojnych ludzi łupią.

Płynęli więc lasami, nigdzie Szwedów nie spotykając, nocując po smolarniach i osadach leśnych. Między Kurpiami, chociaż prawie nikt z nich nie widział dotąd Szwedów, chodziły najrozmaitsze wieści o najściu kraju. Mówiono, że przybył lud zza morza, mowy ludzkiej nierozumiejący, niewierzący w Chrystusa Pana, Najświętszą Pannę, ani we wszystkich Świętych, i dziwnie drapieżny. Inni prawili o nadzwyczajnem łakomstwie tych nieprzyjaciół na bydło, skóry, orzechy, miód i grzyby suszone, których jeśli im odmawiano, wówczas podpalali puszczę. Niektórzy twierdzil

przeciwnie, że to jest naród wilkołaków, chętnie ludzkiem mięsem, a mianowicie mięsem dziewczyn się karmiący.

Pod wpływem tych groźnych wieści, które w największe głębie puszczańskie zaleciały, jęli się Kurpiowie "poczuwać" i zhukiwać po lasach. Ci, którzy wyrabiali potaż i smołę i ci, którzy zbieraniem chmielu się trudnili i drwale i rybitwowie, którzy zastawiali więcierze po zarosłych wybrzeżach Rosogi i wnicznicy i myśliwi i pszczołowody i bobrownicy, zbierali się teraz po znaczniejszych osadach, słuchając opowiadań, udzielając sobie nowin i radząc, jakby nieprzyjaciela, jeśliby się w puszczy pokazał, wyżenąć.

Kmicic, jadąc ze swym orszakiem, nieraz spotykał większe i mniejsze kupy tego ludu, przybranego w konopne koszule i skóry wilcze, lisie lub niedźwiedzie. Nieraz też zastępowano mu na przesmykach i pasach, pytając:

— Kto ty? Czy nie Szwed?

— Nie! — odpowiedział pan Andrzej.

— Niech ciebie Bóg broni!

Pan Andrzej przypatrywał się z ciekawością tym ludziom, żyjącym ustawicznie w mrokach leśnych, których twarzy nie opalało nigdy odkryte słońce, podziwiał ich wzrost, śmiałość wejrzenia, szczerość mowy i wcale nie chłopską fantazyę.

Kiemlicze, którzy ich znali, zapewniali pana Andrzeja, że niemasz nad nich strzelców w całej Rzeczypospolitej. Jakoż zauważył, że wszyscy mieli dobre niemieckie rusznice, które z Prus za skóry wymieniali. Kazał im też swą sprawność w strzelaniu okazywać i zdumiewał się jej widokiem, a w duszy myślał:

— Gdyby mi przyszło partyę zbierać, tubym przyszedł.

W Myszyńcu samym znalazł wielkie zgromadzenie. Przeszło stu strzelców trzymało ustawicznie straż przy misyi, bo obawiano się, że Szwedzi tu najpierwej się pokażą, zwłaszcza, że starosta ostrołęcki kazał wyciąć drogę w lasach, aby księża w misyi osiedli mogli mieć "do świata przystęp."

Chmielarze, którzy swój towar odstawiali aż do Przasnysza tamtejszym sławnym piwowarom i z tego powodu uchodzili za ludzi bywałych, opowiadali, że w Łomży, w Ostrołęce i Przasnyszu roi się od Szwedów, którzy tak już tam gospodarują jak w domu i podatki wybierają.

Kmicic jął namawiać Kurpiów, by nie czekając Szwedów w puszczy, uderzyli na Ostrołękę i wojnę rozpoczęli, a sam ofiaro-

wał się ich poprowadzić. Wielką też między nimi znalazł ochotę, ale dwaj księża odwiedli ich do tego szalonego czynu, przedstawiając, aby czekali, aż cały kraj się ruszy i przedwczesnem wystąpieniem nie ściągali na się okrutnej zemsty nieprzyjaciela.

Pan Andrzej odjechał, ale żałował straconej sposobności. Ta mu tylko pociecha została, iż przekonał się, że byle gdziekolwiek prochy wybuchły, to ani Rzeczpospolitej, ani królowi nie zbraknie w tych stronach na obrońcach.

— Jeśli tak jest i gdzieindziej, tedyby można poczynać — myślał.

I gorąca jego natura rwała się ku prędkiemu poczynaniu, ale rozsądek mówił: "Kurpie sami Szwedów nie zwojują... Przejedziesz kawał kraju, obaczysz, przyjrzysz się, a potem posłuchasz królewskiego rozkazu."

Jechał więc dalej. Wyjechawszy z puszcz głębokich na rubieże leśne, w okolicę gęściej osiadłą, ujrzał po wszystkich wioskach ruch nadzwyczajny. Po drogach pełno było szlachty, jadącej w brykach, kałamaszkach, kolasach lub konno. Wszystko to zdążało do najbliższych miast i miasteczek, by na ręce komendantów szwedzkich składać przysięgę na wierność nowemu panu. Wydawano im za to świadectwa, które miały osoby i majętności ochraniać. W stolicach ziem i powiatów ogłaszano "kapitulacye," wałujące wolność wyznania i przywileje stanowi szlacheckiemu. Szlachta dążyła z powinną przysięgą nietyle ochotnie, ile skwapliwie, bo opornym rozmaite groziły kary, a zwłaszcza konfiskaty i rabunki. Mówiono, że tu i owdzie poczęli już Szwedzi, tak jak w Wielkopolsce, wkręcać podejrzanym palce w kurki od muszkietów. Powtarzano też z trwogą, że na bogatszych umyślnie rzucano podejrzenia, aby ich złupić.

Wobec tego wszystkiego niebezpiecznie było zostawać na wsi, zamożniejsi więc dążyli do miast, aby siedzieć pod bezpośrednim dozorem komendantów szwedzkich, uniknąć posądzenia o praktyki przeciw królowi szwedzkiemu.

Pan Andrzej pilnie nadstawiał ucha na to, co mówiła szlachta, a chociaż nie bardzo chciano z nim rozmawiać, jako z chudopacholkiem, tyle jednak wyrozumiał, że nawet najbliżsi sąsiedzi, znajomi, ba i przyjaciele, nie mówią między sobą o Szwedach i o nowem panowaniu szczerze. Narzekano wprawdzie głośno na "rekwizycye" i rzeczywiście było o co, do każdej bowiem wsi,

każdego miasteczka, przychodziły listy komendantów z rozkazem dostawienia wielkich ilości zboża, chleba, soli, bydła, pieniędzy i często owe rozkazy przechodziły możność, zwłaszcza, że gdy wyczerpano jedne zapasy, żądano drugich; kto zaś nie płacił, temu przysyłano egzekucyę, która w trójnasób tyle brała.

Ale minęły dawne czasy! Każdy wyciągał się jak mógł, sobie od ust odejmował i dawał i płacił, narzekając i jęcząc, a w duszy myśląc, że dawniej bywało inaczej. Do oczu pocieszano się wszakże, iż gdy czasy wojenne przeminą, skończą się owe rekwizycye. Obiecywali to i sami Szwedzi, mówiąc, że niech jeno król cały kraj opanuje, zaraz po ojcowsku rządzić zacznie.

Szlachcie, która przedtem, niedawno jeszcze, nazywała tyranem dobrego Jana Kazimierza, posądzając go, że do absolutum dominium (władzy nieograniczonej) dąży, która sprzeciwiała mu się we wszystkiem, protestując na sejmikach i sejmach, a w łaknieniu nowości i przemiany doszła do tego, że niemal bez oporu uznała panem najeźdźcę, byle mieć jakową odmianę — wstyd było teraz nawet i narzekać. Wszak Karol Gustaw uwolnił ich od tyrana, wszak dobrowolnie opuścili prawego monarchę, wszak mieli ową odmianę, której pożądali tak silnie.

Dlatego nawet najpoufalsi nie mówili szczerze pomiędzy sobą, co o owej odmianie myślą, chętnie nakłaniając ucha tym, którzy twierdzili, że i zajazdy i rekwizycye i rabunki i konfiskaty tylko czasowe, a konieczne onera (ciężary), które wnet przeminą, jak się Carolus Gustavus na polskim tronie upewni.

— Ciężko, panie brácie, ciężko, — mówił czasem szlachcic do szlachcica — ale taki powinniśmy być radzi z nowego pana. Potentat i to wojownik wielki, ukróci on Kozaków, Turczyna pohamuje i septentrionów od granic odżenie, a my ze Szwecyą we wspólce zakwitniem.

— Choćbyśmy też i nie byli radzi, — odpowiadał drugi — co przeciw takiej potędze? Z motyką się na słońce nie porwiemy..

Czasem też powoływano się na świeżą przysięgę. Kmicic burzył się, słuchając podobnych głosów i rozumowań, a raz, gdy pewien szlachcic mówił przy nim w zajeździe, że musi być wierny temu, komu poprzysiągł, pan Andrzej wykrzyknął i rzekł mu:

— Musisz mieć waćpan dwie gęby, jedną od prawdziwych, drugą od fałszywych przysiąg, boś i Janowi Kazimierzowi przysięgał!

Było przy tem wiele i innej szlachty, bo się zdarzyło niedaleko od Przasnysza. Usłyszawszy więc słowa Kmicica, poruszyli się wszyscy, na jednych twarzach znać było podziw dla śmiałości pana Andrzeja, inni zapłonili się, wreszcie najpoważniejszy rzekł:

— Nikt tu przysięgi dawnemu królowi nie łamał. Sam on nas uwolnił od niej, gdy z kraju zbiegł, do obrony jego się nie poczuwając.

— Bodaj was zabito — zakrzyknął Kmicic. — A król Łokietek ile to razy musiał z kraju uchodzić, a przecie wrócił, bo go naród nie odstąpił, gdyż bojaźń Boża jeszcze w sercach była? Nie Jan Kazimierz zbiegł, jeno przedawczykowie od niego odbiegli i teraz go kąsają, by własne winy przed Bogiem i ludźmi koloryzować.

— Zaśmiele mówisz młodziku. Skądżeś jest, który nas, tutejszych ludzi, chcesz bojaźni Bożej uczyć? Patrz, aby się Szwedzi nie usłyszeli.

— Kiedyście ciekawi, to wam powiem, żem jest z Prus książęcych i do elektora należę... Ale z sarmackiej krwi pochodząc, do życzliwości się ku ojczyźnie poczuwam i wstyd mi za zatwardziałość tego narodu.

Tutaj szlachta, zapomniawszy gniewu, otoczyła go kołem i poczęła wypytywać ciekawie i skwapliwie:

— Toś waćpan z Prus książęcych?... A nuże, powiadaj, co wiesz. Cóż tam elektor? Nie myśli nas ratować z opresyi?

— Z jakiej opresyi?... Radziście z nowego pana, to nie gadajcie o opresyi. Jakeście posłali, tak sobie śpijcie.

— Radziśmy, bo nie możemy inaczej. Z mieczami nad karkiem stoją. Ale ty powiadaj tak, jakbyśmy byli nieradzi.

— Dajcie mu się czego napić, niechże mu się język rozwiąże. Mów śmiele, niemasz tu zdrajców między nami.

— Wszyscyście zdrajcy — huknął pan Andrzej — i nie chcę z wami pić parobcy szwedzcy!

To rzekłszy, wyszedł z izby, drzwiami trzasnąwszy, a oni pozostali we wstydzie i w zdumieniu, żaden nie chwycił za szablę, żaden nie ruszył za Kmicicem, aby się pomścić za obelgę.

On zaś ruszył wprost do Przasznysza. Na kilkanaście stajań przed miastem ogarnął go patrol szwedzki i wiódł do komendy. Rajtarów było w owym patrolu tylko sześciu i podoficer siódmy, więc Soroka i trzej Kiemlicze poczęli poglądać na nich łakomie, jak

wilcy na owce, a potem pytali oczyma Kmicica, czy się nie każe koło nich zawinąć.

Pan Andrzej niemałej także doznawał pokusy, zwłaszcza, że blisko płynęła Węgierka z brzegami obrosłemi sitowiem, ale się pohamował i pozwolił spokojnie prowadzić do komendy.

Tam opowiedział się komendantowi, kto jest, że z kraju elektorskiego pochodzi i corocznie do Soboty z końmi jeździ. Kiemlicze mieli też świadectwa, w które się w Łęgu, jako w dobrze sobie znajomem mieście zaopatrzyli, więc komendant, który sam był pruski Niemiec, nie czynił im trudności, wypytywał tylko troskliwie, jakie konie prowadzą i żądał je widzieć.

A gdy je czeladź Kmicicowa zgodnie z jego żądaniem przypędziła, obejrzał je starannie i rzekł:

— To ja kupię. Innemu zabrałbym i tak, ale żeś z Prus, to cię i nie pokrzywdzę.

Kmicic stropił się nieco, gdyby przyszło do sprzedaży, tem samem upadłby pozór jechania dalej i wypadałoby mu zawrócić do Prus. Podał więc cenę tak wysoką, że niemal dwa razy większą od rzeczywistej wartości koni. Nadspodziewanie oficer ani się oburzył ani targował.

— Dobrze — rzekł. — Wegnać konie do szopy, a wam zapłatę wraz wyniosę.

Kiemlicze uradowali się w sercach, lecz pan Andrzej wpadł w gniew i począł kląć. Nie było jednak innej rady, jak zagnać konie. Inaczej padłoby zaraz podejrzenie na sprzedających, że pozornie tylko handlują.

Tymczasem oficer wyszedł napowrót i podał Kmicicowi kawałek zapisanego papieru.

— Co to? — rzekł pan Andrzej.

— Pieniądze, albo to samo, co pieniądze, bo kwit.

— A gdzie mnie zapłacą?

— W głównej kwaterze.

— A gdzie główna kwatera.

— W Warszawie, — odrzekł oficer, uśmiechając się złośliwie.

— My za gotówkę tylko handlujem... Jakżeto? co to?... — począł jęczeć stary Kiemlicz. — Furto niebieska...

Lecz Kmicic zwrócił się ku niemu i patrząc nań groźnie rzekł:

— U mnie słowo pana komendanta tyle, co gotowizna, a do

Warszawy chętnie pojedziem, bo tam u Ormian towarów zacnych dostać można, za które w Prusach dobrze zapłacą.

Następnie, gdy oficer odszedł, rzekł pan Andrzej na pociechę Kiemliczowi:

— Cicho, szelmo. Te kwity to najlepsze glejty, bo choćby i do Krakowa zajedziem z niemi, skarżąc się, że nam płacić nie chcą. Łatwiej z kamienia ser wycisnąć, niż pieniądze ze Szwedów... Ale to mi właśnie na rękę. Pludrak myśli, że nas wywiódł w pole, tymczasem nie wie, jakową nam przysługę oddał... Tobie zaś ja z własnej szkatuły za konie zapłacę, ażebyś uszczerbku nie poniósł.

Stary odetchnął i już tylko ze zwyczaju nie przestawał narzekać przez jakiś czas.

— Obdarli, zniszczyli, do nędzy przywiedli.

Ale pan Andrzej rad był, widząc drogę przed sobą otwartą, bo to z góry przewidywał, że i w Warszawie mu nie zapłacą, a prawdopodobnie i nigdzie — będzie więc mógł jechać coraz dalej, niby swojej poszukując krzywdy, chociażby do króla szwedzkiego, który pod Krakowem się znajdował, zajęty oblężeniem dawnej stolicy.

Tymczasem postanowił pan Andrzej zostać na noc w Przasnyszu, koniom wypocząć i nie odmieniając swego przybranego nazwiska, porzucić jednak skórę chudopacholską. Zauważył bowiem, że ubogiego koniuchę lekceważą wszyscy i prędzej każdy napadnie, mniej się odpowiedzialności za pokrzywdzenie charłaka obawiając. Trudniej mu też było w tej skórze i do zamożniejszej szlachty mieć przystęp, a stąd trudniej wyrozumieć, co kto myślał.

Przybrał więc szaty stanowi swemu i urodzeniu odpowiednie i poszedł pod wiechy, aby się z bracią szlachtą nagadać. Lecz nie uradowało go to, co słyszał. Po zajazdach i szynkach szlachta piła zdrowie króla szwedzkiego i na szczęście protektora trącała się kielichami ze starszyzną szwedzką, śmiała się z drwin, jakich oficerowie pozwalali sobie z króla Jana Kazimierza i Czarnieckiego.

Tak strach o własną skórę i mienie upodlił ludzi, że wdzięczyli się do najeźdźców, skwapliwie podtrzymując ich dobry humor. Jednakże i upodlenie miało swoją granicę. Szlachta pozwalała drwić z siebie, z króla, z hetmanów, z pana Czarnieckiego, byle nie z religii i gdy pewien kapitan szwedzki oświadczył, że taka dobra

wiara luterska, jak i katolicka, siedzący obok młody pan Grabkowski, nie mogąc znieść bluźnierstwa, uderzył go w skroń obuszkiem, sam zaś korzystając z tumultu, wymknął się z szynkowni i zginął w tłumie.

Zaczęto go ścigać, lecz przyszły wieści, które zwróciły uwagę w inną stronę. Oto kuryerowie nadbiegli z doniesieniami, że Kraków się poddał, że pan Czarniecki w niewoli i ostatnia zapora szwedzkiego panowania zniesiona.

Szlachta oniemiała w pierwszej chwili, lecz Szwedzi poczęli weselić się i wiwatować. W kościele Świętego Ducha, w kościele Bernardynów i w niedawno wzniesionym przez panią Mostowską klasztorze Bernardynek kazano bić w dzwony. Piechota i rajtarya wystąpiły na rynek z browarów i postrzygalni w bojowym porządku i nuż dawać ognia z dział i muszkietów. Następnie wytoczono beczki z gorzałką, miodem i piwem, dla wojska i mieszczan, pozapalano beczki ze smołą i ucztowano do późnej nocy. Szwedzi powyciągali mieszczanki z domostw, by tańczyć z niemi, weselić się i swawolić. A wśród tłumów rozhukanego żołnierstwa włóczyły się gromady szlachty, która piła wraz z rajtarami i musiała udawać radość z upadku Krakowa i klęski pana Czarnieckiego.

Kmicica obrzydzenie porwało i wcześnie schronił się do swej kwatery na przedmieściu, ale spać nie mógł. Trawiła go gorączka i wątpliwości obsiadły mu duszę, czy nie zapóźno nawrócił z drogi, gdy już cały kraj był w ręku szwedzkich. Przychodziło mu do głowy, że już wszystko stracone i Rzeczpospolita nigdy nie wydźwignie się z upadku.

— To już nie wojna nieszczęśliwa, — myślał sobie — która się utratą prowincyi jakowej skończyć może, to zguba zupełna, to cała Rzeczpospolita prowincyą szwedzką się staje... Samiśmy się do tego przyczynili, a ja lepiej, niż kto inny.

Ta myśl paliła go, a sumienie gryzło. Sen od niego uciekał.. Sam nie wiedział, co ma czynić: jechać dalej, zostać w miejscu. czy wracać?... Choćby też kupę zebrał i Szwedów począł podchodzić, będą go ścigać jak rozbójnika, nie jak żołnierza. Zresztą jest już w obcej okolicy, w której go nikt nie zna. Kto do niego przystanie? Zlatywali się do niego nieustraszeni ludzie na Litwie, gdy jako przesławny Kmicic ich, zwoływał, ale tu, choćby kto słyszał o Kmicicu, to go miał za zdrajcę i szwedzkiego przyjaciela z pewnością zaś nikt nie słyszał o Babiniczu.

Na nic to, na nic i do króla jechać, bo zapóźno... Na nic i na Podlasie jechać, bo go konfederaci za zdrajcę mają, na nic się na Litwę wracać, bo tam Radziwiłł włada, na nic zostawać, bo tu roboty niema żadnej. Najlepiejby ducha wyzionąć, by na ten świat nie patrzeć i przed zgryzotami uciec!

Lecz na tamtym świecie zali będzie lepiej tym, którzy nagrzeszywszy, niczem win swych nie zgładzili i z całym ich ciężarem przed sądem staną? Kmicic rzuca się na swem łożu, jak gdyby na łożu tortur leżał. Podobnie nieznośnych mąk nie przechodził nawet w chacie leśnej Kiemliczów.

Czuł się silnym, zdrowym, przedsiębiorczym, dusza rwała się w nim do tego, by coś poczynać, by działać, a tu wszystkie drogi zamknięte, choć tłuc głową o ścianę, niemasz wyjścia, niemasz ratunku i niemasz nadziei!

Przemęczywszy się przez noc na łożu, zerwał się do dnia, zbudził ludzi i ruszył z nimi przed siebie. Jechał ku Warszawie, ale sam nie wiedział poco i dlaczego? Byłby na Sicz uciekł z desperacyi, gdyby nie to, że czasy się zmieniły i że Chmielnicki, razem z Buturlinem przycisnęli właśnie hetmana w. koronnego pod Gródkiem, roznosząc przytem ogień i miecz na południowo-wschodnich krainach Rzeczypospolitej i zapuszczając aż pod Lublin drapieżne swe zagony.

Po drodze do Pułtuska spotykał wszędy pan Andrzej oddziały szwedzkie, eskortujące wozy z żywnością, zbożem, chlebami, piwem i stada wszelkiego rodzaju bydła. Przy stadach i wozach szły gromady chłopów, albo drobnej szlachty, płacząc i jęcząc, by ich z podwodami po kilkanaście mil ciągano. Szczęśliwy, komu z wozem do domu wrócić dozwolono, co nie zawsze się zdarzało, albowiem po dostawieniu spiży, pędzili Szwedzi chłopstwo i brać zagonową do robót, do poprawiania zamków, budowania szop, magazynów.

Widział też pan Kmicic, że w pobliżu Pułtuska srożej obchodzili się Szwedzi z ludźmi, niż w Przasnyszu i nie mogąc powodów zrozumieć, wypytywał o nie napotykaną po drodze szlachtę.

— Im dalej ku Warszawie waść pojedziesz, — odpowiedział jeden z jadących, tem ich sroższymi obaczysz ciemiężycielami. Gdzie świeżo przyjdą i jeszcze się nie ubezpieczą, tam są łaskawsi, rozkazy królewskie przeciw ciemiężycielom sami promul-

gują i kapitulacye ogłaszają; ale gdzie się już czują pewni i gdzie w pobliżu zamki jakowe obsadzili, tam wnet wszystkie przyrzeczenia łamią, względów żadnych nie zachowują, krzywdzą, obdzierają, rabują, na kościoły, duchownych i na święte panienki nawet ręce podnoszą. Nic to tu jeszcze, ale co się w szczerej Wielkopolsce dzieje, na to słów w ludzkiej gębie brakuje...

Tu począł opowiadać szlachcic, co działo się w Wielkopolsce, jakich zdzierstw, gwałtów i zabójstw dopuszczał się srogi nieprzyjaciel, jak palce do kurków wkręcano, mękami morzono, ażeby się o pieniądzach wywiedzieć, jak księdza prowincyała Braneckiego w samym Poznaniu zabito, a nad ludem prostym znęcano się tak okropnie, że włosy w czupryne dębem na samą myśl stawały.

— Przyjdzie do tego wszędzie — mówił szlachcic. — Kara Boska... Sąd ostateczny bliski... Coraz gorzej i gorzej, a znikąd poratowania!...

— Dziwne mi to — rzekł Kmicic, — bo ja nie tutejszy i humorów ludzkich w tych stronach nie znam, że tak waszmościowie znosicie cierpliwie owe uciski, szlachtą i ludźmi rycerskimi będąc?

— Z czemże się porwiemy? — odpowiedział szlachcic —z czem?.. W ich ręku zamki, fortece, armaty, prochy, muszkiety, a nam ptaszniczki nawet poodejmowano. Była jeszcze nadzieja w panu Czarnieckim, ale gdy on w więzach, a król jegomość na Śląsku, kto o oporze pomyśli?... Ręce są, jeno nic w rękach i głowy niema..

— I nadziei niema! — rzekł głucho Kmicic.

Tu przerwali rozmowę, bo nadjechali na oddział szwedzki, wiozący wozy, drobną szlachtę i "rekwizycye."Dziwny to był widok. Wąsaci i brodaci rajtarowie siedzieli na spasłych, jak byki koniach; każdy wsparty w bok prawą ręką, z kapeluszem na bakier, z dziesiątkami gęsi i kur natroczonych przy kulbace, jechał wśród tumanu pierza. Patrząc na ich wojownicze i dumne twarze, łatwo było poznać, jak im było pańsko, wesoło i bezpiecznie. A bracia drobna szła piechotą przy wozach, niejeden boso, z głowami pospuszczanemi na piersi, zahukana,trwożliwa, częstokroć biczami do pośpiechu naglona.

Kmicicowi, gdy to ujrzał, wargi poczęły się trząść, jak w febrze, i jął powtarzać do owego szlachcica, z którym jechał:

— Oj! ręce swędzą, ręce swędzą, ręce swędzą!

— Cicho waść, na miłosierdzie Boże! — odrzekł szlachcic, — zgubisz siebie, mnie i dziatki moje!

Nieraz jednak miał pan Andrzej przed sobą jeszcze dziwniejsze widoki. Oto czasem, między oddziałami rajtarskiemi, spostrzegał idące z niemi mniejsze lub większe gromadki szlachty polskiej, ze zbrojną czeladzią, wesołe, śpiewające, pijane, a ze Szwedami i z Niemcami za pan brat.

— Jakżeto? — pytał Kmicic — jedną szlachtę prześladują i gnębią, z drugą w komitywę wchodzą? Muszą to być chyba zagorzali sprzedawczykowie owi obywatele, których między żołnierstwem widzę?

— Nietylko to sprzedawczykowie zagorzali, ale gorzej, heretycy — odpowiedział szlachcic. — Cięższi oni od Szwedów nam katolikom, onito najwięcej rabują, dwory palą, panny porywają, prywatnych uraz dochodzą. Cały kraj od nich w trwodze, bo całkiem bezkarnie im wszystko uchodzi i łatwiej u komendantów szwedzkich na Szweda znajdziesz sprawiedliwość, niż na swojego heretyka. Każdy komendant, byleś słowo pisnął, zaraz ci odpowie: "Nie mam ja go prawa ścigać, bo nie mój człowiek — idźcie do waszych trybunałów." A jakie tam teraz trybunały i jaka egzekucya, gdy wszystko w szwedzkich rękach? Gdzie Szwed nie trafi, tam heretycy go doprowadzą, a na kościoły i duchownych głównie oni ich excitant (podżegają). Tak się mszczą na ojczyźnie matce za to, iż gdy w innych chrześciańskich krajach słusznie za swoje praktyki i bezeceństwa byli prześladowani, ona im przytułek zapewniła i wolność ich bluźnierczej wiary...

Tu szlachcic urwał i spojrzał niespokojnie na Kmicica.

— Ale waszmość powiadasz się być z Prus książęcych, toś sam może luter?

— Niech mnie Bóg od tego uchroni — odrzekł pan Andrzej. — Z Prus jestem, ale z rodu od wieków katolickiego, bo my do Prus z Litwy przyszli.

— To chwała Najwyższemu, bom się zląkł. Mój mospanie, quod attinet Litwy (mówiąc o Litwie) i tam dyssydentów nie brak i naczelnika swego potężnego w Radziwille mają, który tak wielkim zdrajcą się okazał, że chyba z jednym Radziejowskim w paragon wejść może.

— Bogdaj mu dyabli duszę z gardła wyciągnęli, nim Nowy Rok nadejdzie! — krzyknął z zawziętością Kmicic.

— Amen! — odrzekł szlachcic — jeszcze i jego sługom, jego

pomocnikom, jego katom, o których aż tu nas wieści zabiegły, a bez których nie byłby on się ważył na zgubę tej ojczyzny.

Kmicic pobladł i nie odrzekł ani słowa. Nie wypytywał też, nie śmiał pytać, o jakichto pomocnikach, sługach i katach ów szlachcic prawi.

Jadąc wolno, dojechali późnym wieczorem do Pułtuska; tam wezwano Kmicica do biskupiego pałacu, alias zamku, żeby się komendantowi opowiedział.

— Dostawiam konie wojskom jego szwedzkiej miłości — rzekł pan Andrzej, — i mam kwity, z któremi do Warszawy po pieniądze jadę.

Pułkownik Izrael (tak nazywał się ów komendant) uśmiechnął się pod wąsem i rzekł:

— O, śpiesz się waść, śpiesz się, a weź z powrotem wóz, abyś miał na czem owe pieniądze dowozić.

— Dziękuję za radę — odrzekł pan Andrzej — i tak rozumiem że wasza miłość drwi sobie ze mnie... Ale ja po swoje pojadę, choćby i do samego króla jegomości jechać przyszło!

— Jedź, swego nie daruj! — rzekł Szwed — wcale grzeczna kwota ci się należy.

— Przyjdzie taki czas, że mi zapłacicie! — rzekł wychodząc Kmicic.

W samem mieście trafił znów na uroczystości, bo uciecha z powodu wzięcia Krakowa trzy dni trwać miała. Dowiedział się jednak, że w Przasnyszu przesadzono może umyślnie tryumf szwedzki; pan kasztelan kijowski nie dostał się wcale do niewoli ale uzyskał prawo wyjścia z wojskiem, bronią i zapalonymi lontami przy działach z miasta. Mówiono, że miał się udać na Śląsk. Niewielkato była pociecha, ale zawsze pociecha.

W Pułtusku stały znaczne siły, które stamtąd pod wodzą Izraela miały udać się nad granicę pruską, aby nastraszyć elektora; więc ani miasto, ani zamek lubo bardzo obszerny, ani przedmieścia nie mogły pomieścić żołnierzy. Tu po raz pierwszy ujrzał też Kmicic wojsko w kościele stojące. We wspaniałej gotyckiej kolegiacie, fundowanej przeszło dwieście lat temu przez biskupa Giżyckiego, stała najemna niemiecka piechota. Wnętrze świątyni płonęło światłem, jak w czasie rezurekcyi, bo na kamiennej posadzce płonęły porozpalane ognie. Kotły dymiły w ogniskach. Około beczek z piwem kupiło się obce żołnierstwo, złożone ze sta-

rych rabusiów, którzy całe Niemcy katolickie splądrowali i którym zapewne nie pierwszy raz przyszło nocować w kościele. Więc wewnątrz rozlegał się gwar i okrzyki. Zachrypłe głosy śpiewały obozowe pieśni; słychać było wrzaski i uciechy niewiast, które w owych czasach włóczyły się zwykle za wojskiem.

Kmicic stanął w otwartych drzwiach; przez dymy wśród czerwonych płomieni ujrzał czerwone, porozpalane trunkiem, wąsate twarze żołdaków, siedzących na beczkach i pijących piwo; innych rzucających kości lub grających w karty; innych sprzedających ornaty; innych obejmujących ladacznice, poprzybierane w jaskrawe suknie. Wrzask, śmiechy, brzęk kuflów i szczęk muszkietów, echa grzmiące w sklepieniach, głuszyły go. Głowa mu się zakręciła, oczy nie chciały wierzyć temu, na co patrzyły, dech zamarł mu w piersi; piekło nie mniejby go przeraziło.

Wreszcie porwał się za włosy i wybiegł, powtarzając w obłąkaniu:

— Boże ujmij się! Boże skarz! Boże ratuj!

---

## X.

W Warszawie oddawna gospodarowali już Szwedzi. Ponieważ Wittenberg, właściwy rządca miasta i przywódca załogi, znajdował się w tej chwili w Krakowie, więc rządy w jego zastępstwie sprawiał Radziejowski. Nie mniej nad dwa tysiące żołnierza stało we właściwym mieście, objętem wałami, i po jurydykach do wałów przylegających, zabudowanych wspaniałemi gmachami kościelnemi i świeckiemi. Zamek i miasto nie były zniszczone, bo pan Wessel, starosta makowski oddał je bez boju, sam zaś wraz z załogą umknął pośpiesznie, obawiając się zemsty osobistego swego nieprzyjaciela Radziejowskiego.

Lecz gdy pan Kmicic zaczął się rozglądać bliżej i dokładniej, ujrzał na wielu domach ślady drapieżnych rąk. Byłyto domy tych mieszkańców, którzy pouciekali z miasta, nie chcąc znosić obcego panowania lub którzy stawili opór w chwili, gdy Szwedzi wdzierali się na wały.

Z pałaców pańskich, po jurydykach się wznoszących, te tylko dawną świetność zachowały, których właściciele duszą i ciałem stali przy Szwedach. Stał więc w całej świetności pałac Kazanowskich,

bo Radziejowski go chronił, i jego własny i pana chorążego Koniecpolskiego i ów, który Władysław IVty wystawił, a który potem Kazimirowskim zwano; lecz książęce gmachy zrujnowano znacznie; denhofowy był nawpół zburzony, kanclerski, albo tak zwany Ossoliński przy Reformackiej ulicy, zrabowany doszczętu. Przez okna wyglądali najemnicy niemieccy, a owe kosztowne meble, które nieboszczyk kanclerz takim nakładem z Włoch sprowadzał, owe skóry florenckie, gobeliny holenderskie, misterne biurka, perłową macicą wykładane, obrazy, statuy bronzowe i marmurowe, zegary weneckie i gdańskie, szkła przednie — albo leżały jeszcze w bezładnych stosach na podwórcu, albo już spakowane czekały, by je, gdy się pora zdarzy, wysłano Wisłą ku Szwecyi. Pilnowały tych kosztowności straże, ale tymczasem niszczały na powietrzu i deszczu.

W wielu innych miejscach mogłeś to samo ujrzeć, a choć stolica poddała się bez boju, przecie stało już trzydzieści olbrzymich szkut na Wiśle, gotowych do wywiezienia łupu.

Miasto wyglądało jakby cudzoziemskie. Na ulicach słychać było więcej obcych mów, niż polskiej; wszędy spotykałeś żołnierzy szwedzkich, niemieckich, najemników francuskich, angielskich i szkockich, w najrozmaitszych strojach, w kapeluszach w czółnowych grzebieniastych hełmach, w kaftanach, pancerzach, półpancerzach, w pończochach lub szwedzkich butach z cholewami jak konwie. Wszędy obca pstrocizna, obce stroje, obce twarze, obce pieśni. Nawet konie miały inne kształty od tych, do których oko przywykło.

Nazlatywało się też mnóstwo Ormian o ciemnych twarzach i czarnych włosach, przykrytych kolorowemi jarmułkami; ci łup skupywać przybyli.

Ale najbardziej dziwiła niezmierna ilość Cyganów, którzy niewiadomo dlaczego przyciągali ze wszystkich stron kraju za Szwedami do stolicy. Szatry ich stały wedle pałacu Ujazdowskiego i po całej jurydyce kapitulnej, tworząc jakoby osobne płócienne miasto w murowanem.

Wśród tych tłumów różnojęzycznych, miejscowi mieszkańcy nikli prawie: dla własnego też bezpieczeństwa radzi siedzieli zamknięci w domostwach, mało się pokazując i śpiesznie chodząc po ulicach. Czasem tylko jaka kareta pańska, śpiesząca po Krakowskiem Przedmieściu ku Zamkowi, otoczona hajdukami, paju-

kami lub wojskiem, w strojach polskich, przypomniała, że to jest polskie miasto.

Tylko w niedziele i święta, gdy dzwony oznajmiały nabożeństwo, tłumy wychodziły z domów i stolica dawny przybierała pozór, chociaż i wówczas przed kościołami stawały płotem szeregi obcych żołdaków, aby przypatrywać się niewiastom, pociągać je za suknie, gdy przechodziły że spuszczonemi oczyma, śmiać się, a czasem śpiewać pieśni bezecne przed kościołami, właśnie wówczas, gdy w kościołach msze śpiewano.

Wszystko to przemknęło jak majak przez zdziwionemi oczyma pana Andrzeja, ale długo w Warszawie miejsca nie zagrzał, bo nie znając nikogo, nie miał przed kim duszy otworzyć. Nawet z ową szlachtą polską, która bawiła w mieście i zajmowała publiczne gospody, pobudowane od czasu króla Zygmunta III-go na ulicy Długiej, nie wszedł pan Kmicic w bliższą komitywę. Zaczepiał wprawdzie tego lub owego, by się nowin wywiedzieć, ale byli to zagorzali stronnicy szwedzcy, którzy w oczekiwaniu na powrót Karola Gustawa, wieszali się przy Radziejowskim i przy szwedzkich oficerach, w nadziei uzyskania starostw, skonfiskowanych majętności prywatnych i kościelnych i rozmaitych wyderkafów. Wart był każdy z nich, by mu w oczy plunąć, od czego pan Kmicic zresztą nie bardzo się wstrzymywał.

O mieszczanach tylko słyszał Kmicic, iż dawnych czasów, pogrążonej ojczyzny i dobrego króla żałują. Szwedzi prześladowali ich srodze, zabierali domy, wyciskali kontrybucyę, więzili.

Mówiono też, że cechy miały broń ukrytą, zwłaszcza płatnerze, rzeźnicy, kuśnierze i potężny cech szewiecki, że wyglądają ciągle powrotu Jana Kazimierza, nadziei nie tracą i przy lada pomocy z zewnątrz, gotowiby byli na Szwedów uderzyć.

Kmicic, słysząc to, uszom nie wierzył i w głowie nie chciało mu się mieścić, żeby ludzie nikczemnego stanu i nikczemnej kondycyi więcej mieli okazywać miłości dla ojczyzny i wiary dla prawego pana, niż szlachta, która wraz z urodzeniem powinna te sentymenta na świat przynosić.

Ale właśnie szlachta i magnaci stawali przy Szwedach, a lud prosty najwięcej miał chęci do oporu, i nieraz bywały zdarzenia, że gdy Szwedzi zapędzali w celu wzmocnienia Warszawy prostactwo do robót, prostacy woleli znosić chłostę i więzienie, śmierć nawet samą, aniżeli się do utwierdzenia szwedzkiej potęgi przyczyniać.

Za Warszawą wrzało w kraju, jak w ulu. Wszystkie drogi, miasta i miasteczka zajęte były przez żołnierstwo, poczty pańskie i szlacheckie, panów i szlachtę, Szwedom służącą. Wszystko było zabrane, ogarnięte, podbite, wszystko było tak szwedzkie, jakby ten kraj zawsze był w ich ręku.

Pan Andrzej nie spotykał innych ludzi, tylko albo Szwedów, albo stronników szwedzkich, albo ludzi zdesperowanych, obojętnych, którzy do głębi duszy byli przekonani, że już wszystko przepadło. Nikt o oporze nie myślał, spełniano cicho i z pośpiechem takie rozkazy, o których połowę, albo i dziesiątą część, pełnoby w dawniejszych czasach było opozycyi i protestacyi. Postrach doszedł do tego stopnia, że ci nawet, których krzywdzono, wysławiali głośno łaskawego protektora Rzeczypospolitej.

Dawniej nieraz bywało, że swoich własnych, cywilnych i wojskowych deputatów do egzakcyi przyjmował szlachcic z rusznicą i na czele zbrojnej czeladzi — dziś rozpisywano podatki, jakie się Szwedom rozpisać podobało, a szlachta oddawała je tak pokornie, jak owce oddają wełnę postrzygaczom. Zdarzało się nieraz, że jeden i ten sam podatek wybierano dwa razy. Próżno było zasłaniać się kwitami — dobrze jeszcze, jeżeli egzekwujący oficer nie umoczył w winie dawnego kwitu i nie kazał go zjeść okazicielowi. Nic i to! "Vivat protector!" — wykrzykiwał szlachcic, a gdy oficer odjechał, kazał coprędzej parobkowi leźć na dach patrzyć, czy drugi nie nadjeżdża. I gdybyż tylko kończyło się wszystko na kontrybucyach szwedzkich, ale gorsi od nieprzyjaciela byli tak tu, jak i wszędzie, przedawczykowie. Dochodzono dawnych prywat, dawnych uraz, przesypywano kopce, zajmowano łąki i lasy, a przyjacielowi szwedzkiemu wszystko uchodziło płazem. Najgorsi zaś byli dyssydenci. Nie dość na tem. Z ludzi nieszczęśliwych, desperatów, swawolników i kosterów potworzyły się kupy zbrojne. Te napadały chłopów i szlachtę. Pomagali im maruderowie szwedzcy, niemieccy i wszelkiego rodzaju hultajstwo. Kraj zapłonął pożarami; nad miastami ciążyła zbrojna pięść żołnierska, w lasach zbój napadał. O poprawie Rzeczypospolitej, o ratunku, o zrzuceniu jarzma nikt nie myślał... Nadziei nikt nie miał...

Zdarzyło się, że pod Sochaczewem hultajstwo szwedzkie i niemieckie obległo pana Łuszczewskiego, starostę sochaczewskiego, skoczywszy go w prywatnej jego majętności, w Strugach.

Ów, wojennego humoru będąc, choć stary, bronił się mocno. Nadjechał właśnie na to pan Kmicic, a że mu już cierpliwość jako wrzód nabrała, gotowy pęknąć z lada powodu, więc pękła właśnie pod Strugami. Pozwolił tedy prać" Kiemliczom i sam uderzył na szturmujących tak potężnie, że rozbił ich, wysiekł, nikogo nie żywił, jeńców nawet potopić kazał. Pan starosta, któremu pomoc jako z nieba spadła, przyjął wybawiciela dziękczynnie i zaraz częstował, a pan Andrzej, widząc przed sobą personata i statystę, a przytem, człowieka starej daty, wyznał mu swą nienawiść do Szwedów i jął wypytywać, co też o przyszłych losach Rzeczypospolitej myśli, w tej nadziei, że mu pan starosta wleje jakowyś balsam do duszy.

Lecz pan starosta całkiem odmienne miał na to, co się stał, zapatrywanie i rzekł:

— Mój mości panie. Nie wiem, cobym był waćpanu powiedział, gdybyś mnie był spytał wówczas, kiedy miałem jeszcze rude wąsy i umysł cielesnemi humorami zaćmiony, ale dziś mam wąsy siwe i eksperyencyę siedemdziesięciu lat na karku; widzę rzeczy przyszłe, bom grobu bliski, przeto ci powiem, że potęgi szwedzkiej nietylko my, choćbyśmy się poprawili z błędów naszych, ale cała Europa nie złamie...

— Jakżeto być może? Skądże się to wzięło?! — zakrzyknął Kmicic. — Kiedyżto Szwecya taką potęgą była? Zali polskiego narodu nie więcej na świecie, zali nie możem mieć wojska więcej? Zali to wojsko w męstwie Szwedom kiedykolwiek ustępowało?

— Naszego narodu jest dziesięć razy tyle; dostatków Bóg nam tak przymnożył, że w mojem starostwie sochaczewskiem więcej się pszenicy rodzi, niż w całej Szwecyi, a co do męstwa, to ja byłem pod Kircholmem, gdzieśmy w trzy tysiące husaryi ośmnaście tysięcy najlepszego szwedzkiego wojska w proch roznieśli.

— Ba, jeśli tak, — rzekł Kmicic, któremu aż oczy zaświeciły na kircholmskie wspomnienie — jakież są tedy ziemskie przyczyny, dla którychbyśmy ich i teraz nie mogli pokonać?

— Najpierw to, — mówił starzec powolnym głosem — żeśmy zmaleli, a oni urośli, że nas przez nas samych własnemi rękoma naszemi zwojowali, jak poprzednio zwojowali Niemców przez Niemców. Taka wola Boża i niemasz potęgi, powtarzam, któraby się im dziś oprzeć mogła

— A jeśli szlachta do upamiętania przyjdzie i wedle pana swego się skupi, jeżeli wszyscy za broń chwycą, co wasza mość radzisz wtedy uczynić i co sam uczynisz?

— Tedy pójdę z innymi, polegnę, i każdemu radzę poledz, bo potem przyjdą takie czasy, na które lepiej nie patrzeć...

— Nie mogą przyjść gorsze, jako żywo, nie mogą!... To niepodobieństwo!... — zawołał Kmicic.

— Widzisz waszmość, — rzekł pan starosta — przed końcem świata i przed sądem ostatecznym przyjdzie antychryst i powiedziano jest, że źli wezmą wtedy górę nad sprawiedliwymi, szatani będą po świecie chodzić, wiarę przeciwną prawdziwej opowiadać i do niej ludzi nawracać. Z dopuszczenia Bożego złe wszędzie zwycięży, aż do onego momentu, w których trębacze anielscy otrąbią koniec świata...

Tu pan starosta przechylił się na tył fotelu, na którym siedział, przymknął oczy i mówił dalej cichym, tajemniczym głosem:

— Powiedziano jest, że znaki będą... Znaki na słońcu w postaci ręki i miecza były... Boże, bądź miłościw nam grzesznym!... Źli biorą górę nad sprawiedliwymi, bo Szwedzi jego stronnicy zwyciężają... Wiara prawdziwa upada, bo oto luteranie się podnoszą... Ludzie, zali nie widzicie, że dies irae, dies illa (dzień gniewu, dzień sądu) się zbliża... Ja mam lat siedemdziesiąt, nad brzegiem Styksu stoję, przewoźnika i łodzi wyglądam... Ja widzę!...

Tu umilkł pan starosta, a Kmicic począł patrzeć na niego ze strachem, bo racye wydały mu się słuszne, wywody trafne, więc zląkł się sądu i zastanowił się mocno.

Lecz pan starosta na niego nie patrzył, jeno przed siebie i w końcu rzekł:

— I jakże tu Szwedów zwyciężyć, kiedy to dopuszczenie Boże, wola wyraźna, w proroctwach odgadnięta i przepowiedziana. O, do Częstochowy ludziom, do Częstochowy!...

I znowu pan starosta umilkł.

Słońce zachodziło właśnie i już tylko bokiem zaglądając do komnaty, łamało się w tęczę na gomółkach szklanych, w ołów oprawnych i czyniło smugi siedmiobarwne na podłodze. Reszta komnaty była w mroku. Kmicicowi coraz bardziej stawało się straszno i chwilami zdawało mu się, że niech tylko światło ono zginie, a wraz trębacze anielscy ozwą się na : ął.

— O jakich proroctwach wasza mość mówisz? — spytał wreszcie starostę, bo milczenie jeszcze wydało mu się straszniejsze.

Starosta zamiast odpowiedzieć, zwrócił się ku drzwiom przyległej komnaty i zawołał:

— Oleńka! Oleńka!

— Na Boga! — krzyknął pan Kmicic — kogo waść wołasz?...

W tej chwili wierzył we wszystko, wierzył, że jego Oleńka, cudem z Kiejdan przeniesiona, ukaże się jego oczom.

I zapomniał o wszystkiem, wzrok utkwił we drzwiach i czekał bez tchu w piersi.

— Oleńka! Oleńka! — powtórzył starosta.

Drzwi się otworzyły; weszła nie Billewiczówna, ale panna piękna, szczupła, wysoka, trochę do Oleńki podobna z powagi w twarzy i spokoju, rozlanego w obliczu. Była blada, może chora, a może niedawnym napadem przerażona i szła z oczyma spuszczonemi, tak jakoś lekko i cicho, jak gdyby ją jaki powiew posuwał.

— To córka moja — rzekł starosta. — Synów w domu niemasz. Są przy panu krakowskim, a z nim razem przy naszym elekcie nieszczęsnym.

Poczem zwrócił się do córki:

— Waćpanna podziękuj najprzód temu mężnemu kawalerowi za ratunek, a powtóre przeczytaj nam proroctwo świętej Brygidy.

Dziewczyna skłoniła się przed panem Andrzejem i wyszła, a po chwili wróciła z drukowanemi świstkami w ręku i stanąwszy w owem świetle tęczowem, poczęła czytać dźwięcznym i słodkim głosem:

— Proroctwo świętej Brygidy: "Pokażę ci wprzód pięciu królów i państwa ich: Gustaw syn Eryka, osieł leniwy, ponieważ zaniedbawszy prawe nabożeństwo, poszedł na fałszywe. Porzuciwszy apostolską wiarę, wprowadził do królestwa augsburskie wyznanie, kładąc skazę za sławę sobie. Patrz Eklezyastę, gdzie o Salomonie powiada, że skaził sławę swoją przez bałwochwalstwo..."

— Słyszysz waść — spytał starosta, pokazując Kmicicowi wielki palec lewej ręki, inne zaś trzymając gotowe do porachunku.

— Słyszę.

— "Eryk, syn Gustawa, wilk, dla nienasyconej chciwości — czytała panna — czem wszystkich ludzi i braterską Janową ściągnął na się nienawiść. Najprzód Jana (podejrzewając go o prak-

tykę z Duńczykiem i Polską) wojną utrapił, a ująwszy go wraz z żoną, przez cztery lata w podziemiu trzymał. Jan wreszcie z więzienia wydobyty i przez odmienność fortuny wspomożon, zwojowawszy Eryka, wyzuł go z korony i do wiekuistej strącił ciemnicy. Otóż nieprzewidziany wypadek!"

— Uważaj — rzekł starosta. — To już drugi.

Panna czytała dalej:

— "Jan, brat Eryka, orzeł wyniosły, trzykrotny zwycięzca nad Erykiem, Duńczykiem i septentrionem. Syn jego Zygmunt na tron polski obrany, w którego krwi zacność mieszka. Chwała latoroslom jego!"

— Pojmujesz? — pytał starosta.

— Niech Bóg przysporzy lat Janowi Kazimierzowi! — odrzekł Kmicic.

— "Karol, książę Sudermanii, baran, gdyż jako barany prowadzą trzodę, tak on Szwedów przywiódł ku nieprawości. Tenże miotał się przeciw sprawiedliwości.

— To już czwarty — przerwał starosta.

— "Piąty Gustaw Adolf — czytała panna — baranek zabity, lecz nie bez skazy, którego krew była przyczyną utrapienia i niezgody."

— Tak! to Gustaw Adolf — rzekł starosta. — O Krystynie niemasz wzmianki, bo tylko sami mężowie są wyliczeni. Czytaj waćpanna zakończenie, które do dzisiejszych czasów akurat się odnosi.

Panna czytała co następuje:

— "Szóstego ci pokażę, któren ląd i morze zakłóci i prostych zasmuci... którzy czas kary mojej w ręku swoich położy. Jeśli chyżo swego nie doścignie, zbliży się nań sąd mój i pozostawi państwo w utrapieniu i stanie się jako napisano: rokosz sieją, a utrapienie odmierzą. Nietylko nawiedzę to królestwo, ale miasta bogate i możne, albowiem przywołano głodnego, który dostatki ich pożre. Nie zabraknie zła wewnętrznego i obfitować będą niezgody. Panować będą głupi, a mędrcy i starce nie podejmą głowy. Cześć i prawda upadną, aż przyjdzie, który gniew mój przebłaga i który duszy swej nie oszczędzi dla miłości prawdy!"

— Masz waść! — rzekł starosta.

— Wszystko tak się sprawdza, że ślepy chybaby wątpił — odrzekł Kmicic.

— Przeto i Szwedzi nie mogą być zwyciężeni —odrzekł starosta.

— Aż przyjdzie ten, który duszy nie oszczędzi dla miłości prawdy! — zakrzyknął Kmicic. — Nadzieję proroctwo zostawuje. Więc nie sąd, jeno zbawienie nas czeka!

— Sodoma miała być oszczędzona, gdyby w niej dziesięciu sprawiedliwych się znalazło. Tak samo nie znalazł się ów, który duszy nie oszczędzi dla miłości prawdy i godzina sądu wybije.

— Panie starosto, panie starosto, nie może być! — odrzekł Kmicic.

Nim pan starosta odpowiedział, drzwi się otwarły i do izby wszedł niemłody już człowiek, w pancerzu i z muszkietem w ręku.

— Pan Szczebrzycki? — pytał starosta.

— Tak jest — odpowiedział nowo przybyły, — słyszałem, iż hultajstwo jw. pana obległo i na ratunek z czeladzią pośpieszam.

— Bez woli bożej włos człowiekowi z głowy nie spadnie — odrzekł starzec. — Już mnie ten kawaler z opresyi uwolnił... A waść skąd jedziesz?

— Z Sochaczewa.

— Słyszałeś co nowego?

— Co nowina, to gorsza, jw. starosto. Nowe nieszczęście...

— Co się stało?

— Województwa: Krakowskie, Sandomierskie, Ruskie, Lubelskie, Bełzkie, Wołyńskie i Kijowskie poddały się Karolowi Gustawowi. Akt już podpisany i przez posłów i przez Karola.

Starosta począł kiwać głową, wreszcie zwrócił się do Kmicica:

— Patrz — rzekł — i ty jeszcze myślisz, że znajdzie się ów, który duszy swej nie oszczędzi dla miłości prawdy?

Kmicic szarpać począł włosy w czuprynie.

— Desperacya! Desperacya! — powtarzał w uniesieniu.

A pan Szczebrzycki mówił dalej:

— Prawią też, że te resztki wojska, które przy panu hetmanie Potockim się znajdują, już wypowiadają posłuszeństwo i do Szweda chcą iść. Hetman podobno zdrowia i życia między nimi nie pewien, musi uczynić, co zechcą.

— Rokosz sieją, a utrapienie i boleść odmierzą — rzekł starosta. — Kto chce pokutować za grzechy, temu czas!

Lecz Kmicic nie mógł już słuchać dłużej ani proroctw, ani nowin; chciał najprędzej siąść na koń i na wietrze głowę ochłodzić. Zerwał się więc i począł żegnać starostę.

— A dokądto tak śpieszno? — zapytał go starzec.

— Do Częstochowy, bom też grzesznik!

— Tedy nie zatrzymuję, chociaż radbym ugościć, ale to sprawa pilniejsza, bo dzień sądu niedaleko.

Kmicic wyszedł, a za nim wyszła panna, chcąc w zastępstwie ojca honory odjeżdżającemu uczynić, bo starosta na nogi już szwankował.

— Ostawaj w dobrem zdrowiu, panienko — rzekł Kmicic, — nie wiesz, jakem ci życzliwy!

— Jeśliś mi waćpan życzliwy — odrzekła na to panna, — oto uczyńże mi jedną przysługę. Waćpan jedziesz do Częstochowy... oto czerwony złoty... weź go, proszę, i daj na mszę w kaplicy...

— Na czyją intencyę? — spytał Kmicic.

Prorokini spuściła oczy, smutek oblał jej twarz, a jednocześnie słabe rumieńce wybiły na policzki i odrzekła cichym, do szmeru liści podobnym głosem:

— Na intencyę Andrzeja, aby go Bóg z grzesznej drogi nawrócił..

Kmicic cofnął się dwa kroki, oczy wytrzeszczył i ze zdumienia przez chwilę nic przemówić nie mógł.

— Na rany Chrystusa! — rzekł wreszcie — co to za dom? Gdzie ja jestem?... Same proroctwa, wróżby i wskazówki... Waćpanna zwiesz się Oleńka i na intencyę grzesznego Andrzeja na mszę dajesz? To nie może być prosty trafunek, to palec boży... to... to... jać oszaleję!... Na Boga, oszaleję!...

— Co waćpanu jest!

Lecz on chwycił ją gwałtownie za ręce i począł niemi potrząsać.

— Prorokujże mi dalej, mów do końca!... Jeżeli ów Andrzej się nawróci i winy zmaże, zali Oleńka jemu wiary dochowa?... Mów, odpowiadaj, bo nie odjadę bez tego!...

— Co waćpanu jest!

— Zali Oleńka mu wiary dochowa? — powtarzał Kmicic.

Pannie nagle łzy puściły się z oczu.

— Do ostatniego tchnienia, do godziny śmierci! — odrzekła ze łkaniem.

Jeszcze nie odpowiedziała, a już pan Kmicic grzmotnął się, jak długi jej do nóg. Chciała uciekać, nie puścił i całując jej stopy, powtarzał:

— Jam także grzeszny Andrzej, który nawrócić się pragnie!...

Ja mam także swoją Oleńkę umiłowaną. Niechże twój się nawróci, a moja mi wiary dochowa... Niech słowa twoje proroctwem będą... Balsam i nadzieję wlałaś mi do duszy strapionej... Bóg ci zapłać, Bóg zapłać!

Poczem zerwał się, siadł na koń i odjechał.

---

## XXV.

Słowa panny starościanki sochaczewskiej wielką napełniły pana Kmicica otuchą i przez trzy dni nie wychodziły mu z głowy. W dzień na koniu, w nocy na łożu, rozmyślał o tem,co się przytrafiło i zawsze dochodził do wniosku, że nie mógł to być prosty przypadek, ale prędzej wskazówka Boża i przepowiednia, że jeśli wytrwa, jeśli z dobrej drogi nie zejdzie, z tej właśnie, którą mu Oleńka ukazała, to dziewczyna mu wiary dochowa i dawnym afektem obdarzy.

— Bo jeśli starościanka — rozmyślał pan Kmicic — dochowuje obserwacyi swojemu Andrzejowi, który dotąd poprawy nie zaczął, to i dla mnie mającego szczerą intencyą służenia ojczyźnie, cnocie i królowi, nie zagasła jeszcze nadzieja!

Lecz z drugiej strony nie brakło panu Andrzejowi i umartwień. Intencyę szczerą miał, ale czy nie zapóźno się z nią wybrał? Czy jeszcze była jakakolwiek droga, jakakolwiek sposobność? Rzeczpospolita z każdym dniem zdawała się być więcej pogrążoną i trudno było zamykać oczy na straszliwą prawdę, że niemasz dla niej ratunku: niczego sobie więcej nie życzył Kmicic, jak poczynać jakowąś robotę, lecz ludzi chętnych nie widział. Coraz nowe postacie, coraz nowe twarze przewijały się przed nim w czasie podróży, ale ich widok, słuchanie ich rozmów i dyskusyi odbierało tylko resztę nadziei.

Jedni duszą i ciałem przeszli do szwedzkiego obozu, szukając w nim własnej prywaty; ci pili, hulali i weselili się, jak na stypie, topiąc w kielichach i rozpuście wstyd i szlachecki honor.

Drudzy rozprawiali w niepojętem zaślepieniu o potędze, jaką utworzy Rzeczpospolita w połączeniu ze Szwecyą, pod berłem pierwszego w świecie wojownika, i tacy byli najniebezpieczniejsi, bo przekonani szczerze, że orbis terrarum (świat ziemski) musi przed takim aliansem uchylić głowy.

Trzeci, jak pan starosta sochaczewski, ludzie zacni i ojczyźnie życzliwi, badali znaki na ziemi i niebie, powtarzali proroctwa i dopatrując woli Bożej we wszystkiem, co się działo, i nieugiętego przeznaczenia, dochodzili do wniosku, że niemasz nadziei, że niemasz ratunku, że koniec świata się zbliża — więc byłoby szaleństwem o ziemskiem wybawieniu, nie o niebieskiem zbawieniu myśleć.

Inni nakoniec kryli się po lasach lub z życiem uchodzili za granicę.

Tak więc spotykał pan Kmicic jeno wyuzdanych, zepsutych szalonych, albo trwożliwych, albo zdesperowanych; nie spotykał ufających.

A tymczasem fortuna szwedzka rosła. Wieść, że resztki wojska buntują się, zmawiają, grożą hetmanom i chcą przejść do Szwedów, nabierała z każdym dniem pewności. Pogłoska, że pan chorąży Koniecpolski ze swoją dywizyą poddał się Karolowi Gustawowi, jak grom rozgrzmiewała po wszystkich krańcach Rzeczypospolitej i wypędziła resztę wiary z serc, bo przecie pan Koniecpolski był to zbaraski rycerz. Za nim poszli pan starosta Jaworski i książę Dymitr Wiśniowiecki, którego nie powstrzymało nieśmiertelną sławą okryte nazwisko.

Poczęto już wątpić i o panu marszałku Lubomirskim. Ci, którzy go dobrze znali, twierdzili, że ambicya rozum w nim i miłość do ojczyzny przewyższa, że dotąd stał przy królu, bo mu pochlebiało, że oczy wszystkich były nań zwrócone, iż go jedni i drudzy ciągnęli, zapraszali, iż mu wmawiano, że losy ojczyzny trzyma w ręku. Lecz wobec szczęścia szwedzkiego począł się wahać, ociągać i coraz wyraźniej dawał gwoli własnej dumie, uczuć nieszczęsnemu Janowi Kazimierzowi iż może go zbawić, albo ostatecznie pogrążyć.

Król tułacz siedział w Głogowej, i z garści wiernych, którzy los jego dzielili,coraz ktoś go opuszczał i do Szwedów przechodził. Tak słabi łamią się w dniach niedoli, nawet tacy, którym pierwszy poryw serca uczciwą i ciernistą drogą iść każe. Karol Gustaw przyjmował ich z otwartemi rękoma, nagradzał, obietnicami obsypywał, resztę wiernych kusił i przeciągał, coraz szerzej panowanie roztaczał; sama fortuna usuwała mu z pod nóg wszelkie przeszkody, polskiemi siłami Polskę podbijał, bez boju zwyciężał.

Szeregi wojewodów, kasztelanów, urzędników koronnych i li-

tewskich, całe tłumy zbrojnej szlachty, całe chorągwie niezrównanej jazdy polskiej stały w jego obozie, patrząc w oczy nowego pana, gotowe na jego skinienie.

Resztki wojsk koronnych coraz natarczywiej wołały na swego hetmana: "Idź! skłoń siwą głowę przed majestatem Karola. Idź, bo chcemy do Szwedów należeć!"

— Do Szwedów! do Szwedów!

I na poparcie słów błyskało tysiące szabel.

Jednocześnie zaś wojna paliła się ciągle na wschodzie. Straszliwy Chmielnicki Lwów znowu oblegl, a zastępy jego sprzymierzeńców, przepływając wedle murów Zamościa, rozlegały się po całem województwie Lubelskiem, samego Lublina sięgając.

Litwa była w rękach szwedzkich i Chowańskiego. Radziwiłł rozpoczął wojnę na Podlasiu; elektor zwłóczył i lada chwila mógł ostatni cios konającej Rzeczypospolitej zadać, tymczasem w Prusach Królewskich się umacniał.

Poselstwa ze wszech stron dążyły do króla szwedzkiego, winszując mu szczęśliwego podboju.

Zbliżyła się zima, liście spadały z drzew, stada kruków, wron i kawek opuściły lasy, unosiły się nad wsiami i miastami Rzeczypospolitej.

Za Piotrkowem wjechał znów Kmicic w oddziały szwedzkie, które zajmowały wszystkie trakty i gościńce. Niektóre, po zdobyciu Krakowa, maszerowały ku Warszawie, mówiono bowiem, że Karol Gustaw odebrawszy hołd od południowych i wschodnich województw i podpisawszy "kapitulacyę," czekał tylko jeszcze na poddanie się owych resztek wojska, stojących pod panem Potockim i Lanckorońskim, poczem zaraz do Prus ruszy i dlatego wojska naprzód wysyłał. Panu Andrzejowi nie tamowano nigdzie drogi, bo wogóle szlachta nie wzbudzała podejrzeń i mnóstwo zbrojnych pocztów ciągnęło razem ze Szwedami; inni jechali do Krakowa to pokłonić się nowemu panu, to uzyskać od niego cokolwiek, nikogo więc nie pytano ani o glejty, ani o paszporty tembardziej że w pobliżu Karola, udającego łaskawość, nie śmiano nikogo turbować.

Ostatni nocleg przed przybyciem do Częstochowy wypadł panu Andrzejowi w Kruszynie, ale zaledwie się roztasował, przybyli tam goście. Najprzód nadciągnął oddział szwedzki około stu ludzi wynoszący, pod dowództwem kilku oficerów i poważnego jakiegoś

kapitana. Był to mąż w średnim wieku, postawy dość wspaniałej, rosły, silny, pleczysty, z bystremi oczyma, a jakkolwiek i strój nosił obcy i zgoła na cudzoziemca wyglądał, jednakże wszedłszy do karczmy przemówił do pana Andrzeja najczystszą polszczyzną, wypytując się go, kto jest i dokąd jedzie.

Pan Andrzej powiedział tym razem, iż jest szlachcicem z Sochaczewskiego, albowiem dziwnem mogłoby się to wydawać oficerowi, gdyby poddany elektorski zapuścił się aż w tak odległe strony. Natomiast dowiedziawszy się, iż pan Andrzej jedzie do króla szwedzkiego ze skargą, iż mu należnej sumy nie chcą wypłacić, oficer ów rzekł:

— Przy wielkim ołtarzu najlepiej się modlić i słusznie waćpan czynisz, że do samego króla jedziesz, bo choć u niego tysiące spraw na głowie, przecie nikomu ucha nie odmawia, a już na was szlachtę tak łaskaw że aż Szwedzi wam zazdroszczą.

— Aby tylko pieniądze były w skarbie...

— Karol Gustaw to nie wasz dawny Jan Kazimierz, który nawet u Żydów zapożyczać się musiał, bo co miał, to zaraz pierwszemu proszącemu oddał. Zresztą, byle się pewna impreza udała to pieniędzy w skarbcu nie zabraknie.

— O jakiej imprezie wasza mość mówisz?

— Zamało się znamy, panie kawalerze, abym ci się miał spuścić z sekretu. Wiedz jeno to, że za tydzień albo za dwa, skarbiec króla szwedzkiego tak będzie ciężki, jako sułtański.

— To chyba jaki alchemik pieniędzy mu narobi, bo ich w tym kraju skądinąd nie dostać.

— W tym kraju? Dość rękę śmiele wyciągnąć. A na śmiałości nam nie braknie. Dowód w tem, że tu panujem.

— Prawda! prawda! — rzekł Kmicic — bardzośmy z tego panowania radzi, zwłaszcza jeśli nas nauczycie, jakim sposobem pieniądze jak wióry zbierać...

— Te sposoby były w waszej mocy, ale wy wolelibyście z głodu poginąć, niż jeden grosz stamtąd wziąć.

Kmicic spojrzał bystro na oficera.

— Bo są takie miejsca, na które strach nawet i Tatarom rękę podnieść! — rzekł.

— Zanadtoś domyślny, panie kawalerze — odpowiedział oficer — to pamiętaj, że nie do Tatarów, jeno do Szwedów po pieniądze jedziesz.

Dalszą rozmowę przerwało przybycie nowego pocztu. Oficer widocznie go oczekiwał, bo wypadł pośpiesznie z karczmy. Kmicic zaś wyszedł za nim i stanął we drzwiach sieni, aby się przyjrzeć, kto przyjeżdża.

Najprzód zajechała zamknięta kolaska, zaprzężona w cztery konie, a otoczona oddziałem szwedzkich rajtarów i zatrzymała się przed karczmą. Ów oficer, który z Kmicicem rozmawiał, posunął ku niej się żywo i otworzywszy drzwiczki, złożył głęboki ukłon siedzącej wewnątrz osobie.

— Musi być ktoś znaczny... — pomyślał Kmicic.

Tymczasem z karczmy wyniesiono płonącą pochodnię. Z karety wysiadł poważny personat, czarno z cudzoziemska ubrany w płaszcz długi do kolan, podbity tołubem lisim i w kapeluszu z piórami.

Oficer chwycił pochodnię z rąk rajtara i, skłoniwszy się raz jeszcze, rzekł:

— Tędy ekscelencyo!

Kmicic cofnął się co prędzej do zajazdu, a oni weszli zaraz za nim. Ów oficer skłonił się po raz trzeci i rzekł:

— Ekscelencyo! Jestem Weyhard Wrzeszczowicz, ordinarius proviantmagister Jego Królewskiej mości Karola Gustawa, wysłany z eskortą na spotkanie waszej ekscelencyi.

— Miło mi poznać tak zacnego kawalera — rzekł czarno ubrany personat, oddając ukłon za ukłon.

— Czy ekscelencya chce zatrzymać się dłużej, czy dalej zaraz jechać... Jego Kr. mość pilno życzy sobie widzieć waszą ekscelencyę.

— Miałem zamiar zatrzymać się w Częstochowie dla nabożeństwa, — odrzekł nowoprzybyły, — ale w Wiedniu odebrałem wiadomość, że jego kr. mość rozkazuje mi śpieszyć, więc trochę wypocząwszy, ruszymy dalej, a tymczasem odpraw wasza mość dawną eskortę i podziękuj kapitanowi, który ją prowadził.

Oficer poszedł wydać odpowiednie rozkazy. A Pan Andrzej zatrzymał go po drodze.

— Kto to jest? — spytał.

— Baron Lisola, wysłannik cesarski, który z brandeburskiego dworu udaje się do naszego pana — odpowiedział oficer.

To rzekłszy wyszedł, a po chwili wrócił.

— Rozkazy waszej ekscelencyi spełnione — rzekł do barona.

— Dziękuję — odpowiedział Lisola.

I z wielką, chociaż bardzo pańską uprzejmością, wskazał Wrzeszczowiczowi miejsce naprzeciw siebie.

— Wicher coś poczyna na dworzu świstać — rzekł i deszcz zacina. Może wypadnie dłużej popaść! Tymczasem pogawędzimy przed wieczerzą. Co tu słychać? Słyszałem, że małopolskie województwa poddały się jego szwedzkiej miłości.

— Tak jest, ekscelencyo. Jego kr. mość czeka tylko jeszcze na poddanie się reszty wojsk, poczem zaraz do Warszawy i do Prus wyruszy.

— Zali to pewne, że oni się poddadzą?

— Deputaci wojskowi już są w Krakowie. Zresztą, nie mogą inaczej uczynić, bo nie mają wyboru... Jeśli do nas nie przejdą, Chmielnicki ich do nogi wytępi.

Lisola pochylił swą rozumną głowę na piersi.

— Straszne, niesłychane rzeczy! — rzekł.

Rozmowa była prowadzona w niemieckim języku. Kmicic nie tracił z niej ani jednego słowa.

— Ekscelencyo, — odpowiedział Wrzeszczowicz — co się stało, to się stać musiało.

— Może być; trudno jednak nie mieć kompasyi dla tej potęgi, która w oczach naszych upadła i kto nie jest Szwedem, boleć nad tem musi.

— Ja nie jestem Szwedem, ale gdy sami Polacy nie boleją, nie poczuwam się i ja do tego — odparł Wrzeszczowicz.

Lisola spojrzał na niego uważnie.

— Prawda, że nazwisko waszmości nie szwedzkie. Z jakiego narodu, proszę?

— Jestem Czech.

— Proszę! Zatem cesarza niemieckiego poddany!... Więc pod jednego pana jesteśmy.

— Jestem w służbie najjaśniejszego króla szwedzkiego — odrzekł z ukłonem Wrzeszczowicz.

— Nie chcę ja bynajmniej tej służbie ubliżyć, — odparł stary Lisola — ale takie służby bywają przemijające, będąc zaś poddanym naszego miłościwego pana, gdziekolwiek waszmośćbyś służył, nie możesz kogo innego za przyrodzonego zwierzchnika uważać.

— Tego nie neguję.

— Więc też powiem szczerze waszmości, że pan nasz boleje nad tą prześwietną Rzecząpospolitą, nad losem wspaniałego jej monarchy i nie może łaskawem, ani chętnem okiem spoglądać na tych swoich poddanych, którzy się do ostatecznej ruiny przyjaznego państwa przykładają. Co waszmości uczynili Polacy, że im taką nieżyczliwość okazujesz?...

— Ekscelencyo! siła mógłbym na to odpowiedzieć, ale obawiam się nadużyć cierpliwości waszej ekscelencyi.

— Waszmość wydajesz mi się być nietylko znamienitym oficerem, ale i rozumnym człowiekiem, a mniej mój urząd nakazuje patrzeć, słuchać, o racye wypytywać; mów więc waszmość, choćby najobszerniej i nie obawiaj się znużyć mej cierpliwości. Owszem, jeśli zgłosisz się kiedy do służby cesarskiej, czego ci najmocniej życzę, znajdziesz wasza mość we mnie przyjaciela, który cię wytłómaczy i racye twoje powtórzy, jeśliby ci za złe twoją dzisiejszą służbę poczytać chciano.

— Tedy wypowiem wszystko, co mam na myśli. Jako wielu szlachty, młodszych synów, tak i ja musiałem fortuny poza granicami kraju szukać, przybyłem więc tutaj, gdzie i naród jest mojemu pokrewny i cudzoziemców chętnie do służby zażywają.

— Źle waszą mość przyjęto?

— Dano mi żupy solne w zawiadywanie. Znalazłem przystęp do chleba, do ludzi i do samego króla. Obecnie służę Szwedom, a jednak, gdyby mnie kto za niewdzięcznika chciał poczytać, wręczbym mu musiał zanegować.

— A to z jakich racyi?

— A z jakich racyi można więcej ode mnie wymagać, niż od Polaków samych? Gdzie są dziś Polacy? Gdzie senatorowie tego królestwa, książęta, magnaci, szlachta, rycerstwo, jeśli nie w obozie szwedzkim? A przecie oni to pierwsi powinni wiedzieć, co im czynić należy, gdzie zbawienie, a gdzie zguba dla ich ojczyzny. Ja idę za nimi, więc który z nich ma mnie prawo nazwać niewdzięcznikiem? Czemuto ja, cudzoziemiec, mam być wierniejszym królowi polskiemu i Rzeczypospolitej, niż oni sami? Czemuto miałbym pogardzać tą służbą, o którą oni sami się proszą.

Lisola nic odrzekł nic. Wsparł głowę na ręku i zamyślił się. Zdawałoby się, że słucha poświstu wiatru i szumu jesiennego dżdżu, który począł zacinać w okna karczmy

— Mów waszmość dalej — rzekł wreszcie — zaprawdę, szczególne rzeczy mi mówisz.

— Ja szukam fortuny tam, gdzie ją znaleźć mogę, — rzekł Wrzeszczowicz — a że ten naród ginie, nie potrzebuję się o to więcej troszczyć od niego samego. Zresztą, chciałbym się troszczył, niceby to nie pomogło, bo oni zginąć muszą!

— A to dlaczego?

— Najprzód dlatego, że sami tego chcą; powtóre, że na to zasługują. Ekscelencyo! jest na świecie drugi kraj, gdzieby tyle nieładu i swawoli dopatrzeć można?... Co tu za rząd? Król nie rządzi, bo mu nie dają... Sejmy nie rządzą, bo je rwą... Niemasz wojska, bo podatków płacić nie chcą; niemasz posłuchu, bo posłuch wolności się przeciwi, niemasz sprawiedliwości, bo wyroków niema komu egzekwować i każdy możniejszy je depce; niemasz w tym narodzie wierności, bo oto wszyscy pana swego opuścili; niemasz miłości do ojczyzny, bo ją Szwedowi oddali za obietnicę, że im postaremu w dawnej swawoli żyć nie przeszkodzi... Gdzieby indziej mogło się co podobnego przytrafić? Któryby w świecie naród nieprzyjacielowi do zawojowania własnej ziemi pomógł? Którzyby tak króla opuścił, nie za tyraństwo, nie za złe uczynki, ale dlatego, że przyszedł drugi mocniejszy? Gdzie jest taki, coby prywatę więcej ukochał, a sprawę publiczną więcej podeptał? Co oni mają, ekscelencyo?... Niechże mi kto choć jedną cnotę wymieni: czy stateczność, czy rozum, czy przebiegłość, czy wytrwałość, czy wstrzemięźliwość? Co oni mają? Jazdę dobrą? tak! i nic więcej... To i Numidowie ze swej jazdy słynęli i Gallowie, jak to w rzymskich historykach czytać można, sławnego mieli komunika, a gdzież są? Zginęli, jak i ci zginąć muszą. Kto ich chce ratować, ten jeno czas próżno traci, bo oni sami nie chcą się ratować!... Jeno szaleni, swawolni, źli i przedajni tę ziemię zamieszkują!

Wrzeszczowicz ostatnie słowa wymówił z prawdziwym wybuchem nienawiści, dziwnej w cudzoziemcu, który chleb znalazł wśród tego narodu; ale Lisola nie dziwił się. Wytrawny dyplomata znał świat i ludzi, wiedział, że kto nie umie płacić sercem swemu dobroczyńcy, ten gorliwie szuka w nim win, by niemi własną niewdzięczność osłonić. Zresztą może i przyznawał on słuszność Wrzeszczowiczowi, więc nie protestował; natomiast spytał nagle:

— Panie Weyhard, czy waćpan jesteś katolikiem?

Wrzeszczowicz zmieszał się.

— Tak jest, ekscelencyo! — odpowiedział.

— Słyszałem w Wieluniu, że są tacy, którzy namawiają j. kr. mość Karola Gustawa, ażeby klasztor Jasnogórski zajął.. Czy to prawda?

— Ekscelencyo! klasztor leży blisko śląskiej granicy, i Jan Kazimierz snadnie od niego zasilki mieć może. Musimy go zająć, aby temu przeszkodzić... Jam pierwszy zwrócił na to uwagę i dlatego j. kr. mość mnie tę funkcyę powierzył.

Tu Wrzeszczowicz urwał nagle, przypomniał sobie Kmicica, siedzącego w drugim końcu izby i podszedłszy ku niemu, spytał:

— Panie kawalerze, rozumiesz po niemiecku?

— Ani słowa, choćby mi kto zęby rwał! — odpowiedział pan Andrzej.

— A to szkoda, bo chcielibyśmy do rozmowy zaprosić.

To rzekłszy, zwrócił się do Lisoli:

— Jest tu obcy szlachcic, ale po niemiecku nie rozumie, możemy mówić swobodnie.

— Nie mam nic tajnego do powiedzenia — odrzekł Lisola — ale ponieważ jestem także katolik, nie chciałbym, aby świętemu miejscu stała się jaka krzywda... Że zaś jestem pewien, iż i najjaśniejszy cesarz ten sam ma sentyment, tedy będę prosił j. kr. mości, aby mnichów oszczędził. A waćpan nie śpiesz się z zajmowaniem aż do nowej rezolucyi.

— Mam wyraźne, chociaż tajemne instrukcye; waszej ekscelencyi tylko ich nie zatajam, bo cesarzowi, panu memu, zawsze chcę wiernie służyć. Mogę jednak waszą ekscelencyę w tem uspokoić, że świętemu miejscu żadna profanacya się nie stanie. Jam katolik...

Lisola uśmiechnął i chcąc prawdę z mniej doświadczonego człowieka wydobyć, spytał żartobliwie:

— Ale skarbiec mnichom przetrząśniecie? Nie będzie bez tego? Co?

— To się może zdarzyć — odrzekł Wrzeszczowicz. — Najświętsza Panna talarów w przeorskiej skrzyni nie potrzebuje. Skoro wszyscy płacą, niechże i mnichy płacą.

— A jeśli się nie będą bronili?

Wrzeszczowicz rozśmiał się:

— W tym kraju nikt się nie będzie bronił, a dzisiaj już i nie może się nikt bronić. Mieli potemu czas!... teraz zapóźno!

— Zapóźno — powtórzył Lisola.

Na tem skończyła się rozmowa. Po wieczerzy odjechali. Kmicic pozostał sam. Byłato dla niego najgorsza noc ze wszystkich, jakie spędził od czasu wyjazdu z Kiejdan.

Słuchając słów Weyharda Wrzeszczowicza, musiał się wszelkiemi siłami powstrzymać, aby nie krzyknąć mu: "Łżesz psie!" i z szablą na niego nie wpaść. I jeśli tego nie uczynił, to dlatego, że niestety, czuł i uznał prawdę w słowach cudzoziemca, straszną, palącą jak ogień, ale rzetelną.

— Cobym mu mógł rzec? — mówił sobie — czem prócz pięści zanegować? jakie dowody przytoczyć?... Prawdę szczekał... Bodaj go zabito!... A i ów cesarski statysta przyznał mu, że już po wszystkiem i na wszelką obronę zapóźno.

Kmicic w znacznej części może dlatego tak cierpiał, że owo zapóźno było wyrokiem nietylko dla ojczyzny, ale i dla jego prywatnego szczęścia. A przecie już tej męki miał dosyć; już mu i sił nie stawało, bo przez całe tygodnie nic innego nie słyszał, tylko: że wszystko przepadło, że nie czas już, że zapóźno. Żaden promyk nadziei nie padł mu nigdzie w duszę.

Jadąc coraz dalej, dlatego się tak spieszył, dlatego dniami i nocami jechał żeby uciec przed temi wróżbami, żeby wreszcie znaleźć jaką okolicę, jakiego człowieka, którýby mu wlał chociaż kroplę pociechy. Tymczasem znajdował coraz większy upadek, coraz większą desperacyę. Wreszcie słowa Wrzeszczowicza przepełniły ten kielich goryczy i żółci; wykazały mu jasno to, co było dotąd poczuciem, że nie tyle Szwedzi, septentrionowie i Kozacy zabili ojczyznę, ile cały naród.

"Szaleni, swawolni, źli i przedajni tę ziemię zamieszkują — powtarzał za Wrzeszczowiczem pan Kmicic — i niemasz innych... Króla nie słuchają, sejmy rwą, podatków nie płacą, nieprzyjacielowi sami do zawojowania tej ziemi pomagają. Muszą zginąć!"

— Dla Boga! żeby choć jedno łgarstwo mu zadać! Zali, prócz jazdy, niemasz w nas nic dobrego, żadnej cnoty, jeno zło samo?

Pan Kmicic szukał w duszy odpowiedzi. Tak już był zmęczony i drogą i zmartwieniami i wszystkiem, co przeszedł, że mu się zaczęło w głowie mącić. Poczuł, że jest chory i owładnęło go śmier-

telne znużenie. W mózgu czynił mu się coraz większy chaos. Przesuwały się twarze znajome i nieznajome, te, które znał dawniej i te, które w czasie drogi napotkał.

Owe figury rozprawiały, jakby na sejmie, przytaczały sentencye, proroctwa, a wszystkim chodziło o Oleńkę. Ona czekała ratunku od pana Kmicica, ale Wrzeszczowicz powstrzymał go za ramiona i patrząc mu w oczy, powtarzał: "Zapóźno! co szwedzkie, to szwedzkie!" — a Bogusław Radziwiłł śmiał się i wtórował Wrzeszczowiczowi. Poczem wszyscy poczęli krzyczeć: "Zapóźno! zapóźno! zapóźno!" — i chwyciwszy Oleńkę, znikli z nią gdzieś w ciemnościach.

Kmicicowi wydało się, że Oleńka i ojczyzna to to samo i że obie zgubił i dobrowolnie Szwedom wydał.

Wówczas chwytał go żal tak niezmierny, że się budził i spoglądał zdumionemi oczyma wokoło siebie, albo też nasłuchiwał wiatru, który w kominie, w ścianach, w dachu, świstał różnemi głosami i wygrywał przez wszystkie szpary, jak na organach.

Lecz widzenia wracały. Oleńka i ojczyzna znów zlewały się w jego umyśle w jedną istotę, którą Wrzeszczowicz uprowadzał, mówiąc: "zapóźno"! zapóźno!!"

Tak przegorączkował pan Andrzej całą noc. W chwilach przytomności myślał, że przyjdzie mu zachorować obłożnie i już chciał wołać Sorokę, by mu krew puszczał. Lecz tymczasem poczęło świtać. Kmicic zerwał się i wyszedł przez zajazd.

Zaledwie pierwszy brzask rozpraszał ciemności; dzień zapowiadał się pogodnie; chmury pozbijały się w długie taśmy i pasma na zachodzie, ale wschód był czysty; na blednącem zwolna niebie migotały niepoprzesłaniane oparami gwiazdy. Kmicic zbudził ludzi, sam przybrał się w świąteczne suknie, bo nadchodziła właśnie niedziela i ruszyli w drogę.

Po złem bezsennej nocy, był Kmicic znużony na ciele i duszy. Ani ów ranek jesienny, blady, ale rzeźwy, szronisty i pogodny, nie mógł rozproszyć smutku, gniotącego serce rycerza. Nadzieja wypaliła się w nim do ostatniego źdźbła i zgasła jak lampa, w której oliwy zabrakło. Co mu przyniesie ten dzień? Nic! Te same smutki, to samo utrapienie, prędzej przyrzuci ciężaru na duszę, z pewnością nie ujmie.

Jechał więc w milczeniu, utkwiwszy oczy w jakiś punkt, bardzo

błyszczący na widnokręgu. Konie parskały na pogodę; ludzie poczęli śpiewać sennemi głosami jutrznię.

Tymczasem rozwidniało się coraz bardziej, niebo z bladego stawało się zielone i złote, a ów punkt na widnokręgu począł tak błyszczeć, że oczy mrużyły się od tego blasku.

Ludzie przestali śpiewać i wszyscy patrzyli w tamtą stronę, wreszcie Soroka rzekł:

— Dziwo, czy co?... Toć tam zachód, a jakby słońce wschodziło?

Istotnie, owo światło rosło w oczach, z punktu uczyniło się kołem, z koła koliskiem — zdala, rzekłbyś, że ktoś zawiesił nad ziemią olbrzymią gwiazdę, siejącą blaski niezmierne.

Kmicic i jego ludzie patrzyli ze zdumieniem na owo zjawisko świetliste, drgające, promienne, nie wiedząc, co mają przed oczyma.

Wtem od Kruszyny chłop nadjechał w drabinkach. Kmicic zwróciwszy się ku niemu, ujrzał, iż chłop czapkę trzymał w ręku i patrząc w owo światło, modlił się.

— Chłopie — spytał pan Andrzej — a co się to tak świeci?

— Kościół Jasnogórski! — odrzekł kmieć.

— Chwała Najświętszej Pannie! — zakrzyknął Kmicic i czapkę zdjął z głowy, za nim uczynili to samo jego ludzie.

Po tylu dniach zmartwień, zwątpienia, zawodów, uczuł nagle pan Andrzej, że staje się z nim coś dziwnego. Ledwie słowa: "Kościół Jasnogórski" przebrzmiały mu w uszach, gdy smutek opadł z niego, jakoby kto ręką odjął.

Ogarnęła rycerza jakaś niewypowiedziana bojaźń, pełna czci, ale zarazem nieznana radość wielka, błoga. Od tego kościoła, jarzącego się na wysokości w pierwszych promieniach słońca, biła nadzieja, której pan Kmicic dawno nie zaznał, otucha, której napróżno szukał, siła niepokonana, na której chciał się oprzeć. Wstąpiło weń jakoby nowe życie i poczęło krążyć po żyłach wraz ze krwią. Odetchnął tak głęboko, jak chory, budzący się z gorączki, z nieprzytomności.

A kościół lśnił się coraz bardziej, jakby wszystko światło słoneczne w siebie zabrał. Cała kraina leżała u jego stóp, a on patrzył na nią z wysokości, rzekłbyś, stróż jej i opiekun.

Kmicic długo oczu nie mógł oderwać od tego światła i nasycał i koił się jego widokiem. Ludzie jeno mieli twarze poważne i przejęte obawą.

Wtem odgłos dzwonu rozległ się w cichem rannem powietrzu.

— Z koni! — zawołał pan Andrzej.

Zeskoczyli wszyscy z kulbak i klęknąwszy na drodze, rozpoczęli litanię. Kmicic ją odmawiał, a żołnierze odpowiadali chórem. Nadjechały przez ten czas nowe wozy; chłopi, widząc modlących się na drodze ludzi, przyłączyli się do nich i coraz większa czyniła się gromada.

Gdy wreszcie skończono modlitwy, powstał pan Andrzej, a za nim i jego ludzie, lecz szli już dalej piechotą, prowadząc konie za uzdy i śpiewając: "Witajcie jasne podwoje."

Pan Andrzej szedł tak rzeźwy, jakby skrzydła miał u ramion. W skrętach drogi, kościół to niknął, to ukazywał się naprzemian. Gdy przesłoniły go wyniosłości lub parowy, zdawało się Kmicicowi, że ciemność świat ogarnia, lecz gdy znowu rozbłyskał, wówczas rozpromieniały się wszystkie twarze.

Tak szli długo. Kościół, klasztor i i otaczające go mury widniały coraz wyraźniej, stawały się coraz wspanialsze, ogromniejsze. Dojrzeli wreszcie i miasto w dali, a pod górą całe szeregi domów i chat, które przy ogromie kościelnym wydawały się tak małe, jak gniazda ptasie.

Była to niedziela, więc gdy słońce wybiło się dobrze już w górę, droga zaroiła się wozami i pieszym ludem, ciągnącym na nabożeństwo. Z wysokich wież poczęły huczeć dzwony większe i mniejsze, napełniając powietrze wspaniałym dźwiękiem. Była w tym widoku i w tych głosach spiżowych jakaś potęga, jakiś niezmierny majestat, a zarazem i spokój. Ten szmat ziemi u stóp Jasnej Góry wcale był niepodobny do reszty kraju.

Tłumy ludu czerniały naokół murów kościelnych. Pod górą stały setki wozów, bryczek, kolasek, bied; gwar ludzki mieszał się ze rżeniem koni poprzywiązywanych do palików. Dalej na prawo, wedle głównej drogi, prowadzącej na górę, widać było całe szeregi straganów, w których sprzedawano wota metalowe i woskowe, świece, obrazy, szkaplerze. Fala ludzka płynęła wszędy swobodnie.

Bramy były szeroko otwarte, kto chciał wchodził, kto chciał wychodził; na murach, przy działach zgoła nie było żołnierzy. Strzegła widocznie kościoła i klasztor sama świętość miejsca — a może ufano listom Karola Gustawa, któremi bezpieczeństwo zaręczył.

## XXVI.

38.

Od bramy fortecznej chłopi i szlachta, mieszczanie z różnych okolic, ludzie wszelkiego wieku, obojej płci i wszystkich stanów, czołgali się ku kościołowi na kolanach, śpiewając pieśni pobożne. Płynęła ta rzeka bardzo wolno i bieg jej zatrzymywał się co chwila, gdy ciała zbiły się zbyt ciasno. Chorągwie wiały nad nią nakształt tęczy. Chwilami pieśni milkły i tłumy poczynały odmawiać litanię, a wówczas grzmot słów rozlegał się z jednego końca w drugi. Między pieśnią a pieśnią, między litanią a litanią tłumy milkły i biły czołem w ziemię lub rzucały się krzyżem; słychać było tylko głosy błagalne i przeraźliwe żebraków, którzy siedząc po dwóch brzegach rzeki ludzkiej, odsłaniali na widok publiczny swe okaleczałe członki. Wycie ich mieszało się z brzękiem grosiwa wrzucanego do blaszanych i drewnianych mis. I znowu rzeka głów toczyła się dalej i znowu brzmiały pieśni.

W miarę jak fala zbliżała się do drzwi kościoła, zapał wzrastał i zmieniał się w uniesienie. Widziałeś ręce wyciągnięte ku niebu, oczy wzniesione, twarze blade ze wzruszenia lub rozpalone modlitwą.

Różnice stanu znikły: chłopskie sukmany zmieszały się z kontuszami, żołnierskie kolety z żółtemi kapotami mieszczan.

We drzwiach kościoła ścisk powiększył się jeszcze. Ciała ludzkie utworzyły już nie rzekę, ale most tak zbity, iż możnaby było przejść po głowach, ramionach, nie dotknąwszy stopą ziemi. Piersiom brakło oddechu, ciałom przestrzeni, lecz duch, który je ożywiał, dawał im żelazną odporność. Każdy się modlił, nikt nie myślał o niczem innem; każdy dźwigał na sobie tłok i ciężar całej tej masy, lecz nikt nie upadał i popychany przez tysiące, czuł w sobie siłę za tysiąc i z tą siłą parł naprzód, pogrążon w modlitwie, w upojeniu, w egzaltacyi.

Kmicic, czołgający się ze swymi ludźmi w pierwszych szeregach dostał się wraz z pierwszymi do kościoła, potem prąd wniósł go do cudownej kaplicy, gdzie tłumy rzuciły się na twarz, płacząc, obejmując rękoma posadzkę i całując ją z uniesieniem. Tak czynił i pan Andrzej, a gdy wreszcie ośmielił się podnieść głowę, uczucie rozkoszy, szczęścia i zarazem śmiertelnej obawy, odjęło mu prawie przytomność.

W kaplicy panował mrok czerwony, którego nie rozpraszały zupełnie płomyki świec, jarzących się przed ołtarzem. Barwne światła wpadały także przez szyby i wszystkie one blaski czerwone, fioletowe, złote, ogniste, drgały na ścianach, ślizgały się po rzeźbach, załamaniach, przedzierały się w zaciemnione głębie, wydobywając na jaw jakieś niewyraźne przedmioty, pogrążone jakoby we śnie. Tajemnicze połyski rozbiegały się i skupiały z mrokiem tak nieznacznie, że nikła wszelka różnica między światłem a cieniem. Świece na ołtarzu miały glorye złote. Dymy z kadzielnic tworzyły mgłę purpurową; biały ornat zakonnika, odprawiającego ofiarę, grał przyćmionemi kolorami tęczy. Wszystko tu było pół widne, pól przysłonione, nieziemskie: blaski nadziemskie, mroki nieziemskie — tajemnicze, uroczyste, błogosławione, przepełnione modlitwą, adoracyą, świętością...

Z głównej nawy kościoła dochodził szum zmieszany głosów ludzkich, jak ogromny szum morza, a tu panowała cisza głęboka, przerywana tylko głosem zakonnika, śpiewającego wotywę.

Obraz jeszcze był przysłoniony, więc oczekiwanie tłumiło dech w piersiach. Widać tylko było oczy wpatrzone w jedną stronę, nieruchome twarze, jakoby już z ziemskiem życiem rozbratane, ręce złożone przed ustami, jak u aniołów na obrazach.

Śpiewowi zakonnika wtórowały organy, wydając tony łagodne a słodkie, płynące jakoby z fletni zaziemskich. Chwilami zdawały się one sączyć jak woda w źródle, to znów padały ciche a gęste, jak rzęsisty deszcz majowy.

Wtem huknął grzmot trąb i kotłów — dreszcz przebiegł serca. Zasłona obrazu rozsunęła się w dwie strony i potok brylantowego światła lunął z góry na pobożnych.

Jęki, płacz i krzyki rozległy się w kaplicy.

"Salve Regina! — zawrzasła szlachta — monstra Te esse matrem!" — a chłopi wołali: "Panienko Najświętsza! Panno złota! Królowo anielska! ratuj, wspomóż, pociesz, zmiłuj się nad nami!"

I długo brzmiały te krzyki wraz ze szlochaniem niewiast, ze skargami nieszczęśliwych, z prośbami o cud chorych lub kalek.

Z Kmicica dusza nieomal wyszła; czuł tylko, że ma przed sobą niezmierność, której nie pojmie i nie ogarnie, a wobec której wszystko niknie. Czemże były zwątpienia wobec tej ufności, której cała istność nie mogła pomieścić; czem niedola wobec tej po-

ciechy; czem potęga szwedzka wobec takiej obrony; czem ludzka złość wobec takiego patronatu?...

Tu myśli z nim ustały i zmieniły się w czucia same; zapomniał się, zapamiętał, przestał rozeznawać kim jest, gdzie jest... Zdawało mu się, że umarł, że dusza jego leci z głosami organów, miesza się z dymami kadzielnic; ręce, przywykłe do miecza i rozlewu krwi, wyciągnął do góry i klęczał w upojeniu, w zachwycie.

Tymczasem ofiara kończyła się. Pan Andrzej sam nie wiedział, jakim sposobem znalazł się wreszcie znowu w głównej nawie kościelnej. Ksiądz prawił naukę z kazalnicy, ale Kmicic długo jeszcze nic nie słyszał, nic nie rozumiał, jak człowiek zbudzony ze snu nie odrazu miarkuje, gdzie kończy się sen, a rozpoczyna jawa.

Pierwsze słowa, jakie usłyszał, były: "Tu się odmienią serca i dusze naprawią, ani bowiem Szwed mocy tej nie zmoże, ani w ciemnościach brodzący prawdziwego światła nie zwycięży!"

— Amen! — rzekł w duchu Kmicic i począł się bić w piersi, bo mu się teraz zdawało, że grzeszył ciężko, sądząc, że już wszystko przepadło i że znikąd niemasz nadziei.

Po skończonem nabożeństwie zatrzymał pierwszego napotkanego zakonnika i oznajmił mu, że w sprawie kościoła i klasztoru chce się widzieć zprzeorem.

Przeor dał mu natychmiast posłuchanie. Był to człowiek w dojrzałym wieku, który już ku wieczorowi się zbliżał. Twarz miał niezmiernie pogodną. Czarna gęsta broda okalała mu oblicze, a oczy miał niebieskie, spokojne i patrzące przenikliwie. W swoim białym habicie wyglądał poprostu jak święty. Kmicic ucałował go w rękaw szaty, a on ścisnął go za głowę i spytał: kto jest i skąd przybywa?

— Przybywam ze Żmudzi, — odrzekł pan Andrzej — aby Najświętszej Pannie, utrapionej ojczyźnie i opuszczonemu panu służyć, przeciw którym dotąd grzeszyłem, co wszystko na spowiedzi świętej wyznam obszernie i o to proszę, abym dziś jeszcze lub jutro do dnia mógł być wyspowiadany, gdyż żal za winy do tego mnie skłania. Nazwisko swoje prawdziwe też powiem ci, ojcze wielebny, pod tajemnicą spowiedzi, nie inaczej, bo źle do mnie ludzi uprzedza i do poprawy przeszkadzać mi może. Przed ludźmi chcę się zwać Babiniczem od jednej mojej majętności, przez nieprzyjaciela ogarniętej. Tymczasem ważną przywożę wiado-

mość, której wysłuchaj, ojcze, cierpliwie, gdyż o ten przybytek święty i o klasztor chodzi.

— Chwalę intencyę waszmości i poprawy życia przedsięwzięcie — odrzekł ksiądz przeor Kordecki. — Co do spowiedzi, nieleniwie chęci twojej dogodzę, a teraz słucham.

— Długom jechał, — rzekł na to Kmicic — siła widziałem i namartwiłem się niemało... Wszędy umocnił się nieprzyjaciel, wszędy heretykowie głowę podnoszą, ba, sami nawet katolicy do obozu nieprzyjaciela przechodzą, który tem, jako i zdobyciem dwuch stolic uzuchwalony, na Jasną Górę teraz świętokradzką rękę podnieść zamierza.

— Od kogo masz waszmość tę wiadomość? — spytał ksiądz Kordecki.

— Nocowałem ostatniej nocy w Kruszynie, Przyjechali tam Weyhard Wrzeszczowicz i cesarski poseł Lisola, który z dworu brandeburskiego wracał, a do króla szwedzkiego zdążał.

— Króla szwedzkiego niema już w Krakowie — odrzekł na to ksiądz, patrząc przenikliwie w oczy pana Kmicica.

Lecz pan Andrzej powiek nie spuścił i tak mówił dalej:

— Nie wiem ja, czy on jest, czy go niema... Wiem że Lisola do niego jechał, a Wrzeszczowicza przysłano, aby eskortę zluzował i dalej go prowadził. Obaj rozmawiali przy mnie po niemiecku, nic się mojej obecności nie strzegąc, gdyż nie myśleli, abym mógł ich mowę wyrozumieć, którą ja z dzieciństwa znając tak dobrze, jak i polską, to wymiarkowałem, że Weyhard instygował, aby klasztor zająć i do skarbca się dostać, na co od króla otrzymał pozwolenie.

— I waszmość to na własne uszy słyszałeś!

— Tak, jako tu stoję.

— Stanie się wola boska! — rzekł spokojnie ksiądz.

Kmicic zląkł się. Sądził, że ksiądz nazywa wolą boską rozkaz króla szwedzkiego i o oporze nie zamyśla, więc rzekł zmieszany:

— W Pułtusku widziałem kościół w szwedzkich rękach, żołnierzy w karty w przybytku bożym grających, beczki piwa na ołtarzach i niewiasty bezwstydne z żołnierzami.

Ksiądz wciąż patrzył prosto w oczy rycerza.

— Dziwna rzecz — rzekł — szczerość i prawda patrzą ci z oczu...

Kmicic spłonął.

— Niech tu trupem padnę, jeśli to nieprawda, co mówię!

— W każdym razie ważne to wieści, nad któremi naradzić się wypadnie. Waszmość pozwolisz, że poproszę tu starszych ojców i kilku zacnej szlachty, tu u nas teraz mieszkających, którzy nas radą w tych okrutnych czasach wspierają. Waszmość pozwolisz...

— Chętnie przed nimi to powtórzę.

Ksiądz Kordecki wyszedł i po kwadransie wrócił z czterema starszymi ojcami.

Wkrótce potem wszedł pan Różyc-Zamoyski, miecznik sieradzki, człowiek poważny; pan Okielnicki, chorąży wieluński; pan Piotr Czarniecki, młody kawaler o groźnej marsowej twarzy, podobien do dębu ze wzrostu i siły i kilku innej szlachty różnego wieku. Ksiądz Kordecki prezentował im pana Babinicza ze Żmudzi, poczem powtórzył wszem wobec kmicicowe nowiny. Oni zaś dziwili się okrutnie i poczęli mierzyć oczyma pana Andrzeja badawczo i z niedowierzaniem, a gdy nikt pierwszy głosu nie zabierał, wówczas ksiądz Kordecki ozwał się:

— Niechże mnie Bóg broni, abym tego kawalera miało złą intencyę lub o kłamstwo posądzać, ale te nowiny, które przyniósł, tak mi się wydają nieprawdopodobne, iż za słuszną rzecz uznałem, abyśmy je razem zbadali. W najszczerszej chęci mógł się ów kawaler omylić, albo źle słyszeć, albo źle wyrozumieć, albo umyślnie w błąd przez jakowych heretyków był wprowadzonym. Przestrachem serca nasze napełnić, popłoch w świętem miejscu wywołać, nabożeństwu przeszkodzić, to dla nich radość niezmierna, którejby pewnie żaden sobie w złośliwości swej odmówić nie chciał.

— Widzi mi się to bardzo do wiary podobnem — odrzekł ojciec Nieszkowski, najstarszy w zgromadzeniu.

— Trzebaby najprzód wiedzieć, czy ów kawaler sam nie jest heretykiem? — rzekł Piotr Czarniecki.

— Katolik jestem, jak i waćpan! — odparł Kmicic.

— Zważyć nam pierwej konjunktury wypada — wtrącił pan Zamoyski.

— Owóż konjunktury są takie — rzekł ksiądz Kordecki, — że chybaby Bóg i Najświętsza Jego Rodzicielka umyślnie na tego nieprzyjaciela zesłali zaślepienie, aby miarę w swych nieprawościach przebrał. Inaczej nigdyby on na ten święty przybytek nie odważył się wznieść miecza. Nie własną siłą on tę Rzeczpospolita

podbił, sami jej synowie do tego mu dopomogli; ale jakkolwiek naród nasz nisko upadł, jakkolwiek w grzechu bredzi, to przecie i w grzechu samym jest pewna granica, której nie śmiałby przestąpić. Pana swego opuścił, Rzeczypospolitej odstąpił, ale Matki swej, Patronki i Królowej, czci nie zaniechał. Szydzi z nas i pogardza nami nieprzyjaciel, pytając, co nam z dawnych cnót pozostało? A ja odpowiem: wszystkie zginęły, jednak coś jeszcze pozostało, bo pozostała wiara i cześć dla Najświętszej Panny, na którym to fundamencie reszta odbudowana być może. I widzę to jasno, niechby jedna kula szwedzka wyszczerbiła te święte mury, tedyby się najzatwardzialsi odwrócili od Szwedów, z przyjaciół staliby się wrogami, przeciw nim mieczeby podnieśli. Ale i Szwedzi mają na własną zgubę oczy otwarte i rozumieją to dobrze... Przeto, jeśli Bóg, jak wspomniałem, ślepoty umyślnej na nich nie zesłał, nigdy oni się na Jasną Górę nie ośmielą uderzyć, bo ten dzień byłby dniem przemiany ich fortuny, a upamiętania naszego.

Kmicic słuchał ze zdumieniem słów księdza Kordeckiego, które były zarazem odpowiedzią na to, co z ust Wrzeszczowicza przeciw narodowi polskiemu wyszło. Lecz ochłonąwszy ze zdziwienia, w następujące ozwał się słowa:

— Czemużto, ojcze wielebny, nie mamy wierzyć, że właśnie Bóg zaślepieniem nieprzyjaciół nawiedził? Zważmy na pychę, ich chciwość na ziemskie dobra, zważmy na nieznośny ucisk i podatki, jakie nawet na duchownych nakładają, a snadnie przyjdzie zrozumieć, że przed żadnem świętokradztwem się nie cofną.

Ksiądz Kordecki nie odpowiedział wprost Kmicicowi, lecz zwróciwszy się do całego zgromadzenia, tak dalej mówił:

— Powiada ów kawaler, że widział posła Lisolę, do króla szwedzkiego jadącego; jakżeto być może, skoro ja mam od krakowskich Paulinów nieomylną wiadomość, że króla niemasz już w Krakowie, ani w całej Małopolsce, gdyż zaraz po poddaniu się Krakowa do Warszawy wyjechał?

— Nie może to być — odrzekł Kmicic, — a najlepszy dowód, że na poddanie się i na hołd kwarcianych czeka, którzy pod panem Potockim zostają.

— Hołd ma przyjmować w imieniu królewskim generał Duglas — odrzekł ksiądz — tak mi z Krakowa piszą.

Kmicic umilkł: nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Ale przypuszczę — mówił dalej ksiądz, — że król szwedzki

nie chciał widzieć cesarskiego posła i umyślnie wolał się z nim rozminąć. Lubi tak czynić Carolus: nagle przyjeżdżać, nagle odjeżdżać; gniewa go przytem cesarska medyacya, chętnie więc wierzę, że pojechał, udając, iż o przybyciu posła nie wie. Mniej mnie i to dziwi, że hrabiego Wrzeszczowicza, tak znamienitą osobę, przeciw posłowi z eskortą wysłano, bo może chciano polityką nadrobić i zawód posłowi ucukrować, ale jak uwierzyć, aby hrabia Wrzeszczowicz zaraz się zwierzał z zamiarami baronowi Lisoli, który jest katolik, nam i całej Rzeczypospolitej i naszemu wygnanemu królowi przychylny!

— Niepodobieństwo! — rzekł ojciec Nieszkowski.

— I mnie się to w głowie nie mieści — dorzucił pan miecznik sieradzki.

— Wrzeszczowicz sam katolik i nasz dobrodziej — rzekł inny pater.

— I ten kawaler powiada, że słyszał to na własne uszy? — spytał szorstko pan Piotr Czarniecki.

— Pomyślcie waszmościowie i nad tem — dodał ksiądz przeor, — że ja mam salwę gwardyę od Carolusa Gustawa, jako klasztor i kościół mają być na zawsze od zajęcia i postoju wolne.

— Przyznać trzeba — rzekł z powagą pan Zamoyski, — że w tych wiadomościach nic się jedno drugiego nie trzyma: Szwedom byłaby strata, niekorzyść na Częstochowę uderzać, króla niema więc Lisola nie mógł do niego jechać. Wrzeszczowicz nie mógł mu się zwierzać, dalej nie heretyk to, ale katolik, nie wróg klasztoru, ale jego dobroczyńca, nakoniec, choćby go i szatan do napadu kusił, nie śmiałby napadać przeciw rozkazowi i salwie gwardyi królewskiej.

Tu zwrócił się do Kmicica:

— Cóż tedy opowiadasz kawalerze i dlaczego, w jakim zamiarze chcesz wielebnych ojców i nas tu obecnych przestraszyć?

Kmicic stał jak oskarżony przed sądem. Z jednej strony brała go rozpacz, bo jeśli mu nie uwierzą, klasztor stanie się łupem nieprzyjaciela, z drugiej wstyd go palił, bo sam wiedział, że wszystkie pozory przemawiają przeciw jego wiadomościom i że łatwo za kłamcę poczytanym być może. Na myśl o tem gniew szarpał go, rozbudzała się w nim przyrodzona popędliwość, grała obrażona ambicya, budził się dawny, półdziki Kmicic. Ale łamał się póty sam z sobą aż się złamał, przywołał wszystką cierpliwość i powta-

rząjąc sobie w duszy: "Za grzechy moje! za grzechy moje!.."
— odrzekł z mieniącą się twarzą:

— Com słyszał, powtarzam raz jeszcze: Weyhard Wrzeszczowicz ma napaść na klasztor. Terminu nie wiem, ale myślę, że prędko się to stanie... Ja ostrzegam, a na waszmościów spadnie odpowiedzialność, jeśli nie usłuchacie!...

Na to pan Piotr Czarniecki odrzekł z przyciskiem:

— Powoli, kawalerze, powoli... Głosu nie podnoś!

Poczem pan Piotr Czarniecki przemówił do zgromadzonych:

— Pozwólcie mnie, zacni ojcowie, zadać kilka pytań temu przybyszowi...

— Waćpan nie masz prawa mi ubliżać! — krzyknął Kmicic.

— Nie mam i chęci — odrzekł zimno pan Piotr. — Ale tu o klasztor i o Najświętszą Pannę chodzi, o jej stolicę. Dlategoto waćpan masisz na bok odłożyć urazę, albo jeżeli nie na bok, to na czas, bo bądź pewien, że ci się wszędzie sprawię. Waćpan wieści przynosisz, my je chcemy sprawdzić, to słuszna i dziwić cię nie powinno, a jeśli nie zechcesz odpowiadać, pomyślimy, że się boisz zaplątać.

— Dobrze! pytaj waść! — rzekł Babinicz przez zaciśnięte zęby.

— Otóż to. Waćpan powiadasz, że jesteś ze Żmudzi.

— Tak jest.

— I przybywasz tu, aby Szwedom i Radziwiłłowi zdrajcy nie służyć?

— Tak jest.

— A przecie tam są tacy, którzy mu nie służą i przy ojczyźnie się oponują, są chorągwie, które posłuszeństwo wypowiedziały, jest pan Sapieha, czemuś to do nich nie przystał?...

— To moja sprawa!

— Aha! waści sprawa! — rzekł Czarniecki. — To może mi na inne pytania odpowiesz?

Ręce pana Andrzeja drżały, oczy wpiły się w ciężki miedziany dzwonek, stojący przed nim na stole i z tego dzwonka przenosiły się na głowę pytającego. Brała go szalona, nieprzezwyciężona chęć, porwać ów dzwon i puścić go na czaszkę pana Czarnieckiego. Dawny Kmicic coraz więcej brał górę nad pobożnym i skruszonym Babiniczem. Lecz się przełamał raz jeszcze i rzekł:

— Pytaj!

— Jeśliś ze Żmudzi, to musisz wiedzieć, co się na dworze zdrajcy dzieje. Wymień mi tych, którzy mu do zguby ojczyzny dopomogli, wymień tych pułkowników, którzy przy nim stoją.

Kmicic pobladł jak chusta, jednak wymienił kilka nazwisk.

Pan Czarniecki wysłuchał i rzekł:

— Mam ja przyjaciela, dworzanina królewskiego, pana Tyzenhauza, który mi jeszcze o jednym najznamienitszym powiadał. Nie wiesz nic o tym arcyłotrze?...

— Nie wiem...

— Jakżeto? Nie słyszałeś o tym, który braterską krew jak Kain rozlewał?... Nie słyszałeś, będąc na Żmudzi, o Kmicicu?

— Ojcowie wielebni! — zakrzyknął nagle pan Andrzej, trzęsąc się, jak w febrze. — Niechże mnie duchowna osoba pyta, to wszystko zniosę... Ale na Boga żywego, nie pozwólcie temu szlachetce dręczyć mnie dłużej!...

— Daj waść spokój! — rzekł ksiądz Kordecki, zwracając się do pana Piotra. — Nie o tego kawalera tu chodzi.

— Jedno tylko jeszcze pytanie — rzekł pan miecznik sieradzki.

I zwróciwszy się do Kmicica, spytał:

— Waćpan nie spodziewałeś, się abyśmy nie uwierzyli jego wieściom?

— Jak Bóg na niebie! — odparł pan Andrzej.

— Jakiejżeś nagrody za nie wyglądał?

Pan Andrzej zamiast odpowiedzieć, zanurzył gorączkowo obie ręce w mały sak skórzany, który zwieszony miał na brzuchu przy pasie i wydobywszy je, sypnął na stół dwie garście, pereł, szmaragdów, turkusów i innych drogich kamieni.

— Ot co!... — rzekł przerywanym głosem. — Nie po pieniądze ja tu przyszedł!... Nie po wasze nagrody!... To perły i inne kamuszki... Wszystko zdobyczne... z bojarskich kołpaków zerwane!... Macie mnie!... Zali nagrody potrzebuję?... Chciałem to Najświętszej Pannie ofiarować... ale dopiero po spowiedzi... z czystem sercem!... Oto są... Oto są... Tak nagrody potrzebuję... Mam i więcej... Bodaj was!...

Umilkli wszyscy zdziwieni i widok klejnotów, tak łatwo jak kasza z worka wysypywanych, niemałe uczynił wrażenie; każdy bowiem mimowoli pytał się siebie: coby za przyczynę mógł mieć ten człowiek zmyślać, jeśli nie o nagrodę mu chodziło?

Pan Piotr Czarniecki stropił się, bo taka jest natura ludzka, że ją widok cudzej potęgi i bogactw olśniewa. Wreszcie i podejrzenia jego upadły, bo jakże przypuścić, żeby ów wielki pan, klejnotami sypiący, dla zysku chciał mnichów straszyć?

Spoglądali tedy po sobie obecni, a on stał nad klejnotami z podniesioną głową, podobną do głowy rozdrażnionego orlika, z ogniem w źrenicach i rumieńcem na twarzy. Świeża rana, idąca przez skroń i policzek, zsiniała i straszny był pan Babinicz, grożąc drapieżnym wzrokiem Czarnieckiemu, ku któremu szczególniej zwrócił się gniew jego.

— Przez sam gniew waszmości prawda przebija, — rzekł ksiądz Kordecki — ale te klejnoty schowaj, bo nie może Najświętsza Panna przyjąć tego, co w gniewie, choćby i słusznym, ofiarowane. Zresztą, jakom rzekł, nie o ciebie tu chodzi, ale o wiadomości, które strachem i zgrozą nas przejęły. Bóg raczy wiedzieć, czy nie masz w tem jakowegoś nieporozumienia, albo pomyłki, bo jakeś sam waszmość widział, nie składa się to z prawdą, co mówisz. Jakżeto nam więc pobożnych wypędzać, czci Najświętszej Pannie ujmować i bramy dzień i noc trzymać zamknięte?

— Bramy trzymajcie zamknięte! przez miłosierdzie boże! bramy trzymajcie zamknięte!... — krzyknął pan Kmicic, łamiąc ręce, aż palce zatrzeszczzły mu w stawach.

W głosie jego tyle było prawdy i nieudanej rozpaczy, że obecni mimowoli zadrżeli, jakoby niebezpieczeństwo było już bliskie, a pan Zamoyski rzekł:

— Przecie i tak pilną uwagę mamy na okolicę i reparacye w murach się prowadzą. W dzień możemy puszczać ludzi na nabożeństwo, ale ostrożność godzi się zachować, choćby właśnie dlatego, że król Carolus odjechał, a Wittenberg żelazną podobno ręką rządzi w Krakowie i duchownych niemniej od świeckich uciska.

— Choć w napad nie wierzę, ale przeciw ostrożności nic nie mam! — odpowiedział pan Piotr Czarniecki.

— A ja zakonników do Wrzeszczowicza wyślę — rzekł ksiądz Kordecki — z zapytaniem: czyli to salwa gwardya królewska nic już nie znaczy?

Kmicic odetchnął:

— Chwała Bogu! chwała Bogu! — zawołał.

— Panie kawalerze! — rzekł do niego ksiądz Kordecki — Bóg

ci zapłać za dobrą intencyę... Jeśliś nas słusznie ostrzegł, wiekopomną będziesz miał zasługę względem Najświętszej Panny i ojczyzny; ale się nie dziwuj, żeśmy twoją chęć z niedowierzaniem przyjęli. Nieraz nas już tutaj straszono; jedni czynili to z zawziętości przeciw wierze, aby czci Najświętszej Pannie umknąć; drudzy z chciwości, aby co uzyskać; trzeci dlatego tylko, aby nowinę przynieść i powagi w oczach ludzkich nabrać, a może byli i tacy, których złudzono, jako przypuszczamy, że i ciebie złudzono. Dziwnie szatan jest na to miejsce zawzięty i dokłada wszelkich starań, aby nabożeństwu tu przeszkodzić i wiernych jak najmniej do udziału w niem dopuścić, bo nic do takiej desperacyi piekielnego dworu nie przywodzi, jak widok czci dla tej, która głowę węża starła... A teraz czas na nieszpory. Wybłagajmy Jej łaskę, polećmy się jej opiece i niech każdy pójdzie spać spokojnie, bo gdzież ma być spokój i bezpieczeństwo, jeśli nie pod Jej skrzydłami?

I rozeszli się wszyscy.

Gdy nieszpory się skończyły, sam ksiądz Kordecki wziął do spowiedzi pana Andrzeja i spowiadał go długo w pustym już kościele; poczem leżał pan Andrzej krzyżem przed zamkniętemi drzwiami kaplicy aż do północy.

O północy wrócił do celi, rozbudził Sorokę i kazał się przed spoczynkiem ćwiczyć, aż mu barki i plecy krwią spłynęły.

## XXVII.

Nazajutrz zrana dziwny i niezwykły ruch zapanował w klasztorze. Bramy były wprawdzie otwarte i nie tamowano przystępu pobożnym, nabożeństwo odbywało się zwykłym trybem, ale po nabożeństwie nakazano wszystkim obcym opuścić obręb klasztoru. Sam ksiądz Kordecki, w towarzystwie pana miecznika sieradzkiego i pana Piotra Czarnieckiego, oglądał szczegółowo blanki i skarpy, podtrzymujące mury z wewnątrz i z zewnątrz. Nakazywano też tu i owdzie poprawki; kowale w mieście dostali rozkaz przygotowania osęków, dzid, poosadzanych na długich drągach' kos, sztorcem na drzewca zatkniętych, maczug i kłod ciężkich, nabijanych hufnalami. A ponieważ wiedziano, że i tak w klasztorze był znaczny zapas podobnych narzędzi, wnet też poczęto gadać

po całem mieście, że klasztor rychłego oczekuje napadu. Coraz nowe rozporządzenia zdawały się potwierdzać tę pogłoskę.

Pod noc dwustu już ludzi pracowało wedle murów. Ciężkie działa, przysłane jeszcze przed oblężeniem Krakowa przez pana Warszyckiego, kasztelana Krakowskiego, w liczbie dwunastu, osadzono na nowych lawetach i rychtowano odpowiednio.

Z lamusów klasztornych zakonnicy i pachołkowie wynosili kule, które układano w stosy przy armatach; wytaczano jaszcze z prochem, rozwiązywano snopy muszkietów i rozdawano je między załogę. Na wieżach i narożnikach stanęły straże, mające dawać dniem i nocą pilne baczenie na okolicę; oprócz tego ludzie wysłani na zwiady rozesłali się po okolicy od Przystajni, Kłobucka, Krzepic, Kruszyny i Mstowa.

Do obficie i tak zaopatrzonych śpiżarni klasztornych, szły zapasy z miasta, z Częstochówki i innych wsi do klasztoru należących.

Pogłoska gruchnęła jak grom po całej okolicy. Mieszczanie i chłopi poczęli się zbierać a radzić. Wielu nie chciało wierzyć, aby jakikolwiek nieprzyjaciel śmiał targnąć się na Jasną Górę.

Twierdzono, że sama tylko Częstochowa ma być zajęta; lecz i to już wzburzyło umysły, zwłaszcza, gdy inni przypominali, że przecie Szwedzi są heretykami, których nic nie wstrzyma i którzy umyślnie afront Najświętszej Pannie uczynić gotowi.

Więc też wahano się, wątpiono i wierzono naprzemian. Jedni łamali ręce, oczekując straszliwych zjawisk na ziemi i niebie, widomych znaków, gniewu bożego; drudzy pogrążali się w bezradnej i niemej rozpaczy; trzecich gniew chwytał nadludzki, jakoby głowy ich zajmowały się płomieniem. A gdy raz fantazya ludzka rozwinęła skrzydła do lotu, zaraz poczęły krążyć wieści coraz inne, coraz bardziej gorączkowe, coraz potworniejsze.

I jak gdyby kto w mrowisko kij zanurzy lub żaru narzuci, natychmiast wysypują się niespokojne roje, kłębią się, rozbiegają i zbiegają, tak zawrzało miasto i wsie okoliczne.

Po południu gromady mieszczan i chłopstwa, wraz z niewiastami i dziećmi, opasały mury klasztorne i trzymały je jakby w oblężeniu, płacząc i jęcząc. O samym zachodzie słońca wyszedł ku nim ksiądz Kordecki i, pogrążywszy się w ciżbę, pytał:

— Ludzie, czego tu chcecie?

— Chcemy na załogę iść do klasztoru, Bogarodzicielki bro-

nić! — wołali mężczyźni, potrząsając cepami, widłami i inną bronią wieśniaczą.

— Chcemy na Najświętszą Pannę ostatni raz popatrzyć! — jęczały niewiasty.

Ksiądz Kordecki stanął na wzniesionym złomie skały i rzekł:

— Bramy piekielne nie przemogą mocy niebieskich. Uspokójcie się i otuchy w serca nabierzcie. Nie wstąpi noga heretyka w te święte mury, nie będzie luterski ani kalwiński zabobon guseł swych odprawował w tym przybytku czci i wiary. Nie wiem zaiste, azali przyjdzie tu zuchwały nieprzyjaciel, ale to wiem, iż gdyby przyszedł, ze wstydem i hańbą odstąpić musi, bo moc jego większa moc pokruszy, złość jego złamie się, potęga stratą będzie i odmieni się szczęście jego. Otuchy w serca nabierzcie! Nie ostatni raz wy tę Patronkę naszą widzicie, w większej owszem chwale oglądać ją będziecie i nowe cuda ujrzycie. Nabierzcie otuchy, otrzyjcie łzy wzmocnijcie się w wierze, gdyż powiadam wam, — a nie ja to mówię, jeno duch boży mówi przezemnie — że nie wejdzie Szwed do tych murów — łaska stąd spłynie i ciemności tak nie zagaszą światła, jako ta noc, która się dziś zbliża, bożemu słońcu jutro wstać nie przeszkodzi!

A właśnie zachód był. Ciemność powlokła już okolicę, jeno kościół gorzał czerwono w ostatnich promieniach słońca. Widząc to ludzie, poklękali wkoło murów i otucha zaraz spłynęła w ich serca. Tymczasem na wieżach poczęto sygnować na Angelus. Ksiądz Kordecki rozpoczął śpiewać "Anioł Pański," za nim tłumy całe. Stojąca na murach szlachta i żołnierze połączyli z nimi swe głosy, dzwony większe i mniejsze dzwoniły do wtóru i zdało się, że cała góra śpiewa i brzmi, jak olbrzymie organy, na cztery strony świata głośne.

Śpiewano do późna; odchodzących błogosławił na drogę ksiądz Kordecki, wreszcie rzekł:

— Który z mężów w wojnie służywał, z bronią umie się obchodzić i serce czuje mężne, niech jutrzejszego rana przyjdzie do klasztoru.

— Jam służył, ja w piechocie byłem, ja przyjdę! — wołały liczne głosy.

I tłumy rozpłynęły się zwolna. Noc zeszła spokojnie. Wszyscy zbudzili się z radosnym okrzykiem: "Niema Szweda!" Jednakże rzemieślnicy zwozili cały dzień zamówione roboty.

Wyszedł też rozkaz do kramników, którzy zwłaszcza przy

wschodnim murze mają swe kramy, aby towar do klasztoru znieśli, a w samym klasztorze nie zaprzestano pracy przy murach. Ubezpieczano zwłaszcza tak zwane "przeszkody," to jest szczupłe otwory w murach, które nie były bramami, a które mogły służyć do czynienia wycieczek. Pan Różyc-Zamoyski kazał je zakładać belkami, cegłami, nawozem, tak aby w danym razie łatwo od wewnątrz mogły być rozgrodzone.

Cały dzień też ciągnęły jeszcze wozy z zapasami i żywnością, zjechało też kilka rodzin szlacheckich, które potrwożyła była wieść o bliskiem nadciągnięciu nieprzyjaciela.

Koło południa wrócili ludzie, wysłani zeszłego dnia na zwiady, ale żaden nie widział Szwedów, ani nawet nie słyszał o nich, prócz o tych, którzy najbliżej w Krzepicach stali.

Nie zaniechano jednak w klasztorze przygotowań. Wedle rozkazu księdza Kordeckiego, nadciągnęli ci z mieszczan i chłopów, którzy poprzednio w piechocie sługiwali i ze służbą byli obznajomieni. Oddano ich w komendę panu Zygmuntowi Mosińskiemu, pilnującemu północno-wschodniej baszty. Pan Zamoyski zaś cały dzień rozstawiał ludzi, przyuczał, co kto ma czynić, lub naradzał się w refektarzu z ojcami.

Kmicic z radością w sercu patrzył na przygotowania wojenne, ną musztrujących się żołnierzy, na działa, stosy muszkietów, łuków, dzid i osęków. To był jego żywioł właściwy. Wśród tych groźnych machin, wśród krzątaniny, przygotowąń i gorączki wojennej było mu dobrze, lekko, wesoło, Było tem lżej i weselej, że jeneralną spowiedź z całego życia odbył, jak czynią konający, i nad spodziewanie własne rozgrzeszenie otrzymał,bo kapłan zważył jego intencyę, szczerą chęć poprawy i to, że już na tę drogę wstąpił.

Tak więc zbył się pan Andrzej brzemienia, pod którem już prawie upadał. Pokuty zadano mu ciężkie i codzień grzbiet jego krwawił się pod kańczugiem Soroki; kazano mu praktykować pokorę i to było jeszcze cięższe, bo jej w sercu nie miał; przeciwnie, pychę miał i chełpliwość — kazano mu wreszcie uczynkami cnotliwemi poprawę stwierdzić, ale to znów było najlżejsze. Sam niczego więcej nie pragnął, nie pożądał. Cała dusza młoda rwała się w nim ku uczynkom, bo oczywiście pod uczynkami rozumiał wojnę i bicie Szwedów od rana do wieczora, bez spoczynku i miłosierdzia. A właśnie jakże piękna, jak wspaniała otwierała

się do tego droga! Bić Szwedów nietylko w obronie ojczyzny, nietylko w obronie pana, któremu wierność poprzysiągł, ale jeszcze w obronie Królowej Anielskiej, było to szczęście nad jego zasługę.

Gdzież się podziały te czasy, gdy stał, jakoby na rozdrożu, pytając się siebie, którędy iść; gdzie te czasy, w których nie wiedział, co począć, w których wszędy spotykał się ze zwątpieniem i sam począł tracić nadzieję?

A przecie tu ludzie, te białe mnichy i ta garść chłopów i szlachty, gotowali się poprostu do obrony, do walki na śmierć i życie. Jedyny to był kąt taki w Rzeczypospolitej i właśnie pan Andrzej do niego zajechał, jakoby go jaka szczęśliwa gwiazda prowadziła. Bo przytem wierzył święcie w zwycięstwo, choćby cała potęga szwedzka miała otoczyć te mury. W sercu miał tedy modlitwę, radość i wdzięczność.

W tem usposobieniu chodził po murach, jasną twarzą, rozpatrywał się, przyglądał i widział, że dobrze się dzieje. Okiem znawcy wnet poznał z samych przygotowań, że czynią je ludzie doświadczeni, którzy potrafią pokazać się i wówczas, gdy przyjdzie do sprawy. Podziwiał spokój księdza Kordeckiego, dla którego głębokie powziął uwielbienie; podziwiał stateczność pana miecznika sieradzkiego, a nawet panu Czarnieckiemu, choć mu mruczno na niego było, nie pokazywał krzywego oblicza.

Lecz ów rycerz spoglądał na niego surowie i spotkawszy go u muru, na drugi dzień po powrocie wysłańców klasztornych, rzekł:

— Jakoś Szwedów nie widać, panie kawalerze, a jak nie nadejdą, to reputacyę waćpanową psi zjedzą.

— Jeśliby z ich przybycia miała jaka szkoda dla świętego miejsca wyniknąć, to niech moją reputacyę lepiej psi zjedzą! — odpowiedział Kmicic.

— Wolałbyś ich prochu nie wąchać. Znamy się na takich rycerzach, co buty mają zajęczą skórką podszyte!

Kmicic spuścił oczy jak panna.

— Wolałbyś kłótni poniechać — rzekł — com ci winien? Zapomniałem ja swojej urazy, zapomnij i ty swojej.

— A nazwałeś mnie szlachetką — rzekł ostro pan Piotr. — Proszę! cóżeś sam za jeden? W czemto Babinicze od Czarnieckich lepsi?... Takiżto senatorski ród?

— Mój mospanie, — odrzekł wesoło Kmicic — żeby nie pokora, która mam na spowiedzi nakazaną, żeby nie one batożki, które mi

codzień za dawne burdy grzbiet porą, wnet jabym tu inaczej jeszcze waćpana nazwał, jeno mi strach, żeby w dawne grzechy nie popaść. A co do tego, czy Babinicze, czy Czarnieccy lepsi, to się pokaże, jak Szwedzi nadejdą.

— A jakążto szarżę myślisz otrzymać?... Zali mniemasz, że cię jednym z komendantów uczynią?

Kmicic spoważniał.

— Posądziliście mnie, że mi o zysk chodzi, teraz waćpan o szarży gadasz. Wiedzże, iż nie po zaszczyty tu przyjechałem, bo mogłem gdzieindziej do wyższych dojść. Prostym żołnierzem zostanę, choćby pod twoją komendą.

— Czemu, choćby?

— Boś mi krzyw i gotówbyś mi dopiekać.

— Hm! Niema co! Pięknie to z waści strony, że chcesz choćby prostym żołnierzem zostać, gdyż widać, że fantazya u ciebie okrutna i pokora niełatwo ci przychodzi. Radbyś się bić?

— Pokaże się to ze Szwedami, jakom już rzekł.

— Ba, a jeśli Szwedzi nie przyjdą?

— Tedy wiesz co waćpan! Pójdziemy ich szukać! — rzekł Kmicic.

— A to mi się podobasz! — zakrzyknął pan Piotr. — Możnaby grzeczną partyę zebrać... Tu Śląsk nie daleko i zarazby się żołnierzów nazbierało. Starszyzna, jako i stryj mój, słowo dali, ale prostych nawet o nic nie pytano. Siłaby ich można mieć na pierwsze zawołanie!

— I dobry przykład innymby się dało! — rzekł z zapałem Kmicic. — Ja mam też garść ludzi... Obaczyłbyś ich waćpan przy robocie!

— Bo... bo... — rzekł pan Piotr — jak mi Bóg miły!... Dajże pyska!

— A daj i ty! — rzekł Kmicic.

I niewiele myśląc, rzucili się sobie w objęcia:

Przechodził właśnie ksiądz Kordecki i widząc, co się stało, począł ich błogosławić, oni zaś wyznali mu zaraz o co się umówili. Ksiądz jeno uśmiechnął się spokojnie i poszedł dalej, rzekłszy jakby do samego siebie:

— Choremu zdrowie poczyna wracać.

Do wieczora ukończono przygotowania i twierdza była zupełnie do obrony gotowa. Niczego jej nie brakło: ni zapasów,

ni prochów, ni dział, jeno murów, dostatecznie silnych i licznej załogi.

Częstochowa, a raczej Jasna Góra, jakkolwiek z natury i sztuką wzmocniona, liczyła się do pomniejszych i słabszych fortec Rzeczypospolitej. A co do załogi, można było mieć na zawołanie tylu ludzi, iluby kto chciał, ale księża umyślnie nie przeciążali murów załogą, by zapasów na dłużej starczyło.

Przeto byli i tacy, zwłaszcza między puszkarzami Niemcami, którzy byli przekonani, że Częstochowa się nie obroni.

Głupi! Mniemali, że jej nic więcej prócz murów nie broni i nie wiedzieli, co to są serca wiarą natchnięte. Ksiądz Kordecki, obawiając się, by nie szerzyli między ludźmi zwątpienia, wydalił ich, prócz jednego, który za mistrza w swej sztuce uchodził.

Tego samego dnia przyszedł do Kmicica stary Kiemlicz, wraz z synami z prośbą, żeby ich ze służby uwolnił.

Pana Andrzeja złość porwała.

— Psy! — rzekł — dobrowolnie się takiego szczęścia wyrzekacie i Najświętszej Panny nie chcecie bronić!... Dobrze, niechże tak będzie! Zapłatę za owe konie otrzymaliście, resztę zasług wnet odbierzecie!

Tu wydobył kieskę z sepetu i rzucił im ją na ziemię.

— Ot, wasza lafa! Wolicie z tamtej strony murów łupu szukać! Wolicie być zbójcami, niż obrońcami Maryi?!... Precz z moich oczu! Niegodniście się tu znajdować, niegodniście chrześcijańskiej społeczności!... Niegodniście taką śmiercią, jaka nas tu czeka, poledz!... Precz! precz!

— Niegodniśmy — odrzekł stary, rozkładając ręce i schylając głowę — niegodniśmy, by nasze ślepia spoglądały na splendory jasnogórskie. Furto niebieska! Gwiazdo zaranna! Ucieczko grzesznych! Niegodniśmy, niegodni!

Tu schylił się nisko, tak nisko, że aż zgiął się we dwoje, a zarazem wychudłą, drapieżną ręką chwycił kieskę leżącą na podłodze.

— Ale i za murami — rzekł — nie przestaniemy służyć... Wasza miłość... W nagłym razie damy znać o wszystkiem... Pójdziemy, gdzie trzeba... Uczynimy, co potrzeba... Wasza miłość będzie miała za murami sługi gotowe...

— Precz! — powtórzył pan Andrzej.

Oni zaś wyszli, bijąc pokłony, bo ich strach dławił i szczęśliwi

byli, że się tak wszystko skończyło. Pod wieczór nie było ich już w fortecy.

Noc nastała ciemna i dżdżysta. Byłto ósmy listopada. Nadchodziła wczesna zima i wraz z falami deszczu leciały na ziemię pierwsze płatki rozmokłego śniegu. Ciszę przerywały tylko przeciągłe głosy straży, wołające od baszty do baszty: "czuwaaaj!" — w ciemnościach przemykał się tu i owdzie biały habit księdza Kordeckiego. Kmicic nie spał; był na murach przy panu Czarnieckim, z którym gwarzyli o przebytych wojnach. Kmicic opowiadał przebieg wojny z Chowańskim, nic oczywiście nie mówiąc o tem, jaki sam brał w niej udział, a pan Piotr prawił o potyczkach ze Szwedami pod Przedborzem, Żarnowcami i w okolicach Krakowa, przyczem chełpił się on nieco i tak mówił:

— Robiło się co mogło. Każdego, widzisz, Szweda, którego udało mi się rozciągnąć, znaczyłem sobie węzełkiem na rapciach. Mam już sześć węzełków, a Bóg da, będzie więcej! Dlatego szablę coraz wyżej pod pachą noszę... Niedługo rapcie będą na nic, ale ich nie porozwiązuję, jeno w każdy węzeł każę turkus wprawić i po wojnie jako votum zawieszę. A waćpan maszże już z jednego Szweda na sumieniu?

— Nie! — odparł ze wstydem Kmicic. — Nieopodal Sochaczewa rozbiłem kupę, ale to było hultajstwo...

— Za to hyperboreów huk pewnie mógłbyś zakarbować?

— A, tych toby się znalazło.

— Ze Szwedami trudniej, bo rzadko który nie charakternik... Od Finów się sztuki zażywania czarnych nauczyli i każdy ma dwóch albo trzech dyabłów do posługi, a są tacy, którzy mają po siedmiu. Ci ich w czasie potyczki okrutnie strzegą... Ale jeśli tu przyjdą, to dyabli nic nie wskórają, bo tu w takim okręgu, z jakowego wieże widać, moc dyabelska nie może nic sprawić. Waszmość słyszałeś o tem?

Kmicic nie odpowiedział, pokręcił głową i począł nasłuchiwać pilnie.

— Idą! — rzekł nagle.

— Co? Na Boga! Co waćpan mówisz?

— Jazdę słyszę.

— To jeno wiatr z deszczem tętni.

— Na rany Chrystusa! to nie wiatr, to konie! Ucho mam wpraw-

ne okrutnie. Idzie moc jazdy... i blisko już są, jeno wiatr właśnie głuszy. Rata! Rata!!!

Głos Kmicica zbudził drzemiące w pobliżu i skostaniałe straże, lecz jeszcze nie przebrzmiał, gdy w dole, w ciemności ozwały się przeraźliwe dźwięki trąb i poczęły grać długo, żałośnie, strasznie. Zerwali się wszyscy ze snu w osłupieniu, w przerażeniu i pytali się siebie wzajem:

— Zali to nie trąby na sąd grają w tej głuchej nocy?...

Poczem zakonnicy, żołnierze, szlachta, poczęli wysypywać się na majdan. Dzwonnicy przybiegli do dzwonów i wkrótce ozwały się wszystkie: wielkie, mniejsze i małe, jakby na pożar, mieszając swe jęki z odgłosem trąb, które grać nie ustawały.

Rzucono zapalone lonty do beczek ze smołą, umyślnie przygotowanych i przywiązanych na łańcuchach, następnie pociągnięto je korbami w górę. Czerwone światło oblało podnóże skały i wówczas to Jasnogórcy ujrzeli najprzód oddział konnych trębaczy, najbliżej stojących, z trąbami przy ustach, za nim długie i głębokie szeregi rajtaryi z rozwianemi banderyami.

Trębacze grali jeszcze czas jakiś, jakby chcieli temi mosiężnemi dźwiękami wypowiedzieć całą potęgę szwedzką i do reszty przerazić zakonników; nakoniec umilkli; jeden z nich oderwał się od szeregu i powiewając białą chustą, zbliżył się do bramy.

— W imieniu jego królewskiej mości — zawołał trębacz — najjaśniejszego króla Szwedów, Gotów i Wandalów, wielkiego księcia Finlandyi, Estonii, Karelii, Bremy, Werdy, Szczecina, Pomeranii, Kaszubów i Wandalii, księcia Rugii, pana Ingryi, Wismarku i Bawaryi, hrabiego Paladyna Reńskiego Juliahu, Kliwii Bergu... otwórzcie!

— Puścić! — ozwał się głos księdza Kordeckiego.

Otworzono, ale tylko furtkę w bramie. Jeździec zawahał się przez chwilę, wreszcie zlazł z konia, wszedł w obrąb murów i spostrzegłszy gromadkę białych habitów, spytał:

— Który pomiędzy wami jest przełożonym zakonu?

— Jam jest! — rzekł ksiądz Kordecki.

Jeździec podał mu pismo z pieczęciami, sam zaś rzekł:

— Pan hrabia będzie u świętej Barbary oczekiwał na odpowiedź.

Ksiądz Kordecki wezwał natychmiast na naradę do definitoryum zakonników i szlachtę.

W drodze rzekł pan Czarniecki do Kmicica:

— Pójdź i ty!

— Pójdę jeno przez ciekawość. — rzekł pan Andrzej — bo zresztą nic tam po mnie! Nie gębą ja chcę odtąd Najświętszej Pannie służyć!

Gdy zasiedli wszyscy w definitoryum, ksiądz Kordecki oderwał pieczęcie i czytał co następuje:

"Nie tajno wam, zacni ojcowie, z jakim umysłem przychylnym i z jakiem sercem byłem zawsze dla tego świętego miejsca i dla waszego Zgromadzenia, również z jakąż stałością otaczałem was swą opieką i obsypywałem dobrodziejstwy. Dlatego pragnąłbym, żebyście byli tego przekonania, że przychylność, ani życzliwość moja dla was nie ustały w dzisiejszych czasach. Nie jako wróg, ale jako przyjaciel dziś przybywam. Bez obawy zdajcie pod moją opiekę was klasztor, jak tego wymagają czas i dzisiejsze okoliczności. Tym sposobem zyskacie spokojność, której pragniecie i bezpieczeństwo. Przyrzekam wam uroczyście, że świętości nietknięte pozostaną, dobra wasze nie będą zniszczone, sam koszta wszelkie poniosę, a nawet wam środków przysporzę. Rozważcie zatem pilnie: ile skorzystacie, jeśli kontentując mnie, klasztor mi wasz powierzycie. Pamiętajcie i o tem, ażeby większe was nieszczęście nie pościgło od groźnego generała Muellera, którego rozkazy tem cięższe będą, iż jest heretykiem i wiary prawdziwej nieprzyjacielem. Wówczas gdy on nadejdzie, musicie uledz konieczności, i spełnić jego wolę; i próżno żałować będziecie z bólem w duszach i ciałach, żeście słodką moją radą wzgardzili."

Pamięć niedawnych dobrodziejstw Wrzeszczowicza wzruszyła silnie zakonników. Byli tacy, którzy ufali jego przychylności i w jego radzie odwrócenie przyszłych klęsk i nieszczęść widzieć chcieli.

Lecz nikt nie zabierał głosu, czekając, co powie ksiądz Kordecki; on zaś milczał przez chwilę, tylko wargi jego poruszały się ichą modlitwą, poczem rzekł:

— Zaliby prawdziwy przyjaciel podchodził porą nocną i tak okropnym głosem surmów i trąb przerażał śpiące sługi Boże? Zaliby przybywał na czele tych tysięcy zbrojnych, które teraz pod murami stoją? Lecz nie przyjechał samopięć, samodziesięć, gdy jako dobroczyńca, radosnego jeno mógł się spodziewać przyjęcia? Co znaczą owe srogie zastępy, jeżeli nie groźbę, w razie,

gdybyśmy klasztoru oddać nie chcieli... Bracia najmilsi, wspomnijcie i na to, że nigdzie ów nieprzyjaciel nie dotrzymał słowa, ni przysiąg, ni salwy-gwardyi. Toż i my mamy królewską, którą nam dobrowolnie nadesłano, a w której wyraźna jest obietnica, że klasztor od zajęcia wolnym ma pozostać, a przecie stoją już pod jego murami, kłamstwo własne okropnym mosiężnym dźwiękiem otrębując. Bracia najmilsi! Niech każdy ku niebu serce podniesie, aby go Duch Święty oświecić raczył i radźcie potem, mówcie, co któremu sumienie i wzgląd na dobro świętego przybytku dyktuje.

Nastała cisza.

Wtem ozwał się głos Kmicica:

— Słyszałem w Kruszynie — rzekł — jako Lisola pytał: "A czy skarbca mnichom nie przetrząśniecie?"—na co Wrzeszczowicz, on, który stoi pod murami, odpowiedział: "Matka Boska talarów w przeorskiej skrzyni nie potrzebuje." Dziś tenże sam Wrzeszczowicz pisze wam, ojcowie wielebni, że sam koszta będzie ponosił i jeszcze wam majętności przysporzy. Zważcie szczerość jego!

Na to odrzekł ksiądz Mielecki, jeden ze starszych w zgromadzeniu, a przytem dawny żołnierz:

— My żyjem w ubóstwie, a to grosiwo na chwałę Najświętszej Panny przed ołtarzami Jej płonie. Lecz choćbyśmy je z ołtarzów zdjęli, aby bezpieczeństwo świętemu miejscu kupić, któż nam zaręczy, że go dotrzymają, że świętokradzkiemi rękoma nie zedrą wotów, szat świętych, nie pozabierają sprzętów kościelnych? Zali kłamcom ufać można?

— Bez prowincyala, któremuśmy posłuszeństwo winni, nic stanowić nie możemy! — rzekł ojciec Dobrosz.

A ksiądz Tomicki dodał:

— Wojna nie nasza rzecz, posłuchajmy więc, co powie owo rycerstwo, które się pod skrzydła Bogarodzicielki do tego klasztoru schroniło.

Tu oczy wszystkich zwróciły się na pana Zamojskiego, najstarszego wiekiem, powagą i urzędem, on zaś powstał i w następujące ozwał się słowa:

— O wasze losy idzie, czcigodni ojcowie. Porównajcie zatem potęgę nieprzyjaciela z tym oporem, jaki mu stawić możecie wedle sił i środków waszych, i idźcie za własną wolą. Jakiejże rady my, goście, udzielić wam możemy? Jednakże, ponieważ pytacie nas,

wielebni ojcowie, co czynić, więc odpowiadam: póki konieczność nas nie zmusi, niechże daleką od nas będzie myśl poddania. Haniebna albowiem i niegodziwa rzecz jest sromotną uległością niepewny pokój u wiarołomnego nieprzyjaciela okupować. Schroniliśmy się tu z własnej woli z żonami i dziećmi, oddając się w opiekę Najświętszej Pannie, z niezachwianą zatem wiarą postanowiliśmy żyć z wami, a jeśli tak Bóg zechce, to i umierać razem. Zaiste lepiej nam tak, niż przyjąć haniebną niewolę, lub patrzeć na zniewagę świętości... O! zapewne ta Matka Najwyższego Boga, która natchnęła piersi nasze żądzą bronienia Jej przeciw bezbożnym i bluźnierczym heretykom, przybędzie w pomoc pobożnym usiłowaniom sług swoich i sprawę słusznej obrony wesprze!...

Tu umilkł pan miecznik sieradzki; wszyscy rozważali słowa jego, krzepiąc się ich treścią, a Kmicic, jakto wprzód zawsze czynił, niż pomyślał, skoczył i do ust rękę starszego męża przycisnął.

Zbudowali się tym widokiem obecni, i każdy dobrej wróżby w tym młodzieńczym zapale dopatrzył, a chęć bronienia klasztoru wzrosła i ogarnęła serca.

Wtem zdarzyła się i nowa wróżba; za oknem refektarza rozległ się niespodziewanie drżący i stary głos żebraczki kościelnej Konstancyi, śpiewającej pieśń pobożną.

Próżno przegrażasz mi, husycie srogi,
Próżno dyabelskie wzywasz w pomoc rogi,
Napróżno palisz i krwie nie żałujesz,
Mnie nie zwojujesz!
Choćby tu przyszły poganów tysiące.
Choćby na smokach wojska latające,
Nic nie wskórają, miecz, ogień, ni męże.
Bo ja zwyciężę!

— Oto dla nas przestroga, — rzekł ksiądz Kordecki — którą nam Bóg przez usta starej żebraczki zsyła. Brońmy się, bracia, bo zaprawdę takich auxiliów nigdy jeszcze oblężeni nie mieli, jakie my mieć będziemy!

— Z radością gardła damy! — zawołał pan Piotr Czarniecki.

— Nie ufajmy wiarołomnym! Nie ufajmy heretykom, ani tym z katolików, którzy u złego ducha służbę przyjęli! — wołały inne głosy, nie dopuszczając do słowa tych, którzy oponować chcieli.

Postanowiono jeszcze wysłać dwóch księży do Wrzeszczowicza

z oświadczeniem, że bramy zostaną zamknięte i że oblężni bronić się będą, do czego im salwa gwardya królewska daje prawo.

Ale swoją drogą mieli posłowie prosić pokornie Wrzeszczowicza, aby zamiaru zaniechał, albo przynajmniej odłożył go na czas, dopókiby zakonnicy ojca Teofila Broniewskiego, prowincyała zakonu, który naówczas znajdował się na Śląsku, o pozwolenie nie spytali.

Posłowie, ojciec Benedykt Jaraczewski i Marceli Tomicki, wyszli za bramy, reszta oczekiwała ich z biciem serca w refektarzu, bo jednak tych mnichów, nieprzywykłych do wojny, strach brał na myśl, że godzina wybiła i ta chwila nadeszła, w której wybrać im trzeba pomiędzy obowiązkiem a gniewem i pomstą nieprzyjaciela.

Lecz ledwie upłynęło pół godziny, dwaj ojcowie ukazali się znów przed radą. Głowy ich były zwieszone na piersi, w twarzach mieli smutek i bladość. Milcząc podali księdzu Kordeckiemu nowe pismo Wrzeszczowicza, a ten wziął je z ich rąk i odczytał głośno. Było to ośm punktów kapitulacyi, pod któremi Wrzeszczowicz wzywał zakonników do poddania klasztoru.

Skończywszy czytać, przeor popatrzył długo w twarze zgromadzonych, nakoniec rzekł uroczystym głosem:

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! W imię Najczystszej i Najświętszej Bogarodzicielki! Na mury, bracia ukochani!

— Na mury! na mury! — rozległ się jeden okrzyk w refektarzu.

W chwilę potem jasny płomień oświecił podnóże klasztoru. Wrzeszczowicz kazał zapalić zabudowania przy kościele świętej Barbary. Pożar, ogarnąwszy stare domostwa, wzmagał się z każdą chwilą. Wkrótce słupy czerwonego dymu wzbiły się ku niebu, łuna rozlała się na chmurach.

Przy blasku ognia widać było oddziały konnych żołnierzy, przenoszących się szybko z miejsca na miejsce. Rozpoczęły się zwykłe swawole żołnierskie. Rajtarowie wyganiali z obór bydło, które biegając w przerażeniu, napełniało żałosnym rykiem powietrze; owce zbite w gromady, cisnęły się naoślep do ognia. Woń spalenizny rozeszła się na wszystkie strony i dosięgła wyniosłości murów klasztornych. Wielu z obrońców po raz pierwszy widziało krwawe oblicze wojny i tych serca zdrętwiały z przerażenia na widok ludzi gnanych przez żołnierzy i sieczonych mieczami, na widok niewiast ciąganych po majdanie za włosy. A przy krwa-

wych blaskach pożaru, widać było wszystko jak na dłoni. Krzyki a nawet słowa dochodziły doskonale do uszu oblężonych.

Ponieważ armaty klasztorne nie odezwały się dotychczas, więc rajtarowie zeskakiwali z koni i zbliżali się do samego podnóża, potrząsając mieczami i muszkietami.

Co chwila podpadł jaki tęgi chłop, przybrany w żółty kolet rajtarski i złożywszy ręce koło ust, łżył i groził oblężonym, którzy słuchali tego cierpliwie, stojąc przy działach i przy zapalonych lontach.

Pan Kmicic stał obok pana Czarnieckiego właśnie wprost kościołka i widział wszystko doskonale. Na jagody wystąpiły mu silne rumieńce, oczy stały się do dwóch świec podobne, a w ręku dzierżył łuk wyborny, który w spadku po ojcu dostał, a ten go pod Chocimem na jednym sławnym adze zdobył. Słuchał tedy pogróżek i wymysłów, a wreszcie, gdy olbrzymi rajtar przypadł pod skałę i począł wrzeszczeć, zwrócił się pan Andrzej do Czarnieckiego.

— Na Boga! przeciw Najświętszej Pannie bluźni... Ja niemiecką mowę rozumiem... bluźni strasznie!... Nie wytrzymam!

I zniżył łuk, lecz pan Czarniecki uderzył po nim ręką.

— Bóg go za bluźnierstwa skarze, — rzekł — a ksiądz Kordecki nie pozwolił pierwszym nam strzelać, chybaby oni zaczęli.

Ledwie domówił, gdy rajtar podniósł kolbę muszkietu do twarzy, strzał huknął, a kula, nie dobiegłszy murów, przepadła gdzieś między szczelinami skały.

— Teraz wolno? — krzyknął Kmicic.

— Wolno! — odpowiedział Czarniecki.

Kmicic, jako prawdziwy człek wojny, uspokoił się w jednej chwili. Rajtar, osłoniwszy dłonią oczy, patrzył za śladem swej kuli, a on naciągnął łuk przesunął palcem po cięciwie, aż zaświegotała jak jaskółka, a następnie wychylił się dobrze i zawołał:

— Trup! trup!

Jednocześnie rozległ się świst okrutnej strzały; rajtar upuścił muszkiet, podniósł obie ręce do góry, zadarł głowę i zwalił się na wznak. Przez chwilę rzucał się jak ryba wyjęta z wody i kopał ziemię nogami, lecz wnet wyciągnął się i pozostał bez ruchu.

— To jeden! — rzekł Kmicic.

— Zawiąż na rapciach! — rzekł pan Piotr.

— Sznura z dzwonnicy nie wystarczy, jeżeli Bóg pozwoli! — krzyknął pan Andrzej.

Wtem przypadł do trupa drugi rajtar, pragnąc zobaczyć, co mu jest, lub może kiesę zabrać, lecz strzała świsnęła i drugi padł na piersi pierwszego.

W tymże czasie ozwały się polowe armatki, które Wrzeszczowicz z sobą przyprowadził. Nie mógł on z nich zburzyć fortecy, jak również nie mógł myśleć o zdobyciu jej, mając z sobą tylko jazdę, ale na postrach księżom walić kazał. Jednakże początek był dany.

Ksiądz Kordecki pojawił się przy panu Czarnieckim, a z nim szedł ksiądz Dobrosz, który artyleryą klasztorną w czasie pokoju zawiadywał i w święta na wiwaty ognia dawał, dlatego za przedniego puszkarza między zakonnikami uchodził.

Przeor przeżegnał działo i wskazał je księdzu Dobroszowi, a ów rękawy zakasał i począł je rychtować w lukę pomiędzy dwoma budynkami, w której wichrzyło się kilkunastu jeźdźców, a pomiędzy nimi oficer z rapierem w ręku. Długo celował ksiądz Dobrosz, bo chodziło o jego reputacyę. Wreszcie wziął lont i przytknął do zapału.

Huk wstrząsnął powietrzem i dym widok zasłonił. Po chwili jednak wiatr go rozniósł. W luce między budynkami nie było już ani jednego jeźdźca. Kilku wraz z końmi leżało, inni pierzchli.

Zakonnicy poczęli śpiewać na murach. Trzask zapadających się budynków przy świętej Barbarze wtórował pieśni. Uczyniło się ciemniej, jeno nieprzejrzane roje iskier, wypchniętych w górę upadkiem belek, wzbiły się w powietrze.

Trąby znów zagrały w szeregach Wrzeszczowicza, lecz odgłos ich począł się oddalać. Pożar dogasał. Ciemność ogarniała podnóże Jasnej Góry. Tu i owdzie ozwało się rżenie koni, ale coraz dalsze, słabsze. Wrzeszczowicz cofał się ku Krzepicom.

Ksiądz Kordecki ukląkł na murze.

— Maryo! — Matko Boga jedynego!—rzekł silnym głosem — spraw, aby ten, który po nim nadejdzie, oddalił się również ze wstydem i próżnym gniewem w duszy.

Gdy tak się modlił, chmury nagle przerwały się nad jego głową i jasny blask miesiąca pobielił wieże, mury, klęczącego przeora i zgliszcza spalonych przy świętej Barbarze budowli.

## XXVIII.

Następnego dnia spokój zapanował pod stopami Jasnej góry, z czego korzystając zakonnicy, tem gorliwiej zajęli się przygotowaniem do obrony. Czyniono ostatnie poprawki w murach i kortynach, przygotowano jeszcze więcej narzędzi, służących do odparcia szturmów.

Ze Zdebowa, Krowodrzy, Lgoty i Grabówki zgłosiło się znów kilkunastu chłopów, którzy dawniej w łanowych piechotach sługiwali. Tych przyjęto i między obrońców wmieszano. Ksiądz Kordecki dwoił się i troił. Odprawiał nabożeństwo, zasiadał na radach, nie opuszczał chórów dziennych i nocnych, a w przerwach obchodził mury, rozmawiał ze szlachtą i wieśniakami, a przytem w twarzy i całej postawie miał taki jakiś spokój, jaki prawie tylko kamienne posągi mieć mogą. Patrząc na jego oblicze, pobladłe od niewywczasów, można było sądzić, że ten człowiek śpi snem słodkim i lekkim; lecz cicha rezygnacya i niemal wesołość paląca się w oczach, usta poruszające się modlitwą zwiastowały, że czuwa i myśli i modli się i ofiaruje za wszystkich. Z tej duszy, natężonej ze wszystkich sił ku Bogu, wiara płynęła spokojnym i głębokim strumieniem; wszyscy ją pili pełnemi usty i kto miał duszę chorą, ten zdrowiał. Gdzie zabielał jego habit, tam pogoda czyniła się na twarzach ludzkich, oczy się śmiały, a usta powtarzały: "Ojciec nasz dobry, pocieszyciel, obrońca, nadzieja nasza." Całowano jego ręce i habit, on zaś uśmiechał się jak zorza i szedł dalej, a koło niego, nad nim i przed nim szła ufność i pogoda.

Jednak i ziemskich środków ratunku nie zaniedbywał; ojcowie wchodzący do jego celi zastawali go, jeśli nie na klęczkach, to nad listami, które na wszystkie strony rozsyłał. Pisał do Wittemberga głównego komendanta w Krakowie, prosząc o miłosierdzie nad świętem miejscem, i do Jana Kazimierza, który w Opolu ostatnie czynił wysilenia, by niewdzięczny naród ratować; i do pana kasztelana kijowskiego, trzymanego przez własne słowo jakby na łańcuchu w Siewierzu; i do Wrzeszczowicza, i do pułkownika Sadowskiego Czecha i lutra, który pod Muellerem służył, a który duszę mając szlachetną, starał się odwieść groźnego jenerała od napadu na klasztor.

Dwie rady ścierały się z sobą przy Muellerze. Wrzeszczowicz

rozdrażniony oporem, jakiego doznał 8-go listopada, dokładał wszelkich usiłowań, aby jenerała skłonić do pochodu; obiecywał w zysku skarby niezmierne, twierdził, że w całym świecie zaledwie jest kilka kościołów, któreby Częstochowskiemu, vel Jasnogórskiemu w bogactwach sprostać mogły. Sadowski zaś w następujący sposób oponował:

— Jenerale, — mówił do Muellera — waszej miłości, któryś tyle znamienitych fortec zajął, że słusznie niemieckie miasta Poliorcetesem cię nazwały, wiadomo jest, ile krwi i czasu kosztować może choćby najsłabsza twierdza, jeśli oblężeni do ostatka, na śmierć i życie chcą się opierać.

— Ale mnichy nie będą się opierali? — pytał Mueller.

— Właśnie sądzę, że przeciwnie. Im są bogatsi, tem zacieklej bronić się będą, ufni nietylko w moc oręża, ale w świętość miejsca, które zabobon katolicki całego tego kraju, jako inviolatum (nietykalne) uważa. Dość wspomnieć na wojnę niemiecką; jakże często zakonnicy dawali przykład odwagi i zawziętości tam nawet, gdzie sami żołnierze o obronie zwątpili? Stanie się tak i teraz, tembardziej, że twierdza nie jest tak niepoczesna, za jaką hrabia Weyhard chce ją uważać. Leży na górze skalistej, w której trudno czynić podkopy; mury, jeśli nie były w dobrym stanie, to je już pewno do tej pory poprawiono, a co do zapasów broni, prochów i żywności, to tak bogaty klasztor ma niewyczerpane. Fanatyzm ożywi serca i...

— I myślisz, mości pułkowniku, że zmuszą mnie do odstąpienia?

— Tego nie myślę, mniemam jednak, że przyjdzie nam stać pod murami bardzo długo, przyjdzie posyłać po działa większe, niż te, które posiadamy, a wasza miłość masz do Prus ciągnąć. Trzeba obliczyć, ile czasu możemy poświęcić na Częstochówkę, bo gdyby nas król jegomość do pilniejszych spraw pruskich od oblężenia odwołał, mnisi niezawodnieby rozgłosili, żeś wasza miłość przez nich zmuszony był do odstąpienia. A wówczas, pomyśl wasza miłość, jak uszczerbek poniosłaby twa sława Poliorcetesa — nie mówiąc już o tem, że w całym kraju oporni znaleźliby zachętę? I tak... (tu zniżył głos Sadowski) sam tylko zamiar uderzenia na ów klasztor, niech się jeno rozgłosi, najgorsze uczyni wrażenie. Wasza miłość nie wiesz, bo tego żaden cudzoziemiec i nie papista wiedzieć nie może, czem jest Częstochowa dla tego narodu. Siła nam zależy na owej szlachcie, która się tak łatwo poddała, na o-

wych panach, na wojskach kwarcianych, które wraz z hetmanami na naszą stronę przeszły. Bez nich nie dokazalibyśmy tego, cośmy dokazali. Ich to w połowie, ba, w większej części rękoma objęliśmy tę ziemię, a niech jeden strzał pod Częstochową padnie... kto wie... może ani jeden Polak przy nas nie zostanie... Tak wielka jest siła zabobonu!... Może ona straszna wojna rozgorzeć!...

Mueller przyznawał w duszy słuszność rozumowaniom Sadowskiego, co więcej jeszcze: zakonników wogóle, a częstokowskich szczególnie miał za czarowników —czarów zaś bał się ów szwedzki jenerał więcej, niż dział — jednakże chcąc się podroczyć, a może dysputę przeciągnąć, rzekł:

— Waszmość tak mówisz, jakbyś był przeorem częstochowskim, albo... jakby od waszmości wypłatę okupu rozpoczęli?

Sadowski był żołnierz śmiały i popędliwy, a że znał swoją wartość, więc obrażał się łatwo:

— Ani słowa nie powiem więcej! — odpowiedział.

— Do narady wystarczy mi hrabia Weyhard, który ten kraj zna lepiej.

— Zobaczymy! — rzekł Sadowski i wyszedł z izby. Weyhard rzeczywiście zastąpił jego miejsce. Przyniósł on list, który tymczasem odebrał od pana krakowskiego Warszyckiego, z prośbą, aby klasztor zostawiono w spokoju; lecz z listu tego nieużyty człek wydobył wprost przeciwną radę:

— Proszą się! — rzekł Muellerowi — zatem wiedzą, iż się nie obronią!

W dzień później pochód na Częstochowę był w Wieluniu postanowiony.

Nie trzymano go nawet w tajemnicy, skutkiem czego z wieluńskiego konwentu O. Jacek Rudnicki mógł wyruszyć na czas do Częstochowy z wiadomością. Biedny zakonnik nie przypuszczał także ani przez chwilę, aby Jasnogórscy mieli się bronić. Pragnął ich tylko uprzedzić, by wiedzieli, czego się trzymać i uzyskali dobre warunki. Jakoż wieść przygnębiła umysły braci zakonnej. W niektórych dusze zwątlały odrazu. Lecz ksiądz Kordecki pokrzepił ich, zwątlałych rozgrzał żarem własnego serca, dni cudów obiecał, sam nawet widok śmierci miłym uczynił i tak zmienił ich tchnięciem ducha własnego, że mimowiednie poczęli się gotować na napad, jak zwykli byli gotować się na wielkie uroczystości kościelne, zatem z radością i solennie.

Jednocześnie świeccy naczelnicy załogi, pan miecznik sieradzki i pan Piotr Czarniecki, czynili także ostatnie przygotowania. Spalono mianowicie wszystkie kramy, które tuliły się naokół murów fortecznych, a które mogły szturmy nieprzyjaciołom ułatwić, nie oszczędzono nawet i budowli bliższych góry, tak że przez cały dzień pierścień płomieni otaczał twierdzę; lecz gdy z kramów, belek i tarcic zostały tylko popioły, działa klasztorne miały przed sobą puste przestrzenie, nienajeżone żadnemi przeszkodami. Czarne ich paszcze poglądały swobodnie w dal, jakby wyglądając nieprzyjaciela niecierpliwie i pragnąc go jaknajprędzej swym złowrogim grzmotem powitać.

Tymczasem zima zbliżała się szybkim krokiem. Dął ostry północny wiatr, błoto zmieniało się w grudę, a rankami wody, co płytsze, ścinały się w nikłe lodowe skorupki; ksiądz Kordecki, obchodząc mury, zacierał swe zsiniałe ręce i mówił:

— Bóg mrozy w pomoc nam ześle! Ciężko będzie bateryę sypać, podkopy czynić i przytem wy będziecie się do ciepłych izb luzować, a im akwilony zbrzydzą prędko oblężenie!

Lecz właśnie dlatego samego powodu Burchard Mueller pragnął skończyć prędko. Wiódł on z sobą dziewięć tysięcy wojska, przeważnie piechoty i dziewiętnaście dział. Miał także dwie chorągwie jazdy polskiej, ale na nią rachować nie mógł, raz dlatego, że jazdy do brania wzgórzystej twierdzy użyć nie mógł, powtóre, że ludzie szli niechętnie i z góry oświadczyli, że żadnego udziału w walkach nie wezmą. Szli raczej dlatego, by w razie zdobycia twierdzy, ochronić ją przed drapieżnością zwycięzców. Tak przynajmniej żołnierzom mówili pułkownicy; szli wreszcie, bo Szwed rozkazywał, bo wszystkie wojska krajowe w jego były obozie i komendy musiały słuchać.

Z Wielunia do Częstochowy droga krótka. W dniu 28 listopada miało się rozpocząć oblężenie. Lecz jenerał szwedzki liczył, że nie p[illegible]rwa nad parę dni i że drogą układów twierdzę zajmie.

Tymczasem ksiądz Kordecki przygotował dusze ludzkie. Przystępowano do nabożeństwa, jakby w wielkie i radosne święto, gdyby nie niepokój i bladość niektórych twarzy, możnaby było przypuszczać, że to wesołe a solenne "alleluja!" się zbliża. Sam przeor mszę celebrował, ozwały się wszystkie dzwony. Po mszy nabożeństwo nie ustawało jeszcze, wyszła bowiem wspaniała procesya na mury.

Księdza Kordeckiego, niosącego Przenajświętszy Sakrament, prowadzili pod ręce miecznik sieradzki i pan Piotr Czarniecki. Przodem szły pacholęta w komżach, niosące trybularze na łańcuszkach, bursztyn i myrrę. Przed i za baldachimem postępowały szeregi białej braci zakonnej, ze wzniesionemi ku niebu głowami i oczyma, ludzie różnego wieku, począwszy od starców zgrzybiałych, skończywszy na młodzieniaszkach, którzy zaledwie do nowicyatu weszli. Żółte płomyki świec chwiały się na wietrze, a oni szli i śpiewali. zatopieni całkiem w Bogu, jakoby niczego więcej na tym świecie niepamiętni. Za nimi widziałeś pogolone głowy szlacheckie, zapłakane oblicza niewiast, ale spokojne pod łzami, wiarą i ufnością natchnięte. Szli i chłopi w sukmanach, długowłosi, do pierwszych chrześcian podobni; małe dzieci, dziewczęta i chłopcy, zmieszani w tłumy, łączyli swe anielskie, cienkie głosiki z ogólnym chorałem. I Bóg słuchał tej pieśni, tego wylania serc, tego uciekania się z pod ucisków ziemskich pod jedyną ochronę skrzydeł Bożych. Wiatr ucichł, uspokoiło się powietrze, niebo wybłękitniało, a słońce jesienne rozlało łagodne, bladozłote, lecz ciepłe jeszcze światło na ziemię.

Orszak obszedł raz mury, lecz nie wracał, nie rozpraszał się — szedł dalej. Blaski od monstrancyi padały na twarz przeora i ta twarz wydawała się od nich jakoby złota także i promienista. Ksiądz Kordecki oczy trzymał zamknięte, a na ustach miał nieziemski prawie uśmiech szczęścia, słodyczy, upojenia; duszą był w niebie, w jasnościach, w odwiecznem weselu, w niezmąconym spokoju. Lecz jak gdyby stamtąd odbierał rozkazy, aby nie zapomniał o tym ziemskim kościele, o ludzłach i o twierdzy i o tej godzinie, która miała nadejść, chwilami zatrzymywał się, otwierał oczy, wznosił monstrancyę i błogosławił.

Więc błogosławił lud, wojsko, chorągwie kwitnące jak kwiaty, a migotliwe jak tęcza; potem błogosławił mury i wzgórze na okolice patrzące, potem błogosławił działa mniejsze i większe, kule ołowiane, żelazne, naczynia z prochem, dyłowania przy armatach, stosy srogich narzędzi do odparcia szturmu służących; potem błogosławił wioskom na dalekościach leżącym i błogosławił północy, południu, wschodowi i zachodowi, jak gdyby chciał na całą okolicę, na całą tę ziemię moc Bożą rozciągnąć.

Biła godzina druga z południa, procesya była jeszcze na murach. A wtem na krańcach, gdzie niebo zdawało się stykać z ziemią i

rozciągały się mgły sinawe, w tych mgłach właśnie zamajaczało coś i poczęło się poruszać, wypełzały jakieś kształty, z początku mętne, które zwierając się stopniowo, stawały się coraz wyraźniejsze. Okrzyk nagle uczynił się na końcu procesyi:

— Szwedzi! Szwedzi idą!

Potem zapadła cisza ,jakby serca i języki zdrętwiały; dzwony tylko biły dalej. Lecz w ciszy zabrzmiał głos Kordeckiego, donośny, choć spokojny:

— Bracia, radujmy się! godzina zwycięstw i cudów się zbliża!

A w chwilę później:

— Pod Twoją obronę uciekamy się, Matko, Pani, Królowa nasza!

Tymczasem chmura szwedzka zmieniła się w niezmiernego węża, który przepełzał jeszcze bliżej. Widać już było jego straszliwe dzwona. Skręcał się, rozkręcał, czasem zamigotał pod światło połyskliwą stalową łuską, czasem ściemniał i pełzł, pełzł, wychylał się z oddalenia...

Wkrótce oczy patrzące z murów mogły już szczegółowo wszystko rozpoznać. Najprzód szła jazda, za nią czworoboki piechoty; każdy pułk tworzył długi prostokąt, nad którym wznosił się w górze mniejszy, utworzony przez dzidy sterczące; dalej, hen, za piechotą wlokły się armaty z paszczami odwróconemi w tył i schylonemi ku ziemi.

Leniwe ich cielska, czarne lub żółtawe, połyskiwały złowrogo w słońcu; jeszcze za niemi trzęsły się po nierównej drodze jaszcze z prochem i nieskończony szereg wozów z namiotami i wszelkiego rodzaju wojennem sprzętem.

Groźny ale piękny to był widok tego pochodu regularnego wojska, które jakby dla postrachu przedefilowało przed oczyma Jasnogórców. Następnie od całości oderwała się jazda i szła kłusem, kolebając się, jak poruszana wiatrem fala. Wnet rozpadł się na kilkanaście większych i mniejszych części. Niektóre oddziały przesuwały się ku fortecy; inne w mgnieniu oka rozlały się po okolicznych wioskach w pościgu za łupem; inne nakoniec poczęły objeżdżać twierdzę, oglądać mury, badać miejscowość, zajmować pobliższe budowle. Pojedyńczy jeźdźcy przelatywali ciągle co koń wyskoczy od większych kup ku głębokim oddziałom piechoty, dając znać oficerom, gdzie można się umieścić.

Tętent i rżenie koni, krzyki, nawoływania, szmer kilku tysięcy

głosów i głuchy hurkot armat dolatywały doskonale do uszu oblężonych, którzy dotychczas stali spokojnie na murach, jakby na widowisku, spoglądając zdziwionemi oczyma na ów wielki ruch i krętaninę wojsk nieprzyjacielskich.

Doszły wreszcie pułki piechotne i poczęły błąkać się naokoło twierdzy, szukając miejsc najodpowiedniejszych do umocnienia się w pozycyach. Tymczasem uderzono na Częstochówkę, folwark przyległy klasztorowi, w którym nie było wojska, jeno chłopi pozamykani w chałupach.

Pułk Finnów, który doszedł był tam pierwszy, uderzył z wściekłością na bezbronne chłopstwo. Wyciągano ich za włosy z chałup i poprostu zarzynano opornych; resztę ludności wypędzono z folwarku; jazda uderzyła na nią i rozegnała na cztery wiatry.

Parlamentarz z wezwaniem Muellera po poddania zatrąbił jeszcze przedtem do wrót kościelnych, ale obrońcy na widok rzezi i srogości żołnierskiej w Częstochówce, odpowiedzieli ogniem działowym.

Teraz bowiem, gdy ludność miejscowa została wypędzona ze wszystkich pobliższych budowli, a roztasowywali się w nich Szwedzi, należało je zniszczyć coprędzej, by z poza ich zasłony nieprzyjaciel nie mógł szkodzić klasztorowi. Zadymiły się mury klasztorne naokół, jak boki okrętu otoczonego burzą i rozbójnikami. Ryk dział wstrząsnął powietrzem, aż mury klasztorne zadrżały, a szyby w kościele i zabudowaniach poczęły dźwięczeć. Kule ogniste, w postaci białawych chmurek, opisując złowrogie łuki, padały na schroniska szwedzkie, łamały krokwie, dachy, ściany i wnet słupy dymu podnosiły się z miejsc, w które kule padały.

Pożar ogarniał budynki.

Zaledwie roztasowane pułki szwedzkie umykały co duchu z zabudowań, a niepewne nowych stanowisk, przewalały się w różne strony. Bezład począł się w nie wkradać. Usuwano nieustawione jeszcze działa, by uchronić je przed pociskami. Mueller zdumiał; nie spodziewał się ani takiego przyjęcia, ani takich puszkarzy na Jasnej Górze.

Tymczasem nadchodziła noc, a że potrzebował wprowadzić w ład wojska, więc wysłał trębacza z prośbą o zawieszenie broni.

Ojcowie zgodzili się łatwo.

W nocy jednak spalono jeszcze ogromny śpichrz z wielkiem zapasami żywności, w którym stał pułk westlandzki.

Pożar ogarnął budynek tak szybko, pociski zaś padały jedne za drugiemi tak celnie, że westlandczycy nie zdołali unieść muszkietów, ani nabojów, które też wybuchły w ogniu, roznosząc daleko naokoło płonące głownie.

Szwedzi nie spali w nocy; czynili przygotowania, sypali baterye pod armaty, napełniali kosze ziemią, urządzali obóz. Żołnierz, łubo przez tyle lat wojny i w tylu bitwach zaprawiony, z natury dzielny i wytrwały, nie czekał radośnie dnia następnego. Pierwszy dzień przyniósł klęskę.

Armaty klasztorne wyrządziły tak znaczne szkody w ludziach, że najstarsi wojownicy w głowę zachodzili, przypisując je nieostrożnemu obejściu fortecy i zbytniemu zbliżeniu się do murów.

Lecz owo jutro, choćby przyniosło zwycięstwo, nie obiecywało sławy, bo czemże było wzięcie nieznacznej twierdzy i klasztoru dla zdobywców tylu miast znamienitych i stokroć lepiej warownych? Tylko żądza bogatego łupu podtrzymywała ochotę, ale natomiast owa trwoga duszna, z którą polskie sprzymierzone chorągwie postępowały pod przesławną Jasną Górę, udzieliła się jakoś i Szwedom. Tylko, że jedni drżeli przed myślą świętokradztwa, drudzy zaś obawiali się czegoś nieokreślonego, z czego sami nie zdawali sobie sprawy, a co nazywali ogólnem mianem czarów. Wierzył w nie sam Burchard Mueller, jakże nie mieli wierzyć żołdacy?

Zauważono zaraz, że gdy Mueller zbliżał się do kościoła świętej Barbary, koń pod nim stanął nagle, podał się w tył, rozwarł chrapy, stulił uszy i parskając trwożnie, nie chciał naprzód postąpić. Stary jenerał nie pokazał po sobie trwogi, jednak następnego dnia wyznaczył to stanowisko księciu Heskiemu, sam zaś odciągnął z większemi działami w stronę północną klasztoru, ku wsi Częstochowie. Tam przez noc sypał szańce, by z nich nazajutrz uderzyć.

Ledwie tedy rozbłysło na niebie, rozpoczęła się walka artyleryi; lecz tym razem pierwsze zagrały działa szwedzkie. Nieprzyjaciel nie myślał zrazu czynić w murach wyłomu, by przezeń do szturmu się rzucić; chciał tylko przerazić, zasypać kulami kościół i klasztor, wzniecić pożary, podruzgotać działa, pobić ludzi, rozszerzyć trwogę.

Na mury klasztorne wyszła znów procesya, bo nic tak nie krzepiło walczących, jak widok Przenajświętszego Sakramentu i spokojnie z nim idących zakonników. Działa klasztorne odpowiadały grzmotem na grzmot, błyskawicę na błyskawicę, ile mogły, ile ludziom sił i tchu w piersiach starczyło. Ziemia też zdawała się trząść w posadach. Morze dymu rozciągało się nad klasztorem i kościołem.

Co za chwile, co za widoki dla ludzi — a wielu takich było w twierdzy, którzy nigdy w życiu nie patrzyli w krawe oblicze wojny!

Ów huk nieustający, błyskawice, dymy, wycia kul rozdzierających powietrze, straszliwy chichot granatów, szczękanie pocisków o bruki, głuche uderzenia o ściany, dźwięk rozbijanych szyb, wybuchy pękających kul ognistych, świst ich skorup, chrobot i trzaskanie dylowań, chaos, zniszczenie, piekło!...

W czasie tego ani chwili spoczynku, ani oddechu dla wpół zduszonych dymem piersi, coraz nowe stada kul, a wśród zamieszania głosy przerażające w różnych stronach twierdzy, kościoła i klasztoru.

— Pali się! wody! wody!

— Na dachy z bosakami!... Płacht więcej!

Na murach zaś okrzyki rozgrzanych walką żołnierzy:

— Wyżej działo!... wyżej!... pomiędzy budynki!... ognia!...

Około południa dzieło śmierci wzmogło się jeszcze. Zdawać się mogło, że gdy dymy opadną, oczy szwedzkie ujrzą tylko stos kul i granatów na miejscu klasztoru. Kurzawa wapienna ze ścian obitych kulami wzbijała się i mieszając się z dymami, przesłaniała świat. Wyszli księża z relikwiami egzorcyzmować owe tumany, aby nie przeszkadzały obronie.

Huk dział stał się przerywany, ale tak gęsty, jak oddech zdyszanego smoka.

Nagle na wieży, świeżo odbudowanej po zeszłorocznym pożarze, ozwały się trąby wspaniałą harmonią pobożnej pieśni. Płynęła z góry ta pieśń i słychać ją było naokół, słychać wszędy, aż na bateryach szwedzkich. Do dźwięku trąb dołączyły się wkrótce głosy ludzkie i wśród ryku, świstu, okrzyków, łoskotu, grzechotania muszkietów, rozległy się słowa:,

Tu wybuchło kilkanaście granatów; trzask dachówek i krokwi,

a potem krzyk: "wody!" — targnął słuchem i... znów pieśń płynęła dalej spokojnie:

Bogarodzica, Dziewica,
Bogiem sławiona Marya!...
U Twego Syna, hospodyna,
Spuści nam, ziści nam
Chlebny czas, zbożny czas...

Kmicic, stojąc na murach przydziale, naprzeciw wsi Częstochowy, w której były stanowiska Muellera i skąd największy szedł ogień, odtrącił mniej wprawnego puszkarza i sam pracować zaczął. A pracował tak dobrze, że wkrótce, chociaż to był listopad i dzień chłodny, zrzucił tołub lisi, zrzucił żupan i w samych tylko szarawarach i koszuli pozostał.

Ludziom, nieobeznanym z wojną, rosło serce na widok tego żołnierza z krwi i kości, dla którego to wszystko co się działo, ów ryk armat, stada kul, zniszczenie, śmierć — zdawały się być tak zwyczajnym żywiołem, jak ogień dla salamandry.

Brew miał namarszczoną, ogień w oczach, rumieńce na policzkach i jakąś dziką radość w twarzy. Co chwila pochylał się na działo, cały zajęty mierzeniem, cały oddany walce, na nic niepamiętny; celował, zniżał, podnosił, wreszcie krzyczał: "ognia!" — a gdy Soroka przykładał lont, on biegł na zrąb, patrzył i od czasu do czasu wykrzykiwał:

— Pokotem! pokotem!

Orle jego oczy przenikały przez dymy, kurzawę; skoro między budynkami ujrzał gdzie zbitą masę kapeluszów lub hełmów, wnet druzgotał ją i rozpraszał celnym pociskiem, jakby piorunem.

Chwilami wybuchał śmiechem, gdy większe, niż zwykle, sprawił zniszczenie. Kule przelatywały nad nim i obok — on ani spojrzał na żadną, nagle po strzale poskoczył na zrąb, wpił oczy wdal i zakrzyknął:

— Działo rozbite!... Tam teraz jeno trzy sztuki grają!...

Do południa ani odetchnął. Pot zlewał mu czoło, koszula dymiła; twarz miał uczernioną sadzą, a oczy świecące.

Sam pan Piotr Czarniecki podziwiał celność jego strzałów i kilkakrotnie w przerwach rzekł mu:

— Waści wojna nie nowina! To i widać zaraz! Gdzieś się tak wyuczył?

O godzinie trzeciej na bateryi szwedzkiej zamilkło drugie dzia-

ło, rozbite celnym Kmicicowym strzałem. Resztę pozostałych ściągnięto w jakiś czas później z szańców. Widocznie Szwedzi uznali tę pozycyę za niemożliwą do utrzymania.

Kmicic odetchnął głęboko.

— Spocznij! — rzekł mu Czarniecki.

— Dobrze! jeść mi się chce — odpowiedział rycerz. — Soroka! daj co masz pod ręką!

Stary wachmistrz uwinął się wprędce. Przyniósł gorzałki w blaszance i ryby wędzone. Pan Kmicic jeść począł chciwie, podnosząc od czasu do czasu oczy i patrząc na przelatujące nieopodal granaty, tak jakby patrzył na wrony.

A jednak leciało ich dosyć, nie od Częstochowy, ale właśnie z przeciwnej strony; mianowicie te wszystkie, które przenosiły klasztor i kościół.

— Lichych mają puszkarzów, za wysoko podnoszą działa! — rzekł pan Andrzej, nie ustając jeść — patrzcie, wszystko przenosi i idzie na nas!

Słuchał tych słów młody mniszeczek, siedemnastoletnie pacholę, które ledwie do nowicyatu wstąpiło. Podawał on ciągle poprzednio kule do nabijania i nie ustępował, chociaż każda żyłka trzęsła się w nim ze strachu, bo pierwszy raz wojnę oglądał. Kmicic imponował mu w niepowywiedziany sposób swym spokojem i teraz, usłyszawszy jego słowa, przygarnął się mimowolnym ruchem ku niemu, jak by chcąc szukać opieki i schronienia pod skrzydłami tej potęgi.

— Zali mogą nas dosięgnąć z tamtej strony? — zapytał.

— Czemu nie! — odpowiedział pan Andrzej. — A co miły braciszku, także się to boisz?

— Panie! — odpowiedziało drżące pacholę, — wyobrażałem sobie wojnę straszną, alem nie myślał, żeby była tak straszna!

— Nie każda kula zabija, inaczejby już ludzi nie było na świecie, bo matkiby nie nastarczyły rodzić.

— Najwięcej panie, strach mi owych kul ognistych, owych granatów. Czemuto one rozpękają się z takim hukiem?... Matko Boża ratuj!... i tak okrutnie ludzi ranią?...

— Ja ci wytłómaczę, zyskasz na eksperyencyi, ojczyku. Owóż kula to jest żelazna, a wewnątrz drążona, prochami naładowana. W jednem miejscu ma zaś dziurę dość małą, w której tuleja z papieru, albo czasem z drewna siedzi.

— Jezu Nazareński! tuleja siedzi?

— Tak jest! zaś w tulei kłak wysiarkowany, który się przy wystrzale zapala. Owóż kula powinna upaść tuleją na ziemię, by ją sobie wbić do środka, wonczas ogień dochodzi do prochów i kulę rozrywa. Wiele wszelako kul pada nie na tuleję, ale i to nic nie szkodzi, bo przecie jak ogień dojdzie, to wybuch nastąpi...

Nagle Kmicic wyciągnął rękę i począł mówić szybko:

— Patrz! patrz! oto! ot masz eksperyment!

— Jezus — Marya — Józef! — krzyknął braciszek na widok nadlatującego granatu.

Granat tymczasem spadł na majdan i warcząc, wichrząc, zaczął podskakiwać po bruku, wlokąc za sobą dymek błękitny, przewrócił się raz i drugi, przytoczył aż pod mur, na którym siedzieli, wpadł w kupę mokrego piasku, usypaną wysoko aż do blanków i tracąc zupełnie siłę, pozostał bez ruchu.

Padł na szczęście tuleją do góry, lecz kłak nie zgasł, bo dym podniósł się natychmiast.

— Na ziemię!... na twarze!... — poczęły wrzeszczeć przerażone głosy. — Na ziemię! na ziemię!

Lecz Kmicic w tej samej chwili zsunął się po kupie piasku, błyskawicznym ruchem dłoni chwycił za tuleję, szarpnął, wyrwał i wznosząc rękę z palącym się kłakiem, począł wołać:

— Stawajcie! Jakoby kto psu zęby wybrał! Już on teraz i muchy nie zabije!

To rzekłszy, kopnął leżący czerep. Obecni zdrętwieli, widząc ten nadludzkiej odwagi uczynek i przez czas jakiś nikt słowa nie śmiał przemówić; nakoniec Czarniecki zakrzyknął:

— Szalony człecze! Toż gdyby pękło, na prochby cię zmieniło!

A pan Andrzej rozśmiał się tak szczerze, że aż błysnął zębami jak wilk.

— Albo to nam prochów nie trzeba? Nabilibyście mną armatę i jeszczebym po śmierci napsuł Szwedów!

— Niechże cię kule biją! Gdzie u ciebie bojaźń mieszka?

Młody mniszek złożył ręce i poglądał z niemem uwielbieniem na Kmicica. Lecz widział jego czyn i ksiądz Kordecki, który właśnie zbliżał się w tę stronę. Ten nadszedł, wziął pana Andrzeja obu rękoma za głowę, następnie położył na niej znak krzyża.

— Tacy jak ty nie poddadzą Jasnej Góry! — rzekł — aleć zakazuję żywot potrzebny narażać. Już strzały cichną i nieprzy-

jaciel schodzi z pola; weźże tę kulę, wysyp z niej proch i ponieś ją Najświętszej Pannie do kaplicy. Milszy jej będzie ten podarek, niźli te perły i jasne kamuszki, któreś Jej podarował!

— Ojcze — odrzekł rozrzewniony Kmicic — co tam wielkiego... Jabym dla Najświętszej Panny... Ot słów w gębie nie staje... Jabym na męki, na śmierć... Jabym nie wiem co był gotów uczynić, byle jej służyć....

I łzy błysły w oczach pana Andrzeja, a ksiądz Kordecki rzekł:

— Chodźże do Niej i z temi łzami, póki nie obeschną. Łaska Jej spłynie na ciebie, uspokoi cię,pocieszy, sławą i czcią przyozdobi!

To rzekłszy, wziął go pod ramię i poprowadził do kościoła, pan Czarniecki zaś spoglądał za nimi czas jakiś, wreszcie rzekł:

— Siła widziałem w życiu odważnych kawalerów, którzy za nic sobie pericula ważyli, ale ten Litwin to chyba d...

Tu uderzył się w gębę dłonią pan Piotr, aby sprośnego imienia w świętem miejscu nie wymówić.

---

## XXIX.

Walka na armaty nie przeszkadzała wcale układom. Postanowili korzystać z nich ojcowie za każdym razem, chcąc łudzić nieprzyjaciela i zwłóczyć, aby przez ten czas doczekać się jakiejkolwiek pomocy, albo przynajmniej zimy surowej; Mueller zaś nie przestawał wierzyć, że zakonnicy pragną tylko najlepsze warunki wytargować.

Wieczorem więc, po owej strzelaninie, wysłał znów pułkownika Kuklinowskiego z wezwaniem do poddania się. Temu Kuklinowskiemu pokazał przeor salwę-gwardyę królewską, którą odrazu zamknął mu usta. Lecz Mueller miał późniejszy rozkaz królewski zajęcia Bolesławia, Wielunia, Krzepic i Częstochowy.

— Zanieś im waszmość ten rozkaz — rzekł do Kuklinowskiego — bo tak myślę, że po okazaniu go zbraknie im materyi do wykrętów.

Lecz się mylił.

Ksiądz Kordecki oświadczył, że jeśli rozkaz obejmuje Częstochowę, niechże ją sobie generał szczęśliwie zajmuje, przyczem mo-

że być pewny, że ze strony klasztoru nie dozna żadnej przeszkody, ale Częstochowa nie jest Jasną Górą, ta zaś ostatnia nie jest w rozkazie wymieniona.

Usłyszawszy tę odpowiedź Mueller, poznał, że z bieglejszymi od siebie dyplomatami ma do czynienia; jemu to właśnie zabrakło racyi — pozostawały tylko armaty.

Jednakże przez noc trwało zawieszenie broni. Szwedzi pracowali usilnie nad wzniesieniem potężniejszych szańców; jasnogórcy opatrywali szkody wczorajsze i ze zdumieniem przekonali się, że ich nie było. Gdzieniegdzie połamane dachy i krokwie, gdzieniegdzie płaty tynku opadłego z murów — oto wszystko. Z ludzi nikt nie poległ, nikt nie został nawet skaleczony. Ksiądz Kordecki, obchodząc mury, mówił z uśmiechem do żołnierzy:

— Patrzcie jeno, nie tak straszny ów nieprzyjaciel i jego bombardy, jak mówiono. Po odpuście nieraz większe szkody się trafiają. Opieka Boska nas strzeże, ręka Boża nas piastuje, ale wytrwajmy tylko, to jeszcze większe cuda zobaczymy!

Nadeszła niedziela, święto Ofiarowania Najświętszej Panny. W nabożeństwie nie było przeszkody, bo Mueller oczekiwał na ostateczną odpowiedź, którą zakonnicy obiecali przesłać po południu.

Tymczasem pomni na słowa Pisma, jako dla przestrzeżenia Filistynów Izrael obnosił arkę Bożą koło obozu, chodzili znów procensyonalnie z monstrancyą.

List wysłano o godzinie drugiej, ale nie z poddaniem się, tylko z powtórzeniem odpowiedzi danej Kuklinowskiemu, iż kościół i klasztor zowią się Jasną Górą, miasto zaś Częstochowa wcale do klasztoru nie należy.

"Dlatego to błagamy usilnie jego dostojność — pisał ksiądz Kordecki — abyś zechciał zostawić w pokoju Zgromadzenie nasze i kościół Bogu i Najświętszej Bogarodzicy poświęcony, iżby w nim cześć Boga na przyszłość pozostała, gdzieby zarazem Majestat Boski błagano o zdrowie i powodzenie najjaśniejszego króla. Tymczasem my niegodni, zanosząc nasze prośby, polecamy się najusilniej łaskawym względem waszej dostojności, pokładając ufność w jego dobroci, po której i na przyszłość wiele sobie obiecujemy..."

Byli przy czytaniu tego listu obecni: Wrzeszczowicz, Sadowski, Horn, gubernator Krzepicki, de Fossis, znakomity inżynier, na-

koniec książę Heski, człowiek młody, bardzo wyniosły, który lubo podkomendny Muellera, chętnie mu swą wyższość okazywał. Ten więc uśmiechnął się złośliwie i powtórzył z przyciskiem zakończenie listu:

— Po dobroci waszej wiele sobie obiecują; to przymówka o kwestę, panie generale. Zadam wam jedno pytanie, mości panowie, czy mnichy lepiej się proszą, czy lepiej strzelają?

— Prawda! — rzekł Horn. — Przez te pierwsze dni straciliśmy tylu ludzi, i dobra bitwa więcej nie weźmie!

— Co do mnie, — mówił dalej książę Heski — pieniędzy nie potrzebuję, sławy nie zyskam, a nogi w tych chałupach odmrożę. Co za szkoda, żeśmy do Prus nie poszli; kraj bogaty, wesoły, jedno miasto lepsze od drugiego.

Mueller, który czynił prędko, ale myślał powoli, dopiero w tej chwili wyrozumiał sens listu, poczerwieniał więc i rzekł:

— Mnisi drwią z nas, mości panowie!

— Intencyi nie było, ale na jedno to wychodzi! — odrzekł Horn.

— Więc do szańców! Mało było wczoraj ognia i kul!

Rozkazy dane przeleciały szybko z jednego końca linij szwedzkich w drugi. Szańce pokryły się sinawemi chmurami, klasztor odpowiedział wnet z całą energią. Tym razem jednak działa szwedzkie lepiej ustawione, większą poczęły czynić szkodę. Sypały się bomby ładowane prochem, ciągnące za sobą warkocz płomienia. Rzucano także rozpalone pochodnie i kłęby konopi przesiąkniętych żywicą.

Jak czasem stada wędrownych żórawi, znużone długim lotem obsiadają wzgórza wyniosłe, tak roje tych ognistych posłanników padały na szczyty kościoła i na drewniane dachy zabudowań. Kto nie brał udziału w walce, kto nie był przy armatach, ten siedział na dachach. Jedni czerpali wodę w studniach, drudzy ciągnęli sznurami wiadra, trzeci tłumili pożar mokremi płachtami. Niektóre kule łupiąc belki i krokwie spadały na strychy i wnet dym a woń spalenizny napełniała wnętrze budynków. Lecz i na strychach czyhali obrońcy z beczkami wody. Najcięższe bomby przebijały nawet i pułapy. Mimo nadludzkich wysileń, mimo czujności, zdawało się, że pożoga prędzej czy później musi ogarnąć klasztor. Pochodnie i kłęby konopne, spychane drągami z dachów, utworzyły pod ścianami stosy gorejące. Okna pękały od

żaru, a niewiasty i dzieci, zamknięte w izbach, dusiły się dymem i gorącem.

Ledwie pogaszono jedne pociski, ledwie wody spłynęły po zrębach, leciały nowe stada rozpalonych kul, płonących szmat, skier żywego ognia. Cały klasztor był nim objęty, rzekłbyś: niebo otworzyło się nad nim i ulewa piorunów nań spada; jednak gorzał a nie palił się, płonął i nie zapadał w rumowisko; co więcej, wśród tego morza płomieni śpiewać począł, jak ongi młodzieńcy w piecu ognistym.

Albowiem tak samo, jak dnia wczorajszego, ozwała się pieśń z wieży z towarzyszeniem trąb. Ludziom stojącym na murach i pracującym przy działach, którzy w każdej chwili sądzić mogli że tam już wszystko płonie i w gruzy się wali za ich plecami, pieśń ta była jakby balsam gojący, zwiastowała im bowiem ciągle i ustawicznie, że stoi klasztor, stoi kościół, że płomień dotąd nie zwyciężył wysileń ludzkich. Odtąd też weszło w zwyczaj podobną harmonią osładzać sobie niedolę oblężenia i straszliwy krzyk srożącego się żołnierstwa oddalać od uszu niewieścich.

—Lecz i w obozie szwedzkim czyniła owa pieśń i kapela niemałe wrażenie. Żołnierze na szańcach słuchali jej najprzód, z podziwem, potem z zabobonnym strachem.

— Jakto? — mówili między sobą — rzuciliśmy na ów kurnik tyle żelaza i ognia, że niejedna potężna twierdza z popiołem i dymem jużby uleciała, a oni sobie wygrywają radośnie... Co to jest?...

— Czary! — odpowiadali inni.

— Kule się tamtych ścian nie imają. Z dachów granaty staczają się, jakobyś bochenkami rzucał. Czary! czary! — powtarzali. — Nic nas tu dobrego nie spotka! Starszyzna nawet gotowa była przypisać tym dźwiękom tajemnicze jakieś znaczenie. Lecz niektórzy tłómaczyli to inaczej i Sadowski rzekł głośno, umyślnie, aby go Mueller mógł słyszeć.

— Musi się im dobrze dziać, skoro się weselą, czyli, że dotąd napróżno tylko napsuliśmy tyle prochów.

— Których nie mamy wiele — rzekł książę Heski.

— Ale za to mamy wodza Poliorcetesa — odrzekł Sadowski takim tonem, że nie można było wyrozumieć, czy drwi, czy chce Muellerowi pochlebić.

Lecz ten wziął to widocznie przeciw sobie, bo wąsa przygryzł.

— Zobaczymy, czy za godzinę będą jeszcze grali! —rzekł, zwracając się do swego sztabu.

I rozkazał podwoić ogień.

Lecz rozkazy jego spełniono zbyt gorliwie. W pośpiechu za wysoko podnoszono działa, skutkiem czego kule poczęły przenosić. Niektóre dolatywały, szybując nad kościołem i klasztorem, aż do przeciwległych szańców szwedzkich; tam druzgotały dyłowania, rozrzucały kosze, zabijały ludzi.

Godzina jedna upłynęła, potem druga. Z wieży kościelnej rozlegała się ciągle uroczysta muzyka.

Mueller stał z perspektywą w Częstochowie. Patrzył długo.

Obecni zauważyli, że ręka, którą trzymał perspektywę przy oczach, drżała mu coraz silniej; nakoniec zwrócił się do obecnych i zakrzyknął:

— Strzały nie szkodzą wcale kościołowi!

Tu gniew niepohamowany, szalony, ogarnął starego wojownika. Cisnął lunetę o ziemię, aż rozprysła się w sztuki.

— Wściekne się od tej muzyki! — wrzasnął.

W tej chwili inżynier de Fossis przygalopował do niego.

— Panie generale, — rzekł — podkopu nie można robić. Pod warstwą ziemi skała leży. Tutaj trzebaby górników.

Mueller zaklął; lecz jeszcze nie skończył przekleństwa, gdy znowu oficer z częstochowskiego szańca przybiegł pędem i salutując po żołniersku, ozwał się:

— Największe działo nam rozbito! Czy zaciągnąć drugie ze Lgoty?

Ogień istotnie osłabł nieco — muzyka rozlegała się coraz uroczyściej.

Mueller odjechał do swej kwatery, nie rzekłszy ani słowa. Lecz nie wydał rozkazów wstrzymujących walkę. Postanowił zmęczyć oblężonych. Wszak tam w twierdzy zaledwie dwustu ludzi było załogi, on zaś miał ciągle świeżych żołnierzy do zmiany.

Nadeszła noc, działa grzmiały bezustanku; lecz klasztorne odpowiadały żywo, żywiej nawet, niż w dzień, bo ognie szwedzkie wskazywały im cel gotowy. Nieraz bywało, że ledwie żołnierze obsiedli ognisko i wiszący w niem kocioł, gdy naraz nadlatywała z ciemności faskula klasztorna, jakby duch śmierci. Ognisko rozbryzgiwało się w drzazgi i skry, żołnierze rozbiegali się z wrza-

skiem nieludzkim i albo szukali przy innych towarzyszach schronienia, albo błąkali się wśród nocy zziębli, głodni, przerażeni.

Koło północy ogień klasztorny wzmocnił się tak dalece, że w przemieniu strzału ani podobna było rozpalić drewek. Zdawało się, że oblężnicy mówią mową dział następne słowa: "Chcecie nas zmęczyć... próbujcie, sami wyzywamy!"

Wybiła godzina pierwsza i druga. Począł mżyć drobny deszcz w postaci mgły zimnej, a przenikliwej, która zbijała się miejscami jakoby w słupy, kolumny a mosty, czerwieniące się od ognia.

Przez owe fantastyczne słupy i arkady widać było chwilami groźne zarysy klasztoru, który się zmieniał w oczach; raz zdawał się wyższym, niż zwykle, to znów jakoby zapadał w otchłań. Od szańców aż do jego murów wyciągały się jakieś złowrogie sklepienia i korytarze, utworzone z mgły i ciemności, a temi korytarzami nadlatywały kule, śmierć niosące. Chwilami całe powietrze nad klasztorem stawało się jasne, jakby je oświeciła błyskawica. Wówczas mury, wyniosłe ściany i wieże zarysowywały się jaskrawo, potem znów gasły.

Żołnierze poczęli patrzeć przed siebie z trwogą ponurą i zabobonną. Raz wraz też trącał jeden drugiego i szeptał:

— Widziałeś? Ten klasztor zjawia się i znika naprzemian... To nieludzka moc!

— Widziałem lepiej — mówił drugi. — Celowaliśmy tem właśnie działem, co pękło, gdy nagle cała forteca poczęła skakać i drygać, jakoby ją kto na linie do góry podnosił i zniżał. Celuj tu do takiej fortecy, trafiaj!

To rzekłszy żołnierz, rzucił szczotkę działową i po chwili dodał:

— Nic tu nie wystoimy!... Nie powąchamy ich pieniędzy... Brr! zimno! Macie tam maźnicę ze smołą, zapalcie, choć ręce ogrzejem!

Jeden z żołnierzy począł rozpalać smołę z pomocą siarkowanych nici. Rozpalił najprzód kwacz, potem zaczął go zwolna zanurzać.

— Zgaście światło! — zabrzmiał głos oficera.

Lecz niemal jednocześnie rozległ się szum faskuli, potem krzyk krótki, urywany i światło zgasło.

Noc ciężkie przyniosła straty Szwedom. Zaginęło mnóstwo ludzi przy ogniach; w niektórych miejscach rozegnano ich tak, że niektóre pułki, raz wpadłszy w zamieszanie, nie mogły do samego

rana przyjść do sprawy. Oblężeni, jakby chcąc okazać, że snu nie potrzebują, strzelali coraz gęściej.

Brzask oświecił na murach twarze zmęczone, blade, bezsenne, ale ożywione gorączką. Ksiądz Kordecki w nocy leżał krzyżem w kościele; skoro świt, pojawił się na murach i błogi głos jego rozlegał się przy działach, na kortynach, koło bram:

— Bóg dzień czyni, dzieci... Niech będzie światło jego błogosławione! Niema szkód ni w kościele, ni w zabudowaniach... Ogień ugaszony, życia nikt nie stracił. Panie Mosiński! kula ognista wpadła pod kolebkę waszmościowego dzieciątka i zgasła, szkody mu nijakiej nie uczyniwszy. Podziękuj Najświętszej Pannie i odsłuż Jej!

— Niech będzie Jej imię wysławione! — odrzekł Mosiński — służę jak mogę!

Przeor poszedł dalej.

Świtało już zupełnie, gdy stanął przy Czarnieckim i Kmicicu. Kmicica nie spostrzegł, bo przelazł na drugą stronę obejrzeć dylowania, które kula szwedzka nieco uszkodziła. Ksiądz zaraz spytał:

— A gdzieto Babinicz? zali nie śpi?

— Ja zaś miałbym spać w taką noc! — odpowiedział pan Andrzej, gramoląc się na mur. — Tożbym sumienia nie miał! Lepiej czuwać na ordynansie Najświętszej Panny.

— Lepiej, lepiej, służko wierny! — odrzekł ksiądz Kordecki.

Lecz pan Andrzej zobaczył w tej chwili połyskujące zdala mdłe światełko szwedzkie i zaraz zakrzyknął:

— Ogień tam, ogień! rychtuj! wyżej! w nich psubratów!

Uśmiechnął się ksiądz Kordecki, jak archanioł, widząc taką gorliwość i wrócił do klasztoru, by spracowanym polewski piwnej, smakowicie kostkami sera kraszonej, podesłać.

Jakoż w pół godziny potem pojawiły się niewiasty, księża i dziadkowie kościelni, niosąc dymiące garnki i dzbany.

Chwycili je skwapliwie żołnierze i wkrótce wzdłuż całych murów rozległo się łakome siorbanie. Chwalili też sobie ów napitek, mówiąc:

— Nie dzieje się nam krzywda w służbie u Najświętszej Panny! wikt zacny!

— Gorzej Szwedom! — mówili inni — źle im było warzyć strawy tej nocy, gorzej będzie przyszłej.

— Mają dosyć, psiawiary! Pewnie we dnie dadzą sobie i nam odpocznienie. Już im teraz i armacięta musiały od ciągłego kichania pochrypnąć.

Lecz żołnierze mylili się, bo dzień nie miał przynieść spoczynku. Gdy rankiem oficerowie, przychodzący z raportami, donieśli Muellerowi, że skutek nocnej strzelaniny jest żaden, że owszem im samym przyniósł znaczne szkody w ludziach, generał zaciął się i kazał dalej ogień prowadzić.

— Przecie się wreszcie znużą! — rzekł do księcia Heskiego.

— W prochach ekspens niezmierny — odrzekł ów oficer.

— Przecie i oni ekspensują?

— Oni muszą mieć nieprzebrane zapasy saletry i siarki, a węgla sami im dostarczymy, jeśli uda nam się choć jedną budę zapalić. W nocy podjeżdżałem pod mury i mimo huku słyszałem wyraźnie młyn, nie może to być inny młyn, jak prochowy.

— Każę do zachodu słońca strzelać tak mocno, jak wczoraj. Na noc odpoczniem. Zobaczym, czyli poselstwa nie wyślą.

— Wasza dostojność wiesz, że wysłali do Wittemberga?

— Wiem, wyślę i ja po największe kolubryny. Jeśli ich nie można będzie nastraszyć, albo pożaru wzniecić od środka, trzeba będzie wyłom uczynić.

— Spodziewasz się więc wasza dostojność, że feldmarszałek pochwali oblężenie?

— Feldmarszałek wiedział o moim zamiarze i nie mówił nic — odrzekł szorstko Mueller. — Jeśli mnie tu niepowodzenie ścigać dalej będzie, to pan feldmarszałek zgani, nie pochwali i na mnie całej winy złożyć nieomieszka. Król jegomość jemu odda słuszność, to wiem. Nie małom już ucierpiał od zgryźliwego humoru pana feldmarszałka, jakby to moja wina była, że go, jako Włosi mówią: mal francese trawi.

— O tem, że na waszą dostojność zwali winę, nie wątpię, zwłaszcza, gdy się pokaże, że Sadowski ma słuszność.

— Co za słuszność? Sadowski za tymi mnichami przemawia jak gdyby był u nich na żołdzie! Co on powiada?

— Powiada, że te wystrzały rozlegną się w całym kraju od Bałtyku aż po Karpaty.

— Niechże król jegomość każe w takim razie skórę z Wrzeszczowicza ściągnąć i jako wotum do tego klasztoru ją pośle, bo to on instygował owo oblężenie.

Tu Mueller porwał się za głowę.

— Ale trzeba kończyć na gwałt! Tak mi się zdaje, tak mi coś mówi, że w nocy oni wyślą kogoś dla układów. Tymczasem ognia i ognia!

Przeszedł więc dzień do wczorajszego podobny, pełen grzmotów, dymu i promienia. Wiele jeszcze takich miało przejść ponad Jasnogórą. Lecz oni gasili pożary i strzelali z niemniejszem męstwem. Połowa żołnierzy szła na spoczynek, druga połowa była na murach przy działach.

Ludzie poczęli oswajać się z ustawicznym hukiem, zwłaszcza, gdy przekonali się, że szkód wielkich niema. Mniej doświadczonych krzepiła wiara, ale byli pomiędzy nimi i starzy żołnierze, obeznani z wojną, którzy służbę pełnili jak rzemiosło. Ci dodawali otuchy wieśniakom.

Soroka wielką uzyskał wśród nich powagę bo wiele życia strawiwszy na wojnie, tak był obojętny na jej hałasy, jak stary szynkarz na krzyki pijących. Wieczorem gdy strzały ucichły, opowiadał towarzyszom o oblężeniu Zbaraża. Sam w niem nie był, ale wiedział o niem dokładnie od żołnierzy, którzy je przetrwali i tak mówił:

— Tam zwaliło się Kozactwa, Tatarstwa i Turków tyle, że samych kuchtów było więcej, niźli tu wszystkich Szwedów. A dlatego im się nasi nie dali. Prócz tego tu złe duchy nie mają mocy nijakiej, a tam jeno przez piątek, sobotę i niedzielę dyabli nie wspomagali hultajstwa, a przez resztę dni po całych nocach straszyli. Posyłali śmierć na okop, żeby się pokazywała żołnierzom i serce im do bitwy odejmowała. Wiem od takiego, który ją sam widział.

— Widziałże ją? — pytali ciekawie chłopi, kupiąc się koło wachmistrza.

— Na własne oczy! Szedł do kopania studni, bo im tam wody brakło, a co było w stawach, to śmierdziała. Idzie, idzie, aż patrzy, naprzeciw niego podchodzi jakaś figura w czarnej płachcie.

— W czarnej, nie białej?

— W czarnej: na wojnę w czarną się ona ubiera. Mroczyło się. Przybliża się żołnierz. "Werdo?" — pyta — ona nic. Dopiero pociągnął za płachtę — patrzy: kościotrup. "A ty tu czego?" "Ja — powiada — jestem śmierć i przyjdę po ciebie za tydzień." — Żołnierz pomiarkował, że źle. "Czemuto — pyta — dopiero za tydzień? to ci prędzej nie wolno?" "A ona na to: "Przed ty-

godniem nic ci uczynić nie mogę, bo taki rozkaz." — "Żołnierz myśli sobie: "Trudno! ale kiedy ona mi teraz nic zrobić nie może, to niechże jej choć za swoje odpłacę." Kiedy nie owinie ją w płachtę, kiedy nie zacznie o kamienie gnatami walić! Ona w krzyk i nuż się prosić: "Przyjdę za dwa tygodnie." — "Nie może być!" — "Przyjdę za trzy, za cztery, za dziesięć, po oblężeniu, za rok, za dwa, za piętnaście." — "Nie może być!". — "Przyjdę za pięćdziesiąt lat" — Pomiarkował się żołnierz, bo już miał pięćdziesiąt, myśli sobie: "Sto — dość!" Puścił ją. A sam zdrowy i żyw do tej pory; do bitwy chodzi, jak w taniec, bo co mu tam!

— A żeby się zaląkł, toby już było po nim?

— Najgorzej się śmierci bać! — odrzekł poważnie Soroka. — On żołnierz i innym dobra przysporzył, bo jak ci ją zbił, jak ci ją utrudził, tak ją na trzy dni zemdliło i przez ten czas nikt w obozie nie poległ, chociaż wycieczkę czynili.

— A my to nie wyjdziemy kiedy nocą na Szwedów.

— Nie wasza głowa — odparł Soroka.

Usłyszał ostatnie pytanie i ostatnią odpowiedź Kmicic, który stał nieopodal i w głowę się uderzył. Potem popatrzył na szańce szwedzkie. Noc już była. Na szańcach od godziny panowała cisza zupełna. Strudzony żołnierz spał widocznie przy działach.

Daleko, na dwa strzelenia z armat, połyskiwało kilkanaście ogniów, ale przy samych szańcach grube panowały ciemności.

— Ani im to w głowie, ani podejrzewają, ani mogą przypuścić! — szepnął do siebie Kmicic.

I udał się wprost do pana Czarnieckiego, który, siedząc przy ławecie, liczył paciorki różańca i stukał jedną nogą o drugą, bo mu zmarzły.

— Chłodno — rzekł, ujrzawszy Kmicica — i głowa ciąży od tego huku przez dwa dni i jedną noc. W uszach mi ciągle dzwoni.

— Komuby on takich hałasów nie dzwoniło. Ale dziś będziem mieli spoczynek. Pospali się tam na dobre. Możnaby ich zejść, jak niedźwiedzia w barłogu, nie wiem, czyby ich nawet rusznice przebudziły...

— O! — rzekł Czarniecki, podnosząc głowę — o czem myślisz?

— Myślę o Zbarażu, że tam oblężeni przez wycieczkę niejedną srogą klęskę hulajstwu zadali.

— A tobie, jak wilkowi po nocy, krew na myśli?

— Na Boga żywego i Jego rany, uczyńmy wycieczkę! Ludzi

narzniemy, działa pozagważdżamy. Oni się tam niczego nie spodziewają.

Pan Czarniecki zerwał się na równe nogi.

— I jutro chyba poszaleją! Myślą może, że nas dość nastraszyli i że o poddaniu myślimy, będą mieli odpowiedź. Jak Boga kocham, to jest przednia myśl, to prawdziwie rycerska impreza! Że toż to mnie do głowy nie przyszło. Trzeba tylko księdza Kordeckiego zawiadomić. On tu rządzi! Poszli.

Ksiądz Kordecki naradzał się w definitoryum z panem miecznikiem sieradzkim. Posłyszawszy kroki, podniósł głowę i odsuwając na bok świecę, spytał:

— A kto tam? Jest co nowego?

— To ja, Czarniecki, — rzekł pan Piotr — ze mną zaś jest Babinicz. Oba spać nie możemy, bo strasznie nam Szwedzi pachną. Ten Babinicz, ojcze, to niespokojna głowa i nie może na miejscu usiedzieć. Wierci mi się, wierci, bo mu się okrutnie chce do Szwedów za wały pójść, zapytać się ich, czyli jutro także będą strzelać, albo czy też fryszt nam i sobie jeszcze dadzą?

— Jakto? — spytał, nie ukrywając zdziwienia ksiądz Kordecki. — Babinicz chce wyjść z fortecy?...

— W kompanii, w kompanii! — odrzekł śpiesznie pan Piotr — ze mną i z kilkudziesięciu ludźmi. Oni tam zdaje się śpią na szańcu, jak zabici, ogniów nie widać, straży nie widać. Zbyt w naszą słabość dufają.

— Działa zagwoździm! — dodał gorąco Kmicic.

— A dawajcie mi tu tego Babinicza! — zakrzyknął pan miecznik — niech go uściskam! Swędzi cię żądło, szerszeniu, radbyś i po nocy kłół. Wielkie to jest przedsięwzięcie, które najlepszy skutek mieć może. Jednego nam Pan Bóg dał Litwina, ale wściekłą bestyę i zębatą. Ja zamiar pochwalam; nikt go tu nie zgani i sam gotowym iść!

Ksiądz Kordecki, który zrazu aż przeraził się, bo lękał się krwi rozlewu, zwłaszcza, gdy własnego życia nie wystawiał, przyjrzawszy się bliżej owej myśli, uznał ją za godną obrońców Maryi.

— Dajcie mi się pomodlić! — rzekł.

I klęknąwszy przed wizerunkiem Matki Boskiej, chwilę modlił się z rozłożonemi rękoma, wreszcie wstał wypogodzony.

— Pomódlcie się teraz wy, — rzekł — potem idźcie!

W kwadrans później wyszli we czterech i udali się na mury. Szańce w dalekości spały. Noc była bardzo ciemna.

— Ilu ludzi chcesz wziąć? — spytał ksiądz Kordecki Kmicica.

— Ja?... — odrzekł ze zdziwieniem pan Andrzej. — Ja tu nie wódz i miejscowości nie znam tak dobrze, jak pan Czarniecki. Pójdę z szablą, ale ludzi niech pan Czarniecki prowadzi i mnie z innymi. Chciałbym jeno, by mój Soroka poszedł, bo to rzeźnik okrutny.

Podobała się ta odpowiedź i panu Czarnieckiemu i księdzu przeorowi, który w niej jawny dowód pokory widział. Więc zabrali się zaraz raźno od dzieła. Wybrano ludzi, nakazano ciszę największą i poczęto wysuwać belki a kamiennie a cegły z przechodu.

Praca zabrała z godzinę czasu. Wreszcie otwór w murze był gotowy i ludzie poczęli się zanurzać w wąską czeluść. Mieli szable, pistolety, niektórzy rusznice, a niektórzy, zwłaszcza chłopi, kosy osadzone sztorcem, broń, do której najwięcej nawykli.

Znalazłszy się na drugiej stronie muru, policzyli się; pan Czarniecki stanął na przedzie oddziału, Kmicic na samym końcu i ruszyli wzdłuż okopu, cicho, dech tamując w piersiach, jak wilcy podkradający się do owczarni.

Jednakże czasem kosa o kosę zabrzękła, czasem kamień pod stopą zazgrzytnął i po tych odgłosach można było poznać, że wciąż posuwają się dalej. Zeszedłszy w nizinę, pan Czarniecki zatrzymał się. Tu zostawił część ludzi, nieopodal już od szańców pod wodzą Janicza Węgrzyna, starego i wytrawnego żołnierza, którym na ziemię rzucić się kazał, sam zaś wziął się nieco w prawo i mając pod stopami miękką już ziemię, na której kroki nie wydawały echa, począł szybciej prowadzić swój oddział.

Miał on bowiem zamiar obejść szaniec, uderzyć na uśpionych z tyłu i pędzić ich ku klasztorowi na ludzi Janicza. Tę myśl poddał mu Kmicic, który idąc teraz koło niego z szablą w ręku szeptał:

— Szaniec pewnie jest tak wysunięty, że między nim a głównym obozem jest pusta przestrzeń. Straże, jeśli jakie są, to przed szańcem, a nie z tamtej strony... Tak więc obejdziemy ich swobodnie i wpadniemy na nich od tamtej strony, od której najmniej spodziewają się napadu.

— Dobrze — odpowiedział pan Piotr — noga nie powinna ujść z tych ludzi.

— Jeśliby się kto odezwał, jak będziem już wchodzili, — mówił dalej pan Andrzej — pozwól waszmość, że ja odpowiem... Po niemiecku umiem szwargotać jak po polsku, więc pomyślą, że to kto od generała z obozu przychodzi.

— Byle straży nie było za szańcem.

— Choćby i były, to hukniem i skoczym odrazu. Nim się połapią kto i co, siądziemy im na karki.

— Czas skręcać,już koniec okopu widać —rzekł pan Czarniecki.

Tu zwrócił się i zawołał zcicha:

— W prawo, w prawo!

Milczący szereg począł zawracać. Wtem księżyc oświecił nieco brzeg chmury i uczyniło się jaśniej. Idący ujrzeli pustą przestrzeń z tyłu szańca.

Straży, jak przewidywał Kmicic, nie było na tej przestrzeni wcale, pocóżby bowiem Szwedzi mieli stawiać placówki między własnemi szańcami a główną armią, która stała dalej. Najprzenikliwszy wódz nie mógł przypuścić, by z tej strony mogło nadejść jakie niebezpieczeństwo.

— Teraz jak najciszej — rzekł pan Czarniecki. — Widać już namioty.

— I w dwóch jest światełko... Ludzie tam jeszcze czuwają... Pewnie starszyzna.

— Wejście od tyłu musi być wygodne.

— Oczywiście — odrzekł Kmicic. — Tędy armaty wtaczają i wojska wchodzą... Ot, już nasyp się poczyna. Pilnuj teraz, by broń nie zabrzękła...

Doszli już do wzniesienia, sypanego starannie z tyłu szańców. Stał tam cały szereg wozów, na których podwożono prochy i kule.

Ale przy wozach nie było nikogo, więc minąwszy je, poczęli wspinać się na szaniec bez trudu, jak słusznie przewidywano, bo wzniesienie było łagodne i dobrze urządzone.

Tak doszli do samych namiotów, i z gotową bronią zatrzymali się tuż, tuż. W dwóch rzeczywiście błyszczały światełka; więc pan Kmicic, zamieniwszy parę słów z Czarnieckim, rzekł:

— Pójdę ja najprzód do tych, którzy nie śpią... Czekać teraz mego wystrzału, a potem w nich!

To rzekłszy, ruszył.

Powodzenie wycieczki było już zapewnione, więc się nawet nic

starał iść zbyt cicho. Minął kilka namiotów, pogrążonych w ciemności; nikt się nie zbudził, nikt nie spytał "werda?"

Żołnierze jasnogórscy słyszeli skrzyp jego śmiałych kroków i bicie własnych serc. On zaś dotarł do oświetlonego namiotu, podniósł skrzydło i wszedłszy, zatrzymał się u wejścia z pistoletem w dłoni i z szablą, spuszczoną na łańcuszku.

Zatrzymał się dlatego, że światło cokolwiek go olśniło; na polowym bowiem stole stał świecznik sześcioramienny, w który płonęły jarzące świece.

Za stołem siedziało trzech oficerów, schylonych nad planami. Jeden z nich, siedzący wpośrodku, ślęczał nad niemi tak pilnie, że aż długie jego włosy leżały na białych kartach. Ujrzawszy kogoś wchodzącego, podniósł głowę i spytał spokojnym głosem:

— A kto tam?

— Żołnierz — odpowiedział Kmicic.

Wówczas inni oficerowie zwrócili oczy ku wyjściu.

— Jaki żołnierz? skąd? — spytał pierwszy.

(Byłto inżynier de Fossis, który głównie pracą oblężniczą kierował).

— Z klasztoru — odrzekł Kmicic.

Ale było w jego głosie coś strasznego.

De Fossis podniósł się nagle i przysłonił oczy ręką. Kmicic stał wyprostowany i nieruchomy, jak widmo, tylko groźna jego twarz podobna do głowy drapieżnego ptaka, zwiastowała nagłe niebezpieczeństwo.

Jednakże myśl szybka jak błyskawica przemknęła przez głowę de Fossisa, że to może być zbieg z klasztoru, więc spytał jeszcze, ale już gorączkowo:

— Czego tu chcesz?

— Ot, czego chcę! — krzyknął Kmicic.

I wypalił mu w same piersi z pistoletu.

Wtem krzyk straszny i wraz z nim salwa wystrzałów rozległy się na szańcu. De Fossis runął, jak pada sosna zgruchotana piorunem, drugi oficer wpadł ze szpadą na Kmicica, ale on ciął go szablą między oczy, aż stal zgrzytnęła o kości; trzeci oficer rzucił się na ziemię, pragnąc prześliznąć się pod ścianą namiotu, ale Kmicic skoczył ku niemu, nadeptał nogą na plecy i przygwoździł sztychem do ziemi.

Tymczasem noc cicha zmieniła się w sądny dzień. Dzikie

wrzaski: "bij! morduj!" zmieszały się z wyciem i przeraźliwemi wołaniami o ratunek szwedzkich żołnierzy. Ludzie obłąkani z przestrachu wypadali z namiotów, nie wiedząc gdzie się obrócić, w którą stronę uciekać. Niektórzy nie pomiarkowawszy zrazu, skąd napad przychodzi, biegli wprost na Jasnogórców i ginęli od szabel, kos i siekier, nim zdołali "pardon!" zakrzyknąć. Niektórzy bodli w ciemnościach szpadami własnych towarzyszy; inni, bezbronni wpół odziani, bez kapeluszów, z rękoma podniesionemi w górę, stawali nieruchomie w miejscu; niektórzy wreszcie padali na ziemię, wśród poprzewracanych namiotów. Mała garść pragnęła się bronić, lecz oślepły tłum porywał ich, przewracał, deptał. Jęki konających, rozdzierające prośby o litość wzmagały zamieszanie.

Gdy wreszcie z krzyków stało się jawnem, że napad przyszedł nie od strony klasztoru, ale z tyłu, właśnie od strony wojsk szwedzkich, wówczas prawdziwe szaleństwo ogarnęło napadniętych. Sądzili widocznie, że to sprzymierzone polskie chorągwie uderzyły na nich znienacka.

Tłumy piechurów poczęły zeskakiwać z szańca i biedz ku klasztorowi, jakby w jego murach pragnęli znaleźć schronienie. Ale wnet nowe okrzyki wskazały, że wpadli na oddział Węgrzyna Janicza, który docinał ich pod samą fortecą.

Tymczasem Jasnogórcy siekąc, bodąc, depcąc, doszli do armat. Ludzie z przygotowanemi gwoździami rzucili się na nie natychmiast, inni zaś prowadzili dalej dzieło śmierci. Chłopi, którzy nie byliby dostali wyćwiczonym żołdakom w otwartem polu, rzucali się teraz w kilku na całe gromady.

Dzielny pułkownik Horn, gubernator krzepicki, starał się zebrać koło siebie rozpierzchłych knechtów, skoczywszy więc za węgieł szańca, począł wołać w ciemności i wymachiwać szpadą. Poznali go Szwedzi i wnet poczęli się kupić, lecz na ich karkach i razem z nim nadlatywali napastnicy, których w pomroce trudno było odróżnić.

Nagle rozległ się straszliwy świst kosy i głos Horna ucichł nagle. Kupa żołnierzy rozbiegła się, jakby granatem rozegnana. Kmicic i pan Czarniecki z oddziałem kilkunastu ludzi rzucili się na nich i wycięli do szczętu.

Szaniec był zdobyty.

W głównym obozie szwedzkim już trąby poczęły grać larum. Naraz ozwały się działa jasnogórskie i kule ogniste poczęły lecieć

z klasztoru, by powracającym drogę oświecić. Oni wracali zdyszani, umazani krwią, jak wilcy, którzy uczyniwszy rzeź w owczarni, uchodzą przed zbliżającemi się odgłosami strzelców. Pan Czarniecki prowadził czoło, Kmicic pochód zamykał.

W pół godziny natknęli się na oddział Janicza, lecz on nie odpowiadał na wołanie; sam jeden życiem przypłacił, bo gdy zapędził się za jakimś oficerem, właśni jego żołnierze zastrzelili go z rusznicy.

Wycieczka weszła do klasztoru wśród huku dział i połysku płomieni. U przodu czekał na nich już ksiądz Kordecki i liczył ich w miarę, jak głowy przesuwały się do wnętrza przez otwór. Nie brakło nikogo, prócz Janicza.

Wnet dwóch ludzi wyszło po niego i w pół godziny później przynieśli jego ciało, chciał bowiem ksiądz Kordecki przystojnym uczcić go pogrzebem.

Lecz cisza nocna raz przerwana, nie powróciła już aż do białego dnia. Z murów grały działa, w stanowiskach zaś szwedzkich trwało najokropniejsze zamieszanie. Nieprzyjaciel nie znając dobrze swej klęski, nie wiedząc skąd nieprzyjaciel nadejść może, uciekł z najbliższych klasztoru szańców. Całe pułki błąkały się w rozpaczliwym nieładzie do rana, biorąc często swoich za nieprzyjaciół i dając do siebie ognia. W głównym nawet obozie żołnierze i oficerowie opuścili namioty i stali pod gołem niebem, czekając aż ta noc okropna się skończy. Trwożliwe wieści przelatywały z ust do ust. Mówiono, że odsiecz nadeszła, inni twierdzili, że wszystkie pobliskie szańce zdobyte.

Mueller, Sadowski, książę Heski, Wrzeszczowicz i wszyscy wyżsi oficerowie, czynili nadludzkie usiłowania, by doprowadzić do ładu przerażone pułki. Jednocześnie na strzały klasztorne odpowiedziano ognistemi kulami, aby rozproszyć ciemności i pozwolić ochłonąć rozpierzchłym.

Jedna z kul utkwiła w dachu kaplicy, lecz trąciwszy tylko o załamanie dachu, wróciła się z szumem i łoskotem ku obozowi, rozrzucając po powietrzu potok płomieni.

Nareszcie skończyła się zgiełkowa noc. Klasztor i obóz szwedzki ucichły. Ranek począł bielić szczyty kościelne, dachówki przybierały zwolna czerwoną barwę i rozedniało.

Wówczas Mueller na czele sztabu podjechał do zdobytego szańca. Mogli wprawdzie z klasztoru dojrzeć go i dać ognia z muru,

lecz stary jenerał nie zważał na to. Chciał własnemi oczyma obejrzeć wszystkie szkody, policzyć poległych. Sztab jechał za nim wszyscy stropieni ze smutkiem i powagą w twarzach. Dojechawszy do szańca, zsiedli z koni i poczęli wstępować na górę. Ślady walki widniały wszędzie: niżej pod działami walały się poprzewracane namioty, niektóre stały jeszcze otwarte, puste, ciche.

Stosy ciał leżały szczególniej pomiędzy namiotami, trupy półnagie obdarte, z wytrzeszczonemi oczyma, z przerażeniem zakrzepłem w martwych źrenicach, okropny przedstawiały widok. Widocznie wszyscy ci ludzie zostali pochwyceni w głębokim śnie; niektórzy nie byli obuci, mało który zaciskał rapier w martwej dłoni, żaden prawie nie miał ni hełmu, ni kapelusza. Jedni leżeli w namiotach, zwłaszcza od strony wejścia, ci widocznie zaledwie zdołali się przebudzić; drudzy przy samych skrzydłach namiotów, chwyceni przez śmierć w chwili, gdy chcieli się ratować ucieczką. Wszędy tyle ciał, a w niektórych miejscach takie stosy, że możnaby sądzić, że to jaki kataklizm natury pobił owych żołnierzy, lecz rany głębokie w twarzach i piersiach, niektóre oblicze zaczernione od wystrzałów tak bliskich, że wszystek proch nie zdołał zgorzeć, świadczyły aż nadto jawnie, że to ręka ludzka dokonała zniszczenia.

Mueller wstąpił wyżej ku działom; stały głuche, zagwożdżone, nie groźniejsze już od pni drzewa, na jednem z nich leżało przewieszone ciało kanoniera, prawie nawpół przecięte strasznym zamachem kosy. Krew oblała lawetę i utworzyła pod nią obszerną kałużę. Mueller obejrzał wszystko dokładnie, w milczeniu i ze zmarszczoną brwią. Nikt z oficerów nie śmiał tego milczenia przerwać.

Jakże tu bowiem nieść pociechę staremu generałowi, który wskutek nieostrożności własnej został pobity jak nowicyusz? Byłato nietylko klęska, była i hańba, bo przecie sam generał twierdzę ową kurnikiem nazwał i obiecywał ją między palcami rozkruszyć, bo przecie miał dziewięć tysięcy wojska, a tam stało dwieście załogi, bo nakoniec generał ów był żołnierzem z krwi i kości, a miał przeciw sobie mnichów.

Ciężko zaczął się dla Muellera ów dzień.

Tymczasem nadeszli piechurowie i poczęli ciała wynosić. Czterech z nich, niosąc na płachcie trupa, zatrzymało się przed generałem bez rozkazu.

Mueller spojrzał w płachtę i oczy zakrył.

— De Fossis... — rzekł głucho.

Ledwie co odeszli, nadciągnęli drudzy; tym razem Sadowski poruszył się ku nim i zawołał zdaleka, zwracając się do sztabu:

— Horna niosą!

Lecz Horn żył jeszcze i długie miał przed sobą dni mąk okropnych. Chłop, który go ciął, dosięgnął go samym końcem kosy, ale uderzenie było tak straszne, że otwarło całą klatkę piersiową. Jednakże ranny zachował nawet przytomność. Spostrzegłszy Muellera i sztab, uśmiechnął się, chciał coś mówić, lecz zamiast głosu, wydobył tylko na usta pianę różową, poczem jął mrugać silnie oczyma i zemdlał.

— Zanieść go do mego namiotu! — rzekł Mueller — i niech mój medyk opatrzy go natychmiast!

Następnie oficerowie usłyszeli, jak mówił sam do siebie:

— Horn, Horn... We śnie go dziś widziałem... zaraz z wieczora... Straszna, niepojęta rzecz...

I utkwiwszy oczy w ziemię, zamyślił słę głęboko; nagle z zadumy zbudził go przerażony głos Sadowskiego:

— Generale, generale! Patrz wasza dostojność Tam, tam... klasztor...

Mueller spojrzał i zdumiał.

Dzień już był zupełny i pogodny, jeno mgły wisiały nad ziemią, ale niebo było czyste i rumiane od porannej zorzy. Biały tuman przesłaniał sam szczyt Jasnej Góry i wedle zwykłego rzeczy porządku, powinien był zakrywać kościół, tymczasem szczególniejszem zjawiskiem przyrody, kościół wraz z wieżą unosił się nietylko nad skałą, ale i nad mgłą wysoko, wysoko, zupełnie jakby oderwał się od swej podstawy i zawisł w błękitach pod niebem.

Krzyki żołnierzy zwiastowały, że spostrzegli także zjawisko.

— To mgła oczy łudzi! — zakrzyknął Mueller.

— Mgła leży pod kościołem! — odpowiedział Sadowski.

— Zadziwiająca rzecz, ale ten kościół jest dziesięć razy wyżej, niż był wczoraj i wisi w powietrzu — rzekł książę Heski.

— W górę jeszcze idzie! w górę, w górę! — krzyczeli żołnierze. — Z oczu zniknie!...

I istotnie, tuman wiszący na skale, począł się podnosić nakształt niezmiernego słupa dymu ku niebu, kościół zaś, osadzony jakby na szczycie owego słupa, zdawał się wzbijać coraz wyżej, jednocześnie zaś, hen już pod samemi obłokami, przesłaniał się coraz więcej

białym oparem, rzekłbyś: roztapiał się, rozpływał, mącił, nakoniec znikuął zupełnie z oczu.

Mueller zwrócił się ku oficerom, a w oczach jego malowało się zdziwienie, wraz z zabobonnym przestrachem.

— Wyznaję waszmościom — rzekł — żem podobnego fenomenu w życiu nie widział. Całkiem to jest przeciwne naturze i chyba to czary papistów...

— Słyszałem — rzekł Sadowski — wykrzykujących żołnierzy: "Jak tu strzelać do takiej twierdzy?" Zaiste, nie wiem jak!

— Ale co teraz będzie, mości panowie! — zawołał książę Heski. — Jestli ten kościół tam w mgle, czy go już niema?

I stali jeszcze długo zdumieni, milczący, nakoniec książę Heski rzekł:

— Chociażby to było naturalne zjawisko przyrody, w każdym razie nic nie wróży ono nam dobrego. Patrzcie waszmościowie, od czasu, jakeśmy tu przybyli, nie postąpiliśmy ani kroku naprzód!

— Ba! — odpowiedział Sadowski — gdybyśmy to tylko nie postąpili! Ale prawdę rzekłszy, ponosiliśmy klęskę za klęską... a dzisiejsza noc najgorsza. Żołnierz zniechęcony traci odwagę i opieszale zaczyna działać. Nie macie waszmościowie pojęcia, co sobie opowiadają po pułkach. Dzieją się przytem i inne rzeczy dziwne: oto od pewnego czasu nikt pojedyńczo, ani nawet samowtór nie może wychylić się z obozu, a kto się na to ośmieli, ten jakoby w ziemię wpadł. Rzekłbyś: wilki krążą koło Częstochowy. Sam niedawno posłałem chorążego z trzema ludźmi do Wielunia po odzież ciepłą i dotąd ani słychu o nich!...

— Gorzej będzie, gdy zima nadejdzie; już i teraz noce bywają nieznośne — dodał książę Heski.

— Mgła rzednie! — rzekł nagle Mueller.

Rzeczywiście powstał wiatr i począł odwiewać oparę. W kłębach tumanu poczęło coś majaczyć, nakoniec słońce zeszło i powietrze stało się przezroczyste.

Mury klasztorne zarysowały się zlekka, potem wychylił się kościół, klasztor. Wszystko stało na dawnem miejscu. Twierdza była spokojna i cicha, jakby w niej ludzie nie mieszkali.

— Generale, — rzekł z energią książę Heski — próbuj wasza dostojność jeszcze układów. Trzeba raz skończyć!

— A jeśli układy nie doprowadzą do niczego, to waszmościowie radzicie oblężenia poniechać? — pytał ponuro Mueller.

Oficerowie umilkli. Po chwili dopiero Sadowski zabrał głos:

— Wasza dostojność wiesz najlepiej, co jej wypada uczynić.

— Wiem — odparł dumnie Mueller — i to wam jeno powiem: przeklinam dzień i godzinę, w której tu przybyłem, jak również doradców (tu przeszył wzrokiem Wrzeszczowicza), którzy mi to oblężenie instygowali; wiedzcie jednak, że po tem, co zaszło, nie ustąpię, póki tej przeklętej twierdzy w kupę gruzów nie zmienię, albo sam nie polegnę!

Niechęć odbiła się na twarzy księcia Heskiego. Nigdy on nie poważał zbyt Muellera, powyższe zaś jego słowa poczytał za próżną chełpliwość żołnierską, nie na czasie wobec tego zburzonego szańca, trupów i zagwożdżonych dział; zwrócił się więc ku niemu i odpowiedział z widocznym przekąsem:

— Generale, wasza dostojność nie możesz tego przyrzekać, bo ustąpisz wobec pierwszego rozkazu króla jegomości, albo pana marszałka Wittemberga. Czasem też i okoliczności umieją rozkazywać nie gorzej królów i marszałków.

Mueller zmarszczył swe gęste brwi, co widząc Wrzeszczowicz rzekł pośpiesznie:

— Tymczasem próbujmy układów. Oni się poddadzą. Nie może inaczej być!

Dalsze jego słowa zgłuszył wesoły głos dzwonu, wzywający na mszę poranną w kościele jasnogórskim. Generał wraz ze sztabem odjechali zwolna ku Częstochowie, lecz nie dojechali jeszcze do głównej kwatery, gdy przypadł oficer na spienionym koniu.

— To od marszałka Wittemberga! — rzekł Mueller.

Tymczasem oficer oddał mu list. Generał rozerwał szybko pieczęcie i przebiegłszy pismo oczyma, rzekł ze zmieszaniem w twarzy:

— Nie! To z Poznania... złe wieści. W Wielkopolsce szlachta się podnosi, lud łączy się z nią... Na czele ruchu stoi Krzysztof Żegocki, który chce iść na pomoc Częstochowie.

— Przepowiedziałem, że te strzały rozlegną się od Karpat do Bałtyku — mruknął Sadowski. — U tego narodu prędka odmiana. Jeszcze wy nie znacie Polaków, poznacie ich później.

— Dobrze! poznamy ich! — odparł Mueller. — Wolę otwartego

nieprzyjaciela, niż fałszywego sprzymierzeńca... Sami się poddali, a teraz broń podnoszą... Dobrze! doznają naszej broni!

— A my ich — odburknął Sadowski.—Panie generale, kończmy układami z Częstochową; przystańmy na wszelkie warunki.. Nie o twierdzę chodzi, a o panowanie jego kr. mości w tym kraju.

— Mnisi się poddadzą — rzekł Wrzeszczowicz. — Dziś, jutro poddadzą się!

Tak oni z sobą rozmawiali, a w klasztorze po rannej mszy panowała radość niezmierna. Ci, którzy na wycieczkę nie chodzili, wypytywali jej uczestników: jak się wszystko odbyło? Uczestnicy zaś chełpili się strasznie, wysławiając swoje męstwo i klęskę, którą nieprzyjacielowi zadali.

Między księżmi i niewiastami nawet ciekawość przemogła. Białe habity i niewieście szaty zalegały mury. Piękny i radosny był to dzień. Niewiasty skupiły się koło pana Piotra Czarnieckiego, wołając: "Zbawca nasz! opiekun!" On zaś bronił się, zwłaszcza, gdy w ręce chciały go całować, i ukazując na Kmicica, mówił:

— Temu także dziękujcie! Babinicz on jest, ale nie baba! W ręce on się całować nie da, bo mu się jeszcze od krwi lepią; ale jeśli która z młodszych w gębę zechce, to tak myślę, że się nie będzie wzdragal!

Młodsze rzucały istotnie wstydliwe i wabne zarazem spojrzenia na pana Andrzeja, podziwiając wspaniałą jego urodę; lecz on nie odpowiadał oczyma na owe nieme pytania, bo mu widok tych dziewcząt przypominał Oleńkę.

— Ej, ty moja niebogo! — pomyślał — żebyś choć wiedziała, że ja już u Najświętszej Panny na ordynansie, w jej obronie się tym nieprzyjaciołom oponuję, którym ku swojemu umartwieniu służyłem dawniej.

I obiecał sobie, że zarza po oblężeniu do niej do Kiejdan napisze i Sorokę z listem popchnie. "Przecie nie gołe słowa i obietnice jej poślę, bo już i uczynki są za mną, które bez chwalby próżnej, ale akuratnie w liście wypisze. Niech wie, że to ona sprawiła, niech się ucieszy!"

I ucieszył się tą myślą sam tak dalece, że ani zauważył, jako dziewczęta mówiły do siebie, odchodząc:

— Grzeczny kawaler, ale widać za wojną jeno patrzy i mruk nieużyty...

---

## XXX.

Zgodnie z życzeniami swych oficerów, Mueller znowu rozpoczął układy. Przybył do klasztoru z nieprzyjacielskiego obozu znamienity szlachcic polski, poważny wiekiem i wymową. Jasnogórcy przyjęli go gościnnie, sądzili bowiem, że wrzekomo i z musu tylko będzie przemawiał za poddaniem klasztoru, a naprawdę doda im zachęty i potwierdzi nowiny, które już i przez mury oblężone się przedarły, o powstaniu w Wielkopolsce, o zniechęceniu wojsk kwarcianych dla Szweda, o układach Jana Kazimierza z Kozakami, którzy jakoby okazywali chęć powrotu do posłuszeństwa, wreszcie o groźnej zapowiedzi chana i tatarskiego, że idzie w pomoc wygnanemu królowi wszystkich jego nieprzyjaciół ogniem i mieczem ścigać będzie.

Lecz jakże się zawiedli zakonnicy! Personat przyniósł bowiem wprawdzie sporą wiązkę nowin, ale przerażających, zdolnych największy zapał ostudzić, najniezłomniejsze postanowienie złamać najgorętszą wiarę zachwiać.

—Otoczyli go księża i szlachta w definitoryum wśród ciszy i uwagi, z jego ust zdawała się płynąć sama szczerość i boleść nad losami ojczyzny. Rękę często kładł na białej głowie, jak gdyby chcąc wybuch dresperacyi powstrzymać, patrzył na krucyfiks, łzy miał w oczach i głosem powolnym, przerywanym, następujące mówił słowa:

— Ach! Jakichto czasów doczekała się strapiona ojczyzna! Niema już rady! trzeba uledz królowi szwedzkiemu... Zaprawdę, dla kogoż wy tu, ojcowie czcigodni, i wy, panowie bracia szlachta chwyciliście za miecze? Dla kogoż wy nie żałujecie niewywczasów, trudu, umęczenia, krwi? Dla kogoż przez opór — niestety, próżny! — narażacie siebie i święte miejsce na straszliwą zemstę niezwyciężonych szwedzkich zastępów?... Dla Jana Kazimierza? Lecz on sam wzgardził już naszem królestwem. Zalito nie wiecie nowiny, że wybór już uczynił i przekładając dostatki, wesołe uczty i spokojne uciechy nad kłopotliwą koronę, abdykował na rzecz Karola Gustawa? Wy jego nie chcecie opuścić, a on was opuścił, wy nie chcieliście złamać przysięgi, on sam ją złamał, wy gotowiście umrzeć dla niego, on zaś o was wszystkich nie dba... Prawym królem naszym jest teraz Karol Gustaw! Patrzcie więc, byście nie

ściągnęli na głowy wasze nietylko gniewu, zemsty, ruiny, ale i grzechu wobec nieba, wobec krzyża i tej Najświętszej Panny, bo nie przeciw najeźdźcy, ale przeciw własnemu panu ręce zuchwale podnosicie...

Cisza przejęła te słowa, jakoby śmierć przeleciała przez salę.

Co mogło być bowiem straszniejszego od nowiny o abdykacyi Jana Kazimierza? Byłato wprawdzie wieść potwornie nieprawdopodobna, lecz owoż ten stary szlachcic mówił ją wobec krzyża, wobec obrazu Maryi i ze łzami w oczach.

Ale jeśli była prawdziwą to dalszy opór był istotnie szaleństwem. Szlachta pozakrywała oczy rękoma mnisi nasunęli na głowy kaptury i cisza grobowa trwała ciągle; tylko ksiądz Kordecki jął szeptać modlitwę zbladłymi wargami, a oczy jego spokojne, głębokie, świetliste i przenikliwe utkwione były nieruchomiewowego szlachcicą.

Ten czul na sobie badawczy ów wzrok i źle mu było pod nim i ciężko, chciał zachować miarkę powagi, dobrotliwości, zbolałej cnoty, życzliwości i nie mógł; jął więc rzucać niespokojne spojrzenia na innych ojców, a po chwili tak dalej mówił:

— Najgorszą jest rzeczą zapalać zawziętość przez dlugie nadużywanie cierpliwości. Skutkiem waszego oporu będzie zniszczenie tego świętego kościoła i nałożenie wam (Boże odwróć) okropnej i srogiej woli, której słuchać będziecie musieli. Wstręt i unikanie spraw światowych jest bronią zakonników. Co macie do czynienia z wrzawą wojenną, wy, których przepisy zakonne do samotności i milczenia powołują? Bracia moi, ojcowie czcigodni i najmilsi! Nie bierzcie na serca, nie bierzcie na sumienia wasze tak strasznej odpowiedzialności.. Nie wy budowaliście ten święty przybytek nie dla was jednych ma on służyć! Pozwólcie, aby kwitnął i błogosławił tej ziemi po długie wieki, by synowie i wnuki nasze jeszcze cieszyć się nim mogły.

Tu zdrajca ręce złożył i załzawił się zupelnie; szlachta milczała, ojcowie milczeli; zwątpienie ogarnęło wszystkich, serca były zmęczone i rozpaczy bliskie, pamięć zmarnowanych i próżnych usiłowań ołowiem zaciężyła umysłom.

— Czekam waszej odpowiedzi, ojcowie — rzekł szanowny zdrajca, spuszczając głowę na piersi.

Wtem ksiądz Kordecki powstał i głosem, w którym nie było naj-

mniejszego wahania, żadnego zwątpienia rzekł jakby w proroczem widzeniu:

— To co waszmość mówisz, że Jan Kazimierz nas opuścił, że już abdykował i prawa swe Karolowi przekazał — to kłamstwo! W serce wygnanego naszego pana wstąpiła nadzieja i nigdy gorliwiej jak w tej chwili, nie pracował, by ojczyźnie ratunek zapewnić, tron odzyskać i nam pomoc w ucisku przynieść.

Maska spadła odrazu z twarzy zdrajcy; złość i zawód odbiły się w niej wyraźnie, jakoby smoki naraz wypełzły z jaskiń jego duszy, w których kryły się dotąd.

— Skąd ta wiadomość? Skąd ta pewność? — pytał.

— Stąd — rzekł ksiądz Kordecki, ukazując wielki krucyfiks, zawieszony na ścianie. — Idź połóż palec na przybitych nogach Chrystusowych i powtórz raz jeszcze coś powiedział.

Zdrajca giąć się począł, jakby pod naciskiem żelaznej ręki; z jaskiń jego duszy nowy smok, przestrach, wypełznął na oblicze.

A ksiądz Kordecki stał ciągle wspaniały groźny, jak Mojżesz; promienie zdawały mu się strzelać ze skroni.

— Idź, powtórz — rzekł, nie zniżając ręki, głosem tak potężnym, że aż wstrząśnięte sklepienia definitoryum zadrżały i powtórzyły, jak by w przerażeniu:

— Idź, powtórz...

Nastała chwila głuchego milczenia, wreszcie rozległ się przytłumiony głos przybysza:

— Umywam ręce...

— Jak Piłat — dokończył ksiądz Kordecki.

Zdrajca wstał i wyszedł z definitoryum. Przesunął się szybko przez podwórce klasztorne, a gdy się znalazł za bramą, począł biedz prawie, jakby coś gnało od klasztoru do Szwedów.

Tymczasem pan Zamoyski zbliżył się do Czarnieckiego i Kmicica, którzy w definitoryum nie byli, aby im powiedzieć, co zaszło.

— Zali przyniósł co dobrego ten poseł? — spytał pan Piotr — uczciwą miał twarz.

— Boże nas uchowaj od takich uczciwych — odpowiedział pan miecznik sieradzki — przyniósł zwątpienie i pokusę.

— Cóż mówił? — rzekł Kmicic, podnosząc nieco ku górze zapalony lont, który właśnie trzymał w ręku.

— Mówił, jak płatny zdrajca.

— To też dlatego może tak umyka teraz — rzekł pan Piotr Czarniecki. — Patrzcie waszmościowie, ledwie nie pędem ku Szwedom bieży... Ej posłałbym za nim kulę...

— A dobrze — rzekł nagle Kmicic.

I przyłożył lont do zapału.

Rozległ się huk działa, prędzej nim Zamoyski i Czarniecki mogli się pomiarkować, co się stało. Zamoyski za głowę się porwał.

— Na Boga! — krzyknął — coś uczynił ... toż to poseł!

— Złem uczynił! odrzekł, patrząc w dal Kmicic — bom chybił! Już się podniósł i zmyka dalej. Ej że go też przeniosło!

Tu zwrócił się do Zamoyskiego:

— Panie mieczniku dobrodzieju, choćbym go też był i w krzyże dosięgnął, nie dowiedliby nam, żeśmy umyślnie do niego strzelili, a dalibóg nie mogłem lontu w ręku utrzymać. Sam mi opadł. Nigdybym za posłem szwedzkim nie strzelił, ale na widok Polaków zdrajców wnętrzności się we mnie przewracają!

— Ej miarkujże się, byłaby bieda i gotowiby tam naszym posłom krzywdy czynić.

Lecz pan Czarniecki kontent był w duszy, bo Kmicic dosłyszał .. go, jak mruczał pod nosem:

— Przynajmniej ten zdrajca drugi raz pewnie nie podejmie się poselstwa.

Nie uszło to i ucha Zamoyskiego, bo odrzekł:

— Nie ten, to znajdą się drudzy, a waszmościowie układom wstrętu nie czyńcie i samowolnie ich nie przerywajcie, gdyż im dłużej się wloką, tembardziej na naszą korzyść wychodzą. Odsiecz, jeśli nam Bóg jakową ześle, będzie miała czas się zebrać, a i zima idzie sroga, czyniąc coraz trudniejsze oblężenie. Czas dla nich stratę, dla nas korzyść przyniesi.

To rzekłszy, odszedł do definitoryum, gdzie po odejściu posła trwała jeszcze narada. Słowa zdrajcy przeraziły jednak umysły i dusze były zwarzone. Nie uwierzono wprawdzie w abdykacyę Jana Kazimierza, ale poseł przywiódł przed oczy potęgę szwedzką, o której szczęśliwe dni poprzednie pozwoliły prawie zapomnieć. Teraz nanowo przedstawiła się ona umysłom w całej swej grozie. której ulękły się przecież nie takie twierdze, nie takie miasta, Poznań, Warszawa, Kraków, nie licząc mnóstwa zamków, otwo-

rzyły swe bramy przed zwycięzcą, jakże mogła się obronić wśród powszechnego potopu klęsk Jasna Góra?

— Będziem się bronić jeszcze tydzień, dwa, trzy — myśleli sobie niektórzy ze szlachty i zakonników, — ale co dalej, jaki koniec tych usiłowań?

Kraj cały był jako okręt pogrążony już w otchłani, a jeno ów klasztor sterczał jeszcze jak koniec masztu nad falami. Czyli więc mogli rozbitkowie, do tego masztu uczepieni, myśleć jeszcze nietylko o własnem ocaleniu, ale o wydobyciu całego okrętu z pod toni?

— Wedle ludzkich obrachowań, nie mogli.

A jednak, właśnie w chwili, gdy pan Zamoyski wchodził z powrotem do definitoryum, ksiądz Kordecki mówił:

— Bracia moi! Nie śpię i ja, gdy wy nie śpicie, modlę się, gdy wy Patronki naszej o ratunek błagacie. Znużenie, trud, słabość czepiają się tak samo kości moich, jak waszych; odpowiedzialność tak samo, ba, więcej może na mnie, niż na was ciąży — dlaczegoż ja wierzę, a wy już zdajecie się wątpić?... Wejdźcie w siebie, czy zaślepione ziemską potęgą oczy wasze nie widzą już większej siły od szwedzkiej? Czyli nie mniemacie, że żadna obrona już nie wystarczy, żadna ręka tamtej przemocy nie zmoże? Jeśli tak jest, bracia moi, to grzeszne wasze myśli i bluźnicie przeciw miłosierdziu Bożemu, przeciw wszechmocy Pana naszego, przeciw potędze tej Patronki, której sługami się mianujecie. Kto z was będzie śmiał rzec, że ta Najświętsza Królowa nie potrafi nas zasłonić i zwycięstwa nam zesłać? Więc prośmy Jej, błagajmy dniem i nocą póki naszem wytrwaniem, naszą pokorą, naszemi łzami, ofiarowaniem ciał i zdrowia naszego nie zmiękczymy Jej serca, nie przebłagamy za dawne grzechy nasze!

— Ojcze! — odrzekł jeden ze szlachty — nie o własne gardła nam chodzi, nie o nasze żony i dzieci, ale drżymy na myśl o tych despektach, których obraz może doznać, jeżeli nieprzyjaciel twierdzę szturmem zdobędzie.

— I nie chcemy brać na siebie odpowiedzialności — dodał drugi.

— Bo nikt niema prawa jej brać, nawet ksiądz przeor! — dorzucił trzeci.

I opozycya rosła, zyskiwała na odwadze, tem bardziej, że wielu zakonników milczało.

Przeor, zamiast odpowiedzieć wprost, modlić się znów począł:

— Matko Syna Jedynego! — rzekł, podniósłszy oczy i ręce ku górze — jeśliś nas nawiedziła dlatego, abyśmy w Twojej stolicy przykład wytrwania, męstwa, wierności Tobie, ojczyźnie i królowi innym dali... jeśliś wybrała to miejsce, by przez nie rozbudzić sumienia ludzkie i cały kraj ocalić — zmiłujże się nad tymi, którzy zdrój łaski Twej chcą zahamować, Twym cudom przeszkodzić, woli Twej świętej się sprzeciwić...

Tu chwilę pozostał w uniesieniu, następnie zwrócił się ku zakonnikom i szlachcie:

— Kto taką odpowiedzialność weźmie na własne ramiona? Kto cudom Maryi, łasce Jej, ratunkowi tego królestwa i wiary katolickiej zechce przeszkodzić?

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! — ozwało się kilka głosów.

— Nie znajdzie się taki! — zawołał pan Zamoyski.

A ci z zakonników, którym poprzednio nurtowało w sercach zwątpienie, poczęli się bić w piersi, bo strach ich ogarnął niemały. I nikt z rajców nie myślał już tego wieczora o poddaniu.

Lecz chociaż serca starszych zostały wzmocnione, jednakże zgubny posiew owego sprzedawczyka wydał zatrute owoce.

Wiadomość o abdykacyi Jana Kazimierza i o niepodobieństwie odsieczy doszła przez szlachtę do niewiast, od niewiast do służby, czeladź rozszerzyła ją w wojsku, na którem jak najgorsze wywarł wrażenie. Mniej jej się przerazili wieśniacy, lecz właśnie doświadczeni żołnierze z rzemiosła, przywykli koleje wojny wedle żołnierskiej tylko modły obliczać, poczęli schodzić się z sobą, wystawiać sobie wzajemnie niepodobieństwo dalszej obrony, narzekać na upór nieznających rzeczy mnichów, wreszcie zmawiać się i szeptać. Pewien puszkarz, Niemiec, podejrzanej wiary, poradził, by żołnierze sami wzięli sprawę w rękę i porozumieli się ze Szwedami o wydanie twierdzy. Inni pochwycili tę myśl, lecz znaleźli się i tacy, którzy nietylko oparli się stanowczo zdradzie, ale dali zaraz znać o niej Kordeckiemu.

Ksiądz Kordecki, który z największą ufnością w siły niebieskie umiał największą ziemską zapobiegliwość i ostrożność połączyć, zniszczył w zarodzie bunt tajemnie się szerzący.

Najprzód więc przywódców buntu, a na ich czele owego puszka-

rza wygnał z twierdzy, nie obawiając się wcale tego, że Szwedom o stanie fortecy i jej słabych stronach mógł donieść, następnie, podwoiwszy miesięczną łafę załodze, odebrał od niej przysięgę, że do ostatniej kropli krwi będzie klasztoru broniła.

Lecz podwoił także i czujność, postanowiwszy jeszcze pilniej doglądać tak płatnego żołnierza jak szlachtę, a nawet swoich zakonników. Starsi ojcowie przeznaczeni zostali do chórów nocnych, młodzi prócz służby Bożej i służbę na murach zostali obowiązani odprawiać. Następnego dnia odbył się przegląd piechoty, przeznaczono do każdej baszty jednego szlachcica z jego czeladzią, zakonników zaś dziesięciu i dwóch puszkarzy pewnych. Wszyscy ci dzień i noc obowiązani byli powierzonych im stanowisk pilnować.

Stanął więc przy wschodnio-północnej baszcie pan Zygmunt Mosiński, żołnierz dobry, ten właśnie, którego dziecko cudownym sposobem ocalało, chociaż kula ognista padła obok jego kolebki. Z nim razem straż trzymał ojciec Hilary Sławoszewski. Przy zachodniej stanął ojciec Mielecki, ze szlachty zaś pan Mikołaj Krzysztoporski, człowiek posępny i małomówny, ale odwagi nieustraszonej. Wschodnio-południową basztę zajęli pan Piotr Czarniecki z Kmicicem, a z nimi ojciec Adamus Stypulski,który dawniej w elearskiej chorągwi służył. Ten w razie potrzebyzakasywał chętnie habitu i działo rychtował, a z kul przelatujących nie więcej sobie robił od starego wachmistrza Soroki. Nakoniec na zachodnio-południową basztę wyznaczono pana Skórzewskiego i ojca Daniela Rychtalskiego, który tem się odznaczał, że przez dwie i trzy noce z rzędu mógł nie spać, bez szkody dla sił i zdrowia.

Nad strażami postanowiono Dobrosza i ojca Zacharyasza Małachowskiego. Niezdolnych do boju przeznaczono na dachy a zbrojownie i wszelkie przyrządy wojenne objął w nadzór ojciec Lassota. Po księdzu Dobroszu objął on także urząd mistrza ogniowego. W nocy musiał oświetlać mury, aby piechota nieprzyjacielska nie mogła się pod nie zbliżać. Pourządzał także koszyki i kuny żelazne na wieży, w których nocą płonęło łuczywo i pochodnie.

Jakoż co noc cała wieża wyglądała jak jedna olbrzymia pochodnia. Wprawdzie ułatwiło to Szwedom strzelanie do niej, ale mogło posłużyć za znak, że twierdza broni się jeszcze, gdyby wypadkiem jakie wojsko oblężonym na pomoc przyciągało.

Tak więc nietylko zamiary poddania spełzły na niczem, ale zabrano się jeszcze gorliwiej do obrony. Chodził nazajutrz ksiądz Kordecki po murach, jak pasterz po owczarni, widział, że wszystko jest dobrze, i uśmiechał się błogo, chwalił naczelników i żołnierzy, a przyszedłszy do pana Czarnieckiego, rzekł rozpromieniony:

— I pan miecznik sieradzki, nasz kochany wódz, raduje się w sercu narówni ze mną, bo powiada, żeśmy teraz dwakroć mocniejsi, niż na początku! Nowy duch wstąpił w serca, reszty łaska Najświętszej Panny dokonała, a ja tymczasem do układów się nanowo wezmę. Będziemy zwłóczyć i marudzić, bo przez to się krew ludzka oszczędza.

Kmicic zaś na to:

— Ej, ojcze wielebny, co tam po układach! Czasu szkoda! Lepiej oto znowu tej nocy wycieczkę uczynić i tych psiajuchów naciąć.

A ksiądz Kordecki, że to był w dobrym humorze, uśmiechnął się, jak uśmiecha się matka do naprzykrzonego dziecka, następnie podniósł powrósło leżące przy armacie i począł udawać, że bije niem Kmicica po plecach.

— A będziesz mi się tu wtrącał, utrapiony Litwinie, — mówił — a będziesz mi tu krwi, jako wilk łaknął, a będziesz mi tu przykład nieposłuszeństwa dawał, a masz! a masz!

Kmicic zaś rozweselony, jak żak szkolny, uchylał się to wprawo, to wlewo i umyślnie niby się drażniąc, powtarzał:

— Bić Szwedów! bić! bić! bić!

Takieto oni sobie wyprawiali uciechy, mając dusze gorące i dla ojczyzny poświęcone. Lecz układów ksiądz Kordecki nie zaniechał, widząc,że Mueller gorąco ich pragnie i za wszelki pozór chwyta. Cieszyła ta ochota księdza Kordeckiego, odgadywał bowiem łacno, że nie musi się nieprzyjacielowi dziać dobrze, skoro tak chciwie pragnie kończyć.

Poczęły więc płynąć dni jeden za drugim, w których nie milczały wprawdzie działa i rusznice, lecz głównie działały pióra. W ten sposób oblężenie przewłóczyło się, a zima nadchodziła coraz sroższa. Na szczytach Tatrów chmury wysiadywały w przepaścistych gniazdach zawieruchę, mróz, śniegi i wytaczały się na kraj, wiodąc za sobą swe lodowate potomstwo. Nocami Szwedzi

tulili się do mdłych ognisk, woląc ginąć od kul klasztornych, niż marznąć.

Twarda ziemia utrudniała sypanie szańców i czynienie podkopów. Oblężenie nie postępowało. Nietylko oficerowie, ale całe wojsko miało na ustach jedno tylko słowo: "układy."

Udawali więc najprzód księża, że się chcą poddać. Przyszli do Muellera w poselstwie ojciec Marceli Dobrosz i uczony ksiądz Sebastyan Stawicki. Ci uczynili Muellerowi niejaką nadzieję zgody. Ledwie to usłyszał, aż ręce otworzył i gotów był porwać ich z radości w objęcia. Już bowiem nie o Częstochowę, już o cały kraj chodziło. Poddanie się Jasnej Góry byłoby odebrało resztkę nadziei patryotom i ostatecznie popchnęło Rzeczpospolitą w objęcia króla szwedzkiego, gdy przeciwnie opór, i to opór zwycięski, mógł zmienić serca, umysły i wywołać straszliwą nową wojnę.

Oznak naokół nie brakło. Mueller wiedział o tem i czuł, w co się wdał, jak straszna zaciężyła na nim odpowiedzialność; wiedział, że albo czeka bo łaska królewska, marszałkowska buława, zaszczyt, tytuły, albo ostateczny upadek. Że zaś i sam już zaczął przekonywać się, że tego "orzecha" nie zgryzie, przyjął więc księży z niesłychaną uprzejmością, jakby cesarskich albo sułtańskich ambasadorów. Zaprosiwszy ich na ucztę, sam pił za ich zdrowie, a również za zdrowie przeora i pana miecznika sieradzkiego; obdarzył ich rybami dla klasztoru, nakoniec podał warunki poddania się tak łaskawe, iż ani na chwilę nie wątpił, że ze skwapliwością zostaną przyjęte.

Ojcowie podziękowali pokornie, jak na zakonników przystało; wzięli papier i odeszli. Na ósmą rano zapowiedział Mueller otwarcie bram. Radość w obozie szwedzkim zapanowała nieopisana. Żołnierze porzucali szańce i okopy, podchodzili pod mury i poczynali rozmowy z oblężonymi.

Lecz z klasztoru dano znać, że w sprawie tak wielkiej wagi musi przeor odwołać się do całego zgromadzenia, proszą więc zakonnicy jeszcze o jeden dzień zwłoki. Mueller zgodził się bez wahania. Tymczasem w definitoryum obradowano istotnie do późna w nocy.

Jakkolwiek Mueller starym był i wytrawnym wojownikiem, jakkolwiek nie było może w całej armii szwedzkiej generała, któryby więcej układów od tego Poliorcetesaz rozmaitemi miastami

prowadził, jednakże biło mu serce niespokojnie, gdy następnego ranka ujrzał dwa białe habity, zbliżające się do kwatery, którą zajmował.

Byli to nie ci sami ojcowie; przodem szedł ksiądz Maciej Błeszyński, lektor filozofii, niosąc pismo z pieczęcią, za nim postępował ojciec Zacharyasz Małachowski, z rękami skrzyżowanemi na piersiach, ze spuszczoną głową i z twarzą lekko pobladłą.

Generał przyjął ich w otoczeniu sztabu i wszystkich znamienitych pułkowników i odpowiedziawszy uprzejmie na ukłon ojca Błeszyńskiego, wyjął mu szybko list z ręki, rozerwał pieczęcie i począł czytać.

Lecz wnet strasznie zmieniła się twarz jego: fala krwi uderzyła mu do głowy, oczy wyszły na wierzch, kark napęczniał i straszliwy gniew zjeżył mu włosy pod peruką. Przez chwilę mowę mu odjęło, ręką tylko wskazał na list księciu Heskiemu, który przebiegł go oczyma i zwróciwszy się do pułkowników, rzekł spokojnie:

— Oświadczają mnisi tylko tyle, że dopóty nie mogą się wyrzec Jana Kazimierza, dopóki prymas nowego króla nie ogłosi, czyli inaczej mówiąc, nie chcą uznać Karola Gustawa.

Tu rozśmiał się książę Heski, Sadowski utkwił szyderczy wzrok w Muellerze, a Wrzeszczowicz począł brodę szarpać z wściekłości. Groźny szmer oburzenia powstał wśród reszty obecnych.

Wtem Mueller począł uderzać dłonią po kolanie i krzyczeć:

— Rata! rata!

Wąsate twarze czterech muszkieterów ukazały się wnet we drzwiach.

— Wziąć mi te golone pałki i zamknąć — krzyknął — generał. Waść panie Sadowski otrąbisz mi pod klasztorem, że niech aby z jednego działa dadzą z murów ognia, obydwóch mnichów każę natychmiast powiesić!

Prowadzono tedy obu księży: ojca Błeszyńskiego i ojca Małachowskiego, wśród szyderstw i naigrawań się żołnierzy. Muszkietnicy zawdzieli im swe kapelusze na głowy, a raczej na twarze, tak aby oczy były zasłonięte i umyślnie naprowadzali ich na rozmaite przeszkody, a gdy który z księży potknął się lub upadł, wówczas rozlegał się wybuch śmiechu wśród gromad żołnierstwa, upadłego zaś podnoszono kolbami i niby podpierając go, tłuczono po krzyżu i ramionach. Inni rzucali na nich nawozem końskim, inni

chwytali w dłonie śnieg i rozcierali go na tonsurach lub wpuszczali księżom za habity. Odczepiono sznurki od trąbek i przywiązano ojcom do szyi, poczem żołdacy chwycili za drugi koniec i udając, że prowadzą bydło na jarmark, wykrzykiwali w głos ceny.

Oni obaj szli cicho z rękami złożonemi na piersiach, z modlitwą na ustach. Zamknięto ich wreszcie w stodole drżących od zimna, sponiewieranych; naokoło zaś stanęły straże z muszkietami.

Pod klasztorem otrąbiono już rozkaz, a raczej groźbę Muellera.

Zlękli się ojcowie, zdrętwiało ze zgrozy całe wojsko. Działa umilkły; rada zebrana nie wiedziała co począć. Zostawić ojców w barbarzyńskich rękach niepodobna; posłać drugich, to ich Mueller znowu zatrzyma. Wszelako w kilka godzin później sam on przysłał posłańca z zapytaniem, co mnisi myślą uczynić?

Odpowiedziano mu, że póki ojców nie uwolni, żadne układy nie mogą mieć miejsca, bo jakże zakonnicy mogą wierzyć, że generał dotrzyma im warunków, jeżeli wbrew kardynalnemu prawu narodów więzi posłów, których nietykalność barbarzyńskie nawet ludy szanują.

Na to oświadczenie nie było prędkiej odpowiedzi, straszna niepewność zaciężyła więc nad klasztorem i zmroziła zapał w obrońcach.

Wojska zaś szwedzkie, ubezpieczone przez zatrzymanie jeńców, pracowały gorączkowo nad zbliżeniem się do niedostępnej dotąd twierdzy. Sypano na gwałt nowe szańce, stawiano kosze z ziemią, ustawiano armaty. Zuchwałe żołnierstwo podsuwało się pod mury na pół strzału z rusznicy. Wygrażali kościołowi, obrońcom. Wpół pijani żołdacy krzyczeli, wznosząc ręce ku murom:

— Poddajcie klasztor, albo wiedzcie, że wasze mnichy wisieć będą!

Inni bluźnili strasznie przeciwko Bogarodzicy i wierze katolickiej. Oblężeni, ze względu na życie ojców, słuchać musieli cierpliwie. Kmicicowi wściekłość zapierała oddech w piersi. Darł włosy w czuprynie, szaty na sobie i łamiąc ręce, powtarzał do pana Piotra Czarnieckiego:

— Ot, mówiłem, mówiłem, naco układy ze złodziejami! Teraz stój, cierp a oni leżą w oczy, a bluźnią... Matko Boża zmiłuj się nademną, daj mi wytrwanie ... Na Boga żywego niezadługo na

mary zaczną leźć ... Trzymajcieże mnie, okujcie mnie, jak zbója, bo nie wytrzymam...

Tamci zaś zbliżali się coraz bardziej i bluźnili coraz śmielej.

Tymczasem zaszedł nowy wypadek, który do rozpaczy przywiódł oblężonych. Pan kasztelan kijowski, poddając Kraków, wymówił sobie, że wyjdzie z całem wojskiem i pozostanie wraz z niem na Śląsku aż do końca wojny. Siedemset piechoty z tych wojsk, gwardyi królewskiej pod wodzą pułkownika Wolffa, stało już w pobliżu nad granicą i ufając traktatom, nie miało się na baczności.

Owóż Wrzeszczowicz namówił Muellera, ażeby tych ludzi zagarnął. Ten wysłał samego Wrzeszczowicza z dwoma tysiącami rajtaryi, którzy nocą przeszedlszy granicę, napadli na uśpionych i zabrali ich co do jednego. Sprowadzonych do obozu szwedzkiego kazał Mueller umyślnie obwodzić naokoło muru, aby okazać księżom, że to wojsko, od którego spodziewali się odsieczy, posłuży właśnie do zdobywania Częstochowy.

Widok też to był przerażający dla oblężonych tej świetnej gwardyi królewskiej, wleczonej wedle murów; nikt bowiem nie wątpił, że ich pierwszych zmusi Mueller do szturmu.

Popłoch ukazał się znów w wojsku; niektórzy żołnierze poczęli broń łamać i wołać, że niema już innej rady, jeno trzeba się poddawać jak najprędzej. Serca upadły w szlachcie.

Niektórzy z nich znów wystąpili do Kordeckiego z prośbami, aby miał litość nad ich dziećmi, nad świętem miejscem, nad obrazem i nad zgromadzeniem zakonnem. Zaledwie przewaga przeora i pana Zamoyskiego starczyły do uciszenia tego rozruchu.

A ksiądz Kordecki miał przedewszystkiem na myśli uwolnienie uwięzionych ojców i chwycił się najlepszego sposobu, napisał bowiem list do Muellera, że chętnie dla dobra Kościoła owych braci poświęci. Niech więc generał skazuje ich na śmierć; będą potem wszyscy inni wiedzieć, czego się po nim mogą spodziewać i jaką wiarę do jego przyrzeczeń przywiązywać.

Mueller radosny był, bo sądził, że dopływa do końca. Nie odrazu jednak uwierzył słowom Kordeckiego i jego gotowości poświęcenia zakonników. Więc jednego z nich, księdza Błeszyńskiego, wysłał do klasztoru, zobowiązawszy go najprzód przysięgą, że

wróci sam dobrowolnie bez względu na to, jaką odpowiedź przyniesie. Zobowiązał go również przysięgą, że wystawi potęgę szwedzką i niepodobieństwo oporu. Zakonnik powtórzył wszystko wiernie, lecz oczy jego mówiły, co innego, a w końcu rzekł:

— Lecz życie niżej ceniąc, niż dobro Zgromadzenia, czekam na postanowienie rady, a co wy uchwalicie, najwierniej nieprzyjacielowi z powrotem oznajmię.

Kazano mu odpowiedzieć, że zakon pragnie układów, ale nie może wierzyć generałowi, który posłów więzi. Na drugi dzień przyszedł do klasztoru drugi z wysłanych ojców Małachowski i z podobną odszedł odpowiedzią.

Wówczas obaj usłyszeli wyrok śmierci.

Było to w kwaterze Muellera, w obecności sztabu i znamienitych oficerów. Wszyscy oni patrzyli pilnie w twarze zakonników, ciekawi, jakie też wyrok wywrze na nich wrażenie i z największem zdumieniem ujrzeli na obydwóch radość tak wielką, tak nieziemską, jakby najwyższe zwiastowano im szczęście. Wybladłe policzki zakonników zarumieniły się nagle, oczy napełniły się światłem i ojciec Małachowski rzekł drżącym ze wzruszenia głosem:

— Ach czemuż dzisiaj nie umieramy, skoro ofiarą za Boga i króla paść nam przeznaczono ...

Mueller kazał ich natychmiast wyprowadzić. Pozostali oficerowie spoglądali jedni po drugich, nakoniec któryś ozwał się:

— Z podobnym fanatyzmem trudna walka.

A książę Heski na to:

— Podobną wiarę mieli tylko pierwsi chrześcijanie.. Toś waćpan chciał rzec?

Następnie zwrócił się do Wrzeszczowicza.

— Panie Weyhard — rzekł, — radbym wiedzieć, co pan myślisz o tych mnichach?

— Nie potrzebuję sobie nimi głowy zaprzątać — odrzekł zuchwale Wrzeszczowicz — pan generał już o nich pomyślał.

W tem Sadowski wystąpił na środek izby i stanął przed Muellerem.

— Wasza dostojność nie każesz tych mnichów stracić — rzekł stanowczo.

— A to czemu?

— Dlatego, że wówczas o jakichkolwiek układach mowy już

nie będzie, że załoga twierdzy zapłonie zemstą, że ci ludzie prędzej jeden na drugim w takim razie padną, niż się poddadzą...

— Wittemberg przysyła mi ciężkie działa.

— Wasza dostojność nie uczynisz tego, — mówił z mocą Sadowski — gdyż to są posłowie, którzy w zaufaniu tu przybyli!

— Ja też ich nie na zaufaniu każę powiesić, tylko na szubienicy.

— Echo tego czynu rozlegnie się w całym kraju, wzburzy wszystkie serca i odwróci je od nas.

— Daj mi waćpan pokój ze swemi echami ... Słyszałem już o nich sto razy.

— Wasza dostojność nie uczynisz tego bez wiedzy jego kr. mości.

— Waćpan nie masz prawa przypominać mi moich obowiązków względem króla!

— Ale mam prawo prosić o uwolnienie ze służby, a powody jego kr. mości przedstawić. Chcę być żołnierzem, nie katem ...

Książę Heski wystąpił z kolei na środek izby i rzekł ostentacyjnie!

— Panie Sadowski, daj mi twą rękę. Pan jesteś szlachcic i uczciwy człowiek!

— Co to jest? co to znaczy? — ryknął Mueller, zrywając się z siedzenia.

— Generale, — rzekł zimno książę Heski — pozwalam sobie mniemać, że pan Sadowski jest uczciwym człowiekiem i sądzę, że niemasz w tem nic przeciwnego dyscyplinie?

Mueller nie lubił księcia Heskiego, ale jak wielu ludziom, niższego pochodzenia, tak i jemu imponował w najwyższy sposób ów chłodny grzeczny, a zarazem pogardliwy sposób mówienia, właściwy ludziom wysokiej godności. Mueller starał się nawet mocno przyswoić sobie ową manierę, co mu się zresztą nie udawało. Pohamował jednak wybuch i rzekł spokojniej:

— Mnichy będą jutro wisieć.

— To nie moja rzecz, — odrzekł książę Heski — ale w takim razie każ wasza dostojność dziś jeszcze uderzyć na te dwa tysiące Polaków, którzy są w naszym obozie, bo jak tego nie uczynisz, to oni jutro uderzą na nas... Już i tak bezpieczniej szwedzkiemu żołnierzowi iść między stado wilków, niż między ich namioty. Oto wszystko, co chciałem powiedzieć, a teraz pozwalam sobie życzyć waszej dostojności powodzenia...

To rzekłszy, wyszedł z kwatery.

Mueller pomiarkował, iż zapędził się zbyt daleko. Lecz rozkazów nie cofnął i tego samego dnia jeszcze zaczęto wznosić szubienicę na oczach całego klasztoru. Jednocześnie żołdacy, korzystając z zawartego zawieszenia broni, cisnęli się jeszcze bliżej murów, nie przestając szydzić, urągać, bluźnić, wyzywać. Całe tłumy ich wdzierały się na górę; stali tak gęsto, jakoby zamierzali iść do szturmu.

Wtem pan Kmicic, którego nie okuli, jak o to prosił, nie wytrzymał istotnie i gruchnął z działa w największą kupę, tak skutecznie, że pokotem położył tych wszystkich żołnierzy, którzy się naprzeciw wylotu znajdowali. Było to jakby hasło, bo naraz, bez rozkazów, a nawet wbrew im, zagrały wszystkie działa, huknęły ruszniee i garłacze.

Szwedzi zaś wystawieni ze wszech stron na ogień, z wyciem i rykiem uciekać poczęli od twierdzy, gęsto po drodze trupem padając.

Czarniecki przyskoczył do Kmicica.

— A wiesz, że za to kula w łeb?

— Wiem, wszystko mi jedno! Niech mnie!...

— To w takim razie mierz dobrze.

Wkrótce jednak zabrakło mu celu. Wielkie poruszenie stało się tymczasem w obozie szwedzkim, lecz było tak jasnem, że pierwsi Szwedzi zgwałcili zawieszenie broni, iż Mueller sam w duchu przyznawał słuszność Jasnogórcom.

Co więcej, Kmicic ani się spodziewał, że swemi strzałami uratował prawdopodobnie życie ojcom, bo wskutek nich Mueller stanowczo przekonał się, że zakonnicy w ostatnim razie istotnie gotowi są dla dobra kościoła i klasztoru poświęcić dwóch współbraci. Strzały wbiły mu przytem do głowy i tę myśl, że jeśli włos spadnie z głowy posłów, tedy już nic innego, prócz podobnych grzmotów nie usłyszy ze strony klasztoru.

I nazajutrz zaprosił obydwóch uwięzionych zakonników na obiad, następnego zaś dnia odesłał ich do klasztoru.

Płakał ksiądz Kordecki na ich widok, wszyscy brali ich w ramiona i zdumiewali się, słysząc z ich ust, że właśnie owym wystrzałom winni są ocalenie. Przeor, który poprzednio gniewał się na Kmicica, przywołał go zaraz i rzekł:

— Gniewałem się, bo myślałem, żeś ich zgubił, ale ciebie widocznie Najświętsza Panna natchnęła. Znak to łaski, raduj się!.

— Ojcze najdroższy, kochany, nie będzie już układów? — pytał Kmicic, całując go po rękach.

Ale ledwie to wymówił, ledwie skończył, gdy trąbka ozwała się przy bramie i nowy poseł od Muellera wszedł do klasztoru.

Był to pan Kuklinowski, pułkownik chorągwi wolentarskiej, włóczącej się ze Szwedami.

Najwięksi warchołowie, bez czci i wiary, służyli w tej chorągwi, a poczęści dysydenci, jako lutrowie, aryanie, kalwini. Tem się tłomaczyła ich przyjaźń dla Szwedów, lecz głównie zagnała ich do Muellerowskiego obozu chęć grabieży i łupów. Szajka ta złożona ze szlachty, banitów, ludzi zbiegłych z wież i rąk mistrza, z czeladzi wisielców, urwanych od powroza, podobna było nieco do dawnej Kmicicowej partyi, tylko tamci się bili jak lwy, ci woleli rabować, krzywdzić szlachcianki po dworach, rozbijać stajnie i skrzynie. Kuklinowski sam mniej był za to podobny do Kmicica. Wiek przyprószył siwizną jego włosy, twarz miał zwiędłą, zuchwałą, bezczelną. Oczy, nadzwyczaj wypukłe i drapieżne, zwiastowały gwałtowność charakteru. Byłto jeden z tych żołnierzy, wktórych wskutek hulaszczego życia, ciągłych wojen, sumienie wypaliło się do dna. Mnóstwo podobnych kręciło się wówczas po wojnie trzydziestoletniej w całych Niemczech i Polsce. Gotowi oni byli służyć każdemu, i nieraz prosty tylko wypadek rozstrzygał, po której stawali stronie.

Ojczyzna, wiara, słowem wszystkie świętości, były im zupełnie obojętne. Wyznawali jedną tylko żołnierkę, szukali w niej uciech, rozpusty, korzyści i zapomnienia życia. Wszelako, obrawszy jakiś obóz, służyli mu zwykle dość wiernie, a to przez pewien honor żołniersko-rozbójniczy i dlatego, aby nie psuć sobie i innym wziętości. Takim był i Kuklinowski. Sroga odwaga i niezmierna zawziętość wyrobiły mu między warchołami. Łatwo mu przychodziło werbować ludzi. Wiek życia przesłużył w różnych broniach i obozach. Był na Siczy atamanem; wodził pułki na Wołoszczyznę; w Niemczech werbował ochotników w czasie trzydziestoletniej wojny i zyskał pewną sławę jako dowódca jazdy. Krzywe jego nogi, wygięte nakształt pałąków, znamionowały, że większą część życia spędził na koniu. Chudy był przytem jak trzaska i nieco pochylony z rozpusty. Siła krwi, nietylko w wojnach przelanej, ciążyło na nim. A jednak nie był to człowiek z natury zupełnie zły, miewał czasem szlachetniejsze popędy, był tylko do

szpiku kości zepsuty i rozzuchwalony. Sam bowiem nieraz mawiał w zaufanej kompanii po pijanemu:

— Spełniło się niejeden uczynek, za który powinien był piorun trzasnąć a nie trzasnął.

Ta bezkarność sprawiła, że nie wierzył w sprawiedliwość Bożą i karę, nietylko za życia, ale i po śmierci, inaczej mówiąc, nie wierzył w Boga, wierzył jednak w dyabła, w czarownice, w astrologów i w alchemię.

Nosił się po polsku, gdyż uważał ten strój za najodpowiedniejszy dla kawalerzysty; jeno wąs, jeszcze czarny, podstrzygał po szwedzku i rozczapierzał w zadartych do góry końcach. Mówiąc, zdrabniał wszystkie wyrazy, jak dziecko, co dziwne czyniło wrażenie w ustach takiego wcielonego dyabła i okrutnika, żłopiącego krew ludzką. Mówił dużo i chełpliwie, oczywiście miał się za znamienitą osobą i jednego z pierwszych w świecie pułkowników jazdy.

Mueller, który lubo w szerszym zakroju sam do podobnego gatunku ludzi należał, cenił go wielce, a zwłaszcza lubił go sadzać u swego stołu. Obecnie Kuklinowski sam narzucił mu się na pomocnika, zaręczając, że wymową swą wnet księży do upamiętania przywiedzie.

Poprzednio jeszcze, gdy po aresztowaniu księży pan Zamoyski, miecznik sieradzki, wybierał się sam osobą do obozu Muellera i żądał zakładnika, Mueller posłał Kuklinowskiego; pan Zamoyski i ksiądz Kordecki nie przyjęli go jednak, jako człeka nieodpowiedniej godności.

Od tej pory, dotknięty w miłości własnej Kuklinowski, powziął śmiertelną urazę do obrońców Jasnej Góry i postanowił wszelkiemi siłami im szkodzić.

Wybrał się więc w poselstwie, raz dla samego poselstwa, a powtóre, żeby wszystko obejrzeć i tu i owdzie złe ziarno rzucić. Ponieważ zdawna znajomy był panu Czarnieckiemu, zbliżył się zatem do bramy przez niego strzeżonej; lecz pan Czarniecki spał właśnie, Kmicic go zastępował; on też wprowadził gościa i zawiódł go do definitoryum.

Kuklinowski rzucił okiem znawcy na pana Andrzeja i wnet wpadła mu bardzo w oko nietylko postawa, ale i wzorowy żołnierski moderunek młodego junaka.

— Żołnierzyk zaraz prawdziwego żołnierzyka odgadnie — rzekł, podnosząc rękę do kołpaka. — Nie spodziewałem się, żeby

księżulkowie mieli tak grzecznych oficerów na kondycyjce. Jakaż godność, proszę?...

W Kmicicu, który miał gorliwość każdego nowonawróconego, aż dusza się wzdrygała, szczególnie na Polaków, Szwedom służących; jednakże wspomniał na niedawnie gniewy księdza Kordeckiego, na wagę, którą tenże do układów przywiązywał, więc odrzekł chłodno, ale spokojnie:

— Jestem Babinicz, dawny pułkownik wojsk litewskich,a teraz wolentaryusz w służbie Najświętszej Panny.

— A ja Kuklinowski, także pułkownik, o którym musiałeś waść słyszeć, bo czasu niejednej wojenki o tem nazwisku i o tej szabelce (tu uderzył się po boku) wspominano nietylko tu w Rzeczypospolitce, ale i za granicą.

— Czołem, — rzekł Kmicic — słyszałem.

— No proszę... to waść z Litwy?... I tam bywają sławni żołnierze... My to wiemy o sobie, bo też trąbę sławy słychać z jednego końca świata w drugi... Znałżeś tam waszmość niejakiego Kmicica?

Pytanie padło tak nagle, że pan Andrzej stanął jak wryty.

— A waszmość czemu się o niego pytasz?

— Bo go miłuję, choć go nie znam: bośmy do siebie podobni, jak para butów... i to zawsze powtarzam: dwóch jest(z przeproszeniem waszmości) prawdziwych żołnierzy w tej Rzeczypospolitej: ja w Koronie, a Kmicic na Litwie... Para gołąbków, co?! Znałżeś go waść osobiście?

— Bodaj cię zabito! — pomyślał Kmicic.

Lecz wspomniawszy na poselski charakter Kuklinowskiego odrzekł głośno:

— Osobiście go nie znałem... Ale owóż wejdź pan, bo tam już rada oczekuje.

To rzekłszy, wskazał mu drzwi, z których na przyjęcie gościa wyszedł jeden z księży. Kuklinowski udał się z nim razem do definitoryum, lecz przedtem jeszcze odwrócił się do Kmicica.

— Miło mi będzie, panie kawalerze, — rzekł — jeśli i z powrotem ty mnie odprowadzisz, nie kto inny.

— Zaczekam tu na waszmości — odpowiedział pan Kmicic.

I pozostał sam. Po chwili począł chodzić tam i napowrót prędkiemi krokami. Wzburzyła się w nim cała dusza, a serce zlewało mu się krwią czarną ze złości.

— Smoła tak nie przylega do szaty, jak niesława do imienia! — mruczał. — Ten łotr, ten wyga, ten sprzedawczyk, śmiele się bratem moim mianuje i za kompaniona mnie ma. Ot, czegom się doczekał! Wszyscy wisielcy się do mnie przyznają, a nikt zacny bez abominacyi nie wspomni. Małom jeszcze uczynił, mało!... Żebym przynajmniej mógł tego szelmę nauczyć. Nie może być inaczej, tylko go sobie zakarbuję.

Narada w definitoryum trwała długo. Uczyniło się ciemno. Kmicic czekał jeszcze.

Nakoniec ukazał się pan Kuklinowski. Twarzy jego nie mógł dojrzeć pan Andrzej, ale z szybkiego sapania wnosił, że misya zgoła mu się nie udała i zarazem nie przypadła do smaku, bo nawet do gawędy stracił ochotę. Szli więc czas jakiś w milczeniu; tymczasem postanowił Kmicic dowiedzieć się prawdy, rzekł tedy, udając umyślnie współczucie:

— Pewnie z niczem waszmość wracasz... Nasi księża uparci, a mówiąc między nami (tu zniżył głos) źle czynią, bo przecie wieki bronić się nie możem.

Pan Kuklinowski stanął i pociągnął go za rękaw.

— A, sądzisz waść, sądzisz, że źle robią? Masz rozumek, masz! Księżulkowie pójdą na otręby — jak w tem! Kuklinowskiego nie chcą słuchać, posłuchają jego miecza.

— Widzi waść, mnie też o nich nie chodzi, — odrzekł Kmicic — ale o miejsce, które jest święte, niema co mówić!... a które im później się podda, tem kondycye sroższe być muszą... Chyba, że to prawda, co mówią, iż w kraju powstają hałasy, że tu i owdzie poczynają Szwedów siec i że chan w pomoc ciągnie. Jeśli tak, to Mueller musi odstąpić.

— Waćpanu w zaufaniu powiem: ochotka na szwedzką juszkę budzi się w kraju, a podobno i w wojsku, prawda!... O chanie także gadają! Ale Mueller nie odstąpi. Za parę dni działa ciężkie nam przyjdą... Wykopiemy tych lisów z jamy, a później co będzie, to będzie!... Ale waćpan rozumek masz!

— Ot i brama! — rzekł Kmicic — tu muszę waści pożegnać... Chyba, że chcesz, bym cię po pochyłości sprowadził?

— Sprowadź, sprowadź! Parę dni temu strzeliliście za posłem!...

— At! co waść mówisz?!

— Może niechcący... Ale lepiej sprowadź waćpan... Mam ci też kilka słów rzec.

— I ja waćpanu.

— To i dobrze.

Wyszli za bramę i pogrążyli się w ciemności. Tu Kuklinowski stanął i chwyciwszy znów Kmicica za rękaw, mówić począł:

— Waćpan, panie kawalerze wydajesz mi się roztropny i przemyślny, a przytem czuję w tobie żołnierzyka z krwi i z kości... Poco ci u licha z księżmi, nie z wojskowymi trzymać, poco księżym parobkiem być?... Lepsza u nas i weselsza kompania przy kielichach, kościach, z dziewczętami... Rozumiesz? co?

Tu ścisnął mu ramię palcami.

— Ten dom — mówił dalej, ukazując palcem na twierdzę — pali się... a głupi, kto z palącego się domu nie ucieka. Waćpan może imienia zdrajcy się boisz?... Pluń na tych, co cię tak nazwą! Chodź do naszej kompanii.... Ja, Kuklinowski, to waści proponuję. Chcesz słuchaj... nie chcesz, nie słuchaj... gniewu nie będzie. Generał przyjmie cię dobrze, ja w tem, a mnie do serca przypadłeś i z życzliwości to ci mówię. Wesoła kompanijka, wesoła! Żołnierska wolność w tem, by służyć komu się chce. Nic ci po mnichach! Jeżelić cnotka przeszkadza, to ją wycharchnij! Pamiętaj też i na to, że i uczciwi u nas służą. Tylu szlachty, tylu panów, hetmani... Co masz być lepszy? Kto tam się naszego Kazimierza trzyma — nikt! Jeden Sapieha Radziwiłła gnębi.

Kmicic zaciekawił się.

— Sapieha, mówisz waćpan, Radziwiłła gnębi?

— Tak jest. Srodze go tam na Podlasiu poturbował, a teraz w Tykocinie oblega. A my nie przeszkadzamy!

— Jakto?

— Bo król szwedzki woli, żeby się zjedli. Radziwiłł nigdy nie był pewny, o sobie jeno myślał... Przytem ledwie podobno już dyszy. Kto dopuści, żeby go oblegano, to już źle z nim... już zginął.

— I Szwedzi nie idą mu na ratunek?

— Kto ma iść? Sam król w Prusach, bo tam sprawa najważniejsza... Elektoreczek dotąd się wykręcał, teraz się nie wykręci. W Wielkopolsce wojenka, Wittemberg potrzebny w Krakowie. Duglas z góralami ma robotę, więc i zostawili Radziwiłła samego sobie. Niech go tam Sapieha zje. Urósł Sapieżka, to prawda... Ale przyjdzie i na niego kolej. Nasz Karolek, byle się z Prusami

ułatwił, przytrze potem rogów Sapieże. Teraz niema na niego rady, bo cała Litwa przy nim stoi.

— A Żmudź?

— Żmudź Pontusik de la Gardie trzyma w łapach, a ciężkie to łapy, znam go!

— Takżeto Radziwiłł upadł, on, który potęgą królom dorównywał?

— Gaśnie już, gaśnie...

— Dziwne zrządzenie Boże!

— Odmienna wojny kolejka. Ale mniejsza z tem! No, co tam? Nie namyśliszże się wedle tej propozycyi, którą ci uczyniłem!? Nie będziesz żałował! Chodź do nas. Jeśli ci dziś zaprędko, to się namyśl do jutra, do pojutrza, do przyjścia wielkich dział. Oni ci widać ufają, skoro możesz za bramę wychodzić, jak ot, teraz... Albo z listami przyjdź i więcej nie wracaj...

— Waćpan ciągniesz na stronę szwedzką, boś szwedzki poseł — rzekł nagle Kmicic — nie wypada ci inaczej, chociaż w duszy, kto wie, co tam myślisz. Są tacy, którzy Szwedom służą, a w sercu źle im życzą.

— Parol kawalerski! — odrzekł Kuklinowski — że mówię szczerze i nie dlatego, że funkcyę poselską spełniam. Za bramą już ja nie poseł i kiedy tak chcesz, to składam dobrowolnie swoją poselską szarżę i mówię ci jak prywatny: kiń do licha tę paskudną twierdzę!

— To waść mówisz, jako prywatny?

— Tak jest.

— I mogę ci jako prywatnemu odpowiedzieć?

— Jako żywo! sam proponuję.

— Tedy słuchajże mnie, panie Kuklinowski (tu Kmicic nachylił się i spojrzał w same oczy zabijaki) — jesteś szelma, zdrajca, łotr, rakarz i arcypies! Masz dosyć, czyli mam ci jeszcze w oczy plunąć?

Kuklinowski zdumiał się do tego stopnia, że przez chwilę trwało milczenie.

— Coto?... Jakto... Słyszęż ja dobrze?

— Masz psie dosyć, czyli chcesz, bym ci w oczy plunął?

Kuklinowski błysnął szablą, lecz Kmicic schwycił go swą żelazną ręką za garść, wykręcił ramię, wyrwał szablę, następnie trzasnął w policzek, aż się rozległo w ciemności, poprawił z drugiej

strony, obrócił w ręku jak frygę i kopnąwszy z całej siły, wykrzyknął:

— Prywatnemu, nie posłowi ...

Kuklinowski potoczył się na dół jak kamień, wyrzucony z balisty, pan Andrzej zaś spokojnie poszedł ku bramie.

Działo się to w załamaniu góry, tak iż z murów trudno ich było dojrzeć. Jednakże przy bramie spotkał Kmicic czekającego już księdza Kordeckiego, który zaraz odprowadził go na bok i pytał:

— A coś tak długo robił z Kuklinowskim?

— Wchodziłem z nim w konfidencyę — odparł pan Andrzej.

— Cóż ci mówił?

— Mówił mi, że o chanie prawda.

— Chwała Bogu, który serca pogan zmienić umie i z wrogów uczynić przyjaciół.

— Mówił mi także, iż Wielkopolska się ruszyła...

— Chwała Bogu!

— Że kwarciani coraz niechętniej przy Szwedzie stoją, że na Podlasiu wojewoda witebski, Sapieha, zbił zdrajcę Radziwiłła, mając wszystkich zacnych obywatelów po sobie. Jakoby cała Litwa przy nim stoi, z wyjątkiem Żmudzi, którą Pontus ogarnął...

— Chwała Bogu! Niceście więcej z sobą nie mówili?

— Owszem, namawiał mnie potem Kuklinowski, bym do Szwedów przeszedł.

— Tego się spodziewałem, — rzekł ksiądz Kordecki — zły to człowiek... A ty cóżeś mu odrzekł?

— Boto widzicie, ojcze wielebny, powiedział mi tak: "Kładę na bok moją szarżę poselską, która się za bramą i bez tego kończy, a namawiam cię jako prywatny człowiek. "A jam go jeszcze dla pewności spytał, czy mogę jako prywatnemu odpowiadać? Powiedział:" Dobrze " — wtedy...

— Co wtedy?

— Wtedy dałem mu w pysk, a on się na dół pokocił

— W imię Ojca i Syna i Ducha!

— Nie gniewajcie się, ojcze... Bardzom to politycznie uczynił, a że on tam przed nikim słowa nie piśnie, to pewno!

Ksiądz milczał przez chwilę.

— Z poczciwościś to uczynił, wiem! — odrzekł po chwili. — To mnie jeno martwi, żeś sobie nowego wroga napytał... To straszny c[illegible]ł[illegible]k.

— E! jeden więcej, jeden mniej!... — rzekł Kmicic.

Poczem pochylił się do ucha księdza.

— A książę Bogusław — rzekł — to mi przynajmniej wróg! Co mi tam taki Kuklinowski!? Ani się na niego obejrzę.

---

## XXXI.

Tymczasem odezwał się groźny Arfuid Wittemberg. Znamienity oficer przywiózł jego surowe pismo do klasztoru z rozkazem dla ojców poddania twierdzy Muellerowi. "W przeciwnym razie — pisał Wittemberg — jeśli nie zaniechacie oporu i nie zechcecie ulegać wspomnianemu panu generałowi, bądźcie przekonani, że surowa was czeka za to kara, która innym posłuży za przykład. Winę zaś tego sobie przypiszecie."

Ojcowie po odebraniu tego listu postanowili postaremu zwlekać, codzień nowe trudności przedstawiając. I znów poczęły płynąć dni, podczas których huk armat przerywał układy i odwrotnie.

Mueller oświadczył, że tylko dla zabezpieczenia klasztoru od kup swawolnych, pragnie wprowadzić doń swą załogę.

Ojcowie odpowiedzieli, że skoro załoga ich okazała się dostateczną do obrony przeciw tak potężnemu wodzowi, jak pan generał, tem bardziej wystarczy przeciw kupom swawolnym. Błagali więc Muellera na wszystko co święte, na uszanowanie, jakie lud ma dla tego miejsca, na Boga i cześć Maryi, aby sobie poszedł co Wielunia lub gdzieby mu się podobało. Wyczerpała się jednak i cierpliwość szwedzka. Ta pokora oblężonych, którzy jednocześnie prosili o miłosierdze i coraz gęściej z dział strzelali, doprowadzała do rozpaczy wodza i wojsko.

Muellerowi w głowie z początku nie mogło się pomieścić, dla czego, gdy cały kraj poddał się, to jedno miejsce się broni, co za moc je podtrzymuje, w imię jakich nadziei ci zakonnicy nie chcą ulegnąć, do czego dążą czego się spodziewają?

Lecz czas płynący przynosił coraz jaśniejsze na owe pytania odpowiedzi. Opór, który się tu począł, szerzył się jak pożar.

Mimo dość tępej głowy, spostrzegł generał wkońcu o co księdzu Kordeckiemu chodziło, bo zresztą wytłómaczył to niezbicie Sadowski: że więc nie o owo gniazdo skaliste, nie o Jasną Górę, nie

o skarby nagromadzone w zakonie, nie o bezpieczeństwo zgromadzenia — ale o losy całej Rzeczypospolitej. Spostrzegł Mueller, że ów ksiądz cichy wiedział, co czynił, że miał świadomość swojej misyi, że powstał jako prorok, aby zaświecić krajowi przykładem, by głosem potężnym zawołać na wschód i zachód, na północ i południe: sursum corda (w górę serca) — by, czyto zwycięstwem swojem, czy śmiercią i ofiarą obudzić śpiących ze snu, obmyć grzesznych, uczynić światło w ciemnościach.

Spostrzegłszy to, ów stary wojownik poprostu zląkł się i tego obrońcy i własnego zadania. Nagle ów "kurnik" częstochowski wydał mu się olbrzymią górą, bronioną przez Tytana, a sam sobie wydał się generał małym, a na armię własną spojrzał po raz pierwszy w życiu, jak na garść lichego robactwa. Imżeto podnosić rękę na tę jakąś, straszną, tajemniczą i niebotyczną potęgę? Więc zląkł się Mueller i zwątpienie poczęło się wkradać do jego serca. Wiedząc, że na niego winę złożą, sam począł szukać winnych i gniew jego spadł najprzód na Wrzeszczowicza. Powstały w obozie niesnaski i niezgoda jęła jątrzyć przeciw sobie serca; prace oblężnicze musiały na tem cierpieć.

Lecz Mueller zbyt długo przywykł w całem życiu mierzyć ludzi i wypadki pospolitą miarą żołnierską, aby chwilami nie miał pocieszać się jeszcze myślą, że twierdza podda się w końcu. I biorąc rzeczy po ludzku, nie mogło się stać inaczej. Przecie Wittemberg przysyłał mu sześć dział burzących najcięższego kalibru, które już pod Krakowem pokazały swą potęgę.

— U licha — myślał Mueller — takie mury nie oprą się takim kolubrynom, a gdy to gniazdo strachów, zabobonu, czarów, z dymem się rozwieje, wnet rzeczy wezmą inny obrót i cały kraj się uspokoi.

W oczekiwaniu więc na większe działa, kazał strzelać z mniejszych. Dni walki wróciły. Próżno jednak kule ogniste padały na dachy, próżno najdzielniejsi puszkarze nadludzkie czynili usiłowania. Ilekroć wiatr zwiał morze dymów, klasztor ukazywał się nietknięty, wspaniały jak zawsze, wyniosły, z wieżami bodącemi spokojnie błękit. Tymczasem zdarzyły się wypadki, szerzące zabobonny przestrach między oblegającymi. To kule przelatywały ponad całą górą i raziły stojących z drugiej strony żołnierzy; to puszkarz, zajęty rychtowaniem działa, padał nagle, to dymy u-

kładały się w straszne i dziwaczne postacie; to prochy w jaszczach zapalały się nagle, jakby niewidomą ręką podpalone.

Prócz tego ginęli ciągle żołnierze, którzy pojedyńczo, samowtór, albo samotrzeć wychylali się z obozu. . . Posądzenie o to padało na polskie posiłkowe chorągwie, które prócz pułku Kuklinowskiego, odmawiały wręcz wszelkiego udziału w pracach oblężniczych i coraz groźniejszą przybierały postawę. Mueller zagroził pułkownikowi Zbrożkowi sądem na jego ludzi, ten zaś odpowiedział mu w oczy, wobec wszystkich oficerów: "Spróbuj, generale!"

Natomiast towarzysze z pod polskich chorągwi włóczyli się umyślnie po szwedzkim obozie, okazując pogardę i lekceważenie żołnierzom, a wszczynając kłótnie z oficerami. Przychodziło stąd do pojedynków, w których Szwedzi, jako mniej wprawni w szermierkę, najczęściej padali ofiarą. Mueller wydał surowe rozporządzenie przeciwko pojedynkom, a wkońcu zabronił towarzystwu wstępu do obozu. Wynikło z tego, że wkońcu oba wojska leżały obok siebie jak wrogie i oczekujące tylko sposobności do walki.

Klasztor zaś bronił się coraz lepiej. Okazało się, że działa nadesłane przez pana krakowskiego nie ustępują w niczem tym, któremi rozporządzał Mueller, a puszkarze przez swą ciągłą praktykę doszli do takiej wprawy, że każdy ich strzał powalał nieprzyjaciół. Szwedzi spędzali to na czary. Puszkarze odpowiadali wprost oficerom, że z tą siłą, która klasztoru broni, nie ich rzecz walczyć.

Pewnego rana popłoch wszczął się we wschodnio-południowym przekopie; żołnierze bowiem ujrzeli wyraźnie niewiastę w błękitnym płaszczu, osłaniającą kościół i klasztor. Na ten widok rzucili się pokotem twarzami na ziemię. Próżno nadjechał sam Mueller, próżno tłómaczył im, że to mgły i dymy ułożyły się w ten sposób; próżno wreszcie groził sądem i karami. W pierwszej chwili nikt nie chciał go słuchać, zwłaszcza, że sam generał nie umiał ukryć przerażenia.

Rozszerzyło się wnet po tym wypadku w całem wojsku mniemanie, że nikt z tych, którzy w oblężeni ubrali udział, swoją śmiercią nie umrze. Wielu oficerów podzielało tę ofiarę, a i Mueller nie był wolny od obaw, sprowadził bowiem ministrów luterskich i kazał im czary odczyniać. Chodzili tedy po obozie, szepcąc i śpiewając psalmy; przestrach jednak tak się już rozszerzył, że nieraz przyszło im usłyszeć z ust żołnierzy: "Nie wasza moc, nie wasza potęga!"

Wśród strzałów armatnich nowy poseł muellerowski wszedł do klasztoru i stanął przed obliczem księdza Kordeckiego i rady.

Był to pan Śladowski, podstoli rawski, którego podjazdy szwedzkie ogarnęły, gdy z Prus powracał. Przyjęto go zimno i surowo, choć twarz miał poczciwą, a spojrzenie jak niebo pogodne, bo już się byli przyzwyczaili zakonnicy do poczciwych twarzy u zdrajców. Ale on się takiem przyjęciem wcale nie zmieszał i podczesując raźno palcami płowego czuba na głowie, ozwał się:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! — odezwali się chórem zebrani.

A ksiądz Kordecki zaraz dodał:

— Niech będą błogosławieni, którzy mu służą.

— I ja mu służę, — odrzekł pan podstoli — a że szczerzej niż Muellerowi, to się zaraz pokaże... Hm! pozwólcie ojcowie czcigodni i kochani, że odchrząknę, bo muszę najprzód paskudztwo wyplunąć... Więc tedy Mueller ... tfu!... przysłał mnie, mój dobry- panie, do was, żebym was do poddania się... tfu!... namawiał. A ja się podjąłem dlatego, żeby wam powiedzieć: brońcie się, o poddaniu nie myślcie, bo Szwedzi już cienko przędą i licho ich w oczach bierze.

Zdumieli się zakonnicy i mężowie świeccy, widząc takiego posła, naraz pan miecznik sieradzki zakrzyknął:

— Jak mi Bóg miły, to jakiś uczciwy człowiek!

I skoczywszy ku niemu, począł mu rękę potrząsać, a pan Śladkowski drugą wolną znów podgarnął czuba i mówił dalej:

— Żem nie jest szelmą, to się także zaraz pokaże. Kreowałem się Muellerowi posłem jeszcze i dlatego, ażeby wam nowin udzielić, które są tak pomyślne, że chciałbym je wszystkie, mój dobry panie, jednym tchem wypowiedzieć... Dziękujcie Bogu i Najświętszej Jego Rodzicielce, że was obrała za narzędzia do odwrócenia serc ludzkich! Waszym to przykładem, waszą obroną kraj nauczony, poczyna zrzucać z siebie jarzmo szwedzkie. Co tu gadać! Biją Szwedów w Wielkopolsce i na Mazurach, znoszą mniejsze oddziały, zalegają drogi i pasy. W kilku już miejscach srogiego dali im łupnia. Szlachta siada na koń, chłopi, mój dobry panie, w kupy się zbierają, a jak złapią jakiego Szweda, to pasy z niego drą. Wióry lecą, kłaki lecą! Ot, co jest, ot do czego przyszło! A kto to sprawił? Wy?

— Anioł to, anioł powiada! — wołali zakonnicy i szlachta, wznosząc do nieba ręce.

— Nie anioł, ale do usług, Śladkowski, podstoli rawski... Nic to! Słuchajcie dalej: chan pomny na dobrodziejstwa pana naszego króla prawowitego Jana Kazimierza, któremu niech Bóg da zdrowie i panowanie w najdłuższe lata, idzie z pomocą i już wszedł w granice Rzeczypospolitej. Kozaków, którzy się oponowali, na sieczkę rozniósł i wali w sto tysięcy ordy pod Lwów, a Chmielnicki volens nolens (chcąc nie chcąc), z nim razem.

— Dla Boga! dla Boga! — powtarzały różne głosy jakoby przygnębione szczęściem.

A pan Śladkowski aż się zapocił i machając rękoma coraz żywiej, krzyczał:

Nic to jeszcze!... Pan Czarniecki, któremu Szwedzi pierwsi nie dotrzymali punktów, bo mu piechotę z Wolfem porwali, czuje się wolnym od słowa i na koń już siada. Król Kazimierz wojsko zbiera i lada dzień do kraju wkroczy, a hetmani, słuchajcie ojcowie, hetmani: pan Potocki i Lanckoroński, z nimi całe wojsko, czekają tylko na wejście króla, by Szwedów odstąpić i przeciw nim szable zwrócić. Tymczasem z panem Sapiehą się porozumiewają i z chanem. — Szwedzi w strachu, ogień w całym kraju, wojna w całym kraju... kto żyw, w pole wychodzi!

Co działo się w sercach zakonników i szlachty, trudno opisać, trudno wypowiedzieć. Niektórzy płakali, inni padali na kolana, inni powtarzali: "Nie może być!" — co usłyszawszy pan Śladkowski, zbliżył się do wielkiego krucyfiksu, wiszącego na ścianie i tak mówił:

— Kładę ręce na tych nogach Chrystusowych, gwoździem przybitych i przysięgam, jako szczerą i czystą prawdę powiadam. Powtarzam wam tylko: brońcie się, nie upadajcie, nie ufajcie Szwedom, nie liczcie na to, byście pokorą i poddaniem się mogli jakiekolwiek bezpieczeństwo sobie zapewnić. Żadnych oni nie dotrzymują umów, żadnych układów. Wy tu zamknięci nie wiecie, co się dzieje w całym kraju, jaki powstał ucisk, jakie gwałty, mordowanie księży, profanowanie świętości, wzgardzenie wszelkiem prawem. Wszystko wam obiecają, niczego nie dotrzymają. Całe królestwo wydane zostało na łup rozpuście żołnierza. Nawet ci, którzy jeszcze ze Szwedem trzymają, krzywd uniknąć nie mogą... Oto kara boża na zdrajców za niedotrzymanie wiary królowi.

Zwlekajcie!... Ja, jako mnie tu widzicie, jeśli jeno żyw będę, jeżli zdołam się Muellerowi wykręcić, zaraz na Śląsk do naszego pana ruszam. Tam mu do nóg padnę i powiem: Miłościwy królu! Ratuj Częstochowę i najwierniejszych sług swoich! Ale wy się trzymajcie, ojcowie najmilsi, bo na was zbawienie całej Rzeczypospolitej spoczywa.

Tu zadrżał głos panu Śladkowskiemu i łzy pokazały mu się na rzęsach, poczem tak mówił dalej:

— Będziecie mieli jeszcze ciężkie chwile: idą działa burzące z Krakowa, które dwieście piechoty prowadzi... Jedna szczególnie sroga kolubryna... Nastąpią szturmy okrutne... Ale to będą ostatnie wysiłki... Wytrzymajcie to jeszcze, bo już zbawienie idzie ku wam. Na te rany boskie, czerwone, przyjdzie król, hetmani, wojsko, cała Rzeczpospolita na ratunek swojej Patronce... Ot, co wam powiadam... ratunek, zbawienie, sława... już, już... niezadługo!

Tu rozpłakał się szlachcic poczciwy i stało się powszechne szlochanie.

Ach! tej znużonej garstce obrońców, tej garstce sług wiernych a pokornych należała się już lepsza wieść i jakowa pociecha z kraju!

Ksiądz Kordecki powstał ze swojego miejsca, zbliżył się do pana Śladkowskiego i rozłożył szeroko ramiona.

Śladkowski rzucił się w nie i długo obejmowali się wzajem: inni, idąc za ich przykładem, poczęli padać sobie w ramiona, a ściskać i całować, a winszować sobie, jakoby Szwed już odstąpił. Nakoniec ksiądz Kordecki rzekł:

— Do kaplicy, bracia moi, do kaplicy!

I poszedł pierwszy, a za nim i nimi. Pozapalano wszystkie świece, bo już mroczyło się na dworze i rozsunięto firanki cudownego obrazu, od którego słodkie a rzęsiste blaski rozsypały się zaraz naokoło. Ksiądz Kordecki klęknął na stopniach, dalej zakonnicy, szlachta i lud prosty; nadeszły także niewiasty z dziećmi. Wybladłe z umęczenia twarze i zapłakane oczy wznosiły się ku obrazowi, ale z poza łez promienił się już na wszystkich uśmiech szczęścia. Przez chwilę trwało milczenie, nakoniec ksiądz Kordecki zaczął:

— Pod twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko...

Dalsze słowa uwięzły mu w ustach; umęczenie, dawne cierpienia, tajone niepokoje wraz z radosną nadzieją ratunku, wezbrały w

nim jak fala ogromna, więc łkanie wstrząsnęło mu piersi i ten mąż, który losy całego kraju dźwigał na swych ramionach, pochylił się teraz, jak słabe dziecko, padł na twarz i z płaczem niezmiernym zdołał tylko zawołać:

— O Maryo! Maryo! Maryo!

Płakali z nim razem wszyscy, a obraz z góry siał blaski przejasne...

Późną nocą dopiero rozeszli się zakonnicy i szlachta na mury; ksiądz Kordecki zaś pozostał całą noc leżący krzyżem w kaplicy. Były obawy w klasztorze, ażeby znużenie z nóg go nie zwaliło, lecz on nazajutrz rano pokazał się na basztach, chodził pomiędzy żołnierstwem i załogą wesoły, wypoczęty i tu i owdzie powtarzał:

— Dzieci! Jeszcze Najświętsza Panna okaże, iż od burzących kolubryn mocniejsza, a potem będzie koniec waszych trosk i umęczenia!

Tegoż ranka, Jacek Brzuchański, mieszczanin częstochowski, przebrawszy się za Szweda, podszedł pod mury, aby potwierdzić wieść o nadciąganiu wielkich dział z Krakowa, lecz zarazem o zbliżaniu się chana z ordą. Wrzucił prócz tego list z konwentu krakowskiego, od ojca Antoniego Paszkowskiego, w którym tenże, opisując straszliwe okrucieństwa i łupieże Szwedów, zachęcał i błagał ojców jasnogórskich, aby nie ufali obietnicom nieprzyjaciela i wytrwale bronili świętego miejsca przeciw zuchwalstwu bezbożników.

"Żadnej bowiem niema u Szwedów wiary (pisał ksiądz Paszkowski), żadnej religii. Nic Boskiego, ani ludzkiego nie jest dla nich świętem i nietykalnem; niczego ani przez układy, ani przez publiczne przyrzeczenia zabezpieczonego — dotrzymywać nie zwykli."

Byłto właśnie dzień Niepokalanego Poczęcia. Kilkunastu oficerów i żołnierzy z pomocniczych polskich chorągwi uzyskało natarczywemi prośbami od Muellera pozwolenie udania się do twierdzy na nabożeństwo. Może liczył Mueller, iż pokumają się z załogą i przyniósłszy wieść o działach burzących, rozniosą trwogę, może nie chciał przez odmowę dorzucać iskry na żywioły palne które i bez tego czyniły stosunki między Polakami a Szwedami coraz niebezpieczniejszemi — dość, że pozwolił.

Owóż, z tymi kwarcianymi przybył pewien Tatar, z polskich Tatarów mahometan. Ten wśród powszechnego zdumienia za-

chęcał zakonników, żeby ludziom plugawym świętego miejsca nie poddawali, utrzymując z pewnością, iż Szwedzi wkrótce z hańbą i upokorzeniem ustąpią. To samo powtarzali kwarciani, potwierdzając we wszystkiem doniesienia pana Śladkowskiego. Wszystko to razem wzięte podniosło ducha w oblężonych do tego stopnia, że nic się nie obawiali olbrzymich kolubryn a nawet żartowano sobie z nich między żołnierstwem.

Po nabożeństwie rozpoczęły się obustronne strzały. Był pewien żołnierz szwedzki, który częstokroć podchodził pod mury i tubalnym głosem bluźnił przeciw Bogarodzicy. Częstokroć też strzelali doń oblężeni, zawsze bez skutku. Kmicicowi, gdy go raz na cel brał, pękła cięciwa, żołdak zaś rozzuchwalał się coraz więcej i innych jeszcze odwagą swą zachęcał. Mówiono że ma siedmiu szatanów na usługi, którzy go strzegą i zasłaniają.

W dniu owym znów on przyszedł bluźnić, lecz oblężeńcy, dufając, że jako w dzień Niepokalanego Poczęcia czary mniejszą siłę mieć będą, postanowili koniecznie go ukarać. Strzelano doń dość długo bezskutecznie, nakoniec kula armatnia, odbita od lodowego wału, podskakując po śniegu nakształt ptaka, uderzyła go w same piersi i rozerwała na dwoje. Ucieszyli się tem obrońcy i chełpiąc się wołali z murów: "Który jeszcze przeciw Niej bluźnić będzie?"— atoli tamci pierzchli w popłochu aż do przykopów.

Szwedzi strzelali do murów i na dachy. Lecz kule ich nie zdołały przestraszyć obrońców.

Stara żebraczka Konstancya, mieszkająca w szczelinie skały, chodziła jakoby na szyderstwo Szwedom, po całej pochyłości, zbierając w podołek pociski i przegrażając od czasu do czasu kosturem żołnierzom. Ci, mając ją za czarownicę, uczuli strach, aby im złego nie przyczyniła, zwłaszcza, gdy spostrzegli, że kule się jej nie imają.

Dwa całe dni zeszło na próżnej strzelaninie. Rzucano na dachy sznury okrętowe, nasycone smołą bardzo gęstą, które leciały nakształt wężów ognistych. Lecz straż, urządzona wzorowo, zapobiegała na czas niebezpieczeństwu. Aż przyszła noc tak ciemna, że mimo ognisk, beczek ze smołą i ogniowych dzieł księdza Lassoty, oblężeni nie mogli nic widzieć.

Tymczasem między Szwedami panował jakiś ruch niezwyczajny. Słychać było skrzyp kół, gwar głosów ludzkich, czasem rże-

nie koni i rozmaite inne hałasy. Żołnierze na murach odgadywali łatwo, co się dzieje.

— Działa nadeszły, nie może inaczej być! — mówili jedni.

— I szańce sypią, a tu ćma taka, że palców u własnej ręki nie dojrzysz.

Starszyzna obradowała nad wycieczką, którą pan Czarniecki doradzał lecz miecznik sieradzki oponował, twierdząc słusznie, że przy tak ważnej robocie musiał się nieprzyjaciel dostatecznie ubezpieczyć i pewnie piechotę trzyma w pogotowiu. Dawano więc tylko ognia w stronę północną i południową, skąd największy gwar dochodził. Skutku w ciemności nie można było rozpoznać.

Nakoniec ukazał się dzień i pierwsze jego blaski odkryły robotę szwedzką. Z północy i z południa stanęły szańce, nad któremi kilka tysięcy ludzi pracowało. Sterczały one tak wysoko, iż oblężonym zdało się, że szczyty ich leżą na równej linii z murami. Między regularnemi wycięciami wierzchołków widać było olbrzymie paszcze dział i stojących tuż za niemi żołnierzy, podobnych zdala do żółtych os.

W kościele nie skończyło się poranne nabożeństwo, gdy huk niezwyczajny wstrząsnął powietrzem, szyby zadrżały, niektóre od samego wstrząśnienia wypadły z opraw, rozbijając się przeraźliwym dźwiękiem na kamiennej posadzce, a cały kościół wypełnił się kurzawą, powstałą z opadłego tynku.

Olbrzymie kolubryny przemówiły.

Rozpoczął się straszliwy ogień, jakiego jeszcze nie doznali oblężeni. Po skończonem nabożeństwie wypadli wszyscy na mury i dachy. Poprzednie szturmy wydały się tylko niewinną igraszką przy tem straszliwem rozpasaniu się ognia i żelaza.

Mniejsze działa grzmiały do wtóru burzącym. Leciały olbrzymie faskule, granaty, pęki szmat, przesyconych smołą, pochodnie, sznury ogniste. Dwudziesto-sześciofuntowe pociski odrywały blanki murów, uderzały w ścianę, jedne grzęzły w nich, drugie wybijały dziury olbrzymie, odrywając tynk, glinowanie i cegły. Mury otaczające klasztor poczęły się tu i owdzie rysować i rozszczepiać, a bite ciągle, bite bez przestanku coraz nowemi pociskami, groziły ruiną. Budynki klasztorne zasypywano ogniem.

Grający na wieży czuli chwianie się jej. Kościół dygotał od ustawicznych wstrząśnień; w niektórych ołtarzach świece wypadły z lichtarzy.

Woda wylewana w niezmiernych ilościach na wszczynające się pożary, na rozpłomienione pochodnie, mury i kule ogniste, utworzyła w połączeniu się z dymem i kurzawą kłęby pary tak gęste, że świata z poza nich nie było widać. Poczęły się szkody w budynkach i na murach. Okrzyk "gore!" rozlegał się coraz częściej wśród huku wystrzałów i świstu kul. Przy północnej baszcie zgruchotano dwa koła u armaty, jedno działo uszkodzone zamilkło. Jedna kula ognista, wpadłszy do stajen, zabiła trzy konie i wszczęła pożar. Nietylko kule, ale złamki granatów padały tak gęsto, jak deszcz na dachy, na baszty i mury.

Po krótkiej chwili ozwały się jęki rannych. Szczególnym trafem poległo trzech młodzieniaszków, Janów. Przeraziło to innych obrońców toż samo imię noszących, lecz wogóle obrona godna była szturmu. Wyległy na mury nawet niewiasty, dzieci i starcy. Żołnierze stali na murach z nieustraszonem sercem w dymie, ogniu, wśród ulewy pocisków i odpowiadali z zawziętością na ogień nieprzyjacielski. Jedni imali się kół, przetaczając działa w miejsca najbardziej zagrożone, drudzy spychali do wyłomów w murach kamienie, drzewo, belki, nawóz, ziemię.

Niewiasty z rozpuszczonemi włosami, z rozpaloną twarzą, dawały przykład odwagi i widziano takie, które goniły z konewkami wody za skaczącemi jeszcze granatami, mającemi tuż, tuż wybuchnąć. Zapał rósł z każdą chwilą, jakby ten zapach prochu, dymu, para, huk, fale ognia i żelaza miały własność go podsycać. Wszyscy działali bez komendy, bo słowa ginęły wśród okropnego łoskotu. Tylko suplikacye, śpiewane w kościele, górowały nawet nad głosami armat.

Około południa ogień ustał. Wszyscy odetchnęli, lecz wnet przed bramą zawarczał bęben i dobosz przysłany przez Muellera, zbliżywszy się do bramy, począł pytać, czyli ojcowie mają dosyć i czy chcą natychmiast się poddać? Odpowiedział sam ksiądz Kordecki, że się do jutra namyślą. Zaledwie odpowiedź doszła do Muellera, atak rozpoczął się nanowo i ogień zdwoił się jeszcze.

Od czasu do czasu głębokie szeregi piechoty podsuwały się pod ogniem ku górze, jak gdyby miały ochotę szturmy próbować, lecz dziesiątkowane z dział i rusznic, wracały za każdym razem szybko i w nieładzie pod własne bateryc. I jak fala morska zaleje wybrzeże, a cofając się zostawia na piasku porosty, małże i rozmaite szczątki pokruszone w topieli, tak każda z tych szwedzkich fal

odpływając, zostawiała po sobie trupy, rozrzucone tu i owdzie po pochyłości.

Mueller nie kazał strzelać do baszt, ale w długość murów, gdzie opór bywa najsłabszy. Jakoż czyniły się gdzieniegdzie znaczne szczerby w murach, niedość jednak wielkie, aby piechota rzucić się przez nie do wnętrza mogła.

Nagle zaszedł wypadek, który położył tamę szturmowi.

Było to już pod wieczór, przy jednem z większych dział stał artylerzysta szwedzki z zapalonym lontem, który właśnie miał do działa przykładać, gdy kula klasztorna ugodziła go w same piersi, lecz ponieważ przyszła nie pierwszym impetem, ale z potrójnego odbicia o lody, nagromadzone na szańcu, rzuciła tylko człowieka wraz z lontem o kilkanaście kroków. Ten upadł na otwarty jaszcz, w części jeszcze napełniony prochem. Wnet huk straszliwy rozległ się i masy dymu pokryły szaniec. Gdy opadły, okazało się, że pięciu artylerzystów straciło życie, koła od armaty zostały uszkodzone, resztę zaś żołnierzy strach ogarnął. Na razie trzeba było ogień z tego szańca zawiesić, ponieważ zaś gęsta mgła przesyciła ciemności, więc zawieszono go i na innych.

Nazajutrz była niedziela.

Ministrowie luterscy odprawiali po okopach swe nabożeństwo i działa milczały. Mueller znów pytał bezskutecznie ojców: czyli nie mają dosyć? Odpowiedziano, że zniosą i więcej.

Tymczasem oglądano szkody w klasztorze. Były znaczne. Oprócz ludzi zabitych spostrzeżono, że i mur tu i owdzie został nadwątlony. Najstraszliwszą okazała się jedna olbrzymia kolubryna, od południowej strony stojąca. Zbiła ona mur do tego stopnia, naodrywała tyle kamieni, cegieł, że łatwo było przewidzieć, iż jeśli ogień potrwa jeszcze parę dni, znaczna część muru obsunie się i runie.

Wyłomu, jakiby się w takim razie uczynił, nie możnaby już założyć ani belkami, ani ziemią ani nawozem. To też ksiądz Kordecki spoglądał okiem pełnem troski na owe spustoszenia, którym nie był w stanie zapobiedz.

Tymczasem w poniedziałek poczęto znów atak i olbrzymie działo szerzyło dalej wyłom. Spotykały jednak i Szwedów różne klęski. O zmierzchu tego dnia szwedzki puszkarz zabił na miejscu siostrzeńca Muellera, którego, generał kochał jak własnego syna i zamierzał mu wszystko przekazać, począwszy od nazwiska i sła-

wy wojennej, skończywszy na fortunie. Lecz tem bardziej zapałło się serce starego wojownika nienawiścią.

Mur przy południowej baszcie tak już był popękany, że w nocy poczęto przygotowania do szturmu ręcznego. Żeby tem bezpieczniej piechota mogła zbliżyć się do twierdzy, kazał Mueller rzucić w ciemności cały szereg małych szańców aż do samej pochyłości. Lecz noc była widna, a biały blask od śniegu zdradzał ruchy nieprzyjaciela. Działa jasnogórskie rozpraszały robotników, zajętych ustawianiem tych parapetów, złożonych z faszyny, płotów, koszów i belek.

Na świtaniu spostrzegł pan Czarniecki gotową maszynę oblężniczą, którą już przytaczano ku murom. Lecz oblężeni zgruchotali ją działami bez trudu; nazabijano przytem tylu ludzi, że dzień ten mógłby zwać się dniem zwycięstwa dla oblężonych, gdyby nie owa kolubryna, wątląca ciągle mur z niepohamowaną siłą.

Następnych dni nastała odwilż i mgły roztoczyły się tak gęste, że księża przypisali je działaniu złych duchów. Już nie można było dostrzedz ni machin wojennych, ni przystawianych parapetów, ni prac oblężniczych. Szwedzi zbliżali się pod same mury klasztorne. Wieczorem Czarniecki, gdy przeor obchodził jak zwykle mury, wziął go na bok i rzekł zcicha:

— Źle, ojcze wielebny. Nasz mur dłużej niż dzień nie wytrzyma.

— Może też te same mgły i im strzelać przeszkodzą, — odrzekł ksiądz Kordecki — a my tymczasem szkody jakoś naprawimy.

— I mgły nie przeszkodzą, bo owo działo raz narychtowane, może prowadzić i pociemku dzieło zniszczenia, a tu gruzy walą się i walą.

— W Bogu nadzieja i w Najświętszej Pannie.

— Tak jest! A żeby tak wycieczkę uczynić?... Choćby ludzi natracić, byle tego smoka piekielnego udało się zagwoździć?

Wtem zaczerniała jakaś postać w tumanie i Babinicz pojawił się koło rozmawiających.

— Patrzę, kto mówi, bo twarzy nie można o trzy kroki rozpoznać — rzekł. — Dobry wieczór, ojcze czcigodny. A o czem mowa?

— Mówimy o tem dziale. Pan Czarniecki radzi wycieczkę... Te mgły szatan rozwiesza... już nakazałem egzorcyzmy...

— Ojcze kochany — rzekł pan Andrzej. — Od czasu jak nam trzaska mur kolubryna, ciągle o niej myślę i coś mi przychodzi do głowy... Wycieczka na nic... Ale chodźmy gdzie do izby, to wam moje zamysły wyłuszczę.

— Dobrze, — odrzekł przeor — chodźcie do mojej celi.

Wkrótce potem zasiedli przy sosnowym stole w ubogiej celi przeorskiej. Ksiądz Kordecki i pan Czarniecki pilnie patrzyli w młodą twarz Babinicza; on zaś rzekł:

— Tu wycieczka na nic. Spostrzegą i odbiją. Tu jeden człowiek musi poradzić!

— Jakto? — spytał pan Czarniecki.

— Musi jeden człowiek pójść i to działo prochami rozsadzić. A może to uczynić, póki takie mgły panują. Najlepiej, żeby poszedł w przebraniu. Tu kolety podobne do szwedzkich są. Jak nie będzie można inaczej, to się między Szwedów wśliźnie, jeśli zaś z tej strony szańca, z której pysk owej kolubryny wygląda, niema ludzi, to jeszcze lepiej.

— Dla Boga! cóż ten jeden człowiek uczyni?

— Potrzebuje tylko puszkę z prochem działu w pysk włożyć, z nitką prochową wiszącą i nitkę podpalić. Gdy prochy buchną, działo kaduk... chciałem powiedzieć: pęknie!

— Ej, chłopcze! co też gadasz? Małoż to prochu codzień w nie tkają, a nie pęka?

Kmicic roześmiał się i pocałował księdza w rękaw habitu.

— Ojcze kochany, wielkie w was serce, bo'aterskie i świ te...

— At, daj pokój! — przerwał ksiądz.

— I święte — powtórzył Kmicic, — ale się na armatach nie znacie. Inna rzecz, gdy prochy buchną w tyle armaty, bo wtedy wyrzucają kule i impet przodkiem wylatuje; ale gdy kto niemi wylot zatka i zapali, to niemasz takiego działa, któreby ten eksperyment wytrzymać mogło. Spytajcie się pana Czarnieckiego. Toż gdy w ruszniicy śniegiem się rura zapchnie, już ją przy strzale impet rozsadzi. Taka to siła szelmowska! Cóż dopiero, gdy cała puszka przy wylocie wybuchnie?... Spytajcie pana Czarnieckiego.

— Tak to jest. Nie są to żadne dla żołnierza arkana! — rzekł Czarniecki.

— Owóż, gdyby te kolubrynę rozsadzić — mówił dalej Kmicic, — wszystkie inne furda!

— Widzi mi się to rzecz niepodobna — rzekł na to ksiądz Kordecki, — bo najprzód, kto to się podejmie uczynić?

— Okrutny jeden ladaco — odrzekł pan Andrzej, — aleć rezolutny kawaler, zowie się Babinicz.

— Ty? — zawołali razem ksiądz i pan Piotr Czarniecki.

— Ej! ojcze dobrodzieju! Toż ja u was u spowiedzi byłem i do wszystkich moich praktyk szczerze się przyznałem. Były między niemi nie gorsze od tej, którą zamierzam; jakżeto możecie wątpić, czy się podejmę? Zali mnie nie znacie?

— To bohater, to rycerz nad rycerze, jak mi Bóg miły! — zakrzyknął Czarniecki.

I chwyciwszy Kmicica za szyję, mówił dalej:

— Dajże gęby za samą ochotę, dajże gęby!

— Pokażcie inne remedium (środek zaradczy), to nie pójdę — rzekł Kmicic, — ale widzi mi się, że jakoś tam sobie poradzę. I pamiętajcie o tem, że ja po niemiecku gadam, jakobym klepką i wańczosami w Gdańsku handlował. To siła znaczy, bo byłem przebranie miał, niełatwo odkryją, żem nie z ich obozu. Ale tak, myślę, że tam nikt przed wylotem armaty nie stoi, bo niezdrowo i że robotę zrobię, nim się obejrzą.

— Panie Czarniecki, co o tem waszmość sądzisz? — spytał nagle przeor.

— Na stu jeden chyba powróci z takiej imprezy — odrzekł pan Piotr, — ale audaces fortuna juvat (śmiałym los sprzyja)!

— Bywało się w gorszych opałach — rzekł Kmicic, — nic mi nie będzie, bo takie moje szczęście! Ej, ojcze kochany, i co za różnica! Dawniej człek dla pokazania się, dla próżnej sławy lazł w hazard, a teraz na cześć Najświętszy Panny. Choćby też i przyszło nałożyć głowę, co mi się nie widzi, powiedzcie sami: można komu chwalebniejszej śmierci życzyć, jak owoż za taką sprawę?...

Ksiądz długo milczał, nakoniec rzekł:

— Perswazyą, prośbami, błaganiem bym cię wstrzymywał, gdybyś sobie jeno do sławy słać drogę pragnął, ale masz słuszność, że tu chodzi o cześć Najświętszej Panny, o ten święty przybytek, o kraj cały! A ty, mój synu, czyli szczęśliwie wrócisz, czyli palmę osiągniesz, sławę, szczęście najwyższe, zbawienie osiągniesz. Przeciw sercu powiadam ci więc: idź, ja cię nie wstrzymuję!... Modlitwy nasze, opieka Boska pójdą z tobą...

— W takiej kompanii pójdę śmiele i rad zginę!

— A wracaj, żołnierzyku Boży, a wracaj szczęśliwie, bośmy cię tu pokochali szczerze. Niechże cię Rafał święty prowadzi i odprowadzi, moje dziecko, mój synaczku kochany!...

— To ja zaraz przygotowania poczynię — rzekł wesoło pan Andrzej, ściskając księdza, — przebiorę się po szwedzku w kolet i koliste buty, prochy naładuję, a wy tymczasem, ojcze, egzorcyzmy jeszcze na te noc wstrzymajcie, bo mgła potrzebna Szwedom, ale potrzebna i mnie.

— A nie chceszli wyspowiadać się przed drogą?

— Jakżeby inaczej! Bez tegobym nie poszedł, bo dyabełby miał przystęp do mnie.

— To od tego zacznij.

Pan Piotr wyszedł z celi, a Kmicic klęknął przy księdzu i oczyścił się z grzechów. Potem zaś wesoły jak ptak poszedł czynić przygotowania.

W godzinę, dwie później, wśród głębokiej już nocy zapukał znowu do celi księdza przeora, gdzie pan Czarniecki czekał także na niego.

Obaj z księdzem ledwie go poznali, taki z niego był Szwed wyśmienity. Wąsy podkręcił pod oczy i rozczapierzył na końcach, nałożył kapelusz na bakier i wyglądał zupełnie na jakiegoś rajtarskiego oficera znakomitego rodu.

— Dalibóg, aż człek mimowoli za szablę ima na jego widok! rzekł pan Piotr.

— Świecę zdaleka! — zawołał Kmicic — coś wam pokażę!..

I gdy ksiądz Kordecki skwapliwie usunął świecę, pan Andrzej położył na stole kiszkę długą na półtorej stopy, a grubą jak ramię tęgiego męża, uszytą ze smolistego płótna i wyładowaną do twarda prochem. Z jednego jej końca zwieszał się długi sznurek, ukręcony z kłaków przesyconych siarką.

— No! — rzekł—jak onej kolubrynie tę dryakiew w gębę włożę i sznureczek podpalę, to jej się brzuch rozpęknie!

— Lucyperby się rozpękł! — zakrzyknął pan Czarniecki.

Lecz wspomniał, że nieczystego imienia lepiej nie wymawiać i uderzył się w gębę.

— A czemże sznureczek zapalisz? — spytał ksiądz Kordecki.

— Wtem jest całe periculum (niebezpieczeństwo) wyprawy, bo muszę ogień krzesać. Mam krzemień grzeczny, hubkę suchą i krzesiwo z przedniej stali, ale hałas się uczyni i mogą coś pomiar-

kować. Sznurka, mam nadzieję, że już nie ugaszą, bo będzie wisiał armacie u brody i ciężko go nawet będzie dostrzedz, zwłaszcza, że się będzie tlił chciwie, ale za mną mogą się w pogoń puścić, a ja prosto do klasztoru nie mogę uciekać.

— Czemu nie możesz? — pytał ksiądz.

— Bo wybuchby mnie zabił. Jak tylko skrę na sznurku zobaczę, muszę zaraz w bok gnać co siły w nogach i ubiegłszy z pół sta kroków, pod szańcem do ziemi przypaść. Dopiero po wybuchu będę rwał ku klasztorowi.

— Boże, Boże, ileto niebezpieczeństw! — rzekł przeor, wznosząc oczy ku niebu.

— Ojcze kochany, tak jestem pewien, że do was wrócę, że się mnie nawet rzewliwość nie ima, która w podobnej okazyi powinna mnie ułapić. Ale nic to! Bądźcie zdrowi i módlcie się, żeby mi Pan Bóg pofortunił. Odprowadźcie mnie jeno do bramy!

— Jakżeto? Zaraz chcesz iść? — pytał pan Czarniecki.

— Mamże czekać aż rozednieje, albo aż mgła opadnie? Czy to mi głowa nie miła?

Lecz nie poszedł tej nocy pan Kmicic, bo właśnie kiedy doszli do bramy, jak na złość, ciemność poczęła się rozjaśniać. Słychać było przytem jakiś ruch przy olbrzymim dziale.

Nazajutrz zrana przekonali się oblężeńcy, że przetoczono je w inne miejsce.

Odebrali bowiem Szwedzi jakoweś doniesienie o wielkiej słabości muru nieco opodal, na zawrocie, koło południowej baszty i tam postanowili skierować pociski. Może i ksiądz Kordecki nie był obcy tej sprawie, gdyż poprzedniego dnia widziano starą Kostuchę, wychodzącą z klasztoru, używano zaś jej głównie, gdy chodziło o rozsiewanie między Szwedami fałszywych doniesień. Bądź co bądź byłto z ich strony błąd, bo oblężeńcy mogli tymczasem naprawić w dawnem miejscu mur, silnie już nadwątlony, a czynienie nowego wyłomu musiało znów zabrać kilka dni.

Noce ciągle były jasne, dni zgiełkliwe. Strzelano ze straszliwą usilnością. Duch zwątpienia znów zaczął przelatywać nad oblężonymi. Byli tacy między szlachtą, którzy poprostu chcieli się poddać; niektórzy zakonnicy stracili także serce. Opozycya nabierała siły i powagi. Ksiądz Kordecki stawiał jej czoło z niepohamowaną energią, ale zdrowie jego poczęło szwankować. Tym-

czasem Szwedom nadchodziły nowe posiłki i transporty z Krakowa, mianowicie straszliwe pociski, kształtu rur żelaznych, napełnionych prochem i ołowiem. Te więcej jeszcze strachu, niż szkód przyczyniły oblężonym.

Kmicic, od czasu jak powziął zamiar wysadzenia prochem kolubryny, przykrzył sobie w fortecy. Co dzień też z utęsknieniem spoglądał na swoją kiszkę. Po namyśle uczynił ją jeszcze większą, tak że miała blisko łokieć długości, a gruba była jak cholewa.

Wieczorem z murów rzucał chciwe spojrzenia w stronę działa, potem niebo rozpatrywał, jak astrolog. Ale księżyc jasny, rozświecający śnieg, udaremniał ciągle jego przedsięwzięcie.

Aż nagle przyszła odwilż, chmury zawaliły widnokrąg i noc uczyniła się ciemna, choć oko wykol. Pan Andrzej wpadł w taki humor, jakgby go kto na sułtańskiego dzianeta wsadził i ledwie północ uderzyła, znalazł się przy panu Czarnieckim w swoim rajtarskim stroju i z kiszką pod pachą.

— Idę! — rzekł.

— Czekaj, dam znać przeorowi.

— A dobrze. No, panie Piotrze, daj gęby i ruszaj po księdza Kordeckiego.

Czarniecki pocałował go serdecznie i zawrócił. Ledwie uszedł ze trzydzieści kroków, zabielał przed nim ksiądz Kordecki. Domyślał on się sam, że Kmicic wyruszy i szedł go pożegnać.

— Babinicz gotów. Czeka tylko na waszą wielebność.

— Śpieszę, spieszę! — odpowiedział ksiądz. — Matko Boska, ratujże go i wspomagaj!

To chwili stanęli obaj przy przechodzie, gdzie pan Czarniecki zostawił Kmicica, lecz pana Andrzeja nie było już ani śladu.

— Poszedł!... — rzekł ze zdumieniem ksiądz Kordecki.

— Poszedł! — odrzekł pan Czarniecki.

— A zdrajca!... — mówił z rozrzewnieniem przeor — chciałem mu jeszcze ten szkaplerzyk na szyję włożyć...

Umilkli obaj; milczenie było dokoła, bo dla zbyt ciemnej nocy nie strzelano z obu stron. Nagle pan Czarniecki szepnął żywo:

— Jak mi Bóg miły, tak nawet nie stara się iść cicho! Słyszysz wasza wielebność kroki. Śnieg chrzęści!

— Najświętsza Panno! osłaniajże sługę swego! — powtórzył przeor.

Czas jakiś słuchali obaj pilno, dopóki raźne kroki i chrzęst śniegu nie ucichły.

— Wie wasza wielebność co? — poszepnął Czarniecki — chwilami myślę, że mu się uda i nic się o niego nie boję. To bestya, poszedł tak, jakby pod wiechę gorzałki się napić... Co za fantazya w tym człeku! Albo on nałoży wcześnie głową, albo hetmanem zostanie. Hm, żebym go nie znał sługą Maryi, myślałbym że ma... Dajże mu Boże szczęście, daj mu Boże, bo takiego drugiego kawalera niemasz w Rzeczypospolitej...

— Tak ciemno, tak ciemno! — rzekł ksiądz Kordecki — a oni się od czasu waszej nocnej wycieczki strzegą. Może na cały szereg wspaść, ani się obejrzy...

— Tego nie myślę; piechota stoi, to wiem i pilnują się bardzo, ale przecie stoją na szańcu, nie przed szańcem, nie przed wylotami własnych armat. Jeśli kroków nie usłyszą, to może się łatwo pod szaniec podsunąć, a potem go sama wyniosłość osłoni... Uf!

Tu sapnął i urwał pan Czarniecki, bo z oczekiwania i trwogi serce poczęło mu bić jak młotem, a w piersiach mu tchu nie stało.

Ksiądz począł żegnać ciemności.

Nagle trzecia osoba stanęła przy dwóch rozmawiających. Był to pan miecznik sieradzki.

— A co tam? — spytał.

— Babinicz poszedł na ochotnika prochami kolubrynę rozsadzać.

— Jakto? Co?

— Wziął kiszkę z prochem, sznur, krzesiwo... i poszedł.

Pan Zamoyski ścisnął sobie głowę dłońmi.

— Jezus, Marya! Jezus, Marya! — rzekł. — Sam jeden?

— Sam jeden.

— I kto jemu pozwolił? Tożto jest niebezpieczeństwo!...

— Ja! Dla mocy Bożej wszystko jest podobne, nawet i powrót jego szczęśliwy! — odpowiedział ksiądz Kordecki.

Zamoyski umilkł. Czarniecki począł parskać ze wzruszenia.

— Módlmy się! — rzekł ksiądz.

Klękli we trzech i zaczęli się modlić. Ale niepokój podnosił wło-

sy na głowie dwom rycerzom. Upłynął kwadrans, potem pół godziny, potem godzina, długa jak wieki.

— Już chyba nic nie będzie! — rzekł pan Piotr Czarniecki.

I odetchnął głęboko.

Nagle w dalekości buchnął olbrzymi słup ognia i huk, jakoby wszystkie gromy nieba zwaliły się na ziemię, wstrząsnął murami, kościołem i klasztorem.

— Wysadził! wysadził! — począł krzyczeć pan Czarniecki.

Nowe eksplozye przerwały mu dalsze słowa.

A ksiądz rzucił się na kolana i wzniósłszy ręce do góry, wołał ku niebu:

— Matko Najświętsza! Opiekunko, Patronko, wróć go szczęśliwie!

Gwar uczynił się na murach. Załoga, nie wiedząc co się stało, chwyciła za broń. Z cel poczęli wypadać zakonnicy. Nikt już nie spał. Nawet niewiasty zerwały się ze snu. Pytania i odpowiedzi poczęły się krzyżować, jak błyskawice:

— Co się stało?

— Szturm!

— Działo szwedzkie pękło! — wołał jeden z puszkarzy.

— Cud! cud!

— Działo największe pękło! Ta kolubryna!

— Gdzie ksiądz Kordecki?

— Na murach! Modli się! On to sprawił!

— Babinicz działo wysadził — wołał pan Czarniecki.

— Babinicz! Babinicz! Chwała Pannie Najświętszej! Już nam nie będą szkodzili!

Jednocześnie odgłosy zamieszania poczęły dolatywać i ze szwedzkiego obozu. Na wszystkich szańcach zabłysły ognie.

Słychać było coraz większy rejwach. Przy świetle ognisk widziano masy żołnierzy, poruszających się bezładnie w rozmaite strony; zagrały trąbki, bębny warczały ciągle; do murów dolatywały krzyki, w których brzmiała trwoga i przerażenie.

Kordecki klęczał ciągle na murze.

Nakoniec noc poczęła biednąc, lecz Babinicz nie wracał do twierdzy.

## XXXII.

Co tedy działo się z panem Andrzejem i jakim sposobem zdołał przywieść zamiar swój do skutku?

Wyszedłszy z twierdzy, postępował czas jakiś krokiem pewnym i ostrożnym. Przy samym końcu pochyłości przystanął i słuchał. Cicho było naokół, za cicho nawet, tak że kroki jego chrzęściły wyraźnie po śniegu. W miarę też, jak oddalał się od murów, postępował coraz przezorniej. I znowu stanął i znowu słuchał. Bał się trochę pośliznąć i upaść, a to, aby swej drogocennej kiszki nie zamoczyć, więc wydobył rapier i wspierał się na jego ostrzu. Pomogło to wielce.

Tak macając przed sobą drogę, po upływie pół godziny usłyszał lekki szmer wprost przed sobą.

— Ha! czuwają... Wycieczka nauczyła ich ostrożności! — pomyślał.

I szedł dalej bardzo już wolno. Cieszyło go to, że nie zbłądził, bo ciemność była taka, że końca rapieru nie mógł dojrzeć.

— Tamte szańce są znacznie dalej... więc idę dobrze! — szepnął sobie.

Spodziewał się też nie zastać przed szańcem ludzi, bo właściwie mówiąc nie mieli tam nic do roboty, zwłaszcza po nocy. Mogło tylko być, że na jakieś sto lub mniej kroków stały pojedyncze straże, ale miał nadzieję łatwo je przy takiej ciemności wyminąć.

W duszy było mu wesoło.

Kmicic nie tylko był człek odważny, lecz i czuwały. Myśl rozsadzenia olbrzymiej kolubryny radowała do głębi jego duszę, nie tylko jako bohaterstwo, nie tylko jako niepożyta dla oblężonych przysługa, ale jako okrutna psota wyrządzona Szwedom. Wyobrażał sobie: jak się przerażą, jak Mueller będzie zębami zgrzytał, jak będzie spoglądał w niemocy na owe mury, i chwilami śmiech pusty go brał.

I jak sam poprzednio mówił: nie doznawał żadnej rzewliwości, ni strachów, niepokojów, ani mu do głowy nie przychodziło, na jak straszne sam naraża się niebezpieczeństwo. Szedł tak, jak idzie żak do cudzego ogrodu szkodę w jabłkach czynić. Przypomniały mu się dawne czasy, kiedyto Chowańskiego podchodził

i nocami wkradał się do trzydziestotysięcznego obozu w dwieście takich jak sam zabijaków.

Kompanionowie stanęli mu na myśli: Kokosiński, olbrzymi Kulwiec Hippocentaurus, centkowaty Ranicki z senatorskiego rodu i inni; więc westchnął na chwilę za nimi.

— Zdaliby się teraz, szelmy! — pomyślał, — możnaby jednej nocy ze sześć armat rozsadzić.

Tu trochę ścisnęło go uczucie samotności, ale na krótko. Wnet pamięć przywiodła mu przed oczy Oleńkę. Miłość ozwała się w nim z niezmierną siłą. Rozczulił się... Żeby choć ta dziewczyna mogła go widzieć, dopieroby uradowało się w niej serce. Myśli ona może jeszcze, że on Szwedom służy... A pięknie służy! zaraz im się przysłuży! Coto będzie, jak ona się dowie o jego hazardach?... Co ona sobie pomyśli? Pomyśli pewnie: "Wicher on jest, ale jak przyjdzie do rzeczy, czego inny nie uczyni, to on uczyni, gdzie inny nie pójdzie, on pójdzie!... Taki to ten Kmicic!"

— Jeszcze ja nie tyle dokażę! — rzekł sobie pan Andrzej i chełpliwość owładnęła go zupełnie.

Jednakże mimo tych myśli nie zapomniał, gdzie jest, dokąd idzie, co zamierza czynić i począł iść jak wilk na nocne pastwisko. Obejrzał się za siebie raz i drugi. Ni kościoła, ni klasztoru. Wszystko pokryła gruba, nie przeniknioną pomroka. Miarkował jednak po czasie, że musiał już dojść daleko i że szaniec może być tuż, tuż.

— Ciekawym, czy straże są? — pomyślał.

Lecz nie zdołał ujść jeszcze dwóch kroków od chwili, w której sobie zadał to pytanie, gdy nagle przed nim rozległ się tupot miarowych kroków i kilka naraz głosów spytało w różnych odległościach:

— Kto idzie?

Pan Andrzej stanął, jak wryty. Uczyniło mu się nieco ciepło.

— Swój — odezwały się inne głosy.

— Hasło?

— Upsala!

— Odzew?

— Korona!...

Knicic zmiarkował w tej chwili, że to straże się zmieniają.

— Dam ja wam upsalę i koronę! — mruknął

I uradował się. Była to dla niego okoliczność nader pomyślna, bo mógł linią straży przejść właśnie w chwili zmiany wart, gdy stąpanie żołnierzy głuszyło jego własny krok.

Jakoż tak uczynił bez najmniejszej trudności i szedł za wracającymi żołnierzami dość śmiało, aż do samego szańca, tam oni wykręcili, by go obejść, on zaś posunął się szybko ku fosie i ukrył się w niej.

Tymczasem rozwidniło się cokolwiek. Pan Andrzej i za to podziękował niebu, inaczej bowiem nie mógłby pomacku znaleźć upragnionej kolubryny. Teraz, zadzierając z rowu głowę do góry i wytężając wzrok, ujrzał nad sobą czarną linię, oznaczającą brzeg szańca i również czarne zarysy koszów, między któremi stały działa.

Mógł nawet dojrzeć ich paszcze wysunięte nieco nad rowem. Posuwając się zwolna wzdłuż rowu, odkrył nareszcie swoją kolubrynę. Wówczas stanął i począł nadsłuchiwać.

Z szańca dochodził szmer. Widocznie piechota stała wedle dział w gotowości. Ale sama wyniosłość szańca zakrywała Kmicica; mogli go usłyszeć, nie mogli zobaczyć. Teraz chodziło mu tylko o to, czy z dołu potrafi dostać się do otworu armaty, która wznosiła się wysoko nad jego głową.

Na szczęście boki rowu nie były zbyt spadziste, a oprócz tego nasyp świeżo uczyniony, lubo polewany wodą, nie zdołał zamarznąć, gdyż od niejakiego czasu panowała odwilż.

Wymiarkowawszy to wszystko, Kmicic począł drążyć cicho dziury w pochyłości szańca i piąć się zwolna ku armacie.

Po kwadransie pracy zdołał ręką chwycić się za otwór armaty. Przez chwilę zawisnął w powietrzu, lecz niepospolita jego siła pozwoliła mu utrzymać się tak, dopóki nie zasunął kiszki w paszczę armaty.

— Naści piesku kiełbasy! — mruknął — tylko się nią nie udław!

To rzekłszy, spuścił się na dół i począł szukać sznurka, który przyczepiony do zewnętrznego końca kiszki, zwieszał się w rów.

Po chwili zmacał go ręką. Lecz teraz przychodziła największa trudność, bo należało krzesać ognia i sznurek zapalić.

Kmicic zatrzymał się przez chwilę, czekając aż szmer nieco większy uczyni się między żołnierzami na szańcu.

Nakoniec począł uderzać zlekka krzesiwkiem w krzemień.

Lecz w tej chwili nad głową jego rozległo się w niemieckim języku pytanie:

— A kto tam w rowie?

— To ja, Hans! — odrzekł bez wahania Kmicic — stempel mi dyabli do rowu, wzięli, więc krzeszę ogień, by go znaleźć.

— Dobrze, dobrze — odrzekł puszkarz. — Szczęście że się nie strzela, bo samo powietrze łebby ci urwało.

— Aha! — pomyślał Kmicic — więc kolubryna oprócz mego naboju, ma jeszcze swój własny. Tem lepiej.

W tej chwili wysiarkowany sznurek zajął się i delikatne iskierki poczęły biedz ku górze po jego suchej powierzchni.

Czas było zmykać Kmicic więc puścił się, nie tracąc minuty, wzdłuż rowu, co sił w nogach, nie bardzo już zważając na hałas jaki uczynił. Lecz gdy ubiegł jakieś dwadzieścia kroków, ciekawość przemogła w nim poczucie straszliwego niebezpieczeństwa.

— Nuż sznurek zgasł, wilgoć jest w powietrzu! — pomyślał.

I zatrzymał się. Rzuciwszy za siebie spojrzenie, ujrzał jeszcze iskierkę, ale już nierównie wyżej, niż ją zostawił.

— Ej, czy ja nie za blisko? — rzekł sobie i strach go zdjął.

Puścił się znowu całym pędem, nagle trafił na kamień — upadł. Wtem huk straszliwy rozdarł powietrze; ziemia zakolebała się, rozrzucone szczątki drzew i żelaza, kamienie, bryły lodu, ziemia, zaświstały mu koło uszu i tu skończyły się jego wrażenia.

Potem rozległy się nowe kolejne wybuchy. To jaszcze z prochem, stojące w pobliżu-kolubryny, eksplodowały od pierwszego wstrząśnienia.

Lecz pan Kmicic już tego nie słyszał, leżał bowiem jak martwy w rowie.

Nie słyszał również, jak po chwili głuchej ciszy rozległy się jęki ludzkie, krzyki i wołania na pomoc; jak na miejsce wypadku zbiegła się blisko połowa wojsk szwedzkich i sprzymierzonych, jak następnie przyjechał sam Mueller w towarzystwie całego sztabu.

Harmider i zamieszanie trwały długo, zanim z chaosu zeznań wydobył generał szwedzki prawdę, że kolubryna została umyślnie przez kogoś rozsadzona. Nakazano natychmiast poszukiwania. Jakoż nad ranem szukający żołnierze odkryli leżącego w rowie pana Kmicica.

Pokazało się, że był tylko ogłuszony i od wstrząśnienia stracił początkowo władzę w rękach i nogach. Cały dzień następny

trwała ta niemoc. Leczono go najstaranniej. Wieczorem odzyskał prawie zupełnie siły.

Mueller kazał go natychmiast stawić przed sobą.

Sam zajął miejsce środkowe za stołem w swej kwaterze, obok niego zasiedli książę Heski, Wrzeszczowicz, Sadowski, wszyscy znamienitsi oficerowie szwedzcy, a z polskich Zbrożek, Kaliński i Kuklinowski.

Ten ostatni na widok Kmicica posiniał i oczy zaświeciły mu się jak dwa węgle, a wąsy poczęły drgać. Więc nie czekając na pytania generała, rzekł:

— Ja tego ptaka znam... To z załogi częstochowskiej. Zwie się Babinicz!

Kmicic milczał.

Bladość i znużenie widne były na jego obliczu, ale wzrok miał hardy, twarz spokojną.

— Ty rozsadziłeś kolubrynę? — spytał Mueller.

— Ja! — odrzekł Kmicic.

— Jakim sposobem to uczyniłeś?

Kmicic opowiedział pokrótce, nic nie zataił. Oficerowie spoglądali po sobie ze zdumieniem.

— Bohater!... — szepnął Sadowskiemu książę Heski.

A Sadowski pochylił się do Wrzeszczowicza:

— Hrabio Weyhard, — spytał — jakże? zdobędziemy tę fortecę przy takich obrońcach?... Co waćpan myślisz? poddadzą się?

Lecz Kmicic rzekł:

— Więcej jest nas w fortecy do takich uczynków gotowych. Nie wiecie dnia i godziny!

— Mam też więcej, niż jeden stryczek w obozie! — odparł Mueller.

— To i my wiemy. Ale Jasnej Góry nie zdobędziecie, dopóki tam jeden człowiek przy życiu!

Nastała chwila milczała. Następnie Mueller indagował dalej:

— Zowiesz się Babinicz?

Pan Andrzej pomyślał, że po tem, co uczynił i wobec bliskiej śmierci, nastał czas, w którym nie ma potrzeby dłużej ukrywać swojego właściwego nazwiska. Niechże ludzie zapomną o winach i występkach z niem połączonych, niech opromieni je sława i poświęcenie.

— Nie nazywam się Babinicz, — odrzekł z pewną dumą —

nazywam się Andrzej Kmicic, byłem zaś pułkownikiem swojej własnej chorągwi w litewskim kompucie.

Ledwie usłyszał to Kuklinowski, zerwał się jak opętany, oczy wytrzeszczył, usta otworzył, rękami jął bić się po bokach, nakoniec zakrzyknął:

— Generale, proszę na słowo! generale proszę na słowo! bez zwłoki, bez zwłoki!

Szmer się stał jednocześnie między polskimi oficerami, którego Szwedzi słuchali ze zdziwieniem, bo dla nich nic nie mówiło nazwisko Kmicica. Lecz zaraz pomiarkowali, że to nie lada musi być żołnierz, gdy Zbrożek powstał i zbliżywszy się do więźnia, rzekł.

— Mości pułkowniku! W opresyi, w jakiej się znajdujesz, nic pomódz ci nie mogę, ale proszę, podaj mi rękę!...

Lecz Kmicic podniósł głowę do góry i nozdrzami parskać począł.

— Nie podaję ręki zdrajcom, którzy przeciw ojczyźnie służą! — odrzekł.

Zbrożka twarz oblała się krwią.

Kaliński, który stał tuż za nim, cofnął się także; szwedzcy oficerowie otoczyli ich zaraz, wypytując, coby to za jeden był ów Kmicic, którego nazwisko takie uczyniło wrażenie.

Tymczasem w sąsiedniej izbie Kuklinowski przyparł Muellera do okna i mówił:

— Wasza dostojność, dla waszej dostojności nic to nazwisko, Kmicic! a to jest pierwszy żołnierz i pierwszy pułkownik w całej Rzeczypospolitej. Wszyscy o nim wiedzą, wszyscy to imię znają. Radziwiłłowi niegdyś służył i Szwedom, teraz widać przeszedł do Jana Kazimierza. Niemasz mu równego między żołnierzami, chyba ja. Toż on tylko mógł to uczynić, żeby pójść samemu i owo działo rozsadzić. Z tego jednego uczynku możnaby go poznać. Onto Chowańskiego podchodził tak, że aż nagrodę na jego głowę wyznaczono. On w dwieście, czy trzysta ludzi całą wojnę trzymał po szkłowskiej klęsce na sobie, póki się inni nie opatrzyli i śladem jego nie zaczęli urywać nieprzyjaciół. To najniebezpieczniejszy człowiek w całym kraju.

— Czego mi waść śpiewasz jego pochwały? — przerwał Mueller.

— Że niebezpieczny, przekonałem się z własną niepowetowaną szkodą.

— Co wasza dostojność zamierzasz z nim uczynić?

— Kazałbym go powiesić; alem sam żołnierz i odwagę a fantazyę cenić umiem... Przytem to szlachcic wysokiego rodu... Każę go rozstrzelać dziś jeszcze.

— Wasza dostojność... Nie mnie uczyć najznamienitszego żołnierza i statystę nowych czasów, ale pozwolę sobie powiedzieć, że to człowiek zbyt sławny. Jeśli wasza dostojność to uczynisz, chorągwie Zbrożka i Kalińskiego pójdą sobie co najmniej precz tego samego dnia i przejdą do Jana Kazimierza.

— Jeśli tak, to każę je w pień wyciąć przed odejściem! — zakrzyknął Mueller.

— Wasza dostojność, odpowiedzialność okrutna, bo gdy się to rozgłosi, a wycięcia dwóch chorągwi trudno ukryć, całe wojsko polskie odstąpi Karola Gustawa. Waszej dostojności wiadomo, że oni się i tak w wierności chwieją... Hetmani sami niepewni. Pan Koniecpolski ze sześciu tysiącami najlepszej jazdy jest przy boku naszego pana... To nie żarty... Boże uchowaj, gdyby i ci się przeciw nam zwrócili, przeciw osobie jego kr. mości!... A prócz tego ta twierdza się broni, prócz tego wyciąć chorągwie Zbrożka i Kalińskiego niełatwo, bo jest tu i Wolf z piechotą. Mogliby się porozumieć z załogą twierdzy...

— Do stu rogatych dyabłów — przerwał Mueller — czego tu chcesz, czy żebym temu Kmicicowi życie darował? To nie może być!

— Ja chcę — odrzekł Kuklinowski — żebyś wasza dostojność mnie go podarował.

— A ty co z nim uczynisz?

— A ja... go ze skórki żywcem obłupię...

— Nie wiedziałeś nawet jego właściwego nazwiska, więc go nie znałeś. Co masz przeciw niemu?

— Poznałem go dopiero w Częstochowie, gdym powtórnie od waszej dostojności do mnichów posłował.

— Maszli jakie powody do zemsty?

— Wasza dostojność! Chciałem go prywatnie do naszego obozu namówić... On zaś korzystając z tego, żem moje poselstwo odłożył na stronę, znieważył mnie, Kuklinowskiego, tak jak nikt w życiu mnie nie znieważył.

— Co ci uczynił?

Kuklinowski zatrząsł się i zębami zazgrzytał

—Lepiej o tem nie mówić... Daj mi go wasza dostojność... On śmierci przeznaczon i tak, a ja chciałabym się przedtem trochę z nim pobawić... Och! tem bardziej, że to jest Kmicic, któregom poprzednio wenerował, a który tak mi się odpłacił... Daj mi go wasza dostojność! Będzie i dla waszej dostojności lepiej, bo gdy ja go zgładzę, wówczas Zbrożek i Kaliński, a z nimi wszystko polskie rycerstwo nie obruszy się na waszą dostojność, tylko na mnie, a ja sobie radeczkę dam... Nie będzie gniewów dąsów, buntów... Będzie moja prywatna spraweczka o kmicicową skórkę, z której bęben każę uczynić...

Mueller zamyślił się; nagle podejrzenie błysło mu w twarzy.

— Kuklinowski — rzekł — może ty chcesz go ocalić!?

Kuklinowski rozśmiał się cicho, ale był to śmiech tak straszny i szczery, że Mueller przestał wątpić.

— Może i słusznie radzisz! — rzekł.

— Za wszystkie moje zasługi o tę jedną proszę nagrodę!

— Więc go bierz!

Poczem weszli obaj do izby, w której była zgromadzona reszta oficerów. Mueller zwrócił się do nich i rzekł:

— Za zasługi pana Kuklinowskiego oddaję mu jeńca do dowolnego rozporządzenia.

Nastała chwila milczenia; poczem pan Zbrożek wziął się w boki i spytał go z pewnym akcentem pogardy:

— A co pan Kuklinowski zamierza z jeńcem uczynić?

Kuklinowski, zwykle pochylony, rozprostował się nagle, usta jego rozszerzyły się złowrogim uśmiechem, a źrenice oczy poczęły drgać.

— Komu się nie podoba to, co z jeńcem uczynię, — rzekł — to wie gdzie mnie szukać.

I trzasnął z cicha szablą.

— Parol, panie Kuklinowski! — rzekł Zbrożek.

— Parol, parol!

To rzekłszy, zbliżył się do Kmicica.

— Chodź robaczku ze mną, chodź przesławny żołnierzyku... Słabyś trochę, potrzeba ci pielęgnacyjki... Ja cię popielęgnuję!

— Rakarz! — odrzekł Kmicic.

— Dobrze, dobrze! harda duszyczko... Tymczasem chodź.

Oficerowi zostali w izbie, Kuklinowski zaś siadł na koń przed kwatera. Majac z soba trzech żołnierzy, kazał jednemu z nich

wziąć Kmicica na arkan i wszyscy razem udali się ku Lgocie, gdzie stał pułk Kuklinowskiego.

Kmicic przez drogę modlił się żarliwie. Widział, że śmierć nadchodzi i polecił się Bogu z całej duszy. Tak zaś zatopił się w modlitwie i w swem przeznaczeniu, że nie słyszał, co do niego mówi Kuklinowski; nie wiedział nawet jak długo trwała droga.

Zatrzymali się nakoniec w pustej, nawpół rozwalonej stodółce, stojącej nieco opodal od kwater pułku Kuklinowskiego, w szczerem polu. Pułkownik kazał wprowadzić do niej Kmicica, sam zaś zwrócił się do jednego z żołnierzy.

— Ruszaj mi do obozu — rzekł — po sznury i płonącą maźnicę ze smołą.

Żołnierz skoczył co tchu w koniu i po kwadransie z tą samą chyżością powrócił nazad z drugim jeszcze towarzyszem. Obaj przywieźli żądane przedmioty.

— Rozebrać tego gaszka do naga, —rzekł Kuklinowski — związać mu linką z tyłu ręce i nogi, a potem podciągnąć go na belkę!

— Rakarz! — powtórzył Kmicic.

— Dobrze, dobrze! pogadamy jeszcze, mamy czas...

Tymczasem jeden z żołnierzy wlazł na belkę, a inni zwłóczyli szaty z Kmicica. Gdy to uczyniono, trzej oprawcy położyli go twarzą do ziemi, związali mu ręce i nogi długą liną, następnie okręciwszy go jeszcze wpół ciała, rzucili drugi jej koniec żołnierzowi siedzącemu na belce.

— Teraz podnieść go w górę, a tamten niech zakręci linę i zawiąże! — rzekł Kuklinowski.

W minutę rozkaz był spełniony.

— Puścić! — rozległ się głos pułkownika.

Lina skrzypnęła, pan Andrzej zawisnął poziomo kilka łokci nad klepiskiem.

Wówczas Kuklinowski umoczył kwacz w płonącej maźnicy, podszedł ku niemu i rzekł:

— A co, panie Kmicic?... Mówiłem, że dwóch jest pułkowników w Rzeczypospolitej, dwóch tylko: ja i ty! A tyś się właśnie do kompanijki z Kuklinowskim nie chciał przyznać i kopnąłeś go?... Dobrze, robaczku, miałeś słuszność! Nie dla ciebie kompanijka Kuklinowskiego, bo Kuklinowski lepszy. Ejże, sławny pułkowniczek pan Kmicic, a Kuklinowski ma go w ręku i Kuklinowski mu boczków przypiecze...

— Rakarz! — powtórzył poraz trzeci Kmicic. -

— Ot, tak... boczków przypiecze! — dokończył Kuklinowski.

I dotknął płonącym kwaczem kmicicowego boku, poczem rzekł:

— Nie zawiele odrazu, zlekka, mamy czas...

Wtem tętent kilku koni rozległ się przy wierzejach stodółki.

— Kogo tam dyabli niosą? — spytał pułkownik.

Wierzeje skrzypnęły i wszedł żołnierz.

— Mości pułkowniku, — rzekł — pan generał Mueller życzy sobie natychmiast widzieć waszą miłość!

— A to ty stary! — odrzekł Kuklinowski. — Co za sprawa? kiej dyabeł?

— Generał prosi, by wasza miłość natychmiast do niego przyjechał.

— Kto był od generała?

— Był szwedzki oficer, już odjechał. Ledwie tchu z konia nie wyparł!

— Dobrze! — rzekł Kuklinowski.

Poczem zwrócił się do Kmicica:

— Było ci ciepło, ochłodnij teraz, robaczku, ja wrócę niebawem, pogawędzimy jeszcze!

— A co z jeńcem uczynić? — zapytał jeden z żołnierzy.

— Zostawić go tak. Zaraz wracam. Niech jeden jedzie ze mną!

Pułkownik wyszedł, a z nim razem ów żołnierz, który poprzednio siedział na belce. Zostało tylko trzech, ale niebawem trzech nowych weszło do stodoły.

— Możecie iść spać — rzekł ów, który Kuklinowskiemu o rozkazie Muellera doniósł — nam pułkownik polecił straż trzymać.

Kmicic drgnął na dźwięk tego głosu. Wydało mu się, że go zna.

— Wolimy zostać. — odrzekł jeden z trzech pierwszych żołnierzy — żeby na dziwo patrzyć, bo takiego...

Nagle urwał.

Jakiś straszny nieludzki głos wydobył mu się z gardzieli, podobny do piania zarzynanego koguta. Ręce rozłożył i padł, jak gromem rażony.

Jednocześnie krzyk: "prać!" rozległ się w stodółce, i dwaj inni nowoprzybyli rzucili się nakształt rysiów na dwóch dawniejszych. Zawrzała walka straszna, krótka, oświecona blaskami płonącej maźnicy. Po chwili dwa ciała padły w słomę, przez sekundę

jeszcze słychać było rzężenie konających, potem rozległ się ów głos, który Kmicicowi poprzednio wydał się znanym:

— Wasza miłość, to ja, Kiemlicz i moi synowie! My od rana już czekali na sposobność. Od rana wypatrujem!

Tu stary zwrócił się do synów:

— Nuże szelmy! odciąć pana pułkownika, duchem, żywo!

I nim Kmicic zdołał zrozumieć, co się dzieje, pojawiły się koło niego dwie rozczochrane czupryny Kosmy i Damiana, podobne do dwóch olbrzymich kądzieli. Wnet więzy były rozcięte i Kmicic stanął na nogach. Zachwiał się z początku. Ściągnięte jego wargi zaledwie zdołały mówić:

— To wy?... Dziękuję...

— To my! — odrzekł straszny starzec. — Matko Boska! niech się wasza miłość ubiera. Żywo szelmy!

I począł podawać Kmicicowi ubranie.

— Konie stoją za wierzejami — mówił. — Stąd droga wolna. Straże są; możeby nie wpuściły nikogo, ale wypuścić, wypuszczą. Wiemy hasło. Jak się wasza miłość czuje?

— Bok mi przypiekł, ale jeno trochę. W nogach mi słabo....

— Niech się wasza miłość gorzałki napije.

Kmicic chwycił chciwie manierkę, którą stary mu podał i wychyliwszy ją do połowy, rzekł:

— Ziąbłem. Zaraz mi lepiej...

— Na kulbace się wasza miłość rozgrzeje. Konie czekają.

— Zaraz mi lepiej — powtórzył Kmicic. — Bok trochę pali... Nic to!... Całkiem mi dobrze!

I siadł na krawędzi sąsieka.

Po chwili rzeczywiście odzyskał siły i spoglądał z zupełną przytomnością na złowrogie twarze trzech Kiemliczów, oświecone żółtawemi płomykami palącej się smoły.

Stary stanął przed nim:

— Wasza miłość, pilno! Konie czekają!

Lecz w panu Andrzeju obudził się już całkiem dawny Kmicic.

— O! nie może być! — zakrzyknął nagle — teraz ja na tego zdrajcę poczekam!

Kiemlicze spojrzeli na siebie ze zdumieniem, ale żaden nie pisnął ani słowa, tak ślepo przywykli z dawnych czasów słuchać tego wodza.

Jemu zaś żyły wystąpiły na czoło, oczy w ciemności świeciły,

jak dwie gwiazdy, taka tlała w nich zawziętość i chęć zemsty. To, co czynił teraz, było szaleństwem, które mógł życiem przypłacić. Ale właśnie życie jego składało się z szeregu takich szaleństw. Bok dolegał mu okrutnie tak, że co chwila mimowoli chwytał się zań ręką, a myślał o Kuklinowskim i gotów był czekać go, choćby do rana.

— Słuchajcie! — rzekł — czy jego Mueller naprawdę wzywał?

— Nie — odrzekł stary. — To ja wymyśliłem, żeby łatwiej z tamtymi się sprawić. Z pięcioma trudnoby nam było we trzech, bo którykolwiek krzykby uczynił.

— To dobrze. On tu wróci sam, albo w kompanii. Jeśli będzie z nim kilku ludzi, tedy zaraz na nich uderzyć... Jego mnie zostawcie. Potem do koni!... Ma który pistolety?

— Ja mam — odrzekł Kosma.

— Dawaj! Nabity! podsypany?

— Tak jest.

— Dobrze. Jeśli wróci sam, wówczas natychmiast, jak wejdzie, skoczyć na niego i zatkać mu pysk. Możecie mu własną jego czapkę w pysk wcisnąć.

— Wedle rozkazu! — rzekł stary. — Wasza miłość pozwoli teraz tamtych obszukać? My chudopachołki...

To rzekłszy, wskazał na trupy leżące w słomie.

— Nie! Trzymać się w gotowości. Co przy Kuklinowskim znajdziecie, to będzie wasze!

— Jeśli on sam wróci, — rzekł stary — tedy niczego się nie boję. Stanę za wierzejami i choćby kto od kwater nadszedł, powiem, że pułkownik nie kazał puszczać...

— Tak będzie. Pilnuj!...

Tętent konia rozległ się za stodołą. Kmicic zerwał się i stanął w cieniu przy ścianie. Kosma i Damian zajęli miejsca tuż przy wejściu, jak dwa koty na mysz czyhające.

— Sam! — rzekł stary, zacierając ręce.

— Sam! — powtórzyli Kosma i Damian.

Tętent zbliżył się tuż i nagle ustał, natomiast za wierzejami rozległ się głos:

— Wyjdź tam który, konia potrzymać!

Stary skoczył żywo.

Nastała chwila ciszy, poczem czyhających w stodole doszła następująca rozmowa:

— To ty, Kiemlicz? Co u pioruna, czyś się wściekł, czyś zgłupiał?!... Noc! Mueller śpi. Straż nie chce puszczać, mówią, że żaden oficer nie wyjeżdżał!... Co to jest?...

— Oficer tu czeka w stodole na waszą miłość. Przyjechał zaraz po odjeździe waszej miłości... i powiada, że się z waszą miłością zminął, więc czeka.

— Coto wszystko znaczy?... A jeniec?

— Wisi.

Wierzeje skrzypnęły i Kuklinowski wsunął się do stodoły, lecz zanim krok postąpił, dwie żelazne ręce porwały go za gardło i zdusiły krzyk przerażenia. Kosma i Damian z wprawą prawdziwych zbójców rzucili go na ziemię, klękli mu na piersiach, gniotąc je tak, że żebra poczęły trzeszczeć, i w mgnieniu oka zaknebowali mu usta.

Wówczas Kmicic wysunął się naprzód i poświeciwszy mu kwaczem w oczy, rzekł:

— Ach! to pan Kuklinowski!... Teraz ja mam z waścią do pogadania!

Twarz Kuklinowskiego była siną, żyły wytężone tak, iż zdawało się, że pękną lada chwila, ale w jego wyszłych na wierzch i nabranych krwią oczach przynajmniej tyle było zdumienia, ile przerażenia.

— Rozebrać go i na belkę! — zawołał Kmicic.

Kosma i Damian poczęli go rozbierać tak gorliwie, jakby i skórę razem z szatami chcieli z niego zedrzeć.

Po upływie kwadransa, Kuklinoswki wisiał już skrępowany za ręce i za nogi, nakształt półgęska, na belce.

Wówczas Kmicic wziął się w boki i począł się chełpić straszliwie.

— Cóż, panie Kuklinowski, — rzekł — kto lepszy, Kmicic czy Kuklinowski?...

Wtem porwał palący się kwacz i postąpił krok bliżej.

— Toż twój obóz o strzelenie z łuku, twój tysiąc złodziejów na zawołanie... Toż twój generał szwedzki opodal, a ty na tej samej belce wisisz, na której mnie myślałeś przypiekać... Poznajże Kmicica. Ty chciałeś się z nim równać, do kompanii jego należeć, w paragon z nim wchodzić?... Ty rzezimieszku! ty podłoto... ty strachu na stare baby... ty wyskrobku ludzki!... ty panie Szelmowski z Szelmowa! ty kutergębo! ty chamie! ty niewolniku!...

Mógłbym cię kozikiem kazać zarznąć jak kapłona, ale wolę cię żywcem przypiec, jak ty mnie chciałeś...

To rzekłszy, podniósł kwacz i przyłożył go do boku nieszczęśliwego wisielca, lecz trzymał go dłużej, dopóki swąd spalonego ciała nie począł się rozchodzić po stodole.

Kuklinowski skurczył się, aż lina poczęła się z nim kołysać. Oczy jego utkwione w Kmicica, wyrażały straszny ból i nieme błaganie o litość; z zatkanych ust wydobywały się jęki żałosne, lecz wojny zatwardziły serce pana Andrzeja i nie było w nim litości, zwłaszcza dla zdrajców.

Więc odjąwszy wreszcie kwacz od boku Kuklinowskiego, przyłożył mu go na chwilę pod nos; osmalił wąsy, rzęsy i brwi, poczem rzekł:

— Daruję cię zdrowiem, abyś mógł jeszcze o Kmicicu rozmyślać. Powisisz tu do rana, a teraz proś Boga, by cię ludzie, nim zmarzniesz znaleźli.

Tu zwrócił się do Kosmy i Damiana:

— Na koń! — krzyknął.

I wyszedł ze stodoły.

W pół godziny później roztoczyły się naokół czterech jeźdźców wzgórza ciche, milczące i pole puste. Świeże powietrze, nie przesycone dymem prochowym, wchodziło do ich płuc. Kmicic jechał na przedzie, Kiemlicze za nim. Oni rozmawiali zcicha, on milczał, a raczej odmawiał pacierze poranne, bo już do świtu było niedaleko.

Od czasu do czasu syknięcie, albo nawet cichy jęk wyrywał mu się z ust, gdyż sparzony bok dolegał mu mocno. Lecz jednocześnie czuł się na koniu i wolnym, a myśl, że rozsadził największą kolubrynę, a do tego jeszcze wyrwał się z rąk Kuklinowskiego i zemsty nad nim dokonał, napełniła go taką uciechą, że niczem był ból przy niej.

Tymczasem cicha rozmowa między ojcem i synami zmieniła się w głośną rozterkę.

— To trzos, dobrze! — mówił gderliwie stary — a gdzie pierścienie? Na palcach miał pierścienie, w jednym był kamień wart ze dwadzieście czerwonych.

— Zapomnielim zdjąć! — rzekł Kosma.

— Bodaj was zabito! — Ty stary o wszystkiem myśl, a te

szelmy za szeląg rozumu nie mają! Zapomnieliście zbóje o pierścieniach?... Łżecie jak psy!

— To się ociec wróć i obacz! — mruknął Damian.

— Łżecie szelmy, kilimkiem rzucacie! Starego ojca krzywdzić? tacy synowie! Bodajem was był nie spłodził! Bez błogosławieństwa pomrzecie!...

Kmicic wstrzymał nieco konia.

— A pójdźcieno tu! — rzekł.

Swary ustały, Kiemlicze posunęli się żywo i dalej jechali szeregiem we czterech.

— A wiecie drogę do śląskiej granicy? — spytał pan Andrzej.

— Oj, oj! Matko Boska, wiemy, wiemy! rzekł stary.

— Szwedzkich oddziałów po drodze niemasz?

— Nie, bo wszystkie pod Częstochową stoją... Chyba pojedyńcze można napotkać, ale to Boże daj!

Nastała chwila milczenia.

— To wyście u Kuklinowskiego służyli? — spytał znów Kmicic.

— Tak jest, bośmy myśleli, że będąc w pobliżu, można się będzie świętym zakonnikom i waszej miłości przysłużyć. Jakoż się zdarzyło... My przeciw fortecy nie służyli, niech nas Bóg broni! żołdu nie brali, chyba się co przy Szwedach znalazło.

— Jakto, przy Szwedach?

— Bo my chcieli choć i za murami Najświętszej Pannie służyć... więceśmy nocami koło obozu jeździli, albo i we dnie, jak Pan Bóg dał i jak się który Szwed pojedyńczo popadł, to my go... tego... Ucieczko grzesznych!... my go...

— Pralim! — dokończyli Kosma i Damian.

Kmicic uśmiechnął się.

— Dobrych Kuklinowski miał z was sług! — rzekł. — A onże wiedział o tem?

— Były komisye, dochodzili... On wiedział, i, złodziej! kazał nam talara z głowy płacić... Inaczej groził, że wyda... Taki zbój, ubogich ludzi krzywdził!.. My też wiary dochowali waszej miłości, bo to nie taka służba... Wasza miłość swoje jeszcze odda, a on po talarze z głowy, za nasz trud, za naszą pracę... Bodaj go!...

— Hojnie was nagrodzę za to, coście uczynili! — odrzekł Kmicic. — Nie spodziewałem się tego po was...

Wtem daleki huk dział przerwał mu dalsze słowa. To Szwedzi rozpoczęli widocznie strzelaninę równo z pierwszym brzaskiem

Po chwili huk powiększył się. Kmicic zatrzymał konia; zdawało mu się, że rozróżnia głosy armat fortecznych od armat szwedzkich, więc zacisnął pięść i grożąc nią w stronę nieprzyjacielskiego obozu, rzekł:

— Strzelajcie, strzelajcie! Gdzie wasza największa kolubryna?!...

---

## XXXIII.

Rozsadzenie olbrzymiej kolubryny uczyniło istotnie pognębiające na Muellerze wrażenie, gdyż jego wszystkie nadzieje wspierały się dotąd na tem dziale. Już i piechota była do szturmu gotowa, już przygotowano drabiny i stosy faszyn, teraz trzeba było wszelką myśl szturmu porzucić.

Zamiar wysadzenia klasztoru w powietrze za pomocą podkopów spełznął także na niczem. Sprowadzeni poprzednio górnicy z Olkusza łupali wprawdzie skałę, zbliżając się na ukos ku klasztorowi, lecz robota szła tępo. Robotnicy, mimo wszelkich ostrożności, padali gęsto trupem od wystrzałów kościelnych, a pracowali niechętnie. Wielu wolało ginąć, niż przyczyniać się do zguby świętego miejsca.

Mueller czuł codzień wzrastający opór; mrozy odbierały resztę odwagi zniechęconemu wojsku, między którem szerzył się z dnia na dzień przestrach i wiara, że zdobycie tego klasztoru nie leży w mocy ludzkiej.

Wreszcie i sam Mueller począł tracić nadzieję, a po wysadzeniu kolubryny, poprostu desperował. Ogarnęło go uczucie zupełnej niemocy i bezwładności.

Nazajutrz skoro dzień zwołał więc radę, ale pono dlatego tylko, był od oficerów usłyszeć zachętę do opuszczenia fortecy.

Poczęli się zbierać, wszyscy znużeni i posępni. W niczyich oczach nie było już nadziei, ani wojskowej fantazyi. Milcząc zasiedli koło stołu w ogromnej i zimnej izbie, w której para oddechów poprzesłaniała im twarze i patrzyli z poza niej, jakby z poza chmur. Każdy w duszy czuł wyczerpanie i znużenie, każdy mówił sobie w duchu, że niema żadnej rady do udzielenia, chyba taką, którą lepiej się pierwszemu nie wyrywać. Wszyscy czekali na

to, co powie Mueller; on zaś kazał przedewszystkiem przynieść obficie wina grzanego, ufając, że pod wpływem gorącego napitku łatwiej wydobędzie szczerą myśl z tych milczących postaci i zachętę do odstąpnieia od onej fortecy.

Nakoniec, gdy sądził, że wino skutek swój już uczyniło, w następujące ozwał się słowa:

— Czy uważacie waszmościowie, że żaden z panów polskich pułkowników nie przyszedł na naradę, chociaż posłałem wszystkim wezwanie?

— Waszej dostojności zapewne wiadomo, że pachołkowie polskich chorągwi znaleźli przy łowieniu ryb srebro klasztorne i że pobili się o nie z naszymi żołnierzami. Kilkunastu ludzi na śmierć usieczono.

— Wiem. Część tego srebra zdołałem wyrwać z ich rąk, nawet większą część. Jest ona teraz tu i namyślam się, co z nią uczynić.

— Stąd zapewne gniewy panów pułkowników. Powiadają, że skoro Polacy to srebro znaleźli, to się Polakom należy.

— Oto racya! — zawołał Wrzeszczowicz.

— Według mego zdania jest pewna racya — odpowiedział Sadowski — tak myślę, że gdybyś waszmość, panie hrabio, je znalazł, nie uważałbyś za potrzebne dzielić się niem nietylko z Polakami, ale nawet i że mną, który jestem Czechem?

— Przedewszystkiem, panie, nie dzielę twojej życzliwości dla nieprzyjaciół naszego króla — odparł chmurno Wrzeszczowicz.

— Ale my, panie, dzięki tobie, musimy podzielić się z tobą wstydem i hańbą, nie mogąc nic wskórać przeciw fortecy, pod która nas namówiłeś.

— Tak więc pan straciłeś już wszelką nadzieję?

— A pan, czy ją masz jeszcze do podziału?

— Jakbyś pan wiedział i sądzę, że ci panowie chętniej podzielą się ze mną moją nadzieją, niż z panem jego bojaźnią.

— Czy czynisz mnie tchórzem, panie Wrzeszczowicz.

— Nie przypisuję panu więcej odwagi, niż jej okazujesz!

— Ja zaś przypisuję panu mniej!

— A ja — rzekł Mueller, który od niejakiego czasu niechętnie spoglądał na Wrzeszczowicza, jako na instygatora nieszczęsnej wyprawy — postanawiam srebro odesłać do klasztoru. Może dobroć i łaska więcej wskóra przeciw tym nieużytym mnichom,

niż kule i armaty. Niech zrozumieją, że chcemy opanować fortecę, nie ich skarby.

Oficerowie ze zdziwieniem spojrzeli na Muellera, tak mało przywykli do podobnej wspaniałomyślności z jego strony.

Wreszcie Sadowski rzekł:

— Nic lepszego nie można uczynić, bo zarazem zamknie się gębę polskim pułkownikom, którzy do srebra pretensye roszczą. W twierdzy uczyni to także z pewnością dobre wrażenie.

— Najlepsze wrażenie uczyni śmierć owego Kmicica — odparł Wrzeszczowicz. — Spodziewam się, że tam Kuklinowski już go ze skóry obłupił.

— Mniemam i ja, że już nie żyje — odpowiedział Mueller. Ale nazwisko owo przypomina mi naszą stratę niczem nie wynagrodzoną. Było to największe działo w całej artyleryi jego kr. mości. Nie ukrywam panom, że wszystkie nadzieje moje na niem polegały. Wyłom już był uczyniony, strach w twierdzy szerzył się. Jeszcze parę dni, a bylibyśmy ruszyli do szturmu. Teraz za nic cała praca, za nic wszystkie wysilenia. Mur jednego dnia naprawią. A te działa, któremi jeszcze rozporządzamy, nie lepsze od fortecznych i łatwo porozbijane być mogą. Większych niema skąd wziąć, bo ich i pan marszałek Wittemberg nie posiada. Mości panowie! Im dłużej się nad tem zastanawiam, tem klęska wydaje mi się straszniejszą!... I pomyśleć, że jeden człowiek ją zadał... Jeden pies! Jeden szatan!... Oszaleć przyjdzie! do wszystkich rogatych dyabłów!...

Tu Mueller uderzył pięścią w stół, bo go gniew niepohamowany pochwycił, tem okrutniejszy, że bezsilny.

Po chwili zakrzyknął:

— A co jego kr. mość powie, gdy go wieść o tej stracie dojdzie!?...

Po chwili znów:

— A co my poczniem?... Zębami tej skały nie ugryziem! bodaj zaraza tych zabiła, którzy mnie pod tę twierdzę namawiali!...

To rzekłszy, porwał puhar kryształowy i w uniesieniu grzmotnął nim o podłogę, aż kryształ rozbił się na proch.

Oficerowie milczeli. Nieprzystojne uniesienie generała, właściwsze chłopu, niż wojownikowi tak wysoką piastującemu godność, zraziło doń serca i skwasiło do reszty humory.

— Radźcie panowie! — zakrzyknął Mueller.

— Radzić można tylko spokojnie — odparł książę Heski.

Muller począł sapać i wyparskiwać gniew nozdrzami. Po niejakim czasie uspokoił się i wodząc oczyma po obecnych, jakby zachęcając ich wzrokiem, rzekł:

— Przepraszam waszmościów, ale gniew mój nie dziwota. Nie będę wspominał tych miast, którem, objąwszy komendę po Torstensonie, zdobył, bo nie chcę, wobec teraźniejszej klęski, dawną fortuną się chlubić. Wszystko to, co się pod tą twierdzą dzieje, ludzki rozum poprostu przechodzi. Jednakże radzić trzeba... Po to waćpanów wezwałem. Obradujcie więc... i co większością na radzie postanowimy, to spełnię.

— Niech wasza dostojność da nam przedmiot do obrady, — rzekł książę Heski. — Mamyli obradować jedynie nad zdobyciem fortecy, czy też i nad tem, czy nie lepiej ustąpić?

Mueller nie chciał stawiać kwestyi także jasno, a przynajmniej nie chciał, aby owo: albo — albo wyszło po raz pierwszy z jego ust, dlatego rzekł:

— Niech każdy z panów mówi szczerze, co myśli. Wszystkim nam o dobro i chwałę jego królewskiej mości chodzić powinno.

Lecz żaden z oficerów nie chciał tak pierwszy z propozycyą odstąpienia występować, więc znów nastało milczenie.

— Panie Sadowski! — rzekł po chwili Mueller, głosem, który starał się uczynić przyjaznym i łaskawym — pan szczerzej mówisz od innych, co myślisz, bo reputacya pańska zabezpiecza go od wszelkich podejrzeń...

— Myślę, generale, — odparł pułkownik — że ów Kmicic był jednym z największych tegoczesnych żołnierzy i że położenie nasze jest desperackie...

— Wszakże pan byłeś za odstąpieniem od twierdzy?...

— Za pozwoleniem waszej dostojności, byłem tylko za tem, by nie rozpoczynać oblężenia... To wcale inna rzecz.

— Więc, co pan teraz radzisz?

— Teraz odstępuję głos panu Wrzeszczowiczowi...

Mueller zaklął jak poganin.

— Pan Weyhard będzie za całą tę nieszczęsną wyprawę odpowiadał! — rzekł.

— Nie wszystkie moje rady spełniono — odpowiedział zuchwale Wrzeszczowicz — mógłbym też śmiało zrzucić z siebie odpowiedzialność. Byli tacy, którzy je krzyżowali, byli tacy,

którzy dziwną zaiste i niewytłomaczoną żywiąc dla księży życzliwość, odmawiali jego dostojność od wszelkich surowych środków. Radziłem, żeby owych księży posłujących powiesić i jestem przekonany, że gdyby to się stało, postrach otworzyłby nam już bramy tego kurnika.

Tu Wrzeszczowicz począł patrzeć na Sadowskiego, lecz nim ten zdobył się na odpowiedź, wmieszał się książę Heski:

— Nie nazywaj, hrabio, tej twierdzy kurnikiem — rzekł — bo im bardziej zmniejszasz jej znaczenie, tem bardziej powiększasz naszą hańbę.

— Niemniej radziłem, aby posłów powiesić. Postrach i zawsze postrach, oto, com od rana do wieczora powtarzał, lecz pan Sadowski pogroził dymisyą i księża odeszli bezpiecznie.

— Idź, panie hrabio, dzisiaj do fortecy, — odpowiedział Sadowski — wysadź prochami największą ich armatę, jakto uczynił z naszą ów Kmicic, a ręczę ci, że to większy rozszerzy postrach, niż zbójeckie posłów mordowanie!...

Wrzeszczowicz zwrócił się wprost do Muellera:

— Wasza dostojność! Sądzę, żeśmy się tu na naradę, nie na krotofile zebrali!

— Czy masz waszmość co prócz czczych wyrzutów do powiedzenia? — spytał Mueller.

— Mam, pomimo wesołości tych panów, którzy mogliby swój humor do lepszych czasów zachować.

— O Laertiadesie z fortelów swych znany! — zakrzyknął książę Heski.

— Panowie! — odpowiedział Wrzeszczowicz — wiadomo powszechnie, że nie Minerwa jest waszem opiekuńczem bóstwem, a ponieważ Mars wam nie dopisał i zrzekliście się waszych głosów, pozwólcie mnie mówić.

— Góra stękać poczyna, zaraz ujrzymy mysi ogonek! — dorzucił Sadowski.

— Proszę o milczenie! — rzekł surowo Mueller.

— Mów, panie hrabio, pamiętaj tylko, że dotąd rady twoje wydały gorzkie owoce.

— Które mimo zimy spożywać musimy, nakształt zapleśniałych sucharów! — wtrącił książę Heski.

— Tem się tłomaczy, dlaczego wasza ks. mość pijesz tyle wina, — odparł Wrzeszczowicz — a choć wino nie zastąpi przyrodzo-

nego dowcipu, pomaga ci za to do wesołego strawienia nawet hańby. Lecz mniejsza oto! Wiem dobrze, iż w fortecy jest partya, która oddawna poddać się pragnie i tylko nasza niemoc z jednej a nadludzki opór przeora z drugiej strony, utrzymuje ją w karbach. Nowy postrach doda jej nowych sił, dlatego należy nam okazać, że nic sobie nie robimy ze straty działa, i szturmować tem usilniej.

— Czy to już wszystko?

— Choćby to było wszystko, sądzę, że podobna rada zgodniejszą jest z honorem szwedzkich żołnierzy, niż jałowe z niej drwiny przy kielichach i niż wysypianie się po pijatyce. Ale to nie wszystko. Należy rozpuścić między naszymi żołnierzami, a zwłaszcza między polskimi, wieść, że górnicy, którzy teraz nad założeniem miny pracują, odkryli stary przechód poddziemny, ciągnący się pod sam klasztor i kościół...

— Masz waszmość słuszność, to dobra rada! — rzekł Mueller.

— Gdy wieść ta między naszymi i polskimi żołnierzami się rozszerzy, sami Polacy będą namawiać mnichów do poddania się, bo i im chodzi, równie jak mnichom, aby to go gniazdo zabobonów ocalało.

— Jak na katolika, to nieźle! — mruknął Sadowski.

— Gdyby służył Turkom, nazywałby Rzym gniazdem zabobonów! — odpowiedział książę Heski.

— Wtedy Polacy wyślą niezawodnie od siebie posłów do księży — mówił dalej Weyhard — owa partya w klasztorze, która dawno się chce poddać, pod wpływem przerażenia, ponowi swe usiłowonia i kto wie, czy nie zmuszą przeora i opornych do otworzenia bram.

— "Zginie miasto Pryjama przez podstęp boskiego Laertydy!" — począł deklamować książę Heski.

— Dalibóg, czysta historya trojańska, a jemu się zdaje, że coś nowego wymyślił! — odpowiedział Sadowski.

Lecz Muellerowi rada podobała się, bo w samej rzeczy nie była złą. Partya, o której Wrzeszczowicz wspominał, istniała w klasztorze. Nawet niektórzy księża słabszego ducha do niej należeli. Prócz tego przestrach mógł się rozszerzyć pomiędzy załogą, ogarnąć nawet tych, którzy dotąd chcieli się bronić do ostatniej kropli krwi.

— Popróbujmy, popróbujmy! — mówił Mueller, który jak tonący chwytał się każdej deski i łatwo od rozpaczy przechodził do nadziei. — Ale czy Kaliński albo Zbrożek zgodzą się jeszcze posłować do klasztoru, czy uwierzą w ów podkop i czy zechcą księżom o nim oznajmić?

— W każdym razie Kuklinowski zgodzi się — odrzekł Wrzeszczowicz, — ale lepiej będzie, żeby i on wierzył naprawdę w istnienie przechodu.

Wtem tętent rozległ się przed kwaterą.

— Owóż i pan Zbrożek przyjechał! — rzekł książę Heski, spoglądając przez okno.

Po chwili w sieni zabrzęczały ostrogi i Zbrożek wszedł, a raczej wpadł do izby, twarz jego była blada, wzburzona i zanim oficerowie zdążyli spytać o powody tego pomieszania, pułkownik zakrzyknął:

— Kuklinowski nie żyje!

— Jakto? Co waść mówisz? Co się stało? — spytał Mueller.

— Pozwólcie mi odetchnąć — rzekł Zbrożek, — bo to, com widział, imaginacyę przechodzi.

— Mów prędzej, zamordowali go?... — zawołali wszyscy.

— Kmicic! — odparł Zbrożek.

Oficerowie zerwali się wszyscy ze swych miejsc i poczęli patrzeć na Zbrożka, jak na szalonego; on zaś, wyrzucając nozdrzami szybkie kłęby pary, tak mówił:

— Gdybym nie widział, oczombym nie wierzył, bo to nieludzka moc. Kuklinowski nieżywy, trzech żołnierzy zabitych, a Kmicica ani śladu. Wiedziałem, że to straszny człowiek. Reputacya jego w całym kraju znana... Żeby jednak, będąc jeńcem, związanym, nietylko się wyrwać, ale pobić żołnierzy i Kuklinowskiego storturować... tego człowiek nie mógł dokonać, to chyba dyabeł!

— Coś podobnego nigdy się nieprzygodziło... To niepodobne do wiary! — szepnął Sadowski.

— Pokazał ten Kmicic, co umie! — odrzekł książę Heski. — A nie wierzyliśmy wczoraj Polakom, gdy nam mówili, co to za ptak; myśleliśmy, że koloryzują, jak oni zwykle.

— Oszaleć! — krzyknął Wrzeszczowicz.

Mueller trzymał się rękami za głowę i nic nie mówił. Gdy wreszcie podniósł oczy, błyskawice gniewu krzyżowały się w nich z błyskawicami podejrzeń.

— Panie Zbrożek — rzekł — choćby to był szatan, nie człowiek, bez pomocy, bez jakowejś zdrady nie mógłby on tego dokonać: Kmicic miał tu swoich admiratorów, a Kuklinowski swych wrogów i waszmość należałeś do ich liczby!

Zbrożek był w całem znaczeniu tego słowa zuchwały żołnierz, dlatego usłyszawszy zarzut do siebie wymierzony, przybladł jeszcze mocniej, zerwał się z miejsca, zbliżył się do Muellera i zastąpiwszy mu drogę, spojrzał wprost w oczy.

— Czy wasza dostojność mnie posądzasz?... — zapytał.

Nastała bardzo ciężka chwila. Wszyscy obecni nie mieli najmniejszej wątpliwości, że jeśli Mueller da odpowiedź twierdzącą, nastąpi niechybnie coś strasznego i niesłychanego w dziejach wojskowych. Wszystkie ręce spoczęły na rękojeściach rapierów. Sadowski obnażył nawet swój zupełnie.

Lecz w tej chwili oficerowie ujrzeli przez okno, iż podwórzec zaroił się od polskich jeźdźców. Prawdopodobnie przybywali oni także z wieściami o Kuklinowskim, wszelako w razie zajścia, stanęliby niechybnie po stronie Zbrożka. Widział ich Mueller, a lubo bladość wściekłości wystąpiła mu na twarzy, jednak pohamował się i udając, że nic spostrzega nic wyzywającego w postępowaniu Zbrożka, odparł głosem, który starał się czynić naturalnym.

— Odpowiedz nam wasza mość szczegółowo, jak się to stało?

Zbrożek stał jeszcze czas jakiś z rozdętemi nozdrzami, lecz opamiętał się także, a przytem myśl jego zwróciła się w inną stronę, gdyż towarzysze, którzy właśnie nadjechali, weszli do izby.

— Kuklinowski zamordowan! — powtarzali jeden za drugim.

— Kuklinowski zabit!

— Oddział jego rozprasza się! Żołnierze jego szaleją!

— Pozwólcie panowie przyjść do słowa panu Zbrożkowi, który pierwszy przyniósł nowinę! — zawołał Mueller.

Po chwili uciszyło się i Zbrożek tak mówić począł:

— Wiadomo panom, żem na ostatniej naradzie wyzwał Kuklinowskiego na kawalerski parol. Byłem admiratorem Kmicica, prawda, bo i wy, choć jego nieprzyjaciele, musicie przyznać, że nie lada kto mógł spełnić takie dzieło, jak owo rozsadzenie tej armaty. Odwagę i w nieprzyjacielu cenić należy, dlatego podałem mu rękę, ale on mi swej umknął i zdrajcą mnie nazwał. Więc pomyślałem sobie: niech Kuklinowski czyni z nim, co chce.

Chodziło mi jeno oto, żeby, jeśli Kuklinowski postąpi sobie z nim przeciwnie rycerskiemu honorowi, niesława tego uczynku na wszystkich Polaków, a między innymi i na mnie, nie spadła. Dlatego to chciałem się koniecznie z Kuklinowskim bić, i dziś rano, wziąwszy dwóch towarzyszów, pojechałem do jego obozu. Przyjeżdżamy do kwatery... Powiadają: "Niemasz go!" Posyłam tu, niemasz go!... W kwaterze mówią, że i na noc wcale nie wracał ale nie byli niespokojni, bo myśleli, że u waszej dostojności został. Aż jeden żołnierz powiada, że w nocy pojechał z Kmicicem do stodółki, w której miał go przypiekać. Jadę do stodółki, wierzeje otwarte. Wchodzę, widzę, wisi nagie ciało na belce... Pomyślałem, że Kmicic, aż gdy oczy do mroku przywykły, patrzę, że trup jakiś chudy i kościsty, a tamten wyglądał jak Herkules... Dziwno mi było, żeby się mógł tak skurczyć przez jedną noc... Zbliżam się tuż — Kuklinowski!

— Na belce? — spytał Mueller.

— Tak jest! Przeżegnałem się... Myślę: czary, omen, czy co... Dopiero jakem zobaczył trupy trzech żołnierzy, prawda stanęła przedemną jako żywa. Ten straszny człek pobił tamtych, tego powiesił i przypiekł po katowsku, a sam uszedł!

— Do śląskiej granicy niedaleko! — rzekł Sadowski.

Nastała chwila milczenia.

Wszelkie podejrzenie co do udziału Zbrożka zgasło w duszy Muellera. Lecz sam wypadek zmieszał go, przeraził i napełnił jakimś nieokreślonym niepokojem. Widział naokoło piętrzące się niebezpieczeństwa, a raczej groźne ich cienie, przeciw którym ani wiedział, jak walczyć; czuł, że otoczył go jakiś łańcuch niepomyślności. Pierwsze ogniwa leżały przed jego oczyma, lecz dalsze otaczał jeszcze mrok przyszłości. Opanowało go takie uczucie, jakby mieszkał w popękanym domu, który lada chwila mógł mu się zwalić na głowę. Niepewność przygniotła go nieznośnym ciężarem i pytał sam siebie, do czego ma rąk przyłożyć.

Wtem Wrzeszczowicz uderzył się w czoło.

— Na Boga! — rzekł. — Od wczoraj, jakem tego Kmicica ujrzał, wydawało mi się, że ja go kiedyś znałem. Teraz znów widzę przed sobą tę twarz, przypominam sobie dźwięk mowy. Musiałem go chyba spotkać na krótko i pociemku, wieczorem, ale mi po głowie chodzi... chodzi... Tu począł trzeć ręką czoło.

— Co nam z tego? rzekł — Mueller — nie skleisz, panie hra-

bio, armaty, choćbyś sobie przypominał; nie wskrzesisz Kuklinowskiego!

Tu zwrócił się do oficerów:

— Komu wola, panowie, za mną na miejsce wypadku!

Wszyscy chcieli jechać, bo wszystkich podniecała ciekawość. Podano więc konie i ruszyli rysią, a generał na czele. Zbliżywszy się do stodółki ujrzeli kilkudziesięciu jeźdźców polskich rozrzuconych naokoło owego zabudowania na drodze i na polu.

— Coto za ludzie? — spytał Zbrożka Mueller.

— To muszą być Kuklinowskiego. Mówię waszej dostojności, że ta hołota poprostu poszalała...

To rzekłszy, Zbrożek począł kiwać na jednego z jeźdźców.

— Bywaj, bywaj! Żywo!

Żołnierz podjechał.

— Wy z pod Kuklinowskiego?

— Tak jest!

— A gdzie reszta pułku?

— Rozbieżeli się. Mówią, że nie chcą dłużej służyć przeciw Jasnej Górze.

— Co on mówił? — spytał Mueller.

Zbrożek wytłomaczył.

— Spytaj go waść, dokąd poszli? — rzekł generał.

Zbrożek powtórzył pytanie.

— Nie wiadomo — odrzekł żołnierz. — Niektórzy poszli na Śląsk. Inni mówili, że samemu Kmicicowi idą służyć, bo takiego drugiego pułkownika niemasz ani między Polakami, ani między Szwedami.

Mueller, gdy Zbrożek znów mu wytłomaczył słowa żołnierza, zamyślił się. Rzeczywiście, tacy ludzie, jakich miał Kuklinowski, gotowi byli bez wahania przejść pod komendę Kmicica. Ale wówczas mogli się stać groźni, jeśli nie dla armii Muellera, to przynajmniej dla jego podwozów i komunikacyj.

Fala niebezpieczeństw piętrzyła się coraz wyżej naokoło zaklętej fortecy.

Zbrożkowi to samo musiało przyjść do głowy, bo jakby odpowiadając na owe myśli Muellera, rzekł:

— To pewna, że wszystko burzy się w całej Rzeczypospolitej. Niech jeno taki Kmicic krzyknie, a setki i tysiące go otoczą; zwłaszcza po tem, co uczynił

— I co wskóra? — pytał Mueller.

— Wasza dostojność niech zechce pamiętać, że ten człowiek do desperacyi przywiódł Chowańskiego, a Chowański miał, licząc z Kozakami, sześć razy tyle ludzi, co my... Ani jeden transport nie przejdzie nam bez jego pozwolenia, a folwarki poniszczone i poczyna nam być głodno. Prócz tego Kmicic może się połączyć z Żegockim i Kuleszą, wówczas kilka tysięcy szabel będzie miał na zawołanie. To ciężki człowiek i może stać się molestissimus.

— A waszmość pewien jesteś swoich żołnierzy?

— Więcej, niż siebie samego! — odpowiedział z szorstką otwartością Zbrożek.

— Jakto więcej?

— Bo, mówiąc prawdę, dość mamy wszyscy tego oblężenia!

— Ufam, że ono wkrótce się skończy.

— Tylko pytanie: jak? Zresztą, wziąć tę twierdzę jest teraz taką samą klęską, jak od niej odstąpić.

Tymczasem dojechali do stodółki. Mueller zsiadł z konia, za nim wszyscy oficerowie i weszli do wnętrza. Kuklinowskiego zdjęli już żołnierze z belki i okrywszy kilimkiem, położyli na wznak na resztkach słomy. Trzy ciała żołnierskie leżały wpodle, ułożone równo obok siebie.

— Tych pomordowano nożami — szepnął Zbrożek.

— A Kuklinowski?

— Na Kuklinowskim ran niemasz, jeno bok ma spieczony i osmalone wąsy. Musiał zmarznąć, albo zatchnąć się, bo własną czapkę dotychczas w zębach trzyma.

— Odkryć go!

Żołnierz podniósł róg kilimka i okazała się twarz straszna, nabrzmiała, z wytrzeszczonemi oczyma. Na resztkach osmalonych wąsów sople powstałe ze zlodowaciałego oddechu pomieszały się z kopciem i utworzyły jakby kły sterczące z ust. Twarz to była tak ohydna, że Mueller, lubo przyzwyczajony do wszelkiego rodzaju okropności, wzdrygnął się i rzekł:

— Zakryj coprędzej! Straszne! Straszne!

Posępna cisza zapanowała w stodółce.

— Pocośmy tu przyjechali? — pytał spluwając książę Heski — przez cały dzień nie tknę jedzenia.

Nagle Muellera opanowało nadzwyczajne jakieś rozdrażnienie, graniczące prawie z obłędem. Twarz mu zsiniała, źrenice rozsze-

rzyły się, zęby poczęły zgrzytać. Owładnęło go dzikie pragnienie krwi, zemsty nad kimkolwiek, więc zwróciwszy się do Zbrożka, zakrzyknął:

— Gdzie ów żołnierz, który widział, że Kuklinowski był w stodółce? Dawajcie go! To musi być wspólnik!

— Nie wiem, czyli ten żołnierz tu jeszcze jest! — odrzekł Zbrożek. — Wszyscy ludzie Kuklinowskiego rozbiegli się, jak wyjarzmione byki!

— To go łap! — zaryczał w furyi Mueller.

— To go wasza dostojność sam łap! — krzyknął z równą furyą Zbrożek.

I znów straszliwy wybuch zawisnął jakby na nici pajęczej, nad głowami Szwedów i Polaków. Ci ostatni poczęli się cisnąć do Zbrożka, ruszać groźnie wąsiskami i trzaskać w szable.

Wtem gwar, echa strzałów tętent kilku koni rozległ się na zewnątrz i do stodółki wpadł oficer szwedzkich rajtarów.

— Generale! — krzyknął — wycieczka z klasztoru! Górnicy, kopiący minę, wybici do nogi! Oddział piechoty rozproszony.

— Oszaleję! — wrzasnął Mueller, chwytając się za włosy peruki — na koń!

Po chwili mknęli wszyscy jak wicher ku klasztorowi, aż grudy śniegu sypały się jak grad z pod kopyt koni. Sto jazdy Sadowskiego, pod komendą jego brata, przyłączyło się do osoby Muellera i biegło w pomoc. Po drodze widzieli oddziały piechoty przerażone, uciekające w nieładzie i popłochu, tak bardzo upadły już serca niezrównanych skądinąd żołnierzy szwedzkich. Opuszczano nawet szańce, którym żadne nie groziło niebezpieczeństwo. Kilkunastu stratowali pędzący oficerowie i rajtarzy.Dopadli wreszcie o staje od fortecy, lecz po to tylko, by na wzniesieniu, widnem jak na dłoni, ujrzeć wracających szczęśliwie do klasztoru napastników. Śpiewy, okrzyki radosne i śmiechy dochodziły od nich do uszu Muellera.

Pojedyńczy przystawali nawet i grozili w stronę sztabu krwawemi szablami. Polacy, znajdujący się przy boku szwedzkiego generała, poznali samego Zamoyskiego, który osobiście przywodził tej wycieczce, a który teraz, dojrzawszy sztab, przystanął i kłaniał mu się z powagą czapką. Nie dziwota! czuł się już bezpieczny pod zasłoną dział fortecznych.

Jakoż na wałach zadymiło się i żelazne ptastwo kul przeleciało

ze straszliwym świstem między oficerami. Kilku rajtarów zachwiało się na kulbakach i jęk odpowiedział świstowi.

—Pod ogniem jesteśmy, cofać się!—zakomenderował Sadowski.

Zbrożek chwycił za cugle Muellerowego konia.

— Generale, cofajmy się! Tu śmierć.

Mueller był jakby odrętwiały, nie odrzekł ni słowa, pozwolił wywieść się z promienia pocisków. Wróciwszy do swej kwatery, zamknął się w niej i cały dzień nie chciał nikogo widzieć.

Rozmyślał zapewne o swej sławie Poliorcetesa.

Tymczasem Wrzeszczowicz wziął w ręce całą władzę i z niezmierną energią począł czynić przygotowania do szturmu. Sypano nowe szańce, żołnierze łamali w dalszym ciągu po górnikach skałę dla założenia miny. Ruch gorączkowy trwał w całym obozie szwedzkim; zdawało się, że nowy duch wstąpił w oblegających lub że im nowe posiłki przybyły.

W kilka dni później wieść gruchnęła po obozie szwedzkim i sprzymierzonym polskim, że kopacze znaleźli pochód podziemny, idący pod sam kościół i klasztor i że tylko od dobrej woli generała zależy wysadzić całą twierdzę w powietrze.

Radość niezmierna ogarnęła znużonych mrozami, głodem i bezowocną pracą żołnierzy.

Okrzyki: "Mamy Częstochowę!!... Wysadzimy ten kurnik!" — przebiegały z ust do ust. Rozpoczęły się uczty i pijatyka.

Wrzeszczowicz był wszędzie, zachęcał żołnierzy, utrzymywał w wierze, potwierdzał sto razy dziennie wieść o znalezieniu przechodu, podniecał uczty i hulatyki.

Echa tej radości doszły nakoniec i do twierdzy. Wiadomość o minach już założonych i gotowych do wybuchu rozbiegła się z szybkością błyskawicy z jednego końca wałów na drugi. Najodważniejsi nawet zlękli się. Niewiasty z płaczem poczęły oblegać mieszkanie przeora, wyciągając ku niemu dzieci, gdy ukazywał się na chwilę, i wołać:

— Nie gub niewinnych!... Krew ich spadnie na ciebie!... Im kto większym był tchórzem, z tem większą odwagą nacierał na księdza Kordeckiego, by nie narażał na zgubę świętego miejsca, stolicy Najświętszej Panny.

Nastały tak ciężkie chwile i tak bolesne dla niezłomnej duszy owego bohatera w habicie, jakich nigdy nie bywało. Szczęściem,

że i Szwedzi zaniechali szturmów, aby tem dowodniej okazać oblężonym, że już nie potrzebują ni kul, ni armat, że dość im jedną nitkę prochową zapalić. Lecz dla tych samych powodów przerażenie rosło w klasztorze. W czasie głuchych nocy niektórym najtchórzliwszym wydawało się, że słyszą już pod ziemią jakieś szmery, jakieś ruchy, że Szwedzi są już pod samym klasztorem. Upadła wreszcie na duchu i znaczna część zakonników. Ci, z ojcem Stradomskim na czele, udali się do przeora, by niezwłocznie rokowania o poddanie się rozpoczął. Z nimi razem poszła większość żołnierzy i kilku szlachty.

Wówczas ksiądz Kordecki wyszedł na podwórze, a gdy tłum otoczył go ściśniętem głosem, tak mówić począł:

— "Zali nie przysięgaliśmy sobie, że do ostatniej kropli krwi bronić świętego przybytku będziemy? Zaprawdę, powiadam wam, jeżeli prochy nas wyrzucą, to tylko liche ciała nasze, tylko doczesne zwłoki opadną z powrotem na ziemię, a dusze już nie wrócą.

"...Niebo otworzy się nad niemi i tam wejdą w wesele, w szczęśliwość, jako morze bez granic. Tam Jezus Chrystus je przyjmie i ta Matka Najświętsza, i wyjdzie przeciw nich, a one jako pszczoły złote siędą na Jej płaszczu i w światłości się zanurzą i w oblicze Boga patrzeć będą..."

Tu blask tej światłości zaświtał na twarzy jego, oczy natchnione wzniósł w górę i mówił dalej z powagą i spokojem zaziemskim.

— "Panie, który światami rządzisz. Ty patrzysz w serce moje i wiesz, że nie kłamię temu ludowi, mówiąc, iż gdybym własnej szczęśliwości tylko pragnął, tedybym ręce wyciągnął ku Tobie i wołałbym z głębi duszy mojej: "Panie! spraw, aby te prochy były, aby wybuchły, bo w takiej śmierci jest odkupienie win i grzechów, bo jest odpoczynek wieczny, a sługa Twój znużon i spracowan już bardzo... I któżby nie chciał takiej nagrody za śmierć bez męki, jako mgnienie oka krótką, jako błyskawica na niebie przemijającą, po której wieczność niezmienna, szczęście nieprzebrane, radość bez końca.

"Lecz Ty mi kazałeś strzedz przybytku Twego, więc mi odejść niewolno; Tyś mnie na straży postawił, więc wlałeś we mnie moc Twoją i wiem to, Panie, i widzę i czuję, że choćby złość nieprzyjaciela aż pod ów kościół dotarła, choćby wszystkie prochy i niszczące saletry pod nim złożono, dośćby mi było je przeżegnać, ażeby nie wybuchły..."

Tu zwrócił się do zgromadzonych i tak mówił dalej:

— Bóg mi dał tę moc, lecz wy zdejmijcie strach z serc waszych! Duch mój przenika ziemię i powiada wam: Kłamią nieprzyjaciele wasi i niema prochowych smoków pod kościołem!... Wy, ludzie trwożliwych serc, wy, w których przestrach wiarę potłumił, nie zasłużyliście na to, by dziś jeszcze wejść do królestwa łaski i odpocznienia — więc niemasz prochów pod stopami waszemi! Bóg chce ocalić ten przybytek, aby jako arka Noego, unosił się nad potopem klęsk i niewoli, więc w imię Boga, po raz trzeci powiadam wam, niemasz prochów pod kościołem! A gdy w Jego imieniu mówię, kto będzie śmiał i przeczyć, kto wątpić się jeszcze odważy?.

To rzekłszy, umilkł i patrzył na tłum zakonników, szlachty i żołnierzy. Lecz taka była niezachwiana wiara, pewność i siła w jego głosie, że oni milczeli także i nikt nie wystąpił. Przeciwnie, otucha zaczęła wstępować w serca, aż nakoniec jeden z żołnierzy, chłop prosty, rzekł:

— Bądź pochwalone Imię Pańskie!... Od trzech dni mówią, iż mogą fortecę wysadzić, czemuż nie wysadzają?

— Chwała Najświętszej Pannie! Czemu nie wysadzają? — powtórzyło kilkanaście głosów.

Wtem uczynił się dziwny znak. Oto nagle naokół rozległ się szum skrzydeł i całe stada zimowych ptaszyn pojawiły się na podwórzu fortecznem i coraz nowe nadlatywały z okolicznych ogłodzonych folwarków: więc szare śmieciuszki, trznadle o złotej piersi, ubogie wróble, zielone sikorki, krasne gile, obsiadały załamania dachów, węgły, odrzwia, gzymsy kościelne, inne kręciły się różnobarwnym wieńcem nad głową księdza, furkając skrzydełkami, świergocąc żałośnie, jakoby o jałmużnę prosiły i nic nie obawiając się ludzi. Zdumieli się na ten widok obecni, a ksiądz Kordecki modlił się przez chwilę, wreszcie rzekł:

— Oto ptaszkowie leśni pod opiekę tej Matki Bożej się udają, a wy zwątpiliście o Jej mocy.

Otucha i nadzieja wróciły już do serc, zakonnicy, bijąc się w piersi, udali się do kościoła, a żołnierze na mury.

Niewiasty wyszły sypać ziarno ptaszętom, które poczęły dziobać je chciwie.

Wszyscy tłomaczyli pojawienie się owych drobnych leśnych mieszkańców sobie na pomyślność, nieprzyjacielowi na szkodę.

— Srogie śniegi muszą leżeć, gdy owe ptaszyny już i na wy-

strzały i na huk armatni nie uważają, jeno do zbudowań się cisną — mówili żołnierze.

— A czemuto od Szwedów do nas uciekają?

— Bo i najlichsze stworzenie ma ten dowcip, że nieprzyjaciela od swojego odróżni.

— Nie może to być, — odrzekł inny żołnierz — przecie i w szwedzkim obozie są Polacy, ale to znaczy, że tam już głodno musi być i obroków dla koni wcale brakuje.

— Znaczy to jeszcze lepiej, — mówił trzeci — bo pokazuje się, że to co prawią o tych prochach, to wierutne łgarstwo.

— Jakżeto? — spytali wszyscy naraz.

— Starzy ludzie powiadają, — odrzekł żołnierz — że niech jeno jaki dom ma się zawalić, zaraz jaskółki i wróblowie, gniazda wi sną pod dachem mający, wyprowadzają się precz na dwa i trzy dni przedtem; taki każda bestya ma rozum, że najprzód wie o niebezpieczeństwie. Owóż, gdyby pod klasztorem były prochy, toby te ptaki tu nie przyleciały.

— Prawdali to?

— Jako amen w pacierzu.

— Chwała Najświętszej Pannie! Źle tedy ze Szwedami!

W tej chwili głos trąbki dał się słyszeć przy południowo-zachodniej bramie; wszyscy pobiegli patrzeć, kto przybywa.

Był to trębacz szwedzki, który przywiózł list z obozu.

Zakonnicy zgromadzili się zaraz w definitoryum. List był od Wrzeszczowicza i oznajmiał, iż jeśli twierdza nie podda się do jutra, zostanie w powietrze wysadzona.

Lecz ci nawet, którzy poprzednio upadli pod brzemieniem bojaźni, nie uwierzyli teraz temu wezwaniu.

— Próżne to strachy! — wołali razem księża i szlachta.

— Napiszmy im tedy, żeby nas nie żałowali. Niech wysadzają!

I istotnie odpisano w ten sposób.

Tymczasem żołnierze, którzy zgromadzili się przy trębaczu, odpowiadali również śmiechem na jego ostrzeżenia.

— Dobrze! — mówili mu. — Czemu macie nas szczędzić? Prędzej pójdziem do nieba!

Ten zaś, który wręczał posłańcowi list z odpowiedzią, rzekł mu:

— Nie traćcie próżno słów i czasu!... Samych was nędza gryzie, a nam, chwała Bogu, na niczem nie zbywa. Ptaki nawet od was uciekają.

W ten sposób spełzł na niczem ostatni fortel Wrzeszczowicza.

— A gdy upłynął jeszcze dzień, okazało się zupełnie dowodnie, jak czczemi były obawy oblężonych i spokój powrócił w klasztorze.

Nazajutrz zacny mieszczanin częstochowski, Jacek Brzuchański, podrzucił znowu list ostrzegający o szturmie, lecz zarazem o wyruszeniu Jana Kazimierza ze Śląska i o powstaniu całej Rzeczypospolitej przeciw Szwedom. Zresztą miał to być, według wieści krążących za murami, szturm ostatni.

Brzuchański podrzucił list wraz z workiem ryb dla księży na wilię, a zbliżył się do murów przebrany za szwedzkiego żołnierza.

Na nieszczęście, poznano go i schwytano. Mueller kazał go rozciągnąć na torturach; lecz starzec miał w czasie mąk widzenie niebieskie i uśmiechał się słodko, jak dziecię, a zamiast bólu malowała się na jego twarzy niewysłowiona radość. Generał sam był obecny przy katuszy, jednakże zeznań żadnych z męczennika nie wydobył; wydobył tylko rozpaczliwe przekonanie, że tych ludzi nic nie zachwieje, nic ich nie złamie i zniechęcił się do reszty.

Tymczasem nadeszła stara żebraczka Kostucha z listem od księdza Kordeckiego, proszącym pokornie, by zawieszono szturm na czas nabożeństwa w dniu Bożego Narodzenia. Straże i oficerowie przyjęli żebraczkę ze śmiechami i z urąganiem z takiego posła, lecz ona wręcz im odrzekła:

— Nikt inny nie chciał pójść, bo wy posłów jako zbóje traktujecie, a ja się za kawałek chleba podjęła... Niedługo mi już na świecie, więc się was nie boję, a jeśli nie wierzycie, to mnie macie w ręku.

Lecz nie uczyniono jej nic złego. Co więcej, Mueller, pragnął raz jeszcze drogi zgody próbować, przystał na żądanie przeora; przyjął nawet okup za niedomęczonego Jacka Brzuchańskiego; odesłał za jedną drogą i ową część srebra, znalezionego przez pachołków szwedzkich. To ostatnie uczynił na złość Wrzeszczowiczowi, który po chybionym fortelu z minami z nową popadł niełaskę.

Przyszedł wreszcie wieczór wigilijny. O pierwszej gwiaździe zamigotały światła i światełka w całej fortecy. Noc była spokojna, mroźna, lecz pogodna. Szwedzcy żołnierze, kostniejąc z zimna na szańcach, spoglądali z dołu na czarne mury niedostępnej fortecy i na myśl przychodziły im ciepłe, mchami utkane chaty

skandynawskie, żony, dzieci, choinowe drzewka płonące od świeczek i niejedna żelazna pierś wezbrała westchnieniem, żalem, tęsknotą, rozpaczą. A w twierdzy przy stołach, okrytych sianem, oblężeni łamali się opłatkami. Cicha radość płonęła na wszystkich twarzach, bo każdy miał przeczucie, pewność prawie, że czasy niedoli miną już rychło.

— Jutro szturm jeszcze, ale to już ostatni — powtarzali sobie księża i żołnierze — Komu Bóg śmierć zapisze, niech dziękuje, że przedtem nabożeństwa zażyć mu pozwoli i tem pewniej bramy niebieskie mu otworzy, bo kto w dzień Bożego Narodzenia za wiarę zginie, ten do chwały przyjęty być musi.

Życzyli sobie tedy wzajem pomyślności, długich lat lub niebieskiej korony i taka ulga spadła na wszystkie serca, jakby już bieda minęła.

A było przy przeorze jedno krzesło próżne, przed niem stał talerz, na którym bielała paczka opłatków, niebieską wstążeczką obwiązana.

Gdy wszyscy zasiedli, owego zaś miejsca nikt nie zajął, pan miecznik rzekł:

— Widzę, ojcze wielebny, że starym zwyczajem i dla zagórskich panów miejsce gotowe?

— Nie dla zagórskich panów, — odrzekł ksiądz Augustyn — ale dla wspomnienia owego młodzieniaszka, któregośmy jak syna wszyscy kochali, a którego dusza patrzy teraz z uciechą na nas, żeśmy pamięć wdzięczną o nim zachowali.

— Dla Boga, — rzekł miecznik sieradzki — lepiej teraz jemu niż nam. Słuszną winniśmy mu wdzięczność!

Ksiądz Kordecki miał łzy w oczach, a pan Czarniecki ozwał się:

— O mniejszych w kronikach piszą. Jeśli mi Bóg życia pozwoli, a ktokolwiek spyta mnie później, który był między wami żołnierz starożytnym bohaterom równy, powiem: Babinicz.

— On się nie nazywał Babinicz — odrzekł ksiądz Kordecki.

— Jakto, nie nazywał się Babinicz?

— Oddawna wiedziałem jego prawdziwe nazwisko, ale pod tajemnicą spowiedzi... I dopiero, wychodząc przeciw owej kolubrynie, rzekł mi: "Jeśli zginę, niechajże wiedzą, ktom jest, ażeby uczciwa sława przy mojem nazwisku została i dawne grzechy starła." Poszedł, zginął, więc teraz mogę waćpanom powiedzieć: to był Kmicic!

— Ów litewski przesławny Kmicic! — zakrzyknął, porwawszy się za czuprynę, pan Czarniecki.

— Tak jest! Tak łaska boża zmienia serca!

— Dla Boga! Teraz rozumiem, że on się podjął tej wyprawy! Teraz rozumiem, skąd się taka fantazya w nim brała, skąd ta odwaga, którą wszystkich przewyższał! Kmicic, Kmicic! ów straszny Kmicic, którego Litwa sławi!

— Inaczej go odtąd sławić będzie, nietylko Litwa, ale cała Rzeczpospolita.

— On to nas pierwszy ostrzegł przed Wrzeszczowiczem!

— Z jego to przyczyny bramyśmy dość wcześnie zamknęli przygotowania uczynili!

— On pierwszego Szweda z łuku ustrzelił.

— A ila ich z armat napsuł! A de Fossisa kto położył?

— A owa kolubryna! Jeśli nam nie strach jutrzejszego szturmu, któżto sprawił?

— Niech każdy z czcią wspomina i wysławia gdzie może imię jego, ażeby sprawiedliwość się stała — rzekł ksiądz Kordecki — a teraz: wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie!

— A światłość wiekuista niechaj mu świeci! — odpowiedział jeden chór głosów.

Lecz pan Czarniecki długo nie mógł się uspokoić i myśl jego ustawicznie zwracała się do Kmicica:

— To mówię waszmościom — rzekł — było w nim coś takiego, że choć jak prosty żołnierz służył, zaraz komenda sama mu do rąk właziła. Aż mi dziwno było, że ludzie mimowoli słuchali takiego młodzika... W rzeczy, na onej baszcie on komenderował i ja sam go słuchałem. Gdybym to choć był wiedział, że to Kmicic!

— Wszelako dziwno mi to — rzekł pan miecznik sieradzki — że Szwedzi nie pochwalili się jego śmiercią.

Ksiądz Kordecki westchnął:

— Musiały go prochy na miejscu rozerwać!

— Dałbym sobie rękę uciąć, żeby żył! — krzyknął pan Czarniecki. — Ale żeby taki Kmicic pozwolił się prochom wysadzić!...

— Dał swoje życie za nasze! — odrzekł ksiądz Kordecki.

— To pewno, — odpowiedział miecznik — że gdyby ta kolubryna leżała jeszcze na szańcu, nie myślałbym tak wesoło o jutrze.

— Jutro Bóg nam da nowe zwycięstwo! — rzekł ksiądz Kordecki — albowiem Arka Noego nie może zatonąć w potopie.

Tak oni z sobą rozmawiali przy wilii, a potem porozchodzili się, zakonnicy do kościoła, żołnierze na cichy postój i strażowanie przy bramach i murach. Lecz wielka czujność była zbyteczna: i w szwedzkim obozie panowała niezamącona spokojność. Sami oni oddali się spoczynkowi i rozmyślaniom, bo i dla nich zbliżało się najuroczystsze ze świąt.

Noc była także uroczysta. Roje gwiazd świeciły na niebie, mieniąc się różowo i błękitno. Blask księżyca barwił na zielono całuny śnieżne, rozciągnięte między fortecą a nieprzyjacielskim obozem. Wiatr nie wiał i taka była cisza, jakiej od początku oblężenia pod tym klasztorem nie bywało.

O północy żołnierze szwedzcy usłyszeli płynące łagodnie z wyniosłości tony organów, potem głosy ludzkie dołączyły się do nich, potem dźwięki dzwonów i dzwonków. Wesele, otucha i wielki spokój były w tych dźwiękach i tem większe zwątpienie, tem większe uczucie niemocy ścisnęło serca szwedzkie.

Żołnierze polscy z pod komendy Żbrożka i Kalińskiego, nie pytając o pozwolenie, podeszli pod same mury. Nie puszczano ich do środka, w obawie jakowej zasadzki, którą noc mogła ułatwić, lecz pozwolono stać blisko przy murach. Oni też zebrali się całą gromadą. Jedni poklękali na śniegu, inni kiwali żałośnie głowami, wzdychając nad własną dolą, albo bili się w piersi, ślubując sobie poprawę, a wszyscy słuchali z rozkoszą i ze łzami w oczach muzyki i pieśni, wedle starożytnego zwyczaju śpiewanych.

Tymczasem, strażnicy na murach, którzy nie mogli być w kościele, chcąc sobie ową stratę wynagrodzić, poczęli także śpiewać i wkrótce rozlegała się po całym okręgu murów kolęda:

W żłobie leży,
Któż pobieży
Kolędować małemu...

Nazajutrz po południu huk dział zgłuszył nanowo wszystkie inne odgłosy. Szańce, ile ich było, zadymiły naraz, ziemia zadrżała w posadach; leciały postaremu na dach kościelny ciężkie faskule i bomby i granaty i pochodnie w rury oprawne, lejące deszcz roztopionego ołowiu i pochodnie bez oprawy i sznury i szmaty. Nigdy huk nie był tak nieustający, nigdy dotąd taka fala ognia i żelaza nie zwaliła się na klasztor, lecz między działami szwedzkiemi nie było owej kolubryny, która sama jedna mogła pokruszyć mur i wyłomy potrzebne do ataku uczynić.

Zresztą oblężeni tak już przywykli do ognia, tak każdy wiedział, co mu czynić należy, że bez komendy obrona szła zwykłym trybem. Na ogień odpowiadano ogniem, na pocisk pociskiem, jeno wymierzonym trafniej, bo spokojniej.

Pod wieczór wyjechał Mueller, aby przy ostatnich błyskach zachodzącego słońca skutki obejrzeć, i wzrok jego padł na wieżę, rysującą się spokojnie na tle błękitu.

— Ten klasztor wieki wieków stać będzie! — zakrzyknął w uniesieniu.

— Amen! — odpowiedział spokojnie Zbrożek.

Wieczorem zebrała się znów w generalnej kwaterze narada, jeszcze posępniejsza, niż zwykle. Zagaił ją sam Mueller.

— Szturm dzisiejszy — rzekł — żadnych nie przyniósł rezultatów. Prochy nasze się kończą; lud zmarniał w połowie, reszta zniechęcona, klęski nie zwycięstwa wygląda, zapasów już nie mamy, posiłków nie możem się spodziewać.

— A klasztor, jako pierwszego dnia oblężenia nienaruszony stoi! — dodał Sadowski.

— Co nam pozostaje?

— Hańba...

— Odebrałem rozkazy — rzekł generał, — bym prędzej kończył lub odstąpił i szedł do Prus.

— Co nam pozostaje?... — powtórzył książę Heski.

Wszystkich oczy zwróciły się na Wrzeszczowicza, ten zaś rzekł:

— Ratować honor!

Śmiech krótki, urywany, podobniejszy do zgrzytu zębów, wydobył się z ust Muellera, którego Poliorcetesem zwano.

— Pan Wrzeszczowicz chce nas nauczyć, jak wskrzeszać zmarłych! — rzekł.

Wrzeszczowicz udał, że nie słyszy.

— Honor uratowali tylko polegli! — rzekł Sadowski.

Mueller począł tracić zimną krew:

— I ten klasztor stoi tam jeszcze?... Ta Jasna Góra, ten kurnik??... I ja go nie zdobyłem?!... I my odstępujemy?... Czarylito, sen, czy mówię na jawie?...

— Ten klasztor, ta Jasna Góra stoi tam jeszcze — powtórzył słowo w słowo książę Heski — i my odstępujemy... pobici!...

Nastała chwila milczenia; zdawało się, że wódz i jego pod-

władni znajdują jakąś dziką rozkosz w rozpamiętywaniu własnego upokorzenia i wstydu.

Wtem Wrzeszczowicz głos zabrał i mówił zwolna i dobitnie:

— Nieraz trafiało się — rzekł — we wszystkich wojnach, oblężona forteca okupowała się oblegającym, a wówczas ci odchodzili jak zwycięzcy, bo kto składa okup, ten tem samem zwyciężonym się uznaje.

Oficerowie, którzy z początku ze wzgardą i lekceważeniem słuchali słów mówiącego, teraz poczęli słuchać uważniej.

— Niech ten klasztor złoży nam jakikolwiek okup — mówił dalej Wrzeszczowicz — wówczas nikt nie powie, żeśmy go zdobyć nie mogli, jeno żeśmy nie chcieli.

— Ale czy oni się zgodzą? — spytał książę Heski.

— Moją głowę w zakład stawię — odparł Weyhard — i więcej nad to: mój honor żołnierski!

— Może to być! — rzekł nagle Sadowski. Mamy dość tego oblężenia my, ale mają go dość i oni. Co wasza dostojność o tem myśli?

Mueller zwrócił się do Wrzeszczowicza.

— Niejedną ciężką, cięższą niż kiedykolwiek w życiu chwilę przebyłem z przyczyny waszych rad, panie hrabio, jednak za tę ostatnią dziękuję i wdzięczność zachowam.

Wszystkie piersi lżej odetchnęły. Rzeczywiście nie mogło już chodzić o nic innego, jak o wycofanie się z honorem.

Nazajutrz, w dzień-świętego Szczepana, oficerowie zgromadzili się co do jednego, aby wysłuchać odpowiedzi księdza Kordeckiego na list Muellera, który obejmował propozycyę okupu, a był wysłany od rana.

Przyszło długo czekać. Mueller udawał wesołość, ale przymus był widoczny w jego twarzy. Nikt z oficerów nie mógł usiedzieć na miejscu. Wszystkich serca biły niespokojnie.

Książę Heski i Sadowski stali pod oknem, rozmawiając zcicha.

— Co waszmość myślisz? zgodzą się? — zapytał pierwszy.

— Wszystko za tem mówi, że się zgodzą. Ktoby nie chciał pozbyć się tak straszliwego bądźcobądź niebezpieczeństwa za cenę kilkunastu tysięcy talarów, zwłaszcza, że mnisi światowych ambicyi i żołnierskich honorów nie mają, a przynajmniej mieć nie powinni. Boję się tylko, czy generał nie za wiele zażądał.

— Ile zażądał?

— Czterdzieści tysięcy talarów od mnichów, a dwadzieścia od szlachty! No! ale w najgorszym razie będą się chcieli potargować.

— Ustępujmy, na Boga, ustępujmy! — Gdybym wiedział, że nie mają pieniędzy, wolałbym im ze swoich pożyczyć, byle chociaż z pozorem honoru pozwolili nam odejść.

— A ja powiem waszej ks. mości, że lubo tym razem uznaję radę Wrzeszczowicza za dobrą i wierzę w to, że się okupią, taka mnie gorączka trawi, że wolałbym dziesięć szturmów, niż to oczekiwanie.

— Uf! masz waszmość słuszność. Ale ten Wrzeszczowicz jednak... może zajść wysoko...

— Choćby na szubienicę.

Rozmawiający nie odgadli. Hrabiego Weyharda Wrzeszczowicza czekał bowiem gorszy los nawet od szubienicy.

Lecz tymczasem huk wystrzałów przerwał im dalszą rozmowę.

— Co to? strzały z fortecy?! — krzyknął Mueller.

I zerwawszy się jak opętany, wybiegł z izby.

Wybiegli za nim wszyscy i poczęli nasłuchiwać. Odgłos regularnych salw dochodził istotnie z fortecy.

— Dla Boga! jakieto może mieć znaczenie?... Biją się w pośrodku, czy co?! — wołał Mueller — nie rozumiem!

— Ja to waszej dostojności wytłomaczę: — rzekł Zbrożek — dziś święty Szczepan, imieniny panów Zamoyskich, ojca i syna na ich to cześć strzelają.

Wtem i okrzyki wiwatowe doszły z fortecy, a za niemi nowe salwy.

— Dość mają prochów! — rzekł ponuro Mueller. — To nowa dla nas wskazówka.

Lecz los nie oszczędził mu i drugiej, bardziej bolesnej wskazówki. Oto żołnierze szwedzcy tak już byli zniechęceni i na duchu upadli, że na odgłos strzałów fortecznych, oddziały pilnujące najbliższych szańców, opuściły je w popłochu.

Mueller widział cały jeden regiment wybornych strzeców smalandzkich, który w zamieszaniu schronił się aż pod jego kwaterę; słyszał także, jak oficerowie powtarzali między sobą na ten widok:

— Czas, czas, czas odstąpić!

Lecz powoli uspokoiło się wszystko — jeno wrażenie przygnębiające zostało. Wódz, a za nim podkomendni, weszli znów do

izby i czekali, czekali niecierpliwie, nawet nieruchoma aż dotąd twarz Wrzeszczowicza zdradzała niepokój.

Nakoniec brzęk ostróg rozległ się w sieni i wszedł trębacz, cały zarumieniony od mrozu, z wąsami okrytemi szronem oddechu.

— Odpowiedź z klasztoru! — rzekł, oddając sporą paczkę obwiniętą w chustkę kolorową, związaną sznurkiem.

Muellerowi drżały nieco ręce i wolał przeciąć sznurek puginałem, niż odwiązywać go zwolna. Kilkanaście par oczu utkwionych było nieruchomo w paczkę, oficerowie oddech wstrzymali.

Generał odwinął jeden skład chusty, drugi, trzeci, i odwijał coraz śpieszniej, aż wreszcie na stół wypadła paczka opłatków.

Wówczas pobladł, i choć nikt nie potrzebował objaśnienia co znajdowało się w chustce, rzekł:

— Opłatki!...

— Nic więcej? — spytał ktoś z tłumu.

— Nic więcej! — odpowiedział jak echo generał.

Nastała chwila milczenia, przerywana tylko głośnemi oddechami, czasem też rozległ się zgrzyt zębów, czasem trzaśnięcie rapierem.

— Panie Wrzeszczowicz! — rzekł wreszcie Mueller strasznym i złowrogim głosem.

— Niema go już! — odpowiedział jeden z oficerów.

I znów nastało milczenie.

Natomiast w nocy zapanował ruch w całym obozie. Ledwie światła dzienne zagasły, słychać było głosy komendy, przebieganie znacznych oddziałów jazdy, odgłos regularnych kroków piechoty, rżenie koni, skrzyp wozów, głuchy turkot dział, zgrzytanie żelastwa, dźwięk łańcuchów, szum gwar i wrzenie.

— Czy nowy szturm na jutro? — mówili strażnicy przy bramach

Lecz nie mogli nic widzieć, bo z wieczora niebo powlokło się chmurami i począł padać śnieg obfity.

Gęste jego płaty przesłaniały świat. Około piątej w nocy wszystkie odgłosy ucichły, lecz śnieg padał coraz gęstszy. Na murach i blankach wież utworzył nowe mury, nowe blanki. Pokrył cały klasztor i kościół, jak gdyby go chciał ukryć przed wzrokiem najezdników, otulić i osłonić przed ognistemi pociskami.

Nakoniec poczęło szarzeć i dzwonek ozwał się już na jutrznię, gdy żołnierze, strażujący przy południowej bramie, usłyszeli parskanie konia.

Przed bramą stał chłop, cały zasypany śniegiem; za nim widać było na wjazdowej drodze nizkie, małe sanki drewniane, zaprzężone w chudą i poszerszeniałą szkapę.

Chłop począł "zabijać" ręce, przestępować z nogi na nogę i wołać:

— Ludzie, a otwórzcie tam?

— Kto żywie? — zapytano z murów.

— Swój, ze Dzbowa!... Przywiozłem dobrodziejom zwierzyne.

— A jakże cię to Szwedy puścili?

— Jakie Szwedy?

— Którzy kościół oblegają.

— Oho, niemasz już nijakich Szwedów!

— Wszelki duch Boga chwali! Odeszli?

— Już za niemi i ślady zasypało!

Wtem gromady łyczków i chłopów zaczerniały na drodze; jedni jechali konno, drudzy szli piechotą, były i niewiasty, a wszyszy zdaleka już wołać poczęli:

— Niemasz Szwedów, niemasz!

— Poszli do Wielunia!

— Otwórzta tam bramy! Ni człeka w obozie!

— Szwedzi odeszli, Szwedzi odeszli! — poczęto wołać na murach i wieść piorunem rozbiegła się w okrąg.

Żołnierze dopadli dzwonów i uderzyli we wszystkie, jakby na ałarm. Kto żył, wypadał z cel, mieszkań, z kościoła.

Wieść brzmiała ciągle. Podwórzec zaroił się zakonnikami, szlachtą, żołnierstwem, niewiastami i dziećmi. Radosne okrzyki rozległy się dokoła. Jedni wypadali na mury, aby pusty obóz obejrzeć; inni wybuchali śmiechem lub szlochaniem.

Niektórzy nie chcieli wierzyć jeszcze; lecz napływały coraz nowe gromady tak chłopstwa, jak i mieszczaństwa.

Szli tedy z miasta Częstochowy i z wiosek okolicznych i z lasów poblizkich, gwarno, wesoło i ze śpiewaniem. Krzyżowały się coraz nowe wieści; każdy widział odchodzących Szwedów i opowiadał, dokąd odchodzili.

W kilka godzin później pełno było ludzi na pochyłości i na dole pod górą. Bramy klasztoru otwarły się szeroko, jak zwyczajnie bywały przed wojną otwarte; jeno wszystkie dzwony biły, biły,

biły... a owe głosy tryumfu leciały w dal i słyszała je cała Rzeczpospolita.

Śnieg zasypywał ciągle ślady Szwedów.

---

O południu dnia tego kościół był tak nabity, że jako na brukowanych ulicach miejskich kamień leży obok drugiego, tak tam głowa była przy głowie. Sam ksiądz Kordecki miał Mszę dziękczynną, a tłumom ludzkim zdawało się, że to biały anioł ją odprawia, zdawało się także, że duszę wyśpiewa w tej wotywie lub że z dymami kadzideł uniesie się ku górze i rozwieje Bogu na chwałę.

Huk dział nie wstrząsał już murów, ani szyb w oknach, nie zasypywał kurzawą ludu, nie przerywał modlitw, ani tej dziękczynnej pieśni, którą wśród uniesienia i płaczu powszechnego zaintonował stary przeor:

"Te Deum Laudamus!"

---

Część Czwarta (Tom IV) 46.

## XXXIV.

Kmicica i Kiemliczów szparko konie niosły do granicy śląskiej. Jechali ostrożnie, by się z jakim podjazdem szwedzkim nie spotkać, bo jakkolwiek chytrzy Kiemlicze mieli "passy," wydane przez Kuklinowskiego, a podpisane przez Muellera, jednakże żołnierzy, nawet zaopatrzonych w podobne dokumenty, poddawano zwykle badaniu, takie badanie zaś mogło źle wypaść dla pana Andrzeja i jego towarzyszów. Jechali więc śpiesznie, by granicę przejść jak najprędzej i w głąb cesarskiego kraju się zasunąć. Same brzegi graniczne nie były także od "grassantów" szwedzkich bezpieczne, a częstokroć i całe oddziały rajtarów zapuszczały się na Śląsk, by imać tych, którzy się do Jana Kazimierza przebierali. Ale Kiemlicze, przez czas postoju pod Częstochową zatrudnieni ustawicznie łowami na pojedyńczych Szwedów, przeznali już nawskroś całą okolicę, wszystkie graniczne drogi, ścieżki i przechody, na których połów bywał najobfitszy i byli jakby we własnym kraju.

Przez drogę opowiadał stary Kiemlicz panu Andrzejowi, co słychać w Rzeczypospolitej, pan Andrzej zaś, zamknięty przez tak długi czas w fortecy, słuchał tych nowin chciwie i o bólu własnym zapomniał, gdyż były one nader dla Szwedów niepomyślnie i zwiastowały blizki już koniec panowania szwedzkiego w Polsce.

— Wojsko już sobie przykrzy szwedzką fortunę i szwedzką kompanię, — mówił stary Kiemlicz — a co dawniej żołnierze gardłem hetmanom grozili, gdyby się nie chcieli ze Szwedem połączyć, tak teraz sami do pana Potockiego instancye wnoszą i deputacye wysyłają, żeby Rzeczpospolitą z opresyi ratował, przysięgając wszyscy do gardła przy nim stać. Niektórzy też pułkownicy na swoją rękę poczęli Szwedów podjeżdżać.

— Którenże pierwszy począł?

— Jest pan Żegocki, starosta Babimojski, z panem Kuleszą. Ci w Wielkopolsce rozpoczęli i znacznie Szwedów konfudują, siła mniejszych oddziałów jest w całym kraju, ale nazwisk przywódców ciężko wiedzieć, gdyż oni umyślnie ich nie powiadają, a to dlatego, by swoje rodziny i substancye od pomsty szwedzkiej uchronić. Z wojska pierwszy się podniósł ten pułk, któremu pan Woyniłłowicz pułkownikuje.

— Gabryel?... Tożto mój krewny, chociaż go nie znam!

— Szczery to żołnierz. Onto partyę zdrajcy Prackiego starł, która Szwedom, służyła i samego rozstrzelał, a teraz ku górom srogim poszedł, które za Krakowem leżą; tam oddział szwedzki zniósł i górałów ratował, w ucisku od Szwedów będących...

— To zaś i górale Szwedów już biją?

— Oni najpierwsi zaczęli; jeno jako to głupie chłopstwo, chcieli zaraz Kraków siekierkami odbierać, których generał Duglas rozproszył, gdyż oni w równinach eksperyencyi żadnej nie mają, ale co w góry za nimi partyj posłali, to z tych żaden człowiek nie wrócił. Teraz pan Woyniłłowicz ono chłopstwo wspomógł, sam zaś do pana marszałka do Lubomli poszedł i z jego się wojskami połączył.

— Zali to pan marszałek przeciw Szwedom stoi?

— Różnie o nim gadali, że się i na tę i na tę stronę namyślał, ale jak już poczęto w całym kraju na koń siadać, tak i on się na Szwedów zawziął. Możny to pan i siła złego może im uczynić Sam on jeden mógłby z królem szwedzkim wojować. Powiadają

też ludzie, że do wiosny ani jednego Szweda w Rzeczypospolitej nie będzie...

— Da Bóg, że się to stanie!

— Jakże ma być inaczej, wasza miłość, skoro za oblężenie Częstochowy wszyscy się przeciw nim zawzięli. Wojsko się buntuje szlachta bije ich już, gdzie może, chłopstwo w kupy się zbiera, a do tego Tatarzy idą, idzie chan własną osobą, który Chmielnickiego i Kozaków pobił i obiecał ich ze szczętem zetrzeć, chyba że na Szwedów ruszą.

— Ale Szwedzi mają jeszcze znacznych stronników między panami a szlachtą?

— Ten się ich trzyma, kto musi, a i tacy pory tylko wyczekują. Jeden książę wojewoda wileński szczerze do nich przystąpił, to też na złe mu to wyszło.

Kmicic aż konia wstrzymał i jednocześnie za bok się uchwycił, bo go ból srogi przeszył.

— Na Boga! — zawołał, tłumiwszy jęk — gadajże mi, co się z Radziwiłłem dzieje? Zali ciągle siedzi w Kiejdanach?

— Wieżo z kości słoniowej! — rzekł stary — tyle ja wiem, co ludzie gadają, a Bóg wie, czego nie gadają. Mówią jedni, że książę wojewoda już nie żyje; inni, że się jeszcze panu Sapieże broni, ale ledwie tchnie. Podobno na Podlasiu się z sobą mocowali i pan Sapieha zmógł, bo Szwedzi nie mogli księcia wojewody ratować... Teraz prawią, że w Tykocinie przez pana Sapiehę oblężon i że już po nim.

— Chwała Bogu! Zacni tryumfują nad zdrajcami!... Chwała Bogu! chwała Bogu!

Kiemlicz popatrzył z podełba na Kmicica i sam nie wiedział, co myśleć. Przecie wiadomo było w całej Rzeczypospolitej, że jeżeli Radziwiłł zatryumfował z początku nad swemi własnemi wojskami i nad szlachtą, która szwedzkiego panowania nie chciała, to stało się to w znacznej części dzięki Kmicicowi i jego ludziom.

Lecz z tą myślą stary nie zdradził się przed swym pułkownikiem i jechali dalej w milczeniu.

— A co się dzieje z księciem koniuszym? — spytał wreszcie pan Andrzej.

— Nie słyszałem o nim nic, wasza miłość — odrzekł Kiemlicz — Może jest w Tykocinie, a może u elektora. Teraz tam wojna i król szwedzki osobą własną do Prus wyruszył, a my tymczasem

naszego pana wyglądamy. Daj go Bóg! bo niechby się tylko pokazał, wszyscyby do jednego człeka przy nim stanęli i wojsko by zaraz Szwedów opuściło.

— Pewnież tak?

— Wasza miłość! ja wiem tylko to, co ci żołnierze mówili, którzy pod Częstochową stać musieli. Jest tam grzecznej jazdy na kilka tysięcy pod panem Zbrożkiem, pod panem Kalińskim i innymi pułkownikami. Śmiem powiedzieć waszej miłości, że żaden tam z dobrej woli nie służy, chyba grassanci Kuklinowskiego, bo ci chcieli się skarbami jasnogórskiemi obłowić. Ale co zacni żołnierze, to tylko lamentowali i jeden przed drugim narzekał: "Dość nam tej służby żydowskiej! Niech jeno pan nasz nogą granicę przestąpi, wraz szable na Szwedów obrócimy, ale póki go niema, jak nam poczynać, gdzie iść?" Tak oni narzekali, a po innych pułkach, które są pod hetmanami, gorzej jeszcze. To wiem pewno, bo przyjeżdżali od nich deputaci do pana Zbrożka z namowami i tam sekretnie po nocach radzili, o czem Mueller nie wiedział, chociaż i on czuł, że źle koło niego.

— A książę wojewoda wileński w Tykocinie obleżon? — spytał pan Andrzej.

Kiemlicz znów spojrzał niespokojnie na Kmicica, bo myślał, że go chyba gorączka chwyta, skoro dwa razy każe sobie jedną i tę samą wiadomość powtarzać, o której dopiero co była mowa, jednakże odpowiedział:

— Obleżon przez pana Sapiehę.

— Sprawiedliwe sądy Boże! — rzekł Kmicic. — On, który mógł potęgą z królami się równać!... Nikt też przy nim nie został?

— W Tykocinie jest załoga szwedzka, a przy osobie księcia wojewody tylko się pono trochę co wierniejszych zostało.

Kmicica pierś napełniła się radością. Bał się pomsty strasznego magnata nad Oleńką, a chociaż zdawało mu się, że tej pomście pogróżkami swemi zapobiegł, ciągle przecie trapiła go ta myśl, że lepiej i bezpieczniej byłoby Oleńce i wszystkim Billewiczom mieszkać w lwiej jamie, niż w Kiejdanach, pod ręką księcia, który nigdy nikomu nie przebaczył. Teraz jednak, gdy on upadł, musieli tem samem przeciwnicy jego tryumfować; teraz, gdy go pozbawiono sił, znaczenia, gdy był panem jednego tylko lichego zameczka, w którym życia własnego i wolności bronił, nie mógł

przecie myśleć o zemście; ręka jego przestała ciężyć nad nieprzyjacioły.

— Chwała bądź Bogu! chwała bądź Bogu! — powtórzył Kmicic.

I tak miał głowę zaprzątniętą tą zmianą radziwiłłowskich losów i tem, co się przez cały czas jego pobytu w Częstochowie zdarzyło, i tem, gdzie jest ta, którą pokochało jego serce, i tem, co się z nią stało, że po raz trzeci spytał Kiemlicza:

— Mówisz tedy, że książę złaman?

— Złaman ze szczętem — odpowiedział stary. — Czy wasza miłość nie chory.

— Bok jeno piecze. Nic to! — odrzekł Kmicic.

I znów jechali w milczeniu. Strudzone konie zwalniały stopniowo kroku, aż wreszcie poczęły iść stępa. Jednostajny ruch ten uśpił znużonego na śmierć pana Andrzeja i spał długo, kiwając się na kulbace. Zbudziło go dopiero białe światło dzienne.

Obejrzał się ze zdziwieniem dokoła, bo zdało mu się w pierwszej chwili, że wszystko, co tej nocy przeszedł, to był tylko sen; wreszcie spytał:

— To wy, Kiemlicze? My z pod Częstochowy jedziem?

— A jakże, wasza miłość!

— A gdzie jesteśmy?

— Oho! już w Śląsku. Już nas tu Szwedzi nie dostaną!

— To dobrze! — rzekł Kmicic, oprzytomniawszy zupełnie. — A gdzie nasz miłościwy król rezyduje?

— W Głogowej.

— Tam też pojedziemy panu do nóg się pokłonić, służby ofiarować. Ale słuchajno, stary!

— Słucham, wasza miłość!

Lecz Kmicic zamyślił się i nie odrazu mówić począł. Widocznie coś w głowie układał, wahał się, rozważał, nakoniec rzekł:

— Nie może być inaczej!

— Słucham, wasza miłość! — powtórzył Kiemlicz.

— Ni królowi, ni nikomu z dworskich nie pisnąć, ktom jest!... Zwę się Babinicz, a jedziem z Częstochowy. O kolubrynie i o Kuklinowskim możecie mówić... Ale nazwiska mego nie wspominać, żeby tam moich intencyj na wspak nie wzięto i za zdrajcę mnie nie poczytano, bom ja w zaślepieniu księciu wojewodzie wileńskiemu służył i jeszcze mu pomagał, o czem na dworze mogli słyszeć.

— Panie pułkowniku! Po tem, czego wasza miłość pod Częstochową dokonał...

— A kto da świadectwo, że to prawda, póki klasztor oblężony?

— Stanie się wedle rozkazu.

— Nadbieży czas, że prawda na wierzch wyjdzie, — rzekł jakby do siebie Kmicic — pierwej musi się pan nasz miłościwy sam przekonać... On też da mi później świadectwo!

Na tem urwała się rozmowa. Tymczasem uczynił się dzień zupełny. Stary Kiemlicz począł śpiewać godzinki, a Kosma i Damian wtórowali mu basem. Droga była uciążliwa, bo mróz trzymał trzaskający, a przytem ustawicznie zatrzymywano jadących i wypytywano o nowiny, zwłaszcza zaś o to, czy Częstochowa broni się jeszcze. Kmicic odpowiadał, że się broni i obroni, lecz pytaniom nie było końca. Gościńce roiły się od podróżnych, gospody wszędzie po drodze pozajmowane. Jedni chronili się w głąb kraju z pogranicznych ziem Rzeczypospolitej przed uciskiem szwedzkim, drudzy pomykali ku granicom po wieści z kraju; raz wraz spotykano szlachtę, która mając dość Szwedów, jechała tak jak i Kmicic, służby wygnanemu panu ofiarować. Czasem trafiały się i poczty pańskie, czasem większe lub mniejsze oddziały żołnierzy, z tych wojsk, które bądźto dobrowolnie, bądź na mocy układów ze Szwedami przeszły granice, jak np. wojska pana kasztelana kijowskiego. Wieści z kraju już były ożywiły nadzieje tych "exulów" i wielu gotowało się do zbrojnego powrotu. W całym Śląsku, a zwłaszcza w księstwach Raciborskiem i Opolskiem, gotowało się jak w garnku; posłańcy latali z listami do króla i od króla do pana kasztelana kijowskiego, pierwszego senatora Rzeczypospolitej, który ani na chwilę nie opuścił sprawy Jana Kazimierza.

Panowie ci, w porozumieniu z wielką królową, niezachwianą w nieszczęściu, porozumiewali się i z sobą i z krajem i przedniejszymi w nim ludźmi, o których wiedziano, że radziby do wierności prawemu panu powrócić. Swoją drogą słał gońców i pan marszałek koronny i hetmani i wojsko i szlachta, gotująca się do chwycenia za broń.

Była to wilia do powszechnej wojny, która w niektórych miejscach już wybuchła. Szwedzi tłumili te miejscowe porywy bądź orężem, bądź siekierą kata, lecz ogień zgaszony w jednem miejscu, zapalał się w drugiem. Burza straszliwa zawisła nad głowami skandynawskich najezdników; ziemia sama, lubo pokryta śnie-

gami, poczęła parzyć ich stopy; groza i pomsta otaczały ich ze ze wszystkich stron, straszyły ich cienie własne.

Więc chodzili jak błędni. Niedawne pieśni tryumfu zamarły im na ustach i sami pytali siebie z największem zdumieniem: "Jestli to ten sam naród, który wczoraj jeszcze opuścił własnego pana, poddał się bez boju?" Jakże? panowie, szlachta, wojsko, niebywałym w dziejach przykładem przeszli do zwycięzcy; miasta i zamki otwierały bramy; kraj był zajęty. Nigdy podbój nie kosztował mniej sił i krwi. Sami Szwedzi, dziwiąc się tej łatwości, z jaką zajęli potężną Rzeczpospolitą, nie mogli ukryć pogardy dla zwyciężonych, którzy za pierwszym połyskiem szwedzkiego miecza wyparli się króla, ojczyzny, byle życia i dostatków w spokoju zażywać, albo nowych w zamieszaniu nabyć. To, co w swoim czasie mówił cesarskiemu posłowi Lisoli Wrzeszczowicz, powtarzał sam król i wszyscy generałowie szwedzcy: "Niema w tym narodzie męstwa, niema stałości, niema ładu, niema wiary, ani patryotyzmu! — muszą zginąć!"

Zapomnieli, że ten naród ma jeszcze jedno uczucie, to właśnie, którego ziemskim wyrazem była Jasnagóra.

I w tem uczuciu było jego odrodzenie.

Więc huk dział, który odezwał się pod świętym przybytkiem, odezwał się zarazem we wszystkich sercach magnackich, szlacheckich, mieszczańskich i chłopskich. Okrzyk zgrozy rozległ się od Karpat do Bałtyku i olbrzym rozbudził się z odrętwienia.

— To inny naród! — mówili ze zdumieniem generałowie szwedzcy.

I począwszy od Arfuida Wittemberga, a skończywszy na komendantach pojedyńczych zamków, wszyscy słali do bawiącego w Prusach Karola Gustawa wieści pełne przerażenia.

Ziemia usuwała im się z pod nóg; zamiast dawnych przyjaciół, spotykali wszędy wrogów; zamiast poddania się, opór; zamiast obawy, dziką gotową na wszystko odwagę; zamiast miękkości, okrucieństwo; zamiast cierpliwości, zemstę.

A tymczasem z rąk do rąk przelatywał tysiącami w całej Rzezypospolitej manifest Jana Kazimierza, który poprzednio, już ze Śląska wydany, zrazu nie budził echa. Teraz przeciwnie, widywano go po zamkach jeszcze nie zajętych. Gdzie tylko nie ciężyła szwedzka ręka, tam szlachta zbierała się w kupy i kupki i biła się w piersi, słuchając wzniosłych słów wygnanego króla,

który wytykając błędy i grzechy, rozkazywał nie tracić nadziei i do ratunku upadłej Rzeczypospolitej się zrywać.

"Nie minął jednak czas (pisał Jan Kazimierz), chociaż tak już daleko postąpił nieprzyjaciel, abyśmy utraconych prowincyj i miast odzyskać nie mogli i Bogu powinnej chwały powrócić, sprofanowane kościoły krwią nieprzyjacielską nasycić, a wolności i prawa dawne w klubę zwyczajną i staropolskie postanowienie wprowadzić nie mogli; byle się tylko ta staropolska cnota i ona starożytnych przodków Uprzejmości i Wierności naszych ku Panu observantia (poważanie) i miłość, z jakowej się przed różnemi narodami nasz dziad Zygmunt Pierwszy szczycił, powróciła. Przystąpiła już tedy pierwszych występków odmiana ku cnocie. Komu Bóg i wiara jego święta pierwsza nad wszystko dobro, przeciwko temu szwedzkiemu nieprzyjacielowi Uprzejmości i Wierności wasze powstańcie. Nie czekajcie wodzów i wojewód, albo takiego porządku, jaki w pospolitem prawie opisany. Już teraz między Uprzejmościami i Wiernościami waszemi nieprzyjaciel wszystkie też rzeczy pomieszał; ale jeden do drugiego, trzeci do dwu, czwarty do trzech, piąty do czterech i tak per consequens (w tym samym stosunku), by też każdy i z własnymi poddanymi zgromadźcie się, a gdzie słuszna, na jaki opór zwiedzcie się. Tam sobie wodza obierzcie dopiero. Jedna do drugiej kupy wiążcie się i słuszne już z siebie wojsko uczyniwszy, wodza nad nim wiadomego obrawszy, osoby naszej poczekajcie, nie opuszczając okazyi, gdyby się trafiła, do porażenia nieprzyjaciela. My, bylebyśmy i okazyi i gotowości i skłonności ku nam Uprzejmości i Wierności waszych usłyszeli, zaraz natychmiast przybędziemy i zdrowie nasze tam położymy, gdzie zaszczycenie całości ojczyzny potrzebować będzie."

Uniwersał ten odczytywano nawet w obozie Karola Gustawa, nawet po zamkach, szwedzkie załogi mających i wszędzie, gdzie się tylko polskie chorągwie znajdowały. Szlachta łzami oblała każde słowo królewskie, dobrego pana żałując i zaprzysięgała sobie na krzyżach, na wizerunkach N. Panny i szkaplerzach, woli jego uczynić zadość. Żeby zaś gotowości swej złożyć dowód, póki zapał tlał w sercach, a łzy nie obeschły, siadano, nie czekając długo, tu i owdzie na koń i rzucano się jeszcze "za ciepła" na Szwedów.

W ten sposób mniejsze oddziały szwedzkie topnieć i ginąć po-

częły. Działo się to na Litwie, Żmudzi, Mazowszu, w Wielko i Małopolsce. Nieraz szlachta, zebrawszy się u sąsiada na chrzciny, imieniny, na wesele lub kulig, bez żadnych wojowniczych zamiarów, kończyła na tem zabawę, że podpiwszy, uderzała jak grom i wycinała w pień pobliską szwedzką komendę. Poczem kulig wśród pieśni i okrzyków, przybierając po drodze tych, którzy się "ochocić" chcieli, jechał dalej, zmieniał się w tłum chciwy krwi, z tłumu w "partyę," która już stałą rozpoczynała wojnę. Poddani chłopi i czeladź całemi tłumami garnęli się do zabawy; inni donosili o pojedyńczych Szwedach lub pomniejszych oddziałach, po wsiach nieostrożnie roztasowanych. I liczba "kuligów" i "maszkar" zwiększała się z dniem każdym. Wesołość i fantazya, właściwa narodowi, mieszały się do tych krwawych zabaw.

Chętnie przebierano się za Tatarów, których samo imię napełniało trwogą Szwedów, dziwne bowiem krążyły między nimi wieści i bajki o dzikości i straszliwem a okrutnem męstwie tych synów krymskich stepów, z którymi Skandynawowie nie spotkali się dotąd nigdy. Że zaś wiedziano powszechnie, iż chan w sto tysięcy okrągłe ordy idzie w pomoc Janowi Kazimierzowi, a szlachta hałasowała, napadając na komendy, powstało stąd dziwne zamieszanie.

Pułkownicy i komendanci szwedzcy w wielu miejscach byli istotnie przekonani, że Tatarzy już nadeszli i cofali się na gwałt do większych fortec lub obozów, roznosząc wszędzie wieść fałszywą i trwogę. Tymczasem okolice, które pozbyły się w ten sposób nieprzyjaciela, mogły się zbroić i niesforne tłuszcze w rządniejsze wojsko zamieniać.

Lecz groźniejsze jeszcze dla Szwedów od kuligów szlacheckich i od samych Tatarów były ruchy chłopskie. Oddawna, od pierwszego dnia oblężenia Częstochowy, poczęło wrzeć pomiędzy ludem i spokojni a cierpliwi dotąd oracze jęli tu i owdzie stawiać opór i tu i owdzie chwytać za kosy i cepy, a szlachcie pomagać. Bystrzejsi generałowie szwedzcy z największą obawą patrzyli na te chmury, które lada chwila mogły się zmienić w potop prawdziwy i pochłonąć bez ratunku najeźdźców.

Postrach wydawał im się najwłaściwszym środkiem, by zgnieść w zarodzie straszne niebezpieczeństwo. Karol Gustaw głaskał jeszcze i pochlebnemi słowy utrzymywał te chorągwie polskie, które za nim do Prus poszły. Nie szczędził też pochlebstw panu

chorążemu Koniecpolskiemu, słynnemu regimentarzowi z pod Zbaraża. Ten stał przy jego boku z sześciu tysiącami niezrównanej jazdy, która przy pierwszem nieprzyjacielskiem starciu z elektorem taki postrach i zniszczenie rozniosła między Prusakami, że elektor, zaniechawszy boju, co prędzej na układy się zgodził.

Słał król szwedzki także listy do hetmanów, do magnatów i szlachty, pełne łaski, obietnic i zachęceń, by mu wierności dochowali. Lecz jednocześnie wydał rozkazy swym generałom i komendantom niszczenia ogniem i mieczem wszelkiego oporu wewnątrz kraju, a zwłaszcza wycinania w pień kup chłopskich. Rozpoczął się tedy okres żelaznych rządów żołnierskich. Szwedzi porzucili pozory przyjaźni. Miecz, ogień, rabunek, ucisk zastąpiły dawną udawaną życzliwość. Z zamków komenderowano potężne oddziały jazdy i piechoty w pościgu za kuligami. Równano z ziemią całe wsie, palono dwory, kościoły i plebanie. Jeńców szlachtę oddawano w ręce katom; chłopom, wziętym w niewolę, obcinano prawe ręce i puszczano do domów.

Szczególnie srożyły się owe oddziały w Wielkopolsce, która jak najpierwsza się poddała, tak też najpierwsza pod[illegible]ła się przeciw obcemu panowaniu. Komendant Stein rozkazał tu pewnego razu poucinać ręce przeszło trzystu chłopom, pochwyconym z bronią w ręku. Po miasteczkach pobudowano stałe szubienice i codzień ubierano je nowymi ofiarami. To samo czynił Magnus de la Gardie na Litwie i Żmudzi, gdzie najprzód zaścianki, z za niemi chłopstwo broń chwyciło. Że zaś wogóle w zamieszaniu trudno było Szwedom odróżnić własnych obrońców od nieprzyjaciół, przeto nie szczędzono nikogo.

Lecz ogień podsycany krwią, zamiast gasnąć, wzmagał się coraz więcej i rozpoczęła się wojna, w której obu stronom nie chodziło już o same zwycięstwa, o zamki i miasta lub prowincye, ale o śmierć i życie. Okrucieństwo wzmagało nienawiść i poczęto nie walczyć, lecz tępić się wzajemnie bez miłosierdzia.

---

## XXXV.

Ta wojna wytępiana była dopiero w początku, gdy pan Kmicic wraz z trzema Kiemliczami dotarł po trudnej, ze względu na jego

nadwerężone zdrowie, podróży do Głogowej. Przyjechali nocą. Miasto było przepełnione od wojska, panów, szlachty, sług królewskich i magnackich, a gospody tak pozajmowane, że stary Kiemlicz z największym trudem wystarał się o kwaterę dla pana Andrzeja, u powroźnika, mieszkającego już za miastem.

Dzień ten przeleżał pan Andrzej w bólu i w gorączce od oparzenia. Chwilami myślał, że przyjdzie mu ciężko, obłożnie zachorować. Ale żelazna natura przemogła. Następnej nocy uczyniło mu się lżej, a świtaniem ubrał się już i poszedł do farnego kościoła Bogu za cudowne swe ocalenie podziękować.

Szary i śnieżny zimowy ranek zaledwie rozproszył ciemności. Miasto jeszcze spało, ale przez drzwi kościoła widać już było światło w ołtarzu i dochodziły go głosy organów.

Kmicic wszedł do środka. Ksiądz przed ołtarzem odprawiał wotywę, w kościele mało jeszcze było modlących się. W ławkach klęczało kilkanaście postaci z twarzami ukrytemi w dłoniach, a oprócz nich ujrzał pan Andrzej, gdy oczy jego oswoiły się z ciemnością, jakąś postać, leżącą krzyżem przed samemi, stallami, na rozciągniętym na ziemi kobierczyku. Za nim klęczało dwóch wyrostków o rumianych i prawie anielskich, dziecinnych twarzach. Człowiek ten leżał bez ruchu i tylko z piersi, poruszanych ustawicznie ciężkiemi westchnieniami, można było poznać, że nie śpi, że modli się gorliwie i całą duszą. Kmicic również pogrążył się w modlitwie dziękczynnej; lecz po ukończonych pacierzach oczy jego mimowoli zwróciły się na leżącego krzyżem męża i nie mogły się już od niego oderwać, tak je coś przykuwało do niego. Westchnienia podobne do jęków, głośne w ciszy kościelnej, wstrząsały ciągle tę postać. Żółte blaski świec zapalonych przed ołtarzem, wraz ze światłem dziennem, bielejącem w szybach, wydobywały ją z mroku i czyniły coraz widniejszą.

Pan Andrzej zaraz domyślił się z ubiory, że to musi być ktoś znaczny, gdyż i wszyscy obecni, nie wyłączając księdza odprawiającego wotywę, spoglądali nań ze czcią i uszanowaniem. Nieznajomy przybrany był cały w czarny aksamit, podbity sobolami, tylko na ramionach miał odwinięty biały koronkowy kołnierz, z pod którego przeglądały złote ogniwa łańcucha; czarny z takiemiż piórami kapelusz leżał obok, jeden zaś z paziów, klęczących za kobierczykiem, trzymał rękawice i szmelcowaną na błękitno szpadę. Twarzy nieznajomego nie mógł pan Kmicic widzieć, gdyż była

ukryta w fałdach kobierczyka, a przytem zasłaniały ją zupełnie rozproszone naokoło głowy loki nadzwyczaj obfitej peruki.

Pan Andrzej przysunął się do samej stalli, tak aby, gdy nieznajomy się podniesie, mógł dojrzeć jego twarz. Tymczasem wotywa miała się ku końcowi. Ksiądz śpiewał już Pater noster (Ojcze nasz. Ludzie, którzy chcieli być na następnej mszy, napływali przez główne drzwi wchodowe. Kościół zapełniał się zwolna postaciami o podgolonych głowach, przybranych w delie, w żołnierskie burki, w szuby i altenbasowe kapoty. Uczyniło się dość ciasno. Wówczas Kmicic trącił w łokieć stojącego obok szlachcica i szepnął:

— Przebacz wasza .mość, że go w nabożeństwie inkomoduję, ale ciekawość mocniejsza. Kto też to jest?

Tu wskazał oczyma na leżącego krzyżem pana.

— Chybaś waść zdaleka przyjechał, że nie wiesz, kto to jest? — odparł szlachcic.

— Pewnie, żem zdaleka przyjechał i dlatego pytam w nadziei, że gdy na kogo politycznego trafię, to mi nie poskąpi odpowiedzi.

— To jest król.

— Na Boga żywego! — zawołał Kmicic.

Lecz w tej chwili król się podniósł, bo ksiądz zaczynał właśnie czytać ewangelię.

Pan Andrzej ujrzał twarz wymizerowaną, żółtą i przezroczystą jak wosk kościelny. Oczy królewskie były wilgotne, a powieki zaczerwienione. Rzekłbyś, całe losy kraju odbiły się na tej szlachetnej twarzy, tyle w niej było bólu, cierpienia, troski. Noce bezsenne, rozdzielane między modlitwę a zmartwienie, zawody okrutne, tułactwo, opuszczenie, upokorzony majestat tego syna, wnuka i prawnuka potężnych królów, gorycz, którą tak obficie napawali go właśni poddani, niewdzięczność kraju, dla którego gotów był krew i życie poświęcić, wszystko to można było, jak w księdze, w tem obliczu wyczytać. A jednak biła z niego nietylko rezygnacya, zdobyta przez wiarę i modlitwę, nietylko majestat króla widać było, że dość będzie największym odstępcom, najbardziej winnym, wyciągnąć tylko ręce do tego ojca, a ten ojciec przyjmie, przebaczy i krzywd własnych zapomni.

Kmicicowi na jego widok zdawało się, że ktoś mu żelazną dłonią ścisnął serce. Żal zawrzał w gorącej duszy junaka. Skrucha, litość i cześć oddech zaparły mu w gardle, poczucie winy nie-

żmiernej podcięło mu kolana, aż drżeć począł na całem ciele i nagle nowe, nieznane uczucie powstało mu w piersi. Oto w jednej chwili pokochał tak ten bolesny majestat, że uczuł iż nie ma nic droższego na ziemi całej od tego ojca i pana, że gotów za niego poświęcić krew, życie, znieść torturę i wszystko w świecie. Chciałby się do tych nóg rzucić, kolana objąć i prosić o odpuszczenie win. Szlachcic, zuchwały warchoł, zamarł w nim w jednej chwili, a urodził się regalista, oddany duszą całą swemu królowi.

— To nasz pan, nasz pan nieszczęsny! — powtarzał sobie, jakby ustami chciał dać świadectwo temu co widziały jego oczy, a czuło serce.

Tymczasem Jan Kazimierz po ewangelii klęknął znowu, ręce rozłożył, oczy wzniósł ku górze i pogrążył się w modlitwie. Ksiądz wreszcie odszedł, począł się ruch w kościele, król klęczał ciągle.

Aż ów szlachcic, którego Kmicic zaczepił, trącił teraz w bok pana Andrzeja.

— A coś waćpan za jeden? — spytał.

Kmicic nie odrazu zrozumiał pytanie i nie zaraz odpowiedział, tak dalece serce jego i umysł były osobą królewską zajęte.

— A coś waćpan za jeden? — powtórzył ów personat.

— Szlachcic, jako i waszmość! — odrzekł pan Andrzej, zbudziwszy się jakby ze snu.

— Jakże cię zowią?

— Jak mnie zowią? Zwę się Babinicz, a jestem z Litwy, z pod Witebska.

— A jam jest Ługowski, dworski królewski!... Proszę, to waćpan aż z Litwy, z pod Witebska jedziesz?

— Nie... Jadę z Częstochowy.

Pan Ługowski aż zaniemówił na chwilę ze zdziwienia.

— A jeśli tak, to bywajże waćpan, bywaj, bo nam nowin udzielisz! Mało już króla miłościwego nie umorzył frasunek, że przez trzy dni żadnej pewnej wieści nie miał. Jakże to? Z pod chorągwi Zbrożka może, albo Kalińskiego, albo Kuklinowskiego? Z pod Częstochowy?

— Nie z pod Częstochowy, ale z samego klasztoru, wprost!

— Chyba waść żartujesz? Co tam? co słychać? Broniże się jeszcze Jasnagóra?

— I broni się i będzie broniła. Szwedzi już na odstapieniu!

— Dla Boga! Król ozłoci waszmości! Z samego klasztoru, powiadasz, jedziesz?... Jakże cię to Szwedzi puścili?

— Jam ich o permisyę nie prosił, ale wybaczaj waćpan, że w kościele obszerniejszej relacyi dać nie mogę.

— Słusznie, słusznie — odparł pan Ługowski. — Bóg miłosierny!... Z nieba nam spadłeś!... W kościele nie przystoi... słusznie! Czekajże waćpan. Zaraz się król podniesie, śniadać przed sumą pojedzie... Dziś niedziela... Chodź waść, staniesz wraz ze mną przy drzwiach i wraz u wejścia przedstawię waćpana królowi... Chodź, chodź, bo niema czasu!

To rzekłszy, ruszył naprzód, a Kmicic za nim. Zaledwie ustawili się przy drzwiach, gdy ukazało się najprzód dwóch paziów, a za nimi wyszedł zwolna Jan Kazimierz.

— Miłościwy królu! — zakrzyknął pan Ługowski — są wieści z Częstochowy!

Woskowa twarz Jana Kazimierza ożywiła się nagle.

— Co? gdzie? kto jest? — spytał.

— Ten oto szlachcic! Powiada, że z samego klasztoru jedzie.

— Zali klasztor już zdobyty? — zakrzyknął król.

Wtem pan Andrzej runął jak długi do nóg pańskich.

Jan Kazimierz pochylił się i począł podnosić go za ramiona.

— Na potem, — wołał — na potem!... Wstań waść, na Boga, wstań! mów prędzej... Klasztor zdobyty?

Kmicic zerwał się ze łzami w oczach i krzyknął z zapałem:

— Nie zdobyty, miłościwy panie i nie będzie! Szwedzi pobici! Największa armata wysadzona! Strach między nimi, głód, mizerya! O odstąpieniu myślą!...

— Chwała! chwała Tobie, Królowo Anielska i nasza! — rzekł król.

To rzekłszy, odwrócił się ku drzwiom kościelnym, zdjął kapelusz i nie wchodząc do środka, klęknął na śniegu przy drzwiach. Głowę oparł o ramę kamienną i pogrążył się w milczeniu. Po chwili łkanie poczęło nim wstrząsać.

Rozczulenie ogarnęło wszystkich. Pan Andrzej ryczał jak żubr.

Król pomodliwszy się i wypłakawszy, wstał uspokojony, z twarzą wiele pogodniejszą. Zaraz spytał Kmicica o nazwisko, a gdy ten powiedział mu swe przybrane miano, rzekł:

— Niechże cię pan Ługowski zaraz do naszej kwatery prowadzi. Nie zażyjemy rannego posiłku inaczej, jak słuchając o obronie.

I w kwadrans później pan Kmicic stanął w komnacie królewskiej przed dostojnem zebraniem. Król czekał tylko na królową, by zasiąść do rannej polewki; jakoż Marya Ludwika pojawiła się za chwilę. Jan Kazimierz, ledwie ją ujrzał, zaraz zakrzyknął:

— Częstochowa wytrzymała! Szwedzi ustępują! Oto jest pan Babinicz, który stamtąd ptzyjeżdża i tę wieść przynosi.

Czarne oczy królowej spoczęły badawczo na młodej twarzy junaka i widząc jej szczerość, rozjaśniły się radością; on zaś oddawszy nizki ukłon, patrzył także na nią śmiele, jako prawda i uczciwość patrzeć umieją.

— Moc boska! — rzekła królowa — ciężar okrutny zdjąłeś nam waćpan z serca i da Bóg, że to będzie początek odmiany fortuny. Wprostże z pod Częstochowy jedziesz?

— Nie z pod Częstochowy, ale powiada, że z samego klasztoru to jeden z obrońców! — zawołał król. — Złoty gość!... Bodaj tacy codzień przybywali; ale pozwólcie mu przyjść do słowa... Opowiadaj, bracie, opowiadaj, jakeście się bronili i jak was ręka Boska piastowała?

— Pewnie, miłościwi państwo, że nic więcej, jeno opieka Boska i cuda Najświętszej Panny, na które codzień własnemi oczyma patrzyliśmy.

Tu pan Kmicic zabierał się już do opowiadania, gdy wtem coraz nowi dygnitarze zaczęli się schodzić. Przyszedł więc nuncyusz papieski, potem ksiądz prymas Leszczyński, za nim ksiądz Wydżga, złotousty kaznodzieja, który był kanclerzem królowej, a później biskupem warmińskim, potem zaś jeszcze prymasem. Wraz z nim wszedł kanclerz koronny, pan Koryciński i Francuz de Noyers, przyboczny królowej, za nim nadchodzili kolejno inni dygnitarze, którzy pana nie opuścili w nieszczęściu, ale woleli z nim gorzki chleb dzielić, niż wiarę zaprzysiężoną złamać.

Królowi zaś pilno było, więc odrywał się co chwila od posiłku i powtarzał:

— Słuchajcie wasze moście! słuchajcie, gość z Częstochowy! dobra wieść, słuchajcie!... Z samej Jasnej Góry!...

Na to dygnitarze spoglądali z ciekawością, na Kmicica, stojącego jakoby przed sądem, lecz on, śmiały z natury i przywykły do obcowania z wielkimi, wcale się widokiem tylu znamienitych ludzi nie trwożył i gdy zasiedli wszyscy miejsca, peczął o całem oblężeniu opowiadać.

Prawdę znać było w jego słowach, bo mówił jasno, dobitnie, jak żołnierz, który sam na wszystko patrzył, wszystkiego się dotknął, wszystko przebył. Mówił o księdzu Kordeckim, jak o proroku świętym, wychwalał pod niebiosa pana Zamoyskiego i pana Czarnieckiego, wysławiał innych ojców, nikogo, prócz siebie, nie pomijał; lecz całą obronę bez ogródek Najświętszej Pannie, Jej łasce i cudom przypisywał.

Słuchali go w zdumieniu król i dygnitarze.

Ksiądz arcybiskup oczy załzawione do nieba wznosił, ksiądz Wydżga pośpiesznie wszystko nuncyuszowi tłomaczył, inni panowie za głowy się chwytali, inni modlili się lub bili w piersi.

Wreszcie gdy Kmicic doszedł do ostatnich szturmów, gdy począł opowiadać, jak Mueller sprowadził ciężkie działa z Krakowa, a między niemi taką kolubrynę, której nietylko częstochowskie, ale żadne w świecie mury oprzeć się nie mogły — cisza uczyniła się, jak makiem siał, i wszystkie oczy spoczęły na jego ustach.

Lecz pan Kmicic urwał nagle i począł oddychać szybko; jasne rumieńce wystąpiły mu na twarz, zmarszczył brwi, podniósł głowę i rzekł hardo:

— Teraz muszę mówić o sobie, choć wolałbym milczeć... A jeżeli coś powiem, co na pochwałę wypadnie, Bóg mi świadek, nie uczynię tego dla nagród, bo ich nie potrzebuję, gdyż największa nagroda dla mnie za majestat krew przelać...

— Mów śmiele, wierzym ci! — rzekł król. — Cóż owa kolubryna?...

— Tę kolubrynę... ja, wykradłszy się w nocy z fortecy, prochami w drzazgi rozsadziłem!

— Na miły Bóg! — zakrzyknął król.

Lecz po tym wykrzykniku nastała cisza, takie zdumienie ogarnęło słuchających. Wszyscy patrzyli jak w tęczę w junaka, który stał z iskrzącemi się oczyma, z rumieńcem na twarzy i z hardo podniesioną głową. A tyle w nim było w tej chwili jakiejś grozy i dzikiego męstwa, że każdemu przyszło mimowoli na myśl, iż taki człowiek mógł na podobny uczynek się zdobyć.

To też po chwili milczenia ksiądz prymas odezwał się:

— Patrzy na to ten człowiek!

— Jakżeś to uczynił? — zawołał król.

Kmicic opowiedział, jak było.

— Uszom nie chce się wierzyć! — rzekł pan kanclerz Koryciński.

— Mości panowie! — odezwał się z powagą król — nie wiedzieliśmy, kogo mamy przed sobą. Żywie jeszcze nadzieja, że nie zginęła ta Rzeczpospolita, póki takich kawalerów i obywateli wydaje.

— Ten może o sobie powiedzieć: "Si fractus illabatur orbis, impavidum ferient ruinae!" (gdy zgruchotany glob chwieje się, ruiny dodają odwagi nieustraszonemu) — rzekł ksiądz Wydżga, który lubił autorów przy każdej sposobności cytować.

— Prawie to niepodobne rzeczy — ozwał się znów kanclerz. — Powiedzże, panie kawalerze, jakim sposobem żywot uniosłeś z tego terminu i jak przez Szwedów się przedostałeś?

— Huk ogłuszył mnie — rzekł Kmicic — i dopiero nazajutrz znaleźli mnie Szwedzi przy okopie, jakoby bez duszy leżącego. Zaraz mnie tam pod sąd oddali i Mueller skazał mnie na śmierć.

— Ty zaś uciekłeś?

— Niejaki Kuklinowski wyprosił mnie u Muellera, żeby sam mógł mnie zgładzić, bo miał przeciw mnie zawziętość okrutną...

— Znany to warchoł i zbój, słyszeliśmy tu o nim — rzekł kasztelan Krzywiński.—Jego pułk z Muellerem pod Częstochową stoi... Prawda!

— Ów Kuklinowski posłował wprzódy od Muellera do klasztoru i raz mnie prywatnie do zdrady namawiał, gdym go do bramy odprowadzał... Ja zaś trzasnąłem go w gębę i skopałem nogami... Za to urazę do mnie powziął.

— A to widzę z ognia i siarki szlachcic! — zawołał rozweselony król. — Takiemu w drogę nie wchodź!... Mueller oddał cię tedy Kuklinowskiemu.

— Tak jest, miłościwy panie!... On zaś zamknął się ze mną pustej stodółce z kilkoma ludźmi... Tam mnie do belki powrozami przywiązał i męczyć począł i ogniem boki palił. .

— Na Boga żywego!

— Wtem go odwołano do Muellera, a tymczasem przyszło trzech szlachty, niejakich Kiemliczów, jego żołnierzy, którzy wpierw u mnie służyli. Ci pobili strażników i odwiązali mnie od belki.

— I uciekliście. Teraz rozumiem! — rzekł król.

— Nie, miłościwy panie. Zaczekaliśmy na powrót Kuklinowskiego. Wówczas ja go kazałem do tej samej belki przywiązać lepiej ogniem przypiekłem.

To rzekłszy pan Kmicic, podniecony wspomnieniem, zaczerwienił się nanowo i oczy błysły mu, jak wilkowi.

Lecz król, który łatwo od zmartwienia do wesołości, od powagi do żartu przechodził, począł bić dłonią w stół i wołać ze śmiechem:

— Dobrze mu tak! dobrze mu tak! Nie zasłużył taki zdrajca na lepszy traktament!

— Zostawiłem go żywego — odrzekł Kmicic, — lecz do rana musiał ostygnąć.

— To sztuka, co swojego nie daruje! Więcej nam takich! — wołał król zupełnie już rozbawiony. — Sam zaś z tymi żołnierzami tu przybyłeś? Jak ich zowią?

— Kiemlicze, jest ojciec i dwóch synów.

— Mater mea de domo Kiemliczówna est (moja matka jest z domu Kiemliczówna),—rzekł z powagą ksiądz kanclerz królowej, Wydżga.

— To widać są Kiemicze wielcy i mali — odparł wesoło Kmicic, — a ci nietylko są mali, ale i w rzeczy hultaje, jeno żołnierze okrutni i mnie wierni.

Tymczasem kanclerz Koryciński szeptał coś od niejakiego czasu do ucha księdza arcybiskupa gnieźnieńskiego, wreszcie rzekł:

— Wielu tu przyjeżdża takich, którzy dla własnej chwalby, albo spodziewanej nagrody radzi kilimkiem rzucają. Ci wieści fałszywe i bałamutne przywożą, często i przez nieprzyjaciół namówieni.

Uwaga ta zmroziła wszystkich obecnych. Kmicica twarz pokryła się purpurą.

— Nie znam ja godności waszmość pana — odrzekł, — ktora, jak tuszę, musi być znaczna... więc, nie chcę jej ubliżyć, ale tak myślę, że niemasz takiej godności, którąby pozwalała szlachcicowi bez racyi łgarstwa zadawać.

— Człowieku! do kanclerza wielkiego koronnego mówisz! — rzekł pan Ługowski.

Kmicic wybuchnął gniewem:

— Kto mi łgarstwo zadaje, choćby był kanclerzem, temu powiem: łatwiej łgarstwo zadawać, niż gardła nadstawiać, łatwiej pieczętować woskiem niż krwią!

Lecz pan Koryciński nie rozgniewał się wcale, tylko odrzekł:

— Nie zadaję ci kłamstwa, panie kawalerze, ale jeżeli prawdę coś mówił, to powinieneś mieć bok spalony?

— Pójdźże wasza wielmożność gdzie na stronę, to ci go pokażę! — huknął Kmicic.

— Nie potrzeba — rzekł król — wierzym ci i tak!

— Nie może być, miłościwy królu! — zakrzyknął pan Andrzej, — sam tego chcę, jak o łaskę o to proszę, żeby mnie tu nikt, choćby nie wiem jak dostojny, kolorystą nie czynił! Źleby mi się nagrodziła męka, miłościwi państwo! Nie chcę nagrody, chcę, żeby mi wierzono, niechże niewierni Tomasze dotkną ran moich!

— U mnie masz wiarę! — rzekł król.

— Sama prawda była w jego słowach — dodała Marya Ludwika, — ja się na ludziach nie mylę.

Lecz Kmicic ręce złożył.

— Miłościwi państwo, pozwólcie! Niechże ktokolwiek idzie ze mną na stronę, bo ciężkoby mi tu było żyć w podejrzeniach.

— Ja pójdę, — rzekł pan Tyzenhauz, młody dworzanin królewski.

To rzekłszy, odprowadził Kmicica do drugiej komnaty, a po drodze mówił do niego:

— Nie dlatego idę, bym nie wierzył, ale by z waszmością pogadać. My się gdzieś na Litwie widzieli... Nazwiska sobie nie mogę przypomnieć, bo być może, żem waszmości wyrostkiem jeszcze widział i sam wtedy wyrostkiem byłem.

Kmicic odwrócił nieco twarz, by ukryć nagłe pomieszanie.

— Może na sejmiku jakim. Często mnie nieboszczyk rodzic brał z sobą, bym się praktyce publicznej przypatrywał.

— Może być... Twarz waćpańska pewno mi nie obca, chociażeś wtedy tej kresy nie miał. Patrz jednak waćpan, jako memoria fragilis est (pamięć zwodniczą jest), toż mnie się przywiduje, że cię wtedy inaczej zwali?

— Bo lata pamięć mącą — odparł pan Andrzej.

Zaczem weszli do innej komnaty. Po chwili pan Tyzenhauz wrócił przed oblicze królewskie.

— Upieczon, miłościwy królu, jako na rożnie! — rzekł. — Cały bok ze szczętem przypalony!

Więc gdy z kolei i Kmicic wrócił, król wstał, ścisnął go za głowę i rzekł:

— Nigdybyśmy nie wątpili, że prawdę mówisz i zasługa twoja, ani ból darmo nie przeminie.

— Dłużnikami twymi jesteśmy — dodała królowa, wyciągając doń rękę.

Pan Andrzej przyklęknął na jedno kolano i ucałował ze czcią dłoń królowej, która go jeszcze pogładziła jako matka po głowie.

— Ale jużże się na pana kanclerza nie gniewaj — rzekł znowu król. — Po prawdzie, nie mało tu było zdrajców, albo takich, którzy pletli trzy po trzy, a do urzędu kanclerskiego należy, żeby prawdę de publicis (publicznie) wydobyć.

— Coby tam mój chudopacholski gniew znaczył dla tak wielkiego człowieka — odpowiedział pan Andrzej. — I nie śmiałbym nawet mruczeć na zacnego senatora, który przykład wierności i miłości do ojczyzny wszystkim daje.

Kanclerz uśmiechnął się dobrotliwie i wyciągnął rękę.

— No, niechże będzie zgoda! Przymówiłeś mi też szpetnie o tym wosku, ale wiedz o tem, że i Korycińscy często krwią, nie samym woskiem pieczętowali...

Król rozweselony był zupełnie.

— Udał się nam ten Babinicz! — rzekł do senatorów. — Tak nam do serca przypadł, jak mało kto... Już cię też od boku naszego nie puścim i da Bóg, razem niezadługo do miłej ojczyzny powrócimy.

— O najjaśniejszy królu! — zakrzyknął w uniesieniu Kmicic — chociażem był w twierdzy zamknięty, wiem to od szlachty, od wojska, od tych nawet, co pod panem Zbrożkiem i Kalińskim służąc, Częstochowę oblegali, że wszyscy dnia i godziny twojego powrotu wyglądają. Ukaż się tylko, miłościwy panie, a tego samego dnia cała Litwa, Korona i Ruś, jako jeden mąż przy tobie staną! Pójdzie szlachta, pójdzie chłopstwo nikczemne przy panu swoim się oponować. Wojsko pod hetmanami ledwie już dysze, tak chce na Szwedów... Wiem i to, że pod Częstochowę przyjeżdżali od hetmańskich wojsk deputaci, żeby Zbrożka, Kalińskiego i Kuklinowskiego przeciw Szwedom ekscytować. Stań dziś, miłościwy panie, w granicach, a za miesiąc jednego Szweda już nie będzie, jeno przybądź, jeno się ukaż, bośmy tak jako owce bez pasterza!...

Kmicicowi skry szły z oczu, gdy to mówił i tak wielki zapał go ogarnął, że klęknął na środku sali. Zapał jego udzielił się też samej nawet królowej, która nieustraszonej odwagi będąc, dawno króla do powrotu namawiała.

Więc zwróciwszy się teraz do Jana Kazimierza, rzekła z siłą i stanowczością:

— Głos całego narodu przez usta tego szlachcica słyszę!...

— Tak jest! tak jest! Miłościwa pani!... matko nasza!... — zakrzyknął Kmicic.

Lecz kanclerza Korycińskiego i króla uderzyły niektóre słowa w tem, co mówił Kmicic.

— Zawsze — rzekł król — gotowiśmy ponieść w ofierze zdrowie i życie nasze i nie na co innego, jeno na poprawę poddanych naszych czekaliśmy aż dotąd.

— Ta poprawa już się spełniła — rzekła Marya Ludwika.

— Majestas infracta malis (majestat odwraca występki)! — rzekł, spoglądająd na nią z uwielbieniem ksiądz Wydżga.

— Ważne to są rzeczy — przerwał ksiądz arcybiskup Leszczyński, — zali istotnie deputacye od wojsk hetmańskich przychodziły pod Częstochowę?

— Wiem to od moich ludzi, tychże Kiemliczów! — odparł pan Andrzej. — U Zbrożka i Kalińskiego wszyscy głośno o tem mówili, nic na Muellera i Szwedów nie uważając. Kiemlicze owi nie byli zamknięci, mieli ze światem relacye, z żołnierzami i szlachtą... Tych mogę przed obliczem majestatu i waszych dostojności postawić, aby sami opowiedzieli, jako w całym kraju wre jak w garnku. Hetmani z musu tylko do Szweda przystali, bo zły duch wojsko opętał, a teraz samo owo wojsko chce napowrót do powinności wrócić. Szlachtę i duchownych Szwedzi biją, rabują, przeciw wolności dawnej bluźnią, toż i dziwu niema, że każdy jeno pięści ściska i na szablę łakomie spogląda.

— Mieliśmy już i my od wojsk wiadomości — rzekł król, — byli tu także tajni wysłańcy, którzy nam ochotę powszechną powrotu do dawnej wierności i czci oznajmiali...

— I to schodzi się z tem, co ów kawaler powiada — rzekł kanclerz. — A jeśli deputacye i między pułkami chodzą, to ważne jest, bo znaczy to, że owoc już dojrzał, że nasze starania nie zmarniały i robota gotowa, a zatem czas nadszedł...

— A Koniecpolski? — rzekł król — a tylu innych, którzy jeszcze przy boku najezdnika stoją, w oczy mu patrzą i o swojej wierności zaręczają?

Na to umilkli wszyscy, a król zasępił się nagle, i jako, gdy słońce

za chmurę zajdzie, mrok odrazu cały świat pokrywa, tak i jemu twarz pociemniała.

I po chwili tak mówić począł:

— Bóg patrzy w serca nasze, żeśmy choć dziś gotowi wyruszyć i że nie potencya szwedzka nas powstrzymuje, ale nieszczęsna zmienność naszego narodu, który jako Proteusz, coraz nową postać na się przyjmuje. Zali możemy zaufać, że to nawrócenie szczere, ochota niezmyślona, gotowość nie zdradliwa? Zali możemy zawierzyć temu narodowi, który tak niedawno nas opuścił i z tak lekkiem sercem z najezdnikiem się połączył przeciw własnemu królowi, przeciw własnej ojczyźnie, przeciw własnym wolnościom? Boleść ściska nam serce i wstyd nam za naszych poddanych! Gdzież dzieje podają podobne przykłady? Którenże król doznał tyle zdrad i nieżyczliwości, który był tak opuszczony? Przypomnijcie sobie jeno uprzejmości wasze, iżeśmy wśród naszego wojska, wśród tych, którzy krew za nas winni byli przelać, bezpieczeństwa i — zgroza powiedzieć! —życia nawet nie byli pewni. A jeśliśmy ojczyznę opuścili i tu schronienia szukać musieli, to nie z bojaźni przed owym szwedzkim nieprzyjacielem, ale by własnych poddanych, własne dzieci, od straszliwego występku królobójstwa i ojcobójstwa uchronić.

— Miłościwy panie — krzyknął Kmicic, — ciężko zawinił nasz naród, grzeszny jest i słusznie chłoszcze go ręka Boża, ale przecie na rany Chrystusa! nie znalazł się w tym narodzie i da Bóg, po wieki nie znajdzie się taki, którýby rękę na świętą osobę pomazańca boskiego miał podnieść!

— A ty w to nie wierzysz boś poczciwy — odrzekł król, — ale mamy listy i dowody. Jużto gorzko odpłacili nam się Radziwiłłowie za dobrodziejstwa, któremiśmy ich obsypali, a jednak Bogusława, choć zdrajcę, sumienie ruszyło i nietylko nie chciał do zamachu na nas ręki przyłożyć, ale pierwszy nam o nim doniósł.

— Do jakiego zamachu? — zawołał zdumiony Kmicic.

— Doniósł nam—rzekł król, — iż znalazł się taki, który mu się za sto czerwonych złotych ofiarował porwać nas i żywego lub umarłego Szwedom dostawić.

Dreszcz przeszedł całe zgromadzenie na te słowa królewskie, a pan Kmicic zaledwie zdołał wyjąkać pytanie:

— Kto to był taki?... kto to był?...

— Niejaki Kmicic — odrzekł król.

Fala krwi uderzyła nagle panu Andrzejowi do głowy, w oczach mu pociemniało, rękoma schwycił się za czuprynę i strasznym, obłąkanym głosem zakrzyknął:

— To łgarstwo! Książę Bogusław łże jak pies! Miłościwy królu, panie mój, nie wierz temu zdrajcy, umyślnie on to uczynił, by wroga zhańbić, a ciebie przerazić, królu mój, panie!... to zdrajca!... Kmicic by nie ważył się na to...

Tu nagle zakręcił się pan Andrzej na miejscu. Siły jego sterane oblężeniem, podcięte wybuchem prochów w kolubrynie i męką zadaną przez Kuklinowskiego, opuściły go zupełnie i runął bez przytomności do nóg królewskich.

Podniesiono go i medyk królewski począł go cucić w przyległej izbie. Lecz w zgromadzeniu dygnitarzy nie umiano sobie wytłomaczyć, czemu słowa królewskie podobnie straszne uczyniły na młodym szlachcicu wrażenie.

— Albo tak poczciwy, że sama abominacya z nóg go zwaliła, albo jaki tego Kmicica krewny — rzekł pan kasztelan krakowski.

— Trzeba się będzie tego dopytać — odpowiedział kanclerz Koryciński. — Oni tam wszyscy sobie na Litwie krewni, jako zresztą i u nas.

Na to pan Tyzenhauz:

— Miłościwy panie! Niech mnie Bóg broni, żebym chciał co złego o tym szlachcicu mówić — ale... nie trzeba jeszcze zbytecznie ufać... Że służył w Częstochowie, to pewno, bok ma spalony, czegoby w żadnym razie mnisi nie uczynili, bo oni jako słudzy Boscy wszelką klemencyę nawet dla jeńców i zdrajców mieć muszą, ale jedno mi wciąż po głowie chodzi i ufność do niego psuje... Owo ja go kiedyś na Litwie spotkałem... wyrostkiem jeszcze, na sejmiku, czy na kuligu, nie pomnę...

— I co z tego? — rzekł król.

— I on... ciągle mi się widzi... że nie nazywał się Babinicz.

— Nie powiadaj byle czego! — rzekł król — młody jesteś i nieuważny, w głowie łacno ci się mogło pomieszać. Babinicz, czy nie Babinicz, czemu ja jemu nie mam ufać? Szczerość i prawdę ma na gębie wypisane, a serce widać złote. Sobiebym chyba nie ufał, gdybym takiemu żołnierzowi nie umiał ufać, który krew za nas i ojczyznę przelewał.

— Więcej on na ufność zasługuje, aniżeli list księcia Bogusława — rzekła nagle królowa — i polecam to uwadze waszych dostoj

ności, że w tym liście może nie być i słowa prawdy. Siła mogło zależeć Radziwiłłom Birżańskim, żebyśmy zgoła na duchu upadli, a łacno przypuścić, że książę Bogusław chciał przytem jakowego wroga swego pogrążyć i sobie furtkę otwartą w razie odmiany fortuny zostawić.

— Gdybym nie przywykł do tego, — rzekł prymas — że z ust miłościwej królowej jejmości sama mądrość wychodzi, zdumiewałbym się nad bystrością tych słów, najbieglejszego statysty godnych.

— "...curasque gerens, animosque viriles..." — (podzielając męskie troski i myśli) przerwał zcicha ksiądz Wydżga.

Podniesiona temi słowy królowa, wstała z krzesia i tak mówić poczęła:

— Nie o Radziwiłłów Birżańskich mi chodzi, bo ci, jako heretycy, łacno podszeptów nieprzyjaciela rodu ludzkiego usłuchali, ani też o list księcia Bogusława, prywatę może zawierający... Ale najbardziej mnie bolą desperackie słowa króla, pana i małżonka mojego przeciw temu narodowi wyrzeczone. Któż bowiem go oszczędzi, jeśli go własny król potępia? A przecie, gdy rozejrzę się po świecie, próżno pytam, gdzie jest taki drugi naród, w którymby chwała Boga starożytnej szczerości trybem trwała i pomnażała się coraz bardziej... Próżno patrzę, gdzie drugi naród, w którym tak otwarty kandor żyje, gdzie państwo, w którem by o tak piekielnych bluźnierstwach, subtelnych zbrodniach i nigdy nieprzejednanych zawziętościach, jakich pełne są obce kroniki, nigdy nikt nie słyszał... Niechże mi pokażą ludzie, w dziejach świata biegli inne królestwo, gdzieby wszyscy królowie własną spokojną śmiercią umierali. Niemasz tu nożów i trucizn, niemasz protektorów, jak u Angielczyków... Prawda, mój panie, zawinił ten naród ciężko, zgrzeszył przez swawolę i lekkość...Ale któryż to jest naród nigdy niebłądzący i gdzie jest taki, któryby tak prędko winę swą uznał, pokutę i poprawę rozpoczął? Oto już się obejrzeli, już przychodzą, bijąc się w piersi, do twego majestatu... już krew przelać, życie oddać, fortuny poświęcić dla ciebie gotowi... A ty zali ich odepchniesz? zali żałującym nie przebaczysz, poprawionym i pokutującym nie zaufasz?... dzieciom, które zbłądziły, ojcowskiego afektu nie wrócisz?... Zaufaj im, panie, bo oto tęsknią już za swą krwią jagiellońską i za ojcowskiemi rządami twemi... Jedź między nich... Ja, ja niewiasta, nie lękam się zdrady, bo widzę miłość, bo widzę

zał za grzechy i restauracyę tego królestwa, na które cię po ojcu i bracie powołano. Ani mi się też podobna rzecz zdawa, by Bóg miał zgubić tak znaczną Rzeczpospolitą, w której światło prawdziwej wiary płonie. Do krótkiego czasu ściągnęła boska sprawiedliwość rózgę swoją na ukaranie, nie na zgubienie dziatek swoich, a zaś wkrótce potem utuli ich i pocieszy ojcowska tegoż niebieskiego Pana dobroć. Lecz ty nie gardź niemi, królu, i powierzyć się ich synowskiej dyskrecyi nie lękaj, bo tylko tym sposobem złe w dobre, zmartwienie w pociechy, klęski w tryumfy zmienić się mogą.

To rzekłszy, siadła królowa jeszcze z ogniem w źrenicach i falującą piersią, wszyscy spoglądali na nią z uwielbieniem, a ksiądz kanclerz Wydżga zaczął mówić echowym głosem.

— Nulla sors longa est, color et voluptas.

Invicem cedunt.

Ima permutat brevis hora summis...

Lecz nikt go nie słuchał, bo zapał bohaterskiej pani udzielił się wszystkim sercom. Sam król zerwał się z rumieńcem na pożółkłej twarzy i zakrzyknął.

— Nie straciłem jeszcze królestwa, skoro mam taką królowę!... Niechże się stanie jej wola, bo w natchnieniu proroczem mówiła. Im prędzej wyruszę i stanę inter regna, tem będzie lepiej!...

Na to ozwał się z powagą prymas.

— Nie chcę ja woli miłościwych państwa moich negować, ani od przedsięwzięcia odwodzić, w którem jest hazard, ale może być i zbawienie. Wszelako za roztropną rzecz uważałbym jeszcze raz w Opolu, gdzie większość senatorów przebywa, zebrać się i tam konceptów zebranych posłuchać, które jeszcze lepiej i obszerniej sprawę wywieść i rozważyć mogą.

— Zatem do Opola! — zakrzyknął król — a potem w drogę i co Bóg da!

— Bóg da powrót szczęśliwy i zwycięstwo! — rzekła królowa.

— Amen! — rzekł prymas.

---

## XXXVI.

Pan Andrzej ciskał się jak ranny żbik w swej gospodzie. Piekielna zemsta Bogusława Radziwiłła przywiodła go niemal do szaleństwa. Niedość, że ów książę wyrwał się z jego rąk, pobił mu ludzi, jego samego niemal życia nie pozbawił, nadto taką go okrył sromotą, pod jaką nie tylko nikt z jego rodu, ale żaden Polak od początku świata nie jęczał.

To też były chwile, że Kmicic chciał się wyrzec wszystkiego sławy, która się przed nim otwierała, służby królewskiej, a lecieć i mścić się na tym magnacie, któregoby pragnął pożreć na surowo.

Lecz z drugiej strony, mimo całej wściekłości i wichru w głowie, przychodziło mu na myśl, że póki książę żyw, zemsta nie uciecze, a najlepsza sposobność, jedyna droga zadać mu kłam i całą bezecność oskarżenia na jaw wywieść, to właśnie służba królewska, w niej bowiem mógł światu okazać, że nietylko na świętą osobę ręki podnosić nie zamierzał, ale że pomiędzy wszystką szlachtą Korony i Litwy nie mógłby król wierniejszego sługi nad Kmicica znaleść.

Zgrzytał jednak zębami, kipiał jak war, szarpał na sobie odzież i długo, długo nie mógł się uspokoić. Lubował się myślą o zemście. Widział znów księcia w swoich rękach, przysięgał sobie na pamięć rodzica, iż musi go dostać, choćby go za to śmierci męki czekały. I jakkolwiek książę Bogusław potężny był pan, którego nietylko zemsta prostego szlachcica, ale i królewska, niełatwo mogła dosięgnąć, przecie, gdyby tę niepohamowaną duszę znał lepiej, nie byłby sypiał spokojnie i nieraz zadrżałby przed jego ślubami.

A przecie nie wiedział jeszcze pan Andrzej, że książę nietylko go okrył sromotą i nietylko sławę mu wydarł.

Tymczasem król, który odrazu polubił niezmiernie młodego junaka, przysłał po niego pana Ługowskiego tego samego dnia, a nazajutrz kazał mu z sobą jechać do Opola, gdzie na walnem zebraniu senatorów miano obradowa nad powrotem króla do kraju. Jakoż było nad czem obradować: oto pan marszałek koronny nadesłał drugi list, donoszący, że wszystko w kraju do powszechnej wojny gotowe, i naglący pilnie do powrotu. Prócz tego rozeszła się wieść o jakimś związku szlachty i wojska na obronę króla i ojczyzny, o którym istotnie oddawna w kraju myślano, ale który,

jak się potem pokazało, zawarty został pod im'eniem Konfederacyi Tyszowieckiej później nieco.

Na razie jednak wszystkie umysły były nadzwyczaj temi wieściami zajęte i zaraz po mszy solennej udano się na tajną obradę na którą i Kmicic za przyczyną królewską jako przywożący wieści z Częstochowy dopuszczony został.

Poczęto więc roztrząsać czy powrót zaraz ma nastąpić czy go lepiej odłożyć aż do tej chwili w której wojska nietylko chęcią ale i czynem opuszczą Szweda'.

Jan Kazimierz położył koniec tym rozprawom rzekłszy:

— Nie o powrocie wasze dostojnoście radźcie ani o tem, jeżeli nie lepiej zwłóczyć jeszcze, bo jam się już o tem z Bogiem i Najświętszą Panną naradzał... Zatem oświadczam waszym dostojnościom, że cobądź ma nas spotkać, w tych dniach nieodmiennie osobą naszą wyruszamy... Wasze dostojnoście zaś wysilajcie jeno koncepty i rad nie skąpcie, jak najbezpieczniej i najsluszniej powrót uskutecznić.

Rozmaite więc były zdania. Jedni mówili, aby nie ufać zbytnio panu marszałkowi koronnemu, który raz już wahanie i nieposluszeństwo okazał gdy korony, zamiast cesarzowi do przechowania według rozkazu królewskiego oddać, do Lubomli uwiózł. "Wielka (mówili) jest pycha i ambicya tego pana, a gdy jeszcze osobę królewską w swym zamku mieć będzie, kto wie, co pocznie, czego za swe usługi nie zażąda i czy całej władzy w ręce swe uchwycić nie zechce, aby nad wszystkiemi górować i nietylko całego kraju, ale i majestatu być protektorem."

Ci tedy radzili, aby król, poczekawszy na odstąpienie Szwedów, do Częstochowy się udał, jako do miejsca, z którego łaska i odrodzenie spłynęły na kraj. Lecz inni odmienne wygłaszali zdania.

"Jeszcze Szwedzi stoją pod Częstochową, a choć jej za łaską Bożą nie zdobędą, przecie dróg wolnych niema. Tamte okolice wszystkie w rękach szwedzkich. Stoi nieprzyjaciel w Krzepicach, w Wieluniu, w Krakowie, nad granicą także znaczne siły są rozłożone. A w górach, na węgierskiej rubieży, gdzie Lubomla jest położona, niemasz innych wojsk, prócz wojsk marszałka i Szwedzi nigdy tam nie zapuszczali się dotąd, nie mając na to dość ludzi, ani odwagi. Z Lubomii bliżej na Ruś, która od zajęcia nieprzyjacielskiego wolna, do Lwowa, który nie przestał być królowi

wierny i do Tatarów, którzy wedle wiadomości w pomoc idąc, tam właśnie na rezolucyę królewską czekają."

— Quod attinet pana marszałka (mówił biskup krakowski) ambicya jego już tem nasycona będzie, iż pierwszy króla w swojem starostwie Spiskiem przyjmie i pierwszy opieką go otoczy. Władza przy królu pozostanie, a pana marszałka sama nadzieja tak wielkich przysług zadowolni; jeżeli zaś zechce wiernością n d wszystkimi górować, to czyli wierność jego z ambicyi, czy też z miłości ku panu i ojczyźnie wypłynie zawsze majestat znaczne korzyści stąd odniesie.

To zdanie zacnego i doświadczonego biskupa wydało się najsłuszniejszem; uchwalono więc, że król przez góry do Lubomli, a stamtąd do Lwowa lub gdzieby kazały okoliczności, wyruszy.

Obradowano także i nad dniem powrotu, ale wojewoda łęczycki, który właśnie od cesarza był wrócił, do którego w poselstwie o pomoc był wysłany, uczynił uwagę, że lepiej jest terminu ścisłego nie wyznaczać i samemu królowi dyecyzyę zostawić, a to dla tego, aby wieść się nie rozeszła i nieprzyjaciele nie zostali przestrzeżeni. Stanęło tylko na tem, że król wyruszy w trzysta koni wybranej dragonii, pod wodzą pana Tyzenhauza, który choć młody, miał już reputacyę wielkiego żołnierza.

Lecz niemal ważniejsza jeszcze była druga część obrad, na której z powszechną ugodą zawotowano, iż po przybyciu do kraju cała władza i kierunek wojny przejdzie w ręce króla, któremu szlachta, wojsko i hetmani we wszystkiem posłuszni być mają. Mówiono też o przyszłości i przytaczano powody tych nagłych nieszczęść, które jako potop, w tak krótkim czasie cały kraj zalały. I sam prymas nie inną tego podawał przyczynę, jak nierząd, brak posłuchu i zbytnie sponiewieranie władzy i majestatu królewskiego.

Słuchano go w głębokim milczeniu, bo każdy rozumiał, że tu o losy Rzeczypospolitej chodzi i o wielkie, niebywale dotąd w niej zmiany, któreby mogły jej dawną potęgę przywrócić, a których zwłaszcza oddawna pragnęła mądra i miłująca przybraną ojczyznę królowa.

Płynęły więc z ust dostojnego księcia Kościoła słowa jak grzmoty, a w słuchaczach dusze otwierały się prawdzie, jako wiatry otwierają się na słońcu.

— Nie przeciw starodawnym wolnościom się oponuje, mówił prymas, ale przeciw onej swawoli, która własnemi rękoma własną ojczyznę zarzyna... Zaiste, zapomniano już w tym kraju różnicy między wolnością i swawolą i oto, jak zbytnia rozkosz boleścią, tak wyudzana wolność niewolą się zakończyła. Do jakiegoż obłędu doszliście obywatele tej prześwietnej Rzeczypospolitej, iż ten tylko między wami za obrońcę wolności uchodzi, który hałasy czyni, sejmy rwie i majestatowi się przeciwi, nie wtedy, gdy trzeba, ale wtedy, gdy temuż majestatowi o zbawienie ojczyzny chodzi? W skarbie naszym dno skrzyni widać, żołnierz niepłatny, u nieprzyjaciela lafy szuka; sejmy, jedyny fundament tej Rzeczypospolitej, na niczem się rozchodzą, bo jeden swawolnik, jeden zły obywatel, dla prywaty tej, rady pomieszać może. Jakażto wolność, która jednemu przeciw wszystkim oponować pozwala?... Zali ta wolność dla jednego nie jest niewolą dla wszystkich? I gdzieżeśmy to doszli w zażywaniu tej wolności, jakież to ona smakowite frukta wydała?... A oto, jeden słaby nieprzyjaciel, nad którym przodkowie nasi tyle świetnych wiktoryj odnieśli, teraz sicut fulgar exit ab oriente et paret usue ad occidentem. Nikt mu się nie oparł, zdrajcy heretycy mu pomogli i wszystko posiadł, wiarę prześladuje, kościoły hańbi i gdy mu o wolnościach waszych prawicie, on miecz wam pokazuje!... Oto, na co wam wyszły wasze sejmiki, wasze wetowanie, wasza swawola, wasze konfudowanie na każdym kroku majestatu!... Króla, przyrodzonego obrońcę ojczyzny, najprzód uczyniliście bezsilnym, a potem zasie narzekaliście, iż was nie broni!... Nie chcieliście swojego rządu, a teraz nieprzyjaciel wami rządzi... I kto, pytam, może z tego upadku nas ratować, kto dawny blask tej Rzeczypospolitej przywrócić, jeżeli nie ten, który tyle zdrowia i czasu już poświęcił, gdy ten kraj nieszczęsna domowa z Kozaki szarpała wojna; który na takowe niebezpieczeństwa poświęconą swą osobę poddawał, jakich żaden monarcha w naszych czasach nie doznał; który pod Zborowem, pod Beresteczkiem i pod Żwańcem, jak prosty żołnierz walczył, nad stan swój królewski trudy i niewygody ponosząc... Jemuto teraz się powierzmy, jemu, Rzymian starożytnych przykładem, dyktaturę w ręce oddajmy, sami zaś radźmy, jak w przyszłości ojczyznę tę od wewnętrznego nieprzyjaciela, od rozpusty, swawoli nieładu i bezkarności ratować, powagę rządu i majestatu należytą przywrócić.

Tak przemawiał prymas, a nieszczęście i ostatnich czasów doświadczenie do tego stopnia przerodziły słuchaczów, że nikt nie protestował, wszyscy bowiem widzieli jasno, że albo władza królewska musi być wzmocniona, albo Rzeczpospolita zginie niechybnie. Rozpoczęły się więc różne deliberacye, jak najlepiej rady księdza prymasa do skutku przywieść, a królestwo słuchali ich chciwie i z radością, głównie królowa, która oddawna i usilnie nad wprowadzeniem ładu do Rzeczypospolitej pracowała.

Wracał więc król do Głogowej wesół i zadowolony, tym zaś, zwoławszy do swej komnaty kilku zaufanych oficerów, a między nimi i Kmicica, rzekł im:

— Pilno mi już i pali mnie pobyt w tej ziemi, chciałbym choć jutro wyruszyć, przeto wezwałem waszmościów, ażebyście, jako ludzie wojskowi i doświadczeni, prędkie sposoby obmyślili. Szkoda nam czasu tracić, skoro nasza obecność znacznie wojnę powszechną przyśpieszyć może.

— Pewnie rzekł pan Ługowski — jeśli taka waszej kr. mości wola, to i poco zwłóczyć? Im prędzej, tem lepiej!

— Póki się rzecz nie rozgłosi i nieprzyjaciel baczności nie podwoi — dodał pułkownik Wolf.

— Nieprzyjaciel już się ma na baczności i szlaki poobsadzał, ile mógł — rzekł Kmicic.

— Jakto? — spytał król.

— Miłościwy panie, zamierzony powrót waszej królewskiej mości dla Szwedów nie nowina! Ledwie nie codzień rozchodzi się wieść po całej Rzeczypospolitej, żeś wasza królewska mość już w drodze, albo już inter regina. Dlatego trzeba największą ostrożność zachować i cichaczem wąwozami się przemknąć, bo na drogach czyhają Duglasowe podjazdy.

— Najlepsza ostrożność — rzekł, patrząc na Kmicica pan Tyzenhauz, — to trzysta wiernych szabel, a skoro mnie pan miłościwy komendę nad niemi powierza, to go przeprowadzę w zdrowiu, choćby po brzuchach Duglasowych podjazdów.

— Przeprowadzisz waszmość pan, jeśli również trzysta, a dajmy na to sześćset, albo i tysiąc ludzi napotkasz, ale jak trafisz na większą siłę w zasadzce czyhającą, to co się stanie?

— Powiedziałem: trzysta — odparł Tyzenhauz, — bo się o

trzystu mówiło. Jeśli to jednak mało, to się o pięćset i więcej można postarać.

— Niechże Bóg broni! Im większa kupa, tem o niej głośniej! — rzekł Kmicic.

— Ba! Myślę przecie, że pan marszałźk koronny wyskoczy nam ze swemi chorągwiami na spotkanie — wtrącił król.

— Pan marszałek nie wyskoczy — odpowiedział Kmicic, — bo dnia i godziny nie będzie wiedział, a choćby wiedział, to mogą w drodze zwłoki zajść, jako zwyczajnie, trudno wszystko przewidzieć...

— Żołnierz to mówi, żołnierz prawdziwy! — rzekł król. — Widać waszmości wojna nie obca.

Kmicic uśmiechnął się, bo wspomniał o swoich przeciw Chowańskiemu podchodach. Któż lepiej od niego znał się na takich sprawach! Komu słuszniej możnaby przeprowadzenie króla powierzyć?

Ale pan Tyzenhauz widocznie innego od królewskiego był zdania, bo zmarszczył brwi i rzekł z przekąsem do Kmicica:

— Czekamy tedy doświadczonej rady waścinej.

Kmicic poczuł niechęć w pytaniu, więc utkwił źrenice w Tyzenhauzie i odrzekł:

— Moje zdanie jest, że im mniejsza kupa będzie, tem łatwiej się przemknie.

— Więc jak ma być?

— Miłościwy panie! — rzekł Kmicic. — Wolna waszej kr. mości wola uczynić, jak zechce, ale mnie rozum tak uczy: niech pan Tyzenhauz najprzód z dragonią ruszy, głosząc umyślnie, że króla prowadzi, aby na siebie ściągnąć nieprzyjaciół. Jego rzecz tak się wywijać, aby z matni wyjść cało. A my w niewielkiej kupie z osobą waszej kr. mości w dzień, albo we dwa za nim ruszymy i gdy baczność nieprzyjaciela w inną zwróci się stronę, łatwo nam będzie przedostać się aż do Lubomli.

Król począł klaskać w ręce w uniesieniu.

— Bóg nam zesłał tego żołnierzyka! — wołał. — Salomon mądrzejby nie poradził! Całkiem votum za tem zdaniem daję i nie ma inaczej być! Będą króla między dragonami łapać a król im pod nosem przejedzie. Dla Boga, nie może być nic lepszego!

— Mości królu! to krotochwila!... — zawołał Tyzenhauz

— Żołnierska krotochwila! — odrzekł król. — Wreszcie niech będzie, co chce, od tego nie odstąpię!

Kmicicowi oczy jarzyły się od radości, że jego zdanie przemogło, lecz Tyzenhazu porwał się z siedzenia.

— Miłościwy panie! — rzekł — zrzekam się komendy nad dragonami. Niech ich kto inny prowadzi!

— A to czemu? — spytał król.

— Bo jeśli bez obrony, miłościwy panie, pójdziesz, wydany na igrzysko fortuny, na wszystkie zgubne terminy, jakie się przygodzić mogą, to i ja chcę przy twej osobie być, piersi za ciebie nadstawić i poledz w potrzebie.

— Dziękujem za szczerą intencyę — odrzekł Jan Kazimierz, — ale uspokójże się, bo właśnie w taki sposób, jak radzi Babinicz, najmniej narażeni będziemy.

— Co radzi pan... Babinicz, czy jak się tam nazywa, niech bierze na własną odpowiedzialność! Może mu zależy co na tem, byś wasza kr. mość bez obrony w górach się zabłąkał... Ja Boga i tu obecnych towarzyszów na świadki biorę, żem z duszy odradzał!

Zaledwie skończył mówić, gdy i Kmicic porwał się i stanąwszy panu Tyzenhauzowi twarzą w twarz, zapytał:

— Co waćpan rozumiesz przez te słowa?

Lecz Tyzenhauz zmierzył go dumnie oczyma od stóp do głowy.

— Nie sięgaj do mnie głową, mospanku, bo nie dostaniesz!

A na to Kmicic już z błyskawicami w oczach:

— Nie wiadomo, komuto byłoby za wysoko, gdyby...

— Gdyby co? — spytał, patrząc na niego bystro Tyzenhauz.

— Sięgałem do wyższych, niż waszmość!

Tyzenhauz roześmiał się.

— A gdzieś ich waszmość szukał?

— Zamilknijcie — rzekł nagle król, zmarszczywszy brwi. — Nie rozpoczynać mi tu swarów!...

Jan Kazimierz czynił wrażenie takiej powagi na wszystkich otaczających, że obaj młodzi umilkli i zmieszali się, wspomniawszy, że to w obecności królewskiej wymknęły im się słowa tak nieskładne.

Król zaś rzekł:

— Nad tego kawalera, który kolubrynę wysadził i ze szwedzkich rąk się wydostał, nikt nie ma prawa się wynosić, choćby ojciec jego w zaścianku mieszkał, co, jak widzę, nie jest, bo ptaka

z pierza a krew z uczynków poznać łatwo. Zaniechajcie do siebie urazy. (Tu król zwrócił się do Tyzenhauza). Ty chcesz, to przy osobie naszej zostań. Tego nam ci odmówić się nie godzi. Dragonów Wolf albo Denhoff poprowadzi. Ale i Babinicz zostanie i za jego radą pójdziemy, bo nam do serca przypadła.

— Umywam ręce! — rzekł Tyzenhauz.

— Zachowajcie tylko waszmościowie tajemnicę. Dragoni niech dziś wyjdą do Raciborza... i wraz puścić jak najszerzej wieść, że i my znajdujemy się między nimi... A na potem czuwajcie, bo nie wiecie dnia ani godziny... Tyzenhauz! idź, wydaj rozkaz kapitanowi dragonii.

Tyzenhauz wyszedł, ręce łamiąc z gniewu i żalu, za nim rozeszli się inni oficerowie.

Tego samego dnia gruchnęła wieść po całej Głogowej, że majestat króla Jana Kazimierza wyruszył już do granic Rzeczypospolitej. Wielu nawet znacznych senatorów myślało, że wyjazd istotnie miał miejsce. Gońcy, umyślnie rozesłani, powieźli nowinę do Opola i ku szlakom granicznym.

Tyzenhauz, chociaż oświadczył, że umywa ręce, nie dał jednak za wygraną; że zaś, jako rękodajny, miał przystęp w każdej chwili do osoby monarchy ułatwiony, tego samego więc dnia, już po wyruszeniu dragonów, stanął przed obliczem Jana Kazimierza, a raczej obojga królestwa bo i Marya Ludwika była obecna.

— Przyszedłem po rozkazy, — rzekł — kiedy wyruszamy?

— Pojutrze do dnia — rzekł król.

Siła ludzi ma jechać?

— Pojedziesz ty, Babinicz, Ługowski, z żołnierzy. Pan kasztelan sandomierski rusza także ze mną; prosiłem go, by jak najmniej ludzi brał z sobą, ale bez kilkunastu się nie obejdzie; pewne to i doświadczone szable. Nadto jego świątobliwość nuncyusz chce także mi towarzyszyć, którego obecność doda powagi sprawie i wszystkich wiernych prawdziwemu kościołowi poruszy. Nie waha się przeto swej poświęconej osoby na hazard wyprawić. Ty pilniej aby nie było nad czterdzieści koni, bo tak Babinicz radził.

— Miłościwy panie! — rzekł Tyzenhauz.

— A czego jeszcze chcesz?

— Na kolanach o jedną łaskę błagam. Stało się już... dragoni wyszli... pojedziem bez obrony... i pierwszy podjazd z kilkudziesięciu koni może nas ogarnąć. Niechże wasza kr. mość przychyli

się do błagania sługi swego, na którego wierność Bóg patrzy i niech nie ufa ze wszystkiem temu szlachcicowi. Obrotny to człek, skoro się potrafił w tak krótkim czasie wkraść do serca i łaski w. kr. mości, ale...

— Zali już mu zazdrościsz? — przerwał król.

— Nie zazdroszczę mu, miłościwy panie, nie chcę nawet o zdradę go stanowczo posądzać, ale przysiągłbym, że nie nazywa się Babinicz. Czemu tedy prawdziwe nazwisko ukrywać? Czemu jakoś mu niesporo mówić, co robił przed oblężeniem Częstochowy? Czemu zwłaszcza tak napierał na to, by dragoni najprzód wyszli i by wasza kr. mość bez eskorty jechała?

Król zamyślił się nieco i począł swoim zwyczajem usta raz po raz nadymać.

— Gdyby chodziło o jakowąś zmowę ze Szwedami, — rzekł wreszcie — co znaczy trzysta dragonów! Jakażto siła i jaka zasłona?... Potrzebowałby tylko ów Babinicz dać znać Szwedom, by z kilkaset piechoty po drogach zasadzili, to i tak ujęliby nas jako w sieci. Ale się jeno zastanów, czy tu o zdradzie może być mowa? Musiałby najprzód wiedzieć termin i mieć czas do ostrzeżenia Szwedów w Krakowie, a jakże to być może, skoro pojutrze ruszamy? Nie mógł i tego odgadnąć, że pójdziem za jego racyami, bo mogliśmy tak samo pójść za twemi, albo innych... Z początku było przecie postanowione, że razem z dragonami ruszymy, więc gdyby chciał się ze Szwedami umawiać, to właśnie takie osobne ruszenie pomieszałoby mu szyki, gdyż musiałby znowu gońców wysyłać i ostrzegać. Wszystko to są niezbite racye. A przytem nie upierał się on wcale przy swojem zdaniu, jak mówisz, jeno tak gadał, jako i inni, co mu się najlepszem wydało. Nie, nie! Szczerość patrzy z oczu tego szlachcica a spalony bok świadczy, że gotów i na mękę nie uważać.

— Jego królewska mość ma słuszność, — rzekła nagle królowa — to są niezbite racye, a rada była i jest dobra.

Tyzenhauz wiedział z doświadczenia, że gdy królowa zdanie swe wyrzecze, to próżnoby od niego do króla apelować, tak ufał Jan Kazimierz jej bystrości i rozumowi. Chodziło też młodemu panu o to tylko, by król potrzebne ostrożności zachował.

— Nie moja rzecz — odpowiedział — miłościwemu państwu negować. Jeśli jednak mamy pojutrze wyruszyć, niechże ów Babinicz nie wie o tem aż w godzinie wyjazdu.

— To może być! — odparł król.

— A w drodze już ja sam będę go miał na oku i, broń Boże przygody, nie ujdzie żyw z moich rąk!

— Nie będzie potrzeby — rzekła królowa. — Słuchaj waszmość króla od złej przygody w drodze i od zdrad i od sideł nieprzyjacielskich nie waszmość będziesz strzegł, nie Babinicz, ani dragoni, ani moce ziemskie, ale Opatrzność Boża, której oko ustawicznie na pasterzów narodów i pomazańców Bożych jest zwrócone. Ona to go będzie pilnować. Ona go uchroni i szczęśliwie doprowadzi a w razie potrzeby ześle mu taką pomoc, jakiej się nawet nie domyślacie, wy, którzy w ziemską tylko moc wierzycie.

— Najjaśniejsza Pani! — odrzekł Tyzenhauz — wierzę i ja, że bez woli Bożej nikomu włos z głowy nie spadnie, a że przez troskliwość o królewską osobę zdrajców się boję, to nie grzech.

Marya Ludwika uśmiechnęła się łaskawie.

— Ale zbyt śpiesznie posądzasz i hańbę na cały naród przez to rzucasz, w którym, jako ten sam Babinicz mówił, nie znalazł się jeszcze taki, coby przeciw własnemu królowi dłoń podniósł... niechże ci to nie będzie dziwno, że po takiem opuszczeniu, po takiem złamaniu przysięgi i wiary, jakiej obojeśmy z miłościwem królem doświadczyli, ja przecie mówię, że na tak straszny występek niktby się nie odważył, nawet z tych którzy dziś jeszcze Szwedom służą.

— A list księcia Bogusława, miłościwa pani?

— List nieprawdę mówi! — rzekła stanowczo królowa. — Jeśli jest jaki człowiek w Rzeczypospolitej gotowy zdradzić nawet króla, to może właśnie jeden książę koniuszy, bo on jeno z nazwiska do tego narodu należy.

— Krótko mówiąc, nie posądzaj Babinicza, — rzekł król — gdyż i co do jego nazwiska musiało ci się w głowie podwoić. Możnaby go zresztą wybadać, ale jak mu tu i powiedzieć?... Jak go spytać: "jeśli nie zwiesz się Babinicz to jak się zwiesz?" Srodze może uczciwego człeka zaboleć takie pytanie, a głowę stawię, że on uczciwy.

— Za taką cenę nie chciałbym się, miłościwy panie, o jego uczciwości przekonywać.

— Dobrze, już dobrze! Wdzięczni ci jesteśmy za troskliwość. Jutrzejszy dzień na modlitwę i pokutę, a pojutrze w drogę! w drogę!

Tyzenhauz cofnął się z westchnieniem i tegoż jeszcze dnia roz-

począł w największej tajemnicy przygotowania do odjazdu. Nawet dygnitarze, którzy mieli towarzyszyć królowi, nie wszyscy byli ostrzeżeni o terminie. Służbie powiedziano tylko, żeby konie miała gotowe, bo lada dzień wyruszą z panami do Raciborza.

Król cały następny dzień nie pokazywał się nigdzie nawet i w kościele, ale za to u siebie w mieszkaniu do nocy krzyżem przeleżał, poszcząc i Króla królów błagając o wspomożenie, nie dla siebie, ale dla Rzeczypospolitej.

Marya Ludwika wraz z pannami trwała także na modlitwie.

Następnie noc pokrzepiła siły strudzonych i gdy w ciemnościach, jeszcze dzwon głogowskiego kościoła ozwał się na jutrznię, wybiła godzina rozstania.

---

## XXXVII.

Przez Raciborz przejechano, konie tylko popasłszy. Nikt króla nie poznał, nikt na orszak nie zwrócił zbytniej uwagi, bo wszyscy byli zajęci niedawnem przejściem dragonów, między którymi, wedle powszechnego mniemania, monarcha polski miał się znajdować. Orszak ten jednak wynosił około pięćdziesięciu koni, gdyż królowi towarzyszyło kilku dygnitarzy, pięciu samych biskupów, a pomiędzy innymi i nuncyusz odważył się dzielić z nim trudy iebezpiecznej wyprawy. Droga jednak w granicach cesarstwa nie przedstawiała żadnego niebezpieczeństwa. W Oderbergu, niedaleko ujścia Olszy do Odry, wjechano w granice Morawy.

Dzień był chmurny i śnieg walił tak gęsto, że na kilkanaście kroków nie było można dojrzeć drogi przed sobą. Ale król był wesół i pełen dobrej myśli, bo zdarzył się znak, który wszyscy za najpomyślniejszą poczytywali wróżbę, a którego współcześni historycy nie omieszkali nawet w kronicach zapisać. Oto przy samem wyruszeniu króla z Głogowy, pojawiła się przed koniem biała całkiem ptaszyna i poczęła krążyć, wzbijać się chwilami w górę, chwilami zniżać nad samą głową monarszą, kwiląc przytem radośnie. Wspominano, że podobny ptak, ale czarny, kręcił się nad królem, gdy w swoim czasie z Warszawy przed Szwedami ustępował.

Owa zaś biała, całkiem wielkością i kształtem była do jaskółki

podobna, co obudziło tem większy podziw, że zima była głęboka i jaskółki nie myślały jeszcze o powrocie. Uradowali się jednak wszyscy, król zaś przez pierwsze dni o niczem innem nie mówił i najpomyślniejszą sobie przyszłość obiecywał. Również zaraz z początku drogi okazało się, jak dobrą była rada Kmicica, aby jechać osobno.

Wszędzie na Morawie opowiadano o niedawnym przejeździe króla polskiego. Niektórzy twierdzili, że widzieli go na własne oczy, całego w zbroi, z mieczem w ręku i koroną na głowie. Różne też już chodziły wieści o sile, jaką z sobą prowadził i wogóle przesadzano do bajecznych rozzmiarów liczbę dragonów. Byli i tacy, którzy widzieli z dziesięć tysięcy, iż się końca szeregów, koni, ludzi, chorągwi i znaków doczekać nie mogli.

— Pewnie — mówiono — Szwedzi zaskoczą im drogę, ale czy poradzą takowej potędze, nie wiadomo.

— A co? — pytał Tyzenhauza król — nie miał Babinicz racyi?

— Jeszcześmy nie stanęli w Lubomli, miłościwy panie — odpowiadał młody magnat.

Babinicz zaś kontent był z siebie i z podróży. Wraz z trzema Kiemliczami trzymał się zwykle naprzódzie przed orszakiem królewskim, rozpatrując drogę; czasem jechał ze wszystkimi, zabawiając króla opowiadaniem pojedyńczych wypadków z oblężenia Częstochowy, których Janowi Kazimierzowi nigdy nie było dosyć. I z każdą niemal godziną przypadał lepiej królowi do serca ów junak, wesół dziarski, do młodego orła podobny. Czas schodził monarsze to na modlitwie, to na pobożnych rozmyślaniach o życiu wiekuistem, to na rozmowach o wojnie przyszłej i pomocy, spodziewanej od cesarza, to wreszcie na przypatrywaniu się zabawom rycerskim, któremi towarzyszący żołnierze starali się czas podróży skrócić. Miał to bowiem w swej naturze Jan Kazimierz, że umysł jego łatwo przechodził od powagi do pustoty niemal i od ciężkich pracy do rozrywek, którym, gdy przyszła na niego taka chwila, oddawał się duszą całą, jakby żadna troska, żadne zmartwienie nie obciążało go nigdy.

Popisywali się tedy żołnierze, czem który umiał; młodzi Kiemlicze, Kosma i Damian, bawili króla swemi ogromnemi i niezgrabnemi postawami i łamaniem podków, jako trzcin, on zaś kazał im za każdą po talarze dawać, chociaż w sakwach dość było pusto,

bo wszystkie pieniądze, nawet klejnoty i "parafanały" królowej poszły na wojsko.

Pan Andrzej popisywał się rzucaniem ciężkiego obuszka, który tak silnie w górę puszczał, że prawie go widać nie było, a on nadlatywał koniem i chwytał go za rękojeść. Król na ów widok aż w ręce klaskał.

— Widziałem — mówił — jako to pan Słuszka, brat pani podkanclerzyny, czynił, ale i on nie miotał przez pół tak wysoko.

— U nas to we zwyczaju na Litwie, — odpowiadał pan Andrzej — a gdy się człek z dzieciństwa wprawia, to i do biegłości dojdzie.

— Skądże to masz tę kresę przez gębę! — spytał pewnego razu król, pokazując na bliznę Kmicica. — Dobrże cię ktoś szablą przejechał.

— To nie od szabli, miłościwy panie, jeno od kuli. Strzelono do mnie, lufę mi do gęby przyłożywszy.

— Nieprzyjaciel czyli swój?

— Swój, ale nieprzyjaciel, którego do porachunku jeszcze wezwę i póki się to nie stanie, mówić mi się o tem nie godzi.

— Takiżeśto zawzięty?

— Nie mam ja żadnej zawziętości, miłościwy panie, bo oto na łbie głębszą jeszcze szczerbę od szabli noszę, którą szczerbią mało dusza ze mnie nie uszła, ale że mi ją zacny człowiek uczynił, przeto urazy do niego nie żywię.

To rzekłszy, Kmicic zdjął czapkę i ukazał królowi głęboką brózdę, której białawe brzegi widne były doskonale.

— Nie wstyd mi tej rany, — rzekł — bo mi ją zadał taki mistrz, jak niemasz drugiego w Rzeczypospolitej.

Którenżeto jest taki mistrz?

— Pan Wołodyjowski.

— Dla Boga. Toż ja go znam. Cudów on pod Zbarażem dokazywał. A potem byłem na weselu towarzysza jego Skrzetuskiego, który mi pierwszy z oblężonego Zbaraża wieści przywiózł. Wielcyto kawalerowie! A był z nimi i trzeci; tego całe wojsko sławiło, jako największego rycerza. Gruby szlachcic, a tak krotochwilny, żeśmy na weselu mało boków od śmiechu nie pozrywali.

— To pan Zagłoba, zgaduję! — rzekł Kmicic, — człek to nietylko mężny, ale dziwnych fortelów pełen.

— Cóż oni teraz czynią, nie wiesz?

— Wołodyjowski u księcia wojewody wileńskiego dragonami dowodził.

Król zasępił się.

— I razem z księciem wojewodą Szwedom teraz służy?

— On? Szwedom? On jest przy panu Sapieże. Sam widziałem, jak po zdradzie księcia wojewody buławę mu pod nogi cisnął

— O, to godny żołnierz! — odrzekł król. — Od pana Sapiehy mieliśmy wiadomości z Tykocina, w którym księcia wojewodę obległ. Niech mu Bóg szczęści! Gdyby wszyscy byli do niego podobni, jużby ów nieprzyjaciel szwedzki pożałował swojej imprezy.

Tu Tyzenhauz, który słyszał całą rozmowę, spytał nagle:

— Toś waść był w Kiejdanach u Radziwiłła?

Kmicic zmieszał się nieco i zaczął podrzucać swój obuszek.

— Byłem — odrzekł.

— Daj pokój obuszkowi — mówił dalej pan Tyzenhauz. — A cóżeś to porabiał na książęcym dworze?

— Gościem byłem — odrzekł niecierpliwie Kmicic — i książęcy chleb jadłem, póki mi nie obrzydł po zdradzie.

— A czemużeś to z innymi zacnymi żołnierzami do pana Sapiehy nie poszedł?

— Bom sobie ślub do Częstochowy uczynił, co tem łatwiej waszmość zrozumiesz, gdy ci powiem, że nasza Ostra Brama była przez septentrionów zajęta.

Pan Tyzenhauz począł głową kręcić i cmokać, aż to zwróciło uwagę króla, tak, że i sam począł patrzeć badawczej na Kmicica.

Ten zaś zniecierpliwiony zwrócił się do Tyzenhauza i rzekł:

— Mój mości panie! Czemuto ja się waćpana nie wypytuję, gdzieś przebywał i coś robił?

— Wypytuj waść — odrzekł Tyzenhauz. — Ja nie mam nic do ukrywania.

— Ja też nie stoję przed sądem, a jeśli stanę kiedy, to nie waść będziesz moim sędzią. Zaniechaj mnie tedy, abym zaś cierpliwości nie stracił.

To rzekłszy, wyrzucił obuch tak szparko, że aż zmalał na wysokości, król oczy za nim podniósł i w tej chwili nie myślał już o niczem innem, jak tylko o tem, czy Babinicz uchwyci go w lot, czy nie uchwyci...

Babinicz spiął konia, skoczył i uchwycił.

Lecz tego samego wieczora Tyzenhauz rzekł do króla:

— Miłościwy panie, coraz mniej mi się ten szlachcic podoba!...

— A mnie coraz więcej! — rzekł, wydymając usta, król.

— Słyszałem dziś, jak jeden z jego ludzi nazwał go pułkownikiem, a on tylko spojrzał groźnie i zaraz tamtego skonfudował. W tem coś jest!

— I mnie się czasem widzi, — rzekł król — że on nie chce wszystkiego gadać, ale to jego sprawa.

— Nie miłościwy panie, — zawołał gwałtownie Tyzenhauz — to nie jego sprawa, to sprawa nasza i całej Rzeczypospolitej... Bo jeśli to jaki przedawczyk, który zgubę waszej kr. mości, albo niewolę gotuje, to zginą razem z w. kr. mością wszyscy ci, którzy w tej chwili oręż podnoszą, zginie cała Rzeczpospolita, którą ty jeden, miłościwy panie, ratować możesz.

— To go jutro sam wypytam.

— Bogdajbym był fałszywym prorokiem, ale jemu nic dobrego z oczu nie patrzy. Nadto on szparki, nadto śmiały, zbyt wielki rezolut, a tacy ludzie na wszystko się ważą.

Król zafrasował się.

Nazajutrz skoro dzień, gdy ruszono w drogę, kiwnął na Kmicica, by zbliżył się ku niemu.

— Gdzieś ty był pułkownikiem? — spytał król nagle.

Nastała chwila milczenia.

Kmicic walczył sam z sobą; paliła go chęć zeskoczyć z konia upaść do nóg królewskich i raz zrzucić z siebie ten ciężar, który dźwigał, raz powiedzieć całą prawdę.

Lecz ze zgrozą pomyślał znowu, jak straszne wrażenie musi uczynić to nazwisko: Kmicic, zwłaszcza po liście księcia Bogusława Radziwiłła.

Jakże, on, niegdyś prawa ręka księcia wojewody wileńskiego, on, który przewagę jego utrzymał, do rozbicia nieposłusznych chorągwi dopomógł, w zdradzie sekundował; jakże on, posądzony i oskarżony o najstraszniejszą zbrodnię zamachu na wolność królewską, zdoła teraz przekonać króla, biskupów i senatorów, że się poprawił, że się przerodził i krwią za swe winy odpokutował?... Czem zdoła swych szczerych intencyj dowieść, jakie dowody, prócz gołych słów może złożyć?...

Dawne winy ścigały go ciągle i nieubłaganie, jako psy zażarte ścigają zwierza w kniei.

Więc postanowił zamilczeć.

Ale czuł jednocześnie niewypowiedziany wstręt i obrzydzenie do wykrętów. Zali miałby temu panu, tak ze wszystkich sił duszy kochanemu, rzucać piasek w oczy i wymyślonemi historyami go zwodzić?

Czuł, że do tego zbraknie mu sił.

Więc po chwili tak mówić począł:

— Miłościwy królu! Przyjdzie czas, może niezadługo, że będę mógł waszej kr. mości całą duszę jako księdzu na spowiedzi otworzyć... Ale chcę, żeby pierwej za mnie, za moją szczerą intencyę, za wierność i za miłość do majestatu uczynki jakowe, nie gołe słowa zaręczyły. Grzeszyłem, miłościwy panie, grzeszyłem przeciw tobie i ojczyźnie, a za mało mam jeszcze pokuty, więc takiej służby szukam, w którejby poprawę łatwo znaleźć... Kto wreszcie nie zgrzeszył? Kto nie potrzebuje bić się w piersi w całej tej Rzeczypospolitej? Być to może, żem ciężej zawinił od innych, alem się też i pierwej obejrzał... Nie pytaj, miłościwy panie, o nic, póki cię teraźniejsza służba o mnie nie przekona; nie pytaj, bo nie mogę nic powiedzieć, aby sobie drogi zbawienia nie zamknąć, bo Bóg mi świadek i Najświętsza Panna Królowa nasza, żem tego nie zmyślił, iż ostatnią kroplę krwi gotowem za ciebie oddać...

Tu oczy pana Andrzeja zwilgotniały, a taka szczerość i żal rozświeciły mu twarz, że oblicze silniej jeszcze od słów go broniło.

— Bóg patrzy na intencye moje — mówił dalej — i na sądzie mi je policzy... Ale jeśli mi, miłościwy panie, nie ufasz, to mnie wypędź, to oddal mnie od osoby swojej. Pojadę za śladem twoim, opodal, aby w jakiej ciężkiej chwili przybyć choć i bez zawołania i głowę położyć za ciebie. A wówczas, miłościwy panie, uwierzysz, żem nie zdrajca, ale jeden z takich sług, jakich nie masz, miłościwy panie wielu, nawet między tymi, którzy na innych podejrzenia rzucają.

— Ja ci i dziś wierzę — rzekł król. — Zostań postaremu przy osobie naszej, bo nie zdrada tak przemawia.

— Dziękuję waszej królewskiej mości! — rzekł Kmicic.

I powstrzymawszy nieco konia, wycofał się między ostatnie szeregi orszaku.

Lecz Tyzenhauz nie ograniczył się na udzieleniu swych podejrzeń samemu tylko królowi, skutkiem czego wszyscy poczęli zezem na Kmicica spoglądać. Głośniejsze rozmowy ustawały, gdy się zbliżył, a poczynały się szepty. Śledzono każdy jego ruch, rozważano każde słowo. Spostrzegł to pan Andrzej i uczyniło mu się źle między tymi ludźmi.

Nawet król, chociaż nie odebrał mu zaufania, nie miał już do niego tak wesołego, jak dawniej oblicza. Więc młody junak stracił fantazyę, sposępniał, żal i gorycz opanowały mu serce. Dawniej na przedzie, między pierwszymi, zwykł był toczyć koniem, teraz wlókł się o kilkaset kroków za kalwakatą, z głową spuszczoną i ponuremi myślami w głowie.

Aż wreszcie zabielały przed jeźdźcami Karpaty. Śniegi leżały na ich skłonach, chmury rozkłady swe ociężałe cielska na szczytach, a gdy wieczór zdarzył się pogodny, wówczas przy zachodzie przywdziewały owe góry szaty płomienne i blaski szły na nich okrutne, póki nie zgasły w mrokach, cały świat obejmujących. Patrzył więc Kmicic na owe cuda natury, których dotąd nigdy jeszcze w życiu nie widział, i choć wielce stroskany, o troskach z podziwu zapominał.

Z każdym dniem olbrzymy owe stawały się większe, potężniejsze. Aż wreszcie dojechał do nich orszak królewski i zapuścił się w wąwozy, które nagle jakoby bramy otworzyły się przed nim.

— Granica musi być już niedaleko — rzekł ze wzruszeniem król.

Wtem dostrzeżono wózek, zaprzężony w jednego konia, a w wózku człeka. Królewscy ludzie zatrzymali go zaraz.

— Człeku, — spytał Tyzenhaus — a czy my to już w Polsce?

— Tam oto za tą skałą i za rzeczką cesarska granica, a wy już na królewskiej ziemi stoicie.

— Którędy zaś do Żywca?

— Prosto tędy do drogi się dostaniecie.

I góral zaciął szkapinę, Tyzenhauz zaś skoczył do stojącego opodal orszaku:

— Miłościwy panie, — zakrzyknął z uniesieniem — stanąłeś już inter regna, bo oto twoje od onej rzeczułki królestwo!

Król nie odrzekł nic, skinął tylko, by mu konia potrzymano, sam zaś zsiadł i rzucił się na kolana, podniósłszy oczy i ręce w górę.

Na ten widok zsiedli wszyscy i poszli za jego przykładem; ów

król zaś, tułacz, padł po chwili krzyżem, w śnieg i począł całować tę ziemię, tak ukochaną, a tak niewdzięczną, która w chwili klęski, schronienia jego królewskiej głowie odmówiła.

Nastała cisza i tylkowestchnienia ją mąciły.

Wieczór był mroźny, pogodny, góry i szczyty pobliskich jodeł płonęły purpurą, a dalsze w ciemne już poczęły się ubierać fiolety, lecz droga na której leżał król, mieniła się niby czerwona i złota wstęga; blaski te padały na króla, biskupów i dygnitarzy.

Wtem ze szczytów wstał wiatr i niosąc na skrzydłach skry śnieżne, zleciał do doliny. Więc jodły pobliskie poczęły przechylać pokryte okiścią czuby i kłaniać się panu i szumieć gwarno o radośnie, jakby śpiewały oną dawną pieśń:

— Witajże nam, witaj, miły hospodynie!...

Mrok już nasycał powietrze, gdy orszak królewski ruszył dalej. Za wąwozem roztoczyła się szersza dolina, której drugi koniec gubił się w oddaleniu. Blaski gasły naokoło, tylko w jednem miejscu niebo świeciło się jeszcze czerwono.

Król począł odmawiać: Ave Maria, za nim inni w skupieniu ducha powtarzali pobożne słowa.

Ziemia rodzima, dawno niewidziana, góry pokrywające się nocą, gasnące zorze, modlitwy, wszystko to nastroiło uroczyście serca i umysły, więc po ukończonych modlitwach jechali w milczeniu, król, dygnitarze i rycerze.

Następnie noc zapadła, jeno we wschodniej stronie niebo świeciło się coraz czerwieniej.

— Pojedziem ku tym zorzom, — rzekł wreszcie król — dziw, że jeszcze świecą.

Wtem przycwałował Kmicic.

— Miłościwy panie! to pożar! — zakrzyknął.

Zatrzymali się wszyscy.

— Jakże to? — pytał król — mnie się widzi, że to zorze!...

— Pożar, pożar! Ja się nie mylę! — wołał pan Kmicic.

I istotnie ze wszystkich towarzyszów królewskich, on znał się na tem najlepiej.

Wreszcie nie było można dłużej wątpić, gdyż po nad ową mniemaną zorzą podniosły się jakby chmury czerwone i kłębiły się jaśniejąc i ciemniejąc naprzemian.

— To chyba Żywiec się pali! — zawołał król. — Nieprzyjaciel może tam grasować!

Nie skończył jeszcze, gdy do uszu patrzących doleciał gwar ludzki, parskanie koni i kilkanaście ciemnych postaci zamajaczało przed orszakiem.

— Stój! stój! — począł wołać Tyzenhauz.

Postacie owe zatrzymały się, jakby niepewne, co dalej mają czynić.

— Ludzie! kto wy? —pytano dalej z orszaku.

— To swoi! — ozwało się kilka głosów. — Swoi. My z Żywca gardła unosim; Szwedzi Żywiec palą i ludzi mordują!

— Stójcie! na Bogu!... co gadacie?... Skąd oni się tam wzięli?

— Oni, panoczku, na naszego króla czatowali. Siła ich, siła! Niechże go matka Boska ma w swej opiece!...

Tyzenhauz stracił na chwilę głowę.

— Ot co jechać w małej kupie! — krzyknął na Kmicica — bogdaj cię za takową radę zabito!

Lecz Jan Kazimierz począł sam wypytywać uciekających.

— A gdzie król? — spytał.

— Król poszedł w góry z wielkim wojskiem i dwa dni temu przez Żywiec przejeżdżał, ale oni go naścigali i tam się gdzieś wedle Suchej bili... Nie wiemy, czy go dostali, czy nie, ale dziś pod wieczór do Żywca wrócili i palą mordują...

— Jedźcie z Bogiem ludzie! — rzekł Jan Kazimierz.

Uciekający przemknęli szybko.

— Ot, coby nas było spotkało, gdybyśmy z dragonami jechali! — zawołał Kmicic.

— Miłościwy królu! — ozwał się ksiądz biskup Gębicki — nieprzyjaciel przed nami... Co nam uczynić?

Wszyscy otoczyli króla naokoło, jakby go chcieli osobami swemi od nagłego niebezpieczeństwa zasłonić, lecz on spoglądał na łunę, która odbijała się w jego źrenicach i milczał: nikt też pierwszy nie wyrywał się ze zdaniem, tak ciężko było coś dobrego poradzić.

— Gdym wyjeżdżał z ojczyzny świeciła mi łuna — rzekł wreszcie Jan Kazimierz, — gdy wjeżdżam, druga mi świeci...

I znowu nastało milczenie, tylko dłuższe jeszcze, niż poprzednio.

— Kto ma jakową radę? — spytał nakoniec ksiądz Gębicki.

Wtem zabrzmiał głos Tyzenhauza, pełen goryczy i urągania:

— Kto się nie wahał osoby pańskiej naszwank wystawić, kto namawiał, by król bez straży jechał, ten niech teraz rady udzieli.

W tej chwili jeden jeździec wysunął się z koła był to Kmicic.

— Dobrze! — rzekł.

I podniósłszy się w strzemionach, krzyknął, zwróciwszy się ku stojącej opodal czeladzi:

— Kiemlicze za mną!

To rzekłszy, puścił konia w cwał, a za nim trzech jeźdźców pomknęło co tchu w piersiach końskich.

Krzyk rozpaczy wydobył się z piersi pana Tyzenhauza.

— To zmowa! — rzekł — zdrajcy znać dadzą! Mości królu, ratuj się! nazad! nazad!

— Wracajmy, wracajmy! — zawołali jednogłośnie biskupi i dygnitarze.

Lecz Jan Kazimierz zniecierpliwił się, z oczu poczęły iść mu błyskawice, nagle wydobył szpadę z pochwy i zawołał:

— Nie daj Bóg, abym z własnej ziemi drugi raz miał uchodzić! Niech się stanie, co ma być, dosyć mi tego!

I spiął konia ostrogami, by ruszyć naprzód, lecz sam nuncyusz pochwycił za lejce.

— Wasza kr. mość — rzekł z powagą — losy ojczyzny i Kościoła katolickiego dźwigasz na sobie, więc ci nie wolno osoby swej narażać!

— Nie wolno! — powtórzyli biskupi.

— Nie wrócę na Śląsk, tak mi dopomóż święty Krzyż! — odpowiedział Jan Kazimierz.

— Miłościwy panie! wysłuchaj próśb twych poddanych! — rzekł, składając ręce kasztelan sandomierski. — Jeżeli żadną miarą nie chcesz do cesarskich krajów się nakłonić, to nawróćmy przynajmniej z tego miejsca i ku granicy węgierskiej się skierujmy albo przejdźmy nazad ów wąwóz, aby nam powrotu nie przecięto. Tak czekać będziemy. W razie nadejścia nieprzyjaciela, w koniach ratunek zostanie, ale przynajmniej nas jako w pułapce nie zamkną.

— Niechże i tak będzie — rzekł łagodniej król. — Nie odrzucam ja rozumnej rady, ale na tułactwo drugi raz nie pójdę. Jeśli tędy nie można się będzie przedostać, to indziej się przedostaniem. Wszelako tak myślę, że waszmościowie napróżno się strachacie. Skoro ci Szwedzi napróżno nas między dragonami szukali, jako ludzie z Żywca mówili, to właśnie dowód, że o nas nie wiedzą i że zdrady ani zmowy nijakiej nie było. Weźcie waszmościowie to na rozum, jesteście ludzie doświadczeni. Nie zaczepialiby ci

Szwedzi dragonów, nie wystrzeliliby do nich ani razu, gdyby mieli wiadomość, że za dragonami jedziemy. Uspokójcie się, waszmościowie! Babinicz ze swymi pojechał po wieści i pewnie niebawem powróci.

To rzekłszy, król nawrócił konia ku wąwozowi, za nim towarzysze. Zatrzymali się tam, gdzie im pierwszy przejezdny góral samą granicę wskazywał.

Upłynął kwadrans, poczem pół godziny i godzina.

— Czy uważacie wasze dostojności — ozwał się nagle wojewoda łęczycki — iż łuna zmniejsza się?

— Gaśnie, gaśnie prawie w oczach! — odrzekło kilka głosów.

— To dobry znak! — zauważył król.

— Pojadę ja naprzód z kilkunastoma ludźmi — ozwał się Tyzenhauz. — O staje stąd staniemy i gdyby Szwedzi nadciągali, to ich zatrzymamy na sobie dopóki nie polegniem. W każdym razie będzie czas o bezpieczeństwie osoby pańskiej pomyśleć.

— Trzymaj się kupy, zakazuję ci jechać! — rzekł król.

A na to Tyzenhauz:

— Miłościwy panie! każesz mnie później za nieposłuszeństwo rozstrzelać, ale teraz pojadę, bo tu o ciebie chodzi!

I skrzyknąwszy kilkunastu żołnierzy, którym można było zaufać w każdej potrzebie — ruszył naprzód.

Stanęli u drugiego wyjścia wąwozu w dolinę — i stali cicho z gotowemi rusznicami, nadstawiając uszy na każdy szelest.

Długi czas trwało milczenie nakoniec doleciał ich chrzęst śniegu tratowanego kopytami.

— Jadą! — szepnął jeden z żołnierzy.

— Nie żadna to kupa, kilka tylko koni słychać — odpowiedział drugi. — Pan Babinicz wraca.

Tymczasem nadjeżdżający zbliżyli się w ciemnościach na kilkadziesiąt kroków.

— Werdo? — zakrzyknął Tyzenhauz.

— Swoi! — nie strzelać tam! — zabrzmiał głos Kmicica.

W tej chwili i on sam pojawił się przed Tyzenhauzem i nie poznawszy go w ciemności spytał.

— A gdzie król?

— Tam, opodal, za wąwozem! — odrzekł uspokojony Tyzenhauz.

— Kto mówi, bo nie można rozeznać

— Tyzenhauz! A oto takiego wielkiego wieziesz waszmość przed sobą?

To rzekłszy, ukazał na jakiś ciemny kształt, z wieszający się przed Kmicicem na przodku kulbaki.

Lecz pan Andrzej nie odpowiedział nic i przejechał mimo. Dotarłszy do orszaku królewskiego, rozeznał osobę króla, bo za wąwozem daleko było jaśniej i zawołał.

— Miłościwy panie, wolna droga!

— Niemasz już w Żywcu Szwedów?

— Odciągnęli ku Wadowicom. To był niemiecki oddział najemny. Ot, zresztą jest tu jeden, sam go, miłościwy panie, wybadaj!

I nagle pan Andrzej cisnął na ziemię z kulbaki ów kształt, który trzymał przed sobą, aż jęk rozległ się w ciszy nocnej.

— Co to jest? — pytał zdumiony król.

— To? Rajtar!

— Na miły Bóg! Toś i języka przywiózł. Jakżeto? powiadaj!

— Miłościwy panie! Gdy wilk nocą za stadem owiec idzie, łatwo mu jedną sztukę porwać, a zresztą, żeby prawdę rzec, to mi taka sprawa nie pierwszyzna.

Król ręce do głowy podniósł.

— Ale to żołnierz ten Babinicz, niech go kule biją. Imaginujcie waszmościowie... Widzę, że mając takich sług, mogę choćby w środek Szwedów jechać!

Tymczasem otoczyli wszyscy rajtara, który jednak nie podnosił się z ziemi.

— Pytaj go, miłościwy panie —. odpowiedział nie bez pev n j chełpliwości w głosie Kmicic — choć nie wiem, czy będzie mógł o'powiadać, bo trochę przyduszon, a niemasz tu, czemby go przypiec.

— Wlejcie mu gorzałki w gardło — rzekł król.

I istotnie lepiej to lekarstwo pomoglo od przypiekania, bo rajtar wkrótce odzyskał siły i głos. A wówczas pan Kmicic, przyłożywszy mu sztych do gardła, kazał opowiadać całą prawdę.

Zeznał tedy ów jeniec, że należy do regimentu pułkownika Irlehorna, że mieli wiadomość o przejeździe króla z dragonami, więc napadli na nich koło Suchej, ale wziąwszy wstręt należyty, musieli się cofnąć do Żywca, skąd pociągnęli do Wadowic i Krakowa, bo takie mieli rozkazy.

— Zali w górach niema innych oddziałów szwedzkich? — pytał po niemiecku Kmicic, pociskając nieco silniej gardło rajtara.

— Może są jakowe — odpowiedział przerywanym głosem rajtar — generał Duglas porozsyłał podjazdy, ale się wszystkie cofają, bo chłopstwo w wąwozach na nie napada.

— A w pobliżu Żywca wyście jedni byli?

— My jedni.

— I wiecie, że król polski już przejechał?

— Przejechał z tymi dragonami, którzy się o nas w Suchej obtarli. Wielu go widziało.

— Czemuście go nie ścigali?

— Baliśmy się górali.

Tu Kmicic ozwał się znów po polsku:

— Miłościwy panie! Droga wolna a i nocleg w Żywcu się znajdzie, bo jeno część osady spalona...

Lecz nieufny Tyzenhauz rozmawiał przez ten czas z panem kasztelanem wojnickim i tak mówił:

— Albo to jest żołnierz wielki i szczery jak złoto albo zdrajca kuty na cztery nogi... Owoż wasza dostojność, że to wszystko może być symulowane, od wzięcia tego rajtara do jego zeznań. Ale jeśli to umyślnie? Jeśli Szwedzi siedzą przyczajeni w Żywcu? Jeśli król pojedzie i wpadnie w matnię?...

— Bezpieczniej się przekonać — odrzekł kasztelan wojnicki.

Więc pan Tyzenhauz zwrócił się do króla i rzekł głośno:

— Pozwól miłościwy panie, żebym ja najprzód do Żywca ruszył i przekonał się, czyli to prawda, co ów kawaler i ów rajtar powiadają.

— Niechże tak będzie! Pozwól, miłościwy panie, niech jedzie! — zawołał Kmicic.

— Jedź, — rzekł król — ale i my ruszymy nieco naprzód, bo zimno.

Pan Tyzenhauz ruszył z kopyta, a orszak królewski jął posuwać się za nim zwolna. Król odzyskał dobry humor i wesołość i po niejakim czasie rzekł do Kmicica:

— Ale to z tobą możnaby jako z sokołem na Szwedów polować, bo z góry uderzasz!

— Tak to i było — odrzekł pan Andrzej. — Jak wasza królewska mość zechce zapolować, to sokół zawsze gotów!

— Powiadaj, jakżeś go ucapił?

— To nie trudno miłościwy panie! Zwyczajnie gdy pułk idzie, zawsze kilkunastu ludzi z tyłu się wlecze, a ten się na pół stajania został. Podjechałem za nim; on myślał, że swój, nie strzegł się i nim się opamiętał, jużem go porwał, gębę mu przydusiwszy, ażeby nie krzyczał.

— Mówiłeś, że ci to nie pierwszyzna. Zaliżeś to już kiedy pierwej praktykował?

Kmicic rozśmiał się.

— Oj, oj! miłościwy panie! praktykowałem i to i co lepszego. Niech wasza królewska mość jeno rozkaże, a znowu skoczę, doganiam ich, bo konie mają zdrożone i jeszcze jednego ucapię i Kiemliczom moim każę ucapić.

Czas jakiś jechali w milczeniu, nagle tętent konia rozległ się i nadleciał Tyzenhauz.

— Mości królu! — rzekł — droga wolna i nocleg zamówiony.

— A nie mówiłem?! — zawołał Jan Kazimierz. — Niepotrzebnieście się waszmościowie troskali... Jedźmy teraz, bo nam się spoczynek należy.

Wszyscy ruszyli rysią, raźno, wesoło i w godzinę później zasnął utrudzony król bezpiecznym snem na własnej ziemi.

Tegoż wieczora pan Tyzenhauz zbliżył się do Kmicica.

— Wybacz waszmość, — rzekł — z miłości to do pana cię podejrzywałem.

Lecz Kmicic umknął mu ręki.

— O, nie może być! — odrzekł. — Zdrajcą i przedawczykiem mnie czyniłeś...

— Byłbym i więcej uczynił, bo byłbym waści w łeb strzelił, — rzekł Tyzenhauz — ale gdym się przekonał, żeś zacny człowiek i króla miłujesz, rękę ci wyciągnąłem. Chcesz, przyjmij, nie chcesz, nie przyjmuj... Wolałbym z tobą jeno w przywiązaniu do osoby pańskiej emulować... Ale i innej emulacyi się nie przestraszę.

— Tak waszmość myślisz?... Hm! może i masz słuszność, ale mi na waćpana mruczno.

— To przestań mruczeć... Tęgi z waszmości żołnierz! No! a dawajno gęby, byśmy się w nienawiści spać nie kładli.

— Niechże tak będzie — rzekł Kmicic.

I padli sobie w objęcia.

## XXXVIII.

Orszak królewski późną nocą dotarł do Żywca i prawie nie zwrócił uwagi w miasteczku, przerażonem niedawnym napadem szwedzkiego oddziału. Król nie zajeżdżał do zamku, który poprzednio już był spustoszony od Szwedów, a w części spalony, ale stanął w plebanii. Tam Kmicic rozpuścił wiadomość, iż to poseł cesarski ze Śląska udaje się do Krakowa.

Jakoż nazajutrz wyruszyli ku Wadowicom i dopiero znacznie za miastem skręcili do Suchej. Stamtąd przez Krzeczonów mieli jechać do Jordanowa, stamtąd do Nowego Targu, i gdyby się okazało, że niema podjazdów szwedzkich pod Czorsztynem, to do Czorsztyna, gdyby zaś były, to skręcić mieli do Węgier i węgierską ziemią ciągnąć do Lubomli. Spodziewał się też król, że pan marszałek w. koronny, który rozporządzał tak znacznemi silami, jakich nie miał niejeden książę panujący, poubezpiecza drogi i sam naprzeciw panu wyskoczy. Mogło mu pomieszać szyki tylko to, że nie wiedział, którędy król ciągnie; ale przecież między góralami nie brakło wiernych ludzi, gotowych zanieść panu marszałkowi umówione słowa. Nie potrzeba im było nawet tajemnicy powierzać, bo szli chętnie, skoro im powiedziano, że o służbę królewską idzie. Byłto bowiem lud duszą i sercem królowi oddany, chociaż ubogi i pół jeszcze dziki, mało, albo wcale uprawą niewdzięcznej roli się nietrudniący, żyjący z chowu bydła, pobożny i nienawidzący heretyków. Oni to pierwsi, gdy rozeszła się wieść o wzięciu Krakowa, a zwłaszcza o oblężeniu Częstochowy, do której pobożne pielgrzymki odprawiać zwykli, porwali za toporzyska swoich siekier i ruszyli z gór. Generał Duglas, znakomity wojownik, opatrzony w działa i strzelby, rozproszył ich wprawdzie z łatwością w równinach, na których bić się nie przywykli; natomiast Szwedzi z największemi tylko ostróżnościami zapuszczali się we właściwe ich siedziby, w których dosięgnąć ich było niepodobna, a ponieść klęskę łatwo. Zginęło też kilka pomniejszych oddziałów, które się nieopatrznie w labirynt gór zapędziły.

I teraz wieść o przyjeździe króla z wojskiem uczyniła już swoje, wszyscy bowiem jak jeden mąż zerwali się, by go bronić i towarzyszyć mu ze swemi "ciupagami," choćby na kraj świata. Mógł Jan Kazimierz, gdyby tylko odkrył, kto jest, otoczyć się w jednej

chwili tysiącami półdzikich "gazdów," lecz on słusznie mniemał, że w takim razie wieść rozebrzmiałaby wnet, razem z wichrami, po całej okolicy i że Szwedzi mogliby także wysłać znaczne wojska na jego spotkanie, więc wolał ciągnąć niepoznany nawet od górali.

Znajdowano jednak wszędy pewnych przewodników, którym dość było powiedzieć, że prowadzą biskupów i panów, pragnących się do szwedzkiej ręki uchronić. Prowadzili ich więc wśród śniegów, skał, wichrów i przełęczy, sobie tylko znanemi "pyrciami," przez miejsca tak niedostępne, że — rzekłbyś — i ptak nie mógłby przez nie przelecieć.

Nieraz król i dostojnicy mieli chmury pod nogami, a jeżeli chmur nie było, to wzrok ich leciał w bezbrzeżną białemi śniegami okrytą przestrzeń, która tak wydawała się szeroką. jak kraj cały szeroki; nieraz zapuszczali się w gardziele górskie, ciemne prawie, śniegami przysłonięte, w których chyba tylko zwierz dziki mógł mieć legowisko. Lecz omijano dostępne dla nieprzyjaciela miejsca, skracano drogę i bywało, że osada jaka, do której ledwie za pół dnia spodziewano się dostać, pojawiała się nagle pod nogami, a w niej spoczynek czekał i gościnność, choć w kurnej chacie, w zadymionej świetlicy.

Król był ciągle wesół, innym odwagi do znoszenia nadzwyczajnych trudów dodawał i zaręczał, że takiemi drogami się przebierając, pewno równie szczęśliwie, jak niespodzianie do Lubomli się dostaną.

— Pan marszałek ani się spodziewa, kiedy mu na kark spadniemy — powtarzał ciągle.

A nuncyusz odpowiadał:

— Czemże był powrót Ksenofonta w porównaniu z tą naszą podróżą w chmurach?

— Im wyżej się wzniesiem, tem szwedzka fortuna upadnie niżej — twierdził król.

Tymczasem dojechano do Nowego Targu. Zdawało się, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło; jednakże górale twierdzili że jakieś obce wojska kręcą się wedle Czorsztyna i po okolicy. Król przypuszczał, iż może to być niemiecka rajtarya pana marszałka koronnego, której miał dwa pułki, albo że jego własnych dragonów, wysłanych przodem, poczytano za nieprzyjacielskie podjazdy. Więc gdy i w Czorsztynie była załoga biskupa kra-

kowskiego, podzieliły się zdania w królewskim orszaku: jedni chcieli jechać traktem do Czorsztyna, a stamtąd ciągnąć sama granicą do ziemi Spiskiej; inni radzili zaraz wykręcić do Węgier, które tu klinem aż pod Nowy Targ dochodziły, i znowu przedzierać się przez wirchy i wąwozy, biorąc wszędy przewodników, najniebezpieczniejsze przejścia znających.

To ostatnie zdanie przemogło, albowiem w ten sposób spotkanie się ze Szwedami stawało się prawie niepodobnem i zresztą króla bawiła ta "orłowa" droga przez przepaści i przez chmury.

Wyruszono więc z Nowego Targu nieco na zachód i południe, zostawiając po prawej ręce Biały Dunajec. Początkowa droga szła okolicą dosyć otwartą i rozległą, lecz w miarę, jak postępowano naprzód, góry poczęły się zbiegać, doliny zacieśniać. Jechano drogami, po których konie mogły ledwo postępować. Czasem trzeba było zsiadać i w ręku je prowadzić, a i to nieraz jeszcze opierały się, tuląc uszy i wyciągając otwarte, dymiące nozdrza ku przepaściom, z których głębi śmierć zdawała się wyglądać.

Górale, przywykli do urwisk, uznawali często za dobre takie drogi, na których nieobyłym ludziom szumiało i kręciło się w głowie. Wjechali nakoniec w jakąś szczelinę skalną długą i prostą, a tak wązką, że zaledwie trzech ludzi mogło jechać wedle siebie.

Wąwóz to był jakoby korytarz niezmierny. Dwie wysokie skały zamykały go z prawej i lewej strony. Gdzieniegdzie jednak krawędzie ich rozchylały się tworząc mniej strome pochyłości, pokryte zaspami śniegu na zrębach obramowane czarnym borem. Wichry wywiały natomiast śnieg z dna wąwozu i kopyta końskie szczękały wszędy po kamienistym pokładzie. Lecz w tej chwili wiatr nie wiał i cisza panowała tak głucha, że aż w uszach dzwoniąca. Tylko w górze, kędy między lesistemi krawędziami widniał błękitny pas nieba, przelatywało od czasu do czasu czarne ptastwo, łopocąc skrzydłami i kracząc.

Orszak królewski stanął dla wypoczynku. Z koni podnosiły się kłęby pary, a i ludzie byli pomęczeni.

— Czy to Polska, czy Węgry? — spytał po chwili przewodnika król.

— To jeszcze Polska.

— A czemu nie wykręciliśmy zaraz do Węgier?

—„Bo nie można. On wąwóz zakręci się opodal, potem będzie

siklawa, za siklawą pyrć do traktu idzie. Tam nawrócimy, przejdziem jeszcze jeden wąwóz i dopiero będzie węgierska strona.

— To widzę, że lepiej było odrazu traktem jechać — rzekł król.

— Cichajcie!... — odpowiedział nagle góral.

I przyskoczywszy do skały, przyłożył do niej ucho.

Wszyscy utkwili w niego oczy, a jemu twarz zmieniła się w jednej chwili i rzekł:

— Za zakrętem wojsko idzie od potoku!... Dla Boga! czy nie Szwedy?!

— Gdzie? jak? co?... — poczęto pytać ze wszystkich stron. — Nic nie słychać!...

— Bo tam śnieg leży. Na rany boskie! Już są blisko!... Zaraz się ukażą!...

— Może pana marszałka ludzie? — rzekł król.

Kmicic w tej chwili ruszył koniem.

— Pojadę zobaczyć! — rzekł.

— Kiemlicze ruszyli zaraz za nim, jak psy myśliwe za łowcem, lecz ledwie posunęli się z miejsca, gdy zakręt gardzieli, o sto kroków przed nimi leżący, zaciemnił się od ludzi i koni.

Kmicic spojrzał... i dusza zatrzęsła się w nim z przerażenia.

Byli to Szwedzi.

Ukazali się tak blisko, że cofać się było niepodobna, zwłaszcza, iż orszak królewski miał konie pomęczone. Pozostawało tylko przebić się lub zginąć, albo pójść w niewolę. Zrozumiał to w jednej chwili nieustraszony król, więc chwycił za rękojeść szpady.

— Osłonić króla i nazad! — krzyknął Kmicic.

Tyzenhauz z dwudziestu ludźmi w mgnieniu oka wysunął się na czoło, lecz Kmicic zamiast złączyć się z nimi, ruszył drobnym kłusem przeciw Szwedom.

Miał zaś na sobie szwedzki strój, ten sam, w który przebrał się, wychodząc z klasztoru, więc owi Szwedzi teraz nie pomiarkowali co to za jeden. Widząc dążącego przeciw sobie w takim stroju jeźdźca, prawdopodobnie poczytali cały orszak królewski za jakiś własny podjazd, bo nie przyśpieszyli kroku, tylko kapitan dowodzący wysunął się przed pierwszą trójkę.

— A co za ludzie? — spytał po szwedzku, patrząc na groźną i bladą twarz zbliżającego się junaka.

Kmicic nadjechał nań tak blisko, że prawie trącili się kolanami, i nie odrzekłszy ni słowa, wypalił mu w samo ucho z pistoletu.

Okrzyk zgrozy wyrwał się z piersi rajtarów, ale potężniej jeszcze brzmiał głos pana Andrzeja:

— Bij!

żal jako skała oderwała od opoki, tocząc się w przepaść druzgoce wszystko w biegu, tak i on runął na pierwszy szereg, niosąc śmierć i zniszczenie. Dwaj młodzi Kiemlicze, podobni do dwóch niedźwiedzi, skoczyli za nim w zamęt. Stukot szabel o pancerze i hełmy rozległ się, jak huk młotów, a wnet zawtórowały mu wrzaski i jęki.

Przerażonym Szwedom zdawało się w pierwszej chwili, że to trzech wielkoludów napadło ich w dzikim parowie górskim. Pierwsze trójki cofnęły się zmieszane przed strasznym mężem, a gdy ostatnie wydobywały się dopiero z poza zakrętu, środek, stłoczył się i zwichrzył. Konie poczęły gryść się i wierzgać. Żołnierze z dalszych trójek nie mogli strzelać, nie mogli iść na ratunek przodowym, którzy ginęli bez ratunku pod ciosan i trzech olbrzymów. Próżno się złożą, próżno sztychtów nadstawią, tamci łamią szable, przewracają ludzi i konie. Kmicic zdarł konia, że aż kopyta jego zwisły nad głowami rajtarskich rumaków, sam zaś szalał, siekł, bódł. Krew zbroczyła mu twarz, z oczu szedł ogień, wszystkie myśli w nim zgasły, została tylko jedna, że zginie, lecz Szwedów musi zatrzymać. Ta myśl przerodziła się w dzikie jakieś uniesienie, więc siły jego potroiły się, ruchy stały się podobne do ruchów rysia: wściekłe, jak błyskawica szybkie. I nadludzkiemi ciosami szabli kruszył ludzi, jak piorun kruszy młode drzewa, dwaj Kiemlicze młodzi szli tuż, a stary, stojąc nieco z tyłu, co chwila wsuwał rapier między synów, tak szybko, jak wąż żądło wysuwa, i wyciągał krwawy.

Tymczasem koło króla powstał rozruch. Nuncyusz, jako pod Żywcem, tak i teraz trzymał za cugle jego konia, z drugiej strony chwycił je biskup krakowski i ze wszystkich sił cofali w tył rumaka, król zaś parł go ostrogami, aż dzianet dęba stawał.

— Puszczajcie!... — wołał król. — Na Boga! Przejedziem przez nieprzyjaciół.

— Panie, myśl o ojczyźnie — wołał biskup krakowski.

I król nie mógł wydrzeć się z ich rąk, zwłaszcza że od przodu zatarasował mu drogę młody Tyzenhauz ze wszystkimi ludźmi. Nie szedł on w pomoc Kmicicowi, poświęcił go, pragnął tylko króla ratować.

— Na mękę Pana naszego — krzyczał z rozpaczą — tamci zaraz polegną... Miłościwy panie, ratuj się, póki czas. Ja ich tu jeszcze zatrzymam..

Lecz upór królewski, gdy go raz rozdrażniono, nie liczył się z niczem i z nikim. Jan Kazimierz wsparł jeszcze silniej rumaka ostrogami i zamiast cofać się, posuwał się naprzód.

A czas płynął i każda chwila dłużej mogła zgubę za sobą pociągnąć.

— Zginę na mojej ziemi... Puszczajcie — wołał król.

Szczęściem, przeciw Kmicicowi i Kiemliczowi, dla ciasnoty miejsca mała tylko liczba ludzi mogła odrazu działać, skutkiem czego mogli się trzymać dłużej. Lecz zwolna i ich siły poczęły się wyczerpywać. Kilkakroć rapiery szwedzkie dotknęły się ciała Kmicica i krew jęła z niego uchodzić. Oczy przysłaniały mu się jakby mgłą. Dech ustawał w piersiach. Uczuł zbliżanie się śmierci, więc pragnął tylko życie sprzedać drogo.

— Jeszcze choć jednego — powtarzał sobie i puszczał płytkie żelaza na głowę lub ramię najbliższego rajtara i znów zwracał się ku innemu; Szwedom wszelako po pierwszej chwili zamieszania i strachu, wstyd widocznie uczyniło się, że czterech mężów zdołało ich zatrzymać tak długo i natarli z furyą; wnet samym ciężarem ludzi i koni zepchnęli ich w tył i spychali coraz silniej i szybciej.

Wtem koń Kmicica padł i fala zakryła jeźdźca.

Kiemlicze rzucali się jeszcze czas jakiś, podobni do pływaków, którzy widząc, że toną, usiłują jak najdłużej głowy nad powierzchnią roztoczy morskiej utrzymać, lecz wkrótce zapadli i oni...

Wówczas Szwedzi jak wicher ruszyli ku orszakowi królewskiemu.

Tyzenhauz zaś ze swymi ludźmi skoczył ku nim i uderzyli się tak, że aż łoskot rozległ się po górach.

Lecz cóż znaczyła ta nowa Tyzenhauzowa garstka przeciw potężnemu podjazdowi, blizko trzysta koni liczącemu. Nie było już wątpliwości, że dla króla i jego orszaku musi nieubłaganie wybić fatalna godzina zguby lub niewoli.

Jan Kazimierz, woląc widocznie pierwszą od drugiej, wyswobodził nakoniec lejce z rąk trzymających je biskupów i posunął się szybko za Tyzenhauzem.

Nagle stanął jak wryty.

Stało cię coś nadzwyczajnego. Patrzącym wydało się że same góry przychodzą w pomoc prawemu królowi i panu.

Oto nagle krawędzie wąwozu zadrgały, jak gdyby ziemia ruszyła się z posad, jak gdyby bór rosnący w górze chciał wziąć udział w walce i pnie drzewne, bryły śniegu, lodu, kamienie i okruchy skał jęły toczyć się ze straszliwym trzaskiem i łoskotem na zaciśnięte na dnie szeregi szwedzkie; jednocześnie nieludzkie wycie rozległo się po obu stronach parowu.

Na dole zaś, w szeregach, wszczął się zamęt, ludzką wyobraźnię przechodzący. Szwedom zdało się, że góry runęły i zsypują się na nich. Powstały krzyki, lament druzgotanych mężów, rozpaczliwe wołania o pomoc, kwik koński, zgrzyt i straszliwy dźwięk skalnych obłamów o pancerze.

Na koniec ludzie i konie utworzyli jedną kupę, kłębiącą się konwulcyjnie, gniotącą, pełną jęków, rozpaczliwą, straszną.

A kamienie i złamy skał miażdżyły ją ciągle, tocząc się nieubłaganie na bezkształtne już masy ciał końskich i ludzkich.

— Górale! górale! — zaczęto krzyczeć w orszaku królewskim.

— Ciupagami psubratów! — ozwały się głosy na górze.

I w tej chwili po obu krawędziach skalistych ukazały się długowłose głowy przybrane w krągłe skórzane kapelusze, za niemi wychyliły się ciała kilkuset dziwnych postaci poczęło spuszczać się w dół po pochyłościach śnieżnych.

Ciemne i białe gunie, unoszące się nad ramionami, nadawały im pozór jakichś strasznych ptaków drapieżnych. Zsunęli się w mgnieniu oka; świst siekierek zawtórował złowrogo ich dzikim okrzykom i jękom dobijanych Szwedów. Sam król chciał rzeź powstrzymać; niektórzy rajtarowie, żywi jeszcze, rzucali się na kolana i wznosząc bezbronne ręce, błagali o ratunek. Nic nie pomogło, nic nie wstrzymało mściwych siekier i w kwadrans później nie było już ani jednego żywego Szweda w parowie.

Potem krwawi górale poczęli się sypać ku orszakowi królewskiemu.

Nuncyusz ze zdumieniem patrzył na tych nieznanych sobie ludzi, rosłych, silnych, pokrytych częścią w skóry owcze, ubroczonych krwią i potrząsających dymiącemi jeszcze siekierkami.

Lecz oni na widok biskupów poodkrywali głowy. Wielu poklękało w śniegu.

Biskup krakowski podniósł załzawioną twarz ku niebu.

— Oto pomoc Boska, oto Opatrzność, która czuwa nad majestatem.

Następnie zwrócił się do górali i rzekł:

— Ludzie, coście za jedni?

— Tutejsi! — odpowiedziano z tłumu.

— Czy wiecie, komuście przyszli w pomoc?... Oto król i pan wasz któregoście uratowali!

Na te słowa krzyk uczynił się w tłumie:

— Król! król! Jezusie, Maryo, król!

Wierni górale poczęli się cisnąć do pana i tłoczyć. Z płaczem opadli go zewsząd, z płaczem całowali jego nogi, strzemiona, nawet kopyta jego konia. Zapanowało takie uniesienie, taki krzyk i szlochanie, że aż biskupi z obawy o osobę królewską musieli zbytni zapał hamować.

Król zaś stał wśród wiernego ludu, jak pasterz wśród owiec i łzy wielkie, jasne jak perły, spływały mu po twarzy.

Poczem oblicze jego rozjaśniło się, jakby jakaś przemiana spełniła się nagle w jego duszy, jakby nowa, wielka myśl, z nieba rodem, zaświeciła mu w głowie i skinął ręką, że chce mówić, a gdy uciszyło się, rzekł podniesionym głosem, tak, iż słyszał go tłum cały:

— Boże! któryś mnie przez ręce prostego ludu wybawił, przysięgam Ci na mękę i śmierć Syna Twego, że i jemu ojcem odtąd będą!

— Amen — powtórzyli biskupi.

I czas jakiś trwało uroczyste milczenie, potem zaś znowu radość wybuchła. Poczęto wypytywać górali, skąd się wzięli w wąwozach i jakim sposobem tak w porę dla ratunku królowi się znaleźli?

Okazało się, że znaczne podjazdy szwedzkie kręciły się około Czorsztyna, i nie dobywając samego zamku, zdawały się szukać kogoś i czekać. Górale słyszeli także o bitwie, którą podjazdy te stoczyły z jakiemś wojskiem, między którem miał się i sam król znajdować. Wówczas postanowili wciągnąć Szwedów w zasadzki i nasławszy im fałszywych przewodników, umyślnie zwabili ich do tego parowu.

— Widzieliśmy — mówili górale — jako onych czterech rycerzy uderzyło na tych psiajuchów, chcieliśmy im iść w pomoc, ale baliśmy się spłoszyć zawcześnie psubratów.

Tu król porwał się za głowę.

— Matko jedynego Syna! — krzyknął — szukać mi Babinicza! Niechaj mu choć pogrzeb wyprawimy!... I tego to człowieka za zdrajcę poczytano, który pierwszy krew za nas wylał!

— Zawiniłem, miłościwy panie! — ozwał się Tyzenhauz.

— Szukać go, szukać! — wołał król. — Nie odjadę stąd, póki mu w twarz nie spojrzę i nie pożegnam.

Skoczyli więc żołnierze wraz z góralami na miejsce pierwszej walki i wkrótce z pod stosu trupów końskich i ludzkich wydobyli pana Andrzeja. Twarz jego była blada, cała zabrzygana krwią, której grube krople zakrzepły mu na wąsach; oczy miał przymknięte, pancerz powyginany od razów mieczów i kopyt końskich. Ale ten pancerz właśnie uchronił go od zmiażdżenia i żołnierzowi, który go podniósł, wydawało się, że usłyszał cichy jęk.

— Dla Boga! Żyw! — zakrzyknął.

— Zdjąć mu pancerz! — wołali inni.

Wnet przecięto rzemienie.

Kmicic odetchnął głębiej.

— Dycha! dycha! Żyw! — powtórzyło kilka głosów.

On zaś leżał czas jakiś nieruchomie, poczem otworzył oczy. Wówczas jeden z żołnierzy wlał mu do ust nieco gorzałki, inni zaś podnieśli go pod ramiona.

W tej chwili nadjechał pędem sam król do którego uszu doszedł okrzyk, powtarzany przez wszystkich usta.

Żołnierze przywlekli przed niego pana Andrzeja, który ciężył im ku ziemi i leciał przez ręce. Jednakże na widok króla przytomność wróciła mu na chwilę, uśmiech prawie dziecinny przebłysnął mu na twarzy, a blade wargi wyszeptały wyraźnie:

— Mój pan, mój król żywie... wolny...

I łzy błysły mu w źrenicach.

— Babinicz, Babinicz! Czem cię nagrodzę?! — wołał król.

— Jam nie Ba-bi-nicz, jam Kmi-cic! — szepnął rycerz.

To rzekłszy, zwisł jak martwy na rękach żołnierza.

## XXXIX.

Ponieważ górale zapewnili, że na drodze do Czorsztyna o żadnych innych oddziałach szwedzkich nie słychać, orszak królewski wykręcił więc ku temu zamkowi i wkrótce znalazł się na trakcie,

po którym podróż była łatwiejsza i mniej nużąca. Jechali wśród pieśni góralskich i okrzyków: "Król jedzie! Król jedzie!" a po drodze łączyły się z nimi coraz nowe kupy ludu, zbrojnego w cepy, kosy, widły i strzelby, tak że Jan Kazimierz stanął wkrótce na czele znacznego oddziału niewyćwiczonych wprawdzie, ale gotowych w każdej chwili iść z nim choćby na Kraków i krew przelać za swego pana. Pod Czorsztynem przeszło już tysiąc "gazdów" i półdzikich juhasów otaczało króla.

Aż też zaczęła napływać szlachta z pod Nowego i Starego Sącza. Ci donieśli, że tegoż ranka pułk polski pod wodzą Woyniłłowicza zbił przy samem mieście Nowym Sączu znaczny podjazd szwedzki, z którego wszyscy niemal ludzie zginęli lub potopili się w Kamiennej i w Dunajcu.

Jakoż okazało się to prawdą, gdyż wkrótce na trakcie zamigotały proporczyki, zaczem sam Woyniłłowicz z pułkiem wojewody bracławskiego nadjechał.

Radośnie król powitał znakomitego, a zdawna sobie znajomego rycerza i wśród ogólnego zapału ludu i wojska jechał z nim dalej na Spiż. Tymczasem skoczyli co tchu w koniach jezdni dać naprzód znać panu marszałkowi, że król się zbliża, aby był gotów na przyjęcie.

Wesoło i gwarno szła dalsza podróż. Napływały coraz nowe tłumy. Nuncyusz, który z obawą o własne i królewskie losy ze Śląska wyjechał, którą obawę początek podróży jeszcze powiększył nie posiadał się teraz z radości, bo już był pewien, że przyszłość niezawodnie zwycięstwo królowi, a z nim i Kościołowi nad heretykami przyniesie.Biskupi podzielali jego radość, dygnitarze wielcy twierdzili, że cały naród od Karpat do Baltyku, taksamo jak owe tłumy, za broń chwyci. Woyniłłowicz zaś zapewniał, że po większej części już się to stało.

I opowiadał, co w kraju słychać, jaki postrach padł na Szwedów, jak już nie śmią się w mniejszej liczbie z murów wychylać, jak nawet mniejsze zameczki opuszczają i palą, do potężnych chroniąc się fortec.

— Wojsko jedną ręką w piersi się bije, a drugą Szwedów bić zaczyna — mówił . — Wilczkowski, który nad husarskim pułkiem waszej kr. mość porucznikuje, podziękował już Szwedom za służbę, a to w ten sposób, że ich pod Zakrzewem, w komendzie pułkownika Attenberga będących, napadł i siła naciął, ledwie nie wszyst-

kich zniósł... Ja z pomocą bożą z Nowego Sącza ich wyparłem i Bóg dał znaczną wiktoryę, bo nie wiem, czy jeden żywy wyszedł... Pan Felicyan Kochowski z piechotą nawojowską mocno mi dopomógł i tak się im przynajmniej za owych dragonów, dwa dni temu poszarpanych, odpłaciło.

— Za jakich dragonów? — spytał król.

— A za tych, których wasza kr. mość ze Śląska przed sobą wysłał. Szwedzi znienacka ich napadli i chociaż rozproszyć nie zdołali, bo się okrutnie bronili, przecie szkodę uczynili w nich znaczną... A myśmy mało nie pomarli z desperacyi, bośmy myśleli, że się wasza kr. mość osobą własną między tymi ludźmi znajduje i baliśmy się, ażeby jakowa zła przygoda majestatu nie spotkała. Bóg to natchnął waszą kr. mość do wysłania przodem dragonii. Zaraz się o niej Szwedzi zwiedzieli i wszędy drogi pozajmowali.

— Słyszysz Tyzenhauz? — pytał król. — Żołnierz to doświadczony mówi.

— Słyszę, miłościwy panie — odparł młody magnat.

Król zwrócił się do Woyniłłowicza.

— A co więcej? Co więcej? Powiadaj!

— Co wiem, pewnie tego nie ukryję. W Wielkopolsce Żegocki i Kulesza dokazują. Pan Warszycki Lindorma z zamku pileckiego wysadził, Danków się obronił, Lanckorona w naszych ręku, a na Podlasiu pan Sapieha pod Tykocinem codzień w siłę rośnie. Gorzeją już Szwedzi w zamku, a z nimi razem zgorzeje i książę wojewoda wileński. Co do hetmanów, ci się już z pod Sandomierza w Lubelskie ruszyli, jawnie tam okazując, że z nieprzyjacielem zrywają. Jest tam z nimi i wojewoda czernihowski, a z okolicy ciągnie ku nim kto żyw i kto szablę w garści utrzymać może. Powiadają, że się tam ma jakiś związek przeciwko Szwedom formować, w czem i pana Sapiehy jest ręka i pana kasztelana kijowskiego.

— To kasztelan kijowski także teraz w Lubelskiem?

— Tak jest, wasza królewska mość! Ale on dziś tu, jutro tam... Mam i ja do niego ciągnąć, ale gdzie go szukać, tego nie wiem.

— Głośno o nim będzie, — rzekł król — nie będziesz potrzebował o drogę pytać.

— Tak i ja myślę, miłościwy panie — odrzekł Woyniłłowicz.

Na podobnych rozmowach schodziła droga. Tymczasem niebo wypogodziło się zupełnie, tak, że błękitu nie plamiła żadna chmur-

ka; śniegi lśniły się w promieniach słońca. Góry spiskie roztaczały się wspaniale i wesoło przed jadącymi i sama natura zdawała się do pana uśmiechać.

— Miła ojczyzno! — rzekł król — bodajem ci mógł spokój przywrócić, nim kości moje w twej ziemi spoczną!

Wjechali na wysokie wzgórze, z którego widok otwarty był i daleki, bo z drugiej strony obszerna stała u stóp jego nizina. Tam ujrzeli w dole i wielkiem oddaleniu poruszające się jakieś mrowisko ludzkie.

— Wojska pana marszałka idą! — zawołał Woyniłłowicz.

— Jeżeli nie Szwedzi? — rzekł król.

— Nie, miłościwy panie! Szwedzi nie mogliby od Węgier z południa ciągnąć. Widzę już husarskie proporczyki.

Jakoż po chwili z sinawej oddali wyszedł się las włóczni, barwne proporce chwiały się jakby kwiaty wiatrem poruszane, powyżej groty lśniły się nakształt płomyków. Słońce grało na pancerzach i hełmach.

Tłumy towarzyszące królowi wydały okrzyk radosny: dosłyszano go zdala, bo masa koni, jeźdźców, chorągwi, buńczuków, proporczyków, poczęła poruszać się szybciej, widocznie tam ruszono z kopyta, bo pułki stawały się coraz wyraźniejsze i rosły w oczach z niepojętą szybkością.

— Ostańmy tu, na tem wzgórzu! Tu pana marszałka czekać będziem — rzekł król.

Orszak zatrzymał się: jadący naprzeciw pędzili jeszcze szybciej.

Chwilami zakrywały ich przed oczyma skręty drogi lub maluśkie pagórki i skały, rozsiane po nizinie, lecz wnet znowu ukazywali się oczom, jako wąż o skórze grającej barwami, przepysznej. Nakoniec dotarli o ćwierć staja od wzgórza i zwolnili pędu. Oko mogło już ich doskonale objąć i nacieszyć się nimi. Szła więc najprzód chorągiew husarska pana marszałka własna, bardzo okryta i tak wspaniała, że każdy król mógłby się podobnem wojskiem poszczycić. Służyła w tej chorągwi sama szlachta górska: ludzie dobrani, chłop w chłopa, pancerze na nich z jasnej blachy, mosiądzem nabijane, ryngrafy z Najświętszą Panną Częstochowską, hełmy krągłe z żelaznemi nausznikami, grzebienia te na wierzchu, u ramion skrzydła sępie i orle, na plecach skóry tygrysie i lamparcie, u starszyzny wilcze, wedle obyczaju.

Las zielonych z czarnem proporczyków chwiał się nad nimi; przodem jechał porucznik Wiktor, za nim kapela janczarska z dzwonkami, litaurami, kotłami i piszczałkami, dalej ściana piersi końskich i ludzkich w żelazo zakutych.

Rozpływało się na ten widok wspaniały serce królewskie. Wraz za husaryą następował znak lekki, jeszcze liczniejszy,z gołemi szablami w ręku i łukami na plecach; potem trzy setnie semenów, barwnych jak mak kwitnący, zbrojnych w spisy i samopały; potem dwieście dragonii w czerwonych koletach; potem poczty panów różnych, już w Lubomli bawiących, czeladź strojna jak na wesele, trabanci, hajducy, pajucy, węgrzynkowie i janczarowie, do służby przy osobach pańskich przeznaczeni.

A mieniło się to jak tęcza, a nadjeżdżało gwarnie i szumno, wśród rżenia koni, chrzęstu zbroi, huku kotłów, warczenia bębnów, dźwiękania litaurów i krzyków tak gromkich, iż zdawało się, że śnieg od nich z gór opadnie. W końcu za wojskami widać było karety i kolasy, w których widocznie jechali świeccy i duchowni dygnitarze.

Następnie wojska ustawiły się w dwa szeregi wzdłuż drogi, a zaś w środku ukazał się na białym jak mleko koniu sam pan marszałek koronny, Jerzy Lubomirski. Leciał on jak wicher ową ulicą, a za nim dwóch masztalerzy, kapiących od złota. Dojechawszy do wzgórza, zeskoczył z konia i rzuciwszy lejce jednemu z masztalerzów, sam szedł piechotą na wzgórze, ku stojącemu tam królowi.

Czapkę zdjął i nasadziwszy ją na rękojeść szabli, szedł z gołą głową, podpierając się obuszkiem całym perłami krytym. Ubrany był po polsku, w stroju wojennym; na piersiach miał pancerz ze złotej blachy, gęsto po brzegach kamieniami wysadzany, a polerowany tak, iż zdawało się, że słońce na piersiach niesie; przez lewe ramię zwieszała mu się delia barwy ciemnej, przechodzącej w fiolet purpury, z weneckiego aksamitu. Trzymał ją pod szyją sznur zaczepiony o garafy brylantowe, któremi cała delia była naszyta; również brylantowe trzęsienie chwiało się u czapki, a one klejnoty migotały jako skry różnokolorowe, naokół całej postaci i oczy ćmił, takie od niego biły blaski.

Był to mąż w sile wieku, postawy wspaniałej. Głowę miał podgoloną, czuprynę dość rzadką, siwiejącą, w kosmy na czole ułożoną, wąs czarny jak skrzydło kruka, w cienkich końcach po obu

stronach ust opadający. Wyniosłe czoło i rzymski nos dodawały piękności jego obliczu, lecz szpeciły je cokolwiek zbyt wypukłe policzki i oczy małe, czerwoną obwódką okolone. Wielka powaga, ale przytem niesłychana pycha i próżność malowały się w tej twarzy. Zgadłeś łatwo, że ów magnat chciał wiecznie zwracać na się oczy całego kraju, ba! całej Europy. Jakoż tak i było wistocie.

Gdzie tylko Jerzy Lubomirski nie zdołał zająć najwybitniejszego miejsca, gdzie mógł tylko dzielić się z innymi slawą i zasługą, tam rozdrażniona jego duma gotowa była położyć się wpoprzek i popsuć, złamać wszelkie zabiegi, choćby o zbawienie ojczyzny chodziło.

Był to wódz szczęśliwy i biegły, ale i pod tym względem przewyższali go inni niezmiernie, a wogóle zdolności jegom lubo niepospolite, nie szły w parze z ambicyą i chęcią znaczenia. Stąd wieczny niepokój wrzał w jego duszy, stąd wyrodziła się podejrzliwość, zazdrość które później doprowadziły go do tego, że dla Rzeczypospolitej stał się nawet od strasznego Janusza Radziwiłła zgubniejszym. Czarny duch, który mieszkał w Januszu, był zarazem i wielki, nie cofał się przed nikim i przed niczem; Janusz pragnął korony i świadomie szedł do niej przez groby i przez ruinę ojczyzny. Lubomirski byłby ją przyjął, gdyby ręce szlacheckie włożyły mu ją na głowę, ale mniejszą duszę mając, jasno i wyraźnie jej pożądać nie śmiał. Radziwiłł był jednak z takich mężów, których niepowodzenie do rzędu zbrodniarzy strąca, powodzenie do rzędu półbogów wynosi; Lubomirski był to wielki warchoł, który pracę dla zbawienia ojczyzny, w imię swej podrażnionej pychy, popsuć był zawsze gotów, nic w zamian zbudować, nawet siebie wynieść nie śmiał, nie umiał; Radziwiłł zmarł winniejszym, Lubomirski szkodliwszym.

Lecz wówczas, gdy w złocie, aksamitach i klejnotach szedł przeciw królowi, duma jego nasycona była dostatecznie. On to przecie pierwszy z magnatów przyjmował swego króla na swojej ziemi; on pierwszy brał niejako w opiekę, on go na tron zburzony miał prowadzić, on nieprzyjaciela wyżegnać, od niego król i kraj wszystkiego oczekiwali, na niego wszystkich oczy były zwrócone. Więc gdy zgadzało się z jego miłością własną, a nawet pochlebiało jej, wierność i służby okazywać, gotów był istotnie na ofiary i poświęcenia, gotów był nawet miarę w objawach czci i wierności przebrać.

Jakoż doszedłszy do wzgórza, na którem stał król, zerwał czapkę z rękojeści i począł, kłaniać się, śnieg jej brylantowem trzęsieniem zamiatać.

Król ruszył koniem nieco ku dołowi, następnie zatrzymał go, aby zsiąść dla powitania. Widząc to pan marszałek skoczył, strzemienia swemi dostojnemi rękoma potrzymać i w tej chwili szarpnąwszy za delię, zerwał ją z pleców i za przykładem angielskiego dworaka, rzucił pod nogi królewskie.

Rozrzewniony król otworzył mu ramiona i chwycił go jak brata w objęcia.

Przez chwile nic obaj nie mogli przemówić, lecz na ten wspaniały widok zawrzało jednym głosem, szlachta, lud, i tysiące czapek wyleciały w powietrze, huknęły wszystkie muszkiety, samopały i piszczele, działa z Lubomli ozwały się dalekim basem, aż zatrzęsły się góry, zbudziły wszystkie echa i poczęły biegać wokół obijać się o ciemne ściany borów o skały i urwiska i lecieć z wieścią do dalszych gór, dalszych skał...

— O Panie marszałku — rzekł król, — tobie restauracyę królestwa będziem zawdzięczać!

— Miłościwy panie! — odpowiedział Lubomirski, — fortunę moją, życie, krew, wszystko składam u nóg waszej kr. mości!

— Vivat! Vivat! Joannes Casimirus rex!.. — grzmiały okrzyki.

— Niech żyje król, ojciec nasz! — wołali górale.

Tymczasem panowie, jadący z królem, otoczyli marszałka, lecz on nie odstępował osoby pańskiej. Po pierwszych powitaniach król znowu siadł na koń, a pan marszałek, nie chcąc znać granic w gościnności i czci dla majestatu, chwycił za lejce i sam idąc pieszo, prowadził króla wśród szeregów wojsk i głuszących okrzyków aż do pozłocistej, zaprzężonej w ośm tarantów karety, do której majestat pański siadł wraz z nuncyuszem papieskim Widontem.

Biskupi i dygnitarze pomieścili się w następnych, poczem ruszono zwolna do Lubomli. Pan marszałek jechał przy oknie królewskiej karety, pyszny i rad z siebie, jakby go już ojcem ojczyzny okrzyknięto.

Po dwóch bokach szły gęsto wojska, śpiewając pieśń brzmiącą w następnych słowach:

Sieczże Szwedów siecz,
Wyostrzywszy miecz.

Bijże Szwedów, bij,
Wziąwszy tęgi kij.

Walże Szwedów, wal,
Wbijaj ich na pal.

Męczże Szwedów, męcz,
I jak możesz, dręcz.

Łupże Szwedów, łup,
I ze skóry złup.

Tnijże Szwedów, tnij,
To ich będzie mniej.

Topże Szwedów, top,
Jeślić dobry chłop*).

Niestety, wśród powszechnej radości i uniesienia, nie przewidywał nikt, że później, tę samą pieśń zmieniwszy Szwedów na Francuzów, będą śpiewały też same wojska Lubomirskiego, zbuntowane przeciw swemu prawowitemu królowi i panu.

Ale teraz było jeszcze do tego daleko. W Lubomli huczały działa na powitanie, aż wieże i blanki pokryły się dymem, dzwony biły jakby na pożar. Dziedziniec, na którym wysiadł król, krużganek i schody zamkowe wysłane były suknem czerwonem. W wazach z Włoch sprowadzonych paliły się wschodnie aromaty. Większą część skarbów Lubomirskich, kredensów złotych i srebrnych, makat, kobierców, gobelinów misternie flamandzkiemi rękoma tkanych, statui, zegarów, szaf klejnotami zdobnych, biur perłową macicą i bursztynem wykładanych, sprowadzono już wcześniej do Lubomli, aby je uchronić przed drapieżnością szwedzką; teraz zaś wszystko to było rozstawione, rozwieszone, ćmiło oczy i zmieniało ów zamek w jakąś czarodziejską rezydencyę. I pan marsza-

*) Pieśń te pt. "Przydumek Panom Francuzom," śpiewano pod Matwami.

tek umyślnie roztoczył taki, sułtana godny przepych, aby okazać królowi, że chociaż wraca jako wygnaniec, bez pieniędzy, bez wojska, nie posiadając prawie szat do zmiany, przecie jest panem potężnym, mając sług tak potężnych i równie wiernych. Zrozumiał ową intencyę król i serce wezbrało mu wdzięcznością, co chwila więc brał marszałka w ramiona, ściskał go za głowę, a dziękował. Nuncyusz, lubo przepychów zwyczajny, zdumiewał się głośno nad tem, co widział i słyszano go, jak mówił do hrabiego Apotyngen, że dotąd nie miał pojęcia o potędze króla polskiego i że widzi, iż poprzednie klęski były tylko chwilową odmianą fortuny, która wprędce zmienić się musi.

Do uczty, która po wypoczynku nastąpiła, król zasiadł na wywyższeniu, a pan marszałek sam mu usługiwał, nie pozwalając nikomu się zastąpić. Po prawicy króla wziął miejsce nuncyusz Widon, po lewicy ksiądz prymas Leszczyński, dalej po obu stronach dygnitarze duchowni i świeccy, jako ksiądz biskup krakowski, poznański, ksiądz arcybiskup lwowski, dalej łucki, przemyski, chełmiński, ksiądz archidyakon krakowski, dalej pieczętarze koronni i wojewodowie, których ośmiu się zebrało i kasztelani i referendarze, a z oficerów zasiadł do uczty pan Woyniłłowicz, pan Wiktor, pan Stabkowski i pan Baldwin Szruski, lekkiego znaku imienia Lubomirskich przywódca.

W drugiej sali stół był zastawiony dla szlachty pomniejszej, a obszerny cekhauz dla ludu prostego, wszyscy bowiem mieli się w dzień przybycia pańskiego weselić.

A przy wszystkich stołach nie było o niczem innem rozmowy, tylko o powrocie króla, o strasznych przygodach, które w drodze zaszły i w których ręka Boża króla broniła. Sam Jan Kazimierz począł mówić o bitwie w wąwozie i wysławiać owego kawalera, który pierwszy impet szwedzki powstrzymał.

— A jakże mu tam? — pytał pana marszałka.

— Medyk go nie odstępuje i za żywot jego ręczy, a przytem i panny z fraucymera wzięły go w opiekę i pewnie duszy jego wyjść z ciała nie pozwolą, bo ciało młode, gładkie! — odpowiedział wesoło marszałek.

— Chwała Bogu! — zawołał król. — Słyszałem ja z ust jego coś, czego waszmościom nie powtórzę, bo mi się samemu zdaje, żem

się przesłyszał, albo że on w delirium tak mówił, ale jeśli się to pokaże, dopiero waszmościowie będziecie się zdumiewać.

— Byle nic takiego nie było, — rzekł — coby — waszą kr. mość zasępić mogło?

— Zgoła nic takiego! — rzekł król — owszem ucieszyło nas to niepomiernie, bo się okazuje, że ci nawet, których za największych nieprzyjaciół mieliśmy racyę uważać, krew w przygodzie za nas przelać gotowi.

— Miłościwy panie! — zakrzyknął pan marszałek — czas poprawy nadszedł, ale pod tym dachem wasza kr. mość między takimi się znajduje, którzy nigdy nawet i myślą przeciw jej majestatowi nie zgrzeszyli.

— Prawda, prawda! — odpowiedział król — a wy, panie marszałku, w pierwszym rzędzie!

— Sługam lichy waszej kr. mości.

Przy stole zwolna począł powstawać gwar coraz większy. Nastąpiły rozmowy o konjunkturach politycznych, o spodziewanej dotąd napróżno pomocy cesarza niemieckiego, o posiłkach tatarskich i przyszłej wojnie ze Szwedami. Nowa nastąpiła radość, gdy pan marszałek oświadczył, iż wysłany przez niego umyślnie poseł do chana powrócił właśnie przed paroma dniami i sprawdził, że czterdzieści tysięcy ordy stoi w gotowości, a może być i sto, jak tylko król zjedzie do Lwowa i układ z chanem zawrze. Tenże sam poseł doniósł, że i Kozactwo pod grozą Tatarów nawróciło się do posłuszeństwa.

— O wszystkiem myśleliście, panie marszałku, — rzekł król — tak, jak i my sami lepiejbyśmy nie myśleli!

W tem porwał za kielich i zawołał:

— Zdrowie pana marszałka koronnego, naszego gospodarza i przyjaciela!

— Nie może być, miłościwy panie! — krzyknął marszałek — niczyje tu zdrowie nie może być pierwej pite od zdrowia waszej kr. mości!

Wszyscy powstrzymali do pół już wzniesione puhary, zaś Lubomirski rozradowany, spotniały, skinął na swego własnego marszałka kredencerza.

Na ten znak skoczyła służba, rojąca się po sali i poczęła rozlewać nanowo malmazyę, czerpaną złoconemi konwiami ze szczero-

srebrnej beczki. Ochota zaraz uczyniła się jeszcze większa i wszyscy czekali tylko na toast pana marszałka.

Mistrz kredencerz przyniósł tymczasem dwa puhury z weneckiego kryształu, roboty tak cudnej, że za ósmy cud świata mogły uchodzić. Krzysztal ich drążony i polerowany do cienka może przez lata cała, rzucał iście dyamentowe blaski; nad oprawą pracowali mistrze włoscy. Podstawy były ze złota rzeźbionego w drobne figurki, przedstawiające wjazd zwycięzkiego wodza na Kapitol. Jechał więc wódz w rydwanie złocistym, po drodze moszczonej perełkami. Za nim szli jeńcy ze skrępowanemi rękoma; król jakiś w zawoju z jednego szmaragda uczynionym, dalej ciągnęli legioniści ze znakami i orłami. Przeszło pięćdziesiąt figurek mieściło się na każdej podstawie, drobniutkich, wzrostem na orzech laskowy, ale wyrobionych tak cudnie, że rysy twarzy i uczucia każdej mogłeś odgadnąć, dumę zwyciężców i pognębienie zwyciężonych. Łączyły podstawę z kielichem filigrany złote, jako włosy cienkie, powyginane dziwnym kunsztem w liście winne, grona i rozmaite kwiaty. Owe filigrany wiły się naokoło kryształu, łącząc się w górze w jedno koło, rąbek puharu stanowiące, kamieniami o siedmiu kolorach sadzone.

Podał więc mistrz-kredencerz jeden taki puhar królowi, drugi panu marszałkowi, oba napełnione małmazyą. Wówczas powstali wszyscy ze swych miejsc, a pan marszałek wzniósł puhar i krzyknął, ile mu głosu w piersiach starczyło:

— Vivat Joannes Casimirus Rex!

— Vivat! vivat! vivat!

W tej chwili znów huknęły działa, aż ściany zamkowe się zatrzęsły. Szlachta ucztująca w drugiej sali wpadła z kielichami; chciał pan marszałek perorować, nie było sposobu, bo słowa ginęły w ustawicznym krzyku: "Vivat! vivat! vivat!"

Marszałka taka opanowała radość, takie uniesienie, że aż dzikość błysnęła mu w oczach i wychyliwszy swój kielich, krzyknął tak, że nawet wśród powszechnego rozgardyaszu było go słychać:

— Ego ultimus (ja ostatni!...)

To rzekłszy, palnął się owym bez ceny kielichem w głowę, aż kryształ rozprysnął się w setne okruchy, które z dźwiękiem upadły na podłogę, a skronie magnata krwią się oblały.

Zdumieli się wszyscy, król za rzekł:

— Panie marszałku, szkoda nam nie kielicha, ale głowy... Siła nam na niej zależy!

— Za nic mi skarby i klejnoty! — zawołał marszałek — gdy mam honor waszą kr. mość w domu moim przyjmować. Vivat Joannes Casimirus Rex!

Tu kredencerz podał mu drugi kielich.

— Vivat! vivat! vivat! — brzmiało ciągle i bez ustanku.

Dźwięk rozbijanego szkła mieszał się z okrzykami. Tylko biskupi nie poszli śladem marszałka, bo powaga duchowna broniła.

Lecz nuncyusz papieski, nie świadom owego zwyczaju tłuczenia szkła o głowy, pochylił się do siedzącego obok księdza biskupa poznańskiego i rzekł:

— Dla Boga! zdumienie mnie ogarnia... Toż w skarbie waszym pustki, a za taki jeden kielich możnaby dwa słuszne regimenty wojska wystawić i utrzymać!

— Tak u nas zawsze, — odrzekł, kiwając głową ksiądz biskup poznański — kiedy ochota w sercach wzbierze, to i miary w niczem niemasz.

Jakoż ochota coraz była większa. Przy końcu uczty jaskrawa łuna uderzyła w okna zamku.

— Co to jest? — spytał król.

— Miłościwy panie! Proszę na widowisko! — rzekł marszałek. I chwiejąc się nieco, prowadził pana do okna. Tam cudny widok uderzył ich oczy. Dziedziniec oświecony był jak w dzień. Kilkadziesiąt beczek ze smołą rzucało jasnożółte blaski na bruk, wyprzątnięty ze śniegu i wysypany igłami świerków górskich. Gdzieniegdzie paliły się i kufy okowity rzucając światło błękitne, do niektórych sól wsypywano, by świeciły czerwono.

Rozpoczęło się widowisko: najprzód ścinali rycerze głowy tureckie, gonili do pierścienia i z sobą na ostre, potem psy liptowskie zażerały niedźwiedzia, potem góral jeden, rodzaj górskiego Samsona, rzucał kamieniem młyńskim i takowy w powietrzu chwytał. Północ położyła dopiero koniec tym zabawom.

Tak wystąpił pan marszałek koronny, chociaż Szwedzi był jeszcze w kraju.

## XL.

Wśród uczt i wśród natłoku zjeżdżających się coraz nowych dygnitarzy, szlachty i rycerstwa, nie zapomniał jednak dobry król o swym wiernym słudze, który w wąwozie górskim tak śmiele na miecze szwedzkie pierś nadstawił, i na drugi dzień po przybyciu do Lubomli odwiedził rannego pana Andrzeja. Zastał go przytomnym i niemal wesołym, choć bladym, jak śmierć, gdyż szczęśliwym trafem młody junak żadnej ciężkiej rany nie otrzymał i tylko krwi z niego dużo uszło.

Na widok pana podniósł się nawet Kmicic na łożu i usiadł, a choć król począł nalegać, by się położył znowu, przecie nie chciał tego uczynić.

— Miłościwy panie, — rzekł — za parę dni już i na koń siądę i z waszą królewską mością, za łaskawem pozwoleniem, dalej pojadę, gdyż sam to czuję, że mi nic nie jest.

— Musieli cię przecie okrutnie poszczerbić... Jakoż to niesłychana rzecz, ażeby jeden na tylu uderzał.

— Nieraz mi się już to trafiało, bo tak mniemam, że w złym razie szabla i rezolucya to grunt... Ej, miłościwy panie! jużby tych szczerb, które na mojej skórze przyschły, i na wołowej skórze nie zliczyć. Takie moje szczęście!

— Ba szczęście nie narzekaj, bo widać leziesz naoślep tam, gdzie nietylko szczerby, ale i śmierć rozdają. Od jakże to dawna wojenny proceder praktykujesz? Gdzieś się przedtem popisywał.

Przelotny rumieniec zabarwił bladą twarz pana Kmicica.

— Miłościwy panie! Jamto przecie Chowańskiego podchodził, gdy wszyscy już ręce opuścili i cena za moją głowę była naznaczona.

— Słuchajno, — rzekł nagle król — powiedziałeś mi dziwne słowo w owym wąwozie, alem myślał, że cię delirium chwyciło i rozum ci się pomieszał. Teraz znów mówisz, żeś to ty Chowańskiego podchodził. Ktoś ty jest? Zaliś ty naprawdę nie Babinicz? Wiadomo nam kto Chowańskiego podchodził!

Nastała chwila milczenia, wreszcie młody rycerz podniósł wynędzniałą twarz i rzekł:

— Tak jest, miłościwy panie!... Nie delirium przezemnie mówi, jeno prawda; jamto Chowańskiego szarpał, od której wojny imię

moje w całej Rzeczypospolitej zasłynęło... Jam jest Andrzej Kmicic, chorąży orszański...

Tu pan Kmicic przymknął oczy i bladł coraz więcej, lecz gdy król milczał zdumiony, tak dalej więcej, lecz gdy król milczał zdumiony, tak dalej mówić począł:

— Jam, miłościwy panie, ów banit, przez Boga i ludzkie sądy potępion za zabójstwa i swawolę, jam to Radziwiłłowi służył i wraz z nim ciebie, miłościwy panie i ojczyznę zdradził, a teraz rapierami skłóty, końskiemi kopytami stratowan, podnieść się niemocen, biję się w piersi, powtarzam: "mea culpa! mea culpa (moja wina)!" i miłosierdzia twego ojcowskiego błagam... Przebacz mi, panie, bom sam własne dawne uczynki przeklął i z tej piekielnej drogi dawno nawrócił.

I łzy puściły się z oczu rycerza, a drżącemi rękoma począł szukać dłoni królewskiej. Jan Kazimierz zaś dłoni wprawdzie nie cofnął, lecz sposępniał i rzekł:

— Kto w tym kraju koronę nosi, niewyczerpaną winien mieć przebaczenia gotowość, przeto i tobie, zwłaszcza, żeś w Jasnej górze i nam w drodze wiernie służył, a piersi nadstawiał, gotowiśmy winy odpuścić...

— Więc odpuść, miłościwy panie!... Skróć moją mękę.

— Jednego tylko nie możem ci zapomnieć, żeś wbrew cnocie tego narodu, podniesieniem ręki na majestat dotąd nieskalanej, ofiarował się księciu Bogusławowi porwać nas i żywych lub umarłych w szwedzkie ręce wydać!

Kmicic, choć przed chwilą sam mówił, że podnieść się niemocen zerwał się z łoża, chwycił wiszący nad niem krycyfiks i z wypiekami na twarzy, z oczyma płonącemi gorączką, dysząc szybko, tak mówić począł:

— Na zbawienie duszy rodzica mego i mojej matki, na te rany Ukrzyżowanego, to nieprawda!... Jeśli do tego grzechu się poczuwam, niech Bóg mnie zaraz nagłą śmiercią i wiecznym ogniem ukarze. Panie mój jeśli mi nie wierzysz, to zedrę owe bandaże, niech się krew moja wyleje, której reszty Szwedzi nie wypuścili. Nigdym się nie ofiarował. Nigdy taka myśl w głowie mojej nie postała. Za królestwa świata tego nie byłbym nigdy podobnego uczynku się dopuścił... Amen! na tym krzyżu, amen, amen!

I cały począł się trząść z uniesienia i gorączki.

— Więc książę zmyślił? — zapytał zdumiony król — dlaczego? poco?

— Tak, miłościwy panie, zmyślił... To jego pomsta piekielna na mnie za to, com mu uczynił.

— Cóżeś mu uczynił?

— Porwałem go z pośród jego dworu, z pośród wszystkiego wojska i chciałem związanego do nóg waszej kr. mości rzucić.

Król przeciągnął dłonią po czole.

— Dziw, dziw! — rzekł — wierzę ci, ale nie pojmuję. Jakżeto? Januszowi służyłeś, a Bogusława porwałeś, któren mniej zawinił i chciałeś go związanego do mnie przywozić?...

Kmicic chciał odpowiedzieć, lecz król spostrzegł w tej chwili bladość i zmęczenie, więc rzekł:

— Odpocznij, a później mów wszystko od początku. Wierzym ci, oto nasza ręka!

Kmicic przycisnął ją do ust i przez jakiś czas milczał, bo mu tchu brakło, patrzył tylko w oblicze pana z niezmierną miłością, lecz wreszcie zebrał siły i tak mówić począł:

— Opowiem wszystko od początku. Wojowałem z Chowańskim, ale i swoim byłem ciężki. W części musiałem ludzi krzywdzić i co mi było potrzeba brać, w części czyniłem to ze swawoli, bo się krew burzyła we mnie... Kompanionów miałem, godną szlachtę, ale nie lepszych ode mnie... Tu i owdzie kogoś się usiekło, tu i owdzie z dymem puściło... tu i owdzie batożkami po śniegu pognało... Wszczęły się hałasy. Gdzie jeszcze nieprzyjaciel nie dosięgnął, tam do sądów się udawano. Przegrywałem zaocznie. Wyroki zapadały jeden po drugim, alem sobie z tego nic nie robił, jeszcze dyabeł mi pochlebiał i szeptał, żeby pana Łuszcza przewyższyć, któren wyrokami lerezyę sobie podbić kazał, a przecie sławion był i dotąd imię jego sławne.

— Bo pokutował i umarł pobożnie — zauważył król.

Kmicic spocząwszy nieco, tak dalej mówił:

— Tymczasem pan pułkownik Billewicz — wielki to ród na Żmudzi ci Billewicze — wyzuł znikomą postawę i na lepszy świat się przeniósł, a mnie wioskę i córkę zapisał. Nie dbam o wioskę, bo w ustawicznych podchodach pod nieprzyjaciela niemało się złupiło i nietylko, żem zagarniętą przez inkursyę nieprzyjacielską fortunę restaurował, alem jej i przysporzył. Mam jeszcze w Częstochowie z tego tyle, że i dwie wioski mógłbym kupić i nikogo o

chleb nie potrzebuję prosić... Gdy jednak partya mi się sterała, pojechałem na zimowe leże w laudańską stronę. Tam dziewka nieboga tak mi do serca przywarła, żem o świecie bożym zapomniał. Cnota i uczciwość jest w tej pannie taka, że mi wstyd był wobec niej dawniejszych uczynków. Ona też do grzechu wrodzoną abominacyę mając, poczęła nastawać, abym dawny żywot porzucił, hałasy uciszył, krzywdy nagrodził i poczciwie żyć począł...

— I poszedłeś za jej radą?

— Gdzie tam, miłościwy panie! Chciałem, co prawda, Bóg widzi, chciałem... Ale stare grzechy człowieka ścigają. Najprzód mi w Upicie żołnierzy poszarpano, za com miasto w dymem puścił...

— Na Boga! Toż to kryminał! — rzekł król.

— Nic to jeszcze, miłościwy panie! Potem mi kompanionów, godnych kawalerów, chociaż swawolników, laudańska szlachta wysiekła. Nie mogłem nie pomścić, więcem tej samej nocy zaścianek Butrymów napadł, ogniem i mieczem zabójstwo ukarałem... Ale mnie pobito, bo ich tam kupa szaraków siedzi. Musiałem się kryć. Dziewka już i patrzeć na mnie nie chciała, bo owi szaraczkowie byli jej ojcami opiekunami, testamentem postanowionymi. A mnie serce tak do niej ciągnęło, że choć ty łbem tłucz! Nie mogąc bez niej żyć, zebrałem nową partyę i zbrojną ręką ją wziąłem.

— Bogdaj cię!... I Tatar inaczej w zaloty nie chodzi!

— Hultajska to była sprawa, przyznaję. To też mnie Bóg przez ręce pana Wołodyjowskiego pokarał, który zebrawszy ową szlachtę, dziewkę mi wydarł, a samego usiekł, tak, że ledwiem tam duszy nie wypuścił. Stokroćby to lepiej było dla mnie, bo nie byłbym się z Radziwiłłem sprzągł ku zgubie majestatu i ojczyzny. Ale jak mogło być inaczej? Wszczął się nowy proces... Kryminał, gardłowa sprawa. Sam już nie wiedziałem co czynić, gdy nagle wojewoda wileński przyszedł mi z pomocą.

— On cię osłonił?

— On mi list zapowiedni przez tegoż pana Wołodyjowskiego przysłał, a przez to pod inkwizycyę hetmańską poszedłem i sądów mogłem się nie bać. Chwyciłem się tedy wojewody, jako deski zbawienia. Wnet postawiłem na nogi chorągiew z samych zabijaków na całą Litwę znanych. Lepszej we wszystkiem wojsku nie było... Poprowadziłem ją do Kiejdan. Tam Radziwiłł jak syna mnie przyjął, pokrewieństwo przez Kiszków przypomniał i osłonić obiecał. Miał już swoje widoki... Trzeba mu było rezolutów na

wszystko gotowych, a ja, prostak, jako na lep lazłem. Nim jego zamysły wyszły na wierzch, kazał mi na krucyfiksie poprzysiądz, że go nie opuszczę w żadnym terminie. Myśląc, że o wojnę ze Szwedami, albo z septentrionami chodzi, przysiągłem chętnie. Aż nastała owa uczta straszna, na której ugodę kiejdańską podpisano. Zdrada okazała się jawnie. Inni pułkownicy buławy hetmanowi pod nogi ciskali, a mnie przysięga, jako psa łańcuch, trzymała i nie mogłem go odstąpić...

— Alboż nie przysięgli na wierność nam ci wszyscy, którzy nas potem odstąpili?... — rzekł ze smutkiem król.

— Ja też, choć buławy nie rzuciłem, nie chciałem w zdradzie rąk maczać. Com wycierpiał, miłościwy panie, Bóg jeden wie. Wiłem się z boleści, jakby mnie żywym ogniem palono, bo i dziewka moja, chociaż już po owym rapcie traktat między nami stanął, teraz nie zdrajcą okrzyknęła, jako plugawym gadem pogardziła... A jam przysiągł, jam przysiągł nie opuszczać Radziwiłła... O! ona, miłościwy panie, choć niewiasta, rozumem męża zawstydzi, a w wierności dla waszej kr. mości nikomu nie da się wyprzedzić!

— Boże jej błogosław! — rzekł król. — Za to ją kocham!

— Ona myślała, że mnie na partyzanta majestatu i ojczyzny przerobi, a gdy na nic poszła ta robota, wtedy tak się na mnie zawzięła, że ile było dawniej afektu, tyle nienawiści powstało. Tymczasem Radziwiłł zawołał mnie przed siebie i jął przekonywać. Wyłuszczył mi jako dwa a dwa cztery, że dobrze uczynił, że w ten tylko sposób mógł ojczyznę upadającą ratować. Nawet i nie potrafię powtórzyć jego racyi, tak były wielkie, taką szczęśliwość ojczyźnie obiecywały! Stokroć mędrszego byłby przekonał, cóż dopiero mnie, prostaka, żołnierza, on taki statysta! To mówię waszej królewskiej mości, żem się go chwycił obu rękoma i sercem, bom myślał, że wszyscy ślepi, tylko on jeden prawdę widzi, wszyscy grzeszni, jeno on jeden zacny. I byłbym za niego w ogień skoczył, jako teraz za waszą królewską mość, bo ni przez pół służyć, ni przez pół miłować nie umiem...

— Widzę, że to tak jest! — zauważył Jan Kazimierz.

— Posługi oddałem mu znaczne,— — mówiłem ponuro Kmicic — i to mogę rzec, że gdyby nie ja, toby i owa zdrada żadnych fruktów jadowitych wydać nie mogła, bo jego własne wojsko na szablach by go rozniosło. Już się do tego miało. Już szli dragoni i węgierskie piechoty i lekkie znaki, już jego Szkotów na szable

brali, gdym ja skoczył z mymi ludźmi i starłem ich w mgnieniu oka. Ale zostały inne chorągwie na konsystencyach stojące. I te znosiłem. Jeden pan Wołodyjowski z więzienia się wydobył i swoich laudańskich ludzi na Podlasie cudem i nadludzką rezolucyą wywiódł, aby się z panem Sapiehą połączyć. Niedobitkowie zebrali się tam w znacznej liczbie, ale co przedtem dobrych żołnierzów zginęło za moją przyczyną — Bóg jeden zliczy. Jako na spowiedzi prawdę wyznaję. Pan Wołodyjowski w przejściu na Podlasie samego mnie pochwycił i żywić nie chciał. Ledwiem z jego rąk wyszedł, za przyczyną listów, które przy mnie znaleźli, a z których okazało się, że gdy jeszcze był w więzieniu i gdy książę chciał go rozstrzelać, tom ja za nim instancyę natarczywie wnosił. Puścił mnie tedy wolno, ja zaś wróciłem do Radziwiłła i służyłem dalej. Ale już mi gorzko było, już się dusza we mnie na niektóre uczynki księcia wzdrygała, bo niemasz w nim ani wiary, ani uczciwości, ani sumienia, a ze słowa własnego tyle sobie robi, ile król szwedzki. Począłem mu tedy skakać do oczu. On też burzył się przeciw mej zuchwałości. Nakoniec mnie z listami wyprawił...

— Dziw, jak ważne rzeczy mówisz — rzekł król. — Przynajmniej raz wiemy od naocznego świadka, który pars magna fuit, jak się to tam odbyło...

— Prawda, że pars magna fuit — odpowiedział Kmicic. — Ruszyłem z listami ochotnie, bom już nie mógł na miejscu usiedzieć. W Pilwiszkach napotkałem księcia Bogusława. Bodaj go Bóg wydał w moje ręce, do czego wszystkich sił przyłożę, aby go za oną potwarz pomsta moja nie minęła! Nietylko, żem mu się z niczem nie ofiarował, miłościwy panie, nietylko to jest łgarstwo bezecne, alem się właśnie tam nawrócił, nagą całą bezecność tych heretyków ujrzawszy.

— Powiadaj żywo, jak to było, bo nam tu przedstawiono jakoby książę Bogusław z musu jeno bratu sekundował.

— On, miłościwy panie? On gorszy od Janusza, a w czyjej się głowie naprzód zdrada wylęgła? Czy nie on pierwszy księcia hetmana skusił, koronę mu ukazując? Bóg to na sądzie rozstrzygnie. Tamten przynajmniej symulował i bono publico się zasłaniał, Bogusław zaś, wziąwszy mnie za arcyszelmę, całą duszę mi odkrył. Strach powtarzać co mi rzekł. ... "Rzeczpospolitą waszą (powiada) dyabli muszą wziąć, ale to postaw czerwonego sukna, my zaś nietylko do ratunku ręki nie przyłożym, lecz jeszcze ciągnąć będziem,

by nam się najwięcej w garści zostało... Litwa nam (powiada) musi zostać, a po bracie Januszu ja czapkę wielkoksiążęcą wdzieję, z jego się córką ożeniwszy."

Król zasłonił sobie oczy.

— Męko Pana naszego! — rzekł. — Radziwiłłowie, Radziejowski, Opaliński... Jakże się nie miało stać, co się stało... Korony im było trzeba, choćby rozerwać to, co Bóg złączył...

— Zdrętwiałem i ja, miłościwy panie! Wodem na łeb lał, by nie oszaleć. Ale się dusza zmieniła we mnie w jednej chwili, jakoby w nią piorun trzasł... Sam się roboty własnej przeląkłem. Nie wiedziałem co czynić... Czy Bogusława, czy siebie nożem pchnąć?... Ryczałem jak dziki zwierz, bo w taką matnię mnie zapędzono! Już nie służby dalszej u Radziwiłłów, lecz pomsty pragnąłem. Bóg nagle dał mi myśl, poszedłem z kilku ludźmi do kwatery księcia Bogusława, wywiodłem go za miasto, porwałem za łeb i do konfederatów chciałem wieść, by się do nich i do służby waszej kr. mości wkupić za cenę jego głowy.

— Wszystko ci przebaczam! — krzyknął król — bo cię obłąkali, aleś im wypłacił! Jeden Kmicic mógł się na to zdobyć, nikt więcej. Wszystko ci za to przebaczam i z serca odpuszczam, jeno powiadaj żywo, bo mnie ciekawość pali: wyrwał się?...

— Przy pierwszej stacyi wyrwał mi krócicę z za pasa... i w gębę strzelił... Ot! ta blizna... Ludzi moich pobił sam jeden i uszedł... Rycerz to znamienity... trudno przeczyć, ale się spotkamy jeszcze, choćby to miała być ostatnia moja godzina!...

Tu Kmicic jął szarpać kołdrę, którą był okryty, lecz król przerwał prędko:

— I przez zemstę wymyślił na ciebie ów list?

— I przez zemstę przysłał ten list. Z rany się w lesie podgoiłem, ale dusza gorzej bolała... Do Wołodyjowskiego, do konfederatów, nie mogłem już iść, bo laudańscy na szablachby mnie roznieśli... Wszelako wiedząc, że książę hetman ma przeciw nim ciągnąć, ostrzegłem ich, by się kupy trzymali. I to był pierwszy mój dobry uczynek, bo inaczej byłby ich Radziwiłł chorągiew po chorągwi wygniótł, a teraz oni jego zmogli i w oblężeniu, jak słyszę, trzymają. Niechże im Bóg pomaga, a na niego karę ześle, amen!

— Może już się to stało, a jeśli nie, to stanie się pewnie — rzekł król. Cóżeś dalej robił?

Postanowiłem, nie mogąc u konfederatów waszej kr. mości służyć, do osoby jego się dostać i tam wiernością dawne winy odpokutować. Ale jakże miałem iść? Ktoby Kmicica przyjął? ktoby mu uwierzył? ktoby go zdrajcą nie zakrzyknął? Więcem Babinicza imię przybrał i całą Rzeczpospolitą przejechawszy, co Częstochowy się dostałem. Czylim tam jakie zasługi położył, niech ksiądz Kordecki zaświadczy. Dniem i nocą myślałem tylko o tem, by szkody ojczyźnie nagrodzić, krew za nią wylać, samemu do sławy i uczciwości powrócić. Resztę już, miłościwy panie, wiesz, boś na nią patrzył. A jeśli ojcowskie dobrotliwe serce do tego cię skłania, jeśli ona nowa służba dawne grzechy przeważyła, albo choć zrównała, to przyjm mnie, panie, do łaski swej i serca, bo mnie wszyscy odstąpili, bo nikt mnie nie pocieszy prócz ciebie... Ty, panie, jeden widzisz mój żal i moje łzy!... Jam banit, jam zdrajca, jam krzywoprzysięzca, a przecie, panie, ja miłuję tę ojczyznę i twój majestat... Bóg widzi, że chcę służyć wam obojgu!

Tu łzy rzewne puściły się z oczu junaka i aż zanosił się od płaczu, a król, ojciec dobrotliwy, chwycił go za głowę, począł całować w czoło i pocieszać:

— Jędrek! takiś mi miły, jako syn rodzony... Com ci mówił? Tyś zgrzeszył w zaślepieniu, a iluż grzeszy z rozmysłem?... Z serca odpuszczam ci wszystko, boś już winy zmazał. Uspokój się, Jędrek! Niejeden radby się takiemi zasługami, jako są twoje, poszczycić... Boga mi! I ja odpuszczam i ojczyzna odpuszcza, jeszcze ci dłużni będziemy! Przestań lamentować.

— Bóg niech waszej kr. mości da wszystko dobre za takową kompasyę! — mówił ze łzami rycerz. — Przecie ja i tak jeszcze, miłościwy panie, muszę odpokutować na tamtym świecie za oną przysięgę Radziwiłłowi daną, bo chociażem nie wiedział, na com przysięgał, przecie przysięga przysięgą.

— Nie potępi cię Bóg za nią — odrzekł król, — bo musiałby chyba pół Rzeczypospolitej do piekła wysłać, tych wszystkich mianowicie, którzy nam wiarę złamali.

— Myślę i ja, miłościwy królu, że do piekła nie pójdę, bo mi za to i ksiądz Kordecki zaręczał, choć nie był pewien, czy mnie i czyściec minie. Ciężkato rzecz z jakie sto lat się prażyć... No, ale niechby tam już! Człek siła zniesie, gdy mu nadzieja zbawienia świeci, a przytem i modlitwy mogę coś wskórać i mękę skrócić.

— Jeno się nie troskaj! — rzecze Jan Kazimierz. — Wyrobię

ja to u samego nuncyusza, by mszę na twoją intencyę odprawił... Przy takich promocyach nie stanie ci się wielka krzywda... Ufaj w miłosierdzie Boże!

Kmicic uśmiechnął się przez łzy.

— Jeszcze też! — rzekł — da Bóg do sił wrócić, to się i z niejednego Szweda duszę wyłusknie, a przezto nietylko w niebie będzie zasługa, ale się i ziemską reputacyę poprawi.

— Bądź dobrej myśli i o sławę doczesną się wcale nie turbuj. Ja w tem, by cię nie ominęło, co należy. Przyjdą spokojniejsze czasy, sam będę zasługi twe promulgował, które już są niemałe, a pewno będą jeszcze większe. I na sejmie, da Bóg, ową materyę każę poruszyć, a tak do czci powrócon być musisz.

— Bo to, miłościwy panie i ojcze, niech się jeno uspokoi trochę, albo i przedtem jeszcze, sądy będą szarpały, od czego mnie i powaga w. kr. mości osłonić nie zdoła. Ale już mniejsza z tem!... Nie dam się, dopóki pary w nozdrzach, a szabli w garści... jeno mi o tę dziewkę chodzi. Oleńka jej na imię, miłościwy panie! Oj, siła czasu się jej nie widziało! Oj, siła przecierpiało się bez niej i przez nią, a choć człek sobie czasem chce ją wybić z serca i z afektem jako niedźwiedziem się boryka, na nic to, bo taki syn, niepuszcza!

Jan Kazimierz roześmiał się wesoło i dobrotliwie.

— Cóż ja ci na to, nieboże, poradzę?

— Któż poradzi, jeśli nie wasza kr. mość! Zabita to regalistka z tej dziewki i nigdy mi ona moich kiejdańskich uczynków nie daruje, chybabyś w kr. mość sam instancyę wniósł za mną i dał mi świadectwo, jakom się odmienił i do służby majestatu i ojczyzny powrócił, nie przymuszon, chlebami żadnemi nie skaptowan, ale z własnej woli i skruchy.

— Jeślić o to chodzi, to i ja instancyę wniosę, a jeśli ona taka regalitka, jako powiadasz, to i instancya powinna być skuteczna. Byle tylko dziewka wolna była i byle ją zła jakowa przygoda, jakto w czasie wojennym się trafia, nie spotkała...

— Anieli ją ustrzegą!

— Bo tego i warta. Żeby cię zaś sądy nie szarpały, uczynisz tak: będą teraz na gwałt iść zaciągi; skoro, jak mówisz, bezecność na tobie cięży, nie mogę ci dać listu zapowiedniego jako Kmicicowi, ale dam ci list jako Babiniczowi; będziesz zaciągał tedy i ty, co i na pożytek ojczyźnie wyjdzie, boś widać żołnierz ognisty i do-

świadczony.... Ruszysz w pole pod panem kasztelanem kijowskim; pod nim o śmierć najłatwiej, ale i o okazyę do sławy najłatwiej. A zajdzie potrzeba, to i na swoją rękę zaczniesz Szwedów podchodzić, jakoś Chowańskiego podchodził. Twoje nawrócenie i dobre uczynki poczęły się od tego, żeś się Babiniczem przezwał... Zwijże się tak i dalej, to i sądy ostawią cię w spokoju. A gdy jak słońce zajaśniejesz, gdy o twoich zasługach w całej Rzeczypospolitej będzie głośno, wtedy niech się ludzie dowiedzą, kto jest ów przesławny kawaler. Jaki taki zawstydzi się wówczas tak wielkiego rycerza przed sądy ciągać... Przez ten czas drudzy poginą, trzecich załagodzisz... Niemało i aktów się zawieruszy, a ja ci to jeszcze raz przyrzekam, że zasługi twoje pod niebo wyniosę i sejmowi do nagrody przedstawię, boś w moich oczach już wart tego.

— Miłościwy panie!... Czym ja na tyle łaski zasłużył?

— Więcej, niż niejeden, który myśli, że ma do niej prawo. No, no! nie frasujże się, miły regalisto, bo tak ufam, że i regalistka cię nie minie, a da Bóg, to mi wkrótce więcej jeszcze regalistów przysporzycie...

Kmicic, choć chory, zerwał się nagle z łoża i upadł jak długi do nóg królewskich.

— Na Boga! co czynisz? — zawołał król. — Krew cię ujdzie! Jędrek!... Bywajno tu kto!

Wpadł sam marszałek, który oddawna już po zamku króla szukał.

— Święty Jerzy! patronie mój, co widzę?! — krzyknął, spostrzestrzegłszy króla, dźwigającego własnemi rękoma Kmicica.

— To pan Babinicz, najmilszy mój żołnierz i najwierniejszy sługa, który mi wczoraj życie ocalił — rzekł król. — Pomóżcie, panie marszałku, dźwignąć mi go na łoże...

## LXI.

Z Lubomli jechał król do Dukli, Krosna, Łańcuta i Lwowa, mając przy boku pana marszałka koronnego, wielu biskupów, dygnitarzy i senatorów, wraz z nadwornemi chorągwiami i pocztami. A jako rzeka potężna, płynąc przez kraj, wszystkie pomniejsze wody w siebie zabiera, tak i do orszaku królewskiego przybywały co chwila nowe zastępy. Cisnęli się więc panowie i szlachta zbroj-

na i żołnierze, to pojedyńczo, to kupami i gromady zbrojnego chłopstwa, szczególną ku Szwedom pałającego zawziętością.

Już ruch stawał się powszechny, już i ład wojenny poczęto do niego wprowadzać. Pojawiły się groźne uniwersały, datowane z Sącza: jeden Konstantego Lubomirskiego, marszałka koła rycerskiego, drugi Jana Wielopolskiego, kasztelana wojnickiego, oba wzywające szlachtę w województwie krakowskiem do pospolitego ruszenia. Wiedziano już, koło kogo się kupić, niestawiającym się zaś groziły kary wedle pospolitego prawa. Uniwersał królewski dopełnił onych wezwań i najleniwszych postawił na nogi.

Lecz nie potrzeba było groźb, albowiem zapał niezmierzony ogarnął wszystkie stany. Siadali na koń starcy i dzieci. Niewiasty oddawały klejnoty, stroje, niektóre same rwały się do boju.

W kuźniach Cygani przez noce i dni całe bili młotami, przekuwając na oręż niewinne narzędzia oraczów. Wsie i miasta opustoszały, bo mężowie wyciągnęli w pole. Z niebotycznych gór sypały się dzień i noc gromady dzikiego ludu. Siły króla rosły z każdą chwilą.

Naprzeciwko jego osoby wychodzili duchowni z krzyżami i chorągwiami, kahały żydowskie z rabinami, pochód jego był do niezmiernego tryumfu podobny. Zewsząd nadlatywały najlepsze wieści, jakby je wiatr przywiewał.

Nietylko w tej części kraju, której najście nieprzyjaciół nie zagarnęło, rwano się do broni. Wszędy, w najodleglejszych ziemiach i powiatach, po grodach, wsiach, osadach, niedostępnych puszczach, podnosiła płomienną głowę straszliwa wojna pomsty i odwetu. Im niżej poprzednio upadł naród, tem wyżej teraz podnosił głowę, przeradzał się, ducha zmieniał i w uniesieniu nie wahał się nawet własnych, zaskorupiałych ran rozrywać, by krew swą od zatrutych soków uwolnić.

Już teraz i coraz głośniej mówiono o potężnym związku szlachty i wojska, na czele którego mieli stanąć: stary hetman wielki, Rewera Potocki i polny Lanckoroński, wojewoda ruski i pan Stefan Czarniecki, kasztelan kijowski i pan Paweł Sapieha, wojewoda witebski i książę krajczy litewski Michał Radziwiłł, pan możny, a niesławę, jaką na ród ściągnął Janusz, zatrzeć pragnący i pan Krzysztof Tyszkiewicz, wojewoda czernihowski i wielu innych senatorów i urzędników ziemskich i wojskowych i szlachty.

Listy latały codzień pomiędzy owymi panami a panem marszał-

kiem koronnym, który nie chciał, aby tak znamienity związek bez niego się zawiązywał. Wieści przychodziły coraz pewniejsze, aż nakoniec rozebrzmiała wieść już pewna, ze hetmani, a z nimi wojsko, porzucili Szweda i że dla obrony majestatu i ojczyzny stanęła konfederacya Tyszowiecka.

Król także pierwej o niej wiedział, bo oboje z królową, choć zdala będąc, niemało się nad jej zawiązaniem przez posły i listy napracowali; jednakże nie mogąc w niej brać osobistego udziału, niecierpliwie teraz nadejścia jej tenoru wyglądał. Jakoż zanim dojechał do Lwowa, przybyli doń pan Służewski i pan Domaszewski z Domaszewnicy, sędzia łukowski, przywożąc mu zapewnienie służb i wierności od konfederatów i akt związku do roborowania.

Czytał tedy król ów akt na walnej radzie z biskupami i senatorami. Serca wszystkich napełniały się radością, dusze uniosły się w podzięce do Boga, bo owa wiekopomna konfederacya zwiastowała nietylko opamiętanie się, ale i odmianę tego narodu, o którym niedawno jeszcze mógł obcy najezdnik powiedzieć, że niemasz w nim wiary, ani miłości do ojczyzny, ani sumienia, ani ładu, ani wytrwania, ani żadnej z tych cnót, któremi stoją państwa i narody.

Świadectwo tych wszystkich cnót leżało teraz przed królem w postaci aktu konfederacyi i jej uniwersału. Przywodzono w nim wiarołomsto Karola Gustawa, łamanie przysiąg i obietnic, okrucieństwa generałów i żołnierzy, przez najdzieksze narody nawet niepraktykowane, bezczeszczenie kościołów, ucisk, zdzierstwa, rabunki, przelewanie krwi niewinnej i wypowiadano wojne na śmierć i życie skandynawskim najezdnikom. Uniwersał, groźny jak trąba archanioła, zwoływał pospolite ruszenie nietylko rycerstwa, ale wszystkich stanów i ludów Rzeczypospolitej. "Nawet infames, wszyscy (mówił uniwersał), banniti i proscripti iść na wojnę powinni." Rycerstwo miało na koń siadać, własnych piersi nadstawiać i z łanów żołnierzy pieszych dostarczyć, możniejszy więcej, biedniejszy mniej, wedle możności i sił.

"Ponieważ w tem państwie aeque bona i mala do wszystkich należą, więc i niebezpieczeństwa wszystkim podzielić się godzi. Ktokolwiek mieni się być szlachcicem, osiadły lub nieosiadły, by też i najwięcej u jednego szlachcica synów było, na tę wojnę przeciw nieprzyjacielowi Rzeczypospolitej iść powinni. Gdyż jako wszyscy niższego i wyższego urodzenia, szlachtą będąc, ad omnes

prerogativas urzędów, dostojeństw i dobrodziejstw ojczystych jesteśmy capaces, tak w tem aequales sobie będziemy, że na obronę tych ojczystych swobód i beneficiorum zarówno osobami swemi pójdziemy..."

Takto ów uniwersał równość szlachecką rozumiał. Król, biskupi i senatorowie, którzy zdawna się już w sercach z myślą naprawy. Rzeczypospolitej nosili, przekonali się ze zdumieniem radosnem, że i naród od owej naprawy dojrzał, że gotów wstąpić na nowe drogi, zetrzeć rdzeń i pleśń z siebie i nowe, wspaniałe rozpocząć życie.

"Otwieramy przytem (brzmiał uniwersał) benemerendi in Republica plac każdemu plebejae conditionis, ukazujemy i ofiarujemy tego wedle związku naszego okazye przystępu i nabycia honorów, prerogatyw i beneficiorum, któremi gaudet stan szlachecki..."

Gdy na radzie królewskiej odczytano ten ustęp, zapadło aż milczenie głębokie. Ci, którzy wraz z królem pragnęli najmocniej, aby przystęp do praw szlacheckich został ludziom niższych stanów otworzony, mniemali, że niemało im przewalczyć i przecierpieć i nałamać się przyjdzie, że lata całe upłyną, nim z czemś podobnem odezwać się będzie bezpiecznie, tym czasem sama owa szlachta, tak dotąd o swe przerogatywy zazdrosna, tak pozornie nieużyta, otwierała na rozcież wrota szarym gromadom kmiecym.

Wstał książę prymas, owiany jakoby duchem proroczym, i rzekł:

— Iżeście owo punctum zamieścili, potomni tę konfederacyę po wiek wieków wysławiać będą, a gdy kto zechce czasy owe za czasy upadku staropolskiej cnoty uważać, tedy mu na was, przecząc, pokażą.

Ksiądz Gębicki był chory, więc mówić nie mógł, tylko ręką trzęsącą się ze wzruszenia żegnał akt i posłów.

— Już widzę nieprzyjaciela ze wstydem z tych ziem uchodzącego! — rzekł król.

— Daj Boże najprędzej!... — zakrzyknęli obaj wysłańcy.

— Waszmościowie pojedziecie z nami do Lwowa, — ozwał się znów król — gdzie zaraz ową konfederacyę roborować będziemy, a przytem i innej zawrzeć nie omieszkamy, której same potęgi piekielne przemódz nie zdołają.

Spojrzeli na to po sobie wysłańcy i senatorowie, jakby pytając się wzajem, o jaką to potęgę chodzi, lecz król milczał, tylko mu twarz promieniała coraz bardziej; wziął znowu akt do ręki i znów czytał i uśmiechał się, nagle rzekł:

— Siła też było oponentów?

— Miłościwy panie, — odpowiedział pan Domaszewski — unanimitate ta konfederacya powstała za przyczyną ichmość panów hetmanów, pana wojewody witebskiego i pana Czarnieckiego, a ze szlachty żaden głos się nie przeciwił, tak się wszyscy na Szwedów rozjedli i takim afektem dla ojczyzny i majestatu zapłonęli.

— Zgóryśmy przytem uradzili, — dodał pan Służewski — że to nie ma być sejm, jeno pluralitas ma stanowić, więc niczyje veto nie mogło sprawy popsować, jeno oponenta bylibyśmy na szablach roznieśli. Wszyscy też powiadali, że trzeba z onem liberum veto skończyć, bo to jednemu wola, a wielu niewola.

— Złote słowa waszmości! — rzekł ksiądz prymas. — Niech jeno poprawa Rzeczypospolitej nastąpi, a nie ustraszy nas żaden nieprzyjaciel..

— A gdzie jest wojewoda witebski? — pytał król.

— Jeszcze na noc po podpisaniu aktu do swego wojska odjechał pod Tykocin, w którym księcia wojewodę wileńskiego, zdrajcę, w oblężeniu trzyma. Do tej pory musiał go już dostać żywego albo umarłego.

— Także był pewien, że go dostanie?

— Tak był pewien, jako że po dniu noc nastąpi. Wszyscy, nawet najwierniejsi słudzy już zdrajcę opuścili. Broni się tam tylko garść Szwedów, ale nieznaczna, a posiłki znikąd przyjść nie mogą. Powiadał pan Sapieha w Tyszowcach tak: "Chciałem się jeden dzień spóźnić, bo byłbym do wieczora z Radziwiłłem skończył!... Ale to pilniejsza sprawa, niż Radziwiłł, gdyż jego i beze mnie mogą dostać, dość będzie jednej chorągwi."

— Tyle się do niego szlachty, co najsłuszniejszych kawalerów sypnęło, że w jeden dzień na czele grzecznej chorągwi stanął. Zaraz też na Szwedów ruszył, a gdzieby teraz był, nie wiemy.

— A ichmość panowie hetmani?

— Ichmość panowie hetmani pilno czekają rozkazów od waszej *królewskiej* mości, obaj zaś radzą nad przyszłą wojną i z panem

starostą kałuskim w Zamościu się znoszą, a tymczasem codzień pułki ku nim razem ze śniegiem walą.

— Takżeto wszyscy Szweda porzucają?

— Tak jest, miłościwy panie! Byli też u ichmość panów hetmanów deputaci z wojska pana Koniecpolskiego, które jest przy osobie Carolusa Gustawa. I ci pono radziby już wrócić do prawej służby, choć im tam Carolus obietnic, ni pieszczot nie szczędzi. Mówili też, że choć teraz nie mogą zaraz recedere, przecie to uczynią, jak się tylko dogodna pora zdarzy, bo się już im sprzykrzyły i uczty i jego pieszczoty i mruganie oczami i rąk klaśkanie. Ledwie już wytrzymać mogą.

— Zewsząd opamiętanie, zewsząd dobre wieści — rzekł król. — Chwała Pannie Najświętszej!... Dzień to najszczęśliwszy mego życia, a drugi taki nastąpi chyba wówczas, gdy ostatni nieprzyjacielski żołnierz wyjdzie z granic Rzeczypospolitej.

Na to pan Domaszewski uderzył się po szerpentynie.

— Nie daj Bóg, aby się to stało! — rzekł.

— Jakto? — spytał ze zdumieniem król.

— Żeby ostatni pludrak na własnych nogach wyszedł z granic Rzeczypospolitej? Nie może być, miłościwy panie! A od czego mamy szable przy bokach?

— Bodaj waści! — rzekł rozweselony pan. — To mi fantazya!

Lecz pan Służewski, nie chcąc pozostać w tyle za panem Domaszewskim, zawołał:

— Jako żywo, niema na to zgody i pierwszy veto położę. Nie będziem się ich wyjściem kontentować, ale za nimi pójdziemy!

Ksiądz prymas począł głową kręcić i śmiać się dobrotliwie:

— Oj! siadła szlachta na koń i jedzie, jedzie! Boże wam błogosław, ale powoli, powoli! Jeszcześ ten nieprzyjaciel w granicach.

— Nie długo mu już! — zakrzyknęli obaj konfederaci.

— Duch się odmienił i fortuna się odmieni — rzekł osłabionym głosem Gębicki.

— Wina! — zawołał król. — Niechże się na odmianę z konfederatami napiję!

Przyniesiono wina, lecz wraz z pachołkami, którzy je w ie wszedł starszy pokojowiec królewski i rzekł:

— Miłościwy panie, przyjechał pan Krzyżtoporski z Częstochowy i pragnie się waszej królewskiej mości pokłonić.

— Dawaj go żywcem! — zawołał król.

Po chwili wszedł wysoki, chudy szlachcic, patrzący jak kozioł z pode łba. Skłonił się najprzód panu do nóg, potem dość bardo dygnitarzom i rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! — odpowiedział król. — Co tam słychać?

— Mróz okrutny, miłościwy panie, aż powieki do jagód przymarzają!

— Dla Boga! o Szwedach waść powiadaj, nie o mrozie! — zawołał Jan Kazimierz.

— A co o nich i gadać, miłościwy panie, kiedy ich pod Częstochową niema! — odrzekł rubasznie pan Krzyżtoporski.

— Doszły już nas te wieści, doszły — odparł uradowany król — ale tylko z ludzkiego gadania, a wy z samego klasztoru pewnie jedziecie... Naoczny świadek i obrońca?

— Tak jest, miłościwy panie, uczestnik obrony i naoczny świadek cudów Najświętszy Panny...

— Nie tu granica jej łask! — rzekł król, wznosząc oczy ku niebu — jeno zasłużmy na dalsze...

— Siła w życiu widziałem, — odpowiedział Krzyżtoporski ale takich widomych cudów nie widziałem, o czem dokładniejszą relacyę zdaje waszej królewskiej mości ksiądz Kordecki w tem piśmie.

Jan Kazimierz chwycił skwapliwie za list, który mu Krzyżtoporski podawał i począł czytać. Chwilami przerywał czytanie i poczynał się modlić, to znów wracał do listu. Twarz mieniła mu się radosnemi uczuciami; nakoniec podniósł znów oczy na Krzyżtoporskiego:

— Pisze mi ksiądz Kordecki, — rzekł — żeście wielkiego kawalera stracili, niejakiego Babinicza, który kolubrynę szwedzką prochami rozsadził?

— Onże się za wszystkich ofiarował, miłościwy panie! Ale są też tacy, którzy mówili, że żyje i Bóg wie co powiadali; nie mając pewności, przecieśmy go nie przestali opłakiwać, bo gdyby nie jego kawalerski postępek, ciężkoby nam było dać sobie radę...

— Jeśli tak, to przestańcie go opłakiwać: pan Babinicz żywie jest u nas. Onto pierwszy dał nam znać, że Szwedzi, nie mogąc nic przeciw mocy Boskiej wskórać, o odstąpieniu zamyślają... A potem jak nam znaczne oddał przysługi, iż sami nie wiemy, jak go wynagrodzić.

— O, to się ksiądz Kordecki ucieszy! — zawołał w radością szlachcic — ale jeśli pan Babinicz żywie, to chyba szczególniejsze u Najświętszej Panny ma łaski... To się ksiądz Kordecki ucieszy! Ojciec syna nie może tak miłować, jako on jego miłował! A i mnie pozwoli wasza kr. mość pana Babinicza powitać, gdyż takiego drugiego rezoluta niemasz w Rzeczypospolitej!

Lecz król począł znowu czytać i po chwili zawołał:

— Co słyszę! — To jeszcze raz poustąpieniu próbowali klasztor podejść?

— Mueller jak odszedł, tak się i nie pokazał więcej, jeno Wrzeszczowicz zjawił się znów niespodzianie pod murami, dufając w to widocznie, że bramy zastanie otwarte. Jakoż i zastał, ale się chłopstwo tak zaciekle na niego rzuciło, że zaraz srotmotnie tył podał. Jak świat światem, nie było tego, żeby prostactwo tak mężnie w golem polu jeździe stawało. Potem też nadciągnął pan Piotr Czarniecki z panem Kuleszą, którzy doszczętnie go znieśli.

Król zwrócił się do senatorów:

— Patrzcie wasze uprzejmości, jako nędzni oracze w obronie tej ojczyzny i świętej wiary stawają!

— Że stawają, miłościwy panie, to stawają! — zawołał Krzyżtoporski. — Całe wsie wedle Częstochowy puste, bo chłopstwo z kosami w polu. Wojna wszędy okrutna; Szwedzi muszą się kupami trzymać, a złapie-li chłopstwo którego, to tak nad nim wydziwa, że lepiejby mu odrazu iść do piekła. Kto tam wreszcie teraz w tej Rzeczypospolitej za oręż nie chwyta! Nie było psubratom Częstochowy oblegać... Od tego czasu nie siedzieć im w tej ziemi!

— Od tego czasu nie będą w tej ziemi ucisku znosić ci, którzy krwią się oponują, — odrzekł poważnie król — tak mi dopomóż Bóg i święty krzyż!

— Amen! — dodał prymas.

Tymczasem Krzyżtoporski uderzył się ręką w czoło:

— Mróz mi mentem pomieszał, miłościwy panie, — rzekł — bom zapomniał jednej wieści powiedzieć, że taki syn, wojewoda poznański, zmarł jakoby nagle.

Tu zawstydził się nieco pan Krzyżtoporski, spostrzegłszy się, jak wielkiego senatora nazwał wobec króla i dygnitarzy "takim synem," więc dodał zmieszany:

— Nie zacny stan, lecz zdrajcę chciałem spostponować:

Ale nikt tego wyrażenia nie zauważył, bo wszyscy patrzyli na króla, ten zaś rzekł:

— Jużeśmy dawno pana Jana Leszczyńskiego na województwo poznańskie przeznaczyli, jeszcze za życia pana Opalińskiego. Niechże godniej ten urząd piastuje... Sąd boski, widzę, rozpoczął się nad tymi, którzy tę ojczyznę do upadku przywiedli, bo w tej chwili może już i książę wojewoda wileński przed Najwyższym Sędzią sprawę ze swoich uczynków zdaje...

Tu zwrócił się do biskupów i senatorów:

— Ale nam czas o wojnie powszechnej myśleć i w tej materyi zasięgnąć zdania waszych mościów.

---

## XLII.

W chwili, gdy król mówił, iż wojewoda wileński może już stoi przed sądem bożym, mówił jakoby duchem proroczym, bo w owym czasie sprawa tykocińska była już rozwiązana.

Dnia 25 grudnia pan wojewoda witebski, Sapieha, tak był już pewien zdobycia Tykocina, że sam do Tyszowiec wyjechał, poleciwszy panu Oskierce prowadzenie dalszych prac oblężniczych. Z ostatnim szturmem kazał na powrót swój, rychło mający nastąpić czekać; zebrawszy zaś co znaczniejszych oficerów, tak mówił:

— Doszły mnie słuchy, iż między towarzystwem jest zamiar zaraz po zdobyciu zamku księcia wojewodę wileńskiego na szablach roznieść... Owóż, gdyby się zamek pod mą niebytność poddał, co być może, oświadczam waszmościom, iż najsurowiej zakazuję na zdrowie księcia następować. Odbieram ci ja wprawdzie listy od takich osób, o których się waszmościom ani śni, aby dostawszy go, nie żywił... Ale ja nie chcę słuchać tych rozkazów, co czynię nie z żadnej kompasyi, bo jej zdrajca nie wart, ale że nad gardłem jego nie mam prawa i wolę go przed sejm na sąd postawić, abym dla potomnych był stąd przykład, że ni wielkość rodu, ni żadne urzędy, zdrady takowej i winy odkupić, przed karą publiczną zasłonić go nie zdołają.

W ten sens mówił pan wojewoda, jeno jeszcze dłużej, bo o ile

był zacny, o tyle miał tę słabość, że mając się za mówcę, lubił przy każdej okazyi obszernie się wysławiać i słuchał z lubością własnych słów, przymykając przy piękniejszych sentencyach oczy.

— To muszę sobie chyba dobrze prawą rękę w wodzie wymoczyć, — odparł na to pan Zagłoba — gdyż okrutnie mnie swędzi.. Wszelako to tylko powiem, że gdyby Radziwiłł mnie w swoją moc dostał, pewnieby z moją głową do zachodu słońca nie czekał. Wie on dobrze, kto go ze Szwedami nawet poróżnił... Ale za to ja nie wiem, czemu mam być pobłażliwszy dla niego, niźli on byłby dla mnie??

— Bo nie przy waści komenda i słuchać musisz! — odrzekł powagą wojewoda.

— Że słuchać muszę, to prawda, ale dobrze czasem i Zagłoby posłuchać... Śmiele teżto mówię, że gdyby Radziwiłł mnie posłuchał, gdym go do obrony ojczyzny ekscytował, nie byłby dziś w Tykocinie, jeno w polu, na czele wszystkich wojsk litewskich.

— Zali to waści się zdaje, że buława w złych rękach?

— Tego nie godzi mi się powiedzieć, bom ją sam w te ręce włożył. Miłościwy pan nasz, Johannes Casimirus, ma tylko mój wybór potwierdzić, nic więcej.

Uśmiechnął się na to wojewoda, bo lubił pana Zagłobę i jego krotofile.

— Panie bracie, — rzekł — tyś zgnębił Radziwiłła, tyś mnie uczynił hetmanem... i wszystko twoja zasługa. Pozwólże mnie teraz jechać spokojnie do Tyszowiec, aby też i Sapieha mógł w czemś przysłużyć się ojczyźnie.

Pan Zagłoba wziął się w boki i zamyślił się przez chwilę, jakby rozważał, czy ma pozwolić, czy nie pozwolić; nakoniec okiem łysknął, głową kiwnął i rzekł z powagą:

— Jedź, wasza miłość, spokojnie.

— Bóg zapłać za permisyę! — odpowiedział, śmiejąc się, wojewoda.

Zawtórowali wodzowi śmiechem inni oficerowie, on zaś istotnie począł się zbierać, bo kolasa stała już pod oknami gotowa, więc żegnał się ze wszystkimi, dając każdemu instrukcyę, co ma pod jego niebytność czynić; wreszcie zbliżywszy się do pana Wołodyjowskiego rzekł.

— Waść, na wypadek zdania się zamku, będziesz mi odpowiadał za zdrowie wojewody, tobie tę funkcyę powierzam.

— Wedle rozkazu! włos mu z głowy nie spadnie! — odrzekł mały rycerz.

— Panie Michale, — rzekł do niego pan Zagłoba po odjeździe wojewody — ciekaw jestem, jakie to osoby nalegają na naszego Sapja, by Radziwiłła dostawszy, nie żywił?

— Skąd mam wiedzieć! — odrzekł mały pan.

— Czyli powiadasz, że czego ci cudza gęba do ucha nie powie, tego ci własny dowcip nie podszepnie. Prawda jest! Ale muszą to być znaczne jakieś persony, skoro mogą panu wojewodzie rozkazy dawać.

— Może sam król?

— Król? Króla gdyby pies ukąsił, zarazby mu przebaczył i jeszczeby mu sperkę dać kazał. Takie już u niego serce!

— Nie będę się o to z waćpanem spierał, ale przecie powiadałś, że na Radziejowskiego bardzo się zawziął?

— Najprzód, każdemu przytrafi się zawziąć; exemplum: moja na Radziwiłła zawziętość, powtóre, jakże to się zawziął, kiedy zaraz synów jego wziął w opiekę, że i ojciec lepszyby nie był! Złote to serce i mniemam, że prędzej to królowa przeciw gardłu radziwiłłowskiemu instacyę wnosi. Godna pani, ani słowa, ale białogłowska u niej fantazya, a to wiedz, że gdy się białogłowa przeciw tobie zaweźmie, choćbyś się w szparę w podłodze skrył, jeszcze cię igłą stamtąd wydłubie.

Na to westchnął pan Wołodyjowski i odparł:

— Za coby się tam która miała na mnie zawzinać, skorom żadnej nigdy w życiu nie zahaczył!

— Ale radbyś, ale radbyś! Dlatego to, choć w jeździe służysz, tak zapamiętale na mury tykocińskie piechotą leziesz, bo myślisz, że tam nietylko Radziwiłł, ale i Billewiczówna siedzi. Znają cię, niecnoto! Jakże? jeszcześ jej sobie z głowy nie wybił?

— Był taki czas, żem ją sobie całkiem z głowy wybił i sam Kmicic, gdyby tu był obecny, musiałby przyznać, żem po kawalersku sobie postąpił, nie chcąc iść wbrew jej sentymentom, raczej swoją konfuzyę w nie pamięć puszczając; ale tego nie ukrywam, że jeśli ona jest teraz w Tykocinie, jeśli mi Bóg pozwoli znów ją z opresyi ratować, to będę w tem widział wyraźną wolę Opatrzności. Na Kmicica baczyć nie potrzebuję, bom mu w niczem nie powinien, a żywie we mnie nadzieja, iż gdy dobrowolnie od niej odszedł, to

go musiała do tej pory zapomnieć i nie przygodzi mi się, co się dawniej przygodziło.

Tak rozmawiając doszli do kwatery, w której zastali dwóch panów Skrzetuskich, pana Rocha Kowalskiego i pana dzierżawcę z Wąsoszy.

— Nie tajno było w wojsku, poco pan wojewoda pojechał do Tyszowiec, więc rycerze cieszyli się wzajem, że powstaje związek tak cnotliwy na obronę ojczyzny i wiary.

— Inny już wiatr w całej Rzeczypospolitej wieje — rzekł pan Stanisław, — a chwalić Boga Szwedom w oczy.

— Od Częstochowy on powiał — odrzekł na to pan Jan. — Wczoraj były wiadomości, że się klasztor jeszcze trzyma i coraz mocniejsze szturmy odpiera... Nie daj, Matko Najświętsza, by nieprzyjaciel mógł pohańbić Twój przybytek!

Tu pan Rzędzian westchnął i rzekł:

— Bo oprócz obrazy boskiej, ileby to zacnych skarbów poszło w nieprzyjacielskie ręce! Ja człek o tem pomyśli, to mu strawa przez gardło nie chce przechodzić.

— Wojsko aż się do szturmu rwie, że trudno ludzi utrzymać — rzekł pan Michał. — Wczoraj stankiewiczowa chorągiew bez komendy i bez drabin ruszyła, bo powiadają tak: jak z tym zdrajcą skończymy, to Częstochowie na odsiecz pójdziem. I co który Częstochowę wspomni, to zaraz wszyscy poczynają zgrzytać i w szable trzaskać.

— Bo i poco nas tu tyle chorągwi stoi, kiedy i połowy byłoby na Tykocin dosyć — rzecze pan Zagłoba. — Upór to pan Sapiehy, niewięcej. Nie chce mnie słuchać, żeby pokazać jako i bez mojej rady coś potrafi, a to sami widzicie, że ja tylu ludzi jedną zamczynę oblega, to sobie nawzajem przeszkadzają, bo dostępu dla wszystkich niemasz.

— Eksperyencya wojskowa przez waćpana mówi, nie można rzec! — odpowiedział pan Stanisław.

— Aha! Co? Mam głowę na karku?

— Wuj ma głowę na karku! — zawołał nagle pan Roch i nastroszywszy wąsy, począł poglądać po obecnych, jakby szukając takiego, coby mu zaprzeczył.

— Ale i pan wojewoda ma głowę — odrzekł pan Jan Skrzetuski — i jeśli tyle chorągwi tu stoi, to dlatego, że jest obawa, żeby książę Bogusław z odsieczą bratu nie przybył.

— To posłać z parę lekkich chorągwi na pustoszenie Prus elektorskich — rzekł Zagłoba, — skrzyknąć kupę ludzi na ochotnika między gminem. Samby m pierwszy poszedł pruskiego piwa popróbować.

— W zimie piwo na nic, chyba grzane — rzekł pan Michał.

— To dajcie wina, albo gorzałki lub miodu — odpowiedział Zagłoba.

Inni różnie okazali ochotę, więc pan dzierżawca z Wąsoszy zajął się tą sprawą i wkrótce kilka gąsiorków stanęło na stole. Uradowały się na ten widok serca i rycerze poczęli do siebie przepijać, coraz to na inne intencye wznosząc kielichy.

— Na pohybel pludrakom, by nam tu bochenków długo już nie łuszczyli! — rzekł pan Zagłoba — niech sobie szyszki w Szwecyi żrą!

— Za zdrowie majestatu: króla jegomości i królowej! — wniósł Skrzetuski.

— I tych, którzy wiernie przy majestacie stali! — dodał Wołodyjowski.

— Zatem nasze zdrowie!

— Zdrowie wuja! — hukną! pan Roch.

— Bóg zapłać! W ręce twoje, a wytrząśnij do dna w gębę... Jeszcze się Zagłoba nie ze wszystkiem zestarzał! Mości panowie! abyśmy coprędzej tego jaźwca z jamy wykurzyli i pod Częstochowę ruszyć mogli!

— Pod Częstochowę! — krzyknął Roch — Pannie Najświętszej w sukurs.

— Pod Częstochowę! — zawołali wszyscy.

— Skarbów jasnogórskich przed poganami bronić! — dodał Rzędzian.

— Którzy symulują, że w Pana Jezusa wierzą, chcąc bezecność swą koloryzować, a w rzeczy, jakem to powiadał, do miesiąca jako psi wyją i na tem cała ich wiara polega.

— I tacy to ręce na splendory jasnogórskie podnoszą!

— W sednoś waszmość utrafił, mówiąc o ich wierze — rzekł Wołodyjowski do Zagłoby, — bo ja sam słyszałem, jak do miesiąca wyli. Powiadali później, że to ich luterskie psalmy, ale to pewna, że takie psalmy i psi śpiewają...

— Jakżeto? — rzekł pan Roch — sąż między nimi tacy synowie?

— Niemasz innych! — rzekł z głębokiem przekonaniem pan Zagłoba.

— I król ich nielepszy?

— Król ich gorszy od wszystkich. On to tę wojnę podniósł umyślnie, aby mógł prawdziwej wierze do woli po kościołach bluźnić.

Na to podniósł się pan Roch, mocno już podpiły, i rzekł:

— Jeżeli tak, tedy jako mnie waszmościowie widzicie, jakem Kowalski! tak w pierwszej bitwie prosto na króla skoczę! Choćby też stał w największej gęstwie, nic to! Moja śmierć albo jego!... a taki kopią się do niego złożę... Miejcie mnie waćpanowie za kpa, jeśli tego nie uczynię!

To rzekłszy, złożył pięść i chciał w stół grzmotnąć. Byłby przytem potłukł szklanice, gąsiory i stół rozłupał, lecz pan Zagłoba skwapliwie go za garść uchwycił i w następujące ozwał się słowa:

— Siadaj Rochu i daj spokój. Wiedz i o tem, że nie dopiero cię będziem za kpa mieli, gdy tego nie uczynisz, ale dopiero cię za kpa przestaniemy mieć, jeżeli to uczynisz. Nie rozumiem też, jak się będziesz mógł kopią złożyć do króla szwedzkiego, w husaryi nie służąc?

— To się na poczet zdobędę i do kniazia Połubińskiego chorągwi się wpiszę. I ojciec też mnie wspomoże.

— Ojciec Roch?

— A jakże!

— Niechże cię pierwej wspomoże, a teraz szkła nie rozbijaj, bo pierwszybym ci za to głowę rozbił. O czemżeśmy to mówili, mościwi moi?... Aha! o Częstochowie... Luctus mnie stoczy, jeżeli w porę świętemu miejscu na ratunek nie przyjdziemy... Luctus mnie stoczy, mówię wam! A wszystko przez tego zdrajcę Radziwiłła i przez racyę fizykę sapieżyńską..

— Waćpan na wojewodę nie mów! Zacny pan! — ozwał się mały rycerz.

— To czemu obydwiema połami Radziwiłła przykrywa, kiedy jednej byłoby dosyć? Blizko dziesięć tysięcy ludzi pod tą tam budą stoi, najgrzeczniejszej jazdy i piechoty. Niezadługo w całej okolicy i sadze w kominach wyliżą, bo co było na kominach, to już zjedli.

— Nam w racye starszych nie wchodzić, jeno słuchać!

— Tobie nie wchodzić, panie Michale, ale nie mnie, bo mnie

połowa dawnego radziwiłłowskiego wojska regimentarzem wybrała i byłbym już za dziesiątą granicę Carolusa Gustawa wyżenął, gdyby nie ona nieszczęsna modestya, która mi kazała buławę panu Sapieże w ręce włożyć. Niechże sobie ze swojem kunktorstwem da spokój i niech patrzy, bym nie odebrał tego, com dał.

— Jeno po napiciu się taki z waści rezolut! — rzekł pan Wołodyjowski.

— Tak powiadasz? Ano, to obaczysz! Dziś jeszcze pójdę między chorągwie i krzyknę: Mości panowie! Komu wola za mną pod Częstochowę iść, nie tu sobie łokcie i kolana o tykocińskie wapno wycierać, to proszę za mną! Kto mnie regimentarzem kreował, kto mnie władzę dawał, kto dufał, że co uczynię, to ku pożytkowi ojczyzny i wiary będzie, to niech obok mnie stawa. Piękna rzecz zdrajców karać, ale stokroć piękniejsza Najświętszą Pannę, patronkę tej korony i Matkę naszą z pod opersyi i jarzma heretyckiego ratować.

Tu pan Zagłoba, któremu już od niejakiego czasu opar unosił się z czupryny, zerwał się z miejsca, skoczył na ławę i począł krzyczeć, jakby znajdował się przed zebraniem:

— Mości panowie! Kto katolik, kto Polak, kto nad Najświętszą Panną ma kompasyę, za mną!... W sukurs Częstochowie!

— Idę! — zawołał wstając Roch Kowalski.

Zagłoba popatrzył chwilę na obecnych, a widząc zdumienie i milczące twarze, zlazł z ławy i rzekł:

— Nauczę ja Spaja rozumu!... Szelmą jestem, jeśli do jutra połowy wojska z pod Tykocina nie zerwę i pod Częstochowę nie poprowadzę!

— Dla Boga! Pomiarkuj się ojciec! — rzekł Jan Skrzetuski

— Szelmą jestem! mówię ci! — powtórzył pan Zagłoba.

Oni zaś zlękli się, aby istotnie tego nie uczynił, bo mógł. W wielu chorągwiach były szemrania na tykocińską mitręgę, a ludzie istotnie zgrzytali zębami, myśląc o Częstochowie. Dość było iskrę na owe prochy rzucić, a cóż dopiero, gdyby ją rzucił człek tak wzięty i takiej niezmiernej powagi rycerskiej, jak Zagłoba. Przedewszystkiem większa część wojsk sapieżyńsiich składała się z nowozaciężnych, a zatem do dyscypliny wojennej nie przywykłych i do uczynków na własną rękę skorych, a ci poszliby niezawodnie pod Częstochowę za Zagłobę, jak jeden człowiek.

Więc przelękli się tego przedsięwzięcia obaj Skrzetuscy, a Wołodyjowski zawołał:

— Ledwie się wojska trochę największym trudem wojewodzińskim zebrało, ledwie jest jakowaś siła na obronę Rzeczypospolitej, a już czyjeś warcholstwo chce chorągwie rozrywać, do nieposłuszeństwa przywodzić. Siłaby Radziwiłł zapłacił za takową radę, bo na jego młyn ta woda. Jak waćpanu nie wstyd gadać nawet o takiej impresie.

— Szelmą jestem, jeśli tego nie uczynię! — odparł Zagłoba.

— Wuj tak uczyni! — dodał Roch Kowalski.

— Cicho ty koński łbie! — huknął na niego pan Michał.

Pan Roch oczy wytrzeszczył, gębę zamknął i wyprostował się odrazu.

Wówczas Wołodyjowski zwrócił się do pana Zagłoby.

— A ja szelmą jestem — rzekł, — jeżeli jeden człowiek z mego pułku z waćpanem ruszy, a chcesz wojsko psować, tedy ci powiem, że pierwszy na twoich welentarzów uderzę!

— Poganinie, Turku bezecny! — rzekł na to Zagłoba. — Jakżeto, na rycerzy Najświętszej Panny będziesz uderzał? Gotóweś? Dobrze! Znają cię! Myślicie waćpanowie, że jemu o wojsko, albo o dyscyplinę chodzi? Nie! jeno Billewiczównę za murami tykocińskiemi zwietrzył. Dla prywaty i dla swawoli nie zawahasz się najsłuszniejszej racyi odstąpić! Radbyś na dziewczynę fyrknął i z nogi na nogę przestępował, a jurzył się! Ale nic z tego! Moja głowa w tem, że tam cię lepsi ubiegą, choćby ten sam Kmicic, bo i on od ciebie nie gorszy.

Wołodyjowski spojrzał na obecnych, biorąc ich na świadectwo, jaka mu się krzywda dzieje. Następnie namarszczył się, myśleli, że gniewem wybuchnie, ale że był także poprzednio podchmielił, więc nagle wpadł w rozczulenie:

— Oto mi nagroda! — zawołał, — od wyrostka ojczyźnie służę, szabli z garści nie popuszczam! Ni mi chaty, ni mi żony, ni dzieci, sam człek jako kopia do góry głową sterczy. Najzacniejsi o sobie myślą, a ja, prócz ran w skórze, nie miałem innej nagrody, za to mi jeszcze prywatę zadają, ledwie nie zdrajcą być mienią.

To rzekłszy, jął ronić łzy na żółte wąsiki, zaś pan Zagłoba zmiękł odrazu i otworzywszy ręce, zawołał:

— Panie Michale! Srodzem cię ukrzywdził. Katu mnie oddać za to, żem takiego wypróbowanego przyjaciela spostponował!

I padłszy sobie w objęcia, poczęli się całować i do piersi wzajem przyciskać, zaczem pili dalej na zgodę, a gdy już żal znacznie im z serca wyparował, rzekł Wołodyjowski:

— A nie będziesz wojska psował, swawoli wprowadzał, złego przykładu dawał?

— Nie będę, panie Michale! dla ciebie to uczynię!

— A da Bóg, Tykocina dostaniem, to co komu do tego, czego ja za murami szukam. Co kto sobie ma ze mnie dworować, hę?

Uderzony tą kwestyą, pan Zagłoba począł koniec wąsa do ust wkładać i zębami go przygryzać, nakoniec rzekł:

— Nie, panie Michale, kocham cię, jako źrenicę oka, ale ty sobie tę Billewiczównę z głowy wybij.

— A to czemu? — pytał zdziwiony pan Wołodyjowski.

— Urodna jest, assentior! — rzekł Zagłoba — ale to persona okazała i żadnej niemasz między wami proporcyi. Chybabyś jej na ramieniu siadał, jako kanarek i cukier z gęby wydziobywał. Mogłaby cię takoż jako kobuza na rękawiczce nosić i na wszelkiego nieprzyjaciela puszczać, bo chociażeś mały, ależ instar szerszenia zjadliwy.

— Już waćpan zaczynasz? — rzekł Wołodyjowski.

— Kiedym zaczął, to pozwólże mi i dokończyć: Jedna jest dla ciebie podwika jakoby stworzona, a to właśnie owa pestka... Jakże jej tam imię? Ta, z którą nieboszczyk Podbipięta miał się żenić?

— Anusia Borzobohata-Krasieńska! — zakrzyknął pan Jan Skrzetuski. — Toćże to dawny afekt Michałowy!...

— Czyste ziarnko gryczane, ale gładka była bestyjka, jako kukiełka — rzekł, mlaskając ustami, pan Zagłoba.

Tu pan Michał zaczął wzdychać raz po razu i powtarzać to, co zawsze powtarzał, gdy ktoś o Anusi wspomniał:

— Co się z tem niebożątkiem dzieje?... Ba, ba! żeby się to ona znalazła!

— Jużbyś jej z rąk nie popuścił... I dobrzebyś uczynił, bo przy twojej kochliwości, panie Michale, może ci się przytrafić, że cię pierwsza lepsza koza złapie i na kozła przemieni. Dalibóg, w życiu nie widziałem, żeby ktoś taki był na afekta lasy. Powinieneś

się był kurkiem urodzić, śmiecie pod przyżbami rozgrzebywać i "ko, ko, ko!" na czubatki wołać.

— Anusia! Anusia! — powtarzał rozmarzony Wołodyjowski. — Bógby mi ją zesłał!... Ale może już jej na świecie zgoła niemasz, albo też za mąż poszła i dzieci wodzi...

— Coby miała iść! Zielona to jeszcze była rzepa, gdym ją widział, a potem choć i doszła, mogła się dotąd w stanie niewinności uchować. Po takim panu Longinie niejako jej było lada chłystka brać... Z drugiej też strony, w tych wojennych czasach mało kto o żeniaczce myśli.

A pan Michał na to:

— Waćpan jej dobrze nie znałeś. Dziw jak zacna... Ale taką już miała naturę, że nikogo nie przepuściła, żeby mu zaraz serca nie przeszyć... Taką ją już Pan Bóg stworzył. Nawet niższego stanu ludzi nie omijała: exemplum ów medyk księżnej Gryzeldy, Włoszyszko, który się w niej zakochał na umór. Może tam za niego już poszła i za morze ją wywiózł...

— Nie powiadaj byle czego, panie Michale! — zawołał z oburzeniem Zagłoba. — Medyk, medyk... Zaśby szlachecka córka z zacnej krwi miała pójść za człeka tak podłej kondycyi?... Raz ci to już mówiłem! nie może to być!

— I mnie samemu było na nią za to mruczno, bom sobie myślał; już też miary niema, skoro i procederników bałamuci.

— Prorokuję ci, że ją jeszcze obaczysz — rzekł Zagłoba.

Dalszą rozmowę przerwało wejście porucznika Tokarzewicza, który przedtem w regimencie radziwiłłowskim służył, a po zdradzie hetmana wraz z innymi go odstąpił i teraz w pułku oskierczynym chorągiew nosił.

— Panie pułkowniku — rzekł do Wołodyjowskiego — będziem petardę podsadzać.

— To już pan Oskierka gotów?

— Jeszcze dziś w południe był gotów i nie chce czekać, bo noc obiecuje się ciemna.

— To dobrze, — rzekł Wołodyjowski — pójdziem obaczyć ludziom też z muszkietami każę stanąć w gotowości, żeby z za bramy nie wypadli. Samże pan Oskierka będzie petardę podsadzał?

— Tak jest... Własną osobą... Siła i ochotnika z nim idzie.

— Pójdę i ja! — rzekł Wołodyjowski

— I my! — zawołali Skrzetuscy.

— Ot! szkoda, że stare oczy pociemku nie widzą, — ozwał się pan Zagłoba — bo pewniebym wam samym iść nie dał... Ale cóż! gdy się jeno zmroczy, już ani szablą mi się złożyć... Po dniu, przy słońcu, to tam stary lubi jeszcze ruszyć w pole. Dawajcie mi co najtęższych Szwedów, byle w południe.

— Ja zaś pójdę — rzekł, namyśliwszy się, dzierżawca z Wąsoszy. Gdy bramę wysadzą, pewnie wojsko hurmem do szturmu skoczy, a tam w zamku siła w sprzętach i klejnotach może być wszelakiej dobreci.

I wyszli wszyscy, bo też się już mroczyło na dworze; został w kwaterze sam tylko pan Zagłoba, który przez chwilę nasłuchiwał, jako śnieg chrzęścił pod stopami odchodzących; potem zaś jął podnosić kolejno gąsiorki i patrzyć pod światło płonące na kominie, jeżeli się co jeszcze w którym zostało.

Tamci zaś szli ku zamkowi w pomroce i wietrze, który wstał do strony północnej i dął coraz silniej, wył, huczał, niosąc z sobą tumany rozbitego w proch śniegu.

— Dobra noc do podsadzania petardy! — rzekł Wołodyjowski.

— Ale i do wycieczki — odrzekł pan Skrzetuski. — Musimy mieć pilne oko i muszkietników gotowych.

— Dałby Bóg, — rzekł pan Tokarzewicz — żeby pod Częstochową była jeszcze większa zadymka. Zawszeć naszym w murach cieplej... Ale coby tam Szwedów na strażach pomarzło, toby pomarzło... Trastia ich maty mordowała!

— Straszna noc! — rzekł pan Stanisław — słyszycie waćpanowie, jak wyje, jakoby Tatarzy do ataku powietrzem szli?

— Albo jakby dyabli requiem Radziwiłłowi śpiewali — dorzucił Wołodyjowski.

## XLIII.

W zamku zaś wielki zdrajca patrzył także w kilka dni później na zapadający mrok na całuny śnieżne i słuchał wycia wichru.

Dopalała się zwolna lampa jego życia. Dnia tego w południe jeszcze chodził, jeszcze spoglądał z blanków na namioty i drewnia-

ne szałasy wojsk sapieżyńskich; lecz w dwie godziny później zaniemógł tak, iż musiano go odnieść do komnat.

Od owych czasów kiejdańskich, w których po koronę sięgał, zmienił się do niepoznania. Włos na głowie zbielał, naokoło oczu poczyniły się czerwone obwódki, twarz mu obwisła i nabrzękła, więc wydawała się jeszcze ogromniejsza, ale byłato twarz już półtrupia, naznaczona błękitnemi piętnami i straszna, przez swój wyraz piekielnych cierpień.

A jednak, lubo życie jego na godziny się już liczyć mogło, przecie żył zadługo, bo przeżył nietylko wiarę w siebie, w swoją pomyślną gwiazdę, nietylko nadzieje swoje i zamiary, ale tak głęboki swój upadek, że gdy spoglądał na dno tej przepaści, do której się stoczył, sam sobie wierzyć nie chciał. Wszystko go zawiodło: wypadki, wyrachowania, sprzymierzeńcy. On, któremu niedość było być najpotężniejszym panem polskim, księciem państwa rzymskiego, wielkim hetmanem i wojewodą wileńskim; on, któremu Litwa cała była nie do miary pragnień i pożądliwości, zamknięty był teraz w jednym ciasnym zameczku, w którym czekała go tylko albo śmierć albo niewola. I patrzył codziennie we drzwi, która z dwóch strasznych bogiń pierwej wejdzie wziąć jego duszę i przez pół już rozpadające się jego ciało.

Z jego ziem, z jego włości i starostw można była niedawno udzielne królestwo wykroić, dziś nie był panem nawet i murów tykocińskich.

Przed kilkoma zaledwie miesiącami z sąsiednimi królami jeszcze traktował, dziś jeden kapitan szwedzki z niecierpliwością i lekceważeniem słuchał jego rozkazów i wolę jego śmiał naginać do swojej.

Gdy go opuściły wojska, gdy z magnata i pana, który trząsł krajem, został bezsilnym nędzarzem, który sam potrzebował ratunku i pomocy, Karol Gustaw pogardził nim. Byłby pod niebiosa wynosił potężnego pomocnika, ale odwrócił się z dumą od suplikanta.

Jako opryszka, Kostkę Napierskiego, oblegano niegdyś w Czorsztynie, tak jego, Radziwiłła, oblegano teraz w zamku tykocińskim. I kto oblegał? Sapieha, największy wróg osobisty!

Gdy go dostaną, powloką na sąd, gorzej niż opryszka, bo jako zdrajcę.

Opuścili go krewni, przyjaciele, kolligaci, wojska zajechały

jego dobra, rozwiały się w mgłę skarby, bogactwa i ów pan, ów książę, który niegdyś dwór francuski dziwił i oślepiał przepychem, który na ucztach tysiące szlachty przyjmował, który po dziesięć tysięcy własnych wojsk trzymał, odziewał, żywił, nie miał teraz czem mdlejących sił odżywić i strach powiedzieć! on, Radziwiłł, w ostatnich chwilach swego życia, niemal w godzinę śmierci — był głodny!

W zamku dawno już brakło żywności, ze szczupłych pozostałych zapasów komendant szwedzki skąpe wydawał racye, a książę nie chciał go prosić.

Gdyby przynajmniej gorączka, która trawiła jego siły, odjęła mu była i przytomność! Ale nie! Pierś jego podnosiła się coraz ciężej, oddech zmieniał się w chrapania, opuchłe nogi i ręce ziębły, lecz umysł mimo chwilowych obłędów, mimo straszuych mar i wizyj, które przesuwały mu się przed oczyma, pozostawał przez większą część godzin jasny. I widział ów książę cały swój upadek, całą nędzę i poniżenie, widział ów dawny wojownik zwycięzca całą klęskę—i cierpienia jego były tak niezmierne że chyba z jego grzechami mogły się porównać.

Bo prócz tego jako Oresta Erinny, tak jego szarpały wyrzuty sumienia, a nie było nigdzie takowej świątyni, do której mógłby się przed nimi schronić. Szarpały go w dzień, szarpały w nocy, na polu i pod dachem; duma nie mogła im zdzierżyć, ani ich odeprzeć. Im głębszy był jego upadek, tem szarpały go zacieklej. I miewał takie chwile, że darł własne piersi. Gdy nieprzyjaciele naszli ojczyznę ze wszystkich stron, gdy nad jej losem nieszczęsnym, nad jej bólami i krwią przelaną litowały się obce narody— on, hetman wielki litewski, zamiast ruszyć w pole, zamiast poświęcić jej ostatnią kroplę krwi, zamiast świat zdziwić jak Leonidas, jak Temistokles, zamiast zastawić ostatni kontusz, jak Sapieha, związał się z jednym z nieprzyjaciół przeciw matce, przeciwko własnemu panu podniósł świętokradzkę rękę i ubroczył we krwi blizkiej, drogiej... On to wszystko uczynił, a teraz jest u kresu nietylko hańby, ale i życia, porachunku blizki, tam, na tamtej stronie... Co go tam czeka?

Włos jeżył mu się na głowie, gdy o tem myślał. Bo gdy podnosił rękę na ojczyznę, sam sobie wydawał się w stosunku do niej wielki, a teraz zmieniło się wszystko. Teraz on zmalał, a natomiast ta

Rzeczpospolita, wstająca z prochu i krwi, wydawała się mu jakaś wielka i coraz większą, grozą tajemniczą pokryta, świętego majestatu pełna, straszna. I rosła ciągle jeszcze w jego oczach i olbrzymiała coraz więcej. Czuł się wobec niej prochem i jako książę i jako hetman i jako Radziwiłł. Nie mógł pojąć, coto jest. Jakieś fale nieznane wzbierały koło niego, płynęły z hukiem, łoskotem, napływały coraz bliżej, piętrzyły się coraz straszniej, a on rozumiał, że utonąć musi, że utonęłoby w tym ogromie takich stu jak on. Lecz czemu owej grozy i tajemniczej siły nie widział pierwej? czemu, szalony, porwał się przeciw niej? Gdy te myśli huczały mu w głowie, strach go brał przed tą matką, przed tą Rzecząpospolitą, bo nie poznawał jej rysów, tak dawniej dobrotliwych i łagodnych.

Duch się w nim łamał i w piersiach zamieszkało mu przerażenie. Chwilami myślał, że otacza go całkiem inny k aj, inni ludzie. Przez oblężenone mury dochodziło wszystko, co się w oblężonej Rzeczypospolitej działo, a działy się rzeczy dziwne i przerażające. Rozpoczynała się wojna na śmierć i życie przeciw Szwedom i zdrajcom — tem straszniejsza, że przez nikogo nie przewidywana' Rzeczpospolita poczęła karać. Było w tem coś gniewu bożego za obrażony majestat.

Gdy przez mury doszła wieść o oblężeniu Częstochowy, Radziwiłł, kalwinista, zląkł się i przestrach już nie wyszedł więcej z jego duszy, bo właśnie wtedy po raz pierwszy, dostrzegł te tajemnicze fale, które wstawszy, miały pochłonąć Szwedów i jego; wtedy najście szwedzkie wydało mu się nie najściem, ale świętokradztwem, a kara niezawodną. Wtedy po raz pierwszy spadła zasłona z jego oczu i ujrzał odmienioną twarz ojczyzny, już nie matki, ale karzącej królowej.

Wszyscy, którzy pozostali jej wierni i służyli z serca i duszy, poszli w górę i wyrastali coraz bardziej, kto przeciw niej grzeszył — upadał.

— Więc nie wolno myśleć nikomu — mówił sobie książę — ni o wyniesieniu własnem, ni rodu swego, jeno żywot, siły i miłość trzeba jej ofiarować?

Ale dla niego było zapóźno, bo już nie miał nic do ofiarowania, bo już nie miał przed sobą przyszłości, chyba pozagrobową, na której widok drżał.

Od chwili oblężenia Częstochowy, gdy jeden krzyk straszny wyrwał się z piersi niezmiernego kraju, gdy jakoby cudem znaazła się w nim jakaś dziwna, do tej pory przeoczana i niepojęta siła — gdy nagle rzekłbyś tajemnicza, pozaświatowa ręka podniosła się w jego obronie, nowe zwątpienie wżarło się w duszę książęcą, bo nie mógł opędzić się strasznym myślom, że Bóg stoi przy tamtej sprawie i przy tamtej wierze.

A gdy takie myśli huczały mu w głowie, wtedy o swojej własnej wierze wątpił i wówczas rozpacz jego przechodziła nawet miarę jego grzechów.

Ziemski upadek, duszy upadek, ciemność, nicość — oto do czego doszedł i czego się dosłużył, służąc sobie.

A jednak, jeszcze w początkach wyprawy z Kiejdan na Podlasie pełen był nadziei. Sapieha, nierównie gorszy wódz, bił go wprawdzie w polu, resztki chorągwi go opuszczały, lecz krzepił się myślą, że lada dzień nadciągnie mu w pomoc Bogusław. Przyleci to młode orlę radziwiłłowskie, na czele pruskich, luterskich zastępów, które śladem litewskich chorągwi do papieżników nie przejdą, a wówczas zgniotą we dwóch Sapiehę, zetrą jego siły, zetrą konfederatów i położą się na trupie Litwy, jako dwa lwy na trupie łani i samym rykiem odstraszą tych, którzyby im chcieli ją wydrzeć.

Lecz czas płynął, siły Janusza topniały; nawet cudzoziemskie regimenty przechodziły do groźnego Sapiehy; upływały dnie, tygodnie, miesiące, a Bogusław nie nadchodził.

Nakoniec rozpoczęło się oblężenie Tykocina.

Szwedzi, których garść przy Januszu została, bronili się bohatersko, bo straszliwemi okrucieństwy poprzednio się zmazawszy, wiedzieli, że nawet poddanie się nie ochroni ich przed mściwą ręką Litwinów. Książę w początkach oblężenia jeszcze miał nadzieję, że w ostatnim razie może sam król szwedzki ruszy na odsiecz, a może pan Koniecpolski, który na czele sześciu tysięcy koronnej jazdy przy Karolu się znajdował. Lecz próżno się spodziewał. Nikt o nim nie myślał, nikt z pomocą nie nadciągał.

— Bogusławie! Bogusławie! — powtarzał książę, chodząc po tykocińskich komnatach — jeśli brata nie chcesz ratować, to ratuj przynajmniej Radziwiłła!...

Wreszcie w ostatniej rozpaczy, postanowił książę uczynić krok,

na który srodze oburzała się jego duma: to jest błagać o ratunek księcia Michała z Nieświeża.

List jego przejęli jednak w drodze sapieżyńscy ludzie, zaś wojewoda witebski przesłał Januszowi w odpowiedzi pismo księcia krajczego, które przed tygodniem sam otrzymał.

Janusz znalazł w nim ustęp, głoszący co następuje:

"Jeśliby w. w. miłościwego pana mego doszły wieści, iż ja krewnemu, księciu wojewodzie wileńskiemu, w pomoc iść zamierzam, tedy im w. w. pan mój miłościwy nie wierz, albowiem z tymi ja tylko za jedno trzymam, którzy w wierze ku ojczyźnie i panu naszemu wytrwać, a dawne wolności tej prześwietnej Rzeczypospolitej restaurować pragną. Co się po mnie nie pokaże, abym zdrajców od słusznej i należytej kary miał zasłaniać. Bogusław też nie nadciągnie, bo jak słyszę, elektor o sobie woli myśleć i nie chce sił rozdzielać, a quod attinet Koniecpolskiego, ten chyba do wdowy w konkury posunie, która aby nią została, na rękę mu, by książę wojewoda zgorzał jako najprędzej."

Ten list, do Sapiehy adresowany, odjął nieszczęsnemu Januszowi resztę nadziei i nie pozostało mu nic innego, jak czekać, aby się spełniły jego losy.

Oblężenie dobiegało końca.

Wieść o odjeździe pana Sapiehy tej minuty niemal przedarła się przez mury, ale nadzieja, że wskutek jego odjazdu kroki nieprzyjacielske zostaną zaniechane, krótko trwała; gdyż przeciwnie w pułkach pieszych znać było ruch jakiś niezwyczajny. Upłynęło jednak kilka dni dość spokojnie, lubo zamiar wysadzenia bramy petardą spełzł na niczem, lecz nadszedł 31 grudnia, w którym tylko zapadająca noc mogła przeszkodzić oblegajcym, widocznie bowiem gotowali coś przeciw zamkowi, jeśli szturm, to przynajmniej nowy atak działowy na nadwątlone mury.

Dzień miał się ku schyłkowi. Książę leżał w sali tak zwanej "Rogowej," położonej w zachodniej części zamku. Na ogromnym kominie paliły się całe smoliste karpy sosnowe, rzucając żywy blask na białe i dość puste ściany. Książę leżał na wznak na tureckiej sofie, wysuniętej umyślnie na środek komnaty, aby ciepło płomieni mogło do niej dochodzić. Bliżej komina, nieco w cieniu, spał na kobierczyku paź, koło księcia zaś siedzieli, drzemiąc na krzesłach: pani Jakimowiczowa, niegdyś dozorczyni fraucymeru w Kiejdanach, drugi paź, medyk, astrolog książęcy i Charłamp.

Ten ostatni bowiem nie opuścił księcia, chociaż z dawnych wojskowych został przy nim prawie sam jeden. Gorzka to była służba, bo serce i dusza starego towarzysza były właśnie za murami tykocińskiemi, w obozie Sapiehy, jednakże trwał wiernie przy dawnym wodzu. Biedne żołnierzysko wychudło z głodu i niewczasów, jak kościotrup. Z twarzy jego został tylko nos, który teraz wydawał się jeszcze większy i wąsy, jak wiechy. Ubrany był w zbroję całkowitą, pancerz, naramienniki i misiurkę z drucianym czepcem, który spływał mu na ramiona. Żelazne karwasze świeciły mu na łokciach, bo tylko co był wrócił z murów, na które przed chwilą wychodził patrzeć, co się dzieje i na których codzień szukał śmierci. Teraz zaś zdrzemnął się ze znużenia, choć książę rzęził straszliwie, jakby konać począł i choć wiatr wył i gwizdał na zewnątrz.

Nagle krótkie drgania poczęły wstrząsać olbrzymiem ciałem Radziwiłła i przestał rzęzić. Zbudzili się zaraz ci, którzy go otaczali i poczęli patrzeć bystro najprzód na niego, potem na siebie.

Lecz on rzekł:

— Jakoby mi ktoś z piersi zlazł: lżej mi...

Potem zwrócił nieco głowę, począł patrzeć uważnie ku drzwiom, nakoniec ozwał się:

— Charłamp!

— Sługa waszej ks. mości.

— A czego tu Stachowicz chce?

Pod biednym Charłampem zadygotały nogi, bo o ile nieustraszony był w boju, o tyle zabobonny, więc obejrzał się szybko i rzekł przytłumionym głosem:

— Stachowicza tu niemasz. Wasza ks. mość kazała go w Kiejdanach rozstrzelać.

Książę przymknął oczy i nie odpowiedział ni słowa.

Przez jakiś czas słychać było żałosne przeciągłe wycie wichru.

— Płacz ludzki w tym wichrze słychać — rzekł znów książę, otwierając całkiem przytomnie oczy. — Ale jam nie sprowadzał Szwedów, jeno Radziejowski.

A gdy nikt nie odpowiadał, po małej chwili dodał:

— On najwięcej winien, on najwięcej winien, on najwięcej winien.

I jakaś otucha wstąpiła mu do piersi, jak gdyby uradowało go wspomnienie, że był ktoś od niego winniejszy.

Wkrótce jednak inne, cięższe myśli musiały mu przyjść do głowy, bo twarz mu pociemniała i powtórzył kilkakrotnie:

— Jezus! Jezus! Jezus!

I znowu napadła go duszność; począł rzęzić jeszcze straszniej, niż poprzednio.

Tymczasem z zewnątrz doszły odgłosy wystrzałów muszkietowych, zrazu rzadkich, potem coraz gęstszych, ale wśród zamieci śnieżnej i wycia wichru nie brzmiały zbyt głośno i można było myśleć, że to rozlegają się jakieś ustawiczne stukania do bramy.

— Biją się! — rzekł medyk książęcy.

— Jako zwyczajnie! — odpowiedział Charłamp. — Ludzie marzną w zamieci, to wolą się bić dla rozgrzewki.

— Szósty już dzień tego wichru i śniegu — odpowiedział medyk. — Wielkie zmiany przyjdą w tem królestwie, bo niezwyczajna to rzecz!

Na to odrzekł Charłamp:

— Daj je Boże! Nie stanie się nic gorszego!

Dalszą rozmowę przerwał im książę, na którego znów przyszła ulga:

— Charłamp!

— Sługa waszej ks. mości.

— Czy mi się ze słabości tak wydaje, czy też Oskierka parę dni temu chciał petardą bramę wysadzać?

— Chciał, wasza ks. mość, ale Szwedzi petardę porwali i sam nieszkodliwie postrzelon, a sapieżyńscy odbici.

— Jeżeli nieszkodliwie, to znów będzie tentował... A który dzień?

— Ostatni grudnia, wasza ks. mość.

— Boże bądź miłościw duszy mojej!... Nie dożyję już Nowego Roku... Dawno mi przepowiadano, iż w każdym piątym roku śmierć stoi koło mnie.

— Bóg łaskaw, wasza ks. mość.

— Bóg jest z panem Sapiehą — odpowiedział książe głucho.

Nagle począł się oglądać i rzekł:

— Zimno na mnie od niej idzie... Nie widzę jej, ale czuję, że ona tu jest.

— Kto taki, wasza ks. mość?

— Śmierć!

Nastała chwila milczenia, słychać tylko było szept pacierzy, odmawianych przez panią Jakimowiczową.

— Powiedzcie—ozwał się książę przerywanym głosem — zali wy naprawdę wierzycie, że poza waszą wiarą nikt zbawion być nie może?

— I w godzinę śmierci można jeszcze od błędów rewokować — odrzekł Charlamp.

Odgłosy wystrzałów stały się w tej chwili jeszcze gęstsze. Huk dział począł wstrząsać szybami, które za każdym razem odpowiadały żałosnem dźwięczeniem.

Książę słuchał czas jakiś spokojnie, poczem uniósł się zlekka na wezgłowiu, zwolna oczy poczęły się rozszerzać, źrenice błyskać. Siadł; przez chwilę trzymał rękoma głowę, nagle krzyknął, jak w obłąkaniu:

— Bogusław! Bogusław! Bogusław!

Charlamp wybiegł jak szalony z komnaty.

Zamek cały trząsł się i dygotał od huku dział.

Nagle dał się słyszeć krzyk kilku tysięcy głosów, poczem targnęło coś z okropnym łomotem ścianami,aż głownie i węgle z komina wysypały się na posadzkę, jednocześnie Charlamp wpadł z powrotem do sali.

— Sapieżyńscy bramę wysadzili! — krzyknął — Szwedzi uciekli do wieży!... Nieprzyjaciel tuż!... wasza ks. mość...

Dalsze słowa zamarły mu w ustach. Radziwiłł siedział na sofie z oczyma wyszłemi na wierzch; otwartemi ustami łapał raz poraz powietrze, zęby miał wyszczerzone, rękoma darł sofę, na której siedział i patrząc z przerażeniem w głąb komnaty, krzyczał, a raczej chrapał między jednym oddechem a drugim:

— To Radziejowski... Ja nie... Ratunku!... Czego chcecie?! Weźcie tę koronę!... To Radziejowski... Ratujcie, ludzie! Jezus! Jezus! Maryo!

To były ostatnie słowa Radziwiłła.

Następnie porwała go straszliwa czkawka,oczy wyszły mu jeszcze okropniej z oprawy,wyprężył się, padł na wznak i pozostał bez ruchu.

— Skonał! — rzekł medyk.

— Maryi wzywał! słyszeliście, choć kalwinista! — ozwała się pani Jakimowiczowa.

— Dorzućcie na ogień! — rzekł do struchlałych paziów Charłamp.

Sam zaś zbliżył się do trupa, przymknął mu powieki, zaczem zdjął z pancerza złocisty obraz Bogarodzicy, który na łańcuszku nosił i, ułożywszy ręce Radziwiłła na piersiach, włożył mu go między palce.

Światło ognia odbiło się od złotego tła obrazu, a ów odblask padł na twarz wojewody i rozweselił ją tak, że nigdy nie wydawała się tak spokojna.

Charłamp siadł obok ciała i wsparłszy łokcie o kolana, ukrył oblicze w dłoniach.

Milczenie przerywał tylko huk wystrzałów.

Nagle stało się coś strasznego. Błysnęła najprzód okropna jasność: zdawało się, że świat cały w ogień się zmienił, a jednocześnie niemal rozległ się taki huk, jakoby ziemia zapadała się pod zamkiem. Zachwiały się ściany, pułap zarysował się z przeraźliwym trzaskiem, okna wszystkie runęły na podłogę i szkło szyb rozbiło się w setne okruchy. Przez puste otwory okien wdarły się w tej chwili tumany śniegu i wicher począł wyć ponuro w kątach sali.

Wszyscy ludzie, w komnacie będący, padli twarzami na ziemię, wszyscy oniemieli ze strachu.

Podniósł się pierwszy Charłamp i zaraz spojrzał na trupa wojewody; ale trup leżał równo, spokojnie, jeno obrazek złocisty przechylił się mu nieco w rękach.

Charłamp odetchnął. Poprzednio był powien, że te hurma szatanów wdarła się do sali po ciało książęce.

— Słowo stało się ciałem! — rzekł — to Szwedzi musieli wysadzić prochami wieżę i siebie...

Lecz z zewnątrz nie dochodził żaden odgłos. Widocznie wojska sapieżyńskie stały w niemym podziwie, albo może w obawie, że cały zamek jest podminowany i że prochy kolejno wybuchać będą.

— Dorzućcie do ognia! — rzekł pacholętom Charłamp.

I znów komnata zapłonęła jaskrawem, migotliwem światłem. Naokoło trwała cisza śmiertelna, jeno ogień syczał, jeno wicher wył i śnieg walił coraz większy przez puste okna.

Aż nareszcie zabrzmiały zmieszane głosy, potem rozległ się brzęk ostróg i tupot licznych kroków; drzwi od sali otworzyły się na roścież i żołnierze wpadli do środka.

Uczyniło się jasno od gołych szabel i coraz to więcej postaci rycerskich, przybranych w hełmy, kapuzy, kołpaki, tłoczyło się przeze drzwi. Wielu niosło w rękach latarnie i ci świecili niemi, postępując ostrożnie, chociaż w komnacie widno było i tak od ognia.

Nakoniec z tłumu wyskoczył mały rycerz, cały w szmelcowanej zbroi i krzyknął:

— Gdzie wojewoda wileński?

— Tu! — rzekł Charłamp, ukazując na ciało, leżące na sofie.

Pan Wołodyjowski spojrzał i rzekł:

— Nie żyje!

— Nie żyje! nie żyje! — poszedł głos z ust do ust. — Nie żyje zdrajca i przedawczyk!

— Tak jest — rzekł ponuro Charłamp. — Ale jeśli sponiewieracie ciało jego i na szablach je roznniesiecie, źle uczynicie, bo Najświętszej Panny przed skonaniem wzywał i jej konterfekt w ręku dzierży!

Słowa te wielkie uczyniły wrażenie. Krzyki umilkły. Natomiast żołnierze poczęli się zbliżać, obchodzić sofę i przypatrywać się nieboszczykowi. Ci, którzy mieli latarnie, świecili mu w oczy, a on leżał olbrzymi, posępny, z hetmańskim majestatem w twarzy i zimną powagą śmierci.

Żołnierze przychodzili kolejno, a między nimi i starszyzna. Zbliżył się więc Stankiewicz i dwaj Skrzetuscy i Horodkiewicz i Jakób Kmicic i Oskierka i pan Zagłoba.

— Prawda jest!... — rzekł cichym głosem pan Zagłoba, jakby bał się zbudzić księcia. — Najświętszą Pannę w rękach trzyma i blask mu od Niej na lica pada...

To rzekłszy, zdjął kołpak z głowy. W tej chwili uczynili to wszyscy inni. Nastało milczenie pełne szacunku, które przerwał wreszcie Wołodyjowski.

— Ach! — rzekł — już on na sądzie bożym i ludzie nic do niego nie mają!

Tu zwrócił się do Charłampa:

— Lecz ty, nieszczęśniku, czemuś to dla niego ojczyzny i pana odstąpił?

— Dawajcie go sam!... — ozwało się zaraz kilka głosów.

Na to Charłamp wstał i wyjąwszy szablisko, cisnął ją z brzękiem na ziemię.

— Macie mnie, rozsiekajcie! — rzekł. — Nie odstąpiłem go razem z wami, gdy był potężny jako król, a potem nie godziło mi się go opuszczać, gdy był w mizeryi i gdy nikt przy nim nie pozostał. Oj! nie utyłem na tej służbie, bom trzy dni już nic w gębie nie miał i nogi się chwieją pode mną... Ale macie mnie, rozsiekajcie! gdyż i do tego się przyznaję... — tu głos pana Charłampa zadrgał — żem go miłował...

To rzekłszy, zatoczył się i byłby upadł, ale Zagłoba otworzył mu ramiona, chwycił go, podtrzymał, a potem krzyczeć począł:

— Na żywy Bóg! Dajcie mu jeść i pić!...

Trafiło to wszystkim do serca, więc wzięto pana Charłampa pod ręce i wyprowadzono go zaraz z komnaty. Poczem i żołnierze poczęli ją kolejno opuszczać, żegnając się pobożnie.

W drodze do kwatery pan Zagłoba rozważał coś w umyśle, zastanawiał się, chrząkał, nareszcie pociągnął za połę pana Wołodyjowskiego.

— Panie Michale! — rzekł.

— A czego?

— Już mnie zawziętość na Radziwiłła minęła, co nieboszczyk to nieboszczyk!... Odpuszczam mu z serca, że na szyję moją nastawał.

— Przed trybunałem on niebieskim! — odrzekł Wołodyjowski.

— Otóż, otóż!... Hm! żeby mu to co pomogło, dałbym zresztą i na mszę, bo widzi mi się, że ma tam okrutnie kruchą sprawę.

— Bóg miłosierny!

— Że miłosierny, to miłosierny, aleć i on bez abominacye na heretyków patrzeć nie może. A to nietylko heretyk, ale i zdrajca. Ot co!

Tu pan Zagłoba zadarł głowę i począł spoglądać ku górze.

— Boję się — rzekł po chwili, — żeby mi który Szwed, z tych, co się prochami wysadzili, na łeb nie zleciał, bo że ich tam w niebie nie przyjęto, to pewna!

— Dobrzy pacholkowie! — rzekł z uznaniem pan Michał, — woleli zginąć, niż się poddać. Mało takich żołnierzów w świecie!

Poczem szli w milczeniu, nagle pan Michał zatrzymał się.

— Billewiczówny w zamku nie było — rzekł.

— A skąd wiesz?

— Pytałem onych paziów. Bogusław ją wziął do Taurogów.

— Oj! — rzekł Zagłoba — to jakoby wilkowi kozę powierzono. Ale to nie twoja rzecz, tobie przeznaczona tamta pestka!

---

## XLIV.

Lwów od chwili przybycia króla zmienił się w istotną stolicę Rzeczypospolitej. Wraz z królem przybyła większa część biskupów z całego kraju i wszyscy ci świeccy senatorowie, którzy nie służyli nieprzyjacielowi. Wydane lauda zwołały również pod broń szlachtę województwa ruskiego i dalszych przyległych, która stanęła licznie a zbrojno, z tem większą łatwością, że Szwedów wcale w tych stronach nie było. Rosły też oczy i serca na widok pospolitego ruszenia, w niczem bowiem nie przypominało ono owego wielkopolskiego, które pod Ujściem tak słabą stawiło nieprzyjacielowi zaporę. Przeciwnie, nadciągała tu groźna i wojownicza szlachta, z dziecka na koniu i w polach hodowana, wśród ciągłych napadów tatarskiej dziczy, przywykła do przelewu krwi i pożogi, lepiej władnącą szablą, niż łaciną. Świeżo jeszcze wyćwiczyła ją Chmielniczczyzna, siedm lat bez przerwy trwająca, tak że nie było między nimi człowieka, którvby tyle razy przynajmniej w ogniu nie był, ile sobie lat liczył. Coraz nowe ich roje przybywały do Lwowa. Jedni ciągnęli od przepaścistych Bieszczadów, inni z nad Prutu, Dniestru i Seretu; którzy siedzieli na krętych dorzeczach Dniestrowych, którzy siedzieli nad roztoczystym Bohem, których nad Sieniuchą nie starła z łona ziemi inkursya chłopska, którzy na tatarskich rubieżach się ostali, ci wszyscy na głos pana dążyli do Lwiego grodu, aby stamtąd na nieznanego jeszcze nieprzyjaciela pociągnąć. Waliła szlachta z Wołynia i z dalszych jeszcze województw, taką nienawiść rozpaliła we wszystkich duszach straszna wieść o podniesieniu przez nieprzyjaciela świętokradzkiej ręki na Patronkę Rzeczypospolitej w Częstochowie.

Zaś kozactwo nie śmiało stawić przeszkód, bo nawet w najzatwardzialszych poruszyły się serca i zresztą samo było od Tata-

rów zmuszone bić przez posłów czołem królowi i po raz setny przysięgi wierności ponawiać. Groźne dla królewskich nieprzyjaciół poselstwo tatarskie pod wodzą Subaghazi-beja bawiło we Lwowie, ofiarując w imieniu chanowęm sto tysięcy ordy na pomoc Rzeczypospolitej,z której czterdzieści tysięcy mogło zaraz z pod Kamieńca w pole wyruszyć.

Prócz poselstwa tatarskiego zjechała i legacya z Siedmiogrodu dla prowadzenia wszczętych z Rakoczym o następstwo tronu rokowań; bawił i poseł cesarski, był nuncyusz papieski, który razem z królem przyjechał, codzień nadjeżdżały deputacye od wojsk koronnych i litewskich, od województw i ziem z oświadczeniami wierności dla majestatu i chęci obrony do upadłego najechanej ojczyzny.

Rosła tedy fortuna królewska, podnosiła się w oczach ku podziwowi wieków i narodów, tak niedawno zupełnie zgnębiona Rzeczpospolita. Rozpaliły się dusze ludzkie żądzą wojny i odwetu, a jednocześnie okrzepły. I jak na wiosnę deszcz ciepły a obfity topi śnieg, tak potężna nadzieja stopiła zwątpienie. Nietylko chciano zwycięstwa, ale wierzono w nie. Coraz to nowe wieści pomyślne, choć często nieprawdziwe, przechodziły z ust do ust. Raz wraz opowiadano to o odebranych zamkach, to o bitwach, w których nieznane pułki pod nieznanemi dotąd wodzami rozgromiły Szwedów, to o strasznych chmurach chłopstwa, podnoszącego się jak szarańcza przeciw nieprzyjacielowi. Imię Stefana Czarnieckiego coraz częściej pojawiało się na wszystkich ustach.

Szczegóły o onych wieściach były często nieprawdziwe, ale razem wzięte, odbijały jako zwierciadło to, co się działo w całym kraju.

Lecz we Lwowie było jakoby ustawiczne święto. Gdy król przybył, witało go miasto uroczyście: więc duchowieństwo trzech obrządków, rajcy miejscy, kupiectwo, cechy. Na placach i ulicach, gdzie okiem rzuciłeś, powiewały chorągwie białe, szafirowe, purpurowe, złociste. Dumnie podnosili Lwowianie swego złotego lwa w błękitnem polu, z chlubą wspominając zaledwie przeszłe kozackie i tatarskie napady. Za każdem ukazaniem się królewskiem, krzyk się czynił pomiędzy tłumami, a tłumów nigdy nie brakło.

Ludność podwoiła się w ostatnich dniach. Prócz senatorów

biskupów, prócz szlachty, napłynęły i tłumy chłopstwa, bo się rozbiegła wieść, że król zamyśla los chłopski poprawić. Więc sukmany i gunie pomieszały się z żółtemi kapotami mieszczan. Przemyślni Ormianie o smagłych twarzach porozbijali szałasy z towarem i bronią, którą chętnie kupowała zgromadzona szlachta.

Była znaczna liczba i Tatarów przy poselstwie i Węgrzyni i Wołosi i Rakuszanie, moc ludu, moc wojska, moc odmiennych twarzy, moc strojów dziwnych, barwnych, jaskrawych, a rozmaitych, moc służby dworskiej: więc olbrzymich pajuków, hajduków, janczarów, kraśnych Kozaków laufrów zcudzoziemska przybranych.

Na ulicach od rana do wieczora gwar ludzki, przejeżdżanie to chorągwi, komputowych, to oddziałów konnej szlachty, krzyki komendy, migotanie zbroi i gołych szabel, rżenie koni, hurkot armat i śpiewy pełne gróźb i przekleństw dla Szweda.

A dzwony w kościołach polskich, ruskich i ormiańskich biły nieustannie, zwiastując wszystkim, że król jest we Lwowie i że Lwów to ze stolic pierwszy, ku wieczystej swej chwale, przyjął króla wygnańca.

Bito mu też czołem, gdzie się tylko pokazał; czapki wylatywały w górę, a okrzyki "vivat!" wstrząsały powietrzem; bito czołem i przed karocami biskupów, którzy przez okna żegnali zgromadzone tłumy; kłaniano się też i wykrzykiwano senatorom, czcząc w nich wierność dla pana i ojczyzny.

Tak wrzało całe miasto. Nawet nocą palono na placach stosy drzewa, przy których koczowali mimo zimy i mrozu ci, którzy się w kwaterach dla zbytniego ścisku pomieścić nie mogli.

Król zaś trawił dni całe na naradach z senatorami. Przyjmowano poselstwa zagraniczne, deputacye ziem i wojsk, obmyślano sposoby zapełnienia pustego skarbca pieniędzmi, używano wszelkich sposobów, aby rozniecić wojnę tam wszędzie, gdzie nie płonęła dotąd.

Latali gońcy do miast znaczniejszych, we wszystkie strony Rzeczypospolitej, aż hen do dalekich Prus i na Żmudź świętą, do Tyszowiec, do hetmanów, do pana Sapiehy, który po zburzeniu Tykocina szedł z wojskiem swojem wielkiemi pochodami na południe; szli gońcy i do pana chorążego wielkiego Koniecpolskiego, który jeszcze stał przy Szwedach. Tam, gdzie było trzeba, posyłano zasiłki pieniężne, ekscytowano ospalszych manifestami.

Król uznał, uświęcił i potwierdził konfederacyę Tyszowiecką i sam do niej przystąpił, wziąwszy wodze wszelkich praw w swe niestrudzone ręce: pracował od rana do nocy, więcej dobro Rzeczypospolitej, niż własny wczas, niż własne zdrowie ważąc.

Lecz jeszcze nie tu był kres jego usiłowań; postanowił bowiem zawrzeć w imieniu swojem i stanów takie przymierze, któregoby żadna potęga ziemska przemódz nie zdołało, a któreby w przyszłości do poprawy Rzeczypospolitej mogło posłużyć.

Nadeszła nareszcie ta chwila.

Tajemnica musiała się przedrzeć od senatorów do szlachty, a od szlachty do pospólstwa, gdyż od rana mówiono, że w czasie nabożeństwa stanie się coś ważnego, że król jakieś uroczyste śluby będzie składał. Mówiono o poprawie losów chłopskich i o konfederacyi z niebem; inni wszelako twierdzili, że to są niebywałe rzeczy, których przykładów dzieje nie podają, ale ciekawość była podniecona i powszechnie czegoś oczekiwano.

Dzień był mroźny, jasny, drobniuchne źdźbła śniegu latały po powietrzu, błyszcząc nakształt iskier. Piechota łanowa lwowska i powiatu żydaczowskiego, w półszubkach błękitnych, bramowanych złotem, i pół regimentu węgierskiego wyciągnęły się w długi szereg przed katedrą, trzymając muszkiety przy nogach; przed nimi, nakształt pasterzy, przechodzili wzdłuż i w poprzek oficerowie z trzcinami w ręku. Pomiędzy dwoma szpalerami płynął jak rzeka do kościoła tłum różnobarwny. Więc najprzód szlachta i rycerstwo, a za nią senat miejski z łańcuchami pozłocistemi na szyjach i ze świecami w ręku, a prowadził go burmiestrz, słynny na całe województwo medyk, przybrany w czarną togę aksamitną i biret; za senatem szli kupcy, a między nimi wielu Ormian w zielonych ze złotem myckach na głowie i w obszernych wschodnich chałatach. Ci, chociaż do innego obrządku należąc, ciągnęli wraz z innymi, by stan reprezentować. Za kupiectwem dążyły cechy z chorągwiami, a więc: rzeźnicy, piekarze, szewcy, złotnicy, konwisarze, szychterze, płatnerze, kordybanci, miodowarzy i ilu tylko innych jeszcze było; każdego ludzie wybrani szli za swoją chorągwią, którą niósł okazalszy od wszystkich urodą chorąży. Zaczem dopiero waliły bractwa różne i tłum pospolity, w łyczkowych kapotach, w kożuchach, guniach, sukmanach, mieszkańcy przedmieść, chłopi. Nie tamowano przystępu nikomu, dopóki kościół nie zapełnił się szczelnie ludźmi wszelakich stanów i płci obojej.

Nakoniec zaczęły zajeżdżać i karety,lecz omijały główne drzwi, albowiem król, biskupi i dygnitarze mieli osobne wejście bliżej wielkiego ołtarza. Co chwila wojsko prezentowało broń, następnie żołnierze spuszczali muszkiety do nogi i chuchali na zmarznięte dłonie, wyrzucając z piersi kłęby pary.

Zajechał król z nuncyuszem Widonem, potem arcybiskup gnieźnieński z księciem biskupem Czartoryskim, potem ksiądz biskup krakowski, ksiądz arcybiskup lwowski, kanclerz wielki koronny, wielu wojewodów i kasztelanów. Ci wszyscy znikali w bocznych drzwiach, a ich karoce, dwory, masztalerze i wszelkiego rodzaju dworscy utworzyli jakby nowe wojska, stojące z boku katedry.

Ze mszą wyszedł nuncyusz apostolski Widon, przybrany na purpurze w ornat biały, naszywany perłami i złotem.

Dla króla urządzono klęcznik między wielkim ołtarzem a stalami, przed klęcznikiem leżał rozpostarty dywan turecki. Kanonickie krzesła zajęli biskupi i świeccy senatorowie.

Różnobarwne światła, wchodzące przez okna w połączeniu z blaskiem świec, od których ołtarz gorzeć się zdawał, padały na twarze senatorskie, ukryte w cieniu kanonickich krzeseł, na białe brody, na wspaniałe postawy, na złote łańcuchy, aksamity i fiolety. Rzekłbyś: rzymski senat, taki w tych starcach majestat i powaga; gdzieniegdzie błyśnie jasna główka młodego panięcia; wszystkie oczy utkwione w ołtarz, wszyscy modlą się; błyszczą i chwieją się płomienie świec; dymy z kadzielnic igrają i kłębią się w blaskach. Z drugiej strony stallów kościół nabity głowami, a nad głowami tęcza chorągwi, jako tęcza kwiatów się mieni.

Majestat króla Jana Kazimierza padł wedle zwyczaju krzyżem i korzył się przed majestatem Bożym. Wreszcie wydobył ksiądz nuncyusz z cyborium kielich i zbliżył się z nim do klęcznika. Wówczas król podniósł się z jaśniejszą twarzą, rozległ się głos nuncyusza: "Ecce Agnus Dei" i król przyjął Komunię.

Przez jakiś czas klęczał schylony; nakoniec podniósł się, oczy zwrócił ku niemu i wyciągnął obie ręce.

Uciszyło się nagle w kościele, tak że oddechów ludzkich nie było słychać. Wszyscy odgadli, że chwila nadeszła i że król jakiś ślub będzie czynił; wszyscy słuchali w skupieniu ducha, a on stał ciągle z wyciągniętemi rękoma, wreszcie głosem wzruszonym, ale jak dzwon donośnym, tak mówić począł:

"Wielka człowieczeństwa Boskiego Matko i Panno! Ja, Jan Kazimierz, Twego Syna, Króla królów i Pana mojego i Twojem zmiłowaniem się król, do Twych Najświętszych stóp przychodząc, tę oto konfederacyę czynię: Ciebie za patronkę moją i państwa mego Królową dzisiaj obieram. Mnie Królestwo moje Polskie, Wielkie Księstwo Litewskie, Ruskie, Pruskie, Mazowieckie, Żmudzkie, Inflanckie i Czernihowskie, wojsko obojga narodów i pospólstwo wszystko, Twojej osobliwej opiece i obronie polecam; Twojej pomocy i miłosierdzia w teraźniejszem utrapieniu królestwa mego przeciwko nieprzyjaciołom pokornie żebrzę..."

Tu padł król na kolana i milczał chwilę, w kościele cisza ciągle trwała śmiertelna, więc wstawszy, tak dalej mówił:

"A że wielkiemi Twemi dobrodziejstwy zniewolony, przymuszony jestem z narodem polskim do nowego i gorącego Tobie służenia obowiązku, obiecuję, Tobie, mojem, ministrów, senatorów, szlachty i pospólstwa imieniem Synowi Twemu Jezusowi Chrystusowi, Zbawicielowi naszemu, cześć i chwałę przez wszystkie krainy królestwa polskiego rozszerzać, czynić wolę, że gdy za zlitowaniem Syna Twego otrzymam wiktoryę nad Szwedem, będę się starał, aby rocznica w państwie mem odprawiała się solennie do skończenia świata, rozpamiętywaniem łaski boskiej i Twojej, Panno Przeczysta!"

Tu znów przerwał i klęknął. W kościele uczynił się szmer, lecz głos królewski wnet go uciszył i choć drżał teraz skruchą, wzruszeniem, tak dalej mówił jeszcze donośniej:

"A że z wielkim żalem serca mego uznaję, dla jęczenia w opresyi ubogiego pospólstwa oraczów, przez żołnierzstwo uciemiężonego, od Boga mego sprawiedliwą karę przez siedm lat w Królestwie mojem różnemi plagami trapiącą nad wszystkich ponoszę, obowiązuję się, iż po uczynionym pokoju starać się będę ze stanami Rzeczypospolitej usilnie, ażeby odtąd utrapione pospólstwo wolne było od wszelkiego okrucieństwa, w czem Matko miłosierdzia Królowo i Pani moja, jakoś mnie natchnęła do uczynienia tego wotum, abyś łaską miłosierdzia u Syna Twego uprosiła mi pomoc do wypełnienia tego, co obiecuję."

Słuchało tych słów królewskich duchowieństwo, senatorowie, szlachta i gmin. Wielki płacz rozległ się w kościele, który najprzód w chłopskich piersiach się zerwał i z onych wybuchnął, a potem stał się powszechny. Wszyscy wyciągnęli ręce ku niebu,

rozpłakane głosy powtarzały: "Amen! amen! amen!" na świadectwo, że swoje uczucia i swoje wota ze ślubem królewskim łączą. Uniesienie ogarnęło serca i zbratały się w tej chwili w miłości dla Rzeczypospolitej i jej patronki. Zaczem radość niepojęta jako czysty płomień rozpaliła się na twarzach, bo w całym tym kościele nie było nikogo, ktoby jeszcze wątpił, że Bóg Szwedów pogrąży.

Król zaś po skończonem nabożeństwie, wśród grzmotu wystrzałów z muszkietów i dział, wśród poromkich okrzyków: "wiktorya! wiktorya! niech żyje!" jechał do grodu i tam oną niebieską konfederacyę wraz z Tyszowiecką roborował.

---

## XLV.

Po owych uroczystościach różne wieści zaczęły nadlatywać jako ptastwo skrzydlate do Lwowa. Były dawniejsze i świeże, mniej lub więcej pomyślne, ale wszystkie dodawały ducha. Więc najprzód konfederacya Tyszowiecka szerzyła się, jak pożar. Kto żyw przystępował do niej, zarówno ze szlachty, jak z pospólstwa. Miasta dostarczały wozów, strzelby i piechoty, Żydzi pieniędzy. Nikt nie śmiał się przeciwić jej uniwersałom; najospalsi na koń siadali. Nadszedł też i groźny manifest Wittemberga, zwrócony przeciw związkowi. Ogień i miecz miał karać tych, którzy do niego przystępowali. Ale sprawiło to taki skutek, jakby kto chciał prochem płomień zasypać. Manifest ów, zapewne za wiedzą królewską i dla tem większego podniesienia zawziętości przeciw Szwedom, rozrzucono w wielkiej ilości egzemplarzy we Lwowie i nie godzi się mówić, co pospólstwo dokazywało z temi papierami, dość, że wiatr je nosił srodze pohańbione po lwowskich ulicach, żacy zaś pokazywali ku uciesze tłumów w jasełkach "Wittembergową konfuzyę," śpiewając przytem pieśń, poczynającą się od słów:

Witemberku nieboże,
Lepiej zmykaj za morze
Jak zając!

Bo gdy sypną się guzy,
To pogubisz rajtuzy,
Zmykając!

On zaś, jakby czyniąc zadość słowom pieśni, zdał komendę w Krakowie dzielnemu Wirtzowi, a sam udał się śpiesznie do Elbląga, gdzie król szwedzki przebywał wraz z królową, trawiąc czas na ucztach i radując się z serca, że tak prześwietnego królestwa stał się panem.

Przyszły także do Lwowa doniesienia o upadku Tykocina i rozweseliły umysły. Dziwnem było, że poczęto o tem mówić, nim jakikolwiek goniec przybył. Nie zgadzano się tylko co do tego, czy książę wojewoda wileński umarł, czy w niewoli, twierdzono wszakże już z Podlasia w województwo lubelskie, ażeby się z hetmanami połączyć, że po drodze bije Szwedów i z każdym dniem w siłę rośnie.

Nakoniec od niego samego przybyli posłowie i w znacznej liczbie, bo ni mniej ni więcej tylko całą chorągiew przysłał wojewoda do dyspozycyi królewskiej, pragnąc przez to okazać cześć panu, a może i własne podnieść przez to znaczenie.

Przywiódł ów znak młody pułkownik Wołodyjowski, dobrze królowi znajomy, zaraz też Jan Kazimierz kazał mu stanąć przed sobą i ścisnąwszy za głowę rzekł:

— Witaj sławny żołnierzyku! Siła upłynęło wody, od kiedy straciliśmy cię z oczu. Bodaj, że pod Beresteczkiem widzieliśmy cię ostatni raz, całego we krwi unurzonego.

Pan Michał pochylił się do kolan pańskich i odrzekł:

— I w Warszawie później, miłościwy panie, byłem też w zamku z dzisiejszym panem kasztelanem kijowskim.

— A służysz ciągle?! Nie zachciało ci się to domowych wczasów użyć?

— Bo Rzeczpospolita była w potrzebie, a w onych zawieruchach i substancya przepadła. Nie mam, gdziebym głowę złożył, miłościwy panie, ale sobie nie przykrzę,tak myśląc, że to dla majestatu i ojczyzny pierwsza żołnierska powinność.

— Bodaj takich więcej! bodaj więcej... Nie panoszyłby się nieprzyjaciel. Da Bóg, przyjdzie czas i na nagrody, a teraz powiadaj, coście z wojewodą wileńskim uczynili?

— Wojewoda wileński na sądzie Bożym. Właśnie wtedy z niego duch wyszedł, gdyśmy do ostatniego szturmu szli.

— Jakżeto ono było?

— Oto jest relacya wojewody witebskiego —rzekł pan Michał,

Król wziął pismo i zaczął czytać, ale ledwie zaczął, zaraz przerwał:

— Myli się w tem pan Sapieha — rzekł — pisząc, iż wielka litewska buława vacat (wolna); nie vacat, bo jemu ją oddaję.

— Niema też nad niego godniejszego — odrzekł pan Michał — i całe wojsko będzie do śmierci waszej kr. mości za ten uczynek wdzięczne.

Uśmiechnął się król na ową prostoduszną konfidencyę żołnierską i czytał dalej.

Po chwili westchnął.

— Mógłby Radziwiłł być najpiękniejszą perłą w tej sławnej koronie, gdyby duma i błędy, które wyznawał, nie wysuszyły mu mu duszy... Stało się! Niezbadane wyroki boskie!... Radziwiłł i Opaliński... prawie w jednym czasie... Sądź ich Panie nie wedle ich grzechów, ale wedle Twojego miłosierdzia.

Nastało milczenie, poczem król zaczął dalej czytać.

— Wdzięczni jesteśmy panu wojewodzie, — rzekł, skończywszy — że mi całą chorągiew i największego, jako pisze, kawalera pod rękę przysyła. Ale tu mi bezpieczno, a kawalerowie, zwłaszcza tacy owo, w polu najpotrzebniejsi. Wypocznijcie trochę, a potem was panu Czarnieckiemu w sukurs podeślę, bo na niego pewnie największy impet się zwróci.

— Dość my już wypoczywali pod Tykocinem, miłościwy panie — ozwał się z zapałem mały rycerz — teraz chybaby konie trochę odżywić, my zaś moglibyśmy i dziś jeszcze ruszyć, bo z panem Czarnieckim rozkosze będą niewypowiedziane!... Szczęście to wielkie patrzeć w oblicze miłościwego naszego pana, ale i do Szwedów też nam pilno.

Król rozpromienił się. Ojcowska dobroć osiadła mu na obliczu i rzekł, patrząc z zadowoleniem na siarczystą postać małego rycerza:

— Tyś, to, żołnierzyku, pierwszy pułkownikowską buławę pod nogi nieboszczykowi księciu wojewodzie rzucił?

— Nie pierwszym rzucił, wasza kr. mość, alem pierwszy raz, a daj Boże, ostatni, przeciw dyscyplinie wojennej wykroczył.

Tu zaciął się pan Michał i po chwili dodał:

— Nie lża było inaczej!

— Pewnie — rzekł król. — Ciężkie to były czasy na tych, którzy powinność wojskową rozumieją, ale i posłuch musi mieć swoje

granice, za któremi się wina rozpoczyna. Siła tam starszyzny przy Radziwille się ostało?

— W Tykocinie znaleźliśmy z oficerów jednego tylko pana Charlampa, który zrazu księcia nie opuściwszy, nie chciał go potem w mizeryi opuszczać. Kompasya go jeno przy księciu trzymała, bo afekt przyrodzony do nas ciągnął. Ledwieśmy go odkarmili, taki tam już był głód, a on sobie jeszcze od gęby odejmował, aby księcia pożywić. Teraz tu do Lwowa przyjechał miłosierdzia waszej królewskiej mości błagać, a i ja do nóg twoich za nim, miłościwy panie, upadam, bo to człek służały i dobry żołnierz.

— Niechże tu przyjdzie — rzekł król.

— Ma on też ważną rzecz waszej królewskiej mości, panu memu miłościwemu objawić, którą był z ust księcia Bogusława w Kiejdanach słyszał, a która zdrowia i bezpieczeństwa świętej dla nas osoby waszej kr. mości attinet.

— Czy nie o Kmicicu?

— Tak jest, miłościwy panie!...

— A ty znałeś Kmicica?

— Znałem i biłem się z nim, ale gdzieby teraz był, tego nie wiem.

— Co o nim myślisz?

— Miłościwy panie, skoro on takiej impresy się podjął, to niema tych mąk, którychby nie był godzień, bo wyrzutek to z piekła rodem.

— To nieprawda,—rzekł król—wszystko to księcia Bogusława wymysły... Ale położywszy na stronę ową sprawę, powiadaj, co o tym człeku wiesz z jego dawniejszych czasów?

— Żołnierz to był zawsze wielki i w dziele wojennem niezrównany. Tak jak on Chowańskiego podchodził, że w kilkaset ludzi do utrapienia całą potencyę nieprzyjacielską przywiódł, tegoby nikt inny nie potrafił. Cud, że z niego skóry nie zdarto i na bęben nie naciągniono! Gdyby kto był wonczas Chowańskiemu samego księcia wojewodę w ręce wydał, jeszczeby go tak nie usatysfakcyonował, jak z Kmicica podarunek mu uczyniwszy... Jakże! do tego doszło, że Kmicic Chowańskiego sztućcami jadał, na jego kobierczyku sypiał, jego saniami i na jego koniu jeździł. Ale potem i dla swoich był ciężki, swawolił okrutnie, kondemnatami instar pana Łaszcza mógł sobie kierezyjkę podszyć, a już w Kiejdanach afektem się pogrążył.

Tu pan Wołodyjowski opowiedział szczegółowo wszystko, co zaszło w Kiejdanach.

Jan Kazimierz zaś słuchał chciwie, a gdy wreszcie doszedł pan Michał do tego, jak pan Zagłoba uwolnił najprzód siebie, a potem wszystkich kompanionów z radziwiłłowskiej niewoli, począł się król za boki brać ze śmiechu.

— Vir incomparabillis! vir incomparabillis(mąż niezrównany)! — powtarzał. — A jestże on tu z tobą?

— Na rozkazy waszej kr. mości! — odpowiedział Wołodyjowski.

— Ulisesa ten szlachcic przeszedł! Przyprowadźże mi go do stołu na wesołą chwilę i panów Skrzetuskich z nim razem, a teraz powiadaj, co wiesz więcej o Kmicicu?

— Z listów przy Rochu Kowalskim znalezionych dowiedzieliśmy się dopiero, iż po śmierć nas do Birżów posyłano. Gonił nas jeszcze książę i wojskiem starał się otoczyć, ale nie przykrył. Wymknęliśmy się szczęśliwie... I niedość, bośmy niedaleko Kiejdan Kmicica złapali, którego zaraz na rozstrzelanie ordynowałem.

— Oj! — rzekł król. — To widzę, prędko tam u was na Litwie szło!

— Wszelako przedtem pan Zagłoba kazał go obszukać, jeśli jakowych listów przy sobie nie ma. Jakoż znalazło się pismo hetmańskie, z którego dowiedzieliśmy się, że gdyby nie Kmicic, toby nas do Birż nie wywożono, ale nie mieszkając, w Kiejdanach rozstrzelano.

— A widzisz! — wtrącił król.

— Potem tedy nie godziło nam się więcej na żywot jego nastawać. Puściliśmy go... Co dalej czynił, nie wiem, ale od Radziwiłła jeszcze nie odszedł. Bóg raczy wiedzieć, coto za człowiek... Łatwiej o każdym innym mieć opinię, niż o takim wichrze. Przy Radziwille został, potem gdzieś jechał... I znowu ostrzegł nas, iż książę z Kiejdan ciągnie. Trudno negować, jak znaczną nam przysługę oddał, bo gdyby nie owo ostrzeżenie, byłby wojewoda wileński na ubezpieczone wojska napadł i pojedyńczo chorągwie znosił... Sam nie wiem, miłościwy panie, co mam myśleć... Jeśli to oszczerstwo, co książę Bogusław powiadał...

— Zaraz się to pokaże — rzekł król.

I zaklaskał w dłonie.

— Zawołaj tu pana Babinicza — rzekł do pazia, który ukaza się w progu.

Paź zniknął, a po chwili drzwi komnaty królewskiej otwarły się i stanął w nich pan Andrzej. Pan Wołodyjowski nie poznał go zrazu, był bowiem młody rycerz bardzo zmieniony i wybladły, jako że od ostatniej walki w wąwozie nie mógł jeszcze przyjść do siebie. Patrzył tedy na niego pan Michał, nie poznawając.

— Dziw! — ozwał się wreszcie — gdyby nie chudość gęby i nie to, że wasza kr. mość inne powiedziała nazwisko, rzekłbym: panie Kmicic!

Król uśmiechnął się i odrzekł:

— Opowiadał mi tu właśnie ów mały rycerz o jednym okrutnym hultaju, który się tak nazywał, ale jam mu jako na dłoni wywiódł że się w swym sądzie pomylił i pewien jestem, że mi pan Babinicz przyświadczy.

— Miłościwy panie, — odparł prędko Babinicz — jedno słowo w. kr. mości lepiej tego hultaja oczyści, niż największe moje przysięgi!

— I głos ten sam — mówił ze wzrastającem zdumieniem mały pułkownik — jeno tej blizny przez gębę nie było.

— Mości panie, — rzekł na to Kmicic — łeb szlachecki to rejestr, na którym coraz inna ręka szablą pisze... Ale jest tu i twoja konotatka, poznajże mnie...

To rzekłszy, schylił podgoloną głowę i wskazał palcem na długą białawą brózdę, ciągnącą się tuż koło czuba.

— Moja ręka! — krzyknął pan Wołodyjowski — to Kmicic!

— A ja ci mówię, że ty Kmicica nie znasz! — wtrącił król.

— Jakto, miłościwy panie?...

— Boś znał wielkiego żołnierza, ale swawolnika i radziwiłłowskiego w zdradzie socyusza... A tu stoi Hektor częstochowski, któremu Jasna Góra po księdzu Kordeckim najwięcej zawdzięcza, tu stoi obrońca ojczyzny i sługa mój wierny, który mnie własną piersią zastawił i życie mi ocalił, gdym w wąwozach, jako między stadem wilków, dostał się między Szwedów. Takito ów nowy Kmicic... Poznajże go i pokochaj, bo wart tego!

Pan Wołodyjowski począł ruszać żółtemi wąsikami, nie wiedząc, co rzec, a król dodał:

— I wiedz, że nietylko on nic księciu Bogusławowi nie obiecy-

wał, ale pierwszy na nim za ich praktyki zemstę wywarł, bo go porwał i chciał go w wasze ręce wydać.

— I nas ostrzegł przed księciem wojewodą wileńskim — zawołał mały rycerz, — Jakiż anioł tak waszmości nawrócił?

— Uściskajcie się! — rzekł król.

— Odrazum waszmości pokochał! — ozwał się pan Kmicic

Więc padli sobie w objęcia, a król patrzył na to i usta raz po razu, wedle swojego zwyczaju z zadowoleniem wydymał. Kmicic zaś ściskał tak serdecznie małego rycerza, że aż go w górę podniósł jak kota i nieprędko na nogi postawił.

Poczem król wyszedł na codzienną naradę, zwłaszcza że i obaj hetmani koronni przybyli do Lwowa, którzy mieli tam wojsko tworzyć,aby później poprowadzić je w pomoc panu Czarnieckiemu i konfederackim oddziałom, uwijającym się pod różnymi wodzami po kraju.

Rycerz zostali sami.

— Pójdź waszmość pan do mojej kwatery, — rzekł Wołodyjowski — znajdziesz tam Skrzetuskich i pana Zagłobę, którzy radzi usłyszą to, co mnie król jegomość powiadał. Jest też tam i pan Charłamp.

Lecz Kmicic przystąpił do małego rycerza z wielkim niepokojem w twarzy.

— Siła ludzi znaleźliście przy księciu Radziwille? — spytał.

— Ze starszyzny jeden Charłamp był przy nim.

— Nie o wojskowych pytam, dla Boga! a z niewiast?

— Zgaduję o co chodzi — odparł, zapłoniwszy się nieco, mały rycerz — pannę Billewiczównę książę Bogusław wywiózł do Taurogów.

Na to zmieniło się w oczach oblicze Kmicica; więc najprzód stało się blade jak pergamin, potem czerwone, potem jeszcze bledsze, niż poprzednio. Zrazu słowa nie znalazł, jeno nozdrzami parskał, chwytając powietrze, którego widocznie nie stawało mu w piersiach. Następnie chwycił się obu rękoma za skronie i biegając jak szalony po komnacie, jął powtarzać:

— Gorze, mnie, gorze, gorze!

— Chodź waść, Charłamp lepszą ci zda relacyę, bo był przy tem — rzekł Wołodyjowski.

———————

# XLVI.

Wyszedłszy od króla, szli obaj rycerze w milczeniu. Wołodyjowski mówić nie chciał, Kmicic nie mógł, bo go ból i wściekłość kąsały; przebijali się tedy przez tłumy, które się były zebrały na ulicach bardzo liczne, wskutek wieści, że pierwszy zagonik Tatarów, obiecanych przez chana królowi, nadciągnął i ma wejść do miasta, aby się zaprezentować królowi. Mały rycerz prowadził, Kmicic leciał jak błędny za nim z kołpakiem nasuniętym na oczy, potrącając ludzi po drodze.

Dopiero, gdy wyszli na miejsce przestronniejsze, pan Michał chwycił Kmicica za przegub ręki i rzekł:

— Pomiarkuj się waść!... Desperacyą nic nie wskórasz!...

— Ja nie desperuję, — odrzekł Kmicic — jeno mi jego krwi potrzeba!

— Możesz być pewien, że go między nieprzyjaciółmi ojczyzny znajdziesz!

— Tem lepiej! — mówił gorączkowo pan Andrzej — ale choćbym go i w kościele znalazł...

— Dla Boga nie bluźnij! — przerwał coprędzej mały pułkownik.

— Ten zdrajca do grzechu mnie przywodzi!

Zamilkli na chwilę, poczem pierwszy pan Kmicic spytał:

— Gdzie on teraz jest?

— Może w Taurogach, a może i nie. Charłamp będzie lepiej wiedział.

— Chodźmy!

— Już niedaleko. Chorągiew za miastem stoi, a my tu... i Charłamp z nami.

Wtem Kmicic począł oddychać tak ciężko, jak człowiek, który pod stromą górę wchodzi.

— Słabym jeszcze okrutnie — ozwał się.

— Tem większego pomiarkowania waszmości potrzeba, ile że z takim rycerzem będziesz miał sprawę.

— Już raz miałem i ot! co mi po niej ostało.

To rzekłszy, Kmicic ukazał na pręgę w twarzy.

— Powiedzże mi waść, jako to było, bo król jegomość ledwie wspomniał.

Pan Kmicic począł opowiadać i choć przytem zębami zgrzytał i aż kołpaczkiem cisnął o ziemię, jednak myśl jego oderwała się od nieszczęścia i uspokoił się trochę.

— Wiedziałem, żeś waść rezolut — rzekł mały rycerz — ale żeby Radziwiłła z pośród jego chorągwi porwać, tegom się i po waćpanu nie spodziewał.

Tymczasem doszli do kwatery. Dwaj Skrzetuscy, pan Zagłoba, dzierżawca z Wąsoszy i Charłamp zajęci byli oglądaniem kożuszków krymskich, które handlujący Tatar przyniósł właśnie do wyboru. Charłamp, który najlepiej znał Kmicica, poznał go też od jednego rzutu oka i upuściwszy kożuszek, zakrzyknął:

— Jezus, Marya!

— Niech będzie Imię Pańskie pochwalone!—zawołał dzierżawca z Wąsoszy.

Lecz zanim wszyscy ochłonęli ze zdziwienia, Wołodyjowski rzekł:

— Przedstawiam waszmościom częstochowskiego Hektora i wiernego sługę królewskiego, który za wiarę, ojczyznę i majestat krew przelewał.

Tu, gdy zdziwienie jeszcze wzrosło, począł zacny pan Michał opowiadać z wielkim zapałem, co od króla o kmicicowych zasługach a od samego pana Andrzeja o porwaniu księcia Bogusława słyszał i wreszcie tak skończył:

— Nietylko więc nieprawda to jest, co książę Bogusław o tym kawalerze powiadał, ale przeciwnie: nie ma on większego wroga od pana Kmicica i dlatego pannę Billewiczówną z Kiejdan wywiózł, aby w jakikolwiek sposób zemstę nad nim wywrzeć.

— I nam ten kawaler życie ocalił i konfederackie chorągwie przed księciem wojewodą ostrzegł — zawołał pan Zagłoba. — Wobec takich zasług, za nic dawne grzechy! Dla Boga! dobrze, że z tobą, panie Michale, nie sam do nas przyszedł, dobrze też, że chorągiew nasza za miastem, bo okrutna w laudańskich przeciwko niemu zawziętość i zanimby zipnął, wprzódby go byli na szablach roznieśli.

— Witamy waszmości całem sercem jako brata i przyszłego komilitona! — rzekł Jan Skrzetuski.

Charłamp aż się za głowę brał.

— Taki się nigdy nie pogrąży! — mówił — z każdej strony wypłynie i jeszcze sławę na brzeg wyniesie!

— A nie mówiłem wam tego! wołał Zagłoba — jakem go tylko w Kiejdanach ujrzał, zarazem sobie pomyślał: to żołnierz i rezolut! I pamiętacie, że wnet poczęliśmy się w gębę całować. Prawda, że za moją przyczyną Radziwiłł pogrążon, ale i za jego. Bóg mnie natchną w Billewiczach, żem go nie dopuścił rozstrzelać... Mości panowie, nie godzi się takiego kawalera sucho przyjmować, aby zaś nas o nieszczerość nie posądził!

Usłyszawszy to Rzędzian wyprawił zaraz Tatara z kożuszkami, a sam zakrzątnął się z pachołkiem około napitków.

Lecz pan Kmicic myślał tylko o tem, aby się od Charłampa o wyzwoleniu Oleńki jak najprędzej wywiedzieć.

— Byłeś waść przy tem? — pytał.

— Prawie, żem się z Kiejdan nie ruszał — odrzekł nosacz. — Przyjechał książę Bogusław do naszego księcia wojewody. Na wieczerzę wystroił się tak, że oczy bolały patrzeć i widać było, że mu panna Billewiczówna bardzo w oko wpadła, bo ledwie że nie mruczał z ukontentowania, jak kot, gdy go po grzbiecie głaszczą. Ale o kocie powiadają, że pacierze odmawia, a książę Bogusław, jeśli je odmawiał, to chyba dyabłu na chwałę. A przymilał się, a łasił, a zalecał...

— Zaniechaj! — rzekł pan Wołodyjowski — zbyt wielką mękę temu rycerzowi zadajesz!

— Przeciwnie! Mów, waść, mów! — zawołał Kmicic.

— Gadał tedy przy stole, — rzekł Charłamp — iż nie żadna to ujma nawet i Radziwiłłom ze szlachciankami się żenić i on sam wolałby wziąć szlachciankę, niż one księżniczki, które mu ichmość królestwo francuscy swatali, a których nazwisk nie spamiętałem, bo takie były cudaczne, jakoby kto ogary w kniei nawoływał.

— Mniejsza z tem! — rzekł Zagłoba.

— Owóż widocznie to mówił, aby oną pannę skaptować, co my zrozumiawszy zaraz, poczęliśmy jeden na drugiego spoglądać i mrugać, słusznie mniemając, że się potrzask na inocencyę gotuje.

— A ona? a ona?!... — pytał gorączkowo Kmicic.

— Ona, jako to dziewka z wielkiej krwi i górnej maniery, żadnego nie pokazała ukontentowania, zgoła na niego nie patrząc, dopieroż gdy o waszmość panu mówić książę Bogusław począł, zaraz w niego utkwiła oczy. Straszna rzecz, co się stało gdy powiedział, iżeś mu się wasza mość ofiarował za ileś tam dukatów króla porwać i żywego albo umarłego Szwedom dostawić. Myśleliśmy, że du-

sza z panny wyjdzie, ale cholera na waćpana tak była w niej wielka, że słabość niewieścią przemogła. Jak on też zaczął prawić, z jaką abominacyą waszmościne propozycye odrzucił, dopieroż zaczęła go wielbić i wdzięcznie nań spoglądać, a potem już i ręki mu nie umknęła, gdy ją od stołu chciał odprowadzić.

Kmicic oczy dłonią zatknął.

— Bijże, bij! kto w Boga wierzy! — powtarzał.

Nagle zerwał się z miejsca.

— Bądźcie waszmościowie zdrowi!

— Jakżeto? dokąd? — pytał Zagłoba, zastąpiwszy my drogę.

— Król mi permisyę da, a ja pojadę i znajdę go! — mówił Kmicic.

— Na rany boskie! czekaj waść! Jeszcześ się wszystkiego nie dowiedział, a szukać go masz czas. Z kim pojedziesz? gdzie go znajdziesz?

Kmicic może byłby nie słuchał, ale sił mu zbrakło, gdyż był ranami wycieńczon, więc obsunął się na ławę i plecami wsparłszy się o ścianę, przymknął oczy.

Zagłoba podał mu kielich wina, a on chwycił go drżącemi rękoma i rozlewając płyn na brodę i piersi, wychylił do dna.

— Niemasz tu nic straconego — rzekł Jan Skrzetuski, — jeno roztropności trzeba tem większej, że z tak znamienitym panem sprawa. Prędkim uczynkiem a nagłą imprezą możesz waćpan zgubić pannę Billewiczównę i siebie.

— Wysłuchaj Charłampa do końca — rzekł pan Zagłoba.

Kmicic zacisnął zęby.

— Słucham cierpliwie.

— Czy chętnie panna wyjeżdżała — ozwał się Charłamp, — tego nie wiem, bom przy jej wyjeździe nie był; wiem, że pan miecznik rosieński protestował, któremu najprzód perswadowano, potem go w cekhauzie zamknięto, a wreszcie pozwolono wolno do Billewicz odjechać. Panna w złych rękach, niema co ukrywać, bo wedle tego, co o młodym księciu powiadają, bisurmanin żaden na płeć gładką nie jest tak łasy. Gdy mu białogłowa jaka w oko wpadnie, wówczas choćby była zamężna, gotów i oto nie dba.

— Gorze! gorze! — powtórzył Kmicic.

— Szelma! — krzyknął Zagłoba.

— Dziwno mi tylko to, że ją książę wojewoda zaraz Bogusławowi wydał! — rzekł Skrzetuski.

— Ja nie statysta — odrzekł na to Charłamp, — więc powtórzę waszmościom jeno to, co oficyjerowie powiadali, a mianowicie Ganchoff, który wszystkie arkana książęce wiedział. Słyszałem na własne uszy jak ktoś wykrzyknął przy nim: "Nie pożywi się Kmicic po naszym młodym księciu!" — a Ganchoff powiada tak: Więcej tam polityki w tem wywiezieniu, niż afektu. Żadnej (powiada) książę Bogusław nie daruje, ale byle mu ta panna opór dała, to w Taurogach nie będzie z nią mógł uczynić, jak z innemi, bo hałasyby powstały, tam zaś księżna wojewodzina z córką bawi, na które Bogusław musi się wielce oglądać, gdy do ręki młodej księżniczki pretenduje... Ciężko mu będzie (powiada) cnotliwego udawać, ale w Taurogach musi.

— Kamień powinien waści spaść z serca! — zawołał pan Zagłoba — bo widać z tego, że nic dziewczynie nie grozi.

— To czemu ją wywiózł? — wrzasnął Kmicic.

— Dobrze, że się do mnie udajesz — odpowiedział Zagłoba, — bo ja niejedno wnet wyrozumiem, nad czem kto inny rokby napróżno głowę łamał. Czemu ją wywiózł? Nie neguję, że mu musiała wpaść w oko, ale wywiózł ją i dlatego, aby przez nią wszystkich Billewiczów, którzy są liczni i możni, od nieprzyjacielskich uczynków przeciw Radziwiłłom powstrzymać.

— Może to być! — rzekł Charłamp — To pewna, że w Taurogach bardzo musi żądze przyrodzone miarkować i ad extrema posunąć się nie może.

— Gdzie on teraz jest?

— Książę wojewoda suponował w Tykocinie, że musi być u króla szwedzkiego w Elblągu, do którego po posiłki miał jechać. To pewna, że go teraz w Taurogach niemasz, bo go tam posłańcy nie znaleźli.

Tu Charłamp zwrócił się do Kmicica:

— Chcesz wasza mość posłuchać prostego żołnierza, to powiem, co myślę: jeżeli tam pannę Billewiczównę już jaka przygoda w Taurogach spotkała, albo jeżeli książę afekt w niej rozbudzić zdołał, to wasza mość nie masz tam po co jechać, jeżeli zaś nie, jeżeli jest przy księżnej pani i z nią razem do Kurlandyi pojedzie, to tam bezpieczniejsza niż gdziekolwiek i lepszego miejsca nie znalazłbyś wasza mość dla niej w całej tej Rzeczypospolitej, zalanej płomieniem wojny.

— Jeśliś waść taki rezolut, jako powiadają, a i jak sam mniemam

— wtrącił Skrzetuski, — to najprzód ci Bogusława dostać, a mają go w ręku, wszystko otrzymasz.

— Gdzie on teraz jest? — powtórzył Kmicic, zwracając się do Charłampa.

— Jużem waszej mości powiedział — odparł nosacz, — ale wasza mość od zgryzot się zapamiętywasz. Suponuję, że jest w Elblągu i pewnie wraz z Carolusem Gustawem w pole przeciw panu Czarnieckiemu ruszy.

— Waść zaś najlepiej uczynisz, gdy z nami do pana Czarnieckiego ruszysz, bo w ten sposób prędko się z Bogusławem spotkać możecie — rzekł pan Wołodyjowski.

— Dziękuję waszmościom za życzliwe rady! — zawołał Kmicic.

I począł się żegnać żywo ze wszystkimi, oni zaś nie zatrzymali go, wiedząc, że człek strapiony ni do rozmowy, ni do kielicha niezdatny, natomiast pan Wołodyjowski rzekł.

— Odprowadzę waszmość do arcybiskupiego pałacu, boś tak zalterowan, że jeszcze gdzie na ulicy padniesz.

— I ja! — rzekł Jan Skrzetuski.

— To chodźmy wszyscy! — dodał Zagłoba.

Przypasali więc szable, nałożyli burki ciepłe i wyszli. Na ulicach jeszcze więcej było ludzi, niż poprzednio. Co chwila spotykali oddziały zbrojnej szlachty, żołnierzy, sług pańskich i szlacheckich, Ormian, Żydów, ruskich chłopów z przedmieść popalonych w czasie dwóch napadów Chmielnickiego.

Kupcy stali przed swemi sklepami, okna domów pełne były głów ciekawych. Wszyscy powtarzali, że czambulik już nadszedł i że niebawem przeciągnie przez miasto, ażeby prezentować się królowi. Kto żyw chciał widzieć ów czambulik, bowiem to była osobliwość poglądać na Tatarów przejeżdżających spokojnie przez ulicę grodu. Inaczej dotąd Lwów widywał tych gości, a raczej widywał ich tylko za murami, w postaci chmur nieprzejrzanych, na tle płonących przedmieść i okolicznych wiosek. Teraz mieli wjechać jako sojusznicy przeciw Szwedom. To też rycerze nasi zaledwie mogli utorować sobie przez tłumy drogę. Co chwila okrzyki: "Jadą! jadą!" przebiegały z jednej ulicy na drugą, a wówczas tłumy zbijały w tak gęste masy, że ani podobna było kroku postąpić.

— Ha! — rzekł Zagłoba — przystańmy nieco. Panie Michale, przypomną nam się niedawne czasy, gdyśmy to nie z boku, ale

wprost w ślepia patrzyli tym skurczybykom. A jażto i w niewoli u nich siedziałem. Powiadają, że przyszły chan kubek w kubek do mnie podobny... Ale co tam przeszłe zbytki wspominać!

— Jadą! jadą! — rozległo się znów wołanie.

— Bóg serca psubratów odmienił — mówił dalej Zagłoba, — że zamiast krainy ruskie pustoszyć, w sukurs nam idą... Cud to wyraźny! Bo powiadam wam, że gdyby za każdego poganina, którego ta stara ręka do piekła wysłała, jeden grzech mi był odpuszczony, jużbym był kanonizowany i wigilie musielibyście do mnie pościć, albo byłbym na wozie ognistym żywcem do nieba porwan.

— A pamiętasz waćpan, jakto było wonczas, gdyśmy to znad Waładynki od Raszkowa do Zbaraża jechali?...

— Jakże nie pamiętam! Coś to w wykrot wpadł, a ja za nimi przez gąszcza aż do gościńca pognałem. To, jakeśmy po ciebie wrócili, wszystko rycerstwo nie mogło się oddziwić, bo co krok, to jedna bestya leżała.

Pan Wołodyjowski pamiętał, że wonczas było wcale naodwrót, ale zrazu nic nie odrzekł, bo się bardzo zdumiał, nim zaś ochłonął, głosy po raz dziesiąty, czy któryś poczęły wołać:

— Jadą! Jadą!...

Okrzyk stał się powszechny, potem ucichło i wszystkie głowy zwróciły się w tę stronę, z której czambulik miał nadciągnąć. Jakoż zdala ozwała się wrzaskliwa muzyka, tłumy zaczęły się rozstępować ze środka ulicy ku ścianom domostw, z końca zaś ukazali się pierwsi tatarscy jeźdźcy.

— Patrzcie! i kapelę mają z sobą, to u Tatarów niezwyczajna rzecz.

— Bo się chcą jaknajlepiej zaprezentować — odrzekł Jan Skrzetuski — ale przecie niektóre czambuły mają swoich muzykantów, którzy im przygrywają, gdy koszem gdzie na dłuższy czas zapadną. Wyborowy też to musi być komunik!

Tymczasem jeźdźcy zbliżyli się i poczęli przeciągać mimo. Naprzód jechał na srokatym koniu śniady, jakoby w dymie uwędzony Tatar, dwie piszczałki w gębie mający. Ten, przechyliwszy w tył głowę i zamknąwszy oczy, przebierał po owych dudkach palcami, wydobywając z nich tony piskliwe i ostre, a tak szybkie że ucho ledwie je ułowić mogło. Za nim jechało dwóch trzymających kije, przybrane na górnych końcach w mosiężne brzękułki i potrząsających niemi jakoby z wściekłością, tuż dalej kilku dźwię-

kło przeraźliwie w miedziane talerze, inni bili w bębny, inni grali kozacką modą na teorbanach, wszyscy zaś, z wyjątkiem piszczalników, śpiewali, a raczej wyli od czasu do czasu do wtóru dziką pieśń, błyskając przytem zębami i przewracając oczy. Za tą niesforną i dziką muzyką, która przesuwała się jak gomon przed mieszkańcami Lwowa, człapał po cztery konie w rzędzie cały oddział, złożony z około czterystu ludzi.

Był to istotnie wybory komunik, na pokaz i cześć królowi polskiemu, do jego rozporządzenia, jako zadatek przez chana przysłany. Dowodził nim Akbah-Ułan z dobruckich, zatem najtęższych w boju Tatarów, stary i doświadczony wojownik, wielce w ałusach dla swojego męstwa i srogości szanowany. Jechał on teraz w środku, między muzyką a resztą oddziału, przybrany w różową aksamitną, ale mocno wypłowiałą i zaciasną na jego potężną figurę szubę, wytartemi kunami podbitą. Na brzuchu trzymał piernacz, taki, jakiego zażywali pułkownicy kozaccy. Czerwona jego twarz stała się od chłodnego wiatru sina i kołysał się nieco na wysokiej kulbace, od czasu do czasu spoglądał na boki, albo obracał głowę ku swym Tatarom, jakoby nie był zupełnie pewien, czy wytrzymają na widok tłumów, niewiast i dzieci, sklepów otwartych, towarów kosztownych i czy nie rzucą się z dzikim okrzykiem na te cuda.

Lecz oni jechali spokojnie, jako psy na sforze prowadzone i bojące się harapa i tylko z ponurych a łakomych spojrzeń można było dociec, co się dzieje w duszach tych barbarzyńców. Tłumy zaś patrzyły na nich ciekawie, chociaż prawie nieprzyjaźnie, tak wielka była w tych stronach Rzeczypospolitej przeciw pogaństwu zawziętość. Od czasu do czasu zrywały się okrzyki: "A hu! a hu!" jakoby na wilków. Byli wszelako i tacy, którzy siła sobie obiecywali po nich.

— Okrutnego stracha Szwedzi przed Tatarami mają i ponoć żołnierze dziwy o nich prawią, do czego terror coraz wzrasta — mówili patrzący na Tatarów.

— I słusznie — odpowiadali inni. — Nie rajtarom to Carolusa z Tatarami wojować, którzy, a zwłaszcza dobruccy i naszej jeździe czasem dotrzymają. Nim się ów ciężki rajtar obejrzy, już go Tatar na arkan weźmie.

— Grzech pogańskich synów w pomoc wzywać! — odzywały się głosy.

— Grzech nie grzech, a taki się przydadzą!

— Bardzo przystojny czambulik! — mówił pan Zagłoba.

Rzeczywiście Tatarzy owi dobrze byli przybrani, w kożuchy białe, czarne i pstre, wełną do góry; czarne łuki i sahajdaki pełne strzał kołysały im się na plecach, każdy miał przytem szablę, co nie zawsze w wielkich czambułach bywało, gdyż biedniejsi na takowy zbytek zdobyć się nie mogli, posługując się w ręcznym boju szczęką końską, do kija przywiązaną. Ale byli to ludzie, jak się rzekło, na pokaz, więc niektórzy mieli nawet samopały, pochowane w wojłokowych pokrowcach, a wszyscy siedzieli na dobrych koniach drobnych wprawdzie, dość chudych i nizko długogrzywe łby noszących, lecz nieporównanej szybkości w biegu.

W środku oddziału szły cztery wielbłądy jeszcze; tłum zgadywał, że w tych jukach znajdowały się dary chanowe dla króla; ale w tem się mylono, bo chan wolał brać dary, niż dawać; obiecywał wprawdzie posiłki, ale nie darmo.

To też gdy oddział minął, pan Zagłoba rzekł:

— Drogo te auxilia będą kosztowały! Niby to sprzymierzeńcy, ale i oni kraju naniszczą... Po Szwedach i po nich jednego dachu całego w Rzeczypospolitej nie zostanie.

— Pewnie, że okrutnie to ciężki socyusz — odrzekł Jan Skrzetuski. — Znamy ich już!

— Słyszałem jeszcze w drodze — rzekł pan Michał — że król nasz jegomość taką umowę zawarł, iż do każdych pięciuset ordyńców ma być dodany nasz oficyjer, przy którym będzie komenda i prawo kary. Inaczej istotnieby ci przyjaciele niebo i ziemię jeno zostawili.

— A tenże czambulik?... Co też król znim uczyni?

— Do rozporządzenia królewskiego ich chan przysłał, tak prawie jakoby w darze, a chociaż sobie i za nich policzy, przecie król może uczynić z nimi, co zechce i pewnie ich panu Czarnieckiemu razem z nami podeśle.

— No, to już pan Czarniecki w ryzach utrzymać ich potrafi.

— Chybaby mieszkał między nimi, inaczej zaraz za jego oczyma zaczną zbytkować. Nie może być, tylko i tym razem oficyjera dodadzą.

— I ten będzie dowodził? A ówże tłusty aga co będzie czynił?

— Jeśli nie trafi na kpa, to będzie rozkazy spełniał.

— Bądźcie waszmościowie zdrowi! bądźcie mi zdrowi! — zakrzyknął nagle Kmicic.

— Dokąd tak śpieszno?

— Panu do nóg paść, aby mi komendę nad tymi ludźmi powierzył!

---

## XLVII.

Tegoż samego dnia Akbah-Ułan bił czołem królowi, a zarazem wręczył mu listy chanowe, w których ten ostatni powtarzał obietnicę wyruszenia w sto tysięcy ordy przeciw Szwedom, byle mu czterdzieści tysięcy talarów z góry wypłacone i byle pierwsze trawy pokazały się na polach, bez czego, jako że w spustoszonym wojną kraju, trudno byłoby tak wielką moc koni wyżywić. Co zaś do owego czambuliku, to wysłał go teraz chan na dowód miłości ku "najmilszemu bratu," aby i Kozacy, którzy o nieposłuszeństwie jeszcze zamyślali, ujrzeli widomy znak, że miłość owa trwa statecznie i że niech jeno pierwszy odgłos o buncie dojdzie uszu chanowych, wówczas mściwy gniew jego spadnie na wszystko kozactwo.

Król przyjął wdzięcznie Akbah-Ułana i obdarzywszy go pięknym dzianetem, oświadczył, że wyśle go niebawem w pole do pana Czarnieckiego, albowiem chce, aby i Szwedzi przekonali się dowodnie, jako chan daje pomoc Rzeczypospolitej. Zaświeciły się oczy Tatara, gdy usłyszał, iż pod panem Czarnieckim będzie służył, bo go znał z dawnych wojen ukraińskich i na równi ze wszystkimi agami wielbił.

Mniej natomiast spodobał mu ustęp chanowego listu, proszący króla, aby czambulikowi dodał dobrze znającego kraj oficera, któryby oddział prowadził, a zarazem ludzi i samego Akbah-Ułana od rabunku i zbytków nad mieszkańcami powstrzymywał. Wolałby był zapewne Akbah-Ułan nie mieć nad sobą takiego patrona, lecz, że wola chanowa i królewska były wyraźne, przeto uderzył tylko czołem raz jeszcze, kryjąc starannie niechęć, a może obiecując sobie w duszy, że nie on przed patronem, ale patron przed nim pokłony będzie wybijał.

Zaledwie Tatar się oddalił i senatorowie odeszli, gdy Kmicic który przy boku królewskim podczas audyencyi się trzymał, padł do nóg pańskich i rzekł:

— Miłościwy panie! Niegodzien jestem łaski, o którą proszę, ale tyle mi na niej, co właśnie na samem życiu zależy. ' Pozwól, miłościwy ojcze, abym nad tymi ordyńcami komendę mógł objąć i z nimi zaraz w pole ruszyć.

— Nie odmawiam, — rzekł zdziwiony Jan Jazimierz — bo lepszego przywódcy trudnoby mi dla nich znaleźć. Trzeba tam kawalera wielkiej fantazyi i rezoluta, aby ich w ryzie umiał utrzymać, gdyż inaczej zaraz i naszych zaczną palić, a mordować... Temu się jeno stanowczo przeciwię, byś jutro miał ruszać, nim ci się skóra po szwedzkich rapierach zagoi.

— Czuję, że niechaj mnie jeno wiatr w polu owieje, zaraz słabość mi przejdzie i siła we mnie wstąpi napowrót, a co do Tatarów, to już ja sobie z nimi rady dam i na miękki wosk ich ugniotę.

— Ale co ci tak pilno? Dokąd chcesz iść?

— Na Szweda, miłościwy panie!... Nic tu już więcej nie wysiedzę, bo czegom chciał, to już mam: to jest łaskę twoją i grzechów dawniejszych odpuszczenie... Pójdę do pana Czarnieckiego i razem z Wołodyjowskim, albo i zosobna będę nieprzyjaciela podchodził, jako dawniej Chowańskiego, a w Bogu ufam, że mi się poszczęści.

— Nie może inaczej być, tylko jeszcze cię coś innego ciągnie w pole.

— Jako ojcu wyznam i całą duszę wyjawię... Książę Bogusław, nie kontentując się potwarzą, jaką na mnie rzucił, jeszcze i dziewkę tę z Kiejdan wywiózł i w Taurogach ją więzi, albo gorzej bo na jej uczciwość, na jej cnotę, na jej panieńską część nastaje... Panie miłościwy!... Rozum mi się w głowie miesza, gdy pomyślę, w jakichto rękach ona nieboga... Na Mękę Pańską! mniej te rany bolą... Też ta dziewka dotąd myśli, żem ja się temu potępieńcowi, temu arcypsu ofiarował na majestat twój, panie, rękę podnieść... i za ostatniego wyrodka mnie ma! Nie wytrzymam, miłościwy królu, nie mogę, póki jego nie dostanę, póki jej nie wydrę... Daj mi, panie, tych Tatarów, a jać przysięgam, że nie swojej jeno prywaty będę dochodził, ale tyle Szwedów natłukę, że ten dziedziniec łbami można będzie wymościć...

— Uspokój się! — rzekł król.

— Gdybym, panie, miał służbę dla prywaty porzucić i obrony majestatu i Rzeczypospolitej zaniechać, wstydby mi było prosić, ale tu się jedno z drugiem schodzi. Przyszła pora Szwedów bić, jaż nic innego nie będę czynił... Przyszła pora zdrajcę ścigać, jaż go będę ścigał do Inflant, do Kurlandyi, choćby się do septentrionów, albo nawet za morze do Szwecyi schronił, pójdę za nim!

— Mamy wiadomości, jako tuż, tuż Bogusław z Carolusem z Elbląga wyruszy.

— To im pójdę na spotkanie!

— Z takim czambulikiem? Kapeluszem cię przykryją.

— Chowański mnie w ośmdziesiąt tysięcy przykrywał i nie przykrył.

— Co jest wiernego wojska, to pod panem Czarnieckim. Oni na pana Czarnieckiego ante omnia uderzą!

— Pójdę do pana Czarnieckiego. Tem śpieszniej trzeba mu miłościwy panie, sukurs dać.

— Do pana Czarnieckiego pójdziesz, ale do Taurogów w tak szczupłej liczbie się nie dostaniesz. Wszystkie zamki na Żmudzi nieprzyjacielowi książę wojewoda wydał i wszędzie szwedzkie prezydya stoją, a one Taurogi, widzi mi się, coś nad samą granicą pruską, od Tylży nieopodal.

— Na samej granicy elektorskiej, miłościwy panie, ale po naszej stronie, a od Tylży będzie cztery mile. Co nie mam dojść, dojdę i nietylko ludzi nie wytracę, ale jeszcze się do mnie po drodze siła rezolutów zbieży. I to rozważ, miłościwy panie, że gdzie się tylko pokażę, tak cała okolica na koń przeciw Szwedom siądzie. Pierwszy będę Żmudź ekscytował, jeżeli kto inny tego nie uczyni. Gdzie to teraz nie można dojechać, gdy w całym kraju, jak w garnku! Już ja zwyczajny obracać się w ukropie.

— Bo! i na to nie patrzysz, że Tatarzy może i nie zechcą tak daleko iść za tobą?

— A no! a no! niech jeno nie zechcą, niech jeno sprobują! — mówił Kmicic, ściskając na samą myśl zęby — jak ich jest czterystu, czy tam ilu, tak ich każę czterystu powiesić!... Drzew nie zbraknie!... Niech mi się poprobują buntować...

— Jędrek! — zawołał król, wpadając w dobry humor i wydymając usta — jak mi Bóg miły, tak lepszego pasterza dla tych o-

wieczek nie znajdę! Bierzże ich i prowadź, gdzie ci się żywnie podoba!

— Dziękuję, miłościwy panie! ojcze dobrotliwy! — rzekł rycerz, ściskając kolana królewskie.

— Kiedy chcesz ruszyć? — pytał Jan Kazimierz.

— Boga mi! jutro!

— Może Akbah-Ułan nie zechce, że to konie mają zdrożone?

— To go sobie każę do kulbaki na arkanie przytroczyć i piechotą pójdzie, jeżeli konia żałuje.

— Widzę już, że się z nim uporasz. Przecie dobrych, póki można, używaj sposobów. A teraz... Jędrek... dziś już późno, ale jutro chcę cię jeszcze zobaczyć... Tymczasem weź ten pierścień, powiesz swojej regalistce, że go od króla masz i że król jej nakazał. aby jego wiernego sługę i obrońcę statecznie miłowała...

— Dajże Boże! — mówił ze łzami w oczach junak — dajże Boże! abym nie inaczej zginął, tylko w twojej obronie, panie miłościwy,

Tu król cofnął się, bo było już rpóźno, a Kmicic poszedł do swej kwatery do drogi się gotować i rozmyślać od czego począć, gdzie najpierwej jechać należy.

Przyszły mu na myśl słowa Charłampa, iż jeżeli tylko pokaże się, że księcia Bogusława w Taurogach niema, to najlepiej tam dziewczynę zostawić, bo istotnie z Taurogów, jako leżących na samej granicy, łatwo się było do Tylży pod elektorską opiekę schronić. Zresztą, jakkolwiek Szwedzi opuścili w ostatniej potrzebie księcia wojewodę wileńskiego, przecie należało się spodziewać, że dla jego wdowy respekt mieć będą, zatem, byle Oleńka została pod jej opieką, to nic złego spotkać jej nie może. Jeżeli zaś do Kurlandyi pojadą, to tem lepiej.

— I do Kurlandyi jechać z moimi Tatarami nie mogę, — rzekł sobie Kmicic — bo to już inne państwo.

Chodził tedy i pracował głową. Godzina płynęła za godziną, on zaś nie pomyślał jeszcze o spoczynku i tak ożywiła go myśl nowej wyprawy, że choć rano jeszcze był słaby, teraz czuł, że wracają mu siły i gotów był zaraz na konia siadać.

Pacholikowie skończyli wreszcie zawiązywanie troków i zbierali się iść na spoczynek, gdy nagle ktoś począł skrobać we drzwi izby.

— Kto tam? — zawołał Kmicic.

Poczem do pacholika.

— Idźno, zobacz!

Pacholik poszedł i rozmówiwszy się za drzwiami, wrócił niebawem.

— Jakiś żołnierz chce pilno widzieć się z waszą miłością. Powiada, że się zowie Soroka.

— Puszczaj, na miły Bóg! — krzyknął Kmicic.

I nie czekając, by pacholik spełnił rozkaz, sam skoczył ku drzwiom.

— Bywaj, miły Soroka! bywaj!

Żołnierz wszedł do izby i pierwszym ruchem chciał paść do nóg swego pułkownika, bo byłto raczej przyjaciel i sługa równie wierny, jak przywiązany, lecz żołnierska subordynacya przemogła, więc wyprostował się i rzekł:

— Na rozkazy, waszej miłości!

— Witaj, miły towarzyszu, witaj! — mówił żywo Kmicic — myślałem, że cię tam usiekli w Częstochowie!

I ścisnął go za głowę, a potem jął nawet potrząsać jego rękoma, co mógł uczynić, nie pospolitując się zbytnio, gdyż Soroka pochodził z zaścianka, z drobnej szlachty.

Dopieroż i stary wachmistrz jął obejmować kolana pańskie.

— Skąd idziesz? — pytał Kmicic.

— Z Częstochowy, wasza miłość.

— I mnie szukałeś??

— Tak jest.

— A od kogo żeście się tam dowiedzieli, żem żyw?

— Od ludzi Kuklinowskiego. Ksiądz Kordecki wielką mszę z radości celebrował na dziękczynienie Bogu. Potem jako gruchnęło, że pan Babinicz przeprowadził króla przez góry, tak już wiedziałem, że to wasza miłość, nikt inny.

— A ksiądz Kordecki zdrów?

— Zdrów, wasza miłość, jeno nie wiadomo, czyli go anieli żywcem do nieba lada dzień nie wezmą, bo to święty człowiek.

— Pewnie, że nie inaczej. Gdzieżeśto się dowiedział, żem z królem do Lwowa przybył?

— Myślałem sobie tak: skoro wasza miłość króla odprowadzał, to musi przy nim być; bałem się wszelako, że wasza miłość już może w pole wyruszył i że się spóźnię.

— Jutro z Tatary ruszam!

— To się dobrze stało, bo ja waszej miłości trzosów odwożę peł-

nych dwa; ten co był na mnie i jegomościn, a oprócz tego one, kamuszki świecące, cośmy je z kołpaków bojarom zdejmowali i te które wasza miłość zabrał wtedy, gdyśmyto skarbczyk Chowańskiego zagarnęli.

— Dobrze były czasy, gdyśmy skarbczyk ogarnęli, ale nie musi tam też już wiele być, bom też przygarstkę księdzu Kordeckiemu zostawił.

— Nie wiem, ile jest, jeno ksiądz Kordecki właśnie mówił, że możnaby za to dwie tęgie wsie kupić.

To rzekłszy, Soroka zbliżył się do stołu i począł zdejmować z siebie trzosy.

— A kamuszki w onej blaszance — dodał, kładąc obok trzosów żołnierską manierkę na wódkę.

Pan Kmicic nic nie mówiąc, wytrząsnął w garść nieco czerwonych złotych, bez rachuby i rzekł do wachmistrza:

—Masz!

— Do nóg upadam waszej miłości! Ej! żeby to ja miał w drodze choć jeden takowy dukacik!

— Albo co? — 'pytał rycerz.

— Bom okrutnie z głodu osłabł. Mało gdzie teraz człeka kawałkiem chleba poczęstują, bo każdy się boi, to i nogi w końcu ledwie z głodu wlokłem.

— Na miły Bóg! przecieś to wszystko miał przy sobie!

— Nie śmiałem bez permisyi — rzekł krótko wachmistrz.

— Trzymaj! — rzekł Kmicic, podając mu drugą garść.

Poczem krzyknął na pacholików:

— Nuże, szelmy! Jeść mu dać, nim pacierz minie, bo łby pourywam!

Pacholikowie skoczyli jeden przez drugiego i wkrótce stanęła przed Soroką ogromna misa wędzonej kiełbasy i flaszka z wódką.

Żołnierz wpił pożądliwe oczy w posiłek, wargi i wąsy mu drgały, lecz siąść przy pułkowniku nie śmiał.

— Siadaj, jedz! — zakomenderował Kmicic.

Ledwie skończył, już sucha kiełbasa poczęła chrzęścić w potężnych szczękach Soroki. Dwaj pacholikowie patrzyli na niego, wytrzeszczając oczy,

— Ruszajcie precz! — zawołał Kmicic.

Chłopcy kopnęli się co duchu za drzwi; rycerz zaś chodził śpie

szemi krokami po komnacie i milczał, nie chcąc przeszkadzać wiernemu słudze. Ten zaś, ilekroć nalał sobie kieliszek gorzałki, tylekroć spoglądał zukosa na pułkownika w obawie, czy zmarszczenia brwi nie dostrzeże, poczem wychylał napitek, zwracając się ku ścianie.

Kmicic chodził, chodził, wreszcie począł sam z sobą rozmawiać.

— Nie może być inaczej! — mruczał — trzeba tam tego posłać... Każę powiedzieć jej... Na nic! Nie uwierzy!... Listu czytać nie zechce, bo mnie za zdrajcę i psa ma... Niech jej w oczy nie lezie, jeno niechaj patrzy i mnie da znać, co się tam dzieje.

Tu zawołał nagle:

— Soroka!

Żołnierz zerwał się tak szybko, że mało stołu nie przewrócił i wyciągnął się jak struna!

— Wedle rozkazu!

— Tyś człek wierny i w potrzebie frant. Pojedziesz w daleką drogę, ale nie o głodzie.

— Wedle rozkazu!

— Do Taurogów, nad granicę pruską. Tam panna Billewiczówna mieszka... u księcia Bogusława... Dowiesz się, czy on tam jest... i będziesz miał na wszystko oko... Jej w oczy nie leź, chyba, iżby się zdarzyło, powiedz, co wiesz. A bacz na wszystko i słuchaj! A sam się pilnuj, bo jeżeli książę tam jest i jeśli cię pozna, on, albo ktokolwiek z dworu, to cię na pal wbiją!

— Wedle rozkazu!

— Byłbym posłał starego Kiemlicza, ale on na tamtym świecie, bo w parowie usieczon, a synowie za głupi. Ci pójdą ze mną. Byłeś w Taurogach?

— Nie, wasza miłość.

— Pójdziesz do Szczuczyna, stamtąd samą granicą pruską, hen! aż do Tylży. Taurogi będą o cztery mile naprzeciw po naszej stronie... Siedź w Taurogach tak długo, póki wszystkiego nie wymiarkujesz, a potem wracaj. Znajdziesz mnie tam, gdzie będę... Rozpytuj o Tatarów i pana Babinicza. A teraz ruszaj spać do Kiemliczów!... Jutro w drogę!

Po tych słowach Soroka odszedł, Kmicic zaś długo jeszcze spać się nie kładł, ale wreszcie zmęczenie przemogło. Wówczas rzucił się na łoże i zasnął snem kamiennym.

Nazajutrz wstał orzeźwion wiele i silniejszy, niż wczoraj. Cały dwór już był na nogach i rozpoczęły się zwykłe dzienne czynności. Kmicic poszedł najprzód do kancelaryi po nominacyę i po list żelazny, następnie odwiedził Subaghazibeya, naczelnika chanowego poselstwa we Lwowie i miał z nim długą rozmowę.

W czasie tej rozmowy zanurzał pan Andrzej po dwakroć rękę w kalecie. Za to, gdy wychodził, Subaghazi pomieniał się z nim na kołpaki, wręczył mu piernacz z zielonych piór i kilka łokci również zielonego jedwabnego sznura.

Zaopatrzony w ten sposób, wrócił pan Andrzej do króla, który był właśnie ze mszy przyjechał, więc padł jeszcze raz młody junak do nóg pańskich, poczem w towarzystwie Kiemliczów i pachołków udał się wprost za miasto, gdzie Akbah-Ułan stał z czambułem.

Stary Tatar przyłożył na jego widok rękę do czoła, ust i piersi, ale dowiedziawszy się, kto jest Kmicic i z czem przyjechał, wnet nasrożył się; twarz mu pociemniała i oblokła się dumą.

— Skoro cię król na przewodnika przysłał — rzekł do Kmicica w łamanym rusińskim języku, — to będziesz mi drogę pokazywał, chociaż ja i sam trafiłbym, gdzie potrzeba, a tyś młody i niedoświadczony.

— Z góry mi przeznacza, czem mam być — pomyślał Kmicic, — ale póki można, będę politykował.

— Akbahu-Ułanie, król mnie tu na wodza, nie na przewodnika przysyła... I to ci powiem, że lepiej uczynisz, woli jego kr. mości nie negując.

— Nad Tatarami chan, nie król stanowi! — odrzekł Akbah-Ułan.

— Akbahu-Ułanie — powtórzył z naciskiem pan Andrzej — chan darował cię królowi, jakoby mu psa albo sokoła darował, dlatego nie uwłaczaj mu, aby cię zaś jako psa na powróz nie wzięto.

—Ałła! — krzyknął zdumiony Tatar.

— Ejże, nie rozdrażniaj mnie! — odrzekł Kmicic.

Lecz oczy Abkaha-Ułana krwią zaszły. Przez czas jakiś słowa nie mógł przemówić; żyły na karku mu spęczniały, ręka chwyciła za kindżał.

— Kęsim! kęsim! — krzyknął przyduszonym głosem.

Ale i pan Andrzej, chociaż obiecał sobie politykować, miał już dosyć, gdyż z natury był porywczy. Więc w jednej chwili podrzu-

ciło nim coś tak, jakby go gadzina żgnęła, całą dłonią porwał Tatara za rzadką brodę i zadarłszy mu głowę do góry tak, jak gdyby mu coś na pułapie chciał pokazać, począł mówić przez zaciśnięte zęby:

— Słuchaj, kozi synu! Wolałbyś nikogo nad sobą nie mieć, by palić, rabować, wycinać!... Przewodnikiem chcesz mnie mieć! Ot, masz przewodnika! masz przewodnika!

I przyparłszy go do ściany, począł tłuc głowę jego o zrąb.

Puścił go wreszcie osłupiałego, ale nie sięgającego już do noża. Kmicic, idąc za popędem swej gorącej krwi, odkrył mimowoli najlepszy sposób przekonywania ludzi wschodnich, do niewolnictwa przywykłych. Jakoż w potłuczonej głowie Tatara, mimo całej wściekłości, jaka go dusiła, błysnęła zaraz myśl jak potężnym i władnym być musi ów rycerz, który z nim, Akbah-Ułanem, postępuje w ten sposób, i okrwawione wargi jego powtórzyły po trzykroć wyraz:

— Bagadyr! Bagadyr! Bagadyr!

Kmicic tymczasem nałożył na głowę kołpak Subaghaziego, wyciągnął zielony piernacz, który aż dotąd umyślnie trzymał za plecami, za pas wetknięty, i rzekł:

— Patrz tu, rabie! i tu!

— Ałła! — ozwał się przerażony Ułan.

— I tu! — dodał Kmicic, wydobywając sznur z kieszeni.

Lecz Akbah leżał już u jego nóg i bił czołem.

W godzinę później Tatarzy wyciągnęli się długim wężem po drodze, wiodącej ze Lwowa ku Wielkim Oczom, a pan Kmicic, siedząc na dzielnym cisawym koniu, którego król mu podarował, oganiał czambuł, jak pies owczarskiogania owce. Akbah-Ułan spoglądał na młodego junaka z przestrachem i podziwieniem.

Tatarzy, znawcy ludzi wojennych, odgadli na pierwszy rzut oka, że pod tym wodzem nie zabraknie im krwi i łupu, więc szli ochotnie, ze śpiewaniem i graniem.

Kmicicowi zaś serce rosło, gdy patrzał na owe postacie, podobne do zwierząt leśnych, bo przybrane w kożuchy i wielbłądzie kaftany wełną do góry. Fala dzikich głów kołysała się pod miarę końskich ruchów, on zaś liczył je i rozmyślał, co będzie można z taką potęgą przedsięwziąć.

— Osobliwszyż to komunik — myślał sobie — i tak mi się wydaje, jakobym stadu wilków przywodził, ale z takimi właśnie mo-

żna przez całą Rzeczpospolitą i całe Prusy przetratować. Czekajże, książę Bogusławie!

Tu chełpliwe myśli poczęły mu napływać do głowy, gdyż do chełpliwości wielce był skłonny.

— Bóg dał człeku obrotność — mówił sobie, — wczoraj miałem jeno dwóch Kiemliczów, a dziś czterysta koni za mną człapie. Niech jeno taniec rozpocznę, będę miał tysiąc, albo i dwa takich hultajów, żeby się ich i dawni kompanionowie nie powstydzili... Czekajże, książę Bogusławie!

Lecz po chwili, dla uspokojenia sumienia, dodał:

— A przytem ojczyźnie i majestatowi znacznie usłużę...

I wpadł w wyborny humor. Bawiło go też niezmiernie i to że szlachta, Żydzi i chłopi, nawet większe kupki pospolitego ruszenia, nie mogły się oprzeć w pierwszej chwili przerażeniu na widok jego wojska. A była mgła, bo odwilż przesyciła wilgotnym tumanem powietrze. Więc coraz to się zdarzało, że ktoś nadjeżdżał blizko i nagle spostrzegłszy kogo ma przed sobą, wykrzykiwał:

— Słowo stało się ciałem!

— Jezus, Marya, Józef!

— Tatarzy! orda!

Lecz Tatarzy mijali spokojnie bryki, wozy ładowne, stada koni i przejeżdżających. Inaczejby było, gdyby wódz pozwolił, ale samowolnie nic przedsięwziąć nie śmieli, bo na własne oczy patrzyli przy wyruszeniu, jako temu wodzowi sam Akbah-Ułan strzemię trzymał.

Tymczasem Lwów już zniknął w dali za mgłami. Tatarzy przestali śpiewać i czambuł poruszał się zwolna wśród tumanów pary, podnoszącej się z koni. Nagle tętent rumaka rozległ się za czambułem.

Po chwili ukazało się dwóch jeźdźców. Jeden z nich był pan Wołodyjowski, drugi dzierżawca z Wąsoszy. Obaj, pomijając oddział, pędzili wprost do pana Kmicica.

— Stój! stój! — wołał mały rycerz.

Kmicic wstrzymał konia.

— To wasza mość!

Wołodyjowski osadził z kolei szkapę.

— Czołem! — rzekł — listy od króla! Jeden do waszmości, drugi do wojewody witebskiego.

— Jaż do pana Czarnieckiego jadę, nie do pana Sapiehy.

— Przeczytaj jeno najprzód pismo.

Kmicic złamał pieczęć i czytał co następuje:

"Dowiadujemy się przez gońca, świeżo od pana wojewody witebskiego przybyłego, jako pan wojewoda nie może tu do krajów małopolskich ciągnąć i z drogi znów na Podlasie nawraca, a to z przyczyny księcia Bogusława, który z wielką potęgą nie przy królu szwedzkim zostawa, lecz na Tykocin i na pana Sapiehę uderzyć zamyśla! Że zaś magna pars (większa część) sił pana sapieżyńskich na prezydyach zostać musiała, przeto rozkazujemy ci, abyś z owym tatarskim komunikiem panu wojewodzie szedł w pomoc. A gdy i twojej ochocie w ten sposób zadość się czyni, niepotrzebniebyśmy mieli ci pośpiech nakazywać. Drugi list oddasz wojewodzie, w którym pana Babinicza, wiernego sługę naszego, afektom wojewodzińskim, a przedewszystkiem opiece Boskiej polecamy. — Jan Kazimierz, król."

— Na miły Bóg! na miły Bóg! Oto szczęśliwa dla mnie nowina! — zawołał Kmicic. — Nie wiem jako królowi jegomości i waszmości panu mam za nią podziękować!

— Sam też podjąłem się jechać — odrzekł mały rycerz — a to z kompasyi dla waszmości, bom widział twoją boleść i dlatego, aby listy napewno doszły.

— Kiedyż ów goniec przyszedł?

— Byliśmy u króla na obiedzie: ja, dwaj panowie Skrzetuscy, pan Charłamp i pan Zagłoba. Nie wyimaginujesz sobie waćpan, co tam pan Zagłoba wyprawiał, jako o niezaradności Sapja i swoich zasługach opowiadał. Dość, że królowi aż łzy od ustawicznego rzechotania się płynęły, a obaj hetmani za boki bezustanku się trzymali. Wtem wszedł pokojowiec z listem, na którego król zaraz się oburzył." Idź do kata (rzecze), może zła nowina, nie psuj mi uciechy!" Dopieroż gdy się dowiedział, że to od pana Sapiehy, zabrał się do czytania. Jakoż złą nowinę wyczytał, bo się potwierdziło to, o czem już dawno mówiono, że elektor przysięgi wszystkie złamał i ostatecznie przeciw prawemu panu z królem szwedzkim się połączył.

— Jeszcze jeden wróg, jakby ich mało dotąd było! — krzyknął Kmicic.

I złożył ręce.

— Boże wielki! Niech mi jeno na tydzień pan Sapieha do Prus

książęcych pozwoli, a da Bóg miłosierny, że dziesiąte pokolenia mnie i moich Tatarów wspominać będą!...

— Może to być, że tam pójdziecie — odrzekł pan Michał, — ale wprzód musicie Bogusława znosić, gdyż właśnie wskutek onej elektorskiej zdrady zaopatrzono go w ludzi i na Podlasie mu iść dozwolono.

— To się spotkamy, jako dziś dzień, jako Bóg na niebie, tak się spotkamy! — mówił z iskrzącemi oczyma Kmicic. —Gdybyś mi waszmość nominacyę na województwo wileńskie przywiózł, nie ucieszyłbyś mnie lepiej:

— Król też zaraz zakrzyknął: "Gotowa dla Jędrka ekspedycya, od której dusza się w nim uraduje." Chciał też wnet pokojowego za waścią wysłać, ale ja powiadam: Sam pojadę, to go jeszcze pożegnam.

Kmicic przechylił się na koniu i chwycił małego rycerza w objęcia.

— Bratby tyle dla mnie nie uczynił, ileś już waszmość uczynił! Dajże Boże czemkolwiek się wywdzięczyć!

— Ba! Przecie waćpana rozstrzelać chciałem.

— Bom też czego lepszego był nie wart. Nic to! Niech mnie w pierwszej bitwie usieką, jeżeli pomiędzy wszystkim rycerstwem bardziej kogo od waćpana miłuję!...

Tu znowu poczęli się ściskać, na pożegnanie zaś rzekł pan Wołodyjowski:

— A pilnuj się z Bogusławem! pilnuj się, bo z nim niełatwo!

— Jednemu z nas już śmierć pisana!

— Dobrze!

— Ej, żebyśto waszmość, któryś jest do szabli geniusz, swoje arkana mi odkrył! Cóż! niema czasu!... Ale i tak anieli mi pomogą i krew jego obaczę, chyba że przedtem oczy moje zamkną się na zawsze na światło dzienne.

— Bóg pomagaj!... Szczęśliwej drogi!... A dajcie tam dzięgielu zdrajcom Prusakom! — rzekł pan Wołodyjowski.

— Bądźcie spokojni. Obrzydnie im lutarstwo!

Tu pan Wołodyjowski kiwnął na Rzędziana, który przez ten czas z Akbahem-Ułanem rozmawiając, dawne przewagi Kmicica nad Chowańskim rozpowiadał, poczem obaj odjechali z powrotem do Lwowa.

Kmicic zaś zawrócił z miejsca czambułem, jako woźnica wozem zawraca poszedł ku północy.

---

## XLVIII.

Jakkolwiek Tatarzy, a zwłaszcza dobruccy, umieją zbrojnym mężom w polu piersią stawać, przecie najmilszą dla nich wojną był mord bezbronnych, branie niewiast i chłopów w jasyr, a przedewszystkiem grabież. Wielce też przykrzyła się droga owemu czambulikowi, który prowadził Kmicic, pod żelazną bowiem jego ręką dzicy wojownicy musieli w baranków się zmienić, trzymać noże w pochwach, a zgaszone hubki i zwinięte łyka w biesagach. Z początku szemrali.

Około Tarnogrodu kilkunastu umyślnie pozostało w tyle, aby puścić "czerwone ptaki" w Chmielewsku i poswawolić z młodyciami. Lecz pan Kmicic, który się już ku Tomaszowu posunął, wrócił na pierwszy odblask pożogi i kazał winnym wywieszać się wzajemnie. A tak już był opanował Akbah-Ułana, że ten nietylko oporu nie stawiał, ale przynaglał skazanych, aby prędzej się wieszali, gdyż inaczej "bagadyr" będzie się gniewał. Odtąd "barankowie" szli spokojnie, zbijając się w najciaśniejsze kupy po wsiach i miasteczkach, aby na którego podejrzenie nie padło. I egzekucya, choć ją tak srodze przeprowadził Kmicic, nie wzbudziła nawet przeciw niemu niechęci, ani nienawiści, takie już bowiem miał szczęście ów zabijaka, że zawsze podwładni tyle właśnie czuli dlań miłości, ile i strachu.

Prawda, że pan Andrzej nie dał im krzywdy uczynić. Kraj był srodze przez niedawny napad Chmielnickiego i Szeremeta spustoszony, więc o żywność i paszę, jako na przednówku było trudno, a mimo tego wszystko musiało być na czas i wbród, a w Krynicach, gdy mieszkańcy opór stawili i nie chcieli żadnej śpiży dostarczyć, kazał ich kilku pan Andrzej siec batożkami, podstarościego zaś uderzeniem obuszka rozciągnął.

Ujęło to niezmiernie ordyńców, którzy słuchając z lubością wrzasków bitych Kryniczan, mówili pomiędzy sobą:

— Ej! sokół nasz Kmitah, nie da swoim barankom krzywdy uczynić!

Dość, że nietylko nie pochudli, ale spaśli się jeszcze, ludzie i konie. Stary Ułan, któremu brzucha przybyło, spoglądał z coraz większym podziwem na junaka i językiem mlaskał.

— Gdyby mi syna Ałłah dał, chciałbym mieć takiego. Nie marłbym na starość z głodu w ałusie! — powtarzał.

Kmicic zaś od czasu do czasu uderzał go pięścią w brzuch i mówił:

— Słuchaj wieprzu! Jeśli ci Szwedzi kałduna nie rozetną, to wszystkie śpiżarnie w niego schowasz!

— Gdzie tu Szwedzi? Łyka nam pogniją, łuki popróchnieją — odpowiedział Ułan— któremu tęskno było za wojną.

Jakoż istotnie jechali najprzód krajem, do którego noga szwedzka dojść nie zdołała, dalej zaś takim, w którym były swego czasu prezydya, ale już je konfederacya wyparła. Spotykali natomiast wszędzie mniejsze i większe kupy szlachty, ciągnące zbrojno w rozmaite strony i nie mniejsze kupy chłopstwa, które nieraz zastępowały im groźnie drogę, a którym często trudno było wytłómaczyć, że mają do czynienia z przyjaciółmi i sługami króla polskiego.

Doszli wreszcie do Zamościa. Zdumieli się Tatarzy na widok tej potężnej fortecy, a cóż dopiero, gdy im powiedziano, że niedawno jeszcze wstrzymała ona całą potęgę Chmielnickiego.

Pan Jan Zamoyski, ordynat, pozwolił im na znak wielkiej przychylności i łaski wejść do miasta. Wpuszczono ich bramą Szczebrzeszyńską, albo inaczej Ceglaną, gdyż dwie inne były z kamienia. Sam Kmicic nie spodziewał się ujrzeć nic podobnego i nie mógł wyjść z podziwu na widok ulic szerokich, włoską modą pod linię równo budowanych, na widok wspaniałej kolegiaty i burs akademickich, zamku, murów, potężnych dział i wszelkiego rodzaju "opatrzenia." Jak mało który z magnatów mógł się porównać z wnukiem wielkiego kanclerza, tak mało która forteca z Zamościem.

Lecz największy zachwyt ogarnął ordyńców, gdy ujrzeli ormiańską część miasta. Nozdrza ich chciwie wciągały woń safijanu, którego wielkie fabryki prowadzili przemyślni przybysze z Kaffy, a oczy śmiały się do bakalii, wschodnich kobierców, pasów, sadzonych szabel, kindżałów, łuków, lamp tureckich i wszelkiego rodzaju kosztowności.

Sam pan cześnik koronny wielce przypadł do serca Kmicicowi

Byłoto prawdziwe królewiątko w swoim Zamościu: człek w sile wieku, wielce przystojny, chociaż nieco cherlawy, gdyż w leciech pierwszej młodości niedość upały hamował. Zawsze jednak lubił płeć białą, a zdrowie jego nie do tyla było nadwątlone, aby wesołość znikła mu z oblicza. Dotychczas nie ożenił się, a jakkolwiek najznakomitsze domy w Rzeczypospolitej otwierały mu szeroko podwoje, utrzymywał, że nie może dość gładkiej dziewki w nich znaleść. Znalazł ją później nieco, w osobie młodej panienki francuskiej, która lubo w innym zakochana, oddała mu bez wahania dla jego bogactw swą rękę, nie przewidując, że ów pierwszy wzgardzony ozdobi kiedyś koroną królewską swoją i jej głowę.

Pan Zamościa nie odznaczał się bystrym dowcipem, jeno go miał tyle, co na własną potrzebę. O godności i urzędy nie zabiegał, chociaż same szły ku niemu a gdy przyjaciele strofowali go, iż mu przyrodzonej ambicyi braknie, odpowiadał:

— Nieprawda, że mi jej braknie, jeno mam więcej od tych, którzy się kłaniają. Po co mi dworskie progi wycierać? W Zamościu nietylko ja Jan Zamoyski, ale Sobiepan Zamoyski.

Zwano go też powszechnie Sobiepanem, z którego przezwiska wielce był kontent. Rad też udawał prostaka, chociaż wychowanie odebrał wykwintne i młodość na podróżach po cudzych krajach spędził. Sam powiadał się zwyczajnym szlachcicem i dużo o mierności swego "staniku" mawiał, może dlatego, by mu inni zaprzeczali, by mierności dowcipu nie spostrzegli.Zresztą byłto człek zacny i lepszy syn Rzeczypospolitej od wielu innych.

A jako on przypadł do serca Kmicicowi, tak i Kmicic jemu, przeto też go na pokoje zamkowe zaprosił i gościł, bo i to lubił, by jego gościnność chwalono.

Pan Andrzej poznał w zamku wiele znamienitych osób, przedewszystkiem zaś księżnę Gryzeldę Wiśniowiecką,siostrę pana Zamoyskiego, a wdowę po wielkim Jeremim, po panu swego czasu w Rzeczypospolitej prawie największym, który jednakowoż całą niezmierną fortunę w czasie inkursyi kozackiej był utracił, tak iż księżna siedziała w Zamościu na łasce u brata Jana.

Lecz była to pani tak pełna wspaniałości, majestatu i cnoty, iż pierwszy pan Jan prochy przed nią zdmuchiwał, a przytem bał się jej, jak ognia. Nie było też wypadku, żeby woli jej zadość nie uczynił lub żeby się jej w ważniejszych wypadkach nie radził. Powiadali nawet dworscy, że księżna pani rządzi Zamościem, ar-

nią, skarbami i panem bratem starostą; lecz ona nie chciała korzystać ze swej przewagi, całą duszą oddana boleści po mężu i wychowaniu syna.

Syn ów właśnie był niedawno z dworu wiedeńskiego na krótki czas do kraju powrócił i bawił przy niej. Byłto młodzieńczyk w wiośnie lat; lecz napróżno pan Kmicic szukał w nim tych znamion, które syn wielkiego Jeremiego nosić w obliczu powinien.

Postać młodego książątka była pełna wdzięku; twarz duża, nalana, wypukłe oczy patrzyły nieśmiało; usta miał grube, wilgotne, jak u ludzi skłonnych do uciech stołu; olbrzymie i czarne jak skrzydło kruka włosy spadały mu aż na ramiona. Wziął też po ojcu tylko owe krucze włosy i smagłość cery.

Ci, którzy mu byli bliżsi, upewnili jednak pana Kmicica, że młody książę ma duszę szlachetną, pojęcie niepospolite i znakomitą pamięć, dzięki której prawie wszystkiemi językami rozmówić się może i że tylko pewna ociężałość ciała i ducha, oraz przyrodzone łakomstwo w jedzeniu, stanowią wady tego niepospolitego skądinąd panięcia.

Jakoż wdawszy się z nim w rozmowę, przekonał się pan Andrzej, że książę nietylko ma pojętny dowcip i trafny sąd o wszystkiem, ale i dar jednania sobie ludzi. Kmicic pokochał go po pierwszej rozmowie tem uczuciem, w którem jest najwięcej litości. Uczuł, że dałby wiele, by temu sierocie wrócić świetny los, jaki mu się prawem z urodzenia należał.

Lecz przekonał się także przy pierwszym obiedzie, iż prawdą było, co mówiono o łakomstwie Michała. Młody książę zdawał się nie myśleć o niczem więcej tylko o jedzeniu. Wypukłe jego oczy śledziły niespokojnie każdą potrawę, a gdy mu przynoszono półmisek, nabierał ogromne kupy na talerz i jadł chciwie, z mlaskaniem wargami, jak tylko łakomcy jadają. Marmurowa twarz księżnej przyoblekała się na ów widok jeszcze większym smutkiem. Kmicicowi zaś stało się nieswojo, tak dalece, że odwrócił oczy i spojrzał na pana Sobiepana Zamoyskiego.

Lecz pan starosta kałuski nie patrzył ani na księcia Michała, ani na swego gościa. Kmicic poszedł za jego wzrokiem i poza ramieniem księżnej Grzyzeldy ujrzał prawdziwie cudne zjawisko, którego nie zauważył dotąd.

Była to malutka główka dziewczęcia, biała jak mleko, kraśna

jak róża, a wdzięczna jak obrazek. Drobniuchne, same przez się wijące się loczki, zdobiły jej czoło, bystre oczki strzygły ku oficerom, siedzącym wedle pana starosty, nie pomijając i jego samego; wreszcie zatrzymały się na panu Kmicicu i patrzyły nań z uporem, tak pełnym zalotności, jakby mu chciały w głąb serca zajrzeć.

Lecz Kmicic niełatwo się konfudował; więc jął zaraz patrzeć w te oczka zgoła zuchwale, a następnie trącił w bok siedzącego podle pana Szurskiego, porucznika nadwornej pancernej chorągwi ordynackiej i spytał półgłosem:

— A coto za firka ogoniasta?

— Mości panie, — odrzekł ostro pan Szurski — nie mów lekce, kiedy nie wiesz o kim mówisz... Nie żadna to firka, jeno panna Borzobohata-Krasieńska... I waćpan inaczej jej nie zwij, jeśli nie chcesz swojej grubijanitatis żałować!

— Aspan chyba nie wiesz, że firka to taki ptak i bardzo wdzięczny i dlatego żadnego w tem przezwisku kontemptu niemasz, — odparł, śmiejąc się Kmiecic— ale miarkując z waszmościnej cholery, srodze musisz być zakochany!

— A kto tu nie zakochany? — mruknął opryskliwie Szurski — sam pan starosta ledwie oczu nie wypatrzy i jako na szydle siedzi.

— Widzę to, widzę!

— Co tam waćpan widzisz!.. On, ja, Grabowski, Stołągiewicz, Konojadzki,Rubecki z dragonii, Fieczynga, wszystkich pogrążyła... I z waćpanem stanie się to samo, jeżeli tu długo posiedzisz. Jej dwudziestu czterech godzin dosyć!

— Ej, panie bracie! Nie dałaby i we dwadzieścia cztery miesiące rady!

— Jakże to? — pytał z oburzeniem pan Szurski — toś waść ze śpiżu, czy co?

— Nie! Jeno gdy kto waćpanu ostatniego talara z kieszeni ukradnie, to się już nie potrzebujesz bać złodzieja...

— Chyba, że tak! — odrzekł Szurski.

Kmicic zaś sposępniał nagle, bo mu własne zgryzoty na myśl przyszły i nie zważał więcej, że czarne oczki coraz to uporczywiej w niego patrzyły, jak gdyby pytając: jak się nazywasz i skąd się wziąłeś, młody rycerzu?

A Szurski mruczał:

— Wierci, wierci!... Wierciła tak i we mnie, póki do serca nie dowierciła... Teraz ani dba!

Kmicic otrząsł się z zamyślenia.

— Czemu się który z was nie żeni, u kaduka!

— Bo jeden drugiemu przeszkadza!

— Ba, to dziewka gotowa osiąść na koszu... Choć, co prawda jeszcze w tej gruszce białe ziarnka być muszą.

Na to Szurski wytrzeszczył oczy i pochyliwszy się do ucha Kmicica, rzekł wielce tajemniczo:

— Mówią, że jej dwadzieścia pięć lat, jak Boga kocham! Jeszcze przed inkursyą hultajską była u księżnej Gryzeldy.

— Dziw nad dziwy, nie dałbym jej nad szesnaście, niechby ośmnaście, najwyżej!

Tymczasem "licho" domyśliło się widocznie, że o niem mowa, bo oczka jarzące nakryło powiekami i jeno boczkiem trochę strzelało ku Kmicicowi, pytając ciągle: ktoś jest, taki urodziwy? skąd się wziąłeś?

A on mimowoli począł podkręcać wąsa.

Po obiedzie wziął go pod ramię pan starosta kałuski, który z uwagi na dworne maniery Kmicica, traktował go jak niepowszedniego gościa.

— Panie Babinicz, — rzekł — wszakże waszmość mówiłeś mi, żeś z Litwy?

— Tak jest, panie starosto.

— Powiedzże mi, zali nie znasz na Litwie Podbipiętów?

— Znać nie znam, bo też już ich na świecie niemasz, przynajmniej tych, którzy się Zerwikapturem pieczętowali. Ostatni pod Zbarażem poległ. Byłto największy rycerz, jakiego Litwa wydała. Kto u nas o Podbipiętach nie wie!

— Słyszałem i ja o tem, ale owo dlaczego pytam: jest na respekcie u siostry mojej jedna panna, która się Borzobohata-Krasieńska nazywa... Ród zacny!... Była ona narzeczoną tego Podbipięty, który zabit pod Zbarażem. Sierota to, bez ojca i matki, a chociaż siostra księżna wielce ją miłuje, przecie ja, przyrodzonym opiekunem siostry będąc, tem samem mam i oną dziewczynę w opiece.

— Miłaż to opieka! — wtrącił Kmicic.

Pan starosta kałuski uśmiechnął się, mrugnął oczyma i mlasnął językiem:

— Co? marcepanik! co?...

Lecz wnet spostrzegłszy, iż się zdradza, przybrał twarz poważną.

— Zdrajco! — rzekł pół żartem, a pół seryo — chciałeś mnie na hak przywieść, ledwiem się nie wygadał!...

— Z czem? — pytał pan Kmicic, patrząc mu bystro w oczy.

Ty Sopiepan ostatecznie zmiarkował, że lotnością dowcipu gościowi nie sprosta i zaraz rzecz obrócił.

— Ten Podbipięta, — rzekł — zapisał jej jakoweś folwarki, tam w waszych stronach. Nazwisk nie pamiętam, bo cudaczne: jakieś Bałtunie, Syruciany, Myszykiszki, słowem, wszystko, co miał. Dalibóg nie pamiętam... Pięć czy sześć folwarków.

— Ba! klucze to raczej, nie folwarki. Podbipięta był człek wielce możny i gdyby ta panna do całej jego fortuny kiedyś doszła, mogłaby mieć własny fraucymer i między senatorami męża szukać.

— Także powiadasz? Znasz owe wioski?

— Znam jeno Lubowicze i Szeputy, bo te koło mojej majętności leżą. Samej leśnej granicy mil ze dwie, a polnej i łącznej drugie tyle.

— Gdzieżto jest?

— W Witebskiem.

— Oj! daleko, nie warta ta sprawa zachodu, ile że tam kraje pod nieprzyjacielem.

— Jak nieprzyjaciół wyżeniem, to do majętności dojdziem. Ale Podbipiętowie mają swoje majętności i w innych stronach, a na Żmudzi bardzo znaczne, wiem o tem dobrze, bo mam też i tam kawał ziemi.

— Widzę, że i waszmościna substancya nie torba sieczki?

— Nic to teraz nie przynosi. Ale cudzego mi nie trzeba.

— Poradźże mi waszmość, jakby dziewczynę na nogi postawić?

Kmicic roześmiał się.

— Wolę o tem radzić, niż o czem innem. Najlepiej do pana Sapiehy się udać. Byle sprawę wziął do serca, to jako wojewoda witebski i najznamienitsza na Litwie persona, siła mógłby wskórać.

— Mógłby awizy do trybunałów rozesłać, że to testamentem Bezzbohatej zapisane, aby dalsi krewni nie szarpali.

— Tak jest. Ale trybunałów teraz niemasz, a pan Sapieha co innego też ma na głowie.

— Możnaby dziewczynę w ręce mu i w opiekę oddać. Mając ją na oczach, prędzejby dla niej co uczynił.

Kmicic spojrzał ze zdziwieniem na pana starostę.

— Co on w tem ma, że się chce jej stąd pozbyć? — pomyślał.

Starosta zaś mówił dalej.

— Trudno, aby w obozie, w namiocie pana wojewody witebskiego zamieszkała, ale mogłaby przy córkach wojewodzińskich zostawać.

— Nie rozumiem! — pomyślał Kmicic — zaliby on naprawdę chciał jej być tylko opiekunem?

— W tem jeno trudność, jakoby ją w tamte strony w dzisiejszych niespokojnych czasach wysłać. Trzebaby z kilkaset ludzi, a ja Zamościa ogałacać nie mogę. Gdybym to znalazł kogo, coby ją w bezpieczeństwie odwiózł... Ot, waćpan mógłby się podjąć, bo i tak do pana Sapiehy jedziesz. Dałbym ci listy..a waćpan dałbyś mi kawalerski parol, że ją bezpiecznie doprowadzisz.

— Ja mam ją do pana Sapiehy prowadzić? — rzekł ze zdumieniem Kmicic.

— Albożto taka funkcya niemiła... Choćby też i do afektu po drodze przyszło?

— Ehe! — rzekł Kmicic — już tam moje afekty kto inny dzierżawi, a choć tenuty mi nie płaci, przecie dzierżawcy zmieniać nie myślę.

— Tem lepiej, z tem większą spokojnością ci ją powierzę.

Nastała chwila milczenie.

— Co? podjąłbyś się? — spytał starosta.

— Z Tatarami idę.

— Powiadali mi ludzie, że się Tatarzy waćpana gorzej ognia boją. No, co? podjąłbyś się?

— Hm! dlaczegoby nie, gdybym waszą wielmożność miał tem zobowiązać..... Jeno...

— Aha! myślisz że trzeba, aby księżna permisyę dała... Da! jak mi Bóg miły! Bo imaginuj sobie, że ona mnie posądza...

Tu pan starosta począł coś szeptać do ucha Kmicicowi, wreszcie dodał głośno.

— Okrutnie była za to na mnie krzywa, a ja uszy kładłem po sobie, bo to z babami wojować! at! wolałbym Szwedów pod Zamościem. Ale będzie miała najlepszy dowód, że nic złego nie zamy-

ślam, skoro sam dziewkę chcę stąd wyprawić. Srodze się zdziwi, prawda... No! przy pierwszej sposobności o tem z nią pogadam.

To rzekłszy, starostą zakręcił się i odszedł, Kmicic zaś popatrzył za nim i mruknął.

— Wniki jakieś, panie starosta, zastawiasz, a choć celu nie rozumiem, przecie sidło widzę dobrze, bo i wnicznik z ciebie okrutnie niezgrabny.

Pan starosta zaś kontent był z siebie, chociaż dobrze to pojmował, że połowa dopiero roboty została dokonana, a pozostawała druga, tak trudna, że na myśl o niej ogarniało go zwątpienie, a nawet i strach: poprostu należało uzyskać pozwolenie księżnej Gryzeldy, której surowości i przenikliwego rozumu bał się pan starosta z całej duszy.

Jednak począwszy, pragnął jaknajprędzej doprowadzić dzieło do skutku, nazajutrz więc rano po mszy, po śniadaniu i po przeglądzie najemnej piechoty niemieckiej udał się na pokoje księżnej.

Zastał samą panią, haftującą ornat dla kolegiaty. Za nią Anusia zwijała rozwieszony na dwóch krzesłach jedwab, drugi motek koloru różanego założyła na szyję i migając szybko rączkami, biegała naokoło krzeseł, goniąc odwijającą się nitkę.

Panu staroście zajaśniały oczy na jej widok, ale prędko przybrał oblicze w powagę i przywitawszy się z księżną, tak niby od niechcenia zaczął:

— Ten pan Babinicz, co tu z Tatary przyjechał, to jest Litwin. Możny jakiś człek i wielce grzeczny, a rycerz podobno zawołany. Zauważyłaś go, pani siostro?

— Samżeś go do mnie przyprowadzał — odrzekła obojętnie księżna Gryzelda.— Uczciwą ma twarz i na dobrego żołnierza wygląda.

— Rozpytywałem się go o owe majętności pannie Borzobohatej zapisane. Powiada, że to fortuna niemal radziwiłłowskiej równa.

— Daj Boże Anusi. Lżejsze jej będzie sieroctwo, a potem starość — rzekła pani.

— Jest jeno to periculum, żeby dalsi krewni nie rozdrapali. Babinicz powiada, że wojewoda witebski mógłby, gdyby chciał, tem się zająć. Zacny to człek i nam wielce życzliwy, któremubym córkę własną powierzył... Dośćby mu awizę do trybunału po-

słać i opiekę oznajmić. Ale Babinicz powiada, iż na to potrzeba, aby panna Anna sama pojechała w tamte strony.

— Dokąd? do pana Sapiehy?

— Albo do panien Sapieżanek, aby tam była, aby instalacya pro forma mogła być uczyniona.

Wojewoda zmyślił w tej chwili "instalacyę pro forma," słusznie mniemając, że księżna przyjmie tę fałszywą monetę za dobrą.

Ona zaś pomyślała przez chwilę i rzekła:

— Jakże jej tu teraz jechać, gdy Szwedzi po drodze?

— Mam właśnie wiadomość, że z Lublina ustąpili. Cały kraj z tej strony Wisły wolny.

— I któżby to Hankę do pana Sapiehy odprowadził?

— Choćby ten sam Babinicz.

— Z Tatarami? Bójże się Boga panie bracie, tożto lud dziki i niesforny.

— Ja się tam nie boję — wtrąciła dygając Anusia.

Lecz księżna Gryzelda zmiarkowała już, że pan brat przyszedł z jakimś gotowym planem, więc wyprawiła Anusię z pokoju, sama zaś poczęła spoglądać pytającym wzrokiem na pana starostę.

On zaś rzekł, jakby do siebie samego.

— Ordyńcy ci w proch się przed Babiniczem rozsypują. Wiesza ich za lada niesubordynacyą.

— Nie mogę na taką ekspedycyę pozwolić — odpowiedziała księżna. — Dziewczyna jest zacna, ale bałamutna i łatwo w ludziach zapały budzi... Sam to wiesz najlepiej. Nigdybym jej nie powierzyła człekowi młodemu i nieznanemu.

— Nieznany on tam nie jest, bo kto o Babiniczach nie słyszał, jako o familiantach i statecznych ludziach! (pierwszy pan starosta nigdy w życiu o Babiniczach nie słyszał). Zresztą—mówił dalej — mogłabyś jej którą ze statecznych niewiast do kompanii dodać,to i decorum byłoby zachowane. Za Babinicza ja ręczę. Powiem ci i to, pani siostro że ma on w tamtych stronach narzeczoną, w której srodze jest, jak sam powiada, zakochany... A kto zakochany,temu co innego w głowie. Grunt w tem, że taka druga sposobność nie prędko może się trafić? natomiast może fortuna dziewce przepaści na dojrzałe lata zostanie bez dachu nad głową.

Księżna przestała haftować, podniosła głowę i utkwiła w bracie przenikliwie oczy.

— Co ty masz w tem, żeby ją stąd wyprawić?

— Co ja mam w tem? — mówił spuszczając wzrok pan starosta — co mogę mieć? nic!

— Janie!... tyś się z Babiniczem zmówił na jej cnotę?!

— Ot, jest! Jak mi Bóg miły! tego tylko brakło. Przeczytasz, tedy list, który do pana Sapiehy napiszę i własny dodasz... A jać jeno przyrzekam, iż się z Zamościa nie ruszę. Wreszcie sama Babinicza wybadasz i sama go prosić będziesz, aby się funkcyi podjął. Skoro mnie posądzasz, to nie chcę o niczem wiedzieć.

— Czemu zaś tak nastajesz, by ona wyjechała z Zamościa?

— Bo jej dobra pragnę i o fortunę niezmierną chodzi. Wreszcie... przyznaję! Siła mi na tem zależy, aby ona z Zamościa wychała. Oto sprzykrzyły mi się twoje posądzenia, nie w smak mi to, że na mnie ustawicznie brwi marszczysz i surowie spoglądasz... Myślałem, że przyzwalając na odjazd dziewczyny, znajdę najlepsze argumentum przeciw podejrzeniom. Dalibóg! dość mi tego, bom też nie żaden żak, ani mydłek, który się nocą pod okna skrada... Powiem ci więcej, oficerowie mi się przez nią jeden na drugiego burzą i szablami na się trzaskają, ni zgody, ni porządku, ni służby, jak należy. Dość mi tego! Ale skoro jeszcze oczyma we mnie świdrujesz, to rób, jak chcesz, a Michała sama pilnuj, bo to twoja, nie moja sprawa.

— Michała? — rzekła ze zdumieniem księżna.

— Ja przeciw dziewczynie nic nie mówię... Nie bałamuci go więcej niż innych, ale jeśli ty, pani siostro, nie widzisz jego strzelistych spojrzeń i gorących afektów, to ci jeno to powiem, że i Kupido tak nie zaślepia jak macierzyńska miłość.

Brwi księżnej ściągnęły się, a lica jej przybladły.

Starosta zaś widząc, że wreszcie utrafil, uderzył się rękoma po kolanach i mówił dalej.

— Ot, tak, pani siostro, ot, tak!... Co mnie do tego! Niechże jej Michałek jedwab do zwijania podaje, niech parska, patrząc na nią, niech się płoni, niech przez dziurki we drzwiach na nią spogląda!... A mnie co!... Wreszcie... bo ja wiem!... Fortuna piękna... ród! no! szlachecki, a ja się tam nad szlachtę nie wynoszę. Chcesz sama, dobrze! Lata jeno ponoś niedobrane, ale to znów nie moja rzecz.

To rzekłszy, pan starosta powstał i skłoniwszy się siostrze bardzo uprzejmie, zabierał się do odejścia.

Księżnej tymczasem krew napłynęła do twarzy. Dumna pani w całej Rzeczypospolitej nie wiedziała partyi godnej Wiśniowieckiego, aż za granicą chyba między arcyksiężniczkami austryackiemi, więc też słowa brata przypiekły ją jakby rozpalonem żelazem.

— Janie! — odrzekła — czekaj!

— Pani siostro — odrzekł starosta kałuski — chciałem, primo złożyć ci dowód, iż niesłusznie mnie posądzasz, secundo: iż powinnaś kogo innego pilnować. Teraz uczynisz, jak zechcesz, jać nie mam nic do gadania.

Tu pan Zamoyski skłonił się i wyszedł.

---

## XLIX.

Pan starosta kałuski niezupełnie kłamał przed siostrą, mówiąc o afektach Michałowych dla Anusi, gdyż młode książątko kochało się w niej tak, jak i wszyscy, nie wyłączając paziów dworskich. Ale była to miłość niezbyt gwałtowna i zgoła nie przedsiębiorcza: raczej słodkie rozdurzenie głowy i zmysłów, nie poryw serca, które miłując, do wiecznego posiadania umiłowanego przedmiotu dąży. Do takiego dążenia nie miał Michał dość energii.

Niemniej księżna Gryzelda, marząc o świetnej przyszłości dla syna, przeraziła się mocno tem uczuciem.

W pierwszej chwili zdumiała ją nagła zgoda pana starosty na wyjazd Anusi; obecnie przestała o tem myśleć, tak dalece całą jej duszę zajęło grożące niebezpieczeństwo. Rozmowa z synem, który bladł i drżał przed nią, a wprzód, nim się do czego przyznał, już począł łzy wylewać, utwierdziła ją w mniemaniu, że niebezpieczeństwo jest groźne.

Jednakże nie odrazu przezwyciężyła skrupuły sumienia i dopiero gdy Anusia, której chciało się nowy świat i nowych ludzi zobaczyć, a może i pobałamucić pięknego kawalera, przypadła jej do nóg z prośbą o pozwolenie, księżna nie znalazła dość siły, by go jej odmówić.

Anusia zalewała się wprawdzie łzami na myśl rozłąki ze swą panią i matką, ale dla sprytnej dziewczyny było zupełnie jasnem, że prosząc o rozłąkę, oddala tem samem od siebie wszelkie podejrzenia, jakoby w jakichś zgóry powziętych celach bałamuciła młode książątko lub też samego pana starostę.

Księżna Gryzelda, chcąc się przekonać, czy niema jakien zmowy między bratem starostą a Kmicicem, kazała temu ostatniemu stawię się przed sobą. Przyrzeczenie pana starosty, że nie ruszy się z Zamościa, uspokoiło ją wprawdzie znacznie, chciała jednak poznać bliżej człowieka, który miał dziewczynę przeprowadzać.

Rozmowa z Kmicicem uspokoiła ją zupełnie.

Młodemu szlachcicowi patrzyła z siwych oczu taka szczerość, prawda, że niepodobna było o niej wątpić. Przyznał się odrazu że w innej był zakochany i przeto do bałamuctwa nie ma ni chęci, ni głowy. Wreszcie dał parol kawalerski, iż dziewczynę obroni przed wszelką przygodą, chybaby sam pierwej głowę nałożył.

— Do pana Sapiehy ją dowiozę bezpiecznie, gdyż starosta powiadał, że nieprzyjaciel i z Lublina ustąpił, ale potem nie chcę nic o niej wiedzieć... I nie dlatego, abym powolnych służb dla waszej ks. mości miał się wzdragać, bo dla wdowy po największym wojowniku i chwale całego narodu gotówem zawsze krew przelać... Ale że mam tam swoje ciężkie sprawy, z których nie wiem, czy skórę całą wyniosę.

— Nie chodzi też o nic więcej, — odrzekła księżna — jeno byś ją do pana sapieżyńskich rąk oddał, a pan wojewoda uczyni to dla mnie, iż dalszej nad nią opieki nie odmówi.

Tu wyciągnęła mu rękę, którą on ze czcią największą ucałował ona zaś rzekła jemu na pożegnanie:

— Czuwaj, panie kawalerze! I tem się nie ubezpieczaj, że kraj od nieprzyjaciela wolny.

Ostatnie słowa zastanowiły Kmicica, lecz nie miał czasu nad niemi rozmyślać, bo wkrótce ułapił go pan starosta.

— Cóż, mości rycerzu, — rzekł wesoło — największą ozdobę Zamościa mi wywozisz?

— Ale z wolą pańską — odpowiedział Kmicic.

— Pilnujże jej dobrze. Łakomy to specyał! Gotów ci ją kto odbić!

— A niech jego popróbuje! O wa! Dałem parol kawalerski księżnej pani, a u mnie parol święta rzecz!

— No! na śmiech jeno mówię... Nie potrzebujesz się bać, ani ostrożności nadzwyczajnych przedsiębrać.

— A taki poproszę jw. pana o jakową kolaskę zamykaną i blachami opatrzoną.

— Dam ci i dwie!... Ale przecież zaraz nie jedziesz?

— Bogać. Pilno mi! I tak tu zadługo siedzę.

— To wypraw swoich Tatarów naprzód do Krasnegostawu. Ja ze swej strony pchnę gońca, ażeby tam obroki były dla nich gotowe, a tobie eskortę własną aż do Krasnegostawu dam. Nic cię tu spotkać złego nie może, bo to kraj mój... Dam ci dobrych pachołków z niemieckiej dragonii, ludzi śmiałych i dróg świadomych... Zresztą do Krasnegostawu trakt, jak sierpem rzucił.

— A czemuto mam się sam ostawać?

— Abyś się z nami dłużej zabawił, miłym mi jesteś gościem i radbym waćpana choćby cały rok zatrzymać. A przytem posłałem do stada do Perespy, może się jakowyś bachmacik dla waćpana wybierze,który cię w potrzebie nie zawiedzie, wierzaj!...

Kmicic spojrzał bystro w oczy staroście, potem, jakby powziąwszy nagłe postanowienie, rzekł:

— Dziękuję i ostaję, a Tatarów najprzód wyprawię.

I poszedł zaraz wydać im rozkazy, a wziąwszy na stronę Akbaha-Ułana, tak mówił:

— Akbahu-Ułanie, macie iść naprzód do Krasnegostawu, prostym traktem, jakoby kto sierpem rzucił. Ja tu ostaję i w dzień po was ruszę, mając starościńską eskortę. Słuchajże teraz, co ci powiem, oto mi do Krasnegostawu nie pójdziecie, jeno mi w pierwszych lasach niedaleko za Zamościem przypadnij, tak aby żywa dusza o was nie wiedziała; a gdy wystrzał na gościńcu usłyszycie, to do mnie, bo mi tu chcą jakowąś nieszczerość wyrządzić.

— Twoja wola — odrzekł Ajbah-Ułan, przykładając dłoń do czoła, ust i piersi.

— Przejrzałem cię, panie starosto! — rzekł do siebie Kmicic. — W Zamościu siostry się boisz, więc chcesz dziewczynę porwać i gdzieś w pobliżu osadzić, a ze mnie instrumentum swych żądz uczynić, a kto wie, czy i gardła nie wziąć. Czekajże! Trafiłeś na lepszego od się... I sam się we własny potrzask uchwycisz!

Wieczorem porucznik Szurski zastukał do drzwi Kmicica. Oficer także coś wiedział, czegoś się domyślał, a że Anusię miłował, wolał więc, by odjechała, niż żeby w moc pana starosty wpadła. Jednakże mówić otwarcie nie śmiał, a może także nie miał pewności; dziwił się więc tylko, iż Kmicic zgodził się na wysłanie Tatarów; zaręczał, że drogi nie są tak bezpieczne, jako mówią, że wszędy włóczą się kupy zbrojne i do gwałtownych uczynków skore.

Lecz pan Andrzej postanowił udawać, że niczego się nie domyśla.

— Co mnie może spotkać? — mówił — przecie pan starosta kałuski daje mi własną eskortę!

— Ba! Niemców!

— Zali to niepewni ludzie?

— Tym psubratom nigdy ufać nie można. Bywało, że zmówiwszy się w drodze, do nieprzyjaciół zbiegali...

— Szwedów przecie niema z tej strony Wisły.

— Są psiajuchy w Lublinie! Nieprawda, że wyszli. Szczerze waszmości radzę, nie wyprawiaj naprzód Tatarów, bo w większej kupie zawsze bezpieczniej.

— Szkoda, żeś mi waćpan wprzód tego nie mówił. Jeden mam język w gębie i raz danego rozkazu nie cofam.

Jakoż nazajutrz Tatarzy ruszyli naprzód, Kmicic miał zaś jechać pod wieczór, tak aby na pierwszy nocleg stanąć w Krasnymstawie. Tymczasem wręczono mu dwa listy do pana Sapiehy: jeden od księżnej, drugi od pana starosty.

Kmicic miał ochotę otworzyć ten ostatni, jednak nie śmiał, natomiast przejrzawszy go pod światło, przekonałsię, że wśrodku jest czysty papier. Odkrycie to upewniło go ostatecznie, że i dziewczyna i listy mają mu być w drodze odebrane.

Tymczasem przyszło stado z Perespy i pan starosta obdarzył młodego rycerza nad podziw pięknym bachmacikiem, którego on z wdzięcznością przyjął, myśląc sobie w duszy, że dalej na nim zajedzie, niż się pan starosta spodziewa. Myślał także o swoich Tatarach, którzy już musieli w lasach zapaść, i śmiech pusty go brał. Chwilami znowu burzył się w duszy i obiecywał sobie dać panu storoście dobrą naukę.

Nadszedł wreszcie czas obiadu, który upłynął bardzo posępnie. Anusia miała czerwone oczy; oficerowie milczeli głucho, jeden pan starosta był wesół i kazał dolewać w kielichy, które Kmicic spełniał jeden za drugim. Lecz gdy nadeszła pora odjazdu, niewiele osób

żegnało odjeżdżających, gdyż pan starosta powyprawiał oficerów po służbie.

Anusia padła do nóg księżnie i długo nie można jej było oderwać, sama zaś księżna miała w twarzy niepokój widoczny. Może i wyrzucała sobie pocichu, iż pozwoliła na odjazd wiernej służki, wśród takich czasów, w których nietrudno było o przygodę. Lecz głośny płacz Michała, który trzymając pięści przy oczach, buczał jak żak szkolny, utwierdził dumną panią w przekonaniu, iż trzeba dalszym skutkom młodocianego afektu zapobiedz. Wreszcie uspokajała się i tą nadzieją, że w rodzinie sapieżyńskiej znajdzie dziewczyna opiekę, bezpieczeństwo i wreszcie ową wielką fortunę, mającą jej los na resztę życia zabezpieczyć.

— Waścinej cnocie, męstwu i honorowi ją powierzam — rzekła raz jeszcze księżna do Kmicica, — a waćpan pamiętaj, iżeś mi zaprzysiągł, jako ją bez szwanku do pana Sapiehy odprowadzisz.

— Jako szkło będę wiózł, a w potrzebie pakułami obwinę, żem zaś parol dał, to chyba śmierć mi go dochować przeszkodzi — odrzekł rycerz.

I podał ramię Anusi, ona zaś zła była na niego, bo wcale na nią nie patrzył i dość lekko traktował, więc podała mu rękę bardzo dumnie, odwracając zwrok i głowę w inną stronę.

Żal jej było odjeżdżać i strach ją teraz brał, ale cofać się było już zapóźno.

Nadeszła chwila; siedli więc, ona do karetki ze starą sługą, panną Suwalską, on na koń i ruszyli. Dwunastu rajtarów niemieckich otaczało kolaskę i wóz z Anusinemi łubami. Gdy wreszcie skrzypnęły brony w Warszawskiej bramie i rozległ się turkot kół po zwodzonym moście, Anusia uderzyła w płacz głośny.

Kmicic pochylił się do kolaski.

— Nie bój się waćpanna, nie zjem cię!

— Grubijanin! — pomyślała Anusia.

Jechali czas jakiś wedle domów leżących za murami, wprost ku Staremu Zamościu, poczem wjechali w bór, który w owych czasach ciągnął się pagórzystym krajem aż hen do Bogu i za Bug z jednej strony, z drugiej szedł przerywany wsiami aż do Zawichosta.

Noc już zapadła, ale bardzo pogodna i widna, trakt znaczył się srebrnym szlakiem; ciszę przerywał tylko turkot karetki i tętent koni rajtarskich.

— Tu już moi Tatarowie muszą tkwić w gąszczach jako wilcy — pomyślał Kmicic.

Wtem nadstawił ucha.

— Cote? — zapytał oficera, dowodzącego rajtarami.

— Słychać tętent!... Jakiś jeździec pędzi w skok za nami! — odrzekł oficer.

Zaledwie skończył, dopadł na spienionym koniu Kozak, wołając:

— Pan Babinicz! pan Babinicz! Pysmo od pana starosty!

Orszak wstrzymał się. Kozak podał list Kmicicowi.

Kmicic rozłamał pieczęć i przy świetle latarni, umieszczonej przy koźle kolaski, czytał, co następuje:

"Mości, a mnie wielce miły, panie Babinicz! W prędce po odjeździe panny Borzobohatej-Krasieńskiej doszła mnie wieść, iż Szwedzi nietylko nie ustąpili z Lublina, ale na mój Zamość uderzyć zamierzają. Wobec tego dalsza droga i peregrynacya stają się niepodobne. Zważywszy więc na owe pericula, na jakie białogłowa narażonąby być mogła, chcemy pannę Borzobohatą mieć z powrotem w Zamościu. Ciż sami rajtarowie ją odwiozą, waćpana zaś, któremu w dalszą drogę musi być pilno, napróżno fatigare nie chcemy. Którą wolę naszą oznajmując waszej mości, prosimy, abyś rajtarom wedle naszych chęci rozkazy wydać zechciał."

— Przecie jest w nim tyle uczciwości, że na głowę moją nie nastaje, jeno chce mnie na dudka wystrychnąć — pomyślał Kmicic. — Wraz się też okaże jawnie, czy jest w tem zasadzka, czyli jej niema.

Tymczasem Anusia wysadziła głowę przez okno.

— A co tam? — spytała.

— Nic. Pan starosta kałuski jeszcze raz waćpannę mojemu męstwu poleca. Nic więcej.

Tu zwrócił się do woźnicy i rajtarów:

— Jazda!

Lecz oficer dowodzący rajtarami osadził konia.

— Stój! — krzyknął na woźnicę.

Poczem do Kmicica:

— Jakto: jazda?

— A poco dłużej w lesie stać? — spytał z głupia frant Kmicic.

— Bo wasza mość odebrałeś jakowyś rozkaz.

— A waści co do tego! Odebrałem i właśnie dlatego rozkazuję: jazda!

— Stój! — zawołał oficer.

— Jazda! — powtórzył Kmicic.

— Co tam? — spytała znów Anusia.

— Nie pojedziem ni kroku dalej, nim rozkazu nie obaczę! — rzekł stanowczo oficer.

— Rozkazu nie obaczysz, bo nie tobie go przysłano!

— Skoro waszmość słuchać go nie chcesz, to ja go wykonam... Ruszajże sobie tedy waszmość z Bogiem do Krasnegostawu i bacz, abyśmy czego nie przyłożyli na drogę, a my z panną wracamy.

Pan Kmicic tego tylko czekał, aby oficer wyznał, iż wie, co jest w rozkazie; okazało się bowiem z tego z zupełną pewnością, że cała sprawa jest z góry ułożonym podstępem.

— Ruszaj z Bogiem! — pówtórzył groźnie już oficer.

I w tej chwili rajtarzy powydobywali bez komendy szable z pochew.

— O takie syny! nie do Zamościa chcielibyście dziewkę wieźć, jeno gdzieś na uboczu osadzić, aby pan starosta swobodnie żądzom swym cugle mógł popuszczać. Aleście na mądrzejszego trafili!

To rzekłszy, wypalił w górę z pistoletu.

Na ów odgłos w głębiach lasu rozległ się wrzask straszliwy, jak gdyby wystrzał zbudził całe stada wilków, śpiące w pobliżu. Wycie ozwało się z przodu, z tyłu, z boków, jednocześnie rozległ się tętent koni, chrupot gałęzi łamanych pod kopytami i na trakcie zaczerniały kupy jeźdźców, które się zbliżały z nieludzkiem wyciem i piskiem.

— Jezus! Marya! Józef! — wołały przerażone niewiasty w kolasce.

Tymczasem Tatarzy dopadli chmurą, lecz Kmicic wstrzymał ich trzykrotnym okrzykiem, sam zaś zwrócił się do przerażonego oficera i chełpić się począł:

— Poznaj, na kogoś trafił... Pan starosta na dudka chciał mnie wystrychnąć, ślepe instrumentum ze mnie uczynić... A tobie rajfurską funkcyę powierzył, której się dla łaski pańskiej podjąłeś, panie oficerze! Kłaniajże się od Babinicza panu staroście i powiedz mu, że dziewka dojedzie bezpiecznie do pana Sapiehy!

Oficer potoczył naokoło przelękłym wzrokiem i ujrzał dzikie twarze, patrzące ze straszliwem łakomstwem na rajtarów. Znać było,

że czekają tylko jednego wyrazu, ażeby rzucić się na nich i porozrywać w sztuki.

— Wasza miłość uczyni, co zechce, bo z przemocą nie wskóramy — odrzekł drżącym głosem — ale pan starosta potrafi się pomścić.

Kmicic rozśmiał się.

— Niechże na tobie się mści, bo gdyby nie to, żeś się zdradził, gdybyś nie okazał, że wiesz zgóry, co jest w rozkazie i nie przeciwił się dalszej jeździe, tobyś mnie nie przekonal o zasadzce i dziewkę zarazbym w Krasnostawie oddał. Powiedzże i to panu starości, by mądrzejszych od cię rajfurami swymi kreował.

Spokojny ton, z jakim pan Kmicic to mówił, upewnił nieco oficera, przynajmniej pod tym względem, iż ani jemu, ani rajtarom śmierć nie grozi, więc odetchnął lżej i rzekł:

— Mamyż z niczem wracać do Zamościa?

A Kmicic:

— Z niczem nie wrócicie, bo wrócicie z pismem mojem, którem każdemu z was na skórze każę wypisać.

— Wasza miłość...

— Bierz ich! — krzyknął Kmicic.

I sam zaraz ucapił za kark oficera.

Rozpoczęła się zawierucha i kotłowanie naokół kolaski. Wrzask Tatarów stłumił wołanie o pomoc i krzyki przerażenia, wydobywające się z piersi niewiast.

Lecz szamotanie niedługo trwało, gdyż w dwa pacierze później rajtarowie leżeli już na trakcie powiązani jeden obok drugiego.

Teraz Kmicic rozkazał siec ich batożkami z byczego surowca, lecz nie nad miarę, ażeby wrócić mogli piechotą do Zamościa. Otrzymali więc prości żołnierze po sto, a oficer sto piędziesiąt plag, pomimo próśb i zaklęć Anusi, która nie rozumiejąc, co się wokoło niej dzieje, sądziła, że w straszliwe jakieś ręce wpadła i składając dłonie, błagała ze łzami w oczach o życie.

— Daruj, rycerzu!... Com ja ci winna?... Daruj! oszczędź!...

— Cicho panna bądź! — huknął Kmicic.

— Com ci zawiniła?

— Możeś i sama w zmowie...

— W jakiej zmowie? Boże bądź miłościw mnie grzesznej...

— To waćpanna nie wiesz, że pan starosta pozornie jeno na wyjazd waćpanny dozwolił, aby cię od księżnej odłączyć, a w dro-

dze porwać i aby w jakimś pustym zameczku na cnotę twoją nastawać?

— Jezusie Nazareński! — krzyknęła Anusia.

I tyle było w tym okrzyku prawdy i szczerości, iż Kmicic rzekł łagodniej:

— Jakże? Toś waćpanna nie w zmowie?... Może to być!

Anusia zakryła rękoma, lecz nie mogła nic mówić, jeno powtarzała raz porazu:

— Jezus, Maryo! Jezus, Maryo!

— Uspokój się panna — rzekł jeszcze łagodniej pan Kmicic. — Pojedziesz bezpiecznie do pana Sapiehy, bo tego pan starosta nie wyliczył z kim ma sprawę... Ot, ci ludzie, których tam sieką, mieli cię porwać... Daruję ich zdrowiem, aby mogli panu staroście opowiedzieć, jak im gładko poszło.

— To waćpan mnie od hańby obronił?

— Tak jest? chociażem nie wiedział, czy rada będziesz.

Anusia zamiast odpowiadać lub zaprzeczać, chwyciła nagle pana Andrzeja za rękę i przycisnęła ją do swych bledziuchnych ust. A po nim skry przeszły od nóg do głowy.

— Daj panna spokój, dla Boga! coto znowu!... — krzyknął. — Siadaj panna do kolaski, bo nożyny przemoczysz... A nie bój się!... U matki nie byłoby ci przezpieczniej.

— Pojadę teraz z waćpanem chociażby na koniec świata!

— Waćpanna takich rzeczy nie powiadaj!

— Bóg cię nagrodzi, żeś cnoty bronił!

— Pierwszy raz mi się sposobność trafiła — rzekł Kmicic.

A ciszej mruknął sam do siebie:

— Tyłem jej dotąd bronił, ile kot napłakał!

Lecz tymczasem ordyńcy przestali batożyć rajtarów, kazał ich więc pan Andrzej pognać nagich i pokrwawionych traktem do Zamościa. Konie, broń i odzież darował Kmicic swoim Tatarom i ruszyli szybko naprzód, bo niebezpiecznie było zwłóczyć.

Przez drogę nie mógł się młody rycerz powstrzymać od chęci zaglądania do kolaski, a raczej od spoglądania w bystre oczki i cudne lica dziewczyny. Pytał też za każdym razem, czy jej czego nie trzeba, czy kolaska wygodna i czy zbyt szybka jazda nie nuży.

Ona odpowiadała mu zatem wdzięcznie, że jej tak dobrze, jako nigdy nie bywało. Ochłonęła już że strachu zupełnie. Serce wezbrało jej ufnością dla obrońcy. W duszy zaś myślała:

— Nie tak nieużyty, ani taki grubijan, jakom z początku mniemała!

— Ej, Oleńka, co ja dla ciebie cierpię!— mówił sobie Kmicic — zali mnie niewdzięcznością nakarmisz? —... Żeby tak w dawnych czasach... uha!...

Tu kompanionowie przyszli mu na myśl i różne swawole, których się na spółkę z nimi dopuszczał, więc chcąc odegnać pokusy, począł za ich nieszczęsne dusze odmawiać "wieczny odpoczynek."

Przybywszy do Krasnegostawu, uznał pan Kmicic, że lepiej na wieści z Zamościa nie czekać i zaraz ruszył w dalszą drogę. Wszelako na odjezdnem napisał i przesłał panu staroście list następujący:

"Jaśnie wielmożny panie starosto,

A mnie wielce miłościwy łaskawco i dobrodzieju!

"Kogo Bóg Wielkim na tym świecie uczynił, temu i dowcip sporszą miarą namierzył. Poznałem to odrazu, iżeś jw. pan jeno na próbę chciał mnie wystawić, przesyłając mi rozkaz wydania panny Borzobohatej-Krasieńskiej, a poznałem to tem lepiej, gdy rajtarowie owi zdradzili, iż tenor rozkazu wiedzą, chociażem im listu nie pokazywał i choć jwm. pan piszesz mi, iż namysł dopiero po naszym wyjeździe przyszedł. Jako więc z jednej strony podziwiam tem bardziej przezorność pańską, tak z drugiej, dla zupełnego uspokojenia troskliwego opiekuna, ponownie przyrzekam, iż nic mnie od spełnienia powierzonej mi funkcyi odwieść nie zdoła. Ale, że żołdakowie owi, źle widocznie intencyę pańską rozumiejąc, wielkimi grubijanami się okazali, a nawet zdrowiu memu grozili, mniemam przeto, iż utrafiłbym w myśl jwpana, gdybym ich był obwiesić kazał. Czego, żem nie uczynił, o przebaczenie jwpana upraszam; wszelako batożkami kazałem ich przystojnie ociąć, którą karę, jeśli jwpan za zbyt małą uznasz, wedle swej pańskiej woli multyplikować możesz. Przyczem tusząc, iżem na większą ufność i wdzięczność jwpana zarobił, piszę się wiernym i życzliwym w. pańskiej mości sługą. — Babinicz."

Dragoni, dowlókłszy się do Zamościa późną nocą, nie śmieli się na oczy panu staroście kałuskiemu pokazać, dowiedział się więc o całem zajściu dopiero z tego listu, który nazajutrz krasnostawski Kozak przywiózł.

Przeczytawszy go pan starosta, na trzy dni w swojej komnacie

się zamknął, nikogo z dworzan, prócz pokojowców, którzy mu jeść nosili, do siebie nie puszczając. Słyszano też, iż klął po francusku, co czynił tylko wówczas, gdy był w najwyższej pasyi.

Powoli jednak uspokoiła się ta burza. Przez czwarty i piąty dzień bardzo był jeszcze pan starosta milczący; żuł coś w sobie i za wąs szarpał; aż dopiero w tydzień, będąc już wcale wesołym i podpiwszy trochę przy stole, począł nagle wąs kręcić, nie szarpać i ozwał się do księżnej Gryzeldy:

— Pani siostro, wiesz, że mi nie brak przezorności... Wystawiłem też umyślnie parę dni temu na próbę owego szlachcica, który Anusię zabrał i mogę cię upewnić, że ją wiernie do rąk pana sapieżyńskich dowiezie.

I zdaje się, że już w miesiąc później zwrócił pan starosta serce gdzieindziej, a oprócz tego był całkiem i sam przekonany, że co się stało, stało się z jego wolą i wiedzą.

## L.

Województwo lubelskie w znacznej części, a podlaskie niemal zupełnie, było w ręku polskich, to jest konfederacyi i sapieżyńskich. Ponieważ król szwedzki bawił ciągle w Prusach, gdzie z elektorem traktował, Szwedzi więc, nie czując się bardzo na siłach, wobec ogólnego powstania, które wzmagało się z każdą chwilą,nie śmieli się wychylać z miast i zamków, a mniej jeszcze przechodzić Wisłę, poza którą siły polskie były największe. Pracowano więc w owych dwóch województwach nad utworzeniem znacznego i porządnego wojska, któreby się z regularnem szwedzkim żołnierzem mierzyć mogło. Po miastach powiatowych ćwiczono piechotę, a ponieważ chłopi wogóle chwycili za broń, zatem i ludzi nie brakło, trzeba było tylko ująć w kluby i w regularną komendę owe kupy niesforne, często dla własnego kraju niebezpieczne.

Zajmowali się tem rotmistrze powiatowi. Obok tego król wydał mnóstwo listów zapowiednich starym i doświadczonym żołnierzom, zaciągi szły więc we wszystkich ziemiach, a ludzi wojennych w tych stronach nie brakło, tworzyły się więc chorągwie jazdy bardzo doskonałej. Jedne szły za Wisłę, podsycać wojnę z tamtej strony, drugie do pana Czarnieckiego, trzecie do pana Sapiehy.

Takie mnóstwo rąk schwyciło za broń, że wojsko Jana Kazimierza już było od szwedzkiego liczniejsze.

Kraj, nad którego słabością zdumiewała się niedawno cała Europa, dawał teraz przykład siły, której nie domyślali się w nim nietylko nieprzyjaciele, ale nawet własny król, nawet ci, których serce rozdzierało się przed kilku miesiącami z bólu i desperacyi. Znajdowały się pieniądze, zapał, męstwo; najbardziej zrozpaczone dusze ogarniało przekonanie, iż niemasz takiego położenia, takiego upadku, takiej słabości, z którejby nie było ratunku i że tam, gdzie się dzieci rodzą, tam otucha umrzeć nie może.

Kmicic szedł naprzód bez przeszkód, zbierając po drodze niespokojne duchy, które chętnie przystawały do czambułku, w tej nadziei, że na wspórkę z Tatary najwięcej zażyją krwi i grabieży. Tych w rządnych i sprawnych żołnierzy łatwo zmieniał, bo miał ten dar, iż strach a posłuch budził w podwładnych. Witano go po drodze radośnie, a to z powodu Tatarów. Widok ich bowiem przekonywał, iż chan naprawdę Rzeczypospolitej idzie z pomocą. Oczywiście gruchnęła wieść, że panu Sapieże walą auxilia, złożone z czterdziestu tysięcy wyborowego tatarskiego komunika. Rozpowiadano cuda o "modestyi" tych sprzymierzeńców, jako żadnych gwałtów ni zabójstw po drodze nie czynią. Podawano ich własnym żołnierzom za przykład.

Pan Sapieha stał chwilowo w Białej. Siły jego składały się z około dziesięciu tysięcy wojsk regularnych, jazdy i piechoty. Były to szczątki wojsk litewskich, podsycone nowym ludem. Jazda, zwłaszcza niektóre jej chorągwie, przewyższała dzielnością i sprawnością szwedzką rajtaryę, lecz piechota źle była wyćwiczona i brakło jej strzelby, a zwłaszcza prochów. Brakło także armat. Myślał wojewoda witebski, że się zaopatrzy w nie w Tykocinie, tymczasem Szwedzi, wysadziwszy siebie samych prochami, zniszczyli zarazem wszystkie działa zamkowe.

Obok tych sił stało w okolicy Białej do dwunastu tysięcy pospolitaków z całej Litwy, z Mazowsza, z Podlasia, lecz z tych niewiele obiecywał sobie wojewoda pożytku, zwłaszcza że niezmierną moc wozów z sobą mając, utrudniali pochody i czynili z obozu ociężałe i nieruchome zbiorowisko.

Kmicic o jednem myślał, wjeżdżając do Białej. Oto pod Sapiehą służyło tylu szlachty z Litwy i tylu oficerów Radziwiłłowskich, dawnych jego znajomych, iż obawiał się, że go poznają, a

poznawszy, na szablach rozniosą, zanim zdoła krzyknąć: Jezus, Marya! Imię jego było znienawidzone w całej Litwie i w sapieżyńskim obozie, bo jeszcze była pamięć, jako służąc Radziwiłłowi, wycinał te chorągwie, które się przeciw hetmanowi za ojczyzną opowiedziały. Lecz dodało panu Andrzejowi to otuchy, że się zmienił bardzo. Bo najprzód wychudł, powtóre przybyła mu przez twarz blizna od Bogusławowej kuli; nakoniec nosił teraz brodę; dość długą, w szwedzki wicher zakręconą, a że wąsy podczesywał do góry, był więc wiele podobniejszy do jakiegoś Eriksona, niż do polskiego szlachcica.

— Byleby się odrazu tumult przeciwko mnie nie uczynił, te po pierwszej bitwie już mnie inaczej będą sądzili — myślał sobie Kmicic, wjeżdżając do Białej.

Wjeżdżał też mrokiem, oznajmił się, skąd jest, że listy królewskie wiezie i zaraz prosił pana wojewodę o osobną audyencyę.

Wojewoda przyjął go łaskawie, a to z powodu gorących poleceń królewskich.

"Posyłamy wam najwierniejszego sługę naszego — pisał król, — który Hektorem częstochowskim, od czasu oblężenia sławnego miejsca, jest nazywany, naszą zaś wolność i nasze zdrowie własnem życiem w czasie przeprawy przez góry ratował. Tego w szczególniejszej opiece miejcie, aby mu krzywda od żołnierzy się nie stała. Nazwisko jego prawdziwe wiemy, oraz i racye, dla których pod przybranem służy, z powodu którego przybrania nikt nie ma go w podejrzenia podawać, ani o praktyki posądzać."

— A dlaczego waść przybrane nazwisko nosisz, nie można wiedzieć? — pytał pan wojewoda.

— Bom jest bannit i pod własnem nie mógłbym zaciągać... Król dał mi zaś listy zapowiednie i jako Babinicz zaciągać mogę.

— Poco ci zaciągi, skoro masz Tatarów?

— Bo i największa siła nie zawadzi.

— A za co bannit?

— Pod czyją komendę idę i kogo o opiekę proszę, temu wszystko, jako ojcu, wyznać winienem. Prawdziwe moje nazwisko jest: Kmicic!

Wojewoda cofnął się o parę kroków.

— Który króla i pana naszego porwać żywym lub umarłym Bogusławowi obiecywał?

Kmicic opowiedział z całą swą energią, jak i co się zdarzyło

jako Radziwiłłom otumianiony służył, jako usłyszawszy z ust Bogusława o istotnych książąt zamiarach, porwał go i z tego powodu nieubłaganą zemstę na się ściągnął.

Wojewoda uwierzył, bo nie mógł nie uwierzyć, zwłaszcza, gdy i królewskie listy prawdę słów Kmicicowych potwierdzały. Wreszcie i w wojewodzie dusza była tak rozradowana, iż największego swego wroga byłby w tej chwili do serca przycisnął, największy grzech odpuścił. Radość tę sprawił mu następujący ustęp królewskiego listu.

"Jakkolwiek wakująca po śmierci wojewody wileńskiego wielka buława litewska, wedle zwykłego prawa, tylko na sejmie może być następcy oddana, przecie w extraordynaryjnych dzisiejszych okolicznościach, niechając posp litego trybu, wam, wielce nam miłym, dla dobra Rzeczypospolitej i waszych wiekopomnych zasługo, buławę oną oddajemy, słusznie mniemając, że da Bóg uspokojenie, na przyszłym sejmie żaden głos przeciwko tej woli naszej się nie podniesie i uczynek nasz ogólną aprobatę otrzyma."

Sapieha, jak mówiono wówczas w Rzeczypospolitej, "zastawił kontusz i sprzedał ostatnią srebrną łyżkę," nie służył więc dla korzyści, ani dla honorów ojczyźnie. Lecz nawet najbezinteresowniejszy człowiek rad widzi, iż zasługi jego cenią, wdzięcznością płacą, cnotę uznają. Dlatego od poważnej jego twarzy blask bił niezwykły.

Akt ten woli królewskiej nowym splendorem przyozdabiał ród sapieżyński, a na to żadne z ówczesnych "królewiąt" nie było obojętne; dobrze, jeśli byli tacy, którzy do wyniesienia per nefas nie dążyli. Więc też pan Sapieha gotów był teraz uczynić dla króla wszystko, co było i co nie było w jego mocy.

— Skorom jest hetmanem — rzekł do pana Kmicica, — to pod moją inkwizycyę podchodzisz i opiekę znajdziesz. Siła tu jest pospolitego ruszenia, więc i tumult gotowy, dlatego bardzo w oczy nie leź, póki ja żołnierzów nie ostrzegę i tej potwarzy z ciebie nie zdejmę, którą Bogusław rzucił.

Kmicic podziękował z serca i z kolei począł mówić o Anusi, którą z sobą do Białej przywiózł. Na to pan hetman nuż zrzędzić, ale że w humorze był wyśmienitym, więc i zrzędził wesoło.

— Zwaryował Sobiepan! jak mi Bóg miły! — rzekł. — Siedzą sobie tam z siostrą za zamojskimi murami, jak u Pana Boga za piecem i myślą, że każdy może, tak jak on, poły od kontusza roz-

gartywać, do komina się obracać i plecy grzać. Ja Podbipiętę znałem, bo to krewni Brzostowskich, a Brzostowscy moi. Fortuna pańska, niema co mówić, ale chociaż wojna z septentrionami na czas omdlała, przecie w tamtych stronach jeszcze stoją... Gdzie czego szukać, gdzie jakie sądy, jakie urzędy? Kto będzie fortunę odbierał i dziewkę installował? Powaryowali na czysto! Mnie Bogusław na karku siedzi, a ja mam wojskiego funkcyę pełnić i babami sobie głowę zaprzątać...

— Nie baba to, ale wiśnia — odrzekł Kmicic. — A co mi tam!... Kazali wieść, wiozłem; kazali oddać, oddaję!

Stary hetman wziął na to pana Kmicica za ucho i rzekł:

— A kto cię tam wie, zbereźniku, jakąś ty ją odwiózł... Broń czego Boże, jeszcze będą ludzie gadali, że ją od sapieżyńskiej opieki kolki sparły i ja stary będę oczyma świecił... Cożeście to na popasach czynili? Gadaj mi jeno zaraz, poganinie, zaliś od swoich Tatarów bisurmańskich obyczajów nie przejął?

— Na popasach — odrzekł wesoło Kmicic — na popasach kazałem sobie pachołkom skórę dyscyplinami orać, a to, żeby mniej przystojne chęci wygnać, które pod skórą mają swe siedlisko, a które confiteor, nakształt bąków mnie cięły.

— A widzisz... Godnażto jaka dziewka?

— At! koza, choć okrutnie gładka, a jeszcze więcej przylepna.

— Już bisurmanin się znalazł!

— Ale cnotliwa, jako mniszka, to jej muszę przyznać. Ale co do kolek, mniemam, żeby ją prędzej od pana zamoyskiej opieki sparły.

Tu Kmicic opowiedział, jak i co było. Dopieroż hetman począł go klepać po ramieniu, a śmiać się.

— No, ćwik z ciebie! Nie darmoż tyle o Kmicicu powiadają. Nie bój się! Pan Jan człek nie zawzięty i mój konfident. Przejdzie pierwsza pasya, to się jeszcze sam uśmieje i ciebie nagrodzi.

— A nie potrzebuję! — przerwał Kmicic.

— Dobrze i to, że ambicyę masz i ludziom w ręce nie patrzysz. Usłuż mi jeno przeciw Bogusławowi tak sprawnie, to o dawne kondemnaty nie będziesz się potrzebował bać.

Tu zdziwił się Sapieha, spojrzawszy na tę twarz żołnierską, przed chwilą jeszcze tak szczerą i wesołą. Kmicic na wzmiankę

o Bogusławie przybladł zaraz i twarz mu się skurczyła, jak paszcza złemu psu, gdy chce kąsać.

— Bogdaj się własną śliną ten zdrajca otruł, byle mi jeszcze przed skonaniem w ręce wpadł! — rzekł ponuro.

— Twej zawziętości się nie dziwię... Pamiętaj tylko, by gniew w tobie roztropności nie zdławił, bo nie z byle kim to sprawa. Dobrze, że cię król tu przysłał. Będziesz mi Bogusława podchodził, jako dawniej Chowańskiego.

— Będę go podchodził! — odparł równie ponuro Kmicic.

Na tem skończyła się rozmowa. Kmicic odjechał spać do kwatery, bo był strudzony drogą.

Tymczasem rozbiegła się wieść pomiędzy wojskiem, że król wielką buławę ukochanemu wodzowi przysłał. Radość tedy jak płomień wybuchnęła pomiędzy tysiącami ludzi.

Towarzystwo i oficerowie z pod różnych chorągwi poczęli tłumnie nadbiegać do kwatery hetmańskiej. Uśpione miasto ocknęło się ze snu. Porozpalano ognie. Chorążowie nadbiegli z chorągwiami. Zagrały trąby, zahuczały kotły, zagrzmiały wystrzały z dział i muszkietów, a pan Sapieha ucztę wspaniałą wyprawił i przewiwatowano noc całą, pijąc na zdrowie królewskie, hetmańskie i na przyszłe zwycięstwo nad Bogusławem.

Pan Andrzej nie był, jak się rzekło, na uczcie obecny.

Natomiast pan hetman wszczął przy stołach rozmowę o Bogusławie i nie powiadając, kto jest ów oficer, który z Tatarami przyjechał i buławę przywiózł, mówił ogólnie o przewrotności księcia.

— Obaj Radziwiłłowie — rzekł, — kochali się w praktykach, ale książę Bogusław jeszcze nieboszczyka stryjecznego przewyższył... Pamiętacie waszmościowie Kmicica, albo przynajmniej słyszeliście o nim. Otóż imaginujcież sobie, iż to, co książę Bogusław rozpuścił: jakoby mu się Kmicic ofiarował rękę na króla i pana naszego podnieść, to nieprawda!

— Januszowi jednakże Kmicic pomagał dobrych kawalerów wycinać.

— Tak jest, Januszowi pomagał ale wreszcie i on spostrzegł, a spostrzegłszy się, nietylko służbę porzucił, ale jakto wiecie, że człek był zuchwały, jeszcze się na Bogusława porwał. Podobno tam już ciasno było z młodym księciem i ledwie zdrowie z rąk Kmicicowych salwował.

— Książę zaś przez zemstę taką na niego potwarz wymyślił, od której dusza się wzdryga.

— Dyabełby lepszej nie wymyślił.

— Wiedzcie, że dowody mam w ręku, czarno na białem, iż to była zemsta za nawrócenie się Kmicicowe.

— Tak czyje imię pohańbić!... Jeden Bogusław to potrafi!

— Takiego żołnierza pogrążyć!

— Słyszałem — mówił dalej hetman, — iż Kmicic, widząc, że mu tu już do roboty nie pozostaje, do Częstochowy umknął i tam znaczne usługi oddał, a potem króla jegomości własną piersią osłaniał.

Usłyszawszy to, ci sami żołnierze, którzyby byli przed chwilą na szablach Kmicica roznieśli, poczęli coraz życzliwiej się o nim odzywać.

— Kmicic mu tego nie daruje, nie takito człowiek, on się i na Radziwiłła porwie!

— Wszystkich żołnierzów książę koniuszy pohańbił, rzuciwszy na jednego taką hańbę!

— Kmicic swawolnik był i okrutnik, ale nie parrycyda!

— Pomści on się, pomści!

— My go pierwej pomścimy!

— Skoro jw. hetman powagą swą za niego ręczy, to tak musiało być.

— Zdrowie hetmańskie!

I niewiele brakowało, by i Kmicicowego zdrowia nie wypito. Lecz co prawda, odzywały się bardzo gwałtowne głosy i przeciw, zwłaszcza między dawnymi oficerami radziwiłłowskimi. Słysząc je hetman, rzekł:

— A wiecie waszmościowie, skąd mi ten Kmicic do głowy przyszedł? Oto Babitnicz, goniec królewski, wielce jest do niego podobny. Sam się w pierwszej chwili omyliłem.

Tu pan Sapieha począł surowiej nieco spoglądać i mówić z większą powagą:

— Choćby tu sam Kmicic przyjechał, to ponieważ się nawrócił, ponieważ świętego miejsca z niezmierną odwagą bronił, potrafiłbym go moją hetmańską powagą osłonić; proszę zatem waszmościów, by mi tu żadne hałasy z przyczyny owego przybysza nie powstały. Proszę pamiętać, że on tu z ramienia króla i chano-

wego przyjechał. A zwłaszcza polecam to ichmościom panom rotmistrzom z pospolitego ruszenia, bo tam o dyscyplinę trudniej!

Gdy pan Sapieha mówił w ten sposób, jeden pan Zagłoba ośmielał się, bywało, pomrukiwać pod nosem, wszyscy inni siedzieli jak trusie. Tak też siedzieli i teraz, ale gdy twarz hetmańska powesela znowu, rozradowały się i inne. Kielichy gęsto krążące dopełniały miary wesołości i całe miasto grzmiało do rana, aż ściany domostw dygotały w posadach, a dym wystrzałów wiwatowych przysłonił je całe, jakby po bitwie.

Nazajutrz rankiem wysłał pan Sapieha Anusię do Grodna, z panem Kotczycem. W Grodnie, z którego Chowański był się już dawno usunął, rezydowała wojewodzińska rodzina.

Biedna Anusia, której piękny Babinicz nieco w głowie zawrócił, żegnała się z nim bardzo czule, ale on się trzymał ostro i dopiero na samem odjezdnem rzekł jej:

— Żeby nie jedno licho, które w sercu jako cierń siedzi, tobym się był pewnie w waćpannie na umór rozkochał.

Anusia pomyślała sobie, że niemasz takiej drzazgi, którejby nie można przy cierpliwości igiełką wydłubać, lecz że i bała się trochę tego Babinicza, więc nie rzekła nic — westchnęła cicho i odjechała.

## LI.

Tydzień jeszcze po odjeździe Anusi z Kotczycem stał obóz sapieżyński w Białej. Kmicic z Tatary, odkomenderowany do pobliskiego Rokitna, odpoczywał także, bo trzeba było konie odpaść po długiej podróży. Przyjechał też do Białej i dziedzic jej, książę krajczy, Michał Kazimierz Radziwiłł, pan potężny, z linii nieświeskiej, o której mówiono, że po samych Kiszkach odziedziczyła siedemdziesiąt miast i czterysta wsi. Ten w niczem nie był do swoich birżańskich krewniaków podobny. Niemniej może od nich ambitny, lecz różny wiarą, gorliwy patryota i stronnik prawego króla, całą duszą przystał do konfederacyi tyszowieckiej i jak mógł ją podsycał. Olbrzymie jego posiadłości były wprawdzie silnie przez ostatnią z hyperborejczykami wojnę zniszczone, lecz

zawsze stał jeszcze na czele sił znacznych i niemałą hetmanowi przywiódł pomoc.

Nietyle jednak liczba jego żołnierzy mogła na szali wojennej zaważyć, jak to, że tu Radziwiłł stawał przeciw Radziwiłłowi; w ten sposób bowiem odjęte były Bogusławowi ostatnie pozory prawości i postępki jego jawnym charakterem najazdu i zdrady okryte,

Dlatego też pan Sapieha z radością ujrzał w swym obozie księcia krajczego. Był już teraz pewny, że zwycięży Bogusława, bo i potęgą o wiele go przewyższał. Lecz zwyczajem swym, plany obmyślał zwolna, zastanawiał się, rozważał i na narady oficerów wzywał.

Bywał na tych naradach i pan Kmicic. Tak on znienawidził imię radziwiłłowskie, że na pierwszy widok księcia Michała zatrząsł się ze zgrozy i złości, lecz Michał umiał sobie ludzi jednać samą twarzą, na której piękność szła ze słodyczą w parze, przytem wielkie jego przymioty, ciężkie dni, które niedawno przebył, broniąc kraju od Zołtareńki i Srebrnego, miłość prawdziwa do ojczyzny i króla, wszystko to czyniło go jednym z najzacniejszych kawalerów swego czasu. Sama obecność jego w obozie Sapiehy, współzawodnika domu radziwiłłowskiego, świadczyła jak dalece młode książątko umie prywatę dla rzeczy publicznej poświęcić. Kto go znał, pokochać musiał. Temu uczuciu, mimo pierwszego wstrętu, nie mógł się oprzeć i zapalczywy pan Andrzej.

Ostatecznie jednak skaptował sobie jego serce książę swemi radami.

Radził bowiem, żeby czasu nie tracąc nietylko przeciw Bogusławowi ruszać, ale w żadne układy nie wchodząc, natychmiast nań uderzyć, nie dać mu odzyskać zamków, nie dać mu odetchnienia, spoczynku, wojować jego własnym sposobem. W takiej rezolucyi widział książę zwycięstwo szybkie i pewne.

— Nie może być, żeby też i Karol Gustaw się nie ruszył, musimy więc jako najprędzej ręce mieć wolne, aby Czarnieckiemu z pomocą śpieszyć.

Tego samego zdania był Kmicic, który już dnia trzeciego musiał walczył z dawnemi nałogami samowoli, aby bez komendy nie pójść naprzód.

Lecz Sapieha lubił działać napewno, bał się każdego nieroz-

ważnego kroku, więc postanowił czekać na dokładniejsze wiadomości.

I hetman miał również swoje powody. Zapowiedziana wyprawa Bogusława na Podlasie mogła być tylko podstępem i grą wojenną. Może to była wyprawa udana, przedsięwzięta na czele sił ladajakich, w tym celu, aby połączenia wojsk sapieżyńskich z koronnemi nie dopuścić. Będzie się tedy Bogusław przed Sapiehą wymykał, nigdzie bitwy nie przyjmując, byle marudzić, a Karol Gustaw z elektorem uderzą przez ten czas na Czarnieckiego, zgniotą go przeważającą potęgą, ruszą na samego króla i zduszą dzieło poczynającej się obrony, stworzone przez świetny przykład Częstochowy. Sapieha był nietylko wodzem, ale i statystą. Racye swoje wykładał zaś na naradach potężnie, że sam Kmicic musiał się na nie w duszy zgodzić. Przedewszystkiem należało wiedzieć, czego się trzymać. Gdyby się okazało, że najazd Bogusławowy jest tylko grą, to wystarczyłoby zostawić przeciw niemu kilka chorągwi, z całą zaś siłą ruszać co pary w koniach ku Czarnieckiemu i głównej nieprzyjacielskiej potędze. Kilka zaś lub nawet więcej chorągwi mógł śmiało pan hetman zostawić,bo nie wszystkie jego siły stały w okolicy Białej. Młody pan Krzysztof, czyli tak zwany Krzysztofek Sapieha, stał z dwiema lekkiemi chorągwiami i z regimentem piechoty w Jaworowie; Horotkiewicz kręcił się w pobliżu Tykocina, mając pod sobą pół regimentu dragonii bardzo ćwiczonej i do pięciuset wolentarzy, oprócz petyhorskiej chorągwi imienia samego wojewody. Prócz tego w Białymstoku stały łanowe piechoty. Sił tych starczyłoby aż nadto do oporu Bogusławowi, jeżeli więcej nad kilkaset koni nie liczył.

Porozsyłał więc przezorny hetman gońców na wszystkie strony i czekał wiadomości.

Aż przyszły wreszcie wieści, lecz do gromów podobne i tem podobniejsze, że przez szczególny zbieg okoliczności uderzyły wszystkie jednego wieczora.

Na zamku bialskim odbywała się właśnie narada, gdy wszedł oficer ordynanscwy i oddał jakieś pismo hetmanowi.

Zaledwie wojewoda rzucił na nie okiem, gdy zalterował się na twarzy i rzekł obecnym.

— Krewniak mój zniesion doszczętu w Jaworowie przez samego Bogusława. Ledwie sam zdrowie wyniósł!

Nastała chwila milczenia, którą przerwał dopiero sam hetman.

— List jest pisany z Brańska, w ucieczce i konfuzyi — rzekł — dlatego niemasz w nim ni słowa o potędze Bogusława. Myślę, że musiała być dość znaczna, skoro dwie chorągwie i regiment piechoty doszczętu, jako czytam, zostały zniesione!... Być jednak może, iż książę Bogusław zeszedł ich niespodzianie. Pewno to pismo nie daje...

— Panie hetmanie, — rzekł na to książę Michał — pewien jestem, że Bogusław chce całe Podlasie zagarnąć, by je w udzielne władanie, albo w lenno przy układach dostać... Dlatego niezawodnie naszedł z taką potęgą, jaką tylko mógł zebrać.

— Godzi się supozycye dowodami poprzeć, mości książę.

— Innych dowodów nie mam, jeno znajomość Bogusława. Nie o Szwedów, ani o Brandenburczyków mu chodzi, jeno o siebie samego... Wojownik to jest niepospolity, który dufa w swą szczęśliwą gwiazdę. Prowincyę chce pozyskać, Janusza pomścić, sławą się okryć, a do tego potęgę odpowiednią mieć musi i ma. Dlatego nagle trzeba na niego nastąpić, inaczej on na nas nastąpi.

— Do wszystkiego błogosławieństwo Boże niezbędne, — rzekł Oskierka — a błogosławieństwo przy nas!

— Jw. panie hetmanie, — rzekł Kmicic — wieści potrzeba. Spuśćcież mnie ze smyczy z moimi Tatary, a ja wam wieści przywiozę.

Oskierka, który był przypuszczony do tajemnicy i wiedział, kto jest Babinicz, zaraz jął zdanie jego mocno popierać.

— Boga mi! To jest arcyprzednia myśl. Takiego tam kawalera i takiego wojska trzeba. Jeżeli tylko konie wypoczęte...

Tu Oskierka przerwał, bo oficer ordynansowy znów wszedł do komnaty.

— Jw. panie hetmanie, — rzekł — jest dwóch żołnierzów z horotkiewiczowej chorągwi, którzy się do osoby waszej wielmożności dobijają.

— Bogu chwała — rzekł pan Sapieha, uderzywszy się rękoma po kolanach — będą i wiadomości... Puszczaj!

Po chwili weszło dwóch petyhorców, obdartych i zabłoconych.

— Od Horotkiewicza? — spytał Sapieha.

— Tak jest.

— Gdzie on teraz?

— Zabit, a jeżeli nie zabit, to nie wiemy, gdzie jest...

Wojewoda wstał, lecz usiadł i zaraz począł badać spokojnie.

— Gdzie chorągiew?

— Zniesiona przez księcia Bogusława.

— Siła zginęło?

— W pień nas wycięto, może kilku zostało, których w łyka, jak nas wzięto. Są tacy, którzy mówią, że i pułkownik uszedł; ale że ranny, to sam widziałem. My z niewoli uciekli.

— Gdzie was napadnięto?

— Pod Tykocinem.

— Czemuście się za mury nie schronili w sile nie będąc?

— Tykocin wzięty.

Hetman przysłonił dłonią oczy, poczem jął wodzić nią po czole.

— Siła przy Bogusławie ludzi?

— Jest jazdy na cztery tysiące, prócz piechoty i armat. Piechoty bardzo moderowane. Jazda ruszyła najprzód, prowadząc nas z sobą, aleśmy się wyrwali szczęśliwie.

— Skądżeście uciekli?

— Z Drohiczyna.

Sapieha otworzył szeroko oczy.

— Mości towarzyszu, tyś pijany. Jakżeby już Drohiczyna Bogusław mógł dojść? Kiedy was zniósł?

— Dwa tygodnie temu.

— I jest w Drohiczynie?

— Podjazdy jego są. On sam w tyle został, bo tam jakiś konwój ułapion, który pan Ketczyc prowadził!

— Pannę Borzobohatą prowadził! — zakrzyknął pan Kmicic.

I nastało milczenie dłuższe, niż poprzednio. Nikt nie zabierał głosu. Tak nagłe powodzenia Bogusławowe zmieszały oficerów niepomiernie. Wszyscy też myśleli w duchu, że winien tu pan hetman przez swe kuntatorstwo, lecz nikt nie śmiał odezwać się z tem głośno.

Sapieha zaś czuł, że czynił, co należało i postępował roztropnie. Więc też ochłonął pierwszy z wrażenia, wyprawił skinieniem ręki owych towarzyszów, następnie rzekł.

— Wszystko to są zwykle przygody wojenne, które nie powinny nikogo konfudować. Mości panowie, nie mniemajcie, abyśmy jakowąś klęskę już ponieśli. Szkoda tamtych chorągwi, prawda... Ale stokroć większa mogłaby się stać szkoda ojczyźnie, gdyby Bo-

gusław w dalekie województwo nas odciągnął. Idzie ku nam... Jako gościnni gospodarze wyjedziem mu naprzeciw.

Tu zwrócił się do pułkowników.

— Wedle moich rozkazów, wszyscy powinni być do wyruszenia gotowi.

— Są gotowi, — rzekł Oskierka — jeno konie kiełznać i wsiadanego trąbić.

— Dziś jeszcze otrąbić. Ruszamy jutro o zerzy, nie mieszkając...Pan Babinicz skoczy naprzód z Tatary i języka jaknajspieszniej nam ułowi.

Kmicic ledwie usłyszał, już był za drzwiami, a w chwilę później pędził, co koń wyskoczy, ku Rokitnu.

A pan Sapieha również dłużej nie zwłóczył.

Noc jeszcze była, gdy trąby ozwały się przeciągle, poczem jazda i piechoty zaczęły wysypywać się w pole; za niemi pociągnął się długi szereg wozów skrzypiących. Pierwsze blaski dzienne odbiły się w rurach muszkietów i na gretach dzid.

I szedł regiment za regimentem, chorągiew za chorągwią bardzo sprawnie. Jazda pośpiewywała godzinki, a konie parskały raźno w rannym chłodzie, z czego żołnierze zaraz wróżyli sobie pewne zwycięstwo.

Serca pełne były otuchy, bo to już wiedziało z doświadczenia rycerstwo, że pan Sapieha rozmyśla, głową kręci na obie strony i każde przedsięwzięcie waży, ale gdy zaś przed się co weźmie, to dokona, a gdy się ruszy, to bije.

W Rokitnie już i legowiska po Tatarach ostygły; poszli jeszcze wczoraj na noc i musieli być już daleko. Uderzyło to pana Sapiehę, że po drodze trudno się było o nich dopytać, chociaż oddział, liczący z wolentarzami do kilkuset ludzi, nie mógł przejść niedostrzeżony.

Oficerowie, co doświadczeńsi, bardzo podziwiali ten pochód i pana Babinicza, że tak prowadzić umiał.

— Jak wilk łozami idzie i jak wilk ukąsi — mówiono — praktyk to jakiś zawołany!

A pan Oskierka, który, jak się rzekło, wiedział kto jest Babinicz, mówił do pana Sapiehy:

— Nie darmo Chowański cenę na jego głowę nakładał. Bóg

da wiktoryę, komu zechce, ale to pewna, że Bogusławowi wkrótce się wojna z nami uprzykrzy.

— Szkoda jeno, że Babinicz jakoby w wodę wpadł — odpowiadał hetman.

Istotnie upłynęło trzy dni bez żadnej wiadomości. Główne siły sapieżyńskie doszły do Drohiczyna, przeszły Bug i nie znalazły nieprzyjaciela przed sobą. Hetman począł się niepokoić. Wedle zeznań petyhorców, podjazdy Bogusława doszły właśnie już do Drohiczyna, widoczne więc było, że Bogusław postanowił cofać się. Ale co znaczyło to cofanie? Czy Bogusław dowiedział się o przeważnych siłach sapieżyńskich i nie śmiał mierzyć się z niemi, czy też pragnął hetmana odciągnąć daleko na północ, aby ułatwić królowi szwedzkiemu napad na Czarnieckiego i hetmanów koronnych? Babinicz powinien był już zachwycić języka i dać znać hetmanowi. Zeznania petyhorców co do liczby wojsk Bogusławowych mogły być błędne, należało zatem mieć jaknajprędzej dokładną o niej relacyę.

Tymczasem upłynęło jeszcze dni pięć, a Babinicz nie dawał znać o sobie. Przychodziła wiosna. Dni stawały się coraz cieplejsze, śniegi tajały. Okolica pokrywała się wodą, pod którą drzemały grząskie błota, utrudniające niesłychanie pochód. Większą część armat i wozów musiał hetman zostawić jeszcze w Drohiczynie i iść dalej komunikiem. Stąd niewygody wielkie i szemrania, zwłaszcza między pospolitem ruszeniem. W Brańsku trafiono na takie roztopy, że i piechota nie mogła postępować dalej. Hetman zgarniał po drodze konie u chłopów i drobnej szlachty i sadzał na nie muszkietników. Innych brała lekka jazda; lecz już za daleko się posunięto i hetman rozumiał, że jedno tylko pozostaje, to jest: iść jak najprędzej.

Bogusław cofał się ciągle. Po drodze trafiano ustawicznie na jego ślady, na spalone gdzieniegdzie wsie, na trupy ludzkie wiszące po drzewach. Szlachta drobna, miejscowa, przyjeżdżała z wiadomościami co chwila do sapieżyńskiego obozu, lecz prawda ginęła, jako zwykle w sprzecznych zeznaniach. Ten widział jedną chorągiew i boży się, że książę nie ma więcej wojska; ten widział dwie, ów trzy, ów potęgę, która w pochodzie milę zajmowała. Słowem, były to bajki, jakie zwykle opowiadają ludzie, nieznający się na wojsku i wojennem rzemiośle.

Widziano też tu i owdzie Tatarów, lecz właśnie wieści o nich wydawały się najnieprawdopodobniejsze; opowiadano bowiem, że ich widziano nie za wojskiem książęcem, ale przed wojskiem książęcem, idących naprzód. Pan Sapieha sapał gniewnie, gdy kto przy nim Babinicza wspominał i mówił do Oskierki:

— Przechwaliliście go. W złą godzinę odesłałem Wołodyjowskiego, bo gdyby on tu był, dawnobym miał tyle języków, ilebym sam zechciał, a to jest wicher, albo i gorzej... Kto go wie, może i naprawdę do Bogusława przystał i w przedniej straży idzie!

Oskierka sam nie wiedział, co sądzić. Tymczasem upłynął znów tydzień: wojsko przyszło do Białegostoku.

Było to w południe.

— W dwie godziny później przednie straże dały znać, że jakowyś oddział się zbliża.

— Może Babinicz! — krzyknął hetman. — Damże mu pater noster!

Lecz nie był to sam Babinicz. W obozie jednak powstał taki ruch za przybyciem tego oddziału, że pan Sapieha wyszedł obaczyć, co się dzieje.

Tymczasem towarzysze z pod różnych chorągwi nadlatywali, krzycząc:

— Od Babinicza! Jeńcy! Cała kupa!... Siła ludzi naszarpał!

Jakoż ujrzał pan hetman kilkudziesięciu ludzi na wychudłych i poszerszeniałych koniach. Otaczali oni blisko trzystu ludzi ze skrępowanemi rękoma, bijąc ich batogami z surowca. Jeńcy straszliwy przedstawiali widok. Były to raczej cienie ludzkie, niż ludzie. Odarci, półnadzy, wychudzeni tak, że kości sterczały im przez skórę, pokrwawieni, szli nawpół żywi, obojętni na wszystko, nawet na świst surowca, który przecinał im skóry i na dzikie wrzaski tatarskie.

— Co to za ludzie? — spytał hetman.

— Wojsko Bogusławowe! — odrzekł jeden z Kmicicowych wolentarzy, który jeńców wraz z Tatarami odprowadzał.

— A wyście ich skąd tylu nabrali?

Blisko połowa jeszcze nam w drodze od fatygi padła.

Wtem zbliżył się starszy Tatar, jakoby wachmistrz ordyński i uderzywszy czołem, oddał panu Sapieże pismo Kmicicowe.

Hetman, nie czekając, złamał pieczęć i począł czytać głośno:

"Jaśnie wielmożny panie hetmanie!

"Iżem wieści ni języków dotąd nie przysyłał, to dlatego, żem w przodku, nie pozadzie wojsk księcia Bogusławowych szedł i chciałem się większą kupą przysłużyć...

Hetman przerwał czytanie.

— To dyabeł! — zamiast iść za księciem, to on przed księcia się wysforował!

— Niechże go kule biją!... — dodał półgłosem Oskierka.

Hetman czytał:

"Bo chociaż niebezpieczna to była impreza, gdyż podjazdy szeroko szły, wszelako dwa zniósłszy i nikogo nie żywiąc, w przodek się wydosłałem, od czego wielka księcia napadła konfuzya, albowiem zaraz począł suponować, iż jest otoczony i jako w potrzask lezie...

— To dlatego to niespodziane cofanie się! — zawołał hetman. — Dyabeł, czysty dyabeł!

Lecz czytał coraz ciekawiej:

"Książę nie rozumiejąc, co się stało, jął głowę tracić i podjazd za podjazdem wysyłał, któreśmy też znacznie szarpali, iż żaden w tej samej liczbie nie wracał. Idąc zaś w przodku, wiwendę przejmowałem, groblem rozkopywał i mosty psuł, tak iż z wielką fatygą postępować przed się mogli, nie śpiąc, nie jedząc, dnia i nocy bezpiecznej nie mając. Z obozu nie mogli się wychylić, bo ordyńcy nieostrożnych chwytali, co się zaś obóz zdrzemnął, to mu z łozy okrutnie wyli, oni zaś, myśląc, iż wielkie wojsko na nich następuje, przez całe noce w gotowcści stać musieli. Czem książę do znacznej desperacyi przywiedzion, nie wie, co ma począć, gdzie iść i jako się obrócić — dlatego rychle nań następować trzeba, póki terror nie przejdzie. Wojska ma sześć tysięcy,ale blizko tysiąca postradał. Konie mu padają. Rajtarya dobra, piechoty słuszne, Bóg jednak dał, iż to z dnia na dzień topnieje, a byle nasze wojska ich dosięgły, to się rozlecą. Karoce książęce, część kredensu i rzeczy zacnych w Białymstoku zachwyciłem, z dwiema armatami, alem co większe potopić musiał. Książę zdrajca od ustawicznej cholery silnie zachorzał i ledwie na koniu usiedzieć może, febris nie opuszcza go dniem i nocą. Panna Borzobohata zagarnięta, ale chorym będąc, na cnotę jej nastawać nie może. Wieści takowe i konfesye o desperacyi od jeńców powziąłem, których moi Tatarzy przypiekali, i którzy, byle ich jeszcze raz przypiec, prawdę powtórzyć są

gotowi. Zaczem służby moje pokornie jw. panu i hetmanowi memu polecając, o przebaczenie, jeślim w czem pobłądził, proszę. Ordyńcy dobrzy pachołkowie i widząc siła zdobyczy, okrutnie służą."

— Jaśnie wielmożny panie! — rzekł Oskierka. — Już wasza wielmożność pewnie mniej żałuje, że Wołodyjowskiego tu niemasz, bo i ten temu wcielonemu dyabłu nie wyrówna.

— To są zdumiewające rzeczy! — rzekł, biorąc się za głowę pan Sapieha. — A nie łżeli on?

— To ambitna sztuka! Oni księciu wojewodzie wileńskiemu prawdę w oczy gadał, ani dbając, czy mu miło słuchać, czy nie miło! Ot! ten sam proceder, co z Chowańskim, jeno Chowański miał piętnaście razy więcej wojska.

— Jeśli to prawda, to trzeba następować jako najprędzej — rzekł Sapieha.

— Póki się książę nie opamięta.

— Ruszajmy na miły Bóg! Tamten mu groble rozkopuje, to dognamy.

Tymczasem jeńcy, których Tatarzy w kupie przed hetmanem trzymali, poczęli, widząc przed sobą hetmana, jęczeć, płakać, nędzę swoją okazywać i różnemi językami litości wzywać. Byli bowiem między nimi Szwedzi, Niemcy i przyboczni Bogusławowi Szkoci. Pan Sapieha odjął ich Tatarom, jeść dać kazał i konfesaty bez przypiekania prowadzić.

Zeznania potwierdziły prawdę słów Kmicicowych. Więc wszystkie wojska sapieżyńskie ruszyły z wielkim impetem naprzód.

## LII.

Następna relacya Kmicicowa przyszła z Sokółki i brzmiała krótko:

"Książę, aby wojska nasze omylić, symulował pochód ku Szczuczynowi, dokąd podjazd wysłał. Sam z główną siłą poszedł do Janowa i tam posiłki w piechocie otrzymał, które kapitan Kyritz przyprowadził: ośmset ludzi dobrych. Od nas ognie książęce widać. W Janowie mają tydzień wypocząć. Jeńcy mówią, że i bitwę przyjąć gotów. Febra trzęsie go ciągle."

Po odebraniu tej relacyi pan Sapieha, zostawiwszy resztę wozów i armat, ruszył komunikiem do Sokółki i nakoniec dwa wojska stanęły sobie oko w oko. Przewidywano też, że bitwa jest nieuchronną, gdyż jedni nie mogli już dłużej uciekać, drudzy gonić. Tymczasem jako zapaśnicy, którzy po długiej gonitwie mają się chwycić za bary, leżeli naprzeciw siebie, łapiąc powietrze w zadyszane gardziele i odpoczywali.

Pan hetman, gdy ujrzał Kmicica, chwycił go w ramiona i rzekł:

— Już mi i gniewno było na ciebie, żeś tak długo znać o sobie nie dawał, ale widzę, żeś więcej sprawił, niż się spodziewać mogłem i da Bóg wiktoryę, twoja, nie moja będzie zasługa. Szedłeś jak anioł stróż za Bogusławem!

Kmicicowi złowrogie światła zabłysły w oczach:

— Jeślim mu aniołem stróżem, to i przy skonaniu jego być muszę.

— Bóg tem rozrządzi—rzekł poważnie hetman — ale chcesz, by cię błogosławił, to ścigaj nieprzyjaciela ojczyzny, nie prywatnego.

Kmicic skłonił się w milczeniu, ale nie znać było, aby piękne słowa hetmańskie wywarły nań jakiekolwiek wrażenie. Twarz jego wyrażała nieubłaganą nienawiść i tem była groźniejszą, że trudy pościgu za Bogusławem wychudziły ją jeszcze więcej. Dawniej w tem obliczu malowała się jeno odwaga i zuchwała płochość, teraz stało się surowem i zarazem zawziętem. Łatwo zgadłeś, że komu ten człowiek zapisał w duszy zemstę, ten winien się strzedz, choćby był Radziwiłłem.

Jakoż mścił się już straszliwie. Usługi w tej wojnie oddał istotnie olbrzymie. Wysforowawszy się przed Bogusława, zbił go z tropu, pomylił jego rachuby, wpoił weń przekonanie, iż jest otoczony i do cofania się przymusił. Dalej szedł przed nim dzień i noc. Podjazdy znosił, dla jeńców był bez miłosierdzia. W Siemiatyczach, w Boćkach, w Orlej i około Bielska napadł głuchą nocą na cały obóz.

W Wojszkach, niedaleko Zabłudowa w szczerych radziwiłłowskich ziemiach wpadł jak ślepy huragan na samą kwaterę książęcą tak, że Bogusław, który właśnie był do obiadu zasiadł, omal żywcem nie wpadł w jego ręce i tylko dzięki panu Sakowiczowi, podkomorzemu oszmiańskiemu, wyniósł zdrową głowę. Pod Białymstokiem Kmicic porwał karoce i kredensy Bogusławowe. Wojsko

jego nużył, rozprzęgł, ogłodził. Wyborne piechoty niemieckie i rajtarye szwedzkie, które Bogusław z sobą przywiódł, wracały do idących kościotrupów podobne, w obłędzie, w przerażeniu w bezsenności. Wściekłe wycie Tatarów i wolentarzy Kmicicowych rozlegało się przed nimi, z boków, z przodu, z tyłu. Zaledwie strudzony żołnierz oczy przymknął, gdy musiał chwytać za broń. Im dalej, tem było gorzej.

Drobna szlachta, zamieszkająca owe okolice, łączyła się z Tatary, potrosze z nienawiści do birżańskich Radziwiłów, potrosze ze strachu przed Kmicicem, bo opornych karał bez miary. Więc siły jego rosły, Bogusławowe topniały.

Do tego sam Bogusław istotnie był chory, a chociaż w sercu tego człowieka nigdy troska nie zagnieździła się na długo i choć astrologowie, którym wierzył ślepo, przepowiedzieli mu w Prusach, iż osoby jego nic złego w tej wyprawie nie spotka, przecie ambicya jego, jako wodza, cierpiała nieraz srodze. On, którego imię, jako wodza, powtarzano z podziwem w Niederlandach, nad Renem i we Francyi, bity był w tych zapadłych lasach przez niewidzialnego nieprzyjaciela codziennie i bez bitwy zwyciężany.

Była przytem w tym pościgu taka niezwykła zawziętość i przechodząca zwykle wojenną miarę natarczywość, że Bogusław, z wrodzoną sobie bystrością, odgadł po kilku dniach, że ściga go jakiś nieubłagany wróg osobisty. Dowiedział się łatwo nazwiska: Babinicz, bo powtarzała je cała okolica, ale nazwisko owo było mu obce. Niemniej rad był poznać osobę i przez drogę w czasie pościgu urządzał dziesiątki i setki zasadzek. Zawsze napróżno! Babinicz umiał ominąć potrzask i zadawał klęskę tam, gdzie go się najmniej spodziewano.

Aż wreszcie oba wojska stoczyły się w okolice Sokółki. Bogusław znalazł tam istotne posiłki, pod wodzą v. Kyritza, który nie wiedząc poprzednio, gdzie książę się obraca, zaszedł do Janowa. Tam też miał się rozstrzygnąć los Bogusławowej wyprawy.

Kmicic pozamykał szczelnie wszystkie drogi, wiodące z Janowa do Sokółki, Koryczyna, Kuźnicy i Suchowola. Okoliczne lasy, łozy i chaszcze zajmowali Tatarzy. List nie mógł przejść, żaden wóz z żywnością dojść — samemu więc Bogusławowi pilno było do bitwy, póki jego wojska ostatniego janowskiego suchara nie zjedzą.

Lecz jako człek bystry i wszelakich intryg świadomy, postanowił próbować wpierw układów. Nie wiedział jeszcze, że pan Sapieha w tego rodzaju praktykach o wiele go rozumem i biegłością przenosił. Przyjechał więc do Sokółki od imienia Bogusława pan Sakowicz, podkomorzy i starosta oszmiański, dworzanin jego i przyjaciel osobisty. Przywiózł on z sobą listy i moc zawarcia pokoju.

Ów pan Sakowicz, człek możny, który później do senatorskich godności doszedł, bo został wojewodą smoleńskim i podskarbim wielkiego księcia, był tymczasem jednym ze słynniejszych kawalerów na Litwie, a słynął zarówno z męstwa, jak i z urody. Wzrostu średniego, włos na głowie i brwiach miał czarny, jak skrzydło krucze, oczy zaś miał bladoniebieskie, patrzące z dziwną i niewypowiedzianą zuchwałością, tak że Boguslaw mawiał o nim, iż oczyma jakoby obuszkiem uderza. Nosił się z cudzoziemska, który strój z podróży odbywanych wraz z Bogusławem przywiózł, mówił on prawie wszystkiemi językami; w bitwie zaś rzucał się w największy wir tak szalenie, iż go pomiędzy przyjciółmi "straceńcem" nazywano.

Lecz dzięki olbrzymiej sile i przytomności, wychodził zawsze cało. Opowiadano o nim, że karocę w biegu, chwyciwszy za tylne koła zatrzymał; pić mógł bez miary. Połykał kwartę śliwek na wódce, poczem był tak trzeźwy, jakoby nic w usta nie brał. Z ludźmi nieużyty, dumny, zaczepny, w Bógusiawowem ręku miękł jak wosk. Obyczaje miał polerowane i choćby na pokojach królewskich umiał się znaleźć, ale przytem i jakowąś dzikość w duszy, która wybuchała od czasu do czasu, jak płomień.

Był to raczej kompanion, niż sługa księcia.

Bogusław, który naprawdę nikogo nigdy w życiu nie kochał, miał niezwalczoną słabość dla tego człowieka. Z natury skąpy wielce, dla jednego Sakowicza był hojny. Wpływami swemi wyniósł go na podkomorstwo i udarował starostwem oszmiańskiem.

Po każdej bitwie pierwszem jego pytaniem było: "Gdzie Sakowicz i czyli jakiego szwanku nie poniósł?" Na radach jego siła polegał, a używał go zarówno w wojnie, jak i do układów, w których śmiałość, a nawet bezczelność pana starosty oszmiańskiego wielce bywała skuteczna.

Teraz wysłał go do Sapiehy. Lecz misya była trudna, najprzód, że łatwo mogło paść na starostę posądzenie, iż tylko na przeszpiegi

i tylko dla obejrzenia sapieżyńskich wojsk przyjechał; powtóre, że poseł wiele miał do żądania, nic do ofiarowania.

Na szczęście, pan Sakowicz nie byle czem się tropił. Wszedł więc jako zwycięzca, który przyjeżdża dyktować warunki zwyciężonemu i zaraz uderzył swemi blademi oczyma w pana Sapiehę.

Pan Sapieha, widząc ową butę, uśmiechnął się jeno nawpół z politowaniem. Każdy człowiek śmiałością i zuchwalstwem wielce może imponować, lecz ludziom pewnej miary; hetman zaś był wyższy nad miarę pana Sakowicza.

— Pan mój, książę na Birżach i Dubinkach, koniuszy wielkiego księstwa i wódz naczelny wojsk jego książęcej wysokości elektora — rzekł Sakowicz, — przysyła mnie z pokłonem i zapytaniem o zdrowie waszej dostojności.

— Podziękuj waszmość księciu i powiedz, iżeś mnie zdrowym widział.

— Mam tu i pismo do waszej dostojności.

Sapieha wziął list, otworzył dość niedbale, przeczytał i rzekł:

— Szkoda czasu... Nie mogę wymiarkować, o co księciu chodzi... Poddajecie się li, czy też chcecie szczęścia próbować?

Sakowicz udał zdumienie.

— Czy my się poddajemy? Mniemam, że książę to właśnie w liście owym proponuje waszej dostojności, abyś się wasza dostojność poddał; przynajmniej moje instrukcye...

Sapieha przerwał:

— O waścinych instrukcyach pomówimy później. Mój panie Sakowicz! Gonimy za wami blisko trzydzieści mil, jako ogary za zającem. Czy waść słyszał kiedy, żeby zając poddanie się ogarom proponował?

— Odebraliśmy posiłki.

— Von Kyritz z ośmiuset ludźmi. Reszta tak fatigati, że się przed bitwą pokładą. Powiem waści, co powtarzał Chmielnicki: szkoda howoryty!

— Elektor z całą potęgą stanie za nas.

— To dobrze... Nie będę go potrzebował daleko szukać, bo właśnie chcę go spytać, jakiemto prawem posyła wojsko w granice Rzeczypospolitej, której jest lennikiem do wierności zobowiązanym?

— Prawem mocniejszego.

— Może w Prusiech takie prawa egzystują, u nas nie... Wreszcie, jesteście mocniejsi, dawajcie pole!

— Dawnoby książę na waszą dostojność nastąpił, gdyby nie to, że mu krwi swojackiej szkoda.

— Bodaj mu pierwej było szkoda!

— Dziwi się też książę zawziętości Sapiehow na dom Radziwiłłowski i że wasza dostojność dla prywatnej zemsty nie wahasz się ojczyzny krwią oblewać.

— Tfu! — zakrzyknął Kmicic, słuchający za krzesłem hetmańskiem rozmowy.

Pan Sakowicz wstał, podszedł ku niemu i uderzył go oczyma.

Lecz trafił swój na swego, albo na lepszego, i w oczach Kmicica znalazł starosta taką odpowiedź, że wzrok spuścił ku ziemi.

Hetman brwi zmarszczył.

— Siadaj, panie Sakowicz, a waść tam cicho!

Poczem rzekł:

— Sumienie jeno prawdę mówi, a gęba ją pożuje i kłamstwo na świat wypluwie. Ten, który z obcemi wojskami napada kraj, krzywdę zarzuca temu, który go broni. Bóg to słyszy, a niebieski kronikarz zapisuje.

— Przez nienawiść sapieżyńską do Radziwiłłów zgorzał książę wojewoda wileński.

— Zdrajców, nie Radziwiłłów nienawidzę, a najlepszy dowód, że książę krajczy Radziwiłł jest w moim obozie... Mów waść, czego chcesz?

— Wasza dostojność, powiem, co mam w sercu: nienawidzi ten, który skrytych zbójców nasyła...

Z kolei zdumiał się pan Sapieha.

— Ja zbójców na księcia Bogusława nasyłam?

Sakowicz utkwił straszne oczy w hetmanie i rzekł dobitnie.

— Tak jest.

— Waść oszalałeś!

— Onegdaj złapano za Janowem człeka, zbója, który już raz do zamachu na życie książęce należał. Tortury sprawią, iż powie, kto go wysłał...

Nastała chwila ciszy, lecz w tej ciszy usłyszał pan Sapieha, jak Kmicic, stojący za nim, powtórzył dwakroć przez zaciśnięte wargi:

— Gorze! gorze!

— Bóg mnie sadzi — odparł z prawdziwą senatorską powagą

hetman, — waćpanu, ani twojemu księciu nie będę się usprawiedliwiał, boście mi na sędziów nie stworzeni. A waść, zamiast marudzić, gadaj poprostu, z czemeś przyjechał i jakie książę kondycye podaje?

— Książę pan mój zniósł Horotkiewicza, poraził pana Krzysztofa Sapiehę, odebrał Tykocin, dlatego słusznie za zwycięzcę podać się może i korzyści znacznych żądać. Żałując jednak rozlewu krwi chrześcijańskiej, pragnie w spokoju do Prus odejść, nic więcej nie wymagając, jak żeby mu po zamkach prezydya swoje wolno było zostawić. Wzięliśmy też i jeńców niemało, między którymi są znaczni oficyjerowie, nie licząc panny Borzobohatej-Krasieńskiej, która już do Taurogów została odesłana. Ci mogą być w rumel wymienieni.

— Waść się zwycięstwami nie chełp, bo oto moja przednia straż, której tu obecny pan Babinicz przewodził, przez trzydzieści mil was parła... przed którą uciekając, straciliście wozy, armaty, kredensy. Wojsko znużone z głodu wam pada, nie macie co jeść, nie wiecie gdzie się obrócić. Waść widziałeś moje wojsko. Nie kazałem ci umyślnie oczu wiązać, abyś mógł rozpoznać, jeżeli mierzyć się z nami możecie. Co się owej panny tyczy, nie pod moją ona opieką, ale pana Zamoyskiego i księżnej Gryzeldy Wiśniowieckiej. Z nimito policzy się książę, krzywdę jej czyniąc. Waść zaś gadaj, co jeszcze masz do powiedzenia, a mów mądrze, bo inaczej każę zaraz panu Babiniczowi następować.

Sakowicz zamiast odpowiedzieć, zwrócił się do Kmicica:

— To tedy waść nas tak dojeżdżał w drodze? Musiałeś u Kmicica zbójecki proceder praktykować...

— Miarkujecie po własnej skórze, czylim dobrze praktykował!

Hetman znów brwi zmarszczył.

— Nic tu po tobie! — rzekł do Sakowicza — możesz jechać.

— Wasza dostojność daj mi przynajmniej pismo do księcia pana.

— Niech i tak będzie. Poczekasz waść na pismo u pana Oskierki.

Usłyszawszy to pan Oskierka wyprowadził zaraz Sakowicza. Hetman na pożegnanie ręką mu kiwnął, poczem zwrócił się zaraz do pana Andrzeja:

— Czemuśto mówił: "górze!" gdy o tym schwytanym człeku była mowa? — rzekł, patrząc surowo i bystro w oczy rycerza —

azali nienawiść tak w tobie sumienie zgłuszyła, żeś istotnie nasadził zbója na księcia?

— Na Najświętszą Pannę, której broniłem, nie! — odrzekł Kmicic. — Nie przez cudze ręce chciałbym się od tego gardła dobrać!

— Czemuś mówił: "górze!" Znasz tego człowieka?

— Znam — odrzekł blednąc ze wzruszenia i wściekłości Kmicic. — Wyprawiłem go jeszcze ze Lwowa do Taurogów... Książę Bogusław porwał do Taurogów pannę Billewiczównę.. Miłuję tę pannę!... Mieliśmy się pobrać... Wysłałem tego człeka, aby mi o niej dał wiadomość... W takiem ręku była...

— Uspokój się — rzekł hetman — dałeś mu jakowe listy?

— Nie... Onaby czytać nie chciała.

— Dlaczego?

— Bo jej Bogusław powiedział, iżem mu się króla porwać ofiarował...

— Wielkie są powody twojej ku niemu nienawiści. Przyznaję...

— Tak wasza dostojność, tak!

— Czyli książę zna tego człowieka?

— Zna. To wachmistrz, Soroka... Onże mi pomagał do porwania Bogusława...

— Rozumiem — rzekł hetman. — Czeka go pomsta książęca.

Nastała chwila milczenia.

— Książę w matni — rzekł po chwili hetman, — może się zgodzi go oddać.

— Wasza dostojność! — rzekł Kmicic — niech wasza dostojność zatrzyma Sakowicza, a mnie do księcia wyśle. Może go wydobędę.

— Także ci chodzi o niego?

— Stary żołnierz, stary sługa... Na ręku mnie nosił. Siła razy życie mi ratował... Bógby mnie skarał, gdybym go w takich terminach zaniechał.

I Kmicic drżeć począł z żalu i niepokoju, a hetman rzekł:

— Nie dziwno mi, że cię żołnierze miłują, bo i ty ich miłujesz. Uczynię, co mogę. Napiszę do księcia, że mu kogo chce za tego żołnierza puszczę, który zresztą z rozkazu twego, jako niewinne instrumentum działał.

Kmicic porwał się za głowę.

— Co on tam dba o jeńców, nie puści go, by i za trzydziestu.

— To i tobie go nie odda, jeszcze na twoje gardło nastąpi.

— Wasza dostojność... za jednegoby oddał: za Sakowicza.

— Sakowicza więzić nie mogę, to poseł!

— Niech go wasza dostojność zatrzyma, a ja z listem do księcia pojadę. Może wskóram... Bóg z nim! Zemsty zaniecham, byle mi tego żołnierza puścił!...

— Czekaj — rzekł hetman. — Sakowicza zatrzymać mogę. Prócz tego napiszę księciu, aby przysłał glejt bezimienny.

To rzekłszy, hetman zaraz pisać zaczął. W kwadrans później kozak skoczył z listem do Janowa, a pod wieczór wrócił z odpowiedzią Bogusława.

"Glejt na żądanie posyłam — pisał Bogusław, — z którym każdy wysłaniec bezpiecznie powróci, lubo dziwna mi to, że wasza dostojność glejtu żądasz, mając u siebie jako zakładnika sługę i przyjaciela mego, pana starostę oszmiańskiego, dla którego tyle mam afektu, iżbym za niego wszystkich oficerów waszej dostojności wypuścił. Wiadomo też, że posłów nie biją i że nawet dzicy Tatarowie, którymi wasza dostojność moje chrześciańskie wojsko wojujesz, szanować ich zwykli. Zaczem bezpieczeństwo wysłańca mojem osobistem książęcem słowem poręczając, piszę etc."

Tegoż jeszcze wieczora Kmicic wziął glejt, dwóch Kiemliczów i pojechał. Pan Sakowicz został jako zakładnik w Sokółce.

---

## LII.

Była blizko północ, gdy pan Andrzej opowiedział się pierwszym strażom książęcym, ale w całym obozie Bogusława nikt nie spał. Bitwa mogła nastąpić lada chwila, więc przygotowywano się do niej gorliwie. Wojska książęce zajmowały sam Janów, panowały nad gościńcem z Sokółki, którego pilnowała artylerya, przez biegłych elektorskich obsługiwana. Armat tam było tylko trzy, ale prochów i kul dostatek. Z obu stron Janowa, między brzeźniakami, kazał Bogusław usypać szańczyki, na nich zaś ustawić organki i piechotę. Jazda zajmowała sam Janów, gościniec za armatami, oraz przerwy między szańcami. Pozycya dość była obronna i ze świeżym ludem można się było długo i krwawo bronić, lecz nowego żołnierza było tylko ośmset piechoty pod Kyritzem, reszta

tak znużona, iż ledwie na nogach stała. Prócz tego, wycie tatarskie słyszano w Suchowolu na północ, zatem z tyłu Bogusławowych szyków, skutkiem czego szerzył się pewien postrach między żołnierstwem. Bogusław musiał wysłać w tę stronę wszystką lekką jazdę, która uszedłszy pół mili, nie śmiała ani wracać nazad, ani iść dalej, z obawy jakowej zasadzki w lasach.

Bogusław, jakkolwiek febra w połączeniu z silną gorączką dokuczała mu więcej, niż kiedykolwiek, sam wszystkiem zawiadywał, że zaś na koniu z trudnością mógł usiedzieć, kazał się więc czterem drabantom nosić w otwartej lektyce. Tak zwiedził gościniec, brzeźniaki i wracał właśnie do Janowa, gdy dano mu znać, iż wysłaniec książęcy się zbliża.

Było to już w ulicy. Bogusław nie mógł poznać Kmicica z powodu ciemnej nocy i dlatego, że pan Andrzej, przez zbytek ostrożności ze strony oficerów przedniej straży, miał głowę zasłoniętą workiem, w którym tylko otwór na usta był przecięty.

Jednakże dostrzegł książę worek, gdyż Kmicic zlazłszy z konia, stał tuż obok, więc kazał go zdjąć natychmiast.

— Tu już Janów — rzekł — i niema z czego czynić tajemnicy.

Poczem zwrócił się w ciemności do pana Andrzeja.

— Od pana Sapiehy?

— Tak jest!

— A co tam pan Sakowicz porabia?

— Pan Oskierka go podejmuje.

— Czemużeście glejtu zażądali, skoro Sakowicza macie? Zbyt ostrożny pan Sapieha i niech patrzy, aby nie przemądrował.

— To nie moja rzecz! — odparł Kmicic.

— Ale widzę, że pan poseł niezbyt mowny.

— Pismo przywiozłem, a w mojej prywatnej sprawie w kwaterze przemówię.

— To jest i prywatka?

— Znajdzie się i prośba do waszej ks. mości.

— Rad będę nie odmówić. Teraz proszę za sobą. Siadaj waść na koń. Prosiłbym do lektyki, ale zaciasno.

Ruszyli. Książę w lektyce, a Kmicic obok konno. I w ciemnościach spoglądali jeden na drugiego, nie mogąc twarzy swych wzajemnie dojrzeć. Po chwili książę, mimo futer, trząść się zaczął, tak że aż zębami kłapał. Wreszcie rzekł:

— Licho mnie napadło... żeby nie to... brr!... innebym kondycye postawił...

Kmicic nie odrzekł nic i tylko oczami chciał przebić ciemność, wśród której głowa i twarz książęca rysowały się w niewyraźnych szarych i białawych zarysach. Na dźwięk Bogusławowego głosu i na widok jego postaci, wszystkie dawne urazy, stara nienawiwiść i paląca chęć zemsty wezbrały tak w jego sercu, iż zmieniły się prawie w szał... Ręka mimowoli szukała miecza, który mu go odjęto, ale za pasem miał buławę o żelaznej głowie, swój znak pułkownikowski, więc dyabeł począł mu zaraz wichrzyć w mózgu i szeptać:

— Krzyknij my w ucho, ktoś jest i rozbij łeb wdrzazgi... Noc ciemna... wydostaniesz się. . Kiemlicze z tobą. Zdrajcę zgładzisz, za krzywdy zapłacisz... Uratujesz Oleńkę, Sorokę... Bij! bij!...

Kmicic zbliżył się jeszcze bliżej do lektyki i drżącą ręką począł wyciągać z zapasa buzdygan.

— Bij!... — szeptał dyabeł. — Ojczyźnie się przysłużysz...

Kmicic wyciągnął już buławę i ścisnął za rękojeść, jakby ją chciał rozgnieść w dłoni.

— Raz, dwa, trzy!... — szepnął dyabeł.

Lecz w tej chwili koń jego, czy to uderzył nozdrzami w hełm drabanta, czy przestraszył się, dość, że zarył nagle kopytami w ziemię, potem potknął się silnie; Kmicic poderwał go cuglami. Przez ten czas lektyka oddaliła się o kilkanaście kroków.

A junakowi włos stanął dębem na głowie.

— Matko Najświętsza, trzymaj mi rękę! — szepnął przez zaciśnięte zęby. — Matko Najświętsza, ratuj! Jam tu poseł ja od hetmana przyjeżdżam, a chcę jako zbój nocny mordować... Jam szlachcic, jam sługa twój... Nie wódźże mnie na pokuszenie!

— A czego waść marudzisz? — ozwał się przerywany przez febrę głos Bogusława.

— Jestem już!

— Słyszysz waść... kury po zapłociach pieją... Trzeba się śpieszyć, bom też chory i odpocznienia potrzebuję.

Kmicic zasadził buzdygan za pas i jechał dalej w pobliżu lektyki. Jednakże nie mógł odzyskać spokoju. Rozumiał, że tylko zimną krwią i panowaniem nad sobą zdoła uwolnić Sorokę; dlatego układał sobie z góry, jakiemi słowy ma przemówić do księcia, aby go skłonić i przekonać. Poprzysięgał więc sobie, że tylko Soroke

mieć będzie na uwadze, że o niczem innem ani wspomni, a zwłaszcza o Oleńce.

I czuł, jak w ciemności gorące rumieńce oblewają mu twarz na myśl, że może sam książę wspomni o niej, a może wspomni coś takiego, czego nie będzie mógł pan Andrzej przetrzymać, ani wysłuchać.

— Niechże jej nie tyka — mówił sobie w duszy, — niech jej nie tyka, bo w tem jego śmierć i moja... Niech nad sobą samym ma miłosierdzie, jeżeli mu sromu nie starczy...

I cierpiał okrutnie pan Andrzej; w piersiach nie stawało mu powietrza, a gardło tak miał ściśnięte, iż bał się, że gdy przyjdzie mówić, słowa nie zdoła z siebie wydobyć.

W tym ucisku dusznym począł litanię odmawiać.

Po chwili przyszła nań ulga, uspokoił się znacznie i owa niby obręcz żelazna, która gniotła mu krtań, sfolżała.

Tymczasem przyjechali do książęcej kwatery. Drabanci postawili lektykę; dwóch rękodajnych dworzan wzięło księcia pod ramiona; on zaś zwrócił się do Kmicica i szczękając ciągle zębami, rzekł:

— Proszę za sobą... Paroksyzm zaraz minie... Będziem się mogli rozmówić.

Jakoż po chwili znaleźli się obaj w osobnej komnacie, w której na kominie żarzyły się kupy węgli i gorąco było nieznośne. Tam ułożono księcia Bogusława na długiem polowem krześle, okryto futrami i przyniesiono światło. Zaczem dworzanie oddalili się, książę zaś przechylił w tył głowę, przymknął oczy i tak pozostał czas jakiś nieruchomy.

Wreszcie rzekł:

— Zaraz... niech odpocznę...

Kmicic patrzył na niego. Książę nie zmienił się wiele, jeno febra ściągnęła mu twarz. Ubielony był, jak zwykle i na jagodach pomalowany barwiczką, ale właśnie dlatego, gdy leżał tak z zamkniętemi oczyma i z głową przechyloną, podobny był trochę do trupa, albo woskowej figury.

Pan Andrzej stał przed nim w świetle świecznika. Książęce powieki poczęły się otwierać leniwie, nagle otworzyły się zupełnie i jakoby płomień przeleciał mu przez twarz. Lecz trwało to przez oka mgnienie, poczem znów zamknął oczy

— Jeśliś jest duch, nie boję się ciebie — rzekł — ale przepadnij!

— Przyjechałem z pismem od hetmana — odpowiedział Kmicic.

Bogusław wzdrygnął się nieznacznie, jakby się chciał z mar otrząsnąć; następnie popatrzył na Kmicica i ozwał się:

— Chybiłem waćpana?...

— Nie ze wszystkiem — odpowiedział ponuro pan Andrzej, ukazując palcem na bliznę.

— To już drugi!... — mruknął na wpół do siebie książę.

I głośno dodał:

— Gdzie jest pismo?

— Jest — odrzekł Kmicic, podając list.

Bogusław począł czytać, a gdy skończył, dziwne światła błysnęły mu w oczach.

— Dobrze! — wyrzekł — dość marudztwa!... Jutro bitwa.. I rad jestem, bo jutro febry nie mam.

— I u nas porówno radzi — odparł Kmicic.

Nastała chwila milczenia, w czasie której dwóch tych nieubłaganych wrogów mierzyło się oczyma z pewną straszliwą ciekawością.

Książę pierwszy rozpoczął rozmowę:

— Zgaduję, że to waść mnie tak dojeżdżał z Tatary...

— Ja...

— A żeśto nie bał się tu przyjechać?...

Kmicic nie odrzekł nic.

— Chybaś na pokrewieństwo przez Kiszków liczył... Bo to mamy z sobą rachunki... Mogę cię, panie kawalerze, kazać ze skóry obedrzeć.

— Możesz, wasza ks. mość.

— Przyjechałeś z glejtem, prawda... Rozumiem teraz, dlaczego pan Sapieha go żądał!... Aleś na życie moje nastawał... Tam Sakowicz zatrzymany; wszelako... pan wojewoda nie ma prawa do Sakowicza, a ja do ciebie mam... kuzynie...

— Przyjechałem z prośbą do waszej książęcej mości...

— Proszę! Możesz liczyć, że dla ciebie wszystko uczynię... Jakaż to prośba?

— Jest tu schwytany żołnierz, jeden z tych, którzy mi pomagali waszą książęcą mość porwać. Ja dawałem rozkaz, on działał

jako ślepe instrumentum. Tego żołnierza zechciej wasza książęca mość wypuścić.

Bogusław pomyślał chwilę.

— Panie kawalerze, — rzekł — namyślam się, czyś lepszy żołnierz, czy też bezczelniejszy suplikant...

— Ja tego człowieka darmo od waszej ks. mości nie chcę.

— A co mi za niego dajesz?

— Samego siebie.

— Proszę, takiżto miles praeciosus?... Hojnie płacisz, ale bacz, by ci starczyło, bo jeszcze pewnie kogoś chciałbyś odemnie wykupić.

Kmicic posunął się o krok bliżej i pobladł tak straszliwie, iż książę mimowoli spojrzał na drzwi i mimo całej swojej odwagi zmienił przedmiot rozmowy.

—Pan Sapieha na takowy układ nie przystanie — rzekł.—Radbym cię miał, alem słowem książęcem za bezpieczeństwo twoje zaręczył.

— Przez tego żołnierza odpiszę panu hetmanowi, żem dobrowolnie został.

— A on zażąda, bym cię wbrew twej woli odesłał. Zbyt znaczne oddałeś mu posługi... I Sakowicza mi nie puści, a Sakowicza więcej cenię niż ciebie...

—To uwolnij wasza ks. mość i tak tego żołnierza, a ja się na parol stawię, gdzie rozkażesz.

— Jutro może mi legnąć przyjdzie. Nic mi po układach na pojutrze...

— Błagam waszą książęcą mość! Za tego człowieka ja...

— Co ty?

— Zemsty poniecham.

— Widzisz, panie Kmicic, siła razy chodziłem na niedźwiedzia z oszczepem, nie dlatego żem musiał, ale z ochoty. Lubię, gdy mi jakowe niebezpieczeństwo grozi, bo mi się życie mniej kuczy. Owóż i twoją zemstę jako uciechę sobie zostawuję, ile że ci przyznać muszę, żeś z takowych niedźwiedzi, co to same strzelca szukają.

— Wasza ks. mość, — rzekł Kmicic — za małe miłosierdzie często Bóg wielkie grzechy odpuszcza. Nikt z nas nie wie, kiedy mu przed sądem Chrystusowym stanąć przyjdzie...

— Dosyć! — przerwał książę. — Ja też sobie psalmy mimo febry

komponuję, żeby jakowąś zasługę mieć przed Panem, a potrzebowałbymli predykanta, tobym swego zawołał... Waść nie umiesz prosić dość pokornie i na manowce leziesz... Ja ci sam podam sposób: uderz jutro w bitwie na pana Sapiehę, a ja pojutrze tego gemajna wypuszczę i tobie winy przebaczę... Zdradziłeś Radziwiłłów, zdradźże Sapiehę.

— Ostatnieli to słowo waszej ks. mości?... Na wszystko święte zaklinam waszą ks. mość...

— Nie! Dyabli cię biorą, dobrze!... I na twarzy się mienisz... Nie przychodź jeno zabliżko, bo chociaż ludzi mi wstyd wołać... ale patrz tu! Zbytniś rezolut!

To rzekłszy, Bogusław ukazał z pod futra, którem był okryty, lufę pistoletu i począł patrzeć iskrzącemi oczyma w oczy Kmicica.

— Wasza ks. mość! — zakrzyknął Kmicic, składając wprawdzie ręce jak do prośby, ale z twarzą przez gniew zmienioną.

— To prosisz, a grozisz?... — rzekł Bogusław — kark zginasz a dyabeł ci zza kołnierza zęby do mnie szczerzy?... To pycha ci z ócz błyska, a w gębie grzmi jak w chmurze? Czołem do radziwiłłowskich nóg przy prośbie, mospanku!... Łbem o podłogę bić! wówczas ci odpowiem!...

Twarz pana Andrzeja blada była jak chusta, ręką pociągnął po mokrem czole, po oczach, po twarzy i odrzekł tak przerywanym głosem, jak gdyby febra, na którą cierpiał książę, nagle rzuciła się, na niego.

— Jeżeli wasza ks. mość tego starego żołnierza mi wypuści... to... ja... waszej ks. mości... paść do... nóg... gotów...

Zadowolenie błysnęło w Bogusławowych oczach. Wroga upokorzył, dumny kark zgiął. Lepszego pokarmu nie mógł dać zemście i nienawiści.

Kmicic stał zaś przed nim z włosem zjeżonym w czuprynie, dygocący na całem ciele. Twarz jego, nawet w spokoju do głowy jastrzębiej podobna, przypominała tem bardziej drapieżnego i rozwścieczonego ptaka. Nie zgadłbyś, czy za chwilę rzuci się do nóg, czy do piersi książęcej...

A Bogusław, nie spuszczając go z oka, rzekł:

— Przy świadkach! przy ludziach!

I zwrócił się ku drzwiom:

— Bywaj!

Przez otwarte drzwi weszło kilkunastu dworzan, Polaków, i cudzoziemców. Za nimi poczęli wchodzić oficerowie.

— Mości panowie! — rzekł książę — oto pan Kmicic, chorąży orszański i poseł od pana Sapiehy, ma mnie o łaskę prosić i chce wszystkich waszmościów mieć za świadków!...

Kmicic zatoczył się jak pijany, jęknął i padł do nóg Bogusławowych.

A książę wyciągnął je umyślnie, tak że koniec jego rajtarskiego buta dotykał czoła rycerza.

Wszyscy patrzeli w milczeniu zdumieni słynnem nazwiskiem, jak i tem, że ów, który je nosił, był teraz posłem od pana Sapiehy. Wszyscy rozumieli też, że dzieje się coś nadzwyczajnego.

Tymczasem książę stał i nie rzekłszy ni słowa, przeszedł do przyległej komnaty, kiwnął tylko na dwóch dworzan, żeby szli za nim.

Kmicic podniósł się. W twarzy jego nie było już gniewu ni drapieżności, tylko nieczułość i obojętność. Zdawało się, iż nie zeznaje wcale, co się z nim dzieje i że energia jego złamała się zupełnie.

Upłynęło pół godziny, godzina. Za oknem słychać było tętent kopyt końskich i miarowe kroki żołnierzy, on siedział ciągle, jakby kamienny.

Nagle otworzyły się drzwi od przysionka. Wszedł oficer, dawny znajomy Kmicica z Birż i ośmiu żołnierzy, czterech z muszkietami, czterech bez strzelb, tylko przy szablach.

— Mości pułkowniku, powstań waszmość! — rzekł grzecznie oficer.

Kmicic popatrzył na niego błędnie.

— Głowbicz... — rzekł, poznając oficera.

— Mam rozkaz — odparł Głowbicz — zawiązać waszej mości ręce i wyprowadzić za Janów. Na czas to wiązanie, później odjedziesz wasza mość wolno... Dlatego proszę waszej mości nie stawiać oporu...

— Wiąż! — odrzekł Kmicic.

I pozwolił się bez oporu krępować. Ale nóg mu nie wiązano. Oficer wyprowadził go z komnaty i wiódł piechotą przez Janów. Zaczem szli jeszcze z godzinę. Po drodze przyłączyło się kilku jezdnych. Kmicic słyszał, że rozmawiają po polsku. Polacy bowiem, którzy jeszcze służyli u Bogusława, znali wszyscy nazwisko Kmicica, i dlatego najciekawsi byli, co się z nim stanie. Orszak

minął brzeźniak i znalazł się w pustem polu, na którem ujrzał pan Andrzej oddział lekkiej polskiej chorągwi Bogusławowej.

Żołnierze stali szeregiem w kwadrat, w środku był majdan, na nim dwóch tylko piechurów, trzymających konie, ubrane w szleje i kilkunastu ludzi z pochodniami.

Przy ich blasku ujrzał pan Andrzej pal świeżo zaostrzony, leżący poziomo i przymocowany drugim końcem do grubego pnia drzewa.

Kmicica mimowoli dreszcze przeszły.

— To dla mnie — pomyślał, — końmi mnie każe na pal nawlec... Dla zemsty — Sakowicza poświęca!

Lecz mylił się, pal przeznaczony był przedewszystkiem dla Soroki.

Przy migocących płomykach dojrzał pan Andrzej samego Sorokę; stary żołnierz siedział tuż obok pnia na zydlu, bez czapki i ze skrępowanemi rękoma, pilnowany przez czterech żołnierzy. Jakiś człek ubrany w półkożuszek bez rękawów, podawał mu w tej chwili gorzałkę w płaskim kubku, którą Soroka pił dość chciwie. Wypiwszy, splunął, a że w tej właśnie chwili postawiono Kmicica między dwoma konnymi w pierwszym szeregu, więc żołnierzysko dojrzał go, zerwał się z zydla i wyprostował się, jakby na paradzie wojskowej.

Przez chwilę patrzyli na się obaj. Soroka twarz miał dość spokójną i zrezygnowaną, poruszał tylko szczękami, jak gdyby żuł.

— Soroka!... — jęknął Kmicic.

— Wedle rozkazu! — odpowiedział żołnierz.

I znowu nastało milczenie. Cóż mieli mówić w takiej chwili? Wtem oprawca, który podawał poprzednio Soroce wódkę, zbliżył się do niego.

— No, stary — rzekł, — czas na cię!

— A prosto nawłóczcie!

— Nie bój się.

Soroka nie bał się, nagle gdy uczuł na sobie ramię oprawcy, począł sapać szybko i głośno, nareszcie rzekł:

— Gorzałki jeszcze...

— Niema!

Nagle jeden z żołnierzy wysunął się z szeregu i podał blaszankę.

— Jest. Dajcie mu!

— Do ordynku! — zakomenderował Głowbicz.

Jednakże człek w kożuszku przechylił manierkę do ust Soroki, on zaś pił obficie, a wypiwszy, odetchnął głęboko.

— Ot! — rzekł — żołnierski los, za trzydzieści lat służby... Nu, czas, to czas!

Drugi oprawca zbliżył się i poczęto go rozbierać.

Nastała chwila ciszy.

Pochodnie drżały w rękach trzymających je ludzi. Wszystkim uczyniło się straszno.

Wtem pomruk zerwał się wśród otaczających majdan szeregów i stawał się coraz głośniejszy. Żołnierz nie kat. Sam zadaje śmierć, lecz widoku męki nie lubi.

— Milczeć! — krzyknął Głowbicz.

Pomruk zmienił się w gwar głośny, w którym brzmiały pojedyńcze słowa. "dyabli!" "pioruny!" "pogańska służba!"...

Nagle Kmicic krzyknął tak, jakby jego samego na pal nawłóczono:

— Stój!!

Oprawcy wstrzymali się mimowoli. Wszystkich oczy zwróciły się na Kmicica.

— Żołnierze! — krzyknął pan Andrzej. — Książę Bogusław zdrajca przeciw królowi i Rzeczypospolitej! Was otoczono i jutro w pień wycięci będziecie! Zdrajcy służycie! Przeciw ojczyźnie służycie! A kto służbę porzuci, zdrajcę porzuci, temu przebaczenie królewskie, przebaczenie hetmańskie!... Wybierajcie! Śmierć i hańba, albo nagroda jutro! Lafę wypłacę i dukat na głowę,dwa na głowę!... Wybierać!!! Nie wam, godnym żołnierzom, zdrajcy służyć! Niech żyje król! Niech żyje hetman wielki litewski!

Gwar przeszedł w huk. Szeregi złamały się.

— Kilkanaście głosów krzyknęło:

— Niech żyje król!

— Dość służby!

— Na pohybel zdrajcy!

— Sta ć! stać! — wrzeszczały inne głosy.

— Ju tro wam w hańbie umierać! — ryczał Kmicic.

— Tatarzy w Suchowolu!

— Książę zdrajca!

— Przeciw królowi wojujem!

— Bij!

— Do księcia!

— Stój.

W zamieszaniu jakaś szabla przecięła powróży krępujące ręce Kmicica. Ten zaś skoczył w tej chwili na jednego z owych koni, które Sorokę na pal naciągać miały i krzyknął już z konia:

— Za mną do hetmana!

— Idę! — wrzasnął Głowbicz. — Niech żyje król!

— Niech żyje! — odpowiedziało pięćdziesiąt głosów i pięćdziesiąt szabel błysnęło jednocześnie.

— Na koń Sorokę! — zakomenderował znowu Kmicic.

Byli tacy, którzy opierać się chcieli, lecz na widok gołych szabel umilkli. Jeden wszelako zawrócił konia i znikł po chwili z oczu. Pochodnie zgasły. Ciemność ogarnęła wszystkich.

— Za mną! — rozległ się głos Kmicica.

I kłąb ludzi bezładny ruszył z miejsca, potem wyciągnął się w długiego węża

Ujechawszy dwa lub trzy staja, trafili na straże piechurów, których większe masy zajmowały brzeźniak, leżący z lewej strony.

— Kto idzie? — ozwały się głosy.

— Głowbicz z podjazdem!

— Hasło?

— Trąby!

— Przechodź!

I przejechali, nie spiesząc się zbytnio; następnie puścili się rysią.

— Soroka! — rzekł Kmicic.

— Wedle rozkazu! — ozwał się obok głos wachmistrza.

Kmicic nie mówił nic więcej, tylko wyciągnąwszy rękę, wsparł dłoń na głowie wachmistrza — jakby się chciał przekonać, czy jedzie obok.

Żołnierz przycisnął w milczeniu tę dłoń do ust.

Wtem ozwał się Głowbicz z drugiego boju:

— Wasza miłość! dawnom to chciał uczynić, co teraz czynię.

— Nie pożałujecie.

— Całe życie będę waszej miłości wdzięczny!

— Słuchaj Głowbicz, czemuto książę was wysłał, nie cudzoziemski regiment, na egzekucyą?

— Bo chciał waszę miłość przy Polakach pohańbić.Obcy żołnierz nie zna waszej miłości.

— A mnie nic nie miało się stać?

— Waszej miłości miałem rozkaz powrozy rozciąć. Gdyby zaś

wasza miłość porwała się do obrony Soroki, mieliśmy ją przed księcia postawić po ukaranie.

— Więc i Sakowicza chciał poświęcić — mruknął Kmicic.

Tymczasem w Janowie, książę Bogusław, zmożon febrą i dziennym trudem, spać już poszedł. Ze snu głębokiego zbudził go rejwach przed kwaterą i pukanie do drzwi.

— Wasza ks. mość! wasza ks. mość! — wołało kilka głosów.

— Śpi! nie budzić! — odpowiadali paziowie.

Lecz książę! siadł na łożu i krzyknął:

— Światła!

Wniesiono światło, jednocześnie z niem wszedł oficer służbowy.

— Wasza ks. mość! — rzekł — poseł sapieżyński pobuntował głowbiczową chorągiew i odprowadził ją do hetmana.

Nastała chwila ciszy.

— Bić w kotły i w bębny — ozwał się wreszcie Bogusław, — niech wojsko w szyku staje!

Oficer wyszedł, książę pozostał sam.

— To straszny człek! — rzekł po chwili do siebie.

I uczuł, że chwyta go nowy paroksyzm febry.

---

## LIII.

Łatwo sobie wyobrazić zdziwienie pana Sapiehy, gdy Kmicic nietylko wrócił sam bezpiecznie, lecz przywiódł ze sobą kilkadziesiąt koni i starego sługę. Kmicic po dwakroć musiał opowiadać hetmanowi i panu Oskierce, jak i co się stało, oni zaś słuchali z ciekawością, bijąc często w dłonie i za głowę się biorąc.

— Uważ z tego — rzekł hetman, — że kto w zemście przesadzi, temu się ona częstokroć jak ptak z palców wysunie. Książę Bogusław Polaków jako świadków twej hańby i męki mieć chciał, aby cię gorzej sponiewierać i przesadził. Ale się z tego nie chełp, bo to zrządzenie Boskie dało ci wiktoryę, chociaż swoją drogą to jedno ci powiem: on dyabeł, aleś i ty dyabeł! Źle książę uczynił, że cię spostponował.

— Ja go nie spostponuję i w zemście, da Bóg, nie przesadzę!

— Niechaj jej całkiem, jako Chrystus niechał, chociaż Bogiem będąc, mógł jednem słowem Żydowinów pogrążyć.

Kmicic nie odrzekł nic, bo też i nie było czasu na rozprawy; nie było nawet i na wypoczynek. Rycerz był znużon śmiertelnie, a jednak tej nocy jeszcze postanowił jechać do swoich Tatarów, którzy za Janowem stali w lasach i na gościńcach z tyłu wojsk Bogusławowych. Ale ówcześni ludzie dobrze sypiali na kulbakach. Kazał więc pan Andrzej konia świeżego siodłać, obiecując sobie, że się przez drogę smaczno wydrzemie.

Na samem wsiadanem przyszedł do niego Soroka i wyprostował się po służbie.

— Wasza miłość! — rzekł.

— A co powiesz, stary?

— Przyszedłem spytać, kiedy mi jechać?

— Dokąd?

— Do Taurogów.

Kmicic rozśmiał się:

— Nie pojedziesz wcale do Taurogów, pojedziesz ze mną.

— Wedle rozkazu! — odpowiedział wachmistrz, starając się nie pokazać po sobie ukontentowania.

Jakoż pojechali razem. Droga była długa, bo należało okładać lasami, aby nie wpaść na Bogusława, zato Kmicic i Soroka wyspali się setnie i bez żadnej przygody przybyli do Tatarów.

Akbah-Ułau stawił się zaraz przed Babiniczem i zdał mu relacyą ze swych czynności. Pan Andrzej kontent z nich był; wszystkie mosty zostały popalone, groble poniszczone, nie dość na tem: wody z wiosną rozlały, zmieniwszy pola, łąki i niższe drogi w grząskie błoto.

Bogusław nie miał innego wyboru, jak bić się, zwyciężyć lub zginąć. O odwrocie niepodobna mu było myśleć.

— Dobrze — rzekł Kmicic, — zacną ma rajtaryę, ale ciężką. Nie będzie z niej na dzisiejsze błota użytku.

Poczem zwrócil się do Akbaha-Ułana.

— Schudłeś! — rzekł, uderzając go w brzuch pięścią — ale po bitwie dukatami książęcemi sobie kałdun napełnisz.

— Bóg stworzył nieprzyjaciół, aby mężowie wojenni łup z kogo brać mieli — odrzekł poważnie Tatar.

— A jazda Bogusławowa stoi przeciw wam?

— Jest ich kilkaset koni dobrych, a wczoraj nadesłano im regiment piechoty i okopali się.

— Zaśby ich nie można w pole wywabić?

— Nie wychodzą.

— A obejść i zostawić, aby się do Janowa dostać?

— Na drodze leżą.

— Trzeba będzie coś obmyślić!

To rzekłszy Kmicic począł się ręką gładzić po czuprynie.

— Próbowaliście podchodzić? Jak daleko wypadają za wami?

— Na staje, dwa... dalej nie chcą.

— Trzeba będzie coś obmyślić! — powtórzył Kmicic.

Lecz tej nocy nic już nie obmyślił. Zato nazajutrz podjechał z Tatary pod obóz, leżący między Suchowolem a Janowem i rozpoznał, że Akbah-Ułan przesadzał, mówiąc, że piechota okopała się z tej stony; były tam bowiem tylko szańczyki, nic więcej. Można się było z nich długo bronić, zwłaszcza przeciw Tatarom, którzy nie skoro szli wprost na ogień do ataku, ale nie można było myśleć o wytrzymaniu jakiegokolwiek oblężenia.

— Gdybym miał piechotę, — pomyślał Kmicic — poszedłbym na dym.

Lecz o sprowadzeniu piechoty trudno było i marzyć, bo najprzód pan Sapieha sam nie miał jej do zbytku, powtóre czasu na ściągnięcie jej brakło.

Kmicic podjechał tak blizko, iż piechurowie Bogusławowi poczęli do niego ognia dawać, lecz on nie zważał na to, jeździł między kulami, rozpatrywał się, oglądał, a Tatarowie, choć na ogień mniej wytrzymali, musieli mu dotrzymywać kroku. Potem zasię wypadła jazda i zajechała go z boku. On umknął się, poszedł trzy tysiące kroków i wraz ku nim zawrócił.

Lecz oni wrócili także z miejsca ku szańczykom. Napróżno Tatarowie wypuścili za nimi chmurę strzał. Spadł tylko jeden człek z konia, a i to zabrali go i ponieśli.

Kmicic w powrocie, zamiast jechać wprost do Suchowola, rzucił się ku zachodowi i dotarł do Kamionki.

Bagnista rzeka rozlała szeroko, bo wiosna była nad podziw w wody obfita. Kmicic popatrzył na rzekę, rzucił w wodę kilkanaście pokruszonych gałązek aby bystrość prądu wymiarkować i rzekł do Ułana:

— Tędy ich bokiem obejdziemy i z tyłu na nich uderzym.

— Pod wodę konie nie popłyną.

— Leniwo idzie. Popłyną! Ta woda prawie stoi.

— Konie skostnieją i ludzi nie utrzymają. Zimno jeszcze. Ludzie popłyną za ogonami. To wasz tatarski proceder.

— Ludzie skostnieją.

— Rozgrzeją się w ogniu.

— Kiszmet!

Nim zmroczyło się na świecie, Kmicic kazał naciąć pęki łoziny, zwiędłego sitowia, trzcin i poprzywiązywać koniom do boków.

Przy pierwszej gwieździe rzucił w wodę około ośmiuset koni i poczęli płynąć. On sam płynął na czele, lecz wkrótce zmiarkował, że tak wolno posuwają się naprzód, iż za dwa dni nie przepłyną poza szańce.

Wówczas kazał się przeprawić na drugi brzeg.

Niebezpieczne to było przedsięwzięcie. Drugi brzeg był prosty i bagnisty. Konie, choć lekkie, lgnęły po brzuchy. Lecz posuwali się naprzód lubo wolno i ratując jeden drugiego.

Tak szli parę stai.

Gwiazdy pokazywały północ. Wtem od południa doszły ich echa dalekiej palby.

— Bitwa poczęta! — krzyknął Kmicic.

— Potoniem! — odpowiedział Akbah-Ułan.

— Za mną!

Tatarzy nie wiedzieli, co czynić, gdy nagle spostrzegli, iż koń Kmicicowy wynurzył się z błota, trafiwszy widocznie na twardy grunt.

Jakoż poczęła się ława piasku. Po wierzchu było wody do piersi końskich, lecz grunt pod spodem twardy. Szli zatem żwawiej. Na lewo mignęły im dalekie ognie.

— To szańce! — rzekł cicho Kmicic. — Mijamy! obejdziemy!

Po chwili minęli szańce istotnie. Wówczas zwrócili na lewo wparli znów bachmaty w rzekę, aby wylądować szańcami.

Przeszło sto koni ulgnęło tuż przy brzegu. Lecz ludzie wydobyli się na brzeg prawie wszyscy. Kmicic kazał pieszym siadać za jezdnymi i ruszył ku szańcom. Poprzednio zostawił był dwustu wolentarzy z rozkazem, by niepokoili szańce z przodu przez ten czas, gdy im będzie tył zachodził. Jakoż zbliżywszy się, usłyszał strzały, zrazu rzadkie, potem coraz gęstsze.

— Dobrze! — rzekł — tamci atakują!

I ruszyli.

W ciemności widać było tylko gromadę głów podskakujących pod miarę końskiego chodu; szabla nie zabrzękła, zbroja nie zadzwoniła. Tatarzy i wolentarze umieli iść tak cicho, jak wilcy.

Od strony Janowa palba stawała się coraz potężniejsza, widoczne było, że pan Sapieha nastąpił na całej linii.

Lecz na szańczykach, ku którym dążył Kmicic, brzmiały także okrzyki. Kilka stosów drzewa paliło się na nich, rozrzucając blask silny. Przy onym blasku dojrzał pan Andrzej piechurów, strzelających zrzadka, więcej patrzących przed się, w pole, na którem jazda ucierała się z wolentarzami.

Dojrzano i jego ze szańców, lecz zamiast strzałami, przywitano nadciągający oddział gromkim okrzykiem. Żołnierze sądzili, że to Bogusław przysyła im pomoc.

Lecz gdy zaledwie sto kroków dzieliło nadjeżdżającą gromadę od szańców, piechota poczęła ruszać się w nich niespokojnie; coraz więcej żołnierzy, przykrywając rękoma czoła, patrzyło, co za lud nadjeżdża.

Wtem na kroków pięćdziesiąt straszliwe wycie targnęło powietrzem i oddział rzucił się jak burza, ogarnął piechotę, otoczył ją pierścieniem i cała ta masa ludzi poczęła się poruszać konwulsyjnie. Rzekłbyś olbrzymi wąż dusi upatrzoną ofiarę.

W kupie owej brzmiały rozdzierające wrzaski: Ałła! Herr Jezus! Mein Gott!

Za szańcami brzmiały nowe okrzyki, bo wolentarze, choć w słabszej liczbie, poznawszy, iż pan Babinicz już w szańcach, natarli z wściekłością na jazdę. Tymczasem niebo, które chmurzyło się już od niejakiego czasu, jako zwyczajnie na wiosnę, lunęło gęstym, niespodzianym dżdżem. Stosy płonące zagasły i walka trwała w ciemnościach.

Lecz nie trwała już długo. Napadnięci znienacka Bogusławowi piechurowie poszli pod nóż. Jazda, w której dużo było swoich, złożyła broń. Obcych, mianowicie sto dragonii, w pień wycięto.

Gdy księżyc wychylił się znów zza chmur, oświecił tylko gromady Tatarów, docinających rannych i biorących łup.

Lecz nie trwało to długo. Rozległ się przeraźliwy głos piszczałki; Tatarzy i wolentarze jak jeden człowiek skoczyli na koń.

— Za mną! — krzyknął Kmicic.

I poprowadził ich jak wicher do Janowa.

W kwadrans później podpalono nieszczęsną osadę w czterech rogach, a w godzinę jedno morze płomieni rozlało się tak szeroko, jak starczyło Janowa. Nad pożogą wylatywały ku czerwonemu niebu słupy skier ognistych.

Tak pan Kmicic dawał znać hetmanowi, iż wziął tył Bogusławowemu wojsku.

Sam zaś, jak kat, od krwi ludzkiej czerwony, szykował wśród płomieni swych Tatarów, aby powieść ich dalej.

Już stanęli w ordynku i wyciągnęli się w ławę, gdy nagle, na polu oświeconem jak w dzień pożarem, ujrzeli przed sobą oddział olbrzymiej rajtaryi elektorskiej.

Wiódł ją rycerz widny zdaleka, bo w srebrne blachy ubrany i siedzący na białym koniu.

— Bogusław! — ryknął nieludzkim głosem Kmicic i runął z całą Tatarską ławą naprzód.

Szli więc ku sobie, jako dwie fale dwoma wichrami gnane. Przestrzeń dzieliła ich znaczna, więc konie po obu stronach wzięły pęd największy i szły ze stulonemi uszami wyciągnięte jak charty, ziemię niemal brzuchami szorując. Z jednej strony lud olbrzymi, w błyszczących kirysach, z prostemi szablami wyniesionemi ku górze, z drugiej szara ćma tatarska.

Wreszcie uderzyli się długą ławą na widnem polu, lecz wówczas stało się coś strasznego. Tatarska ćma padła jak łan położony wichrem; olbrzymi lud zaś przejechał po niej i leciał dalej, jakoby ludzie i konie mieli siłę gromów, a skrzydła burzy.

Po niejakim czasie zerwało się kilkudziesięciu Tatarów i poczęło ich ścigać. Po dziczy można przejechać, lecz zgnieść jej jednym przejazdem niepodobna. To też coraz więcej ludzi dążyło za uciekającą rajtaryą. Arkany poczęły świstać w powietrzu.

Lecz na czele uciekających jeździec na białym koniu biegł ciągle w pierwszym szeregu, a między ścigającymi nie było Kmicica.

Szarym rankiem poczęli dopiero powracać Tatarowie i każdy niemal wiódł na arkanie rajtara. Wnet znaleźli Kmicica i bezprzytomnego odwieźli do pana Sapiehy.

Hetman sam siedział nad jego łożem. O południu otworzył pan Andrzej oczy.

— Gdzie Bogusław? — były jego pierwsze słowa

— Zniesion ze szczętem... Bóg pofortunił mu z początku, więc wyszedł z brzeźniaków i w gołem polu wpadł na piechotę pana Oskierki, tam utracił ludzi i wiktoryą... Nie wiem, czy pięćset ludzi nawet uszło, bo siła jeszcze twoi Tatarzy wyłapali.

— A onże sam?

— Uszedł.

Kmicic pomilczał chwilę i rzekł:

— Jeszcze mi się z nim nie mierzyć. Ciął mnie koncerzem w głowę i obalił razem z koniem... Szczęściem misiurka z cnotliwej stali nie puściła, alem zemdlał.

— Tę misiurkę powinieneś w kościele powiesić.

— Będziem go ścigali, choćby na kraj świata! — rzekł Kmicic.

Na to hetman:

— Patrżaj, jaką wiadomość dziś,odebrałem po bitwie.

I podał mu list.

Kmicic przeczytał następujące słowa:

""Król szwedzki ruszył z Elbląga, idzie na Zamość, stamtąd na Lwów na króla. Przybywaj wasza dostojność, z wszystką potęgą na ratunek Panu i Ojczyźnie, bo sam nie wytrzymam. — Czarniecki."

Nastała chwila milczenia.

— A ty ruszysz z nami, czy pójdziesz z Tatary do Taurogów? — spytał hetman.

Kmicic zamknął oczy. Wspomniał na słowa księdza Kordeckiego, na to, co mu Wołodyjowski o Skrzetuskim opowiadał i odrzekł:

— Na potem prywaty! Przy ojczyźnie chcę się nieprzyjacielowi oponować!

Hetman ścisnął go za głowę.

— Tyś mi brat! — rzekł — a żem stary, przyjm moje błogosławieństwo...

---

## LIV.

W czasie, gdy w Rzeczypospolitej wszystko, co żyło, siadało na koń, Karol Gustaw bawił ciągle w Prusach, zajęty dobywaniem tamtejszych miast i układami z elektorem

Po łatwym i nadspodziewanym podboju, bystry wojownik wprędce się opatrzył, iż szwedzki lew pożarł więcej, niż trzewia jego znieść zdołają. Po powrocie Jana Kazimierza stracił nadzieję utrzymania Rzeczypospolitej, lecz wyrzekając się w duszy całości, chciał przynajmniej jak największą część zdobyczy zatrzymać, a przedewszystkiem Prusy królewskie, prowincyę do jego pomorza przyległą, żyzną, wielkiemi miastami usianą, bogatą.

Lecz ta prowincya, jak pierwsza zaczęła się bronić, tak dotychczas stała w trwale przy dawnym panu i Rzeczypospolitej. Powrót Jana Kazimierza i rozpoczęta przez konfederacyę Tyszowiecką wojna mogły pruskiego ducha ożywić, w wierności go utwierdzić, do wytrwania zachęcić, postanowił więc Karol Gustaw skruszyć powstanie, zetrzeć kazimierzowe siły, by Prusakom nadzieję pomocy odjąć.

Musiał to uczynić i ze względu na elektora, który z mocniejszym zawsze trzymać był gotów. Król szwedzki poznał go już do gruntu, bo ani chwili nie wątpił, że jeśli kazimierzowa fortuna przeważy, elektor po jego stronie znowu stanie.

Gdy więc oblężenie Malborga szło tępo, bo im go potężniej dobywano, tem go potężniej pan Weiher bronił, ruszył Karol Gustaw do Rzeczypospolitej, aby Jana Kazimierza nanowo, choćby w ostatnim jej krańcu, dosięgnąć.

A że czyn po postanowieniu następował u niego tak prędko, jak właśnie grzmot po błyskawicy, podniósł więc wojska leżące przy miastach i nim się kto w Rzeczypospolitej opatrzył, nim wieść się o jego pochodzie rozeszła, on już minął Warszawę i w największe płomienie pożaru się rzucił.

Szedł więc do burzy podobny, gniewem, zemstą i zawziętością trawiony. Dziesięć tysięcy koni tratowało za nim pola, jeszcze śniegiem pokryte, a piechoty z prezydyów podnosił i szedł razem z wichrem, aż hen! ku południowi Rzeczypospolitej.

Po drodze palił i ścinał. Nie był to już ów dawny Carolus Gustavus, pan dobry, ludzki i wesoły, klaszczący w dłonie jeździe polskiej, mrugający oczyma przy ucztach i schlebiający żołnierzom. Teraz, gdzie się ukazał, płynęła potokiem krew szlachecka i chłopska. Po drodze ścierał "partye," jeńców wieszał, nikogo nie żywił.

Ale jak gdy wśród gęszczy borów potężny niedźwiedź niesie swe ciężkie cielsko, krusząc po drodze krze i gałęzie, wilcy zaś idą

w trop za nim i nie śmiejąc mu drogi zastąpić, coraz bliżej następują nań z tyłu, tak i owe "partye" ciagnęły za armią Karola, w coraz ciaśniejsze łącząc się gromady i szły za Szwedem, jako cień idzie za człowiekiem i wytrwalej niż cień, bo we dnie i w nocy, w pogodę i w niepogodę; przed nim zaś psuto mosty, niszczono za pasy, że musiał iść jak w pustynię, nie mając głowy gdzie schronić, lub się w głodzie czem pokrzepić.

Sam Karol Gustaw wprędce pomiarkował, jak straszne jest jego przedsięwzięcie. Wojna rozlewała się naokoło niego tak szeroko, jak morze rozlewa się naokoło zabłąkanego wśród roztoczy okrętu. Gorzały Prusy, gorzała Wielkopolska, która pierwsza poddaństwo przyjąwszy, pierwsza chciała szwedzkie jarzmo zrzucić, gorzała Małopolska i Ruś i Litwa i Żmudź. W zamkach i w wielkich miastach, niby na wyspach, trzymali się jeszcze Szwedzi, zresztą wsie, bory, pola, rzeki, były już w polskich ręku. Nietylko człowiek, nietylko mniejszy podjazd, ale i pułk cały nie mógł się od głównej szwedzkiej siły ani na dwie godziny odłączyć, bo zaraz przepadał bez wieści, a jeńcy, którzy wpadli w chłopskie ręce, umierali w mękach straszliwych.

Próżno Karol Gustaw po wsiach i miastach ogłaszać kazał, iż który chłop zbrojnego szlachcica żywcem lub umarłego dostawi, wolność na wieczne czasy i ziemię w nagrodę otrzyma, chłopi bowiem porówni ze szlachtą i mieszczany wyciągali do lasów. Lud z gór, lud z puszcz głębokich, lub z ługów i pól tkwił w lasach, czynił zasieki Szwedom po drodze, napadał na mniejsze prezydya, wycinał w pień podjazdy. Cepy, widły i kosy nie gorzej od szlacheckich szabel opłynęły krwią szwedzką.

Tem bardziej zaś gniew wzbierał w sercu Karola, że przed kilkunastu miesiącami tak łatwo ten kraj ogarnął, więc prawie nie mógł pojąć, co się stało, skąd te siły, skąd ten opór, skąd ta wojna straszna na śmierć i życie, której końca przed sobą nie widział i odgadnąć go nie umiał.

Częste też bywały narady w obozie szwedzkim. Szli z królem: brat jego Adolf książę biponcki, komendę nad wojskiem mający, Robert Duglas, Henryk Horn, krewny tego, który pod Częstochową był kosą chłopską usieczon, Waldemar, graf duński, a i ów Mueller, który u stóp Jasnej Góry sławę swą bojową zostawił i

Aszemberg, w prowadzeniu jazdy między Szwedami najbieglejszy i Hammerszyld, który armatami zawiadował i stary zbój, marszałek Artuid Wittemberg, ze zdzierstw swych sławny, a ostatkiem zdrowia goniący, bo przez gallicką chorobę toczon — i Forgell — i wielu innych — a wszystko wodzowie biegli w zdobywaniu miast i w polu królowi tylko samemu geniuszem ustępujący.

Ci tedy lękali się w sercach, by całe wojsko z królem nie przepadło przez trudy, brak żywności i zaciekłość polską zmorzone. Stary Wittemberg wprost odradzał królowi pochód. "Jakżeto królu, mówił będziesz zapuszczał się aż w ruskie kraje za nieprzyjacielem, który niszczy wszystko po drodze, sam niewidzialnym pozostając? Co uczynisz, jeśli koniom nietylko siana i owsa, ale nawet strzech z chałup zbraknie, a ludzie z niewywczasów popadają? Gdzie są owe wojska, które w pomoc nam przyjdą, gdzie zamki, w których moglibyśmy odżywić się i strudzonym członkom dać folgę? Nie równam się z twoją, panie, sławą, ale gdybym był Karolem Gustawem, właśniebym tej sławy, tak wielkiemi zwycięstwami nabytej, na zmienne kolcje wojny nie wystawiał."

Na to odpowiadał Karol Gustaw:

— I ja, gdybym był Wittembergiem.

Poczem Aleksandra macedońskiego wspominał, z którym lubił być porównywany i szedł naprzód, goniąc pana Czarnieckiego; ten zaś, nie mając sił tak wielkich, ani ćwiczonych, umykał się przed nim, ale umykał jak wilk, gotów zawsze się zwrócić. Czasem też szedł przed Szwedami, czasem po bokach, z czasem zapadłszy w głuchych lasach, puszczał ich naprzód, tak iż oni myśleli, że jego gonią, a on właśnie szedł za nimi, wycinał opieszałych, tu i owdzie uszczknął cały podjazd, znosił idące wolniej pułki piesze, napada na wozy z żywnością. I nigdy Szwedzi nie wiedzieli, gdzie jest z której strony uderzy. Nieraz w zmrokach nocnych rozpoczynali ogień z armat i muszkietów do zarośli, sądząc, że nieprzyjaciela mają przed sobą. Nużyli się śmiertelnie, szli w chłodzie, głodzie i zmartwieniu, a ów — "vir molestissimus" wisiał ciągle nad nimi, jako chmura gradowa wisi nad łonem zboża.

Nakoniec dopadli go pod Gołębiem, niedaleko ujścia Wieprza do Wisły. Niektóre chorągwie polskie stojące w gotowości, rzuciwszy się z impetem na nieprzyjaciela, rozniosły postrach i zamieszanie. Więc naprzód skoczył pan Wołodyjowski ze swoją laudań-

ską chorągwią i wsparł królewicza duńskiego Waldemara; zaś pan Kawecki Samuel i młodszy Jan stoczyli z pagórka pancerną chorągiew a najemnych Angielczyków Wilkisona — i w mgnieniu oka pożarli ich jako szczupak pochłania klenia, zaś pan Malawski zwarł się z księciem biponckim tak szczelnie, iż ludzie i konie pomieszali się z sobą jako kurzawa, którą dwa wichry z przeciwnych stron przyniosą i jeden wir z niej uczynią. W mgnieniu oka zepchnięto Szwedów ku Wiśle, co widząc Duglas pośpieszył swoim z wyborową rajtaryą na ratunek. Lecz rozpędu i te nowe posiłki wtrzymać nie mogły; poczęli-więc Szwedzi skakać z wysokiego brzegu na lód, padając trupem tak gęsto, że czernili się na śnieżnem polu, jak litery na białej karcie. Legł królewicz Waldemar, legł Wilkison, a książę biponcki obalon z koniem, nogę złamał — legli wszelako i obaj panowie Kaweccy i pan Malawski i Rudawski i Rogowski i pan Tymiński i Choiński i Porwaniecki, jeden tylko pan Wołodyjowski, chociaż się w szwedzkie szeregi, jako nurek w wodę, z głową zanurzał, najmniejszej rany nie poniósł.

Tymczasem przyciągnął sam Karol Gustaw z główną siłą i armatami i naówczas zmieniła się postać boju. Inne Czarnieckiego pułki niekarne i niewyćwiczone, nie umiały stanąć na czas w ordynku; niektóre koni nie miały pod ręką, inne po dalszych wsiach leżące, wbrew rozkazom, aby ciągle były w pogotowiu, zażywały wczasu po chatach. Na owe, gdy nieprzyjaciel natarł niespodzianie, wnet poszły w rozsypkę i ku Wieprzowi umykać poczęły. Więc pan Czarniecki kazał trąbić na odwrót, aby tamtych pułków, które pierwsze uderzyły, nie wygubić. Jedni poszli tedy za Wieprz, inni do Końskowoli, zostawując pole i sławę zwycięstw Karolowi, gdyż tych zwłaszcza, którzy za Wieprz uchodzili, długo ścigały chorągwie Zbrożka i Kalińskiego, przy Szwedach jeszcze zostające.

Radość była w obozie szwedzki niezmierna. Niewielkie wprawdzie dostały się Szwedom owego zwycięstwa trofea: sakiewki z owsem i trochę pustych wozów, lecz Karolowi nie o łup tym razem chodziło. Cieszył się, że zwycięstwo szło jak i dawniej, w jego ślady, że ledwo się pokazał, już pogromił — i to samego pana Czarnieckiego, na którym największe nadzieje Jana Kazimierza i Rzeczypospolitej spoczywały. Mógł się spodziewać, że wieść rozbiegnie się po całym kraju, że każde usta będą powtarzały. "Czarnie-

cki zniesion," iż bojaźliwi rozmiary klęski przesadzą, a przezto zwątlą serca i odbiorą ducha wszystkim, którzy na głos konfederacyi Tyszowieckiej za broń chwycili.

Więc gdy przyniesiono i rzucono pod nogi owe sakiewki owsa, a z niemi razem ciało Wilkisona i Waldemara, on zwrócił się do swych frasobliwych generałów i rzekł.

— Rozmarszczcie ichmościowie czoła, bo to jest największe zwycięstwo, jakiem od roku odniósł, i całą wojnę skończyć ono może.

— Wasza królewska mość, — odrzekł Wittemberg, który słabszym niż zwykle będąc, czarniej rzeczy widział — dziękujmy Bogu i za to, że pochód będziem mieć spokojny, chociaż takie wojska Czarnieckiego prędko się rozpraszają, ale i prędko zbierają napowrót.

Na to król.

— Panie marszałku, nie mam cię za gorszego wodza do Czarnieckiego, ale gdybym cię tak rozbił, tuszę, że i przez dwa miesiące nie zdołałbyś wojsk zebrać.

Wittemberg skłonił się tylko w milczeniu, a Karol mówił dalej.

— Tak jest, pochód będziem mieli spokojny, bo tylko jeden Czarniecki mógł go naprawdę tamować. Niemasz wojsk Czarnieckiego, niemasz przeszkód!

Generałowie uradowali się temi słowy. Upojone zwycięstwem wojska przechodziło przed oczyma króla z krzykiem i śpiewami. Czarniecki przestał wisić nakształt chmury nad niemi. Czarniecki rozproszony przestał istnieć! Wobec tej myśli zapomnieli o przebytej mordędze — wobec tej myśli miłe im były przyszłe trudy. Słowa królewskie, które wielu oficerów słyszało, rozniosły się po obozie i wszyscy byli tego mniemania, że zwycięstwo istotnie miało nadzwyczajne znaczenie, że smok wojny nanowo zabity, a jeno czasy pomsty i panowania nastaną.

Król dał wojsku kilkanaście godzin spoczynku; tymczasem od Kozienic przyszły wozy z żywnością. Wojska roztasowały się w Gołębiu, w Krowienikach i w Żyrzyniu. Rajtarowie pozapalali opuszczone domostwa, powieszono kilkunastu chłopów wziętych z bronią w ręku i kilku pacholików wojskowych, których za chłopów poczytano; następnie odbyła się uczta, po niej zaś żołnierstwo zasnęło snem twardym, bo oddawna po raz pierwszy spokojnym.

Nazajutrz skoro dzień zbudzili się rzeźko i pierwsze słowa, jakie napłynęły wszystkim do ust, były.

— Niemasz Czarnieckiego!

Powtarzał to jeden drugiemu, jakby się wzajem chcieli o dobrej nowinie upewnić. Pochód rozpoczął się wesoło. Dzień był suchy, zimny, pogodny. Szerść końska i nozdrza pokrywały się szronem. Zimny wiatr pozmrażał kałuże na trakcie lubelskim i drogę uczynił dobrą. Wojska wyciągnęły się niemal milowym wężem, czego przedtem nie czyniły nigdy. Dwa pułki dragońskie pod wodzą Francuza Dubois poszły na Końskowolę, Markuszew i Grabów, w mili od głównej siły. Gdyby tak szły przed trzema jeszcze dniami, szłyby na pewną śmierć, lecz teraz poprzedzał je postrach i sława zwycięstwa.

— Niemasz Czarnieckiego! — powtarzali sobie oficerowie żołnierze.

Jakoż pochód odbywał się spokojnie. Z głębin leśnych nie dochodziły okrzyki, z zarośli nie wypadały groty, puszczane niewidzialnemi rękami.

Pod wieczór Karol Gustaw powrócił do Grabowa wesół i w dobrym humorze. Już właśnie zabierał się do spoczynku, gdy Aszemberg dał znać przez służbowego oficera, że chce się pilno widzieć z królem.

Po chwili wszedł do kwatery i nie sam, ale z kapitanem dragońskim. Król, który miał oko bystre i pamięć tak niezmierną, że wszystkich niemal żołnierzy imiona pamiętał, poznał zaraz kapitana.

— A co nowego, Freed? — spytał — Dubois wrócił?

— Dubois zabity! — odpowiedział Freed.

Król zmieszał się; teraz dopiero zauważył, że kapitan wyglądał, jak gdyby go z grobu wyjęto i odzież miał poszarpaną.

— A dragoni? — spytał — owe dwa pułki?

— Wszystko w pień wycięte. Mnie jednego żywcem puszczono!

Smagłe oblicze króla stało się jeszcze ciemniejszem; rękoma założył sobie pukle włosów za uszy;

— Kto to uczynił?

— Czarniecki!

Karol Gustaw umilkł i począł patrzeć ze zdumieniem na Aszemberga, a ten głową tylko kiwał, jakby chciał powtarzać:

— Czarniecki! Czarniecki! Czarniecki!

— Wszystko to niepodobne do wiary — rzekł po chwili król. — Widziałeś go na własne oczy?

— Jako twój majestat, panie, widzę. Przykazał mi pokłonić się waszej królewskiej mości i oświadczyć, że teraz za Wisłę się znów przeprawia, ale wnet tropem naszym pójdzie. Nie wiem, czyli prawdę powiadał...

— Dobrze! — rzekł król. — Siła przy nim ludzi?

— Nie mogłem dokładnie zmiarkować, ale ze cztery tysiące ludzi sam widziałem, a za lasem stała także jakowaś jazda. Otoczono nas wedle Krasniczyna, do którego pułkownik Dubois umyślnie z traktu zboczył, bo mu doniesiono, że się tam ludzie jakowiś znajdują. Teraz mniemam, że Czarniecki umyślnie podesłał języka, aby nas w zasadzkę wprowadzić. Jakoż nikt, oprócz mnie, żywy nie wyszedł. Chłopstwo dobijało rannych, jam cudem ocalał!

— Z dyabłem chyba ten człowiek wszedł w przymierze — rzekł, przykładając dłoń do czoła, król. — Bo żeby po takiej klęsce znów wojsko zebrać i nad karkiem nam stanąć, nie ludzka moc!

— Stało się wedle tego, co marszałek Wittemberg przewidywał — wtrącił Aszemberg.

Na to król wybuchnął:

— Wy wszyscy umiecie przewidywać, jeno radzić nie umiecie!

Aszemberg pobladł i umilkł. Karol Gustaw, gdy był wesół, zdawał się być z samej dobroci ulepiony, ale gdy raz brew zmarszczył, wzbudzał strach nieopisany w najbliższych i nie tak ptaki kryją się przed orłem, jako kryli się przed nim najstarsi i najzasłużeńsi generałowie.

Lecz teraz wprędce się pomiarkował i pytał znowu kapitana Freeda:

— Zacneż to wojska przy Czarnieckim?

— Widziałem kilka chorągwi nieporównanych, jakoto u nich bywa jazda.

— To te same pod Gołębiem z taką furyą nacierały. Stare muszą być pułki. A on sam, Czarniecki, wesół, dufny?

— Tak dufny, jakoby to on pod Gołębiem rozgromił. Teraz tem bardziej musiały się serca w nich podnieść, bo o gołębskiej już zapomnieli, a krasniczyńską wiktoryą się chwalą. Wasza królewska mość! co mi kazał Czarniecki powtórzyć, tom powtórzył, ale

gdym już wyjeżdżał, zbliżył się do mnie ktoś ze starszyzny, człek potężny, stary i rzekł mi, iż jest ten, który wiekopomnego Gustawa Adolfa w ręcznym boju rozciągnął. Siła i przeciw waszej królewskiej mości bluźnił, inni zaś mu wtórowali. Tak oni się chełpią! odjechałem wśród urągań i wymyślań...

— Mniejsza z tem! odparł Karol Gustaw. — Czarniecki nie rozbity i wojska już zebrał, to grunt. Tem śpieszniej musimy iść naprzód, aby polskiego Daryusza jak najprędzej dosięgnąć. Waszmościom wolno już odejść. Wojsku rozgłosić, że owe pułki od kup chłopskich na oparzeliskach zginęły. Idziemy naprzód!

Oficerowie wyszli, Karol Gustaw został sam. Przez czas jakiś dumał posępnie. Miałoż zwycięstwo pod Gołębiem żadnych owoców nie przynieść, położenia nie zmienić, owszem większą tylko zaciekłość w całym tym kraju rozbudzić?

Karol Gustaw wobec wojska i generałów okazywał zawsze pewność siebie i wiarę, ale gdy został sam i poczynał rozmyślać o tej wojnie, jaka się od początku łatwo zaczęła, a coraz trudniejszą stawała — nieraz ogarniało go zwątpienie. — Wszystkie wypadki przedstawiały mu się jakoś dziwnie. Często wyjścia nie widział, a końca nie mógł odgadnąć. Czasem zdawało mu się, że jest jako człowiek, który wszedłszy z brzegu morskiego w wodę, czuje, że za każdym krokiem głębiej schodzi i wkrótce straci grunt pod nogami.

Lecz wierzył w gwiazdy. I teraz więc poszedł do okna, aby na swoją wybraną popatrzyć, na tę właściwie, która w wielkim wozie, czyli w Niedźwiedzicy najwyższe miejsce zajmuje i świeci najmocniej. Niebo było pogodne, więc i w tej chwili płonęła jaskrawo, migotała się błękitno i czerwono — zdala tylko poniżej, na ciemnym granacie nieba, czerniła się jak wąż samotna chmura, do której szły jakby ramiona, jakby macki morskiego potworu i zdawały się coraz zbliżać ku królewskiej gwieździe.

## LV.

Nazajutrz skoro dzień, ruszył król w dalszy pochód i przyciągnął do Lublina. Tam otrzymawszy wiadomości, iż pan Sapieha, po odparciu bogusławowego najazdu, ze znacznem wojskiem ciągnie, takowego zaniechał, Lublin tylko załogą umocnił i szedł dalej.

Najbliższym celem wyprawy był teraz dla niego Zamość, gdyby bowiem potężną twierdzę zdołał zająć, zyskałby niewzruszoną podstawę do dalszej wojny i tak znamienitą przewagę, iż szczęśliwego końca mógłby z całą otuchą wyglądać. O Zamościu różne krążyły mniemania. Polacy, dotychczas jeszcze przy Karolu stojący, utrzymywali, iż to jest twierdza w Rzeczypospolitej najpotężniejsza i przytaczali dowód, iż wszystkie siły Chmielnickiego wytrzymała.

Lecz ponieważ Karol spostrzegł, iż Polacy zgoła nie byli w fortyfikowaniu twierdz biegli i takie za silne uważali, które po innych krajach zaledwie do trzeciorzędnych liczono, że wiedział i o tem, iż w żadnej z twierdz nie było dostatecznego opatrunku, to jest ani murów jak należy utrzymanych, ani budowli ziemnych, ani broni należytej, przeto i co do Zamościa dobrej był myśli. Liczył też na urok swego imienia, na sławę niezwyciężonego wodza, a wreszcie i na układy. Układami, które każdy magnat mocen był w tej Rzeczypospolitej zawierać, albo przynajmniej pozwalał sobie zawierać, więcej dotychczas Karol wskórał niż bronią. Jako więc człek przebiegły i lubiący wiedzieć z kim ma do czynienia, starannie wszystkie wiadomości o władcy Zamościa zbierał. Wypytywał o jego obyczaje, skłonności, dowcip i fantazyę.

Jan Sapieha, który naonczas zdradą jeszcze, ku wielkiemu umartwieniu wojewody witebskiego, nazwisko kalał, najwięcej królowi dawał objaśnień co do pana starosty kałuskiego. Trawili też na naradach całe godziny. Sapieha zresztą nie sądził, aby łatwo przyszło królowi pana na Zamościu skaptować.

— Pieniędzmi go nie skusić — mówił pan Jan, — bo człek okrutnie możny. O godności nie dba i nigdy o nie nie zabiegał, nie chciał ich wonczas nawet, gdy same go szukały... Co do tytułów, sam słyszałem, jak na dworze zgromił pana de Noyersa, sekretarza królowej, za to, że mówiąc do niego, powiedział: "mon prince"' "Jam nie prince, rzecze mu, alem archiduków więźniami w moim Zamościu miewał." Co prawda zresztą, to nie on miewał, jeno jego dziad, którego Wielkim w narodzie naszym nazywają.

— Byle mi bramy Zamościa otworzył, zaofiaruję mu coś takiego, czego żaden król polski zaofiarować by nie mógł.

Sapieże nie wypadało pytać, coby takiego było, spojrzał tylko z

ciekawością na Karola Gustawa, ten zaś zrozumiał spojrzenie i odrzekł, odgarniając wedle zwyczaju, włosy za uszy.

— Zaofiaruję mu województwo lubelskie, jako niezawisłe księstwo — korona skusi go. Żadenby z was się takiej pokusie nie oparł, nawet dzisiejszy wojewoda wileński.

— Nieograniczona jest hojność waszej królewskiej mości — odparł, nie bez pewnej ironii w głosie, Sapieha.

A Karol odpowiedział z właściwym sobie cynizmem.

— Daję, bo nie moje.

Sapieha pokręcił głową.

— Nieżonaty człowiek jest i synów nie ma. Temu korona miła, kto potomstwu przekazać ją może.

— Jakichże tedy sposobów radzisz mi wasza mość się chwycić?

— Mniemałbym, że pochlebstwem najwięcej da się wskórać. Pan to jest niezbyt bystrego dowcipu i snadnie go można objechać. Trzeba mu przedstawić, jako od niego tylko zależy uspokojenie Rzeczypospolitej, trzeba mu wmówić, iż on jeden może ją osłonić od wojny, nieszczęścia, klęsk wszelkich i przyszłych nieszczęść, a to właśnie przez otwarcie bram. Jeśli ryba haczyk ten połknie, to będziemy w Zamościu, inaczej — nie!

— Zostaną działa, jako ostatnia racya!

— Hm! Na tę racyę znajdzie się z czego w Zamościu odpowiedzieć. Armat ciężkich tam nie brak, a my musielibyśmy je dopiero sprowadzać, co, gdy roztopy nastąpią, stanie się niepodobnem.

— Słyszałem, że piechoty w twierdzy są grzeczne, ale jazdy im brak.

— Jazda tylko w gołem polu potrzebna, a zresztą skoro Czarniecki, jak się pokazało, nie rozbit, to mógł jedną i drugą chorągiew do posług wrzucić.

— Wasza mość same tylko trudności widzisz.

— Ale wciąż ufam w szczęśliwą gwiazdę waszej kr. mości — odparł Sapieha.

Miał jednak słuszność pan Jan, przewidując, że Czarniecki opatrzy Zamość w jazdę, konieczną do podjazdów i chwytania języków. Wprawdzie pan Zamoyski miał swojej dosyć i wcale pomocy nie potrzebował, lecz kasztelan kijowski dwie chorągwie, które najbardziej ucierpiały pod Gołębiem, to jest szemberkową i laudańską, umyślnie do fortecy posłał, żeby mogły odpocząć, odżywić się i konie srodze zmarnowane zmienić. W Zamościu przy-

jął je pan Sobiepan gościnnie, a gdy się dowiedział jacy sławni żołnierze w nich się znajdują, tedy pod niebo ich wynosił, darami obsypał i codzień u stołu swego sadzał.

Lecz któż opisze radość i rozrzewnienie księżnej Gryzeldy na widok pana Skrzetuskiego i pana Wołodyjowskiego, dawnych najdzielniejszych wielkiego męża pułkowników. Padli jej do nóg obaj, rzewne łzy na widok ukochanej pani wylewając, a i ona nie mogła płaczu pohamować. Ileż bo wspomnień łączyło się z nimi z owych dawnych czasów łubniańskich, gdy mąż jej, sława i ukochanie narodu, pełen sił życia, władał potężnie dziką krainą, jak Jowisz jednem zmarszczeniem brwi wzniecając przestrach wśród barbarzyństwa. Takieto niedawne czasy, a gdzie ona? Dziś władyka w grobie, krainę barbarzyńcy posiedli, a ona, wdowa, siedzi oto na popiołach szczęścia wielkości, smutkiem jeno żyjąc i modlitwą.

Wszelako w owych wspomnieniach tak słodycz z goryczą się pomieszała, że myśli tych trojga rade leciały w przeszłość. Więc rozmawiali o dawnem życiu, o miejscach, których nie miały już ujrzeć ich oczy, o dawnych wojnach, wreszcie o dzisiejszych czasach klęski i gniewu bożego.

— Gdyby nasz książę żył — mówił Skrzetuski, — inneby były Rzeczypospolitej koleje. Kozactwo byłoby starte, Zadnieprze przy Rzeczypospolitej, a Szwed teraz znalazłby swego pogromiciela. Bóg zarządził jak chciał, aby za grzechy nas ukarać.

— Oby Bóg w panu Czarnieckim obrońcę wskrzesił! — rzekła księżna Gryzelda.

— Tak i będzie! — zawołał pan Wołodyjowski. — Jako nasz książę innych panów głową przenosił, tak i on wcale do innych wodzów niepodobny. Znam ja przecie obu panów hetmanów koronnych i pana Sapiehę litewskiego. Wielcy to żołnierze, ale przecie jest coś w panu Czarnieckim ekstraordynaryjnego, rzekłbyś, orzeł, nie człowiek. Niby łaskaw, a wszyscy go się boją, ba! nawet pan Zagłoba często o krotofilach swych przy nim zapomina. A jak wojsko prowadzi! jak szykuje — imaginacyę przechodzi! Nie może inaczej być, tylko wielki wojennik powstaje w Rzeczypospolitej.

— Mąż mój, który go pułkownikiem znał, jeszcze wówczas wielkość mu przepowiadał — rzekła księżna.

— Mówiono nawet, że żony na naszym dworze miał szukać — wtrącił pan Wołodyjowski.

— Nie pamiętam, aby o tem była mowa — odparła księżna.

Jakoż nie mogła pamiętać, bo nigdy nic podobnego nie było, ale pan Wołodyjowski chytrze na razie to wymyślił, chcąc zwrócić rozmowę na fraucymer księżnej i o pannie Anusi Borzobohatej czegoś się dowiedzieć, albowiem wprost pytać osądził za rzecz nieprzyzwoitą i zbyt względem majestatu księżnej poufałą. Lecz wybieg się nie udał. Księżna wróciła znów myślą do męża i do wojen kozackich, zaczem i mały rycerz pomyślał. "Niema Anusi, może od Bóg wie wielu lat!" I więcej o nic nie pytał.

Mógł pytać oficerów, ale i jego umysł i wszystkie zajęte były czem innem. Codzień podjazdy dawały znać, że Szwedzi coraz to bliżej, gotowano się więc do obrony. Skrzetuski i Wołodyjowski dostali funkcye na murach, jako oficerowie i Szwedów i wojny z nimi świadomi. Pan Zagłoba ducha dodawał i opowiadał o nieprzyjacielu tym, którzy go dotychczas nie znali, a było takich między zamojskimi żołnierzami dosyć, gdyż Szwedzi nie zapuszczali się dotychczas pod Zamość.

Zagłoba w lot pana starostę kałuskiego przeznał, a ten niezmiernie go polubił i we wszystkiem się do niego zwracał, zwłaszcza, że i od księżnej Gryzeldy słyszał, jako w swoim czasie sam książę Jeremi pana Zagłobę wenerował i "vir incomparabilis" nazywał. Codzień tedy przy stole wszyscy sluchali, a pan Zagłoba prawił o dawniejszych i nowszych czasach, o wojnach z Kozaki, o zdradzie Radziwiłła, o tem, jako pana Sapiehę na ludzi wyprowadził.

— Radziłem mu — mówił, — iżby siemię konopne w kieszeni nosił i potrochu spożywał. To tak ci się do tego przezwyczaił, iże teraz coraz to ziarno wyjmie, wrzuci do gęby, rozgryzie, miazgę zje, a łuskwinę wypłunie. W nocy, jak się obudzi, takoż to czyni. Od tej pory tak mu się dowcip zaostrzył, że i najbliżsi go nie poznają.

— Jakże to? — pytał starosta kałuski.

— Bo w konopiach oleum się znajduje, przez co i w głowie jedzącemu go przybywa.

— Bodajże waszą mość! — rzekł jeden z pułkowników. — Toż w brzuchu oleju przybywa, nie w głowie.

—Est modus in rebus (jest sposób na wszystko)! — rzecze pan Zagłoba — trzeba co najwięcej wina pić: oleum, jako lżejsze, za-

wsze będzie na wierzchu, wino zaś, które i bez tego idzie do głowy, poniesie z sobą każdą cnotliwą substancyę. Ten sekret mam od Lupuła, hospodara, po którym jak waściom wiadomo, chcieli mnie Wołosi na hospodarstwo posadzić, ale sułtan, który woli, by hospodarowie nie mieli potomstwa, postawił mi kondycyę, na którą zgodzić się nie mogłem.

— Musiałeś waść siła konopnego siemienia i sam zażywać? — rzekł na to Sobiepan.

— Ja nie potrzebowałem, ale waszej dostojności z całego serca radzę! — odparł Zagłoba.

Słysząc te śmiałe słowa, zlękli się niektórzy, żeby ich pan starosta kałuski do serca nie wziął, lecz on, czy nie zmiarkował czy nie chciał zmiarkować, dość, że uśmiechnął się tylko i spytał.

— A słonecznikowe ziarna nie mogą konopnych zastąpić?

— Mogą — odrzekł Zagłoba, — jeno ponieważ olej ze słoneczników jest cięższy, przeto potrzeba wino mocniejsze pić od tego, które teraz oto pijemy.

Pan starosta zrozumiał o co chodzi, rozochocił się i zaraz kazał co najlepszych win przynieść. Zaczem uradowali się w sercach wszyscy i ochota stała się powszechną. Pito i wiwatowano na zdrowie królewskie, gospodarskie i pana Czarnieckiego. Pan Zagłoba wpadł w humor przedni, nikogo do głosu nie dopuścił. Opowiadał więc o gołębskiej potrzebie bardzo szeroko, w której istotnie dobrze stawał, bo zresztą służąc w chorągwi laudańskiej, nie mógł inaczej uczynić. Ale że od jeńców szwedzkich wziętych z pułków Duboisa, wiedziano o śmierci grafa Waldemara, więc oczywiście wziął pan Zagłoba na się za tę śmierć odpowiedzialność.

— Całkiem inaczejby ta bitwa poszła — mówił, — żeby nie to, żem właśnie poprzedzającego dnia do Baranowa, do tamtejszego kanonika odjechał i Czarniecki, nie wiedząc, gdzie jestem, poradzić się mnie nie mógł. Może też i Szwedzi o owym kanoniku zasłyszeli, bo u niego miody przednie i niebawem pod Gołąb podeszli. Gdym wrócił, było już zapóźno, król nastąpił i zaraz trzeba było uderzać. Poszliśmy jako w dym, ale cóż kiedy pospolitacy wolą w ten sposób kontempt nieprzyjacielowi okazywać, że się tyłem do niego odwracają. Nie wiem, jako sobie teraz Czarniecki da radę bezemnie.

— Da sobie radę! nie obawiaj się waćpan! — rzekł pan Wołodyjowski

— I wiem dlaczego. Bo król szwedzki woli za mną pod Zamość walić, niż jego po Powiślu szukać. Nie neguję ja Czarnieckiemu, że dobry żołnierz, ale kiedy pocznie brodę kręcić, a swym żbiczym wzrokiem patrzyć, towarzyszowi z pod najgórniejszej chorągwi wydaje się, że jest dragonem... Nie on na godność nie uważa, czego i samiście byli świadkami, gdy pana Żyrskiego, człeka znacznego, kazał po majdanie końmi włóczyć, za to tylko, że z podjazdem nie dotarł tam, gdzie miał rozkaz. Ze szlachtą, mości panowie, trzeba po ojcowsku, nie po dragońsku... Powiesz mu: panie bracie, a bądź łaskaw, a idź, rozczulisz go, na ojczyznę i sławę wspominawszy, to ci dalej pójdzie, niż dragon, który dla lafy służy.

— Szlachcic szlachcicem, a wojna wojną — ozwał się starosta.

— Bardzo to misternie wasza dostojność wywiodła — odparł Zagłoba.

— A taki pan Czarniecki koncept Carolusowi w końcu powaryuje! — zauważył Wołodyjowski. — Byłem też na niejednej wojnie i mówić o tem mogę.

— Pierwej my mu powaryujemy pod Zamościem — odparł pan starosta kałuski, wydymając usta, sapiąc z okrutną fantazyą, wytrzeszczając oczy i biorąc się w boki. — Ba! fiu! Co mnie tam! Hę! Kogo w gości proszę, temu drzwi otwieram! Co? ha!

Tu pan starosta zaczął jeszcze mocniej sapać, kolanami o stół uderzać, przechylać się, kręcić głową, a srożyć się, a oczami błyskać i mówić, jako miał zwyczaj, z pewną rubaszną niedbałością:

— Co mi tam! On pan w Szwecyi, a Zamoyski Sobiepan w Zamościu. Egues polonus sum, nic więcej, co! Alem u siebie. Ja Zamoyski, a on król szwedzki... a Maksymilian był austryacki, co? Idzie? a niech idzie... Obaczym! Jemu Szwecyi mało, mnie Zamościa dość, ale go nie dam, co!?

— Miło, mości panowie, słuchać nietylko takiej elokwencyi, ale tak zacnych sentymentów! — zakrzyknął pan Zagłoba.

— Zamoyski Zamoyskim! — odparł uradowany z pochwały starosta kałuski. — Nie kłanialiśmy się i nie będziem... ma foi! Zamościa nie dam i basta!

— Zdrowie gospodarskie! — huknęli oficerowie.

— Vivat! vivat!

— Panie Zagłoba! — zawołał starosta — króla szwedzkiego nie puszczę do Zamościa, a waszmości z Zamościa!

— Panie starosto, dziękuję za łaskę, ale tego wasza dostojność nie uczynisz, bo ilebyś Carolusa pierwszem postanowieniem zmartwił, tylebyś go drugiem ucieszył.

— Dajże parol, że do mnie po wojnie przyjedziesz, co?

— Daję...

Długo jeszcze ucztowano, poczem sen począł morzyć rycerzy, więc poszli na spoczynek, zwłaszcza, że wkrótce miały się dla nich zacząć bezsenne noce, bo Szwedzi byli już blizko i przednich straży spodziewano się lada godzina.

— Taki on Zamościa naprawdę nie da — mówił Zagłoba, wracając do swej kwatery ze Skrzetuskim i Wołodyjowskim. — Zauważyliście waszmościowie, jakeśmy się pokochali? Dobrze nam się będzie w Zamościu działo i mnie i wam. Przystaliśmy do siebie z panem starostą, tak że żaden stolarz futrowania lepiej nie połączy. Dobre panisko... Hm!... Gdyby był moim kozikiem i gdybym go u pasa nosił, częstobym go o osełkę wecował, bo trochę tępy... Ale dobry człek i ten nie zdradzi, jako oni skurczybykowie birżańscy... Uważaliście, jako magnatowie lgną do starego Zagłoby... Nic, tylko się opędzać... Ledwiem się od Sapiehy wykaraskał, już jest drugi... Ale tego nastroję jako basetlę i taką na nim aryę Szwedom zagram, że się na śmierć pod Zamościem zatańcują... Nakręcę go, jako zegar gdański do kuranta.

Dalszą rozmowę przerwał gwar dolatujący z miasta. Po chwili znajomy oficer przesunął się szybko koło rozmawiających.

— Stój — zawołał Wołodyjowski. — Co tam?

— Łunę z wałów widać. Szczebrzeszyn się pali! Szwedzi tuż!

— Chodźmy na wały, mości panowie! — rzekł Skrzetuski.

— Idźcie, a ja się zdrzemnę, bo mi na jutro sił potrzeba — odpowiedział Zagłoba.

---

## LVI.

Tejże jeszcze nocy pan Wołodyjowski poszedł na podjazd i nad ranem sprowadził kilkunastu języków. Ci potwierdzili, że król szwedzki osobą własną w Szczebrzeszynie się znajduje i niebawem stanie pod Zamościem.

Uradował się pan starosta kałuski tą wieścią, bo się wielce rozruszał i niekłamaną miał chęć wypróbowania swych dział i murów na Szwedach. Mniemał przytem i bardzo słusznie, że chociażby uledz w końcu przyszło, zawsze zatrzyma na sobie potęgę szwedzką przez całe miesiące, a przez ten czas Jan Kazimierz zbierze wojska, sprowadzi całą ordę w pomoc i w całym kraju potężny i zwycięski opór przygotuje.

— Raz mi się zdarza sposobność — mówił z wielką fantazyą na radzie wojennej — ojczyźnie i królowi znamienitą przysługę oddać, zapowiadam też waszmościom, że pierwej w powietrze się wysadzę, nim tu szwedzka noga postoi. Chcą Zamoyskiego siłą brać, dobrze! Niech biorą! Obaczym, kto lepszy! Waćpanowie, tuszę, z serca pomagać mi będziecie!

— Gotowiśmy poginąć przy waszej dostojności! — ozwali się chórem oficerowie.

— Byle nas tylko oblegali, — rzekł Zagłoba — bo gotowi zaniechać... Mości panowie! jakem Zagłoba, pierwszy wycieczkę poprowadzę!

— Ja z wujem! — rzekł Roch Kowalski. — Na króla samego skoczę!

— Teraz na mury! — zakomenderował starosta kałuski.

Ruszyli wszyscy. Mury były, jako kwieciem, żołnierzami ubrane. Pułki piechoty tak świetnej, jakiej nie było w całej Rzeczypospolitej, stały w gotowości jeden obok drugiego, z muszkietami w ręku i oczyma zwróconemi ku polom. Mało służyło w nich cudzoziemców, ledwie trochę Prusaków i Francuzów, głównie zaś chłopi ordynaccy. Lud rosły, dorodny, który gdy go w barwiste kolety przybrano i na modłę cudzoziemską wyćwiczono, bił się tak dobrze, jak najlepsi kromwelowscy Anglicy. Szczególnie tędzy byli, gdy po strzałach przyszło się rzucić wręcz na nieprzyjaciela. I teraz wyglądali Szwedów niecierpliwie, pomni dawniejszych swych nad Chmielnickim tryumfów. Przy działach, których długie szyje wyciągały się jakoby z ciekawością przez blanki ku polom, służyli przeważnie Flamandowie, do ognistej służby najprzedniejsi. Za fortecą już z tamtej strony fosy, kręciły się chorągwie lekkiej jazdy, same bezpieczne, bo pod osłoną dział i schroniska pewne, a mogące w każdej chwil skoczyć, gdzie trzeba.

Starosta kałuski objeżdżał mury w szmelcowanej zbroi, z pozłocistym buzdyganem w ręku i co chwila pytał:

— A co? nie widać jeszcze?

I klął pod nosem, gdy mu zewsząd odpowiadano, że nie widać. Po chwili jechał w inną stroną i znowu pytał:

— A co? nie widać?

Tymczasem trudno było coś widzieć, bo trochę mgły wisiało w powietrzu. Dopiero koło dziesiątej rano zaczęła opadać. Niebo błękitne zaświeciło nad głowami, widnokrąg wyjaśnił się i zaraz też na zachodniej stronie murów poczęto wołać:

— Jadą! jadą! jadą!

Pan starosta, a z nim pan Zagłoba i trzej przyboczni oficerowie starosty, wstąpili żywo na anguł murów, z którego widok był daleki i poczęli patrzyć przez perspektywy. Nieco mgły leżało jeszcze przy ziemi, ale wojska szwedzkie, idące od Wielączy, zdawały się brodzić do kolan w owym tumanie, jak gdyby wynurzały się z wód rozległych. Bliższe pułki bardzo już były wyraźne, tak że gołem okiem można było rozróżnić piechotę, idącą głębokiemi szeregami i zastępy rajtarskie; dalsze natomiast przedstawiały się jakoby kłęby kurzawy ciemnej, toczącej się ku miastu. Zwolna przybywało coraz więcej pułków, armat, jazdy.

Widok był piękny. Ze środka każdego czworoboku piechurów sterczał w górę niezmiernie regularny czworobok włóczni; między niemi wiewały chorągwie różnych barw, a najwięcej błękitnych z białemi krzyżami i błękitnych ze złotemi lwami. Zbliżyli się jeszcze bardziej. Na murach było cicho, więc powiew wiatru niósł od nich skrzyp kół, chrzęst zbroi, tętent koni i przytłumiony gwar głosów ludzkich. Doszedłszy na dwa strzały ze śmigownicy, poczęli się rozciągać przed fortecą. Niektóre czworoboki piechoty rozsypały się w bezładne roje. Widocznie zabierali się do roztasowywania namiotów i do sypania szańczyków.

— Ot i są! rzekł — pan starosta.

— Są psubraty! — odrzekł Zagłoba.

— Możnaby ich człeka po człeku palcem rachować.

— Tacy starzy praktycy, jak ja nie potrzebują rachować, jeno okiem rzucą. Jest ich dziesięć tysięcy jazdy i ośm piechoty z artyleryą. Jeślim się o jednego gemajna, albo o jednego konia omylił, gotowym całą fortuną za omyłkę zapłacić

— Zali tak można wymiarkować?

— Dziesięć tysięcy jazdy i ośm piechoty, żebym tak zdrów był! W Bogu nadzieja, że w znacznie szczuplejszej liczbie odejdą, niech tylko jedną wycieczkę poprowadzę.

— Słyszysz waszmość, aryę grają!

Rzeczywiście trębacze z doboszami wystąpili przed pułki i zagrzmiała bojowa muzyka. Przy jej odgłosie nadchodziły bliżej dalsze pułki i otaczały zdala miasto. Nakoniec od zbitych tłumów oderwało się kilkunastu jeźdźców. W pół drogi pozasadzali białe chusty na miecze i poczęli niemi powiewać.

— Poselstwo! — rzekł Zagłoba. — Widziałem, jak do Birżów złodzieje przyjechali z taką samą fantazyą i wiadomo co z tego wypadło.

— Zamość nie Birże, a ja nie wojewoda wileński! — odparł pan starosta.

Tymczasem tamci zbliżyli się do bramy. Po krótkiej chwili przyskoczył do pana starosty oficer służbowy z oznajmieniem, iż pan Jan Sapieha pragnie w imieniu króla szwedzkiego widzieć się z nim i rozmówić.

A pan starosta począł się zaraz w boki brać, z nogi na nogę przestępować, a sapać, a wargi odymać, wreszcie odrzekł z okrutną fantazyą:

— Powiedz panu Sapieże, że Zamoyski że zdrajcami nie gada. Chce król szwedzki ze mną gadać, niech ni Szweda rodowitego przyśle, nie Polaka, bo Polacy, którzy Szwedowi służą, niech do psów moich poselstwa odprawują, gdyż porówni niemi gardzę!

— Jak mi Bóg miły, to respons! — zawołał z niekłamanym zapałem Zagłoba.

I nie czekając dłużej, skoczył z oficerem służbowym, wyszedł naprzeciw pana Jana i widocznie, że nietylko słowa starościńskie powtórzył, ale musiał od siebie coś wielce szepetnego dodać, bo pan Sapieha zawrócił tak z miejsca, jakby mu przed koniem piorun trzasł i nacisnąwszy czapkę na uszy, odjechał.

Z murów zaś i z chorągwi tej jazdy, która przed bramą stała, poczęto huczyć za odjeżdżającymi:

— A do budy zdrajcy, przedawczykowie! żydowscy słudzy! Huź! huź!...

Sapieha stanął przed królem blady, z zaciśniętemi wargami.

A i król też był zmieszany, bo Zamość omylił jego nadzieję... Co najwięcej, mimo tego, co mu poprzednio mówiono, spodziewał się znaleźć gród takiej odpornej siły, jak Kraków, Poznań i inne miasta, których tyle już zdobył. Tymczasem znalazł twierdzę potężną, przypominającą duńskie i niderlandzkie, o której bez dział ciężkiego kalibru nie mógł nawet pomyśleć.

— Co tam? — spytał, ujrzawszy Sapiehę.

— Nic! Pan starosta nie chce gadać z Polakami, którzy waszej kr. mości służą. Wysłał do mnie swego trefnisia, który mnie i waszą kr. mość zelżył tak sromotnie, że i powtórzyć się nie godzi.

— Wszystko mi jedno z kim chce gadać, byle gadał. W braku innych mam żelazne argumenta, a tymczasem Forgella mu poślę.

Jakoż w pół godziny później, Forgell z czysto szwedzką asystencyą oznajmił się przy bramie. Most łańcuchowy opuścił się zwolna na fosę i generał wjechał do twierdzy, wśród spokoju i powagi. Oczu nie wiązano ani jemu, ani nikomu ze świty; widocznie chciał owszem pan starosta, iżby wszystko widział i o wszystkiem królowi i mógł donieść. Przyjął go zaś z takim przepychem, jak książę udzielny i istotnie w podziw wprawił, panowie bowiem szwedzcy i dwudziestej części tych bogactw nie mieli, co Polacy, a pan starosta między polskimi był niemal najpotężniejszym. Przebiegły Szwed począł też odrazu tak go traktować, jak gdyby go król Karol do równego sobie monarchy w poselstwie wysłał, z góry nazwał go "princeps" i ciągle tak nazywał, chociaż pan Sobiepan za pierwszym zaraz razem mu przerwał:

— Nie princeps, eques polonus sum, ale właśnie dlatego książętom równy!

— Wasza książęca mość, mówił, nie dając się zbić z tropu Forgell. — Najjaśniejszy król szwedzki i pan (tu długo wyliczał tytuły) zgoła nie jako nieprzyjaciel tu przybył, ale wprost mówiąc w gościnę tu przyjechał i przezemnie się zapowiada, mając niepłonną jak tuszę nadzieję, że wasza książęca mość dla osoby jego i jego wojsk bramy swe otworzyć zechcesz.

— Niemasz u nas tego zwyczaju — odpowiedział pan Zamoyski, — aby komu gościnności odmawiać, choćby też i nieproszony przyjechał. Znajdzie się zawsze u mnie miejsce przy stole, a nawet dla tak dostojnej osoby pierwsze. Powiedz tedy wasza dostojność najjaśniejszemu królowi, że bardzo proszę i tem szczerzej,

że jako najjaśniejszy Carolus Gustavus jest panem w Szwecyi, tak ja w Zamościu. Ale, że jako wasza dostojność widziałeś, służby mi nie brak, przeto nie potrzebuje jego szwedzka jasność swojej ze sobą brać. Inaczej, pomyślałbym, że mnie ma za chudopachołka i kontempt chce mi okazać.

— Dobrze! — szepnął stojący tuż za plecami pana starosty Zagłoba.

A pan starosta, wypowiedziawszy swoją oracyę, począł usta wydymać, sapać i powtarzać jeszcze:

— A! ot, co jest! a!

Forgell przygryzł wąsów, pomilczał trochę i wreszcie tak mówić począł:

— Największy to byłby dowód nieufności dla króla, gdybyś wasza książęca mość załogi jego do fortecy wpuścić nie raczył. Powiernikiem królewskim jestem, wiem jego najtajniejsze myśli, a oprócz tego mam rozkaz oświadczyć waszej dostojności i słowem w imieniu króla zaręczyć, że on, ni państwa zamojskiego, ni tej twierdzy zajmować na stałe nie myśli. Ale gdy wojna w całym tym nieszczęsnym kraju rozgorzała nanowo, gdy bunt głowę podniósł, a Jan Kazimierz, niepomny na klęski, które na Rzeczpospolitą spaść mogą, swojej tylko dochodząc fortuny, znowu w granice powrócił i łącznie z pogany przeciw chrześcijańskim wojskom naszym występuje, postanowił niezwyciężony król i pan mój choćby do dzikich stepów tatarskich i tureckich go ścigać, w tym jedynie celu, aby spokój krajowi, panowanie sprawiedliwości i szczęście, a wolność obywatelom tej prześwietnej Rzeczypospolitej przywrócić.

— Starosta kałuski uderzył się ręką po kolanie, ale nic odrzekł ni słowa, jeno Zagłoba szepnął:

— Dyabeł się w ornat ubrał i ogonem na mszę dzwoni.

— Liczne już spłynęły na ten kraj z protekcyi królewskiej dobrodziejstwa — mówił dalej Forgell, — lecz najjaśniejszy król, mniemając w ojcowskiem swem sercu, że niedość jeszcze uczynił, znowu prowincyi swej pruskiej odbieżał, aby mu jeszcze raz iść na ratunek, który na pokonaniu Jana Kazimierza polega. Aby jednak nowa ta wojna prędki a szczęśliwy koniec wziąć mogła, potrzebne jest jego królewskiej mości nieodbicie czasowe zajęcie tej twierdzy, ona bowiem ma stać się dla wojsk jego królewskiej

mości ostoją, z której pościg za buntownikami będzie czyniony. Lecz słysząc, że ten, który Zamościa jest panem, nietylko bogactwem, nietylko starożytnością rodu, dowcipem, wspaniałym umysłem, ale i miłością ojczyzny wszystkich przewyższa, zaraz król i pan mój rzekł: "Ten mnie zrozumie, ten intencye moje dla tej krainy ocenić potrafi, ufności mojej nie zawiedzie, nadzieje przewyższy, do szczęścia i spokoju tego kraju pierwszy rękę przyłoży. Jakoż od ciebie, panie, zależą przyszłe losy tej ojczyzny. Ty ją ratować i ojcem jej stać się możesz... Przeto nie wątpię, iż to uczynisz. Kto sławę taką po przodkach dziedziczy, ten nie powinien omijać sposobności, aby ją powiększyć i nieśmiertelną uczynić. Zaiste, więcej sprawisz otworzeniem bram tej twierdzy, niż gdybyś całą prowincyę do Rzeczypospolitej przyłączył. Król ufa, panie, że niepowszednia mądrość twa narówni z sercem do tego się skłonią, dlatego rozkazywać nie chce — prosić woli; groźby odrzuca, przyjaźń ofiaruje; nie jako władca z podległym, lecz jako potężny z potężnym traktować pragnie.

Tu generał Forgell skłonił się panu staroście z takiem uszanowaniem, jakby udzielnemu monarsze i umilkł. W sali uczyniła się też cisza. Wszystkich oczy utkwione były w starostę.

On zaś kręcić się począł wedle zwyczaju na swojem pozłocistem krześle, usta nadymać i srogą fantazyę okazywać, wreszcie łokcie rozszerzył, dłonie wsparł na kolanach i rzucając głową, jak narowisty koń, tak począł:

— Ot, co jest! Wielcem ja wdzięczny jego szwedzkiej jasności za górne mniemanie, jakie ma o moim dowcipie i o afektach dla ojczyzny. Nic mi też milszego, jak przyjaźń takowego potentata. Ale myślę, że tak samo moglibyśmy się miłować, gdyby jego szwedzka jasność sobie w Sztokholmie zostawała, a ja w Zamościu — co? Bo Sztokholm jego szwedzkiej jasności, a Zamość mój! Co się afektów dla Rzeczypospolitej tyczy — i owszem! — jeno wedle mego konceptu, nie wtedy będzie Rzeczypospolitej lepiej, kiedy Szwedzi będą do niej szli, ale wtedy, kiedy sobie z niej pójdą. Oto racya! Bardzo wierzę, iż Zamość mógłby jego szwedzkiej jasności do wiktoryi nad Janem Kazimierzem dopomódz, wszelako trzeba, żebyś i wasza dostojność wiedział, że ja nie jego szwedzkiej mości, jeno właśnie Janowi Kazimierzowi przysięgałem, dlatego jemu wiktoryi życzę, a Zamościa nie dam! Ot co!

— To mi polityka! — huknął Zagłoba.

W sali uczynił się szmer radosny, lecz pan starosta trzepnął się rękoma po kolanach i owe gwary uciszył.

Forgell zmieszał się i milczał przez chwilę, poczem znowu argumentować począł: więc nalegał, trochę groził, prosił, pochlebiał. Jako patoka płynęła z ust jego łacina, aż krople potu uperliły mu czoło, lecz wszystko napróżno, bo po swych najlepszych argumentach, tak silnych, że mury poruszyćby mogły, słyszał zawsze jedną odpowiedź:

— A ja taki Zamościa nie dam, ot co!

Audyencya przeciągnęła się nad miarę, nakoniec stała się dla Forgella kłopotliwą, bo wesołość poczynała ogarniać obecnych. Coraz to częściej padało jakieś słowo, jakieś szyderstwo, to z ust Zagłoby, to z innych, po którem przytłumione śmiechy odzywały się w dali. Spostrzegł wreszcie Forgell, że trzeba ostatecznych chwycić się sposobów, więc rozwinął pergamin z pieczęciami, który trzymał w ręku, a na który nikt dotąd nie zwracał uwagi i powstawszy, rzekł uroczystym, dobitnym głosem:

— Za otwarcie bram twierdzy jego królewska mość (tu znów długo wymieniał tytuły) ofiaruje waszej książęcej mości województwo lubelskie w dziedziczne władanie!

Słysząc to, zdumieli wszyscy, zdumiał na chwilę pan starosta. Już Forgell począł toczyć tryumfującym wzrokiem dokoła, gdy nagle, wśród ciszy głuchej, ozwał się po polsku do starosty, stojący tuż za nim pan Zagłoba:

— Ofiaruj wasza dostojność królowi szwedzkiemu w zamian Niderlandy.

Pan starosta nie namyślał się długo, uderzył się rękoma w boki i palnął na całą salę po łacinie.

— A ja ofiaruję jego szwedzkiej jasności Niderlandy!

W tej samej chwili sala zabrzmiała jednym ogromnym śmiechem. Trząść się poczęły brzuchy i pasy na brzuchach; jedni klaskali w ręce, drudzy zataczali się jak pijani, inni opierali się o sąsiadów i śmiech brzmiał ciągle. Forgell blady był; brwi zmarszczył groźnie, lecz czekał, z ogniem w źrenicach i głową dumnie wzniesioną. Nakoniec, gdy paroksyzm śmiechu przeszedł, spytał krótkim, urywanym głosem:

— Czy to ostatnia waszej dostojności odpowiedź?

Na to pan starosta pokręcił wąsa.

— Nie! — odrzekł, podnosząc jeszcze dumniej głowę — bo mam armaty na murach!

Poselstwo było skończone.

W godzin dwie później zabrzmiały działa z szańców szwedzkich, a zamojskie odpowiedziały im z równą siłą. Cały Zamość okrył się dymem, jakby chmurą niezmierną, tylko raz po razu łyskało w owej chmurze i grzmot huczał nieustanny. Lecz wnet ogień z ciężkich fortecznych śmigownic przemógł. Szwedzkie kule padały w fosę lub odbijały się bez skutku o potężne anguły; pod wieczór nieprzyjaciel musiał się cofać z bliższych szańców, twierdza bowiem zasypywała je takim gradem pocisków, że żywy duch wytrzymać nie. mógł. Uniesiony gniewem król szwedzki kazał zapalić wszystkie okoliczne wsie i miasteczka, tak że okolica wyglądała w nocy, jak jedno morze ognia, lecz pan starosta ani o to dbał.

— Dobrze — niechże palą! My mamy dach nad głową, a im rychło za kołnierz naleci.

I tak był kontent z siebie samego, a wesół, że tego jeszcze dnia wspaniałą ucztę wyprawiwszy, do późna kielichami się bawił. Huczna kapela grała do uczty tak gromko, że mimo huku dział słychać ją było aż w najdalszych szańcach szwedzkich.

Lecz i Szwedzi strzelali wytrwale, a nawet tak wytrwale, że ogień trwał przez całą noc. Drugiego dnia przyszło królowi kilkanaście dział, które ledwie że wciągnięto na szańce, wnet poczęły przeciw twierdzy pracować. Nie spodziewał się król wprawdzie zgruchotać murów, chciał tylko wpoić w starostę przekonanie, że postanowił szturmować zaciekle i nieubłaganie. Pragnął przerazić; ale były to strachy na Lachy. Pan starosta ani przez chwilę w nie nie uwierzył i często pokazując się na murach, mówił w czasie największej strzelaniny:

— Poco oni prochy psują?!

Pan Wołodyjowski i inni oficerowie prosili się na wycieczkę, lecz pan starosta nie pozwolił; nie chciał poprostu darmo krwi marnować. Wiedział zresztą, że trzeba było chyba stoczyć bój otwarty, bo tak przezorny wojownik, jak król szwedzki i taka wyćwiczona armia nie dadzą się zejść niespodzianie. Zagłoba, widząc stałe postanowienie starościńskie w tym względzie, tem bardziej nalegał i zaręczał, że sam wycieczkę poprowadzi.

— Zbyt waszmość jesteś krwi chciwy! — odpowiedział pan Sobiepan. — Nam dobrze, Szwedom źle, precz mamy do nich chodzić? Waszmość poledz możesz, a tyś mi jako konsyliarz potrzebny, bo waścinym to dowcipem takem Forgella skonfudował, o Niderlandach wspomniawszy.

Pan Zagłoba odpowiedział, że nie może wytrzymać w murach, tak mu do Szwedów pilno, lecz słuchać musiał.

Więc w braku zajęcia, czas spędzał na murach między żołnierstwem, przestróg i rad z powagą udzielając, których wszyscy z niemałym szacunkiem słuchali, mając go za wojownika wielce doświadczonego i jednego w Rzeczypospolitej z najprzedniejszych. A on radował się w duszy, patrząc na obronę i na fantazyę rycerską.

— Panie Michale! — mówił do Wołodyjowskiego — inny już duch w Rzeczypospolitej i w szlachcie, inne czasy. Nikt już o zdradzie i o poddaniu się nie myśli, a każdy z życzliwości dla Rzeczypospolitej i majestatu gotów wprzód gardło dać, nim krokiem nieprzyjacielowi ustąpić. Pamiętasz, jak to rok temu ze wszystkich stron się słyszało: ten zdradził, ów zdradził, ów protekcyę przyjął, a ninie Szwedzi już więcej od nas protekcyi potrzebują, których jeśli dyabeł nie poproteguje, to ich wkrótce weźmie. Bo my tu mamy brzuchy tak pełne, że dobosze mogliby na nich bębnić, im zaś głód kiszki szlamuje i na bicze skręca.

Pan Zagłoba miał słuszność. Armia szwedzka nie miała z sobą zapasów żywności i dla ośmnastu tysięcy ludzi, nie licząc koni, nie było skąd ich dostać, pan starosta bowiem, jeszcze przed przyjściem nieprzyjaciela, pościągał na kilkanaście mil wokoło ludzką i końską śpiżę ze wszystkich swych majętności. W dalszych zaś okolicach kraju roiły się oddziały konfederackie, kupy zbrojnego chłopstwa, tak że podjazdy z obozu po żywność wychodzić nie mogły, bo tuż za obozem śmierć pewna czekała.

Do tego pan Czarniecki nie poszedł na Zawiśle, ale znów krążył koło szwedzkiej armii, jak dziki zwierz koło owczarni. Rozpoczęły się znów nocne alarmy, przepadanie bez wieści mniejszych oddziałów. Wedle Kraśnika pojawiły się jakieś wojska polskie, które komunikacyę z Wisłą przecięły. Nakoniec przyszła wieść, że pan Paweł Sapieha z potężną armią litewską idzie z północy, że

po drodze mimochodem starł załogę w Lublinie. Lublin wziął i komunikiem dąży ku Zamościowi.

Widział całą okropność położenia najdoświadcieńszy z wodzó szwedzkich, stary Wittemberg i otwarcie przedstawił ją królowi.

— Wiem — mówił, — że geniusz waszej królewskiej mości cuda potrafi, ale po ludzku rzeczy biorąc, głód nas weźmie, a gdy nieprzyjaciel na wycieńczonych nastąpi, żywa noga z nas nie ujdzie.

— Gdybym tę twierdzę posiadł — odparł król — we dwa miesiące wojnę skończę.

— Na taką twierdzę rok oblężenia mało.

Król w duszy przyznawał słuszność staremu wojownikowi, nie przyznał się tylko przed nim do tego, że i sam środków nie widzi, że jego geniusz wyczerpany.

Lecz liczył jeszcze na jakiś niespodziany wypadek — więc kazał strzelać dzień i noc.

— Ducha w nich pognębię, do układów będą łatwiejsi — mówił.

Po kilku dniach strzelaniny tak zaciekłej,że świata z po za dymu nie było widać, posłał znów Forgella do twierdzy.

— Król i pan mój — rzekł, stanąwszy przed starostą generał, — liczy na to, że szkody, jakie Zamość ponieść od naszych dział musiał, zmiękczą wyniosły waszej książęcej mości umysł i do układów go skłonią.

A na to pan Zamoyski:

— Owszem! tak!... szkody są... Czemu niema być! Zabiliście świnię w rynku, którą złam granatu w żywot ugodził. Strzelajcie jeszcze tydzień, a może zabijecie drugą...

Forgell poniósł tę odpowiedź królowi. Wieczorem odbyła się znów narada w kwaterze królewskiej i nazajutrz poczęli Szwedzi pakować namioty na wozy i ściągać działa z szańców... a w nocy ruszyło całe wojsko.

Zamość grzmiał za nimi ze wszystkich dział, a gdy już znikli z oczu, wyszły przez południową bramę dwie chorągwie, szemberkowa z laudańską — i poszły w trop.

Szwedzi ciągnęli ku południowi. Wittemberg radził wprawdzie, by wracać ku Warszawie i ze wszystkich sił przekonywał, że to jedyna droga zbawienia, lecz Szwedzki Aleksander postanowił koniecznie ścigać do ostatnich krańców państwa polskiego Daryusza

---

## LVII.

Wiosna roku tego dziwnemi chodziła drogami, bo gdy na północy Rzeczypospolitej potajały już śniegi i puściły zdrętwiałe rzeki, a cała kraina spłynęła marcową wodą, na południu od gór szło jeszcze na pola, na wody i bory lodowate tchnienie zimy. W lasach leżały zaspy, zmarznięte drogi tętniły pod kopytami koni, dni były suche, zachody słońca czerwone a noce gwiaździste i mroźne. Lud siedzący na żyznych glinach, na czarnoziemiu i na borowinie Małopolski, cieszył się z owej stateczności chłodów, twierdząc, że wyginą od nich myszy polne i Szwedzi. Lecz wiosna, o ile nie przychodziła długo, o tyle potem nastąpiła tak nagle, jak pancerna chorągiew idąca do ataku na nieprzyjaciela. Słońce sypnęło z nieba żywym ogniem i wraz pękła zimowa skorupa; od węgierskich stepów przyleciał wiatr duży a ciepły i jął chuchać na łąki, pola i puszcze. Wnet też wśród kałuż świecących zaczerniała orna ziemia, ruń zielona strzeliła na nizkich porzeczach, a lasy poczęły płakać łzami z roztopionej okiści.

Na pogodnem niebie codziennie widać było sznury żórawi, dzikich kaczek, cyranek i gęsi. Przyleciały bociany na zeszłoroczne koła, a podstrzesza zaroiły się jaskółkami, rozległ się świergot ptastwa przy wsiach, wrzaski po lasach i stawach, a wieczorami cała kraina brzmiała rzechotem i kumkaniem, żab, pławiących się z rozkoszą w wodzie.

Zaczem przyszły dżdże wielkie, a jakoby ugrzane i padały dniem, padały nocą, bez przerwy.

Pola zmieniły się w jeziora, rzeki wezbrały, brody stały się nieprzebyte, nastąpiła "klejowatość i niesposobność dróg błotnistych."

Wśród tych wód, błot i topieli wlokły się wciąż ku południowi zastępy szwedzkie.

Lecz jakże mało ów tłum, idący jakoby na zatracenie, podobny był do owej świetnej armii, która swego czasu wkroczyła pod Wittembergiem do Wielkopolski! Głód powyciskał sine pieczęcie na twarzach starych wojowników; więc szli do mar, niż do ludzi podobniejsi, w zmartwieniu, trudzie, bezsenności, wiedząc, że na końcu drogi nie jadło ich czeka, ale głód, nie sen, lecz bitwa, a jeśli odpoczynek, to chyba odpoczynek śmierci.

Przybrane w żelazo kościotrupy jeźdźców siedziały na kościo-

trupach koni. Piechurowie zaledwie nogi wlekli, zaledwie drżącemi rękoma mogli utrzymać dzidy i muszkiety. Dzień uchodził za dniem, oni ciągle szli naprzód. Wozy łamały się, armaty grzęzły w topieli; szli tak wolno, że czasem ledwie przez cały dzień milę ujść zdołali. Choroby rzuciły się na żołnierzy, jak kruki na trupa; jedni szczękali zębami z febry, drudzy kładli się poprostu z osłabienia na ziemi, woląc umierać niż iść dalej.

Lecz szwedzki Aleksander ścigał wciąż polskiego Daryusza.

Jednocześnie zaś sam był ścigany. Jak za chorym bawołem idą nocą szakale, czekając rychło z nóg się zwali, a on wie, że padnie i słyszy już wycia głodnego stada, tak za Szwedami szły "partye" szlacheckie i chłopskie, coraz bliżej następując, coraz zuchwalej napadając i szarpiąc.

Wreszcie nadciągnął najstraszniejszy ze wszystkich Czarniecki i szedł tuż. Tylne straże szwedzkie ile razy obejrzały się za siebie, widziały zawsze jeźdźców, daleko na krańcu widnokręgu, czasem o staje, czasem o dwa strzały z muszkietu, czasem, gdy atakował, nad samym karkiem.

Nieprzyjaciel chciał bitwy. Z rozpaczą modlili się o nią Szwedzi do Pana Zastępów, lecz Czarniecki bitwy nie przyjmował; czekał pory, tymczasem wolał szarpać lub puszczać z ręki pojedyńcze partye, jakby sokoły na ptastwo wodne.

I tak szli jedni za drugimi. Bywały wszelako chwile, w których kasztelan kijowski mijał Szwedów, wysuwał się naprzód i przecinał im drogę, symulując, że staje do wolnej rozprawy. Wówczas trąby grały radośnie z jednego końca szwedzkiego obozu w drugi i o cudzie! nowe siły, nowy duch zdawał się nagle ożywiać strudzone szeregi Skandynawów. Chorzy, zmoknięci, bezsilni, do łazarzów podobni, stawali nagle do bitwy z płonącem licem, z ogniem w źrenicach. Dzidy i muszkiety poruszały z taką dokładnością, jakby żelazne władały nimi ręce, krzyki wojenne tak rozlegały się gromko, jakby z najzdrowszych wychodziły piersi, i szli naprzód, by piersią o pierś uderzyć.

Więc pan Czarniecki uderzał raz i drugi, lecz gdy zagrzmiały armaty, cofał wojską na boki, zostawując Szwedom w zysku tylko trud próżny, tylko większy zawód i zniechęcenie.

Natomiast, gdzie armaty dążyć nie mogły, a dzida i szabla miały

w otwartem polu rozstrzygać, sam uderzał jak piorun, wiedząc, że w ręcznej walce jazda szwedzka nawet wolentarzom nie wytrzyma.

I znów Wittemberg począł wnosić instancyę do króla, by się cofał, aby siebie i wojska nie gubił, lecz on w odpowiedzi zacisnął usta, ogniem sypał z oczu i ukazywał ręką na południe, gdzie w ruskich krainach spodziewał się znaleźć Jana Kazimierza, otwarte do zwycięstw pole— spoczynek, żywność, paszę dla koni i łup bogaty.

Tymczasem, na dobitkę nieszczęścia, te polskie pułki, które służyły mu dotąd, a teraz jedynie mogły jako tako stawiać czoło krokom Czarnieckiego, poczęły opuszczać Szwedów. Więc podziękował pierwszy za służbę pan Zbrożek, którego nie chęć zysku, ale ślepe przywiązanie do chorągwi i wierność żołnierska trzymały dotąd przy Karolu. Podziękował w ten sposób, że poszarpał pułk dragonów Muellera, połowę ludzi w pień wyciął i poszedł. Po nim podziękował pan Kaliński, po piechocie szwedzkiej przejechawszy. Sapieha stawał się codzień posępniejszy, coś w duszy przeżuwał, coś knował. Sam dotąd nie odszedł, ale ludzie codzień mu uciekali z pod chorągwi.

Szedł więc Karol Gustaw na Narol, Cieszanow i Olszyce, aby się do Sanu dostać. Podtrzymywała go nadzieja, że Jan Kazimierz zabieży mu drogę i bitwę stoczy. Jeszcze zwycięstwo mogło losy szwedzkie poprawić i odmianę fortuny sprowadzić. Jakoż rozeszły się pogłoski, że Jan Kazimierz ruszył ze Lwowa z kwarcianem wojskiej i Tatary. Lecz rachuby karolowe zawiodły, Jan Kazimierz wolał bowiem czekać na skupienie się wojsk i nadejście Litwy pod Sapiehą. Zwłoka była mu najlepszym sprzymierzeńcem, bo on rósł z każdym dniem w siły, Karol zaś z każdym dniem stawał się słabszy.

— Nie wojsko to idzie, ani armia, ale kondukt pogrzebowy! — mówili starzy wojownicy w kazimierzowem otoczeniu.

Zdanie to dzieliło wielu oficerów szwedzkich.

Sam król powtarzał jeszcze, że do Lwowa idzie, lecz oszukiwał siebie i swoich. Nie do Lwowa mu było iść, lecz o własnym ratunku myśleć. Zresztą i to było niepewnem, czy Jan Kazimierz we Lwowie się znajduje, a w każdym razie mógł się cofnąć aż hen na Podole i wyprowadzić za sobą nieprzyjaciela w dalekie stepy, na których przyszłoby Szwedom zginąć bez ratunku.

Poszedł Duglas pod Przemyśl spróbować, czyliby ta przynaj-

mniej twierdza nie dała się zająć i wrócił nie tylko z niczem, ale pod szarpany. Katastrofa zbliżała się zwolna, ale nieubłaganie. Wszystkie wieści, jakie przychodziły do szwedzkiego obozu, były tylko jej zapowiedzią. Codzień zaś nadchodziły nowe, coraz groźniejsze.

— Sapieha idzie, już jest w Tomaszowie! — powtarzano jednego dnia.

— Pan Lubomirski wali z Podgórza z wojskiem i góralami! — mówiono nazajutrz.

I znów potem:

— Król wiedzie kwartę i sto tysięcy ordy! — Z Sapiehą się połączył!

Były między temi "awizami klęski i śmierci" nieprawdziwe i przesadzone, ale wszystkie szerzyły przerażenie. Duch w armii upadł. Dawniej, ilekroć Karol własną osobą pojawił się przed pułkami, tylekroć witały go okrzyki, w których grzmiała nadzieja zwycięstwa, teraz pułki stały przed nim głuche i nieme. Zato u ognisk zgłodniały i strudzony na śmierć żołnierz więcej szeptał o Czarnieckim, niż o własnym królu. Widziano go wszędzie. I rzecz szczególna! Gdy przez parę dni nie zginął żaden podjazd, gdy kilka nocy upłynęło bez alarmów, bez okrzyków: ałła!" i "bij zabij!" — niepokój powstawał jeszcze większy.

— Czarniecki uciekł, Bóg wie co gotuje! — powtarzali żołnierze.

Karol zatrzymał się przez kilka dni w Jarosławiu, namyślając się, co ma począć. Przez ten czas ładowano na szkuty chorych żołnierzy, których w obozie było mnóstwo i wysyłano rzeką do Sandomierza, jako do najbliższego warownego grodu, zostającego jeszcze w szwedzkich ręku. Po ukończeniu nowej roboty, gdy właśnie nadbiegły wieści o ruszeniu się Jana Kazimierza ze Lwowa, postanowił król szwedzki sprawdzić, gdzie istotnie Jan Kazimierz się znajduje.

W tym celu pułkownik Kanneberg z tysiącem jazdy przeszedł San i ruszył ku wschodowi.

— Być może, iż losy wojny i nas wszystkich masz w ręku! — rzekł mu na odjezdnem król.

A i naprawdę siła od tego podjazdu zależało, albowiem w najgorszym razie powinien był Kanneberg zaopatrzyć obóz w prowiant; w razie zaś, gdyby się napewno wywiedział, gdzie Jan

Kazimierz się znajduje, miał król szwedzki natychmiast ruszyć z całą siłą przeciw "Daryuszowi polskiemu," rozbić jego wojska, a zdarzy się, to i samego w ręce dostać.

Dano więc Kannebergowi najprzedniejszych żołnierzy i najlepsze konie. Czyniono wybór tem staranniej, że pułkownik nie mógł z sobą brać ani piechoty, ani armat, musiał więc mieć takich ludzi, którzyby mogli w otwartem polu z szablą w ręku stawić czoło polskiej jeździe.

Dnia 20 marca podjazd wyszedł. Gdy przechodzili przez most, mnóstwo oficerów i żołnierzy żegnało ich przy naczółku: "Bóg prowadź! Bóg daj wiktoryę! Bóg daj szczęśliwy powrót!" Oni zaś szli długim sznurem, bo przecie było ich tysiąc, a szli dwójkami, po świeżo wykończonym moście, którego jedno przęsło jeszcze nieukończone, było jako tako dla nich pokryte deskami, ażeby tylko przejść mogli.

Dobra nadzieja świecila im w twarzach, bo byli wyjątkowo syci. Innym odjęto, a ich nakarmiono i gorzałki nalano im do manierek. Więc też jadąc, pokrzykiwali wesoło i mówili do zgromadzonych przy naczółku żołnierzy:

— Czarnieckiego samego na powrozie wam sprowadzim!

Glupi! nie wiedzieli, że szli, jak idą woły na rzeź do bydłobójni!

Wszystko skladało się na zgubę. Zaledwie przeszli, zaraz saperowie szwedzcy rozebrali po nich czasowy pomost, by silniejsze dawać belkowanie, po któremby i armaty przechodzić mogły. Oni zaś skręcili, śpiewając sobie z cicha, ku Wielkim Oczom, hełmy ich zabłysły jeszcze w słońcu na skrętach raz i drugi, następnie poczęli się zanurzać w bór gęsty.

Ujechali pół mili — nic! Cisza wkoło, głębiny leśne zdawały się być zupelnie puste. Więc stanęli, by dać oddech koniom, poczem ruszyli zwolna dalej. Nakoniec dotarli do Wielkich Oczu, w których nie znaleźli żywego ducha.

Pustka ta zadziwiła Kanneberga.

— Widocznie spodziewano nas się tu, — rzekł do majora Swena — ale Czarniecki musi być gdzieindziej, skoro nie urządził nam zasadzki.

— Czy wasza dostojność nakaże odwrót? — zapytał Sweno.

— Pójdziem naprzód, choćby pod sam Lwów, do którego niezbyt

dalcko. Musim języka dostać i królowi o Janie Kazimierzu pewną wiadomość przywieść.

— A jeśli na siły przeważne trafim?

— Choćbyśmy też spotkali i kilka tysięcy tej hałastry którą oni pospolitem ruszeniem zowią, przecie z takimi żołnierzami rozerwać się nie damy.

— Ale możem trafić i na regularne wojska. Nie mamy armat, a armaty przeciw nim grunt.

— Tedy w porę się cofniem i królowi o nieprzyjacielu doniesiem. Tych zaś, którzyby nam chcieli odwrót przeciąć, rozbijem.

— Nocy się boję!—odpowiedział Sweno.

— Zachowamy wszelkie ostrożności. Śpiży dla ludzi i koni mamy na dwa dni, nie potrzebujem się śpieszyć.

Jakoż gdy znowu zagłębili się w bór za Wielkiemi Oczami, jechali nierównie ostrożniej. Pięćdziesiąt koni poszło naprzód. Ci jechali z gotowymi muszkietami w ręku, mając wsparte kolby na udach i oglądali się bacznie na wszystkie strony. Badali zarośla, haszcze, częstokroć przystawali słuchając, czasem zjeżdżali z drogi w bok, by zbadać przybrzeżne głębie borowe, ni na drodze jednak, ni po bokach nie było nikogo.

Dopiero w godzinę później, minąwszy skręt dość nagły, dwóch rajtarów, idących w przodku, ujrzało na czterystą kroków przed sobą jeźdźca na koniu.

Dzień był pogodny i słońce świeciło jasno, więc owego jeźdźca widać było jak na dłoni. Sam był żołnierzyk nie wielki, przybrany bardzo przystojnie i z cudzoziemska. Wydawał się dlatego zwłaszcza tak mały, że siedział na rosłym bułanym bachmacie, widocznie wielkiej krwi.

Jeździec jechał sobie zwolna, jakby nie widząc, że wojsko za nim wali. Powodzie jesienne wyrywały w drodze głębokie rowy, w których szumiała mętna woda. Owóż jeździec zdzierał przed rowami rumaka, a ten przesadzał je ze sprężystością jelenia i znów szedł truchtem, rzucając łbem i parskając od czasu do czasu rzeźwo.

Dwaj rajtarzy wstrzymali konie i poczęli się o glądać za wachmistrzem. Ten przyczłapał w tej chwili, popatrzył i rzekł:

— To jakiś ogar z polskiej psiarni.

— Krzyknę na niego — rzekł rajtar.

— Nie krzykniesz. Może ich tu być więcej. Ruszaj do pułkownika!

Tymczasem nadjechała reszta przedniej straży i stanęli wszyscy, mały rycerz także zatrzymał konia i zwrócił go frontem do Szwedów, jakby im chciał drogę zagrodzić.

Przez jakiś czas oni patrzyli na niego, on na nich.

— Jest i drugi! Drugi! trzeci! czwarty! cała kupa! — poczęto nagle wołać w szwedzkich szeregach.

Jakoż z obu stron drogi poczęli się sypać jeźdźcy, zrazu pojedyńczo, potem po dwóch, po trzech. Wszyscy stawali obok owego, który pojawił się najpierwszy.

Lecz i druga straż szwedzka z Swenonem, a potem cały oddział z Kannebergiem, podciągnęły do forpoczty. Kanneberg i Szweno wyjechali zaraz na czoło.

— Poznaję tych ludzi! — zawołał, ledwie spojrzawszy, Sweno — ta chorągiew pierwsza uderzała na grafa Waldemara pod Gołębiem, to Czarnieckiego ludzie. On sam musi tu być!

Słowa te wywarły wrażenie, w szeregach nastała cisza głęboka, jeno konie dzwoniły munsztukami.

— Wietrzę tu jakąś zasadzkę — mówił dalej Sweno. — Zamało ich, by nam stawiali czoło, ale po lasach muszą być ukryci drudzy.

Tu zwrócił się do Kanneberga.

— Wasza dostojność, wracajmy!

— Dobrze waść radzisz — odparł marszcząc brwi pułkownik. — Warto było wyjeżdżać, jeżeli na widok kilkudziesięciu obszarpańców wracać mamy! A czemuśmy na widok jednego nie wrócili? Naprzód!

Szwedzki szereg poruszył się w tej chwili z największą dokładnością, za nim drugi, trzeci, czwarty, Przestrzeń między dwoma oddziałami zaczęła się zmniejszać.

— Tuj! — skomenderował Kanneberg.

Muszkiety szwedzkie poruszyły się jak jeden, żelazne szyje wyciągnęły się ku polskim jeźdźcom.

Lecz pierwej nim zagrzmiały muszkiety, jeźdźcy polscy zawrócili konie i poczęli zmykać bezładną kupą.

— Naprzód! — krzyknął Kanneberg.

Oddział ruszył z miejsc skokiem aż ziemia zadrżała pod ciężkiemi kopytami rajtarskich koni.

Las napełnił się krzykiem goniących i uciekających. Po kwadransie gonitwy, bądź że konie szwedzkie były lepsze, bądź że polskie jakowąś drogą pomęczone, dość że przestrzeń dzieląca dwa wojska zaczęła się zmniejszać.

Lecz zarazem stało się coś dziwnego. Oto bezładna z początku kupa polska, w miarę trwania ucieczki, nietylko nie rozpraszała się coraz bardziej, ale przeciwnie uciekała w coraz lepszym ordynku, coraz równiejszymi szeregami, jak gdyby sama szybkość koni równała jeźdźców w szeregi.

Spostrzegł to Sweno, rozpuścił konia, dopadł do Kanneberga i począł wołać:

— Wasza dostojność, to nie zwykła partya, to regularny żołnierz który umyślnie umyka i do zasadzki nas prowadzi.

— Zali dyabli będą w tej zasadzce, czy ludzie? — odrzekł Kanneberg.

Droga szła nieco w górę i stawała się coraz szersza, pas rzedniał i na jego krańcu widać już było niezarosłe pole, a raczej ogromną polanę, otoczoną ze wszystkich stron gęstym i szarym borem.

Chorągiew polska przyspieszyła z kolei biegu i okazało się, że poprzednio szła tępo, teraz bowiem w krótkiej chwili odsadziła się tak daleko, że wódz szwedzki poznał, że nigdy jej nie doścignie.

Dopadłszy zatem do połowy polany i spostrzegłszy, że nieprzyjaciel już niemal do drugiego jej końca dociera, począł hamować swoich ludzi i zwalniać biegu.

Lecz, o dziwo! polski oddział zamiast utonąć w przeciwległym lesie, zatoczył na samym krańcu ogromne półkole i zwrócił się cwałem ku Szwedom, stanąwszy odrazu w tak wspaniałym bojowym ordynku, że wzbudził podziw w samym nieprzyjacielu.

— Tak jest! — zawołał Kanneberg — to regularny żołnierz. Zawrócili jakoby na mustrze. Czego oni chcą do kroćset!

— Idą na nas! — krzyknął Sweno.

Jakoż chorągiew ruszyła naprzód rysią. Mały rycerz na bułanym bachmacie krzyczał coś na swoich, wysuwał się naprzód i znów wstrzymywał konia, szablą znaki dawał, widocznie on był dowódcą.

— Atakują naprawdę! — rzekł ze zdumieniem Kanneberg.

A pod tamtymi już konie wzięły pęd największy i potuliwszy uszy, wyciągnęły się tak, że ledwie brzuchami nie dotykały ziemi.

Jeźdźcy pochylili się na karki i skryli się za grzywą. Szwedzi, stojący w pierwszym szeregu, dostrzegli tylko setki rozwartych chrapów końskich i gorejących oczu. I wicher tak nie idzie, jako rwała ta chorągiew.

— Bóg z nami! Szwecya! Ognia! — skomenderował Kanneberg, podnosząc w górę szpadę.

Gruchnęły wszystkie muszkiety, lecz w tej samej chwili chorągiew polska wpadła w dym z taką siłą, że odrzuciła na prawo i lewo pierwsze szwedzkie szeregi i wbiła się w gęstwę ludzi i koni, jak klin wbija się w rozszczepione drzewo. Uczynił się wir straszliwy, pancerz uderzał o pancerz, szabla o szablę, a ów szczęk, kwik koński, lament konających mężów, rozbudził wszystkie echa, tak że cały bór począł odzywać się bitwie, jako strome skały górskie odzywają się grzmotom.

Szwedzi zmieszali się przez chwilę, zwłaszcza że znaczna ich ilość padła od pierwszego uderzenia, lecz wnet ochłonąwszy, wsiedli potężnie na nieprzyjaciół. Skrzydła ich zbiegły się z sobą, a że chorągiew polska i bez tego parła naprzód, chciała bowiem przejść "sztychem," wnet otoczona została. Środek Szwedów ustępował przed nią, natomiast boki nacierały ją coraz silniej, nie mogąc jej wprawdzie rozerwać, bo broniła się zaciekle i z całą ową niezrównananą biegłością, która czyniła jazdę polską tak straszną w ręcznej bitwie. Pracowały więc szable przeciw rapierom, trup padał gęsto, lecz zwycięstwo już, już chyliło się na szwedzką stronę, gdy nagle zpod ciemnej ściany boru wytoczyła się druga chorągiew i odrazu ruszyła z krzykiem.

Całe prawe skrzydło szwedzkie zwróciło się natychmiast, pod wodzą Swena, czołem ku nowemu nieprzyjacielowi, w którym wprawni żołnierze szwedzcy poznali husaryę.

Wiódł ją mąż, siedzący na dzielnym tarantowym koniu, przybrany w burkę i rysi kołpak z czaplem piórem. Widać go było doskonale, bo jechał z boku o kilkanaście kroków od żołnierzy.

— Czarniecki! Czarniecki! — rozległy się wołania w szwedzkich szeregach.

Sweno spojrzał z rozpaczą w niebo, następnie ścisnął kolanami konia i ruszył ławą.

Pan Czarniecki zaś poprowadził husarzy na kilkanaście kroków i gdy szli już w największym pędzie, sam zawrócił.

Wtem od boru ruszyła trzecia chorągiew, on zaraz doskoczył do niej i podprowadził; buławą pokazał, gdzie ma uderzyć, rzekłbyś: gospodarz prowadzący żniwiarzy i rozdzielający między nich robotę.

Nakoniec, gdy wysunęła się piąta, sam stanął na czele i ruszył wraz z nią do bitwy.

Lecz już husarya odrzuciła w tył prawe skrzydło i po chwili rozerwała je zupełnie, trzy zaś następne chorągwie obskoczyły tatarską modą Szwedów i czyniąc krzyk, poczęły siec zmieszanych żelazem, bóść włóczniami, rozbijać, tratować, a wreszcie gnać wśród wrzasków i rzezi.

Kanneberg poznał, że wpadł w zasadzkę i jakoby pod nóż wyprowadził swój oddział; nie chodziło mu już o zwycięstwo, ale chciał przynajmniej jak największą liczbę ludzi ocalić, więc kazał trąbić na odwrót. Ruszyli zatem Szwedzi całym pędem ku tej samej drodze, którą od Wielkich Oczu przyjechali, czarnieccczykowie zaś jechali na nich tak, że dech polskich koni ogrzewał szwedzkie plecy.

W tych warunkach i wobec przerażenia, jakie ogarnęło rajtarów, odwrót ów nie mógł odbywać się w porządku, lepsze konie wysforowały się naprzód i wkrótce świetny kannebergowski oddział zmienił się w kupę, uciekająca bezładnie i wycinaną niemal bez oporu.

Im pogoń dłużej trwała, tem stawała się bezładniejszą, bo i Polacy nie gonili w ordynku, ale każdy wypuszczał konia ile pary w nozdrzach, dopadał kogo chciał, bił kogo chciał.

Pomieszali się więc jedni z drugimi. Niektórzy polscy żołnierze prześcignęli ostatnie szwedzkie szeregi i zdarzało się, że gdy towarzysz stawał na strzemionach, by tem potężniej ciąć uciekającego przed sobą rajtara, sam ginął pchnięty rapierem z tyłu Usłała się gęstym szwedzkim trupem droga do Wielkich Oczu, lecz nie tu był termin gonitwy. I jedni i drudzy wpadli tym samym impetem do następnego lasu, tam jednak zdrożone poprzednio konie szwedzkie poczęły ustawać i rzeź stała się jeszcze krwawsza.

Niektórzy rajtarowie poczęli zeskakiwać z koni i zmykać w las, lecz kilkunastu zaledwie to uczyniło, wiedzieli bowiem z doświadczenia Szwedzi, że w lasach czyhają chłopi, woleli więc ginąć

od szabel, niż w straszliwych, mękach, których rozwścieczony lud im nie szczędził.

Inni prosili pardonu, po większej części napróżno, bo każdy wołał ściąć nieprzyjaciela i gnać dalej, niż wziąwszy go jeńcem, pilnować i dalej gonitwy zaniechać.

Więc cięto bez miłosierdzia, aby nikt z wieścią o klęsce nie wrócił. Pan Wołodyjowski gonił w przodku z laudańską chorągwią. Onto był owym jeźdźcem, który się pierwszy ukazał Szwedom na wabia, on pierwszy uderzył, a teraz, siedząc na koniu jako wicher ścigłym, używał z całej duszy, pragnąc się krwią nasycić i gołębską klęskę pomścić. Coraz to doganiał rajtara, a dognawszy, gasił tak prędko, jako świecę; czasem zaś jechał na karku dwóch, trzech lub czterech, lecz krótko, bo po chwili już tylko konie bez jeźdźców biegły przed nim. Próżno niejeden Szwedzisko chwycił własny rapier za ostrze i zwracając go na znak pardonu rękojęścią ku rycerzowi, głosem i oczyma żebrał litości, pan Wołodyjowski nawet nie zatrzymywał się nad nim, jeno wsunąwszy mu sztych szabli tam gdzie szyja piersi dotyka, zadał cios lekki, nieznaczny, a ów ręce rozkładał, zbladłemi usty jedno i drugie słowo rzucił, poczem pogrążał się w mroku śmierci.

Pan Wołodyjowski zaś, nie oglądając się więcej, biegł dalej i nowe ofiary na ziemię strącał.

Zauważył strasznego żniwiarza dzielny Sweno i krzyknąwszy kilkunastu co najdzielniejszych rajtarów, postanowił ofiarą własnego życia wstrzymać choć na chwilę pogoń, aby innych ocalić. Zwrócili tedy konie i nastawiwszy rapiery, czekali z ostrzami na goniących. Pan Wołodyjowski, widząc to, ani chwili się nie zawahał, wspiął konia i wpadł między nich w środek.

I nimby ktoś okiem zdołał mrugnąć, już dwa hełmy zapadły w dół konia. Przeszło dziesięć rapierów zmierzyło się teraz w jedną pierś Wołodyjowskiego, lecz w tej chwili wpadli za nim Skrzetuscy, Józwa Butrym Beznogi, pan Zagłoba i Roch Kowalski, o którym Zagłoba powiadał, że nawet idąc do ataku, jeszcze oczy ma zamknięte i drzemie, a budzi się dopiero, gdy piersią o pierś nieprzyjaciela uderzy.

Pan Wołodyjowski zwinął się pod kulbakę tak szybko, że rapiery puste powietrze przeszyły. Miał on ten sposób od białogrodzkich Tatarów, lecz małym, a zarazem nad ludzką wiarę

zręcznym będąc, do takiej doskonałości go doprowadził, że niknął kiedy chciał z oczu bądź pod karkiem, bądź pod brzuchem końskim. Tak zniknął i teraz, a nim zdumieni rajtarzy zdołali zrozumieć co się z nim stało, znów niespodzianie na kulbakę wychynął, straszny jak żbik, gdy między trwożne ogary z wysokich gałęzi skoczy.

Tymczasem i towarzysze mu pomogli, roznosząc śmierć i zamieszanie. Jeden z rajtarów przyłożył panu Zagłobie od samych piersi pistolet, lecz Roch Kowalski, mając go po lewej stronie, zatem nie mogąc ciąć szablą, złożył pięść i w głowę go mimochodem dojechał, a ten runął w tej chwili pod konia, tak właśnie, jakby weń piorun uderzył. Pan Zagłoba zaś, wydawszy okrzyk radosny, ciął w skroń samego Swena, który ręce opuścił i czołem wsparł się na karku końskim. Na ten widok pierzchnęli inni rajtarzy. Wołodyjowski, Józwa Beznogi i dwaj Skrzetuscy puścili się za nimi i wycięli, zanim ubiegli sto kroków.

I pogoń dalej trwała. Szwedzkie konie coraz mniej miały tchu w piersiach i rozpierały się coraz częściej. Nakoniec z tysiąca najświetniejszych rajtarów, którzy pod Kannebergiem wyszli, zostało zaledwie stu kilkudziesięciu jeźdźców, reszta leżała długim pasem na leśnej drodze. Lecz i ta ostatnia kupa zmniejszała się z każdą chwilą, gdyż ręce polskie nie przestały nad nią pracować.

Nakoniec wypadli z lasu. Wieże Jarosławia zarysowały się wyraźnie na błękicie. Już już nadzieja wstąpiła w serca uciekających, wiedzieli bowiem, że w Jarosławiu stoi sam król i cała potęga, i że w każdej chwili może im przyjść w pomoc.

Zapomnieli o tem, iż zaraz po ich przejściu uprzątnięto pomost na ostatniem prześlę mostu, aby silniejsze podłożyć dla armat belkowanie.

Pan Czarniecki zaś, czy wiedział o tem przez swoich szpiegów, czy też umyślnie chciał się królowi szwedzkiemu pokazać i na jego oczach dociąć reszty tych nieszczęśliwych, dość iż nietylko nie wstrzymał pogoni, ale sam z szembekową chorągwią naprzód skoczył, sam siekł, sam własną ręką ścinał — pędząc za kupą tak, jak gdyby tym samym pędem chciał na Jarosław uderzyć.

Nakoniec dobiegli o staje do mostu. Krzyki z pola doleciały do obozu szwedzkiego. Mnóstwo żołnierzy o i oficerów wybiegło z miasta patrzeć co się za rzeką dzieje. Zaledwo spojrzeli — dostrzegli i poznali rajtarów, którzy rano wyszli z obozu.

— Oddział Kanneberga! oddział Kanneberga! — poczęły krzyczeć tysiące głosów.

— W pień niemal wycięci! Ledwie sto ludzi bieży!

W tej chwili przygalopował sam król, a z nim Wittemberg, Forgell, Mueller i inni generałowie.

Król pobladł.

— Kanneberg! — rzekł.

— Na Chrystusa i jego rany! Most nie wykończony! — zawołał Wittemberg — wytną ich do nogi.

Król spojrzał na rzekę wezbraną wiosennemi wody; szumiała żółtą falą, o przeprawieniu pomocy wpław nie było co i myśleć

Tamci zbliżali się coraz więcej.

Wtem znów poczęto krzyczeć:

— Wozy królewskie i gwardya nadciąga. Zginą i ci.

Jakoż zdarzyło się, że część królewskiego kredensu, ze stoma ludzi pieszych gwardyi, wynurzała się w tej chwili inną drogą z przyległych lasów. Spostrzegłszy co się dzieje, ludzie z eskorty w przekonaniu, że most gotowy, poczęli zdążać co sił ku miastu.

Lecz dostrzeżono ich z pola — zaczem natychmiast ze trzysta koni ruszyło ku nim całym pędem, a na czele wszystkich leciał z szablą wzniesioną nad głową i ogniem w źrenicach pan dzierżawca z Wąsoszy, Rzędzian. Niewielkie dał on dotąd męstwa dowody, lecz na widok wozów, w których mógł znajdować się łup obfity, odwaga tak wezbrała w jego sercu, że wysforował się na kilkadziesiąt kroków przed innymi. Piechurowie przy wozach, widząc, że nie ujdą, zwarli się w czworok i sto muszkietów naraz skierowało się w piersi Rzędziana. Huk wstrząsnął powietrzem, wstęga dymu przeleciała wzdłuż ściany czworoboku, lecz nim dym się rozproszył, już pan dzierżawca przed ścianą wspiął konia, tak że kopyta przednie zawisły przez chwilę nad głowami rajtarów — i wpadł nakształt gromu w środek.

Lawina jeźdźców runęła za nim.

I jako gdy wilcy zmogą konia, on żyje jeszcze i leżąc na grzbiecie, broni się kopytami, a one pokryją go całkiem i drą zeń żywe kawały mięsa — tak owe wozy i piechurowie pokryci zostali zupełnie, kłębiąc się masą koni i jeźdźców. Jeno krzyki straszne podnosiły się z tego wiru i dolatywały uszu Szwedów, stojących na drugim brzegu.

A tymczasem jeszcze bliżej brzegu docinano reszty kannebergowych rajtarów. Cała armia szwedzka wybiegła jak jeden mąż na wysoki brzeg Sanu. Piechota, jazda, artylerya, pomieszała się ze sobą — i patrzyli wszyscy, jakoby w dawnym cyrku rzymskim na widowisko, jeno patrzyli ze ściśniętemi ustami, z rozpaczą w piersi, w przerażeniu, w poczuciu bezsilności. Chwilami z piersi tych mimowolnych widzów wyrywał się krzyk straszny. Chwilami rozlegał się płacz powszechny, to znów zapadała cisza i słychać było tylko sapanie rozwścieczonych żołnierzy. Bo przecie ten tysiąc ludzi, którzy wyprowadził Kanneberg, stanowił czoło i dumę całej armii szwedzkiej; sami to byli weterani, okryci sławą w Bóg wie ilu ziemiach i Bóg wie w ilu bitwach. A teraz oto biegali, jak błędne stado owiec po obszernem przeciwległym błoniu, ginąc jak owce pod nożem rzeźniczym. Więc nie była to już bitwa, ale łowy. Straszni jeźdźcy polscy kręcili się jak zawierucha po bojowisku, krzycząc różnymi głosami i przebiegając rajtarom. Czasem za jednym pędziło kilku lub kilkunastu, czasem pojedyńczy za pojedyńczym. Niekiedy dognany Szwed pochylał się jeno na kulbace, by cios nieprzyjacielowi ułatwić, niekiedy przyjmował bitwę, lecz ginął najczęściej, bo na białą broń szwedzcy żołnierze nie mogli się mierzyć z wyćwiczoną we wszelakich fechtach szlachtą polską.

Lecz najokropniej srożył się między Polakami mały rycerzyk, pędzący na bułanym a ścigłym i zwrotnym jak sokół koniu. Zauważyło go wreszcie całe wojsko, bo kogo on pogonił, kto się z nim spotkał, ginął niewiadomo jak i kiedy, tak małymi, tak nieznacznymi ruchami miecza strącał najtęższych rajtarów na ziemię. Nakoniec dostrzegł samego Kanneberga, którego kilkunastu towarzyszy goniło, więc krzyknął na nich, rozkazem pogoń powstrzymał i sam na niego uderzył.

Szwedzi z drugiego brzegu wstrzymali dech w piersiach. Sam król się tuż do brzegu przysunął i patrzył z bijącem sercem, miotany jednocześnie trwogą i nadzieją, bo Kanneberg, jako pan wielki i królewski krewny, od dzieciństwa ćwiczony we wszelkiego rodzaju fechtach przez mistrzów włoskich, w walce na biały oręż nie miał równego sobie w armii szwedzkiej. Wszystkich więc oczy były teraz w niego utkwione, zaledwie śmiały oddychać otwarte usta, on zaś widząc, że pogoń gromadna ustała i chcąc po straceniu

wojska sławę swą w oczach królewskich ratować, rzekł do swej duszy ponurej:

— Biada mi, jeśli wojsko wytraciwszy, krwią własną teraz hańby nie przypieczętuje lub jeśli życia nie okupię, tego strasznego męża obaliwszy. Inaczej choćby mnie dłoń Boga na tamtę stronę przeniosła, żadnemu Szwedowi w oczy spojrzećbym nie śmiał.

To rzekłszy, zwrócił konia i skoczył ku żółtemu rycerzowi.

Że zaś ci jeźdźcy, którzy mu przebiegali od rzeki, usunęli się teraz, miał więc Kanneberg i tę nadzieję, że gdy pokona przeciwnika, dopadnie brzegu i w wodę skoczy, a potem co będzie, to będzie; jeśli nie zdoła zburzonych fal przepłynąć, to przynajmniej prąd go wraz z koniem daleko uniesie, a tam już jakiś ratunek bracia dla niego obmyślą.

Skoczył więc jak piorun ku małemu rycerzowi, a mały rycerz ku niemu. Chciał Szwed w przelocie wbić swój rapier aż po gardą pod pachę przeciwnika, lecz zaraz poznał, że sam mistrzem będąc, na mistrza również trafić musiał, bo szpada tylko ześliznęła się wzdłuż ostrza polskiej szabli, tylko zachwiała mu się jakoś dziwnie w ręku, jak gdyby mu nagle ramię zdrętwiało; ledwie się zdołał zostawić od ciosu, który mu rycerz następnie zadał; na szczęście, w tej chwili rozniosły ich konie we dwie przeciwne strony.

Zatoczyli tedy obaj kołem i zwrócili się jednocześnie, lecz wolniej jechali już na siebie, pragnąc więcej na spotkanie mieć czasu i choć kilkakroć żelazo skrzyżować. Kanneberg zebrał się teraz w sobie, tak iż uczynił się podobny do ptaka, któremu dziób tylko potężnie z nastroszonych piór wystaje. Znał on jedno niezawodne pchnięcie, w którem pewien Florentczyk go wyćwiczył, straszne, bo zwodnicze i niemal nieodbite, polegające na tem że ostrze skierowane niby w piersi, mijając bokiem zastawę, przeszywało gardło i wychodziło aż tyłem karku. Tego pchnięcia postanowił teraz użyć.

I pewien swego, zbliżał się, hamując coraz bardziej konia, a pan Wołodyjowski (on to był bowiem) nadjeżdżał ku niemu w drobnych skokach. Przez chwilę myślał, żeby białogrodzkim sposobem zniknąć nagle pod koniem, lecz że z jednym tylko mężem i to na oczach obu wojsk miał się spotkać, więc choć zrozumiał, iż czeka go jakiś cios niespodziewany, wstyd mu było po tatarsku, nie po rycersku się bronić.

— Chcesz mnie, jako czapla sokoła sztychem nadziać, —pomyślał sobie — ale ja cię owym wiatraczkiem zażyję, który w Łubniach wykoncypowałem.

I ta myśl wydała mu się na razie najlepszą, więc wyprostował się w kulbace, podniósł szabelkę i puścił ją w ruch śmig wiatraka, lecz tak szybki, iż powietrze poczęło świstać przeraźliwie.

A że zachodzące słońce grało mu na szabli, więc otoczyła go jakoby tarcza świetlana, migotliwa, on zaś uderzył ostrogami bachmata i runął na Kanneberga.

Kanneberg skurczył się jeszcze bardziej i prawie przywarł do konia, w mgnieniu oka związał rapier z szablą, nagle wysunął głowę jak wąż i pchnął okropnie.

Lecz w tej chwili zaszumiał młyniec, rapier targnął się Szwedowi w ręku, ostrze uderzyło w pustą przestrzeń, natomiast wygięty koniec szabli małego rycerza spadł z piorunową szybkością na twarz Kanneberga, przeciął mu część nosa, usta, brodę, spadł na obojczyk, strzaskał go i zatrzymał się dopiero na idącym przez ramię pendencie.

Rapier wysunął się z rąk nieszczęsnego i noc objęła mu głowę, lecz nim spadł z konia, pan Wołodyjowski puścił szablę na sznurek i chwycił go za ramiona.

Zawrzaśli jednym wrzaskiem z drugiego brzegu Szwedzi, pan Zagłoba zaś przyskoczył do małego rycerza i rzekł:

— Panie Michale, wiedziałem, że tak będzie, alem był gotów cię pomścić!

— Mistrz to był — odpowiedział Wołodyjowski. — Bierz waść konia za uzdę, bo zacny!

— Hą! żeby nie rzeka, skoczyłoby się z tamtymi pohałasować! Pierwszybym...

Dalsze słowa przerwał panu Zagłobie świst kul, więc nie dokończył myśli, natomiast krzyknął:

— Uchodźmy, panie Michale, ci zdrajcy postrzelić gotowi!

— Nie mają już te kule impetu, — odrzekł Wołodyjowski — bo zadaleko.

Tymczasem otoczyli ich inni jeźdźcy polscy, winszując Wołodyjowskiemu i patrząc nań z podziwem, a on tylko wąsikami raz po raz ruszał, bo także rad był z siebie.

Na drugim zaś brzegu między Szwedami wrzało, jakby w ulu.

Artylerzyści zataczali na gwałt armaty, więc i w poblizkich szeregach polskich ozwały się trąbki do odwrotu. Na głos ich skoczył każdy do swojej chorągwi i w mig stanęły wszystkie w sprawie. Cofnęły się pod las i zatrzymały znowu, jakby miejsce nieprzyjacielowi zostawując i zapraszając go za rzekę. Wreszcie przed ławę ludzi i koni wyjechał na tarantowym dzianecie mąż przybrany w burkę i czapkę z czaplem piórem, z pozłocistym buzdyganem w ręku.

Widać go było doskonale, bo padały nań czerwone promienie zachodzącego słońca i zresztą jeździł przed pułkami, jakby przegląd sprawując. Poznali go odrazu wszyscy Szwedzi i poczęli krzyczeć:

— Czarniecki! Czarniecki!

On zaś gadał coś z pułkownikami. Widziano, jak dłużej zatrzymał się przy rycerzu, który Kanneberga usiekł i rękę położył na jego ramieniu, poczem podniósł buzdygan i chorągwie zaczęły zwolna, jedna za drugą, zawracać ku borom.

Właśnie i słońce zaszło. W Jarosławiu dzwony ozwały się po kościołach, więc wszystkie pułki zaśpiewały jednym głosem, odjeżdżając: "Anioł Pański zwiastował Najświętszej Pannie Maryi" i z tą pieśnią znikły Szwedom z oczu.

## LVIII.

Dnia tego położyli się Szwedzi spać, nic w usta nie biorąc i bez nadziei, aby mieli czem nazajutrz się posilić. To też od męki głodowej spać nie mogli. Nim drugi kur zapiał, znękane żołnierstwo poczęło wymykać się z obozu pojedyńczo i grupami na grasunek po wsiach przyległych do Jarosławia. Szli więc, do nocnych rabusiów podobni, ku Radymnu, Kańczudze, Tyczynowi, gdzie mogli i gdzie spodziewali się zastać coś do jedzenia. Otuchy dodawało im to, że Czarniecki był na drugiej stronie rzeki, ale choćby i przeprawić się już zdążył, woleli śmierć, niż głód. Widocznie wielkie już było rozprzężenie w obozie, bo około półtora tysiąca ludzi wysunęło się w ten sposób, wbrew najsurowszym rozkazom królewskim.

Poczęli więc grasować po okolicy, paląc, rabując, ścinając, lecz

prawie nikt z nich nie miał powrócić do obozu. Czarniecki był wprawdzie z drugiej strony Sanu, lecz i z tej kręciły się różne "partye" szlacheckie i chłopskie; najpotężniejsza zaś, pana Strzałkowskiego, złożona z bitnej szlachty górskiej, tej właśnie nocy przymknęła, jak na nieszczęście, do Próchnika. Ujrzawszy tedy łunę i usłyszawszy strzały, poszedł pan Strzałkowski jakoby kto sierpem rzucił prosto na gwar i napadł na zajętych rabunkiem. Bronili się silnie w opłotkach, lecz pan Strzałkowski rozerwał ich, wysiekł, nikogo nie żywił. W innych wioskach inne partye uczyniły to samo, poczem w gonitwie za uciekającymi podsunęły się pod sam obóz szwedzki, roznosząc trwogę i zamieszanie, krzycząc po tatarsku, po wołosku, po węgiersku i po polsku, tak iż Szwedzi sądzili, że jakieś potężne wojska posiłkowe na nich następują, może chan z całą ordą.

Wszczęło się zamieszanie i rzecz niebywała dotąd — popłoch, który z największym trudem udało się oficerom potłumić. Lecz król, który od rana przesiedział na koniu, widział co się dzieje, zrozumiał, co z tego może wyniknąć i zaraz rankiem zwołał radę wojenną.

Posępna owa narada niedługo trwała, bo nie było dwóch dróg do wyboru. Duch w wojsku upadł, żołnierz nie miał co jeść, nieprzyjaciel rósł w potęgę.

Szwedzki Aleksander, który obiecywał światu całemu gonić, choćby do tatarskich stepów, polskiego Daryusza, nie o gonitwie dalszej, ale o własnem ocaleniu musiał teraz myśleć.

— Sanem możem się wracać do Sandomierza, stamtąd Wisłą do Warszawy i do Prus — mówił Wittemberg. — W ten sposób zguby unikniem.

Duglas za głowę się pochwycił:

— Tyle zwycięstw, tyle trudów, tak olbrzymi kraj podbity i wracać nam przychodzi!

A Wittemberg na to:

— Maszli wasza dostojność jaką radę?

— Nie mam! — odrzekł Duglas.

Król, który dotąd nic nie mówił, wstał na znak, że posiedzenie skończone i rzekł:

— Nakazuję odwrót!

Więcej tego dnia nie słyszano z jego ust ani słowa.

Bębny poczęły warczeć i trąby grać w szwedzkim obozie. Wieść że odwrót nakazany, rozbiegła się w jednej chwili z końca w koniec. Przyjęto ją okrzykami radości. Przecie zamki i fortece były jeszcze w ręku Szwedów, w nich czekał wypoczynek, jadło, bezpieczeństwo.

Generałowie i żołnierze wzięli się tak gorliwie do przygotowań odwrotu, że aż gorliwość owa, jak zauważył Duglas, z hańbą graniczyła.

Samego Duglasa wysłał król w przedniej straży, aby trudne przeprawy naprawiał, lasy trzebił. Wkrótce za nim ruszyło całe wojsko, szykiem jak do boju, front armaty zasłaniały, tył wozy utaborowane, po bokach szła piechota. Potrzeby wojenne i namioty płynęły na statkach.

Wszystkie te ostrożności nie były zbyteczne, ledwie bowiem tabor ruszył, już tylne straże szwedzkie dojrzały idących śladem jeźdźców polskich i odtąd niemal nigdy nie straciły ich z oczu. Czarniecki pościągał własne chorągwie, wszystkie "partye" okoliczne, posłał po nowe posiłki do króla i szedł w trop. Pierwszy nocleg w Przeworsku był zarazem pierwszym alarmem. Oddziały polskie natarły tak blizko, iż kilka tysięcy piechoty wraz z działami, musiano przeciw nim zwrócić. Przez chwilę sam król myślał, że Czarniecki naprawdę następuje, lecz on, swoim zwyczajem, wysyłał tylko oddziały za oddziałami. Te podpadając, czyniły okrzyk i cofały się natychmiast. Noc do rana zeszła na podobnych harcach, noc swarliwa, dla Szwedów bezsenna.

I cały pochód, wszystkie następne noce i dni miały być do niej podobne.

Tymczasem znowuż Czarnieckiemu przysłał król dwie chorągwie jazdy, bardzo moderowanej, zatem i list, że wkrótce hetmani z komputowem wojskiem ruszą, on zaś sam z resztą piechoty i ordą rychło z nimi pośpieszy. Jakoż zatrzymały go już tylko rokowania z chanem, Rakoczym i z cesarzem. Czarniecki uradował się niezmiernie tą wieścią, i gdy nazajutrz rano Szwedzi ruszyli dalej, w klin między Wisłę i San, rzekł pan kasztelan do pułkownika Polanowskiego.

— Sieć nastawiona, ryby w matnię idą.

— A my uczynim, jak ów rybak — rzekł Zagłoba, — który im na fletni grał, żeby tańcowały, czego, gdy nie chcą czynić, wycią-

gnął je na brzeg; tedy dopiero skakały, a on wziął je kijem razić, mówiąc: "O, takie córki, trzeba było tańcować, pókim prosił."

— Na to pan Czarniecki:

— Będą oni tańcowali, niech jeno pan marszałek Lubomirski nadciągnie ze swojem wojskiem, które na pięć tysięcy liczą.

— Lada chwila go nie widać — rzekł pan Wołodyjowski.

— Przyjechało dziś kilku szlachty podgórskiej — ozwał się Zagłoba, — ci zapewniają, że wielkiemi i pilnemi drogami idzie, ale czy się zechce z nami połączyć, miast na swoją rękę wojować, to inna rzecz!

— Czemuto? — spytał pan Czarniecki, bystro patrząc na Zagłobę.

— Boto człek nadzwyczajnej ambicyi i o sławę zazdrosny. Znam go siła lat i byłem mu konfidentem. Poznałem go, gdy był młodem jeszcze panięciem na dworze pana krakowskiego, Stanisława. Fechtów się wonczas od Francuzów i Włochów uczył i okrutnie się na mnie rozgniewał, gdym mu powiedział, że to kpy, z których żaden mi nie zdzierży. Uczyniliśmy parol i samem ci siedmiu jednego po drugim rozciągnął. On zaś ode mnie się dalej uczył, nietylko fechtów, ale i sztuki wojennej. Dowcip miał z przyrodzenia trochę tępy, ale co umie, to ode mnie.

— Takiżto z waści miştrz? — spytał Polanowski.

— Exemplum: pan Wołodyjowski, drugi mój uczeń. Z tego mam prawdziwą pociechę.

— Prawda, żeś to waszmość Swena uciekł.

— Swena? Gdyby się to któremu z waszmościów zdarzyło, miałby przez całe życie co opowiadać, jeszczeby sąsiadów spraszał, by im przy winie jedno w kółko powtarzać, ale ja o to nie dbam, bo gdybym chciał wyliczać, mógłbym takimi Swenami drogę do samego Sandomierza wymościć. Możebym nie mógł? Powiedzcie, którzy mnie znacie?

— Mógłby wuj! — odezwał się Roch Kowalski.

Pan Czarniecki nie słyszał dalszego ciągu rozmowy, bo się głęboko nad słowami Zagłoby zamyślił. Znał i on ambicyę pana Lubomirskiego i nie wątpił, że albo zechce mu swoją wolę narzucać, albo na własną rękę będzie działał, chociażby to szkodę Rzeczypospolitej przynieść miało.

Więc surowe jego oblicze sposępniało i począł brodę kręcić.

— Oho! — szepnął do Jana Skrzetuskiego Zagłoba — już tam Czarniecki coś gorzkiego żuje, bo mu się twarz do orłowej podobna uczyniła, rychło tu kogo podziobie.

Wtem pan Czarniecki ozwał się:

— Trzebaby, by który z waszmościów z listem ode mnie do pana Lubomirskiego pojechał.

— Jam mu znajomy i podejmuję się — rzekł pan Jan Skrzetuski.

— Dobrze — odparł wódz, — im kto znamienitszy, tem lepiej...

Zagłoba zwrócił się do Wołodyjowskiego i znów szepnął:

— Już i przez nos mówi, znak to wielkiej alteracyi.

Rzeczywiście zaś pan Czarniecki miał srebrne podniebienie, bo mu je własna kula przed laty pod Buszą wyrwała. Owóż ilekroć był wzruszony, gniewny i niespokojny, zaczynał zawsze mówić ostrym, i brzękliwym głosem.

Nagle zwrócił się teraz do Zagłoby:

— A możebyś i waćpan z panem Skrzetuskim pojechał?

— Chętnie — odpowiedział Zagłoba, — jeśli ja czego nie wskóram, nikt nie wskóra. Wreszcie do człeka tak wielkiego rodu we dwóch będzie przystojniej.

Czarniecki zacisnął wargi, szarpnął brodę i rzekł jakby sam do siebie:

— Wielkie rody... wielkie rody...

— Tego nikt panu Lubomirskiemu nie ujmie — zauważył Zagłoba.

A Czarniecki brwi zmarszczył:

— Rzeczpospolita sama jest wielka, a rodów w proporcyi do niej niemasz wielkich, jeno małe i bodaj ziemia pożarła takie, które o tem zapominają!

Umilkli wszyscy, bo bardzo potężnie przemówił i dopiero po niejakiej chwili Zagłoba rzekł:

— W proporcyi do całej Rzeczypospolitej, słusznie!

— Jam też nie z soli wyrósł, ani z roli, jeno z tego, co mnie boli — ozwał się Czarniecki — a boleli mnie Kozacy, którzy mi tę oto gębę przestrzelili, a teraz boli mnie Szwed i albo tę bolączkę szablą przetnę, albo sam od niej szczeznę, tak mi dopomóż Bóg!

— I my dopomożem krwią naszą — rzekł Polanowski.

Czarniecki zaś przeżuwał jeszcze czas jakiś gorycz, która wezbrała mu w sercu na myśl, że ambicya pana marszałka może mu w ratowaniu ojczyzny przeszkodzić, wreszcie uspokoił się i rzekł:

— Zaczem list trzeba pisać. Proszę waszmościów za sobą.

Jan Skrzetuski i Zagłoba poszli za nim, a w pół godziny później siedli na koń i pojechali odwrotną drogą ku Radymnu, były bowiem wieści, że tam właśnie zatrzymał się pan marszałek z wojskiem.

— Janie — rzekł Zagłoba, macając się po kalecie, w której wiózł list pana Czarnieckiego, — uczyń mi łaskę i pozwól mnie samemu gadać do marszałka.

— A ojciec naprawdę go znałeś i fechtów go uczyłeś?

— I! tak się jeno sobie mówiło, dlatego, żeby się para w gębie nie zagrzała i żeby język nie rozmiękł, co się od przydłuższego milczenia snadnie przytrafić może. Ni go znałem, ni go uczyłem. Albo to nie miałem czego lepszego do roboty, niż być niedźwiednikiem i uczyć pana marszałka, jako się na zadnich nogach chodzi? Ale to wszystko jedno. Przeznałem go na wylot z tego, co ludzie o nim powiadają i potrafię go zagnieść, jako kucharka kluski. Jeno o to jedno cię proszę; nie powiadaj, że mam list od pana Czarnieckiego i nie wspominaj nawet o nim, póki go sam nie oddam.

— Jakżeto? Miałżebym funkcyi, z którą mnie posłano, nie spełnić? W życiu mi się to nie przygodziło i nie przygodzi. Nie może być! Chociażby i pan Czarniecki przebaczył, nie uczynię tego za skarb gotowy.

— To wyciągnę szablę i pęcinę twemu koniowi podetnę, żebyś za mną nie nadążył. Zali widziałeś kiedy, żeby chybiło to, com własną głową zamyślił? Gadaj! Źleśto wyszedł ty sam na zagłobowych fortelach? Źle wyszedł pan Michał, albo i twoja Halszka? albo i my wszyscy, kiedymto was z rąk Radziwiłła wyłusknął? Powiadam ci, że z tego listu może być więcej złego, niż dobrego, bo pan kasztelan pisał go w takiej alteracyi że ze trzy pióra złamał. Wreszcie będziesz o nim gadał, gdy moje zamysły chybią, parol, że go sam wówczas oddam, ale nie prędzej.

— Bylem go mógł oddać, wszystko jedno kiedy.

— Więcej też nie potrzebuję! Hajda teraz, bo droga przed nami okrutna!

Popędzili tedy konie i puścili się w skok. Ale nie potrzebowali jechać długo, bo przednie straże marszałkowskie minęły już nietyl

ko Radymno, ale i Jarosław, on sam zaś znajdował się w Jarosławiu i stał w dawnej kwaterze króla szwedzkiego.

Znaleźli go przy obiedzie, ze znaczniejszymi oficerami. Lecz gdy się opowiedzieli, Lubomirski kazał ich przyjąć natychmiast, bo ich nazwiska znał, gdyż głośne były owego czasu w całej Rzeczypospolitej.

Wszystkich oczy zwróciły się na nich, gdy weszli; patrzano zwłaszcza z podziwem i ciekawością na Skrzetuskiego, marszałek zaś powitawszy ich wdzięcznie, spytał zaraz:

— Czyto sławnego rycerza mam przed sobą, króry listy z oblężonego Zbaraża królowi przeniósł?

— Jato się przekradłem — odrzekł pan Jan.

— Dajże mi Boże takich oficerów jak najwięcej! Niczego tak panu Czarnieckiemu nie zazdroszczę, bo zresztą wiem, że i moje małe zasługi w pamięci ludzkiej nie przepadną.

— A jam jest Zagłoba! — rzekł stary rycerz, wysuwając się naprzód.

Tu powiódł okiem po zgromadzeniu; marszałek zaś, jako każdego chciał sobie ująć, zaraz zakrzyknął:

— Ktoby nie wiedział o mężu, który Burłaja, wodza barbarorum usiekł, który Radziwiłłowi wojsko pobuntował...

— I panu Sapieże wojsko przywiodłem, które, prawdę rzekłszy, mnie, nie jego wodzem sobie obrało — dodał Zagłoba.

— A żeśto wasza mość chciał, mogąc tak górną mieć szarżę, wyrzec się jej i u pana Czarnieckiego służbę przyjąć?

Na to Zagłoba błysnął okiem ku Skrzetuskiemu i odrzekł:

— Jaśnie wielmożny panie marszałku, od waszej to dostojności, tak ja, jak cały kraj przykład bierze, jak dla dobra publicznego wyrzekać się ambicyi i prywaty.

Lubomirski pokraśniał z zadowolenia, a Zagłoba wziął się w boki i mówił dalej:

— Pan Czarniecki umyślnie nas przysłał, abyśmy się waszej dostojności w jego i całego wojska imieniu pokłonili, a zarazem donieśli o znacznej wiktoryi, jaką nam Bóg nad Kannebergiem odnieść pozwolił.

— Słyszeliśmy już o tem — odrzekł dość sucho marszałek, którym już poruszyła się zazdrość, — ale chętnie z ust naocznego świadka jeszcze raz posłyszymy.

Usłyszawszy to, pan Zagłoba rozpoczął zaraz opowiadać, jeno z niektóremi zmianami, bo siły Kanneberga spotężniały w jego ustach do dwóch tysięcy ludzi. Nie zapomniał też wspomnieć o Swenonie, o sobie, o tem jak na oczach królewskich resztę rajtarów tuż nad rzeką wycięto, jak wozy i trzystu ludzi gwardyi wpadło w ręce szczęśliwych zwycięzców, słowem, wiktorya urosła w opowiadaniu do rozmiarów niepowetowanej dla Szwedów klęski.

Słuchali wszyscy pilnie, słuchał i pan marszałek, ale posępniał coraz bardziej i oblicze ścinało mu się jakby lodem, wreszcie rzekł:

— Nie neguję, że pan Czarniecki znamienity wojownik, ale przecie sam wszystkich Szwedów nie zje i dla innych coś na łyk zostanie.

A na to Zagłoba:

— Jaśnie wielmożny panie, to nie pan Czarniecki tę wiktoryę odniósł.

— Jeno kto?

— Jeno Lubomirski!

Nastała chwila powszechnego zdumienia. Pan marszałek usta otworzył, powiekami począł mrugać i patrzył na Zagłobę tak zdziwionym wzrokiem, jak gdyby chciał go spytać:

— Zali waćpanu piątej klepki nie staje?

Lecz pan Zagłoba nie dał się zbić z tropu owszem, wargi z wielką fantazyą wydął który (giest przyjął od pana Zamoyskiego) i rzekł:

— Słyszałem, jak sam Czarniecki przed całem wojskiem mówił: "Nie naszeto szable biją, ale (powiada) imię Lubomirskiego bije, bo gdy się (powiada) zwiedzieli, że tuż, tuż, nadciąga, duch w nich tak zdechł, że w każdym żołnierzu wojsko marszałkowskie widzą i jako owce pod nóż łby oddają."

Gdyby wszystkie promienie słoneczne upadły odrazu na twarz pana marszałka twarz ta nie rozjaśniłaby się więcej.

— Jakże? — zakrzyknął — sam Czarniecki to powiedział?

— Tak jest i wiele innych rzeczy, ale nie wiem, czy mi się godzi powtarzać, bo do konfidentów jeno mówił.

— Mów waść! Każde słowo pana Czarnieckiego warte, żeby je sto razy powtórzyć. Niepowszedni to człek i zdawna to mówiłem!

Zagłoba spojrzał na marszałka, przymrużając jedno oko i mruczał pod wąsami:

— Połknąłeś hak, zaraz cię tu wyciągnę.

— Co waszmość mówisz? — pytał marszałek.

— Mówię, że wojsko tak na cześć waszej dostojności wiwatowało, a w Przeworsku, gdyśmy to całą noc szarpali Szweda, co która chorągiew skoczyła, to krzyczeli: "Lubomirski! Lubomirski!" i lepszy to skutek miało, niż wszystkie "ałła" i "bij, zabij!" Jest tu świadek, pan Skrzetuski, żołnierz też nielada, który nigdy w życiu nie zełgał.

Marszałek spojrzał mimowoli na Skrzetuskiego, a ten zaczerwienił się po uszy i zaczął coś mamrotać pod nosem.

Tymczasem oficerowie marszałkowscy poczęli wychwalać w głos posłów.

— Ot, politycznie postąpił sobie pan Czarniecki, tak grzecznych kawalerów wysyłając! Obaj najsławniejsi rycerze, a jednemu miód poprostu z gęby płynie!

— Zawszem to rozumiał o panu Czarnieckim, że mi życzliwy, ale teraz niemasz takiej rzeczy, którejbym dla niego nie uczynił! — zakrzyknął marszałek, którego oczy mgłą się pokrywały z rozkoszy.

Na to pan Zagłoba wpadł w zapał.

— Jaśnie wielmożny panie! ktoby cię nie uwielbiał, ktoby cię nie czcił, wzorze wszystkich cnót obywatelskich, który Arystydesa sprawiedliwością, męstwem Scypionów przypominasz! Siłam ksiąg w życiu przeczytał, siłam widział, siłam rozważał i rozdarła mi się dusza od boleści, bo cóżem w tej Rzeczypospolitej ujrzał! Oto Opalińskich, Radziejowskich, Radziwiłów, którzy własną pychę, własną ambicyę nad wszystko ceniąc, ojczyzny dla prywaty gotowi byli każdego momentu odstąpić. Więcem pomyślał: zginęła ta Rzeczpospolita niecnotą własnych synów! Lecz któż mnie pocieszył, któż mi otuchy w strapieniu dodał: pan Czarniecki! "Zaiste — mówił — nie zginęła, skoro pozostał w niej Lubomirski. Tamci o sobie (powiada) myślą, ten tylko patrzy, tylko szuka, gdzieby ofiarę z prywaty na ołtarzu powszechnym mógł złożyć, tamci się wysuwają, ten się usuwa, bo przykładem chce świecić. Ot i teraz (powiada) nadciąga z wojskiem potężnem i zwycięskiem, a już (powiada) słyszę, że chce mnie komendę nad niem zdawać, aby nauczyć innych, jako ambicyę, choćby słuszną, dla ojczyzny poświęcać. Jedźcie tedy (powiada) do niego, oznajmijcie mu, że ja tej ofiary nie chcę, nie pragnę, gdyż on lepszym ode

mnie wodzem, gdyż zresztą, jego nietylko wodzem, ale daj Bóg naszemu Kazimierzowi długie życie — królem gotowiśmy obrać!!... i... obierzemy!!!

Tu pan Zagłoba sam się nieco przeląkł, czyli miary nie przebrał i istotnie po okrzyku: "Obierzemy!" nastała cisza; lecz przed magnatem tylko się niebo otworzyło, zrazu przybladł nieco, następnie pokraśniał, następnie znów przybladł i robiąc silnie piersiami, odrzekł po chwili milczenia:

— Rzeczpospolita jest i zostanie zawsze panią swej woli, bo na tem starodawne fundamenta naszych wolności spoczywają...Lecz jam jeno sługa jej sług i Bóg mi świadkiem, że nie podnoszę oczu na one wysokości, na które obywatel spoglądać nie powinien... Co do komendy nad wojskiem... pan Czarniecki przyjąć ją musi. Oto właśnie pragnę dać przykład tym, którzy wielkość swego rodu ustawicznie na myśli mając, nie chcą żadnej zwierzchności uznawać jak pro publico bono należy o wielkości swego rodu zapomnieć. Więc, choć i tak złym wodzem może nie jestem, jednakowoż ja, Lubomirski, idę dobrowolnie pod komendę Czarnieckiego, o tyle tylko Boga prosząc, aby nam wikteryę nad nieprzyjacielem spuścić raczył!

— Rzymianinie! ojcze ojczyzny! — krzyknął Zagłoba, chwytając rękę marszałka i przyciskając do niej wargi.

Lecz tu jednocześnie stary wyga nastawił na Skrzetuskiego oko i począł niem mrugać raz po razu.

Rozległy się grzmiące okrzyki oficerów i towarzystwa. Tłum w kwaterze powiększał się z każdą chwilą.

— Wina! — zawołał marszałek.

A gdy podano kielichy, zaraz wniósł zdrowie królewskie, potem pana Czarnieckiego, którego swoim wodzem nazywał i wreszcie posłów. Zagłoba nie pozostał w tyle z toastami i tak wszystkich za serce chwycił, że sam marszałek za próg ich przeprowadził, zaś rycerstwo aż do rogatek Jarosławia.

Nakoniec zostali sami; wówczas Zagłoba zajechał drogę Skrzetuskiemu, wstrzymał konia i chwyciwszy się w boki, rzekł:

— A co, Janie?

— Dalibóg! — odpowiedział Skrzetuski — żebym na własne uszy nie słyszał, wierzyćbym nie chciał, choćby mi też i anioł powiadał.

Zaś pan Zagłoba:

— Ha? co? Przysięgnę, że sam Czarnieckł co najwięcej to wzywał i prosił Lubomirskiego, by szedł z nim w parze. I wiesz co byłby wskórał? Oto, że Lubomirski poszedłby osobno, bo jeśli w liście były zaklęcia na miłość do ojczyzny i jakoweś o prywacie wzmianki (a jestem pewien, że były), to zarazby pan marszałek nadął się, a rzekł: "Zali on chce moim praeceptorem zostać i uczyć, jak się ojczyźnie służy?..." "Znam ja ich!!... Na szczęście stary Zagłoba wziął sprawę w ręce, pojechał i ledwie gębę otworzył, już Lubomirski nietylko chce iść razem, ale pod komendę się poddaje. Morzy się tam frasunkiem pan Czarniecki, ale ja go pocieszę... A co, Janie, umie sobie Zagłoba z magnatami rady dawać?

— Tedy powiadam, że z podziwienia pary z gęby puścić nie mogłem.

— Znam ja ich! Pokaż któremu koronę i róg gronostajowego płaszcza, to możesz go pod włos głaskać, jak charcie szczenię, jeszcze ci się ugnie i sam krzyża nadstawi... Żaden kot nie będzie się tak oblizywał, choćbyś mu prospectus z samych sperek pokazał. Najpoczciwszemu oczy z pożądliwości na wierzch wylizą, a trafi się szelma, jako był książę wojewoda wileński, to i ojczyznę zdradzić gotów. Co to za ludzka próżność! Panie Jezu! żebyś mi dał tyle tysięcy, iluś kandydatów do tej korony stworzył, tobym i sam kandydował... Bo jeśli który z nich myśli, że mam się za gorszego od niego, to niech mu od własnej pychy żywot pęknie... Taki dobry Zagłoba, jak i Lubomirski, tylko w fortunie różnica... Tak, tak, Janie... Czy myślisz, żem go naprawdę w rękę pocałował? Siebiem w wielki palec pocałował, a jego jenom nosem szturgnął... Pewno go tak, odkąd żywie, nikt w pole nie wywiódł. Rozsmarowałem go jako masło na grzance dla pana Czarnieckiego... Daj Boże naszemu królowi jak najdłuższe życie, ale na wypadek elekcyi, sobie wolałbym dać kreskę, niż jemu... Roch Kowalski dał! by mi drugą, a pan Michał oponentówby wysiekł... Boga mi zarazbym cię hetmanem wielkim... koronnym uczynił, pana Michała po Sapieże litewskim.... a Rzędziana podskarbim... Tenby dopiero Żydowinów podatkami cisnął...! Mniejsza wreszcie z tem, grunt, żem Lubomirskiego na hak ułowił, a sznurek wsadzę Czarnieckiemu w ręku. Na kim się skrupi, na Szwedach się zmiele, a zasługa czyja? co? O kim innym kronikiby pisały, ale ja nie mam szczęścia... Dobrze jeszcze, jeśli Czarniecki na starego nie

parsknie, że listu nie oddał... Taka to wdzięczność ludzka... Ha! nie pierwszyzna mi, nie pierwszyzna... Inni na starostwach siedzą i słoniną jako parsiuki obrośli, a ty stary po dawnemu trzęś brzuszysko na szkapie...

Tu machnął ręką pan Zagłoba.

— Jechał ludzką wdzięczność sęk! I tak, i tak, trzeba umierać, a przecie ojczyźnie miło posłużyć. Najlepsza nagroda dobra kompania. Jak człek raz na koń siędzie, to z takimi kompanami, jak ty i Michał, na kraj świata jechać gotów... Taka już nasza polska natura. Byle raz na koń siąść. Niemiec, Francuz, Angielczyk, albo smagły Hiszpan odrazu do oczu skoczy, a Polak, pacyencyę wrodzoną mając, siła zniesie, długo się choćby takiemu Szwedzinie, szarpać pozwoli, ale gdy się miara przebierze, jak huknie w pysk, to ci się taki Szwedzina trzy razy nogami nakryje... Bo fantazya jeszcze jest, a póki fantazya nie zginie, póty i Rzeczpospolita trwać będzie. Zakonotuj to sobie, Janie...

I tak długo jeszcze rozprawiał pan Zagłoba, bo bardzo był rad z siebie, a ilekroć się to zdarzyło, tylekroć bywał i mowny nad zwykłą miarę i mądrych sentencyj pełen.

---

## LIX.

Czarniecki istotnie nie śmiał nawet myśleć o tem, by pan marszałek koronny poddał się pod jego komendę. Chciał tylko, by działali razem, a obawiał się, że i to, z powodu wielkiej ambicyi marszałka, nie przyjdzie do skutku, dumny pan bowiem odzywał się już nieraz poprzednio do swych oficerów, że woli na własną rękę Szwedów podchodzić, bo i tak coś wskórać może, a gdyby razem z Czarnieckim odnieśli zwycięstwo, tedyby cała sława spłynęła na Czarnieckiego.

Jakożby tak i było. Czarniecki rozumiał marszałkowe powody i martwił się. Wysławszy z Przeworska list, odczytywał teraz po raz dziesiąty jego kopię, chcąc się przekonać, czyli nie napisał czegoś takiego, coby tak drażliwego człeka ubóść mogło.

I żałował niektórych wyrazów, wreszcie począł wogóle żałować, że list wysłał. Siedział zatem posępny w swej kwaterze, a coraz

to do okna podchodził i spoglądał na drogę, czyli posłowie nie wracają. Widzieli go przez okno oficerowie i odgadywali, co się z nim dzieje, bo troska widoczna była na jego czole.

— Patrzno waść, — rzekł Polanowski do Wołodyjowskiego. — Nic dobrego nie będzie, bo u kasztelana oblicze stało się pstre, a to zły znak.

Jakoż twarz Czarnieckiego nosiła liczne ślady ospy i w chwilach wielkiego wzruszenia albo niepokoju, pokrywała się białawemi i ciemnemi centkami. Że zaś rysy miał ostre, bardzo wysokie czoło, na niem chmurne jowiszowe brwi, nos zagięty i wzrok poprostu przeszywający, więc gdy jeszcze przyszły nań owe piętna, stawał się straszny. Kozacy przezywali go swego czasu rabym psem, ale wedle słuszności więcej był do rabego orła podobny, a gdy, bywało, prowadził lud do ataku z rozwianą, nakształt olbrzymich skrzydeł burką, wtedy to podobieństwo uderzało swoich i nieprzyjaciół.

Wzbudzał też strach w jednych i drugich. Za czasów kozackich wojen dowódcy potężnych watah tracili głowy, gdy przyszło im przeciw Czarnieckiemu działać. Sam Chmielnicki bał się go, a zwłaszcza jego rad, których królowi udzielał. Oneto sprowadziły na kozactwo straszliwą klęskę pod Beresteczkiem. Lecz sława jego wyrosła głównie po bitwie beresteckiej, gdy na współkę z Tatary przebiegł nakształt płomienia stepy, wygniatał do cna zbuntowane roje, brał szturmem miasta, okopy, rzucając się z szybkością wichru z jednego końca Ukrainy w drugi.

Z tą samą zaciekłą wytrwałością szarpał teraz Szwedów. "Czarniecki nie wybije, ale wykradnie mi wojsko" — mówił Karol Gustaw. Lecz właśnie Czarnieckiemu uprzykrzyło się już wykradać; mniemał że przyszedł czas bić, zaś brakło mu zupełnie armat, piechoty, bez których stanowczo nie można było nic ważniejszego wskórać; dlatego tak pragnął połączyć się z Lubomirskim, który wprawdzie także małą miał ilość armat, ale wiódł z sobą piechoty złożone z górali. Te, jakkolwiek niezbyt jeszcze wyćwiczone, były już przecie nieraz w ogniu i mogły od biedy być użyte przeciw niezrównanym pieszym zastępom Karola Gustawa.

Więc pan Czarniecki był jakby w gorączce. Nie mogąc wreszcie wytrzymać w kwaterze, wyszedł przed sień i spostrzegłszy Wołodyjowskiego z Polanowskim, spytał:

— A nie widać posłów?

— Znać, że im radzi — odrzekł Wołodyjowski.

— Im radzi, ale mnie nie radzi, bo inaczej byłby pan marszałek swoich z odpowiedzią przysłał.

— Panie kasztelanie — rzekł Polanowski, który cieszył się wielkiem zaufaniem wodza, — poco się troskać? przyjdzie pan marszałek, dobrze! nie, to będziem postaremu podchodzić. Ciecze i tak krew ze szwedzkiego garnka, a to wiadomo, że gdy raz garnek zacznie ciec, to i wszystko z niego wypłynie.

Na to Czarniecki:

I w Rzeczypospolitej ciecze. Jeżeli teraz ujdą, wzmocnią się, przyjdą im posiłki z Prus, sposobność minie!

To rzekłszy, uderzył się ręką po pole, na znak niecierpliwości wtem dały się słyszeć stąpania końskie i basowy głos Zagłoby, śpiewający:

"Poszła Kaśka do piekarni,
A Stach do niej: Puść, przygarnij,
Kochana!

Bo śnieg pada i wiatr wieje,
Gdzież ja się biedny podzieję,
Do rana!..."

— Dobry znak! Wesoło wracają! — zawołał Polanowski.

Tymczasem tamci, ujrzawszy kasztelana, zeskoczyli z kulbak, oddali konie pacholikowi i szli żywo do ganku; nagle Zagłoba podrzucił czapkę w górę i udając głos marszałka tak wybornie, że ktoby go nie widział, mógłby się omylić, zakrzyknął:

— Vivat pan Czarniecki! nasz wódz!

Kasztelan zmarszczył się i rzekł prędko:

— Jest pismo dla mnie?

— Niema — odrzekł Zagłoba — jest coś lepszego. Marszałek z całem wojskiem przechodzi dobrowolnie pod komendę waszej dostojności!

Czarniecki przewiercił go wzrokiem, zaczem zwrócił się do Skrzetuskiego, jakby mu chciał rzec:

— Gadaj ty, bo tamten podpił!

Pan Zagłoba istotnie był nieco podpiły; lecz Skrzetuski po-

twierdził jego słowa, więc zdumienie odbiło się na obliczu kasztelana.

— Bywajcie za mną! — rzekł do przybyłych. — Mości Polanowski, mości Wołodyjowski, proszę także!

I wszyscy weszli do izby. Nie siedli jeszcze, gdy Czarniecki spytał:

— Co rzekł na mój list?

— Nic nie rzekł — odpowiedział Zagłoba, — a dlaczego, to się w końcu mojej relacyi okaże, teraz za incipiam...

Tu zaczął wszystko opowiadać, jak się odbyło, jako marszałka do decyzyi tak pomyślnej doprowadził. Czarniecki patrzał na niego z coraz większem zdziwieniem, Polanowski za głowę się chwytał, pan Michał wąsikami ruszał.

— Tożem ja waści nie znał dotąd, jak mi Bóg miły! — zawołał wreszcie kasztelan. — Uszom własnym nie wierzę!

— Ulisesem zdawna mnie nazywano! — odrzekł skromnie Zagłoba.

— Gdzie mój list?

— Ot, jest!

— Już ci muszę darować, żeś go nie oddał! To ćwik kuty na cztery nogi! Podkanclerzemu uczyć się u niego, jak układy prowadzić! Na Boga, gdybym był królem, do Carogrodubym waści wysłał...

— Jużby tu sto tysięcy Turka stało! — zakrzyknął pan Michał.

A Zagłoba na to:

— Dwieście, nie sto, żebym tak zdrów był!

— W niczemże się pan marszałek nie spostrzegł? — pytał znów Czarniecki.

— On? Łykał tak wszystko, com mu do gęby wkładał, jak karmny gąsior gałki, jeno mu grzdyka grała i oczy mgłą zachodziły. Myślałem, że pęknie od radości, jak szwedzki granat. Tego człowieka do piekła pochlebstwem można zaprowadzić!

— Byle się to na Szwedach skrupiło, byle się skrupiło, a mam nadzieję, że tak będzie! — odrzekł uradowany Czarniecki. — Waść jesteś człek zręczny, jako liszka, ale sobie z pana marszałka nie dworuj, bo inny i tegoby nie uczynił. Siła od niego zależy... chłopstwu kazać przeprawy utrudniać, mosty palić, wiwendę po lasach kryć... Waść będziesz miał zasługę, której ci do śmierci nie

zapomnę, ale i panu marszałkowi muszę dziękować, bo tak mniemam, że nie z samej próżności to uczynił.

Tu w ręce zaklaskał i krzyknął do pacholika:

— Konia mi natychmiast!... Kujmy żelazo póki gorące!

Poczem zwrócił się do pułkowników.

— Waszmościowie wszyscy za mną, żeby asysta była jak najokazalsza.

— Czy i ja mam jechać? — pytał Zagłoba.

— Waszmość zbudowałeś ten most między mną a panem marszałkiem, słuszna, abyś pierwszy po nim przejechał. Zresztą, tak myślę, że cię tam bardzo nawidzą... Jedź, jedź, panie bracie, bo inaczej powiem, że chcesz wpół rozpoczęte dzieło porzucić.

— Trudna rada! Muszę jeno pasa mocniej zacisnąć, bo się na nic utrzęsę... Już mi i sił nie bardzo staje, chybabym się czem pokrzepił.

— A czemby?

— Siła mi powiadano o kasztelańskim miodzie, któregom dotąd nie kosztował, a chciałbym wreszcie wiedzieć,czyli od marszałkowskiego lepszy?

— To się strzemiennego po kunsztyczku napijemy, a za to z powrotem nie będziem sobie zgóry odmierzali. Parę gąsiorków znajdziesz też waść u siebie w kwaterze...

To rzekłszy, kazał pan kasztelan podać kielichy wypili w miarę, na fantazyę i dobry humor, poczem na konie wsiedli i pojechali.

Marszałek przyjął pana Czarnieckiego z otwartemi rękoma gościł, poił, do rana nie puścił, za to rano połączyły się oba wojska i szły dalej w komendzie pana Czarnieckiego.

Koło Sieniawy napadli znow na Szwedów, tak skutecznie, iż tylną straż w pień wycięli i wprowadzili zamieszanie w szeregi głównej armii. Dopiero o świtaniu spędziły ich armaty. Pod Leżajskim jeszcze silniej nastąpił Czarniecki. Znaczne oddziały szwedzkie pogrzęzły w błotach, powstałych z deszczów i powodzi i te wpadły w ręce polskie. Droga stawała się dla Szwedów coraz opłakańszą. Wycieńczone, zgłodniałe i zmorzone snem pułki ledwie maszerowały. Coraz więcej żołnierzy zostawało na drodze. Znajdowano niektórych tak straszliwych zbiedzonych, że nie chcieli już jeść i pić, prosili tylko o śmierć. Inni kładli się i umierali po kępach, inni stracili przytomność i spoglądali z naj-

większą obojętnością na zbliżających się jeźdźców polskich. Cudzoziemcy, których sporo liczyło się w szwedzkich szeregach, poczęli wymykać się z obozu i przechodzić do pana Czarnieckiego.

Tylko niezłomny duch Karola Gustawa utrzymywał resztę gasnących sił w całej armii.

Bo nietylko za armią szedł nieprzyjaciel; rozmaite "partye" pod nieznanymi wodzami i kupy chłopskie zabiegały jej ustawicznie drogę. Oddziały te, niesforne i niezbyt liczne, nie mogły wprawdzie uderzyć na nią wstępnym bojem, ale nużyły śmiertelnie. Że zaś, chcąc wpoić w Szwedów przekonanie, iż Tatarzy przybyli już z pomocą, wszystkie polskie wojska wydawały tatarski okrzyk, więc "ałła! ałła!" rozlegało się dniem i nocą, bez chwili przerwy. Nie mógł żołnierz szwedzki odetchnąć, broni na moment w kozły złożyć. Naraz kilkunastu ludzi alarmowało całą armię. Konie padały dziesiątkami i zjadano je natychmiast, bo sprowadzanie prowiantów stało się niepodobieństwem. Od czasu do czasu polscy jeźdźcy znajdowali straszliwie poszarpane trupy szwedzkie, po których poznawali natychmiast chłopską rękę. Większa część wsi, w klinie między Sanem i Wisłą, należała do pana marszałka i do jego krewnych. Owóż wszyscy chłopi jak jeden mąż w nich powstali pan marszałek bowiem, nie żałując własnej fortuny, ogłosił, iż ten, który za oręż chwyci, z poddaństwa zostanie uwolniony. Ledwie wieść o tem rozbiegła się po ziemiach, wszystkie kosy osadzono sztorcem i poczęto codzień znosić głowy szwedzkie do obozu, aż pan marszałek musiał tego zwyczaju, jako niechrześciańskiego, zakazać.

Wówczas poczęto znosić rękawice i rajtarskie ostrogi. Szwedzi przywiedzeni do desperacyi, łupili ze skóry tych, którzy im w ręce wpadli i wojna codzień stawała się straszliwszą. Nieco wojska polskiego jeszcze trzymało się Szwedów, ale trzymano ich tylko postrachem. W drodze do Leżajska zbiegło ich wielu, pozostali wszczynali codzień takie tumulty w obozie, iż Karol Gustaw rozkazał rozstrzelać kilku towarzystwa. Było to hasłem ogólnej ucieczki, której dokonano z szablą w ręku. Nikt prawie nie pozostał, jeno Czarniecki wzmocniony, począł następować coraz potężniej.

Pan marszałek pomagał mu bardzo szczerze. Być może, iż szlachetniejsze strony jego natury wzięły na ów czas, zresztą kró-

tki, górę nad pychą i miłością własną, więc nie szczędził ni trudów, ni nawet życia i własną osobą prowadził nieraz chorągiew, nie dał odetchnąć nieprzyjacielowi, a że był żołnierz dobry, więc znaczne położył zasługi. Te, przyłożone do późniejszych, chwalebnąby mu zapewniły pamięć w narodzie, gdyby nie ów bunt bezecny, który pod koniec swego zawodu podniósł, aby naprawie Rzeczypospolitej przeszkodzić.

Lecz czasu tego wszystko czynił, by chwałę zyskać i okrył się nią jak płaszczem. Chodził z nim o lepszą pan Witowski, kasztelan sandomierski, stary i doświadczony żołnierz; ten Czarnieckiemu samemu chciał dorównać, lecz nie zdołał, bo mu Bóg wielkości odmówił.

Wszyscy trzej gnębili coraz potężniej Szwedów. Aż przyszło do tego, że te pułki piechotne i rajtarskie, którym wypadło iść tylną strażą w odwodzie, w takiem szły przerażeniu, iż popłoch wszczynał się między nimi z lada powodu. Wówczas sam Karol Gustaw postanowił zawsze iść z tylną strażą, by ducha obecnością swą dodawać.

Lecz zaraz w początkach o mało życiem tego nie przypłacił. Zdarzyło się, że mając przy sobie pułk lejbgwardyi, najtęższy z wszystkich pułków, bo żołnierzy do niego z całego narodu skandynawskiego wybierano, zatrzymał się król dla wypoczynek we wsi Rudniku. Tam zjadłszy u plebana obiad, postanowił zażyć nieco spoczynku, albowiem poprzedniej nocy oka nie zmrużył. Lejbgwardziści otoczyli dom, by nad bezpieczeństwem królewskiem czuwać. Tymczasem księży pacholik od koni wymknął się chyłkiem ze wsi i dopadłszy stadninki chodzącej po grudzie, skoczył na źrebaka i popędził do pana Czarnieckiego.

Lecz pan Czarniecki znajdował się tym razem o dwie mile drogi, zaś przednia straż, złożona z pułku księcia Dymitra Wiśniowieckiego, szła pod panem porucznikiem Szandarowskim, nie dalej jak pół mili za Szwedami. Pan Szandarowski rozmawiał właśnie z Rochem Kowalskim, który z rozkazami od kasztelana przyjechał, gdy nagle obaj ujrzeli nadlatującego co koń wyskoczy pacholika.

— Co to za dyabeł tak pędzi? — rzekł Szandarowski — i jeszcze na źrebaku?

— Chłopak wiejski — odrzekł Kowalski.

Tymczasem pacholę przyleciało przed sam szereg i zatrzymało się dopiero wówczas, gdy źrebak przestraszony widokiem koni i ludzi, stanął dęba i zarył kopytami w ziemię. Pacholik zeskoczył i trzymając źrebaka za chmyza, skłonił się panom rycerzom.

— A co powiesz? — spytał, zbliżywszy się Szandarowski.

— Szwedy u nas w plebanii; gadają, że sam król między nimi! — rzekł pacholik z iskrzącym wzrokiem.

— A siła ich?

— Nie będzie nad dwieście koni.

Szandarowskiemu z kolei zaświeciły się oczy; lecz bał się zasadzki, więc spojrzał groźnie na chłopaka i rzekł:

— Kto cię przysłał?

— Co mnie kto miał przysyłać! Samem na źrebaka na grudzie skoczył, ledwom się nie zatknął i czapkę zgubił. Dobrze, że mnie ścierwa nie obaczyli!

Prawda biła z opalonej twarzy pacholika i ochotę miał widocznie wielką na Szwedów, bo mu policzki pałały i stał przed oficerami, trzymając jedną rękę za grzywę źrebca, z rozwianym włosem, z rozchełstaną koszulą na piersiach, oddychając szybko.

— A gdzie reszta szwedzkiego wojska? — spytał chorąży.

— Jeszcze o świtaniu przewaliło się ich tyla, żeśmy zrachować nie mogli, ale tamci poszli dalej, a ostała jeno jazda, a jeden śpi u dobrodzieja, powiadają, że król.

Na to Szandarowski:

— Chłopie, jeśli łżesz, szyja ci spadnie, ale jeśli prawdę mówisz, proś o co chcesz.

A pacholik skłonił mu się do strzemienia:

— Żebym tak zdrów był! Nie chcę nijakiej nagrody, jeno żeby mi wielmożny pan oficer "siablę" dać kazał.

— A dać mu tam jaką szerpentynę — krzyknął na swoją czeladź zupełnie już przekonany Szandarowski.

Inni oficerowie poczęli wypytywać jeszcze pachołka, gdzie dwór, gdzie wieś, co robią Szwedzi, ten zaś odrzekł:

— Pilnują, psiajuchy! Kiedybyście prosto poszli, to was obaczą, ale ja was za olszyną poprowadzę.

Wydano wnet rozkazy i chorągiew ruszyła, zrazu rysią, potem w skok. Pachołek jechał oklep na swoim źrebaku bez uzdy, przed pierwszym szeregiem. Źrebaka piętami poganiał, a coraz to spoglądał promienistemi oczyma na obnażoną szerpentynę. Gdy już

wieś było widać, wykręcił w łozy i wiódł drogą, trochę grzązką. ku olszynom, w których było jeszcze błotniściej; zaczem zwolnili koniom.

— Cichajcie! — rzekł chłopak — jako się olszyna skończy, oni będą na prawo o ćwierć stajania.

Więc poczęli się posuwać bardzo zwolna, bo i droga trudna, a ciężkie konie jazdy zapadały nieraz do kolan. Wreszcie olszyna poczęła rzednąć i wyjechali na brzeg.

Wówczas, nie dalej jak o trzysta kroków, ujrzeli idący nieco w górę obszerny majdan, za nim dom księży, otoczony lipami, między któremi widać było słomiane wiechetki ulów, na majdanie zaś dwustu jeźdźców w czółenkowych hełmach i w pancerzach.

Olbrzymi jeźdźcy siedzieli na olbrzymich, lubo wychudzonych koniach i stali w gotowości, jedni z rapierami przy ramionach, drudzy z muszkietami opartemi o uda, ale patrzyli w inną stronę, ku głównej drodze, skąd jedynie mogli się spodziewać nieprzyjaciela. Wspaniały błękitny sztandar ze złotym lwem powiewał nad ich głowami.

Dalej, naokół domu, stały straże, po dwóch ludzi; jedna z nich zwrócona była ku olszynie, ale że słońce okrutnie grało i raziło oczy, a w olszynie, która już się pokryła bujnym liściem, było prawie ciemno, więc jeźdźców polskich nie mogła owa straż dostrzedz.

W Szandarowskim, kawalerze ognistym, krew poczęła kipieć jak ukrop, lecz się pohamował i czekał, póki szereg się uładzi, tymczasem Roch Kowalski położył swą ciężką rękę na ramieniu pachołka.

— Słuchaj, bąku! — rzekł. — A widziałeś króla?

— Widziałem, wielmożny panie! — szepnęło chłopię.

— Jakże wygląda? Po czem go poznać?

— Czarny okrutnie na gębie i czerwone wstęgi przy boku nosi.

— Konia zaś jego poznałbyś?

— Koń też kary z łysiną.

Na to Roch:

— Stajenny! pilnuj mnie i pokaż mi go!

— Dobrze panie! i prędko skoczym?...

— Zamknij gębę!

Tu umilkli i pan Roch modlić się począł do Najświętszej Panny,

aby mu z Karolem spotkać się dozwoliła i prowadziła rękę w spotkaniu.

Chwilę jeszcze trwała cisza, wtem koń pod samym Szandarowskim parsknął. Na to rajtar ze straży spojrzał, drgnął, jakby go coś podrzuciło w kulbace i wypalił z pistoletu.

— Ałła! ałła! bij, morduj! Uha-u-bij! — rozległo się w olszynie.

I chorągiew, wypadłszy jak grom z cienia, runęła ku Szwedom.

Uderzyła w dym, nim zdołali się wszyscy do niej czołem zwrócić i wnet poczęła się straszna rąbanina na szable tylko i rapiery, bo strzelać nikt nie miał czasu. W mgnieniu oka zepchnięto rajtarów na płot, który zwalił się z trzaskiem pod parciem zadów końskich i poczęto ich siec tak zapamiętale, iż stłoczyli się i mieszali. Dwakroć próbowali się zewrzeć i dwakroć rozerwani utworzyli dwie osobne kupy, które w mgnieniu oka rozdzieliły się znowu na mniejsze, wreszcie rozsypały się jak ziarnka grochu, które chłop szuflą rzuci w powietrze.

Nagle rozległy się rozpaczliwe głosy:

— Król! król! Ratujcie króla!

Karol Gustaw zaś, zaraz w pierwszej chwili spotkania, wypadł z pistoletem w ręku i szpadą w zębach przeze drzwi. Rajtar, który trzymał konia tuż przy drzwiach, podał mu go natychmiast, król wskoczył nań i skręciwszy koło samego węgła, rzucił się między lipy i ule, by tyłem wymknąć się z koła bitwy.

Dobiegłszy do płotu, wspiął konia, przesadził płot i wpadł w kupę rajtarów, broniącą się prawemu skrzydłu polskiemu, które przed chwilą właśnie okrążywszy dom, zderzyło się za ogrodem ze Szwedami.

— W konie! — krzyknął Karol Gustaw.

I obaliwszy pchnięciem szpady jeźdźca polskiego, który już wznosił nań szablę, jednym susem wydostał się z wiru bitwy; za nim rajtarowie rozerwali szeregi polskie i ruszyli całym pędem, jak stado jeleni, gnane przez psy, pędzi tam, gdzie je prowadzi rogacz przewodnik.

Jeźdźcy polscy zwrócili za nimi konie i rozpoczęła się gonitwa. Jedni i drudzy wypadli na główną drogę, prowadzącą z Rudnika do Bojanówka. Spostrzeżono ich z przedniego dziedzińca, na którym wrzała główna bitwa i wówczas to właśnie rozległy się głosy·

— Król! król! Ratujcie króla!

Lecz rajtarowie na przednim dziedzińcu byli już tak przyciśnięci przez samego Szandarowskiego, że i o własnym nawet ratunku myśleć nie mogli, pognał więc król w kupie, nie większej nad dwunastu rajtarów, z nimi zaś pognało blisko trzydziestu towarzystwa, na czele zaś wszystkich Koch Kowalski.

Pachołek, który miał mu króla pokazać, zamieszał się gdzieś w głównej bitwie, lecz Roch i sam poznał Karola Gustawa po bukiecie z czerwonych wstęg. Zaczem pomyślał, że jego chwila nadeszła, pochylił się w kulbace, ścisnął konia ostrogami i popędził jak wicher naprzód.

Uciekający, dobywając ostatnich sił z koni, rozciągnęli się po szerokiej drodze. Szybsze i lżejsze rumaki polskie poczęły ich jednak wkrótce dochodzić. Pierwszego rajtara dojechał Roch bardzo prędko, więc wstał w strzemionach dla lepszego rozmachu i ciął strasznie; rękę z łopatką jednym okropnym zamachem odwalił i biegł wichrem, oczy nanowo w króla utkwiwszy.

Następnie drugi rajtar zaczernił mu przed oczyma, zwalił drugiego, trzeciemu rozłupał hełm i głowę nad dwie połowy i rwał dalej, króla jedynie na oku mając. Wtem konie poczęły rajtarom rozpierać się i padać; chmura jeźdźców polskich dognała ich i wysiekła w mgnieniu oka.

Pan Roch pomijał już ludzi i konie, aby czasu nie tracić: przestrzeń między nim a Karolem Gustawem poczęła się zmniejszać. Dwóch już tylko jeźdźców przedzielało ich na przestrzeni kilkudziesięciu kroków.

Wtem strzała, puszczona z łuku przez któregoś z towarzyszów, zaśpiewała koło ucha panu Rochowi i utkwiła w krzyżach pędzącego przed nim rajtara, a ów zakołysał się w prawo, w lewo, wreszcie wygiął się w tył, zaryczał nieludzkim głosem i spadł z kulbaki.

Między Rochem a królem został już tylko jeden.

Lecz ten jeden, pragnąc widocznie ratować króla, zamiast uciekać, zawrócił konia. Pan Roch dobiegł i nie tak kula armatnia znosi człowieka z kulbaki, jako on zwalił go na ziemię, poczem, wydawszy krzyk okropny, rzucił się na kształt rozjuszonego odyńca przed siebie.

Król byłby mu może stawił także czoło i zginąłby niechybnie, ale za Rochem nadlatywali inni i strzały poczęły świstać, lada chwila która z nich mogła zranić konia, więc król go ścisnął jeszcze mo-

cniej piętami, twarz pochylił na grzywę i rwał przed sobą przestrzeń, nakształt jaskółki ściganej przez jastrzębia.

Zaś pan Roch począł swego nietylko ostrogami bość, ale płazem szabli okładać i tak pędzili jeden za drugim. Drzewa, kamienie, łozy, migały im w oczach, wiatr świstał w uszach. Kapelusz królowi spadł z głowy, rzucił wreszcie i kieskę, sądząc, iż nieubłagany jezdziec ułakomi się na nią i pogoni zaniecha; lecz Kowalski ani na nią spojrzał i walił coraz silniej konia, który począł wreszcie stękać z wysilenia.

Pan Roch zaś widocznie zapamiętał się ze wszystkiem, bo biegnąc, jął ryczeć głosem, w którym obok groźby, drgała i prośba:

— Stój! na miłosierdzie boskie!

Wtem koń królewski potknął się tak silnie, że gdyby król całą siłą nie podtrzymał go cuglami, byłby upadł. Roch ryknął jak żubr, przestrzeń dzieląca go od króla zmniejszyła się znacznie.

Po chwili rumak zaplątał się drugi raz i znów, nim król ustawił go na nogach, Roch zbliżył się o kilkanaście sążni.

Wówczas wyprostował się już w kulbace, jak do cięcia. Straszny był... Oczy wyszły mu na wierzch, a zęby błysnęły z pod rudawych wąsów... Jeszcze jedno potknięcie konia, jeszcze chwila, a losy całej Rzeczypospolitej, całej Szwecyi i całej wojny byłyby rozstrzygnięte. Lecz rumak królewski znów biedz począł, król zaś, odwróciwszy się, błysnął lufami dwóch pistoletów i po dwakroć dał ognia.

Jedna z kul strzaskała kolano rochowego bachmata. Ten wspiął się, a następnie padł na przednie nogi i zarył nozdrzami w ziemię...

Król mógłby był w tej chwili rzucić się na swego prześladowcę przeszyć go szpadą, na wylot, lecz w odległości dwustu kroków nadlatywali inni jeźdźcy polscy, więc pochylił się nanowo w kulbace i pomknął, jak strzała z tatarskiego łuku puszczona.

Roch wydobył się z pod konia... Chwilę popatrzył bezprzytomnie za uciekającym, następnie zatoczył się, jak pijany, siadł na drodze i począł ryczeć jak niedźwiedź.

Król zaś coraz był dalej, dalej! dalej!... Wreszcie począł zmniejszać się, topnieć i znikł w czarnej opasce chojarów.

Wtem z krzykiem i hukaniem nadbiegli towarzysze Rocha. Było ich z piętnastu, którym dopisały koni. Jeden z nich niósł

kieskę królewską, drugi kapelusz, na którym czarne strusie pióra były dyamentami upięte. Ci obaj poczęli wołać:

— Twoje to, twoje, towarzyszu! Słusznie ci się to należy!

A inni:

— Wiesz kogoś gonił? Wiesz kogoś dojeżdżał? To był sam Carolus!

— Na Boga! Póki żyw tak nie uciekał przed nikim, jak przed tobą. Chwałą niezmierną się okryłeś, kawalerze!...

— A co rajtarów przedtem nałuszczył, nim się za samym królem wysforował!

— Małoś ty szablą Rzeczypospolitej w mig nie zbawił!

— Bierz kieskę!

— Bierz kapelusz!

— Zacny był koń, ale dziesięć takich za te skarby kupisz!

Roch spoglądał na nich osłupiałemi oczyma,nakoniec zerwał się i zakrzyknął:

— Jam Kowalski, a to pani Kowalska. Idźcie do wszystkich dyabłów!!

— Rozum mu się pomieszał! — poczęto wołać.

— Konia mi dawajcie! jeszcze doścignę! — wołał Roch.

Lecz oni wzięli go pod ręce i choć się rzucał, poprowadzili nazad ku Rudnikowi, uspokajając i pocieszając po drodze.

— Dałeś mu pietra! — wołali. — Na co mu to przyszło, temu wiktorowi, temu pogromicielowi tylu państw, miast, wojsk!

— Cha! cha! Poznał polskich kawalerów!

— Sprzykrzy mu się w Rzeczypospolitej. Ciasne nań termina przyszły.

— Vivat Roch Kowalski!

— Vivat najmężniejszy kawaler! chluba całego wojska!

I poczęto pić z manierek. Dano Rochowi, a on do dna jeden bukłaczek wychylił i pocieszył się zaraz znacznie.

W czasie owego pościgu za królem na bojanowskiej drodze, rajtarzy przed plebanią bronili się jednak z godną tego sławnego pułku odwagą. Lubo napadnięci niespodzianie i zrazu bardzo prędko rozproszeni, równie prędko zebrali się przez to samo, że ich otoczono gęstą kupą koło błękitnego sztandaru. Ani jeden nie poprosił o pardon, ale stanąwszy koń przy koniu, ramię przy ramieniu, bodli rapierami tak zaciekle, iż przez chwilę zwycięstwo zdawało się chylić na ich stronę. Trzeba ich było albo na nowo

rozrywać, co stało się niepodobnem, gdyż naokół otaczała ich wstęga polskich jeźdźców, albo wyciąć do nogi. Uznał tę drugą myśl za lepszą Szandarowski, więc opasawszy kupę jeszcze ciaśniejszym pierścieniem, sam rzucał się na nieprzyjaciół, jak ranny krzeczot na stado długodziobych żórawi. Uczyniła się rzeź sroga i tłok. Szable brzęczały o rapiery, rapiery łamały się o furdymenty szabel. Czasem koń wspinał się jak delfin nad morską falę i po chwili wpadał w wir mężów i koni. Krzyki ustały, rozlegał się tylko kwik koński, przeraźliwy brzęk żelaza i sapanie zdyszanych piersi rycerskich; niezwykła zaciekłość opanowała serce Polaków i Szwedów. Walczono złamkami szabel i rapierów; jedni zczepiali się z drugimi, naksztalt jastrzębi, chwytano się za włosy, wąsy, gryziono zębami; ci, którzy spadli z koni, a jeszcze na nogach utrzymać się mogli, żgali nożami w brzuchy końskie, w łydy jeźdźców. W dymie, w wyziewach koni, w straszliwem uniesieniu bojowem, ludzie zmieniali się w olbrzymów i zadawali ciosy olbrzymie; ramiona zmieniły się w maczugi, szable w błyskawice. Jednym zamachem rozbijano hełmy stalowe jak garnki, rażono się przez łby, odwalono ręce z mieczami, cięto się bez wytchnienia, cięto bez pardonu, bez miłosierdzia. Z pod wiru ludzi i koni krew strumieniami poczęła spływać po majdanie.

Olbrzymi błękitny sztandar pływał jeszcze nad kołem szwedzkiem, lecz kolisko zmniejszało się z każdą chwilą.

Jak gdy żniwiarze staną z dwóch stron łanu i poczną migotać sierpami, łan niknie, a oni widzą się coraz bliżej, tak pierścień polski zaciskał się coraz bardziej, tak iż walczący z jednej strony mogli już dojrzeć krzywe szable walczących po przeciwnej.

Pan Szandarowski szalał jak huragan i wżerał się jak zgłodniały wilk wżera się paszczą w mięso świeżo zduszonego konia, lecz jeden jeździec go furyą przewyższał, a było nim owo pacholę, które pierwsze znać dało o Szwedach w Rudniku, a teraz skoczyło wraz z całą chorągwią na nieprzyjaciela. Księży źrebiec, trzylatek, który dotąd chadzał spokojnie po grudzie, naciskany przez konie, nie mogąc się wyrwać ze skrzętu, rzekłbyś: wściekał się, jak i pan jego; więc ze stulonemi uszyma, z oczami wyszłemi na wierzch głowy, z najeżoną grzywą, parł naprzód, kąsał, wierzgał, chłopak zaś szablą, jak cepem machał naoślep w prawo w lewo, od ucha; płowa czupryna spłynęła mu krwią, ostrza rapierów podziurawiły mu

ramiona i uda; twarz miał pociętą, lecz owe rany podniecały go tylko. Bił się w zapamiętaniu, jak człowiek, który o własnem życiu zdesperował i pragnie tylko pomścić śmierć swoją.

Tymczasem jednak zastęp szwedzki zmniejszał się, jak kupa śniegu, którą polewają ze wszystkich stron ukropem. Wreszcie koło królewskiego sztandaru zostało się tylko kilkunastu. Mrowie polskie pokryło ich zupełnie, a oni umierali ponuro, z zaciśniętemi zębami; żaden rąk nie wyciągnął, żaden nie zawołał o litość.

Wtem w zamęcie rozległy się głosy:

— Chorągiew brać! chorągiew!

Usłyszawszy to, pachoł żgnął sztychem źrebca i rzucił się jak płomień naprzód, gdy zaś każdy z rajtarów, stojących przy sztandarze, miał na sobie dwóch lub trzech jeźdźców polskich, chłopak chlasnął chorążego szablą przez gębę, a ten ręce rozkrzyżował i pochylił się twarzą na grzywę końską.

Błękitny sztandar upadł z nim razem.

Najbliższy rajtar, krzyknąwszy okropnie, chwycił natychmiast za drzewce, zaś chłopak ujął za płachtę, szarpnął, oddarł w mgnieniu oka, zwinął ją w kłąb i przyciskając obu rękoma do piersi, począł wrzeszczeć w niebogłosy:

— Mam, nie dam! Mam, nie dam!

Ostatni, pozostali rajtarowie, rzucili się na niego z wściekłością, jeden pchnął go jeszcze przez chorągiew i przeszył mu ramię, lecz w tej chwili rozniesiono wszystkich na szablach w puch.

Zaczem kilkanaście krwawych rąk wyciągnęło się ku chłopakowi.

— Chorągiew, dawaj chorągiew! — poczęto wołać.

Szandarowski poskoczył mu z pomocą.

— Zaniechać go! On wziął w moich oczach, niech ją samemu kasztelanowi odda.

— Jedzie kasztelan! jedzie!... — ozwały się liczne głosy.

Jakoż zdala ozwały się wojenne krzywuły i na drodze od strony grudzi ukazała się cała chorągiew, pędząca wskok ku plebanii. Była to chorągiew laudańska; na jej czele jechał sam pan Czarniecki. Dobiegłszy, widząc, iż wszystko już skończone, wstrzymali konie: żołnierze Szandarowskiego poczęli się sypać ku nim.

Poskoczył i Szandarowski z relacyą do kasztelana, tak zaś był

spracowany, że z początku tchu złapać nie mógł, bo i dygotał jak w febrze i głos urywał mu się co chwila w gardzieli.

— Sam król był... nie wiem... jeżeli uszedł...

— Uszedł! uszedł! — ozwali się ci, którzy patrzyli na gonitwę.

— Chorągiew wzięta!.... trupa moc!

Czarniecki, nie rzekłszy ni słowa, posunął się z koniem ku pobojowisku, które okrutny i żałosny przedstawiało widok. Przeszło dwieście trupów szwedzkich i polskich leżało mostem, jeden tuż obok drugiego, często jeden na drugim... Niektórzy trzymali się za włosy, niektórzy poumierali, gryząc się wzajemnie zębami lub szarpiąc się pazurami. A znów inni dzierżyli się, jakoby w braterskim objęciu lub leżeli wsparci głowami na piersiach nieprzyjaciół. Wiele twarzy było tak stratowanych, że nie pozostało w nich nic człowieczego, te zaś, których nie zdruzgotały kopyta, oczy miały otwarte, pełne przerażenia, grozy bojowej, wściekłości.. Krew chlupała w rozmiękłej ziemi pod nogami kasztelańskiego konia, które wnet poczerniały wyżej pęcin, zapach krwi i potu końskiego drażnił nozdrza i tamował dech w piersiach.

Kasztelan patrzył takiem okiem na owe ciała ludzkie, jakiem dziedzic patrzy na powiązane snopy pszeniczne, mające bróg napełnić. Zadowolenie odbiło się na jego twarzy. W milczeniu objechał dokoła plebanii, popatrzył na trupy leżące z drugiej strony za sadem, zaczem powrócił zwolna na główne bojowisko.

— Rzetelną tu widzę robotę — rzekł! — i kontent jestem z waszmościów!

Oni zaś wyrzucili krwawemi rękoma czapki w górę:

— Vivat Czarniecki!

— Daj Bóg prędkie drugie spotkanie!... Vivat!... vivat!...

A kasztelan na to:

— Pójdziecie do tylnej straży dla wypoczynku. Mości Szandarowski, a kto wziął chorągiew?

— Dawajcie pachołka! — zakrzyknął Szandarowski — gdzie on?

Żołnierze skoczyli szukać i znaleźli pacholika, siedzącego pod ścianą stajenną przy źrebcu, który padł z ran i ostatnie tchnienie wydawał. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że i chłopakowi nie wiele się należy, trzymał jednak choragiew obu rękoma przy piersiach.

Porwano go natychmiast i przyprowadzono przed kasztelana.

Stanął tedy bosy, rozczochrany, z nagą piersią, z koszulą i sukmaniną w strzępach, zamazany krwią szwedzką i własną jak nieboskie stworzenie, chwiejący się na nogach, ale z ogniem nie zgasłym jeszcze w źrenicach. Zdumiał się pan Czarniecki na jego widok.

— Jakżeto? — spytał — ten zdobył królewską chorągiew?

— Własną ręką i własną krwią — odparł Szandarowski. — On także pierwszy dał znać o Szwedach, a potem w największym ukropie tyle dokazywał, że mnie samego i wszystkich superavit!

— Prawda jest! Rzetelna prawda, jakoby kto spisał! — zakrzyknęli towarzysze.

— Jak ci imię? — spytał chłopaka pan Czarniecki.

— Michałko!

— Czyj jesteś?

— Księży.

— Byłeś księży, ale będziesz swój własny! — odrzekł kasztelan.

Lecz Michałko nie słyszał już ostatnich słów, bo z ran, z upływu krwi, zachwiał się i padł głową na kasztelańskie strzemię.

— Wziąć go, dać mu wszelki starunek. Ja w tem, że na pierwszym sejmie równy on wszystkim waszmościom będzie stanem, jako duszą już dziś równy!

— Godzien tego! godzien! — zakrzyknęła szlachta.

Poczem wzięto Michałka na nosze i wniesiono do plebanii.

Zaś pan Czarniecki słuchał dalszej relacyi, którą nie Szandarowski już składał, ale ci, którzy pościg pana Rocha za Karolem widzieli. Okrutnie uradował się tem opowiadaniem pan Czarniecki, aż się za głowę chwytał, to znów dłońmi po kolanach uderzał, bo rozumiał że po takim terminie znacznie musi upaść duch w Karolu Gustawie.

Pan Zagłoba nie mniej się radował i biorąc się w boki, z dumą mówił do rycerstwa:

— Ha, zbój! co? Gdyby był Carolusa doścignął, sam dyabeł nie potrafiłby mu go odjąć! Moja krew, jak mi Bóg miły, moja krew!

Pan Zagłoba z biegiem czasu i sam uwierzył w to święcie, że jest wujem Rocha Kowalskiego.

Tymczasem pan Czarniecki kazał szukać młodego rycerza, ale nie mogli go znaleźć, bo pan Roch ze wstydu i zmartwienia wlazł do stodoły, zakopał się w słomę i usnął tak mocno, że dopiero na-

zajutrz jak dzień dognał chorągiew. Ale jeszcze był mocno strapiony i nie śmiał pokazać się wujowi na oczy. Ten wszelako sam go poszukał i pocieszać zaczął:

— Nie frasuj się, Rochu! — mówił. — Wielką i tak chwałą się okryłeś; sam słyszałem, jak cię pan kasztelan wysławiał: "Kiep (powiada) na oko, że i trzech zda się nie zliczy, a to widzę ognisty kawaler, który reputacyę całego wojska podniósł!"

— Pan Jezus mi nie pobłogosławił — rzekł Roch, — bom się poprzedniego dnia upił i pacierzam wieczorem zaniechał!

— Jeno nie próbuj wyroków boskich dochodzić, żebyś zaś jeszcze nie pobluźnił. Co możesz na plecy brać, to bierz, ale na rozum nic bierz, gdyż zaraz będziesz szwankował.

— Bom już był blizko, tak że mnie pot od jego konia zalatywał. Byłbym go aż do kulbaki przeciął! Wuj to myśli, że ja zgoła nie mam rozumu!

Na to Zagłoba:

— Każde bydlę ma swój rozum. Setny chłop z ciebie, Rochu, i pociechy mi jeszcze nieraz przysporzysz. Daj Boże, żeby twoi synowie mieli ten sam w pięści rozum!

— A nie potrzebuję! — rzekł Roch. — Ja jestem Kowalski, a to pani Kowalska...

---

## LX.

Po rudnickich terminach poszedł król dalej w klin, między San a Wisłę i nie przestał postaremu z tylną strażą iść, bo był nietylko znamienitym wodzem, ale i rycerzem odwagi niezrównanej. Szli za nim pan Czarniecki, pan Witowski, pan Lubomirski i napędzali go, jako zwierza do sieci. Luźne partye hałasowały dniem i nocą nad Szwedami. Żywności było coraz mniej, wojsko coraz bardziej znużone i na duchu upadłe, zguby pewnej oczekujące.

Zaszyli się nakoniec Szwedzi w sam kąt, gdzie się dwie rzeki schodzą i odetchnęli. Tu już z jednej strony broniła ich Wisła, z drugiej San, szeroko jako zwykle wiosną rozlany, zaś trzeci bok

trójkąta umocnił król potężnemi szańcami, na które pozaciągano działa.

Nie do zdobycia to była pozycya, jeno można w niej było z głodu umrzeć. Ale i pod tym względem nabrali Szwedzi lepszej otuchy, gdyż spodziewali się, że im z Krakowa i z innych fortec nadbrzeżnych wodą komendanci śpiże przyślą. Ot, zaraz pod bokiem był Sandomierz, w którym pułkownik Szynkler znaczne nagromadził zapasy. Toż i wnet je nadesłał, więc jedli, pili, spali, a zbudziwszy się, śpiewali luterskie psalmy na chwałę Bogu, że ich z tak ciężkiej toni ratował.

Lecz pan Czarniecki nowe gotował im ciosy.

Sandomierz w szwedzkich ręku mógł ciągle przychodzić w pomoc głównej armii, umyślił więc pan Czarniecki jednym zamachem odebrać miasto, zamek, a Szwedów wyciąć.

— Okrutnie im sprawimy widowisko, — mówił na radzie wojennej — będą patrzeć z tamtego brzegu, jako na miasto uderzym, a z pomocą przez Wisłę przyjść nie potrafią; my zaś, mając Sandomierz żywności z Krakowa od Wirtza nie puścimy.

Pan Lubomirski, pan Witowski i inni starzy wojownicy odradzali panu Czarnieckiemu ten postępek.

— Dobrzeby było (mówili) opanować tak znaczne miasto i siła moglibyśmy Szwedom tem zaszkodzić, ale jak go wziąć? Piechoty nie mamy, armat wielkich nie mamy, trudno, by jazda na mury się darła!

Na to pan Czarniecki:

— Albo to nasi chłopi źle się na piechotę biją? Bylem takich Michałków parę tysięcy znalazł, wezmę nietylko Sandomierz, ale i Warszawę!

I nie słuchając dłużej niczyich rad, przeprawił się przez Wisłę. Ledwie po okolicy głos poszedł, sypnęło się do niego parę tysięcy ludu, kto z kosą, kto z rusznicą, kto z muszkietem i ruszyli pod Sandomierz.

Wpadli do miasta dość niespodzianie i po ulicach wszczęła się rzeź okrutna. Szwedzi bronili się zaciekle z okien, z dachów, lecz wytrzymać nawałności nie mogli. Wygnieciono ich jak robactwo po domach i wyparto całkiem z miasta. Szynkler schronił się resztą do zamku, lecz Polacy tymże impetem ruszyli za nim.

Rozpoczął się szturm do bram i murów. Poznał Szynkler, że i w zamku się nie utrzyma.

Więc zgarnął, co mógł, ludzi, rzeczy, zapasów żywności i wsadziwszy na szkuty, przeprawiał się do króla, który patrzył z drugiego brzegu na klęskę swoich, nie mogąc im iść w pomoc.

Zamek wpadł w ręce polskie.

Lecz chytry Szwed, uchodząc, podsadził pod mury, po piwnicach, beczki z prochem i z zapalonemi lontami.

Zaraz, stanąwszy przed obliczem króla, powiedział mu tę wiadomość, aby mu serce rozweselić.

— Zamek w powietrze wyleci ze wszystkimi ludźmi — rzekł. — Może i sam Czarniecki zginie.

— Jeśli tak, to i ja chcę widzieć, jako pobożni Polacy do nieba lecieć będą — odrzekł król.

I pozostał ze wszystkimi generałami na miejscu.

Tymczasem, mimo zakazów Czarnieckiego, który zdradę przewidywał, wolentarze i chłopi rozbiegli się po całym zamku dla szukania ukrytych Szwedów i dla rabunku. Trąby grały alarm, by kto żyw, chronił się do miasta, lecz oni nie słyszeli tych głosów lub nie chcieli na nie zważać.

Nagle zatrzęsła się im ziemia pod nogami, słup ognia strzelił do góry, wyrzucając w powietrze ziemię, mury, dachy, cały zamek i przeszło pięćset ciał tych, którzy się cofnąć nie zdołali.

Karol Gustaw w boki się wziął z radości, a usłużni dworacy wnet zaczęli powtarzać jego słowa:

— Do nieba idą Polacy! do nieba! do nieba!

Lecz przedwczesna to była radość, bo niemniej Sandomierz został w ręku polskich i nie mógł już zaopatrywać w żywność głównej armii, zamkniętej w kącie rzecznym.

Pan Czarniecki rozbił obóz naprzeciw Szwedów, po drugiej stronie Wisły i pilnował przeprawy.

Pan Sapieha zaś, hetman wielki litewski i wojewoda wileński, nadciągnął z Litwinami z drugiej strony i położył się za Sanem.

Obsaczono tedy Szwedów zupełnie, chwycono ich, jakoby w kleszcze.

— Potrzask zapadł! — mówili między sobą żołnierze w pobliskich obozach.

Każdy bowiem, najmniej nawet ze sztuką wojenną obznajmio-

ny rozumiał, że zguba wisi nad najezdnikami nieuchronna, chybaby nadeszły na czas posiłki i wyrwały ich z toni.

Rozumieli to i Szwedzi; co rana oficerowie i żołnierze, przychodząc nad brzeg Wisły, spoglądali z rozpaczą w oczach i w sercu na czerniejące po drugiej stronie zastępy groźnej jazdy Czarnieckiego.

Następnie szli nad San, tam znów wojska pana Sapiehy czuwały dzień i noc, gotowe przyjąć ich szablą i muszkietem.

O przeprawie, bądź przez San, bądź przez Wisłę, póki oba wojska stały w pobliżu, nie było co i myśleć. Mogliby chyba Szwedzi wracać do Jarosławia tąż samą drogą, którą przyszli, ale to wiedzieli, że w takim razie ani jeden z nich nie zobaczyłby już Szwecyi.

Poczęły więc im płynąć ciężkie dni; cięższe jeszcze, bo swarliwe i pełne hałasów noce... Żywność znowu się kończyła...

Tymczasem pan Czarniecki, zostawiwszy komendę nad wojskiem panu Lubomirskiemu i wziąwszy laudańską chorągiew dla asysty, przeprawił się przez Wisłę, powyżej ujścia Sanu, ażeby się z panem Sapiehą zobaczyć i o dalszej wojnie z nim naradzić.

Tym razem nie potrzeba było pośrednictwa Zagłoby, aby dwóch wodzów do siebie dopasować, obaj bowiem miłowali ojczyznę więcej, niż każdy samego siebie, obaj byli gotowi dla niej poświęcić prywatę, miłość własną i ambicyę.

Hetman litewski nie zazdrościł Czarnieckiemu, Czarniecki również hetmanowi, owszem, obaj się wielbili wzajemnie, to też spotkanie między nimi było takie, że aż najstarszym żołnierzom łzy stanęły w oczach.

— Rośnie Rzeczpospolita, raduje się miła ojczyzna, gdy tacy jej synowie w ramiona się biorą — mówił do Wołodyjowskiego i do Skrzetuskich Zagłoba. — Czarniecki straszny wojennik i szczera dusza, ale i Sapja do rany przyłóż, to się zgoi. Bodaj się tacy na kamieniu rodzili. Oto skóraby na Szwedach spierzchła, żeby owe afekty największych ludzi widzieć mogli. Czemżeto oni nas bowiem zawojowali, jeżeli nie niezgodą a zawiścią panów. Zali siłą nas zmogli, co? Ot! to rozumiez! Dusza w człeku skacze na widok takiego spotkania. Ręczę też wam i za to, że nie będzie suche, bo Sapja okrutnie uczty lubi, a już z takim konfidentem chętnie sobie cugli popuści.

— Bóg łaskaw! złe mija! Bóg łaskaw! — mówił Jan Skrzetuski.

— Obacz, abyś nie bluźnił! — odrzekł na to Zagłoba — każde złe musi minąć, bo gdyby wiecznie trwało, to byłby dowód, że dyabeł rządzi światem, nie zaś Pan Jezus, który miłosierdzie ma nieprzebrane.

Dalszą rozmowę przerwał im widok Babinicza, którego wyniosłą postać ujrzeli zdała ponad falą głów innych. Pan Wołodyjowski i Zagłoba poczęli zaraz kiwać na niego, lecz on tak zapatrzony był w pana Czarnieckiegó, że ich zrazu nie zauważył.

— Patrzcie, — rzekł Zagłoba — jako się chłop zmizerował!

— Nie musiał wiele wskórać przeciw księciu Bogusławowi, — dopowiedział Wołodyjowski — inaczej byłby weselszy.

— I pewno, że nie wskórał. Wiadomo, że Bogusław pod Malborkiem, razem Szteinbokiem, przeciw fortecy czyni.

— W Bogu nadzieja, że nic nie sprawią!

Na to pan Zagłoba:

— Choćby też i Malbork wzięli, my tymczasem Carolum Gustawum captivabimus obaczym, czy fortecy za króla nie oddadzą?

— Patrzcie! Babinicz idzie już do nas — przerwał Skrzetuski.

On zaś istotnie dostrzegłszy ich, począł odsuwać tłum na obie strony i dążyć ku nim, kiwając im czapką i uśmiechając się zdaleka. Przywitali się jak dobrzy znajomi i przyjaciele.

— Co słychać? Cóżeś panie kawalerze uczynił z księciem? — pytał Zagłoba.

— Źle słychać, źle! Ale nie pora o tem powiadać. Teraz do stołów zasiądziemy. Waszmościowie zostaniecie tu na noc, chodźcież do mnie po uczcie na nocleg, między moich Tatarów. Szałas mam wygodny, to sobie przy kielichach pogawędzim do rana.

— Jak tylko ktoś mądrze mówi, ja się nie przeciwię! — odparł Zagłoba. — Powiedz nam jeno, od czegoż tak wymizerniał?

— Bo mnie w bitwie razem z koniem obalił i rozbił ten piekielnik, jako gliniany garnek, że jeno od tej pory żywą krwią pluwam i przyjść do siebie nie mogę. W miłosierdziu Pana naszego Chrystusa nadzieja, że jeszcze krew z niego wytoczę. Ale teraz chodźmy, bo już pan Sapieha z panem Czarnieckim poczynają sobie świadczyć i o pierwszy krok się ceremoniować. Znak to, że stoły gotowe. Z wielkiem sercem tu was czekamy, boście też juchy szwedzkiej dość rozleli.

— Niech inni mówią, jakem dokazywał! — rzekł Zagłoba — mnie nie wypada!

Wtem całe tłumy ruszyły się i poszli wszyscy na majdan między namioty, na którym zastawione były stoły. Pan Sapieha wystąpił na cześć pana Czarnieckiego, jak król. Stół, przy którym posadzono kasztelana, był szwedzkiemi chorągwiami nakryty. Miody i wina lały się ze stągiew, że obaj wodzowie podchmielili sobie nieco pod koniec. Nie brakło wesołości, żartów, wiwatów, gwaru, aż lubo, pogoda była cudna i słońce nad podziw dogrzewało, chłód wieczorny spędził wreszcie ucztujących.

Wówczas Kmicic zabrał swoich gości między Tatarów. Siedli tedy w jego namiocie na łubach, obficie wszelkiego rodzaju zdobyczą wypchanych i gwarzyć poczęli o kmicicowej wyprawie.

— Bogusław teraz jest pod Malborkiem, — mówił pan Andrzej a inni powiadają, że jest u elektora, z którym razem na odsiecz ma ciągnąć.

— To lepiej! to się spotkamy! Wy młodzi nie umiecie sobie z nim poradzić, obaczym, jak sobie stary da rady. Z różnymi się spotykał, ale z Zagłobą jeszcze nie. Powiadam, że się spotkamy, chyba mu książę Janusz w testamencie zalecił, żeby Zagłobę zdaleka omijał. Może to być!

— Elektor chytry człek, — rzekł Jan Skrzetuski — i niech tylko ujrzy, że z Carolusem źle, wnet będzie wszystkie obietnice i przysięgi relaksował.

— A ja wam mówię, że nie — rzekł Zagłoba. Nikt nie jest na nas bardziej zawzięty, jako Prusak. Gdy twój sługa, który ci pod togi musiał podejmować i szaty twoje czyścić, panem twoim przy odmianie fortuny zostanie, to właśnie tem będzie sroższy, im byłeś mu panem łaskawszym.

— To zaś czemu? — pytał Wołodyjowski.

— Bo mu jego służebna kondycya w pamięci zostanie i mścić się będzie za nią na tobie, choćbyś mu same dobrodziejstwa świadczył.

— Mniejsza z tem! — rzekł Wołodyjowski. — Nieraz się też zdarza, że i pies pana w rękę ukąsi. Niech nam Babinicz lepiej o swej wyprawie powiada.

— Słuchamy! — rzekł Skrzetuski.

Kmicic, pomilczawszy chwilę, nabrał tchu i począł rozpowiadać o ostatniej wojnie sapieżyńskiej z Bogusławem, o klęsce tego o-

statniego pod Janowem, nakoniec o tem, jak książę Bogusław, rozbiwszy w puch Tatarów, jego samego wraz z koniem na ziemię obalił i z życiem uszedł.

— A powiadałeś waszmość, — przerwał Wołodyjowski — że go będziesz ze swymi Tatarami choćby do Bałtyku ścigał?

Na to Kmicic:

— A waszmość mi powiadałeś także w swoim czasie, jako tu obecny pan Skrzetuski, gdy mu Bohun umiłowaną dziewkę porwał, przecie i jej i zemsty zaniechał, dlatego że ojczyzna była w potrzebie. Z kim kto przestaje, takim się staje, jam zaś z waszmościami się zadał i śladem ich iść pragnę.

— Bodaj ci tak Matka Boska nagrodziła, jak Skrzetuskiemu! — odrzekł Zagłoba. — Wszelako wolałbym, żeby twoja dziewka była teraz w puszczy, niż w Bogusławowych ręku.

— Nic to! — zakrzyknął pan Wołodyjowski — odzyszczesz ją!

— Mam ja do odzyskania nie tylko jej personę, ale jej estymę i afekt.

— Jedno przyjdzie za drugiem, — rzekł pan Michał — choćbyś osobę miał i gwałtem brać, jako to wówczas, pamiętasz?

— Tego nie uczynię więcej!

Tu począł pan Andrzej wzdychać ciężko, a po chwili rzekł:

— Nietylkom tamtej nie odzyskał, ale jeszcze i drugą Bogusław mi porwał.

— Czysty Turek! jak mi Bóg miły! — zakrzyknął Zagłoba.

A pan Michał począł wypytywać:

— Jaką drugą?

— At! siła powiadać — odrzekł Kmicic. — Była jedna dziewka, okrutnie gładka, w Zamościu, która się panu staroście kałuskiemu haniebnie podobała. Ów, że siostry, księżnej Wiśniowieckiej, się boi, nie śmiał przy niej zbyt nacierać, zamyślił tedy dziewkę wysłać ze mną, niby do pana Sapiehy, po spadek na Litwie, w rzeczy zaś dlatego, by mi ją o pół mili za Zamościem odjąć i w jakiej pustce osadzić, w którejby nikt zapałom jego nie mógł przeszkadzać. Alem ja zwietrzył tę intencyę. Chcesz ty ze mnie (pomyślałem) rajfura swego uczynić? czekaj! I ludzi mu wybatożyłem, a pannę w całej panieńskiej cnocie do pana Sapiehy odwiozłem. Mówię waćpaństwu, dziewka krasna, jako szczygieł, ale zacna... Ja też

już inny człek, a moi kompanionowie, Panie, świeć nad ich duszą! dawno już opróchnieli w ziemi!

— Cóżto była za dziewka? — spytał Zagłoba.

— Z zacnego domu, respektowa księżnej pani Wiśniowieckiej. Niegdyś była zmówiona z Litwinem Podbipiętą, któregoście waćpanowie znali...

— Anusia Borzobohata!!! — wrzasnął, zrywając się z miejsca. Wołodyjowski.

Zagłoba zerwał się także z kupy wojłoków.

— Panie Michale, pohamuj się!

Lecz pan Wołodyjowski skoczył, jak kot, ku Kmicicowi.

— Tyżeś, zdrajco, dał ją porwać Bogusławowi?!

— Nie krzywdź mnie! — rzekł Kmicic. — Odwiozłem ją szczęśliwie do hetmana, staranie o niej takowe, jak o siostrze mając, a Bogusław porwał ją nie mnie, ale innemu oficerowi, z którym pan Sapieha do swojej rodziny ją odesłał, który zwał się Głowbicz, czy jak, dobrze nie pamiętam.

— Gdzie on jest?!

— Nie masz go tu, bo poległ. Tak przynajmniej oficerowie sapieżyńscy powiadali. Ja osobno z Tatary Bogusława podchodziłem, więc dobrze nic nie wiem. Ale miarkując z twojej alteracyi, widzę, że jednaki nas termin spotkał, jeden człek nas pokrzywdził, a skoro tak jest, to się przeciw niemu połączmy, by wspólnie krzywdy i zemsty dochodzić. Wielki on pan i wielki rycerz, a przecie myślę, że ciasno mu będzie w całej Rzeczypospolitej, gdy takich dwóch będzie miał wrogów.

— Masz moją rękę! — odrzekł Wołodyjowski. — Już my odtąd druhy na śmierć i życie! Który go pierwszy znajdzie, ten mu za dwóch zapłaci. Dałby Bóg mnie pierwszemu, bo że jego krew wytoczę, to jako amen w pacierzu!

Tu pan Michał począł tak okrutnie wąsikami ruszać i po szabli się macać, że pana Zagłobę aż strach wziął, wiedział bowiem, że z panem Michałem niema żartów.

— Nie chciałbym ja być teraz księciem Bogusławem, — rzekł po chwili — choćby mi kto całe Inflanty do tytułu dodał. Dość jednego takiego żbika, jak Kmicic mieć na sobie, a cóż dopiero pana Michała! Ba! niedość tego, bo i ja z wami foedus zawieram. Moja głowa, wasze szable! Nie wiem, czyli jest potentat w chrześcijań-

stwie, któryby przed taką potęgą nie zadrżał. Do tego i Pan Bóg prędzej później umknie mu fortuny, bo nie może być, aby na zdrajcę i heretyka kary nie było... Kmicic już mu i tak nieźle sadła za skórę nalał.

— Nie neguję, że spotkała go ode mnie niejedna konfuzya — odrzekł pan Andrzej.

I kazawszy nalać kielichy, opowiedział jako Sorokę z więzów uwolnił. Zamilczał tylko o tem, że pierwej się do nóg Radziwiłłowi rzucił, bo na samo wspomnienie tej chwili krew go zalewała.

Pan Michał rozweselił się, słuchając opowiadania, a w końcu rzekł:

— Niech ci Bóg sekunduje, Jędrek! Z takim rezolutem możnaby i do piekła iść! To tylko bieda, że nie zawsze będziem mogli razem chodzić, bo służba służbą. Mnie mogą wysłać w jedną stronę Rzeczypospolitej, ciebie w drugą. Nie wiadomo, który na niego pierwszy trafi.

Kmicic pomilczał chwilę.

— Po sprawiedliwości, ja powinienbym go dostać... Jeśli znów tylko z konfuzyą nie wyjdę, bo wstyd przyznać się, ale ja na rękę temu piekielnikowi zdzierżyć nie mogę...

— To ja cię wszystkich moich arkanów wyuczę! — zawołał Wołodyjowski.

— Albo ja! — rzekł Zagłoba.

— Nie! Wybaczaj waszmość, wolę u Michała się uczyć! — odparł Kmicic.

— Choć on taki rycerz, a przecież się go z panią Kowalską nie boję, byłem był wyspan! — wtrącił Roch.

— Cicho, Rochu! — odpowiedział Zagłoba, — żeby cię Bóg przez jego ręce za chełpliwość nie pokarał.

— Owa! Nie będzie mi nic!

Biedny pan Roch nie był szczęśliwym prorokiem, lecz mu się okrutnie w tej chwili z czupryny kurzyło i gotów był cały świat wyzwać na rękę. Inni też pili mocno, sobie na zdrowie, Bogusławowi i Szwedom na pohybel.

— Słyszałem, — rzekł Kmicic — iż gdy tylko tych Szwedów tu zetrzem i króla dostaniem, zaraz pod Warszawę pociągniemy. Potem pewnie będzie i wojnie koniec. Potem zasie przyjdzie na elektora kolej.

— O to? to! to! — rzekł Zagłoba.

— Słyszałem, jak sam pan Sapieha to kiedyś powiadał, a on jako człek wielki, lepiej kalkuluje. Powiada tedy do nas: "Za Szwedem będzie fryszt! Z septentrionami już jest, ale z elektorem nie powinniśmy się w żadne układy bawić. Pan Czarniecki, powiada, z Lubomirskim pójdą do Brandenburgii, a ja z panem podskarbim litewskim do Prus elektorskich, a jeżeli potem, mówi, nie przyłączymy Prus na wieki do Rzeczypospolitej, to chyba w kancelaryi niema ani jednej takiej głowy, jak pan Zagłoba, który na własną rękę listami elektorowi groził."

— Także Sapjo powiadał? — spytał Zagłoba, czerwieniejąc z zadowolenia.

— Wszyscy to słyszeli, a jam był okrutnie rad, bo ta sama rózga Bogusława wysiecze i jeśli nie prędzej, to wówczas napewno go dosięgniem.

— Byle z tymi Szwedami prędzej skończyć! — rzekł Zagłoba. — Jechał ich sęk! Niech ustąpią Inflanty i miliony pozwolą, darujem ich zdrowiem.

— Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma!—odparł, śmiejąc się Jan Skrzetuski. — Jeszcze Carolus w Polsce, jeszcze Kraków, Warszawa i Poznań i wszystkie znamienitsze miasta w jego ręku, a ojciec już chcesz, żeby się okupował. Ej, siła się jeszcze przyjdzie napracować, nim o elektorze pomyślimy!

— A jest armia Steinboka, a prezydya, a Wirtz! — wtrącił Stanisław.

— To czemu siedzim z założonemi rękami? — spytał nagle Roch, wytrzeszczając oczy — nie możem to Szwedów bić?

— Głupiś Rochu! — rzekł Zagłoba.

— Wuj zawsze jedno, a ja, jakom żyw, widziałem czółna nad brzegiem. Możnaby pojechać i choć straż porwać. Ciemno, choć w pysk bij; nim się opatrzą, to i wrócim, a fantazyę kawalerską obu wodzom pokażem. Jak waszmościowie nie chcecie, to sam pójdę!

— Ruszyło martwe cielę ogonem, dziw nad dziwy! — rzekł z gniewem Zagłoba.

Lecz Kmicicowi poczęły zaraz nozdrza latać.

— Niezła myśl! niezła myśl! — rzekł.

— Niezła dla czeladzi, ale nie dla tego, kto powagę kocha.

Ludzie miejcie respekt dla siebie samych! Toż pułkownikami jesteście, a chcecie w drapichróstów się bawić.

— Pewnie, że nie bardzo wypada! — rzekł Wołodyjowski. — Lepiej spać pójdziemy, bo późno.

Wszyscy zgodzili się na tę myśl, więc zaraz klękli do pacierzy i poczęli je w głos odmawiać; poczem pokładli się na wojłokach i wnet usnęli snem sprawiedliwych.

Lecz w godzinę później zerwali się wszyscy na równe nogi, gdyż huk wystrzałów rozległ się za rzeką, zaczem gwar, krzyki powstały w całym sapieżyńskim obozie.

— Jezus, Marya! — rzekł Zagłoba. — Szwedzi następują!

— Co waść gadasz! — odpowiedział, chwytając szablę Wołodyjowski.

— Rochu, bywaj! — wołał Zagłoba, który w nagłych razach lubił mieć siestrzana przy sobie.

Lecz Rocha nie było w namiocie.

Wybiegli więc na majdan. Tłumy już były przed namiotami i wszyscy dążyli nad rzekę; po drugiej stronie widać było błyskawice ognia i huk rozlegał się coraz większy.

— Co się stało? co się stało? — pytano straży, porozstawianych licznie nad brzegiem.

Lecz straże nic nie widziały. Jeden z żołnierzy opowiadał, iż słyszał coś, jakby plusk fali, lecz że mgła wisiała nad wodą, więc nie mógł nic dostrzedz, nie chciał zaś za byle odgłosem alarmować obozu.

Zagłoba, wysłuchawszy relacyi, chwycił się za głowę z desperacyi.

— Roch pojechał do Szwedów! Mówił, że straż chce porwać!

— Dla Boga! może to być! — zawołał Kmicic.

— Ustrzelą mi chłopa, jak Bóg na niebie! — desperował dalej Zagłoba. — Mości panowie, czy nie ma żadnego ratunku? Panie Jezu! chłop jak złoto najszczerszy! Niemasz takiego drugiego w obu wojskach! Co mu do głupiego łba strzeliło?!... Matko Boża, ratujże go w tej toni!...

— Może przypłynie, mgła sroga! Nie obaczą go!

— Będę tu czekał choćby do rana. Matko Boża! Matko Boża!

Tymczasem strzały po przeciwnym brzegu poczęły się uspokajać, światła gasły stopniowo i po godzinie zapanowało głuche milczenie. Zagłoba chodził nad brzegiem rzeki, jako kura, która

kaczęta wodzi i wyrywał sobie resztki włosów z czupryny, lecz próżno czekał, próżno desperował. Ranek ubielił rzekę, wreszcie słońce zaszło, a Roch nie wracał.

## LXI.

Nazajutrz skoro dzień pan Zagłoba, ciągle w desperacyi trwając, udał się do pana Czarnieckiego z prośbą, aby posłał do Szwedów obaczyć, co się z Rochem przygodziło, żywli, czy w niewoli jęczy, czy też gardłem za swą śmiałość zapłacił?

Czarniecki zgodził się na to bez żadnej trudności, gdyż pana Zagłobę miłował. Pocieszając go tedy w utrapieniu, tak mówił:

— Myślę, że siostrzan waści żyw być musi, bo inaczej wodaby go wyniosła.

— Dałby Bóg! — odrzekł z żalem Zagłoba, — wszelako niełacno woda wyniesie, bo nietylko rękę miał ciężką, ale dowcip jakoby z ołowiu, co się i z jego uczynku pokazuje.

Na to Czarniecki:

— Słusznie waść mówisz! Jeśli żyw, powinienbym go kazać koniem po majdanie włóczyć za pominięcie dyscypliny. Wolno alarmować szwedzkie wojska, ale on oba zaalarmował, a i Szwedów bez komendy i mojego rozkazania nie wolno. Cóżto! pospolite ruszenie, czy ki dyabeł, żeby każdy na własną rękę miał się rządzić!

— Zawinił, assentior. Sam go ukarzę niechby go jeno Pan Bóg powrócił!

— Ja zaś przebaczę, przez pamięć na rudnickie terminy. Siła mamy jeńców do wymiany i znaczniejszych oficerów od Kowalskiego. Jedźże waść do Szwedów i pogadaj o wymianie. Dam dwóch i trzech w razie potrzeby, bo nie chcę waści serca krwawić. Przyjdź do mnie po pismo do króla jegomości i jedź żywo!

Zagłoba skoczył uradowany do namiotu Kmicica i opowiedział towarzyszom, co zaszło. Pan Andrzej i Wołodyjowski zakrzyknęli zaraz, że chcą z nim jechać bo obaj ciekawi byli Szwedów, Kmicic zaś mógł być prócz tego wielce pożyteczny dla tego, iż po niemiecku tak prawie płynnie, jak po polsku mógł mówić.

Przygotowania nie zabrały im wiele czasu. Pan Czarnieck', nie czekając na powrót Zagłoby, przysłał sam przez pacholika pismo, zaczem wzięli trębacza, siedli w łódź z białą płachtą, osadzoną na drągu i ruszyli.

Z początku jechali w milczeniu, słychać było tylko chrobotanie wioseł o boki łodzi, wreszcie Zagłoba począł się nieco niepokoić i rzekł:

— Niech jeno trębacz prędko nas oznajmuje, bo szelmy, mimo białej płachty, gotowi strzelać!

— Co waćpan prawisz! — odpowiedział Wołodyjowski — nawet barbarzyńcy posłów szanują, a to polityczny naród!

— Niech trębacz trąbi, mówię! Pierwszy lepszy żołdak da ognia, przedziurawi łódź i pojedziem w wodę, a woda zimna! Nie chcę przez ich politykę namoknąć!

— Ot, widać straże! — rzekł Kmicic.

Trębacz począł oznajmiać. Łódź pomknęła szybko; na drugim brzegu uczynił się zaraz ruch większy i wkrótce nadjechał konno oficer, przybrany w żółty skórzany kapelusz. Ten, zbliżywszy się do samej wody, przysłonił oczy ręką i począł patrzeć pod blask.

O kilkanaście kroków od brzegu, Kmicic zdjął czapkę na powitanie, oficer skłonił im się z równą grzecznością.

— Pismo od pana Czarnieckiego do najjaśniejszego króla szwedzkiego — zawołał pan Andrzej, ukazując list.

Tymczasem łódź przybiła.

Warta, stojąca na brzegu, sprezentowała broń. Pan Zagłoba uspokoił się zupełnie, wnet przybrał oblicze w powagę odpowiednią godności posła i rzekł po łacinie:

— Zeszłej nocy kawaler pewien został pochwycony na tym brzegu, przyjechałem upomnieć się o niego.

— Nie umiem po łacinie — odrzekł oficer.

— Grubian! — mruknął Zagłoba.

Oficer zwrócił się do pana Andrzeja.

— Król jest w drugim końcu obozu — rzekł. — Zechciejcie ichmość panowie zatrzymać się tu, a ja pojadę oznajmić.

I zawrócił konia.

Oni zaś poczęli się rozglądać. Obóz był bardzo obszerny; obejmowa łbowiem cały trójkąt, utworzony przez San i Wisłę. U wie-

rzchołka trójkąta leżał Pniew; u podstawy Tarnobrzeg z jednej strony, Rozwadów z drugiej. Oczywiście całej rozległości niepodobna było wzrokiem ogarnąć; jednak jak okiem sięgnął, widać było szańce okopy, roboty ziemne i faszynowe, na nich działa i ludzi. W samym środku okolicy, w Gorzycach, była kwatera królewska, tam też stały główne siły armii.

— Jeśli głód ich stąd nie wypędzi, nie damy im rady — rzekł Kmicic. — Cała ta okolica ufortyfikowana. Jest gdzie i konie popaść.

— Ale ryb dla tylu gęb nie starczy — odrzekł Zagłoba, — zresztą lutrzy nie lubią postnego jadła. Niedawno mieli całą Polskę, teraz mają ten klin; niechże siedzą zdrowi, albo znów do Jarosławia wracają.

— Okrutnie biegli ludzie sypali te szańczyki — rzekł Wołodyjowski, spoglądając okiem znawcy na roboty. — Rębaczów u nas jest więcej, ale uczonych oficyjerów mniej i w sztuce wojennej zostaliśmy w tyle za innymi.

— A to czemu? — spytał Zagłoba.

— Czemu? Jako żołnierzowi, który w jeździe całe życie służył, mówić mi tego nie wypada ale owóż temu, że wszędy piechota a armaty grunt, dopieroż one pochody, a obroty wojenne, a marsze, a kontrmarsze. Siła książek w cudzoziemskiem wojsku człek musi zjeść, siła rzymskich autorów przewertować, nim oficerem znaczniejszym zostanie, u nas zaś nic to. Postaremu jazda w dym kupą chodzi i szablami goli, a jak zrazu nie wygoli, to ją wygolą...

— Gadaj zdrów, panie Michale, a któraż nacya tyle znamienitych wiktoryi odniosła?

— Bo i inni dawniej tak samo wojowali, nie mając zaś tego impetu, musieli przegrywać; ale raz zmądrzeli i patrz waćpan co się dzieje?

— Poczekamy końca. Postaw mi tymczasem najmądrzejszego inżyniera Szweda, czy Niemca, ja przeciw niemu Rocha postawię, który ksiąg nie wertował i obaczym.

— Byleś go waćpan mógł postawić — wtrącił pan Kmicic.

— Prawda, prawda! Okrutnie mi chłopa żal. Panie Andrzeju, a poszwargoczno owym psim językiem do owych pludraków i rozpytaj, co się z nim stało.

— To waść nie znasz regularnych żołnierzy. Tu ci nikt bez rozkazu gęby nie otworzy. Szkoda gadać!

— Wiem, że szelmy nieużyte. Jak tak do naszej szlachty, a zwłaszcza do pospolitaków poseł przyjedzie, to zaraz gadu gadu, o zdrowie jejmości i dziatek się spytają i gorzałki się z nim napiją ; w konsyderacye polityczne poczną się wdawać, a ci oto stoją jako słupy i tylko ślepie na nas wybałuszają. Żeby ich sparło w ostatku!

Jakoż coraz więcej pieszych żołnierzy gromadziło się wokół posłanników, przypatrując im się ciekawie. Oni też, ile że przybrani starannie w przystojne, a nawet bogate szaty, wspaniałą czynili postać. Najwięcej zwracał oczu pan Zagłoba, gdyż niemal senatorską nosił w sobie powagę, najmniej pan Michał, z przyczyny swego wzrostu.

Tymczasem oficer, który pierwszy przyjmował ich na brzegu, wrócił wraz z drugim, znaczniejszym i żołnierzami prowadzącymi luźne konie. Ów znaczniejszy skłonił się wysłannikom i rzekł po polsku:

— Jego królewska mość prosi waszmość panów do swej kwatery, a że to niezbyt blizko, więc przywiedliśmy konie.

— Waszmość Polak? — pytał Zagłoba.

— Nie, panie. Jestem Sadowski, Czech w służbie szwedzkiej

Kmicic zbliżył się nagle ku niemu.

— Nie poznajesz mnie waszmość pan?

Sadowski patrzył bystro w jego oblicze.

— Jakże! Pod Częstochową! Waśćto największą armatę burzącą wysadził i Mueller oddał waszmości Kuklinowskiemu. Witam, witam serdecznie tak znamienitego rycerza!

— A co się z Kuklinowskim dzieje? — pytał dalej Kmicic.

— To waść nie wiesz?

— Wiem, żem mu odpłacił tem samem, czem on mnie chciał ugościć, alem go zostawił żywego.

— Zmarzł.

— Tak i myślałem, że zmarznie — rzekł, machnąwszy ręką pan Andrzej.

— Mości pułkowniku! — wtrącił Zagłobs — a niejakiego Rocha Kowalskiego niemasz tu w obozie?

Sadowski roześmiał się:

— Jakże! Jest!

— Chwała Bogu i Najświętszej Pannie! Żyw chłop, to go i wydostanę. Chwała Bogu!

— Nie wiem, czyli król zechce go oddać — odrzekł Sadowski.

— O! a czemu to?

— Bo to sobie wielce upodobał. Poznał go zaraz, że to ten sam jest, który na niego w rudnickiej sprawie tak nastawał. Za boki braliśmy się, słuchając odpowiedzi jeńca. Pyta król: "Coś sobie do mnie upatrzył?" a ów rzecze: "Ślubowałem!" Więc król znów: "To i dalej będziesz następował?" "A jakże!" — powiada szlachcic. Król począł się śmiać: "Wyrzecz się ślubu, daruję cię zdrowiem i wolnością." "Nie może być!" "Czemu?" "Boby mnie wuj za kpa ogłosił!" "A takżeś ufny, żebyś na pojedynku dał mi rady?" "Jabym i pięciu takim dał rady!" Więc król jeszcze: "I śmiesz na majestat rękę podnosić?" Ów zaś: "Bo wiara paskudna!" Tłómaczyliśmy królowi każde słowo, a on coraz był weselszy i coraz to powtarzał: "Udał mi się ten towarzysz!" Dopieroż chcąc wiedzieć, czy go naprawdę taki osiłek gonił, kazał wybrać dwunastu co najtęższych chłopów między gwardyą i kolejno im się z jeńcem pasować. Aleto żyłowaty jakiś kawaler! W chwili, gdym odjeżdżał, dziesięciu już rozciągnął jednego po drugim, a żaden nie mógł wstać o swej mocy. Przyjedziemy właśnie na koniec tej uciechy.

— Poznaję Rocha! Moja krew! — zawołał Zagłoba, — Damy za niego choćby trzech znacznych oficerów.

— Pod dobry humor królowi traficie — odrzekł Sadowski, — co teraz rzadko się zdarza.

— A wierzę! — odpowiedział mały rycerz.

Tymczasem Sadowski zwrócił się do Kmicica i począł wypytywać go, jakim sposobem nietylko się z rąk Kuklinowskiego uwolnił, ale jego samego pogrążył. Ów zaczął opowiadać obszernie bo chełpić się lubił, Sadowski zaś, słuchając, za głowę się chwytał ze zdumienia, wreszcie uścisnął jeszcze raz kmicicową rękę i rzekł:

— Wierzaj mi waszmość pan, że z duszy rad jestem, bo choć Szwedom służę, ale każde szczerze żołnierskie serce raduje się, gdy prawy kawaler szelmę pogrąży. Trzeba wam przyznać, że jak się między wami rezolut trafi, to ze świecą takiego in universo (we wszechświecie) szukać.

— Polityczny z waszmości pana oficer! — rzekł pan Zagłoba.

— I znamienity żołnierz, wiemy to! — dorzucił Wołodyjowski.

— Bom się i polityki i żołnierki od was uczył! — odpowiedział Sadowski, przykładając rękę do kapelusza.

Tak oni z sobą rozmawiali, przesadzając się wzajemnie w grzecznościach, aż dojechali do Gorzyc, gdzie była kwatera królewska. Wieś cała zajęta była przez żołnierstwo różnej broni. Towarzysze nasi z ciekawością przyglądali się kupom żołnierzy, rozrzuconym między oplotkami. Jedni, chcąc nieco głód zaspać, spali na przyzbach, bo dzień był bardzo pogodny i ciepły; drudzy grali w kości na bębnach, popijając piwo, niektórzy rozwieszali odzież na płotach; inni siedząc przed chałupami i pośpiewując skandynawskie pieśni, szorowali ceglanym proszkiem hełmy i pancerze, od których blask szedł okrutny. Gdzieindziej czyszczono lub przeprowadzano konie, słowem, życie obozowe wrzało i roiło się wszędy pod jasnym niebem. Na niektórych twarzach znać było wprawdzie trudy straszliwe i głód, ale słońce powlokło złotem nędzę, zresztą zaczęły się dla tych niezrównanych żołnierzy dni wypoczynku więc nabrali zaraz ducha wojennej postawy. Pan Wołodyjowski podziwiał ich w duchu, zwłaszcza piesze pułki, słynne na cały świat z wytrwałości i męstwa, Sadowski zaś, w miarę jak przejeżdżali, objaśniał:

— To, smalandzki pułk gwardyi królewskiej. To piechota dalekarlijska, najprzedniejsza.

— Na Boga! a to co za małe monstra? — zakrzyknął nagle Zagłoba, ukazując kupę małych człowieczków z oliwkową cerą i czarnemi, wiszącem po obu stronach głowy włosami.

— To Lapończykowie, którzy do najdalej siedzących hyperborejów się liczą.

— Dobrzyż do bitwy? Bo mi się widzi, iż mógłbym po trzech na każdą garść wziąć i póty łbami stukać, pókibym się nie zmachał!

— Z pewnością mógłbyś waszmość to uczynić! Do bitwy oni na nic. Szwedowie ich z sobą do posług obozowych wodzą, a w części dla osobliwości. Za to czarownicy z nich exquisitissimi (najświetniejsi), każdy najmniej jednego dyabła, a niektórzy po pięciu do usług mają.

— Skądże taka im ze złemi duchami komitywa? — pytał, że gnając się znakiem krzyża, Kmicic.

— Bo w ustawicznej nocy brodzą, która po pół roku i więcej u nich trwa, wiadomo zaś waszmościom, że w nocy najłatwiej z dyabłem o styczność.

— A duszę mają?

— Niewiadomo, ale tak myślę, że animalibus (do zwierząt) są podobniejsi.

Kmicic posunął konia, chwycił jednego Lapończyka za kark, podniósł go, jak kota, do góry i obejrzał ciekawie, następnie postawił go na nogi i rzekł:

— Żeby mi król takiego jednego podarował, kazałbym go uwędzić i w Orszy w kościele powiesić, gdzie z innych osobliwości strusie jaje się znajduje.

— A w Łubniach była u fary szczęka wielorybia albo li też wielkoluda — dodał Wołodyjowski.

— Jedźmy, bo jeszcze co paskudnego od nich do nas się przyczepi! — rzekł Zagłoba.

— Jedźmy — powtórzył Sadowski. — Prawdę mówiąc, powinienbym był kazać waściom worki na głowę założyć, jako jest zwyczaj, ale nie mamy tu co ukrywać, a żeście na szańce spoglądali, to dla nas lepiej.

Zaczem ruszyli końmi i po chwili byli przed dworem gorzyckim Przed bramą zeskoczyli z kulbak i zdjąwszy czapki, szli dalej piechotą, bo sam król był przed domem.

Ujrzeli tedy moc generałów i oficerów bardzo świetnych. Był tam stary Wittemberg, Duglas, Loewenhaupt, Mueller, Eriksen i wielu innych. Wszyscy siedzieli na ganku, nieco za królem, którego krzesło wysunięte było naprzód i patrzeli na krotofilę, którą Karol Gustaw sobie z jeńcem wyprawiał. Roch rozciągnął właśnie dopiero co dwunastego rajtara i stał w porozrywanym przez zapaśników kubraku, zdyszany i spocon wielce. Ujrzawszy wuja w towarzystwie Kmicica i Wołodyjowskiego, rozumiał zrazu, że ich również w niewolę wzięto, więc wytrzeszczył oczy i otworzył usta, lecz Zagłoba dał mu znak ręką, by stał spokojnie, sam zaś postąpił z towarzyszami przed oblicze królewskie.

Sadowski począł prezentować wysłanników, oni zaś kłaniali się

nizko, jak obyczaj i etykieta nakazywała, następnie Zagłoba oddał pismo Czarnieckiego.

Król wziął list i począł czytać, tymczasem towarzysze przypatrywali mu się z ciekawością, bo nigdy go przedtem nie widzieli. Był to pan w kwiecie wieku,na twarzy tak smagły, jakoby się Włochem albo Hiszpanem urodził. Długie pukle czarnych jak krucze skrzydła włosów spadały mu wedle uszu aż na ramiona. Z blasku i barwy oczu przypominał Jeremiego Wiśniowieckiego, jeno brwi miał bardzo do góry podniesione, jak gdyby się dziwił ustawicznie. Natomiast w miejscu, gdzie się brwi schodzą, czoło podnosiło mu się w duże wypukłości, które czyniły go do lwa podobnym; głęboka zmarszczka pod nosem, nie schodząca nawet i wówczas, gdy się śmiał, nadawała jego twarzy wyraz groźny i gniewny.Wargę dolną miał tak wysuniętą naprzód, jak Jan Kazimierz, jeno twarz tłustszą i większy podbródek; wąsy nosił na kształt sznureczków, nieco na końcach rozszerzonych. Wogóle oblicze jego zwiastowało nadzwyczajnego człowieka, jednego z takich, którzy chodząc po ziemi, krew z niej wyciskają. Była w nim wspaniałość i duma monarsza i siła lwia i lotność geniuszu, jeno, choć uśmiech łaskawy nie schodził mu nigdy z ust, nie było owej dobroci serca, która takiem łagodnem światłem oświeca od wewnętrza lica, jak lampka wstawiona w środek alabastrowej urny.

Siedział tedy w fotelu ze złożonemi na krzyż nogami, których potężne łydki rysowały się wyraźnie z pod czarnych pończoch i mrugając, wedle zwyczaju, oczyma, czytał z uśmiechem list Czarnieckiego. Nagle podniósłszy powieki, spojrzał na pana Michała i rzekł:

— Poznaję natychmiast waćpana: tyś to usiekł Kanneberga.

Wszystkich oczy zwróciły się natychmiast na Wołodyjowskiego, który ruszył wąsikami, skłonił się i odrzekł:

— Do usług waszej kr. mości.

— Jaka szarża? — pytał król.

— Pułkownik chorągwi laudańskiej.

— Gdzie dawniej służył?

— U wojewody wileńskiego.

— I opuściłeś go wraz z innymi? Zdradziłeś jego i mnie.

— Swemu królowi byłem powinien, nie waszej kr. mości.

Król nie odrzekł nic; wszystkie czoła zmarszczyły się, oczy po-

częty świdrować w panu Michale, lecz on stał spokojnie, tylko wąsikami ruszał raz po raz.

Nagle król rzekł:

— Miło mi poznać tak znamienitego kawalera. Kanneberg uchodził między nami za niezwyciężonego w spotkaniu. Waść musisz być pierwszą szablą w tem państwie...

— In universo (we wszechświecie)! — rzekł Zagłoba.

— Nie ostatnią — odpowiedział Wołodyjowski.

— Witam waściów uprzejmie. Dla pana Czarnieckiego mam prawdziwą estymę, jako dla wielkiego żołnierza, chociaż mi parol złamał, bo powinien odtąd spokojnie w Siewierzu siedzieć.

Na to Kmicic:

— Wasza kr. mość! Nie pan Czarniecki, ale generał Mueller pierwszy parol złamał, Wolffowy regiment królewskiej piechoty zagarniając.

Mueller postąpił krok, spojrzał w twarz Kmicicowi i począł coś szeptać do króla, który mrugając ciągle oczyma, słuchał dało pilnie, spoglądając na pana Andrzeja, wreszcie rzekł:

— To widzę wybranych kawalerów pan Czarniecki mi przysłał. Ale zdawna to wiem, że rozolutów między wami nie brak, jeno wiary w dotrzymaniu obietnic i przysiąg brakuje.

— Święte słowa waszej królewskiej mości! — rzekł Zagłoba.

— Jak to waść rozumiesz?

— Bo gdyby nie ta narodu naszego przywara, tobyś, miłościwy panie tu nie był!

Król znów pomilczał chwilę, generałowie znów zmarszczyli się na śmiałość wysłannika.

— Jan Kazimierz sam was od przysięgi uwolnił — rzekł Karol, — bo was opuścił i za granicę się schronił.

— Od przysięgi jeno namiestnik Chrystusów uwolnić zdolen, który w Rzymie mieszka i który nas nie uwolnił.

— Mniejsza z tem! — rzekł król. — Ot, tem zdobyłem to królestwo (tu uderzył się po szpadzie) i tem utrzymam. Nie potrzeba mi waszych sufragiów, ni waszych przysiąg. Chcecie wojny, będziecie ją mieli. Tak myślę, że pan Czarniecki jeszcze o Gołębiu pamięta?

— Zapomniał po drodze z Jarosławia — odrzekł Zagłoba

Król, zamiast się rozegniewać, roześmiał się.

— To mu przypomnę!

— Bóg światem rządzi!

— Powiedzcie mu, niech mnie odwiedzi. Miłe go przyjmę, jeno niech się śpieszy, bo jak konie odpasę pójdę dalej.

— Wtedy my waszą królewską mość przyjmiemy! — odrzekł, kłaniając się i kładąc nieznacznie rękę na szabli Zagłoba.

Król na to:

— Widzę, że pan Czarniecki nietylko najlepsze szable, ale i najlepszą gębę w poselstwie przysłał. W mig waść każde pchnięcie parujesz. Szczęście, że nie na tem wojna polega, bo godnego siebie znalazłbym przeciwnika. Ale przystępuję do materyi: Pisze mi pan Czarniecki, żebym owego jeńca wypuścił, dwóch mi za to w zamian znacznych oficerów ofiarując. Nie lekceważę tak moich żołnierzy, jako wy myślicie i zbyt tanio ich okupywać nie chcę, byłoby to przeciw mojej i ich ambicyi. Natomiast, ponieważ niczego panu Czarnieckiemu odmówić nie zdołam, przeto mu podarunek z tego kawalera zrobię.

— Miłościwy panie! — odrzekł na to Zagłoba — nie kontempt oficerom szwedzkim, ale kompasyę dla mnie chciał pan Czarniecki okazać, bo to jest mój siostrzan, ja zaś jestem, do usług waszej kr. mości, pana Czarnieckiego konsyliarzem.

— Po prawdzie — rzekł, śmiejąc się król — nie powinienbym tego jeńca puszczać, bo przeciw mnie ślubował, chyba, że się za ono beneficyum ślubu swego wyrzecze.

Tu zwrócił się do stojącego przed gankiem Rocha i kiwnął ręką.

— A pójdźno tu bliżej, osiłku!

Roch przybliżył się o parę kroków i stanął wyprostowany.

— Sadowski, — rzeki król — spytaj się go, czy mnie zaniecha, jeśli go puszczę?

Sadowski powtórzył królewskie pytanie.

— Nie może być! — zawołał Roch.

Król zrozumiał bez tłómacza i począł w ręce klaskać i oczyma mrugać.

— A co! a co! Jakże takiego puszczać? Dwunastu rajtarom karku nadkręcił, a mnie trzynastemu obiecuje! Dobrze! dobrze! Udał mi się kawaler! Czy i on jest pana Czarnieckiego konsyliarzem? W takim razie jeszcze prędzej go wypuszczę.

— Stul gębę, chłopie! — mruknął Zagłoba.

— Dość krotochwil — rzekł nagle Karol Gustaw. — Bierzcie go i miejcie jeden więcej dowód mojej klemencyi. Przebaczyć mogę, jako pan tego królestwa, gdy taka moja wola i łaska, ale w układy wchodzić z buntownikami nie chcę.

Tu brwi królewskie zmarszczyły się i śmiech nagle znikł mu z oblicza.

— Kto bowiem przeciw mnie rękę podnosi, ten jest buntownikiem, gdy jam tu prawym panem. Z miłosierdzia jeno nad wami nie karałem dotąd jak należy, czekałem upamiętania, przyjdzie wszelako czas, że miłosierdzie się wyczerpie i pora kary nastanie. Przez waszą to swawolę i niestałość kraj ogniem płonie, przez waszeto wiarołomstwo krew się leje.. Lecz mówię wam: upływają dni ostatnie... nie chcecie słuchać napomnień, nie chcecie słuchać praw, to posłuchacie miecza szubienicy!

I błyskawice poczęły migotać w karolowych oczach; Zagłoba patrzył nań przez chwilę ze zdumieniem, nie mogąc zrozumieć skąd się wzięła ta nagła burza po pogodzie, wreszcie i w nim poczęło się serce podnosić, więc skłonił się i rzekł tylko:

— Dziękujem waszej kr. mości.

Poczem odszedł, a za nim Kmicic, Wołodyjowski i Roch Kowalski.

— Łaskawy, łaskawy — mówił Zagłoba — a ani się spostrzeżesz, kiedy ci ryknie jak niedźwiedź. Dobry koniec poselstwa! Inni kielichem na wsiadanego częstują, a on szubienicą! Niechże psów wieszają, nie szlachtę! Boże, Boże! jak my ciężko grzeszyli przeciw naszemu panu, który ojcem był, ojcem jest i ojcem będzie, bo jagiellońskie w nim serce! I takiego to pana zdrajcy opuścili, a poszli z zamorskiemi straszydły się kumać. Dobrze nam tak, bo niceśmy lepszego nie warci. Szubienicy! Szubienicy!.. Samemu już ciasno, przycisnęliśmy go, jako twaróg w worku ma już serwatką popuszcza, a on jeszcze mieczem i szubienicą grozi! Poczekaj! Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma! Będzie wam jeszcze ciaśniej. Rochu! chciałem ci po gębie dać albo pięćdziesiąt na kobiercu, ale ci już przebaczę, za to, żeś się po kawalersku stawił i dalej go ścigać obiecał. Dajże gęby, bom z ciebie rad!

— Przecie wuj rad! — odrzekł Roch.

— Szubienica a miecz! I mnie to w oczy powiedział! — mówił

znów po chwili Zagłoba. — Macie protekcyę! Wilk tak samo barana do własnych kiszek proteguje!... I kiedyżto mówi? Teraz, gdy mu się już gęsia skóra na krzyżach robi. Niech sobie Lapończyków na konsyliarzy dobierze i z nimi razem dyabelskiej protekcyi szuka! A nam będzie Najświętsza Panna sekundowała, jako pana Bobolę w Sandomierzu, którego prochy na drugą stronę Wisły razem z koniem przerzuciły, a dlatego mu nic. Obejrzał się, gdzie jest i zaraz na obiad do księdza trafił. Przy takiej pomocy jeszcze my ich wszystkich, jako raki z więcierza, za szyję powyciągamy...

## LXII.

Upłynęło dni kilkanaście. Król siedział ciągle w widłach rzecznych i gońców na wszystkie strony rozsyłał do fortec, do komend w kierunku Krakowa i Warszawy, z rozkazami, by mu wszyscy z pomocą śpieszyli. Sprowadzono mu też Wisłą prowianty, ile można było, ale niedostatecznie. Po upływie dni dziesięciu poczęto konie jeść a rozpacz ogarniała króla i generałów na myśl, co będzie, gdy rajtarya od koni odpadnie i gdy armat nie będzie w co zaprządz. Zewsząd też przychodziły wieści niepocieszające. Kraj cały tak gorzał wojną, jakby go kto smołą polał i zapalił. Mniejsze komendy, mniejsze prezydya nie mogły śpieszyć na pomoc, bo nie mogły wychylać się z miast i miasteczek. Litwa, trzymana dotąd żelazną ręką Pontusa de la Gardie, powstała jak jeden człowiek. Wielkopolska, która poddała się najpierwsza, najpierwsza też zrzuciła jarzmo i świeciła całej Rzeczypospolitej przykładem wytrwania, zawziętości, zapału. Partye szacheckie i chłopskie rzucały się tam nietylko na stojące po wsiach załogi, ale nawet na miasta. Próżno Szwedzi mścili się straszliwie nad krajem, próżno ucinali ręce schwytanym w niewolę jeńcom, puszczali z dymem wsie, wycinali w pień osady, wznosili szubienice, sprowadzali tortury z Niemiec dla męczenia buntowników. Kto miał cierpieć, cierpiał, kto miał ginąć, ginął, lecz jeśli był szlachcicem, ginął z szablą, jeśli chłopem, ginął z kosą w ręku. I lała się krew szwedzka po całej Wielkopolsce, lud żył w lasach, niewiasty nawet porywały za broń; kary wywoływały tylko zemstę i tem większą za-

ciekłość. Kulesza, Krzysztof Żegocki i wojewoda kujawski uwijali się nakształt płomieni po kraju, a oprócz nich wszystkie bory pełne były partyi; pola leżały nieuprawne, głód rozwielmożnił się w kraju, lecz najbardziej skręcał wnętrzności Szwedów, bo ci w miastach, za bramami siedzieli i nie mogli wychylać się w pole.

Aż wreszcie poczęło im braknąć tchu w piersiach.

Na Mazowszu było to samo. Tam lud kurpiowski, w mrokach leśnych żyjący, wychylił się z puszcz, poprzecinał drugi, przejmował żywność i gońców. Na Podlasiu rojna drobna szlachta tysiącami ciągnęła do Sapiehy lub na Litwę. Lubelskie było w rękach konfederacyi. Z Rusi dalekich szli Tatarzy, a z nimi i zmuszeni do posłuszeństwa Kozacy.

Więc wszyscy byli już pewni, że jeżeli nie za tydzień, to za miesiąc, jeżeli nie za miesiąc, to za dwa, owe widły rzeczne, w których stał Karol Gustaw z główną armią szwedzką, zmienią się w jedną wielką mogiłę na sławę narodu, na straszną naukę dla tych, którzyby Rzeczpospolitę napadać chcieli. Przewidywano już koniec wojny, byli tacy, którzy mówili, że Karolowi jeden ratunek pozostał: wykupić się i oddać Rzeczypospolitej Inflanty szwedzkie.

Lecz nagle polepszyły się losy Karola Gustawa i Szwedów.

Dnia 20 marca poddał się Malborg, aż dotąd napróżno przez Szteinboka oblegany. Silna i dzielna armia jego nie miała teraz nic do roboty i mogła pośpieszyć na ratunek królowi.

Z drugiej strony margraf badeński, skończywszy zaciągi, z gotową siłą i nieutrudzonym jeszcze żołnierzem ruszył również ku widłom rzecznym.

Obaj posuwali się naprzód, gromiąc pomniejsze kupy powstańców, niszcząc, paląc, mordując. Po drodze zabierali prezydya szwedzkie, ściągali pomniejsze komendy i rośli w siłę, jak rzeka rośnie tem bardziej, im więcej strumieni w siebie przyjmuje.

Wieści o upadku Malborga, o szteinbokowej armii i pochodzie margrabiego badeńskiego doszły bardzo prędko do wideł rzecznych i strapiły serca polskie. Szteinbok był jeszcze daleko, ale margrabia badeński idąc śpiesznemi pochodami, mógł wkrótce nadejść i zmienić całą postać rzeczy pod Sandomierzem.

Złożyli tedy wodzowie polscy radę, w której wzięli udział pan Czarniecki, pan hetman litewski, Michał Radziwiłł, krajczy koronny, pan Witowski, stary doświadczony żołnierz i pan Lubo-

mirski, który od pewnego czasu przykrzył sobie na Zawiślu. Na radzie owej postanowiono, iż pan Sapieha z litewskim wojskiem pozostanie pilnować Karola, ażeby się z wideł nie wymknął, zaś pan Czarniecki ruszy przeciw margrabiemu badeńskiemu i spotka go, jako będzie mógł najprędzej, zaczem, jeżeli mu Bóg wiktoryę spuści, powróci po staremu króla oblegać.

Rozkazy odpowiednie zostały natychmiast wydane. Nazajutrz zagrały trąbki wsiadanego tak cicho, że je ledwie słyszano, chciał bowiem Czarniecki odejść w tajemnicy przed Szwedami. Na dawnem obozowisku położyło się zaraz kilka luźnych partyj szlacheckich i chłopskich. Ci porozpalali ogniska i huczeć poczęli, aby nieprzyjaciel myślał, że nikt z majdanu nie wyszedł, zaś kasztelańskie chorągwie wymykały się jedna za drugą. Poszła więc naprzód laudańska, która po prawie powinna była przy panu Sapieże pozostać, ale że Czarniecki bardzo się w niej rozkochał więc mu hetman nie chciał jej odbierać. Za laudańską poszła wąsowiczowa, lud wybrany, przez starego żołnierza prowadzony, któremu pół wieku we krwi rozlewie zeszło; zaczem poszła księcia Dymitra Wiśniowieckiego pod Szandarowskim, ta sama, która pod Rudnikiem niezmierną chwałą się okryła; zaczem pana Witowskiego dragonii dwa regimenty, zaczem dwie pana starosty Jaworowskiego; słynny Stapkowski w jednej porucznikował; zaczem kasztelańska własna, królewska pod Polanowskim i cała siła pana Lubomirskiego. Piechoty nie brano dla pośpiechy, ni wozów, bo komunikiem iść mieli.

Wszystkie razem stanęły pod Zawadą, w sile znacznej i ochocie wielkiej. Wówczas wyjechał na przodek pan Czarniecki i uszykowawszy je do pochodu, sam zatrzymał nieco konia i puszczał je mimo siebie, tak, aby całą siłę dobrze obejrzeć. Koń pod nim prychał i łbem rzucał a kiwał, jakby chcąc witać przechodzące pułki, a samemu kasztelanowi serce rosło. Piękny też widok miał przed oczyma. Jak okiem sięgnął, fala koni, fala srogich lic żołnierskich, ruchem końskim kołysana, nad niemi trzecia jeszcze fala szabel i grotów, migotliwa i błyszcząca w porannem słońcu. Siła okrutna szła od nich, a tę siłę czuł w sobie pan kasztelan, bo już nie była to lada jaka zbieranina wolentarska, ale lud na kowadle wojennem wykuty, sprawny, ćwiczony i w bitwie tak "jadowity," że żadna w świecke jazda zdzierżyć mu w równej sile nie mogła.

Więc pan Czarniecki uczuł w tej chwili, że napewno, że bez żadnej wątpliwości z tymi ludźmi rozniesie na szablach i kopytach wojsko margrabiego badeńskiego i owo przeczuwane zwycięstwo rozpromieniło mu tak oblicze, że blask bił od niego na pułki.

— Z Bogiem! Po wiktoryę! — zakrzyknął wreszcie.

— Z Bogiem! Pobijemy!! — odpowiedziały mu potężne głosy.

I okrzyk ów przeleciał przez wszystkie chorągwie, jak głuchy grzmot przez chmury. Czarniecki wspiął konia, by dognać idącą w przodku laudańską.

I poszli.

Szli zaś nie jak ludzie, ale jak stado ptaków drapieżnych, które zwietrzywszy bój w oddali, lecąc z wichrem na prześcig. Nigdy, nawet między Tatarami w stepie, nikt nie słyszał o takim pochodzie. Żołnierz spał w kulbace, jadł i pił nie zsiadając; konie karmiono z ręki. Rzeki, bory, wsie, miasta, zostawały za nimi. Ledwie po wsiach wypadli chłopi z chałup patrzeć na wojsko, już wojsko nikło w oddali za tumanami kurzawy. Szli dzień i noc, tyle tylko wypoczywając, aby koni nie wygubić.

Wreszcie pod Kozienicami wpadli na ośm chorągwi szwedzkich pod wodzą Torneskiłda. Laudańską, idąca, w przodku, pierwsza dojrzała nieprzyjaciela i nie odetchnąwszy nawet, natychmiast skoczyła ku niemu w dym. Drugi poszedł Szandarowski, trzeci Wąsowicz, czwarty Stapkowski.

Szwedzi, mniemając, że z jakiemiś partyami mają do czynienia, stawili w otwartem polu czoło i w dwie godziny później nie pozostała jedna żywa dusza, którąby mogła do margrabiego dobiedz i krzyknąć, że to Czarniecki idzie. Poprostu rozniesiono na szablach owe ośm chorągwi, świadka klęski nie zostawując. Poczem ruszyli, jakby kto sierpem rzucił, ku Magnuszewu, szpiegowie bowiem dali znać, iż margrabia badeński z całem wojskiem w Warce się znajduje.

Pan Wołodyjowski został wysłany na noc z podjazdem, aby dał znać, jak wojsko rozłożone i jaka jego siła.

Bardzo na ową ekspedycyę narzekał pan Zagłoba, albowiem nawet przesławny Wiśniowiecki nigdy takich pochodów nie odbywał; żalił się też stary towarzysz, lecz wolał iść z Wołodyjowskim, niż przy wojsku zostawać.

— Złoty był pod Sandomierzem czas, — mówił przeciągając się

w kulbace — człek jadł, spał i na oblężonych Szwedów zdala spoglądał, a teraz niema kiedy i manierki do gęby przyłożyć. Znam ja sztukę wojenną antigourun (starożytnych): wielkiego Pompejusza i Cezara, ale pan Czarniecki nową modę wymyślił. Przeciw wszelkiej jest to regule trząść brzuch przez tyle dni i nocy. Z głodu już imaginacya rebellizować we mnie poczyna i ciągle mi się zdaje, że gwiazdy to kasza, a księżyc sperka. Na psa taka wojna! Jak mi Bóg miły, tak z głodu chce się własnemu koniowi uszy obgryźć!

— Jutro, da Bóg, wypoczniemy po Szwedach!

—Wolę już Szwedów, niż taką mitręgę! Panie! Panie! kiedy ty dasz spokój tej Rzeczypospolitej, a staremu Zagłobie ciepły przypiecek i piwo grzane... niechby i bez śmietany... Kołataj się stary na szkapie, kołataj, póki się do śmierci nie dokołatasz... Nie ma tam który tabaki? Może ową senność nozdrzami wyparsknę... Księżyc mi w samą gębę świeci, że aż do brzucha zagląda, a nie wiem, czego tam szuka, bo nic nie znajdzie. Na psa taka wojna, powtarzam!

— Skoro wuj myślisz, że księżyc to sperka, to go wuj zjedz! — rzekł Roch.

— Gdybym ciebie zjadł, mógłbym powiedzieć, że wołowinę jadłem, ale boję się, bym po takiej pieczeni reszty dowcipu nieutracił.

— Jeśli ja wół, a wuj mój wuj, to wuj co?

— A ty kpie myślisz, że Altea dla tego porodziła głównię, że przy piecu siedziała?

— A mnie co do tego!

— To do tego, że jeśliś wołem, to się najprzód o ojca swego dopytuj, nie o wuja, bo Europę byk porwał, ale brat jej, który wypadł wujem jej potomstwu, był dlatego człowiekiem. Rozumiesz?

— Co prawda, nie rozumiem, ale zjeść, tobym też co zjadł.

— Zjedz licha i daj mi spać! Co tam panie Michale? Czemuśmy to stanęli?

— Warkę widać — rzekł Wołodyjowski. — Ot, wieża kościelna błyszczy w miesiącu.

— A Magnuszew jużeśmy minęli?

— Magnuszew został na prawo. Dziwno mi, że po tej stronie rzeki żadnego podjazdu szwedzkiego niemasz. Pojedziem do tych haszczów i postoim, może nam Bóg spuści jakowego języka?

Co rzekłszy pan Michał wprowadził oddział do zarośli i ustawił o sto kroków po obu stronach drogi, przykazawszy, by cicho stali i cugle trzymali krótko, aby który koń nie zarżał.

— Czekać! — rzekł. — Posłuchamy, co się za rzeką dzieje, a może i co obaczym.

Stanęli więc, lecz długi czas nie było nic słychać, prócz słowików, które w poblizkim gaju olszynowym zaśpiewywały się na śmierć. Strudzeni żołnierze poczęli się kiwać w kulbakach, pan Zagłoba położył się na szyi końskiej i zasnął głęboko; nawet i konie drzemały. Upłynęła godzina. Wreszcie wprawne ucho pana Wołodyjowskiego dosłyszało coś podobnego do stąpania koni po twardej drodze.

— Czuj duch! — rzekł do żołnierzy.

Sam zaś wysunął sie na brzeg haszczów i spojrzał na drogę. Droga błyszczała w księżycu, jak srebrna wstęga, ale nic nie było na niej widać, odgłos kroków końskich zbliżał się jednak.

— Idą napewno! — rzekł Wołodyjowski.

I wszyscy ściągnęli jeszcze krócej konie, każdy zatamował oddech; nie było słychać nic prócz słowików w olszynie.

Wtem na drodze ukazał się oddział szwedzki, złożony z trzydziestu jeźdźców. Szli zwolna i dość niedbale, nie w szeregu, ale rozwleczonem pasmem. Żołnierze jedni gawędzili z sobą drudzy pośpiewywali zcicha, bo ciepła noc majowa działała nawet na ciepłe dusze żołnierskie. Przeszli, nic nie podejrzywając, tak blizko od stojącego nieopodal brzegu pana Michała, że mógł zawietrzyć zapach koni i dym lulek, które rajtarowie palili.

Nakoniec znikli na zakręcie drogi. Wołodyjowski czekał nawet dość długo, aż tętent zginął w oddaleniu wówczas dopiero zjechał do oddziału i rzekł do panów Skrzetuskich.

— Pognamy ich teraz, jako gęsi do obozu pana kasztelana. Żaden nie powinien ujść, by nie dał znać!

— Jeśli potem pan Czarniecki nie pozwoli nam się najeść i wyspać, — rzekł Zagłoba — to mu podziękuję za służbę i wracam do Sapja. U Sapja kiedy bitwa, to bitwa, ale kiedy fryszt to, i uczta. Żebyś miał cztery gęby, wszystkim dałbyś funkcyę przystojną. To mi wódz! I prawdę rzekłszy, powiedz mi po jakiego dyabła nie służymy u Sapja, gdy ta chorągiew z prawa mu przynależy?

— Ojciec nie bluźnij przeciw największemu wojownikowi w Rzeczypospolitej — rzekł Jan Skrzetuski.

— Nie ja bluźnię, jeno moje kiszki, na których głód gra, jak na skrzypcach.

— Potańcują przy nich Szwedzi — przerwał Wołodyjowski. — Teraz, mości panowie, jedźmy żywo! Przy onej karczmie w lesie, którąśmy w tę stronę jadąc, minęli, chciałbym właśnie na nich nastąpić.

I poprowadził oddział szybciej, ale niezbyt szybko. Wjechali w las gęsty, w którym ogarnęła ich ciemność. Karczma ta była o kilkanaście stajań. Zbliżywszy się do niej, szli znów noga za nogą, by zbyt wcześnie alarmu nie dawać. Gdy byli nie więcej już jak na strzał armatni, doszedł ich gwar ludzki.

— Są i hałasują! — rzekł Wołodyjowski.

Szwedzi istotnie zatrzymali się przy karczmie, szukając jakiej żywej duszy, od której mogliby zasięgnąć języka. Lecz karczma była pusta. Jedni przetrząsali główną budowę, inni szukali w oborze w chlewach, inni podnosili snopki na dachach. Połowa stała na majdanie, trzymając konie tym, którzy szukali.

Oddział Wołodyjowskiego zbliżył się na sto kroków i począł tatarskim półksiężycem otaczać karczmę.

Stojący na majdanie słyszeli doskonale, a w końcu widzieli ludzi i konie, lecz że w lesie było ciemno, nie mogli poznać co to za wojsko, nie alarmowali się zaś bynajmniej, ani przypuszczając, by z tamtej strony mógł jakikolwiek inny, niż szwedzki oddział zajeżdżać. Dopiero ów ruch półksiężycowy zdziwił i zaniepokoił ich, odezwały się zaraz wołania na tych, którzy byli w budynkach.

Nagle naokół karczmy rozległ się krzyk: Ałła! i huk kilku wystrzałów. W jednej chwil ciemne tłumy żołnierzy pojawiły się, jakby z pod ziemi wyrosły. Uczynił się zamęt i szczękanie szablami, klątwy, stłumione krzyki, lecz wszystko nie trwało dłużej nad dwa pacierze.

Poczem na majdanie przed karczmą zostało kilka ciał ludzkich i końskich, oddział zaś Wołodyjowskiego ruszył dalej, prowadząc z sobą dwudziestu pięciu jeńców.

Szli teraz w skok, poganiając płazami szabel rajtarskie konie i skoro świt, doszli do Magnuszewa. W obozie Czarnieckiego nikt nie spał; wszyscy byli w pogotowiu. Sam kasztelan wy-

szedł przeciw podjazdowi, wspierając się na obuszku, wychudzony i blady z bezsenności.

— Co tam? — spytał Wołodyjowskiego. — Siła masz języka?

— Jest dwudziestu pięciu jeńców.

— A ilu uszło?

— Nec nuntius cladis (niema nawet posła klęski). Wszyscy ogarnięci!

— Ciebie jeno wysłać choćby do piekła, żołnierzyku! Dobrze! Wziąć ich zaraz na pytki. Sam będę indagował.

To rzekłszy, kasztelan zwrócił z miejsca, a odchodząc, rzekł:

— A być w gotowości, bo może nie, mieszkając, ruszymy na nieprzyjaciela.

— Jakto? — rzekł Zagłoba.

— Cicho waść! — odpowiedział Wołodyjowski.

Szwedzcy jeńcy bez przypiekania w mig zeznali, co było im wiadomo o siłach margrabiego badeńskiego, o ilości armat, piechoty i jazdy. Zadumał się tedy nieco pan kasztelan, bo się dowiedział, że wprawdzie jest to nowozaciężna armia, ale złożona z samych starych żołnierzy, którzy w Bóg wie ilu wojnach udział brali. Było też siła pomiędzy nimi Niemców i znaczny oddział francuski; cała siła przewyższała o kilkaset głów wojsko polskie. Lecz natomiast pokazało się z zeznań, iż margrabia ani przypuszczał nawet, iżby Czarniecki był tak blizko i wierzył, iż Polacy całą siłą oblegają króla pod Sandomierzem.

Ledwie to usłyszał kasztelan, gdy zerwał się z miejsca i zakrzyknął na swego dworzanina:

— Witowski, każ trąbić przez munsztuk, by na koń siadano!

W pół godziny później wojsko ruszyło i szło świeżym rankiem wiosennym przez lasy i pola rosą okryte. W końcu Warka i jej zgliszcza, bo miasto przed sześciu laty spłonęło było niemal ze szczętem, ukazały się na widnokręgu.

Wojska Czarnieckiego szły po otwartej płaszczyźnie, więc długo się przed okiem szwedzkiem ukrywać nie mogły. Jakoż dostrzeżono je, ale margrabia mniemał, iż to tą rozmaite "partye," które połączone w znaczną kupę, chcą alarmować obóz.

Dopiero, gdy coraz nowe chorągwie, idące rysią, ukazywały się z za lasu, powstał ruch gorączkowy w szwedzkim obozie. Z pola widziano mniejsze oddziały rajtaryi i pojedyńczych oficerów, prze-

biegających między pułkami. Barwna szwedzka piechota poczęła wysypywać się na środek równiny; pułki formowały się jeden za drugim w oczach polskich żołnierzy i stawały rojnie, nakształt kraśnych stad ptastwa. Nad głowami ich podnosiły się ku słońcu czworoboki potężnych dzid, któremi piechurowie zasłaniali się przed impetem jazdy. Nakoniec ujrzano tłumy jazdy szwedzkiej pancernej, biegnące kłusem na skrzydła; zataczano i odprzodkowywano na gwałt armaty. Wszystkie przygotowania, cały ten ruch widać było, jak na dłoni, bo wstało słońce jasne. przepyszne i rozświeciło całą krainę.

Pilica dzieliła dwa wojska.

Na szwedzkim brzegu ozwały się trąby, kotły, bębny i krzyki żołnierstwa, stawającego co duchu do sprawy, a pan Czarniecki kazał również dąć w krzywuły i następował ze wszystkiemi chorągwiami ku rzece.

Wtem poskoczył co tchu w dzianecie do wąsowiczowej chorągwi, która była bliżej rzeki.

— Stary żołnierzu! — krzyknął — ruszaj mi ku mostowi, tam. z koni i do muszkierów! Niech się na ciebie cała potęga obróci! Prowadź!

Wąsowicz jeno poczerwieniał nieco z ochoty i machnął buzdyganem. Ludzie, krzyk uczyniwszy, pomknęli za nim jak tuman kurzawy, wiatrem gnanej.

Dopadłszy na trzysta kroków do mostu, zwolnili biegu; tu dwie trzecie zeskoczyło z kulbak i biegiem ruszyło ku mostowi.

Szwedzi zaś ruszyli z drugiej strony i wkrótce zagrały muszkiety, zrazu wolniej, potem coraz prędzej, jakby tysiące cepów biło nieregularnie w klepisko. Dymy rozciągnęły się na rzekę. Krzyki zachęty brzmiały przy jednym i drugim naczółku. Uwaga obu wojsk skupiła się na most, który był drewniany, wązki, zatem trudny do zdobycia, a łatwy do obrony. Jednakże tylko przezeń można się było dostać do Szwedów.

To też w kwadrans później pchnął pan Czarniecki dragonię Lubomirskiego w pomoc Wąsowiczowi.

Lecz Szwedzi poczęli już i z armat ostrzeliwać przeciwległy naczółek. Zataczano coraz nowe sztuki i faskule poczęły z wyciem przelatywać ponad głowami wąsowiczowych i dragonii, padać na

łąkę i ryć w zagony ziemię, obrzucając walczących darnią i błotem.

Margrabia badeński, stojąc pod lasem, na tyłach armii, patrzył przez perspektywę na bitwę. Od czasu od czasu zaś odejmował ją od oczu i spoglądając ze zdziwieniem na swój sztab, wzruszał ramionami.

— Poszaleli, — mówił — koniecznie chcą ów most forsować Kilka dział i dwa lub trzy pułki może go przed armią bronić.

Jednakże Wąsowicz coraz potężniej następował ze swymi ludźmi, więc i obrona stawała się coraz zaciętsza. Most stawał się punktem środkowym bitwy, ku któremu zwolna poczęła ciężyć ściągała się cała linia szwedzka. W godzinę później zmienił się cały szyk i zwrócił się bokiem do poprzedniej pozycyi. Most zasypywano poprostu deszczem ognia i żelaza; ludzie Wąsowicza poczęli padać gęstym trupem, tymczasem przylatywały ordynanse coraz gwałtowniejsze, by koniecznie szli naprzód.

— Zgubi Czarniecki tych ludzi! — krzyknął nagle pan marszałek koronny.

Zaś pan Witowski, jako doświadczony żołnierz, poznał, że źle się dzieje i aż dygotał cały z niecierpliwości, nakoniec nie mógł wytrzymać dłużej, zaczem wspiął konia, aż rumak stęknął żałośnie i skoczył ku Czarnieckiemu, który przez cały czas ten ciągle, nie wiadomo dlaczego, posuwał ludzi ku rzecze.

— Wasza miłość! — krzyknął Witowski — krew się napróżno leje; nie zdobędziemy tego mostu!

— Ja też go nie chcę zdobywać! — odrzekł Czarniecki.

— Więc czego wasza dostojność chcesz? Co mamy robić?

— Ku rzece z chorągwiami! ku rzece! Do szeregu waść!

Tu Czarniecki począł sypać oczyma takie błyskawice, iż Witowski cofnął się, słowa nie rzekłszy.

Tymczasem chorągwie doszły na dwadzieścia kroków do brzegu i stanęły długą linią wzdłuż kor tarza. Nikt z oficerów, ni żołnierzy nie wiedział w pień dlaczego to czynią.

Nagle Czarniecki pojawił się jak piorun przed frontem chorągwi. Ogień miał w licach, piorun w oczach. Wiatr silny podnosił mu burkę na ramionach nakształt potężnych skrzydeł, koń pod nim skakał i wspinał się, wyrzucając płomień z nozdrzy, on zaś

szablę puścił na temblak, czapkę zerwał z głowy i ze zjeżoną czupryną, z potem na czole, krzyknął do swojej dywizyi:

— Mości panowie! Rzeką się nieprzyjaciel zastawił i drwi z nas! Morze przepłynął na pognębienie nam ojczyzny, a myśli, że my w jej obronie tej rzeki nie przepłyniem!

Tu czapkę cisnął na ziemię, a chwyciwszy szablę, wskazał nią na wezbrane wody. Uniesienie go porwało, bo aż wstał w kulbace i jeszcze potężniej zakrzyknął:

— Komu Bóg! komu wiara! komu ojczyzna miła za mną!

I ścisnąwszy konia ostrogami, tak, iż rumak jakoby w powietrzu wyskoczył, rzucił się w wodę. Bryznęła naokół fala, mąż i koń skryli się na chwilę pod wodą, lecz wypłynęli w mgnieniu oka.

— Za moim panem! — krzyknął Michałko, ten sam, który pod Rudnikiem chwałą się okrył.

I skoczył w wodę.

Za mną! — wrzasnął przeraźliwym, a cienkim głosem Wołodyjowski.

I nurknął, nim krzyczeć przestał.

— Jezusie, Maryo! — ryknął, wspinając do skoku konia, Zagłoba.

Wtem ława mężów i koni runęła w falę, aż wyskoczyła z szalonym rozpędem na brzeg. Za laudańską poszła wiśniowiecka, za wiśniowiecką pan Witowskiego, za nią Stapkowskiego, za nią wszystkie inne. Szał ogarnął tych ludzi, że pchały się chorągwie na wyścigi; krzyk komendy pomieszał się z krzykiem żołnierstwa, rzeka wystąpiła z brzegów i spieniała się na mleko w mgnieniu oka. Fala poczęła znosić nieco pułki, lecz konie, bodzone ostrogami, płynęły, jakby nieprzejrzane stada delfinów, chrapiąc nozdrzami i stękając. Zapełnili tak rzekę, że tłum łbów końskich i głów ludzkich utworzył jakoby most, po którym mógłbyś przejść suchą nogą na drugi brzeg.

Czarniecki przepłynął pierwszy, lecz nim woda zeń ociekła, wykrzyknął na Wołodyjowskiego:

— W skok! bij!

A do wiśniowieckiej pod Szandarowskim:

— W nich!

I tak puszczał jedną za drugą, póki wszystkich nie odprawił. Przy ostatniej sam stanął na czele i zakrzyknąwszy: "W imię Boże! szczęśliwie!" — ruszył z innymi.

A wszakże dwa pułki rajtaryi, stojące w odwodzie, widziały, co się dzieje, lecz pułkowników ogarnęło osłupienie tak wielkie, że nim ruszyli się z miejsca, już laudańska rozpuściwszy konie, szła na nich niepowstrzymanym pędem. Uderzywszy, rozniosła pierwszy pułk, jak wicher roznosi liście, zepchnęła go na drugi, zmieszała drugi, wtem doskoczył za nią Szandarowski i rozpoczęła się rzeź straszna, lecz krótko trwająca; po chwili rozerwały się szeregi szwedzkie i tłum bezładny począł umykać ku głównej armii.

Chorągwie Czarnieckiego biegły za nimi z krzykiem straszliwym, siekąc, bodąc, pole trupami zaścielając.

Stało się wreszcie jasnem, dla czego pan Czarniecki kazał Wąsowiczowi zdobywać most, chociaż nie miał zamiaru po nim przechodzić. Oto główna uwaga całej armii skupiła się na ów punkt i dlatego nikt nie bronił i nie miał czasu bronić przeprawy wpław. Przytem wszystkie niemal paszcze armatnie, cały front wojsk nieprzyjacielskich zwrócony był za rzekę ku mostowi, a teraz, gdy trzy tysiące jazdy szło jej w bok całym pędem; teraz dopiero trzeba było zmieniać szyk, formować nowy front, by się choć jako tako od uderzenia zasłonić. Jakoż stał się straszliwy skrzęt i zamieszanie: pułki piechoty, jazdy, odwracały się co duchu ku nieprzyjacielowi, łamiąc się w pośpiechu, zawadzając jedne o drugie, nie rozumiejąc wśród wrzasku i tumultu komendy, działając na własną rękę. Próżno oficerowie czynili nadludzkie usiłowania, próżno margrabia ruszył natychmiast stojące pod lasem pułki jazdy; nim do jakiejkolwiek sprawy przyszli, nim piechota zdołała dzidy tylnemi końcami w ziemię zasadzić, by je nadstawić nieprzyjacielowi, wpadła chorągiew laudańska, jak duch śmierci w sam środek szyków; za nią druga, trzecia, czwarta, piąta, szósta. Dopieroż rozpoczął się dzień sądu! Dymy wystrzałów muszkietowych przykryły jakoby chmurą, całą bitwę, a w tej chmurze krzyk, wrzenie, nadludzkie głosy rozpaczy, krzyki tryumfu, przeraźliwe dźwiękanie żelaza, jakby w kuźni piekielnej,grzechotanie muszkietów; czasem błysnął proporzec i zapadł w dymy, czasem złota szpica chorągwi pułkowej i znów nic nie widziałeś jeno łoskot rozlegał się coraz straszliwszy, jakoby ziemia zerwała się nagle pod rzeką i jakoby wody jej spadały w przepaść niezgłębioną.

Wtem z boku nowe zabrzmiały wrzaski, to Wąsowicz przeszedł

most i szedł w bok nieprzyjaciela. Wówczas niedługo już trwała bitwa.

Z owej chmury poczęły się wysuwać i biedz ku lasowi potężne kupy ludzkie, bezładne, obłąkane, bez czapek, hełmów, bez broni. Za nimi lunął wkrótce cały potok ludzki w najokropniejszem zwichrzeniu. Artylerya, piechota, jazda, pomieszane z sobą, uciekały ku lasowi oślepłe z trwogi i przerażenia. Niektórzy żołnierze krzyczeli w niebogłosy, niektórzy uciekali w milczeniu, osłaniając głowy rękami, inni w biegu zrzucali odzież, inni zatrzymywali biegnących naprzód, padali sami, tratowali się wzajemnie, a tuż za nimi, nad ich karkami i głowami, pędziła ława jeźdźców polskich. Co chwila widziałeś całe ich szeregi, wspinające konie i rzucające się w największą gęstwę ludzką. Nie bronił się już nikt, wszyscy szli pod miecz. Trup padał na trupie. Cięto bez wytchnienia, bez miłosierdzia, na całej równinie, po brzegach rzeki, ku lasowi, jak okiem sięgnął widziałeś tylko uciekających i goniących, gdzieniegdzie tylko pojedyńcze oddziały piechoty dawały bezładny a rozpaczliwy opór, armaty umilkły. Bitwa przestała być bitwą, zmieniła się na rzeź.

Cała część armii, która biegła ku lasowi, została w pień wyciętą. Dotarły doń tylko nieliczne szwadrony rajtaryi, za któremi wpadły w gęstwinę lekkie chorągwie.

Lecz w lesie czekali już na owych niedobitków chłopi, którzy na odgłos bitwy zlecieli się ze wszystkich wsi okolicznych.

Najstraszliwsza pogoń trwała jednak na drodze warszawskiej, którą uciekały główne siły szwedzkie. Młodszy margrabia Adolf po dwakroć usiłował tam osłonić ucieczkę, lecz po dwakroć rozbity, sam wreszcie wpadł w niewolę. Oddział przybocznej jego piechoty francuskiej, złożony z czterystu ludzi, rzucił broń, trzy tysiące wyborowego żołnierza, muszkieterów i jazdy uciekało aż do Mniszewa. Muszkietników wycięto w Mniszewie, jazdę goniono ku Czerskowi, póki nie rozproszyła się zupełnie po lasach, trzcinach, zaroślach. Tam nazajutrz dopiero wyszukiwali pojedyńczych jeźdźców chłopi.

Nim słońce zaszło, armia Fryderyka margrabiego badeńskiego przestała istnieć.

Na pierwszem pobojowisku pozostali sami tylko chorążowie z gołemi chorągwiami, bo wszyscy ludzie zagnali się za nieprzyjacie-

lem. I słońce miało się już dobrze ku schyłkowi, gdy pierwsze oddziały jazdy poczęły ukazywać się od strony lasu i Mniszewa. Wracały ze śpiewaniem i szumem, wyrzucając w górę czapki, paląc z bandoletów. Prawie wszystkie wiodły za sobą tłumy powiązanych w łyka jeńców. Ci szli przy koniach bez kapeluszów, bez hełmów, z głowami pospuszczanemi na piersi, obdarci, okrwawieni co chwila potykający się o ciała poległych współbraci. Pobojowisko straszny przedstawiało widok. W niektórych miejscach, gdzie zderzano się najpotężniej, leżały poprostu stosy trupów, na pół włóczni wysoko. Niektórzy z piechurów trzymali jeszcze zakrzepłemi dłońmi długie włócznie. Włóczniami temi był pokryty cały majdan. Miejscami tkwiły one dotychczas w ziemi, gdzieniegdzie złamki ich potworzyły jakoby zagrodzenia i płoty. Lecz przeważnie wszędy przedstawiała się oku okrutna a żałosna mieszanina ciał ludzkich pomiażdżonych kopytami, drzewców połamanych, muszkietów, bębnów, trąb, kapeluszów, pasów blaszanych ładunków, które nosiła piechota, rąk, nóg sterczących tak bezładnie ze stosów ciał, że trudno było odgadnąć, do kogo należą. Szczególnie w tych miejscach gdzie broniła się piechota, leżały całe szańce trupów.

W dali nieco, przy rzece stały ostygłe już armaty, jedne poprzewracane przez napór ludzki, drugie, jakoby gotowe jeszcze do strzału. Obok nich spali, ujęci snem, wiecznym kanonierowie, których również wycięto do nogi. Widziano wiele trupów, przewieszonych przez działa i obejmujących je rękoma, jakoby ci żołnierze chcieli je jeszcze po śmierci osłaniać. Spiż, popłamiony krwią i mózgiem, połyskiwał złowrogo w promieniach zachodzącego słońca. Złote blaski odbijały się w zakrzepłej krwi, która tu i owdzie utworzyła małe jeziorka. Ckliwy jej zapach mieszał się na całem pobojowisku z wonią prochu, z wyziewami ciał i końskim potem.

Pan Czarniecki powrócił jeszcze przed zachodem słońca z królewskim pułkiem i stanął na środku majdanu. Wojska powitały go grzmiącym okrzykiem. Co który oddział nadciągnął, to wiwatował bez końca, on zaś stał w blaskach słonecznych, utrudzon niezmiernie, lecz cały promienny, z gołą głową, z szablą zwieszoną na temblaku i coraz odpowiadał wiwatującym:

— Nie mnie, mości panowie, nie mnie, lecz imieniowi Boskiemu!

Zaś obok niego stał Witowski i Lubomirski, ten ostatni jasny, jak słońce, bo w pozłociste blachy przybrany, z twarzą obryzganą

jak prosty żołnierz, lecz już markotny i posępny, gdyż nawet jego własne pułki krzyczały:

— Vivat Czarniecki, dux et victor (wódz i zwycięzca)!

Zazdrość więc poczęła już nurtować duszę marszałkowa.

Tymczasem coraz nowe oddziały waliły ze wszystkich stron na pobojowisko, za każdym zaś razem nadjeżdżał towarzysz i ciskał panu Czarnieckiemu pod nogi zdobytą chorągiew nieprzyjacielską. Na ów widok powstawały nowe krzyki, nowe wiwatowania, ciskanie czapek w górę i palba z bandoletów.

Słońce zachodziło coraz niżej.

Wtem, w jednym kościele, jaki po pożarze w Warce pozostał, zadzwoniono na nieszpór; natychmiast poodkrywały się wszystkie głowy; ksiądz Piekarski, setny ksiądz, zaintonował: "Anioł Pański zwiastował Najświętszej Pannie Maryi!...." a tysiące żelaznych piersi odpowiedziało mu natychmiast potężnemi głosami: "i poczęła z Ducha Świętego!..."

Wszystkich oczy podniosły się ku niebu, które zarumieniło się całe zorzą wieczorną i z owego krwawego pobojowiska poczęła lecieć ku grającym w górze blaskom przedwiecznym pieśń pobożna.

Właśnie ,gdy skończono śpiewać, nadjechała rysią laudańska chrorągiew, która się była najdalej zagnała za nieprzyjacielem. Żołnierze znów poczęli ciskać chorągwie pod nogi panu Czarnieckiemu, więc on uradował się w sercu i widząc Wołodyjowskiego, posunął ku niemu konia.

— A siła wam ich uszło? — spytał.

Pan Wołodyjowski począł tylko głową kręcić na znak że nie siła uszło, lecz tak był zziajany, że słowa jednego przemówić nie mógł, jeno w otwartą gębę łapał powietrze raz po razu, aż mu w piersiach grało. Pokazał wreszcie ręką na usta, że mówić nie może, a pan Czarniecki zrozumiał i za głowę go tylko ścisnął.

—Ten się spracował!—rzekł—bodaj się tacy na kamieniu rodzili!

Pan Zagłoba zaś prędzej odzyskał oddech i szczękając zębami, tak począł przerywanym głosem mówić:

— Dla Boga! Na pot zimny wiatr wieje!... paraliż mnie trzaśnie!. Zwleczcie szaty z jakiego grubego Szweda i dajcie mi, bo wszystko na mnie mokre... Mokro i mokro... Nie wiem już co woda, co mój

własny pot, a co krew szwedzka... Jeślim ja się spodziewał, że... kiedy w życiu tyle Szwedów narznę, tom nie wart być podogoniem na kulbace... Największa wiktorya w tej wojnie... Ale do wody nie będę drugi raz skakał... Nie jedz, nie pij, nie śpij, a potem kąpiel... Dość mi na stare lata... Ręka mi zemdlała... Już mnie paraliż ima... Gorzałki, na miły Bóg!...

Słysząc to pan Czarniecki i widząc wiekowego męża istotnie całkiem pokrytego krwią nieprzyjacielską, ulitował się nad wiekiem i podał mu własną manierkę.

Zagłoba przechylił ją do ust i po chwili oddał próżną, poczem rzekł:

— Tylem się wody w Pilicy ożłopał, że rychło patrzeć, jak mi się ryby w brzuchu wylęgną, ale to lepsze od wody.

— A przebierz się waść w inne szaty, choćby i szwedzkie — rzekł pan kasztelan.

— Ja wujowi grubego Szweda poszukam! — ozwał się Roch.

— Poco z trupa mam pokrwawione kłaść — odrzekł Zagłoba. — Ściągnijno wszystko do koszuli z tego generała, któregom w jasyr wziął.

— To waść wziął generała?— spytał żywo pan Czarniecki.

— Kogom nie wziął, czegom nie dokonał! — odpowiedział Zagłoba.

Wtem pan Wołodyjowski odzyskał mowę:

— Wzięty przez nas młodszy margrabia Adolf, hrabia Falkenstein, generał Węgier, generał Poter, Benzy, nie licząc pomniejszych oficerów.

— A margrabia Fryderyk? — spytał Czarniecki.

— Jeśli tu nie leży, to uszedł w lasy, ale jeśli uszedł, to go chłopi zabiją!

Pan Wołodyjowski omylił się w swych przewidywaniach. Margrabia Fryderyk wraz z grafem Szlipenbachem i Ehrensheinem, błądząc lasami, dotarli nocą do Czerska; tam posiedziawszy w ruinach zamku trzy dni o chłodzie i głodzie, powędrowali nocą do Warszawy. Nie uchroniło ich to później przed niewolą, na ten raz jednak ocaleli.

Noc już była, gdy pan Czarniecki zjechał ku Warce z pobojowiska. Była to może najweselsza noc w jego życiu, tak wielkiej bo-

wiem klęski nie ponieśli dotąd Szwedzi od początku wojny. Wszystkie działa, wszystkie chorągwie, wszystka starszyzna, prócz naczelnego wodza, była wzięta. A armia zniesiona doszczętnie; rozegnane na cztery wiatry małe jej resztki, musiały paść ofiarą kup chłopskich. Lecz pokazało się jeszcze przytem, że owi Szwedzi, którzy sami za niezwyciężonych w otwartem polu się mieli, nie mogli właśnie w otwartem polu mierzyć się z regularnemi polskiemi chorągwiami. Rozumiał wreszcie pan Czarniecki, jak potężny skutek to zwycięstwo w całej Rzeczypospolitej wywrze, jak podniesie ducha, jaki rozbudzi zapał; widział już całą Rzeczpospolitą w niedalekiej przyszłości od ucisku uwolnioną, tryumfującą... Może i złocistą wielkohetmańską buławę widział oczyma duszy na niebie...

Wolno mu było o niej marzyć, bo szedł ku niej, jak prawy żołnierz, jak obrońca ojczyzny i był z takich, którzy nie powstają ani z soli, ani z roli, jeno z tego, co ich boli.

Tymczasem ledwie całą duszą mógł objąć tę radość, która na niego spłynęła, więc zwrócił się do jadącego obok marszałka i rzekł:

— Teraz pod Sandomierz! pod Sandomierz, jak najprędzej! Umie już wojsko rzeki przepływać; nie zastraszy nas San, ni Wisła!

Marszałek nic odrzekł ani słowa, natomiast jadący nieco opodal, w szwedzkiem przebraniu, pan Zagłoba pozwolił sobie w głos przemówić:

— Jedźcie, gdzie chcecie, ale beze mnie, bom ja nie kurek na kościele, który się kręci dniem i nocą, jeść i spać nie potrzebując.

Pan Czarniecki tak był wesół, że nietylko się nie rozgniewał, ale odrzekł żartując:

— Waść do dzwonnicy, niż do kurka podobniejszy, zwłaszcza, że jako widzę, wróble masz w kopule. Wszelako quod attinet (co się tyczy) jadła i spoczynku, to się wszystkim przynależy.

Na to Zagłoba, ale już półgłosem:

— Kto ma dzioby na gębie, ten ma wróble na myśli!

## LXIII.

Po owem zwycięstwie pozwolił nakoniec Czarniecki odetchnąć wojsku i konie strudzone odpaść, poczem znów wielkiemi pochodami miał wracać pod Sandomierz, by króla szwedzkiego do upadłego gnębić.

Tymczasem pewnego wieczora przybył do obozu pan Charłamp z wieściami, od Sapiehy. Czarniecki wyjechał był pod ową porę do Czeska na lustracyę pospolitego ruszenia rawskiego, które się pod owem miastem właśnie zbierało, więc Charłamp, nie zastawszy wodza, udał się wprost do Wołodyjowskiego, aby u niego po długiej drodze wypocząć.

Przyjaciele witali go wielce radośnie, lecz on zaraz na wstępie posępną im twarz ukazał i rzekł:

— O waszej wiktoryi już słyszałem. Tu nam się uśmiechnęła fortuna, a pod Sandomierzem nas przycisnęła. Niemasz już Carolusa w saku, bo się wydobył, a do tego z wielką wojska litewskiego konfuzyą.

— Byćli to może? — zakrzyknął, chwytając się za głowę, pan Wołodyjowski.

Obaj Skrzetuscy i Zagłoba stanęli jak wryci.

— Jakżeto było? Powiadaj waćpan, na żywy Bóg, bo we własnej skórze nie usiedzim!

— Już mi i tchu nie staje — odpowiedział pan Charłamp, — jechałem dzień i noc, strudziłem się okrutnie. Nadjedzie pan Czarniecki, to wszystko ab ovo (od początku) opowiem. Dajcie mi teraz trochę odsapnąć.

— Więc ot i Carolus wyszedł w saku! Przewidywałem, że na to przyjdzie. Jakżeto? zapomnieliście, iżem to prorokował? Niech Kowalski przyświadczy.

— Wuj prorokował! — rzekł Roch.

— I gdzie Carolus poszedł? — spytał Charłampa Wołodyjowski.

— Piechota popłynęła szmagami, a on z jazdą poszedł po przywiślu ku Warszawie.

— Bitwa była?

— I była i nie była. Krótko mówiąc, dajcie, mi spokój, bo nie mogę gadać!

— Jedno jeno jeszcze powiedz. Zali całkiem pan Sapieha rozbit?

— Gdzietam rozbit! Goni nawet króla, ale już tam pan Sapieha nikogo nie dogoni!

— Taki on do gonienie, jak Niemiec do postu! — rzekł Zagłoba.

— Chwała Bogu i za to, że wojska w całości! — wtrącił Wołodyjowski.

— Podrwili Boćwinkowie! — zawołał Zagłoba. — Ha! trudno! Musim znów dziurę w Rzeczypospolitej ma współkę łatać!

— Waćpan na litewskie wojsko nie gadaj — odparł Charłamp. — Carolus jest wojennik wielki i nie sztuka z nim przegrać. A wyście to, koroniarze, nie podrwili pod Ujściem, a pod Wolborzem, z pod Sulejowem, a w dziesięciu innych miejscach? Sam pan Czarniecki przegrał pod Gołębiem! Dlaczego nie miał przegrać i pan Sapieha, zwłaszcza, gdyście go, jako sierotę, samego zostawili?

— A cóżmy to na tańce pod Warkę poszli? — rzekł z oburzeniem Zagłoba.

— Wiem, że nie na tańce, jeno na bitwę i Bóg dał wam wiktoryę. Ale kto wie, czy nie lepiej było nie chodzić, bo u nas powiadają, że wojska obojga narodów, każde zosobna może być pobite, ale w kupie i sam piekielny komput nie poradzi.

— Możeto być — rzekł Wołodyjowski, — ale co wodzowie uradzili, w to nam nie wchodzić. Nie bez tego też, żeby waszej winy nie było!

— Musiał tam Sapjo pokpić, już ja go znam! — rzekł Zagłoba

— Temu nie mogę negować! — mruknął po nosem Charłamp

Tu umilkł na chwilę, jeno od czasu do czasu spoglądali na się ponuro, bo im się wydało, że szczęście Rzeczypospolitej psuć się nanowo poczyna, a przecie tak niedawno pełni byli ufności i nadziei.

Wtem Wołodyjowski rzekł:

— Pan kasztelan powraca!

I wyszedł z izby.

Kasztelan powracał rzeczywiście; Wołodyjowski wybiegł przeciw niemu i zdala począł wołać:

— Mości kasztelanie! Król szwedzki zgwałcił litewskie wojsko

z saku umknął. Jest tu towarzysz z listami od pana wojewody wileńskiego.

— Dawaj go sam! — krzyknął Czarniecki. — Gdzie on jest?

— U mnie. Zaraz go przystawię.

Lecz pan Czarniecki tak przyjął do serca wiadomość, że nie chciał czekać, jeno natychmiast zeskoczył z kulbaki i wszedł do kwatery Wołodyjowskiego.

Porwali się z ław wszyscy, widząc go wchodzącego, on zaś zaledwie im głową skłonił, już rzekł:

— Proszę o listy!

Charłamp podał mu zapieczętowane pismo. Kasztelan poszedł z nim pod okno, bo w chałupie było ciemno i począł je czytać ze zmarszczoną brwią i troską w twarzy. Od czasu do czasu gniew błyskał mu w obliczu.

— Zalterował się pan kasztelan, — szeptał do Skrzetuskiego Zagłoba — obacz, jak mu dzioby poczerwieniały, zaraz i szeplenić zacznie, co zawsze czyni, gdy go cholera chwyci.

Wtem pan Czarniecki skończył czytać, przez chwilę pięścią kręcił brodę i myślał, nakoniec ozwał się dźwięcznym, niewyraźnym głosem:

— A pójdźno tu bliżej, towarzyszu!

— Do usług waszej dostojności!

— Gadaj prawdę, — rzekł z przyciskiem kasztelan — bo ta relacya tak misternie haftowana, iż rzeczy dojść nie mogę... Jeno... gadaj prawdę... nie koloryzuj: wojska rozproszone?

— Nijak nie rozproszone, mości kasztelanie.

— A ile dni wam potrzeba, żebyście się znów zebrali?

Tu Zagłoba szepnął do Skrzetuskiego:

— Charłamp odpowiedział bez wahania:

— Chce go jak to mówią, z mańki zażyć

— Skoro wojsko nie rozproszone, to mu się zbierać nie potrzeba. Prawda jest, że pospolitaków z pięćset koni nie mogliśmy się dorachować, gdym odjeżdżał, których i pomiędzy poległymi nie było, ale to zwykła rzecz i komput na tem nie cierpi, a nawet pan hetman ruszył za królem w dobrym porządku.

— Armat nie straciliście, mówisz, nic?

— Owszem. Straciliśmy cztery, które Szwedzi, nie mogąc ich zabrać, zagwoździli

— Widzę że prawdę mówisz; powiadaj tedy, jak się wszystko odbyło.

— Incipiam! — rzekł Charłamp. — Kiedyśmy tu ostali sami, postrzegł się nieprzyjaciel, iże zawiślańskich wojsk niemasz, jeno partye i kupy niesforne na ich miejscu. Myśleliśmy, a właściwie mówiąc, pan Szpicha myślał, że na tamtych uderzą i jakie takie posiłki im ekspedyował, ale nieznaczne, by się nie osłabić. Tymczasem u Szwedów krętanina i szum, jakoby w ulu. Pod wieczór poczęli zbierać się tłumami do Sanu. Byliśmy w kwaterze wojewodzinskiej. Przyjeżdża ten pan Kmicic, który się Babiniczem teraz zowie, żołnierz przedni i daje znać. A pan Sapicha właśnie do uczty zasiadał, na którą się siła szlachcianek aż z pod Kraśnika i Janowa nazjeżdżało... że to pan wojewoda lubi płeć białogłowską...

— I uczty lubi! — przerwał Czarniecki.

— Nie masz mnie przy nim, nie ma go kto do temperencyi nakłaniać! — przerwał Zagłoba.

Na to pan Czarniecki:

— Może prędzej będziesz waść przy nim, niż myślisz, zaczniecie się we dwóch temperować!

Tu zwrócił się do Charłampa:

— Mów dalej.

— Babinicz tedy daje znać, a wojewoda na to: "Symulują tylko, że chcą następować! Nie przedsięwezmą nic! Prędzej (powiada) przez Wisłę zechcą się przebrać, ale mam ja na nich oko i wtedy sam nastąpię. Tymczasem (powiada) nie psujmy sobie uciechy, żeby nam było dobrze!" Poczynamy tedy jeść i pić. A i kapela poczyna rznąć, sam wojewoda prosi do tańca...

— Dam ja mu tańce! — przerwał Zagłoba.

— Cicho waść! — rzekł Czarniecki.

— Wtem znów przylatują od brzegu, że szum okrutny. Nic to! Wojewoda pazia w ucho: "Będziesz mi tu lazł!" Tańcowaliśmy do świtania, spaliśmy do południa. O południu patrzym, aż tu szańce srogie stoją, a na nich ciężkie działa, kartauny. Dają też czasem ognia, a co kula, to jak ceber! Jedna taka na nic oko zaprószy!

— Nie powiadaj konceptów, — przerwał Czarniecki — boś nie u hetmana!

Charłamp zmieszał się mocno i tak dalej mówił:

— O południu wyjechał sam wojewoda. Szwedzi zaś pod osłoną owych szańców zaczęli stawiać most. Pracowali do wieczora, z wielkim naszym podziwem, bośmy byli tego mniemania, że zbudować go zbudują, ale przejść po nim nie zdołają. Na drugi dzień jeszcze budują. Począł wojewoda sprawiać wojska, bo i sam już myślał, że będzie batalia.

— Tymczasem most był pozór, a przeszli poniżej przez inny, z boku was zaszli? — przerwał Czarniecki.

Charlamp wytrzeszczył oczy, otworzył usta, przez chwilę milczał zdumiony, nakoniec rzekł:

— To wasza dostojność miała już relacyę?

— Niema co! — szepnął Zagłoba — co wojny tyczy, nasz dziad w lot zgadnie, jakoby właśnie patrzył na sprawę!

— Mów dalej! — rzekł Czarniecki.

— Przyszedł wieczór. Wojska stały w gotowości, ale z pierwszą znowu była uczta. Tymczasem rano Szwedzi przeszli przez ów drugi most, który poniżej zbudowali i zaraz nastąpili. Stała od krańca chorągiew pana Koszyca, żołnierza dobrego. Ten w nich! Skoczą więc w pomoc pospolitacy, którzy byli najbliżej, ale kiedyto pluną do nich z armat — w nogi! A pan Koszyc poległ i ludzi jego okrutnie poszarpano. Dopieroż pospolitacy, wpadłszy hurmem na obóz, wszystkich pomieszali. Co było gotowych chorągwi, to poszły, ale nie sprawiliśmy nic, jeszcześmy armaty stracili. Gdyby więcej dział i piechoty były przy królu, sroga byłaby klęska, ale szczęściem większa część pieszych regimentów, wraz armatami, odpłynęła nocą szmaganami, o czem także nikt u nas nie wiedział.

— Sapjo pokpił! Z góry wiedziałem! — zawołał Zagłoba.

— Przejęliśmy korespondencyę królewską, — rzekł Charłamp — którą Szwedzi uronili. Czytali w niej żołnierze, że król do Prus ma iść, aby z elektorskimi nazad wrócić, gdyż, pisze, że samemi szwedzkiemi siłami nie da sobie rady.

— Wiem o tem, — rzekł Czarniecki — pan Sapieha przesłał mi ten list.

Poczem mruknął cicho, jakoby sam do siebie, mówiac

— Trzeba i nam za nim do Prus.

— Dawno to mówię! — rzekł Zagłoba.

Pan Czarniecki popatrzył nań przez chwilę w zamyśleniu.

— Nieszczęście! — rzekł głośno — bo gdybym ja nadążył pod Sandomierz, tedybyśmy we dwóch z hetmanem żywej nogi nie puścili... Ha! stało się! i nie wróci... Wojna się przedłuży, ale taki temu najazdowi i najezdnikom śmierć pisana.

— Nie może inaczej być!... zawołali chórem rycerze.

I wielka otucha wstąpiła im do serc, choć przed chwilą wątpili.

Wtem szepnął coś Zagłoba do ucha panu dzierżawcy z Wąsoszy, a ów znikł we drzwiach i po chwili wrócił z gąsiorem. Widząc to, Wołodyjowski pochylił się do kolan kasztelanowi.

— Łaskaby to była dla prostaka żołnierza niepowszednia... — zaczął.

— Napiję się z wami chętnie, — rzekł Czarniecki — a wiecie dlaczego? Owo dlatego, że nam się pożegnać przyjdzie.

— Jakżeto? — zawołał zdumiony Wołodyjowski.

— Pisze pan Sapieha, że chorągiew laudańska do litewskiego wojska należy i że ją jeno dla asysty królowi przysłał, a teraz sam jej będzie potrzebował, zwłaszcza oficerów, bo mu ich brak okrutny. Mój Wołodyjowski, wiesz, ile cię miłuję i ciężko mi się z tobą rozstawać, ale tu jest dla ciebie rozkaz. Wprawdzie pan Sapieha, jako człek polityczny, na moje ręce i do mojej dyskrecyi rozkaz przysyła. Mógłbym ci go nie pokazać... Ba, ba, tak mi to miłe, jakoby mi pan hetman szablę najlepszą złamał... Ale właśnie, że do mojej dyskrecyi przysłano, więc ci rozkaz daję — masz!... a już czyń, coś powinien. Za zdrowie twoje, żołnierzyku!...

Pan Wołodyjowski znów pochylił się do kasztelańskich kolan, ale tak był strapiony, że słowa przemówić nie mógł, a gdy kasztelan wziął go w objęcia, łzy ciurkiem puściły mu się na żółte wąsiki.

— Wolejbym poległ! — zawółał żałośnie. — Gonić pod tobą, wodzu wielbiony, przywykłem, a tak nie wiadomo, jako będzie...

— Panie Michale, nie zważaj na rozkaz! — rzekł wzruszony Zagłoba. — Sam Sapjowi odpiszę i uszu mu przystojnie natrę.

Lecz pan Michał przedewszystkiem był żołnierzem, więc jeszcze się obruszył:

— A w waćpanu wiecznie stary wolentarz siedzi!... Milczałbyś lepiej, kiedy rzeczy nie rozumiesz. Służba!

— Ot, co — rzekł Czarniecki.

## LXIII.

Pan Zagłoba, stanąwszy przed hetmanem, nie odpowiedział na radosne jego powitanie, owszem ręce w tył założył, wargę wysunął naprzód i począł nań spoglądać, jak sędzia sprawiedliwy, ale surowy. Ten zaś jeszcze bardziej się ucieszył, widząc ową minę, bo już się jakowejś krotofili spodziewał i zaraz jął mówić:

— Jak się masz, stary francie? Cóżto tak nosem kręcisz, jakbyś jakowy niecnotliwy zapach wietrzył?

— W całem sapieżyńskiem wojsku bigos czuć!

— Czemu bigos, powiadaj?

— Bo Szwedzi kapuścinych głów naszatkowali!

— Masz go! Już nam przymówił! Szkoda, że i waści nie usiekli!

— Bom pod takim wodzem służył, pod którym myśmy siekli nie nas sieczono.

— Daj cię katu! żeby ci choć język obcięli!

— Nie miałbym czem sapieżyńskiej wiktoryi głosić!

Na to sposmutniał hetman i odrzekł:

— Panie bracie, zaniechaj mnie! Jest więcej takich, którzy już na moje służby ojczyźnie niepamiętni, zgoła mnie spostponowali i wiem to, że jeszcze wiele się przeciw mej osobie uczyni hałasu, a przecie, żeby nie owa chasa pospolitacka, inaczejby rzeczy pójść mogły. Powiadają, żem dla podkurków nieprzyjaciela zaniedbał, ale przecie temu nieprzyjacielowi cała Rzeczpospolita oprzeć się nie mogła!

Wzruszył się nieco pan Zagłoba słowy hetmana i odrzekł:

— Takito już u nas obyczaj, aby winę zawsze na wodza składać. Nie ja będę brał podkurki za złe, bo im dzień dłuższy, tem podkurek potrzebniejszy. Pan Czarniecki wielki wojownik, tę wszelako, wedle mojej głowy, ma przywarę, że wojsku na śniadanie, na obiad i na wieczerzę samą tylko szwedzinę daje. Lepszy on wódz, niż kuchta, ale źle robi, od takiej strawy wprędce wojna najlepszym kawalerom może zbrzydnąć.

— Bardzoże pan Czarniecki przeciw mnie choleryzował?

— I! niebardzo! Z początku wielką pokazał alteracyę, ale gdy się dowiedział, że wojska nie rozbite, zaraz powiada: "Wola Boska, nie ludzka moc! Nic to! (powiada) każdemu zdarzy się przegrać;

gdybyśmy samych (powiada) Sapiehów w ojczyźnie mieli, byłby to kraj Arystydesów."

— Dla pana Czarnieckiego krwibym nie skąpił! — odpowiedział hetman. — Każdy inny poniżałby mnie, aby siebie i własną sławę wywyższyć, zwłaszcza po świeżej wiktoryi, ale on nie z takich.

— Nic i ja przeciw niemu nie powiem, jeno to, żem za stary na taką służbę, jakiej on od żołnierza wygląda zwłaszcza na owe kąpiele, jakie wojsku wyprawuje.

— Toś waść rad, żeś do mnie wrócił?

— I rad i nie rad, bo o podkurku słucham od godziny, ale go jakoś nie widzę.

— Zaraz siądziemy do stołu. A co pan Czarniecki teraz przedsiębierze?

— Idzie do Wielkopolski, aby tamtym niebożątkom dopomódz, stamtąd zaś przeciw Steinbokowi ciągnie i do Prus, spodziewając się dostać od Gdańska armat i piechoty.

— Zacni obywatele Gdańszczanie. Całej Rzeczypospolitej przykładem świecą. To się z panem Czarnieckim pod Warszawą spotkamy, bo ja tam pociągnę, jeno się przedtem koło Lublina nieco zabawię.

— To Lublin znów Szwedzi obsadzili?

— Nieszczęsne miasto! Nie wiem ile razy było w nieprzyjacielskich ręku. Jest tu deputacya od szlachty lubelskiej i zaraz przyjdzie z prośbą, bym ich ratował. Ale, że mam listy do króla i do hetmanów ekspedyować, przeto muszą jeszcze poczekać.

— Do Lublina i ja chętnie pójdę, bo tam białogłowy nad miarę gładkie i rzęsiste. Kiedy to która, chleb krając, o bochenek się oprze, to nawet na nieczułym bochenku skóra od kontentacyi czerwienieje.

— O, Turku!

— Wasza dostojność, jako człek wiekowy, nie możesz tego wyrozumieć, ale ja co maj krew jeszcze muszę puszczać.

— Możeś starszy ode mnie!

— Jeno eksperyencyą, nie wiekiem, że zaś umiał em conservare juventutem meam (zachować moją młodość), tego mi już niejeden zazdrościł. Pozwól mnie, wasza dostojność, przyjąć deputacyę

lubelską, a ja jej przyrzeknę, że zaraz idziemy w pomoc, niech się nieborakowie pocieszą, nim nieboraczki pocieszymy.

— Dobrze, — rzekł hetman — a ja pójdę listy ekspedyować.

I wyszedł.

Zaraz potem wpuszczono deputacyę lubelską, którą pan Zagłoba przyjął z nadzwyczajną powagą i godnością, a pomoc przyrzekł pod warunkiem, że wojsko prowiantami zwłaszcza zaś wszelkim napitkiem obeślą. Poczem zaprosił ich imieniem wojewodzińskiem na wieczerzę. Oni radzi byli, bo wojska tejże jeszcze nocy ruszyły ku Lublinowi. Sam pan hetman pilił niezmiernie, bo mu chodziło o to, ażeby jakowąś przewagą wojenną pamięć sandomierskiej konfuzyi zatrzeć.

Rozpoczęło się więc oblężenie, ale szło dość marudnie. Przez cały ten czas Kmicic uczył się u pana Wołodyjowskiego szablą robić i postępy czynił nadzwyczajne. Pan Michał też wiedząc, że to na bogusławową szyję nauka, żadnych sekretów swej sztuki mu nie ukrywał. Często też miewali lepszą praktykę; chodzili bowiem pod zamek wyzywać Szwedów na rękę, których wielu usiekli. Wkrótce Kmicic do tego doszedł, że z Janem Skrzetuskim mógł się narówni potykać, nikt zaś w całem wojsku sapieżyńskiem nie zdołał mu dotrzymać. Wówczas taka chęć zmierzenia się z Bogusławem opanowała mu duszę, iż ledwie mógł wysiedzieć pod Lublinem, zwłaszcza, że wiosna wróciła mu siły i zdrowie. Rany pogoiły mu się wszystkie, przestał pluć krwią, krew grała w nim podawnemu i ogień tryskał z oczu. Spoglądali na niego z początku z pode łba laudańscy ludzie, lecz nie śmieli nastawać, bo Wołodyjowski trzymał ich żelazną ręką,później też patrząc na jego postępki i uczynki, pogodzili się z nim zupełnie i sam najzacieklejszy wróg, Józwa Butrym, mawiał:

— Umarł Kmicic, żywie Babinicz, a ten niech żywie!

Załoga lubelska poddała się wreszcie ku wielkiej uciesze wojska, zaczem ruszył pan Sapieha chorągwie ku Warszawie. Po drodze odebrał wiadomość, że sam Jan Kazimierz wraz z hetmanami i nowem wojskiem przyjdzie mu w pomoc. Nadeszły też wieści i od Czarnieckiego, który także z Wielkopolski ku stolicy zdążał. Wojna rozproszona po całym kraju, skupiła się tak pod Warszawą, jak chmury rozproszone po niebieskim sklepie, skupiają się i łączą, aby zrodzić burzę, grzmoty i błyskawice.

Szedł pan Sapieha na Żelechów, Garwolin i Mińsk do siedleckiego traktu, aby się w Mińsku z pospolitem ruszeniem podlaskiem połączyć. Jan Skrzetuski objął nad ową chasą komendę, bo chociaż w województwie lubelskiem mieszkał, ale że blisko granicy Podlasia więc znany był wszystkiej szlachcie i wielce przez nią ceniony, jako jeden z najznamienitszych w Rzeczypospolitej rycerzy. Jakoż wprędce potrafił on zmienić bitną z natury szlachtę na chorągwie, w niczem komputowemu wojsku nieustępujące.

Tymczasem zaś szli z Mińska ku Warszawie bardzo śpiesznie, aby jednym dniem pod Pragą stanąć. Pogoda sprzyjała pochodowi. Od czasu do czasu przelatywały majowe deszczyki, chłodząc ziemię i tłumiąc kurzawę, ale wogóle czas był cudny, nie zbyt gorący, ni zbyt zimny. Wzrok biegł daleko w przezroczystem powietrzu. Z Mińska szły wojska komunikiem, wozy bowiem i działa miały dopiero drugiego dnia za nimi wyruszyć; ochota panowała po pułkach niezmierna; gęste lasy, zalegające cały trakt, brzmiały echem pieśni żołnierskich, konie prychały na dobrą wróżbę. Chorągwie w sprawie i w porządku płynęły jedna za drugą, jak rzeka migotliwa a potężna, bo przecie dwanaście tysięcy ludu, bez pospolitaków, wiódł pan Sapieha. Rotmistrze, oganiając pułki, świecili polerowanemi blachami. Kraśne znaki chwiały się nad głowami rycerstwa nakształt olbrzymich kwiatów.

Słońce miało się ku zachodowi, gdy pierwsza, idąca w przodku chorągiew laudańska ujrzała wieże stolicy. Na ów widok, radosny okrzyk wyrwał się z piersi żołnierstwa:

— Warszawa! Warszawa!

Okrzyk ów przeleciał jak grzmot przez wszystkie chorągwie i przez jakiś czas słychać było na pół mili drogi powtarzane ustawicznie słowo: "Warszawa! Warszawa!"

Wielu sapieżyńskich rycerzy nie było nigdy w stolicy, wielu nigdy jej nie widziało, więc jej widok wywarł na nich wrażenie nadzwyczajne. Mimowoli wstrzymali wszyscy konie; niektórzy pozdejmowali czapki, inni poczęli się żegnać, niektórym łzy ciurkiem popłynęły z oczu i stali wzruszeni, milczący. Nagle pan Sapieha pojawił się na białym koniu od ostatnich zastępów i począł lecieć wzdłuż chorągwi.

— Mości panowie, — wołał donośnym głosem — my tu pierwsi, nam szczęście! nam honor!... Wyżeniem Szweda ze stolicy!!.

— Wyżeniem! —zawrzasło dwanaście tysięcy litewskich piersi. — Wyżeniem! wyżeniem! wyżeniem!

I stał się szum a huk. Jedni krzyczeli ciągle: "Wyżeniem!" — drudzy już wołali: "Bij, kto cnotliwy!" —inni: "W nich psubratów" Trzaskanie szablami mieszało się z krzykiem rycerzy. Oczy poczęły ciskać błyskawice, z pod srogich wąsów błyskały zęby. Sam Sapieha spłonął jak pochodnia. Nagle buławę podniósł w górę i krzyknął:

— Za mną!

W pobliżu Pragi wstrzymał pan wojewoda chorągwie i nakazał wolny pochód. Stolica wynurzała się coraz wyraziściej z sinawej oddali. Wieże rysowały się długą linią na błękicie. Spiętrzone dachy Starego Miasta, kryte czerwoną dachówką, płonęły w blaskach wieczornych. Nic wspanialszego nie widzieli nigdy w życiu Litwini nad owe mury białe i wyniosłe, poprzecinane mnóstwem wązkich okien, zwieszające się nakształt stromych wiszarów nad wodą; domy zdawały się wyrastać jedne z drugich, wysoko i jeszcze wyżej; nad ową zaś zbitą i zacieśnioną masą tynów, ścian, okien, dachów, bodły niebo wieże strzeliste. Ci z żołnierzy, którzy już byli w stolicy, bądź na elekcyi, bądź prywatnie, objaśniali innych, co który gmach znaczył i jakie nosił miano. Szczególnie Zagłoba, jako bywalec, uczył swoich laudańskich, oni zaś słuchali go pilnie, dziwiąc się jego słowom i samemu miastu. — Patrzcie na ową wieżę w samym pośrodku Warszawy — mówił. — Oto arx regia (zamek królewski). Żebym tyle lat żył, ile obiadów tam u królewskiego stołu zjadłem, Matuzalabym w kozi róg zapędził. Nie miał też król bliższego odemnie konfidenta; mogłem wybierać między starostwami jako między orzechami, a rozdawać je tak łatwo, jak ułnale. Siła ludzi promowałem, a gdym wchodził, to senatores w pas mi się kłaniali, po kozacku. Pojedynki też na oczach królewskich odbywałem, bo mnie lubił widzieć przy robocie, marszałek zaś musiał zamykać oczy.

— Srogi gmach! — rzekł Roch Kowalski. — I pomyśleć, że wszystko to ci psiajuchowie mają w ręku!

— I łupią okrutnie! — dodał Zagłoba. — Słyszę: kolumny nawet z murów wydzierają i do Szwecyi wywożą, które są z marmu-

rów i innych drogich kamieni. Nie poznam miłych kątów, aż przecie słusznie rozmaici scriptores (pisarze) zamek ów za ósmy cud świata uważają, bo oprócz tego ma król francuski zacny dworzec, ale kiep w porównaniu do tego!

— A owo, co to za druga wieża w pobliżu na prawo?

— To święty Jan. Jest z zamku do niego krużganek. W tymże kościele objawienie miałem, bo gdym raz po nieszporach przyzostał, słyszę głos od sklepienia: "Zagłoba, będzie wojna z takim synem, królem szwedzkim i calamites (nieszczęścia) wielkie nastąpią!" Ruszyłem co tchu do króla i powiadam, com słyszał, a tu ksiądz prymas pastorałem mnie w kark; "Nie powiadaj głupstw, pijany byłeś!" Mają teraz. Ten drugi kościół, zaraz tam obok, to jest collegium Jesuitarum; trzecia wieża opodal, to curia, owa czwarta w prawo, marszałkowska, a ów zielony dach, to Dominikanie; wszystkich nie wymienię, choćbym językiem umiał obracać, jak szablą.

— Chyba niemasz takiego drugiego miasta na świecie! — zawołał jeden z żołnierzy.

— Dlatego też wszystkie nacye nam go zazdroszczą

— A ów cudny gmach na lewo od zamku?

— Za Bernardynami?

— Tak jest.

— To pallatium Radziejowskianum dawniej Kazanowskich. Uważają go za dziewiąty cud świata, ale zaraz na niego, bo w tych to murach zaczęło się nieszczęście Rzeczypospolitej.

— Jakże to? — spytało kilka głosów.

— Bo jak się wziął pan podkanclerzy Radziejowski z żoną wodzić i wojować, tak król się za nią ujął. Wiecie waćpanowie, co o tem ludzie mówili, a to pewnoże i sam podkanclerzy myślał, że mu się żona w królu kocha, a król w niej; zaczem przez invidią do Szwedów uciekł i wojna się rozpoczęła. Co prawda, siedziałem wtedy na wsi i końca owej sprawy nie widziałem, jeno z relacyi, ale to wiem, że ona nie do króla, tylko do kogo innego przedtem słodkie oczy, jako marcepan, robiła.

— Do kogo?

Zagłoba pokręcił wąsa.

— Do tego, do którego i wszystkie jako mrówki do miodu, jeno mi się nazwiska nie godzi mówić, gdyż zawsze brzydziłem się cheł-

pliwością... Przytem zestarzał się człek, zestarzał, zdał się, jako miotła, zamiatając nieprzyjaciół ojczyzny, ale niegdyś nie było większego nade mnie gładysza i dworaka, niech Roch Kowalski przyświad...

Tu spostrzegł się pan Zagłoba, że Roch żadną miarą owych czasów pamiętać nie może, więc tylko ręką machnął i rzekł:

— Wreszcie, co on tam wie!

Poczem pokazał jeszcze towarzyszom pałac Ossolińskich i Koniecpolskich, który ogromem prawie Radziejowskiego pałacowi był równy, wreszcie wspaniałą villiam regiam, a wtem słońce zaszło i mrok nocny począł nasycać powietrze.

Huk działa rozległ się na murach warszawskich i trąby ozwały się długo i przeciągłe na znak, iż nieprzyjaciel się zbliża.

Pan Sapieha oznajmił też swoje przybycie palbą z samopałów, aby ducha mieszkańcom dodać, poczem tejże jeszcze nocy począł przeprawiać wojsko za Wisłę. Przeprawiła się więc pierwsza laudańska, za nią pana Kotwicza, za niąTatarzy Kmicicowi, za nią wańkowiczowa, za nią ośm tysięcy ludzi. W ten sposób byli zarazem Szwedzi, wraz z nagromadzonym łupem, otoczeni i pozbawieni dowozu, panu Sapieże zaś nie pozostawało nic więcej, jak czekać, póki z jednej strony pan Czarniecki, z drugiej król wraz z koronnymi hetmany, nie przyciągnie, tymczasem zaś pilnować, aby się jakowe posiłki do miasta nie przekradły.

Pierwsze wieści przyszły od pana Czarnieckiego, ale niezbyt pomyślne. donosił bowiem, że wojsko i konie tak strudzone, iż w tej chwili nie może żadnego w oblężeniu wziąć udziału. Od czasu bitwy pod Warką dzień w dzień był w ogniu, a od pierwszych miesięcy roku stoczył dwadzieścia jedną większych bitew ze Szwedami, nie licząc podjazdowych utarczek i napadów na mniejsze oddziały. Piechoty na Pomorzu nie dostał, do Gdańska dotrzeć nie mógł, obiecywał, co najwięcej, trzymać resztą sił w szachu tę armię szwedzką, która pod Radziwiłłem, pod bratem królewskim i Duglasem stojąc u Narwi, przemyśliwała jakoby oblężonym przyjść w pomoc.

Zaś Szwedzi gotowali się do obrony z właściwem sobie męstwem i biegłością. Jeszcze przed przyjściem pana Sapiehy spalono Pragę. obecnie poczęli ciskać granaty na wszystkie przedmieścia, jako na Krakowskie, Nowy Świat, a z drugiej strony na kościół św. Jerzego i Pannę Maryę. Płonęły tedy domostwa, gmachy i ko-

ścioły. W dzień dymy wiły się nad miastem, na kształt chmur gęstych i czarnych. W noc owe chmury stawały się czerwone i snopy iskier wybuchały z nich ku niebu. Za murami błąkały się tłumy mieszkańców bez dachu nad głową, bez chleba, niewiasty otaczały sapieżyński obóz z płaczem o miłosierdzie; widziano ludzie uschniętychz głodu na szczypki, widziano dzieci umierające z braku pokarmu, w objęciach wychudłych matek; okolica zmieniła się w padoł łez i nędzy.

Pan Sapieha, nie mając piechoty, ni dział, czekał i czekał na nadejście króla, tymczasem przychodził ile mógł, w pomoc ubogim, rozsyłając ich partyami w mniej zniszczone okolice, w których jako tako mogli się wyżywić. Troskał się też niemało w przewidywaniu trudności oblężenia, gdyż uczeni inżynierowie szwedzcy zmienili Warszawę w potężną twierdzę. Za murami siedziało trzy tysiące wyćwiczonego żołnierza, dowodzonego przez biegłych i doświadczonych generałów, wogóle zaś Szwedzi uchodzili za mistrzów w oblężeniu i obronie wszelkich fortec. Na ową więc troskę wyprawiał sobie pan Sapieha codzień uczty, w czasie których krążyły gęsto kielichy, miał bowiem ów zacny obywatel i nieosolity wojownik tę przywarę, iż wesołą kompanię i brząkanie szkłem nad wszystko nawidził, często nawet służby dla uciechy zaniedbując.

Dzienną natomiast przezornością wieczorną folgę wynagradzał. Do zachodu słońca pracował szczerze, wysyłał podjazdy, ekspedyował listy, sam objeżdżał straże, sam przesłuchiwał schwytanych języków, natomiast z pierwszą gwiazdą często i skrzypki odzywały się w jego kwaterze. A gdy raz się rozochocił, to już na wszystko pozwalał, sam nawet posyłał po oficerów, choćby straży pilnujących, albo na podjazd wyznaczonych i krzyw był, jeżeli który się nie stawił, gdyż nie było dlań uczty bez ciasnoty. Przymawiał mu za to rankami mocno pan Zagłoba, ale wieczorami często samego czeladź bez duszy do kwatery Wołodyjowskiego odnosiła.

— Świętegoby Sapjo do upadku przywiódł, — tłomaczył się na drugi dzień przyjaciołom — a cóż dopiero mnie, którym zawsze igraszki miłował. Jeszcze ma szczególniejszą jakąś pasyę kielichy we mnie wmuszać, ja zaś, nie chcąc się grubijaninem okazać, ustępuję przed przynuką, bo zawsze to obserwowałem, żeby gospodarzowi nie uchybiać. Alem już ślubował, że na przyszły adwent

każę sobie grzbiet dyscypliną dobrze smarować, bo sam to rozumiem, że swawola bez pokuty zostać nie może, tymczasem muszę mu już dotrzymywać, a to z obawy, by w gorsze jakie nie wpadł kompanie i do reszty sobie nie folgował.

Byli tacy oficerowie, którzy i bez dozoru hetmańskiego służbę pełnili, ale niektórzy, zaniedbywali się wieczorami srodze, jako zwyczajnie żołnierze, ręki żelaznej nad sobą nie czujący.

Nie omieszkał korzystać z tego nieprzyjaciel.

Pewnego razu, na parę dni przed nadciągnięciem króla i hetmanów, Sapieha wyprawił wspanialszą, niż kiedykolwiek ochotę, już był rad, że się wszystkie wojska w kupę zbierają i oblężenie rozpocznie się na dobre.Wszyscy znakomitsi oficerowie byli proszeni; pan hetman, szukający zawsze okazyi, rozgłosił, iż to na cześć królewską owa uczta się odbędzie. Do panów Skrzetuskich, Kmicica, ZagłobyWołodyjowskiego i Charłampa przyszedł nawet umyślny ordynans, aby koniecznie byli, gdyż hetman za wielkie usługi chce ich szczególnie uczcić. Pan Andrzej siadał już na koń, aby z podjazdem wyruszyć, tak, iż ordynansowy oficer zastał już jego Tatarów za bramą.

— Nie możesz, wasza miłość, panu hetmanowi tej ujmy okazaś i niewdzięcznością za serce zapłacić— rzekł oficer.

Kmicic zsiadł z konia i poszedł naradzić się z towarzyszami.

— Okrutnie mi to nie na rękę! — rzekł. — Słyszałem, że jakiś znaczny oddział jazdy wedle Babic się ukazał. Samże hetman kazał mi jechać i koniecznie dowiedzieć się, coto za żołnierze, z teraz na ucztę prosi? Co mam czynić?

— Pan hetman przysłał rozkaz, aby z podjazdem Akbah-Ułan poszedł — odparł ordynansowy.

— Rozkaz to rozkaz! — rzekł Zagłoba — a kto żołnierz, ten słuchać musi. Waćpan strzeż się, aby złego przykładu nie dawać, a przytem nie dobrzeby było dla waćpana ściągnąć na się nieżyczliwość hetmańską.

— Powiedz waść, że się stawię! — rzekł do ordynansowego Kmicic.

Oficer wyszedł. Zanim odjechali pod Akbah-Ułanem Tatarzy, a pan Andrzej począł się nieco stroić, w czasie zaś ubierania tak mówił do towarzyszów:

— Dziś jest uczta na cześć króla jegomości; jutro będzie na

cześć ichmościów hetmanów koronnych i tak aż do końca oblężenia.

— Niech jeno król nadciągnie, skończy się to — odpowiedział Wołodyjowski bo chociaż i nasz pan miłościwy lubi się także we wszelakim frasunku pocieszyć, ale przecie służba musi pójść pilniej, ile że jazdy, a między innymi i pan Sapieha, będzie się starał gorliwość swoją okazać.

Za dużo tego, za dużo! nie ma i gadania! — rzekł Jan Skrzetuski. — Czy wam to nie dziwno, że tak przezorny i pracowity wódz, tak cnotliwy człowiek, tak godny obywatel ma tę słabość?

— Niech jeno wieczór się uczyni, inny zaraz człowiek i z wielkiego hetmana w hulakę się przemienia.

— A wiecie, czemu mi tak uczty nie w smak? — ozwał się Kmicic — Bo i Janusz Radziwiłł miał ten zwyczaj, że je co wieczora wyprawiał. Imaginujcie sobie, że się tak jakoś dziwnie składało, że co uczta, to się albo nieszczęście jakowe trafiało, albo zła nowina spadła, albo się nowa hetmańska zdrada wykrywała. Nie wiem, czyli ślepy traf, czyli zrządzenie boskie, dość, że złe nigdy nie przychodziło kiedyindziej, jeno w czasie uczty. To mówię wam, że w końcu do tego doszło, że jak tylko do stołów nakrywali, to aż skóra na nas cierpła.

— Prawda, jak mi Bóg miły! — rzekł Charłamp. — Ale było to i z tego, że książę hetman zawsze tę porę do promulgowania swych praktyk z nieprzyjacielem ojczyzny wybierał.

— No! ozwał się Zagłoba. — Przynajmniej ze strony poczciwego Sapja nie mamy się czego obawiać. Jeśli on kiedy zdradzi, to ja tyle wart co wichterze u moich butów.

— O tem i niema mowy. Zacny to pan, jako chleb bez zakalca! — zawołał Wołodyjowski.

— A czego wieczorem zaniedba, to w dzień naprawi — doda Charłamp.

— To już wreszcie chodźmy, — rzekł Zagłoba — bo prawdę rzekłszy, vacuum (próżnię) w brzuchu czuję.

Wyszli, siedli na konie i pojechali, gdyż pan Sapieha stał w innej stronie za miastem i było dość daleko. Przybywszy przed hetmańską kwaterę, znaleźli już mnóstwo koni na dworcu i ścisk trzymających je pachołków, dla których stała kufa piwa na majdanie, a którzy jak zwykle, pijąc bez miary, zaczęli się już wadzić przy niej; uciszyli się jednak na widok nadjeżdżających rycerzy, zwłaszcza,

że pan Zagłoba począł okładać płazem tych, którzy mu na drodze stali, wołając stentorowym głosem:

— Do koni, hultaje! do koni! Nie was tu na ucztę proszono!

Pan Sapieha przyjął towarzyszów, jak zwykle, z otwartemi rękoma, a że był sobie nieco podchmielił, przepijając do gości, począł się zaraz z Zagłobą przekomarzać.

— Czołem, panie regimentarzu! — rzekł mu.

— Czołem panie kiper! — odparł Zagłoba.

— Kiedy mnie kiprem zowiesz, to ci dam takiego wina, które jeszcze robi!

— Byle nie takiego, które z hetmana robi bibosza!

Niektórzy z gości, słysząc to, zlękli się, lecz pan Zagłoba, gdy widział hetmana w dobrym humorze, na wszystko sobie pozwalał. Sapieha zaś taką miał do niego słabość, iż nie tylko się nie gniewał, ale za boki się brał, powołując przytem na świadków obecnych, co to go od tego szlachcica spotyka.

Rozpoczęła się tedy uczta gwarna, wesoła. Sam pan Sapieha przepijał raz poraz do gości, to wznosił toasty na cześć króla, hetmanów, wojsk obojga narodów, pana Czarnieckiego i całej Rzeczypospolitej. Ochota rosła, a z nią gwar i szum. Od toastów przyszło do pieśni. Izba zapełniła się oparem ze łbów i wyziewami miodów i win. Zza okien nie mniejszy dochodził hałas, a nawet szczękanie żelaza. To czeladź poczęła się bić szablami. Wypadło na dwór kilku szlachty, by ład przywrócić, lecz większe tylko uczyniło się zamieszanie.

Nagle krzyk powstał tak wielki, że ucztujący w izbie umilkli.

— Co to jest? — spytał któryś z pułkowników. — Pachołkowie nie mogą takiego wrzasku uczynić!

— Cichono, mości panowie! — rzekł, nasłuchując zaniepokojony hetman.

— To niezwykłe okrzyki!

Nagle wszystkie okna zadrżały od huku dział i muszkietowej salby.

— Wycieczka! — krzyknął Wołodyjowski — nieprzyjaciel następuje!

— Do koni! do szabel!

Wszyscy zerwali się na równe nogi. Ciżba stała się przy drzwiach, następnie tłum oficerów wypadł na majdan, nawołując na pachołków, by im podawali konie.

Lecz w zamęcie niełatwo było każdemu do swego trafić, tymczasem zza majdanu głosy trwożnie poczęły wołać w ciemności:

— Nieprzyjaciel nastąpił! Pan Kotwicz w ogniu!

Ruszyli tedy wszyscy, co tchu w koniach, do swych chorągwi, skacząc przez płoty i łamiąc karki w ciemnościach. A tam już larum poczęło się w całym obozie. Nie wszystkie chorągwie miały konie pod ręką i te najpierwsze wszczęły zamieszanie. Tłumy żołnierstwa pieszego i konnego tłoczyły się na siebie wzajem, nie mogąc przyjść do sprawy, nie wiedząc kto swój, kto nieprzyjaciel, krzycząc hałasując wśród nocy ciemnej. Niektórzy poczęli już wołać, że to król szwedzki z całą armią następuje.

Tymczasem wycieczka szwedzka uderzyła istotnie z gwałtownym zapędem na kotwiczowych ludzi. Na szczęście, sam, chorym nie co będąc nie był uczcie i dlatego mógł dać jaki taki odpór na razie, jednak nie długo trwały, bo napadnięto go przeważną liczbą i zasypywano ogniem muszkietowym, więc cofać się musiał.

Pierwszy Oskierka przybył mu w pomoc ze spieszoną dragonią. Na strzały poczęto odpowiadać strzałami. Lecz dragonia oskierkowa również nie mogła wytrzymać naporu i w mig, usławszy pole trupami, poczęła ściągać się z pola w tył coraz pośpieszniej. Dwa razy próbował Oskierka stanąć w sprawie i po dwakroć rozbito go tak, iż żołnierze jego kupkami jeno mogli się odstrzeliwać. Wreszcie rozsypali się zupełnie, a Szwedzi parli, jak niepowstrzymany potok, ku hetmańskiej kwaterze. Coraz nowe pułki wychodziły z miasta w pole; z piechurami szła jazda, wytaczano nawet działa polowe. Zanosiło się na wielką bitwę i zdawało się, że nieprzyjaciel jej pragnie.

Tymczasem Wołodyjowski, wypadłszy z kwatery hetmańskiej, spotkał już w pół drogi swą chorągiew idącą na odgłos alarmu i wystrzałów, bo była zawsze w gotowości. Wiódł ją teraz Roch Kowalski, który również, jak pan Kotwicz, na uczcie nie był, ale z tego powodu, że go nią nie zaproszono. Wołodyjowski kazał co duch zapalić parę szop, by pole oświetlić i pomknął ku bitwie. Po drodze przyłączył się doń Kmicic ze swymi strasznymi wolentarzami i tą połową Tatarów, która na podjazd nie poszła. Obaj przybyli w samą porę, aby Kotwicza i Oskierkę od zupełnej klęski uratować.

Tymczasem szopy rozpaliły się już tak dobrze, że widno było, jak w dzień. Przy tym blasku uderzyli laudańscy z pomocą Kmicica na pułk piechurów i wytrzymawszy ogień, wzięli ich na szable. Skoczyła swoim w pomoc rajtarya szwedzka i zwarła się z laudańskimi potężnie. Przez pewien czas przepierali się zupełnie jak zapaśnicy, którzy chwyciwszy się za bary, dobywają ostatnich sił i coraz to ten tego, to tamten owego przechyli; lecz tak gęsty trup jął lecieć u Szwedów, że wreszcie poczęli się mieszać. Kmicic rzucał się okropnie w gęstwie ze swymi zabijakami, pan Wołodyjowski pustkę, jako zwykle, przed sobą szerzył; obok niego pracowali krwawo dwaj olbrzymi Skrzetuscy i Charłamp i Roch Kowalski; laudańscy siekli na wyścigi z kmicicowymi zabijakami,, jedni pokrzykując przeraźliwie, inni, jako naprzykład Butrymowie, waląc kupą a w milczeniu.

Przełamanym Szwedom znów skoczyły na ratunek nowe pułki, a Wołodyjowskiego i Kmicica wsparł Wańkiewicz, który blizko nich kwaterami stojąc, wkrótce po nich był gotów. Wreszcie przyprowadził pan hetman wszystko wojsko do sprawy i począł porządnie następować. Sroga bitwa zawrzała na całej linii od Mokotowa aż ku Wiśle.

Wtem Akbah-Ułan, który jeździł z podjazdem, pojawił się na spienionym koniu przed hetmanem.

— Effendi! — krzyknął, — czambuł jazdy idzie od Babic ku miastu i wozy wiodą, chcą za mury dostać!

Sapieha zrozumiał w jednej chwili, co znaczyła owa wycieczka w stronę Mokotowa. Oto nieprzyjaciel chciał odciągnąć wojska stojące na trakcie błońskim, aby owa posiłkowa jazda i wozy z żywnością mogły się dostać w obręb murów.

— Ruszaj do Wołodyjowskiego! — krzyknął na Akbaha-Ułana niech laudańska, Kmicic i Wańkiewicz przebiegną im drogę, zaraz im pomoc wyślę!

Akbah-Ułan wspiął konia, za nim poleciał drugi i trzeci ordynans. Wszyscy dopadli Wołodyjowskiego i powtórzyli mu rozkaz hetmański.

Wołodyjowski zwrócił natychmiast chorągwie, Kmicic z Tatarami dognał go, idąc na przełaj i pomknęli razem, a Wańkowicz za nimi.

Lecz przybyli za późno. Blisko dwieście wozów wjeżdżało już

w bramę, idący zaś za nimi świetny oddział ciężkiej jazdy, był już prawie cały w promieniu fortecznym. Tylko tylna straż, złożona z około stu ludzi, nie nadążyła jeszcze pod osłonę dział. Ale i ci szli całym pędem. Oficer, jadący z tyłu, przynaglał ich jeszcze krzykiem.

Kmicic, ujrzawszy ich przy blasku płonących szop, wydał krzyk przeraźliwy i straszny, że aż konie spłoszyły się obok; poznał bogusławową rajtaryę, tę samą, która przejechała po nim i po jego Tatarach pod Janowem.

I niepomny na nic, rzucił się, jak szalony ku nim, wyprzedził swoich własnych ludzi i wpadł pierwszy naoślep między szeregi. Szczęściem dwaj młodzi Kiemlicze, Kosma i Damian, siedzący na przednich koniach, wpadli tuż za nim. W tej chwili Wołodyjowski przesunął się ukosem, jak błyskawica i tym jednym ruchem odciął tylną straż od głównego oddziału.

Działa z murów poczęły grzmieć, lecz główny oddział, poświęciwszy swych towarzyszów, wpadł co prędzej za wozami do twierdzy. Wówczas laudańscy i kmicicowi opasali pierścieniem ową tylną straż i rozpoczęła się rzeź bez miłosierdzia.

Lecz krótko trwała. Bogusławowi ludzie, widząc, że niemasz znikąd ratunku, w mgnieniu oka pozeskakiwali z koni i rzucili broń pod nogi, krzycząc w niebogłosy, aby ich dosłyszano w ciżbie i gwarze, że się poddają.

Nie zważali na to wolentarze, ni Tatarzy i siekli dalej, lecz w tejże chwili rozległ się groźny, a przeraźliwy głos Wołodyjowskiego, któremu chodziło o złapanie języka:

— Żywych brać! Gas! gas! żywych brać!

— Żywych brać — zakrzyknął Kmicic.

Zgrzyt żelaza ustał. Rozkazano teraz troczyć jeńców Tatarom, którzy z właściwą sobie wprawą uczynili to w mgnieniu oka, poczem chorągwie cofnęły się spiesznie z pod działowego ognia.

Pułkownicy skierowali się ku szopom. Laudańska szła naprzód, wańkowiczowi z tyłu, a Kmicic z jeńcami w pośrodku, wszyscy w zupełnej gotowości, aby napad, jeżeliby się zdarzył, odeprzeć. Jeńców prowadzili Tatarzy na smyczach, inni powodowali zdobyczne konie. Kmicic, zbliżywszy się do szop, bacznie spoglądał w twarze jeńców, czy bogusławowej między nimi nie zobaczy, bo chociaż mu już jeden z rajtarów pod sztychtem zaprzysiągł, że

księcia samego nie było w oddziale, jednak jeszcze myślał, że nuż umyślnie tają.

Wtem jakiś głos z pod strzemienia tatarskiego zawołał nań:

— Panie Kmicic! panie pułkowniku! Ratuj znajomego! Każ mnie puścić ze sznura na parol.

— Hassling! — zakrzyknął Kmicic.

Hassling był to Szkot, niegdyś oficer rajtaryi księcia wojewody wileńskiego, którego Kmicic znał w Kiejdanach i swego czasu bardzo lubił.

— Puść jeńca! — zakrzyknął na Tatara— i sam precz z konia.

Tatar skoczył z kulbaki, jakby go wiatr zmiótł, bo wiedział jak niebezpiecznie marudzić, gdy "bagadyr" rozkazuje.

Hassling, postępując, wdrapał się na wysokie siedzenie ordyńca.

Wtem Kmicic chwycił go powyżej dłoni i gniotąc mu rękę tak, jakby chciał ją zdruzgotać, począł pytać natarczywie:

— Skąd jedziecie? Wraz powiadaj, skąd jedziecie? Na Boga, śpiesz się!

— Z Taurogów! — odparł oficer.

Kmicic pocisnął go jeszcze silniej.

— A Billewiczówna... tam jest?

— Jest!...

Pan Andrzej mówił coraz trudniej, bo coraz mocniej zaciskał zęby.

— I... co książę z nią uczynił?

— Nic nie wskórał.

Nastało milczenie, po chwili Kmicic zdjął rysi kołpaczek, pociągnął ręką po czole i ozwał się:

— Zacięto mnie w spotkaniu, krew mi idzie i zesłabłem...

---

## LXIV.

Wycieczka szwedzka w części tylko dopięła celu, gdyż oddział bogusławowy wszedł do miasta; natomiast sama nie dokazała wielkich rzeczy. Wprawdzie chorągiew Kotwicza i oskierczyna dragonia silnie ucierpiały, lecz i Szwedzi gęstym trupem zasłali pole,

a nawet jeden pułk piechoty, na który wpadł Wołodyjowski z Wańkowiczem, całkiem niemal został zniesiony. Chlubili się nawet Litwini, że większe straty zadali nieprzyjacielowi, niż sami ponieśli, jeden tylko pan Sapieha trapił się wewnętrznie, że nowa spotkała go "konfuzya," od której sława jego wielce może ucierpieć. Przywiązani do niego pułkownicy pocieszali go, jak mogli i prawdę rzekłszy, istotnie wyszła mu na pożytek ta nauka, albowiem odtąd nie bywało już uczt tak zapamiętałych, a jeżeli zdarzyła się jakowaś ochota, to właśnie w czasie niej rozwijano największą czujność. Złapali się Szwedzi zaraz nazajutrz, przypuszczając bowiem, że hetman nie będzie się spodziewał, by w tak krótkim terminie powtórzyła się wycieczka, wyszli znów za mury, lecz z miejsca odbici, zostawiwszy kilku poległych, wrócili nazad.

Tymczasem badano w kwaterze hetmańskiej Haslinga, co niecierpliwiło tak pana Andrzeja, iż mało ze skóry nie wyskoczył chciał bowiem jak najprędzej mieć go u siebie i rozgadać się o Tau, rogach. Cały dzień więc krążył około kwatery, co chwila wchodził do środka, słuchał zeznań i aż podnosił się na ławie, gdy w badaniach wspominano imię Bogusława.

Zaś wieczorem odebrał rozkaz, aby na podjazd ruszył. Nie rzekł na to nic, zęby tylko zacisnął, bo się już był bardzo zmienił i nauczył się prywatę dla służby publicznej odkładać. Tatarów tylko srodze w czasie podjazdu gnębił i o lada co gniewem wybuchając, buzdyganem tak walił, że aż kości trzeszczały. A ci mówili między sobą, że "bagadyr" się wściekł i szli cicho, jak trusie, w oczy tylko groźnemu przywódcy patrząc i myśli w lot zgadując.

Wróciwszy, zastał już Hasslinga u siebie, ale tak chorego, że mówić nie mógł, bo przecie, biorąc go w niewolę, poturbowano go srodze, tak, iż teraz po całym dniu badań w dodatku, miał gorączkę i pytań nawet nie rozumiał. Musiał się więc Kmicic kontentować tem, co mu pan Zagłoba o hasslingowych zeznaniach powiadał; ale to tyczyło spraw publicznych, nie prywatnych. O Bogusławie zeznał młody oficer tylko tyle, że po powrocie z wyprawy na Podlasie i po klęsce janowskiej chorzał srodze. Z choleryi i melancholii w gorączkę wpadał, a przyszedłszy nieco do zdrowia, zaraz z wojskiem na Pomorze wyruszył, dokąd go Szteinbok i elektor lis najpilniej wzywali.

— A teraz, gdzie on jest? — pytał Kmicic.

— Wedle tego, co Hassling powiada, a nie miał potrzeby łgać teraz z bratem królewskim stoją w warownym obozie u Narwi, i Buga, gdzie Bogusław całą jazdą dowodzi — odrzekł Zagłoba.

— Ha! I myślą tu na odsiecz przyjść. To się spotkamy, jako Bóg na niebie, choćbym w przebraniu miał do niego pójść!

— Nie choleryzuj waść napróżno! Do Warszawy oniby na odsiecz radzi, ale nie mogą, bo im się pan Czarniecki położył na drodze i ot co się dzieje: on nie mając piechot, ni dział, nie może na obóz uderzyć, oni zaś boją się do niego wyjść, bo przekonali się, że w gołem polu ich żołnierz czarnieczykom nie wytrzyma. Widzą też, że i rzeką nie pomoże się zastawiać. Ba, żeby tam sam król był, toby dał pole, bo pod jego komendą i żołnierz lepiej się bije dufając, że to wojownik wielki, ale Duglas, ani brat królewski, ani książę Bogusław, chociaż to wszyscy trzej rezoluci, przecie się nie odważą!

— A gdzie król?

— Poszedł do Prus. Król nie wierzy, żebyśmy się już na Warszawę i Wittemberga porwać mieli. Zresztą wierzy, czy nie wierzy, musiał tam iść z dwóch powodów: raz, żeby elektora ostatecznie spraktykować, choćby za cenę całej Wielkopolski, a powtóre: że to wojsko, które z saku wyprowadził, póki nie wypocznie, to na nic. Trudy i niewywczasy, a ciągłe alarmy tak ich zjadły iż już żołnierze muszkietów w ręku utrzymać nie mogą, a przecie najwybrańsze to pułki z całej armii, które po wszystkich niemieckich i duńskich krainach znamienite wiktorye odnosiły.

Dalszą rozmowę przerwało wejście pana Wołodyjowskiego.

— Jak się ma Hassling? — spytał zaraz w progu.

— Chory i trzy po trzy imaginuje! — odparł Kmicic.

— A ty czego, Michałku, od Hasslinga chcesz? — ozwał się Zagłoba.

— Nibyto waćpan nie wiesz?

— Jażbym nie miał wiedzieć, że ci o ową wiśnię chodzi, którą książę Bogusław w swoim ogródku zasadził. Gorliwy to ogrodnik, nie bój się! Nie potrzeba mu i roku, żeby się owoców doczekał.

— Bodaj waści zabito za taką pociechę! — krzyknął mały rycerz.

— Patrzcie go, powiedzieć mu najniewinniejszy iocus (żart) to zaraz wąsikami rusza, jak wściekły chrabąszcz. Com ci winien? Na Bogusławię szukaj pomsty, nie na mnie!

— Da Bóg poszukam i znajdę!

— Dopiero co to samo Babinicz powiadał! Niezadługo, widzę, całe wojsko się na niego sprzysięże; ale strzeże się on dobrze i bez moich fortelów nie dacie sobie rady!

Tu obaj młodzi zerwali się na równe nogi.

— Maszże waść jaki fortel?

— A wy myślicie, że fortel tak łatwo z głowy wyjąć, jak szablę z pochwy? Gdyby Bogusław był tuż, pewnobym znalazł niejeden, ale na tę odległość, nietylko fortel, ale i armata nie doniesie. Panie Andrzeju, każ mi dać kubek miodu, bo dziś gorąco.

— Dam i kufę, byleś waćpan co wymyślił!

— Najprzód, czego wy nad tym Hasslingiem, jak kat nad dobrą duszą stoicie! Nie jego jednego wzięto w niewolę, możecie się innych wypytać.

— Jużem ci ja tamtych brał na pytki, ale to gemainy; nie wiedzą nic, a on jako oficer był przy dworze — odrzekł Kmicic.

— To i racya! — odpowiedział Zagłoba. — Ja też muszę się z nim rozgadać; od tego, co mi powie o osobie i obyczajach księcia, mogą i fortele zależeć. Teraz grunt, żeby się to oblężenie prędko skończyło, bo potem pewno przeciw tamtej armii ruszymy. Ale coś naszego pana miłościwego i hetmanów długo nie widać!

— Jakże? — odrzekł mały rycerz. — W tej chwili wracam od hetmana, który dopiero co odebrał wiadomość, że król jegomość jeszcze dziś wieczorem z przybocznemi chorągwiami tu stanie, a hetmani z komputem jutro nadciągną. Od samego Sokala szli, mało co wypoczywając, wielkie pochody czyniąc. Przecie zresztą od paru dni wiadomo, że tylko co ich nie widać.

— A wojska siła z sobą prowadzą?

— Blizko pięć razy tyle, co przy panu Sapieże, piechoty ruskie węgierskie bardzo przednie; idzie i sześć tysięcy ordy pod Supanbazym, ale podobnoć nie można ich na dzień z pod ręki puścić, bardzo swawolą i krzywdy naokoło czynią.

— Pana Andrzejaby im na przywódcę dać! — rzekł Zagłoba.

— Ba! — odparł Kmicic.— Zarazbym ich z pod Warszawy wyprowadził, bo oni w oblężeniu na nic i powiódłbym ich do Buga i Narwi.

— Na nic, nie na nic — odparł Wołodyjowski, — gdyż nikt lepiej nie upilnuje, aby żywność do fortecy nie przychodziła.

— No, będzie Wittenbergowi ciepło! Postój, stary złodzieju! zawołał Zagłoba. — Wojowałeś dobrze, tego ci nie neguję, ale kradłeś i łupiłeś jeszcze lepiej; dwie gęby miałeś: jedną do fałszywych przysiąg, drugą od łamania obietnic, ale teraz dwiema się nie wyprosisz. Swędzi cię od galickiej choroby skóra i medykowie ci ją drapią, my cię lepiej podrapiemy, Zagłoby w tem głowa!!

— Ba! Zda się na kondycye królewi i co mu kto uczyni? — odrzekł pan Michał. — Jeszcze mu honory wojskowe będziemy musieli oddawać!

— Zda się na kondycye? tak! — zakrzyknął Zagłoba. — Dobrze!

Tu zaczął pięścią w stół walić, tak silnie, że aż Roch Kowalski który w tej chwili wszedł do izby, zląkł się i stanął, jak wryty w progu.

— Niech Żydom za parobka służę! — krzyczał dalek stary — jeżeli ja tego bluźniciela przeciw wierze, tego zdziercę kościołów, tego ciemięzcę panienek, tego kata męża i niewiasty, tego podpalacza, tego szelmę, tego felczera od puszczania krwi i pieniędzy, tego mieszkogryza, tego szczurołapa wolno z Warszawy wypuszczę! Dobrze! Król go na kondycye wypuści, hetmani na ko dycye wypuszczą, ale ja, jakom katolik, jakom Zagłoba, jako szczęścia za życia,a Boga przy śmierci pragnę,taki tumult przeciw niemu uczynię, o jakim nikt jeszcze w tej Rzeczypospolitej nie słyszał. Nie machaj ręką, panie Michale! Tumult uczynię! powtarzam! tumult uczynię!

— Wuj tumult uczyni! — zagrzmiał Roch Kowalski.

Wtem Akbah-Ułan wsadził swą zwierzęca twarz przeze drzwi.

— Effendi! — rzekł do Kmicica — wojska królewskie za Wisłą widać!

Porwali się na to wszyscy na równe nogi i wypadli przed sień.

Król istotnie przybył. Najpierw przyciągnęły tatarskie chorągwie, pod Supanhazym, ale nie w tej liczbie, w jakiej ich się spodziewano. Za niemi nadeszło wojsko koronne mnogie i dobrze uzbrojone, a przedewszystkiem pełne zapału. Do wieczora cała armia przeszła po świeżo zbudowanym przez pana Oskierkę moście. Sapieha czekał na króla z uszykowanemi jak do bitwy chorągwiami, stojącemi wzdłuż, jedna podle drugiej, nakształt niezmiernego muru, którego końca trudno okiem było dosięgnąć. Rotmistrze

stali przed pułkami, przy nich chorążowie, każdy z rozpuszczonym znakiem, trąby, kotły, krzywuły, bębny i litaury, czyniły zgiełk nieopisany. Koronne chorągwie w miarę, jak która przeszła, stawały naprzeciw litewskich w ordynku, między jednem a drugiem wojskiem zostało na sto kroków pustego miejsca.

Sapieha, trzymając buławę w ręku, wyszedł piechotą na ów pusty majdan, za nim szło kilkunastu przedniejszych wojskowych i cywilnych dygnitarzy. Z drugiej strony, od wojsk koronnych podjechał król konno na wspaniałym fryzie, podarowanym mu jeszcze w Lubomli przez pana marszałka Lubomirskiego, przybrany jak do bitwy, w błękitny lekki pancerz ze złotemi rzutami, zpod którego widać było czarny aksamitny kaftan, z wyłożoną aż na pancerz koronkową kryzą; tylko zamiast hełmu, miał na głowie zwykły szwedzki kapelusz z czarnemi piórami, natomiast rękawice bojowe i na nogach długie, chrabąszczowego koloru buty, aż wysoko za kolana zachodzące.

Za nim jechał nuncyusz, ksiądz arcybiskup lwowski, ksiądz biskup kamieniecki, ksiądz nominat łucki, ksiądz Cieciszowski, pan wojewoda krakowski, pan wojewoda ruski, baron Lisola, hrabia Poettingen, pan Kamieniecki, poseł moskiewski, pan Grodzicki, generał artyleryi, Tyzenhauz i wielu innych. Posunął się Sapieha, jak ongi marszałek koronny, do strzemienia pańskiego, lecz król,

I chwyciwszy, trzymał długo na oczach obu wojsk; milczał ciągle jeno łzy płynęłymu ciurkiem po twarzy, bo oto przyciskał do piersi najwierniejszego sługę swego i ojczyzny, który choć geniuszem nie dorównał innym, który choć czasem pobłądził, przecie poczciwością wystrzelił nad wszystkie panięta tej Rzeczypospolitej, w wierności nigdy się nie zawahał, poświęcił bez chwili namysłu całą fortunę i od początku wojny piersi za swego monarchę i swój kraj nadstawiał.

Litwini, którzy sobie poprzednio szeptali, że za wypuszczenie Karola pod Sandomierza i za ostatnią warszawską nieostrożność może i spotkają pana Sapiehę wymówki, a co najmniej zimne przyjęcie, widząc ową dobroć królewską, uczynili na cześć dobrego pana huk tak srogi, że echo niebiosów dosięgło. Odpowiedziały im zaraz jednym grzmotem wojska królewskie i przez czas jakiś nad wrzawą kapeli, nad warczeniem bębnów, nad łoskotem strzałów, słychać było tylko okrzyki:

— Vivat Joannes Casimirus!

— Vivat koroniarze!

— Vivat Litwini!

Takto oni witali się pod Warszawą. Drżały mury, a za murami Szwedzi.

— Ryknę! jak mi Bóg miły, ryknę! — wołał rozczulony Zagłoba, — nie wytrzymam! Oto pan nasz! ojciec (mości panowie! już szlocham)! ojciec!... nasz król, niedawno tułacz od wszystkich opuszczon, a teraz... a teraz... toćże tu sto tysięcy szabel na zawołanie!... O Boże miłosierny!... Nie mogę od łez... Wczoraj był tułaczem, dziś... cesarz niemiecki nie ma wojsk tak zacnych!

Tu otwarły się śluzy w oczach pana Zagłoby i począł chlipać raz po razu, nagle zwrócił się do Rocha:

— Cicho bądź! czego buczysz!

— A wuj to nie buczy? — odparł Roch.

— Prawda, jak mi Bóg miły, prawda!... Wstydziłem się, mości panowie, za tę Rzeczpospolitą... Ale teraz jużbym się z żadną inną nacyą nie pomieniał!... Sto tysięcy szabel, jak gołębiowi z gardła!... Niech to inni pokażą... Bóg dał opamiętanie, Bóg dał! Bóg dał!...

Pan Zagłoba nie pomylił się o wiele, bo istotnie stanęło pod Warszawą blizko siedemdziesiąt tysięcy ludzi, nie licząc orężnej czeladzi obozowej, która w potrzebie stawała do sprawy, a której ćmy nieprzejrzane wlokły się za każdym obozem.

Po przywitaniu się i pobieżnej lustracyi wojska, król podziękował sapieżyńskim, wśród ogólnego zapału, za wierne służby i odjechał do Ujazdowa, wojska zaś stawały na pozycyach, które im wyznaczono. Niektóre chorągwie pozostały na Pradze, inne rozrzuciły się naokół miasta. Olbrzymi tabor wozów przeprawiał się jeszcze do drugiego południa przez Wisłę.

Nazajutrz okolice miasta zabieliły się tak namiotami, jakoby je śniegi pokryły. Nieprzeliczone stada koni rżały na przyległych błoniach. Za wojskiem ciągnęli kupcy ormiańscy, żydowscy i tatarscy; drugie miasto, większe i gwarniejsze od obleganego, wyrosło na równinie.

Szwedzi, przerażeni pierwszych dni potęgą króla polskiego, nie czynili żadnych wycieczek tak, że pan Grodzicki, generał artyleryi, mógł spokojnie objeżdżać miasto i plan oblężenia układać.

Na drugi dzień czeladź poczęła tu i owdzie wznosić, wedle jego konceptu, szańce; zaciągano na nie tymczasem mniejsze działa, większe bowiem miały dopiero za parę tygodni nadciągnąć.

Król Jan Kazimierz posłał do starego Wittemberga, wzywając go do poddania miasta, do złożenia broni i dając warunki łaskawe, które, gdy o nich dowiedziano się, wzbudziły nieukontentowanie w wojsku. Szerzył owo nieukontentowanie głównie pan Zagłoba, który miał szczególną do pomienionego generała nienawiść.

Wittemberg, jak łatwo było przewidzieć, odrzucił warunki i postanowił bronić się do ostatniej kropli krwi i raczej zagrzebać się w gruzach miasta, niż wydać je w ręce królewskie. Wielość oblegających wojsk nie przestraszała go wcale, wiedział bowiem, że zbytnia liczba jest raczej zawadą, aniżeli pomocą w oblężeniu. Wcześnie też doniesiono mu, że w obozie królewskim niemasz ani jednego oblężniczego działa, podczas gdy Szwedzi mieli ich aż nadto, nie licząc niewyczerpanych zasobów amunicyi.

Jakoż było do przewidzenia, że będą bronili się zapamiętale. Warszawa bowiem służyła im dotychczas za skład zdobyczy. Wszystkie niezmierne skarby, złupione po zamkach, kościołach i miastach w całej Rzeczypospolitej przychodziły do stolicy, skąd wyprawiano je partyami wodą do Prus i dalej do Szwecyi. W chwili zaś obecnej, gdy kraj cały podniósł się i zamki, bronione przez mniejsze szwedzkie załogi, nie zapewniały bezpieczeństwa, tembardziej nazwożono zdobyczy do Warszawy. Szwedzki zaś żołnierz chętniej poświęcał życie, niż zdobycz. Ubogi lud, dobrawszy się do skarbów bogatej krainy, rozłakomił się tak dalece, że świat nie widział łapczywszych drapieżników. Sam król rozsławił się chciwością, generałowie szli za jego przykładem, a wszystkich przewyższył Wittemberg. Gdy o zysk chodziło, nie powstrzymywał oficerów ani honor kawalerski, ani wzgląd na powagę stopnia. Brali, wyciskali, łupili wszystko, co się wziąć dało. W samej Warszawie pułkownicy wysokiej szarzy i szlachetnego urodzenia nie wstydzili się sprzedawać gorzałkę i tabakę własnym żołnierzom, byle tylko napchać kieszenie ich żołdem.

Do zaciekłości w obronie mogło podniecać Szwedów i to, że najcelniejsi ich ludzie byli naówczas w Warszawie zamknięci. Więc najprzód sam Wittemberg, drugi główny po Karolu dowódca, a pierwszy, który wstąpił w granice Rzeczypospolitej i do upadku

ją pod Ujściem przywiódł. Miał on za to przygotowany w Szwedyi tryumf, jako zdobywca. Prócz niego, był w mieście kanclerz Oxenstierna, statysta na cały świat sławny, dla uczciwości swej nawet przez nieprzyjaciół szanowany. Nazywano go Minerwą królewską, gdyż jego to radom zawdzięczał Karol wszystkie swe przy układach zwycięstwa. Byli także generałowie: Wrangel młodszy, Horn, Erskin, drugi Loewenhaupt i mnóstwo dam szwedzkich wielkiego urodzenia, które za mężami swymi do tego kraju, jako do nowej posiadłości szwedzkiej, przyjechały.

Mieli więc Szwedzi czego bronić. Rozumiał też król Jan Kazimierz, że oblężenie, zwłaszcza przy braku ciężkich dział, będzie długie i krwawe; rozumieli i hetmani, ale nie chciało myśleć o tem wojsko. Ledwie Grodzicki szańce jakie takie wysypał, ledwie do murów nieco się przysunął, już poszły deputacye do króla od wszystkich chorągwi, by ochotnikom do szturmu iść pozwolono. Długo musiał tłomaczyć król, że szablami nie zdobywa się fortec, nim zapał pohamował.

Tymczasem posuwano, o ile możności, roboty. Wojsko, nie mogąc iść do szturmu, wzięło w nich obok ciurów udział gorliwy. Towarzysze z pod najprzedniejszych znaków, ba! nawet oficerowie sami, wozili taczkami ziemię, znosili faszynę, pracowali przy podkopach ziemnych. Nieraz Szwedzi próbowali przeszkadzać robotom i dzień jeden nie upływał bez wycieczek, lecz ledwie muszkieterowie szwedzcy zdołali przejść bramę, pracujący przy szańcach Polacy porzucali taczki, pęki chróstu, łopaty oskardy i biegli z szablami w dym tak zaciekle, iż wycieczka z największym pośpiechem musiała się chronić do twierdzy. Trup padał przy owych starciach gęsto, fosy i majdany aż do szańców zjeżyły się mogiłami, w które chowano podczas krótkich zawieszeń broni poległych. Wreszcie i czasu nie stało na grzebanie, leżały więc ciała na wierzchu, owiewając straszliwym zaduchem miasto i oblegających.

Mimo największej trudności, codzień przekradali się do obozu królewskiego mieszczanie, donosząc, co się w mieście dzieje i na kolanach żebrząc o przyśpieszenie szturmu. Szwedzi bowiem mieli jeszcze dosyć żywności, ale lud umierał z głodu po ulicach, żył w nędzy, w ucisku, pod straszliwą ręką załogi. Codziennie echa donosiły aż do obozu królewskiego odgłosy strzałów muszkieto-

wych w mieście i dopiero zbiegowie donosili, że to rozstrzeliwano mieszczan podejrzanych o życzliwość swemu królowi. Włosy powstawały od opowiadań zbiegów. Mówili, że cała ludność, chore niewiasty, nowonarodzone dzieci, starce, wszyscy nocują na ulicach, bo Szwedzi powyganiali ich z domów, w których poprzebijano od muru do muru przejścia, by załoga, w razie wkroczenia wojsk królewskiej, chronić się i cofać mogła. Na koczującą ludność padały deszcze, w dni pogodne paliło ją słońce, nocami szczypały chłody. Ognia nie wolno było mieszkańcom palić, nie mieli przy czem łyżki ciepłej strawy uwarzyć. Różne choroby szerzyły się coraz bardziej i zabierały setki ofiar.

Królowi, gdy słuchał tych opowiadań, pękało serce, więc słał gońców za gońcami, by przyjście ciężkich dział przyśpieszyć. Zaś czas płynął, upływały dni, tygodnie i prócz odbijania wycieczek, nie można było nic ważniejszego przedsięwziąć. Krzepiła tylko oblegających myśl, że i załodze musi w końcu zabraknąć żywności, gdyż drogi były tak poprzecinane, że i mysz nie zdołałaby się dostać do fortecy. Tracili też oblężeni z każdym dniem nadzieję odsieczy; owa armia pod Duglasem, stojąca najbliżej, nietylko nie mogła pośpieszyć z ratunkiem, ale o własnej musiała myśleć skórze, król bowiem Kazimierz, mając nadto sił, zdołał i tamtych przyciszyć.

Poczęto wreszcie, jeszcze przed przyjściem ciężkich kartaunów, ostrzeliwać fortecę z mniejszych. Pan Grodzicki od strony Wisły, sypiąc przed sobą, jak kret, ziemne zasłony, przysunął się o sześć kroków do fosy i zionął nieustannym ogniem na nieszczęsne miasto, Przepyszny pałac Kazanowskich został zrujnowany, nie żałowano go, bo do zdrajcy Radziejowskiego należał. Ledwie trzymały się jeszcze poszczerbione mury, świecące pustemi oknami; na wspaniałe tarasy i sady padały dzień i noc kule, burząc cudne fontanny, mostki, altany, marmurowe posągi i płosząc pawie, które żałosnym wrzaskiem dawały znać o swem nieszczęsnem położeniu.

Pan Grodzicki sypał ogień i na dzwonnicę bernardyńską, z tej strony bowiem postanowił do szturmu przystąpić.

Tymczasem ciurowie obozowi poczęli się prosić, aby im wolno było uderzyć na miasto, bardzo bowiem pragnęli pierwsi do skarbów szwedzkich się dostać. Król raz odmówił, lecz wreszcie po-

zwolił. Kilku znacznych oficerów podjęło się stanąć na czele, a między innymi i Kmicic, któremu nietylko sprzykrzyła się bezczynność, ale wogóle rady sobie dać nie mógł z tej przyczyny, że Hassling zapadłszy w ciężką chorobę, od kilku tygodni leżał bez duszy i o niczem mówić nie mógł.

Skrzyknięto się zatem na szturm. Pan Grodzicki sprzeciwiał mu się do ostatniej chwili, twierdząc, że póki wyłom nie zrobiony, miasto nie może być wzięte, choćby nie tylko ciurowie, ale sama regularna piechota poszła do ataku. Lecz ponieważ król dał już poprzednio pozwolenie, musiał ustąpić.

Dnia 15 czerwca zebrało się około sześciu tysięcy obozowej czeladzi, przygotowano drabiny, pęki chróstu, wozy z piaskiem, bosaki i pod wieczór tłum zbrojny, po większej części tylko w szable, począł ściągać się w miejsce, gdzie podkopy ziemne i osłony przymykały najbliżej do fosy. Gdy się już ściemniło zupełnie, na dany znak ruszyli pacholikowie z wrzaskiem okropnym ku fosie i poczęli je zasypywać. Czujni Szwedzi przyjęli ich morderczym ogniem z muszkietów, działa i bitwa zaciekła zawrzała na całej wschodniej stronie miasta. Ciurowie pod zasłoną ciemności zarzucili w mgnieniu oka fosę i kupą bezładną dotarli aż do murów. Pan Kmicic uderzył we dwa tysiące na ziemny fort, który Połacy zwali "kretowiskiem," stojący w pobliżu bramy Krakowskiej i mimo rozpaczliwej obrony, zdobył go jednym zamachem. Załogę rozniesiono na szablach, nikogo nie żywiąc. Działa rozkazał zwrócić pan Andrzej ku bramie, częścią zaś ku dalszym murom, aby przyjść z pomocą i osłonić nieco te kupy, które usiłowały się na nie wdrapać.

Tym zaś nie poszczęściło się w równym stopniu. Pachołkowie przystawiali drabiny i darli się na nie tak zapamiętale, że najbardziej ćwiczona piechota nie potrafiłaby lepiej, lecz Szwedzi sami, zabezpieczeni blankami, sypali im ogień w same twarze, spychali przygotowane kamienie i kłody, pod których ciężarem łamały się w drobne drzazgi drabiny, wreszcie piechota spychała szturmujących z pomocą długich dzid, przeciw którym szable nie mogły nic wskórać.

Przeszło pięciuset co najdzielniejszej czeladzi legło pod murem; reszta, pod nieustającym ogniem, schroniła się napowrót przez fosę do polskich przykopów.

Szturm był odparty, ale ów forcik pozostał w ręku polskich. Próżno Szwedzi walili doń przez całą noc z najcięższych kartaunów; Kmicic odpowiadał im również przez całą noc z tych dział, które zdobył. Dopiero nad ranem, gdy uczyniło się widno, rozbito mu je co do jednego. Wittemberg, któremu o ów szaniec, jak o głowę chodziło, wysłał wówczas piechotę z rozkazem, by nie ważyła się wracać, nie odzyskawszy straty, lecz pan Grodzicki w tejże chwili posłał Kmicicowi posiłki, z pomocą których ten nietylko odparł piechotę, lecz wypadł za nią i gnał aż do Krakowskiej bramy.

Pan Grodzicki tak był uradowany, że osobiście pobiegł do króla z relacyą.

— Miłościwy panie! — rzekł. — Byłem przeciwny wczorajszej robocie, ale teraz widzę, że nie stracona! Póki ten szaniec był w ich ręku, póty nie mogłem nic wskórać przeciw bramie, a teraz, niech jeno działa ciężkie nadejdą, w jedną noc wyłom uczynię.

Król, który był frasobliwy, że tylu dobrych pachołków poległo, uradował się słowami pana Grodzickiego i zaraz spytał:

Kto tam w owym szańcu ma komendę?

— Pan Babinicz! — odpowiedziało kilka głosów.

Król w ręce klasnął.

— Ten wszędy musi być pierwszy! Mości generale, znam ja go. Okrutnie to zacięty kawaler i nie da się wykurzyć!

— Winaby to była nie do odpuszczenia, miłościwy panie,— odrzekł Grodzicki —gdybyśmy na to pozwolili. Jużem mu tam piechoty posłał i działek, bo że go tam będą wykurzać, to będą! O Warszawę chodzi! Tyle ten kawaler złota wart, ile sam waży!

— Więcej wart! bo to nie pierwszy i nie dziesiąty jego postępek! — rzekł król.

Poczem kazał sobie podać co duchu konia, lunetę i pojechał patrzeć na szaniec. Lecz z za dymów wcale nie było go widać, bo kilkanaście kartaunów ziało nań ogniem nieustannym, rzucało nań faskule, granaty, blachy napełnione kartaczami. A przecie szaniec ów leżał tak niedaleko bramy, że nieledwie i strzały muszkietowe donosiły; to też granaty widać było doskonale, jak wylatywały nakształt obłoczków w górę i opisując łuk bardzo zgięty, wpadały w ową chmurę dymu, pękając w niej z hukiem okrop-

nym. Wiele padało aż za szaniec i te tamowały przystęp posiłkom.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! — rzekł król. — Tyzenhauz! patrz!

— Nic nie widać, miłościwy królu!

— Kupa ziemi porytej jeno zostanie! nie może inaczej być! Tyzenhauz, wiesz, kto tam siedzi?

— Wiem, miłościwy królu, Babinicz! jeśli żyw wyjdzie, będzie mógł powiedzieć, że za życia był w piekle.

— Trzeba mu tam jeszcze świeżych ludzi podesłać! Mości generale...

— Już rozkazy wydane, ale trudno im dojść, bo granaty przenoszą i okrutnie gęsto z tej strony fortu padają.

— Ze wszystkich dział do murów mi bić, żeby dywersyę uczynić!

Grodzicki ścisnął konia ostrogami i skoczył ku szańcem. Po chwili ozwały się działa na całej linii, a nieco później widać było, jak świeży oddział piechoty mazurskiej wyszedł z przykopów i kopnął się biegiem ku kretowisku.

Król wciąż stał i patrzył. Nakoniec krzyknął:

— Godzi się Babinicza zluzować w komendzie. A kto mości panowie, zechce go na ochotnika zastąpić?

Skrzetuskich, ni Wołodyjowskiego nie było w tej chwili przy osobie pana, więc nastała chwila milczenia.

— Ja! — ozwał się nagle pan Topór Grylewski, towarzysz lekkiego znaku imienia prymasa.

— Ja! — powtórzył Tyzenhauz.

— Ja! ja! ja! — ozwało się zaraz kilkanaście głosów.

— Kto pierwszy się ofiarował, niech ten idzie! — rzekł król.

Pan Topór Grylewski pożegnał się, następnie przechylił do ust manierkę i skoczył.

Król stał i patrzył ciągle w chmurę dymów, któremi przykryte było kretowisko, a które ciągnęły się wyżej nad niem nakształt mostu aż do samych murów. Ponieważ fort leżał bliżej Wisły więc mury miejskie górowały nad nim i dlatego ogień był tak straszliwy.

Tymczasem huk dział zmniejszył się nieco, choć granaty nieustawały opisywać łuków, natomiast grzechot strzałów muszkieto-

wych rozlegał się tak, jakby tysiące chłopów biło cepami w klepisko.

— Widać znów idą do ataku — rzekł Tyzenhauz. — Gdyby mniej było dymów widzielibyśmy piechotę.

— Podjedźmy nieco — rzekł król, ruszając koniem.

Za nim ruszyli inni i jadąc brzegiem Wisły od Ujazdowa, podjechali prawie do samego Solca, a ponieważ sady pałaców i klasztorów, schodzących ku Wiśle, były jeszcze w zimie przez Szwedów na opał wycięte i drzewa nie zasłaniały widoku, mogli więc przekonać się i bez lunet, że Szwedzi istotnie znów ruszyli do szturmu.

— Wolałbym tę pozycyę stracić — ozwał się król — niż żeby Babinicz miał zginąć!

— Bóg go obroni! — rzekł ksiądz Cieciszowski.

— I pan Grodzicki nie omieszkał posiłków posłać!—dodał Tyzenhauz.

Dalszą rozmowę przerwał jakiś jeździec, który zbliżał się całym pędem od strony miasta. Tyzenhauz, mając wzrok tak bystry, że gołem okiem lepiej widział, niż inni przez perspektywy, porwał się na jego widok za głowę i krzyknął:

— Grylewski wraca! Babinicz musiał poledz i fort zdobyto!

Król przysłonił oczy rękoma, tymczasem Grylewski przyskoczył, osadził konia na miejscu i łapiąc powietrze ustami, zawołał:

— Miłościwy panie!

— Co tam? zabit? — spytał król.

— Pan Babinicz powiada, że mu tam dobrze i nie chce zastępcy, prosi tylko, by mu jeść przysłać, bo od rana nic w gębie nie mieli!

— Żyje zatem? — krzyknął król.

— Powiada, że mu dobrze! — powtórzył pan Grylewski.

Inni zaś, ochłonąwszy ze zdumienia, poczęli wołać:

— To fantazya kawalerska!

— To żołnierz!

Później zaś do pana Grylewskiego:

— A, już potrzeba było zostać i koniecznie go zluzować. Nie wstyd to wracać? Tchórz waści obleciał, czy co? Lepiej się było nie podejmować!

Na to pan Grylewski:

— Miłościwy panie! Kto mi tchórza zadaje, temu się sprawię na

każdem polu, ale przed majestatem muszę się usprawiedliwić. Byłem w samem kretowisku, czegoby może niejeden z ichmościów nie dokazał, ale ów Babinicz jeszcze mi do oczu za moją intencyę skoczył. "Idź waść (powiada) do kaduka! Ja tu pracuję, ledwie (powiada) ze skóry nie wyskoczę i na gawędy nie mam czasu, a sławą, ni komendą dzielić się z nikim nie chcę. Dobrze mi tu (powiada) i ostanę, a waści za okop każę wyprowadzić! Bodaj cię zabito! (powiada). Źreć nam się chce, a tu mi komendanta nie strawę przysyłają!" Com miał robić, miłościwy panie? Nawet się i humorowi jego nie dziwuję, bo tam im ręce od roboty opadają!

— A jakże?— spytał król — utrzyma on się tam?

— Taki straceniec! Gdzie on się nie utrzyma! Tegom jeszcze zapomniał powiedzieć, co mi na odchodnem krzyknął: "Będę tu i tydzień siedział i nie dam się, byłem miał co jeść!"

— Możnaże tam wysiedzieć?

— Tam, miłościwy królu, istny dzień sądu! Granat pada za granatem, czerepy, jako dyabły, koło uszu świszczą, ziemia w doły powybijana, od dymu mówić nie można! Piaskiem i darnią kule rzucają, że co chwila trzeba się otrząsać, żeby nie przysypało. Siła ich poległo, ale ci, co żywi, w brózdach na okopie leżą i płotki sobie przed głowami z kołów porobili, ziemią je umocniwszy. Bardzo starownie Szwedzi ten nasyp uczynili, a teraz przeciw nim służy. Przy mnie jeszcze przyszły piechoty pana Grodzickiego i teraz biją się tam nanowo.

— Skoro na mury nie można, póki wyłomu niema — rzekł król, — to na pałace na Krakowskiem dziś jeszcze uderzymy, to będzie najlepsza dywersya.

— Okrutnie i pałace umocnione, prawie w fortece pozamieniane — zauważył Tyzenhauz.

— Ale im z pomocą z miasta nie pośpieszą, bo całą zawziętość na Babinicza obracają — odrzekł król. — Tak będzie, jakom tu żyw, tak będzie! I zaraz szturm nakażę, jeno jeszcze Babinicza przeżegnam.

To rzekłszy, król wziął z ręki księdza Cieciszowskiego złocisty krucyfiks, w którym drzazgi krzyża świętego były osadzone, i podniósłszy go do góry, począł żegnać daleki nasyp, okryty ogniem i dymami mówiąc:

— Boże Abrahamów, Boże Izaaków i Jakóbów, zmiłuj się nad ludem Twoim i daj ratunek tym ginącym. Amen, amen! amen!

---

## LXVI.

Nastąpił krwawy szturm od strony Nowego Światu ku Krakowskiem Przedmieściu, niezbyt szczęśliwy, ale o tyle skuteczny, że odwrócił uwagę Szwedów od szańca bronionego przez Kmicica i pozwolił zawartej w nim załodze nieco odetchnąć. Posunęli się jednak Polacy do pałacu Kazimierowskiego, lubo nie mogli utrzymać owego punktu.

Z drugiej strony szturmowano do pałacu Daniłłowiczowskiego i do Gdańskiego domu, również bezskutecznie. Legło znów ludzi kilkaset. Tę jedną miał król pociechę, iż widział, iż nawet pospolite ruszenie z największem męstwem i poświęceniem rwie się na mury i że po owych próbach, mniej więcej niepomyślnych, duch nietylko nie upadł, ale przeciwnie umocniła się w wojsku pewność zwycięstwa.

Lecz najpomyślniejszem dni tych wydarzeniem było przybycie pana Jana Zamoyskiego i pana Czarnieckiego. Pierwszy z nich sprowadził piechotę bardzo doskonałą i tak ciężkie kartauny z Zamościa, iż Szwedzi nie mieli w Warszawie podobnych. Drugi, obsadziwszy Duglasa w porozumieniu z panem Sapiehą częścią wojsk litewskich i pospolitego ruszenia podlaskiego, nad którem Skrzetuskiemu Janowi powierzono dowództwo, przybył do Warszawy, aby wziąć udział w szturmie generalnym. Spodziewano się, a i Czarniecki dzielił tę wiarę, że ten szturm będzie ostatnim.

Na szańcz, zdoaytym przez Kmicica, ustawionoe działa potężne, kt re natychmiast poczęły pracować przeciw murom i bramie i na początek zmusiły do milczenia granatniki szwedzkie. Wówczas sam generał Grodzicki zajął tę pozycyę. Kmicic zaś powrócił do swych Tatarów.

Ale nie dojechał jeszcze do swej kwatery, gdy już wezwano go do Ujazdowa. Król wobec całego sztabu wysławiał młodego rycerza; nie szczędził mu pochwał sam Czarniecki, ni Sapieha,

ni Lubomirski, ni hetmani koronni, on zaś stał w podartem i zasypanem ziemią ubraniu, na twarzy całkiem dymami prochowemi okopcony, niewyspany, ubrudzon, lecz radosny, że szaniec utrzymał, na tyle pochwał zasłużył i sławę niezmierną u obu wojsk pozyskał.

Winszowali mu też, między innymi kawalerami, pan Wołodyjowski i pan Zagłoba.

— Nie wiesz nawet, panie Andrzeju — rzekł mu mały rycerz, — jakie wielkie i u króla masz zachowanie. Wczoraj byłem na radzie wojennej, bo mnie pan Czarniecki wziął z sobą. Mówiono o szturmie, a potem o wiadomościach, które właśnie z Litwy nadeszły, o tamtejszej wojnie, o okrucieństwach, jakich się Pontus i Szwedzi dopuszczają. Radzą tedy, jakby tam wojnę podsycić. Powiada Sapieha, że najlepiej parę chorągwi posłać i człeka któryby umiał być tam tem, czem pan Czarniecki był na początku wojny w Koronie. Na to król: Taki jest tylko jeden: Babinicz. Inni zaraz przyświadczyli.

— Ja na Litwę a zwłaszcza na Żmudź najchętniej pojadę — odrzekł Kmicic — sam króla jegomości o to prosić miałem, czekam jeno, póki Warszawy nie weźniem.

— Szturm generalny na jutro — rzekł, zbliżając się Zagłoba.

— Wiem, a jak się ma Ketling?

— Kto taki? Chyba Hassling?

— Wszystko jedno, bo on ma dwa nazwiska, jakto u Angielczyków, Szkotów i wielu innych nacyi obyczaj.

— Prawda, — odpowiedział Zagłoba —a Hiszpan, to ci na każdy dzień tygodnia ma inne. Powiadał mi waszmościów pacholik, że Hassling, czyli też ów Ketling, zdrowy; już przemówił, chodzi i gorączka go opuściła, jeno jeść co godzina woła.

— A waść to nie byłeś u niego? — spytał Kmicic małego rycerza.

— Nie byłem, bom czasu nie miał. Kto tam przed szturmem ma głowę do czegokolwiek?

— To pójdźmy teraz.

— Waćpan idź najprzód spać — rzekł Zagłoba

— Prawda! prawda! Ledwie na nogach stoję!

Jakoż wróciwszy do siebie, poszedł pan Andrzej za tą radą, tem bardziej, że i Hasslinga zastał śpiącego. Natomiast przyszli go wieczorem odwiedzić Zagłoba z Wołodyjowskim i zasiedli w prze-

stronnym letniku, który Tatarowie dla swego "bagadyra" wznieśli. Kiemlicze miód im leli stary, stuletni, który król Kmicicowi przysłał, a oni popijali go ochotnie, gdyż gorąco było na dworze. Hassling, blady jeszcze i wycieńczony, zdawał się życie i siły czerpać w cennym napitku. Zagłoba językiem mlaskał i pot z czoła obcierał.

— Hej! jak tam te kartauny grzmią — ozwał się, nasłuchując, młody Szkot. — Jutro pójdziecie do szturmu... dobrze zdrowym!... Boże was błogosław! Obcej krwi jestem i służyłem, komum był powinien, ale wam lepiej życzę! Ach! co to za miód! Życie, życie we mnie wstępuje...

Tak mówiąc, odrzucił swe złote włosy w tył i oczy błękitne wznosił ku niebu; a twarz miał cudną i pół jeszcze dziecinną. Zagłoba spoglądał na niego z pewnej rozrzewnieniem.

— Waćpan tak dobrze po polsku mówisz, panie kawalerze, jak każdy z nas. Zostań Polakiem, pokochaj tę naszą ojczyznę, a zacną rzecz uczynisz i miodu ci nie zabraknie! O indygienat też żołnierzowi nie tak u nas trudno.

Na to Hassling:

— Tembardziej, że szlachcicem jestem. Całe moje nazwisko jest: Hassling-Ketling of Elgin. Rodzina moja z Anglii pochodzi, choć w Szkocyi osiadła.

— Dalekie to są i zamorskie kraje, a tu jakoś przystojniej człowiekowi żyć — odparł Zagłoba.

— Mnie też tu dobrze!

— Ale nam źle — rzekł Kmicic, który się kręcił od początku niecierpliwie na ławie, — bo nam pilno słyszeć, co w Taurogach się działo, waćpanowie zaś o rodowodach rozprawiacie,

— Pytajcie mnie, będę odpowiadał.

— Często widywałeś pannę Bilewiczównę?

Po bladej twarzy Hasslinga przeleciały rumieńce.

— Codzień! — rzekł.

A pan Kmicic zaraz począł na niego bystro patrzeć.

— Cóżeś był taki konfident? Czego płoniesz? Codzień? Jakto codzień?

— Bo wiedziała, żem był jej życzliwy i usług jej kilka oddałem. To się z dalszego opowiadania okaże, a teraz trzeba od początku zacząć. Waćpanowie może nie wiecie, że nie byłem w Kiejda-

nach wówczas, gdy książę koniuszy przyjechał i pannę ową do Taurogów wywiózł. Owóż dlaczego się to stało, nie będę powtarzał, bo różni różnie mówili, to tylko powiem, iż ledwie przyjechali, wszyscy zaraz spostrzegli, że książę okrutnie zakochany.

— Bodaj go Bóg skarał! — zakrzyknął Kmicic.

— Nastały zabawy, jakich przedtem nie bywało, a gonitwy do pierścienia i turnieje. Myślałby kto, że najspokojniejsze czasy, a tu codzień listy biegały, przyjeżdżali posłowie od elektora, od księcia Janusza. Wiedzieliśmy, że książę Janusz przez pana Sapiehę i konfederatów i przyciśnięty o ratunek na miłosierdzie boskie błagał, bo mu zguba grozi. My nic! Na granicy elektorskiej gotowe wojska stoją, kapitanowie z zaciągami nadchodzą, ale w pomoc nie idziem, bo księciu od panny niesporo.

— To dlatego Bogusław z pomocą bratu nie przychodził? — ozwał się Zagłoba.

— Tak jest. Toż samo mówił Paterson i wszyscy osoby jego najbliżsi. Niektórzy sarkali na to, inni radzi byli, że Radziwiłłowie zginą. Sakowicz za księcia sprawy publiczne odrabiał i na listy odpowiadał i z posłami się naradzał, książę zaś jedynie na to koncept wysilał, żeby ułożyć jakowąś zabawę, albo konną kawalkadę, albo polowanie. Pieniędzmi —on, skapiec — na wszystkie strony sypał, lasy kazał na mile całe wycinać, by panna z okien miała prospekt lepszy, słowem, że naprawdę kwiaty jej pod nogi sypał i tak ją przyjmował, że gdyby była i królewną szwedzką, nicby lepszego nie wymyślił. Żałowało ją z tego powodu wielu, bo mówiono: "Wszystko to na jej zgubą, ożenić się, książę, nie ożeni, a niech ją jeno za serce chwyci, to ją doprowadzi." Aleć się pokazało, że to nie taka panna, którąby można doprowadzić tam, gdzie cnota nie chodzi. Oho!

— A co? — zawołał, zrywając się Kmicic. — Wiemci ja to lepiej od innych!

— Jakże panna Billewiczówna owe królewskie hołdy przyjmowała? — spytał Wołodyjowski.

— Z początku z uprzejmą twarzą, lubo było widać po niej, że jakowyś żal w sercu nosi. Bywała na łowach, na maszkarach i kawalkadach i turniejach, myśląc ponoć, że to zwykły dworski u księcia obyczaj. Aleć wprędce się spostrzegła, że to wszystko dla niej. Raz się trafiło, że książę, wysiliwszy już koncept na rozmaite

widowiska, zapragnął pannie konterfekt wojny pokazać: zapalono tedy osadę blizko Taurogów: piechota broniła, książę szturmował. Oczywiście wiktoryę wielką odniósł, po której syt chwały, upadł, jak powiadają pannie do nóg i o wzajemność w afektach prosił. Niewiadomo, co jej tam proposuit, ale od tej pory skończyła się ich amicycya. Ona poczęła się stryja swego, pana miecznika rosieńskiego, dzień i noc za rękaw trzymać, książę zaś...

— Począł jej grozić? — zakrzyknął Kmicic.

— Gdzietam! Za greckiego pasterza się przebierał, za Philemona; umyślnie kuryerowie latali do Królewca po modeliusze pasterskich strojów, po wstęgi i peruki. On desperacyę udawał, pod jej oknami chodził i na lutni grywał. A tu powiem waćpanom, co rzetelnie myślę: kat to był na cnotę panien zawzięty i śmiało można o nim rzec, co w naszej ojczyźnie o podobnych ludziach mówią: że jego westchnienia niejeden panieński żagiel wydęły, ale tym razem naprawdę się zakochał, co i nie dziwota, bo panna więcej boginie, niźli mieszkanki ziemskiego padołu przypomina.

Tu Hassling zarumienił się znowu, lecz pan Andrzej tego nie spostrzegł, bo chwyciwszy się z zadowolenia i dumy w boki, spoglądał właśnie tryumfującym wzrokiem na Zagłobę i Wołodyjowskiego.

— Znamy ją, wykapana Dyana, jeno jej miesiąca we włosach brak! — rzekł mały rycerz.

— Co to Dyana! Własne psyby na Dyanę wyły, gdyby ją ujrzały! — zakrzyknął Kmicic.

— Dlategom rzekł: "nie dziwota" — odpowiedział Hassling.

— Dobrze! Jeno za tę niedziwotę małym ogniembym go przypalał; za tę niedziwotę hufnalamibym go podkuć kazał...

— Daj waćpan spokój! — przerwał Zagłoba — pierw go dostań, potem będziesz wydziwiał, teraz zasie daj temu kawalerowi mówić.

— Nieraz trzymałem wartę przed komnatą, w której sypiał — mówił dalej Hassling — i wiem, jako się na łożu przewracał, a wzdychał, a gadał do siebie, a syczał, jako z bólu tak go widocznie żądze piekły. Zmienił się okrutnie, wysechł: może też go ta choroba już nurtowała, w którą później zapadł. Tymczasem rozleciały się po całym dworze wieści, iż książę tak dalece się zapamiętał, że się chce żenić. Doszło to i do księżnej Januszowej, która z księżniczką w Taurogach mieszkała. Zaczęły się gniewy

a kwasy, bo jak waćpaństwu wiadomo, miał Bogusław, wedle układu, poślubić księżniczkę Januszównę, byle do lat doszła. Lecz on wszystkiem już zapomniał, tak miał przeszyte serce. Księżna Januszowa, wpadłszy w pasyę, pojechała z córką do Kurlandyi, on zaś oświadczył się o pannę Billewiczównę tego samego wieczora.

— Oświadczył się! — zawołali ze zdumieniem Zagłoba, Kmicic i Wołodyjowski.

— Tak! najprzód panu miecznikowi rosieńskiemu, który nie mniej od waszmościów był zdumion i uszom własnym wierzyć nie chciał, ale uwierzywszy wreszcie, z radości ledwie się posiadał, boć to dla całego domu Billewiczów splendor niemały z Radziwiłłami się połączyć; wprawdzie powiadał Paterson, że i tak koligacya jakaś jest, ale dawna i zapomniana.

— Powiadaj dalej! — ozwał się, drżąc z niecierpliwości, Kmicic.

— Obaj tedy ruszyli do panny z całą ostentacyą, jaka w takich razach we zwyczaju. Cały dwór aż się trząsł. Przyszły złe wieści od księcia Janusza, Sakowicz jeden je przeczytał, zresztą nikt na nic nie zważał, ani też na Sakowicza, bo był tego czasu wypadł z łaski a to, że małżeństwo perswadował. A u nas jedni mówili że to nie pierwszyzna Radziwiłłom ze szlachciankami się żenić, że w tej Rzeczypospolitej wszystka szlachta równa, a billewiczowski dom rzymskich czasów sięga. I to mówili ci, którzy już sobie chcieli na łaski przyszłej pani zarobić. Inni twierdzili, że to tylko fortel księcia, aby do większej przyjść z panną konfidencyi (jakoto między narzeczonymi niejedno uchodzi) i przy sposobności kwiat dziewictwa uszczknąć.

— Pewnie to było! Nic innego! — ozwał się Zagłoba.

— I ja tak mniemam, — rzekł Hassling — ale słuchajcie dalej. Gdy tak między sobą na dworze deliberujem, nagle jak grom, rozchodzi się, że panna przecięła wątpliwości jak szablą, bo odmówiła wprost.

— Boże jej błogosław! — krzyknął Kmicic.

— Odmówiła tedy wprost! — mówił dalej Hassling. — Dość było spojrzeć na księcia, by to poznać. On, któremu księżniczki ulegały, nie znosił oporu i mało nie oszalał. Niebezpiecznie mu się było pokazywać. Widzieliśmy wszyscy, że tak długo nie pozostanie i że książę prędzej, czy później siły użyje. Jakoż porwano

na drugi dzień pana miecznika i osadzono w Tylży, już za granicę elektorską. Tegoż dnia panna ubłagała oficera, trzymającego straż przed jej drzwiami, że jej krucicę nabitą dał. Oficer jej tego nie odmówił, bo szlachcicem i honorowym człekiem będąc, czuł litość dla nieszczęść damy, a uwielbienie dla jej urody i stałości.

— Kto ów oficer? — zawołał Kmicic.

— Ja! — odrzekł sucho Hassling.

Pan Andrzej porwał go tak w ramiona, że młody Szkot, słabym jeszcze będąc, krzyknął z bólu.

— Nic to! — zawołał Kmicic. — Nie jesteś jeńcem, jesteś moim bratem i przyjacielem! Mów, czego chcesz? Na Boga, powiadaj, czego chcesz?

— Spocząć chwilę! — odrzekł dysząc Hassling.

I umilkł, ściskał tylko ręce, które mu podawali Wołodyjowski i Zagłoba, nakoniec sam widząc, że wszyscy płoną z ciekawości, mówił dalej:

— Ostrzegłem ją też, o czem wszyscy wiedzieli, że medyk książęcy przygotowywał jakieś bezoary i dekokty odurzające. Tymczasem obawy okazały się płonne, bo wmieszał się do sprawy Pan Bóg. Ten tknąwszy księcia palcem, obalił go na łoże boleści i miesiąc trzymał. Dziw, mości panowie, ale padł tak, jakby go kosą z nóg ścięło, tego samego dnia, gdy miał na cnotę tej panienki następić. Ręka Boża, mówię, nic więcej! Sam on to pomyślał i zląkł się, może też w chorobie wypaliły się w nim żądze, a może czekał na odzyskanie sił, dość, że przyszedłszy do siebie, dał jej spokój, a nawet miecznika z Tylży dozwolił sprowadzić. Co prawda, to opuściła go choroba obłożna, ale nie febra, która do tej pory ponoć go gnębi. Co prawda także, to wkrótce po opuszczeniu łoża na wyprawę ową musiał iść pod Tykocin, w której klęska go spotkała. Wrócił z febrą jeszcze większą, zaczem elektor przywołał go do siebie, a tymczasem w Taurogach zaszła taka zmiana, o której i dziwnie i śmieszno powiadać, dość, że książę nie może tam już na wierność żadnego oficera, ani dworzanina liczyć, chyba na bardzo starych, którzy nie dowidzą i nie dosłyszą, zatem i nie dopilnują.

— Cóż się takiego stało? — spytał Zagłoba.

— W czasie tykocińskiej wyprawy porwano, jeszcze przed ja-

nowską klęską, niejaką pannę Annę Borzobohatą-Krasieńską i przysłano ją do Taurogów.

— Masz babo placek! — zawołał Zagłoba.

A pan Wołodyjowski począł oczyma mrugać i srodze wąsikami ruszać, wreszcie rzekł:

— Panie kawalerze, nie powiadaj o niej jeno nic złego, bo po wyzdrowieniu ze mną miałbyś do czynienia.

— Choćbym chciał, nie mogę nic złego o niej powiedzieć, ale jeśli to waszej mości narzeczona, to powiem, że jej nie pilnujesz, a jeśli krewna, to zbyt ją dobrze znasz, abyś temu, co powiem miał negować, dość, że w tydzień rozkochała ta panna w sobie wszystkich w czambuł, starszych i młodszych, niczem innem, jeno oczu strzyżeniem z dodatkiem jakichś sztuk czarodziejskich, z których już relacyi zdać nie mogę.

Ona! W piekle bym ją po tem poznał! mruknął Wołodyjowski.

— Dziwna rzecz! — mówił Hassling. — Przecież panna Billewiczówna dorównywa tamtej urodą, ale taka w niej powaga i nieprzystępność, jakby w jakowej ksieni, że człek admirując i wielbiąc, nie śmie nawet i oczu podnieść, a cóż dopiero jakowąś nadzieję powziąć. Sami przyznacie, że bywają różne panny: jedne jako starożytne westalki, drugie co to ledwie spojrzysz, już chciałbyś...

— Mości panie! — rzekł groźnie pan Michał.

— Nie bzdycz się, panie Michale, bo prawdę powiada! — rzekł Zagłoba.— Sam przy niej nogami przebierasz jako młody kurek i oczy ci bielmem zachodzą, a że bałamutna, wszyscy wiemy i ty mało sto razy to mówiłeś.

— Porzućmy tę materyę — rzekł Hassling. — Chciałem tylko waćpanom wytłomaczyć, dlaczego w pannie Billewiczównie zakochali się niektórzy tylko, prawdziwie niezrównaną jej doskonałość ocenić zdolni, (tu zarumienił się znów Hassling), a w pannie Borzobohatej niemal wszyscy. Jak mi Bóg miły, śmiech brał, bo zupełnie tak było, jakby jakowaś zaraza padła na serca. A zwad, a pojedynków namnożyło się w mgnieniu oka. I o co? Bo i ot trzeba wiedzieć, że nie masz takiego, którýby się wzajemnym afektem tej panienki mógł pochlubić, w to tylko każdy ślepo wierzy, że prędzej później on jeden coś wskóra.

— Ona, jakoby ją malował! — mruknął znów Wołodyjowski.

— Zato obie panienki pokochały się okrutnie, — mówił dalej Hassling —jedna bez drugiej krokiem nie ruszy, że zaś panna Borzobohata rządzi, jak sama chce w Taurogach...

— Jakto? — przerwał mały rycerz.

— Bo rządzi wszystkimi, Sakowicz na wyprawę teraz nie pojechał, taki rozkochany, a Sakowicz pan absolutny we wszystkich książęcych posiadłościach. Przez niego rządzi panna Anna.

— Takiż on rozkochany? — spytał znowu Wołodyjowski.

— I najbardziej sobie dufa, bo to człek sam przez się bardzo możny.

— A zowie się Sakowicz?

— Wasza mość chcesz go widzę dobrze zapamiętać?

— I... zapewne! — odrzekł niby niedbale Wołodyjowski, ale tak przytem złowrogo wąsikami ruszył, że Zagłobę ciarki przeszły.

— Owóż to tylko chciałem dodać, — rzekł Hassling — że gdyby panna Borzobohata kazała Sakowiczowi,by księcia zdradził, a jej towarzyszce ucieczkę ułatwił, myślę, że uczyniłby to bez wahania, ale o ile wiem, woli to ona za plecami Sakowicza czynić, może na złość mu... kto wie... dość, że zwierzył mi się jeden oficer, rodak mój (tylko nie katolik), że tam już cały wyjazd pana miecznika z pannami ułożony, oficerowie do spisku wciągnięci... że to ma wkrótce nastąpić...

Tu Hassling począł oddychać ciężko, bo się zmęczył i resztkami sił gonił.

— I to jest najważniejsza rzecz, jaką miałem waćpanom powiedzieć! — dodał pośpiesznie.

Wołodyjowski i Kmicic aż za głowy się porwali.

— Dokąd mają uciekać?

— Do puszcz i puszczami się do Białowieży przebierać... Tchu mi brak!...

Dalszą rozmowę przerwało wejście ordynansa Sapieżyńskiego, który wręczył Wołodyjowskiemu i Kmicicowi po ćwiartce papieru złożonej we czworo. Ledwo rozwinął swoją Wołodyjowski, wnet ozwał się:

— Rozkaz, by już stanowiska do jutrzejszej roboty zajmować.

— Słyszycie, jak kartauny ryczą? — zawołał Zagłoba.

— No, jutro! jutro!

— Uf! gorąco! — rzekł pan Zagłoba. — Zły dzień do szturmu.

Niech licho porwie takie upały. Matko Boska... Niejeden przecie jutro mimo upału ostygnie, ale nie ci, nie ci, którzy się Tobie polecają, Patronko nasza... Ależ grzmią działa!... Za starym już do szturmów, otwarte pole co innego.

Wtem nowy oficer ukazał się we drzwiach.

— Jestli tu jegomość pan Zagłoba? — spyt.

— Jestem!

— Z rozkazu króla miłościwego masz waćpan jutro zostawać przy jego osobie.

— Ha! chcą mnie od szturmu zachować, bo wiedzą, że stary pierwszy ruszy, niech jeno trąby zagrzmią. Dobry pan, pamiętny, nie chciałbym go zmartwić, ale czy wytrzymam, nie wiem, bo jak mnie ochota zeprze, tedy o niczem nie pamiętam i prosto w dym walę... Taka już natura!... Dobry pan!... Słyszycie, już i trąbki przez munsztuk grają, by każdy na stanowisko ruszał. No! jutro! jutro... Będzie miał i święty Piotr robotę; już książki przygotowywać musi... W piekle także dla Szwedów kotły ze świeżą smołą na kąpiel nastawili... Uf! uf! jutro!...

---

## LXVII.

Dnia 1go lipca, między Powązkami, a osadą, nazwaną później Marymontem, odbyła się wielka msza polowa, której dziesięć tysięcy ludzi wojsk kwarcianych słuchało w skupieniu ducha. Król ślub uczynił, że w razie zwycięstwa, kościół Najświętszej Pannie wystawi. Ślubowali za jego przykładem, każdy wedle możności, dygnitarze, hetmani, rycerstwo, nawet prości żołnierze, gdyż ów dzień miał być dniem ostatecznego szturmu.

Po skończeniu mszy ruszył każdy z wodzów do swojej komendy. Więc pan Sapieha stanął naprzeciw kościoła Świętego Ducha, który wówczas za murami leżał, ale że był do nich kluczem, został zatem potężnie przez Szwedów umocnion i wojskiem należycie obsadzony. Pan Czarniecki miał Gdańskiego domu dobywać, tylka bowiem ściana tej budowli stanowiła część obwodowego muru i przebiwszy go, można się było dostać do miasta. Piotr Opaliński, wojewoda podlaski, z Wielkopolany i Mazurami od Krakow-

skiego i Wisły zmierzał. Kwarciane pułki tkwiły naprzeciw bramy Nowomiejskiej. Ludu było tyle, że niemal więcej, niźli przystępu do murów; cała płaszczyzna, wszystkie okoliczne podmiejskie wioski i błonia zalane zostały morzem ludzkiem, za którem bielały namioty, za namiotami wozy, aż hen! wzrok gubił się w sinem oddaleniu, nim krańca tego mrowiska sięgnąć zdołał.

Zastępy owe stały w zupełnej gotowości, z bronią podaną już naprzód i wysuniętą do biegu nogą, gotowe w każdej chwili rzucić się ku wyłomom, uczynionym przez działa wielkiego kalibru, a zwłaszcza przez ciężkie kartauny zamojskie. Działa te nie ustawały grać ani na moment, szturm zaś zwłóczył się tylko dlatego, że czekano ostatecznej odpowiedzi Wittemberga na list, który kanclerz wielki Koryciński mu posłał. Lecz gdy około południa przyjechał oficer z odpowiedzią odmowną, zagrzmiały naokół miasta złowieszcze trąby i szturm się rozpoczął.

Wojska koronne pod hetmanami, Czarniecczykowie, pułki królewskie, piesze regimenty pana Zamoyskiego, Litwini z pod Sapiehy i zastępy pospolitego ruszenia rzuciły się jak wezbrana fala ku murom. A z murów wykwitły ku nim smugi białego dymu i rzuty płomienia: wielkie działa, hakownice, organki, muszkiety zagrzmiały naraz; ziemia wstrzęsła się w posadach. Kule niszczyły tę ciżbę ludzką, orały w niej brózdy długie, lecz ona biegła naprzód i darła się ku twierdzy, nie zważając na ogień i śmierć. Obłoki dymów prochowych słońce zakryły.

Uderzył tedy każdy zapamiętale tam, gdzie mu było najbliżej, więc hetmani od Nowomiejskiej bramy, Czarniecki na Gdański dom, pan Sapieha z Litwą na kościół Świętego Ducha, a Mazury i Wielkopolanie od Krakowskiego Przedmieścia i Wisły.

Tym zaś ostatnim wypadła najcięższa robota, wszystkie bowiem pałace i domy wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia zmienione były na twierdze. Lecz dnia tego ogarnęła Mazurów taka zaciekłość bojowa, że zapędowi ich nic się oprzeć nie mogło. Brali więc szturmem dom po domu, pałac po pałacu, bili się w oknach, we drzwiach, na schodach; wycinali w pień załogi.

Po zdobyciu jednego domostwa, nim krew przyschła im na rękach i twarzach, już rzucali się na drugie i znów rozpalała się ręczna bitwa i znów biegli dalej. Towarzystwo szło na wyścigi z pospolitem ruszeniem, pospolite ruszenie z piechotą. Kazano im, by idąc do szturmu, nieśli przed sobą snopy niedojrzałego jeszcze

zboża, które miały ich od kul zasłaniać, lecz oni w zapale i uniesieniu bojowem porzucali wszystkie zasłony, biegnąc z gołą piersią. Wśród krwawej bitwy wzięto kaplicę carów Szujskich i wspaniały pałac Koniecpolskich. Wygnieciono Szwedów co do jednego w pomniejszych budowlach, w magnackich stajniach, w ogrodach schodzących ku Wiśle. Bliżej pałacu Kazanowskich piechota próbowała postawić czoło w ulicy i posiłkowana z murów pałacu, z kościoła i dzwonnicy bernardyńskiej zmienionych na potężną twierdzę, przyjęła rzęsistym ogniem napastników.

Lecz grad kul nie wstrzymał ich ani na chwilę i szlachta z okrzykiem: "górą Mazurzy!" rzuciła się z szablami w środek czworoboku; za nimi wpadła piechota łanowa, czeladź zbrojna w drągi oskardy, siekiery. Czworobok rozbito w mgnieniu oka i poczęto ciąć. Swoi i nieprzyjaciele zmieszali się tak, że tworzyli jeden kłąb olbrzymi, który między pałacem Kazanowskich, domem Radziejowskiego a bramą Krakowską wił się, targał i przewalał we krwi własnej.

Lecz coraz nowe zastępy dyszących krwią wojowników napływały, niby spieniona rzeka od strony Krakowskiego. Wycięto wreszcie w pień piechotę i rozpoczął się ów sławny szturm do pałacu Kazanowskich i jednocześnie do Bernardynów, który w znacznej części o losach bitwy rozstrzygnął.

Pan Zagłoba wziął w nim udział, mylił się bowiem dnia wczorajszego, sądząc, że król wzywa go do swej osoby jedynie dla asystencyi. Przeciwnie bowiem: powierzono mu, jako wsławionemu i doświadczonemu wojownikowi komendę nad czeladzią, która na ochotnika razem z kwartą i pospolitakami z tej strony miała do szturmu ruszyć. Chciał był wprawdzie pan Zagłoba iść z nią w odwodzie i kontentować się zajmowaniem zdobytych już poprzednio pałaców, lecz gdy zaraz na początku wszyscy, idąc na prześcigi, pomieszali się z sobą zupełnie, porwał i jego prąd ludzki. On zaś poszedł, bo jakkolwiek wielką wziął od natury w udziale przezorność i wolał, gdzie było można, żywota na szwank nie wystawiać, tak się już mimowoli od tylu lat wezwyczaił do bitew, w tylu okropnych był rzeziach, że gdy konieczność wypadła stawał z innymi, a nawet lepiej od innych, bo z desperacyą i wściekłością w mężnem sercu.

Tak i obecnie znalazł się pod bramą pałacu Kazanowskich.

raczej w piekle, które pod ową bramą wrzało straszliwie, zatem wśród wiru, gorąca, tłoku, gradu kul, ognia, dymu, jęków ludzkich i krzyków. Tysiące siekier, oskardów, ratyszcz, waliło w bramę; tysiące ramion męskich parło i targało ją wściekle; jedni padali jakoby piorunami rażeni, drudzy pchali się na ich miejsce, deptali po ich trupach i dobijali się do wnętrza, jakby umyślnie szukając śmierci. Nikt nigdy nie widział i nie pamiętał uporczywszej obrony, ale i uporczywszego szturmowania. Z wyższych piętr nad bramą sypały się kule, lała się smoła, lecz ci, którzy byli pod ogniem, gdyby nawet byli chcieli, nie mogli ustąpić, tak popychano ich z zewnątrz. Widziałeś pojedyńczych ludzi mokrych od potu, czarnych od prochu, ze ściśniętymi zębami i zdziczałemi oczyma, walących w bramę belkami tak wielkiemi, że w zwyczajnym czasie zaledwie trzech tęgich chłopów władnąćby niemi zdołało. Tak uniesienie troiło siły. Szturmowano jednocześnie do wszystkich okien, przystawiano drabiny do górnych piętr wyrąbywano kraty w murach. A przecież z owych krat, z okien z otworów wyciętych w ścianach sterczały rury muszkietów, które ani chwili nie przestawały dymić. Lecz takie wreszcie wzbiły się dymy, taka powstała kurzawa, że przy jasnym dniu słonecznym szturmujący zaledwie mogli się rozpoznać. Mimo to walki nie zaniechali, owszem, tem bardziej darli się na drabiny, tem zacieklej łupali bramę, że wrzaski od kościoła Bernardynów zwiastowały, iż tam inne watahy szturmują z równą energią.

Wtem Zagłoba krzyknął głosem tak donośnym, że usłyszano go wśród zgiełku i wystrzałów:

— Puszkę z prochem pod bramę!

Podano mu ją w mgnieniu oka, on zaś kazał zaraz rąbać wązką dziurę u samego spodu wrzeciądzów, tak wązką, aby tylko puszka w nią się zmieściła. Gdy weszła, pan Zagłoba sam nić siarkową zapalił, poczem zakomenderował:

— Na boki! Pod ściany!

Stojący bliżej umknęli się na obie strony, ku tym, którzy drabiny przystawiali do dalszych okien i nastała chwila oczekiwania.

Poczem łoskot ogromny wstrząsnął powietrzem i nowe kłęby dymu podniosły się ku górze. Skoczył pan Zagłoba napowrót ze swoimi ludźmi; spojrzą: wybuch nie rozniósł wprawdzie bramy w drobne szczątki, ale wyrwał zawiasę z prawej strony, odłupał

parę potężnych brewion już podrąbanych, skręcił antabę i jedną połowę odepchnął w dolnej części w głąb sieni, tak iż utworzyło się wejście, przez które tęgi nawet człowiek łatwo mógł się przecisnąć.

Wnet zaostrzone koły, topory i siekiery poczęły bić gwałtownie w nadwątloną wierzeję, setki ramion podparły ją z wysileniem dał się słyszeć trzask przeraźliwy i cała jedna połać runęła, odkrywając głąb ciemnej sieni.

Z ciemności owej wnet błysły wystrzały muszkietów, lecz rzeka ludzka runęła wyłomem z niepohamowanym pędem — pałac był zdobyty.

Jednocześnie wdarto się i przez okna i rozpoczęła się straszliwa bitwa na białą broń, wewnątrz pałacu. Zdobywano komnatę po komnacie, korytarz po korytarzu, piętro po piętrze. Mury były już poprzednio tak porozszczerbiane i nadwątlone, że pułapy w kilku pokojach zapadły się z łoskotem, pokrywając gruzami Polaków i Szwedów. Lecz Mazurzy szli jak pożar, wnikali wszędzie, waląc ośnikami, siekąc, bodąc. Nikt ze Szwedów nie prosił pardonu, ale go też nie dawano. W niektórych korytarzach i przejściach kupy ludzkie tak zawaliły drogę, że Szwedzi porobili z nich sobie barykady, napastnicy zaś wywłóczyli je za nogi, za włosy i wyrzucali przez okna. Krew płynęła strugami po schodach. Gromady Szwedów broniły się jeszcze tu i owdzie, odbijając mdlejącemi rękoma wściekłe razy szturmujących. Krew zalewała im twarze, oczy zachodziły ciemnością, nie jeden osunął już się na kolana, a jeszcze walczył; parci ze wszystkich stron, duszeni przez tłum przeciwników, umierali w milczeniu Skandynawowie, zgodnie ze swą sławą, jak na żołnierzy przystało. Kamienne figury bóstw i dawnych bohaterów zbryzgane krwią patrzyły martwą źrenicą na tę śmierć.

Roch Kowalski szalał głównie na górze, pan Zagłoba zaś rzucił się ze swoim oddziałem na tarasy i wysiekłszy broniących się tam Biechurów wpadł z tarasów do owych cudnych sadów w całej Europie sławnych. Drzewa były już w nich wycięte kosztowne krzewy poniszczone przez polskie kule fontanny pogruchotane, ziemia poorana przez granaty, słowem, wszędzie pustka i zniszczenie, choć Szwedzi nie przykładali do niego swej drapieżnej ręki przez wzgląd na osobę Radziejowskiego! Obecnie bój i tam zawrzał srogi, lecz trwał tylko chwilę, bo już słaby dawali opór

Szwedzi. Toć wycięto ich pod osobistem pana Zagłoby dowództwem, zaczem żołnierze rozbiegli się po sadach i całym pałacu za zdobyczą.

A pan Zagłoba udał się aż na koniec sadu w miejsce, gdzie mury tworzyły potężny "anguł" i gdzie nie dochodziło słońce, chciał bowiem rycerz odetchnąć nieco i z potu uznojone czoło obetrzeć. Nagle spojrzał i spostrzegł dziwaczne jakieś monstra, które na niego z za kraty żelaznej klatki złowrogo patrzyły

Klatka była wszczepiona w kąt murów, tak, że kule, padające od zewnątrz, nie mogły jej dosięgnąć. Drzwi od niej szeroko były otwarte, lecz owe wychudłe i szkaradne istoty nie myślały z tego korzystać; owszem przerażone widocznie zgiełkiem, świstem kul i srogą rzezią, na którą przed chwilą patrzyły, cisnęły się w kąt klatki i poukrywane w słomę, jeno mruczeniem oznajmiały swój przestrach.

— Simiae, czy dyably? — rzekł do siebie pan Zagłoba.

Nagle gniew go uchwycił, męstwo wezbrało mu w piersi i podniósłszy szablę, wpadł do klatki.

Podpłoch okropny odpowiedział pierwszemu ciosowi jego miecza. Małpy, z któremi żołnierze szwedzcy dobrze się obchodzili i które ze swych szczupłych racyi karmili, bo ich bawiły, wpadły w tak okropne przerażenie, że je szał ogarnął poprostu, a ponieważ pan Zagłoba zastąpił im ode drzwi, poczęły w susach nadprzyrodzonych rzucać się po klatce, czepiać się ścian, pułapu, wrzeszczeć, zgrzytać, nakoniec jedna skoczyła w obłędzie panu Zagłobie na kark i chwyciwszy go za głowę, przywarła doń z całej siły. Druga przyczepiła mu się do prawego ramienia, trzecia od przodu chwyciła za szyję, czwarta uwiesiła się u zawiązanych z tyłu wylotów, on zaś przyduszon, spocony, próżno się miotał, próżno w tył dawał ślepe razy, samemu wkrótce zabrakło oddechu; oczy mu na wierzch wyszły i rozpaczliwym głosem krzyczeć począł:

— Mości panowie! ratujcie!

Wrzaski zwabiły kilkunastu towarzystwa, którzy nie mogąc rozeznać, co się dzieje biegli w pomoc z dymiącemi od krwi szablami, lecz nagle stanęli w zdumieniu spojrzeli po sobie i jakby pod wpływem czarów ryknęli jednym okropnym śmiechem. Nadbiegło więcej żołnierzy, tłum cały, lecz śmiech, jak zaraza, udzielił się wszystkim. Więc t a r z a l i się jak p i j a n i, brali

się w boki, zamazane posoką ludzką twarze krzywiły im się spazmatycznie i im bardziej rzucał się pan Zagłoba, tem oni śmieli się więcej. Dopiero Roch Kowalski nadbiegł z góry i roztrąciwszy tłumy, uwolnił wuja z małpich uścisków.

— Szelmy! — krzyknął zdyszany pan Zagłoba — bodaj was zabito! To śmiejecie się, widząc katolika w opersyi od mostrów afrykańskich? Bodaj was zabito? Żeby nie ja tobyście dotychczas trykali łbami o bramę, boście czego lepszego nie warci! Bodaj was zabito, żeście i onych małp niegodni!

— Bodaj ciebie zabito, małpi królu! — krzyknął najbliżej stojący towarzysz.

— Simiarum destructor! zawołał drugi.

Victor! — dodał trzeci.

— Gdzietam victor (zwycięzca), chyba victor (zwyciężony)!

Tu Roch przyszedł znowu z pomocą wujowi i najbliższego pięścią w piersi uderzył, a ten zaraz padł, krew ustami oddawszy. Inni cofnęli się przed gniewem męża, niektórzy do szebel się brali, lecz dalszej kłótni zapobiegły wrzaski i strzały dochodzące ze strony bernardyńskiego klasztoru. Widocznie szturm trwał tam jeszcze w całej sile i sądząc z gorączkowej palby muszkietowej, Szwedzi nie myśleli się poddawać.

— W sukurs! pod kościół! pod kościół! — krzyknął Zagłoba.

Sam zaś skoczył do pałacu na górę, tam bowiem z prawego skrzydła widać było kościół, który zdawał się gorzeć w ogniu. Tłumy szturmujących wiły się pod nim konwulsyjnie, nie mogąc dostać się do środka i ginąc bezużytecznie w krzyżowym ogniu, bo i od bramy Krakowskiej sypały się na nich kule, jak piasek

— Działa do okien! — krzyknął Zagłoba.

Działek większych i mniejszych było w pałacu Kazanowskich dosyć, wnet też przywleczono je do okien: ze złamów kosztownych sprzętów, z podstaw posągów pourządzano lawety i po upływie pół godziny kilkanaście paszcz wyjrzało przez puste otwory okien ku kościołowi.

— Rochu! — mówił w nadzwyczajnem rozdrażnieniu pan Zagłoba — muszę czegoś znacznego dokazać, bo inaczej przepadła moja sława! — Przez te małpy, żeby je zaraza wydusiła! całe wojsko na języki mnie weźmie, a choć i mnie słów w gębie nie brak, przecie nie wszystkim poradzę Muszę tę konfuzyę zatrzeć, inaczej, jak Rzeczpospolita szeroka, za małpiego króla mnie ogłoszą!

— Wuj musi tę konfuzyę zatrzeć! — powtórzył grzmiącym głosem Roch.

— A pierwszy sposób będzie, iż jakom pałac Kazanowskich zdobył, bo niech kto powie, że to nie ja...

— Niech kto powie, że to nie wuj — powtórzył Roch.

— Tak i ów kościół zdobędę, tak mi Panie Boże dopomóż, amen — dokończył Zagłoba.

Poczem odwrócił się do swej czeladzi, która już stała przy armatach.

— Ognia!

Szwedów, broniących się z rozpaczą w kościele, strach zdjął gdy nagle cała boczna ściana trząść się zaczęła Na tych, którzy siedzieli w oknach, przy strzelnicach powycinanych w murze, na złamach wewnętrznych gzymsów, jęły się sypać cegły, gruz, wapno. Straszliwa kurzawa powstała w domu Bożym i pomieszana z dymem, jęła dławić spracowanych ludzi. Człek człeka nie mógł dojrzeć w ciemności, okrzyki: "dusim się! dusim się!" powiększyły jeszcze przerażenie. A tu kościół chwieje się, trzask muru, spadanie cegieł, łoskot kul wpadających przez okna, dźwięk ołowianych krat, lecących na podłogę, żar, wyziewy ludzkie, zmieniają przybytek Boży w piekło ziemskie. Przerażeni żołnierze odbiegają bramy, okien, strzelnic. Popłoch zmienia się w szał. Znów przeraźliwe głosy wołają: "dusim się! powietrza! wody!", nagle setki gardzieli poczynają ryczeć:

— Białą chorągiew! białą chorągiew!

Komenderujący, Erskin, chwyta za nią własną ręką, aby ją wywiesić na zewnątrz, wtem brama pęka, chmura szturmujących wpada nakształt ławicy szatanów i nastaje rzeź. Cisza nagle czyni się w kościele, słychać tylko zwierzęce sapanie walczących, zgrzyt żelaza o kości, o kamienną posadzkę, jęki, chlupotanie krwi, czasem głos jakiś, w którym niemasz nic ludzkiego, krzyknie: "pardon! pardon!" Po godzinie walki dzwon na dzwonnicy poczyna huczeć i huczy, huczy — Mazurom na zwycięstwo, Szwedom na pogrobne.

Pałac Kazanowskich, klasztor i dzwonnica zdobyte. Sam Piotr Opaliński, wojewoda podlaski, ukazuje się wśród krwawych tłumów przed pałacem na koniu

— Kto nam przyszedł w sukurs z pałacu — krzyczy, chcąc przekrzyczeć gwar i wycie ludzkie.

— Ten, który pałac zdobył! — mówi potężny mąż, ukazując się nagle przed wojewodą — ja!!!

— Jak waści zowią?

— Zagłoba.

— Vivat Zagłoba! — ryczą tysiące gardzieli.

Lecz straszliwy Zagłoba ukazuje krzywcem zabrukanej szabli na bramę.

— Nie dosyć na tem! — woła — tam! do bramy! Działa ku murom i na bramę, a my naprzód! za mną!

Rozszalałe tłumy rzucają się w kierunku bramy, wtem — o cudo! ogień szwedzki zamiast się wzmagać słabnie.

Jednocześnie głos jakiś donośny rozlega się niespodzianie z wierzchołka dzwonnicy:

— Pan Czarniecki już w mieście! Widzę nasze chorągwie!! Ogień szwedzki słabnie coraz bardziej.

— Stój! stój — komenderuje wojewoda.

Lecz tłumy go nie słyszą i biegną naoślep. Wtem biała chorągiew ukazuje się na bramie Krakowskiej.

Istotnie Czarniecki, przebiwszy dom Gdański, wpadł na kształt huraganu do obrębu fortecy, a gdy pałac Daniłowiczowski już był także zdobyty, gdy w chwilę później i litewskie znaki zabłysły od strony Św. Ducha na murach, uznał Wittemberg, że dalszy opór daremny. Mogli wprawdzie Szwedzi bronić się jeszcze w wyniosłych domach Starego i Nowego Miasta, lecz mieszczanie chwycili już za broń: obrona musiałaby się skończyć na straszliwej rzezi Szwedów, bez nadziei zwycięstwa.

Trębacze poczęli tedy trąbić na murach i wiewać białemi chorągwiami. Widząc to komendanci polscy, wstrzymali szturm, poczem generał Loewenhaupt, w otoczeniu kilku pułkowników, wyjechał bramą Nowomiejską i popędził, co tchu, do króla.

Jan Kazimierz miał już miasto w ręku, lecz dobry pan pragnął wstrzymać rozlew krwi chrześcijańskiej, więc przystał na podawane poprzednio Wittembergowi warunki. Miasto miało być oddane ze wszystkiemi nagromadzonemi w niem łupami. Każdemu Szwedowi pozwolone było zabrać to tylko, co ze Szwecyi z sobą przywiózł. Załoga ze wszystkimi generałami i z bronią w ręku miała prawo wyjść z miasta, zabrawszy chorych i rannych, oraz

damy szwedzkie, których kilkadziesiąt było w Warszawie. Polakom, którzy przy Szwedach jeszcze służyli, udzielono amnestyi, ze względu, że zapewne nie było już wysługujących się dobrowolnie Wyłączon został jeden Bogusław Radziwiłł, na co Wittemberg zgodził się tem łatwiej, iż książę stał w tej chwili z Duglasem u Buga.

Warunki podpisano natychmiast. Wszystkie dzwony w kościołach poczęły głosić miastu i światu, że stolica przechodzi znów do rąk prawego monarchy. W godzinę później wysypało się mnóstwo najbiedniejszego ludu z za wałów szukać miłosierdzia i chleba w polskich obozach, wszystkim już albowiem, prócz Szwedów, brakło w mieście żywności. Król kazał dawać, co było można, sam zaś odjechał patrzeć na wyjście załogi szwedzkiej.

Stanął więc otoczony dostojnikami duchownymi i świeckimi, w asystencyi tak wspaniałej, iż oczy ludzkie ćmiła. Wszystkie niemal wojska, więc koronne pod hetmanami, dywizya Czarnieckiego, litewskie pod Sapiehą i niezmierne tłumy pospolitego ruszenia wraz z czeladzią, zebrały się obok majestatu, bo wszyscy ciekawi byli widzieć tych Szwedów, z którymi przed kilku godzinami tak straszliwie i krwawo walczyli. Przy wszystkich bramach, od chwili podpisania ugody, stali komisarze polscy; powierzono im zbadanie, czy Szwedzi jakowych łupów nie wywożą. Osobna komisya zajęta była przyjmowaniem łupów w samem mieście.

Ukazała się więc najprzód jazda, której było niewiele, zwłaszcza, że wyłączono od prawa wyjścia jazdę bogusławową; za nią szła artylerya polowa z lekkiemi działami, ciężkie bowiem miały być wydane Polakom. Szli tedy żołnierze obok dział z zapalonemi lontami. Nad nimi chwiały się rozwinięte chorągwie, które przed królem polskim, niedawno tułaczem, na znak czci zniżano. Artylerzyści postępowali hardo, patrząc wprost w oczy polskiemu rycerstwu, jak gdyby chcieli mówić: "spotkamy się jeszcze!" a Polacy podziwiali ich butną postawę i nieugięty nieszczęściem animusz. Zaczem ukazały się wozy z oficerami i rannymi. W naczelnym leżał Benedykt Oxenstierna. kanclerz, przed którym król kazał broń prezentować piechocie, chcąc okazać, że nawet w nieprzyjacielu cnotę uszanować umie.

Potem przy odgłosie bębnów i także z rozpuszczonemi chorągwiami szły czworoboki niezrównanej piechoty szwedzkiej, podobne. wedle wyrażenia Supanhazego, do chodzących zamk

Za nimi ukazał się świetny orszak rajtaryi, przybrany w blachy od stóp do głowy, z błękitną chorągwią, na której złoty lew był wyszyty. Rajtarowie ci otaczali sztab główny. Na ich widok poszedł szmer przez tłumy:

— Wittemberg jedzie! Wittemberg!

Jakoż jechał sam feldmarszałek, a przy nim Wrangel młodszy Horn, Erskin, Loewenhaupt, Forgell. Oczy polskich rycerzy zwróciły się z chciwością w ich stronę, a zwłaszcza na twarz Wittemberga. Lecz oblicze jego nie zwiastowało tak straszliwego wojownika, jakim był w samej istocie. Była to twarz stara, blada, wyniszczona przez chorobę. Rysy miał ostre, nad ustami nosił rzadki i mały wąs, zadarty w końcach ku górze. Zaciśnięte usta i spiczasty długi nos, nadawały mu pozór starego i drapieżnego skąpca. Przybrany w czarny aksamit i w czarny kapelusz na głowie, wyglądał raczej na uczonego, astrologa lub na medyka i tylko złoty łańcuch na szyi, oraz brylantowa gwiazda na piersiach i buława feldmarszałkowska w ręku, zdradzały jego wysoką hetmańską szarżę.

Jadąc, rzucał niespokojnie oczyma na króla, na sztab królewski, na stojące w szyku chorągwie,poczem wzrok jego ogarniał niezmierne tłumy pospolitego ruszenia i ironiczny uśmiech ukazywał mu się na bladych wargach.

A w tych tłumach szmer rosnął coraz bardziej i słowo: "Wittemberg! Wittemberg!" było na wszystkich ustach.

Po chwili szmer zmienił się w pomruk głuchy, ale groźny, jak pomruk morza przed burzą. Od chwili do chwili ścichał; a wówczas hen! w dali, w ostatnich szeregach, słychać było jakiś głos perorujący. Temu głosowi odpowiadały inne, odpowiadało ich coraz więcej, rozlegały się coraz silniej, rozbiegały się coraz szerzej, jakby jakieś echa złowrogie. Przysiągłbyś, że burza idzie z oddali, że wybuchnie z całą siłą.

Dostojnicy stropili się i poczęli niespokojnie spoglądać na króla.

— Co to jest? co to znaczy? — pytał Jan Kazimierz.

Wtem pomruk przeszedł w huk tak straszny, jakby grzmoty poczęły w niebie walczyć z sobą. Niezmierne tłumy pospolitego ruszenia poruszyły się gwałtownie, zupełnie jak łan zboża, gdy

huragan zawadzi o niego swem olbrzymiem skrzydłem. Nagle kilkadziesiąt tysięcy szabel zabłysło w słońcu.

— Co to jest? co to znaczy? — spytał powtórnie król.

Nikt nie umiał mu odpowiedzieć.

Wtem Wołodyjowski, stojący w pobliżu przy panu Sapieże, zakrzyknął:

— To pan Zagłoba!

Wołodyjowski odgadł. Jak tylko bowiem warunki kapitulacyi zostały ogłoszone i doszły do uszu pana Zagłoby, stary szlachcic wpadł w gniew tak straszny, że mowa była mu przez jakiś czas odjętą. Przyszedłszy do siebie, zaczął od tego, iż skoczył między szeregi pospolitego ruszenia i począł burzyć umysły. Słuchano go chętnie, bo wszystkim się zdało, że za tyle męstwa, za tyle trudów, za tyle krwi wylanej pod murami Warszawy, lepszą powinni mieć nad nieprzyjacielem zemstę. Otaczały więc Zagłobę potężne koła niesfornej i burzliwej szlachty, a on całemi garściami rzucał rozżarzone węgle na prochy i wymową rozdmuchiwał coraz większy pożar, który tem łatwiej ogarniał głowy, że już i tak dymiły od zwykłych po zwycięstwie libacyi.

— Mości panowie! — mówił Zagłoba. — Oto te stare ręce pięćdziesiąt lat już pracują dla ojczyzny, pięćdziesiąt lat przelewały krew nieprzyjacielską przy wszystkich ścianach Rzeczypospolitej, teraz zasię mam świadków! — oneto pałac Kazanowskich i kościół Bernardynów zdobyły! A kiedy, mości panowie, Szwedzi stracili otuchę, kiedy na kapitulacyę się zgodzili? Oto wówczas, gdyśmy armaty od Bernardynów na Stare Miasto wyrychtowali. Nie żałowano tu naszej krwi, bracia, hojnie nią szafowano, a pożałowano tylko samego nieprzyjaciela. To my, bracia, substancyę zostawiamy bez gospodarza, czeladź bez pana, żonę bez męża, dziatki bez ojca... (o moje dziatki co się z wami teraz dzieje!) i przychodzimy tu z gołą piersią na armaty, a jakaż nam za to nagroda? Oto taka. Wittemberg wolny odchodzi i jeszcze go honorują na drogę. Odchodzi kat naszej ojczyzny, odchodzi bluźniciel przeciw wierze, Najświętszej Panny wróg zaciekły, podpalacz naszych domów, zdzierca naszych szat ostatnich, morderca żon i dziatek naszych! (o moje dziatki, gdzie wy teraz!) hańbiciel duchowieństwa i panienek Bogu poświęconych... Biada tobie, ojczyzno, hańbo tobie, szlachto, paroksyzm tobie nowy, wiaro nasza święta! biada wam, kościoły utrapione, płacz tobie i narzekanie,

Częstochowo, bo Wittemberg odchodzi wolno i wróci wkrótce łzy i krew wyciskać, dobijać, których nie dobił, palić, czego nie spalił, hańbić, czego jeszcze nie zhańbił. Płacz Korono i Litwo, płaczcie wszystkie stany, jako ja płaczę, stary żołnierz, który do grobu zstępuję, na paroksyzm wasz patrzeć musi. Biada tobie, Ilium, miasto starego Pryama! Biada! biada! biada!

Takto prawił pan Zagłoba, tysiące słuchały go i gniew podnosił szlachcie włos na czuprynach, on zaś jechał dalej i znów biadał i szaty darł na sobie i piersi odkrywał. Wnikał też i w wojsko, które także chętnie skargom jego ucho podawało, istotnie bowiem straszliwa była przeciw Wittembergowi we wszystkich sercach zawziętość. Tumult byłby wybuchł odrazu, ale powstrzymał go sam Zagłoba, z obawy, że gdy zawcześnie wybuchnie, wówczas Wittemberg może się jeszcze jakoś wyratować, a jeśli wybuchnie wówczas, gdy będzie wyjeżdżał z miasta i na oczy się pospolitemu ruszeniu pokaże, to go na szablach rozniosą, zanim się kto opatrzy, co się dzieje.

I wyrachowania jego sprawdziły się zupełnie. Na widok okrutnika szał ogarnął mózgi niesfornej a podpiłej szlachty i w mgnieniu oka burza wybuchła straszliwa. Czterdzieści tysięcy szabel zabłysło w słońcu, czterdzieści tysięcy gardzieli poczęło ryczeć: "Śmierć Wittembergowi!" "Dawajcie go sam!" "Bigosować! bigosować!" Do tłumów szlacheckich przyłączyły się tłumy niesforniejszej jeszcze a rozbestwionej niedawnym przelewem krwi czeladzi, nawet karniejsze regularne chorągwie jęły szemrać groźnie przeciw ciemięzcy i burza poczęła lecieć z wściekłością na sztab szwedzki.

W pierwszej chwili stracili wszyscy głowę, choć wszyscy odrazu zrozumieli, o co idzie. "Co czynić?" ozwały się głosy przy królu. "Jezu miłosierny!" "Ratować! osłaniać!" "Hańba nie dotrzymać umowy!"

Wtem tłumy rozżarte wpadają między chorągwie, cisną je, chorągwie mieszają się, nie mogąc ustać na miejscu. Naokół widać szable, szable i szable, pod niemi rozpalone twarze, wytrzeszczone oczy, wyjące usta; zgiełk, szum i dzikie okrzyki rosną z przerażającą szybkością, na czele leci czeladź, ciury i wszelka wojskowa hołota, podobniejsza do zwierząt lub dyabłów, niż do ludzi.

Zrozumiał i Wittemberg, co się dzieje. Twarz mu pobladła jak płótno, pot obfity a zimny zrosił mu w jednej chwili czoło — i o dzi-

wo!—ów feldmarszałek, który przedtem światu całemu gotów był przegrażać, ów pogromca tylu armii, zdobywca tylu miast, ów stary żołnierz, zląkł się teraz tak okropnie wyjącej tłuszczy, iż przytomność opuściła go zupełnie. I począł dygotać całem ciałem i ręce opuścił i jęczał i ślina poczęła mu ciec z ust na złoty łańcuch a buława marszałkowska z ręki wypadła. Tymczasem straszliwa ciżba była coraz bliżej; już, już okropne postacie otaczały nieszczęśliwych generałów naokół, chwila jeszcze, a rozniosą tak wszystkich na szablach, że jednego szczątka nie zostanie.

Inni generałowie powydobywali szpady, chcą umrzeć z bronią w ręku, jak na rycerzy przystało, lecz stary ciemięzca zesłabł zupełnie i przymrużył oczy.

Wtem pan Wołodyjowski skoczył sztabowi na ratunek. Chorągiew, idąc w skok klinem, roztrąciła tak tłuszczę, jak okręt, płynący wszystkiemi żaglami roztrąca spiętrzone fale morza. Krzyk tratowanej hołoty pomieszał się z krzykiem laudańskich, lecz jeźdźcy pierwej dopadli sztabu i otoczyli go w mgnieniu oka murem koni, murem piersi własnych i szabel.

— Do króla! — krzyknął mały rycerz.

I ruszyli. Tłum otoczył ich ze wszystkich stron, biegł z boków, z tyłu, wywijał szablami i drągami, wył coraz straszniej, lecz oni parli naprzód, tnąc szablami od czasu do czasu na boki, jak tnie potężny odyniec, otoczony przez stado wilków.

Wtem Woyniłłowicz skoczył w pomoc Wołodyjowskiemu, za nim Wilczkowski z królewskim pułkiem, za nim kniaź Połubiński i wszyscy razem, oganiając się ustawicznie, przyprowadzili sztab przed oblicze Jana Kazimierza.

Tumult, zamiast zmniejszać się, rósł coraz bardziej. Zdawało się przez chwilę, że rozhukana tłuszcza, bez względu na majestat, będzie chciała dostać w ręce generałów. Wittemberg oprzytomniał, ale strach nie opuścił go bynajmniej, więc zeskoczył z konia i jak zając, napierany przez psy lub wilki, chroni się aż pod wozy zaprzężone, tak on kopnął się, mimo podagry, aż pod nogi królewskie.

Tam rzucił się na kolana i chwyciwszy za strzemię, począł krzyczeć:

— Ratuj, miłościwy panie! ratuj! Mam twoje słowo królewskie,

ugoda podpisana, ratuj, ratuj! Zmiłuj się nad nami! Nie pozwalaj mnie zamordować.!

Król na widok takiego upokorzenia i takiej hańby odwrócił ze wstrętem oczy i rzekł:

— Panie marszałku, uspokój się pan!

Lecz sam miał twarz strapioną, bo nie wiedział, co czynić. Naokół zabierały się coraz większe tłumy i zbliżały się coraz natarczywiej. Wprawdzie stanęły chorągwie jakby do boju, a piechota zamojska utworzyła naokól groźny czworobok, lecz jaki miał być wszystkiego koniec?

Król spojrzał na Czarnieckiego, lecz ten tylko brodę kręcił z wściekłością, takim gniewem wzburzyła mu się dusza przeciw niekarności pospolitego ruszenia.

Tymczasem kanclerz Koryciński rzekł:

— Miłościwy panie, trzeba ugody dotrzymać.

— Tak jest! — rzekł król.

Wittemberg który pilno patrzył im w oczy, odetchnął swobodniej.

— Najjaśniejszy Panie! — zawołał — wierzyłem w twoje słowo, jak w Boga!

A na to stary hetman koronny, pan Potocki:

— A czemuśto waść tyle przysiąg, tyle ugód i kapitulacyi łamał? Kto czem wojuje, od tego ginie... Wszakżeśto Wolffa pułk królewski, wbrew kapitulacyi zagarnął?

— To nie ja, to Mueller, to Mueller! — odrzekł Wittemberg.

Hetman spojrzał z pogardą, zaczem odwrócił się do króla.

— Miłościwy panie! Nie mówię tego, abym waszą królewską mość miał do złamania także ugody pobudzać bo niechże wiarołomstwo po ich jeno stronie będzie.

— Więc co czynić? — spytał król.

— Jeśli go teraz do Prus odeślem, to z pięćdziesiąt tysięcy szlachty ruszy za nim i nim do Pułtuska dojedzie, już go rozsiekają... Chybaby mu cały komput wojska za straż dodać, a tego uczynić nie możem... Słyszysz, wasza kr. mość, jako tam wyją. Revera... słuszna jest przeciw niemu zawziętość... Trzeba najprzód jego osobę ubezpieczyć, a odesłać wszystkich wówczas, gdy ten ogień ugaśnie.

— Nie może inaczej być! — rzekł kanclerz Koryciński.

— Ale gdzie go ubezpieczyć? — Tu go trzymać nie możem bo

tu, u licha, wojna domowa wybuchnąć gotowa — ozwał się pan wojewoda ruski.

Na to wystąpił pan starosta kałuski, Sobiepan, i wydymając wolno wargi, rzekł ze zwykłą sobie fantazyą:

— A! cóż! miłościwy panie! Dajcie mi ich do Zamościa, niech posiedzą, póki się spokój nie uczyni. Już ja go tam przed szlachtą obronię... Ba! niech mi spróbują go wydrzeć! Ba!

— Ale w drodze, jak go wasza dostojność obronisz? — spytał kanclerz.

— Ha! jeszcze mnie na pachołków stać. Albo to nie mam piechoty i dział, co? Niech go Zamoyskiemu wydrą! Obaczym!

Tu zaczął się w bok brać, po udach klepać i na kulbace na obie strony się przechylać.

— Niema innej rady! — rzekł kanclerz.

— I ja nie widzę! — dodał pan Lanckoroński.

— To ich i weźcie, panie starosto! — rzekł do Zamoyskiego król.

Lecz Wittemberg, widząc, że już życiu jego nic nie grozi, uznał za stosowne protestować.

— Nie tegośmy się spodziewali! — rzekł.

Na to pan Potocki, ukazując w dal ręką:

— A to proszę, nie zatrzymujem, wolna droga!

Wittemberg umilkł.

Tymczasem kanclerz rozesłał kilkudziesięciu oficerów, aby głosili wzburzonej szlachcie, że Wittemberg nie odjedzie wolno, ale zostanie odesłany do Zamościa. Tumult nie zaraz wprawdzie się uciszył, jednakże umysły zwróciły się w inną stronę. Wojska poczęły wchodzić do miasta i widok odzyskanej stolicy napełnił wszystkie dusze radością tryumfu.

Radował się i król, jednakże myśl, że nie mógł w zupełności dotrzymać warunków ugody, trapiła go niepomału, zarówno jak wieczna niekarność pospolitego ruszenia.

Czarniecki żuł w sobie gniew.

— Z takiem wojskiem nigdy nie można być jutra pewnym — mówił do króla — czasem biją się źle, czasem po bohatersku, wszystko od fantazyi, a lada podmuch, to i bunt gotowy.

— Daj Boże, by się nie zaczęli rozjeżdżać — rzekł król, — bo jeszcze potrzebni, a już myślą, że wszystkiego dokonali.

— Sprawca tego rozruchu powinien być końmi rozerwan, bez względu na usługi, jakie oddał! — mówił dalej Czarniecki.

Kazano też najsurowiej szukać pana Zagłoby, bo nikomu nie było tajno, że onto podniósł burzę, lecz pan Zagłoba, jak w wodę wpadł. Szukano go w mieście, w namiotach, między taborem, nawet między Tatarami, wszystko napróżno. Powiadał przytem Tyzenhauz, że król, jak zawsze dobry i miłościw, życzył sobie z całej duszy, żeby go nie znaleziono i że nawet nowennę na to odprawiał.

W tydzień zaś później, po jakowymś obiedzie, gdy monarsze serce wezbrało radością, usłyszano z ust Jana Kazimierza słowa następujące:

— A rozgłoście tam, żeby się pan Zagłoba dłużej nie chował, bo już nam po nim i jego krotochwilach tęskno!

Gdy kasztelan kijowski żachnął się na to, król dodał:

— Ktoby w tej Rzeczypospolitej jeno sprawiedliwość, nie miłosierdzie miał w sercu, tenby zamiast serca, topór w piersiach nosić musiał. O winę tu łatwiej, niż gdzieindziej, ale też i poprawa nigdzie tak rychło nie następuje!

A mówiąc to, miał więcej jeszcze Babinicza na myśli, niż Zagłobę, zaś o Babiniczu myślał dlatego, że młody junak właśnie poprzedniego dnia pokłonił się do nóg królewskich z prośbą, by mu na Litwę nie było wzbroniono jechać. Mówił, że chce tam wojnę ożywić i Szwedów podchodzić,jak niegdyś Chowańskiego podchodził. A ponieważ król i tak miał zamiar posłać tam doświadczonego w podjazdowej wojnie żołnierza, więc pozwolił, opatrzył, pobłogosławił i jeszcze mu czegoś tam do ucha życzył, po którem życzeniu padł mu młody rycerz do nóg, jak długi.

Poczem, nie zwłócząc, ruszył raźno na wschód. Supanhazyc znacznym podarkiem ujęty, pozwolił mu nowych pięciuset dobruckich ordyńców z sobą zabrać, szło więc za nim półtora tysiąa ludzi dobrych, siła, z którą można było przecie coś począć. I paliła się głowa junacka chęcią bojów i wojennych czynów, śmiał, mu się nadzieja sławy; słyszał już, jak Litwa wymawia z chlubą i podziwem jego imię... Słyszał zwłaszcza, jak powtarzają je jedne kochane usta i dusza dostawała mu skrzydeł.

A jeszcze i dlatego tak mu się jechało raźno, że gdzie przyjechał tam pierwszy szczęsną wieść zwiastował, iż Szwed pobit i Warsza

wa wzięta! Gdzie zatętniły kopyta jego konia, tam całe okolice rozbrzmiewały temi słowami, tam lud witał go z płaczem na drogach, tam bito we dzwony po kościołach i śpiewano "Te Deum laudamus!" Gdy jechał lasem, to sosny ciemne, gdy polami, to łany zbóż złocistych, wiatrem kołysane, zdawały się powtarzać, szumiąc radośnie:

— Szwed pobit! Warszawa wzięta!

---

## LXVIII.

Jakkolwiek Ketling blizkim był osoby księcia Bogusława, jednakże nie wszystko wiedział i nie wszystko umiał opowiedzieć Kmicicowi, co się działo w Taurogach, albowiem zaślepiało go to, że sam się w Billewiczównie kochał.

Bogusław innego także miał powiernika, a mianowicie pana Sakowicza, starostę oszmiańskiego, i ten jeden tylko wiedział, jak głęboko zabrnął książę w afekt dla swojej wdzięcznej branki, oraz jakich sposobów używał, aby jej serce i osobę posiąść.

Miłość ta była poprostu żądzą piekącą, bo do innych uczuć serce bogusławowe i nie było zdolne, ale tak gwałtowną, iż ów doświadczony w amorach kawaler głowę tracił. I nieraz wieczorami, gdy zostali ze starostą oszmiańskim sam na sam, chwytał się Bogusław za włosy, wołając:

— Gorzeję, Sakowicz, gorzeję!

Sakowicz wnet sposób znajdował:

— Kto chce miód wybrać, — mówił — musi pszczoły odurzyć, a małożto durzących dryakwii ma medyk waszej ks. mości? Dziś mu słowo rzec, jutro będzie po harapie.

Lecz książę nie chciał chwytać się tego sposobu, a to z rozmaitych przyczyn. Najprzód, któregoś dnia, pojawił mu się we śnie stary pułkownik Billewicz, dziadek Oleńki i stanąwszy wedle wezgłowia, wpatrywał się w niego, aż do pierwszego piania kogutów groźnemi oczyma. Bogusław ten sen zapamiętał, tak zaś był ów rycerz bez trwogi przesądny, tak się bał czarów, sennych ostrzeżeń i nadprzyrodzonych zjawisk, iż dreszcz go przejmował na myśl, w jakiej grozie i w jakiej postawie pojawiłoby się po raz wtóry owo

widziadło, gdyby za radą Sakowicza poszedł. Sam starosta oszmiański który w Boga nie bardzo wierzył, ale snów i czarów bał się także, zachwiał się nieco w radach.

Drugą przyczyną powściągliwości bogusławowej było to, że "Wołoszka" bawiła z pasierbicą w Taurogach. Nazywano "Wołoszką" księżnę Januszową Radziwiłłową. Pani ta, pochodząc z kraju, w którym niewiasty dość wolne miewają obyczaje, nie była wprawdzie zbyt surowa, owszem może aż nadto na uciechy dworzan i fraucymeru wyrozumiałą, jednakże nie mogłaby ścierpieć, aby pod jej bokiem człowiek mający być mężem jej pasierbicy, spełnił występek wołający o pomstę do nieba.

Lecz i później, gdy wskutek namów Sakowicza i z wolą księcia wojewody wileńskiego "Wołoszka" wyjechała z księżniczką Januszówną do Kurlandyi, Bogusław nie ośmielił się na występek. Bał się straszliwego krzyku, któryby na Litwie całej powstać musiał. Billewiczowie, ludzie możni, nie omieszkaliby go gnębić procesem, prawo zaś karało podobne uczynki utratą mienia, czci i gardła.

Radziwiłłowie byli wprawdzie dość potężni i mogli deptać po prawie, lecz gdyby zwycięstwo przechyliło się w wojnie na stronę Jana Kazimierza, wówczas i tak mógł młody książę popaść w srogie terminy, w których zabrakłoby mu potęgi, przyjaciół i popleczników. A właśnie trudno już było przewidzieć, jak się wojna skończy, gdy Kazimierzowi codzień sił przybywało, Karolowa zaś potęga malała konieczną ludzi utratą i wyczerpywaniem się pieniędzy.

Książę Bogusław, człowiek popędliwy, ale i polityk, liczył się z położeniem. Żądze trawiły go ogniem, rozum doradzał powściągliwość, strach zabobonny kiełznał porywy krwi, jednocześnie przyszły nań choroby, jednośześnie zwaliły sprawy wielkie a pilne, od których częstokroć los całej wojny zależał i te wszystkie przyczyny targały duszę książęcą, aż ją znużyły śmiertelnie.

Wszelako nie wiadomo, jakby się skończyła walka, gdyby i nie miłość własna bogusławowa. Był to pan niezmiernego o sobie rozumienia. Poczytywał się za niezrównanego statystę, wielkiego wodza, wielkiego rycerza i niezwyciężonego zdobywcę serc niewieścich. Miałżeby uciekać się do siły lub odurzających napojów, on, który skrzynię kowaną listów miłosnych od różnych znamienitych zagranicznych dam z sobą woził? Miałyżby jego dostatki, jego tytuły, jego potęga, królewskiej niemal równa, jego wielkie

imię, uroda i dworność nie wystarczyć do pokonania jednej trusi szlacheckiej.

A przytem, o ileż tryumf większy, o ileż więcej rozkoszy, gdy opór dziewczyny sfolżeje i gdy sama dobrowolnie, z bijącem, jak u schwytanego ptaka sercem, z pałającą twarzą i oczyma zaszlemi mglą, obsunie się w te ramiona, które się ku niej wyciagają.

Bogusława przechodził dreszcz na myśl o tej chwili i pragnął jej tak prawie mocno, jak samej Oleńki. Spodziewał się ciągle, że taka chwila nastąpi, zżymał się, niecierpliwił, łudził samego siebie, czasem zdawało mu się, że jest od niej bliżej, czasem, że dalej i wówczas wołał, że gorzeje, lecz pracować nie przestał.

Otoczył najprzód dziewczynę drobiazgową troskliwością, tak aby musiała być wdzięczną i myśleć, że jest dobry, rozumiał bowiem, że uczucie wdzięczności i przyjaźni jestto łagodny i ciepły płomyk, który później należy tylko rozdmuchać, a wraz w wielki żar się zamieni. Częste przestawanie ich z sobą miało służyć do tego, aby to przyszło tem pewniej, dlatego że nie okazywał Bogusław żadnej natarczywości, nie chcąc zmrozić zaufania, ani przestraszyć.

Tymczasem każde spojrzenie, każde dotknięcie ręki, każde słowo, nic nie szło na darmo, jeno musiało być kroplą drążącą kamień. Wszystko, co czynił dla Oleńki, mogło się tłómaczyć gościnnością gospodarza, owym niewinnymi pociągiem przyjaznym, jaki jedna istota dla drugiej uczuwa, ale jednak było to czynione tak, jakby czyniła miłość. Granica była umyślnie zatarta i niewyraźna, aby przekroczenie jej stało się z czasem łatwiejszem i aby dziewczyna snadniej zabłądziła w tych manowcach, gdzie każdy kształt mógł coś, ale mógł i nic nie znaczyć. Gra ta nie godziła się wprawdzie z wrodzoną popędliwością Bogusława, wszelako hamował się, bo sądził, że ona jedynie może doprowadzić do celu, a zarazem znajdował w niej upodobanie takie, jakie znajduje pająk napinający sieć, zdradliwy ptasznik, zastawiający sidła lub strzelec, tropiący cierpliwie i wytrwale zwierza. Bawiła księcia własna przenikliwość, subtelność i bystrość, których nauczył go pobyt na dworze francuskim.

Jednocześnie podejmował pannę Aleksandrę jak by księżnę udzielną, ale tak, że znowu niełatwo było jej odgadnąć, czyli to

dzieje się wyłącznie dla niej, czy też wypływa z jego przyrodzonej i nabytej dworności dla płci białej wogóle.

Wprawdzie czynił ją główną osobą wszystkich zabaw, igrzysk, kawalkad i wypraw myśliwszkich, lecz wypływało to nieco z natury rzeczy; po wyjeździe księżnej Januszowej do Kurlandyi, ona była istotnie najdostojniejszą wśród niewiast, zgromadzonych w Taurogach. Schroniło się wprawdzie do Taurogów, jako do miejsca leżącego tuż przy granicy, mnóstwo szlachcianek z całej Żmudzi, aby się pod opieką książęcą od Szwedów uchronić, te jednak same Billewiczównie, jako córce najzacniejszego rodu, prym we wszystkiem przyznawały. A tymczasem, gdy cała Rzeczpospolita zalewala się krwią, uroczystościom nie było końca. Rzekłbyś: dwór królewski ze wszystkimi dworzany i pannami zjechał na wieś dla wczasu i zabaw.

Bogusław rządził, jak samowładny monarcha w Taurogach i w całych przyległych Prusach elektorskich, w których częstym bywał gościem, więc wszystko było na jego rozkazy. Miasta dostarczały na skrypty pieniędzy, wojsk, szlachta ruska z ochotą zjeżdżała kolеśno i konno na uczty, karuzele i łowy. Bogusław wkrzesił nawet na cześć swej damy zaniechane już wówczas gonitwy rycerskie w szrankach.

Pewnego razu sam wziął w nich czynny udział i przybrany w srebrną zbroję, a przepasany błękitną wstęgą, którą panna Aleksandra musiała go przewiązać, zwalił z konia czterech najprzedniejszych rycerzy pruskich, piątego Ketlinga, a szóstego z kolei Sakowicza, choć ten siłę miał tak olbrzymią, że karety, uchwyciwszy za koło, w biegu zatrzymywał. I co za zapał powstał w tłumie widzów, gdy następnie srebrny rycerz, klęknąwszy przed swą damą brał z jej rąk wieniec zwycięstwa. Okrzyki brzmiały na podobieństwo grzmotu dział, wiewały chustki, kłaniały chorągwie, on zaś uniósł przyłbicy i patrzył w jej zapłonioną twarz swemi ślicznemi oczyma, przyciskając jednocześnie do ust jej ręce.

Innym razem, gdy wśród parkanów rozwścieczony niedźwiedź zażerał się z psami i wszystkie z kolei rozciągnął, książę, przybrany tylko w lekką szatę hiszpańską, skoczył do środka z cszczepem i skłół nietylko srogą bestyę, ale i trabanta, który widząc chwilę niebezpieczeństwa, poskoczył mu na ratunek.

Panna Aleksandra, wnuczka starego żołnierza, wychowana w tradycyach krwi, wojny i czci dla przewag rycerskich, nie mogła

się oprzeć na widok tych czynów podziwowi, a nawet uwielbieniu nauczczono ją bowiem z małego uważać męstwo za pierwszy niemal przymiot męża.

Tymczasem książę codzień składał dowody nadludzkiej prawie odwagi i codzień na cześć Oleńki. Goście zebrani w pochwałach i uniesieniach dla księcia tak wielkich, że bóstwo samo poprzestaćby na nich mogło, musieli mimowoli łączyć w rozmowach jej imię z imieniem Bogusława. On milczał, lecz oczyma wypowiadał jej to, czego nie śmiały wypowiedzieć usta... Czar otaczał ją dokoła. Wszystko układało się w ten sposób, żeby ich zbliżać, łączyć, zarazem wyłączać z tłumu innych ludzi. Trudno było wspomnieć komuś o nim, by jednocześnie o niej nie wspomniał. Myślom samej Oleńki Bogusław narzucał się z siłą nieprzepartą. Każda chwila dnia była obrachowana na to, by czar potężniał.

Wieczorem, po igrzyskach, pokoje płonęły od lamp różnokolorowych, rzucając blaski tajemnicze a słodkie jakoby z krainy snów rozkosznych na jawę przeniesione; upajające wschodnie wonie przesycały powietrze, ciche dźwięki niewidzialnych harf, lutni i innych instrumentów pieściły uszy, a wśród tych aromatów, świateł, dźwięków, chodził on, w gloryi powszechnych uwielbień, niby zaczarowany królewicz z bajki, młody, piękny rycerski, świecący jak słońce od klejnotów, a jako pasterz rozkochany...

Jakaż dziewczyna mogła się oprzeć tym urokom, jakaż cnota mogła nie zemdleć wśród tych czarów?... A unikać młodego księcia nie było możności, żyjąc z nim pod jednym dachem i korzystając z jego gościnności, którą aczkolwiek przemocą narzucił, jednakże szczerze i prawdziwie po pańsku wypełniał. Przytem Oleńka udała się bez niechęci do Taurogów, bo je wolała od ohydnych Kiejdan, również jak wolała rycerskiego Bogusława, który udawał przed nią miłość do opuszczonego króla i ojczyzny, od jawnego zdrajcy Janusza. Owszem w początkach swego pobytu w Taurogach, pełna była przyjaznych uczuć dla młodego księcia a spostrzegłszy wkrótce jak dalece i on stara się o jej przyjaźń używała nieraz swego wpływu, aby ludziom dobrze czynić.

W trzecim miesiącu jej bytności pewien oficer artyleryi, przyjaciel Ketlinga, skazany został na rozstrzelanie przez księcia; Billewiczówna, dowiedziawszy się o tem od młodego Szkota, wniosła za nim instancyę.

— Bóstwo może rozkazywać, nie prosić — odrzekł jej Bogusław i przedarłszy wyrok śmierci, rzucił jej do nóg. — Rządź, rozkazuj! I aurogi spalę, jeżeli choć uśmiech za tę cenę zdołam na twej twarzy wywołać. Nie chcę innej nagrody, jeno mi bądź wesołą i zapomnij o tem, coć dawniej bolało!

Ona wesołą nie mogła być, mając w sercu ból, żal i niewypowiedzianą pogardę dla człowieka, którego pierwszą miłością pokochała, a który teraz był w oczach jej większym zbrodniarzem od ojcobójcy. Ów Kmicic, obiecujący za czerwone złote wydać króla, jak Judasz Chrystusa, zohydzał się i szpetniał coraz bardziej w jej oczach, aż z biegiem czasu zmienił się w potwór ludzki, w zgryzotę, w wyrzut dla niej samej. Nie mogła sobie darować, iż go kochała, a zarazem nie mogła go zapomnieć, nienawidząc.

Wobec tych uczuć trudno jej było udawać wesołość, ale natomiast musiała być księciu wdzięczną i za to, że do zbrodni Kmicicowej nie chciał przyłożyć ręki, i za wszystko, co dla niej czynił. Dziwno jej to było, że młody książę, taki rycerz i tak pełen szlachetnych uczuć, nie śpieszył na ratunek ojczyźnie, choć się na praktyki Januszowe nie zgadzał, sądziła wszelako, że taki statysta wie, co robi i że tego wymaga polityka, której ona swym prostym panieńskim rozumem pojąć nie może. Bogusław napomykał jej też, tłómacząc swoje częste do Tylży wyjazdy, że sił mu już nie staje od zbytniej pracy, że prowadzi układy między Janem Kazimierzem, Karolem Gustawem, elektorem i że spodziewa się ojczyznę z toni wydźwignąć.

— Nie dla nagród, nie dla urzędów to czynię, — mówił do niej — brata Janusza nawet poświęcam, który był mi ojcem, bo nie wiem, czy życie dla niego u zawziętości królowej Ludwiki wyproszę, ale czynię to, co mi Bóg, sumienie i afekt dla miłej matki ojczyzny nakazuje...

Gdy tak mówił ze smutkiem w delikatnej twarzy i oczyma ku pułapowi zwróconemi, wydawał jej się wzniosłym, jako ci bohaterowie starożytni, o których stary pułkownik Billewicz jej opowiadał, co sam w Korneliuszu wyczytał. I wzbierało w niej serce podziwem, uwielbieniem. Powoli doszło do tego, że gdy myśli o nienawistnym Andrzeju Kmicicu zbyt ją zmęczyły, myślała o Bogusławie, aby się ukoić i pokrzepić. Tamten uosabiał dla niej straszliwą i ponurą ciemność, ten światło, w którem rada się kąpie

każda dusza stroskana. Pan miecznik rosieński i panna Kulwiecówna, którą także sprowadzono z Wodoktów, popychali jeszcze Oleńkę po owej pochyłości, śpiewając od rana do wieczora hymny pochwalne na cześć Bogusława. Ciążyli mu wprawdzie oboje w Taurogach, tak, iż o tem tylko myślał, jakby ich grzecznie precz wyprawić, ale ich sobie zjednał, a zwłaszcza pana miecznika, który z początku niechętny, nawet zagniewan, nie mógł się jednak przyjaźni i faworom Radziwiłła oprzeć.

Gdyby Bogusław był tylko znamienitego rodu szlachcicem, nie zaś Radziwiłłem, nie księciem, nie magnatem w monarchiczny niemal majestat przyodzianym, byłaby może Billewiczówna zakochała się w nim na śmierć i życie, wbrew testamentowi starego pułkownika, który jej wybór tylko między klasztorem a Kmicicem zostawiał. Lecz była to panna surowa dla siebie samej i dusza bardzo prawa, więc nawet nie dopuściła do głowy ani marzenia o niczem innem, jak o wdzięczności i podziwieniu dla księcia.

Ród jej był zbyt mały, by mogła zostać żoną, a zbyt wielki, by mogła zostać kochanicą Radziwiłła, patrzyła więc na niego, jakby patrzyła na króla, będąc przy dworze. Próżno sam starał się nasuwać inne myśli; próżno sam, zapamiętawszy się istotnie w miłości, częścią z rachuby, częścią z uniesienia, powtarzał nieraz, co swego czasu mówił pierwszego wieczoru w Kiejdanach, że Radziwiłłowie nieraz się z szlachciankami żenili; owe myśli nie czepiały się jej, jak woda nie czepia się piersi łabędziej i pozostała, jaką była, wdzięczną, przyjazną, wielbiącą, szukającą ulgi w myśli o bohaterze, lecz w sercu spokojną.

On zaś nie umiał się w jej uczuciach połapać i często wydawało mu się, że jest blizkim celu. Lecz sam ze wstydem i złością wewnętrzną spostrzegał, że nie jest tak śmiałym względem niej, jak bywał względem najpierwszych dam w Paryżu, w Brukseli i w Amsterdamie. Może to było dlatego, że się naprawdę zakochał, a może dla tego,te w tej pannie, w jej twarzy, ciemnych brwiach i surowych oczach było coś takiego, co nakazywało szacunek. Jeden jedyny Kmicic nie podlegał swego czasu temu wpływowi i ani dbając śmiało garnął się do całowania tych surowych oczu i dumnych ust, ale Kmicic był jej narzeczonym.

Wszyscy inni kawalerowie, począwszy od pana Wołodyjowskiego, skończywszy na bardzo rubasznej szlachcie pruskiej w Taurogach i samym księciu, mniej byli z nią poufali, niż z innemi panna-

mi takiej samej kondycyi. Księcia unosiła wprawdzie popędliwość,ale gdy raz w karecie nacisnął jej nogę, szepcąc jednocześnie: "Nie bój się..." — a ona odrzekła, iż właśnie boi się, by nie pożałowała położonej w nim ufności, Bogusław zmieszał się i powrócił do dawnej drogi stopniowego podbijania jej serca.

Lecz wyczerpywała się jego cierpliwość. Powoli zaczął też zapominać o strasznem widziadle, które mu się we śnie pojawiło, coraz częściej rozmyślał nad tem, co Sakowicz radził i nad tem, że Billewiczowie w wojnie wszyscy wyginą; żądze piekły go coraz potężniej, gdy nagle zaszła okoliczność, która bieg rzeczy w Taurogach zupełnie zmieniła.

Pewnego dnia przyszła wieść jak piorun, że Tykocin przez pana Sapiehę, wzięty, a książę hetman wielki stracił życie w zwaliskach zamku.

Zawrzało wszystko w Taurogach, sam Bogusław zerwał się i wyjechał tego samego dnia do Królewca, w którym miał widzieć się z ministrami króla szwedzkiego i elektora.

Pobyt jego przedłużał się nad pierwotny zamiar. Tymczasem do Taurogów poczęły ściągać oddziały wojsk pruskich, a nawet szwedzkich. Poczęto mówić o wyprawie przeciw panu Sapieże. Naga prawda, iż Bogusław był stronnikiem Szwedów, tak jak jego stryj Janusz, wychodziła na wierzch coraz wyraźniej.

Zdarzyło się, że jednocześnie pan miecznik rosieński odebrał wiadomość o spaleniu rodzinnych Billewicz przez oddziały Loevenhaupta, które pobiwszy powstańców żmudzkich pod Szawlami, niszczyli ogniem i mieczem cały kraj.

Wówczas szlachcic zerwał się i pojechał, chcąc szkody własnemi oczyma zobaczyć, a książę Bogusław wcale go nie wstrzymywał, owszem chętnie wyprawił, rzekłszy tylko na drogę:

— Teraz waszmość rozumiesz, dlaczegom was do Taurogów sprowadził, bo poprostu mówiąc, życie mi zawdzięczacie.

Oleńka została sama z panną Kulwiecówną i natychmiast zamknęła się w swych komnatach, nikogo prócz niektórych niewiast nie widując. Te, gdy jej przyniosły wieść, że książę gotuje wyprawę przeciw wojskom polskim, nie chciała im zrazu wierzyć, lecz pragnąc się upewnić, kazała prosić do siebie Ketlinga, wiedziała bowiem, iż młody Szkot niczego przed nią nie utai.

Jakoż stawił się natychmiast, szczęśliwy, że go przywołano, że

przez chwilę będzie mógł rozmawiać z tą, która opanowała mu duszę.

Billewiczówna poczęła go wypytywać.

— Panie kawalerze, — rzekła — tyle wieści krąży po Taurogach, błądzimy w nich, jako wśród lasu. Jedni mówią, że książę wojewoda swoją śmiercią zmarł; drudzy, że na szablach rozniesion. Jaka jest przyczyna jego śmierci?

Ketling zawahał się przez chwilę; widocznem było, że walczy z wrodzoną nieśmiałością, nakoniec zarumienił się mocno i odrzekł:

— Przyczyną upadku i śmierci księcia wojewody pani jesteś.

— Ja?... — zapytała ze zdumieniem panna Billewiczówna.

— Tak jest, bo książę nasz wolał zostać w Taurogach, niż bratu iść na ratunek. O wszystkiem tu zapomniał... przy tobie, pani.

Teraz ona z kolei zapłonęła jak róża purpurowa.

Nastała chwila milczenia.

Szkot stał z kapeluszem w ręku, ze spuszczonemi oczyma i głową schyloną na piersi, w postawie pełnej czci i uszanowania, nakoniec podniósł głowę, strząsnął jasne pukle włosów i rzekł:

— Pani, jeżeli cię obraziły moje słowa, pozwól mi klęknąć przed sobą i na kolanach prosić cię o przebaczenie.

— Nie czyń tego, panie kawalerze — odrzekła żywo panna, widząc, że młody rycerz zgina już kolano. — Wiem, że coś rzekł, to rzekł w szczerości serca, bom to zdawna spostrzegła, żeś mi życzliwy. Zali nie tak? Zali mi waćpan nie życzysz?...

Oficer podniósł swe anielskie oczy do góry, a położywszy rękę na sercu, głosem tak cichym, jak szmer wiatru, a smutnym, jak westchnienie, rzekł tylko:

— Ach pani! pani!...

I w tej chwili przestraszył się, że za wiele powiedział, więc znów głowę schylił na piersi i przybrał postawę dworzanina, słuchającego rozkazów ukochanej królewny.

— Wśród obcych tu jestem i bez opieki, — rzekła Oleńka — a choć sama potrafię czuwać nad sobą i Bóg mnie od przygody uchroni, przecież i ludzkiej mi pomocy potrzeba. Chceszli waćpan być moim bratem? Chcesz mnie ostrzedz w potrzebie, abym wiedziała, co czynić i wszelakich sideł uniknąć mogła?

To rzekłszy, wyciągnęła doń rękę, on zaś teraz przyklęknął mimo, iż mu broniła i ucałował końce jej palców.

— Mów waćpan, co tu się dzieje koło mnie?

— Książę kocha panią — odrzekł Ketling. — Czyś pani tego nie spostrzegła?

Ona zaś zakryła twarz rękoma.

— Widziałam i nie widziałam. Czasem wydawało mi się, że on jeno dobry bardzo...

— Dobry!... — powtórzył jak echo oficer.

— Tak jest. A czasem, gdy mi przyszło do głowy, żem nieszczęsna żądze wzbudzić w nim mogła, tom i tak uspokajała się tem, iż żadna mi od niego nie grozi napastliwość. Byłam mu wdzięczna za to, co dla mnie czynił, choć Bóg widzi, nie wyglądałam jeno nowych łask, bojąc się i tak tych, które już wyświadczył.

Ketling odetchnął.

— Mogęż śmiele mówić? — zapytał po chwili milczenia.

— Mów waćpan.

— Książę dwóch ma tylko powierników: pana Sakowicza i Patersona, a Paterson mnie wielce życzliwy, bo z jednych krajów pochodzim i na ręku mnie nosił. Więc co wiem, to wiem od niego. Książę kocha panią: żądze płoną w nim, jako smoła w pochodni. Wszystko, co tu się dzieje, wszystkie owe uczty, łowy, karuzele i ten turniej, po którym dotąd, dzięki książęcej ręce, krew mi się rzuca ustami, dzieje się dla waćpanny. Książę miłuje cię, pani, bez pamięci, ale nieczystym ogniem, bo cię chce pohańbić, nie zaślubić; bo chociażby nie mógł znaleźć godniejszej, królem nawet wszystkiego świata, nie tylko księciem będąc, przecie myśli o innej... Przeznaczona mu jest księżniczka Anna i jej fortuna. Wiem to od Patersona i Boga wielkiego, jego ewangelię biorę za świadka, że szczerą prawdę mówię. Nie wierz pani księciu, nie ufaj jego dobrodziejstwom, nie ubezpieczaj się jego moderacyą, czuwaj, strzeż się, bo ci tu zdradę na każdym kroku gotują. Dech zamiera w piersiach od tego, co mi Paterson mówił. Równego Sakowiczowi zbrodniarza w świecie niema... Nie mogę o tem mówić, poprostu nie mogę mówić! Gdyby nie przysięga, którą żem księciu składał, że życia i osoby jego strzedz będę, ta ręka, pani, i ta szpada uwolniłaby cię od groźby ustawicznej... Ale pierwszego przed wszystkimi ludźmi! przed tymi nawet, którzy w mojej ojczyźnie krew z ojca mego wytoczyli, fortunę zagarnęli i tułacza, jurgieltnika ze mnie uczynili...

Tu Ketling trząść się począł z uniesienia, przez chwilę gniótł tylko ręką gardę szpady, słowa wyrzec nie mogąc, następnie ochło-

nął i jednym tchem wypowiedział, jakie sposoby podsuwał księciu Sakowicz.

Panna Aleksandra, ku wielkiemu jego zdziwieniu, zachowała się dość spokojnie, ujrzawszy grożącą sobie przepaść, tylko twarz jej pobladła i stała się jeszcze poważniejszą. Nieugięta wola odbiła się w jej surowem spojrzeniu.

— Potrafię się uchronić! — rzekła — tak mi dopomóż Bóg i święty krzyż!

— Książę dotychczas nie chciał iść za radą Sakowicza, — dodał Ketling — lecz gdy ujrzy, że droga, którą obrał, do niczego nie prowadzi...

I począł opowiadać o przyczynach, które Bogusława zatrzymywały.

Panna słuchała ze zmarszczoną brwią, ale niezbyt uważnie, bo już poczęła myśleć o tem, jakby się wyrwać z pod tej straszliwej opieki. Lecz, że w całym kraju nie było miejsca nieoblanego krwią i plany ucieczki nie przedstawiały się jej jasno, zatem wolała o nich nie mówić.

— Panie kawalerze, — rzekła wreszcie — odpowiedź mi na jedno jeszcze pytanie. Stoili książę po stronie króla szwedzkiego czy polskiego?

— Nikomu z nas nie tajno, — odrzekł młody oficer — że książę nasz pragnie należeć do rozbioru tej Rzeczypospolitej, ażeby Litwę w udzielne księstwo dla siebie zmienić!

Tu umilkł, i rzekłbyś, że jego myśl pobiegła mimowoli śladami myśli Oleńki, bo po chwili dodał:

— Elektor i Szwedzi na usługi księcia, a że całą zajmuje Rzeczpospolitą, więc niema się przed nim gdzie schronić.

Oleńka nie odrzekła nic.

Ketling czekał jeszcze przez chwilę, czy go o co zapytać nie zechce, lecz gdy milczała, ciągle własnemi myślami zajęta, poczuł, że nie należy jej przeszkadzać, więc zgiął się we dwoje w pożegnalnym ukłonie, zamiatając ziemię piórami od kapelusza.

— Dziękuję, panie kawalerze — rzekła, wyciągnąwszy doń rękę.

Oficer, nie odwracając się, zaczął cofać się ku drzwiom.

Nagle na twarzy jej pojawiły się lekkie rumieńce, zawahała się przez chwilę, nareszcie rzekła:

— Słowo jeszcze, panie kawalerze.

— Każde jest dla mnie łaską...

— Waćpan znałeś pana... Andrzeja Kmicica...

— Tak jest, pani... z Kiejdan. Ostatni raz widziałem go w Pilwiszkach, gdyśmy z Podlasia w te strony ciągnęli.

— Czy prawda?... czy prawdę książę powiedział, iż mu się pan Kmicic ofiarował na osobę króla polskiego targnąć?

— Nie wiem, pani... Wiadomo mi jeno, iż się w Pilwiszkach ze sobą naradzali, zaczem książę odjechał z nim w lasy i tak długo nie wracał, że Paterson począł się bać i wysłał wojsko na spotkanie. Ja właśnie prowadziłem ten oddział. Spotkaliśmy księcia, gdy już wracał. Uważałem, że był zalterowan bardzo, jakby wielki wzruszenie duszy przebył. Rozmawiał też sam z sobą, co mu się nigdy nie zdarza. Słyszałem też, jako rzekł: "Dyabełby się na to porwał..." Zresztą nic więcej nie wiem... Jeno później, gdy książę wspominał o tem, z czem mu się pan Kmicic ofiarował, pomyślałem sobie: jeśli to było, to wtedy być musiało.

Billewiczówna zacisnęła wargi.

— Dziękuję — rzekła.

I po chwili została sama.

Myśl ucieczki opanowała ją zupełnie. Za wszelką cenę postanowiła wyrwać się z tych ohydnych miejsc i z pod władzy tego zdradzieckiego księcia. Ale dokąd się udać? Wsie i miasta był w ręku szwedzkich, klasztory poburzone, zamki zrównane z ziemią, kraj cały roił się od żołdaków i od straszniejszych od nich zbiegów wojskowych, zbójców, wszelkiego rodzaju łotrzyków. Jakiż los mógł czekać dziewczynę, rzuconą na pastwę tej burzy. Któż z nią pójdzie? Ciotka Kulwiecówna, pan miecznik rosieński i kilkunastu jego czeladzi. A czyż siły te ochronią ją?... Poszedłby może i Ketling, możeby nawet znalazł garść wiernych żołnierzy i przyjaciół, którzyby mu chcieli towarzyszyć, lecz Ketling kochał się w niej zbyt widocznie, więc jakże jej było zaciągać u niego dług wdzięczności, którywby zbyt wielką ceną spłacać następ nie przyszło?

Wreszcie, jakież miała prawo zamykać los temu młodzieńcowi, ledwie wyrosłemu z pacholęcia i narażać go na pościg, na zgubę, jeśli nie mogła nic mu wzamian, prócz przyjaźni ofiarować. Więc pytała sama siebie: co czynić, dokąd uciekać, gdyż tu i tam groziła zguba, tu i tam hańba.

W takiej rozterce dusznej poczęła modlić się gorąco, a szczegól-

nie powtarzała gorliwie jedną modlitwę, do której swego czasu stary pułkownik zawsze się w złych terminach uciekał, zaczynającą się od słów:

Bóg Cię z dzieciątkiem salwował
Od herodowej złości.
W Egipcie drogi prostował
Dla Twojej przezpieczności...

Tymczasem powstał wicher mocny i drzewa poczęły w sadzie za oknami szumieć okrutnie. Nagle przypomniały się zamodlonej panience puszcze, na których skraju wychowała się od małego i myśl, że w puszczach znajdzie się jedyne bezpieczne schronisko przeleciała jej jako błyskawica przez głowę.

Więc odetchnęła głęboko Oleńka, bo znalazła wreszcie, czego szukała. Tak jest! Do Zielonki, do Rogowiskiej! Tam nieprzyjaciel nie pójdzie, łotrzyk nie będzie łupu szukał. Tam swój nawet, jeśli się zapamięta, to może zabłądzić i błądzić, aż do śmierci, cóż zaś dopiero obcy, dróg nieznający. Tam obronią ją Domaszewicze myśliwi i Stakjanowie dymni, a jeśli niemasz ich, jeśli ruszyli wszyscy za panem Wołodyjowskim, toż temi lasami można, aż hen! do innych województw ciągnąć i w inych puszczach spokoju szukać.

Wspomnienie pana Wołodyjowskiego rozweseliło Oleńkę. Takiegoby jej opiekuna! To prawy żołnierz, to szabla, pod którą i przed Kmicicem i przed Radziwiłłami samymi można się schronić. Tu przypomniało się jej, że on radził wówczas, gdy Kmicica w Billewiczach schwytał, ażeby w puszczy Białowieskiej spokoju szukać.

I słusznie mówił! Rogowiska i Zielonka zablizko Radziwiłłów, a koło Białowieży stoi właśnie ten Sapieha, który dopieroco starł z oblicza ziemi najstraszniejszego Radziwiłła.

Zatem do Białowieży, choćby dziś, jutro!... Niech tylko miecznik sieroński przyjedzie, nie będzie zwlekała!

Ochronią ją ciemne głębie Białowieży, a później, gdy burza przejdzie, klasztor. Tam jeno spokój prawdziwy być może i zapomnienie wszystkich ludzi, wszystkiego bólu, żalu, pogardy...

## LXIX.

Pan miecznik rosieński wrócił w kilka dni później. Mimo, iż jechał z glejtem bogusławowym, dotarł tylko do Rosień; do samych zaś Billewicz nie było poco jeździć, gdyż nie było ich już na świecie. Dwór, zabudowania, wieś, wszystko zostało do cna spalone w ostatniej bitwie, którą ksiądz Straszewicz, Jezuita, stoczył na czele swego oddziału z kapitanem szwedzkim Rossą. Lud był w lasach, lub w partyach zbrojnych. Zostały, na miejscu z wsi zamożnej, jeno ziemia i woda.

Drogi przytem pełne były "grassantów," to jest zbiegów z wojsk rozmaitych, którzy znacznemi kupami chodząc rozbojem się trudnili, tak, że nawet pomniejsze komendy wojskowe nie były od nich bezpieczne. Nie zdołał się pan miecznik nawet i o tem przekonać czy zakopane w sadzie solówki ze srebrem i pieniędzmi ocalały, powrócił do Taurogów wielce zły, zgryziony, z okrutną przeciw niszczycielom w sercu zawziętością.

Ledwie nogą zstąpił z kałamaszki, wciągnęła go Oleńka do swej komnaty i opowiedziała mu wszystko, co jej Hassling- Ketling powiadał.

Zatrząsł się na to stary szlachcic, który nie mając własnego potomstwa, dziewczynę jak córkę kochał. Przez jakiś czas łapał się tylko za głownię szabli, powtarzając: "Bij kto cnotliwy!" — wreszcie za głowę się porwał i tak mówić począł:

— Mea culpa, mea maxima culpa (moja wina, moja wielka wina)! bo mi i samemu do łba przychodziło i ten i ów szeptał, że ów piekielnik w amorach dla ciebie utonął, a ja nie mówiłem nic, jeszczem się w boki brał, myśląc: "nuż się ożeni!" Gosiewskim krewniśmy, Tyzenhauzom także... Czemu nie mamy być krewni Radziwiłłom? Za pychę to, za pychę Bóg mię karze... Zacne zdrajca pokrewieństwo obmyślił. Takim nam być chciał krewnym... bodaj go zabito!... jako dworski byk wiejskim jałoszkom! Bodaj go zabito. Ale poczekasz! Pierwej ta ręka i ta szabla spróchnieją!

— Tu o ratunku myśleć trzeba — odrzekła Oleńka.

I nuż przedstawiać swe plany ucieczki.

Pan miecznik, wysapawszy się, słuchał uważnie, nakoniec rzekł:

— Wolej mi poddaństwo zebrać i partyę utworzyć! Będę Szwe-

dów podchodził, jako inni podchodzą, jak niegdyś Kmicic Chowańskiego. Bezpieczniej ci będzie w lesie i w polu, niż na tym dworze zdrajcy i heretyka!

— Dobrze — odpowiedziała panna.

— Nietylko się nie sprzeciwiam, — mówił w zapale miecznik — ale tak powiadam: że im prędzej, tem lepiej... A toć poddaństwa, ani kos nie brak. Spalili mi rezydencyę, mniejsza z tem! to z innych wiosek chłopstwo ściągnę... Wszyscy Billewicze, którzy już są w polu staną przy nas. Pokażemy ci panku pokrewieństwo... pokażemy, co to na honor Billewiczówny nastawać... Tyś Radziwiłł! Nic to! Niemasz hetmanów w billewiczowskim rodzie, ale niemasz i zdrajców!... Obaczym, za kim cała Żmudź pójdzie!...

Tu zwrócił się do panny:

— Ciebie osadzim w Białowieży, a sami wrócim! Nie może inaczej być! Musi on za ten afront odpokutować, bo to całego stanu szlacheckiego krzywda. Infamis (niegodny), kto się za nami nie opowie! Bóg pomoże, bracia pomogą, obywatele pomogą, a wonczas ogień a miecz! Dotrzymają Billewicze Radziwiłłom! Infamis kto nie z nami! infamis kto zdrajcy szablą przed oczami nie błyśnie. Król, sejmy, cała Rzeczpospolita z nami!

Tu miecznik czerwony jak krew i ze zjeżoną czupryną począł pięścią w stół walić.

— Pilniejsza ta wojna niż szwedzka bo w nas jest cały stan rycerski wszystkie prawa wszystka Rzeczpospolita pokrzywdzona i w najgłębszych fundamentach zachwiana. Infamis kto nie rozumie! Zginie ta ojczyzna jeżeli pomsty i kary na zdrajcę nie wymierzym!

I tak grała stara krew coraz gwałtowniej, że aż Oleńce przyszło miecznika uspokajać. Siedział on dotychczas spokojnie choć się zdawało że nietylko ojczyzna lecz i świat cały ginie ale dopiero gdy Billewiczów dotknięto w tem ujrzał najstraszniejszą przepaść dla ojczyzny i jak lew ryczeć począł.

Lecz panna, która miała na niego wpływ wielki zdołała go w końcu uspokoić, tłomacząc mu, że dla zbawienia ich i dlatego, iżby się ucieczka udała, potrzeba właśnie najgłębszą tajemnicę zachować i nie pokazać księciu, że się czegokolwiek domyślają.

Przyrzekł święcie, iż wedle jej wskazówek postąpi, poczem już radzili o samej ucieczce. Rzecz nie była zbyt trudna, bo zdawało się, że ich nie strzegą wcale. Postanowił tedy pan miecznik wy-

prawić najprzód pachołka z listami do ekonomów, aby natychmiast chłopstwo ze wszystkich wiosek, do niego i do innych Billewiczów należących, zbierali i zbroili.

Następnie sześciu zaufanych czeladzi miało niby ruszyć do Billewicz po solówki z pieniędzmi i srebrem, a w rzeczy zastrzymać się w lasach girlakolskich i tam na państwo z końmi, tobołami i żywnością czekać. Oni sami ułożyli, że z Taurogów wyjadą z dwoma czeladnikami w saniach, niby tylko do poblizkiej Gawny, poczem na konie wierzchowe przysiądą i z kopyta ruszą. Do Gawny jeździli często do państwa Kuczuków-Olbrotowskich, gdzie czasem zostawali i na noc, spodziewali się zatem, że wyjazd ich nie zwróci niczyjej uwagi i że pogoń za nimi nie pójdzie, chyba we dwa lub trzy dni potem, gdy będą już wśród kub zbrojnych i w głębi niezbrodzonych lasów. Nieobecność księcia Bogusława utwierdzała ich w tej nadziei.

Tymczasem pan Tomasz zajął się bardzo czynnie przygotowaniami. Pacholik z listami wyjechał na drugi dzień. Trzeciego rozmawiał pan miecznik obszernie z Patersonem o swoich zakopanych pieniądzach, których, jak mówił, było nad sto tysięcy i o potrzebie przewiezienia ich do bezpiecznych Taurogów. Paterson uwierzył z łatwością, albowiem szlachcic uchodził za bardzo bogatego i był nim w istocie.

— Niech je przywożą jaknajprędzej, — rzekł Szkot — jeśli potrzeba, to i żołnierzy jeszcze dodam.

— Im mniej ludzi będzie wiedziało co wiozę, tem lepiej. Czeladź moja wierna, a solówki każę im pieńką przykryć, którą często z naszych stron do Prus wożą, albo też klepkami, na które nikt się nie ułakomi.

— Lepiej klepką, — odrzekł Paterson — bo przez konopie szablą albo dzidzą można namacać, że coś innego na dnie wozu leży. A pieniądze najlepiej wasza mość księciu panu na skrypt oddaj. Wiem też, że potrzebuje pieniędzy, bo intraty źle dochodzą.

— Chciałbym się księciu tak przysłużyć, aby niczego nie potrzebował — odparł szlachcic.

Na tem skończyła się rozmowa i wszystko zdawało się składać jak najpomyślniej, gdyż zaraz potem ruszyła czeladź, a miecznik z Oleńką mieli wyjechać nazajutrz

Tymczasem wieczorem wrócił najniespodzianiej Bogusław na czele dwóch regimentów rajtaryi pruskiej. Sprawy jego nie musiały iść zbyt pomyślnie, bo wrócił zły i zgryziony.

Tego jeszcze dnia zwołał radę wojenną, którą składali pełnomocnik elektorski hr. Sejdewitż, Paterson, Sakowicz i pułkownik rajtarski Kyritz. Obradowali do godziny trzeciej w nocy, a celem obrad była wyprawa na Podlasie przeciw panu Sapieże.

— Elektor i król szwedzki zasilili mnie w miarę wojskiem — mówił książę. — Jedno z dwojga, albo Sapiehę zastaniem jeszcze na Podlasiu i w takim razie musimy go zetrzeć, albo: wówczas Podlasie zajmiem bez oporu. Do wszystkiego jednak trzeba pieniędzy, a tych mi elektor, ni jego szwedzki majestat nie dali, bo sami nie mają.

— U kogóż pieniędzy szukać, jeżeli nie u w. ks. mości — odrzekł hr. Sejdewitz. — W całym świecie mówią o nieprzebranych radziwiłłowskich skarbach.

Na to Bogusław:

— Panie Sejdewitz, gdyby mnie dochodziło wszystko, co mi z dziedzicznych dóbr należy, pewniebym miał więcej grosza, niż pięciu waszych niemieckich książąt w kupę wziętych. Ale w kraju wojna, intraty nie dochodzą lub też przez rebelizantów bywają przejmowane. Możnaby gotowizny dostać na skrypty od miast pruskich, wszelako waść najlepiej wiesz, co się w nich dzieje i że chyba dla jednego Jana Kazimierza rozwiązałyby worki.

— A Królewiec?

— Co można było wziąć, tom wziął, ale tego mało.

— Za szczęście sobie poczytuję, że się będę, mógł waszej ks. wysokości dobrą radą przysłużyć — rzekł Paterson.

— Wolałbym, żebyś się przysłużył gotówką.

— Warta jej ta rada. Nie dawniej jak wczoraj mówił mi pan Billewicz, że ma zacne kwoty, zakopane w sadzie w Billewiczach i że właśnie chce je tu w bezpieczne miejsce przenieść, aby je waszej ks. wysokości na skrypt oddać.

— A toś mi z nieba spadł i ów szlachcic także! — zawołał Bogusław. — Siłaż tam tego będzie?

— Nad sto tysięcy, prócz sreber i kosztowności, których bodaj, że drugie tyle.

— Sreber i kosztowności szlachcic nie zechce na gotowiznę

zamienić, ale można je będzie zastawić. Wdzięczenem ci, Paterson, bo w porę mi to przychodzi. Muszę z Billewiczem zaraz jutro pomówić.

— To go uprzedzę, bo właśnie jutro wybiera się z panną do Gawny, do państwa Kuczuków-Olbrotowskich.

— Uprzedź go, by nie wyjeżdżał, nim się ze mną nie obaczy.

— Czeladź już posłana, boję się tylko, czy bezpiecznie dojedzie.

— Można będzie posłać za nimi cały regiment, wreszcie pogadamy. W porę mi to, w porę! i pocieszna rzecz, jeżeli Podlasie za pieniądze tego regalisty i patryoty od Rzeczypospolitej oderwę.

To rzekłszy, książę pożegnał radę, bo musiał jeszcze oddać się w ręce pokojowych, których zadaniem było codzień przed nocą kąpielami, maściami i różnemi sztukami, znanemi tylko za granicą, nadzwyczajną jego urodę konserwować. Trwało to zwykle godzinę, a czasem i dwie; książę zaś i bez tego był znużon drogą i późną godziną.

Nazajutrz rano Paterson zatrzymał miecznika i Oleńkę oznajmieniem, iż książę pragnie się z nimi widzieć. Trzeba było wyjazd odłożyć, ale nie zaniepokoili się tem zbytnio, bo Paterson powiedział o co chodzi.

W godzinę później nadszedł książę. Mimo, iż i pan Tomasz i Oleńka przyrzekli sobie najświęcej, iż przyjmą go po dawnemu i mimo wszelkich wysileń, nie mogli tego dokazać.

Jej twarz zmieniła się, a miecznikowa nabiegła krwią na widok młodego księcia i przez chwilę stali oboje zmieszani, wzburzeni, próżno usiłując do zwykłej powrócić spokojności.

Książę przeciwnie swobodny był zupełnie, tylko trochę pomizerniał w oczach i twarz miał mniej ubarwioną, niż zwykle, ale właśnie ta jego bladość cudnie odbijała od perłowej rannej szaty, przerabianej srebrem; spostrzegł jednak natychmiast, iż przyjmują go jakoś inaczej i mniej radzi widzą, aniżeli zwyczajnie. Ale pomyślał zaraz, że pewnie tych dwoje regalistów dowiedziało się o jego stosunkach ze Szwedami i stąd ten chłód w przyjęciu.

Postanowił więc sypnąć im natychmiast piaskiem w oczy i po zwykłych komplementach powitalnych, tak zaczął:

— Panie mieczniku dobrodzieju, słyszałeś już zapewne waszmość, jakie nieszczęście mnie spotyka...

— Wasza ks. mość chce mówić o śmierci księcia wojewody? — odparł miecznik.

— Nietylko o śmierci. Cios to okrutny, wszelako już zdałem się na wolę Boga, który jak tuszę, wszystkie krzywdy bratu memu hojnie wynagrodził, ale mnie nowy ciężar zesłał, bo muszę wojnę domową prowadzić, ale dla każdego obywatela, miłującego ojczyznę gorzka to dola...

Miecznik nie odrzekł nic, tylko spojrzał nieco bokiem na Oleńkę.

Książę zaś mówił dalej:

— Moją pracą, moim trudem, a Bóg jeden wie, jakim kosztem, doprowadziłem już pokój do skutku! Prawie o podpisanie traktatów tylko chodziło. Mieli Szwedzi wyjść z Polski, żadnej nagrody nie żądając, prócz przyzwolenia królewskiego i stanów, aby po śmierci Jana Kazimierza Carolus na tron polski był obrany. Wojownik tak wielki i potężny zbawieniem byłby dla Rzeczypospolitej. Co więcej, zaraz teraz miał zostawić posiłki na wojnę ukrainną i na moskiewską. Jeszczebyśmy granic rozszerzyli; ale panu Sapieże to nie na rękę, bo nie mógłby gnębić Radziwiłłów. Wszyscy się już na owe traktaty zgodzili, on jeden się zbrojną ręką przeciwi; za nic mu ojczyzna, byle prywaty mógł dochodzić. Aż przyszło do tego, że trzeba oręża przeciw niemu użyć, którą funkcyę właśnie mnie, za tajemną zgodą Jana Kazimierza i Carolusa powierzono. Ot, co jest! Nie wybiegałem się nigdy od żadnej służby, więc i tej podjąć się muszę, choć niejeden będzie mnie krzywo sądził i pomyśli, że bratobójczą wojnę z samej tylko zemsty wszczynam.

Na to miecznik:

— Kto waszą książęcą mość poznał tak dobrze, jako my, tego pozory nie uwiodą i zawsze prawdziwą intencyę w. ks. mości rozumieć potrafi.

Tu pan miecznik, zachwycony własną chytrością i polityką, mrugnął tak wyraźnie na Oleńkę, że ta aż przelękła się, by tych znaków nie ujrzał książę.

Ten jednak spostrzegł.

— Nie wierzą mi — pomyślał.

I chociaż gniewu na twarzy nie okazał, przecież ubodło go to

w duszy. Był on zupełnie szczerze przekonany, że obrazą jest nie wierzyć Radziwiłłowi, nawet wówczas, gdy mu się spodoba zmyślać.

— Paterson mówił mi, — rzekł po chwili — że wasza mość chcesz gotowiznę swą na skrypt mi oddać. Chętnie w tem waści dogodzę, gdyż przyznaję, że gotowy grosz i mnie teraz na rękę. Gdy spokój nastanie, uczynisz co zechcesz, albo kwotę odbierzesz alboli też dam waszmości parę wsi w zastaw, tak aby to z korzyścią dla ciebie było.

Tu zwrócił się książę do Oleńki:

— Przebacz waćpanna, że przy tak doskonałej istocie nie o supirach, ani idyllach mówimy. Niesłuszna to rozmowa, jeno czasy takie, iż uwielbieniu i admiracyi przystojnej folgi dać nie można.

Oleńka spuściła oczy i chwyciwszy końcami palców za suknię, uczyniła dyg, przynależny, nie chcąc nic odpowiadać.

Tymczasem miecznik ułożył sobie w głowie projekt niesłychanie niedołężny, ale który sam za nadzwyczaj przebiegły poczytał.

— I z dziewczyną ucieknę i pieniędzy nie pożyczę—pomyślał.

Zaczem odchrząknąwszy i pogładziwszy kilkakroć czuba, tak rzekł:

— Miło mi będzie waszej ks. mości wygodzić. Nie mówiło się też Patersonowi o wszystkiem, bo i z czerwonemi złotemi półgarncówka się znajdzie, zakopana osobno, aby w razie przygody, całej gotowizny nie utracić. Prócz tego są i innych Billewiczów solówki, ale te podczas mojej nieobecności pod dyrekcyą tej oto panny zakopywano i ona jedna potrafi wykalkulować miejsce, bo człowiek, który je nosił, umarł. Pozwólże nam wasza książęca mość jechać obojgu, to przywieziem wszystko.

Bogusław spojrzał na niego bystro.

— Jakto? Paterson powiadał, że już waszmość czeladź wysłał, a skoro wyjechała, to musi wiedzieć, gdzie pieniądze.

— Ale o innych nikt nie wie, tylko ona.

— Przecie muszą być zakopane w jakiemś wyraźnem miejscu, które wskazać słowy, albo delineare (wycisnąć) na papierze łatwo.

— Słowa wiatr, — odrzekł miecznik — a na delineacyach czeladź się nie zna. Pojedziemy oboje, ot, co!

— Dla Boga! toż waść musi znać dobrze swoje sady, więc jedź sam. Poco panna Aleksandra ma jechać?

— Sam nie pojadę! — odrzekł rezolutnie pan miecznik.

Bogusław po raz drugi spojrzał nań badawczo, poczem siadł wygodniej i trzciną, którą trzymał w ręku, począł uderzać się po butach.

— Koniecznie? — rzekł. — A dobrze! Ale w takim razie dam wam dwa regimenty jazdy, które was odwiozą i przywiozą.

— Nie potrzeba nam żadnych regimentów. Sami pojedziem i wrócim. To nasze strony, nic nam tam nie grozi.

— Jako gospodarz czuły na dobro swych gości,nie mogę pozwolić, ażeby panna Aleksandra jechała bez siły zbrojnej, wybieraj więc waść: albo sam, albo oboje z eskortą.

Pan miecznik spostrzegł, że wpadł we własne sidła i do takiego go to gniewu przywiodło, że zapomniawszy o wszelkich ostrożnościach, zakrzyknął:

— To wasza książęca mość wybieraj: albo pojedziem oboje bez regimentów, albo pieniędzy nie dam!

Panna Aleksandra spojrzała na niego błagalnie, lecz on już poczerwieniał i sapać począł. Był to jednak człowiek z natury ostrożny, nawet nieśmiały, lubiący zgodnie wszystkie sprawy załatwiać, ale za to gdy raz przebrano z nim miarę, gdy sobie zbytnio przeciw komu na wąs namotał, lub gdy o billewiczowski honor chodziło, wówczas z desperacką jakąś odwagą rzucał się do oczu, choćby najpotężniejszemu nieprzyjacielowi.

Więc i teraz porwał sie ręką za lewy bok i trzasnąwszy szablą, począł krzyczeć na całe gardło.

— Cóżto tu jasyr? Oprymować chcą wolnego obywatela? kardynalne prawa deptać?

Bogusław oparty plecami o poręcz krzesła, patrzył na niego uważnie, bez widomych oznak gniewu, jeno wzrok jego stawał się z każdą chwilą zimniejszy; a szpicrutą coraz szybciej uderzał się po butach. Gdyby pan miecznik znał go lepiej, wiedziałby, że ściąga na swą głowę groźne niebezpieczeństwo.

Stosunki z Bogusławem były poprostu straszne, dlatego, że nigdy nie było wiadomo, kiedy nad dwornym kawalerem i przy-

wykłym do panowania nad sobą dyplomatą weźmie górę dziki i niepohamowany magnat, depcący z okrucieństwem despoty wschodniego wszelki opór. Świetne wychowanie, ogłada zdobyta na najpierwszych dworach europejskich, rozwaga, której nabrał w stosunkach ludzkich i wykwitność, były jakby cudne a potężne kwiaty, pod któremi tail się tygrys.

Lecz miecznik nie wiedział o tem i w zaślepieniu gniewnem krzyczał dalej:

— Wasza ks. mość nie udawaj dłużej, bo cię znają!... i bacz, że ni król szwedzki, ni elektor, którym obu przeciw ojczyźnie służysz, ni twoje księstwo, przed trybunałem cię nie osłoni, a szable szlacheckie nauczą moresu... młodziku!

Na to Bogusław wstał, w jednej chwili skruszył trzcinę w żelaznych rękach i cisnąwszy drzazgi pod nogi miecznika, rzekł strasznym, przyciszonym głosm:

— Ot, mi wasze prawa! Ot, wasze trybunały! Ot, wasze przywileje!

— Gwałt okropny! — krzyknął miecznik.

— Milcz, szlachetko! — krzyknął książę — bo cię w proch zetrę!

I szedł ku niemu, by porwać zdumiałego szlachcica za pierś i rzucić nim o ścianę.

Wtem Billewiczówna stanęła między nimi.

— Co wasza ks. mość chcesz uczynić? — rzekła.

Książę zatrzymał się.

Ona zaś stała z rozdętemi nozdrzami, z płonącą twarzą i ogniem w oczach, jak gniewna Minerwa. Pierś jej wzdymała się pod stanikiem, nakształt fali morskiej i tak była cudna w tym gniewie, że Bogusław zapatrzył się w nią, wszystkie żądze wypełzły mu na twarz, jakoby węże w pieczarach duszy zamieszkałe.

Po chwili gniew jego przeszedł, przytomność wróciła, czas jakiś patrzył jeszcze w Oleńkę, nakoniec twarz mu złagodniała, skłonił głowę, na piersi i rzekł:

— Przebacz anielska panno!... Duszę mam pełną zgryzot a bólu, więc i sobą nie władnę.

To rzekłszy, wyszedł z komnaty.

Wówczas Oleńka załamała ręce, a miecznik oprzytomniawszy chwycił się za czuprynę i zakrzyknął:

— Jam to popsował wszystko, jam przyczyną twej zguby!

Książę nie pokazał się przez cały dzień. Obiadował nawet u siebie, samowtór z panem Sakowiczem. Wzburzony do dna duszy, nie mógł myśleć tak jasno, jak zwykle. Trawiła go jakaś gorączka. Była to zapowiedź ciężkiej febry, która miała go niebawem uchwycić z taką siłą, że w czasie jej napadów drętwiał zupełnie, tak, iż musiano go rozcierać. Ale on przypisywał w tej chwili stan swój nadzwyczajnej sile miłości i rozumował, że albo musi ją zaspokoić, albo umrze.

Tymczasem, opowiedziawszy Sakowiczowi całą rozmowę z miecznikiem, tak mówił:

— Ręce i nogi mnie palą, mrowie chodzi po krzyżach, w gębie czuję gorycz i ogień! A do wszystkich rogatych dyabłów, co to jest?... Nigdy mi się to nie trafiało!...

— Boś wasza ks. mość skrupułami nadziany, jak pieczony kapłon kaszą... Książę kurzejec, książę kurzejec! Cha! cha!

— Głupiś!

— Dobrze!

— Nie konceptów mi twoich trzeba!

— Weź, mości książę, lutnię i pójdź pod okna dziewki, może ci pokaże... pięść... miecznik. Tfu! do licha, takiżto z Bogusława Radziwiłła rezolut?

— Dureńś!

— Dobrze! Widzę, że w. ks. mość zaczynasz z sobą rozmawiać i prawdę sobie w oczy gadać. Śmiało, śmiało! Proszę na godność nie uważać!

— Bo widzisz, Sakowicz, że mój Kastor poufali się ze mną, to i tak często go w ziobro nogą kopnę, a ciebie cięższa mogłaby spotkać przygoda.

Sakowicz zerwał się na równe nogi, niby zaperzony, jak niedawno miecznik rosieński, a że miał nadzwyczajny dar udawania, więc począł krzyczeć głosem tak do miecznikowego podobnym, że nie widząc, kto mówi, możnaby się omylić.

— Cóżto jasyr? oprymować chcą wolnego obywatela, kardynalne prawa deptać?

— Daj spokój! daj spokój! — mówił gorączkowo książę — bo tam ona tego starego bałwana własną osobą zastawiła, a tu niemasz, ktoby cię bronił.

— Kiedy go zastawiła, to trzeba było ją w zastaw brać!...

— Nie może inaczej być, tylko tu są jakoweś czary. Albo musia

ła mi coś zadać, albo konstelacye są takowe, że poprostu od zmysłów odchodzę... Żebyś ty ją widział, jak tego parszywego stryja broniła... Aleś ty kiep! W głowie mi się mąci! Patrz! jako mi ręce gorzeją! Taką miłować, taką przygarnąć, z taką...

— Potomstwo mieć! — dodał Sakowicz.

— A tak! a tak! jakbyś wiedział i musi to być, bo inaczej rozerwą mnie płomienie, jak granat. Dla Boga! co się ze mną dzieje... Ożenię się, czy co, u wszystkich ziemskich i piekielnych dyabłów?

Sakowicz spoważniał.

— O tem wasza ks. mość, nie powinieneś myśleć!

— Właśnie, że myślę, właśnie, że jak zechcę, to tak uczynię, choćby regiment Sakowiczów powtarzał mi przez cały dzień: "O tem wasza ks. mość nie powinieneś myśleć!"

— Ej, to widzę nie żarty!

— Chorym jest, oczarowany, nie może inaczej być!

— Czemu wasza ks. mość nie idzie w ostateczności za moją radą.

— Chyba pójdę! Niech zaraza porwie wszystkie sny, wszystkich Billewiczów, całą Litwę wraz z trybunałami i Janem Kazimierzem w dodatku. Nie wskóram inaczej... Widzę, że nie wskóram! Dość tego! Co? Wielka rzecz! wielka sprawa! I ja kiep ważyłem się dotąd na dwie strony. Bałem się snów, Billewiczów, procesów chasy szlacheckiej, fortuny Jana Kazimierza. Powiedz mi, żem kiep! Słyszysz? rozkazuję powiedzieć mi, żem kiep!

— A ja nie usłucham, boś teraz właśnie Radziwiłł, a nie kalwiński wikary. Ale chory musisz być wasza ks. mość naprawdę, bom cię w takiej alteracyi nigdy nie widział.

— Prawda! aha! W najcięższych terminach jenom ręką machał i pogwizdywał, a teraz czuję, jakoby mi kto ostrogi w bok wpierał.

— Dziwna to jest, bo jeśli ta dziewka umyślnie w. ks. mości co zadała, to nie dlatego, żeby potem miała uciekać, a przecież z tego, coś mi w. ks. mość mówił, pokazuje się że oni oboje chcieli się pocichu wynieść.

— Powiadał mi Ryff, że to wpływ Saturna, na który wyziewy palące w tym właśnie miesiącu się podnoszą.

— Mości książę, wolej Jowisza weź sobie za patrona, bo temu bez ślubów się szczęściło. Wszystko będzie dobrze, tylko o ślubie wasza ks. mość nie wspominaj, chyba o malowanym...

Nagle pan starosta oszmiański uderzył się w czoło.

— Czekajno, w. ks. mość... Słyszałem o podobnym wypadku w Prusiech...

— Szepceli ci dyabeł co do ucha, powiadaj?

Lecz pan Sakowicz długo nic nie odpowiadał, wreszcie twarz mu się rozjaśniła i rzekł:

— Podziękuj, mości książę, swojej fortunie, że ci Sakowicza za przyjaciela dała.

— Co nowego? co nowego?

— Ej! nic! będę drużbą waszej ks. mości (tu Sakowicz skłonił się), zaszczyt to dla takiego chudopacholka nie mały...

— Nie błaznuj, mów prędko!

— Jest w Tylży niejaki Plaska czy tam jak, który swego czasu był księdzem w Nieworanach, ale rewokowawszy, luterstwo przyjął, ożenił się i pod protekcyę elektora się schronił, a teraz wędzoną rybą ze Żmudzią handluje. Swego czasu starał się nawet biskup Parczewski, żeby go napowrót na Żmudź dostać, gdzieby mu pewnie stosik pod nogi podłożono, ale elektor nie chciał współwiercy wydać.

— Co mnie to obchodzi? Nie marudź!

— Co w. ks. mość to obchodzi? Owóż powinno obchodzić, bo on was zszyję, jako wierzch z podszewką, rozumiesz, w. ks. mość? A że kiepski majster i do cechu nie należy, łatwo będzie po nim rozpruć, rozumiesz, mości książę? Tego szycia cechowi za ważne nie uznają, a przecie nie będzie ni gwałtów, ni hałasów. Majstrowi będzie można potem łeb ukręcić, wasza ks. mość zaś sam będziesz narzekał, że było podejście, rozumiesz? Zaś przedtem: crescite et multiplicamini (rośnijcie i mnóżcie się). Pierwszy daję moje błogosławieństwo.

— Rozumiem i nie rozumiem — rzekł książę. — Dyabła tam! pojmuję doskonale. Sakowicz! musiałeś już jak strzyga z zębami na świat się urodzić. Kat cię czeka, nie może inaczej być... O panie starosto!... Ale póki żyję, włos ci z głowy nie spadnie, a kontentacya przystojna nie minie... Ja tedy...

— W. ks. mość oświadczysz się solennie o rękę panny Billewiczówny, jej samej i miecznikowi. Jeśli ci odmówią, jeśli się nie uda, to każ ze mnie skórę ściągnąć, rzemienie do sandałów z niej zrobić i iść na pokutną pielgrzymkę do... do Rzymu. Radziwiłłowi można się najeżyć, gdy zechce pokochać, ale gdy zechce się żenić,

tedy żadnego szlachcica nie będzie potrzebował pod włos głaskać. Musisz tylko w. ks. mość powiedzieć miecznikowi i pannie, że ze względu na elektora i króla szwedzkiego, którzy cię z księżniczką biponcką swatają, małżeństwo musi pozostać sekretne, dopóki pokój nie będzie zawarty. Zresztą intercyzy piszcie, jakie chcecie. Wszystko to oba kościoły muszą uznać za nieważne... A co?

Bogusław milczał przez chwilę, tylko na obliczu pojawiły mu się pod farbą gorączkowe plamy czerwone. Po chwili rzekł:

— Czasu niema, za trzy dni muszę, muszę na Sapiehę wyruszyć.

— To właśnie! Gdyby czasu było więcej, niepodobna byłoby pozorów usprawiedliwić. Jakże? Tylko brakiem czasu wytłomaczysz wasza ks. mość, że pierwszy lepszy ksiądz przyjeżdża, jako w nagłych razach bywania pytel ślub daje. Oni toż samo pomyślą: "prędko, bo musi być prędko!" Rycerska to dziewka, więc wasza ks. mość i na wyprawę zabrać ją z sobą możesz... Królu miły, jeślić Sapieha pobije, to i tak w połowie wiktorem będzie.

— Dobrze, dobrze! — rzekł książę.

Lecz w tej chwili uchwycił go pierwszy paroksyzm tak, iż szczęki mu się zacięły i słowa więcej przemówić nie mógł. Zesztywniał cały, a potem poczęło nim rzucać i drgał, jako ryba wyjęta z wody. Wszelako, nim przestraszony Sakowicz zdołał sprowadzić medyka, paroksyzm przeszedł.

## LXX.

Po rozmowie z Sakowiczem książę Bogusław udał się nazajutrz po południu wprost do miecznika rosieńskiego.

— Panie mieczniku dobrodzieju! — rzekł na wstępie — zawiniłem ciężko ostatnim razem, bom się uniósł we własnym domu. Mea culpa (moja wina)! i tem większa, żem ten afront uczynił człowiekowi z rodu od wieków zaprzyjaźnionego z Radziwiłłami. Ale przychodzę błagać o przebaczenie. Niech szczere przyznanie waszmości panu za satysfakcyę, mnie za pokutę wystarczy. Waszmość znasz oddawna Radziwiłłow, wiesz, żeśmy do przeprosin nie skorzy; wszelako, żem to wiekowi i powadze uchybił, pierwszy, nie bacząc, ktom jest, przychodzę z powinną głową. A już

też, stary przyjacielu naszego domu, dłoni mi, wierzę, ni umkniesz?

To rzekłszy, wyciągnął rękę, a miecznik, w którego duszy pierwszy impet już przeszedł, nie śmiał mu jej odmówić, choć podał ją ociągając i rzekł:

— Wasza ks. mość, wróć nam wolność, to będzie najlepsza kontentacya.

— Jesteście wolni i możecie jechać, choćby dziś.

— Dziękuję waszej ks. mości — odrzekł zdziwiony miecznik.

— Jedną tylko stawię kondycyę, której, daj Bóg, żebyś nie odrzucił.

— Jakążto? — spytał z obawą miecznik.

— Ażebyś chciał wysłuchać cierpliwie tego, coć powiem.

— Jeżeli tak, tedy będę słuchał, chociażby do wieczora.

— Nie dawaj mi zaraz responsu, jeno się namyśl godzinę albo i dwie.

— Bóg widzi, że bylem wolność odzyskał, pragnę zgody.

— Wolność waćpan dobrodziej odzyszczesz, nie wiem tylko, czy korzystać z niej zechcesz, czy ci pilno będzie opuścić moje progi. Radbym, żebyś mój dom i całe Taurogi za swoje uważał, ale teraz słuchaj. Czy wiesz waszmość, mój dobrodzieju, dlaczegom się sprzeciwiał wyjazdowi panny Billewiczówny? Oto dlatego, żem odgadł, iż uciec poprostu chcecie, a ja takem się w synowicy waszmościnej rozkochał, iż byle ją widzieć, Hellespontbym codzień przepływać gotów, jako ów Leander dla Hery...

Miecznik poczerwieniał na nowo w jednej chwili.

— Mnie to wasza ks. mość śmiesz mówić?...

— Właśnie, waszmości, mój szczególniejszy dobrodzieju.

— Mości książę! Szukaj fortuny u dworek, a szlacheckiej dziewki nie tykaj, boć zasie! Możesz ją więzić, możesz do sklepu zamknąć, ale ci jej pohańbić nie wolno!

— Pohańbić niewolno — odrzekł książę, — ale wolno pokłonić się staremu Billewiczowi i rzec mu: Słuchajcie, ojcze! dajcie mi swoją synowicę za żonę, bo mi żyć bez niej nijak.

Miecznik tak zdumiał, że słowa przemówić nie mógł, przez czas jakiś tylko wąsami ruszał, a oczy wyszły na wierzch; potem jął je pięściami przecierać i spoglądać, to na księcia, to wokoło po komnacie, wreszcie rzekł.

— We śnieli to, czy na jawie?

— Nie śpisz, dobrodzieju, nie śpisz, ażebyś się jeszcze lepiej przekonał, toć powtórzę cum omnibus titulis (ze wszystkimi tytułami): Ja, Bogusław książę Radziwiłł, koniuszy wielkiego księstwa litewskiego, proszę ciebie, Tomasza Billewicza, miecznika rosieńskiego, o rękę synowicy twej, panny łowczanki Aleksandry.

— Jakżeto? dla Boga! czyś wasza ks. mość rozważył?

— Ja rozważyłem, teraz ty rozważ, dobrodzieju, czy kawaler godzien panny...

— Bo ze zdziwienia dech mi zaparło...

— Poznaj, czylim miał jakowe niecnotliwe intencye...

— I wasza ks. mość nie zważałbyś na stan nasz chudopacholski?

— Tacyżto Billewicze tani, takżeto klejnot wasz szlachecki i starożytność cenisz? Zali to Billewicz mówi?

— Mości książę, wiem, że początków rodu naszego w Rzymie starożytnym szukać należy, ale.....

— Ale — przerwał książę, — hetmanów ni kanclerzy nie macie. Nic to! elektorami wszakże jesteście, jako mój wuj brandeburski. Skoro w naszej Rzeczypospolitej szlachcic królem obran być może, to niemasz za wysokich progów na jego nogi. Ja, mój mieczniku, a da Bóg, mój stryjaszku, rodzę się z księżniczki brandeburskiej, ojciec mój z Ostrogskiej, ale dziad, wielkiej pamięci Krysztof Iszy, ten, którego Piorunem zwali, hetman wielki, kanclerz i wojewoda wileński, żonaty był primo voto (pierwszym ślubem) z Sobkówną, i dlatego mitra mu z głowy nie spadła, bo Sobkówna była szlachcianka, tak zacnie urodzona, jak inne. Zato, gdy nieboszczyk rodzic z elektorówną się żenił, to wydziwiano, że na godność nie pamięta, chociaż z panującym domem się łączył. Taka u was dyabla szlachecka pycha. No, dobrodzieju, przyznaj, że nie myślisz, żeby Sobek od Billewicza był lepszy? No?...

Tak mówiąc począł książę klepać z wielką poufałością pana miecznika po łopatce, a szlachcic zmiękł jak wosk i odrzekł:

— Bóg waszej ks. mości zapłać za zacne intencye... Ciężar spada z serca! Ej, mości książę, żeby jeszcze nie różnica wiary!...

— Ksiądz katolicki będzie ślub dawał, innego ja sam nie chcę.

— Całe życie będziem za to wdzięczni, bo tu chodzi o błogosławieństwo Boże, któregoby pewnie Pan Jezus umknął, gdyby jaki paskudnik...

Tu ugryzł się w język pan miecznik, bo zmiarkował, że nieprzyjemną dla księcia rzecz chciał powiedzieć, lecz Bogusław ani zauważył, owszem uśmiechnął się łaskawie i dodał:

— I co do potomstwa nie będę się upierał, bo niemasz takiej rzeczy, którejbym dla tej waszej śliczności nie uczynił...

Miecznika twarz rozjaśniła się, jakby na nią promienie słońca padły.

— Już też Bóg tej błaźnicy nie poskąpił urody... Prawda jest!

Bogusław znów poklepał go po ramieniu i pochyliwszy się szlachcicowi do ucha, począł szeptać:

— A że pierwszy będzie chłopak, to ja ręczę i malowanie, nie chłopak!

— Chi! chi!...

— Bo nie może być inny z Billewiczówny.

— Z Billewiczówny za Radziwiłłem — dodał miecznik, rozkoszując się połączeniem tych nazwisk, — Chi! chi! Ot, będzie huczek na całej Żmudzi... A co panowie Sicińscy, nasi nieprzyjaciele powiedzą, gdy Billewicze tak wyrosną. Wszakżeto oni nawet starego pułkownika nie zostawili w spokoju, choć to był mąż rzymskiego pokroju, od całej Rzeczypospolitej uwielbiany.

— Wyścigamy ich ze Żmudzi, mości mieczniku!

— Boże wielki, Boże miłosierny, niezbadane są wyroki Twoje, ale jeżeli w wyrokach Twoich leży, aby panowie Sicińscy popękali z inwidyi... bądź wola Twoja!

— Amen! — dorzucił Bogusław.

— Mości książę! — nie bierzże za złe, iż się w godności nie obwijam, jako przystoi temu, którego o dziewkę proszą i że zbyt jawnie radość okazuję... Lecz owo żyliśmy w strapieniu, nie wiedząc, co nas czeka i wszystko najgorzej sobie tłomacząc. Przyszło do tego, żeśmy i w. ks. mość źle sądzili, aż naraz pokazuje się, że strachy i posądzenia były niesłuszne, i że pierwszemu uwielbieniu folgę dać można. To, mówię ks. mości, jakoby kto brzemię z ramion zdjął...

— Zali i panna Aleksandra tak mnie sądziła?

— Ona? Choćbym Cyceronem był, jeszczebym jej poprzedniej admiracyi dla waszej ks. mości godnie opisać nie umiał... Tak myślę, że cnota w niej jeno i przyrodzona jakowaś nieśmiałość afektom stała na przeszkodzie... Ale gdy się dowie o szczerych waszej

ks. mości intencyach, tedy jestem pewien, że sercu zaraz cugli popuści, a ono bryknąć na pastwisko miłości z największym impetem nie omieszka.

— Cyceronby tego ozdobniej nie umiał wyrazić! — odrzekł Bogusław.

— Bo przy szczęściu i wymowa się znajdzie. Lecz skoro wasza książąca mość tak wdzięcznie wszystkiego, co prawię, słuchać raczysz, tedy już do ostatka będę szczery.

— Bądź szczery, panie miecznika...

— Bo choć to dziewka młoda, ale hic mulier (to kobieta) i przy męskim zgoła umyśle, dziw, jak charakterna. Tam, gdzie niejedenby doświadczony człek się zawahał, ona ani się namyśli. Co złe, to na lewo, co dobre, na prawo... a sama też na prawo. Słodkie to niby, a jak raz sobie drogę obierze, chociażby armaty, na nic! bo już nie zboczy. W dziada i we mnie się wdała; ojciec był żołnierz zawołany, ale człek miękki... matka zasie, Wojniłłowiczówna de domo, (z domu), cioteczna siostra Kulwiecówny, także była charakterna.

— Rad to słyszę, mości miecznika!

— Owóż nie uwierzysz, mości książę, jakie to licho na Szwedów, ba! na wszystkich nieprzyjaciół Rzeczypospolitej zawzięte. Gdyby kogoś o zdradę, choćby najmniejszą, posądzała, jużby abominacyę nieprzezwyciężoną czuła, choćby to anioł był, nie człowiek... Wasza ks. mość! wybacz staremu, który ojcem twoim mógłby z wieku, jeśli nie z godności być: porzuć Szweda... Tożto gorszy Tatara ojczyzny ciemięzca! Rusz przeciw takim synom swoje wojska, a nietylko ja, ale i ona pociągnie z tobą w pole! Wybaczaj wasza ks. mość, wybaczaj!... Ot powiedziałem, com myślał!

Bogusław przemógł się po chwili i tak mówić począł:

— Panie miecznika dobrodzieju! Godziło się wam wczoraj jeszcze przypaszczać, ale dziś już się nie godzi, że wam chcę jeno piaskiem w oczy rzucić, mówiąc, iż po stronie stronie króla i ojczyzny stoję. Owóż pod przysięgą, jako krewnemu, powtarzam, że com o pokoju i o jego kondycyach rzekł, to była szczera prawda. Wolałbym i ja ruszyć w pole, bo mnie do tego natura ciągnie, ale żem widział, iż nie w tem ratunek, z czystej miłości musiałem się innego sposobu chwycić... I to mogę rzec, iżem niesłychanej rzeczy dokazal, bo żeby po straconej wojnie taki pokój zawrzeć, aby zwy-

cięska potęga szła jeszcze na służbę zwyciężonej, tegoby się sam najchytrzejszy z ludzi Mazarin nie powstydził... Nie panna Aleksandra jedna, ale i ja na równi z nią odium do nieprzyjaciół czuję. Co jednak czynić? jako tę ojczyznę ratować? nec Hercules contra plures (siła złego na jednego)! Więc pomyślałem sobie tak: miast ginąć, co byłoby łatwiej i pocieszniej, trzeba ją ratować. A iżem się w sprawach tego rodzaju u wielkich statystów ćwiczył, żem to elektora krewny i u Szwedów, za przyczyną brata Janusza, dobrze widziany, wnet począłem rokowania, a jaki był ich cursus i dla Rzeczypospolitej pożytek, to już waszmość wiesz; koniec wojny, uwolnienie z pod opresyi katolickiej waszej wiary, kościołów, duchowieństwa, stanu szlacheckiego, pospólstwa, pomoc szwedzka na wojnę moskiewską i kozacką, a bogdaj rozszerzenie granic... Za to zaś wszystko to jedno ustępstwo, że Carolus po Kazimierzu królem ma zostać. Kto więcej w tych czasach dla ojczyzny uczynił, niech mi stanie do oczu!

— Prawda jest... ślepyby zobaczył... jeno stanowi szlacheckiemu okrutnie markotno będzie, że dolna elekcya ustanie.

— A co ważniejsze, elekcya, czy ojczyzna?

— Wszystko jedno, mości książę, boć to kardynalny fundament Rzeczypospolitej... A cóż jest ojczyzna, jeżeli nie zbiór praw, przywilejów i wolności, stanowi szlacheckiemu przysługujących?.. Pana i pod obcem panowaniem znaleść można.

Gniew i nuda przeleciały błyskawicą po obliczu Bogusława.

— Carolus — rzekł — podpisze pacta conventa (ustawy), jako i poprzednicy podpisywali, a po jego śmierci obierzem sobie, kogo zechcem... choćby tego Radziwiłła, który się z Billewiczówny narodzi.

Miecznik stał przez chwilę, jakoby olśniony tą myślą, nakoniec podniósł rękę w górę i zakrzyknął z wielkim zapałem:

— Consentior!...

— Tak i ja myślę, że waść zgadzasz się, choćby potem tron dziedziczny w naszej rodzinie miał zostać — rzekł ze złośliwym uśmiechem książę. — Tacyście wszyscy! Ale to rzecz późniejsza. Tymczasem trzeba, żeby układy do skutku doszły... Rozumiesz waszmość, panie stryjcu?

— Trzeba, jak żywo, trzeba! — powtórzył z głębokiem przekonaniem miecznik

— Dojść zaś mogą dlatego, że wdzięcznym jestem jego szwedzkiemu majestatowi pośrednikiem a wiesz waszmość z jakowych przyczyn?... Oto, Carolus ma jedną siostrę za de la Gardie, a drugą księżniczkę biponcką jeszcze panną i tę chce za mnie wydać, aby się z domem naszym skoligacić i gotową partyę mieć na Litwie. Ztąd jego dla mnie powolność, do której go i wuj elektor nakłania.

— Jakżeto to? — spytał zaniepokojony miecznik.

— Tak mości mieczniku, że za waszego gołąbka oddałbym wszystkie księżniczki biponckie, razem z księstwem nietylko dwóch, ale i wszystkich na świecie mostów. Jeno mi drażnić szwedzkiej bestyi nie wypada, zaczem udaję powolne dla ich rokowań ucho, ale niech jeno traktat podpiszą, zobaczymy!

— Ba! to gotowi nie podpisać, gdy się dowiedzą żeś się wasza ks. mość ożenił?

— Mości mieczniku, — rzekł z powagą książę — posądziłeś mnie o nieszczerość dla ojczyzny... Ja zaś, jako prawy obywatel, pytam cię teraz: mamli prawo dla swej prywatny dobro Rzeczypospolitej poświęcić?

Pan Tomasz słuchał.

— Więc co będzie?

— Pomyśl sam waszmość: co ma być?

— Dla Boga, widzę już, że ślub musi być odłożony, a przysłowie mówi: "Co się odwlecze, to i uciecze."

— Ja serca nie zmienię, bom na całe życie pokochał, a i to trzeba waszmości wiedzieć, że wiernością samą cierpliwą Penelopę mógłbym zawstydzić.

Miecznik przeląkł się jeszcze bardziej, bo właśnie całkiem przeciwne o wierności książęcej miał mniemanie, które i reputacya powszechna potwierdzała, książę zaś jakby na dobitkę dodał:

— Ale masz waszamość słuszność, jutra swego nikt nie pewien; mogę zachorzeć, ba! nawet zbiera mi się na jakowąś obłożnicę, bom wczoraj tak zdrętwiał, że mnie ledwie Sakowicz odratował mogę umrzeć, zginąć na wyprawie przeciwko Sapieże, a co będzie mitręgi, molestowań, zmartwień, tegoby na wołowej skórze nie spisał.

— Na rany boskie, radź mości książę!

— Co ja poradzę, — odrzekł ze smutkiem książę — chociaż sambym rad, ażeby klamka jaknajprędzej zapadła.

— Otóż, żeby zapadła... Wziąć ślub, a potem, co będzie, to będzie....

Bogusław zerwał się na równe nogi.

— Na świętą ewangelię! Waszmość ze swoim rozumem kanclerzem litewskim powinien byś zostać. Przez trzy dni innyby tego nie wymyślił, co waszmości odrazu do głowy przyszło. Tak jest! tak! wziąć ślub i cicho siedzieć. To głowa! Ja i tak za dwa dni na Sapiehę ruszam, bo mus! Przez ten czas przejście tajemne do komnatki panieńskiej się urządzi, a potem w drogę! To głowa statysty! Dwóch albo trzech konfidentów do tajemnicy przypuścim i za świadków weźmiem, aby ślub odbył się formaliter! Intercyzę spiszem, wiano ubezpieczym, do którego zapis dołączę i do czasu — sza! Mieczniku dobrodzieju! dziękuję z serca, dziękuję! Pójdź w moje objęcia, a potem do mojej śliczności... Będę odpowiedzi jej czekał, jako na węglach! Tymczasem zaś Sakowicza po księdza wyprawię! Bądź zdrów, ojczyku, a da Bóg wkrótce i dziadku Radziwiłła!

To rzekłszy, książę wypuścił zdumionego szlachcica z objęcia i wypadł z komnaty.

— Dla Boga! — rzekł do siebie, ochłonąwszy, miecznik. — Dałem taką rozumną radę, że i Salomonby się nie powstydził, a wolałbym, żeby się bez niej obyło. Tajemnica—tajemnicą. . Wszakże, łam głowę, tłucz łbem o ścianę, nie może inaczej być... Hm! nie może inaczej być! ślepy dojrzy!... Bogdaj tych Szwedów mróz ścisnął i wydusił w ostatku!... Żeby nie owe rokowania to ślub odbyłby się z ceremoniami, jeszczeby cała Żmudź się na weselisko zjechała. A tu do własnej żony mąż musi w wojtokach chodzić, żeby hałasu nie narobić.... Tfu, do licha! Nie tak prędko jeszcze Sicińscy popękają, choć Bogu chwała, że ich to nie minie...

To rzekłszy, poszedł do Oleńki.

Książę tymczasem naradzał się w dalszym ciągu z Sakowiczem.

— Tańcował szlachcic na dwóch łapach, jak niedźwiedź — mówił Sakowiczowi — ale też mnie wymęczył! Uf! uścisnąłem go za to, aż mu żebra zatrzeszczały i trząsłem nim tak, iż myślałem, że mu buty razem z wiechciami z nóg zlecą... A com mu powie-

dział: "stryjcu," to aż w oczach pęczniał, jakby się całą faską bigosu udławił. Tfu! tfu! poczekaj! uczynię cię stryjcem, ale takich stryjców mam na kopy po całym świecie... Sakowicz! widzę już jako ona mnie w swojej komnatce czeka i przyjmuje, oczki zamknąwszy i rączęta skrzyżowawszy... Czekaj ty! wycałuję ja ci te oczki... Sakowicz! weźmiesz dożywociem Prydy za Oszmianą!... Kiedy Plaska może tu stanąć?

— Przed wieczorem! dziękuję waszej książęcej mości za Prudy...

— Nic to! — Przed wieczorem? to znaczy lada chwila... Żebyto można dziś jeszcze, choćby o północy, ów ślub wziąć... Masz gotową intercyzę?

— Mam. Hojny byłem w imieniu waszej książęcej mości. Birże pannie oprawą zapisałem... Będzie miecznik wył jak pies, gdy mu się to potem odbierze.

— Posiedzi w lochu, to się uspokoi.

— Nie trzeba i tego. Jak ślub pokaże się nieważny, to i wszystko nieważne. A nie mówiłem waszej ks. mości, że się zgodzą?

— Nie czynił najmniejszych trudności... Ciekawym, co ona powie... Jakoś go nie widać!

— Padli sobie w ramiona i z rozczulenia płaczą, a błogosławią waszą ks. mość, a nad jej dobrocią i urodą się unoszą.

— Nie wiem, czyli nad urodą, bo jakoś mizernie wyglądam. Ciągłem niezdrów i boję się, żeby ona wczorajsza zdrętwiałość znów nie przyszła.

— Ej, byleś wasza ks. mość ciepła zażywał.

Książę już stał przed zwierciadłem.

— Oczy mam podsiniałe i kiep Fouret brwi mi dziś krzywo uczernił. Patrz, czy nie krzywo? Każę mu palce wkręcić w kurek od muszkietu, a małpę zrobię swoim kamerdynerem. Coto jest, że miecznika niema?... Chciałbym już do panny! Przecie pocałować się przed ślubem pozwoli... pocałować... posmakować!... Jak prędko się dziś ściemnia. Na Plaskę, jeśliby się wzdragał trzeba obcążki do ognia wsadzić...

— Plaska nie będzie się wzdragał, to szelma z pod ciemnej gwiazdy!

— I ślub da po szelmowsku.

— Szelma szelmę po szelmowsku ożeni.

Książę wpadł w dobry humor.

— Gdzie rajfur drużbą, nie może być innego ślubu!

Na chwilę umilkli i poczęli się śmiać obaj, ale rzechotanie ich dziwnie złowrogo rozlegało się po ciemnej izbie. Noc zapadała coraz głębsza.

Książę począł chodzić po pokoju, stukając głośno czekanikiem, którym podpierał się silnie, bo od ostatniego odrętwienia nogi mu jeszcze niezbyt służyły.

Wtem pachołkowie wnieśli kandelabry ze świecami i wyszli, lecz od powietrza pochylił płomienie świec tak, iż długo nie mogły się palić prosto, topiąc tymczasem obficie wosk.

— Patrz, jak się świece palą — rzekł książę. — Cóż ztąd wróżysz?

— Że jedna cnota stopi się dziś jak wosk.

— Dziw, jak długo trwa to chybotanie.

— Może dusza starego Billewicza przelatuje nad płomieniami.

— Głupiś! — rzekł porywczo Bogusław — ogromnieś głupi! A wybrał też sobie porę do mówienia o duchach!

Nastała chwila milczenia.

— W Anglii powiadają, — ozwał się książę — że jak duch takowy jest w izbie, to każda świeca będzie ci się palić błękitno, a te, patrz! płoną żółto, jak zwykle.

— Furda!... — rzekł Sakowicz. — W Moskwie są ludzie...

— Cicho, no!... — przerwał Bogusław. — Miecznik nadchodzi... Nie! to wiatr porusza okienicą. Dyabli nadali tę ciotkę dziewczyny... Kulwiec-Hypocentaurówna! Słyszał kto o czemś podobnem? Ale też i wygląda na Chimerę.

— Chcesz wasza książęca mość, to się z nią ożenię. Nie będzie wam zawadzać. Plaska nas zlatuje na poczekaniu.

— Dobrze. Dam jej jaworową łopatę na prezent ślubny, a tobie latarnię, żebyś jej miał czem świecić.

— Ale będę twoim wujaszkiem... Bogusiu...

— Pamiętaj na Kastora! — odparł książę.

— Nie gładź Kastora, mój Poluksie pod włos, bo może ugryźć.

Dalszą rozmowę przerwało wejście miecznika i panny Kulwiecówny. Książę postąpił ku nim żywo, podpierając się czekanikiem. Sakowicz wstał.

— A co? można do Oleńki? — spytał książę.

Lecz miecznik tylko ręce rozłożył, a głowę spuścił na piersi.

— Mości książę! Synowica moja powiada, że jej testament pułkownika Billewicza zakazuje losem swym rozporządzać, a gdyby nawet nie zakazywał, tedyby za waszą książęcą mość, nie mając do niej serca, nie wyszła.

— Sakowicz, słyszysz? — ozwał się strasznym głosem Bogusław.

— O tym testamencie i ja wiedziałem, mówił miecznik! alem w pierwszej chwili nie uważał go za niezwalczone impedimentum (przeszkodę).

— Drwię sobie z waszych szlacheckich testamentów! — rzekł książę. — Plwam na wasze szlacheckie testamenta! rozumiesz?!...

— Ale my nie drwim! odparł zaperzony pan Tomasz — wedle testamentu, wolno dziewce albo do klasztoru, albo za Kmicica.

— Za kogo, szerepetko? za Kmicica?... Pokażę ja wam Kmiciców!... nauczę was!...

I miecznik za bok się pochwycił w furyi największej, lecz Bogusław w jednej chwili trzasnął go obuchem w piersi, aż w szlachcicu jękło i zwalił się na ziemię, sam zaś, kopnąwszy leżącego nogą, aby drogę do drzwi otworzyć, wypadł bez kapelusza z komnaty.

— Jezus! Marya! Józef! — wołała panna Kulwiecówna.

Lecz Sakowicz chwycił ją za ramię i przyłożywszy jej kindżał do piersi, mówił:

— Cicho klejnociku, cicho turkaweczko najmilsza, bo ci twoje słodkie gardło poderznę, jako kulawej kurze. Siedź tu spokojnie i nie chodź na górę, bo tam się wesele twej siostrzenicy odprawia.

Lecz w pannie Kulwiecównie płynęła również krew rycerska, więc ledwie usłyszała słowa Sakowicza, natychmiast przestrach jej zmienił się w rozpacz i uniesienie.

— Łotrze! zbóju — poganinie! — krzyknęła — zarznij mnie, bo będę krzyczeć na całą Rzeczpospolitą. Brat zabit! krewna pohańbiona, nie chcę i ja żyć! Bij, zbóju, zarznij! Ludzie! schodźcie się! patrzajcie!...

Dalsze słowa stłumił Sakowicz, położywszy jej na ustach swą dłoń potężną.

— Cicho, krzywa kądziołko, cicho, zwiędła ruto! — rzekł do niej. — Jać nie będę zarzynał, poco mam dawać dyabłu to, co i tak jego, ale żebyś nie mogła jako paw krzyczeć, zanim się uspokoisz, to ci twą wdzięczną buzię własną twoją chustką obwiążę, a sam

lutnię wezmę i "wzdychanego" ci zagram. Nie może być inaczej, jeno musisz mnie polubić.

To mówiąc, pan starosta oszmiański, z wprawą prawdziwego rzezimieszka, okręcił głowę panny Kulwiecówny chustką, pasem skrępował jej w mgnieniu oka ręce, nogi i rzucił ją na sofę.

Następnie siadł przy niej i wyciągnąwszy się wygodnie, spytał tak spokojnie, jak gdyby zwykłą rozpoczynał rozmowę:

— Jakże waćpanna myślisz? Ja mniemam, że i Boguś równie sobie łatwo poradzi?

Wtem zerwał się na równe nogi, bo drzwi otworzyły się szybko i ukazała się w nich panna Aleksandra.

Twarz miała białą, jak kreda, włos nieco rozrzucony, brew namarszczoną i zgrozę w oczach.

Ujrzawszy leżącego miecznika, przyklęknęła nad nim i poczęła ręką dotykać jego głowy i piersi.

Miecznik odetchnął głęboko, otworzył oczy, podniósł się nawpół i jął rozglądać się po komnacie, jakby zbudzony ze snu, następnie, wsparłszy się ręką o ziemię, popróbował wstać, co mu się po chwili, przy pomocy panienki udało, więc doszedł chwiejnym krokiem do krzesła i rzucił się w nie.

Oleńka teraz dopiero dostrzegła pannę Kulwiecównę, leżącą na sofie.

— Czyś ją waść zamordował? — spytała Sakowicza.

— Uchowaj Boże! — odrzekł starosta oszmiański.

— Rozkazujęć rozwiązać!

Tyle było mocy w jej głosie, że Sakowicz nie odrzekł ani słowa, jak gdyby rozkaz wyszedł od samej księżnej Radziwiłłowej i począł rozwiązywać zemdloną pannę Kulwiecównę.

— A teraz, — rzekła panna — idź do twego pana, którem tam leży na górze.

— Co się stało? — krzyknął oprzytomniawszy Sakowicz. — Waćpanna odpowiesz za niego!

— Nie przed tobą, sługo! Precz!

Sakowicz skoczył, jak opętany.

## LXXI.

Sakowicz nie odstępował księcia przez dwa dni, bo drugi paroksyzm cięższy był od pierwszego, szczęki Radziwiłła tak się zwarły, że trzeba je było nożem otwierać, aby do ust wlać lekarstwo trzeźwiące. Zaraz potem odzyskał przytomność, jednakże trząsł się, dygotał, podskakiwał na łożu, wyprężał się jak zwierz śmiertelnie postrzelony. Gdy i to minęło, przyszło osłabienie ogromne; przez całą noc patrzył w sufit, nic nie mówiąc. Nazajutrz po wzięciu odurzających leków, zapadł w sen twardy i ciężki, a koło południa rozbudził się znowu, zlany potem obfitym.

— Jak się wasza książęca mość czuje? — pytał Sakowicz.

— Lepiej mi. Czy nie przyszły jakowe listy?

— Są od elektora i Steinboka, leżą tu na stole, ale czytanie na później trzeba odłożyć, bo wasza ks. mość sił jeszcze nie masz.

— Dawaj zaraz... słyszysz?

Starosta oszmiański wziął listy i podał, a Bogusław przeczytał je po dwakroć, poczem pomyślał chwilę i rzekł:

— Jutro ruszamy na Podlasie.

— Jutro będziesz, mości książę, w łożu, jako i dzisiaj.

— Będę na koniu, jako i ty!... Milcz, nie przeciw się!...

Starosta umilkł i przez chwilę trwała cisza, którą przerywał tylko poważny i powolny tik-tak gdańskiego zegara.

— Rada była głupia i pomysł głupi, — rzekł nagle książę — i ja także głupi, żem cię usłuchał...

— Wiedziałem, że jak się nie uda, to wina na mnie spadnie — odrzekł Sakowicz.

— Boś podrwił głową.

— Rada była roztropna, ale jeśli tam jest jaki dyabeł na usługach, który o wszystkiem ostrzega, ja za to nie odpowiadam.

Książę podniósł się na łóżku.

— Myślisz?...—rzekł, patrząc bystro na Sakowicza.

— A wasza ks. mość nie zna papistów?

— Znam, znam! I mnie często do głowy przychodziło, że to mogą być czary. Od wczoraj pewien jestem. Utrafiłeś w moją myśl, dlategom cię spytał, zali naprawdę tak mniemasz? Ale które z nich może w komitywę z siłą nieczystą wchodzić?... Przecie nie ona, bo cnotliwa... i nie miecznik, bo za głupi?...

— A choćby ona ciotka...

— Może to być...

— Dla pewności na krzyż ją wczoraj wiązałem, a przedtem przyłożyłem jej nóż do gardzieli i... imaginuj sobie wasza ks. mość... patrzę dziś, a ostrze, jakoby w ogniu stopione.

— Pokaż!

— Cisnąłem nóż do wody, choć w rękojeści turkus był zacny. Wolałem tego już więcej nie tykać.

— To ci powiem, co mi się wczoraj przygodziło... Wpadłem do niej, jak oszalały. Com mówił nie pamiętam... ale to wiem, że dziewka krzyknęła: "W ogień pierwej się rzucę!" Wiesz, jako tam komin ogromny. I wraz skoczyła! Ja za nią. Porwałem ją, wpół. Już się szatki na niej zatliły. Musiałem gasić i trzymać zarazem. Wtem dur mnie schwycił, szczęki mi się ścisły... Rzekłbyś, że mnie kto za żyły w szyi szarpnął... Zaczem wydało mi się, że owe iskry, wedle nas latające, zmieniły się w pszczoły i brzęczą jako pszczoły.... Ot, jak mnie tu widzisz, prawda!

— I co później?

— Nic już nie pamiętam jeno taki strach, jak gdybym w niezmierną studnię zlatywał, w jakąś głębię bezdenną. Co za strach! powiadam ci, co za strach! Teraz jeszcze włosy wstają mi na głowie... I nie sam strach, ale... jakby powiedzieć... i czczość i nuda niezmierna i umęczenie niepojęte... Szczęściem, mocy niebieskie były ze mną, inaczej jużbym dziś z tobą nie rozmawiał.

— Wasza ks. mość miałeś paroksyzm... Sama choroba często różne jasełeczka przed oczy stawia, ale dla pewności możnaby kazać nieco lodu na rzece obrąbać i tę babę spławić.

— Jechał ją sęk! I tak jutro ruszamy, a potem przyjdzie wiosna, inne będą zaraz gwiazdy i noce krótkie, wszelką nieczystą siłę debilitujące.

— Skoro mamy jutro ruszać, to już lepiej wasza ks. mość tej dziewki zaniechaj.

— Choćbym nie chciał, muszę... Wcale żądze dziś ode mnie odpadły.

— Puść ich, niech sobie idą do dyabła!

— Nie może być!

— Czemu?

— Bo mi się szlachcic do okrutnych pieniędzy przyznał, które są w Billewiczach zakopane. Puszczę ich, to odkopią i pójdą w

lasy. Wolę ich tu potrzymać, a pieniądze w rekwizycyę wziąć... Teraz wojna, to wolno! Zresztą sam się ofiarował. Każemy sady w Billewiczach skopać piędź przy piędzi; musimy znaleźć. Miecznik zaś, siedząc tu, przynajmniej hałasu i krzyku na całą Litwę nie naczyni, że go zrabowano. Złości mnie biorą, gdy pomyślę, ilem tu pieniędzy napróżno stracił na owe uciechy i turnieje, a wszystko to na nic! na nic!...

— Mnie już dawno i na tę dziewkę złości brały. A mówię w. ks. mości, że gdy wczoraj przyszła i rzekła mi niby ostatniemu ciurze: "Ruszaj, sługo, na górę, bo tam pan twój leży" — tylko com jej głowy nie ukręcił jako szpakowi, ile żem myślał, że to ona sama pchnęła waszę ks. mość nożem, czyli ustrzeliła z krucicy.

— Ty wiesz, iż nie lubię, żeby kto u mnie rządził, jak szara gęś... I dobrze, żeś tego nie uczynił, bo kazałbym cię owemi żelazkami szczypać, które na Plaskę były przygotowane... Wara ci od niej....

— Plaskę jużem wyprawił z powrotem. Okrutnie był zdziwiony, nie wiedząc, poco go przywieźli i poco każą precz. Chciał coś za fatygę, że to, powiada "w handlu mam stratę," alem mu rzekł: w nagrodę skórę całą wywozisz!... Zali to naprawdę jutro mamy ruszać na Podlasie?

— Jako Bóg w niebie. A wojska powyprawiane wedle moich rozkazów?

— Rajtarye wyszły już do Kiejdan, skąd mają do Kowna ruszyć i tam czekać... Nasze polskie chorągwie są jeszcze tu; nie zdało mi się naprzód ich wyprawiać. Ludzie niby pewni, a przecie mogliby się z konfederatami zwąchać. Głowbicz pojedzie z nami; semenowie pod Wrotyńskim także, Karlstrom ze Szwedy idzie w przedniej straży... Po drodze ma rozkaz rebelizantów, a zwłaszcza chłopstwo wycinać.

— Dobrze.

— Kyritz z piechotą ma ciągnąć zwolna, aby w ciężkim terminie było się o kogo oprzeć. Jeśli mamy iść naprzód jako piorun i cały rachunek nasz na szybkości polega, to nie wiem, jeżeli pruskie i szwedzkie rajtarye będą nam przydatne. Szkoda, że nie staje polskich chorągwi, bo mówiąc między nami, niemasz nad naszą jazdę...

— A artylerya wyszła?

— Wyszła.

— Jakże i Paterson?

— Nie! Paterson jest, pilnuje Ketlinga, który własną szpadą zranił się dość szkodliwie. On go bardzo miłuje. Gdybym Ketlinga nie znał, iż odważny oficer, myślałbym, że się umyślnie zakłół, aby na wyprawę nie iść.

— Trzeba tu będzie ze sto ludzi zostawić, toż w Rosieniach, toż w Kiejdanach. Szwedzkie prezydya szczupłe, a de la Gardie i tak codzień od Loewenhaupta ludzi żąda. Jak jeszcze i my wyjedziemy, rebelia zapomni o szawelskiej klęsce i znów głowę podniesie.

— Rosną oni i tak. Znów słyszałem, iż Szwedów w Telszach wycięto.

— Szlachta? chłopi?

— Chłopi pod przywództwem księdza, ale są i partye szlacheckie, szczególnie wedle Laudy.

— Laudańscy pod Wołodyjowskim wyszli.

— Siła wyrostków i starców ostało. Ci za broń chwytają, bo to wojennicy z rodu.

— Bez pieniędzy nic rebelia nie wskóra.

— A my się w Billewiczach zasilim. Trzeba być geniuszem, jak wasza ks. mość, żeby tak we wszystkiem znaleść poradę.

Bogusław gorzko się uśmiechnął.

— Lepiej w tym kraju cenią tego, kto się królowej jejmości i szlachcie akomodować umie. Geniusz ni cnota nie popłaca. Szczęście, żem to i książęciem Rzeszy, a za nogę mnie przecie do sosny nie przywiążą. Byle mnie intraty z dóbr, tu położonych, regularnie dochodziły, nie dbam o całą Rzeczpospolitą.

— Żeby tylko konfiskować nie chciano?

— Pierwej my skonfiskujemy Podlasie, jeśli nie całą Litwę. Tymczasem zawołaj mi Patersona.

Sakowicz wyszedł i po chwili wrócił z Patersonem. Rozpoczęła się przy łożu książęcem narada, skutkiem której nazajutrz do dnia miano ruszać i nagłemi pochodami ciągnąć na Podlasie. Książę Bogusław wieczorem czuł się już o tyle lepiej, że ucztował razem z oficerami i żartami do późna się bawił, słuchając z przyjemnością rżenia koni i szczęku oręża gotujących się do pochodu, chorągwi.

Chwilami oddychał głęboko i przeciągał się w krześle.

— Widzę, że ta wyprawa zdrowie mi wróci, — mówił do oficerów — bom też wśród tych wszystkich układów i zabaw znacz-

nie zależał. Ale w Bogu nadzieja, że poczują rękę moją konfederaci i nasz eks-kardynał w koronie.

Na to zaś Paterson ośmielił się odpowiedzieć:

— Szczęście, to, że Dalila nie obcięła włosów Samsonowi.

Bogusław popatrzył na niego przez chwilę dziwnym wzrokiem, od którego Szkot już mieszać się począł, ale po chwili oblicze książęce rozjaśniło się strasznym uśmiechem.

— Jeśli filarem jest Sapieha, — odrzekł — to nim tak potrząsnę, że cała Rzeczpospolita na łeb mu runie.

Rozmowa była prowadzona po niemiecku więc wszyscy cudzoziemscy oficerowie-jurgieltnicy zrozumieli ją dokonale i odpowiedzieli chórem:

— Amen!

Nazajutrz pochód z księciem na czele wyruszył do dnia. Szlachta pruska, którą świetny dwór przywabiał, poczęła zaraz wynosić się do domów.

Za nimi ruszyli do Tylży ci, którzy w Taurogach szukali przed groźbami wojny schronienia, a którym Tylża wydała się teraz bezpieczniejszą. Zostali tylko miecznik, panna Kulwiecówna i Oleńka nie licząc Ketlinga i starego oficera Brauna, który nad szczupłym prezydyum miał komendę.

Miecznik, po owem uderzeniu obuszkiem, leżał dni kilkanaście, krew od czasu do czasu ustami oddając, że jednak żadna kość nie była złamana, począł zwolna przychodzić do siebie i o ucieczce zamyślać.

Tymczasem nadjechał ciwun z Bilewicz z listem od samego Bogusława. Miecznik nie chciał z początku pisma czytać, lecz wkrótce namyślił się inaczej, idąc w tem za radą panienki, która była zdania, że lepiej znać wszystkie zamiary nieprzyjaciela.

„ Mnie wielce miłościwy panie Billewicz! Concordia res parvae crescunt, discordia maximae dilabuntur (zgodą małe rzeczy rosną, niezgodą nawet największe upadają!) Fata to sprawiły, żeśmy się nie rozstali tak zgodnie jakby sobie moje afekta dla wpana i jego wdzięcznej synowicy życzyć mogły, w czem dalibóg nie moja wina, gdyż to wpan wiesz najlepiej, iżeście mnie za moje szczere intencye niewdzięcznością nakarmili. Co się zaś w gniewie czyni, tego wedle amicycyi w rachubę brać nie trzeba, tuszę, przeto, że popędliwe me uczynki zechcesz wpan krzywdą, której od was doznałem, zgoła wyekskuzować. Ja wam też z serca odpuszczam, jako mi

chrześcijańska miłość nakazuje i do zgody powrócić pragnę. Żeby was wpanu dać rękojmię, że urazy w sercu nie zostało, nie osądziłem za rzecz godną odmawiać wpanu tej przysługi, której ode mnie żądałeś i pieniądze wpanowe przyjmuję...."

Tu miecznik przestał czytać, uderzył kułakiem w stół i zakrzyknął:

— Pierwej mnie na marach zobaczy, niż szeląg z mojej szkatuły!

— Czytaj ojciec dalej — rzekła Oleńka.

Miecznik podniósł znów pismo do oczu.

"....Której gotowizny dobywaniem nie chcąc wpana trudzić i zdrowia jego w dzisiejszych burzliwych czasach na szwank wystawiać, kazałem sam ją wydobyć i obliczyć..."

W tem miejscu zabrakło panu miecznikowi głosu i list wypadł mu z rąk na podłogę; przez chwilę zdawało się, że mowa została szlachcicowi odjętą, bo palcami tylko chwycił się za czuprynę i targnął ją z całej siły:

— Bij, kto w Boga wierzy! — zakrzyknął wreszcie.

Na to Oleńka:

— Jedna krzywda więcej, kara Boska bliżej, bo miara wkrótce się dopełni...

---

## LXXII.

Rozpacz miecznika była tak wielka, że panna musiała go pocieszać i zapewniać, że tych pieniędzy za przepadłe uważać nie trzeba, bo przecie sam list ów za skrypt starczy, a Radziwiłła, pana tylu dóbr na Litwie i Rusi, jest na czem poszukiwać.

Natomiast, że trudno było przewidzieć, co ich oboje spotkać jeszcze może, zwłaszcza gdyby Bogusław powrócił zwycięsko do Taurogów, poczęli tem gorliwiej myśleć o ucieczce.

Oleńka radziła ją wszelako odłożyć, dopókiby Hassling-Ketling nie wyzdrowiał; bo Braun był to posępny i nieużyty żołdak, pilnujący ślepo rozkazów i niepodobna było go przejednać.

Co do Ketlinga, wiedziała doskonale panienka, że dlatego się zranił, aby przy niej pozostać, zatem wierzyła głęboko, że wszystko dla niej uczynić gotów. Sumienie niepokoiło ją wprawdzie

bez ustanku pytaniami, czy ma prawo dla własnego ocalenia poświęcać cudzy los, a może i życie, lecz groźby, które nad nią wisiały w Taurogach, były tak straszne, że stokroć przewyższały niebezpieczeństwa, na jakie Ketling, z powodu opuszczenia służby, mógł być narażony. Bo przecie Ketling, jako wyborny oficer, wszędy mógł znaleźć służbę i to szlachetniejszą, a z nią razem i potężnych protektorów, jako król, jako pan Sapieha lub pan Czarniecki. I będzie przytem służył dobrej sprawie i znajdzie pole wywdzięczenia się temu królowi, który go wygnańca przygarnął. Śmierć grozi mu tylko w takim razie, gdyby wpadł w ręce Bogusława, ale przecie Bogusław nie włada jeszcze w całej Rzeczypospolitej.

Panna przestała się wahać i gdy zdrowie młodego oficera polepszyło się już znacznie, że mógł służbę odbywać, wezwała go do siebie.

Ketling stanął przed nią blady, wynędzniały, bez kropli krwi w twarzy, ale pełen zawsze czci, uwielbienia i pokory.

Na jego widok łzy zakręciły się w oczach Oleńce, bo przecie była to jedyna życzliwa dusza w Taurogach, a taka przytem biedna i cierpiąca, że gdy Oleńka na powitanie spytała go o zdrowie, młody oficer odrzekł.

— Niestety, pani, wraca, a takby mi było dobrze umrzeć...

— Waćpanu trzeba porzucić tę służbę — odrzekła, patrząc nań ze współczuciem dziewczyna, — bo tak zacnemu sercu trzeba pewności, że zacnej sprawie, zacnemu panu służy.

— Niestety! — powtórzył oficer.

— Kiedy kończy się służba waćpana?

— Za pół roku dopiero.

Oleńka pomilczała chwilę, poczem podniosła na niego swe cudne oczy, które w tej chwili przestały być surowe, i rzekła.

— Słuchaj mnie, panie kawalerze. Będę mówiła jako do brata, jako do serdecznego konfidenta: waćpan możesz i powinieneś się uwolnić.

To rzekłszy, wyznała mu wszystko i zamiar ucieczki i to, że na jego pomoc rachuje. Poczęła mu przedstawiać, że służbę wszędy może znaleźć, a piękną, jak jego dusza jest piękną, a zaszczytną, jak honor rycerski wymagać może; wreszcie takiemi skończyła słowy:

— Ja waćpanu do śmierci będę wdzięczną. Pod Bożą opiekę chcę się schronić i Bogu w zakonie ślubować, ale gdziekolwiek bę-

dziesz daleko, czy blizko, na wojnie, w pokoju, będę się za waćpana modliła, będę prosiła Boga, by bratu mojemu i dobroczyńcy dał spokój i szczęście, gdy ja, prócz wdzięczności i modlitwy nic mu więcej dać nie mogę...

Tu głos jej zadrżał a oficer słuchał jej słów, bledniejąc jak chusta, nakoniec klęknął, obie dłonie przyłożył do czoła i głosem do jęku podobnym odrzekł:

— Nie mogę, pani! nie mogę!...

— Waćpan mi odmawiasz? — spytała ze zdumieniem Billewiczówna.

A on, zamiast odpowiedzieć, modlić się począł.

— Boże wielki i miłosierny! — mówił. — Od dziecinnych lat nigdy fałsz nie postał na wargach moich, nigdy nie splamił mnie krzywy uczynek. Wyrostkiem będąc, broniłem tą słabą ręką króla mojego i ojczyzny; za cóż, Panie, karzesz mnie tak często i zsyłasz mękę, do której, sam widzisz, sił mi brakuje!

Tu zwrócił się do Oleńki:

— Pani, ty nie wiesz, co to jest rozkaz dla żołnierza, że w posłuchu nietylko jego obowiązek, ale i jego cześć i honor. Mnie, pani, wiąże przysięga i więcej, niż przysięga, bo słowo rycerskie, że służby przed terminem nie porzucę i co do niej należy, ślepo spełnię. Jam żołnierz i szlachcic i tak mi dopomóż Bóg, jako nigdy w życiu nie pójdę śladem takich jurgieltników, którzy honor i służbę zdradzają. A nawet na rozkaz, nawet na prośbę twoją, pani, słowa nie złamię, choć w męce to mówię i bólu. Gdybym mając rozkaz nie puszczać nikogo z Taurogów, stał na straży przy bramie i gdybyś wówczas ty sama, pani, przejść ją, wbrew rozkazowi, chciała, tedy przeszłabyś, ale po moim trupie. Tyś mnie, pani nie znała i zawiodłaś się na mnie... Ale zlituj się, zrozumiej, że ja ci do ucieczki pomagać nie mogę i słuchać nawet o niej nie powinienem, gdyż rozkaz jest wyraźny, gdyż odebrał go Braun i nas pięciu pozostałych tu oficerów. Boże, Boże! gdybym był przewidział taki rozkaz, wolejbym poszedł na tę wyprawę... Ja pani nie przekonam, nie uwierzysz mi, a jednak Bóg widzi, Bóg niech tak mnie sądzi po śmierci, jako prawda, że życie dałbym ci bez wahania... honoru nie mogę, nie mogę!

To rzekłszy, Ketling złamał ręce i umilkł, wyczerpany zupełnie, jeno począł oddychać szybko.

Oleńka nie ochłonęła jeszcze ze zdumienia. Nie miała czasu ni

zastanowić się ni ocenić, jak należy tej duszy wyjątkowej w swej s lachetności, czuła tylko, że zsuwa się z pod nóg jej ostatnia deska ratunku, zawodzi ją jedyny sposó b wydostania się z nienawistnej niewoli.

Lecz próbowała jeszcze opierać się.

— Panie — rzekła po chwili. — Jestem wnuczką i córką żołnierza; dziad i ojciec mój również honor nad życie cenili, ale właśnie dlatego do wszystkich posług daliby się byli ślepo używać....

Ketling wydobył drżącą ręką pismo z kalety, podał je Oleńce i rzekł.

— Sądź pani, czy rozkaz służby nie tyczy?

Oleńka rzuciła okiem na papier i przeczytała co następuje:

"Ponieważ doszło do naszej wiadomości że, urodzony Billewicz, miecznik rosieński zamierza opuścić skrycie rezydencyę naszą w zamiarach nam nieprzyjaznych: mianowicie, aby znajomych, koligatów, krewnych i klijentów swoich ad rebelionem (do powstania przeciw jego szwedzkiemu majestatowi i nam excitare (podniecać) przeto polecamy oficerom, na praesidium (załogą) w Taurogach zostającym, urodzonego Billewicza wraz z synowicą, jako zakładników i jeńców wojennych strzedz i ucieczki ich nie dopuścić, pod utratą honoru isub poena (pod karą) sądu wojennego..." etc.

— Rozkaz przyszedł z pierwszego postoju, po wyjeździe księcia — rzekł Ketling, — dlatego jest na piśmie.

— Niech się dzieje wola Boża! — rzekła po chwili milczenia Oleńka. — Stało się!

Ketling czuł, że wypada mu już odejść i nie ruszał się z miejsca. Blade jego wargi poruszały się od czasu do czasu, jak gdyby chciał coś mówić i nie mógł głosu wydobyć.

Dławiło go pragnienie, by paść jej do nóg i żebrać przebaczenia, lecz z drugiej strony czuł, że ona dosyć ma własnego nieszczęścia i znajdował jakowąś dziką rozkosz w tem, że i on cierpi i że będzie cierpiał bez skargi.

Nakoniec skłonił się i wyszedł w milczeniu, ale zaraz w kurytarzu pozrywał bandaże, które miał na świeżej ranie i padł zemdlony, a gdy po upływie godziny straż pałacowa znalazła go leżącego blizko schodów i odniosła do cekhauzu, rozchorował się ciężko i przez dwa tygodnie nie mógł opuścić łoża.

Oleńka po odejściu Ketlinga pozostała czas jakiś jakby odurzona. Spodziewała się prędzej śmierci, aniżeli jego odmowy, dlatego

w pierwszej chwili, pomimo całego hartu duszy, zbrakło jej sił, energii, u czuła się słabą, jak zwykła niewiasta, a chociaż nieświadomie powtarzała: "dziej się wola Boża!" — przecie żal zawodu wziął gó ę nad rezygnacyą i łzy obfite a gorzkie pu ś iły się z jej oczu.

W tej chwili nadszedł miecznik, a spojrzawszy na synowicę, odgadł zaraz, że mu niepomyślną wieść ma zwiastować, więc spytał żywo:

— Dla Boga! co tam znowu?

— Ketling odmawia — odrzekła dziewczyna.

— Wszystko to łotry, szelmy i arcypsy! Jakto? i i ten nie chce pomódz?

— Nietylko nie chce on pomódz — odrzekła, skarżąc się, jak małe dziecko, — ale powiada jeszcze, że przeszkodzi, choćby też i poledz mu przyszło.

— Czemu! na rany Pańskie czemu!

— Bo taka już nasza dola! Ketling nie zdrajca, ale taka już nasza dola, bośmy najnieszczęśliwsi ze wszystkich ludzi!

— Bodaj tych wszystkich heretyków pioruny zatrzasły! — krzyknął miecznik. — Na cnotę nastają, łupią, kradną, więżą... Bodaj wszystko już przepadło! Nie żyć uczciwym ludziom w takich czasach!

Tu począł chodzić śpiesznym krokiem po komnacie i pięściami wygrażać, nakoniec ozwał się, zgrzytnąwszy zębami:

— Wolałem wojewodę wileńskiego, wolę tysiąc razy nawet Kmicica, niż tych upertumowanych szelmów bez czci i sumienia!

A gdy Oleńka nie odrzekła nic, tylko jeszcze mocniej płakać zaczęła, pan miecznik złagodniał i po chwili tak mówić począł.

— Nie płacz. Kmicic mi do głowy przyszedł jeno dlatego, że tenby nas przynajmniej wyrwać z tej babilońskiej niewoli potrafił. Dałby ci on wszystkim Braunom, Ketlingom, Patersonom i samemu Bogusławowi! Ale zresztą wszyscy zdrajcy jednacy! Nie płacz! Płakaniem nic nie wskórasz, a tu radzić trzeba. Nie chce Ketling pomagać.... żeby go skrzydło!... to się bez niego obejdziem... Męski niby animusz w tobie, w ciężkim terminie jeno szlochać umiesz.. Co powiada Ketling?

— Powiada, że książę kazał nas jako jeńców wojennych strzedz, bojąc się, żebyś stryjko partyi nie zebrał i do konfederatów nie poszedł.

Pan miecznik wziął się w boki:

— A! a! boi się szelma!.. I ma słuszność, bo tak uczynię, jak Bóg w niebie!

— Mając zaś rozkaz, który służby tyczy, Ketling pod czcią musi go spełnić.

— Dobrze!... Obejdziem się bez heretyckiej pomocy!

Oleńka otarła oczy.

— I stryjko myślisz, że będzie można?

— Myślę, że trzeba, a jak trzeba, to i można, choćbyśmy mieli po powrozach spuszczać się z tych okien.

A panienka zaraz na to:

— Moja wina, żem płakała... Radźmy jak najprędzej!

Łzy jej całkiem oschły i brwi ściągnęły się znowu od myślenia z dawną stanowczością i energią.

Jakoż pokazało się, że miecznik nie umie rady znaleść i że imaginacya panny o wiele w sposoby obfitsza. Lecz ciężko i jej szło, bo to było jasne, że ich tam muszą strzedz pilnie.

Postanowili tedy nic prędzej próbować, aż pierwsze wieści od Bogusława przyjdą do Taurogów. W tem całą złożyli nadzieję, spodziewając się kary Boskiej na zdrajcę ojczyzny i bezecnego człeka. Mógł on przecie poledz, mógł obłożnie zachorzeć, mógł być pobity przez Sapiehę, a wówczas niezawodnie powstałby w całych Taurogach popłoch i nie takby już bacznie bram strzeżono.

— Znam ja pana Sapiehę, — mówił, pokrzepiając siebie i Oleńkę, miecznik — wojennik to powolny, ale akuratny i dziw jak zawzięty. Exemplum (przykład) jego dla majestatu i ojczyzny wierność. Zastawił się, wyprzedał, a taki potęgę zebrał, przy której Bogusławowa jedno nic. Tamto poważny senator, to fircyk, tamto prawy katolik, to heretyk, tamto sama roztropność, to paliwoda! Przy kim może być wiktorya i błogosławieństwo Boże? Ustąpi ta radziwiłłowska noc przed sapieżyńskim dniem, ustąpi! Chybaby kary i sprawiedliwości na tym świecie nie było!... Czekajmy jeno wieści i módlmy się za powodzenie pana sapieżyńskiego oręża.

Poczęli tedy wyczekiwać, ale przeszedł miesiąc, długi, ciężki dla strapionych serc, nim pierwszy goniec przybył, a i to wysłany nie do Taurogów, ale do Steinboka, do Prus królewskich.

Ketling, który od czasu ostatniej rozmowy nie śmiał stanąć

przed oczyma Oleńki, przysłał jej zaraz kartę z następującą wiadomością:

"Książę Bogusław zniósł pana Krzysztofa Sapiehę koło Brańska; kilka chorągwi jazdy i piechoty w pień wyciętych. Idzie na Tykocin, pod którym stoi Horotkiewicz."

Dla Oleńki byłto poprostu grom. Wielkość wodza i dzielność rycerska znaczyły dla jej dziewczęcego umysłu jedno i to samo, że zaś widziała Bogusława w Taurogach, pokonywającego z łatwością najdzielniejszych rycerzy, przeto, zwłaszcza po owej wiadomości, wyobraziła go sobie, jako złą, ale niezwyciężoną siłę, której nikt nie sprosta.

Nadzieja, aby Bogusław mógł być pokonany, zgasła w niej zupełnie. Próżno miecznik uspokajał ją i pocieszał tem, że młody książę nie zmierzył się jeszcze ze starym panem Sapiehą, próżno jej zaręczał, że sama godność hetmańska, którą król świeżo pana Sapiehę przyozdobił, musi dać temu ostatniemu stanowczą nad Bogusławem przewagę, nie wierzyła, nie śmiała wierzyć.

— Kto go zwycięży? kto mu sprosta?... — odpowiadała ustawicznie.

Dalsze wieści zdawały się potwierdzać jej obawy.

W kilka dni później Ketling znów nadesłał kartkę z doniesieniem o rozbiciu Horotkiewicza i wzięciu Tykocina. "Całe Podlasie (pisał) jest już w ręku księcia, który nie czekając na pana Sapiehę, sam wielkiemi pochodami ciągnie na niego."

— I panSapieha zniesion będzie — pomyślała dziewczyna.

Tymczasem nadleciała, niby jaskółka, zwiastunka wiosny, wieść z innych stron. Na te przymorskie brzegi Rzeczypospolitej przyleciała ona późno, ale zato ubrana we wszystkie tęczowe blaski cudownej legendy z pierwszych wieków chrześcijaństwa, gdy jeszcze święci chodzili po świecie, świadcząc prawdzie i sprawiedliwości.

— Częstochowa! Częstochowa! — powtarzały wszystkie usta.

Z serc lód odlatał i zakwitnęły jako kwiaty w przybranej wiosennem słońcem ziemi. "Częstochowa się obroniła, widziano Ją samą, Królową polską, okrywającą mury płaszczem niebieskim; granaty zabójcze przypadały pod Jej święte stopy, łasząc się jako psy domowe; Szwedom schły ręce, muszkiety przyrastały do twarzy aż odstąpili ze wstydem i strachem.'"

Ludzie sobie obcy, gdy usłyszeli tę wieść, padali sobie w objęcia, płacząc z radości. Inni narzekali, że przyszła tak późno.

— A my tu w płaczu, mówili — a my w bólu, my w męce tyle czasu żyli, gdy nam już weselić się było trzeba!...

Zaczem poczęło huczeć w całej Rzeczypospolitej i roztaczały się te groźne grzmoty od Pontu Euxynu do Bałtyku, aż fale obu mórz drżały; to lud wierny, lud zbożny powstawał, jak burza w obronie swej Królowej. We wszystkie serca wstąpiła otucha, wszystkie źrenice zapałały ogniem; to, co się wydawało przedtem strasznem i niezwalczonem, zmalało w oczach.

Kto go pokona? — mówił do dziewczyny pan miecznik — kto mu sprosta? Teraz wiesz kto? Panna Najświętsza!

Oboje z Oleńką krzyżem po całych dniach leżeli, dziękując Bogu za miłosierdzie nad Rzecząpospolitą; zarazem przestali wątpić i o własnem ocaleniu.

O Bogusławie zaś ucichło przez długi czas zupełnie, jakby on sam wraz z całą siłą w wodę wpadł. Oficerowie, pozostali w Taurogach, poczęli się niepokoić i przyszłość swą niepewną oglądać. Woleliby wieść o klęsce, niż tę głuchą ciszę. Ale żadna wieść nie mogła nadejść, bo właśnie oto wówczas straszliwy Babinicz wysforował się z Tatary przed księcia i wszystkich gońców przejmował.

———

## LXXIII.

Pewnego jednak dnia przybyła do Taurogow z konwojem kilkudziesięciu żołnierzy panna Anna Borzobohata-Krasieńska.

Braun przyjął ją bardzo uprzejmie, bo musiał, gdyż mu tak nakazywał list Sakowicza, przez samego Bogusława podpisany, a polecający wszelkie dla respektowej panienki księżnej Gryzeldy Wiśniowieckiej mieć względy. Panienka też była pełna fantazyi, od pierwszej chwili przyjazdu poczęła w Braunie świdrować oczkami, aż posępny Niemiec rozruszał się, jakoby go kto ogniem przypiekł; poczęła także komenderować innymi oficerami, słowem rozporządzać się w Taurogach, jak we własnym domu. Tego samego dnia wieczorem poznała się z Oleńką, która patrzyła wprawdzie na nią z nieufnością, lecz przyjmowała ją grzecznie, w nadziei, iż nowin od niej zaczerpnie.

Jakoż Anusia miała ich poddostatkiem. Rozmowa poczęła się od Częstochowy, bo tych wieści najchciwsi byli taurożeńscy jeńcy. Miecznik szczególnie pilnie osłaniał uszy rękoma, by żadnego słowa nie uronić, przerywając tylko od czasu opowiadanie Anusi okrzykami:

— Chwała na wysokości Panu!

— Dziwno mi to, — rzekła wreszcie przyjezdna panienka, — że waćpaństwa dopiero niedawno wiadomość o tych cudach Najświętszej Panienki doszła, bo to już dawna historya i ja byłam jeszcze wtedy w Zamościu i pan Babinicz jeszcze po mnie nie przyjechał, he! na ileżto tygodni było przedtem... Potem już zaczęli Szwedów wszędy bić i w Wielkopolsce i u nas, a najgorzej pan Czarniecki, przed którego imieniem samem uciekają.

— A! pan Czarniecki! — krzyknął zacierając ręce miecznik — ten im da pieprzu! Słyszałem jeszcze o nim z Ukrainy, jako o wielkim żołnierzu.

Anusia tylko rączkami strzepnęła sukienkę i tak sobie, jakby o najmniejszą rzecz szło, zawołała od niechcenia:

— Oho! już po Szwedach!

Stary zaś pan Tomasz nie mógł wytrzymać, więc porwawszy ją za rączkę, całkiem pogrążył oną malutką w swych ogromnych wąsach i począł całować zawzięcie, wreszcie zakrzyknął:

— A moje śliczności! Patoka płynie z ust waćpanny, jak mi Bóg miły!... Nie może inaczej być, jeno anioł przyjechał do Taurogów!

Anusia zaraz poczęła kręcić palcami kończyki warkoczyków, obwiązane różowemi wstążeczkami i strzygąc z pod czoła oczyma, odrzekła:

— Ej, daleko mnie do aniołów! Ale już i hetmani koronni poczęli Szwedów bić i wszystkie wojsko kwarciane z nimi i wszystkie rycerstwo i uczynili konfederacyę w Tyszowicach i król do niej przystąpił i wydali uniwersały i nawet chłopstwo Szwedów bije.... i Najświętsza Panienka błogosławi...

Tak zaś mówiła, jakoby ptak szczebiotał, ale od tego szczebiotania w mieczniku serce zmiękło zupełnie, więc choć niektóre z tych nowin były już mu wiadome, ryknął wreszcie z radości, jak żubr; po twarzy Oleńki poczęły także płynąć łzy ciche a duże.

Widząc to Anusia, a mając od natury serce dobre, skoczyła zaraz ku niej, a objąwszy ją rękoma za szyję, poczęła mówić szybko:

— Nie płacz waćpanna... mnie waćpanny żal i nie mogę na to patrzeć... Czego płaczesz?...

Tyle było szczerości w jej głosie, że nieufność Oleńki znikła zaraz, ale zato rozpłakała się biedna dziewczyna jeszcze serdeczniej.

— Waćpanna taka śliczna... — pocieszała ją Anusia — czego płaczesz?

— Od radości, — odrzekła na to Oleńka, ale i ze strapienia bo my tu w ciężkiej niewoli jesteśmy, dnia niepewni, ani godziny...

— Jakże? U księcia Bogusława?

— U tego zdrajcy! u tego heretyka! — huknął pan miecznik.

Na to Anusia:

— To samo i mnie się przygodziło, a dlatego nie płaczę. Nie neguję waćpanu dobrodziejowi, że książę zdrajca i heretyk, ale dworny kawaler i płeć naszą respektujący.

— Bodaj go tak samo w piekle respektowali! — odparł miecznik. — Panna go jeszcze nie znasz, bo na waćpannę tak nie nastawał, jako na tę dziewczynę. Arcy to szelma jest, a ów Sakowicz drugi! Dałby Bóg, żeby pan hetman Sapieha obu pogrążył!

— Że pogrąży, to pogrąży.... Książę Bogusław chory okrutnie i potęgę ma niewielką. Prawda, że nagle nastąpił i kilka chorągwi zniósł i Tykocin zagarnął i mnie, ale nie jemu mierzyć się z pana sapieżyńską siłą. Możecie mi waćpaństwo wierzyć, bom obie potęgi widziała... Przy panu Sapieże najwięksi kawalerowie się znajdują, którzy sobie z księciem Bogusławem wnet poradzą.

— A widzisz! nie mówiłem ci? — rzekł miecznik, zwracając się do Oleńki.

— Księcia Bogusława znam zdawna, — mówiła dalej Anusia boto obojga księstwa Wiśniowieckich i państwa Zamoyskich powinowaty; przyjeżdżał on raz do nas do Łubniów, wtedy, kiedy książę Jeremi na Tatarów w Dzikie Pola chodził. Dlatego i teraz mnie szanować kazał, bopamiętał, żem tam domową była i księżnej pani najbliższą. Ot, taka, taka jeszcze byłam malutka nieto, co dziś!.. Mój Boże! ktoby się to tedy spodział, że z niego zdrajca będzie. Ale nie frasujcie się i tak mili państwo, bo albo on już nie wróci albo też my się jako stąd wydostaniemy.

— Już my tego próbowali — odrzekła Oleńka.

— I nie udało się wam?

— Jak się miało udać — rzekł miecznik. — Spuściliśmy się ze

sekretu przed jednym oficyjerem, o którym rozumieliśmy, że nam sprzyja, a pokazało się, że on gotów przeszkodzić, nie pomódz. Najstarszym nad nimi jest tu Braun, tego zaś i sam dyabeł nie przejedna.

Anusia spuściła oczki.

— Możeby mnie się udało. Trzeba tylko, żeby pan Sapieha tu przyszedł, aby było się do kogo schronić.

— Daj go Boże jak najprędzej — odpowiedział pan Tomasz, — bo też i między jego ludźmi siła mamy krewnych, znajomych i przyjaciół... — Ba tamże przecie są i dawni towarzysze z pod wielkiego Jeremiego, panowie Wołodyjowski, Skrzetuski i Zagłoba.

— Znam ich — odrzekła ze zdziwieniem Anusia, — ale ich u pana Sapiehy niemasz. Ej, żeby to byli! a zwłaszcza pan Wołodyjowski (bo pan Skrzetuski żonaty), toby mnie tu nie było, gdyż pan Wołodyjowski nie dałby się ogarnąć, jako pan Kotczyc.

— Wielki to kawaler! — zawołał miecznik.

— Chluba całego wojska! — dodała Oleńka.

— Dla Boga! czy tylko nie polegli, żeś ich waćpanna nie widziała?

— Ej, nie! — odrzekła Anusia — przecieby głośno było o śmierci takich rycerzy, a nie mówiono mi nic... Waćpaństwo ich nie znacie... Nie dadzą się oni nigdy... chyba kula może ich zabić, bo żaden człowiek im nie poradzi, ani panu Skrzetuskiemu, ani panu Zagłobie, ani panu Michałowi. Chociaż pan Michał mały, ale pamiętam, co książę Jeremi o nim powiadał, że gdyby los całej Rzeczypospolitej zawisł od bitwy jednego z jednym, toby pana Michała do niej wybrał. Onże Bohuna usiekł... O nie! pan Michał zawsze sobie da radę.

Miecznik kontent, że ma z kim gawędzić, począł chodzić szerokiemi i krokami po komnacie, zapytując:

— Proszę, proszę! To waćpanna znasz tak dobrze pana Wołodyjowskiego?

— Bośmy tyle lat razem byli...

— Proszę!... To pewno się i bez afektów nie obeszło?

— Ja temu nie winna — rzekła Anusia, przybierając skromną postawę, — ale do tej pory pewnie i pan Michał się ożenił.

— A właśnie, że się nie ożenił.

— Choćby się i ożenił... toż mi wszystko jedno!...

— Daj wam Boże, abyście się zeszli... Ale to mnie martwi, co

mi waćpanna mówisz, że ich u pana hetmana niemasz, bo z takimi żołnierzami wiktorye łatwiejsze.

— Jest tam ktoś co za nich wszystkich stanie.

— Któżto taki?

— Pan Babinicz z Witebskiego... Waćpaństwo o nim nie słyszeli?

— Nie, co mi i dziwno.

Anusia poczęła opowiadać historyę swego wyjazdu z Zamościa i wszystko, co się jej w drodze przygodziło. Pan Babinicz zaś wyrósł w jej opowiadaniu na tak wielkiego bohatera, że miecznik w głowę zachodził, ktoby to był taki.

— Toż ja znam całą Litwę — mówił. — Są to wprawdzie domy podobnie się nazywające, jak: Babonaubków, Babiłów, Babinowskich, Babińskich, Babskich, ale o Babiniczach nie słyszałem...., i mniemam, że to musi być nazwisko przybrane, bo tak wielu czyni z tych, którzy są w partyach, ażeby zaś nieprzyjaciel nie mścił się na substancyi i rodzinach. Hm! Babinicz!... Ognisty to jakiś kawaler, skoro i pana Zamoyskiego umiał tak splantować.

— O! jak ognisty! ach! — zawołała Anusia.

Miecznik wpadł w dobry humor.

— Także to? — spytał, stając przed Anusią i biorąc się w boki.

— Bo waćpan dobrodziej może sobie zaraz Bóg wie co suponujesz?

— Boże uchowaj, nic nie suponuję!

— A pan Babinicz, ledwośmy z Zamościa wyjechali, zaraz powiedział, że jego serce kto inny w dzierżawie trzyma.. i chociaż mu tenuty nie płaci, przecie dzierżawcy zmienić nie myśli...

— I waćpanna temu wierzysz?

— Jużci, że wierzę — odparł z wielką żywością Anusia, — musi on być po uszy zakochany, skoro przez tyle czasu... skoro... skoro...

— Oj, jakoś nieskoro! — odrzekł, śmiejąc się pan miecznik.

— A ja mówię, że skoro — odrzekła, tupiąc nóżką, — bo skoro o nim usłyszymy...

— Daj to Bóg!

— I powiem waćpanu dlaczego... Oto, ile razy pan Babinicz o księciu Bogusławie wspominał, to mu aż twarz bielała, a zębami tak skrzypiał, jak drzwiami.

— To już będzie nasz przyjaciel!... — odrzekł pan miecznik.

— Pewnie!... I do niego uciekniemy, byle się pokazał!

— Bylem się stąd wyrwał, będę miał własną partyę i waćpanna

zobaczysz, że mi także wojna nie pierwszyzna i że ta stara ręka jeszcze się na coś przyda.

— To idź waćpan pod komendę pana Babinicza.

— Waćpanna masz większą ochotę iść pod tę komendę...

Długo jeszcze przekomarzali się w ten sposób i coraz weselej, tak, że i Oleńka, zapomniawszy o swych zgryzotach, rozweseliła się znacznie, a Anusia poczęła wkońcu parskać na miecznika, jak kotka. Że zaś była wypoczęta, bo na ostatnim noclegu w niedalekich Rosieniach wyspała się dobrze, odeszła więc dopiero późną nocą.

— Złoto nie dziewka! — rzekł po jej odejściu pan miecznik.

— Szczere jakoweś serce... i myślę, że prędko przyjdziemy do konfidencyi — odpowiedziała mu Oleńka.

— A postawiłaś jej oto w początku kozła na czole?

— Bom mniemała, że to ktoś nasłany. Czy ja wiem wreszcie? Wszystkiego się tu boję!

— Ona nasłana?... chyba przez dobre duchy!... A wykrętne to licho, jak łasica... Żebym tak był młodszy, nie wiem do czegoby przyszło, choć i tak człek jeszcze jary...

Oleńka rozweseliła się zupełnie i wsparłszy rączki na kolanach, przekręciła na bok główkę, naśladując Anusię i patrząc z ukosa na miecznika.

— Takto, stryjaszku? Stryjnę mi chcecie z tej mąki wypiec?

— No, cicho! no! — odrzekł miecznik.

Ale uśmiechnął się i począł całą garścią wąsa w górę podkręcać. Po chwili zaś dodał:

— Przecie i takową sensatkę, jak ty, rozruszała. Pewien jestem, że się okrutna amicycya między wami pocznie.

Jakoż nie mylił się pan Tomasz, bo w niedługim czasie zawiązała się przyjaźń między dziewczętami bardzo żywa i rosła coraz bardziej, może dlatego właśnie, że obie stanowiły zupełne względem siebie przeciwieństwo. Jedna miała powagę w duszy, głębokość uczuć, niezłomną wolę i rozum; druga, przy dobrem sercu i czystości myśli, była dzierlatką. Jedna ze swej cichej twarzy, jasnych warkoczów, z niewysłowionego spokoju i uroku wysmukłej postawy, do starożytnej Psyche była podobną; druga, istotna czarnuszka, przypominała raczej chochlę, która nocami na wertepy ludzi wyprowadza i frasunku ich się śmieje. Oficerów pozostałych w

Taurogach, którzy na obie codzień patrzyli, brała ochota całować Billewiczówny nogi, Anusi usta.

Ketling, mający duszę szkockiego górala, zatem melancholii pełną, czcił i ubóstwiał Oleńkę, a od pierwszego wejrzenia począł nie znosić Anusi, która zresztą wypłacała mu się wzajemnością, wetując poniesione straty na Braunie i wszystkich pozostałych, nie wyłączając samego pana miecznika rosieńskiego.

Oleńka w krótkim czasie uzyskała wielką przewagę nad swą przyjaciółką, która z całą szczerością serca mawiała do pana Tomasza:

— Ona w dwóch słowach więcej powie, niż ja przez cały dzień wytrajkoczę.

Z jednej wszelako przywary nie mogła poważna panna wyleczyć swej pustej przyjaciółki, mianowicie z zalotności. Bo niech jeno Anusia usłyszy brzęk ostróg na kurytarzu, wnet udaje, że czegoś zapomniała, że chce obaczyć, czy nowiny o panu Sapieże nie przybyły, wpada na korytarz, leci wichrem i wpadłszy na oficera, wykrzykuję:

— Ach! jak mnie pan przestraszył!

Poczem wszczyna się rozmowa, przeplatana kręceniem tartuszka, spoglądaniem z pod czoła i rozmaitemi minkami, za pomocą których najtwardsze serce męskie snadnie pogrążone być może.

I tem bardziej brała jej za złe Oleńka owo bałamuctwo, że Anusia po kilku dniach znajomości przyznała się jej do cichego afektu dla pana Babinicza. Nieraz z sobą o tem rozmawiały.

— Inni jako dziady żebrali — mówiła zatem Anusia, — a ten smok wolał na swoich Tatarów, niż na mnie spoglądać, a zaś nie mówił inaczej, jak rozkazując. "Waćpanna wysiądź! waćpanna jedz! waćpanna pij!" Żeby przytem był grubianin, ale nie był; żeby nie był troskliwy, ale był! W Krasnymstawie zaraz powiedziałam sobie: "Nie patrzysz na mnie — czekaj!..." A to już w Łęcznej mnie samą tak rozebrało, że strach. Tu powiem ci, żem mu w te siwe oczy jeno patrzała, a gdy się roześmiał, to już i mnie radość brała, jakobym owo niewolnicą jaką była...

Oleńka zwiesiła głowę, bo i jej siwe oczy przyszły na pamięć. I tamtenby tak samo mówił i tamten komendę wiecznie miał na ustach, dzielność w obliczu, jeno sumienia nie miał, ni bojaźni Bożej.

A Anusia idąc za własną myślą, mówiła dalej:

— Kiedy z buzdyganem na koniu po polach latał, to myślałam, że orzeł, albo hetman jaki. Tatarowie się go gorzej ognia bali. Gdzie przyjechał, posłuch musiał być, a jak się bitwa zdarzyła, to ognie na niego z ochoty na krew biły. Siła ja godnych kawalerów w Łubniach widziałam, ale takiego, żeby mnie strach przed nim brał, nigdym nie widziała.

— Jeżeli ci go Pan Bóg przeznaczył, to go dostaniesz, żeby zaś ciebie nie lubił, temu się wierzyć nie chce...

— Lubić, to on mnie lubi... troszeczkę... ale inną więcej. Sam mi nieraz mówił: Szczęście to waćpanny, że ni zapomnieć, ni odkochać się nie mogę, bo inaczej lepiejby wilkowi kozę powierzyć, aniżeli mnie taką dziewczynę.

— Cóżeś mu na to?

— Mówiłam mu tak: "Skądże waćpan wiesz, że bym mu była wzajemną?" A on odpowiadał: "Ja bym nie pytał!" I rób tu co chcesz z takim!... Głupia tamta, która go nie pokochała i samą zatwardziałość musi mieć w sercu. Pytałam go, jak jej imię, nie chciał powiedzieć. "Lepiej — mówił — tego nie tykać, bo to bolączka, a druga (powiada) bolączka to Radziwiłły... zdrajcy!" I zaraz tak straszną twarz czynił, że byłabym wolała do mysiej jamy się schować. Poprostu bałam się go!... Ale co tam! nie dla mnie on, nie dla mnie!

— Proś o niego świętego Mikołaja; wiem od ciotki, że najlepszy to w takich terminach protektor. Bacz jeno, abyś go nie obraziła innych bałamucąc.

— Już nigdy nie będę! jeno tyle! odrobinkę!

Tu Anusia pokazywała na palcu, ile sobie pozwoli i małą sobie wyznaczała porcyę, co najwięcej na pół paznogcia, by świętego Mikołaja nie obrazić.

— Ja nie przez pustą swawolę to czynię — tłómaczyła się panu miecznikowi, który także począł jej bałamuctwo do serca brać, — ale muszę, bo jeżeli nam ci oficyjerowie nie pomogą, to się nigdy stąd nie wydostaniem.

— Ba! Braun nigdy nie dopuści.

— Braun pogrążon! — odrzekła cienkim głosikiem i spuszczając oczy.

— A Fitz-Gregory?

— Pogrążon! — odrzekła jeszcze cieniej.

— A Ottenhagen?

— Pogrążon!

— A von Irben?

— Pogrążon!

— Niechże waćpannę las ogarnie!... To widzę z jednym Kettlingiem tylko nie umiałaś sobie dać rady...

— Nie cierpię go! Ale kto inny da sobie z nim rady. Zresztą obejdzie się bez jego pozwolenia.

— I waćpannę myślisz, że jak zechcemy uciekać, to oni nie przeszkodzą?

— Pójdą z nami... — odrzekła, wyciągając główkę i mrużąc oczy Anusia.

— Dla Boga! to czemu tu siedzimy? Dziśbym chciał być daleko! Ale z narady, która zaraz nastąpiła, wypadło, że należy czekać, póki się losy bogusławowe nie rozstrzygną i póki pan podskarbi, albo pan Sapieha, nie zbliżą się w okolice Żmudzi. Inaczej groziła sroga zguba nawet od swoich. Towarzystwo cudzoziemskich oficerów nietylko nie stanowiłoby obrony, ale powiększało jeszcze niebezpieczeństwo, lud bowiem prosty tak strasznie był na cudzoziemców zawzięty, że każdego kto polskich szat nie nosił mordował bez miłosierdzia. Polscy bowiem dygnitarze, noszący obce suknie, nie mówiąc o dyplomatach austryackich i francuskich, nie mogli podróżować inaczej, chyba pod osłoną potężnych oddziałów wojskowych.

— Waćpaństwo mi wierzcie, bom ja przejechała cały kraj — mówiła Anusia w pierwszej lepszej wsi, w pierwszym lepszym lesie, grasanci wymordują nas, nim spytają ktośmy tacy. Nie można inaczej uciekać, jeno do wojsk.

— Ba, będę miał własną partyę.

— Nim ją waćpan zbierzesz, nim do znajomej wsi dojedziesz, szyję stracisz.

— Wieści o księciu Bogusławie powinny wkrótce nadejść.

— Panu Braunowi kazałam, by zaraz mi wszystko donosił. Braun jednak przez długi czas nic jej nie donosił.

Ketling natomiast począł odwiedzać Oleńkę, bo pierwsza, spotkawszy go pewnego dnia, wyciągnęła doń rękę. Młody oficer źle wróżył z tej głuchej ciszy. Wedle niego, książę ze względu na elektora i Szwedów, nie zamilczałby o najmniejszem powodzeniu

i raczejby je przesadzał, niżeli milczeniem znaczenie rzeczywistych przewag osłabiał.

— Nie przypuszczam, żeby miał być już zniesiony ze szczętem — mówił młody oficer, — ale pewnie znajduje się w ciężkiem położeniu, z którego wyjścia znaleźć trudno.

— Wszystkie wieści przychodzą tu tak późno — odrzekła Oleńka, — a najlepszy dowód masz Częstochowę, o której cudownej obronie dowiedzieliśmy się szczegółów dopiero od panny Borzobohatej.

— Ja, pani, wiedziałem już o tem dawniej, ale nie rozumiejąc, jako cudzoziemiec, waloru, który dla Polaków ma to miejsce, nawet nie wspomniałem pani o tem. Bo, że się w tak wielkiej wojnie jakowyś zameczek na czas obroni i kilka szturmów odeprze, to się zawsze zdarza i zwykle nie przywiązuje się do tego wagi.

— A przecie byłaby to dla mnie najmilsza nowina.

— Widzę, istotnie, że źle uczyniłem, bo z tego, co jak teraz słyszę, po owej obronie zaszło, miarkuję, że to rzecz ważna, która na całą wojnę wpłynąć może. Wszelako, wracając do podlaskiej księcia ekspedycyi, to inna sprawa. Częstochowa daleko, Podlasie bliżej. A gdy księciu powodziło się początkowo, pamiętasz pani, jak prędko przychodziły nowiny... Wierzaj mi pani: jestem młodym człowiekiem, ale od czternastego roku życia żołnierzem i doświadczenie mi mówi, że owa cisza źle wróży.

— Raczej dobrze — odrzekła panna.

Na to Ketling:

Niech będzie dobrze!... Za pół roku kończy się moja służba!... Za pół roku kończy się moja przysięga!...

W kilka dni po tej rozmowie nowiny nareszcie nadeszły.

Przywiózł je pan Bies herbu Kornia zwany na dworze bogusławowym Corntusem. Byłto szlachcic polski, ale zcudzoziemczały zupełnie, bo od pacholęcych niemal lat w wojskach zagranicznych służąc, prawie po polsku zapomniał, a przynajmniej mówił, jak Niemiec. Duszę miał także zcudzoziemczałą, dla tego wielce do osoby księcia był przywiązany. Jechał on z misyą do Królewca, w Taurogach zaś zatrzymał się tylko dla wypoczynku.

Braun z Ketlingiem przyprowadzili go zaraz do Oleńki i Anusi, które obecnie mieszkały już i sypiały razem.

Braun stanął frontem przed Anusią, poczem zwrócił się do pana Biesa i rzekł:

— To jest krewna pana Zamoyskiego, starosty kałuskiego, zatem i księcia pana, dla której kazał wszelkie mieć atencye, a która życzy sobie nowiny z ust naocznego świadka posłyszeć.

Pan Bies z kolei wyprostował się jak po służbie i czekał pytania.

Anusia nie zaprzeczyła pokrewieństwa z Bogusławem, bo bawiły ją hołdy wojskowych, więc skinęła ręką na pana Biesa, by usiadł, co gdy uczynił, spytała:

— Gdzie książę obecnie się znajduje?

— Książę cofa się ku Sokółce, daj Boże szczęśliwie! — odpowiedział oficer.

— Mów waćpan szczerą prawdę, jak mu idzie?

— Powiem szczerą prawdę — odrzekł oficer — i nic nie zataję, mniemając, że jej dostojność znajdziesz w duszy fundament do wysłuchania nowin mniej pomyślnych.

— Znajdę! — odrzekła Anusia, stukając pod suknią korkiem o korek z ukontentowania, że ją zwą jej dostojnością i że nowiny są "mniej pomyślne."

— Z początku wszystko nam szło dobrze— mówił pan Bies. — Starliśmy po drodze kilka kup rebelizantów, rozbiliśmy pana Krzysztofa Sapiehę i wycięliśmy dwie chorągwie jazdy oraz regiment piechoty dobrej, nikogo nie żywiąc... Zaczem znieśliśmy pana Horotkiewicza, iż sam ledwie uszedł, a inni powiadają, że zabit... Zaczem zajęliśmy ruiny tykocińskie...

— To już wszystko wiemy, powiadaj prędko waćpan niepomyślne nowiny! — przerwała Anusia.

— Racz tylko pani wysłuchać ich spokojnie. Poszliśmy aż do Drohiczyna i tam naraz odwinęła się karta... Mieliśmy wieść, że pan Sapieha jeszcze daleko; tymczasem dwanasze podjazdy jakoby w ziemię wpadły. Nie wrócił ni świadek klęski. Wtem pokazało się, że jakieś wojska idą w przodku przed nami. Wielka ztąd powstała konfuzya. Książę pan począł myśleć, że wszystkie poprzednie relacye były fałszywe i że pan Sapieha nietylko nastąpił, ale i drogę przeciął. Poczęliśmy się tedy cofać, bo w ten sposób można było przydybać nieprzyjaciela i do walnej bitwy, której koniecznie chciał książę, go zmusić... Ale nieprzyjaciel nie dawał pola, jeno ciągle napadał i napadał. Poszły znów podjazdy i wróciły poszarpane. Odtąd poczęło nam wszystko w ręku topnieć, nie mieliśmy spokoju we dnie, ni w nocy. Drogi nam psuto, groble przecinano, przejmowano wiwendę. Poczęły chodzić słu-

chy, że sam pan Czarniecki nas gnębi; żołnierz nie jadł, nie spał duch upadł; w samym obozie ginęli ludzie, jakoby ich ziemia pożerała. W Białymstoku nieprzyjaciel zachwycił znów cały podjazd, kredensy i karoce książęce i działa. Nigdy nic podobnego nie widziałem. Nie widziano też tego w poprzednich wojnach. Książę wpadł w alteracyę. Chciał jednej walnej bitwy, a musiał staczać co dzień po dziesięć mniejszych i przegrywać. Ład rozprzęgał się. A cóż dopiero wyrazić zdoła naszą konfuzyę i strach, gdyśmy się dowiedzieli, że sam pan Sapieha jeszcze nie nastąpił i że tylko potężny podjazd przedostał się przed nas i tyle niewypowiedzianych klęsk nam zadał... W odjeździe tym były wojska tatarskie...

Dalsze słowa oficera przerwał pisk Anusi, która, rzuciwszy się nagle Oleńce na szyję, zakrzyknęła:

— Pan Babinicz!

Oficer zdumiał się, usłyszawszy nazwisko, ale sądził, że to przestrach i nienawiść wyrwały dostojnej pannie z piersi ten okrzyk, więc dopiero po chwili tak mówić począł:

— Komu Bóg dał wielkość, dał mu i siłę do zniesienia ciężkich terminów, więc racz się pani uspokoić! Tak istotnie zowie się ten piekielnik, który los całej wyprawy podkopał i nieobliczonych jeszcze szkód stał się przyczyną. Nazwisko, jego które jej dostojność z taką zdumiewającą bystrością odgadłaś, powtarzają teraz wszystkie usta z przerażeniem i wściekłością w naszym obozie...

— Tego pana Babinicza widziałam w Zamościu — odrzekła prędko Anusia — i gdybym była odgadła...

Tu umilkła i nikt nie dowiedział się, coby w takim razie zaszło?

Oficer, po chwili milczenia, tak znowu mówić począł:

— Nastały odwilże i ciepła, wbrew, można rzec, przyrodzonemu natury porządkowi, bo mieliśmy wiadomość, iż na południu Rzeczypospolitej zima trzyma się jeszcze tęga, a my zasie brodziliśmy w roztopach wiosennych, które naszą ciężką jazdę do ziemi przykuły. On zaś, mając ludzi lekkich, tem bardziej dojeżdżał. Co krok roniliśmy wozy i działa, tak, że wkońcu komunikiem iść przyszło. Mieszkaniec okoliczny w ślepej zaciekłości swej jawnie sprzyjał napastnikom... Będzie, co Bóg zdarzy, ale w desperackim stanie zostawiłem cały obóz i samego księcia pana, którego w dodatku febra złośliwa nie opuszcza i po całych dniach sił pozbawia.

Bitwa generalna wszakże nastąpi wkrótce, ale jak się to obróci, Bóg wie... i pokieruje... Cudów należy się spodziewać.

— Gdzieś waćpan zostawił księcia?

— Na dzień drogi od Sokółki; książę ma zamiar okopać się w Suchowoli, lub tamtejszym Janowie i bitwę przyjąć. Pan Sapieha jest o dwa dni drogi. Gdym wyjeżdżał, mieliśmy trochę wolniejszego oddechu, bo od schwytanego języka dowiedzieliśmy się, że sam Babinicz odjechał do głównego obozu,bez niego zaś Tatarowie nie śmieją tak następować, kontentując się szarpaniem podjazdów. Książę, który jest wódz niezrównany, wszystkie nadzieje na walnej bitwie gruntuje, ale to gdy zdrów, a gdy go febra chwyci, musi inaczej myśleć, czego najlepszy dowód w tem, iż mnie wysłał do Prus.

— Po co tam waćpan jedziesz?

— Albo książę bitwę wygra, albo przegra. Jeżeli przegra, całe Prusy elektorskie pozostaną bez obrony i snadnie może się zdarzyć, że pan Sapieha oprzejdzie granice, aby elektora do dyecezyi skłonić... Owóż mówię to, gdyż tajemnicy niema żadnej jadę ostrzedz, by jakowąś obronę tamtym prowincyom obmyślono, bo nieproszeni goście mogą w zbyt licznej kompanii nadciągnąć. Elektora to sprawa i Szwedów, z którymi książę pan jest w przymierzu i od których ma prawo ratunku wyglądać.

Oficer skończył.

Anusia zarzuciła go jeszcze mnóstwem pytań, z trudnością utrzymując należytą powagę, zato, gdy wyszedł, dała sobie folgę zupełną, poczęła rękoma po jubce uderzać, na korkach się jak fryga okręcać, Oleńkę po oczach całować, pana miecznika za wyloty ciągnąć i wołać:

— A co? a co mówiłam? Kto zgnębił księcia Bogusława? może pan Sapieha?... figę pan Sapieha! Kto Szwedów tak samo zgnębi? kto zdrajców wypleni? kto największy kawaler, największy rycerz? Pan Andrzej! pan Andrzej!...

— Jaki pan Andrzej?... — spytała nagle, blednąc Oleńka.

— To ci nie mówiłam, że jemu Andrzej na imię? Sam mi to powiadał. Pan Babinicz! pan Babinicz! Niech żyje pan Babinicz!... Już i pan Wołodyjowski lepiejby nie potrafił!... Co tobie, Oleńko?

Billewiczówna otrząsnęła się, jakby pragnąc zrzucić z siebie brzemię ciężkich myśli.

— Nic! Myślałam, że to imię sami zdrajcy noszą. Bo był ktoś,

który króla podejmował się żywego lub umarłego Szwedom, albo księciu Bogusławowi sprzedać i na imię miał także... Andrzej.

— Niech go Bóg potępi! — huknął miecznk. — Co tam zdrajców przed nocą wspominać. Radujmy się lepiej, gdy jest czego!

— Niech tylko tu pan Babinicz nadciągnie! — dodała Anusia. — Otóż tak! Będę, będę, umyślnie będę jeszcze bardziej Brauna bałamuciła, by całe prezydyum pobuntował i z ludźmi, z końmi i z nami razem, do pana Babinicza przeszedł.

— Uczyń to waćpanna! uczyń! — zawołał rozochocony miecznik.

— A później figa tym wszystkim Niemcom... Może też on o tej niegodnej zapomni i mnie po... ko...

Tu znowu pisnęła cieniuteczko, zakryła oczy rękoma, nagle gniewna myśl musiała jej przyjść do głowy, bo uderzyła pięstką w pięstkę i rzekła:

— Jak nie, to za pana Wołodyjowskiego pójdę!

---

## LXXIV.

We dwa tygodnie później zawrzało w całych Taurogach. Pewnego wieczora nadciągnęły bezładne kupy wojsk bogusławskich, po trzydzieści lub czterdzieści koni, nędzne, obdarte, do mar podobniejsze, niż do ludzi i przyniosły wieść o klęsce bogusławowej pod Janowem. Stracono w niej wszystko: armię, armaty, konie, tabór. Sześć tysięcy najświetniejszego ludu wyszło z księciem na tę wyprawę, wróciło zaś ledwo czterystu rajtarów, których sam książę wyprowadził z pogromu.

Z Polaków nie wróciła, prócz Sakowicza, jedna żywa dusza, wszyscy bowiem, którzy nie polegli w boju, których nie poznosił na podjazdach straszny Babinicz, przeszli do pana Sapiehy. Wielu także cudzoziemskich oficerów wolało dobrowolnie stanąć przy rydwanie zwycięzcy. Słowem, nigdy jeszcze żaden z Radziwiłłów nie powracał z wojennej wyprawy bardziej sterany, zniszczony i pobity.

A jak poprzednio dworackie pochlebstwo nie znało miary w wy-

noszeniu Bogusława, jako wodza, tak teraz wszystkie usta brzmiały nieustającą skargą przeciw niedołężnemu prowadzeniu wojny; w resztkach żołnierzy trwało nieustające wzburzenie, które w ostatnich dniach odwrotu sprowadziło zupełny bezład i doszło do tego stopnia, że książę osądził za rzecz roztropniejszą pozostać nieco w tyle.

Obaj z Sakowiczem zatrzymali się w Rosieniach. Hassling, dowiedziawszy się o tem od żołnierzy, poszedł natychmiast z nowiną do Oleńki.

— Główna rzecz, — rzekła mu, wysłuchawszy relacyi — czy pan Sapieha i ów Babinicz ścigają księcia i czy zamierzają wojnę przenieść w te strony?

— Z zeznań żołnierzy nic nie można wydobyć, — odpowiedział oficer — bo przestrach przesadza wszelkie niebezpieczeństwa, są więc tacy, którzy mówią, że pan Babinicz tuż. Z tego jednak, iż książę z Sakowiczem pozostali, wnoszę, iż pościg nie może być szybki.

— Ale wszakże musi nastąpić? Wszakże trudno inaczej mniemać? Któżby po zwycięstwie nie ścigał pobitego nieprzyjaciela?

— To się pokaże. O czem innem chciałem z panią pomówić. Książę wskutek choroby i niepowodzeń musi być rozdrażniony, zatem jako desperat do gwałtownych uczynków skłonny... Nie rozłączaj się pani teraz z ciotką i panną Borzobohatą; nie zgadzaj się na to, by pana miecznika do Tylży wyprawiono, jako ostatnim razem przed wyprawą się stało.

Oleńka nie odrzekła nic; miecznika oczywiście nigdy do Tylży nie wyprawiano, tylko gdy po uderzeniu go obuszkiem przez księcia, chorzał dni kilka, Sakowicz, by ukryć przed ludźmi książęcy uczynek, umyślnie rozpuścił wieść, że stary do Tylży wyjechał. Oleńka wolała o tem przed Ketlingiem zamilczeć, bo dumnej dziewczynie wstyd było wyznawać, że ktoś jednego z Billewiczów, jak psa, poterał.

— Dziękuję waćpanu za ostrze 70 ie — rzekła po chwili milczenia.

— Uważałem za swój obowiązek...

Lecz jej serce wezbrało znów goryczą. Przecież przed niedawnym czasem od Ketlinga zależało, by to nowe niebezpieczeństwo nie zawisło nad jej głową, przecież gdyby się był zgodził na ucieczkę, byłaby już daleko, raz na zawsze od Bogusława wolna.

— Panie kawalerze, — rzekła — szczęście prawdziwe dla mnie, że to ostrzeżenie nie tyczy pańskiego honoru, ani że książę nie wydał rozkazu, ażebyś pan mnie nie ostrzegał.

Ketling zrozumiał przymówkę i odrzekł mową, której się Oleńka po nim nie spodziewała:

— Co się służby mojej żołnierskiej tyczy i czego strzedz mi honor nakazuje, to spełnię, albo życiem przypłacę. Innego wyboru nie mam i mieć nie chcę. Poza służbą wolno mi niegodziwościom zapobiegać. Więc jako prywatny człowiek zostawiam pani tę krucicę i mówię: broń się, bo niebezpieczeństwo blizkie, w razie potrzeby — zabij! Wówczas moja przysięga będzie rozwiązana i z ratunkiem ci pośpieszę.

To rzekłszy, skłonił się i zwrócił ku drzwiom, lecz Oleńka zatrzymała go.

— Panie kawalerze, uwolnij się od tej służby, broń dobrej sprawy, broń skrzywdzonych, boś tego godzien, boś zacny, bo szkoda cię dla zdrajcy...

Na to Ketling:

— Byłbym się dawno uwolnił i do dymisyi podał, gdyby nie to, żem mniemał, iż pozostając tu, tobie, pani, mogę być pożytecznym. Dziś zapóźno. Gdyby książę wracał zwycięzcą, nie wahałbym się chwili... gdy wraca zwyciężony, gdy być może, iż nieprzyjaciel za nim następuje byłoby tchórzowstwem żądać dymisyi, póki sam kończący się termin mnie nie uwolni. Napatrzysz się pani dowoli, jak ludzie małego serca tłumem opuszczają pobitego, ale mnie między nimi nie obaczysz... Żegnam panią. Krucica ta nawet pancerz z łatwością przebije...

Ketling wyszedł, pozostawiwszy broń na stole którą Oleńka schowała natychmiast. Na szczęście przewidywania młodego oficera i jej własne obawy okazały się płonnemi.

Książę nadjechał wieczorem wraz z Sakowiczem i Patersonem, ale tak pognębiony i chory, że ledwie na nogach mógł się utrzymać. Do tego sam dobrze nie wiedział, czyli pan Sapieha nie następuje, lub czy nie ekspedyował na pościg Babinicza z lekkiemi chorągwiami.

Bogusław obalił był wprawdzie tego ostatniego w ataku wraz z koniem, ale nie śmiał się spodziewać, iż go zabił, gdyż zdawało mu się, że koncerz obsunął mu się w cięciu po babiniczowej misiur-

ce. Wreszcie raz on już przecież strzelił mu w samą twarz z pistoletu i na nic się to nie przydało.

Bolało księcia serce na myśl, co taki Babinicz uczyni z jego włościami, gdy się raz do nich ze swymi Tatary dostanie. A bronić ich nie miał czem! I nietylko włości, ale nawet własnej osoby. Między jego jurgeltnikami nie było takich wielu jak Ketling i należało się spodziewać, że na pierwszą wieść o zbliżaniu się wojsk sapieżyńskich opuszczą go wszyscy co do jednego.

Książę też nie zamierzał zabawić w Taurogach dłużej nad dni dwa lub trzy, musiał bowiem spieszyć do Prus królewskich, do elektora i Steinboka, którzy go mogli zaopatrzyć w nowe siły i użyć bądź do zdobywania miast pruskich, bądź wysłać w pomoc samemu królowi, zamierzającemu wyprawę w głąb Rzeczypospolitej.

W Taurogach wypadło zostawić tylko kogoś z oficerów, któryby ład w rozbite resztki wojsk wprowadził, opędzał się partyom chłopskim i szlacheckim, osłaniał dobra Radziwiłłów i porozumiewał się z Loenwehauptem, głównodowodzącym siłami szwedzkiemi na Żmudzi.

W tym celu, po przybyciu do Taurogów i po przespanej nocy, książę wezwał na naradę Sakowicza, któremu jednemu mógł ufać i zupełnie serce otworzyć.

Dziwne było owo pierwsze "dzień dobry" w Taurogach, jakie sobie powiedzieli dwaj przyjaciele po nieszczęsnej wyprawie. Czas jakiś patrzyli na siebie bez słowa. Przemówił pierwszy książę:

— A no dyabli wzięli!

— Wzięli! — powtórzył Sakowicz.

— Musiało tak być przy takiej aurze. Gdybym miał więcej lekkich chorągwi lub gdyby licho nie przyniosło tego Babinicza... Do dwóch razy sztuka! Przezwał się wisielec. Nie powiadajże o tem nikomu, żeby mu jeszcze sławy nie przysparzać.

— Ja nie powiem... Ale czy oficerowie nie będą trąbili, nie zaręczam, boś przecie książę prezentował go u swoich butów, jako chorążego orszańskiego.

—Oficerowie Niemcy nie rozumieją się na polskich nazwiskach. Im wszystko jedno. Kmicic, czy Babinicz. A! na rogi lucypera, żebym go dostał! A miałem go... i jeszcze szelma ludzi mi pobuntował, głowbiczowski oddział odprowadził!... Musi być jakiś bastard

naszej krwi, nie może inaczej być!... Miałem go, miałem.. i uszedł!.. Więcej mnie to gryzie, aniżeli ta cała stracona wyprawa.

— Miałeś go książę, ale za cenę mojej głowy.

— Jasiu! powiem ci szczerze: niechby cię tam byli ze skóry obdarli, bylebym z kmicicowej bęben mógł zrobić!

— Dziękuję ci, Bogusiu. Mniej po twojej przyjaźni nie mogłem się spodziewać.

Książę rozśmiał się.

—A skwierczałbyś na sapieżyńskim ruszcie... Wszystkieby twoje szelmostwa z ciebie wytopili. Ma toi! chciałbym to widzieć!

— Ja zaś chciałbym cię widzieć w ręku Kmicica, twojego miłego krewniaka. Twarz masz inną, ale z postawy jesteście do siebie podobni i nogi macie jednej miary i do jednej dziewki wzdychacie, tylko że ona, nie doświadczywszy, zgaduje, że tamten zdrowszy i że żołnierz lepszy.

— Takim dwom, jak ty, dałby rady, ale ja przejechałem mu po brzuchu... A gdybym był miał dwie minuty czasu, mógłbym ci teraz parol dać, że mój kuzynek nie żyje. Zawsześ był głupowaty i dlategom cię polubił, ale w ostatnich czasach zjełczał ci dowcip do reszty.

— Zawsześ miał dowcip w piętach i dlatego takeś przed Sapiehą zmiatał, żem cię znielubił i sam gotówem pójść do Sapiehy.

— Na powróz!

— Na ten, którym Radziwiłła zwiążą.

— Dosyć!

Sługam waszej ks. mości!

—Trzebaby kilku z tych rajtarów rozstrzelać, którzy najwięcej krzyczą i ład wprowadzić.

— Kazałem dziś rano sześciu powiesić. Już i ostygli; a tańcują na sznurach zawzięcie, bo wiatr okrutny.

— Dobrześ zrobił. Słuchajno! Czy chcesz zostać na załodze w Taurogach, bo muszę tutaj kogoś zostawić?

— I chcę i proszę o tę funkcyę. Nikt się tu lepiej nie sprawi. Żołnierz boi się mnie więcej, niż innych, bo wie, że żartów ze mną niema. Z uwagi na Loewenhaupta, lepiej, że zostanie ktoś poważniejszy od Patersona.

— Dasz że sobie z rebelizantami rady?

— Upewniam waszą ks. mość, że sosny żmudzkie będą rodziły łońskiego roku cięższe od szyszek owoce. Z chłopstwa ze dwa regi-

menty piechoty uczynię i po mojemu wyćwiczę. Na włości będę miał oko, a jeśli rebelizanci którą napadną, wnet rzucę podejrzenie na jakiego bogatszego szlachcica i wycisnę go jak ser w worku. Na początek potrzebaby mi tyle tylko pieniędzy, żeby lafę zaspokoić i piechoty przybrać.

— Co będę mógł, zostawię.

— Z posażnych?

— Jakto?

— To się znaczy z billewiczowskich, które z góry sam sobie wypłaciłeś.

— Żebyś mógł jako politycznie skręcić łeb temu miecznikowi dobrzeby było, bo to się lekko mówi, a szlachcic skrypt ma.

— Postaram się. Jeno w tem rzecz, czy skryptu gdzie nie wysłał, albo czy go dziewka w koszulę nie zaszyła. Wasza książęca mość nie życzyłbyś sobie sprawdzić?...

Przyjdzie do tego, ale teraz muszę jechać i przytem sił mnie ta przeklęta febris całkiem zbawiła.

— Zazdrość mi wasza ks. mość, że w Taurogach zostaję.

— Jakąś masz dziwną ochotę. Tylko.... Czybyś ty czasem... Hakami kazałbym cię rozerwać... Czemuto tak tej funkcyi się napierasz?

— Bo się chcę żenić.

— Z kim? — spytał książę, siadając na łóżku.

— Z panną Borzobohatą-Krasieńską.

— To jest dobra myśl, to jest przednia myśl! — rzekł po chwili milczenia Bogusław. — Słyszałem o jakimś zapisie...

— Tak jest, po panu Longinie Podbipięcie. Wasza ks. mość wiesz, jakito możny ród, a onego Longina majętności w kilku powiatach leżą. Wprawdzie jedne z nich, jakieś tam dziewiąte wody po kisielu zagarnęły, w drugich moskiewskie wojska stoją. Będzie procesów, bitek i zwad i zajazdów bez liku, ale ja dam sobie radę i jednego wyczółka nikomu nie ustąpię. Przytem dziewka okrutnie mi się nadała, bo gładka i wabna. Jużem to zauważył zaraz po tem, kiedyśmy ją tozabrali, że udawała strach, a okiem ku mnie strzygła. Niech jeno tu jako komendant zostanę, z samego próżniactwa zaczną się amory...

— Jedno ci zapowiadam. Żenić się nie będę ci zabraniać, wszelako, słuchajno dobrze, żadnych ekscesów, rozumiesz? Bo to dziewka od Wiśniowieckich, samej księżnej Gryzeldy zaufana,

a ja księżnej nie chcę obrazić przez estymę, ani pana starosty kałuskiego także.

Nie trzeba ostrzegać, — odpowiedział Sakowicz, bo skoro się chcę żenić regularnie, to i starać się muszę regularnie.

— Chciałbym, żeby cię odpaliła.

— Znam kogoś, kogo odpalili, chociaż jest księciem, ale tak myślę, że mnie się to nie przygodzi. Dziwnie mi ono strzyżenie oczyma dodaje otuchy.

— Nie przymawiajże temu, kogo odpalono, aby cię rogaczem nie uczynił. Wyrobię ci w dodatku do herbu rogi, albo przydomek do nazwiska przybierzesz: Sakowicz Rogaty! Ona z domu Borzobohata, a on bardzorogaty. Dobrana z was będzie para. Owszem, żeń się Jasiu, żeń a daj znać o weselu, będę drużbą.

Srogi gniew wystąpił na straszne i bez tego lica Sakowicza. Oczy przez chwilę zaszły mu jak dymem, ale wkrótce się opamiętał i w żart obracając słowa książęce, odrzekł:

— Nieboże! na schody o własnej mocy ci niesporo, a grozisz. Masz tu swoją Billewiczównę, dalej chucharku! dalej! Będziesz ty jeszcze babiniczowe dzieci piastował!

— Bodajżeś język złamał, taki synu! To z choroby się naigrawasz, która o włos mnie nie pogrążyła? Bodaj i ciebie tak oczarowano!

— Co tam czary! Czasem, gdy spojrzę, jak wszystko idzie naturalnym rzeczy porządkiem, to myślę, że czary głupstwo.

— Sameś głupi! Cicho bądź, nie wywołuj licha! Brzydniesz mi coraz więcej.

— Bodajbym nie był ostatnim Polakiem, który waszej ks. mości wierny pozostał, bo za moją wierność samą niewdzięcznością mnie karmią. Wrócę oto w domowe pielesze i będę siedział spokojnie, końca wojny wyglądając.

— Och, daj spokój! Wiesz, że cię miłuję.

— Ciężko mi to zmiarkować. Dyabeł mi ten afekt dla waszej ks. mości wszczepił. Jeśli w czem są czary, to w tem.

Sakowicz prawdę mówił, bo rzeczywiście Bogusława kochał; książę wiedział o tem i dlatego płacił mu, jeśli nie głębszem przywiązaniem, to wdzięcznością, jaką ludzie próżni żywią zawsze dla tych, którzy ich uwielbiają.

Dlatego chętnie się na jego zamiary względem Anusi Borzobohatej i sam osobiście dopomódz mu postanowił.

W tym celu koło południa, gdy się czuł najzdrowszy, kazał się ubrać i poszedł do Anusi.

— Przyszedłem po dawnej znajomości dowiedzieć się o zdrowie waćpanny,—rzekł—i spytać się, czyli się waćpannie pobyt w Taurogach podobał?

— Kto jest w niewoli, temu się wszystko musi podobać — odrzekła, wzdychając, Anusia.

Książę rozśmiał się.

— Waćpanna nie jesteś w niewoli. Zagarnięto cię razem z sapieżyńskimi żołnierzami, to prawda i kazałem waćpannę tu odesłać, ale tylko dla bezpieczeństwa. Włos ci tu z głowy nie spadnie. Wiedz o tem waćpanna, że ja mała kogo tak szanuję, jak księżnę Gryzeldę, której serca blizką jesteś. I Wiśniowieccy i Zamoyscy moi koligaci. Waćpanna tu znajdziesz wszelką wolność i wszelką opiekę, ja zaś przychodzę, jako życzliwy przyjaciel i mówię tak: chcesz, to jedź, dam ci eskortę, choć samemu mi żołnierzy szczupło, ale radzęć zostać. Waćpannę, ilem słyszał, wysłano dla odzyskania majętności zapisanych. Wiedzże, iż teraz nie czas o tem myśleć i że nawet w spokojnych czasach protekcya pana sapieżyńskiego na nic, bo on jeno w witebskiem może wskórać, to nic. Zresztą sam się tą sprawą nie zajmie, jeno przez komisarzy... Waćpannie trzebaby człowieka życzliwego a obrotnego, któryby strach i estymę u ludzi miał. Taki, gdyby się zajął, pewnie nie dałby sobie słomy, zamiast ziarna w garść wetknąć.

— Gdzie ja sierota znajdę takiego opiekuna?! — zawołała Anusia.

— Właśnie, że w Taurogach.

— Wasza ks. mość raczyłby sam...

Tu Anusia złożyła rączki i spojrzała tak ślicznie w bogusławowe oczy, że gdyby książę nie był tak umęczon i sterany, pewnieby zaraz mniej szczerze począł o sakowiczowskiej sprawie myśleć, lecz że mu amory nie były w głowie, więc odrzekł prędko:

— Gdybym jeno mógł, nikomubym tak wdzięcznej funkcyi nie powierzał; ale ja wyjeżdżam, bo muszę. Na mojem miejscu zostaje kawaler komendantem w Taurogach pan starosta oszmiański, Sakowicz, kawaler wielki, żołnierz sławny i człek tak obrotny,

jak drugieto na całej Litwie niemasz. Owóż, powtarzam, ostań się waćpanna w Taurogach, bo jechać, nie masz gdzie, gdy wszędzie pełno grasantów i łotrzykowie a rebelizanci wszystkie drogi infetują. Sakowicz ci tu da opiekę. Sakowicz cię obroni, Sakowicz rozpatrzy się, co można dla windykowania tych majętności uczynić, a gdy się tylko do tego raz weźmie, zaręczam, że nikt w świecie prędzej do pomyślnego końca nie doprowadzi. Mój to przyjaciel więc go znam i tyle tylko o nim waćpannie powiem, że gdybym ja majętności waćpanny zagarnął, a o tem dowiedział się, że Sakowicz przeciwko mnie występuje, tobym się wolał ich zrzec dobrowolnie, bo z nim niebezpieczna się spierać.

— Byleby tylko pan Sakowicz zechciał sierocie przyjść w pomoc...

— Nie bądź mu jeno krzywą, a dla waćpanny wszystko on uczyni, bo mu twoje śliczności głęboko w serce zapadły. Już on tam chodzi i wzdycha...

— Gdzie jabym tam komu mogła wpaść w serce!

— Szelma dziewczyna! — pomyślał książę.

Głośno zaś dodał:

— Niechże Sakowicz wytłómaczy, jak się to stało, a waćpanna nie bądź tylko krzywa, bo to człek zacny i ze znamienitego rodu, więc takim nie życzę pogardzać.

---

## LXXV.

Nazajutrz rano książę odebrał wezwanie od elektora, aby co prędzej pośpieszył do Królewca dla objęcia komendy nad świeżo zaciągniętemi wojskami, które miały iść pod Malborg lub pod Gdańsk. List zawierał także wiadomości o śmiałej wyprawie Karola Gustawa w dół Rzeczypospolitej aż do krajów ruskich. Elektor przewidywał zły koniec tej wyprawy, ale właśnie dlatego pragnął stanąć na czele sił jak największych, aby w razie potrzeby, jednej lub drugiej stronie stać się niezbędnym, drogo się sprzedać i losy wojny przeważyć. Z tych powodów zalecał młodemu księciu wszelki możliwy pośpiech, tak dalece zaś chodziło mu o uniknięcie

mitręgi, że za pierwszym gońcem wysłał i drugiego, który przybył we dwanaście godzin później.

Książę więc nie miał ani chwili do stracenia i niedość czasu do odpoczynku, febra bowiem wróciła znowu z dawną siłą. Jednak trzeba było jechać. Zaczem zdawszy władzę Sakowiczowi, rzekł mu:

— Być może, iż przyjdzie miecznika i dziewczynę przewieść do Królewca. Tam łatwiej przyjdzie się pocichu z nieprzyjaznym człekiem uporać; dziewkę zaś, bylem był zdrów, wezmę z sobą do obozu, bo dość mi tych ceremonij.

— Dobrze, to się i komput wojsk może powiększyć — odparł na pożegnanie Sakowicz.

W godzinę później nie było już księcia w Taurogach. Został Sakowicz, jako pan samowładny, uznający nad sobą jedną tylko władzę: władzę Anusi Borzobohatej. I proch przed jej stopami zaczął zdmuchiwać, jak niegdyś sam książę przed stopami Oleńki. Hamując dziką swą naturę, był dwornym, uprzedzającym chęci, zgadującym myśli, a zarazem trzymał się zdala, z całym szacunkiem, z jakim powinien być światowy kawaler dla panny, o której rękę i serce się stara.

Jej zaś, trzeba wyznać, spodobało się owo królowanie w Taurogach; miło jej było pomyśleć, że gdy wieczór nadchodzi, w dolnych salach, na korytarzach, w cekhauzie, w sadzie, jeszcze zimowym szronem okrytym, rozlegają się wzdychania starszych i młodszych oficerów, że nawet astrolog wzdycha, patrząc w gwiazdy ze samotnej wieży, że nawet stary miecznik westchnieniami przerywa wieczorny różaniec.

Najlepszą będąc dziewczyną, była przecie rada, że nie ku Oleńce idą owe afekty strzeliste, ale ku niej; była rada i ze względu na Babinicza, bo czuła swoją moc i przychodziło jej do głowy, że jeśli nigdy nikt się jej nie oparł, to musiała i na jego sercu trwałe oczyma wypalić znaki.

— O tamtej zapomni, nie może inaczej być, bo niewdzięcznością go tam karmią, a gdy się to stanie, wie gdzie mnie szukać i poszuka... rozbójnik jeden!

Zaraz potem odgrażała się w duszy:

— Czekaj! odpłacę ja ci, nim pocieszę...

Sakowicza tymczasem, niezbyt nawet lubiąc, mile widziała. Prawda, że usprawiedliwił się w jej oczach z zarzutu zdrady, w

ten sam sposób, w jaki miecznikowi wytłumaczył się Bogusław. Zatem mówił, że ze Szwedem już był pokój zawarty, już Rzeczpospolita odetchnąć i zakwitnąć miała, gdy pan Sapieha dla swojej prywaty wszystko popsował.

Anusia niezbyt się na tych sprawach znając, puszczała te słowa mimo uszu. Lecz natomiast uderzyło ją coś innego w opowiadaniach pana starosty oszmiańskiego.

— Billewicze, — mówił — krzyczą w niebogłosy na swą krzywdę i niewolę, a przecież nic im się tu nie stało i nie stanie. Nie puszczał ich książę z Taurogów, prawda, ale to dla ich dobra, bo o trzy staje za bramą zginąć już od grasantów lub leśnych osaczników mogli. Nie puszczał ich i dlatego, że pannę Billewiczównę pokochał i to prawda! Któż wszelako go nie usprawiedliwi? kto czułe serce mając i wzdychaniami obarczone piersi, inaczejby postąpił? Gdyby miał mniej zacne intencye, pewnieby, jako pan tak potężny, mógł wodzów sobie popuścić, lecz on chciał się żenić, chciał wynieść tę oporną pannę do swego książęcego stanu, szczęśliwościami ją obsypać, koronę radziwiłłowską na jej głowę włożyć i za to inwektywy nań ci niewdzięczni ludzie rzucają, sławy mu i zacności ujmując...

Anusia, niezbyt wierząc, spytała zaraz tego samego dnia Oleńki, czy prawda, że książę chciał się z nią żenić? Oleńka zaprzeczyć nie mogła, a że były już z sobą poufałe, więc przytoczyła swoje racye. Wydały się one Anusi słuszne i dostateczne, ale przecie pomyślała sobie, że Billewiczom nie było znów tak ciężko w Taurogach, a książę z Sakowiczem nie byli takimi zbrodniarzami, za jakich ich pan miecznik rosieński ogłosił.

To też, gdy nadeszły wieści, że pan Sapieha z Babiniczem nietylko nie zbliżają się ku Taurogom, ale pociągnęli wielkimi pochodami na króla szwedzkiego, aż hen ku Lwowu. Anusia wpadła najprzód w złość, a potem jęła rozumować, że gdy ich niema, to na nic uciekać z Taurogów, bo można życie stracić lub w najlepszym razie spokojny pobyt zmienić w pełną niebezpieczeństw niewolę.

Przyszło z tego powodu do sporów między nią a Oleńka i miecznikiem; lecz i oni nawet przyznać musieli, że odejście pana Sapiehy wielce ucieczkę utrudnia, jeżeli całkiem niepodobną jej nie uczyni, tem bardziej, że w kraju wrzało coraz bardziej i nikt z mieszkańców jutra pewien być nie mógł. Zresztą, chociażby i nie przyzna-

wali racyi anusinych, ucieczka bez jej pomocy, wobec czujności Sakowicza i innych oficerów, była niemożliwą. Ketling jeden był im oddany, ale do żadnego układu przeciwnego służbie wciągnąć się nie dawał, przytem często bywał nieobecny, bo go Sakowicz jako doświadczonego żołnierza i zdolnego oficera rad używał przeciwko zbrojnym kupom konfederatów i grasantów, zaczem często z Taurogów wysyłał.

Anusi coraz było w nich lepiej.

Sakowicz oświadczył jej się w miesiąc po wyjeździe księcia, ale zwodnica dała mu chytrą odpowiedź, że go nie zna, że różnie o nim mówią, że nie miała czasu jeszcze go polubić, że bez pozwolenia księżnej Gryzeldy wychodzić za mąż nie może, a nakoniec, że chce go na rok próby wystawić.

Starosta zżuł gniew, kazał dać tego dnia jednemu rajtarowi za błahe przewinienie trzy tysiące rózeg, po których pochowano biedaka, lecz musiał się na anusine kondycye zgodzić. Ona zaś zapowiedziała pankowi, że jeżeli będzie służył jeszcze wierniej, pilniej i pokorniej, to za rok i tak dostanie tylko tyle, ile będzie jej łaska.

W ten sposób igrała z niedźwiedziem, lecz tak już zdążyła go opanować, że tłumił nawet mruczenie, odrzekł jej tylko:

— Z wyjątkiem zdrady księcia, wszystkiego waćpanna ode mnie wymagaj, choćby tego, bym na kolanach chodził...

Gdyby Anusia wiedziała, jak straszne sakowiczowego zniecierpliwienia skutki spadają na całą okolicę, możeby go tak nie drażniła. Żołnierze i mieszczanie w Taurogach drżeli przed nim, bo karał ciężko całkiem bez winy, nad wszelką miarę. Jeńcy konali w łańcucach z głodu lub przypiekani żelazem.

Nieraz zdawało się, że dziki starosta chce ochłodzić wzburzoną i spiekłą żarem miłości duszę w krwi ludzkiej, bo zrywał się nagle i sam chodził na wyprawy. A zwycięstwo chodziło najczęściej jego śladem. Wycinał w pień kupy rebelizantów; wziętym do niewoli chłopom kazał dla przykładu ucinać prawe ręce i puszczał do domów wolno.

Groza jego imienia opasała tu jakby murem Taurogi; znaczniejsze nawet oddziały patryotów nie ośmielały się zapuszczać dalej, jak pod Rosienie.

Cisza stała się wszędzie, a on z powsinogów niemieckich, z miejscowego chłopstwa, formował za pieniądze wyciśnięte z okolicz-

nych mieszczan i szlachty coraz nowe pułki i rósł w siły, ażeby ich swemu księciu w razie ciężkiej potrzeby dostarczyć.

Wierniejszego i straszniejszego sługi nie mógł Bogusław znaleźć.

W Anusię za to patrzył Sakowicz coraz tkliwiej swemi strasznemi blado-niebieskiemi oczyma i na lutni jej grywał.

Płynęło tedy życie w Taurogach dla Anusi wesoło i zabawnie, dla Oleńki ciężko i jednostajnie. Z jednej szły promienie wesołości, jako owo światełko, które nocami bije od świętojańskiego robaczka; drugiej twarz stawała się coraz bledszą, poważniejszą, surowszą, czarne brwi ściągały się coraz mocniej na białem czole, tak, że w końcu przezwano ją zakonnicą. I miała w sobie coś z mniszki. Poczęła się oswajać z tą myślą, że nią zostanie, że ją sam Bóg, przez ból, przez zawody, za kratę do spokoju prowadzi.

Nie ta to już była dziewczyna ze ślicznemi rumieńcami na twarzy i szczęściem w oczach, nie ta Oleńka, która niegdyś, jadąc w saniach z narzeczonym, panem Andrzejem Kmicicem, krzyczała: "Hej! hej!" na bory i lasy!

Wiosna czyniła się na świecie. Rozpętane z lodu wody Bałtyku począł kołysać wiatr duży a ciepły, potem drzewa zakwitły, strzeliły kwiaty z surowych liściastych obsłon, potem słońce zaczęło bywać znojne, a biedna dziewczyna próżno wyglądała końca taurożańskiej niewoli, bo i Anusia nie chciała uciekać i w kraju coraz straszniej było.

Miecz i ogień srożył się tak, jakby nigdy zmiłowanie boże nastąpić nie miało. Owszem, kto nie chwycił szabli lub dzidy zimą, ten chwytał ją wiosną; śnieg śladów nie zdradzał, gdy bór dawał lepsze schronienie i ciepło wojnę czyniło łatwiejszą.

Wieści jako jaskółki nadlatywały do Taurogów, czasem groźne, czasem pocieszające. I jedne i drugie święciła czysta dziewczyna modlitwą, a oblewała łzami smutku, lub radości.

Więc najprzód mówiono o okropnem całego narodu powstaniu. Ile było drzew w borach Rzeczypospolitej, ile kłosów kołysało się na jej łanach, ile gwiazd świeciło po nocach między Tatarami a Bałtykiem, tyle wstało przeciw Szwedom wojowników, którzy szlachtą będąc, do miecza a wojny z woli Bożej i przyrodzonego rzeczy porządku się rodzili; którzy skiby pługiem krając, obsiewali ziarnem tę krainę; którzy handlem i rzemiosły po miastach się zajmowali; którzy żyli w puszczach z pszczelnej pracy, z wypalania

smoły, z topora lub strzelby; którzy nad rzekami siedząc, rybactwem się trudnili; którzy na stepach koczowali ze stadami — wszyscy chwycili za broń, aby najezdnika z kraju wyżenąć.

Już Szwed tonął w tej liczbie, jako w rzece wezbranej.

Ku podziwowi całego świata, bezsilna jeszcze niedawno Rzeczpospolita znalazła więcej szabel w swojej obronie, niż mógł ich mieć cesarz niemiecki lub król francuski.

Potem przyszły wieści o Karolu Gustawie, jako szedł coraz wgłąb Rzeczypospolitej z nogami we krwi, z głową w dymach i płomieniach, bluźniąc. Spodziewano się lada chwila usłyszeć wieść o jego śmierci i zagubie wszystkich wojsk szwedzkich.

Imię Czarnieckiego rozlegało się coraz potężniej od ściany do ściany, przejmując strachem nierzyjaciół, wlewając otuchę w serca polskie.

— "Zbił pod Kozienicami!" — mówiono jednego dnia, "zbił pod Jarosławiem!" — powtarzano w kilka tygodni później, "zbił pod Sandomierzem!" — powtarzało dalekie echo. Dziwiono się temu tylko, skąd się jeszcze bierze Szwedów po takich pogromach.

Nakoniec przyleciały nowe stada jaskółek, a z niemi fama o uwięzieniu króla całej armii szwedzkiej w widłach rzecznych. Zdawało się, że koniec tuż, tuż.

Sam Sakowicz w Taurogach przestał chodzić na wyprawy, jeno listy po nocach pisywał i w różne strony rozsyłał.

Miecznik był jakoby obłąkany. Codzień wieczorem wpadał z wieściami do Oleńki. Czasem gryzł ręce, gdy sobie wspomniał, że trzeba siedzieć w Taurogach. Tęskniła w pole stara żołnierska dusza. W końcu zaczął się zamykać w swojej stancyi i nad czemś po całych godzinach rozmyślać. Raz chwycił niespodzianie Oleńkę w ramiona, zaryczał wielkim płaczem i rzekł jej:

— Miłaś ty, dziewczyno, córuchno jedyna, ale ojczyzna milsza.

I nazajutrz skoro dzień, znikł, jakoby w ziemię się zapadł.

"Bóg cię błogosław, dziecko kochane. Rozumiałem ci ja dobrze, że ciebie, a nie mnie strzegą i że samemu mi łatwiej wymknąć się przyjdzie. Niechże mnie Bóg sądzi, jeślim ja to niebogo sieroto z zatwardziałości serca i braku ojcowskiego afektu dla ciebie uczynił. Ale męka była od pacyencyi większa i nie mogłem, na rany Chrystusa Pana przysięgam, nie mogłem już dłużej wysiedzieć. Bo jakem pomyślał, że się tam najszczersza krew polska pro patria

et libertate (za wolność ojczyzny) leje, a mojej ni kropli w tej rzece niemasz, tedy mi się wydało, że mnie anieli niebiescy za to potępią... Nie rodzić mi się było na świętej Żmudzi naszej, gdzie żywie amor patriae (miłość ojczyzny) i męstwo, nie rodzić mi się było ni szlachcicem, ni Billewiczem, tobym przy tobie został i ciebie strzegł. Ale ty, mężem będąc, uczyniłabyś to samo, więc i mnie odpuścisz, iżem cię jako Daniela, samą w jaskini lwów porzucił. Którego, że Bóg w miłosierdziu swojem konserwował, tak też mniemam że i nad tobą będzie lepsza od mojej, Najświętszej Panny, Królowej naszej, protekcya."

Oleńka łzami oblała pismo, ale pokochała stryjca za ten postępek jeszcze lepiej, bo jej serce dumą wezbrało.

Tymczasem uczynił się w Taurogach hałas niemały. Sam Sakowicz wpadł do dziewczyny z furyą wielką i nie zdejmując czapki z głowy, spytał:

— Gdzie stryj waćpanny?

— Gdzie wszyscy, prócz zdrajców, są!... W polu!

— Waćpanna wiedziałaś o tem!... — krzyknął starosta.

A ona, zamiast się stropić, postąpiła kilka kroków ku niemu i mierząc go oczyma z niewypowiedzianą pogardą, odrzekła:

— Wiedziałam — i cóż?

— Waćpanna... ej! gdyby nie książę!...Waćpanna przed księciem odpowiesz!...

— Ni przed księciem, ni przed jego pachołkiem. A teraz proszę!...

I palcem wskazała mu drzwi.

Sakowicz zgrzytnął zębami i wyszedł.

Tego samego dnia zagrzmiało w całych Taurogach o zwycięstwie wareckiem i taka trwoga padła na wszystkich stronników szwedzkich, że sam Sakowicz nie śmiał karać księży, którzy publicznie odśpiewali w okolicznych kościołach: Te Deum.

Wielki też ciężar spadł mu z serca, gdy w kilka tygodni później przyszło z pod Malborga pismo Bogusławowe z doniesieniem, iż król wymknął się z rzecznego saku. Lecz inne nowiny były wielce niepocieszne. Książę żądał posiłków i nie kazał zostawiać w Taurogach więcej wojsk, niżby tego konieczna obrona wymagała.

Gotowe rajtarye wyszły na drugi dzień, a z niemi Ketling Oettingen, Fitz Gregory, słowem wszyscy znamienitsi, prócz Brauna, który koniecznie był Sakowiczowi potrzebny.

Taurogi opustoszały jeszcze bardziej, niż po wyjeździe księcia. Anusia Borzobohata poczęła się nudzić i tem bardziej Sakowiczowi dokuczać. On zaś myślał, czyby się do Prus nie przenieść, bo ośmielone odejściem wojsk partye jęły znowu przesuwać się za Rosienie i zbliżać się do Taurogów. Sami Billewicze zebrali do pięciuset koni z obywatelstwa, drobnej szlachty i z chłopów. Porazili oni znacznie pułkownika Buetzowa, który przeciw nim wyciągnął i przepłukiwali bez miłosierdzia wszystkie wsie radziwiłłowskie.

Ludność garnęła się do nich chętnie, bo żaden ród sami nawet Hlebowiczowie, nie cieszyli się taką między pospólstwem czcią i powagą. Sakowiczowi żal było zostawić Taurogi na łaskę nieprzyjaciół, wiedział także, że w Prusach trudno mu będzie o pieniądze, o posiłki, że tu rządzi, jak chce, tam władza jego zmaleć musi, jednakże tracił coraz bardziej nadzieję, czy się potrafi utrzymać.

Pobity Buetzów schronił się pod jego opiekę, a wieści, które przywiózł o potędze i wzroście rebelii, skłoniły ostatecznie Sakowicza na stronę pruską.

Jako zaś człowiek stanowczy i lubiący prędko doprowadzić do skutku to, co zamierzył, w dziesięć dni ukończył przygotowania, wydał rozkazy i miał ruszyć.

Nagle trafił on na niespodziewany opór, i to ze strony, z której najmniej go się spodziewał, bo ze strony Anusi Borzobohatej.

Anusia nie myślała do Prus jechać. W Taurogach było jej dobrze. Postępy konfederackich "partyi" nie przestraszały jej bynajmniej i gdyby Billewicze uderzyli na same Taurogi, jeszczeby była rada. Rozumowała sobie przytem, że na obczyźnie, między Niemcami zostawałaby zupełnie na łasce Sakowicza, że łatwiej by tam mogło przyjść od jakowychś zobowiązań, do których nie miała ochoty, więc postanowiła upierać się przy pozostaniu. Oleńka, której wyznała swoje przyczyny, nietylko potwierdziła ich słuszność, ale najmocniej, ze łzami w oczach, zaczęła ją błagać, aby oparła się wyjazdowi.

— Tu zbawienie może jeszcze przyjść, nie dziś, to jutro — mówiła — tam zginiemy obie.

Anusia zaś na to:

— A widzisz! A małoś to mnie nałajała za to, że i pana starostę chciałam pogrążyć, choć ja o niczem nie wiedziałam, jak księ-

żnę Gryzeldę kocham, tylko to jakoś samo z siebie przyszło. A teraz zważałliby on na mój opór, gdyby nie był pogrążon? A co?

— Prawda, Anusia, prawda! — odrzekła Oleńka.

— Nie turbujże się, kwiatuszku najśliczniejszy! Nogą się z Taurogów nie ruszymy, jeszcze Sakowiczowi dokuczę w dodatku okrutnie.

— Dajże Boże, byś co wskórała.

— Jabym nie miała wskórać?... Wskóram raz dlatego, że mu chodzi o mnie, a powtóre, jak mniemam, o moje majętności. Pogniewać mu się ze mną łatwo, a nawet szablą mnie zranić, ale w takim razie wszystkoby przepadło.

I pokazało się, że ma słuszność. Sakowicz przyszedł do niej wesół i pewien siebie, ona zaś przywitała go z minką wielce pogardliwą.

— Podobno — spytała waćpan ze strachu przed panami Billewiczami do Prus chcesz uciekać?

— Nie przed panami Billewiczami — odrzekł, marszcząc brwi — i nie ze strachu, jeno się tam przenoszę z roztropności, abym więcej przeciw tym zbójom mógł ze świeżemi siłami dokazać.

— To szczęśliwej drogi.

— Jakto? Zali myślisz, że bez ciebie pojadę, moja nadziejo najmilejsza?

— Kogo tchórz oblatuje, niech w ucieczce ma nadzieję, nie we mnie. Zbytnioś waćpan poufały, ja zaś, gdybym potrzebowała konfidenta, pewniebyś nie waćpan nim został.

Sakowicz pobladł z gniewu. Dałby on jej gdyby nie była Anusią Borzobohatą! Lecz bacząc przed kim stoi, pomiarkował się, straszną swą twarz ocukrzył uśmiechem i odrzekł, niby żartując:

— Ej, nie będę pytał! Wsadzę do kolaski i powiozę!

— Tak? — spytała dziewczyna. — Tom widzę, wbrew intencyom księcia, w niewoli tu trzymana? Wiedzże waćpan o tem, że jeśli to uczynisz, słowa więcej do waćpana nie przemówię, tak niech mi Pan Bóg dopomóże, bo ja w Łubniach chowana i dla tchórzów największą mam pogardę. Bodajem nie była wpadła w takie ręce!... Bodaj mnie pan Babinicz do sądnego dnia na Litwę wiózł, bo ten się nie bał nikogo!

— Dla Boga! — krzyknął Sakowicz. — Powiedzże mi przynajmniej, czemu do Prus nie chcesz jechać?

Lecz Anusia poczęła udawać płacz i desperacyę.

— Wzięli mnie jako Tatarzyni w niewolę, choć ja księżnej Gryzeldy wychowanka i nikt do mnie nie miał prawa. Wzięli i więżą, za morza gwałtem wywożą, na wygnanie mnie skazują, rychło patrzeć, jak kleszczami będą szarpali! O Boże! o Boże!

— Bójże się waćpanna tego Boga, którego wzywasz! — zawołał pan starosta. — Kto cię kleszczami będzie szarpał?

— Ratujcie mnie wszyscy święci! — powtarzala łkając Anusia.

Sakowicz sam nie wiedział, co ma czynić; dusiła go wściekłość, gniew; chwilami myślał, że zwaryuje, albo, że Anusia zwaryowała. Nakoniec rzucił się jej do nóg i przyrzekł, że w Taurogach zostanie. Wówczas ona zaczęła go prosić, iżby odjechał, jeśli się boi, czem go do ostatniej doprowadziła rozpaczy, tak, że się zerwał i wychodząc, rzekł:

— Dobrze! zostajem w Taurogach, a czy się boję panów Billewiczów, to się wkrótce pokaże.

I tego samego dnia, zebrawszy resztki pobitych wojsk Buetzowa i swoje własne, poszedł, ale nie do Prus, tylko za Rosienie, przeciw panom Billewiczom, którzy w lasach girlakolskich stali obozem. Nie spodziewali się oni żadnego napadu, bo już wieść o zamierzonem wyjściu wojsk z Taurogów powtarzano do kilku dni w okolicy, więc starosta napadłszy nieubezpieczonych, rozniósł ich na szalbach i kopytach. Sam miecznik, pod którego dowództwem stal oddział, ocalał z pogromu, ale dwóch Billewiczów z innej linii poległo; z nimi trzecia część żołnierzy; pozostali rozpierzchli się na cztery świata strony. Kilkudziesięciu jeńców przyprowadził starosta do Taurogów i stracić wszystkich rozkazał, zanim Anusia mogła wystąpić w ich obronie.

O opuszczeniu Taurogów nie było już mowy i nie potrzebował pan starosta tego czynić, bo po tem nowem zwycięstwie partye nie śmiały przechodzić na tę stronę Dubisy.

Sakowicz spanoszał i chełpił się niezmiernie, że byle mu Loewenhaupt przysłał tysiąc dobrych koni, on w całej Żmudzi rebelię zetrze. Ale Loewenhaupta nie było już w tych stronach; Anusia zaś źle przyjęła starościńską chełpliwość.

— To z panem miecznikiem — rzekła — łatwo się udało... Ale niechby tam był ten, przed którym obaście z księciem precz u-

mykali, pewnie byłbyś waćpan i beze mnie do Prus za morze wyjechał.

Starostę ubodły te słowa do żywego.

— Najprzód, nie imaginuj sobie waćpanna, żeby Prusy były za morzem, bo za morzem jest Szwecya, a powtóre: przed kimżeśmy to tak z księciem umykali?

— Przed panem Babiniczem! — odrzekła, dygając z wielką ceremonią.

— Bodajem go kiedyś na długość szabli spotkał!

— Pewniebyś waćpan na głębokość szabli leżał w ziemi... Ale nie wywołuj wilka z lasu!

Sakowicz rzeczywiście nieszczerze tego wilka wywoływał, bo lubo był człowiekiem niezrównanej odwagi, jednakże przed Babiniczem czuł on jakichś strach, prawie zabobonny, tak okropne zostały mu po nim z ostatniej wojny wspomnienia. Nie wiedział przytem, jak prędko już to groźne nazwisko usłyszy.

Nim jednak przebrzmiało po całej Żmudzi, przyszła w czas jakiś inna, dla jednych najradośniejsza z radosnych, dla Sakowicza zaś straszliwa wieść, którą w dwóch słowach powtarzały wszystkie usta w całej Rzeczypospolitej:

— Warszawa wzięta!

Zdawało się, że ziemia rozstępuje się pod nogami zdrajców, lub że całe niebo sawedzkie wali się na ich głowy wraz ze wszystkiemi bóstwami, które na niem świeciły dotychczas jako słońca. Uszy nie chciały wierzyć, że kanclerz Oxenstierna w niewoli, Ersken w niewoli, Loewenhaupt w niewoli, Wrangel w niewoli, Wittemberg, sam wielki Wittemberg, który całą tę Rzeczplspllitą krwią oblał, który połowę jej jeszcze przed nadejściem karolowem podbił, w niewoli! że król Jan Kazimierz tryumfuje, a po zwycięstwie sąd będzie czynił nad grzesznymi.

A wieść biegła jakby na skrzydłach, huczała jak granat nad całą Rzecząpospolitą, szła przez wsie, bo chłop powtarzał ja chłopu; szła przez pola, bo łan zbożowy nią szumiał, szła przez lasy, bo sosna powtarzała ją sośnie, orły krakały o niej w powietrzu — i tem bardziej kto żyw, chwytał za broń.

W mig zapomniano koło Taurogów o girlakolskiej klęsce. Straszny niedawno Sakowicz zmalał we wszystkich, ba, nawet we własnych swoich oczach; partye poczęły na nowo wpadać na oddziały

szwedzkie; Billewicze, ochłonąwszy po ostatnim pogromie, przeszli znów Dubisę na czele swych chłopów i resztek szlachty laudańskiej.

Sakowicz sam nie wiedział, co począć, gdzie się obrócić, skąd wyglądać ratunku. Oddawna nie miał wieści od księcia Bogusława i próżno łamał głowę, gdzie on, przy jakich wojskach może się znajdować? I chwilami niepokój ogarniał go śmiertelny, czy książę nie dostał się także do niewoli?

Z przerażeniem przypomniał sobie, iż książę mówił mu, że tabór skieruje ku Warszawie i że jeżeli uczynią go komendantem nad załogą w stolicy, to woli tam być, gdyż łatwiej się stamtąd na wszystkie strony oglądać.

Nie brakło też ludzi, którzy twierdzili napewno, że książę musiał wpaść w ręce Jana Kazimierza.

— Gdyby księcia nie było w Warszawie — mówiono, — pocóżby miłościwy pan nasz w amnestyi, którą wszystkim Polakom przy załodze zostającym z góry udzielił, jego jednego wyjmował? Musi on już być w mocy królewskiej, a że wiadomo, iż głowa księcia Janusza na pień przeznaczona, przeto i Bogusławowa pewno spadnie.

Skutkiem rozmyślań, doszedł Sakowicz do tego samego przekonania i borykał się z rozpaczą, bo raz, że księcia kochał, a powtóre wiedział, że w razie śmierci tego potężnego protektora, łatwiej najdzikszy zwierz zdoła uchronić głowę w tej Rzeczypospolitej niż on, który był prawą ręką zdrajcy.

Zdawało mu się, ze pozostaje jedno tylko: nie zważać już na Anusin opór i uciec do Prus, tam szukać chleba, służby.

— Lecz co będzie — pytał się nieraz sam siebie starosta. — gdy i elektor ulęknie się gniewu polskiego majestatu i wszystkich zbiegów wyda.

Nie było wyjścia, a schronienie chyba za morzem, w Szwecyi samej.

Na szczęście, po tygodniu tych niepewności i męki, przybył od księcia Bogusława goniec z długim listem własnoręcznym:

"Warszawa odjęta Szwedom — pisał książę. — Tabór mój i rzeczy przepadły. Recedere już zapóźno, bo taka na mnie tam zawziętość, żem był od amnestyi wyłączon. Ludzi moich u samych bram Warszawy poszarpał Babinicz, Ketling w niewoli. Król szwedzki, elektor i ja, razem ze Steinbokiem i wszystkiemi siłami

idziemy pod stolicę, gdzie walna bitwa niebawem nastąpi. Carolus klnie się, że ją wygra, chociaż biegłość kazimierzowa w prowadzeniu wojny konfunduje go niepomału. Ktoby się spodziewał, ze w ex-Jezuicie tak wielki strategos siedzi? Ale jam to poznał jeszcze pod Beresteczkiem, bo tam wszystko się działo jego i Wiśniowieckiego głową. Mamy nadzieję w tem, że pospolite ruszenie, którego przy Kazimierzu było na kilkadziesiąt tysięcy, rozlezie się do domów, albo że pierwszy zapał ostygnie i bić się tak dobrze nie będzie. Daj Bóg popłoch jakowy między tą chasą, wówczas Carolus ważną może klęskę zadać, choć, co po niej będzie, niewiadomo i sami generałowie powiadają sobie po cichu, że ta rebelia to hydra, której coraz nowe głowy rosną. Mówi się: "najprzód odebrać znów Warszawę." Gdy to z ust Karola usłyszałem, pytałem, co potem? Nie rzekł nic. A tu siły nasze kruszeją, ich zaś rosną. Nowej wojny zaczynać niema z czem. I animusz już nie ten i nikt się z naszych nie chwyci tak Szwedów, jak na początku. Wuj elektor milczy, jak zwykle, ale to widzę dobrze, że jeśli bitwę przegramy, pocznie Szwedów nazajutrz bić, aby się w łaski Kazimierzowe wkupić. Ciężko uderzać w pokorę, ale musimy! Daj tylko Boże, żeby mnie przyjęto i żebym cały wyszedł, substancyi wszystkiej nie straciwszy. W Bogu tylko ufność ale bojaźni trudno się uchronić i trzeba złe przewidywać. Dlatego, co można z majętności za gotowy grosz zastawić albo i przedać, to uczyń, choćby z konfederatami pocichu w praktyki wejść. Sam z całym taborem jedź do Birż, jako że stamtąd do Kurlandyi bliżej. Radziłbym ci do Prus, ale tam wkrótce przed ogniem i mieczem nie będzie bezpieczno, bo zaraz po wzięciu Warszawy ordynowano Babinicza, aby przez Prusy na Litwę szedł rebelię excytować, a po drodze palił i ścinał. A wiesz, że on to potrafi. Chcieliśmy go złowić u Bugu i sam Steinbok wysłał nań znaczny podjazd, z którego ni zwiastun klęski nie wrócił. Nie bierz tego na się, abyś miał się z Babiniczem mierzyć, bo nie zdążysz, jeno do Birż pośpieszaj.

"Febris opuściła mnie zupełnie, ile że tu wszędy wysokie i suche równie, nie takie paludes, jako na Żmudzi. Bogu cię polecam etc."

O ile pan starosta uradował się, iż książę żyw i zdrowy, o tyle zatroskały go wielce nowiny. Jeżeli bowiem książę przewidywał, że nawet wygrana walna bitwa nie zdoła zbyt poprawić zachwia-

nej fortuny szwedzkiej, to czego należało się spodziewać w przyszłości? Być może, że książę zdoła się uchronić od zagłady pod płaszczem chytrego elektora, a on, pan Sakowicz, pod książęcym, lecz co czynić tymczasem? Iść do Prus?

Pan Sakowicz nie potrzebował rad książęcych, aby nie wchodzić w drogę Babiniczowi. Brakło mu do tego zarówno sił, jak chęci. Pozostawały Birże, ale i to zbyt późno! Na drodze do nich leży partya Billewiczowska, leży kopa innych, szlacheckich, chłopskich, księżych i Bóg wie niejakich, które na samą wieść połączą się i rozniosą go, jak wicher suche liście, a choćby się nie połączyły choćby uprzedzić je szybkim, a śmiałym pochodem, trzeba po drodze w każdej wsi, na każdem bagnie, w każdem polu i lesie staczać nową bitwę. Jakieżby siły mieć należało, by choć w trzydzieści koni dojść do Birż? Więc zostać w Taurogach? I to źle, bo tymczasem przyjdzie na czele potężnego tatarskiego zastępu straszny Babinicz; wszystkie partye zlecą się do niego i zaleje Taurogi jak powódź i zemstę taką wywrze, o jakiej ludzie dotąd nie słyszeli.

Pierwszy raz w życiu poczuł zuchwały do niedawna starosta, że brak mu rady w głowie, mocy w przedsięwzięciu, wyboru w niebezpieczeństwie.

I na drugi dzień zwołał na radę Buetzowa, Brauna i kilku znaczniejszych oficerów.

Postanowiono zostać w Taurogach i czekać na nowiny z pod Warszawy.

Lecz Braun z tej narady udał się wprost na inną, mianowicie do Anusi Borzobohatej.

Długo, długo naradzali się z sobą, nakoniec Braun wyszedł z twarzą wielce poruszoną, Anusia zaś wpadła jak burza, do Oleńki.

— Oleńka! przyszedł czas! — krzyknęła zaraz w progu. — Musimy uciekać!

— Kiedy? — spytała dzielna dziewczyna, blednąc nieco, lecz wstając zaraz, na znak natychmiastowej gotowości.

— Jutro, jutro! Braun ma komendę, a Sakowicz, będzie spał w mieście, bo go pan Dzieszuk na ucztę zaprosi. Pan Dzieszuk dawno namówion i do wina czegoś mu namiesza. Braun powiada, że sam pójdzie i pięćdziesiąt koni wyprowadzi. Oj, Oleńka! Oleńka, jaka ja szczęśliwa! jaka ja szczęśliwa!

Tu Anusia rzuciła się na szyję Billewiczówny i poczęła ją ściskać z takim wybuchem radości, że aż ta zdziwiona spytała:

— Co ci jest Anusiu? Wszakże mogłaś dawno Brauna do tego skłonić?

— Mogłam skłonić? Tak, mogłam! To ja ci jeszcze nic nie mówiłam? O Boże! Boże! Nic nie wiesz? Pan Babinicz tu idzie Sakowicz ze strachu mrze i wszyscy oni!... Pan Babinicz idzie! pali! ścina! Podjazd jeden zniósł ze szczętem, samego Steinboka poraził i idzie wielkiemi pochodami, jakby śpieszył! A do kogoż on się tu może śpieszyć? Powiedz, czy ja nie głupia?

Tu łzy błysnęły w anusinych źrenicach, Oleńka zaś złożyła ręce jak do modlitwy i wzniósłszy oczy, rzekła:

— Do kogokolwiek się śpieszy, niech Bóg prostuje drogi jego, niech go błogosławi i chroni!

---

## LXXVI.

Pan Kmicic, chcąc się przedostać od Warszawy ku Prusom książęcym i Litwie, rzeczywiście niełatwe miał zaraz w początkach zadanie, bo nie dalej, jak w Serocku stała wielka potęga szwedzka. Karol Gustaw kazał jej swego czasu umyślnie tam stanąć, aby przeszkadzała oblężeniu Warszawy, lecz ponieważ Warszawa była już wzięta, przeto armia ta nie miała tymczasem nic lepszego do roboty, jeno nie puszczać oddziałów, które Jan Kazimierz chciałby na Litwę lub do Prus posłać. Stał na jej czele Duglas, biegły wojownik, wyćwiczony jak żaden ze szwedzkich generałów w dorywczej wojnie, i dwóch zdrajców polskich: Radziejowski i Radziwiłł. Były z nimi dwa tysiące wybornej piechoty, a drugie tyle jazdy i artyleryi. Wodzowie, zasłyszawszy o ekspedycyi Kmicica, gdy i tak trzeba było zbliżyć się ku Litwie dla ratowania nanowo oblęganego przez Mazurów i Podlasian Tykocina, rozciągnęli szerok na pana Andrzeja sieci, w trójkącie nad Bugiem, między Serockiem z jednej strony, Złoteryą z drugiej i Ostrołęką na szczycie.

Kmicic zaś musiał przez ów trójkąt przechodzić, bo śpieszył się, a tamtędy była mu droga najbliższa. Wcześnie też pomiarkował

się, że jest w sieci, ale że przywykł do tego sposobu wojowania, więc się nie zrażał. Liczył na to, że sieć ta zbyt jest rozciągnięta i dlatego oka w niej tak szerokie, iż się w razie potrzeby przedostać przez nie zdoła. Co więcej: jakkolwiek polowano na niego pilnie, on nietylko kluczył, nietylko się wymykał, ale i sam polował. Najprzód przyszedł Bug za Serockiem, dotarł brzegiem rzeki do Wyszkowa, w Brańszczyku zniósł ze szczętem trzysta koni, wysłanych na podjazd, tak, iż jak książę pisał, ni zwiastun klęski nie został. Sam Duglas nacisnął go w Długosiodle, lecz on rozbiwszy jazdę, przedostał się poza nią i zamiast umykać co duchu, szedł im na oczach aż do Narwi, którą wpław przebył. Duglas został nad jej brzegiem, czekając na promy, ale nim je sprowadzono, Kmicic głuchą nocą wrócił się przez rzekę i uderzywszy na przednie straże szwedzkie, wzniecił popłoch i zamieszczanie w całej Duglasowej dywizyi.

Zdumiał się tym postępkiem stary generał, lecz nazajutrz zdumienie jego jeszcze było większe, gdy dowiedział się, iż Kmicic obszedł armię i wróciwszy się na miejsce, z którego ruszono go jak zwierza, zagarnął w Brańszczyku podążające za wojskiem wozy szwedzkie wraz z łupami i kasą, wyciąwszy przytem pięćdziesiąt piechoty konwoju.

Upływały czasem dni całe, że Szwedzi widzieli jego Tatarów gołem okiem na krańcu widnokręgu, a dosięgnąć ich nie mogli. Za to pan Andrzej co chwila coś urywał. Żołnierz szwedzki nużył się, a polskie chorągwie, które trzymały się jeszcze przy Radziejowskim, lub z dysydentów złożone, służyły nieszczerze, natomiast ludność wysługiwała się z zapałem głośnemu partyzantowi. Wiedział o każdym ruchu, o najmniejszym podjeździe, o każdym wozie, który wyruszał naprzód, lub pozostawał w tyle. Częstokroć zdawało się, że igra ze Szwedami, ale były to igraszki tygrysie. Jeńców nie żywił, kazał ich wieszać Tatarom, gdyż tak samo zresztą czynili w całej Rzeczypospolitej Szwedzi. Chwilami, rzekłbyś, napadała go wściekłość niepohamowana, bo ze ślepem zuchwalstwem rzucał się na przeważne siły.

— Waryat dowodzi tym oddziałem — mówił o nim Duglas.

— Albo wściekły pies! — odpowiedział Radziejowski.

Bogusław był zdania, że jedno i drugie, ale podszyte znamienitym żołnierzem. Z chlubą też opowiadał generałom, że tego kawalera po dwakroć własną ręką zwalił na ziemię.

Jakoż na niego najzacieklej następował pan Babinicz. Szukał go widocznie; sam ścigany, ścigał.

Duglas odgadł, że musi być w tem jakaś prywatna nienawiść. Książę nie zapierał, chociaż objaśnień żadnych nie dawał. Płacił też Babiniczowi równą monetą, bo idąc za przykładem Chowańskiego, wyznaczył cenę na jego głowę, a gdy to nie pomogło zamyślił skorzystać z jego ku sobie nienawiści i właśnie przez nią w potrzask go wprowadzić.

— Wstyd nam już porać się tak długo z tym rozbójnikiem — rzekł do Duglasa i Radziejowskiego — kręci się on koło nas, jak wilk koło owczarni i z pomiędzy palców wymyka. Pójdę mu tedy z niewielkim oddziałem na przynętę, a gdy na mnie uderzy, póty go na sobie zatrzymam, dopóki wasze dostojnoście nie nadciągniecie; wówczas nie wypuścim raka z kobieli.

Duglas, któremu gonitwa dawno się już uprzykrzyła, mały tylko stawiał opór, twierdząc, że nie może i nie powinien życia tak wielkiego dostojnika i krewnego królów dla schwytania jednego grasanta azardować. Lecz gdy książę nalegał, zgodził się.

Ułożono, że książę pójdzie z oddziałem pięciuset jeźdźców, ale każdemu rajtarowi wsadzi za plecy piechura z muszkietem. Fortel ten miał posłużyć do wprowadzenia w błąd Babinicza.

— Nie wytrzyma on, gdy usłyszy o pięciuset rajtarach i uderzy niezawodnie — mówił książę — tymczasem, gdy mu piechota w oczy plunie, rozproszą się jego Tatarzy jak piasek... i sam polegnie lub żywcem go dostaniem...

Planów przeprowadzono szybko i z wielką dokładnością. Najprzód puszczano przez dwa dni wieść, iż podjazd z pięciuset koni ma być pod Bogusławem wysłany. Generałowie liczyli napewno, że miejscowa ludność uwiadomi o tem Babinicza. Jakoż tak się stało.

Książę ruszył głęboką i ciemną nocą ku Wąsowu i Jelonce, przeszedł w Czerewinie rzekę i zostawiwszy jazdę w golem polu, zasadził piechotę w poblizkich zagajnikach, aby niespodzianie wychylić się mogła. Tymczasem Duglas miał się posuwać brzegiem Narwi, udając, że idzie ku Ostrołęce. Radziejowski zaś zachodzić miał z lżejszemi chorągwiami jazdy od Księżopola.

Wszyscy trzej wodzowie nie wiedzieli dobrze, gdzie w tej chwili jest Babinicz, bo od chłopów niepodobna się było dowiedzieć, raj-

ratowie zaś nie umieli chwytać Tatarów. Przypuszczał jednak Duglas, że główna siła babiniczowa stoi w Śniadowie i chciał ją otoczyć tak, aby, jeśli Babinicz ruszy na księcia Bogusława, zajść mu od granicy litewskiej i przeciąć odwrót.

Wszystko zdało się sprzyjać szwedzkim zamiarom. Kmicic istotnie był w Śniadowie i zaledwie doszła go wiadomość o bogusławowym podjeździe, zapadł natychmiast w lasy, aby niespodzianie wynurzyć się z nich pod Czerewinem.

Duglas, zawróciwszy od Narwi, trafił po kilku dniach na ślady tatarskiego pochodu i szedł tym samym szlakiem, zatem już z tyłu za Babiniczem. Upał mordował straszliwie konie i ludzi poprzybieranych w żelazne blachy; lecz generał szedł naprzód, nie zważając na te przeszkody, pewien już zupełnie, że zejdzie babiniczową watahę niespodzianie i w chwili bitwy.

Nakoniec po dwóch dniach pochodu dotarł tak blizko Czerewina, że dymy chałup widać było. Wówczas stanął i poobsadzawszy wszystkie przejścia, najmniejsze ścieżki, czekał.

Niektórzy oficerowie chcieli iść na ochotnika i zaraz uderzać, lecz on wstrzymał ich, mówiąc:

— Babinicz po uderzeniu na księcia, gdy pozna, że nie z samą jazdą, ale i z piechotą ma do czynienia, cofać się musi... a może wracać tylko dawnym szlakiem... wówczas zaś wpadnie nam jakby w otwarte ramiona.

Jakoż pozostawało tylko nadstawić ucha, rychło odezwą się wycia tatarskie i pierwsze strzały muszkietów.

Tymczasem upłynął jeden dzień i w lasach czerewińskich cicho było, jak gdyby nigdy nie postała w nich noga żołnierska.

Duglas począł się niecierpliwić i pod noc wysłał maleńki podjazd ku polom, przykazawszy mu największą ostrożność.

Podjazd wrócił głęboką nocą nic nie wiedząc niczego nie sprawdziwszy. Świtaniem ruszył sam Duglas z całą siłą naprzód.

Po kilku godzinach drogi dotarł do miejsca, na którem pełno było śladów żołnierskiego postoju. Znaleziono resztki sucharów, potłuczone szkło, kawałki ubioru i pas z ładunkami, jakich używali piechurowie szwedzcy; niewątpliwie więc stała w tem miejscu Bogusławowa piechota, lecz nigdzie nie było jej widać. Dalej na mokrej łące przednia straż Duglasowa spostrzegła mnóstwo

wycisków ciężkich rajtarskich koni, na brzegu zaś ślady tatarskich bachmatów, jeszcze dalej leżało padło jednego konia, z którego wilcy świeżo wyciągnęli wnętrzności. O staje stamtąd znaleziono strzałę tatarską bez grotu, ale z całkowitą brzechwą i bełtem. Widocznie Bogusław cofał się, a Babinicz szedł za nim.

Duglas zrozumiał, że musiało zajść coś niezwykłego.

Lecz co? Na to nie było odpowiedzi. Duglas zamyślił się. Nagle zadumę przerwał mu oficer z przedniej straży.

— Wasza dostojność! — rzekł. — Przez zarośla widać o staje kilku ludzi w kupie. Nie ruszają się, jakby wartownicy. Wstrzymałem straż, by waszej dostojności o tem donieść.

— Jezdni, czy piesi? — spytał Duglas.

— Piesi, jest ich czterech, czy pięciu w kupie, dobrze policzyć nie można, bo gałęzie zasłaniają. Ale migają się żółto, jakby nasi muszkietnicy.

Duglas ścisnął kolanami konia, szybko popędził do pierwszej straży i ruszył z nią naprzód. Przez rzednące zarośla w dalszym głębokim lesie widać było grupę żołnierzy zupełnie nieruchomą, stojącą pod drzewem.

— Nasi, nasi! — rzekł Duglas. — Książę musi być w pobliżu.

— Dziw! — ozwał się po chwili oficer — stoją na warcie i żaden się nie ozwie, choć hałaśliwie idziemy. — Wtem zarośla skończyły się i odsłonił się las niepodszyty. Wówczas nadjeżdżający ujrzeli czterech ludzi stojących w kupie, tuż jeden obok drugiego, jakby patrzyli czegoś w ziemię. Od głowy podnosiło się każdemu czarne pasmo prosto ku górze.

— Wasza dostojność! — rzekł nagle oficer — ci ludzie wiszą!

— Tak jest! — odpowiedział Duglas.

Widocznie byli to maruderowie lub chorzy, których babiniczowscy Tatarzy schwytali, postępując za księciem.

Lecz czemu książę się cofał?

Duglas znał go zbyt dobrze, to jest zarówno jego odwagę, jak doświadczenie wojenne, ażeby chociaż na chwilę przypuścił, że książę nie miał dostatecznych przyczyn. Musiało tam coś zajść koniecznie.

Na drugi dzień dopiero sprawa się wyjaśniła. Mianowicie przyjechał z podjazdem w trzydzieści koni pan Bies Kornia od księcia Bogusława, z doniesieniem, iż król Jan Kazimierz wyprawił

za Bug przeciw Duglasowi pana hetmana polnego Gosiewskiego w sześć tysięcy litewskich i tatarskich koni.

I przyśpieszywszy kroku, stanęli na chwilę tuż koło trupów. Czterech piechurów wisiało na pętlach razem, jak kupa drozdów, z nogami ledwie na cal wyniesionemi nad ziemią, bo na nizkiej gałęzi.

Duglas popatrzył na nich dość obojętnie, poczem rzekł, jakby do samego siebie:

— To wiemy, że książę i Babinicz tędy przechodzili.

I zamyślił się znowu, bo sam dobrze nie wiedział, czyli ma iść dalej tym leśnym szlakiem, czy się przebrać na wielki gościniec ostrołęcki.

Tymczasem w pół godziny później odkryto znów dwa trupy.

— Dowiedzieliśmy się o tem, — mówił pan Bies — zanim Babinicz nadciągnął, bo szedł bardzo ostrożnie i często przypadał, zatem marudnie. Pan Gosiewski jest w czterech lub pięciu milach. Książę powziąwszy wiadomość, cofać się spiesznie musiał, aby się z panem Radziejowskim połączyć, który łatwo mógł być zniesion. Ale szybko idąc, połączyliśmy się szczęśliwie. Zaraz też książę podjazdy ordynował po kilkanaście koni we wszystkie strony, z doniesieniem do waszej dostojności. Siła ich wpadnie w tatarskie albo w chłopskie ręce, ale w takiej wojnie nie może inaczej być.

— Gdzie są książę i pan Radziejowski?

— W dwóch milach stąd, u brzegu.

— Książę całą li siłę wyprowadził?

— Piechotę zostawić musiał, która się przebiera co najgęstszemi lasami, by się od Tatarów uchronić.

— Taka jazda jak tatarska, by i największemi gąszczami iść umie. Nie spodziewać się już ujrzeć tej piechoty. Ale niczyje w tem winy niema i książę postąpił jako wódz doświadczony.

— Książę rzucił jeden znaczniejszy podjazd ku Ostrołęce, aby pana podskarbiego litewskiego w błąd wprowadzić. Ruszą oni tam nie mieszkając, w tej myśli, że całe nasze wojsko na Ostrołękę poszło.

— To dobrze! — rzekł ucieszony Duglas. — Damy panu pod skarbiemu rady.

I nie tracąc chwili, nakazał pochód, aby się z księciem Bogusławem i Radziejowskim połączyć. Nastąpiło to tego samego dnia.

ku wielkiej uciesze, zwłaszcza pana Radziejowskiego, który niewoli gorzej od samej śmierci się obawiał, wiedział bowiem, że jako zdrajca i sprawca wszystkich nieszczęść Rzeczypospolitej srodze odpowiadaćby musiał.

Teraz wszelako, po połączeniu się z Duglasem, armia szwedzka wynosiła przeszło cztery tysiące ludzi, zatem mogła stawić skuteczny opór siłom pana hetmana polnego. Miał on wprawdzie sześć tysięcy jazdy, lecz Tatarzy, prócz babiniczowych, bardzo wyćwiczonych, użyci być we wstępnym boju nie mogli, a i sam pan Gosiewski, lubo wojownik biegły i uczony, nie umiał śladem Czarnieckiego natchnąć ludzi takim zapałem, przeciw któremu nic ostać się nie zdołało.

Duglas jednak w głowę zachodził, w jakim celu Jan Kazimierz mógł wysłać hetmana polnego za Bug. Król szwedzki wraz z elektorem szedł na Warszawę, walna bitwa musiała więc tam prędzej lub później nastąpić. A lubo Kazimierz stał już na czele potęgi, liczebnie od Szwedów i Brandeburczyków większej, jednakże sześć tysięcy bitnego ludu stanowiło zbyt wielki zasiłek, aby się król polski miał go dobrowolnie pozbawiać.

Prawda że i pan Gosiewski wyrwał Babinicza z toni ale przecie na ratunek Babinicza nie potrzebował król całej dywizyi wysyłać. Był zatem w tej wyprawie jakiś cel ukryty, którego generał szwedzki, mimo całej przenikliwości, odgadnąć nie umiał.

W liście króla szwedzkiego, nadesłanym w tydzień później znać było wielki niepokój i jakoby przerażenie z powodu tek ekspedycyi, ale kilka słów wyjaśniało jej przyczyny. Wedle zdania Karola Gustawa, pan hetman nie po to był posłany, by na Duglasową armię uderzać, by iść na Litwę, tamtejsze powstanie wspomagać, bo tam i tak Szwedzi już nastarczyć nie mogli, ale po to, żeby Prusom książęcym, mianowicie wschodniej ich części, całkowicie wojsk pozbawionej, zagrozić.

"Obliczono na to, — pisał król — by elektora w wierności dla malborskiego traktatu i dla Nas zachwiać, co łatwo może się stać, gdyż on z Chrystusem przeciw dyabłu i z dyabłem przeciw Chrystusowi jednocześnie wejść w sojusz gotowy, aby od obydwu skorzystać."

List kończył się poleceniem, aby Duglas starał się wszelkiemi siłami pana hetmana do Prus nie dopuścić, który jeśli w ciągu kil-

ku tygodni wkroczyć tam nie zdoła, niechybnie pod Warszawę wracać musi.

Duglas uznał, że zadanie, jakie nań włożono, wcale sił jego nie przechodzi. Jeszcze niedawno stawiał on z pewnem powodzeniem czoło samemu Czarnieckiemu; dlatego Gosiewski nie był mu straszny. Nie spodziewał się wprawdzie znieść jego dywizyi, ale był pewien, że potrafi ją osadzić i wszelkie jej ruchy zahamować.

Jakoż od tej chwili poczęły się bardzo sztuczne pochody obu armii, które unikając wzajemnie walnej bitwy, starały się obejść jedna drugą. Obaj wodzowie godnie współzawodniczyli z sobą, jednakże doświadczony Duglas o tyle był górą, że wyżej niż do Ostrołęki pana hetmana polnego nie puścił.

Zaś ocalony od Bogusławowego podejścia pan Babinicz wcale się także z połączeniem z litewską dywizyą nie śpieszył, albowiem z wielką gorliwością zajął się ową piechotę, którą Bogusław w śpiesznym swym pochodzie ku Radziejowskiemu musiał po drodze zostawić. Tatarzy jego, prowadzeni przez miejscowych leśników, szli za nią dzień i noc, łuszcząc co chwila nieostrożnych lub tych, którzy pozostawali w tyle. Brak żywności zmusił nakoniec Szwedów do podzielenia się na małe oddziały, które łatwiej o spiżę starać się mogły, ale tego tylko czekał pan Babinicz.

Podzieliwszy swą wataħę na trzy komendy, pod dowództwem własnem, Akbah-Ułana i Soroki, w kilka dni wygniótł większą część owych piechurów. Byłato jakby nieustanna obława na ludzi po gąszczach leśnych, łozach i trzcinach, pełna hałasu, wrzasków, nawoływań, strzałów i śmierci.

Szeroko rozsławiła ona imię Babinicza między Mazurami. Wataħy zebrały się i połączyły z panem Gosiewskim dopiero pod samą Ostrołęką, kiedy pan hetman polny, którego wyprawa była tylko demonstracyą, odebrał już rozkaz królewski ciągnienia z powrotem pod Warszawę. Krótko tylko mógł pan Babinicz cieszyć się znajomymi, mianowicie z panem Zagłobą i Wołodyjowskim, którzy na czele laudańskiej chorągwi towarzyszyli hetmanowi. Witali się jednak bardzo serdecznie, bo już była wielka przyjaźń i zażyłość pomiędzy nimi. Obu młodym pułkownikom markotno było wielce, że nie mogli tym razem nic wskórać przeciw Bogusławowi, ale pan Zagłoba pocieszał ich, dolewając im gęsto do szklanic i tak mówiąc:

— Nic to! Już moja głowa od maja pracuje nad fortelami, a nigdy jeszcze nadarmo jej nie łamałem. Mam kilka gotowych, bardzo przednich, jeno do aplikowania już czasu niema, chyba pod Warszawą, dokąd wszyscy ruszymy.

— Ja muszę do Prus! — odrzekł Babinicz — i pod Warszawą nie będę.

— Zali się do Prus dostać zdołasz? — spytał Wołodyjowski.

— Jak Bóg na niebie, tak się przemknę i to święcie wam przyrzekam, że bigosu narobię niepośledniego, bo jużci powiem moim Tatarom: "hulaj dusza!" Radziby oni i tu nożami po gardłach ludziom przeciągać, alem im zapowiedział, że za każdy powróz! Zato w Prusiech i własnej ochocie folguję. Zaśbym nie miał się przemknąć! Wyście nie mogli, ale to inna rzecz, bo łatwiej większej sile drogę zagrodzić, niźli takiej watażce, jako jest moja, z którą ukryć się łatwo. Nieraz ja już w trzcinach siedział, a Duglasowi przechodzili tuż, tuż, ani o tem wiedząc. Duglas też pójdzie pewnie za wami i mnie tu pola wolne odsłoni.

— Aleś go też, słyszę, zmachał! — rzekł z zadowoleniem Wołodyjowski.

— Ha, szelma! — dodał pan Zagłoba. — Codzień musiał koszulę brać, tak się pocił. Jużeś waćpan i Chowańskiego sprawniej nie podchodził i to ci muszę przyznać, że sambym lepiej nie potrafił, gdybym się na waćpanowem miejscu znajdował, chociaż jeszcze pan Koniecpolski powiadał, że do podjazdowej wojny niemasz nad Zagłobę.

— Widzi mi się — rzekł do Kmicica Wołodyjowski, iż jeśli Duglas wróci, to Radziwiłła tu zostawi, by na cię następował.

— Daj to Bóg! Tę samą mam nadzieję — odparł żywo Kmicic. — Jakbym ja zaczął jego szukać, a on mnie także, tobyśmy się przecie znaleźli. Trzeci raz już przeze mnie nie przejedzie, a jeśli przejedzcie, to się chyba więcej nie podniosę. Twoje arkana pamiętam dobrze i wszystkie sztychy łubniańskie mam jako pacierz w pamięci. Codzień ich też z Soroką próbuję, ażeby sobie rękę wkładać.

— Co tam fortele! — zawołał Wołodyjowski — szabla grunt!

Dotknęła nieco ta maksyma pana Zagłobę, który też zaraz odrzekł:

— Każdy wiatrak myśli, że grunt skrzydłami machać, a wiesz

Michałku czemu? Bo ma plewy pod dachem, alias w głowie. Sztuka wojenna także na fortelach polega, inaczej Roch Kowalski mógłby być hetmanem wielkim, a ty polnym.

— A co pan Kowalski porabia? — spytał Kmicic.

— Pan Kowalski? Już żelazny hełm na głowie nosi i słusznie, bo kapusta z sagana najlepsza. Obłowił się okrutnie w Warszawie, zdobył się na poczet zacny i poszedł do husarzów, do kniazia Połubińskiego, a wszystko dlatego, żeby módz kopią się do Carolusa złożyć. Przychodzi do nas codzień pod namiot i ślipiami łypie, czyli szyja od gąsiora ze słomy nie wygląda. Nie mogę tego chłopa od pijaństwa odzwyczaić. Na nic dobry przykład. Alem mu prorokował, że mu na złe wyjdzie to chorągwi laudańskiej opuszczenie. Szelma! niewdzięcznik! za tyle dobrodziejstw, którem mu wyświadczył, opuścił mnie taki syn dla kopii!

— Waćpanżeś jego chował?

— Mój mosanie! nie czyńże mnie niedźwiednikiem. Panu Sapieże, który mnie o to pytał, powiedziałem, że jednego z Rochem mieli praeceptora, ale nie mnie, bo ja za młodych lat byłem bednarzem i klepki umiałem dobre wstawiać.

— Najprzód, tegobyś waćpan panu Sapieże nie śmiał powiedzieć — odpowiedział Wołodyjowski, — a powtóre niby mruczysz na Kowalskiego, a miłujesz go jako źrenicę oka.

— Wolę go od ciebie, panie Michale, gdyż chrabąszczów nigdy znosić nie mogłem, ani kochliwych mydłków, którzy na widok pierwszej lepszej niewiasty koziołki zaczynają zaraz przewracać, jako niemieckie muce.

— Albo jako te małpy u Kazanowskich, z któremi waćpan wojował!

— Śmiejcie się, śmiejcie się, będziecie drugi raz sami Warszawę zdobywali!

— Tośto niby waćpan ją zdobył?

— A kto Krakowską bramę expugnavit (zdobył)? Kto niewolę dla generałów obmyślił? Siedzą teraz na chlebie i wodzie w Zamościu, a co Wittemberg spojrzy na Wrangla, to powiada: "Zagłoba nas tu wsadził!" — i oba w płacz. Żeby pan Sapieha nie był chory i żeby tu był obecny, powiedziałby wam, kto szwedzkiego kleszcza z warszawskiej skóry najpierwszy wyciągnął.

— Dla Boga! — rzekł Kmicic — uczyńcież to dla mnie i przy-

ślijcie mi wiadomość o onej bitwie, na którą się pod Warszawą zbiera. Dni i noce będę na palcach liczył i spokoju nie zaznam, póki się czego pewnego nie dowiem.

Zagłoba przyłożył palec do czoła.

— Posłuchajcie mojej polityki — rzekł, — bo co powiem, to się tak pewno spełni... jako i to jest pewne, że ta szklanica stoi przede mną... Czy nie stoi? co?

— Stoi, stoi! Mów waść!

— Tę bitwę walną albo przegramy, albo wygramy...

— To każdy wie! — wtrącił Wołodyjowski.

— Milczałbyś, panie Michale i uczył się. Suponując, że tę bitwę przegramy, wiesz, co dalej będzie?... Widzisz! nie wiesz, bo już swemi szydełkami pod nosem, jak zając, ruszasz... Otóż ja mówię wam, że nic nie będzie...

Kmicic, który był bardzo żywy, zerwał się, stuknął szklanką o stół i zawołał:

— Marudzisz waść!

— Mówię, że nic nie będzie! — odparł Zagłoba, — Młodziście, to tego nie rozumiecie, że jako teraz rzeczy stoją, nasz król, nasza miła ojczyzna, nasze wojska mogą pięćdziesiąt bitew jedna po drugiej przegrać... i po staremu wojna pójdzie dalej, szlachta będzie się zbierała, z nią i podlejsze stany... I nie uda się raz, to uda się drugi, dopóki moc nieprzyjacielska nie stopnieje. Ale jak Szwedzi jedną batalię większą przegrają, to ich dyabli bez ratunku wezmą, a elektora z nimi w dodatku.

Tu ożywił się Zagłoba, wychylił szklankę, uderzył nię o stół i mówił dalej:

— Słuchajcie, bo tego z lada nie usłyszycie, bo nie każdy umie patrzyć generalnie. Niejeden myśli: co tu nas jeszcze czeka? ile bitew, ile klęsk, o które wojując z takim Carolusem, nie trudno... ile łez? ile krwi wylanej? ile ciężkich paroksyzmów? I niejeden wątpi i niejeden przeciw miłosierdziu Bożemu i Matce Najświętszej bluźni... a ja wam powiadam tak: wiecie co nieprzyjaciół onych wandalskich czeka? — zguba; wiecie, co nas czeka? — zwycięstwo! Pobiją nas jeszcze sto razy.. dobrze... ale my pobijemy sto pierwszy i będzie koniec.

Rzekłszy to, pan Zagłoba przymknął na chwilę oczy, lecz zaraz je otworzył, spojrzał błyszczącemi źrenicami przed siebie i nagle zakrzyknął całą siłą piersi.

— Zwycięstwo! zwycięstwo!

Kmicic aż zaczerwienił się z radości.

— Dalibóg, ma racyę! dalibóg, słusznie mówi! Nie może inaczej być! Musi taki przyjść koniec!

— Jużto trzeba waści przyznać, że ci tu nie brakuje! — rzekł Wołodyjowski, palnąwszy się w głowę. — Rzeczpospolitą można zająć, ale dosiedzieć w niej nie łża... i tak w końcu trzeba się będzie wynieść.

— Ha! co? nie brakuje! — rzekł uradowany z pochwały Zagłoba. — Kiedy tak, to wam jeszcze będę prorokował. Bóg przy sprawiedliwych: Waćpan (tu zwrócił się do Kmicica) zdrajcę Radziwiłła pokonasz, do Taurogów pojedziesz, dziewczynę odbierzesz, za żonę ją pojmiesz, potomstwo wychowasz... Niech pypcia na języku dostanę, jeżeli tak nie będzie, jakom rzekł... Dla Boga! tylko nie uduś!

Słusznie zastrzegał się pan Zagłoba, bo pan Kmicic porwał go w swoje ramiona, podniósł w górę i tak ściskać począł, że aż oczy staremu wyszły na wierzch, ledwie zaś stanął na własnych nogach, ledwie odsapnął, już pan Wołodyjowski, rozochocony wielce, chwycił go za rękę.

— Moja kolej. Mów waćpan, co mnie czeka?

— Boże ci błogosław, panie Michale.... Wywiedzie ci twoja misterna dzierlatka całe stadko... nie bój się. Uf!

— Vivat! — krzyknął Wołodyjowski.

— Ale pierwej ze Szwedami koniec uczynim! — dodał Zagłoba.

— Uczynim! uczynim! — zawołali, trzaskając szablami młodzi pułkownicy.

— Vivat! zwycięstwo!

## LXXVII.

W tydzień później przedostał się pan Kmicic w granice Prus elektorskich pod Rajgrodem. Przyszło mu to dość łatwo, gdyż przed samem odejściem pana hetmana polnego zapadł w lasy tak skrycie, iż Duglas był pewien, że i jego wataha pociągnęła razem

z całą dywizyą tatarsko-litewską pod Warszawę i małe tylko załogi po zameczkach do obrony tych stron zostawił.

Duglas odszedł także w ślad za Gosiewskim, z nim Radziejowski i Radziwiłł.

Kmicic dowiedział się o tem jeszcze przed przejściem granicy i zgryzł się srodze, że nie będzie się mógł oko w oko ze swym śmiertelnym wrogiem spotkać i że kara może Bogusława dojść z innych rąk, mianowicie z rąk pana Wołodyjowskiego, który także przeciw niemu ślubował.

Zaczem, nie mogąc wywrzeć zemsty za krzywdy Rzeczypospolitej i swoje na osobie zdrajcy, wywarł ją w straszliwy sposób na posiadłościach elektorskich.

Tej samej nocy jeszcze, w której Tatarzy minęli słup graniczny, niebo zaczerwieniło się łunami, rozległy się wrzaski i płacz ludzi, deptanych stopą wojny. Kto polską mową o litość umiał prosić, ten z rozkazu wodza był oszczędzany; ale natomiast niemieckie osady, kolonie, wsie i miasteczka zmieniały się w rzekę ognia, a przerażony mieszkaniec szedł pod nóż.

I nie tak prędko oliwa rozlewa się po morzu, gdy ją żeglarze dla uspokojenia fal wyleją, jak rozlał się ów czambuł Tatarów i wolentarzy po spokojnych i ubezpieczonych dotąd stronach. Zdawało się, iż każdy Tatar umiał się dwoić i troić, być zaraz w kilku miejscach, palić, ścinać. Nie oszczędzano nawet łanów zbożowych, nawet drzew w sadach.

Tyle przecież czasu trzymał pan Kmicic na smyczy swych Tatarów, że wreszcie, gdy ich puścił na kształt stada drapieżnych ptaków, prawie zapamiętali się wśród rzezi i zniszczenia. Jeden przesadzał się nad drugiego, a że jasyru brać nie mogli, więc pławili się od rana do wieczora we krwi ludzkiej.

Sam pan Kmicic, mający w sercu niemało dzikości, dał jej folgę zupełną i choć własnych rąk we krwi bezbronnych nie walał, przecie patrzył z zadowoleniem na płynącą. Na duszy zasie był spokojny i sumienie nic mu nie wyrzucało, bo była to krew nie polska i w dodatku heretycka więc nawet sądził że miłą rzecz Bogu a zwłaszcza Świętym Pańskim czyni.

Przecie elektor, lennik, zatem sługa Rzeczypospolitej z dobrodziejstw jej żyjący, pierwszy podniósł świętokradzką rękę na swą królową i panią, więc należała mu się kara, więc pan Kmicic był tylko narządziem gniewu Bożego.

Dlatego co wieczora spokojnie odmawiał różaniec przy blasku płonących osad niemieckich, a gdy krzyki mordowanych zmyliły mu rachunek tedy zaczynał od początku, aby duszy grzechem niedbalstwa w służbie bożej nie obciążyć.

Nie same jednak okrutne uczucia w sercu hodował, bo oprócz pobożności ożywiały je różne wzruszenia, związane pamięcią z dawnemi laty. Często więc przychodziły mu na myśl owe czasy, w których Chowańskiego z tak wielką sławą podchodził i dawni kompanionowie stawali mu jakby żywi przed oczyma. Kokosiński, olbrzymi Kulwiec-Hippocentaurus, raby Ranicki z senatorską krwią w żyłach, Uhlik na czekaniku grywający, Rekuć, na którym krew ludzka nie ciężyła i Zend, ptastwo i wszelkiego zwierza biegle naśladujący.

Wszyscy oni, prócz może jednego Rekucia, w piekle skwierczą, a ot! użyliby teraz, otby się we krwi ubabrali, grzechu na duszę nie ściągając i z pożytkiem dla Rzeczypospolitej!...

Tu wzdychał pan Andrzej na myśl, jak zgubną jest swawola, skoro w zaraniu młodości drogę do pięknych uczynków na wieki wieków zamyka.

Lecz najwięcej wzdychał do Oleńki. Im bardziej zapuszczał się w granice pruskie, tem srożej paliły go rany serca, jakby owe pożary, które rozniecał i dawną miłość zarazem podsycały. Codzień też prawie mówił w swem sercu do dziewczyny:

— Gołąbku najmilszy, możeś tam już o mnie zapomniał, a jeżeli wspomnisz, to jeno niechęć ci serce zaleje, ja zaś daleki, czy blizki, w nocy i we dnie, w pracy dla ojczyzny i trudzie, o tobie ciągle myślę i dusza leci ku tobie przez bory i wody, jak zmęczony ptak, aby zaś u nóg twoich się położyć. Rzeczypospolitej i tobie oddałbym wszystką krew moją, ale gorze mi, jeśli w sercu na wieki banitem mnie ogłosisz!

Tak rozmyślając, szedł coraz wyżej ku północy pasem granicznym, palił i ścinał, nikogo nie żywił Tęsknota dławiła go okrutna. Chciałby jutro być w Taurogach, a tymczasem droga była jeszcze tak daleka i tak trudna, bo wreszcie poczęto bić we wszystkie dzwony w całej prowincyi pruskiej.

Kto żyw, chwytał za broń, by dać opór strasznym niszczycielom, sprowadzano prezydya nawet z bardzo odległych miast, formowano pułki nawet z pachołków miejskich, i wkrótce wszędy mogło stanąć ze dwudziestu chłopa przeciw jednemu Tatarowi.

Kmicic rzucał się na owe komendy, jak piorun, gromił, rozpraszał, wieszał, wywijał się, krył i znów wypływał na fali ognia, ale jednak nie mógł już iść tak szybko jak wprzódy. Nieraz trzeba było tatarskim sposobem zapadać i taić się całymi tygodniami w gąszczu lub trzcinach nad brzegami jezior. Ludność wysypywała się coraz gęściej, jakby na wilka, a on kąsał też jak wilk, co jednem uderzeniem kłów śmierć zadaje i nietylko się bronił, ale zaczepnej wojny nie zaniechał.

Miłując pracę rzetelną, czasem, mimo pościgu, tak długo nie ruszał się z jakiejś okolicy, póki jej mieczem i ogniem na kilka mil nie zniszczył. Nazwisko jego dostało się niewiadomo jakim sposobem do ust ludzkich i grzmiało okryte zgrozą i przerażeniem, aż do brzegów Bałtyku.

Mógł wprawdzie pan Babinicz nanowo wejść napowrót w granice Rzeczypospolitej i mimo komend szwedzkich, śpieszniej ruszyć do Taurogów, ale nie chciał tego uczynić, bo pragnął nie sobie tylko, lecz Rzeczypospolitej służyć.

Tymczasem przyszły wieści, które miejscowym mieszkańcom dodały ducha do obrony i zemsty, a srogą żałością przejęły serce pana Babinicza. Gruchnęło o wielkiej bitwie pod Warszawą, którą król polski miał przegrać. "Karol Gustaw i elektor pobili wszystkie wojska kazimierzowe" — powtarzano sobie w Prusach z radością. "Warszawa znów wzięta: największa to w całej wojnie wiktorya i teraz będzie już koniec Rzeczypospolitej!"

Wszyscy ludzie, których zagarniali i kładli na węgle dla zeznań Tatarzy, powtarzali to samo, były i przesadne wieści, jako zwykle w czasach wojennych, a niepewnych. Wedle tych wieści, wojska były doszczętnie zniesione, hetmani polegli, a Jan Kazimierz dostał się do niewoli.

Więc wszystko się skończyło? więc owa powstająca i zwycięska Rzeczpospolita była tylko czczem mamidłem? Tyle potęgi, tyle wojsk, tylu wielkich ludzi i znamienitych wojowników: hetmani, król, pan Czarniecki ze swoją niezwyciężoną dywizyą, pan marszałek koronny, inni panowie ze swemi pocztami, wszystko przepadło, wszystko jak dym się rozwiało! I niemasz już innych obrońców tego nieszczęsnego kraju, prócz luźnych partyj powstańczych, które zapewne na wieść o klęsce jak tuman się rozwieją?!

Pan Kmicic włosy z czupryny darł i ręce łamał, chwytał wilgotną ziemię garściami i do płonącej głowy przyciskał.

— Polegnę i ja! — mówił sobie — ale wprzód ziemia ta krwią spłynie!

I począł wojować jak desperat, nie ukrywał się już więcej, nie zapadał po lasach i trzcinach, śmierci szukał, rzucał się jak szalony na siły trzykroć większe i roznosił w puch na szablach i kopytach. W Tatarach jego zamarły wszystkie resztki uczuć ludzkich i zmienili się w stado dzikich zwierząt. Drapieżny, ale niezbyt przydatny do walki w otwartem polu lud, nie utraciwszy nic ze swej zdolności do zasadzek i podstępów, przez ciągłą wprawę, przez ciągłe walki, wyćwiczył się tak, że najpierwszej w świecie jeździe mógł pierś w pierś dotrzymać pola i roznosić czworoboki nawet szwedzkiej dalekarlijskiej gwardyi. W zapasach ze zbrojną chasą pruską stu tych Tatarów rozbijało z łatwością dwieście i trzysta tęgich, zbrojnych w muszkiety i włócznie pachołków.

Kmicic oduczył ich obciążania się łupem, brali tylko pieniądze, a mianowicie złoto, które zaszywali w kulbaki. To też, gdy który poległ, pozostali bili się z wściekłością o jego konia i siodło. Bogacąc się w ten sposób, nie stracili nic ze swej nadludzkiej prawie lotności. Poznawszy, że pod żadnym w świecie wodzem nie mieliby żniw tak obfitych, przywiązali się do Babinicza, jako psy gończe do myśliwca i z prawdziwie mahometańską uczciwością składali po bitwach w ręce Soroki i Kiemliczów lwią część łupów "bagadyrowi" przynależną.

— Ałła! — mawiał Akbah-Ułan — mało ich Bakczy Seraj zobaczy, ale ci, którzy wrócą, murzami wszyscy zostaną.

Babinicz, który zdawna umiał się z wojny żywić, zebrał bogactwa potężne, natomiast śmierci, której więcej od złota szukał, nie znalazł.

Upłynął znów miesiąc na harcach i trudach wiarę ludzką przechodzących. Bachmatom, lubo jęczmieniem i pruską pszenicą pasionym, trzeba było koniecznie dać choć parę dni wypoczynku, zatem młody pułkownik, chcąc także wieści zasięgnąć i szczerby w ludziach nowymi wolentarzami zastąpić, cofnął się około Dospudy w granice Rzeczypospolitej.

Wieści wkrótce przyszły i to tak radosne, że Kmicic mało rozumu nie stracił. Okazywało się prawdą, że równie dzielny jak niefortunny Jan Kazimierz, przegrał wielką trzydniową bitwę pod Warszawą, ale z jakiejże przyczyny?

Oto pospolite ruszenie w ogromnej części rozeszło się przedtem

do domów ,a pozostała część nie biła się już z takim animuszem jak przy wzięciu Warszawy i trzeciego dnia bitwa wszczęła popłoch. Natomiast przez dwa pierwsze dni ważyło się zwycięstwo na stronę polską. Wojska regularne już nie w dorywczej podjazdowej wojnie, ale w wielkiej bitwie z najbardziej wyćwiczonym w Europie żołnierzem okazały taką umiejętność i wytrwałość, że samych generałów szwedzkich i brandeburskich ogarnęło zdumienie.

Król Jan Kazimierz nieśmiertelną sławę pozyskał. Mówiono, że okazał się być równym Karolowi Gustawowi wodzem i że gdyby wszystkie jego rozporządzenia spełnione zostały, nieprzyjaciel, straciłby walną bitwę i wojna byłaby ukończona.

Kmicic miał już też wiadomości z ust naocznych świadków, na tknął się bowiem na szlachtę, która służąc w pospolitakach, brała w bitwie udział. Jeden z nich opowiadał mu o świetnem uderzeniu husaryi, w czasie którego sam Carolus, który mimo zaklęć generałów, cofać się nie chciał, omal nie zginął. Wszyscy też potwierdzali, że nieprawda, jakoby wojska były zniesione, lub żeby hetmani polegli. Owszem cała potęga, prócz pospolitego ruszenia, pozostała nienaruszona i cofnęła się w dobrym ładzie w dół kraju.

Na moście warszawskim, który się załamał, uroniono tylko armaty, ale "ducha przewieziono przez Wisłę." Wojsko klęło się na wszystko, że pod takim wodzem, jak Jan Kazimierz, pobije w następnym spotkaniu Karola Gustawa, elektora i kogo będzie trzeba, bo ta bitwa, to była tylko próba, lubo niepomyślna, ale dobrej otuchy na przyszłość pełna.

Kmicic zachodził w głowę, skąd pierwsze wieści mogły być tak straszne. Wytłomaczono mu, że Karol Gustaw umyślnie porozsyłał przesadzone nowiny, w rzeczy zaś nie bardzo wiedział, co czynić. Oficerowie szwedzcy, których pan Andrzej w tydzień później ułowił, potwierdzili to zdanie.

Dowiedział się też od nich, że zwłaszcza elektor żył w wielkiem przerażeniu i o własnej skórze coraz bardziej poczynał myśleć, że z wojsk jego siła pod Warszawą legło, na pozostałe rzuciły się choroby tak straszne, iż gorzej bitew je niszczą. Tymczasem zaś Wielkopolanie, pragnąć za Ujście i wszystkie krzywdy zapłacić, najechali samą monarchię brandeburską, paląc ścinając, wodę a ziemię zostawując. Wedle oficerów, bliską była godzina, w której elektor porzuci Szwedów, a z mocniejszym się połączy.

— Trzeba mu tedy przypiekać, — pomyślał Kmicic — żeby prędzej to uczynił.

I mając konie już wypoczęte, a szczerby zapełnione, znów przekroczył Dospudę i jak duch zniszczenia na osady niemieckie się rzucił.

Różne "partye" poszły za jego przykładem. Zastał obronę już słabszą, więc tem bardziej dokazywał. Nowiny przychodziło coraz radośniejsze, tak radośne, że wierzyć w nie było trudne.

Oto najprzód poczęto prawić, że Karol Gustwa, który po bitwiY warszawskiej aż do Radomia się posunął, cofa się teraz na złamanie szyi ku Prusom królewskim. Co się stało? czemu się cofa? — na to nie było czas jakiś odpowiedzi, aż wreszcie gruchnęło znów po Rzeczypospolitej nazwisko pana Czarnieckiego. Zbił pod Lipcem, zbił pod Strzemesznem, pod samą Rawą wyciął w pień tylną straż umykającego Karola, zaczem dowiedziawszy się, iż dwa tysiące rajtaryi wraca z Krakowa, napadł na nią wstępnym bojem i ani zwiastuna klęski żywcem nie puścił. Pułkownik Forgell, brat generała, czterech innych pułkowników, trzech majorów, trzynastu rotmistrzów, i dwudziestu trzech poruczników poszło w łyka. Inni podawali liczbę podwójną, niektórzy twierdzili już w uniesieniu, że pod Warszawą nie klęskę, ale zwycięstwo odniósł Jan Kazimierz i że jego pochód w dół kraju był tylko fortelem dla pogrążenia nieprzyjaciela.

Sam pan Kmicic tak począł myśleć, bo od pacholęcych lat przecież żołnierzem będąc, rozumiał się na wojnie, a nigdy nie słyszał o takiem zwycięstwie, po któremby się zwyciężonym gorzej dziać miało. A Szwedom widocznie było gorzej i właśnie od bitwy warszawskiej.

Panu Andrzejowi przypomniały się wówczas słowa pana Zagłoby, gdy przy ostatniem widzeniu się mówił, że wiktorye nic nie naprawią już szwedzkiej sprawy, zaś jedna walna przegrana może ich zgubić.

— Kanclerska to głowa! — pomyślał Kmicic — która jakoby w księdze, w przyszłości umie czytać.

Tu przypomniały mu się i dalsze proroctwa pana Zagłoby, jako on, Kmicic, alias Babinicz, do Taurogów dojdzie, Oleńkę swoją odnajdzie, przebłaga, zaślubi i potomstwo z niej na sławę kraju wyprowadzi. Gdy sobie to wspomniał, ogień wstąpił mu w żyły,

już i chwili tracić nie chciał, jeno Prusaków i rzezi na czas zaniechać i do Taurogów lecieć.

Wtem w wilię wyjazdu przybył do niego szlachcic laudański z pod chorągwi Wołodyjowskiego z listem od małego rycerza.

"Idziemy z panem hetmanem polnym litewskim i księciem krajczym za Bogusławem i Waldekiem (pisał pan Michał). Połącz że się z nami, bo pole do słusznej zemsty się znajdzie, a i prusactwu za opresyą Rzeczypospolitej spłacić się przygodzi."

Pan Andrzej własnym oczom wierzyć nie chciał i czas jakiś posądzał szlachcica, iż chyba przez jakiego komendanta pruskiego czy szwedzkiego umyślnie był nasłany, ażeby go wraz z czambułem w zasadzkę wprowadzić. Miałżeby pan Gosiewski istotnie drugi raz do Prus ciągnąć? Niepodobna było nie wierzyć. Ręka była pana Wołodyjowskiego, herb pana Wołodyjowskiego, a i szlachcica sobie pan Andrzej przypomniał. Więc indagować go począł, gdzie pan Gosiewski się znajduje i dokąd dojść zamierza?

Szlachcic dość był głupkowaty. Nie jemu wiedzieć, dokąd pan hetman chce iść, wie tylko, że pan hetman z tą samą dywizyą litewsko-tatarską o dwa dni drogi, a przy nim jest i chorągiew laudańska. Pożyczył jej sobie na czas pan Czarniecki, ale już zdawna odesłał, a teraz idą, gdzie pan hetman polny prowadzi.

— Mówią — kończył szlachcic, — że do Prus pójdziem i żołnierz cieszy się okrutnie... Ale zresztą nasza rzecz słuchać i bić.

Kmicic wysłuchawszy relacyi, nie namyślał się długo, zawrócił czambuł i poszedł wielkim pochodem ku panu hetmanowi, a po dwóch dniach, już późną nocą padł w ramiona panu Wołodyjowskiemu, który wyściskawszy go, zaraz zakrzyknął:

— Graf Waldek i książę Bogusław są w Prostkach, szańce sypią, by się warownym obozem ubezpieczyć. Pójdziem na nich.

— Dziś? — rzekł Kmicic.

— Jutro do dnia, to jest za dwie lub trzy godziny.

Tu padli sobie znów objęcia.

— Tak mi coś mówi, że go Bóg wyda w ręce nasze! — zawołał wzruszony Kmicic.

— I ja tak myślę.

Tu padli sobie znów objęcia.

— Ślubowałem sobie do śmierci ten dzień pościć, w którym go spotkam.

— Protekcya Boża nie zawadzi — odrzekł pan Michał. — Nie

będę też czuł invidii, jeśli tobie ten los przypadnie, bo twoja krzywda większa.

— Michale! zacniejszego od ciebie kawalera nie widziałem.

— A niechże ci się, Jędrek, przypatrzę. Zczerniałeś od wiatru do reszty, aleś się spisał. Z wielką estymą patrzyła cała dywizya na twoją robotę. Nic, jeno zgliszcza i cadavera (trupy). Żołnierz z ciebie zawołany. I samemu panu Zagłobie, gdyby tutaj był, ciężkoby przyszło coś lepszego o sobie wymyślić.

— Dla Boga! a gdzie pan Zagłoba?

— Przy panu Sapieże został, bo spuchł całkiem z płaczu i z desperacyi po Rochu Kowalskim...

— To pan Kowalski zginął?

Wołodyjowski zacisnął wargi.

— Wiesz, kto go zabił?

— Skąd mam wiedzieć?... Powiadaj!

— Książę Bogusław!

Kmicic zakręcił się na miejscu, jakby sztychem pchnięty i począł z sykiem wciągać w siebie powietrze, nakoniec zgrzytnął strasznie zębami i rzuciwszy się na ławę, wsparł w milczeniu głowę na dłoniach.

Pan Wołodyjowski klasnął w ręce i kazał czeladnikowi napitku przynieść, poczem siadł около Kmicica, nalał kusztyki i począł mówić:

— Roch Kowalski tak kawalerską śmiercią zginął, że nie daj Boże żadnemu z nas gorzej. Dość ci powiedzieć, że mu sam Carolus po otrzymaniu pola pogrzeb wyprawił i cały regiment gwardyi ognia nad jego trumną dawał.

— Żeby nie z tych rąk, żeby nie z tych piekielnych rąk! — zawołał Kmicic.

— Owszem z rąk bogusławowych, wiem to od usarzy, którzy własnemi oczyma na ów żałosny termin patrzyli.

— Toś tam nie był?

— W bitwie miejsca się nie wybiera, jeno się stoi, gdzie każą. Gdybym ja tam był, to albo tubym teraz nie był, albo Bogusław nie sypałby wałów w Prostkach.

— Mów, jak wszystko się odbyło. Zawziętości tylko przybędzie.

Pan Wołodyjowski napił się, obtarł żółte wąsiki i począł:

— Pewnie ci nie brakło relacyi o warszawskiej bitwie, bo wszy-

scy o niej mówią, więc też i ja nie będę się nad nią zbyt długo rozwodził. Nasz pan miłościwy... dajże mu Boże zdrowie i długie lata, bo pod innym królem zginęłaby ta ojczyzna wśród klęsk..., okazał się wodzem znamienitym. Gdyby był taki posłuch, jak wódz, gdybyśmy byli go godni, kroniki zapisałyby nową polską wiktoryę pod Warszawą, grunwaldzkiej i beresteckiej równą. Krótko mówiąc, pierwszego dnia biliśmy Szwedów. Drugiego poczęła fortuna to na tę, to na tamtą stronę wagi nachylać, ale przecie byliśmy górą. Wtedy poszła do ataku litewska husarya, w której i Roch służył pod kniaziem Połubińskim, żołnierzem wielkim. Widziałem ich, gdy szli, jako ciebie widzę, bo stałem z laudańskimi na wyżynie pod szańcami. Było ich tysiąc dwieście ludzi i koni, jakich świat nie widział. Szli na pół staja wedle nas i mówię ci, ziemia drżała pod nimi. Widzieliśmy piechotę brandeburską, na gwałt zatykającą piki w ziemię, aby pierwszemu impetowi się oprzeć. Inni walili z muszkietów, aż dymy zasłoniły ich zupełnie. Spojrzymy: Husarya już rozpuściła konie. Boże, co za impet! Wpadli w dym... znikli! U mnie żołnierze poczną krzyczeć! "złamią! złamią!" Przez chwilę nie widać nic. Aż zagrzmiało coś i dźwięk się uczynił, jakby w tysiącu kuźni kowale młotami, bili. Spojrzymy: Jezus Marya! Elektorscy mostem już leżą jako żyto, przez które burza przejdzie, a oni już hen za nimi! jeno proporce migocą! Idą na Szwedów! Uderzyli o rajtaryę — rajtarya mostem! uderzyli na drugi regiment. — mostem! Tu huk, armaty grzmią... widzimy ich, gdy wiatr dym zwieje. Łamią piechotę szwedzką... Wszystko pierzcha, wszystko się wali, rozstępuje, idą jak gdyby ulicą... bez mała przez całą armię już przeszli!... Zderzą się z pułkiem konnej gwardyi, wśród którego Carolus stoi... i gwardyę jakoby wicher rozegnał!...

Tu przerwał Wołodyjowski opowiadanie, bo Kmicic pięściami oczy zatkał i krzyczeć począł:

— Matko Boża! raz widzieć i poledz!

— Takiego ataku nie zobaczą już oczy moje — ciągnął dalej mały rycerz. — Nam też skoczyć kazano... Więcej nie widziałem, ale coć powiem, tom słyszał z ust szwedzkiego oficera, który przy boku karolowym wówczas był i własnemi oczyma na termin patrzył. Gdy już husarya wszystko złamała po drodze, ten Forgell, który później pod Rawą wpadł w nasze ręce, rzucił się do rąk królowych: "Królu, ratuj Szwecyę! ratuj siebie — krzyknął — ustę-

puj! nic ich nie wstrzyma!" — A Carolus na to: "Na nic przed nimi ustępować, trzeba opór dać lub zginąć!" Przypadają inni generałowie, błagają, proszą, nie chce. Ruszył naprzód... zderzyli się i złamano Szwedów prędzej, niżby do dziesięciu zrachował. Kto legł, tego stratowano, inni rozsypali się, jak groch. Nuż ich ciąć. Król odbił się samowtór, najechał go Kowalski i poznał, bo go już dwa razy widział. Kiedy nie natrze!... Rajtar zastawił króla... Ale owo, powiadali ci, którzy widzieli, że i piorun prędzej nie zabija, jako Roch rozwalił go na dwoje. Wówczas sam król rzucił się na niego...

Wołodyjowski przerwał znów opowiadanie i odetchnął głęboko, lecz Kmicic zaraz zawołał:

— Kończ już, bo dusza ze mnie wyjdzie!

— Starli się tedy wśrodku pola, iże piersi końskie uderzyły o piersi. Zakotłowało się. "Spojrzę — powiada nam oficer — a król wraz z koniem już na ziemi!" Wydostał się, ruszył cyngla krucicy, chybił. Roch go za łeb, bo mu kapelusz spadł. Już miecz wznosił, już Szwedzi mdleli z przerażenia, bo nie czas było iść na ratunek, gdy Bogusław jakby z pod ziemi wyrósł i w samo ucho Kowalskiemu wystrzelił, że mu głowę wraz z hełmem rozniosło.

— Dla Boga! Nie miałże czasu miecza spuścić?! — krzyknął pan Andrzej, targając czuprynę.

— Bóg nie dał mu tej łaski — odrzekł pan Michał. — Zgadliśmy też z Zagłobą, co się stało. Oto służyło chłopisko u Radziwiłłów od pacholęcych lat, za panów ich swoich i na widok Radziwiłła musiało się skonfundować. Może mu nigdy ta myśl w głowie nie postała, żeby na Radziwiłła można rękę podnieść. Bywa tak, bywa! Ha! życiem to przypłacił. Dziwny człek jest pan Zagłoba, bo on mu wcale wujem, ni krewnym nie był, a przecie inny-by po synu tak nie desperował... Prawdę zaś rzekłszy, nie było czego, bo tak sławnej śmierci zazdrościćby Kowalskiemu można. Toż szlachcic i żołnierz na to się rodzi, by nie dziś, to jutro gardło dać a o Kowalskim dzieje pisać będą i potomność jego imię wysławi.

Umilkł pan Wołodyjowski, po chwili zaś przeżegnał się i rzekł:

— Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niech mu świeci...

— Na wieki wieków! — zakończył Kmicic.

Czas jakiś szeptali obaj modlitwy, może o podobną śmierć dla siebie prosząc, byle nie z rąk bogusławowych, wreszcie pan Michał rzekł:

— Ksiądz Piekarski zaręczał nam, że on wprost do raju poszedł.

— Pewnie, że tam, to mu i modlitwy nasze niepotrzebne.

— Modlitwy zawsze potrzebne, bo na rejestr innych będą wpisane, a może na nasz własny.

Kmicic westchnął.

— W miłosierdziu Bożem nadzieja — rzekł — tuszę też, że za to, com tu w Prusach dokazywał, choć z parę lat czyśćca będzie mi odpuszczonych.

— Wszystko się tam karbuje. Co tu człowiek szablą wyrąbie, to tam sekretarze niebiescy zapisują.

— Służyłem i ja u Radziwiłła — rzekł Kmicic, — ale się widokiem Bogusława nie skonfunduję. Boże, Boże, toć Prostki niedaleko! pomnij Panie, że on i Twój nieprzyjaciel, bo heretyk, który prawdziwej Twej wierze bluźnił!

— I ojczyzny nieprzyjaciel! — dodał Wołodyjowski. — Miejmy nadzieję, że jego termin się zbliża. Pan Zagłoba to samo po owym ataku husaryi prorokował, a mówił w żalu, we łzach, jakoby natchniony. I przeklinał Bogusława tak, że aż słuchającym włosy w czuprynach stawały. Książę Kazimierz Michał, który z nami przeciw nim ciągnie, widział też we śnie dwie złote trąby, które Radziwiłłowie w tarczy noszą, pogryzione przez niedźwiedzia i zaraz na drugi dzień powiadał: "Albo mnie, albo którego z innych Radziwiłłów nieszczęście spotka."

— Przez niedźwiedzia? — spytał blednąc Kmicic.

— Tak jest.

Twarz pana Andrzeja rozjaśniła się, jak gdyby na nią blask zórz porannych upadł, oczy wzniósł do góry, ręce ku niebu wyciągnął i uroczystym głosem zawołał:

— Jaż w herbie mam niedźwiedzia. Chwała Ci, Panie, na wysokościach!... Chwała Ci, Matko Najświętsza!... Panie, Panie! Nie jestem godzien tej łaski!

Usłyszawszy to Wołodyjowski, wielce także się wzruszył, bo poznał zaraz, że w tem jest omen niebieski.

— Jędrek! — zawołał — ściśnijże dla pewności przed bitwą nóżki Chrystusowi, a ja o Sakowicza Go poproszę.

— Prostki! Prostki! — powtarzał jakby w gorączce Kmicic. — Kiedy ruszamy?

— Do dnia, a niezadługo już świtać pocznie.

Kmicic zbliżył się do wybitego okienka chałupy, spojrzał w niebo i zawołał:

— Bledną już gwiazdy, bledną. Ave Maria...

Wtem rozległo się dalekie pianie koguta, a jednocześnie zabrzmiało ciche trąbienie przez munsztuk. W kilka pacierzy później ruch począł się w całej wsi. Słychać było szczęk żelaza, parskanie koni. Ciemne masy jazdy zbierały się na gościńcu.

Powietrze poczęło się nasycać światłem, blady blask jął srebrzyć groty włóczni, migotać na gołych szablach, wydobywać z cienia wąsate, groźne twarze, hełmy, kołpaki, kapuzy, tatarskie baranie czapki, tołuby, sajdaki. Wreszcie pochód z panem Kmicicem w przedniej straży ruszył ku Prostkom, wojska rozciągnęły się długim wężem po drodze i szły żywo.

Konie poczęły parskać okrutnie w pierwszych szeregach, za nimi inne na dobrą dla żołnierzy wróżbę.

Białe tumany zakrywały jeszcze łąki i pola.

Naokół była cisza, jeno derkacze grały w zroszonych trawach.

---

## LXVIII.

Dnia 6 września doszły wojska polskie do Wąsoszy i stanęły na odpoczynek, aby przed bitwą konie i ludzie mogli sił nabrać. Postanowił pan podskarbi cztery, albo pięć dni się tam zatrzymać, ale wypadki pomieszały jego rachubę.

Pana Babinicza, jako znającego już dobrze pograniczne, wyprawiono na podjazd, dawszy mu dwie lekkie litewskie chorągwie i świeży czambulik ordy, bo jego Tatarzy zbyt byli pomęczeni.

Pan podskarbi wielce mu przed drogą zalecał, by się o języka starał i z próżnemi rękoma nie wracał. Babinicz zaś uśmiechnął się tylko, myśląc sobie, iż nie potrzeba mu żadnej zachęty i że jeńców przywiedzie, choćby ich za okopami w Prostkach miał szukać. Jakoż wrócił we dwie doby, przywiódłszy kilkunastu Prusaków

i Szwedów, a pomiędzy nimi znacznego oficera von Roessela, kapitana z pruskiego regimentu Bogusława.

Przyjęto podjazd w obozie z wielkim aplauzem. Kapitana nie potrzeba było brać na pytki, bo już to Babinicz w drodze, przyłożywszy mu sztych do gardła, uczynił. Z zeznań jego okazywało się, że nie same pruskie pułki grafa Wałdeka stoją w Prostkach, ale i sześć regimentów szwedzkich, pod komendą generał-majora Izraela, z tych cztery jazdy pod Petersem, Frytjofsonem, Taubendem, Ammersteinem i dwa piechoty pod braćmi Engel. Z pułków pruskich bardzo okrytych, prócz własnego grafa Waldeka, był księcia Wismaru, Bruncla, Konnaberga, generała Walrata, oraz cztery chorągwie z komendy Bogusławowej: dwie szlachty pruskiej i dwie jego własne.

Naczelną komendę miał rzekomo graf Waldek, lecz w rzeczywistości słuchał we wszystkiem księcia Bogusława, którego wpływom ulegał także i szwedzki generał Izrael.

Najważniejszą wszelako wiadomością, jakiej von Roessel udzielił, była ta, że z Ełku śpieszy na pomoc pod Prostki dwa tysiące wyborowej pomorskiej piechoty, graf Waldek zaś, bojąc się, aby oddziały owe nie zostały zagarnięte przez ordę, pragnie wyjść z warownego obozu i dopiero po połączeniu się z niemi, drugi raz się okopać. Książę Bogusław był, wedle Roesella, aż dotąd dość przeciwny opuszczenia Prostek i dopiero w ostatnich dniach skłaniać się do tego zaczął.

Usłyszawszy to pan Gosiewski wielce się uradował, bo już był pewien, że go zwycięstwo nie minie. Nieprzyjaciel długo potrafiłby bronić się w okopie, lecz ani szwedzka ani pruska jazda nie mogła dotrzymać litewskiej w otwartem polu.

Książę Bogusław rozumiał to widocznie tak samo dobrze jak pan podskarbi i dlatego właśnie nie bardzo pochwalał Waldekowe plany. Lecz zbyt był próżnym, aby nie ustąpił przed zarzutem nawet zbytniej ostróżności. Wreszcie nie odznaczał się cierpliwością. Można było niemal na pewno rachować, że sprzykrzy sobie leżenie w wałach i w otwartej bitwie sławy i zwycięstwa poszuka. Pan podskarbi powinien był tylko śpieszyć się, aby nastąpić na nieprzyjaciela właśnie w chwili, gdy będzie okopy opuszczał.

Tak też myślał i on sam i inni pułkownicy, jako Hassun-bej, który ordą dowodził, pan Woyniłłowicz z królewskiego znaku,

pan Korsak, pułkownik petyhorski, pan Wołodyjowski, pan Kotwicz i pan Babinicz. Wszyscy zgodzili się na jedno, że trzeba dalszego odpoczynku zaniechać i na noc, to jest za kilka godzin ruszać, tymczasem pan Korsak wysłał natychmiast swego chorążego, Biegańskiego, aby szedł pod Prostki i nadciągającemu wojsku każdej godziny znać dawał, co się w obozie dzieje. Wołodyjowski zaś i Babinicz wzięli do swej kwatery Roessela, aby o Bogusławie czegoś więcej od niego się dowiedzieć.

Kapitan z początku przerażony był wielce, bo jeszcze sztych kmicicowy czuł na gardle, ale wkrótce wino rozwiązało mu język. Że zaś kiedyś, służąc w Rzeczypospolitej w cudzoziemskim autoramencie, wyuczył się po polsku, przeto mógł i na pytania małego rycerza, nieumiejącego po niemiecku, odpowiadać.

— Dawno waść służysz u księcia Bogusława? — pytał mały rycerz.

— Ja u księcia w jego nadwornem wojsku nie służę, — odrzekł Roessel — jeno w elektorskim pułku, który pod jego komendę został oddany.

— To i pana Sakowicza waść nie znasz?

— Pana Sakowicza widywałem w Królewcu.

— Jestli on przy księciu?

— Niemasz go. W Taurogach został.

Mały rycerz westchnął i wąsikami ruszył.

— Nie mam szczęścia, jako zwykle! — rzekł.

— Nie frasuj się, Michale, — rzekł Babinicz — odnajdziesz go a nie, to ja odnajdę.

Poczem zwrócił się do Roessela.

— Waść jesteś stary żołnierz, widziałeś oba wojska, a naszą jazdę znasz oddawna, jakże myślisz, po czyjej stronie będzie wiktorya?

— Jeśli wam pole dadzą za okopem, to po waszej, ale okopu bez piechoty i armat nie zdobędziecie, zwłaszcza, że tam się wszystko księcia Radziwiłła głową dzieje.

— Za takiegożto wielkiego masz go waść wodza?

— Nietylko ja, ale ogólne jest mniemanie w obu wojskach. Powiadają też, że pod Warszawą serenissimus rex Sueciae we wszystkiem szedł za jego radą i dlatego wielką bitwę wygrał. Książę, jako Polak, lepiej zna wasz sposób wojowania i prędzej radę wymyślić umie. Sam widziałem, jak król szwedzki po trzecim dniu

bitwy przed frontem wojsk księcia ściskał i całował. Prawda, że mu życie był winien, bo gdyby nie strzał książęcy... no! strach myśleć!!... Rycerz to jest przytem niezrównany, z którym się nikt na żadną broń mierzyć nie może.

— Ej! — rzekł pan Wołodyjowski — możeby się taki znalazł...

To rzekłszy, wąsikami groźnie ruszył. Roessel popatrzył na niego i nagle poczerwieniał. Przez chwilę zdawało się, że albo go krew zaleje, albo śmiechem wybuchnie, lecz wreszcie wspomniał, iż jest w niewoli, więc opamiętal się zaraz.

Kmicic zaś popatrzył na niego pilnie swojemi stalowemi oczyma i rzekł zaciskając nieco wargi:

— Jutro pokaże...

— A zdrów teraz Bogusław? — pytał pan Wołodyjowski — bo go to i febra i długo trzęsła i osłabić go musiała?...

— Zdrów oddawna, jak ryba i lekarstw żadnych nie bierze. Chciał mu medyk z początku dawać różne prezerwatywy, ale właśnie po pierwszej zdarzył się zaraz paroksyzm. Wprawdzie nie powtórzył się więcej. Książę Bogusław kazał też rzucać medykiem w prześcieradłach i to mu pomogło, bo medyk sam febry ze strachu dostał.

— Rzucać w prześcieradlach? — spytał pan Wołodyjowski.

— Sam widziałem — odrzekł Roessel. — Złożono dwa prześcieradła do kupy, w środku położono medyka, zaczem czterech silnych trabantów wzięło prześcieradła za rogi i kiedy to nie poczną rzucać nieborakiem, to mówię waszym miłościom, mało na dziesięć łokci w górę. Generał Izrael, Waldek i książę za boki trzymali się od śmiechu. Nas też oficerów wielu patrzyło na owo widowisko, póki medyk nie omdlał. Księciu potem jakby ręką odjął.

Jakkolwiek Wołodyjowski i Babinicz nienawidzili Bogusława, nie mogli jednak wstrzymać się także od śmiechu, słysząc o tej krotofili. Pan Babinicz zaś uderzył się rękoma po kolanach i zawołał:

— Ha! szelma, jak sobie poradził!

— Trzeba panu Zagłobie o tem lekarstwie powiedzieć — rzekł mały rycerz.

— Na febrę to pomogło — rzecze Roessel — ale co po tem, kiedy

książę niedość zapędy krwi hamuje i dlatego nie dożyje późnego wieku.

— I ja tak myślę — mruknął przez zęby Babinicz. — Tacy, jak on, długo nie żyją.

— Zali i w obozie jeszcze sobie folguje? — spytał pan Wołodyjowski.

— Jakże nie — odrzekł Rosessel. — Śmiał się nieraz graf Waldek, mówiąc, że jego książęca mość fraucymer z sobą wozi... Ja zaś sam dwie gładkie panny widziałem, o których mówili mi dworzanie, że do prasowania kryz służą... Ale Boga tam!

Babinicz usłyszawszy to, zaczerwienił się i zbladł, nagle zerwał się na równe nogi i porwawszy Roessela za ramię, począł nim potrząsać gwałtownie.

— Polki to są, czyli Niemkinie? Powiadaj!

— Nie Polki, — odparł przestraszony Roessel — jedna jest szlachcianka pruska, a druga szwedzka, która przedtem u żony generała Izraela służyła.

Babinicz spojrzał na Wołodyjowskiego i odetchnął głęboko mały rycerz odetchnął także i przestał wąsikami ruszać.

— Pozwólcie mi wasze miłoście pójść spocząć — rzekł Roessel — okrutniem utrudzon, bo dwie mile mnie Tatarzyn na arkanie prowadził.

Kmicic zaklasnął na Sorokę i powierzył mu jeńca, poczem zwrócił się szybkim krokiem do pana Wołodyjowskiego.

— Dość już tego! — rzekł — wolę zginąć, wolę sto razy zginąć, aniżeli żyć w tych ustawicznych trwogach i niepewności. Ot i teraz, gdy Roessel wspomniał o onych dziewkach, myślałem, że mnie kto obuchem w skroń zajechał.

Na to pan Wołodyjowski trzasnął rapierem.

— Czas skończyć! — rzekł.

Wtem zatrąbiono przy hetmańskiej kwaterze i wnet po wszystkich litewskich chorągwiach odezwały się trąbki, a w czambułach piszczałki.

Wojsko poczęło się zbierać i w godzinę później było w pochodzie.

Zanim uszli milę, nadbiegł posłaniec od chorążego Biegańskiego, z chorągwi pana Korsakowej, z wiadomością od hetmana, iż schwytano kilku rajtarów z większej kupy, która z tej strony rzeki zabierała wszystkie wozy i konie chłopskie. Badani na miejscu,

wyznali, że tabor i całe wojsko ma opuścić Prostki nazajutrz o ó-smej rano i że rozkazy już są wydane.

— Chwalmy Boga i popędzajmy konie — rzekł na to pan pod-skarbi. — Do wieczora nie będzie już tych wojsk!

Posłano tedy ordę na łeb na szyję, aby jak najprędzej starała się dostać między wojska waldekowe a ową piechotę pruską, śpieszącą na pomoc. Za nią litewskie chorągwie poszły rysią, że zaś najwięcej było lekkich, więc szły tak wartko, iż tuż, tuż za ordą nadążały.

Kmicic poszedł w pierwszej ordzińskiej straży i parł swoją watahę, aż z koni dymiło. Po drodze kładł się na kulbace, czołem bił o kark koński i modlił się ze wszystkich sił duszy:

— Nie za moją krzywdę daj mi się, Chryste, pomścić, ale za insulty ojczyźnie wyrządzone! Jam grzesznik, jam łaski Twojej nie godzien, ale zmiłuj się nade mną, pozwól mi tę krew heretycko rozlać, a na chwałę Twoją będę służył i będę się biczował każdego tygodnia w ten dzień po wiek życia mego!

Potem Najświętszej Pannie Częstochowskiej, której krwią własną służył, i patronowi swojemu jeszcze się polecał, a tak protekcyę ich sobie zapewniwszy, uczuł zaraz, że ogromna nadzieja wstępuje mu do duszy, że moc nadzwyczajna przejmuje jego członki, moc taka, przed którą w proch musi upaść wszystko. Zdawało mu się, że z ramion wyrastają mu skrzydła, radość ogarnęła go jak wicher i leciał na czele Tatarów, aż iskry sypały się z pod kopyt jego konia. Tysiące dzikich wojowników, pochylonych na karki końskie, pędziło za nim.

Fala spiczastych czapek chwiała się w takt końskiego pędu, łuki kołysały się na plecach, przed nimi biegł tętent bachmatów, z tyłu dolatywał głuchy szum nadążających litewskich chorągwi, podobny do szumu wezbranej rzeki.

I lecieli tak wśród nocy pysznej, gwiaździstej, pokrywającej drogi i pola, nakształt olbrzymiego stada drapieżnych ptaków, które krew zwietrzyły w oddaleniu.

Mijali pola bujne, dąbrowy, łąki, aż wreszcie sierp miesiąca pobladł i pochylił się ku zachodowi. Wówczas zwolnili koniom i stanęli na popas ostatni. Byli już nie dalej, niż pół mili niemieckiej od Prostek.

Tatarzy poczęli karmić konie z rąk jęczmieniem, aby nowych sił

nabrały przed bitwą. Kmicic zaś przesiadłszy się na zapaśnego dzianeta, pojechał dalej, aby na obóz nieprzyjaciela okiem rzucić.

Po pół godziny drogi trafił w łozie nad rzeczką na ów podjeździk petyhorski, który pan Korsak wysłał na zwiady.

— A co? — spytał chorążego Kmicic. — Co słychać?

— Nie śpią już i huczą jak pszczoły w ulu — odparł chorąży. — Byliby się już ruszyli, ale nie mieli dość wozów.

— Zali można gdzie z pobliża obóz widzieć?

— Można z owego wyniesienia, które krzakami pokryte. Obóz hen tam leży w dole rzeki. Chce wasza miłość popatrzyć?

— Prowadź waść.

Chorąży ruszył koniem i wyjechali na wyniesienie. Już też zorze były na niebie i powietrze przesycało się złotem światłem, ale wedle rzeki, na drugim nizkim brzegu leżała jeszcze mgła surowa. Oni ukryci w krzach patrzyli w ową mgłę, rzednącą coraz bardziej.

Nakonice o dwie staje odsłonił się w dolinie kwadratowy okop ziemny, wzrok Kmicica wpił się weń z chciwością, lecz w pierwszej chwili dojrzał tylko mgliste zarysy namiotów, wozów, stojących w środku wzdłuż wałów. Płomienia ognisk nie było już widać, tylko dymy podnosiły się wysokiemi smugami ku niebu na znak pogody. Lecz w miarę jak mgła roztapiała się coraz bardziej, mógł pan Babinicz z pomocą perspektywy odróżnić pozatykane na wałach chorągwie błękitne szwedzkie i żółte pruskie, następnie masy żołnierzy, działa i konie. Naokoło była cisza, przerywana tylko szelestem krzów, poruszanych przez powiew i wesołem porannem świegotaniem szarego ptastwa. Ale z obozu dochodził przytłumiony szum.

Widocznie nikt tam już nie spał, widocznie gotowano się do pochodu, bo w środku okopu panował ruch niezwyczajny. Całe pułki przenosiły się z miejsca na miejsce, niektóre wychodziły przed wały, około wozów panowała sroga krętanina. Staczano również armaty z wałów.

— Nie może inaczej być, tylko się do pochodu gotują — rzekł Kmicic.

— Wszyscy jeńcy to zeznawali. Chcą się ze swoją piechotą połączyć. Nie spodziewają się też, aby pan hetman mógł na nich następić prędzej, niż wieczorem, a choćby miał i następić, wolą bitwę w otwartem polu przyjąć, niż oną piechotę pod nóż wydać.

— Ze dwie godziny upłyną, nim wyruszą, a za dwie godziny pan podskarbi tu będzie.

— Chwalić Boga! — odrzekł chorąży.

— Poślijże waść jeszcze ludzi, by tąm nie popasali za długo.

— Wedle rozkazu.

— A nie wysyłali jakich podjazdów na tę stronę rzeki?

— Na tę stronę ani jeden nie wyszedł. Wysłali, ale ku swojej piechocie, która od Elku nadciąga.

— Dobrze! — rzekł Kmicic.

I zjechał z pagórka, a przykazawszy podjazdowi taić się dalej w trzcinach, sam ruszył, ile tchu w koniu z powrotem do chorągwi.

Pan Gosiewski właśnie na koń siadał, gdy Babinicz nadjechał. Prędko opowiedział mu młody rycerz, co widział i jaka jest pozycya okolicy, hetman wysłuchał relacyi z wielkiem zadowoleniem i nie mieszkając chorągwie ruszył.

Ale tym razem poszła najprzód babiniczowa wataha, za nią litewskie, więc Woyniłłowicza, laudańska, własna pana hetmanowa i inne. Orda pozostała za nimi, bo o to usilnie Hassun-bej prosił, obawiając się, czy lud jego pierwsze natarcie ciężkiej jazdy wytrzyma. Miał także i inne wyrachowanie.

Oto chciał, aby gdy Litwa uderzy na czoło wojsk on z Tatary mógł ogarnąć tabór, w którym łupu najobfitszego się spodziewał. Pan hetman zezwolił, słusznie mniemając, że ordyńcy miękkoby może uderzali na komunik, ale wpadną jak wściekli na tabór i popłoch wzniecić mogą, zwłaszcza, że konie pruskie mniej były straszliwego ich wycia zwyczajne.

We dwie godziny, jak przepowiedział Kmicic, stanęli przy owem wzniesieniu, z którego podjazd zaglądał w okopy, a które teraz pochód wszystkich wojsk zasłaniało. Chorąży na widok zbliżających się wojsk, skoczył jak piorun z wiadomością, że nieprzyjaciel, pościągawszy straże z tamtej strony rzeki, już wyruszył i że właśnie koniec ogona taboru wychodzi z okopu.

Usłyszawszy to pan Gosiewski, wyciągnął buławę z tulei przy kulbace i rzekł.

— To już zawrócić nie mogą, bo wozy drogę zasłaniają. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! Niema już poco dłużej się ukrywać!

I skinął na buńczucznego, a ów buńczuk podniósł w górę i począł nim machać na wszystkie strony. Na ten znak wszystkie buńczu-

ki poczęły się kołysać, huknęły trąby i krzywuły, zawrzasły tatarskie piszczałki, zadźwięczały litaury, sześć tysięcy szabel rozbłysło w powietrzu i sześć tysięcy gardzieli krzyknęło.

— Jezus Marya!

— Ałła-hu-Ałła!

Zaczem chorągiew za chorągwią wynurzała się rysią z za wzniesienia. W waldekowym obozie nie spodziewano się tak prędko gości, bo ruch powstał gorączkowy. Bębny poczęły huczeć nieustającym grzmotem, pułki zwracały się frontem ku rzece.

Gołem już okiem można było dostrzedz przelatujących między regimentami generałów i pułkowników. We środku zajeżdżano co duchu z armatami, by je odprzodkować ku rzece.

Po chwili oba wojska nie były już więcej od siebie jak o tysiąc kroków. Dzieliło je tylko błonie rozległe, środkiem którego płynęła rzeczka.

Chwila jeszcze i pierwsza smuga białego dymu wykwitła od strony pruskiej ku Polakom.

Bitwa była rozpoczęta.

Pan hetman sam skoczył ku Kmicicowej wataże.

— Następuj, mości Babinicz następuj w imię Boże! ot, na tę ścianę!

I buławą wskazał błyszczący pułk rajtaryi.

— Za mną! — skomenderował pan Andrzej.

I ścisnąwszy konia ostrogami, ruszył w skok z miejsca ku rzece. Nim jedno strzelenie z łuku przebiegli, konie już wzięły pęd największy i biegły ze stulonemi uszami, wyciągnięte jako charty. Jeźdźcy pochyleni na karkach, wyjąc, smagali jeszcze rumaki, które już ziemi zdawały się nie tykać, tymże impetem wpadli w rzekę, która ich nie wstrzymała, bo trafili na obszerny bród, zupełnie płytki i piaszczysty, dopadli drugiego brzegu i skoczyli ławą dalej.

Widząc to pułk pancernej rajtaryi, ruszył ku nim z początku stępą, potem rysią i nie szedł prędzej, tylko gdy wataha zbliżyła się już na dwadzieścia kroków, rozległa się komenda. "Feuer!" i tysiące ramion, zbrojnych w pistolety, wyciągnęło się ku nadbiegającym.

Wstęga dymu przeleciała z końca jednego szeregu w drugi, potem dwie ławy jeźdźców i koni uderzyły o siebie z łoskotem. Konie wspięły się w pierwszem uderzeniu, nad głowami walczących

zamigotały przez całą długość linii szabel, jakbywąż błyskawiczny przeleciał z końca w koniec. Złowrogi dźwięk żelaza o hełmy i pancerze dosłyszano aż na drugiej stronie rzeki. Zdało się, że to w kuźniach młoty biją w stalowe blachy.

Linia wygięła się w jednej chwili w półksiężyc, bo gdy środek rajtaryi ustąpił zepchnięty pierwszem natarciem skrzydła, na które mniejszy impet przyszedł, stały ciągle na miejscu. Lecz i w środku pancerni żołnierze nie pozwolili się rozerwać i rozpoczęła się rzeź straszliwa. Z jednej strony lud olbrzymi, przybrany w blachy, opierał się całą potęgą ciężaru koni, z drugiej szarańcza tatarska parła go siłą nabytego rozpędu, siekąc i tnąc z taką niepojętą szybkością, jaką tylko nadzwyczajna lekkość i ciągła wprawa dać może. Jak gdy ćma drwali rzucili się na las sosen konnych, słychać tylko huk siekier i raz wraz wyniosłe drzewo jakieś spada w dół z trzaskiem straszliwym, tak co chwila któryś z rajtarów pochylał błyszczącą głowę i zwalał się pod konia. Szable kmicicowych migotały im w oczach,oślepiały ich, fruwały koło twarzy, oczu, rąk. Daremnie potężny żołnierz wzniesie do góry ciężki miecz, nim go opuści, już czuje zimne ostrze przenikające w ciało, więc miecz wysuwa mu się z ręki, a sam pada krwawem obliczem na kark koński. I jako stado os napadnie w ogrodach człowieka, który chciał owoce otrząsać, próżno ten trzepie rękoma, wywija się, uchyla one umieją przeniknąć do twarzy, szyi i każda wbija weń ostrze kłójące, tak ów zaciekły, a w tylu bojach wyćwiczony lud kmicicowy rzucał się na oślep, ciął, kąsał, kłół, szerzył strach i śmierć coraz natarczywiej, o tyle właśnie przewyższając swych przeciwników, o ile biegły mistrz w rzemiośle przewyższa choćby silniejszego od się chłopa, któremu praktyki brakuje.

Więc poczęła rajtarya coraz gęstszym padać trupem i środek, w którym walczył sam Kmicic, rzedniał tak bardzo, że lada chwila mógł się już przerwać. Krzyk oficerów, zwołujących w nadwątlone miejsce żołnierzy, ginął w zgiełku i dzikich wrzaskach, szereg nie zaciskał się dość szybko, a Kmicic parł coraz potężniej. Sam zbrojny w stalową kolczugę, którą od pana Sapiehy dostał w darze, walczył jak prosty żołnierz, mając za sobą młodych Kiemliczów i Sorokę. Ci na zdrowie pana baczenie mieli dawać i coraz to któryś odwrócił się w prawo lub lewo, zadając cios okropny, a on rzucał się na swym cisawym koniu w gęstwę największą i wszystkie tajemnice pana Wołodyjowskiego posiadłszy, a siłę mając olbrzy-

nią, gasił żywoty ludzkie jak świece. Czasem całą szablą uderzy, czasem ledwie końcem dotknie, czasem ledwie kółeczko niewielkie, a jako piorun szybkie, zatoczy i rajtar leci głową w dół pod konia, jakby go grom zmiótł z kulbaki. Inni cofają się przed strasznym mężem.

Wreszcie ciął pan Andrzej przez skroń chorążego, a ten zapiał tylko jak zarzynany kur i chorągiew z rąk wypuścił, w tej chwili środek się przerwał, a pomieszane skrzydła uczyniły dwie kupy bezładne i cofające się szybko ku dalszym liniom wojsk pruskich.

Kmicic spojrzał przez rozerwany środek w głąb pola i nagle ujrzał regiment czerwonych dragonów lecący jak wicher w pomoc rozerwanej rajtaryi..

— Nic to! — pomyślał — za chwilę Wołodyjowski tym samym brodem przyjdzie mi w pomoc....

Tymczasem rozległ się huk armat tak gwałtowny, że ziemia zatrzęsła się w posadach, muszkiety poczęły grzechotać od okopu aż do najbardziej wysuniętych szeregów nieprzyjacielskich. Całe pole pokryło się dymem i w tymże dymie wolentarze Kmicicowi wraz z Tatarami zczepili się z dragonią.

Ale od strony rzeki nikt nie przybywał na pomoc.

Pokazało się, że nieprzyjaciel umyślnie puścił Kmicicową watahę przez bród, następnie począł go zasypywać tak straszliwie z dział i muszkietów, że żywa noga przejść nie mogła.

Pierwsi poszli ku niemu ludzie pana Korsaka i powrócili w nieładzie, druga Woyniłłowiczowska doszła do półbrodu i cofnęła się wprawdzie zwolna, bo był to królewski pułk, jeden z najdzielniejszych w całem wojsku, ale ze stratą dwudziestu towarzystwa, znakomitej szlachty i dziewięćdziesięciu pocztowych.

Woda w szczerku, który stanowił jedyne tylko przejście przez rzekę, pluskała tak pod uderzeniami kul, jak pod ciężkim ulewnym deszczem. Armatnie strzały przelatywały na drugą stronę, rozrzucając tumany piasku.

Sam pan podskarbi nadjechał skokiem i popatrzywszy, uznał, że niepodobna, aby jeden żywy człek mógł przedostać się na brzeg przeciwny.

A jednak mogło to stanowić o losach bitwy. To też czoło hetmana zachmurzyło się srodze. Przez chwilę patrzył przez perspektywę na całą linię wojsk nieprzyjacielskich i krzyknął na ordynansa:

— Ruszaj do Hassun-beja, niechaj orda, jako może, przeprawi się przez wysoki brzeg i na tabór uderzy. Co w wozach znajdą, to ich! Armat tam niemasz, jedno z rzeką będą mieli robotę.

Oficer skoczył ile tchu w koniu, hetman zaś posunął się dalej, gdzie pod wierzbiną na łące stała chorągiew laudańska i zatrzymał się tuż przed nią.

Wołodyjowski stał na jej czele, posępny, ale milczący, jeno w oczy hetmańskie patrzył, a wąsikami ruszał.

— Co myślisz waść? — spytał hetman — przeprawią się Tatarzy?

— Tatarzy, przeprawią się, ale Kmicic zginie! — rzekł Wołodyjowski.

— Na Boga! — krzyknął nagle hetman — ten Kmicic, żeby jeno miał głowę na karku, mógłby bitwę wygrać, nie zginąć!

Wołodyjowski nie odrzekł nic, jednakowoż pomyślał w duszy:

— Nie trzeba było puszczać albo żadnej chorągwi za rzekę, albo pięć...

Przez chwilę hetman znów patrzył przez prespektywę na daleki zamęt, który za rzeką sprawował pan Kmicic, wtem mały rycerz, nie mogąc dłużej ustać, przysunął się i trzymając szablę ostrzem do góry, rzekł:

— Wasza dostojność! gdyby rozkaz, to jabym jeszcze tego brodu spróbował?

— Stać! — odrzekł dość ostro pan podskarbi. — Dość, że tamci zginą.

— Giną już! — rzekł Wołodyjowski.

Rzeczywiście zgiełk stał się wyraźniejszy i potężniał coraz bardziej. Widocznie Kmicic cofał się napowrót ku rzece.

— Na Boga! tegom chciał! — krzyknął nagle pan hetman i skoczył jak piorun ku Woyniłłowiczowskiej chorągwi.

Pan Kmicic zaś cofał się rzeczywiście. Po uderzeniu na czerwonych dragonów, ludzie jego cięli się z nimi, ostatka sił dobywając, lecz tchu już brakło im w piersiach, zmachane ręce mdlały, trup padał coraz gęściej i tylko nadzieja, że odsłecz z za rzeki przyjdzie lada chwila, podtrzymywały w nich jeszcze ducha.

Tymczasem upłynęło pół godziny i okrzyk "bij" nie dawał się słyszeć, natomiast czerwonym dragonom skoczył na odsiecz bogusławowy pułk ciężkiej jazdy.

— Śmierć idzie! — pomyślał Kmicic, widząc ich zajeżdżających z boku.

Lecz był to żołnierz, który do ostatniej chwili nie wątpił nigdy nietylko o swojem życiu, ale i o wygranej. Długa i hazardowa praktyka dała mu także wielką znajomość wojny: więc nie tak szybko wieczorna błyskawica zapala się i gaśnie, jak Kmicicowi mignęła w głowie myśl następująca:

— Widocznie przez bród do nieprzyjaciela przedostać się nie mogą, a skoro nie mogą, to im go podprowadzę...

Więc, że pułk bogusławowy nie był już dalej, jak o sto kroków, i idące całym pędem, lada chwila mógł uderzyć i roznieść jego Tatarów, pan Andrzej podniósł piszczałkę do ust i świsnął tak przeraźliwie, że aż najbliższe konie dragońskie osadziły się na zadach.

Świst powtórzyły natychmiast inne piszczałki starszyzny tatarskiej i nie tak prędko wicher zakręca piaskiem, jak prędko cały czambuł zwrócił konie do ucieczki.

Niedobitki rajtaryi, czerwona dragonia i pułk bogusławowy kopnęły się za nimi z kopyta.

Krzyki oficerskie: "naprzód!" "Got mit uns!" zagrzmiały jak burza i stał się cudny widok. Na rozległej grudzi pędził bezładny i pomieszany czambuł wprost do zasypawanego kulami brodu rwał, jakby go skrzydła niosły. Każdy ordyniec przyległ był do konia, rozpłaszczył się, pochował w grzywie i karku, tak, iż gdyby nie chmura strzał, lecących ku rajtaryi, rzekłbyś, iż same konie bez jeźdźców biegną, za nimi z hukiem, krzykiem i tętentem biegł lud olbrzymi, migocąc wzniesionemi w prawicach mieczami.

Bród był coraz bliżej, biegli staje, pół jeszcze i widocznie konie tatarskie dobywały już ostatnich sił, bo odległość między nimi a rajtaryą poczęła się zmniejszać szybko.

W kilka minut potem pierwsze rajtarskie szeregi poczęły już siec mieczami zmykających na ostatku Tatarów, bród był tuż, tuż. Zdawało się, że w kilku skokach konie go dosięgną.

Nagle stało się coś dziwnego.

Oto, gdy czambuł dobiegł brodu, przeraźliwy świst piszczałek rozległ się znowu na skrzydłach czambułu i cała wataha zamiast wpaść w rzekę, aby na drugim brzegu szukać ocalenia, rozdzieliła się na dwie kupy i z szybkością stada jaskółek skoczyła w prawo i w lewo, wzdłuż jej biegu.

Lecz jadące na ich karkach ciężkie półki, których konie wzięły

już największy rozpęd, wpadły tąż samą siłą w bród i dopiero w wodzie już jeźdźcy poczęli hamować rozhukane rumaki.

Artylerya, która dotąd zasypywała szczerk deszczem żelaza, umilkła nagle, aby swoich nie razić.

Lecz tej właśnie chwili czekał jak zbawienia hetman Gosiewski.

I jeszcze rajtarye nie dotknęły prawie wody, gdy straszna królewska chorągiew Woyniłłowicza wyruszyła ku nim jak huragan, za nią laudańska, za nią Korsakowa, za niemi dwie hetmańskie, za niemi wolentarska, za nią pancerna księcia krajczego Michała Radziwiłła.

Krzyk straszny: "bij, zabij!" zagrzmiał w powietrzu i nim pruskie pułki zdołały ściągnąć konie, zatrzymać się, zastawić mieczami, już Woyniłłowiczowska rozniosła je, jak trąba powietrzna roznosi liście, zgniotła czerwonych dragonów, wsparła pułk bogusławowy, rozbiła go na dwoje i poniosła się w pole ku głównej armii pruskiej.

Rzeka zrumieniła się krwią w jednej chwili, armaty poczęły grać na nowo, lecz zbyt późno, bo już ośm chorągwi litewskiej jazdy mknęło z hukiem i szumem po błoniu i cała bitwa przeniosła się na drugą stronę rzeki.

Sam pan podskarbi leciał przy jednej ze swych chorągwi z promiennem szczęściem w twarzy, a z ogniem w oczach, bo raz wyprowadziwszy jazdę za rzekę,już był pewien zwycięstwa.

Chorągwie, siekąc i bodąc na wyścigi, gnały przed sobą resztki dragonii i rajtarów, które kładły się mostem, ile że ciężkie konie nie mogły dość śpiesznie umykać i tylko zasłaniały goniących przed pociskami.

Tymczasem Waldek, Bogusław Radziwiłł i Izrael pchnęli wszystką swą jazdę, by natarcie powstrzymać, sami zaś szykowali na gwałt piechotę. Pułk za pułkiem wybiegał od taboru i osadzał się na grudzie. Wbijano ciężkie dzidy tylnemi końcami w górę, pochylając je płotem ku nieprzyjacielowi.

W drugim szeregu muszkietnicy wyciągnęli rury muszkietów. Między czworobokami pułków ustawiano na łeb na szyję armaty. Ani Bogusław, ani Waldek, ani Izrael nie łudzili się, aby jazda mogła długo wręcz wytrzymać polskiej i cała nadzieja była w armatach i w piechocie. Tymczasem przed piechotą już konne pułki uderzyły o siebie pierś w pierś. Ale stało się to, co przewidzieli pruscy wodzowie.

Oto natarcie litewskiej jazdy, było tak straszne, że całe masy kawaleryi nie mogły ani na chwilę ich powstrzymać i że pierwsza husarska chorągiew rozszczepiła ich niby klin drzewa i szła nie krusząc kopii wśród gęstwy, jak statek gnany gwałtownym wichrem idzie wśród fal. Już już coraz bliżej widać było proporce, po chwili łby husarskich koni wynurzyły się z tłumów pruskich.

— Baczność — krzyknęli oficerowie, stojący w czworoboku piechoty.

Na to hasło knechtowie pruscy osadzili się silniej na nogach i wytężyli ręce, trzymając dzidy. A wszystkie serca waliły w piersiach gwałtownie, bo straszliwa husarya wyruszyła się już zupełnie i gnała wprost na nich.

— Ognia! — rozległa się znów komenda.

Muszkiety zagrzechotały w drugim i trzecim szeregu czworoboku. Dym owionął ludzi. Chwila jeszcze huk nadlatującej chorągwi coraz bliżej. Już już dobiegają!... Nagle wśród dymu pierwszy szereg piechurów spostrzega tuż nad sobą, prawie nad głowami, tysiące końskich kopyt, rozwartych chrapów, rozpalonych oczu, słychać trzask łamanych dzid, krzyk okropny rozdzierał powietrze, polskie głosy wrzeszczą: "bij!" — niemieckie zaś: "Gott erbarme Dich meinee"

Pułk rozbity, zgnieciony, ale między innemi poczynają grać armaty. Już inne chorągwie dobiegają; każdy za chwilę uderzy się o las dzid, ale być może, że nie ma w sobie tak strasznej jak Woyniłłowiczowa siły. Krzyk wzmagał się na całem pobojowisku. Lecz z masy walczących znów poczynają wymykać się kupy żółtych piechurów z jakiegoś innego pułku, który widocznie także został rozbity.

Jeźdźcy w szarej barwie gnają za nimi, sieką i tratują z krzykiem:

— Lauda! Lauda!

To pan Wołodyjowski uporał się z drugim czworobokiem.

Wszelako inne "tkwią" jeszcze, jeszcze zwycięstwo może przechylić się na stronę pruską, zwłaszcza że przy taborze stoją dwa nienaruszone regimenty, które ponieważ tabór zostawione w spokoju, w każdej chwili mogą być przywołane.

Waldek stracił już wprawdzie głowę, Izraela niemasz, bo z jazdą go wysłano, ale Bogusław czuwa, rządzi wszystkiem, prowadzi całą

bitwę i widząc coraz straszniejsze niebezpieczeństwo, wysyła pana Biesa po owe regimenty.

Pan Bies wypuszcza konia i w pół godziny wraca bez kołpaka, z przerażeniem i rozpaczą w twarzy.

— Orda w taborze! — krzyczy, dobiegłszy do Bogusława.

Jakoż w tej chwili na prawem skrzydle rozlegają się nieludzkie wycia i zbliżają się w każdej chwili.

Nagle ukazują się gromady jeźdźców szwedzkich, pędząc w okropnym popłochu, za nimi umykają bez broni już i bez kapeluszów piechurowie, za nimi w zamieszaniu, w bezładzie, pędzą wozy, ciągnięte przez rozhukane i przerażone konie. Wszystko to leci oślep od taboru na własną piechotę. Za chwilę wpadną, zamieszają ją, rozbiją, zwłaszcza, że od czoła gna na nią jazda litewska.

— Hassun-bej przedostał się do taboru! — woła w uniesieniu pan Gosiewski i puszcza ostatnie swe dwie chorągwie, jak dwa sokoły z berła.

I w tej samej chwili, gdy chorągwie owe uderzają na piechotę z czoła, jej własne wozy wpadają na nią z boku. Ostatnie czworoboki pękają jak po uderzeniu młota. Z całej świetnej armii szwedzko-pruskiej czyni się jedna olbrzymia kupa, w której jazda miesza się z piechotą. Ludzie tratują się wzajemnie przewracają, duszą, zrzucają odzież, ciskają broń. To już nie bitwa przegrana, to klęska jedna z najokropniejszych w całej wojnie.

Lecz Bogusław, widząc, że wszystko stracone, postanawia przynajmniej siebie i nieco jazdy ocalić z pogromu.

Nadludzkiem wysileniem zbiera koło siebie kilkuset jeźdźców i wymyka w dal skrzydłem, w kierunku brzegu rzeki.

Już wydostał się z głównego wiru, gdy oto drugi Radziwiłł, książę Michał Kazimierz, uderza nań z boku ze swą nadworną husaryą i jednem uderzeniem rozprasza cały oddział.

Rozproszeni uciekają pojedyńczo lub małemi kupkami. Jedynie szybkością koni mogą być ocaleni.

Jakoż husarya ich nie goni, bo uderza na główną kupę piechurów, których wycinają wszystkie inne chorągwie — więc tamci mkną, jak rozproszone stado sarn po błoniu.

Bogusław na karym kmicicowym rumaku umyka jak wicher, próżno usiłując krzykiem skupić przy sobie choć kilkunastu ludzi. Nikt go nie słucha, każdy umyka na własną rękę, kontent, że wysunął się z pogromu i że niema już nieprzyjaciela przed sobą.

Lecz próżna radość. Nie ubiegli jeszcze tysiąca kroków, gdy wycie rozległo się nagle przed nimi i szara ćma tatarska wysunęła się od rzeki, przy której czaiła się aż dotąd.

Był to pan Kmicic ze swoją watahą. Wysunąwszy się z pola po przyprowadzeniu nieprzyjaciela do brodu, wrócił teraz, aby uciekającym przeciąć odwrót.

Tatarzy, widząc rozproszonych jeźdźców, w jednej chwili rozproszyli się i sami, aby ich łowić swobodniej i rozpoczął się pościg morderczy. Po dwóch, po trzech Tatarów przebiegało jednemu rajtarowi, a ów bronił się rzadko, częściej chwytał za ostrze i rękojeścią wyciągał go ku ordyńcom, wzywając miłosierdzia. Lecz ordyńcy, wiedząc, że nie odprowadzą tych jeńców do domu, brali żywcem tylko starszyznę, która mogła się wykupić, pospolity żołnierz dostawał nożem po gardle i konał, nie mogąc nawet "Gott!" wykrzyknąć. Tych, którzy uciekali do ostatka, kłuto nożami w karki i plecy, tych, pod którymi nie rozpierały się konie, łowiono arkanami.

Kmicic rzucał się czas jakiś po bojowisku, strącając jeźdźców i szukał oczyma Bogusława, nakoniec ujrzał go i poznał natychmiast po koniu, po błękitnej wstędze i kapeluszu z czarnemi strusiemi piórami.

Chmurka białego dymu otaczała księcia, bo właśnie przed chwilą napadło go dwóch Nohajców, lecz on jednego powalił wystrzałem z pistoletu, drugiego przebódł nawylot rapierem, zaczem ujrzawszy większą watahę, pędzącą z jednej, a Kmicica z drugiej strony, ścisnął konia ostrogami i pomknął jak jeleń ścigany przez psy gończe.

Przeszło pięćdziesięciu ludzi rzuciło się kupą za nim, lecz nie wszystkie konie biegły jednakowo, więc wkrótce kupa rozciągnęła się w długiego węża, którego głowę stanowił Bogusław, szyję Kmicic.

Książę pochylił się w kulbace, kary koń zdawał się ziemi nie tykać nogami, jeno czernił się na zielonej trawie, jak śmigająca nad ziemią jaskółka, cisawy wyciągnął szyję nakształt żórawia, uszy stulił i zdawał się z własnej skóry chcieć wyskoczyć. Mijali samotne krzaki wierzbowe, kępy, gaiki olszynowe, Tatarzy zostali w tyle na staje, na dwie, na trzy, a oni biegli i biegli. Kmicic wyrzucił pistolety z olster, aby koniowi ulżyć, sam zaś ze wzrokiem wbitym w Bogusława z zaciśniętemi zębami, leżąc prawie na szyi

rumaka, bódł ostrogami spienione jego boki, aż wkrótce piana, spadająca na ziemię, stała się różową.

Lecz odległość pomiędzy nim a księciem nietylko nie zmniejszyła się na jeden cal, ale poczęła się powiększać.

— Gorze — pomyślał pan Andrzej — tego konia żaden bachmat w świecie nie zgoni!

I gdy po kilku skokach odległość powiększyła się jeszcze ' ardziej, wyprostował się w kulbace, szablę puścił na temblak i złożywszy ręce koło ust, począł krzyczeć głosem śpiżowym:

— Umykaj, zdrajco, przed Kmicicem! Nie dziś, to jutro cię dostanę!

Nagle, ledwie słowa te przebrzmiały w powietrzu, książę, który je usłyszał, obejrzał się szybko, a widząc, że Kmicic sam go tylko goni, zamiast umykać dalej, zatoczył koło i z rapierem w ręku, rzucił się ku niemu.

Pan Andrzej wydał okropny krzyk radości i nie wstrzymując pędu, wzniósł szablę do cięcia.

— Trup! trup! — zawołał książę.

I chcąc tem pewniej uderzyć, począł konia hamować.

Kmicic dobiegłszy, osadził też swego, aż kopyta zaryły się w ziemi i związał rapier z szablą.

Zwarli się tedy tak, że dwa konie uczyniły niemal jedną całość. Rozległ się straszny dźwięk żelaza, szybki jak myśl, żadne oczy nie mogłyby ułowić błyskawicznych ruchów rapiera i szabli, ni odróżnić księcia od Kmicica. Czasem zaczerniał się bogusławowy kapelusz, czasem błysnęła kmicicowa misiurka. Konie szły młyńcem obok siebie. Miecze dźwięczały coraz okropniej. Bogusław po kilku uderzeniach przestał lekceważyć przeciwnika. Wszystkie straszliwe pchnięcia, których wyuczył się od mistrzów francuskich, były odbite. Już pot spływał mu obficie z czoła, mieszając się na twarzy z barwiczką i bielidłem, już czuł znużenie w prawicy... Począł go chwytać podziw, potem niecierpliwość, potem złość, więc postanowił skończyć i pchnął okropnie, aż kapelusz spadł mu z głowy.

Kmicic odbił z taką siłą, że rapier księcia aż do boku końskiego odleciał i nim Bogusław zdołał zastawić się nanowo, ciął go samym końcem szabli w czoło.

— Christ! — krzyknął po niemiecku książę.

I zwalił się w trawę. Padł w znak.

Pan Andrzej stał przez chwilę, jakby oszołomiony, lecz oprzytomniał prędko, szablę puścił na temblak, przeżegnał się, poczem zeskoczył z konia i chwyciwszy nanowo rękojeść, zbliżył się do księcia.

Straszny był, bo blady z umęczenia jak chusta, wargi miał zaciśnięte i nieubłaganą nienawiść w twarzy.

Oto śmiertelny, a tak potężny wróg, a leżał teraz u jego nóg we krwi, żywy jeszcze i przytomny, ale zwyciężon i nie cudzą bronią, ani też z cudzą pomocą.

Bogusław patrzył na niego szeroko otwartemi oczyma, pilnie bacząc na każdy ruch zwycięzcy, a gdy Kmicic stanął tuż nad nim, zawołał prędko:

— Nie zabijaj mnie! Okup!

Kmicic zamiast odpowiedzieć, stanął mu nogą na piersiach i przycisnął z całej siły, poczem sztych szabli oparł mu na gardle, a skóra ugięła się pod ostrzem, potrzebował tylko ręką ruszyć, tylko pocisnąć nasycić widokiem i śmierć uczynić nieprzyjacielowi cięższą. Oczy wbił w jego oczy i stał nad nim, jak stoi lew nad obalonym bawołem.

Wtem książę, któremu coraz więcej krwi spływało z czoła, tak, iż cały wierzch głowy nurzał się jakoby w kałuży, ozwał się raz jeszcze, ale już przyduszonym głosem, bo stopa pana Andrzeja ciągle gniotła mu piersi:

— Dziewka... słuchaj...

Ledwie pan Andrzej usłyszał te słowa, zdjął nogę z piersi książęcyh i szablę podniósł.

— Mów! — rzekł.

Lecz książę Bogusław czas jakiś oddychał tylko głęboko, wreszcie mocniejszym już głosem odpowiedział:

— Dziewka zginie, jeśli mnie zabijesz... Rozkazy wydane!

— Coś z nią uczynił? — spytał Kmicic.

— Zaniechaj mnie, to ci ją oddam, przysięgam... na ewangelię.

Na to pan Andrzej, uderzył się pięścią w czoło, przez chwilę znać było, że walczy ze sobą i ze swemi myślami, poczem rzekł:

— Słuchaj, zdrajco! Jabym stu takich wyrodków za jeden jej włos oddał... Ale ja tobie nie wierzę, krzywoprzysięzco!

— Na ewangelię! — powtórzył książę. — Dam ci glejt i rozkaz na piśmie.

— Niechże tak będzie, daruję cię zdrowiem, ale cię z rąk nie puszczę. Dasz mi na piśmie... Tymczasem Tatarom cię oddam, u których w niewoli będziesz.

— Zgoda — rzekł książę.

— Pamiętaj! — odrzekł pan Andrzej. — Nie uchroni się przed moją ręką twoje księstwo, twoje wojsko, twoje szermierstwo... I wiedz, że ilekroć mi wejdziesz w drogę, albo nie dotrzymasz li słowa, nic cię nie uchroni, choćby cię cesarzem niemieckim kreowano... Poznajże mnie! Raz cię już miałem w ręku, teraz mi pod nogami leżysz!

— Przytomność mnie opuszcza — rzekł książę. — Panie Kmicic, woda musi tu być blizko... Daj mi pić i ranę zalej.

— Zdychaj parycydo! — odrzekł Kmicic.

Lecz książę, bezpieczen już o życie, odzyskał lubo ranny, całą pewność siebie i ozwał się:

— Głupiś, panie Kmicic! Jeśli umrę i ona...

Tu wargi mu zbielały.

Kmicic zaś skoczył szukać, czy w okolicy niema jakiego rowu lub też kałuży.

Książę omdlał, ale na krótką chwile i obudził się na szczęście swoje, gdyż tymczasem nadbiegł pierwszy Tatarzyn, Selim, syn Gazy Agi, chorąży z kmicicowej watahy, a widząc broczącego we drwi nieprzyjaciela, postanowił przyszpilić go grotem od chorągwi ko ziemi. Książę w tej chwili strasznej znalazł jeszcze tyle sił, że za grot ręką pochwycił, który słabo przytwierdzon, oderwał się od drzewca.

Odgłos tej krótkiej walki ściągnął napowrót pana Andrzeja.

— Stój! psi synu! — zakrzyknął, nadbiegając zdaleka.

Tatar na dźwięk znanego głosu przyległ ze strachu do konia Kmicic kazał mu ruszyć po wodę, sam zaś został przy księciu, bo zdala widać było nadjeżdżających wskok Kiemliczów, Sorokę i cały czambuł, który wyłowiwszy wszystkich rajtarów, puścił się na poszukiwanie wodza.

Ujrzawszy pana Andrzeja, wierni Nohajcy wyrzucili z gromkiem okrzykiem czapki w górę.

Akbah-Ułan zeskoczył z konia i począł mu się kłaniać, dotykając ręką czoła, ust i piersi. Inni, cmokając po tatarsku ustami, patrzyli z drapieżnością w oczach na leżącego rycerza, a z podziwem

na jego zwycięzcę, niektórzy ruszyli łapać dwa konie, cisawego i karego, które biegały opodal z rozwianemi grzywami.

— Akbahu-Ułanie, — rzekł Kmicic — to jest wódz wojsk, które pobiliśmy dziś rano: książę Bogusław Radziwiłł. Daruję wam go, a wy go trzymajcie, bo za żywego, czy za umarłego zapłacą wam sowicie. Teraz opatrzyć go, wziąć na arkan i zaprowadzić do obozu!

—Ałła! ałła! Dziękujem wodzu! dziękujem zwycięzco! — zawołali jednym głosem ordyńcy.

I znów rozległo się cmokanie tysiąca warg.

Kmicic kazał sobie podać konia, siadł i puścił się z częścią Tatarów ku polu bitwy.

Zdala już ujrzał chorążych, stojących ze znakami, ale przy chorągwiach było zaledwie po kilkunastu towarzystwa, reszta zagnała się za nieprzyjacielem. Gromady czeladzi kręciły się po bojowisku, obdzierając trupy i czubiąc się tu i owdzie z Tatarami, którzy czynili to samo. Szczególnie ci ostatni wyglądali poprostu strasznie z nożami w ręku i ubroczenim po łokcie rękoma. Rzekłbyś, stado kruków spadło z chmur na pobojowisko. Dzikie ich śmiechy i wrzaski rozlegały się po całem polu.

Niektórzy, trzymając dymiące jeszcze noże w wargach, ciągnęli obu rękoma za nogi poległych, inni rzucali w siebie z żartów ściętemi głowami, inni ładowali sakwy, inni jak na bazarze podnosili w górę pokrwawione szaty, zachwalając ich doskonałość lub oglądali broń zdobytą.

Kmicic przejechał najprzód przez pole, na którem pierwszy spotkał się z rajtaryą. Trupy ludzkie i końskie, pocięte mieczami, leżały tu w rozproszeniu, lecz tam, gdzie chorągwie cięły piechotę, wznosiły się ich całe stosy, a kałuże zakrzepłej już krwi pluskały pod kopytami końskiemi nakształt błota.

Trudno było tamtędy przejechać wśród szczątków połamanych dzid, muszkietów, trupów, poprzewracanych wozów taborowych i uwijających się kup tatarstwa.

Pan Gosiewski stał dalej jeszcze na okopie warownego obozu a przy nim książę krajczy Radziwiłł, Woyniłłowicz, Wołodyjowski Korsak i kilkudziesięciu ludzi. Z wysokości tej ogarniali oczym pole aż hen do najdalszych krańców i mogli cały rozmiar swego zwycięstwa, a nieprzyjacielskiej klęski ocenić.

Kmicic ujrzawszy panów, przyśpieszył kroku, a pan Gosiewski, jako że był nietylko wojennik szczęśliwy, ale i człowiek zacny, bez cienia zazdrości w sercu, ledwie go ujrzał, zakrzyknął:

— Oto przybywa victor prawdziwy! Za jego to przyczyną ta potrzeba wygrana, ja pierwszy publicznie to oświadczam. Mości panowie! dziękujcie panu Babiniczowi, bo gdyby nie on, nie dostalibyśmy się przez rzekę!

— Vivat Babinicz!— krzyknęło kilkadziesiąt głosów —vivat! vivat!

— Gdzieś ty się żołnierzu, wojny uczył? — spytał z uniesieniem hetman — żeś tak odrazu zrozumiał, co czynić należy.

Kmicic, nie odpowiadał, bo nadto był utrudzon, tylko się kłaniał na wszystkie strony i ręką po zabrukanej od potu i prochowego dymu twarzy wodził. Oczy świeciły mu blaskiem nadzwyczajnym, a tymczasem wiwaty brzmiały ciągle. Oddział za oddziałem nadciągał z pola na spienionych koniach i co który nadciągnął, łączył się z całej piersi z głosami na cześć Babinicza. Czapki wylatywały w górę, kto bandolety miał niewystrzelone, ten ognia dawał.

Nagle pan Andrzej stanął w kulbace i podniósłszy obie ręce do góry, huknął jak grzmot:

— Vivat Jan Kazimierz! pan nasz i ojciec miłościwy!

Tu powstał taki krzyk, jakby nowa bitwa się zaczęła. Zapał niewypowiedziany ogarnął wszystkich.

Książę Michał odpasał szablę z pochwą dyamentami sadzoną i oddał ją Kmicicowi, hetman delię własną kosztowną zarzucił mu na ramiona, a on znów wzniósł ręce do góry.

— Vivat nasz hetman, wódz zwycięski!

— Crescat! floreat! — odpowiedziano chórem.

Zaczem poczęto chorągwie zdobyte zwozić i zatykać w wale pod nogami wodzów. Ani jednej nie uniósł nieprzyjaciel. były pruskie komputowe, pruskie pospolitego ruszenia, szlacheckie, były szwedzkie,bogusławowe, cała ich tęcza powiała u wału.

— Jednato z największych wiktoryi w tej wojnie! — zawołał hetman. — Izrael i Waldek w niewoli, pułkownicy polegli lub w niewoli, wojsko w pień wycięte...

Tu zwrócił się do Kmicica.

— Panie Babinicz, waść w tamtej stronie z Bogusławem musiałeś się spotkać... Co się z nim dzieje?

Tu i pan Wołodyjowski począł pilnie patrzeć w oczy Kmicica ów zaś odrzekł śpiesznie.

— Księcia Bogusława Bóg pokarał tą oto ręką!

To rzekłszy, wyciągnął prawicę, lecz w tej chwili mały rycerz rzucił mu się w objęcia.

— Jędrek! — krzyknął — nie zajrzę ci! Niech cię Bóg błogosławi!

— Tyś to mi rękę formował! — odrzekł z wylaniem pan Andrzej.

Lecz dalszy wylew braterskich uczuć powstrzymał książę krajczy.

— Zali brat mój zabit? — spytał żywo.

Nie zabit — odparł Kmicic, — bom mu życie darował, jeno ranny i pojman. A owo, tam ot, prowadzą go moi Nohajcy!

Na te słowa zdumienie odmalowało się w twarzy pana Wołodyjowskiego, a oczy rycerstwa zwróciły się ku równinie, na której ukazał się oddział kilkudziesięciu Tatarów i zbliżał się wolno, nakoniec, minąwszy kupy połamanych wozów, przysunął się o kilkadziesiąt kroków do okopu.

Wówczas ujrzano, że jadący w przodzie Tatar prowadzi jeńca, poznali wszyscy Bogusława, lecz w jakiejże losów odmianie!..

On, jeden z najpotężniejszych panów w Rzeczypospolitej, on, który wczoraj jeszcze o państwie udzielnem marzył, on, książę rzeszy niemieckiej, szedł teraz z arkanem na szyi, pieszo przy koniu tatarskim, bez kapelusza, z krwawą głową, obwiązaną w brudną szmatę. Taka jednak zawziętość była przeciw temu magnatowi w sercach rycerstwa, że straszne to upokorzenie nie wzbudziło niczyjej litości, owszem wszystkie niemal usta zawrzasły w jednej chwili.

— Śmierć zdrajcy! Na szablach go roznieść! śmierć! śmierć!

A książę Michał oczy ręką zatkał, bo przecie to Radziwiłła prowadzono w takiem upodleniu. Nagle poczerwieniał i krzyknął.

— Mości panowie! to mój brat, to moja krew, a jam ni zdrowia, ni mienia nie żałował dla ojczyzny. Wróg mój, kto na tego nieszczęśnika rękę podniesie.

Rycerze umilkli zaraz.

Księcia Michała kochano powszechnie za męstwo, hojność i serce wylane dla ojczyzny. Wszakże, gdy cała Litwa wpadła w moc

hiperborejską, on jeden bronił się w Nieświeżu, za wojen szwedzkich wzgardził namowami Janusza i jeden z pierwszych przystał do konfederacyi tyszowieckiej, więc też głos jego znalazł i teraz posłuch. Wreszcie, może nikt nie chciał narazić się tak potężnemu panu, dość, że szable schowały się zaraz pod pochew, a nawet kilku oficerów, klientów radziwiłłowskich, zawołało.

— Odjąć go Tatarom! Niech go Rzeczpospolita sądzi, ale nie dajmy poniewierać krwi zacnej poganom!

— Odjąć go Tatarom! — powtórzył książę — znajdziemy zakładnika, a okup on sam zapłaci! Panie Woyniłłowicz, ruszno swoich ludzi i niech siłą go wezmą, jeśli i inaczej nie będzie można!

— Ja się jako zakładnik Tatarom ofiaruję! — zawołał pan Gnoiński.

Tymczasem Wołodyjowski przysunął się do Kmicica i rzekł.

— Jędrek! coś ty najlepszego uczynił? Toż on cało wyjdzie z tych terminów!

Na to Kmicic skoczył jak ranny żbik.

— Za pozwoleniem, mości książę! — krzyknął. — To mój jeniec! Jam go zdrowiem darował, ale pod kondycyami, które mi na swoją heretycką ewangelię zaprzysiągł i niech trupem padnę, jeśli wyjdzie z rąk, w które go oddałem, nim mi wszystkiego dotrzyma!

To rzekłszy, zdarł konia, zastawił drogę i już, już wrodzona popędliwość poczęła go unosić, bo twarz mu się skurczyła, rozdął nozdrza i oczyma błyskawice jął rzucać.

A tymczasem pan Woyniłłowicz nacisnął go koniem.

— Na bok, panie Babinicz! — zakrzyknął.

— Na bok, panie Woyniłłowicz! — wrzasnął pan Andrzej i uderzył rękojeścią szabli woyniłłowiczowskiego konia z tak straszną siłą, że rumak zachwiał się na nogach, jakby uderzony kulą i nozdrzami zarył w ziemię.

Stał się tedy huk srogi między rycerstwem, aż pan Gosiewski wysunął się naprzód i rzekł:

— Milczeć waszmościom! Mości książę, z mocy mojej władzy hetmańskiej oświadczam, że pan Babinicz ma prawo do jeńca i że kto chce go z rąk tatarskich wydobyć, musi dać jego zwycięzcy poręką!

Książę Michał opanował wzburzenie, uspokoił się i rzekł, zwracając mowę do pana Andrzeja:

— Mów waść, czego chcesz?

— By mi kondycyi dotrzymał, zanim z niewoli wyjdzie.

— To ci dotrzyma wyszedłszy.

— Nie może być! Nie wierzę!

— Tedy ja za niego przysięgam na Matkę Najświętszą, którą wyznaję i na parol rycerski, że wszystko ci będzie dotrzymane. W przeciwnym razie możesz mnie na honorze i majętności poszukiwać.

— Dość mi! — rzekł Kmicic. — Niech pan Gnoiński na zakładnika jedzie, bo inaczej Tatarzy opór stawią. Ja poprzestaję na słowie.

— Dziękuję ci panie kawalerze! — odrzekł książę krajczy. — Nie bój się także, aby wolność zaraz odzyskał, bo go panu hetmanowi z prawa oddam i jeńcem aż do królewskiego wyroku zostanie.

— Tak będzie! — rzekł hetman.

I rozkazawszy Woyniłłowiczowi siąść na świeżego konia, bo tamten ledwie już drgał, wysłał go wraz z panem Gnoińskim po księcia.

Lecz sprawa nie poszła jeszcze łatwo. Jeńca trzeba było siłą brać, bo sam Hassun-bej stawił groźny opór i dopiero widok pana Gnoińskiego i umówiony okup stu tysięcy talarów zdołał go uspokoić.

Zaczem wieczorem książę Bogusław znajdował się już w namiotach pana Gosiewskiego. Opatrzono go tam starannie, dwóch medyków nie opuszczało go ani chwili i obaj ręczyli za jego zdrowie, gdyż rana, była zadana samym końcem szabli, nie była zbyt ciężką.

Pan Wołodyjowski nie mógł przebaczyć Kmicicowi, że księciu życie darował i z żalu unikał go cały dzień, dopiero wieczorem sam pan Andrzej przyszedł do jego namiotu.

— Bój się ran boskich! — wykrzyknął na jego widok mały rycerz. — Prędzejbym się po każdym tego spodziewał, aniżeli po tobie, że żywcem tego zdrajcę wypuści!...

— Słuchaj mnie, Michale, zanim potępisz — odrzekł ponuro Kmicic. — Miałem go już pod nogą i sztych trzymałem mu przy gardzieli, a wówczas, wiesz, co mi ten zdrajca rzekł?... Oto, że są rozkazy wydane, aby Oleńkę na gardle w Taurogach karano, jeśli on zginie... Com miał nieszczęsny czynić? Kupiłem jej życie

za jego życie... Com miał czynić... na krzyż Chrystusów... Com miał czynić?

Tu zaczął targać się za czupryne pan Andrzej i nogami z uniesienia tupał, a pan Wołodyjowski zamyślił się przez chwilę, poczem rzekł.

— Pojmuję twoją desperacyę... ale zawsze... tyś, widzisz zdrajcę ojczyzny wypuścił, który ciężkie paroksyzmy na Rzeczpospolitą w przyszłości sprowadzić może... Niema co Jędrek! Zasłużyłeś się dzisiaj okrutnie, aleś w końcu dobro publiczne dla prywaty poświęcił.

— A ty, ty sam, cobyś uczynił, gdyby i powiedziano, że nóż na gardle panny Anny Borzobohatej trzymają?...

Wołodyjowski począł okrutnie wąsikami russzać.

— Jać się za przykład nie podawam. Hm! cobym uczynił?... Ale Skrzetuski, który ma duszę rzymską, tenby go nie żywił, a przecie jestem pewien, że Bóg nie pozwoliłby, aby krew niewinna dlatego została rozlana.

— Niechże ja pokutuję. Ukarz mnie Boże, nie wedle winy mej ciężkiej, jeno wedle Twojego miłosierdzia... Bo żeby wyrok na tego gołębia podpisać...

Tu Kmicic oczy zatkał.

— Ratujcież mnie anieli! Nigdy! nigdy!

— Stało się! — rzekł Wołodyjowski.

Na to pan Andrzej wydobył z zanadrza papiery.

— Patrz, Michale! oto, com zyskał. To rozkaz do Sakowicza, to do wszystkich oficerów radziwiłłowskich i do komendantów szwedzkich... Kazali mu podpisać, choć ledwo ręką ruszał... Książę, krajczy sam pilnował... Oto jej wolność, jej bezpieczeństwo! Dla Boga, krzyżem będę przez rok codzień leżał, kańczugami ciąć się każę, kościół nowy będę erygował, ale jej życia nie poświęcę. Nie mam rzymskiej duszy... dobrze! Nie jestem Katonem, jako pan Skrzetuski... dobrze! Ale nie poświęcę! nie, do stu piorunów i niechaj mnie w ostatku w piekle na rożen...

Kmicic nie dokończył, bo pan Wołodyjowski skoczył i zatkał mu usta ręką, krzyknąwszy przeraźliwym głosem:

— Nie bluźnij! bo na nią pomstę bożą ściągniesz!

I Kmicic począł się walić w piersi: "mea culpa! mea culpa! mea maxima culpa!" Nareszcie ryknął wielkim płaczem biedne żołnierzysko, bo już sam nie wiedział, co ma czynić.

Wołodyjowski pozwolił mu się wypłakać dowoli, wreszcie gdy się uspokoił, spytał go:

— A co teraz przedsięweźmiesz?

— Pójdę z watahą, gdzie mnie posłano, aż hen! pod Birże! Niech jeno ludzie i konie odetchną. Po drodze, co będę mógł heretyckiej krwi na chwałę bożą rozlać, to jeszcze rozleję.

— I będziesz miał zasługę. Nie trać fantazyi, Jędrek. Bóg miłosierny!

— Pójdę prosto, jako sierpem rzucił. Całe Prusy teraz stoją otworem, chyba gdzieniegdzie małe prezydya nadybię.

Pan Michał westchnął:

— Ej, poszedłbym z tobą z taką ochotą, jakby do raju! Ale komendy trzymać się muszę. Szczęśliwyś ty, że wolentarzami dowodzisz... Jędrek! słuchaj, bracie!... a jak je obie odnajdziesz to... opiekujże się i tamtą, aby zaś jej źle nie było... Bóg wie, może mi ona pisana...

To rzekłszy, mały rycerz rzucił się w objęcia pana Kmicica.

---

## LXIX.

Oleńka i Anusia, wydostawszy się pod opieką Brauna z Taurogów, dotarły szczęśliwie do partyi pana miecznika, który stał podówczas pod Olszą, zatem od Taurogów niezbyt daleko.

Stary szlachcic, gdy je obie w dobrem zdrowiu zobaczył, najprzód oczom własnym wierzyć nie chciał, potem zapłakał z radości, a następnie wpadł w taki wojowniczy zapał, iż nie było już dla niego niebezpieczeństw. Niechby nietylko Bogusław, ale sam król szwedzki z całą potęgą nastąpił, pan miecznik gotów był bronić swoich dziewczyn przed wszelkim nieprzyjacielem.

— Pierwej polegnę — mówił, — niż włos wam z głowy spadnie. Nie ten ja już człowiek, któregoście znały w Taurogach i tak myślę, że długo popamiętają Szwedzi Girlakole, Jaswojnię i te cięgi, które im pod samemi Rosieniami zadałem. Prawda, że zdrajca Sakowicz napadł nas niespodzianie i rozproszył, ale oto znów kilkaset szabel ma się na usługi.

Pan miecznik nie bardzo przesadzał, bo rzeczywiście trudno w

nim było poznać upadłego na duchu taurożańskiego jeńca. Inną wcale miał fantazyę, energia jego odżyła, w polu, na koniu, znalazł się w swoim żywiole, a będąc żołnierzem dobrym, rzeczywiście kilkakrotnie już Szwedów mocno poszarpał. Że zaś wielką miał powagę w okolicy, więc też kupiła się do niego chętnie szlachta i lud prosty, a i z dalszych powiatów raz wraz któryś z Billewiczów przyprowadzał po kilkanaście, lub nawet kilkadziesiąt koni.

Partya miecznikowa składała się z trzystu piechoty chłopskiej i około pięciuset jeźdźców. W piechocie rzadko kto miał rusznicę, większość zbrojna była w kosy i widły, jazda stanowiła zbieraninę zamożniejszej szlachty, która z czeladzią w lasy ruszyła i uboższej z zaścianków. Uzbrojenie jej lepsze było, niż piechoty, ale bardzo rozmaite. Tyki chmielowe służyły wielu za kopie, inni nosili broń rodzinną bogatą, ale częstokroć zeszłowieczną, konie rozmaitej krwi i dobroci nie nadawały się do jednego szeregu.

Mógł miecznik z takiem wojskiem zastępować drogę patrolom szwedzkim, mógł wycinać większe nawet odziały jazdy, mógł oczyszczać lasy i wsie z grasantów, których liczne watahy, złożone ze zbiegów szwedzkich, pruskich i miejscowych łotrzyków, trudziły się rozbojem, ale nie mógł na żadne miasto uderzyć.

Owóż Szwedzi zmądrzeli już. Zaraz po wybuchu powstania wycięto na całej Żmudzi i Litwie tych, którzy w kwaterach rozproszeni po wsiach stali, teraz ci, którzy ocaleli, trzymali się naprędce obwarowanych miast, z których wychylali się tylko na bliższe ekspedycye. Stało się zatem, że pola, lasy, wioski i pomniejsze miasteczka były w ręku polskich, a za to wszystkie większe grody dzierżyli Szwedzi i rugować ich nie było sposobu.

Miecznikowa partya była jedną z najlepszych, inne mniej jeszcze mogły wskórać. Na granicy Inflant powstańcy uzuchwalili się wprawdzie tak dalece, aże po dwakroć Birże oblegli, które za drugim razem zmuszone były poddać się, ale chwilowa ta przewaga wypłynęła stąd, aż de la Gardie pościągał on obronę Rygi przeciw carskiej potędze wszystkie wojska z pogranicznych Inflantom powiatów.

Świetne jego i rzadkie w dziejach zwycięztwa kazały się jednak spodziewać, że tamta wojna wkrótce zostanie ukończona, a potem na Żmudź nadciągną nowe i upojone tryumfami wojska szwedzkie. Wszelako tymczasem dość było w lasach bezpiecznie i liczne partye powstańcze, same niewiele zdolne przedsięwziąć, mogły być wsze-

lako pewne, że ich nieprzyjaciel po zapadłych puszczach szukać nie będzie.

Dlatego pan miecznik porzucił myśl schronienia się do puszczy białowieskiej, bo droga do niej była bardzo daleka, a po drodze siła miast znacznych, opatrzonych w liczne prezydya.

— Pan Bóg dał suchą jesień, — mówił do swoich dziewcząt — zaczem i łatwiej żyć sub Jove. Każę wam namiocik foremny sporządzić, babę do usług wam dam i zostaniecie w obozie. Niemasz w tych czasiech bezpieczniejszego schronienia jak w lasach. Billewicze moje docna spalone, na dwory grasanci nadchodzą, a często i podjazdy szwedzkie. Gdzie wam bezpieczniej głowy przytulić, jako przy mnie, który kilkaset szabel mam do rozporządzenia? Przyjdą zaś później słoty, to wam się jaką chacinę w głębokich ostępach wynajdzie.

Myśl ta podobała się bardzo pannie Borzobohatej, bo w partyi było kilku młodych Billewiczów, grzecznych kawalerów, a wreszcie mówiono bezustanku, że pan Babinicz w te strony ciągnie. Spodziewała się tedy Anusia, że nadciągnąwszy, w mig Szwedów wyżenie, a potem... potem będzie, co Bóg da. Oleńka sądziła również, że najbezpieczniej przy partyi, chciała się tylko od Taurogów oddalić, pościgu Sakowicza się obawiając.

— Pójdźmy ku Wodoktom — rzekła — tam będziem między swymi. Choćby też były spalone, są Mitruny i wszystkie zaścianki okoliczne. Niepodobna, by cały kraj tamtejszy w pustynię miał być zmieniony. Lauda w razie niebezpieczeństwia będzie nas bronić.

— Ba wszyscy laudańscy z Wołodyjowskim wyszli — zaoponował młody Jur Billewicz.

— Zostali starzy i wyrostki, wreszcie, nawet niewiasty tamtejsze bronić się w razie potrzeby umieją. Puszcze tam także większe, niż tu, Domaszewicze Myśliwi, albo Gościewicze Dymni do Rogowskiej nas zawiodą, w której żaden nieprzyjaciel nas nie odnajdzie.

— A ja taborem i was ubezpieczywszy, będę na Szwedów wypadał i znosił tych, którzy się na brzegi puszczańskie odważą — rzekł pan miecznik. — To jest przednia myśl! Nic tu po nas, tam większe usługi oddać można.

Kto wie, czy miecznik nie dlatego chwycił się tak skwapliwie

rady panny Aleksandry, że w duszy także nieco się Sakowicza obawiał, który do rozpaczy przywiedzion, mógł być straszny.

Rada jednak była sama w sobie mądra, dlatego wszystkim odrazu przypadła do smaku, więc miecznik tego samego jeszcze dnia wysłał pod dowództwem Jura Billewicza piechotę, aby się przedzierała lasami w kierunku Krakinowa: sam zaś z jazdą ruszył w dwa dni później, zasięgnąwszy wprzód dokładnych wieści, czy z Kiejdan lub z Rosień, między któremi musiał przechodzić, nie wyszły jakie znaczniejsze szwedzkie wojska.

Szli zwolna i ostrożnie. Panny jechały na chłopskich wózkach, a czasami na podjezdkach, o które miecznik się wystarał.

Anusia, dostawszy w darze od Jura lekką szabelkę, przewiesiła ją mężnie przez siebie na jedwabnych rapciach i w kołpaczku, nałożonym z fantazyą na głowę, oganiała, niby jaki rotmistrz, chorągiew. Bawił ją pochód i szable błyszczące w słońcu i rozkładane nocą ogniska. Zachwycali się nią wielce młodzi oficerowie i żołnierze, a ona strzygła oczyma na wszystkie strony, rozpuszczała w pochodzie warkocze, poto, by je po trzy razy na dzień zaplatać nad brzegiem jasnych strumieni, które zastępowały jej zwierciadło. Mówiła często, że chce widzieć bitwę, aby dać przykład męstwa, ale w rzeczy samej wcale nie pragnęła bitwy, chciała tylko pograżyć serca wszystkich młodych wojowników, jakoż i pograżyła ich liczbę niepomierną.

Oleńka także jakoby nanowo odżyła po opuszczeniu Taurogów. Tam zabijała ją niepewność losu i ciągła obawa, teraz czuła się bezpieczniejszą w głębinach leśnych. Zdrowe powietrze wracało jej siły. Widok żołnierstwa, broni, ruch i gwar obozowy, działały jak balsam na zmęczoną jej duszę. I jej równie sprawiał przyjemność pochód wojsk, a możliwe niebezpieczeństwa nie przestraszały bynajmniej, bo przecie rycerska krew płynęła w jej żyłach. Mniej okazując się żołnierzem, nie pozwalając sobie buszować na podjezdku przed szeregami, mniej też ściągała na się oczu. Ale natomiast otaczał ją szacunek powszechny.

Uśmiechały się wąsate twarze żołnierskie na widok Anusi, a odkrywały się głowy, gdy Oleńka zbliżała się do ognisk. Szacunek ów zmienił się później w uwielbienie. Nie było też bez tego, by jakie serce nie zabiło dla niej w młodej piersi, jeno że oczy nie śmiały na nią patrzeć tak wprost, jak na ową czarnuszkę-Ukrainkę.

Szli lasami, zaroślami, często wysyłając przed sobą zwiady i aż

dopiero siódmego dnia przybyli późną już nocą do Lubicza, który leżał na skraju laudańskiej okolicy, stanowiąc jakoby wrota do niej. Konie tak były dnia tego zmęczone, że mimo przedstawień Oleńki, niepodobna było ruszyć dalej, więc miecznikzakazał dziewczynie wydziwiać i roztasował partyę na nocleg. Sam z pannami stanął we dworze, bo czas był mglisty, a chłodny bardzo Dziwnym trafem dwór nie był spalony. Nieprzyjaciel oszczędzał go prawdopodobnie z polecenia księcia Janusza Radziwiłła, dlatego, że był kmicicowy, a chociaż później książę dowiedział się o odstępstwie pana Andrzeja, zapomniał lub nie miał czasu wydać nowych rozkazów. Powstańcy uważali całą majętność za billewiczowską własność, grasanci nie śmieli rabować pod bokiem Laudy. Więc nie zmieniło się w nim nic. Oleńka wchodziła ze strasznem uczuciem bólu i goryczy pod ten dach. Znała tu każdy kąt, lecz niemal z każdym łączyło się jakoweś wspomnienie Kmicicowego występku. Oto przed nią sala jadalna, ubrana w konterfekty Billewiczów i w czaszki leśnego zwierza. Potrzaskane kulami czaszki są jeszcze na gwoździach, pochlastane szablami portrety spoglądały surowo ze ścian, jakoby chciały mówić: "Patrz, dziewczyno, patrz nasza wnuczko, to on świętokradzką ręką pociął wizerunki naszych ziemskich postaci, dawno spoczywających już w grobach!"

Oleńka czuła, że oczu nie zmruży w tym domu splamionym. Zdało jej się, że w ciemnych kątach komnat snują się jeszcze widma strasznych kompanionów, buchające ogniem z nozdrzy. I jakże prędko przechodził ten człowiek, tak przez nią kochany, od, swawoli do występku, od występku do coraz większych zbrodni od porąbania wizerunków do rozpusty, do spalenia Upity i Wołmontowicz, do porwania jej samej z Wodoktów, dalej do służby radziwiłłowskiej, do zdrady, ukoronowanej obietnicą podniesienia ręki na króla, na ojca całej Rzeczypospolitej...

Noc biegła, a sen nie chwytał się powiek nieszczęsnej Oleńki. Wszystkie rany duszy odnowiły się w niej i poczęły piec boleśnie. Wstyd nanowo palił jej policzki, oczy nie roniły w tej chwili łez, ale serce ogarniała taka żałość niezmierna, że nie mogąca się w tem biednem sercu pomieścić...

Żałość za czem? Za tem, coby być mogło, gdyby on był inny, gdyby przy swoich narowach, dzikości i swawoli, choć serce przynajmniej miał uczciwe, gdyby wreszcie miał choć miarę w zbrodni,

gdyby istniała jakaś granica, przez którąby przejść nie był zdolen. Przecie jej serce przebaczyłoby tak wiele...

Spostrzegła mękę towarzyszki Anusia i dorozumiała się powodu, bo jej poprzednio już całą historyę stary miecznik rosieński wyśpiewał, więc mając serce dobre, podeszła ku pannie Billewiczównie i zarzuciwszy jej ręce na szyję, rzekła:

— Oleńka! ty w tym domu od boleści się wijesz...

Oleńka z początku nie chciała nic mówić, jeno poczęła się trząść całem ciałem, jako osinowy liść, a w końcu płacz straszny, rozpaczliwy, wyrwał się z jej piersi. Chwyciwszy konwulsyjnie rękę Anusi, głowę swą jasną wsparła na jej ramieniu i łkanie targało nią jak wicher krzewem.

Anusia długo czekać musiała, zanim przeszło, wreszcie gdy Oleńka uspokoiła się nieco, ozwała się po cichu:

— Oleńka, módlmy się za niego...

A tamta obu rękoma zakryła oczy.

— Nie... mogę!... — rzekła z wysileniem.

I po chwili, zagarniając gorączkowo w tył włosy, które opadły jej na skronie, poczęła mówić zdyszanym głosem:

— Widzisz... nie mogę... Ty szczęśliwa!... Twój Babinicz zacny, sławny... przed Bogiem... i ojczyzną... Ty szczęśliwa! Mnie się nie wolno nawet modlić... Tu wszędy krew ludzka... zgliszcza! Żeby choć ojczyzny nie zdradził! żeby się króla sprzedać nie podjął!... Ja poprzednio już wszystko przebaczyłam... w Kiejdanach... bom myślała... bo miłowałam go... z całego serca... Ale teraz nie mogę... O Boże miłosierny! nie mogę!... Chciałabym sama nie żyć... i żeby on już nie żył!

Na to Anusia:

— Za każdą duszę modlić się wolno, bo Bóg miłosierniejszy od ludzi i przyczyny wie, których ludzie często nie wiedzą.

To rzekłszy, klękła do modlitwy, a Oleńka rzuciła się krzyżem na ziemię i przeleżała tak aż do rana.

Nazajutrz gruchnęła wieść po okolicy, że pan miecznik Billewicz jest na Laudzie. Na tę wieść, kto żyw był, wychodził witać. Więc z lasów okolicznych wychodzili starcy zgrzybiali i niewiasty z dziećmi małemi. Dwa lata nie siał już nikt, ni orał w zaściankach. Same zaścianki były częścią spalone i puste. Ludność żyła w lasach. Mężowie w sile wieku poszli z panem Wołodyjow-

skim lub do różnych partyj, tylko wyrostkowie strzegli i bronili resztek dobytku i bronili dobrze, ale pod osłoną puszcz.

Witano tedy miecznika jak zbawcę, wielkim płaczem radości, bo tym prostym ludziom zdało się, że kiedy miecznik przyszedł i "panna" wraca do dawnego gniazda, to już musi być wojnie i klęskom koniec. Jakoż zaraz poczęli wracać do zaścianków i zganiać półdziki dobytek z najgłębszych ostępów.

Szwedzi siedzieli wprawdzie niedaleko obwarowani szańcami w Poniewieżu, ale wobec miecznikowej siły i innych okolicznych partyi, które można było przywołać w razie potrzeby, mniej już na nich zważano.

Pan Tomasz zamierzał nawet uderzyć na Poniewież, aby całkiem powiat oczyścić, czekał tylko, by jeszcze więcej ludu zebrało się pod jego chorągiew, a zwłaszcza, by jego piechocie dostarczono strzelb, których znaczną liczbę mieli ukrytą w lasach Domaszewicze Myśliwi, tymczasem oglądał się po okolicy, przejeżdżając od wioski do wioski.

Ale smutna to była lustracya. W Wodoktach dwór był spalony i połowa wsi, Mitruny również: Wolmontowicze i Butrymów, które swego czasów spalił Kmicic, odbudowały się po pożarze i dziwnym trafem ocalały, za to Drożejkiany i Morgi Domaszewiczów były spalone do cna, Pacunele do połowy, Morozy całkiem, Goszczuny najsroższego losu doznały, bo i ludność była do połowy w pień wycięta, a wszyscy mężczyzni od starców do kilkunastoletnich chłopaków, mieli z rozkazu pułkownika Rosy poucinane ręce.

Tak wojna deptała strasznie te okolice, takie były skutki zdrady księcia Janusza Radziwiłła.

Lecz nim miecznik skończył lustracyę i postawił swoje chorągwie piechoty, przyszły znów wieści radosne zarazem i straszne, które tysiącznem echem rozbrzmiały od chaty do chaty.

Jurek Billewicz, poszedłszy w kilkadziesiąt koni z podjazdem pod Poniewież i zachwyciwszy kilku Szwedów, pierwszy dowiedział się o bitwie pod Prostkami. Następnie do nowina, to przychodziło więcej szczegółów tak cudownych, że na baśń zakrawały.

— Pan Gosiewski — powtarzano — zbił Grafa Waldeka, Izraela i księcia Bogusława. Wojsko zniesione ze szczętem, wodzowie w niewoli! Całe Prusy jednym ogniem płoną!

W kilka tygodni później jeszcze jedno groźne nazwisko poczęły powtarzać usta ludzkie: nazwisko Babinicza.

— Babinicz głównie do wiktoryi pod Prostkami się przyczynił — mówiono na całej Żmudzi. — Babinicz księcia Bogusława własną ręką usiekł i pojmał.

A dalej:

— Babinicz pali Prusy elektorskie, idzie jako śmierć ku Żmudzi, ścina, ziemię a niebo zostawuje.

W końcu zaś:

— Babinicz Taurogi spalił. Sakowicz uciekł przed nim i po lasach się kryje...

Ostatni wypadek zaszedł zbyt blizko, by długo pozostać mógł wątpliwym. Jakoż wieść sprawdziła się w zupełności.

Anusia Borzobohata przez cały czas, gdy te wieści dochodziły, żyła jakby w odurzeniu, śmiała się i płakała naprzemian, tupała nogami, gdy kto nie wierzył i powtarzała wszystkim, czy kto chciał, czy nie chciał słuchać:

— Ja pana Babinicza znam! On mnie z Zamościa do pana Sapiehy przywiózł. Największy to w świecie wojownik. Nie wiem, czyli i pan Czarniecki mu dorówna. On to, pod panem Sapiehą służąc, całkiem księcia Bogusława w czasie pierwszej wyprawy pognębił... On, jestem pewna, że nie kto inny, pod Prostkami go usiekł. Da on panu Sakowiczowi i takim dziesięciu, jak Sakowicz!... A Szwedów w miesiąc z całej Żmudzi wymiecie!

Jakoż zaręczenia jej poczęły się prędko sprawdzać. Nie było już najmniejszej wątpliwości, że groźny wojownik, zwany Babinicz, posunął się od Taurogów w głąb ku północy kraju.

Pod Kołtyniami zbił pułkownika Baldona i oddział jego zniósł ze szczętem: pod Worniami wyciął piechotę szwedzką, która cofała się przed nim do Telsz, pod Telszami stoczył większą zwycięską bitwę z dwoma pułkownikami Normanem i Hudenskioeldem, w której Hudenskioeld poległ, a Norman z niedobitkami nie oparł się, aż w Zagórach, na samej granicy żmudzkiej.

Z Telsz ruszył Babinicz ku Kurszanom, pędząc przed sobą mniejsze oddziały szwedzkie, które na gwałt chroniły się przed nim pod skrzydła znaczniejszych załóg.

Od Taurogów i Połągi do Birż i Wiłkomierza brzmiało imię zwycięzcy. Rozpowiadano o okrucieństwach, których się nad Szwedami dopuszczał; mówiono, że wojska jego, złożone początkowo z niewielkiego czambułu Tatarów i chorągiewki wolentarzy

rosną z dnia na dzień, bo kto żyw, biegnie do niego, wszystkie partye łączą się z nim, a on ujmuje je w kluby żelazne i prowadzi na nieprzyjaciela.

Umysły tak dalece były jego zwycięstwami zajęte, że wieść o klęsce, jaką pan Gosiewski poniósł od Steinboka pod Filipowem, przeszła prawie bez echa. Babinicz był bliższym i Babiniczem więcej się zajmowano.

Anusia codzień błagała miecznika, ażeby szedł łączyć się ze wsławionym wojownikiem. Popierała ją i Oleńka. Naglili wszyscy oficerowie i szlachta, którą sama ciekawość podniecała.

Ale nie była to rzecz łatwa. Najprzód Babinicz był w innej stronie; powtóre często zapadał tak, że po całych tygodniach nie było o nim słychać i wypływał znów razem z wieścią o nowem zwycięstwie; po trzecie, wszystkie oddziały i załogi szwedzkie z miast i miasteczek, chroniąc się przed nim, zagrodziły wielkiemi kupami drogę, nakoniec za Rosieniami pojawił się znaczny oddział Sakowicza, o którym przyniesiono wiadomość, że niszczy wszystko przed sobą straszliwie, i mękami ludzi morząc, o partyę billewiczowską ich bada.

Miecznik nietylko nie mógł ruszyć ku Babiniczowi, ale obawiał się, czy mu w okolicach Laudy nie stanie się wkrótce za ciasno

Więc sam nie wiedząc, co począć, zwierzył się Jurkowi Billewiczowi, że ma zamiar w lasy Rogowskie na wschód się cofać. Jurek wygadał się zaraz z nowiną przed Anusią, ta zaś poszła wprost do miecznika.

— Stryjku najmilszy, — rzekła do niego (bo tak nazywała go zawsze, gdy chciała coś na nim wydębić) — słyszałam, iż uciekać mamy. Zali to nie wstyd tak znamienitemu żołnierzowi pierzchać na samą wieść o nieprzyjacielu?

— Waćpanna musisz we wszystko swoje trzy grosze wścibić — odrzekł skłopotany miecznik. — To nie waćpanny rzecz.

— Dobrze, to się sobie cofajcie, a ja tu zostanę.

— Żeby cię Sakowicz złowił? obaczysz!

— Sakowicz mnie nie złowi, bo mnie pan Babinicz obroni.

— Właśnie też będzie wiedział, gdzie waćpanna jesteś. Powiedziałem raz, że się nie zdołamy do niego przedrzeć.

— Ale on może przyjść do nas. Ja jego znajoma, żebym tylko mogła wysłać do niego list, jestem pewna, żeby tu przyszedł, wprzód Sakowicza pobiwszy.

On mnie trochę lubił, toby i nie odmówił ratunku.

— A kto się podejmie list zanieść?

— Przez pierwszego lepszego chłopca można posłać...

— A nie zawadzi, nie zawadzi, w żadnym razie nie zawadzi. Oleńka ma bystry rozum, ale i waćpannie go nie brakuje. Choćbyśmy się mieli tymczasem przed przeważną siłą w lasy uchylić, zawsze będzie dobrze, żeby Babinicz przyszedł w te strony, bo tym sposobem prędzej się z nim połączym. Próbuj waćpanna. Posłańcy się znajdą i ludzie pewni...

Uradowana Anusia tak dobrze zaczęła próbować, że tego samego dnia znalazła sobie aż dwóch posłańców i to nie chłopów, bo jednego Jurka Billewicza, drugiego Brauna. Oba mieli wziąć po liście jedno brzmiącym, aby w każdym razie nie ten, to ów mógł go wręczyć Babiniczowi. Z samym listem miała Anusia więcej kłopotu, lecz wreszcie napisała go w następujących słowach:

"W ostatniej toni piszę do waćpana, jeśli mnie pamiętasz, (choć wątpię, bo cobyś tam miał waćpan pamiętać)! abyś mi na ratunek przybył. Lecz tylko życzliwości waćpana, którą mi w drodze z Zamościa okazywałeś, śmiem się tego spodziewać, że mnie w nieszczęściu nie zaniechasz. Jestem w partyi pana Billewicza, miecznika rosieńskiego, który mi przytułek dał, bom jego krewną, pannę Billewiczównę, z niewoli taurożańskiej wyprowadziła. I jego i nas obie oblega zewsząd nieprzyjaciel, a mianowicie Szwedzi i niejaki pan Sakowicz, przez którego grzeszną natarczywością musiałam uciekać i w obozie szukać schronienia. Wiem, że mnie waćpan nie lubił, choć Bóg widzi, nic ci nie uczyniłam złego, a życzyłam życzę zawsze z całego serca. Ale i nie lubiąc, ocal biedną sierotę ze srogich rąk nieprzyjacielskich, Bóg zasię wynagrodzi ci to stokrotnie i ja będę się modlić za waćpana, którego dziś jeno dobrym opiekunem, potem zaś zbawcą swoim będę nazywała do śmierci..."

Gdy wysłańcy opuszczali już obóz, Anusia, bacząc, na jakie niebezpieczeństwa się narażają, zlękła się o nich i koniecznie zatrzymać ich pragnęła. Nawet ze łzami w oczach poczęła prosić miecznika, żeby im jechać nie pozwolił, bo listy i chłopi mogą zanieść, chłopom zaś i przedostać się będzie łatwiej.

Lecz Braun i Jurko Billewicz upalili się tak, że żadne przedstawienia nie pomogły. Jeden i drugi chcieli się w gotowości do usług przesadzić, żaden zaś nie przewidywał co go czeka.

Albowiem w tydzień później Braun wpadł w ręce Sakowicza który kazał go ze skóry obedrzeć, biedny zaś Jurko został zastrzelony za Poniewieżem, w ucieczce przed podjazdem szwedzkim.

Oba listy wpadły w ręce nieprzyjaciół.

---

## LXX.

Sakowicz po schwytaniu Brauna i obdarciu go ze skóry, porozumiał się natychmiast z obersztem Hamiltonem, Anglikiem w służbie szwedzkiej i komendatem w Poniewieżu, celem wspólnego uderzenia na partyę miecznika Billewicza.

Babinicz właśnie był gdzieś zapadł w lasy i od kilkunastu dni żaden słuch o nim nie doszedł. Zresztą Sakowicz nie byłby już zważał na jego blizkość. Miał on wprawdzie, mimo całej swej odwagi, jakąś instynktową obawę przed Babiniczem, ale teraz gotów był sam zginąć, byle zemsty dokonać. Od czasu ucieczki Anusinej wściekłość nie przestawała ani na chwilę targać jego duszy. Zmylone rachuby i zraniona miłość własna w szał go wprawiały, a przytem cierpiało w nim i serce. Z początku pragnął on pojąć Anusię za żonę tylko dla majętności zapisanych jej przez pierwszego narzeczonego pana Podbipiętę, lecz później zakochał się w niej ślepo i na zabój, jak tylko taki człowiek mógł się zakochać. I doszło do tego, że on, który oprócz Bogusława nikogo się nie bał na świecie, on, przed którego wzrokiem samym ludzie bledli, patrzył jak pies w oczy tej dziewczyny, ulegał jej, znosił jej wydziwiania, spełniał wszystkie chęci, starał się myśli zgadywać.

Ona używała i nadużywała swego wpływu, łudząc go słowy, spojrzeniem, wysługiwała się nim, jak niewolnikiem, w końcu zdradziła.

Sakowicz należał do tego rodzaju ludzi, którzy za jedyne dobro i cnotę poczytują to, co dla nich dobre, za złe i winę to, co im szkodę przynosi. Więc w oczach jego Anusia popełniła najstraszliwszą zbrodnię i nie było dla niej dość wielkiej kary. Gdyby to kogo innego spotkało, pan starosta śmiałby się i drwił, lecz gdy dotknęło jego osobę, ryczał jak ranny zwierz i myślał tylko o pom-

ście. Chciał dostać w ręce winowajczynię umarłą albo żywą. Wołałby żywą, bo mógłby najprzód kawalerską zemstę wywrzeć, lecz choćby dziewczyna miała i poledz w czasie napadu, mniejsza mu było z tem, byle się komu innemu nie dostała.

Chcąc działać napewno posłał do miecznika przekupionego człowieka z listem niby od Babinicza, w którym oznajmiał w imieniu tego ostatniego, że w Wołmontowiczach w ciągu tygodnia stanie.

Miecznik uwierzył łatwo, ufając w niezwyciężoną siłę Babinicza i tajemnicy z tego nie uczynił, zaczem nietylko sam zakwaterował się na dobre w Wołmontowiczach, ale poruszył przez rozgłoszenie nowiny całą prawie ludność laudańską. Resztki jej zbiegły się z lasów, raz dlatego, że to już był koniec jesieni i chłody nastały, a powtóre przez samą ciekawość widzenia wsławionego wojownika.

A tymczasem od strony Poniewieża ciągnęli ku Wołmontowiczom hamiltonowscy Szwedzi, od strony Kiejdan przekradł się po wilczemu Sakowicz.

Ten ostatni jednak ani się domyślał, że za nim również po wilczemu ciągnie na krok ktoś trzeci, który, lubo żadnych wezwań nie otrzymał, miał właśnie we zwyczaju zjawiać się tam, gdzie się go najmniej spodziewano.

Kmicic nie wiedział zupełnie, że Oleńka znajduje się w billewiczowskiej partyi. W Taurogach które splondrował ogniem i mieczem, zasięgnął języka o tem, że uszła wraz z panną Borzobohatą, lecz przypuszczał, że uszły do puszczy Białowieskiej, gdzie chroniła się także pani Skrzetuska i wiele innych szlachcianek. Mógł to przypuszczać tembardziej, iż wiedział, że stary miecznik oddawna miał zamiar odwiezienia do tych nieprzebytych borów synowicy.

Zmartwiło to pana Andrzeja niepomiernie, że jej w Taurogach nie znalazł, ale z drugiej strony pocieszał, się, że uniknęła z rąk Sakowicza i że aż do końca wojny znajdzie bezpieczne przytulenie.

Nie mogąc do puszczy zaraz po nią iść, postanowił nieprzyjaciela na Żmudzi dopóty podchodzić i niszczyć, dopóki całkiem go nie zgnębi. I szczęście szło jego śladem. Od półtora miesiąca zwycięstwo następowało po zwycięstwie, lud zbrojny sypał się do niego tak obficie, że wkrótce czambulik stanowił ledwie czwartą część jego siły. Wreszcie wyżeną nieprzyjaciół z całej zachodniej Żmudzi,

a zasłyszawszy o Sakowiczu i mając z nim dawne rachunki do załatwienia, puścił się w dawne strony i szedł za nim.

W ten sposób dotarli obaj w pobliże Wołmontowicz.

Miecznik, który poprzednio stał niedaleko, rezydował tam już od tygodnia i nawet w głowie nie postała mu myśl, jak strasznych wkrótce będzie miał gości.

Aż pewnego wieczora wyrostkowie Butrymi, pasący za Wołmontowiczami konie, dali znać, że jakieś wojsko wyszło z lasów i zbliża się od południowej strony. Miecznik zbyt był jednak starym i doświadczonym żołnierzem, aby nie przedsięwziąć żadnych ostrożności. Piechotę swoją, częścią już opatrzoną przez Domaszewiczów w strzelbę, umieścił w niedawno odbudowanych domach, częścią obsadził kołowrót, sam zaś z jaźdą stanął nieco z tyłu po za płotami, na obszernym pastewniku, dotykającym jedną stroną rzeki. Miecznik uczynił to głównie dlatego, żeby uzyskać pochwały Babinicza, który na dobrych rozporządzeniach znać się musiał, ale pozycya jego istotnie była silna.

Zaścianek, od czasu jak go Kmicic z zemsty za wymordowanie kompanionów spalił, odbudowywał się zwolna, że zaś później wojna szwedzka robotę przerwała, było więc nagromadzonych w głównej ulicy mnóstwo bali, bierwion, desek. Całe ich kupy wznosiły się przy kołowrocie i piechota, choćby mniej wyćwiczona, mogłaby się z poza nich długo bronić.

W każdym razie zabezpieczała ona jazdę od pierwszego natarcia. Miecznik tak dalece pragnął popisać się ze swoją znajomością żołnierki przed Babiniczem, że nawet podjeździk wysłał na zwiady.

Jakież było jego zdumienie, a w pierwszej chwili i przerażenie, gdy zdala zza borku doszedł go odgłos strzałów, następnie podjazd ukazał się na drodze, ale idący wskok i z chmurą nieprzyjaciół na karku.

Miecznik skoczył natychmiast do piechoty, aby ostatnie rozkazy wydać, a tymczasem z borku poczęły się wysypywać gęstsze zastępy nieprzyjaciół i szły jak szarańcza ku Wołmontowiczom, świecąc w zachodzącem słońcu bronią.

Borek był blizko więc podjechawszy nieco, jazda owa puściła zaraz wskok konie, pragnąc jednym zamachem przedostać się przez kołowrót, lecz nagły ogień piechoty osadził ją na miejscu.

Pierwsze szeregi cofnęły się nawet dość bezładnie i tylko kilkunastu dotarło piersiami końskiemi do zasieków.

Miecznik też ochłonął tymczasem i skoczywszy do jazdy, kazał wszystkim, którzy mieli pistolety lub strzelby, iść na posiłek piechocie.

Nieprzyjaciel był widocznie również zaopatrzony w muszkiety, bo zaraz po pierwszem natarciu rozpoczął ogień bardzo gwałtowny, chociaż nieregularny.

Więc z obu stron poczęło grzmieć to szybciej, to powolniej, kule świszcząc, dolatywały aż do jazdy, stukały po domach, płocie, kupach belek, dym rozciągał się nad Wołmontowiczami, zapach prochu napełnił ulicę.

Anusia zatem miała to, czego chciała, to jest bitwę.

Obie panny zaraz w pierwszej chwili dosiadły z rozkazu miecznika podjezdków, aby w danym razie, gdyby siły nieprzyjacielskie okazały się zbyt wielkie, mogły uchodzić razem z partyą. Pomieszczono je więc w tylnych szeregach jazdy.

Lecz Anusi, mimo że szabelkę miała przy boku i kołpaczek rysi na głowie, dusza zaraz z początku uciekła na ramię. Ona, którą tak dobrze umiała sobie radzić w pokoju z oficerami, nie znalazła ani szczypty energii, gdy przyszło stanąć jej oko w oko synom Bellony w polu. Świst i stukanie kul przerażało ją, zamęt, bieganie ordynansów, huk muszkieterów i jęki rannych odejmowały jej przytomność, a zapach prochu przytłumiał oddech w piersiach. Uczyniło się jej mdło i słabo, twarz zbladła, jak chusta i poczęła wić się i piszczeć, jak dziecko, aż jeden z towarzyszów, młody pan Olesza z Kiemnar, musiał uchwycić ją w ramiona. Trzymał zaś mocno, mocniej aniżeli trzeba było i gotów był trzymać tak do końca świata.

Lecz żołnierze śmiać się naokoło poczęli.

— Rycerz w spódnicy! — ozwały się głosy. — A kury sadzić, a pierze drzeć!

Inni zaś wołali:

— Panie Olesza — przypadła ci tarcza do ramienia, ale cię przez nią tem łatwiej Kupido strzałą przeszyję!...

I dobry humor ogarnął żołnierzy.

Inni woleli wszelako patrzeć na Oleńkę, która zachowywała się całkiem inaczej. Z początku, gdy kilka kul przeleciało, opodal, przybladła i ona, nie mogąc się wstrzymać od uchylania głowy i za-

mykania oczu, lecz następnie krew rycerska grać w niej poczęła, więc spłonąwszy na twarzy, jak róża, podniosła głowę i patrzyła nieulękłym okiem przed siebie. Rozdęte jej nozdrza wciągały jakby z lubością zapach prochu. Że zaś dym czynił się wedle kołowrotu coraz większy i widok przysłaniał, więc odważna panna, widząc, że oficerowie wyjeżdżają naprzód, aby dokładniej przebieg bitwy śledzić, poruszyła się wraz z nimi, nie myśląc nawet o tem co czyni.

A w gęstwie jazdy podniósł się szmer pochwalny:

— O, to krew! to żona dla żołnierza, to słuszny wolentarzyk!

— Vivat Billewiczówna!

— Popiszmy się, mości panowie, bo przed takimi oczyma warto!

— I amazonki lepiej przeciw muszkietom nie stawały! — krzyknął któryś z młodych towarzyszów, zapominając w zapale, że amazonki żyły przed wynalezieniem prochu.

— Czasby już skończyć. Piechota grzecznie się sprawiła i hostes mocno nadwerężeni.

Rzeczywiście nieprzyjaciel nic mógł wskórać jazdą. Co chwila rozpuszczał konie, podpadał do kołowrotu, ale po salwie cofał się bezładnie. I jako fala, rozlawszy się po płaskim brzegu, zostawia po sobie muszle, kamyki, martwą rybę, tak po każdym ataku zostawało kilkanaście ciał końskich i ludzkich na drodze przed kołowrotem.

Wreszcie ataki ustały. Podjeżdżali tylko ochotnicy, paląc w stronę wsi z pistoletów i muszkietów dość gęsto, aby uwagę billewiczowskich zająć. Natomiast pan miecznik, wylazłszy po węgłach pod okap dworku, dojrzał ruch w tylnych szeregach nieprzyjacielskich ku polom i chróśniakom, ciągnącym się z lewej strony Wołmontowicz.

— Stąd będą tentowali! — zakrzyknął i natychmiast posłał część jazdy między chałupy, żeby z sadów dała nieprzyjacielowi odpór.

W pół godziny nowa bitwa, ale także na palną broń, zawiązała się z lewego skrzydła partyi.

Sady ogrodzone utrudniały jeszcze atak wręcz, ale utrudniały zarówno dla obu stron. Przytem nieprzyjaciel, rozrzuciwszy się na długiej linii, mniej był narażony na strzały.

Bitwa zwolna stawała się coraz zażartszą i coraz pracowitszą, nie przestano bowiem atakować i kołowrotu.

Miecznik począł się niepokoić.

Z prawej strony miał za sobą błonia wolne jeszcze, kończące się rzeczką niezbyt szeroką, lecz głęboką i bagnistą, przez którą przeprawa, zwłaszcza w pośpiechu, mogła być trudną. W jednem miejscu tylko była wydeptana droga do płaskiego brzegu, przez który przepędzano bydło do boru.

Pan Tomasz coraz częściej jakoś jął się oglądać w tamtą stronę.

Naraz, między przejrzystą, bo pozbawioną już liści wierzbinową gęstwą, ujrzał przy zorzy wieczornej połyskującą broń i czarniawą chmurę żołnierstwa.

— Babinicz nadchodzi! — pomyślał.

Lecz w tej chwili przypadł do niego pan Chrząstowski, który szwadronem jazdy dowodził.

— Od rzeki szwedzką piechotę widać! — krzyknął w przerażeniu.

— Zdrada jakowaś! — zawołał pan Tomasz. — Na rany Chrystusa skoczże waść ze swoim szwadronem na tę piechotę, inaczej w bok nam przyjdzie!

— Siła wielka! — odrzekł pan Chrząstowski.

— Wesprzyjcie ją choć na godzinę, my zaś będziem się w tył ku lasom salwować.

Pan Chrząstowski skoczył i wkrótce ruszył błoniem na czele dwustu ludzi, co widząc nieprzyjacielska piechota, poczęła się szybko formować w gąszczach na przyjęcie nieprzyjaciela, po chwili szwadron rozpuścił konie, a zaś zwierzbinowych krzów zagrzmiała muszkietowa palba.

Miecznik zwątpił już nietylko o zwycięstwie, ale nawet o ocaleniu własnej piechoty.

Mógł jeszcze wycofać się w tył z częścią jazdy, z pannami i szukać schronienia w lesie, lecz taki odwrót równał się wielkiej klęsce, bo prowadził za sobą wydanie pod miecz większej części partyi i resztek ludności laudańskiej, którą zgromadziła się w Wołmontowiczach dla widzenia Babinicza. Same Wołmontowicze zostałyby naturalnie w takim razie z ziemią zrównane.

Pozostawała jeszcze jedyna nadzieja, że pan Chrząstowski przełamie ową piechotę.

Tymczasem ściemniło się na niebie, ale w zaścianku blask czynił się coraz większy, bo zapaliły się wióry, drzazgi i heblowiny, leżą-

ce kupą przy pierwszym domu od kołowrotu. Od nich zajął się sam dom i krwawa łuna zaświeciła nad wioską.

Przy jej blasku ujrzał pan miecznik jazdę Chrząstowskiego wracającą w popłochu i nieładzie, za nią zaś piechota szwedzka wysypywała się z gąszczów, idąc pędem do ataku.

Wówczas zrozumiał, że trzeba cofać się jedyną wolną drogą.

Już więc dopadł do resztek jazdy, już machnął szablą i krzyknął. "W tył mości panowie! a w ordynku! w ordynku!" — gdy nagle i z tyłu ozwały się strzały, pomieszane z okrzykiem żołnierstwa.

Poznał tedy miecznik, że jest otoczony, że wpadł jakoby w pułapkę, z której niema wyjścia, ni ratunku.

Pozostawało mu tylko zginąć z chwałą, więc wyskoczył przed szereg jazdy i zawołał.

i — Padniemy jeden na drugim! Nie pożałujem krwi za wiarę ojczyznę!

Tymczasem ogień jego piechoty, broniącej kołowrotu i lewej strony zaścianka, zesłabł, a coraz potężniejszy krzyk nieprzyjaciela zwiastował jego blizki tryumf.

Lecz co znaczą te chrapliwe głosy krzywuł w szeregach sakowiczowskiej watahy i warczenie bębnów w szeregach szwedzkich?

Wrzaski słychać coraz przeraźliwsze, jakieś dziwne, zamieszane, jakby nie tryumf, ale przerażenie w nich brzmiało.

Ogień przy kołowrocie ustaje naraz, jakby koło nożem przeciął. Kupy jazdy sakowiczowskiej lecą na złamanie karku od lewej strony ku głównej drodze. Z prawej strony piechota staje i zamiast iść naprzód, poczyna się cofać ku zaroślom.

— Coto jest?... Na rany Chrystusa! Co to jest?! — krzyczy miecznik.

Wtem odpowiedź przychodzi ze strony owego borku, z którego wyszedł Sakowicz, a teraz sypią się z niego ludzie, konie, chorągwie, buńczuki, szable i idą — nie! raczej pędzą jak wicher, i nie jak wicher, ale jak trąba powietrzna. W krwawych blaskach pożaru widać ich jak na dłoni. Idą ich tysiące! Ziemia zdaje się uciekać z pod ich nóg, a ci lecą ławą zbitą, rzekłbyś: jakiś potwór wychylił się z dąbrowy i sadzi przez pola ku wiosce, by ją pochłonąć. Leci przed nimi gnane pędem powietrze, leci strach i zatracenie... Już, już są! już dopadają. Zwieją Sakowicza jak wicher! —

Boże! Boże wielki! — krzyczy jak w obłąkaniu miecznik — to nasi! to chyba Babinicz!

— Babinicz! — wrzeszczą za nim wszystkie gardziele.

— Babinicz! — rozlegają się przerażone głowy w sakowiczowskim oddziele.

I cała nieprzyjacielska wataha wykręca w prawo chcąc umykać ku swojej piechocie.

Płot łamie się z trzaskiem przeraźliwym pod parciem piersi końskich; pastewnik zapełnia się uciekającymi, lecz tamci już siedzą na ich karkach, tną, sieką, bodą, tną bez wytchnienia, tną bez miłosierdzia. Słychać krzyk, jęki, świst szabel. Jedni i drudzy wpadają na piechotę, przewracają ją, łamią, roznoszą. Rzekłbyś tysiące chłopów stanęło do młócki i cepami bije. Wreszcie cała masa zwala się ku rzece, ginie w zaroślach, przetacza się na drugi brzeg. Jeszcze ich widać, gonią ciągle i tną a tną! Oddalają się. Zabłyśli raz jeszcze szablami i znikli wreszcie w krzach, w przestrzeni, w ciemności.

Piechota miecznikowa poczęła ściągać się od kołowrotu i z domów, których już bronić nie potrzeba; jazda stoi czas jakiś w takiem zdumieniu, że milczenie głuche panuje w szeregach i dopiero gdy płonący dom zawala się z trzaskiem, głos jakiś odzywa się nagle.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! Burza to przeleciała!

— Noga żywa z tego pościgu nie wyjdzie! — dodaje drugi głos.

— Mości panowie! — woła nagle miecznik — a my nie skoczym na tych, którzy nam z tyłu zachodzili? W odwrocie oni teraz, ale ich dogonim!

— Bij! zabij! — odpowiadają chórem głosy.

I cała jazda zawróciwszy się, wypuszcza konie za ostatnim oddziałe, nieprzyjaciół. W Wołmontowiczach zostają tylko starcy, niewiasty, dzieci i "panienka" z towarzyszką.

Dom ugaszono w mgnieniu oka, poczem radość niepojęta pochwytuje wszystkie serca. Kobiety z płaczem i szlochaniem wznoszą ręce ku niebu i zwracając się ku stronie, w którą popędził Babinicz, wołają.

— Boże ci błogosław, wojenniku niezwyciężony! Zbawco, któryś nas, nasze dzieci i domy od zagłady ocalił!

Zgrzybiali Butrymowie powtarzają chórem.

— Boże ci błogosław! Boże cię prowadź! Bez ciebie byłoby już po Wołmontowiczach!

Ach! gdyby w tym tłumie wiedziano, że wieś od ognia i ludność od miecza ocaliła właśnie ta sama ręka, która przed dwoma laty do tej samej wioski wniosła ogień i miecz!...

Po ugaszeniu pożaru, kto żyw począł zbierać rannych, groźni zaś wyrostkowie, przebiegając z kłonicami pobojowisko, dobijali Szwedów i sakowiczowskich grasantów.

Oleńka wnet wzięła komendę nad opatrunkiem. Przytomna zawsze, pełna energii i siły, nie ustała w pracy póty, póki każdy ranny nie spoczął w chacie z przewiązanemi ranami.

Poczem cała ludność poszła za jej przykładem pod krzyż odmawiać litanię za poległych; przez całą noc nikt oka nie zmrużył w Wołmontowiczach, wszyscy czekali na powrót miecznika i Babinicza, krzątając się przytem, aby zwycięzcom należyte zgotować przyjęcie. Szły pod nóż hodowane w łasach woły i barany; ogniska huczały aż do rana.

Anusia jedna w niczem nie mogła brać udziału, bo najprzód odjął jej siły strach, a potem radość tak wielka, że do szału podobna. Oleńka musiała mieć i o niej staranie a ona śmiała się i płakała naprzemian to znów rzucała się w ramiona towarzyszce, powtarzając bez ładu i porządku.

— A co? kto nas ocalił i miecznika i partyę i całe Wołmontowicze? Przed kim Sakowicz uciekł? kto go pogrążył i Szwedów razem z nim?... Pan Babinicz! A co? Wiedziałam wiedziałam że przyjdzie. Ja to go sprowadziłam! Oleńko! ja szczęśliwa! Nie mówiłamże ci? Jego nikt nie zwycięży! Jemu pan Czarniecki nie dorówna... O Boże! Boże! Prawda że on tu wróci? Dziś jeszcze ?Bo żeby nie miał wrócić toby nie przychodził, prawda?... Słyszysz Oleńka jakieś konie rżą w oddali...

Ale w oddali nic nie rżało. Nad ranem dopiero rozległ się tętent-okrzyk, śpiewy i wrócił pan miecznik. Jazda na spienionych od pogoni koniach zapełniła cały zaścianek. Śpiewom krzykom i opowiadaniom nie było końca.

Miecznik umazany krwią, zdyszany ale radosny, opowiadał do wschodu słońca, jako zniósł oddział rajtaryi nieprzyjacielskiej, jako dwie mile na nich jechał i prawie do nogi wytępił.

On, również jak całe wojsko i wszyscy laudańscy, byli przekonani, że Babinicz wróci lada chwila.

Lecz przyszło południe, potem słońce odbyło drugą połowę drog i poczęło się zniżać, a Babinicz nie wraca.

Anusia atoli pod wieczór dostała wypieków na twarzy.

— Zaliby mu tylko o Szwedów, nie o mnie chodziło? — myślała sobie w duszy. — Przecie list odebrał, skoro tu przyszedł...

Biedna, nie wiedziała, że dusze Brauna i Jurka Billewicza były już dawno na tamtym świecie i że Babinicz żadnego listu nie odebrał.

Bo gdyby był odebrał, błyskawicą wróciłby do Wołmontowicz, tylko... nie dla ciebie, Anusiu!

Upłynął znowu dzień; miecznik nie tracił jeszcze nadziei nie ruszał się z zaścianka.

Anusia zacięła się w milczeniu.

— Spostponował mnie strasznie! Ale dobrze mi tak za moją płochość, za moje grzechy! — mówiła do siebie.

Na trzeci dzień pan Tomasz wysłał kilkunastu ludzi na zwiady.

Ci wrócili czwartego dnia z doniesieniem, że pan Babinicz wziął Poniewież, a ze Szwedów nikogo nie żywił. Poczem poszedł nie wiadomo dokąd, bo słuch o nim przepadł.

— Już go nie znajdziem, póki znowu nie wypłynie! — rzekł na to miecznik.

Anusia zmieniła się w pokrzywę; kto z młodszej szlachty i oficerów dotknął się jej, wnet się sparzył.

Piątego zasie dnia rzekła do Oleńki.

— Pan Wołodyjowski taki sam dobry żołnierz, ale mniejszy grubian.

— A może — odrzekła na to w zamyśleniu Oleńka, — może pan Babinicz wierności dla tamtej dochowuje, o której ci w drodze z Zamościa wspominał.

Na to Anusia.

— Dobrze! Wszystko mi jedno...

Ale nie powiedziała prawdy, bo jej wcale nie było wszystko iedno

## LXXI.

Sakowicz tak doszczętnie został zniesiony, iż zaledwie samopiąt zdołał się schronić do lasów w pobliżu Poniewieża. Następnie tułał się po nich w przebraniu chłopskiem przez całe miesiące, nie śmiejąc wychylić się na świat jasny.

Babinicz zaś zrzucił się na Poniewież,-piechotę szwedzką, tamże na załodze stojącą, wyciął i gonił za Hamiltonem, który nie mogąc ku Inflantom uchodzić z powodu znacznych sił polskich, zebranych w Szawlach i dalej pod Birżami, zawrócił w bok ku wschodowi, w nadziei, że do Wiłkomierza zdoła się przedrzeć. Zwątpił on już o ocaleniu swego regimentu, nie chciał tylko wpaść w ręce Babinicza, bo wieść głosiła powszechnie, że ów srogi wojownik, aby się kłopotem nie obarczać, jeńców do nogi każe wycinać.

Umykał więc nieszczęsny Anglik, jak jeleń ścigany przez stado wilków, a Babinicz gonił go tem zawzięciej; dlatego to Wołmontowicz nie wrócił i nawet nie pytał, jaką partyę udało mu się ocalić.

Już też pierwsze szrony poczęły rankami okrywać ziemię, więc ucieczka stawała się tem trudniejszą, bo ślady kopyt zostawały na gruncie leśnym. Paszy nie było w polach, konie cierpiały głód srogi.

Rajtarowie nie śmieli zatrzymywać się na dłużej po wsiach, z obawy, że uparty nieprzyjaciel może ich lada chwila doścignąć.

Wkońcu nędza ich przeszła wszelką granicę; żywili się tylko liśćmi, korą i własnemi końmi, które upadały ze znużenia.

Po tygodniu sami poczęli prosić swego pułkownika, by odwrócił się czołem ku Babiniczowi i dał mu pole, bo wolą zginąć od miecza, niż od głodowej śmierci.

Hamilton usłuchał i stanął do bitwy w Androniszkach. Siły szwedzkie o tyle były mniejsze, że Anglik nie mógł mógł nawet i marzyć o zwycięstwie, zwłaszcza nad takim przeciwnikiem. Ale i sam był już umęczon bardzo i chciał zginąć.

Jednakże bitwa, poczęta w Androniszkach, skończyła się w pobliżu Troupiów, pod któremi ostatni Szwedzi polegli.

Hamilton zginął bohaterską śmiercią, broniąc się pod krzyżem przydrożnym przeciw kilkunastu ordyńcom, którzy początkowo chcieli go brać żywcem, ale rozjątrzeni uporem, roznieśli wreszcie na szablach

Lecz i babiniczowe chorągwie były tak pomęczone, że nie miały sił ni chęci iść nawet do poblizkich Troupiów, jeno jak gdzie która w czasie bitwy stała, tam zaraz poczęła się roztasowywać na nocleg, rozpalając ognie wśród trupów nieprzyjacielskich.

Po zasiłku zasnęli wszyscy kamiennym snem.

Sami zaś Tatarzy odłożyli do jutra obszukiwanie trupów.

Kmicic, któremu głównie o konie chodziło, nie sprzeciwiał się temu wypoczynkowi.

Nazajutrz jednak wstał dość rano, aby straty własne po zażartej potyczce obliczyć i łup sprawiedliwie rozdzielić. Zaraz po posiłku stanął na wzniesieniu pod tym samym krzyżem, pod którym zginął Hamilton, a starszyzna polska i tatarska podchodziła ku niemu z kolei mając zakarbowany na laskach ubytek ludzi i czyniła relacye. On słuchał, jako gospodarz wiejski słucha latem włodaczy i radował się w sercu żniwem obfitem.

Wtem zbliżył się ku niemu Akbah-Ułan, podobniejszy do straszydła, niż do człowieka, bo mu w wołmontowickiej bitwie nos rozbito głównią od szabli, skłonił się, podał Kmicicowi zakrwawione papiery i rzekł:

— Effendi, pisma jakoweś znaleziono przy wodzu szwedzkim, które wedle rozkazu oddaję.

Rzeczywiście Kmicic raz na zawsze wydał rozkazy, aby wszystkie papiery, znalezione przy trupach, odnoszono mu zaraz po bitwie, częstokroć bowiem mógł wymiarkować z nich zamiary nieprzyjaciół i stosownie postąpić.

Lecz w tej chwili nie było mu tak pilno, więc kiwnąwszy głową Akbahowi, schował papiery w zanadrze. Akbaha zaś odesłał do czambułu, poleciwszy mu, ażeby zaraz ruszał do Troupiów, w których na dłuższy odpoczynek pozostać mieli.

Przeciągały tedy chorągwie przed nim jedna po drugiej. W przodku szedł czambulik, który obecnie niespełna pięćset głów tylko liczył; reszta wykruszyła się w ciągłych bitwach, ale każdy Tatar tyle miał zaszytych w kulbace, tołubie i czapce szwedzkich riksdalerów, pruskich talarów i dukatów, że go można było brać na wagę srebra. Był to przytem lud wcale do zwykłych czambułowych Tatarów niepodobny, bo co było słabsze, to z trudów zmarniało, zostały tylko chłopcy na schwał, pleczyste, żelaznej wytrzymałości i jadowite na kształt szerszeni. Ciągła praktyka tak ich wyćwiczyła, że w ręcznem spotkaniu mogliby dotrzy-

mać nawet polskiej komputowej jeździe, na rajtarów zaś lub dragonów pruskich, o ile liczba była równą, chodzili jak wilcy na owce. W bitwie bronili szczególnie ze straszną zajadłością ciał swych towarzyszów, aby się potem skarbami ich podzielić.

Teraz przechodzili przed panem Kmicicem z wielką fantazyą, brząkając w litaury, świszcząc na końskich piszczelach i potrząsając buńczukiem, a szli tak sfornie, że i regularny żołnierz nie szedłby lepiej. Za nimi ciągnęła dragonia, przez pana Andrzeja z mozołem wielkim z ochotników wszelkiego rodzaju utworzona zbrojna w rapiery i muszkiety. Dowodził nią dawny wachmistrz Soroka, teraz do godności oficerskiej, a nawet kapitańskiej podniesion. Pułk ów, przybrany jednostajnie w mundury zdobyczne, zdarte z dragonów pruskich, składał się przeważnie z ludzi nizkiego stanu, ale właśnie pan Kmicic lubił ten rodzaj ludzi, bo słuchał ślepo i wszelkie trudy bez szemrania znosił.

W dwóch następnie idących chorągwiach wolentarskich służyła sama szlachta, mniejsza i większa. Były to duchy burzliwe i niespokojne, które pod innym wodzem zmieniłyby się w kupę drapieżników, ale w tych żelaznych rękach stały się podobne do regularnych chorągwi i same rade zwały sie "petyhorskiemi." Ci mniej na ogień od dragonów wytrzymali, byli za to w pierwszej furyi strasznicjsi, biegłością zaś w ręcznem spotkaniu przewyższali całe wojsko, bo każdy sztukę fechtów posiadał.

Za nimi nakoniec przeciągnęło około tysiąca świeżych wolentaryuszów, ludu dobrego, ale nad którym siła trzeba było jeszcze pracować, by się stali do sprawnego wojska podobni.

Każda z tych chorągwi przechodząc koło figury, podnosiła okrzyk salutując przytem pana Andrzeja szablami. On zaś radował się coraz więcej. Siła to przecie znaczna i nie licha! Wiele już z nią dokazał, wiele krwi nieprzyjacielskiej wytoczył, a Bóg wie, czego jeszcze dokonać potrafi.

Dawne jego winy wielkie, ale i świeże zasługi niemałe. Oto powstał z upadku, z grzechu i poszedł pokutować nie w kruchcie, ale w polu, nie w popiele ale we krwi. Bronił Najświętszej Panny, ojczyzny, króla i teraz czuje, że mu na duszy lżej, weselej. Ba! nawet dumą wzbiera serce junackie, bo nie każdy takby sobie dał rady, jak on!

Tyle przecie jest szlachty ognistej, tylu kawalerów w tej Rzeczypospolitej, a czemuto żaden na czele takiej potęgi nie stoi,

ani nawet Wołodyjowski, ani Skrzetuski? Kto przytem Częstochowę osłaniał, króla w wąwozach bronił? Kto Bogusława usiekł! Kto pierwszy wniósł miecz i ogień do Prus elektorskich?! A owo i teraz na Żmudzi prawie już niemasz nieprzyjaciół.

Tu pan Andrzej uczuł to, co czuje sokół, gdy rozciągnąwszy skrzydła wzbija się wyżej i wyżej! Przeciągające chorągwie witały go gromkim okrzykiem, a on głowę podniósł i pytał sam siebie. "Dokąd też dolecę?" I twarz mu spłonęła, bo w tej chwili wydało mu się, że hetmana w sobie nosi. Lecz ta buława, jeżeli go dojdzie, to dojdzie z pola, z ran, z zasługi, z chwały. Nie zamigoce mu już nią przed oczyma żaden zdrajca, jak w swoim czasie migotał Radziwiłł, jeno wdzięczna ojczyzny włoży mu ją w dłoń z woli królewskiej. A jemu nie troskać się o to, kiedy to przyjdzie, jeno bić i bić, bić jutro, jak pobił wczoraj!

Tu rozbujała wyobraźnia kawalerska powróciła do rzeczywistości. Dokąd ma ruszyć z Troupiów, w jakiem nowem miejscu o Szwedów zahaczyć?

Wtem przypomniały mu się listy, oddane przez Akbah-Ułana, a znalezione przy trupie Hamiltona; sięgnął więc ręką w zanadrze, wydobył, spojrzał i zaraz zdumienie odbiło się na jego twarzy.

Na liście bowiem stał wyraźnie napis, niewieścią skreślony ręką.

"Do jmp. Babinicza, pułkownika wojsk tatarskich i wolentarskich."

— Do mnie?... — rzekł pan Andrzej.

Pieczęć była złamaną, więc prędko otworzył list, uderzył wierzchem dłoni po papierze i począł czytać.

Ale jeszcze nie skończył, gdy mu ręce zadrgały, zmienił się na twarzy i zakrzyknął.

— Pochwalone imię Pańskie! Boże miłosierny! oto i nagroda dochodzi mnie z rąk Twoich!

Tu chwycił podnóże krzyża w obie ręce i płową czupryną począł bić w cokół. Inaczej dziękować Bogu w tej chwili nie umiał, na więcej słów modlitwy się nie zdobył, bo radość objęła go do wichru podobna i aż hen, pod niego uniosła.

Oto list był od Anusi Borzobohatej. Szwedzi znaleźli go przy Jurku Billewiczu, a teraz przez drugiego trupa doszedł rąk Kmicicowych. W głowie pana Andrzeja tysiączne myśli przelatywały z szybkością strzał tatarskich.

Więc Oleńka była nie w puszczy, ale w partyi billewiczowskiej? I on właśnie ocalił ją, a z nią razem te Wołmontowicze, które niegdyś za kompanionów z dymem puścił! Widocznie ręka boska kierowała jego krokami tak, aby za jednym zamachem wynagrodził za wszystkie krzywdy i Oleńce i Laudzie. Oto zmazane jego winy. Możeli ona teraz mu nie przebaczyć, albo ta szara brać laudańska? Mogąli go nie błogosławić? I co powie umiłowana dziewczyna, która go za zdrajcę uważa, gdy się dowie, że ów Babinicz, który Radziwiłła obalił, który po pas nurzał się we krwi niemieckiej i szwedzkiej, który na Żmudzi nieprzyjaciela wygniótł, wyniszczył, do Prus i Inflant przepędził ,to on, to Kmicic, ale już nie zabijaka, nie banita, nie zdrajca, jeno obrońca wiary, króla, ojczyzny!

A przecie zaraz po przestąpieniu granicy żmudzkiej byłby pan Andrzej na cztery strony świata rozgłosił, kim jest ów przesławny Babinicz i jeśli tego nie uczynił, to jeno dlatego, że się obawiał, iż na sam dźwięk prawdziwego jeno nazwiska wszyscy się od niego odwrócą, wszyscy go będą podejrzywać, odmówią pomocy i ufności. Dopieroż ledwie dwa lata upłynęły, jak obłąkany przez Radziwiłła wycinał te chorągwie, które razem z Radziwiłłem przeciw królowi i ojczyźnie powstać nie chciały. Przed dwoma ledwie laty był prawą ręką wielkiego zdrajcy!

Lecz teraz zmieniło się wszystko! Teraz, po tylu zwycięstwach: w takiej chwale, ma prawo przyjść do dziewczyny i powiedzieć jej, "Jam Kmicic, ale twój zbawca!" Ma prawo krzyknąć całej Żmudzi, "Jam Kmicic, ale twój zbawca!"

A zatem Wołmontowicze przecie niedaleko! Tydzień ścigał Babinicz Hamiltona, lecz Kmicic prędzej niż w tydzień będzie u nóg Oleńki.

Tu powstał pan Andrzej, blady ze wzruszenia, z płonącemi oczyma, z promienną twarzą i krzyknął na pachołka.

— Konia mi prędzej! żywo! żywo!

Pacholik podprowadził karego dzianeta i sam zeskoczył strzemię podawać, lecz stanąwszy na ziemi, rzekł.

— Wasza miłość! obcy ludzie jacyś ku nam od Troupiów z panem Soroką jadą i suną kłusem.

— Mniejsza z nimi! — odrzekł pan Andrzej.

Tymczasem obaj jeźdźcy zbliżyli się na kilkanaście kroków, następnie jeden z nich w towarzystwie Soroki wysunął się wskok na-

przód, przybiegł i uchyliwszy rysiego kołpaka, odkrył rudą jak ogień czuprynę.

— Widzę, że przed panem Babiniczem stoję! — rzekł. — Rad jestem, żem waści odszukał.

— Z kim mam honor? — rzekł niecierpliwie pan Kmicic.

— Jestem Wierszułł, niegdyś rotmistrz tatarskiej chorągwi Księcia Jaremy Wiśniowieckiego, przybywam w rodzinne strony by tu na nową wojnę zaciągi czynić, a oprócz tego przywiozłem list dla waszmości od pana hetmana wielkiego Sapiehy.

— Na nową wojnę? — spytał Kmicic, marszcząc brwi. — Co waść prawisz?

— Ten list lepiej odemnie waćpana objaśni — rzekł Wierszułł, podając pismo hetmańskie.

Kmicic rozerwał gorączkowo pieczęć. List Sapiehy brzmiał jak następuje.

"Mnie wielce uprzejmy panie Babinicz! Nowy potop na ojczyznę! Liga Szweda z Rakoczym stanęła i podział Rzeczypospolitej ułożony. Ośmdziesiąt tysięcy Węgrzynów, Siedmiogrodzian, Wołoszy i Kozaków przekroczy lada godzina południową granicę. A gdy w takiej ostatniej toni trzeba nam wszystkie siły wytężyć, aby choć imię sławne po naszym narodzie na przyszłe wieki zostało, posyłam wmości ten ordynans, wedle którego masz wmość, nie tracąc chwili czasu, wprost na południe konie obrócić i wielkiemi drogami ku nam dążyć. Zastaniesz nas w Brześciu, skąd, nie mieszkając, dalej cię wyślem. Tymczasem periculum in mora. Książę Bogusław deliberował się z niewoli, ale pan Gosiewski ma mieć na Prusy i Żmudź oko. Raz jeszcze zalecając wmości pośpiech, dufam, że miłość do ginącej ojczyzny najlepszą ci będzie ostrogą."

Kmicic, skończywszy czytać, wypuścił list na ziemię i począł przeciągać rękoma po zwilgotniałej twarzy, nakoniec spojrzał błędnie na Wierszułła i spytał cichym, zduszonym głosem.

— Dlaczegóż pan Gosiewski ma na Żmudzi zostawać, a ja ruszać na południe?

Wierszułł wzruszył ramionami.

— Spytaj się waszmość pana hetmana w Brześciu o racye! Ja ci nic nie powiem.

Nagle straszny gniew schwycił pana Andrzeja za gardło, oczy

mu zabłysły, twarz zsiniała i krzyknął przeraźliwym głosem.

— A ja stąd nie pójdę! Rozumiesz waść!

— Tak? — odrzekł Wierszułł. — Moja rzecz była ordynans oddać, a reszta waści sprawa! Czołem, czołem! Chciałem się na parę godzin do kompanii zaprosić, ale po tem, com usłyszał, wolę poszukać innej.

To rzekłszy, odwrócił konia i odjechał.

Pan Andrzej siadł znów pod figurą i począł bezmyślnie rozglądać się po niebie, jakby pogodę chciał wymiarkować. Pacholik usunął się z końmi opodal i cisza uczyniła się naokół.

Ranek był pogodny, blady, pół jesienny i pół już zimowy. Wiatr nie wiał, ale z brzóz, rosnących pod męką Pańską, spływały bez szelestu resztki pożółkłych i skręconych od chłodu liści. Nieprzeliczone stada wron i kawek leciały nad lasami, niektóre zapadały z wielkiem krakaniem tuż obok figury, na polu bowiem i na drodze leżało jeszcze pełno niepogrzebanych trupów szwedzkich. Pan Andrzej patrzył na owo czarne ptastwo, mrugając oczyma, rzekłbyś: chce je przeliczyć. Potem przymknął powieki i długo siedział bez ruchu. Nakoniec wzdrygnął się, zmarszczył brwi, przytomność wróciła mu na twarz i tak począł do się mówić.

— Nie może inaczej być! Pójdę za dwa tygodnie, ale nie teraz. Niech się dzieje, co chce. Nie jam Rakoczego sprowadził. Nie mogę! Co nadto, to nadto!..Małom się natłukł, nakołatał, nocy bezsennych na kulbace spędził, krwi swojej i cudzej narozlewał? Takaż za to nagroda?... Żebym to choć tamtego listu nie odebrał, poszedłbym; ale oba przyszły w jednej godzinie, jakoby na większy ból, na większy żal dla mnie... Niechże świat się zapada, nie pójdę! Nie zginie przez dwa tygodnie ojczyzna, a zresztą widocznie gniew Boży jest nad nią i nie w mocy ludzkiej to wskórać. Boże, Boże! Hiperboreje, Szwedzi, Prusacy, Węgrzyni, Siedmiogrodzianie, Wołosza, Kozacy, wszystko naraz! Kto się temu oprze? O! Panie! co ci zawiniła ta nieszczęsna ojczyzna, ten król pobożny, żeś odwrócił od nich oblicze i ni miłosierdzia, ni ratunku nie dajesz i plagi coraz nowe zsyłasz? Małoż jeszcze krwi, mało łez? Toż tu ludzie już się weselić zapomnieli, toć tu wichry nie wieją, jeno jęczą... Toć tu dżdże nie padają, jeno płaczą, a Ty smagasz i smagasz! Miłosierdzia, Panie! ratunku, Ojcze!.. Grzeszyliśmy.. ale przecie już przyszła poprawa!... Oto odstąpiliśmy naszych fortun, siedliśmy na koń i bijem a bijem! Poniechaliśmy swawoli, zrzekliśmy się

prywaty... Więc czemu nie odpuścisz? Czemu nie pocieszysz?

Tu nagle sumienie porwało go za włosy i zatrzęsło nim, aż krzyknął, bo zarazem zdało mu się, że słyszy jakiś głos niezmierny, a całego sklepienia niebios płynący, który mówi.

— Zaniechaliście prywat? A tyż, nieszczęśniku, co w tej chwili czynisz? Zasługi swoje podnosisz, a gdy przyszła pierwsza chwila próby, jako rozhukany koń, dęba stajesz i krzyczysz. Nie pójdę! Gi nie matka, nowe miecze pierś jej przeszywają, a ty się od nie odwracasz, nie chcesz jej wesprzeć ramieniem, za własnem szczęściem gonisz i krzyczysz. Nie pójdę! Ona ręce krwawe wyciąga, już już pada, już mdleje, już kona i ostatnim głosem woła. "Dzieci! ratujcie!" A ty jej odpowiadasz. Nie pójdę! Biada wam! biada takiemu narodowi, biada tej Rzeczypospolitej!

Tu panu Kmicicowi strach poniósł włosy na głowie i całe jego ciało dygotać poczęło, jakby je paroksyzm febry chwycił... I naraz rymnął twarzą do ziemi i nie wołać, ale krzyczeć jął w przerażeniu.

— Jezu nie karz! Jezu zmiłuj się! Bądź wola Twoja! Już pójdę, pójdę!

Potem czas jakiś leżał w milczeniu i szlochał, a gdy podniósł się wreszcie, twarz miał rezygnacyi pełną i spokojniejszą i tak dalej się modlił.

— Ty się, Panie, nie dziwuj, że mi żal, bom był w wilię szczęśliwości mojej. Ale niech już tak będzie, jak Ty rozporządzisz! Teraz już rozumiem, żeś mnie chciał doświadczyć i dlategoś mnie jakoby na rozstajnych drogach postawił. Bądź jeszcze raz wola Twoja. Ani się obejrzę za siebie! Tobie, Panie, ofiaruję, ten mój żal okrutny, te moje tęskności, to moje ciężki zmartwienie. Niech że mi wszystko będzie policzone, za to, żem księcia Bogusława oszczędził, nad czem płakała ojczyzna. Widzisz teraz, Panie, że to była ostatnia moja prywata... Już więcej nie będę, Ojcze miłościwy! Ano jeszcze tę ziemię kochaną ucałuję, ano jeszcze nóżki Twoje krwawe ścisnę... i idę, Chryste! idę!...

I poszedł.

A w rejestrze niebieskim, w którym zapisują złe i dobre uczynki ludzkie, przemazano mu w tej chwili wszystkie winy, bo to był człowiek zupełnie poprawiony.

## LXXII.

Żadna księga nie wypisała, ile jeszcze bitw stoczyły wojska, szlachta i lud Rzeczypospolitej z nieprzyjaciółmi. Walczono po lasach, polach, po wsiach, miasteczkach i miastach; walczono w Prusach królewskich i książęcych, na Mazowszu, w Wielkopolsce, w Małopolsce, na Rusi, na Litwie i Żmudzi; walczono bez wytchnienia we dnie i w nocy.

Każda grudka ziemi nasyciła się krwią. Nazwiska rycerzy, prześwietne czyny, wielkie poświęcenia zginęły w pamięci, bo nie zapisał ich kronikarz i nie wyśpiewała lutnia. Ale pod potęgą tych usiłowań ugięła się wreszcie moc nieprzyjacielska.

I jako gdy wspaniały lew, który przed chwilą przeszyty pociskami, leżał jak martwy, podniesie się nagle, a wstrząsnąwszy królewską grzywą ryknie potężnie, wnet myśliwców przejmuje strach blady i nogi ich zwracają się ku ucieczce, tak owa Rzeczpospolita powstała coraz groźniejsza, jowiszowego gniewu pełna, światu całemu stawić czoło gotowa; w kości zaś napastników zstąpiła niemoc i strach. Nie o zdobyczy już myśleli, ale o tem jeno, by z lwiej paszczęki głowy całe do domowych pieleszy unieść.

Nie pomogły nowe ligi, nowe zastępy Węgrów, Siedmiogrodzian, Kozaków i Wołoszy. Przeszła wprawdzie jeszcze raz burza między Krakowem, Warszawą i Brześciem, lecz się o piersi polskie rozbiła i wkrótce marnym rozwiała się tumanem.

Król szwedzki, pierwszy zwątpiwszy o sprawie, na duńską wojnę odjechał; zdradziecki elektor, korny przed silnym, zuchwały przed słabszym, czołem do nóg Rzeczypospolitej uderzył i Szwedów bić począł; zbójeckie zastępy "rzeźników" Rakoczego zmykały co sił ku swym siedmiogrodzkim komyszom, które pan Lubomirski ogniem i mieczem spustoszył.

Lecz łatwiej im było wtargnąć w granice Rzeczypospolitej, niż wyjść z nich bez kary. Więc gdy dopadnięto ich u przeprawy, grafowie siedmiogrodzcy, klęcząc przed panem Potockim, Lubomirskim i Czarnieckim, w prochu żebrali o litość.

— Oddamy broń, oddamy miliony! — wołali — jeno pozwólcie nam odejść!

I przyjąwszy okup, hetmani zlitowali się nad tem wojskiem

nędzników; lecz orda rozniosła ich na kopytach końskich u samych już progów domowych.

Spokój począł zwolna wracać na polskie równiny. Król jeszcze pruskie fortece odbierał, pan Czarniecki miał do Danii zanieść miecz polski, bo Rzeczpospolita nie chciała już porzestać na samem wypędzeniu nieprzyjaciół.

Odbudowały się ze zgliszczów wsie i miasta; ludność wracała z lasów, pługi pojawiły się na roli.

Jesienią 1657 roku, zaraz po wojnie węgierskiej, cicho już było w większej części ziem i powiatów, cicho zwłaszcza na Żmudzi.

Ci z laudańskich, którzy swego czasu poszli z panem Wołodyjowskim, byli gdzieś hen! w polu, ale już oczekiwano ich powrotu.

Tymczasem w Mozorach, Wołmontowiczach, Drożejkianach, Morgach, Goszczunach i Pacunelach niewiasty, podloty obu płci i starcy orali, siali oziminy, odbudowywali wspólnemi siłami chaty w tych "okolicach," przez które pożar przeszedł, aby wojownicy po powrocie znaleźli przynajmniej dach nad głową i głodem nie potrzebowali przymierać.

Oleńka siedziała od niejakiego czasu w Wodoktach z Anusią Borzobohatą i miecznikiem. Pan Tomasz do swoich Billewicz się nie spieszył, raz dlatego, że były spalone, a powtóre, że mu milej było przy dziewczynach, niż samemu. Tymczasem przy pomocy Oleńki zagospodarowywał Wodokty.

Panna zaś chciała jak najlepiej zagospodarować Wodokty, te bowiem miały wraz z Mitrunami stanowić jej wiano klasztorne, inaczej mówiąc przejść na własność zakonu Benedyktynek, u których w sam dzień przyszłego Nowego Roku zamierzała biedna Oleńka rozpocząć nowicyat.

Rozważywszy bowiem wszystko, co ją spotkało i owe losy odmiany i zawody i boleści, przyszła do przekonania, że taka a nie inna musi być wola Boża. Zdawało się jej, że jakaś ręka wszechmocna popycha ją do celi, że jakiś głos mówi jej.

— Tam ono najlepsze uspokojenie i koniec wszystkich trosk światowych!

Więc postanowiła pójść za tym głosem; czując jednak w głębi sumienia, że jeszcze jej dusza nie zdołała oderwać się zupełnie od ziemi, pragnęła pierwej przygotować ją gorącą pobożnością, dobremi uczynkami i pracą. Często też w tych usiłowaniach przeszkadzały jej echa ze świata.

Oto naprzykład, poczęli ludzie przebąkiwać, że ów przesławny Babinicz był to Kmicic. Jedni zaprzeczali gorąco, drudzy powtarzali wieść uporczywie.

Oleńka nie uwierzyła. Nadto przytomne były w jej pamięci wszystkie uczynki Kmicica i jego u Radziwiłłów służby, aby chociaż na chwilę przypuszczać mogła, że on jest pogromcą Bogusława i tak wiernym sługą królewskim, tak gorącym patryotą. Jednak jej spokój został zmącony, a żal i ból podnosiły się nanowo w jej piersi.

Można było temu zaradzić przyśpieszonem wejściem do klasztoru, lecz klasztory były rozproszone; mniszki, które nie zginęły od żołdackiej swawoli w czasie wojny, poczynały dopiero się zbierać.

Nędza też panowała w kraju powszechna i kto się chciał w mury konwentów chronić, musiał nietylko z własnym chlebem przychodzić , ale i cały konwent nim żywić.

Oleńka chciała przyjść właśnie z chlebem do klasztoru, zostać nietylko siostrzyczką, ale i karmicielką mniszek.

Miecznik, wiedząc, że na chwałę Bożą ma iść jego praca, pracował gorliwie. Objeżdżali więc razem pola i folwarki, pilnując prac jesiennych, które z przyszłą wiosną miały plon przynieść. Czasem towarzyszyła im Anusia Borzobohata, która, nie mogąc przenieść afrontu, jaki jej Babinicz uczynił, groziła, że także do klasztoru wstąpi i czeka tylko, aby pan Wołodyjowski odprowadził laudańskich, bo się chce z dawnym przyjacielem pożegnać. Częściej jednak miecznik z samą tylko Oleńką puszczał się na objazdy, bo Anusię nudziło gospodarstwo.

Pewnego razu wyjechali oboje na podjezdkach do Mitrunów, w których odbudowywano pogorzałe czasu wojny stodoły i obory.

Po drodze mieli wstąpić do kościoła, bo to była właśnie rocznica wołmontowickiej bitwy, w której z ostatniej toni zostali przez Babinicza uratowani. Cały dzień zeszedł im na rozlicznych zajęciach, tak, że dopiero pod wieczór mogli wyruszyć z Mitrunów.

W tamtą stronę jechali drogą kościelną, ale wracać wypadało im koniecznie na Lubicz i Wołmontowicze. Panna ledwie ujrzała pierwsze dymy lubickie, zaraz odwróciwszy oczy, poczęła szybko odmawiać pacierze, aby bolesne myśli odegnać, miecznik zaś jechał w milczeniu i tylko rozglądał się dokoła.

Wreszcie, gdy już minęli kołowrót, rzekł:

— Senatorska to gleba! Lubicz za dwoje Mitrunów stanie.

Oleńka dalej odmawiała pacierze.

Lecz w mieczniku przebudził się widocznie dawny zawołany gospodarz, a może i szlachcic do pieniactwa potrosze skłonny, bo po chwili rzekł znowu, jakby sam do siebie:

— A przecie po prawdzie to nasze... Stara billewiczowska substancya, nasz pot, nasz trud. Tamten nieszczęśnik musiał dawno zginąć, skoro się nie zgłosił, a choćby się i zgłosił, prawo za nami!

Tu zwrócił się do Oleńki:

— Co myślisz, proszę?

Na to panna:

— Przeklęte to miejsce. Niech się z niem co chce dzieje.

— Ale, bo widzisz, prawo za nami. Miejsce przeklęte było w złych rękach, a stanie się błogosławione w dobrych. Prawo za nami.

— Nigdy! nie chcę o niczem wiedzieć. Dziaduś bez restrykcyi zapisał, niechże jego krewni biorą.

To rzekłszy, popędziła podjezdka; miecznik dał także swojemu ostrogi i zwolnili dopiero w czystem polu. Tymczasem zapadła noc, ale widno było zupełnie, bo ogromny czerwony miesiąc wynurzył się za wołmontowickiego lasu i rozświecił całą okolicę złotym blaskiem.

— A no! dał Bóg piękną noc — ozwał się miecznik, patrząc w blizkość księżyca.

— Jakto się Wołmontowicze świecą zdaleka! — rzekła Oleńka.

— Bo drzewo jeszcze na domach nie zczerniało.

Dalszą rozmowę przerwało im skrzypienie wozu, którego zrazu dojrzeć nie mogli, bo droga w tem miejscu szła falisto, wkrótce jednak ujrzeli parę koni, za nią następną parę przy dyszlu, a w końcu drabiniasty półtorak, otoczony przez kilku jeźdźców.

— Co to za ludzie mogą być — rzekł miecznik.

Tamci przez ten czas zbliżali się coraz więcej, nakoniec przyjechali tuż.

— Stój! — zawołał miecznik. — A kogoto tam wieziecie?

Jeden z jeźdźców zwrócił się ku nim:

— Pana Kmicica wieziem, który pod Magierowem od Węgrzynów postrzelon.

— Słowo stało się ciałem! — zakrzyknął miecznik.

Oleńce świat cały zakręcił się nagle w oczach; serce w niej za-

marło, piersiom zabrakło oddechu. Głosy jakieś wołały jej w duszy. "Jezusie, Maryo! To on!" Poczem całkiem opuściła ją świadomość, gdzie jest, co się z nią dzieje.

Ale nie spadła z konia na ziemię, bo ręką chwyciła konwulsyjnie za drabinę wozu. I z chwilą, gdy przyszła do przytomności, oczy jej padły na nieruchomy kształt ludzki, leżący na wozie. Tak, to był on, pan Andrzej Kmicic, chorąży orszański. I leżał na wznak na wozie; głowę miał obwiniętą w chusty, ale przy czerwonym blasku miesiąca widać było doskonale jego twarz białą i spokojną, jakby z marmuru wykutą lub zlodowaciałą pod tchnieniem śmierci. Oczy miał głęboko zapadłe i zamknięte, życie nie zdradzało się w nim najmniejszym ruchem.

— Z Bogiem!... — rzekł, zdejmując czapkę, pan miecznik.

— Stój! — zawołała Oleńka.

I poczęła pytać cichym, ale prędkim, jakoby gorączkowym głosem.

— Żyw jeszcze, czy zmarły?

— Żyw, ale śmierć nad nim.

Tu miecznik, spojrzawszy na twarz Kmicica, ozwał się znowu.

— Nie dowieziecie go do Lubicza.

— Kazał się koniecznie tam wieść, bo tam chce umrzeć.

— Z Bogiem! Śpieszcie się.

— Czołem bijemy!

I wóz ruszył dalej, a Oleńka z miecznikiem skoczyli co tchu w koniach w przeciwną stronę. Przelecieli przez Wołomontowicze, jak dwa widziadła nocne i dopadli do Wodoktów, nie mówiąc do siebie ni słowa przez drogę; dopiero zsiadając z konia, Oleńka zwróciła się do stryja.

— Księdza mu trzeba posłać! — rzekła zdyszanym głosem — niech w tej chwili ktoś do Upity rusza!

Miecznik zajął się żywo spełnieniem polecenia, i ona zaś wpadła do swojej izby i rzuciła się na kolana przed obrazem Najświętszej Panny.

W parę godzin potem, późną już nocą, dzwonek ozwał się przed bramą Wodoktów. To ksiądz przejeżdżał z Panem Jezusem do Lubicza.

Panna Aleksandra klęczała ciągle. Usta jej powtarzały litanię, którą się przy konających odmawia. A gdy ją odmówiła, po trzykroć poczęła bić głową o podłogę i powtarzać ustawicznie.

— Panie! policz mu, że z ręki nieprzyjaciół ginie!... Odpuść mu! zmiluj się nad nim!...

Na tem zeszła jej cała noc. Ksiądz bawił w Lubiczu aż do rana, a wracając sam wstąpił do Wodoktów. Ona wybiegła na jego spotkanie.

— Czy już?... — spytała.

I nie mogła mówić więcej, bo jej oddechu zbrakło.

— Żyw jeszcze — odrzekł ksiądz.

Przez następnych dni kilkanaście codzień posłańcy latali z Wodotków do Lubicza i każdy wracał z odpowiedzią, że pan chorąży "żyw jeszcze," nakoniec jeden przywiózł wiadomość, którą od cyrulika, sprowadzonego z Kiejdan usłyszał, że nietylko żyw, ale i zdrowy będzie, bo postrzały goją się szczęśliwie i siły rycerzowi wracają.

Panna Aleksandra posłała hojne ofiary na mszę dziękczynną do Upity, ale od owego dnia przestali chodzić posłańcy, i dziwna rzecz! w sercu dziewczyny, razem z uspokojeniem, począł się budzić dawny żal do pana Andrzeja. Winy jego przychodziły jej znowu co chwila do myśli, tak ciężkie, że nie do odpuszczenia. Śmierć jedynie mogła je pokryć niepamięcią... Gdy wracał do zdrowia, ciążyły znów nad nim... A jednak wszystko, co było można przytoczyć na jego obronę, powtarzała sobie codzień biedna Oleńka.

Tyle się zaś nagryzała przez te dni, tyle jednak rozterki było w jej duszy, aże aż na zdrowiu poczęła szwankować.

Zaniepokoiło to wielce Tomasza, więc pewnego wieczora, gdy zostali sami, spytał ją.

— Oleńka powiedzno mi szczerze, co ty myślisz o chorążym orszańskim?

— Bogu wiadomo, że nie chcę o nim myśleć! — odrzekła.

— Bo to widzisz... pochudłaś... Hm!... Być może, że ty jeszcze... Jać nie nalegam na nic, jeno radbym wiedzieć, co się tam w tobie dzieje... Zali nie mniemasz, że wola nieboszczyka dziada twego powinna się spełnić

— Nigdy! — odrzekła Oleńka. —Dziaduś zostawił mi też furtę otwartą... a ja do niej na Nowy Rok zapukam. W tem spełni się jego wola.

— Nie wierzyłem i ja temu zgoła — odparł miecznik, — co

tu niektórzy przebąkiwali, że Babinicz a Kmicic to jedno,a przecie pod Magierowem przy ojczyźnie, a przeciw nieprzyjaciołom się już oponował i krew rozlał. Późna to poprawa, aleć zawsze poprawa!

—A przecie i książę Bogusław już teraz królowi i Rzeczpospolitej służy — odpowiedziała z żalem panna. — Niechże im Bóg obydwom przebaczy, a zwłaszcza temu, który krew rozlał... Ludzie wszelako zawsze będą mieli prawo powiedzieć, że oto w chwili największego nieszczęścia, w chwili klęsk i upadku, na tę ojczyznę nastawali, a nawrócili się do niej dopiero wtedy, gdy nieprzyjaciołom powinęła się już noga i gdy korzyść własna nakazywała ze zwycięzcą trzymać. Ot, w czem ich wina! Teraz już niema zdrajców, bo niema zysku ze zdrady! Ale jaka w tem zasługa?... Zali nie nowy to dowód, że tacy ludzie gotowi zawsze mocniejszemu służyć? Bógby, dał! żeby inaczej było, ale takich win Magierów nie opłaci...

— Prawda jest! Nie mogę negować! — odrzekł miecznik. — Ciężka prawda, ale zawsze prawda! Wszyscy dawniejsi zdrajcy w czambuł do króla przeszli.

— Nad chorążym orszańskim — mówiła dalej panna — ciąży jeszcze straszniejszy, niż na księciu Bogusławie zarzut, bo pan Kmicic ofiarował się rękę na króla podnieść, czego się sam książę przeląkł. Zali przypadkowy postrzał może to zmazać?... Tę rękę pozwoliłabym sobie uciąć, gdyby tego nie było... ale to było, jest i nie odstanie się więcej! Bóg widocznie zostawił mu życie właśnie dlatego, żeby mógł pokutować. Mój stryju! mój stryju! tożbyśmy się oszukiwali sami, gdybyśmy chcieli w siebie wmówić, że on jest czysty. I co ztąd za zysk? Zali sumienie da się oszukać? Niechże się dzieje wola boska. Co się rozerwało, to nie zwiąże się więcej i nie powinno! Szczęśliwam, że pan chorąży żywie... przyznaję, bo znać, że Bóg nie odwrócił jeszcze całkiem od niego łaski swojej... Ale dość mi na tem! Szczęśliwa będę, gdy usłyszę, że zmazał winy, ale niczego więcej nie chcę, nie pragnę! choćby tam dusza we mnie jeszcze pocierpieć miała... Niechaj go Bóg wspomaga...

Tu Oleńka dłużej nie mogła mówić, bo płacz ją porwał wielki żałosny, ale był to płacz ostatni. Wypowiedziała wszystko co nosiła w sercu i od tej pory spokój jej znów począł wracać.

## LXXIII.

Rogata dusza junacka nie chciała istotnie wychodzić z cielesnej powłoki i nie wyszła. W miesiąc po powrocie do Lubicza rany pana Andrzeja poczęły się goić, wcześniej zaś jeszcze odzyskał przytomności i rozejrzawszy się po izbie, zgadł zaraz, iż już jest w Lubiczu.

Następnie począł wołać wiernego Soroki.

— Soroka! — wołał — miłosierdzie Boże jest nademną! Czuję że nie umrę!

— Wedle rozkazu! — odpowiedział stary żołnierz, rozgniatając łzę kułakiem.

A Kmicic mówił dalej, jakby sam do siebie.

— Skończona pokuta... widzę to jaśnie. Miłosierdzie Boże jest nademną!

Potem milczał przez chwilę, jeno mu się wargi poruszały modlitwą.

— Soroka! — rzekł znów po chwili.

— Do usług waszej miłości!

A kto tam jest w Wodoktach?

— Jest panna i pan miecznik rosieński.

— Pochwalone Imię Pańskie! Przychodzili tu kto pytać się o mnie?

— Przysyłali z Wodoktów, pókiśmy nie powiedzieli, że wasza miłość zdrów będzie.

— A potem przestali przysyłać?

— Potem przestali.

Na to Kmicic.

— Nic jeszcze nie wiedzą, ale się ode mnie samego dowiedzą. Nie mówiłżeś nikomu, żem tutaj jako Babinicz wojował?

— Nie było rozkazu — odrzekł żołnierz.

— A laudańscy z panem Wołodyjowskim nie wrócili jeszcze?

— Niemasz ich jeszcze, ale lada dzień zjadą.

Na tem skończyła się pierwszego dnia rozmowa. We dwa tygodnie później pan Kmicic wstawał już i chodził na kulach, a następnej niedzieli uparł się jechać do kościoła.

— Pojedziem do Upity — rzekł do Soroki, — bo od Boga trzeba poczynać, a po mszy do Wodoktów.

Soroka nie śmiał się sprzeciwiać, więc kazał jeno wymościć sianem skarbniczek, a pan Andrzej wystroił się odświętnie i pojechali.

Przyjechali wczas, gdy mało jeszcze ludzi było w kościele. Pan Andrzej, wsparty na ramieniu Soroki, podszedł pod sam wielki ołtarz i klęknął w kolatorskiej ławce; nikt też go nie poznał, tak zmienił się wielce, twarz miał bardzo chudą, wynędzniałą, a przytem nosił długą brodę, która mu czasu wojny i choroby wyrosła. Kto i spojrzał na niego, pomyślał, że jakiś przejezdny personat na mszę wstąpił, kręciło się bowiem wszędzie pełno przejezdnej szlachty, która z pola do swych majętności wracała.

Lecz kościół zwolna napełniał się ludem i okoliczną szlachtą, zaczem poczęli zjeżdżać i posesyonaci z dalekich stron bo w wielu miejscach kościoły były popalone i mszy trzeba było aż w Upicie szukać.

Kmicic zatopiony w modlitwie nie widział nikogo, z pobożnego zamyślenia zbudziło go dopiero skrzypienie ławki pod nogami wchodzących do niej osób.

Wówczas podniósł głowę, spojrzał i spostrzegł tuż nad sobą słodką a smutną twarz Oleńki.

Ona także dostrzegła go i poznała w tej chwili, bo cofnęła się nagle, jakby przerażona, najprzód płomień, a potem bladość śmiertelna wystąpiła na jej twarz, lecz najwyższem wysileniem woli przemogła wrażenie i klękła tuż koło niego, trzecie miejsce zajął pan miecznik.

I Kmicic i ona pochylili głowy i wsparłszy twarz na dłoniach, klęczeli obok siebie w milczeniu, a serca biły im tak, że je słyszeli oboje doskonale. Wreszcie pan Andrzej pierwszy przemówił.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus:

— Na wieki wieków... — odrzekła półgłosem Oleńka.

I więcej nie mówili do sobie.

Tymczasem ksiądz wyszedł z kazaniem, słuchał go Kmicic, ale, mimo usiłowań, i nie słyszał i nie rozumiał. Oto ona, ta upragniona, po której od lat całych tęsknił, która nigdy nie schodziła mu z myśli i z serca, była teraz tuż pod jego bokiem. I czuł ją koło siebie i nie śmiał zwracać ku niej oczu, bo był w kościele, lecz przymknąwszy powieki, łowił uchem jej oddech.

— Oleńka: Oleńka przy mnie.—mówił sobie — oto Bóg nam się w kościele po rozłące spotkać kazał...

Więc myśli jego i serce powtarzały bezustanku to imię.

— Oleńka, Oleńka, Oleńka.

I chwilami płacz radości chwytał go za gardło, to znów porywało go takie uniesienie dziękczynnej modlitwy, że aż świadomość tracił, co się z nim dzieje.

Ona klęczała ciągle z twarzą ukrytą w dłoniach.

Ksiądz skończył kazanie i zszedł z ambony.

Nagle przed kościołem rozległ się szczęk broni i tętent kopyt końskich. Ktoś krzyknął przed progiem kościoła. "Lauda wraca", — i wnet w samej świątyni zerwały się szmery, potem coraz głośniejsze wołanie.

— Lauda! Lauda!

Tłumy poczęły się kołysać, wszystkie głowy zwróciły się naraz ku drzwiom.

A wtem zaroiło się we drzwiach i hufiec zbrojny pojawił się w kościele. Na czele szli z brzękiem ostróg pan Wołodyjowski i pan Zagłoba. Tłumy rozstępowały się przed nimi, a oni przeszli przez cały kościół, klękli przed ołtarzem, pomodlili się krótką chwilę, poczem obaj weszli do zakrystyi.

Laudańscy zatrzymali się w pół nawy, nie witając się dla powagi miejsca z nikim.

Ach! co za widok! Groźne twarze, ogorzałe od wichrów; wychudłe z trudów bojowych, pocięte szablami Szwedów, Niemców, Węgrów, Wołochów. Cała historya wojny i chwała pobożnej Laudy mieczem na nich wypisana. Oto ponurē Butrymy, oto Stakjany, Domaszewicze, Gościewicze, wszystkich potrosze. Lecz ledwie czwarta część wróciła tych, którzy ongi pod Wołodyjowskim z Laudy ruszyli.

Wiele niewiast napróżno szuka mężów, wielu starców napróżno wypatruje synów, więc płacz wzmaga się, bo i ci, którzy znajdują swoich, płaczą z radości. Cały kościół rozlega się szlochaniem, od czasu do czasu głos jakiś imię kochane wyrzeknie i zmilknie, a oni stoją w chwale, wsparci na mieczach, lecz i im po srogich bliznach łzy spływają na wąsiska.

Wtem dzwonek, targnięty przy drzwiach zakrystyi, uciszył płacze i gwary. Wszyscy klękli, wyszedł ksiądz ze mszą, a za nim w komżach pan Wołodyjowski i pan Zagłoba i ofiara się rozpoczęła.

Lecz ksiądz także był wzruszony i gdy pierwszy raz zwrócił się do ludu, mówiąc. Dominus vobiscum! głos mu drgał, gdy zaś przyszło do ewangelii i wszystkie szable naraz wysunęły się z pochew, na znak, że Lauda zawsze gotowa wiary bronić, a w kościele stało się aż jasno od stali, to ledwie mógł odśpiewać ewangelię.

Odśpiewano potem wśród powszechnego uniesienia suplikacye, wreszcie msza się skończyła, lecz ksiądz, pochowawszy Sakrament w cyboryum, odwrócił się już po ostatniej ewangelii ku tłumom na znak, że pragnie coś powiedzieć.

Więc uczyniło się cicho, ksiądz zaś w serdecznych słowach powitał najprzód wracających żołnierzy, wreszcie oznajmił, że list królewski zostanie odczytany, przez pułkownika chorągwi laudańskiej przywieziony.

Więc uczyniło się jeszcze ciszej i po chwili po całym kościele rozległ się głos od ołtarza.

"My Jan Kazimierz, król Polski, wielki książę Litewski, Mazowiecki, Pruski etc. etc. W Imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego, amen.

"Jako złych ludzi szpetne przeciw majestatowi i Ojczyźnie występki, zanim przed sądem niebieskim staną, już w tem życiu doczesnem mają otrzymać karę, tak równie słusznem jest, ażeby cnota nie zostawała bez nagrody, która cnocie samej blasku chwały, a potomnym zachęty do naśladowania cnych przykładów dodawać winna.

"Przeto wiadomo czynimy całemu stanowi rycerskiemu, mianowicie zaś ludziom wojskowym i świeckim urzędy mającym, cujusvis dignitatis et praeeminentiae, oraz wszystkiemu obywatelstwu w. ks. litewskiego i naszego starostwa żmudzkiego, że jakiekolwiek gravamina ciążyłyby na urodzonym, a nam wielce miłym panu Andrzeju Kmicicu, chorążym orszańskiem, te coram jego następnych zasług i chwały zniknąć z pamięci ludzkiej mają, w niczem czci i sławy pomienionemu chorążemu orszańskiemu nie ujmując."

Tu ksiądz przestał czytać i spojrzał ku ławce, w której pan Andrzej siedział, on zaś powstał na chwilę i wnet usiadł znowu głowę swą wynędzniałą wsparł o posadzkę i przymknął powieki, jakoby w omdleniu.

A wszystkich oczy zwróciły się ku niemu, wszystkie usta poczęły szeptać.

— Pan Kmicic! Kmicic! Kmicic! tam, obok Billewiczów!

Lecz ksiądz skinął ręką i począł czytać dalej, wśród głuchego milczenia.

"Który chorąży orszański, lubo w początkach nieszczęsnej owej szwedzkiej inkursyi po stronie księcia wojewody się opowiedział, przecie uczynił to nie z żadnej prywaty, ale z najszczerszej ku ojczyźnie intencyi, perswazyą tegoż księcia do błędu przywiedzion, jakoby taka jego, a nie inna droga salutis reipublicae zostawała, jaką sam książę kroczył.

"A przybywszy do księcia Bogusława, który za przedawczyka go mając, wszystkie nieżyczliwe praktyki przeciw ojczyznie jaśniej przed nim odkrył, nietylko pomieniony chorąży orszański na osobę naszą ręki podnosić nie obiecał, ale samego księcia zbrojną ręką porwał, aby się za nas i za utrapioną ojczyznę pomścić..."

— Boże! bądź miłościw mnie grzesznej! — zawołał niewieści głos tuż około Andrzeja, a w kościele zerwał się znowu gwar zdumienia.

Ksiądz czytał dalej.

"Przez tegoż księcia postrzelon, ledwie do zdrowia przyszedłszy, do Częstochowy się udał i tam piersią własną najświętszy przybytek osłaniał, przykład wytrwania i męstwa wszystkim dając, tamże z niebezpieczeństwem zdrowia i życia największe działo burzące prochami rozsadził, przy którym hazardzie pojman, na śmierć przez okrutnych nieprzyjaciół był skazany, a przedtem żywym ogniem palony..."

Ty już płacz niewieści rozległ się tu i owdzie po kościele. Oleńka trzęsła się cała, jak w paroksyzmie febry.

"Ale i z tych srogich terminów, mocą Królowej Anielskiej wyratowan, do nas na Śląsk się udał i w powrocie naszym do miłej ojczyzny, gdy zdradliwy nieprzyjaciel zasadzkę nam nagotował, pomieniony chorąży orszański samoczwart tylko na całą potęgę nieprzyjacielską się rzucił, osobę naszą ratując. Tam usieczon i rapierami skłóty, do półboków we krwi własnej rycerskiej się pławiąc, z pobojowiska jako bez duszy był podniesion..."

Oleńka obie ręce przyłożyła do skroni i podniósłszy głowę, poczęła łowić w spieczone usta powietrze. Z piersi jej wychodził jęk:

— Boże! Boże! Boże!

I znów zabrzmiał głos księdza, także coraz bardziej wzruszony.

"A gdy staraniem naszem do zdrowia przyszedł i wtedy nie spoczął, ale dalsze wojny odprawował, z chwałą niezmierną stawając, za wzór rycerstwu przez hetmanów obojga narodów podawany, aż do szczęśliwego zdobycia Warszawy, po którem do Prus pod przybranem nazwiskiem Babinicza był wyprawiony..."

Gdy to imię zabrzmiało w kościele, gwar ludzki zmienił się jakoby w szum fali. Więc Babinicz to on? Więc ów pogromca Szwedów, zbawca Wołmontowicz, zwycięzca w tylu bitwach to Kmicic? Szum wzmagał się coraz bardziej, tłumy poczęły cisnąć się ku ołtarzowi, aby go widzieć lepiej.

— Boże błogosław mu! Boże błogosław! — ozwały się setki głosów.

Ksiądz zwrócił się ku ławce i przeżegnał pana Andrzeja, który wsparty ciągle o posadzkę, do umarłego, niż do żywego był podobniejszy, bo dusza wyszła zeń ze szczęścia i uleciała ku niebiosom.

Poczem kapłan dalej czytał.

"Tamże nieprzyjacielski kraj ogniem i mieczem spustoszył, do wiktoryi pod Prostkami głównie się przyczynił, księcia Bogusława własną ręką obalił i pojmał, następnie do starostwa naszego żmudzkiego powołany, jak niezmiernie usługi oddał, ile miast i wsiów od nieprzyjacielskiej ręki uchronił, o tem tamtejsi incolae najlepiej wiedzieć powinno."

— Wiemy! wiemy! wiemy! — grzmiało w całym kościele.

— Uciszcie się — rzekł ksiądz, podnosząc pismo królewskie.

"Przeto my (czytał dalej) rozważywszy wszystkie jego zasługi względem naszego majestatu i ojczyzny tak niezmiernie, że i syn większych ojcu i matce oddaćby nie mógł, postanowiliśmy je w liście naszym promulgować, ażeby tak wielkiego kawalera, wiary, majestatu i Rzeczpospolitej obrońcę nieżyczliwość ludzka dłużej już nie ścigała, lecz aby przynależną cnotliwym chwałą i powszechną miłością okryty chodził. Nim zaś sejm następny, chęci te nasze potwierdzając, wszelką zmazę z niego zdejmie i nim starostwem upickiem, które vacat, nagrodzić go będziem mogli, prosim uprzejmie nam miłych obywatelów starostwa naszego żmudzkiego, aby te słowa nasze w sercach i umysłach zatrzymali, które nam sama

justitia, fundamentum regnorum, przesłać ku pamięci nakazała."

Tu skończył ksiądz i zwróciwszy się do ołtarza, modlić się począł; pan Andrzej zaś uczuł nagle, że jakaś dłoń miękka chwyta jego rękę, spojrzał była to Oleńka, i nim miał czas pomiarkować się, cofnąć dłoń, panna podniosła ją i przycisnęła do ust wobec wszystkich, w obliczu ołtarza i tłumów.

— Oleńka! — krzyknął zdumiony Kmicic.

Lecz ona wstała i zakrywszy twarz zasłoną, rzekła do miecznika.

— Stryju chodźmy, chodźmy ztąd prędko!

I wyszli przez drzwi zakrysyi.

Pan Andrzej próbował wstać, wyjść za nią, lecz nie mógł... Siły opuściły go zupełnie.

Natomiast w kwadrans później znalazł się przed kościołem, trzymany pod ręce przez pana Wołodyjowskiego i pana Zagłobę.

Tłumy obywatelstwa, drobnej szlachty i pospolitego ludu cisnęły się dokoła; niewiasty — zaledwie która zdołała się oderwać od piersi wracającego z wojny męża już wiedzione ciekawością, płci swojej właściwą, biegły popatrzyć na tego strasznego ongi Kmicica, dziś zbawcę Laudy i przyszłego starostę. Koło zaciskało się coraz więcej, aż laudańscy musieli w końcu otoczyć i bronić od natłoku rycerza.

— Panie Andrzeju! — wołał pan Zagłoba — ot, przywieźliśmy ci gościńca. Sam się takiego nie spodziewałeś! Do Wodoktów, teraz, do Wodoktów na zrękowiny i wesele!...

Dalsze słowa pana Zagłoby zginęły w gromkim okrzyku, który naraz pod przywództwem Józwy Beznogiego podnieśli wszyscy laudańscy.

— Niech żyje pan Kmicic!

— Niech żyje! — powtórzyły tłumy. — Nasz starosta upicki niech żyje! niech żyje!

— Do Wodoktów! wszyscy! — huknął znowu pan Zagłoba.

— Do Wodoktów! do Wodoktów — wrzasnęło tysiąc ust. — W swaty do Wodoktów, z panem Kmicicem, z naszym zbawcą! Do panienki! do Wodoktów!

I ruch uczynił się ogromny. Lauda siadła na koń; z tłumów kto żyw, dopadał wozów, bryczek, wasągów, podjezdków. Piesi na przełaj poczęli biedz przez lasy i pola. Okrzyk. "Do Wodoktów!" brzmiał w całem miasteczku. Drogi zaroiły się różnobarwnemi okupami ludzi.

Pan Kmicic jechał w skarbniczku między Wołodyjowskim i Zagłobą i raz wraz któregoś brał w ramiona. Mówić jeszcze nie mógł, bo zbyt był wzruszony, zresztą pędzili tak, jakby Tatarzy na Upitę napadli. Wszystkie bryki wozy pędziły tak samo koło nich.

Byli już dobrze za miastem, gdy nagle pan Wołodyjowski pochylił się do ucha Kmicica.

— Jędrek, — spytał się — a nie wiesz, gdzie tamta?

— W Wodoktach! — odpowiedział rycerz.

Wówczas, czy wiatr począł tak poruszać wąsikami pana Michała, czy wzruszenie, nie wiadomo, dość, że przez całą drogę nie przestawały wysuwać się naprzód, jakby dwa szydła, lub dwie macki chrabąszcza.

Pan Zagłoba śpiewał z radości tak okrutnym basem, że aż się konie płoszyły.

Dwoje nas było Kasieńko, dwoje na świecie,
Ale mi się coś wydaje, że jedzie trzecie.

Anusia nie była tej niedzieli w kościele, bo przy słabej pannie Kulwiecównie z kolei zostać musiała, przy której się z Oleńką dzień po dniu zmieniały.

Cały ranek zajęta była doglądaniem i opatrunkiem chorej, tak że późno dopiero mogła się zabrać do pacierzy.

Zaledwie jednak wymówiła ostatni "Amen," gdy zaturkotało, przed bramą i Oleńka wpadła jak wicher do pokoju.

— Jezus, Marya! Co się stało!? — krzyknęła, spojrzawszy na nią panna Borzobohara.

— Anusia! wiesz kto jest pan Babinicz?... To pan Kmicic

Anusia zerwała się na równe nogi.

— Kto ci powiedział?

— Czytano list królewski... pan Wołodyjowski przywiózł... laudańscy...

— To pan Wołodyjowski wrócił?... — krzyknęła Anusia.

I nagle rzuciła się w ramiona Oleńki.

Oleńka przyjęła ten wybuch czułości, jako dowód Anusinego afektu dla siebie, bo zresztą była zgorączkowana, prawie nieprzytomna. Na twarzy miała ogniste wypieki, a pierś jej falowała, jak gdyby z wielkiego zmęczenia.

Więc poczęła opowiadać bez ładu i przerywanym głosem wszystko, co w kościele słyszała, biegając przytem jak szalona po komnacie i powtarzając co chwila. "To ja go nie warta!" — czyniąc sobie zarzuty okrutne, że go najgorzej ze wszystkich krzywdziła, że nawet modlić się za niego nie chciała, wówczas, gdy on we krwi własnej za Najświętszą Pannę, za ojczyznę i za króla się pławił.

Próżno Anusia, biegając za nią po izbie, próbowała ją pocieszać. Ona powtarzała wciąż jedno, że go nie warta, że nie śmiałaby mu w oczy spojrzeć; to znów poczynała mówić o czynach Babinicza, o porwaniu Bogusława, o jego zemście, o ocaleniu króla, o Prostkach i Wołmontowiczach i Częstochowie; to wreszcie o swoich winach i o swojej zawziętości, za którą musi odpokutować w klasztorze.

Dalsze jej wyrzekania przerwał pan Tomasz, który wpadłszy jak bomba do komnaty, zakrzyknął.

— Na Boga! Upita do nas wali! Już są we wsi, a Babinicz pewnie z nimi!

Jakoż za chwilę daleki okrzyk zwiastował zbliżanie się tłumów. Miecznik porwał Oleńkę i wyprowadził naganek; Anusia wypadła za nimi.

Wtem tłumy ludzi i koni zaczerniły się w dali i jak okiem sięgnąć, cała droga była jeszcze nimi zapchana. Dobiegli wkońcu do dziedzińca. Piesi przedostawali się szturmem przez fosę i płoty; wozy tłoczyły się w bramie, a wszystko to krzyczało, wyrzucało czapki w górę.

Wreszcie ukazał się huf zbrojny laudańskich, otaczających skarbniczek, w którym siedziało trzech mężów: pan Kmicic, pan Wołodyjowski i pan Zagłoba.

— Skarbniczek zatrzymał się nieco opodal, bo już tyle ludu natłoczyło się przed gankiem, że nie można było tuż dojechać. Za-

głoba z Wołodyjowskim wyskoczyli pierwsi i pomógłszy Kmicicowi zsiąść, zaraz chwycili go pod ramiona.

— Rozstąpcie się! — krzyknął Zagłoba.

— Rozstąpić się! — powtórzyli laudańscy.

Ludzie usunęli się zaraz, tak, że środkiem tłumu utworzyła się pusta droga, którą wiedli Kmicica aż do ganku dwaj rycerze. On słaniał się i blady był bardzo, ale szedł z głową podniesioną, zarazem zmieszany i szczęśliwy.

Oleńka oparła się o odrzwia i ręce opuściła bezwładnie; lecz gdy był już blizko, gdy spojrzała w twarz tego mizeraka, który po tylu latach rozłąki zbliżał się oto jak Łazarz, bez kropli krwi w twarzy, wówczas szlochanie rozdarło nanowo jej piersi. On ze słabości, ze szczęścia i zmieszania nie wiedział sam, co ma mówić, więc wstępując na ganek, powtarzał tylko przerywanym głosem.

— A co, Oleńka, a co?

Ona zaś obsunęła mu się nagle do kolan.

— Jędruś! ran twoich nie godnam całować!

Ale w tej chwili wyczerpane siły wróciły rycerzowi,więc porwał ją z ziemi jak piórko i do piersi przycisnął.

Okrzyk jeden ogromny, od którego zadrżały ściany domów i ostatki liści z drzew opadłych zgłuszył wszystkie uczy. Laudańscy poczęli palić z z samopałów, czapki wylatywały w górę, naokół widziałeś tylko uniesione radością twarze, rozpalone oczy i otwarte usta wrzeszczące.

— Vivat Kmicic! vivat Billewiczowa! Vivat młoda para!

— Vivat dwie pary! — huczał Zagłoba.

Ale głos jego ginął w burzy ogólnej.

Wodokty zmieniły się jakoby w obóz. Przez cały dzień rznięto z rozkazu miecznika baranny i woły, wykopywano z ziemi beczki miodu i piwa. Wieczorem zasiedli wszyscy do uczty, starsi i znamienitsi w komnatach, młodsi w czeladnej, prostactwo również weseliło się przy ogniskach na podwórzu.

Przy głównym stole krążyły kielichy na cześć dwóch par szczęśliwych, gdy zaś ochota doszla do najwyższego stopnia, pan Zagłoba wzniósł jeszcze toast następujący.

— Do cię zwracam się, cny panie Andrzeju, i do cię, stary druhu, panie Michale! Niedość było piersi nadstawiać, krew rozlewać, nieprzyjaciół wycinać! Nieskończony trud wasz, bo gdy siła ludzi

czasu tej okrutnej wojny poległo, musicie teraz nowych obywatelów, nowych obrońców tej miłej Rzeczpospolitej przysporzyć. do czego, tuszę, nie zbraknie wam męstwa, ni ochoty! Mości panowie na cześć onych przyszłych pokoleń! Niech im Bóg błogosławi i pozwoli ustrzedz tej spuścizny, którą im odrestaurowaną naszym trudem, naszym potem i naszę krwią, zostawujem. Niech, gdy ciężkie czasy nadejdą, wspomną na nas i desperując nigdy, bacząc na to, że niemasz takowych terminów, z którychby się *viribus unitis* przy boskich auxiliach podnieść nie można.

---

Pan Andrzej niezadługo po ślubie na nową wojnę ruszył, która od wschodniej ściany wybuchła. Lecz piorunujące zwycięstwo Czarnieckiego i Sapiehy nad Chowańskim i Dołgorukim, a hetmanów koronnych nad Szeremetem, ukończyły ją wkrótce. Wówczas wrócił Kmicic świeżą chwałą okryty i na stałe w Wodoktach osiadł. Chorąstwo orszańskie wziął po nim stryjeczny jego Jakób, który później do nieszczęsnej konfederacyi wojskowej należał pan Andrzej zaś duszą i sercem stojąc przy królu, starostwem upickiem nagrodzon, żył długo w przykładnej zgodzie i miłości z Laudą, powszechnym szacunkiem otoczony. Niechętni(bo któż ich nie ma) mówili wprawdzie, że żony we wszystkiem zbytnio słucha, ale on się tego nie wstydził, owszem sam przyznawał, że w każdej ważniejszej sprawie zawsze rady jej zasięga.

KONIEC

# Jaki Powinien Być Sztandar Wojskowy Polski

# Jaki Powinien Być Sztandar Wojskowy Polski

Wiele Instytucyi i Organizacyi Polskich w Ameryce pragnie obdarować odchodące zastępy chotników sztandarami trwałemi a więc takiemi, które nie byłyby tylko tymczasowemi emblematami, zakwalifikowanemi z góry do archiwum pamiątek, lecz które mogłyby prowadzić żołnierza do boju.

Do wiadomości pomienionych Instytucyi i Organizacyi podaję szereg danych i wskazówek.

Sztandar wojskowy polski musi odpowiadać dwom zasadniczym warunkom: tradycyi historycznej i wymaganiom techniki.

Tradycya historyczna, wbrew zakorzenionemu mniemaniu, bynajmniej nie łączy się z kolorem amarantowym, jako jedyną barwą wojskową. Za czasów dawnej naszej Rzeczpospolitej, chorągwi amarantowej alias "malinowej" używali jedynie król i hetmani, poszczególne oddziały używały kolorów odnośnego województwa, z którego pochodziły. Herby i godła na chorągwiach były bądź, jak na królewskich i hetmańskich znakach, łączeniem czwórdzielnego herbu Rzeczpospolitej (Orłą i Pogoni) z herbem osobistym króla lub hetmana, bądź zdobieniem wojewódzkiego herbu godłami właściciela czy naczelnika danego oddziału. Sztandary rycerstwa polskiego przedstawiały całą tęczę kolorów i odcieni, trzymały się raczej zasad ogólno heraldycznych i nie przekazały nam żadnych ustalonych form. Chorągwie te zaginęły wraz z całym przepychem i feudalizmem czasów rycerskich.

Podstawy trwałe, niezawodne, uświęcone krwawemi walkami, przynoszą nam dopiero czasy porozbiorowe, czasy zapoczątkowania współczesnej wojskowości, wiec wojny kościuszkowskie, a nadewszystko napoleońskie, jako te, które

odrodziły tradycye rycerskie i ujęły je w ramy ładu i karności.

Za czasów napoleońskich, w wojsku polskiem, na czele pułku piechoty, staje nie sztandar, lecz "znak" orła białego, kształtu dawnych znaków Juliusza Cezara, pod znakiem tym widnieje "płomień," więc obramowany złotem lub srebrem skra wek kolorowej materyi z haftowanym numerem pułku, na poprzecznej tablicy, pod orłem, miast dawnego rzymskiego "Senatus Populusque Romanus" litery "W. P. K. W." (Wojsko Polskie Księstwa Warszawskiego). Pułki kawaleryi mają tylko płomienie szwadronowe, proporczyki o barwach pułkowych, szwolerzerzy, naprzykład, amarantowo - niebieskie, strzelcy zielono - żółte, ułani stosownie do ich koloru pułkowego. Pod koniec wojen napoleońskich, w przededniu upadku wielkiego - wodza, sztandary wojskowe polskie, już zgoła klasyczne, rozwijają się ponad kolumnami nowoformowanej czy reformowanej piechoty polskiej. I sztandary te wracają do Królestwa Kongresowego, tu ulegają prawidłowemu ujednostajnieniu i wiodą zastępy polskie na pola krwawych z Moskwą rozpraw.

Wojsko polskie, na przestrzeni od 1815 do 1831 roku, pozostawiło nam szereg dokumentów niezawodnych o tem, jakim powinien być sztandar wojskowy polski. A więc, że na drzewcu powinien mieć orła białego, że kolor sztandaru nie tylko może nie być amarantowy, lecz powinien odpowiadać barwom pułku, któremu przewodzi, że dalej nie powinien być jednobarwny, że ma być czwórdzielny, że , w myśl ogólno heraldycznych prawideł, na kolorze nie powinien mieć koloru, jeno metal, że kolor metalu musi odpowiadać metalowi, przyjętemu przez dany rodzaj broni (naprzykład, srebrne odznaki dla kawaleryi, złote dla piechoty i t. p.), że, krom godła narodowego, numeru i nazwy pułku, może zawierać jeno hasła, wzglednie monogramy królewskie.

Piękna ta i usankcyonowana na polach chwały tradycya uległa zapomnieniu i spaczeniu. Przedewszystkiem trzy "opiekuńcze" rządy, przez dziesiatki lat, zabraniały wprost rozpowszechniania wiadomości, dotyczących ustroju i świe-

ności wojska polskiego, z drugiej strony, w ciszy śmiertelnej i tajemnicy gotowane powstania mnożyły znaki i godła dowolne, błędne, choć z łez i poświęcenia bez granic poczęte. Na poddaszach szyto powstańcom sztandary bojowe, na skrawku czerwieni czy amarantu haftowano przygodne wizerunki orłów, przygodnemi zdobiąc je emblematami. W pewnej chwili, pragnąc Ruś zjednać dla sprawy narodowej, do herbu Rzeczpospolitej dodano Michała archanioła, z mieczami, a Pogoń, przez nieznajomość rzeczy, jęto na niebieskiem polu wyszywać!... Napłodzono dziwolągów bez liku, lecz takie to były czasy, że za te serdeczne błędy, za tę dowolność w sporządzeniu sztandarów walki o wyzwolenie narodu raczej wdzięczność głeboka należała się tym dobrym pracownicom Ojczyzny, które z narażeniem życia szyły, jak czuły, jak umiały, a często, jak mogły...

Dziś inne nastały czasy. Dziś Armia Polska dźwigać się może śmiało, organizować tak, jak powinna i nieodzowną rzeczą, aby wskrzesiła to wszystko, co było jej cechą i wewnętrzną i zewnętrzną. Jeżeli ta ostatnia musi niekiedy uledz nieugiętym wymaganiom wojny współczesnej, skwitować ze swego przepychu uniformów, tembardziej dbać musi o to, co wolno jej całkowicie zachować.

A więc jakim powinien być sztandar wojskowy polski?

Technika żąda bezwzględnie ograniczenia wymiarów i wagi sztandaru. Sztandar wojskowy nie jest bowiem chorągwią korporacyjną, którą, kilka razy do roku, dobywa się na dzień święta organizacyjnego czy narodowego i którą dźwiga się dowolnie na lewem czy prawem ramieniu. Sztandar wojskowy idzie na czele oddziału, chorąży nieść go musi przed sobą, podniesiony prosty, łopoczący na wietrze.

Stąd płomień (materya) sztandaru musi tworzyć kwadrat wielkości 90 centimetrów na 90 centimetrów. Drzewce winno mierzyć dwa metry i dwadzieścia pięć centimetrów długości i być zrobione z drzewa lekkiego, lecz twardego, mocnego i być zaopatrzone okuciami według koloru metalu sztandarowego. Drzewce winno być składane na dwie

części. Materyał płomienia musi być trwały i obocześnie wytworny. Na sztandar nie wolno używać materyałów fantazyjnych, wzorzystych, w kwiaty, esy i floresy.

Sztandar wojskowy polski nie tylko może ale powinien być dwubarwny, w kolorach nadewszystko narodowych. Kolorami temi są amarant i biały albo czerwony i biały. Ponieważ, jak nasi rodacy wielokrotnie się mogli przekonać, w Ameryce nie ma odpowiednio pięknego materyału amarantowego, przeto o wiele lepiej będzie używać materyi czerwonej, niż posługiwać się dowolnych odcieni kolorami brunatno - karmazynowemi, kolorami i brzydkiemi i niestosownemi.

Kolory sztandaru winny więc, naprzykład, wszystkie być ułożone w krzyż skośny, cztery rogi sztandaru winny być czerwone, w gwiazdę od środka idące, a wszystkie cztery pola środkowe winny być białe.

Na czterech rogach sztandaru, po prawej stronie, winny być cztery białe orły, głowami do środka sztandaru; po środku sztandaru winien być wieniec srebrny; w wieńcu numer i nazwa oddziału. Naprzykład: "2 Batalion Strzelców," — "I Pułk Piechoty". Pole środkowe, w wieńcu, może być dowoli białe lub czerwone. Strona lewa sztandaru może być ułożona tak samo lub odwrotnie (cztery pola rogowie białe, cztery pośrednie, boczne czerwone). Na tej stronie może być tylko jeden wielki orzeł po środku lub, dowolnie, znów cztery małe po rogach.

Na wolnych polach, mogą być nadpisy, lecz nadpisy te mogą albo stanowić hasła albo daty historyczne, nigdy nazwy organizacyi ofiarujących sztandar.

Na sztandarach polskich można przyjąć, naprzykład, nadpisy przyjęte już dla pierwszego sztandaru pierwszego batalionu strzelców a mianowicie: "Zjednoczona — Niepodległa; 1797 (rok legionów Dąbrowskiego) — 1917 (rok tworzenia Armii Polskiej we Francyi). — Mogą i powinny być hasła i zawołania, jak naprzykład, "Bóg i Ojczyzna" — "Wolność, Równość i Niepodległość" — "Odry, Niemna, Warty, Wisły, nie odstąpi polski lud", — "Warszawa, Kraków, Poznań", — "Do ostatniej kropli krwi za wyzwolenie ludu polskiego,"

i t. p. — Natchnienia do ułożenia podobnych haseł żadnej polskiej pracowniczce sztandaru nie zabraknie.

Natomiast, podkreślam, na sztandarach wojskowych polskich, czyli takich, które mają prowadzić oddziały nasze boju, nie może być imion ofiarodawców, choćby nimi były nawet całe organizacye. Organizacye takie mogą dołączyć do sztandaru szarfy i umocować je u drzewca i na szarfach tych wypisać nazwę Instytucyi, która sztandar ofiarowała. Na samym jednak sztandarze oko żołnierza szuka tylko hasła, tylko zawołania, któreby mu przewodziło.

Jak powiedziałem wyżej, na sztandarze nie może być kolor na kolorze jeno metal. Znaczy to, że zarówno wizerunki orła, ja i nadpisy i ozdoby winny być metalowe (srebrne przedewszystkiem albo złote). Wyszywanie na sztandarzach amarantowych czy innych liści zielonych, haftowanie nadpisów jedwabiem żółtym czy innych, uchybia heraldyce i tradycyi.

Orły i litery (srebrne albo złote), mogą być także robione ze srebrnych lub złotych szychów, nawijanych na odpowiedniego kształtu tekturowe formy.

Płomień sztandaru winien być obramowany metalową frendzlą. Frendzle jedwabne, nicianie i t. p. są niedopuszczone.

Nakoniec, na drzewcu winien być biały orzeł a nie pika czy sztyca indyańska. Jak dla sztandarów, ofiarowanych tu w Ameryce, byłoby rzeczą właściwą i nawet zgodną z sentymentem, aby na sztycach umieszczać zrywającego się do lotu białego orła amerykańskiego. Sztandar takim opatrzony orłem miałby nawet pewną doniosłość historyczną dla nas wszystkich Polaków a w niczem nie uchybiałby tradycyi. Ponieważ o dobry odlew klasycznego orła polskiego na drzewcu bardzo tu trudno, przeto i piękniej i wdzięczniej od piki cudacznej, a co najważniejsze stosowniej byłoby uciec się do tego samego orła, któremu Bracia nasi w Ameryce tyle mają do zwdzięczenia.

Nie potrzebuję chyba nadmieniać, iż każdy już ofiarowany sztandar i każdy ofiarowany w przyszłości— choćby pod żadnym względem nie odpowiadał powyższym wskazówkom, był i bedzie przyjęty z najgłęb-

szą wdzięcznością, zachowany, jak relikwia narodowa, na wieczną rzeczy pamiątkę.

Lecz ponieważ wielu jeszcze koloniom polskim idzie o to, aby formującym się oddziałom polskim dać już nie emblemat na drogę, nie rzewny symbol, lecz sztandar, prawdziwy sztandar bojowy, ów umiłowany żołnierza znak, wiodący na bój, na pole chwały — przeto, odpowiadając na liczne w tej mierze zapytania, pozwoliłem sobie tu scharakteryzować najważniejsze jego cechy.

Dla ścisłości jeszcze przypomnienie o pokrowcach. Każdy sztandar musi być zaopatrzony w pokrowiec biały, płócienny, i drugi zwierzchni, ceratowy i tak sporządzone, aby złożone drzewce całkowicie się w nich, wraz z płomieniem zmieściło.

**WACŁAW GĄSIOROWSKI,**
**Szef Delegacyi Armii Polskiej we Francyi.**

[2,50]

46-
886 (6 tomos).

5,-